

Korkozowicz Kazimierz

Jeźdźcy Apokalipsy

Od autora

Głównym tematem "Jeźdźców Apokalipsy" będą walki, jakie polski żołnierz prowadził na terenach ówczesnej Rosji. Ich głównym bohaterem jest Aleksander Lisowski, postać, jak sądzę, mało znana szerszemu ogółowi, mimo że jako dowódca i żołnierz dorównywał największym wodzom swoich czasów. Historia tylko wspomina, i to niezbyt pochlebnie, żołnierzy, jakich wychował, zwanych wtedy "straceńcami". Gardzili bowiem śmiercią, odznaczali się niesłychaną odwagą i wytrzymałością, ale też i żądzą rabunku. Z tej strony dali się niestety poznać i własnemu społeczeństwu. I w tej książce nie pomijam działań wywiadowczych, jednak o zawężonym charakterze, gdyż zafrapowały mnie pewne zdarzenia znalezione w materiałach historycznych. Następowały mianowicie trudne do wytłumaczenia kolejne zgony ówczesnych, najzdolniejszych polskich dowódców, będących w sile wieku, i to nie na polach bitew, co byłoby zrozumiałe. Dlatego też, szukając racjonalnego rozwiązania owej zagadki, ten aspekt wziąłem głównie pod uwagę przy ustawianiu akcji wywiadowczej. Stanowi ona jednak tylko jeden z wątków tej książki, którą być może, Czytelniku, zechcesz poznać.

Wprowadzenie Sejm roku 1603, zwołany na styczeń do Krakowa, miał rozstrzygnąć sprawy ważne i pilne. Jednak nie zajął się nimi, gdyż namiętności i rozgrywki polityczne zagłuszały mówców wzywających do opamiętania, jak hetmani íólkiewski czy Chodkiewicz, którzy nawoływali do uchwalenia środków niezbędnych do prowadzenia dalszych działań zbrojnych tak na Rusi, jak i w Inflantach. Nie usłuchano jednak ich żądań, mimo że na Inflantach po ostatniej kampanii wojennej pozostało niewiele więcej niż dwa tysiące szabel, i to żołnierza wycieńczonego walkami i, z

braku żołdu, niedostatkiem. Inflanty, bronione przez Chodkiewicza, były krainą, gdzie, jak opisuje Sokołowski: "...mieszkańca nadwiłańskich równin raził ponury i skryty łotwak, przybrany w szarą suknię niemieckiego kroju i w skórzane albo z łyka robione chodaki, obcym był mu też mieszczanin Niemiec lub szlachcic inflancki, niezrozumiałym przemawiający językiem, wstrętna chytryść chłopa inflanckiego, co gościa swego gotów był zabić, zarzezać, udławić we pięczki. Jakie dziwne, nieswojskie powietrze wiało od tych nizin przymorskich. Podróżny po całodziennej wędrówce nie miał gdzie głowy skłonić do spoczynku, bo karczmy i domy gościnne rzadkie w tym kraju, a po nielicznych mojach i chatach z chrustu plecionych mieszkał lud gruby, zdradziecki i do zabójstwa skory albo szlachcic inflancki, Niemiec z rodu, nienawidzący obcych. Dodajmy do tego trudność komunikacji w kraju pełnym błot nieprzebytych, wody szkodliwe, jako się wówczas wyrażano "niezdrową konstytucją powietrza", a pojmiemy łatwo, jak ciężki był los żołnierza polskiego w tej nadbałtyckiej krainie..." W wieku XII zjawili się tu pierwsi osadnicy i kupcy niemieccy z Lubeki. Po nich Zakon Kawalerów Mieczowych, tępiąc tubylców, opanował kraj. Zbudowali otoczoną murami Rygę dla stróżowania ujścia Dźwiny, potem powstało miasto biskupie, Dorpat. W długich sporach z zakonem duchowieństwo stopniowo traciło ziemię, zatrzymując w końcu tylko jedną trzecią obszaru kraju. W pierwszej połowie XVI wieku zjawiał się Sas z Wirtembergi głosząc luterzańską wiarę. Zaczęła się grabież majątności katolickich klasztorów i kościołów. Luteranizm rugował katolicyzm, a że pozwalał na rozluźnienie dyscypliny zakonnej, więc Kawalerowie Mieczowi niezbyt go zwalczali. Około roku 1560 luteranizm już całkowicie opanował Inflanty. Później i Szwedzi zwrócili uwagę na ten kraj. Skutkiem wynikłych walk porozumienie

zawarte w 1561 roku w Wilnie znosiło tytuł wielkiego mistrza i oddawało ostatniemu z nich, Gerthardowi Kettlerowi, na warunkach hołdowniczych, księstwo Kurlandii i Semigalii. Ostatecznie w 1569 roku Inflanty zostały przyłączone do Korony, a gubernatorem mianowany Grzegorz Chodkiewicz, kasztelan trocki i ówczesny hetman polny Litwy. Książę Kurlandii, jak to ustalono poprzednio, zatrzymywał jako lenno tereny na zachód od Dźwiny. Król szwedzki Jan umarł w 1593 roku. Polskim królem był już jego syn, jako Zygmunt III, obecny sukcesor szwedzkiej korony. Nie ×pieszył jednak z przekazaniem reszty Inflant w polskie władanie, przedkładając swoje interesy dynastyczne ponad dobro kraju, który powołał go na swój tron. Natomiast królem Szwecji został wybrany Karol książę Sudermanii, jako Karol IX. Zygmunt pragnął wszcząć kroki wojenne przeciw stryjowi, ale sejm 1600 roku odmówił mu poparcia. Mimo to, wbrew woli narodu, Zygmunt zdołał uwikłać Polskę w wojnę ze Szwecją. Rozpoczęła się walka o Inflanty, jednak z powodu szczupło×ci sił jak i chwiejno×ci Zygmunta nie dawała rozstrzygającego rezultatu. Ostatnią kampanię u schyłku 1602 roku prowadził sam hetman wielki koronny Jan Zamoyski. Sędziwy już, poruczył dowództwo w Inflantach litewskiemu hetmanowi polnemu Janowi Karolowi Chodkiewiczowi. Nadszedł rok 1603. Dotarły do kraju wie×ci z Rosji, jakoby syn Iwana Groźnego, Dymitr, nie zginął. Po ×mierci rodzica zasiadł na tronie nieudolny i chorowity starszy brat Dymitra, Fiodor, stąd cała władza przeszła w ręce zausznika zmarłego cara, Borysa Godunowa. Fiodor zbyt długiego życia nie zapowiadał, zatem ważniejszą przeszkodą w zdobyciu tronu stała się dla Godunowa osoba drugiego carskiego syna, Dymitra, który wraz z matką Marią, z domu Nagoj, przebywał z jego rozkazu na zesłaniu w monasterze w Ugliczu. I tam w 1591 roku Godunow wysłał morderców, a kiedy wypełnili dane

polecenie, ogłosił, że carewicz odebrał sobie życie w czasie ataku epileptycznego, co nie znalazło jednak wiary i wśród bojarów, i wśród ludu. Wkrótce pojawił się nieznany młodzieniec, który twierdził, że jest owym Dymitrem, że zdołał uratować się i dzięki pomocy opiekuna lekarza ujść siepaczom Godunowa. Po licznych przygodach dostał się w końcu na dwór książąt Wiśniowieckich w Brahinii, a potem przybył do Sambora, gdzie starostą był wojewoda sandomierski Mniszech, teść jednego z Wiśniowieckich. Obyczaje panowały wówczas srogie. W bitwach przeważnie nie brano jeńców, chyba tylko dla okupu lub zdobycia siły roboczej, a grabieże i gwałty nad ludnością były zwykłym procederem, nawet we własnym kraju. Ale też i w życiu codziennym, w dniach pokoju, widok krwi również nie przerażał ani nie budził współczucia. Począwszy od zabiegów lekarskich, w czasie których krajano pacjenta niejako żywcem, w najlepszym razie tumaniąc go gorzałką, chore za zęby kował wrywał obcęgami, poprzez praktyki sądowe stosujące tortury przy ledztwach i wyrokach. Powszechne były rozboje i gwałty nie tylko na drogach, lecz i w czasie sejmików czy sąsiedzkich odwiedzin, kiedy gospodarz nie żałował trunków. Toteż na sejmiki czy w gości przybywano z szablą u boku, a przelana krew nie wstrząsała niczyim sumieniem. Zresztą nie bano się śmierci tak bardzo jak dzisiaj. Wiara bowiem w pośmiertne życie kładła się blaskiem - czy też cieniem - na całe ówczesne bytowanie, stanowiąc bodziec, rzadziej hamulec, wszelkich decyzji czy uczynków. Cios zadany szablą czy nożem był przeto mniejszą zbrodnią niż na przykład nieprzestrzeganie postów. Zabójstwo bowiem miało ustaloną przez prawo cenę w gotowiźnie na rzecz rodziny zabitego, natomiast złamanie postu powodowało powszechne potępienie. żołnierz wychowany w takich warunkach nie był skory do litowania się, a że przeważnie pochodził z biedoty,

toteż był żądny łupów, grabieży za× dozwalały wojenne prawa. Znał swoje rzemiosło nie gorzej niż w czasie pokoju gospodarzenie na roli. Na ogół wywodził się z ubogiej szlachty zwanej szaraczkową, zagonową lub wreszcie chodaczkową, która poza posiadaniem klejnotu (herbu) mało co różniła się od zwykłego chłopstwa. Nie stać ich było na kosztowne wyposażenie husarskie jak i bojowego konia. Bronią była szabla, czasami pistolety, rusznica lub łuk. Walczyli jednak zawsze konno, w przeciwieństwie do Kozaków ukraińskich stanowiących w większo×ci formacje piesze. Na Litwie nazywano ich również petyhorcami, w Koronie pancernymi, ale w rejestrach pod tą nazwą figurują dopiero od drugiej połowy XVIII wieku. Stanowili jazdę lekką, natomiast husarze byli jazdą ciężką. Jazdy w pełni lekkiej, zdolnej do zwiadów, szybkich rajdów czy po×cigów jako formacji specjalnych nie było. Zadania te spełniały oddziały Lisowskiego, konne sotnie zaporoskie lub nieliczne jeszcze oddziały tatarskie. Ale praca na roli, bezpo×rednie obcowanie z naturą dawały im odporno×ć na trudy wojaczki, nieczuło×ć na mróz, sło×ę czy spiekotę. Z pokolenia za× na pokolenie przechodziło zamiłowanie do wszelakiej broni, a wrodzony animusz podniecał do jej użycia. Wyróżnienie się w tym ×rodowisku odwagą, władaniem bronią czy koniem nie było łatwe. Jednak rozgłos, jaki zdobyli u×wiacki starosta Jan Piotr Sapieha, a zwłaszcza Aleksander Lisowski, przerósł zwykłą popularno×ć. Byli rycerze o znanych w wojsku nazwiskach, jak chociażby pan Bartłomiej Nowodworski, Kawaler Maltański, pan Nikodem Pieniążek, rycerz o niezrównanej zręczno×ci i sile, który w pełnej zbroi konie przeskakiwał. Stanisław Koniecpolski, przyszły hetman, Jan i Jakub Potoccy, a także cała plejada gło×nych rycerzy jak Zborowski, Stru×, Kiszka i wielu innych. Jednak sława Lisowskiego była nieporównanie większa. Z wolna jego imię

zaczęła otaczać legenda. Był tematem opowiadań przy żołnierskich ogniskach, opisywano i podziwiano jego wojenne czyny, a podziwiać było co, bo stawał się wodzem godnym porównania z największymi postaciami historii. Odznaczał się bezprzykładną odwagą, szybkością działania jak i przebiegłością decyzji. Jego pragnieniem była chwała wojenna, dobry koń pod siodłem, szabla przy boku, stepowy wiatr smagający twarz i grzmot kopyt pędzącej za nim watahy. Natomiast o kozakach polskich, których potem nazywano pancernymi, tak mówi Górski: "...kozacy jest także lekko tylko uzbrojona jazda szwedzka. Noszą kolczastą zbroję, na głowie misiurkę, od której siatka żelazna spada na ramiona i podpina się pod brodę. Na popisach szlachta (tj. pacholki) jest podobnie ubrana i uzbrojona i cała różnica polega na tym, że również jak w chorągwiach husarskich, jedni idą przed, a drudzy za muzyką". Należy jednak nieco szerzej także wyjaśnić, kim byli i w jaki sposób weszli do historii właściwi Kozacy, bo często będzie o nich mowa. Rekrutowali się przeważnie z chłopów zbiegłych spod pańszczyźnianego ucisku bądź z takich ludzi, którzy z różnych, na ogół ciemnych przyczyn musieli opuścić miejsce zamieszkania, lub też z osobników znęconych pełnią swobody, stepową przestrzenią. Tworzyli tu stаницe, załazek późniejszych, podstawowych komórek administracyjnych, pałanki, czyli osiedla, i wreszcie obozy warowne, zwane siczami. Byli jednak i tacy, którzy unikali życia zbiorowego i trudnili się rybołówstwem, bartnictwem czy też myślistwem. Zwani byli siromachami, tak jak grodowymi nazywano osiadłych w mieście. Jednak tak jedni, jak i drudzy brali udział w wyprawach wojennych. Powstały dwa obszary Kozaczyzny: nad Donem, ciągnący ku Moskwie, i nad Dnieprem, zwany Zaporozem, podległy Polsce. U Naruszewicza znajdujemy o Kozakach taką informację:

"Pochodzi raczej ich nazwa od tureckiego Chazak, co znaczy rabu×. Byli to początkowo różni zbiegowie i włóczędzy, którzy się skojarzyli i tworzyli coraz bardziej rozrastające się, małe społeczeństwo. Jedni, osiedleni nad Donem, podlegali Moskwie, drudzy Polsce, Zaporoskimi lub Niżowymi zwani. Ich główną wyspą była Tomakówka na Dnieprze, bardzo trudna do przystępu, bo w tym miejscu Dniepr, ×ci×niony skałami, leci z nadzwyczajną bystro×cią, wzniecaną dużą pochyło×cią terenu. Tam też zaczynają się srogie katarakty zwane porohami, podobnymi do kamiennych stopni, po których pienił się i gnał bystry nurt. Było ich trzyna×cie i tworzyły na rzece jakby skalne zapory. Nazywały się kolejno: Kodak, Surski, Lochanny, Tawuǳzany, Kniechinin, Nienasytec, Dzwoniec, Woronichów, Zabory, Budyło, Liniec, Liczny, Wolny". Z kolei tak ich opisuje francuski inżynier Beauplan, który w służbie Zygmunta III i jego następców budował na południowych kresach warownie i umocnienia: "Lud ten co rok prawie czyni wycieczkę po Morzu Czarnym z wielką szkodą Turków. Nieraz oni złupili Krym, Natolię, palili ogniem Trebizond i łodziami swemi ocierali się o sam Carogrod, wszystko oni krwią i mieczem pustoszą, zabrawszy łupy, młodych jeńców i dzieci, wracają za swoje porohy". "Są oni z natury mocni, łatwo wytrzymujący zimno, gorąco, głód i wszelkie obozowe trudy". "Nie tylko odważni, lecz są zuchwali i życiem gardzący. Najdzielniej się potykają w taborach, zawarci wozami, strzelają nadzwyczaj celnie, dobrze się bronią za murem. I na morzu mają swoje zalety". Tę opinię uzupełnia Tyszkowski: "Smuta moskiewska nie tylko powiększyła liczbę Kozaczyzny ukraińskiej - dała jej także poczucie własnej siły, kiedy przed jej orężem drżał car i bojarska дума, kiedy błagał ich o pomoc Zygmunt i jego hetmani, kiedy zaciągali się pod szwedzkie znaki. Zdobywanie grodów, partyzantka, ciągłe boje, dalekie rajdy i zagony

łupieskie, służba pod znakomitymi wodzami tego czasu jak íólkiewski, Chodkiewicz, Lisowski, Pożarski, de la Gardie - wszystko to wywarło głęboki wpływ na wyszkolenie wojskowe". Tyle co do Kozaków. Wracając jednak do zagadnienia, o jakie wojsko chodzi, jeżeli jest mowa o kozakach, to nadal tego nie wiemy, czytając w listach bądź pamiętnikach z tamtych czasów: "Nadciągnął Sapieha z tysiącem kozaków", albo: "wybawił nas z opresji Zborowski ze swymi kozakami". Dotyczy to zwłaszcza oddziałów Lisowskiego, gdyż składały się one i z jednych, i z drugich, często przemieszanych nawet w jednej chorągwi. Wreszcie na zakończenie cytaty z Podhoreckiego: "Wyszkolona w walkach na stepie w XVI i na początku XVII wieku jazda polska wyrosła na najlepszą w Europie, nie mającą równego sobie przeciwnika na polach wszystkich bitew staczanych na otwartym polu". Opinia ta w znacznej mierze wyjaśnia przyczynę licznych polskich zwycięstw, zwłaszcza pod Kircholmem czy Kłuszynem, odnoszonych mimo ogromnej przewagi liczebnej przeciwnika. Było późne popołudnie pierwszej połowy maja. Słońce stało jeszcze wysoko nad szarą, z wolna płynącą Wisłą, widoczną przez uchylone okno. Król Zygmunt zajmował się cyzelowaniem złotego medalu ze swoim wizerunkiem. Łańcuch do niego leżał obok już gotowy, a jego misternie plecione ogniwa także lśniły złotem. Rozrzucone wokoło dłuta i inne narzędzia grawerskie świadczyły o obeznaniu króla z tym rzemiosłem. W pewnej chwili odsunął medal na odległość ramienia i jakiś czas oglądał go krytycznie, po czym odłożył na bok i wstał z krząta. Był niezbyt wysokiej, ale foremnej postury. Ciemne włosy okalały wyniosłe czoło i pociągłą, trójkątną twarz, co jeszcze bardziej podkreślała broda, przycięta w klina na szwedzką modłę. Małe, zaciśnięte usta świadczyły o upartym charakterze, a ciemne oczy spoglądały surowo i podejrzliwie.



Ubrany był również podług szwedzkiej mody, w szary kaftan z cienkiego sukna, krótkie, sięgające za kolana spodnie i pończochy. Cizmy z miękkiej skóry, o krótkich, rozchylonych cholewkach, ledwie sięgających kostek, dopełniały stroju. Zbliżył się do okna i patrzył na panoramę rzeki. Od stóp zamku biegły ku niej ogrody, dalej widać było w ród drzew szare ciany drewnianych zabudowań. Szeroki pas Wisły, przecięty nitką mostu, lnił skrami słonecznego blasku. Sunęły po niej tu i ówdzie kupieckie barki, szkuty i komiegi. Rozległo się dyskretne pukanie do drzwi. Na przyzwalające mruknięcie uchylili się i na progu stanął Czyż, jeden z królewskich sekretarzy. - Co waćpan masz do mnie? - mruknął opryskliwie Zygmunt widząc, że dworak czeka na jego słowa. Obrzucił go przy tym niechętnym spojrzeniem, gdyż nie lubił, gdy mu przeszkadzano w czasie przeznaczonym na osobiste zajęcia. - Przyszła poczta, miłociwy panie. Jego wielmożność pan kanclerz pyta, czy życzyście sobie, aby zaraz ją przedłożył. - Jest aż tak pilna? - Zdawał się być nią poruszony. - Od kogo? - Od jego wielmożności hetmana Chodkiewicza. Są też pono i wieści o carewiczu moskiewskim. Zygmunt ożywił się. - O Dymitrze? Dobrze, niech mnie oczekuje w białej komnacie. Zaraz tam przybędę. Był to gabinet, w którym król pracował i prowadził rozmowy, radząc nad sprawami państwa. Zastał tam już chełmińskiego biskupa, a obecnie wicekanclerza Piotra Tylickiego. Był to człowiek przedsiębiorczy i pracowity, znany z dowcipu, ale i z chciwości na dobra doczesne. Na widok wchodzącego króla złożył mu głęboki ukłon i czekał, zgodnie z obyczajem, na odezwanie się monarchy. Ten zaś podchodząc do swego fotela burknął niezbyt uprzejmie: - Wasza eminencja uznała za potrzebne mnie niepokoić? - Dobrze wiadomości warte są tego, wasza królewska moc... Dorpat wzięty. - Ooo... - To krótkie mruknięcie było jedyną

monarszą reakcją na usłyszaną wiadomość. Nie zawierało radości, lecz jedynie nieco kostycznego uznania. - Imć Chodkiewicz daje sobie jednak radę mimo ciągłych narzekań, że pozostawiamy go bez wsparcia... - dorzucił po chwili. - Bo też tak i jest. Wołnierz grozi nową konfederacją, gdyż wciąż zalegamy z żołdem. Zygmunt nie podjął jednak tego wątku, machnąwszy tylko lekceważąco dłonią, i polecił: - Czytaj, eminencjo, list. Kiedy pisany? - Dwudziestego trzeciego kwietnia. Jak zwykle hetman skąpy w słowach, kiedy mówi o sobie. Ale wielki sukces osiągnął, zważywszy na siły, jakimi tam rozporządza! - Czytajże... - powtórzył Zygmunt już z pewnym zniecierpliwieniem. Tylicki uniósł więc papier nieco bliżej oczu i rozpoczął: "...Tydzień już, jak Dorpat odebrany. Czekałem na listy Waszej Królewskiej Mości, które mnie teraz dopiero doszły. Warunki poddania się ich posyłam. Wyszli z chorągwiami zwinionymi, groty na dół, muszkiety pod pachą trzymając". "...Zostawiłem mieszczan przy ich prawach; przywilej i pieczęć księcia Karola odebrałem i Waszej Królewskiej Mości posyłam - niektórzy z nich jeszcze księciu przychylni". "...Stakelberg, mający znaczne dobra w tymże porcie, pojechał do Rewla, skąd mnie wszystko donosić będzie. W podobnymże zamiarze Engelhart Tyzenhauz, poufalec księcia, aż do Szwecji się udał. Tym zapewniłem zwrócenie dóbr. Wojsko nasze oświadczyło się, że kiedy mu do świętego Jana nie zapłacę, z pola zejdzie i w Litwie swego poszukiwać będzie". "...O żywności w Kurlandii ani słyhać. Ryżanie stu pięćdziesięciu ludziom na trzy miesiące posłali dwieście beczek mąki i sto pięćdziesiąt pości słoniny odwieźli do Kiesi, ale stamtąd jej sprowadzić nie można..." Kanclerz przerwał czytanie i spojrzał wyczekująco na króla. Ten milczał przez chwilę, wreszcie spytał: - Czy aby nie zawiedzie się na nich? - O kim wasza miłość mówi? - zdziwił się Tylicki. - No ten, Stakelberg... Bo Engelharta Tyzenhauza

znam, zbytnio ufać mu nie można. Tylicki zmarszczył na krótką chwilę brwi, zaskoczony taką reakcją królewską na otrzymane wiadomości. Opanował jednak rozdrażnienie i odezwał się z ożywieniem w głosie: - Piękną jednak wiktorię odniósł pan Chodkiewicz! I to z tak lichą garścią żołnierza! Jakem jego list przeczytał, rad byłem jak z zacnego podarku. - Ową pieczęć sudermańskiego księcia i przywilej dla Dorpatu wasza wielmożność otrzymała? - Nadeszły wraz z listem. Teraz trzeba radę zwołać dla rozstrzygnięcia spraw pozostawionych przez hetmana do naszej decyzji. Trzeba by też znaleźć pieniądze na zaspokojenie żołnierskich żądań; inaczej bez wojska ostawim hetmana. A jeśli konfederację uczynią i ruszą na Litwę, poczną się grabieże i niszczenie kraju. - Spieszyć z tym nie zamierzam. Wszelkie pochopne postanowienia licha warte. Biskup poczerwieniał na twarzy. - Z zapłatą żołdu nie należy jednak zwlekać. Nie będą walczyć o pustych żołądkach! - Pieniądzy im z pustego worka nie nasypię - odpowiedział obojętnie Zygmunt, jakby nie dostrzegając wzburzenia kanclerza. Potem takim samym tonem dorzucił: - A co z carewiczem? Ponoć też otrzymała, eminencjo, jakie wieści? - Tak, wasza miłość, i to z paru stron. Niektórzy pomawiają go o szalbierstwo, ale większość twierdzi, że w istocie jest Dymitrem. Ponoć są na to dowody naocznych świadków. - A więc jednak? Mówcie zatem. - Po wytepieniu opornych mu bojarów jak Romanowowie, Szujscy, Nagoje czy Bielscy car Borys postanowił pozbyć się syna Iwana Groźnego, carewicza Dymitra. Skaptował przeto niektórych jego dworzan, a potem wysłał do Uglicza - gdzie w monasterze przebywała caryca z synem - niejakiego Biatigorskiego z kilkoma pomocnikami, rzekomo dla powiększenia dworu carewicza. Biatigorski wszedł w konfidencję z niejaką Wołkową, dozorczynią księżęcia, z którym chował się jej własny syn Daniło. Mimo nieustającej

czujności carowej zdarzyła się sposobność. Wołkowa wysłała na dziedziniec Dymitra, by bawił się z jej synem, ten zaś, pouczony zawczasu, chwycił carewicza za gardło i przytrzymał, a zaczajeni siepacze dokończyli dzieła. Widział ten niecny czyn jakiś diak cerkiewny; przerażony pobiegł do cerkwi i uderzył w dzwon. Zbiegli się ludzie, a ujrawszy, co zaszło, wyciągnęli z ukrycia sprawców ohydneho mordy i ukamienowali. Zginęło przy tym wielu niewinnych dworzan. Gdy wieść o śmierci Dymitra dotarła do Borysa, ten zaraz rozgłosił, że carewicz sam sobie odebrał życie w paroksyzmie gorączki, co nie znalazło wszakże wiary u ludu. Carową zaś zamknął w monasterze, gdzie ponoć przebywa pod imieniem Marfy. Jej braci wygnał na Sybir, a wielu mieszkańców Uglicza, zbyt głośno dających wiadectwo prawdzie, kazał stracić. - Jeśli tak rzecz się miała, ów młodzian, który pojawił się u nas, istotnie jest chyba szalbierzem? Skąd zatem znajdują się tacy, co go biorą w obronę? - Relację o śmierci podają ci, co go zwą samozwańcem i kłamcą. Natomiast inni dają wiarę Dymitrowi, który tak rzecz opisuje: Był u jego ojca, cara Iwana, zaufany lekarz rodem z Niemiec. Pozostał potem przy carewiczu. Spiskowcy wkrótce przekonali się, że bez jego pomocy nie uzyskają dostępu do pacholęcia. Wezwał więc Godunow owego lekarza do siebie i obiecał mu wielką nagrodę za pomoc. Ten, będąc mądrym człowiekiem, pojął, że jeśli odmówi, sam życie straci, bo Borys świadka swoich zamierzeń przy życiu nie ostawi, a powierzony jego pieczy młodzian zginie także. Toteż pozornie przyjął propozycję carską, ale potem tak sprawą pokierował, że udało mu się w porę zamienić Dymitra na podobnego chłopca, niejakiego Siemaszkę, którego w łóżu carewicza ułożył, bo rzecz się miała nie za dnia, ale nocą. Tak tedy Siemiaszko oddał swe życie za carewicza. Zbrodnia dopiero rankiem wyszła na jaw, kiedy jeden z dworzan, zaszedłszy do sypialni, ujrzał zwłoki

leżące w pokrwawionej po×cieli. Zaraz też uderzono w dzwon, zbiegło się pospólstwo i rzuciło na dworską służbę. Lekarz za× wyprowadził carewicza z kryjówki i nawet nie powiadamiając matki w obawie, że tajemnicy nie zdoła dochować, uciekł na Ukrainę do kniazia M×cisławskiego, dawniej wygnanego z dworu. Do swej ×mierci ów lekarz opiekował się carewiczem kształcąc go w różnych naukach, ponoć nawet i łaciny chłopca nauczył. Potem miał carewicz przebywać w Haszczy, mie×cie należącym do rodu Haskich z Boharynia. Tam do szkół chodził, nie zdradzając, kim jest. Mówią też, że ostatnio przebywał w Inflantach, gdzie opiekowali się nim ojcowie jezuici. - A ×wiadkowie? Kim są i co zeznali? - Kiedy carewicz przebywał u Wi×niowieckich w Załużu, przyjechał tam niejaki Piotrowski, dworzanin litewskiego kanclerza, Lwa Sapiehy. Był w moskiewskiej niewoli jeszcze za czasów cara Iwana i widywał Dymitra, toteż wnet go poznał. Potem nawet przypomniał sobie, że służył mu jaki× czas również w Ugliczu. Stąd widział pewne znaki na jego ciele, które znalazł teraz u owego mężczyzny. A znaki te niemożliwe są do podrobienia, bo to brodawka na licu i jedno ramię wyższe. - Samozwaniec mógł go przekupić jakowym× znacznym podarkiem albo godno×ć przy sobie obiecać... - Swoje zeznania Piotrowski zaprzysiągł przed księciem Wi×niowieckim. Uwierzyć trudno, by znalazł się człek, co by zbawienie wieczne za doczesne dobro sprzedał, toteż książę dał wiarę ×wiadectwu i zaczął swemu go×ciowi oddawać cze×ć przynależną monarsze. - W jakim wieku jest ów młodzian? - Ma około dwudziestu paru lat, zatem wiek by się zgadzał, gdyż zamach miał miejsce w roku dziewięćdziesiątym pierwszym. - I teraz dopiero wyznał, kim jest? Czemu pierwiej tego nie uczynił? - Nie zrobiłby tego chyba i teraz, ale ciężko zachorował, więc wezwał kapłana i przy spowiedzi wyjawiał swoje pochodzenie. Kapłan,

poruszony tak ważną wie×cią, domagał się zwolnienia z tajemnicy spowiedzi, czemu Dymitr w mniemaniu, że dni swoich dożywa, nie sprzeciwił się. Jednak ozdrowiał, a kiedy ksiązę Adam, usłyszawszy o sprawie, zaczął go przesłuchiwać, dał mu pamiętnik, w którym wszystkie swoje przygody spisywał. Pokazał także złoty krzyż, wysadzany drogimi kamieniami, jaki zgodnie z obyczajem otrzymał przy chrzcie od kniazia M×cisławskiego, by w razie potrzeby mógł za×wiadczyć o prawdzie jego słów. - Książ potwierdził? - Tego jeszcze nie wiem, ale my×lę, że tak się stanie, bo inaczej Dymitr krzyża by nie pokazał. Tegoż mniemania są i ojcowie jezuici, którzy go wzięli pod opiekę. - Ojcowie jezuici, mówisz, eminencjo? - spytał z ożywieniem Zygmunt. - Sprawa zatem błaha nie jest i chyba na prawdzie polega... - Skłonili carewicza do wysłania papieżowi pisma ze słowami czci, sami natomiast starania czynią, by sprawa zbyt wcze×nie nie stała się gło×na, toteż zakazują o niej mówić. - Słusznie... Gdzie teraz przebywa? - Jaki× czas był u księcia Konstantego, ten za× posłał go do Sambora, do swego te×cia, wojewody sandomierskiego Mniszcha. Ponoć odwiedził go tam nuncjusz Rangoni, któremu ojcowie przysłali wiadomo×ć, gdyż carewicz obiecuje wiarę katolicką w moskiewskim państwie zaprowadzić. - Wobec tak wielkiej nadziei i nam nie wolno sprawy poniechać! - już z wyraźnym przejęciem rzucił Zygmunt. - Wy×lij zaraz, eminencjo, umy×lnego do kanclerza Sapiehy. On sprawy moskiewskie zna najlepiej, toteż i ta na pewno nie jest mu obca. Chciałbym wiedzieć, co o niej sądzi. Niech nie zwleka z odpowiedzią, ja za× rzecz wezmę pod rozwagę... Tylicki skłonił się bez słowa i uznając posłuchanie za zakończone, ruszył ku drzwiom. Na ganku drewnianego dworzyszczka, zwanego zwykle przez służbę pałacem, obsiadło stół kilku mężczyzn o ubiorach ×wiadczących, że wojennego byli rzemiosła. Miejsce u szczytu zajmował litewski hetman

polny pan Chodkiewicz. Był to mąż w latach czterdziestych, o twarzy otoczonej półkolistą brodą, surowym obliczu i wydatnym nosie. Oczy odziedziczone po matce, Krystynie ze Zborowskich, miały w spojrzeniu dumę i srogość, które najmniejszym rycerzom zamykały gębę chętną zwykle do sprzeciwu. Mimo że był już początek czerwca, zarzucił na ramiona delię. Wieczór bowiem już się robił i wiało mocno z pobliskiego jeziora Pejpus, a i Bałtyk nie był zbyt odległy. Po wojennych za trudach i srogiej zimie hetman nie cieszył się pełnym zdrowiem. Obok niego zajmował miejsce Teodor Lacki, pisarz polny litewski, hetmański przyjaciel. Barczyste ramiona i potężne dłonie zdradzały wielką siłę. Jakoż istotnie był to rycerz o niepospolitej mocy. Potrafił na jednej dłoni unieść zażywnego człeka, poszóstną karocę chwyciwszy za tylne koła zatrzymać w biegu, byka, ułapiwszy za rogi, powalić na ziemię. Cieszył się więc wśród rycerstwa wielką sławą. Po drugiej ręce pana Chodkiewicza siedział niemieckiego pochodzenia wojewoda inflancki, Jerzy Farensbach, ten sam, który wiernie służąc Zygmuntowi, na jego tajne polecenie wszczął wojenne kroki przeciwko Szwedom. Starszy już wiekiem, o siwym wąsie i takichże sutych brwiach, był doświadczonego i zdolnym dowódcą. Przeciwną stronę stołu obsiedli Wincenty Woyna, inturski starosta, także dowódca jeden z przedniejszych, o brodzie wygolonej, ale wąsie na modłę szwedzką ostro na końcach skreconym, oraz Paweł Niszczycki kasztelan sierpecki, strażnik w hetmańskim sztabie - człek o twarzy pełnej, rumianej, krągłym nosie i wesołym spojrzeniu jasnych oczu. Wszakże w dobroduszość jego lica zbytnio nie można było wierzyć, gdyż w istocie był przebiegły niczym lis. Jednak hetman darzył go zaufaniem i właśnie dlatego powierzył mu godność wojskowego strażnika. Ten bowiem, zgodnie ze zwyczajem, miał obowiązek nie tylko czuwania nad

porządkiem w wojsku, ale i kierowania wywiadem. Dwór, gdzie mieli kwaterę, należał do niemieckiego szlachcica, który z powodu niespokojnych czasów opuścił go wraz z rodziną. Stało w nim dwustu ludzi piechoty Fittinga jako hetmańska straż przyboczna i stu petyhorców Zachariasza dla zwiadów i służby kurierskiej; resztę żołnierzy, mało co więcej ponad tysiąc, kwaterowało w pobliskich wioskach, przeważnie po nadbrzeżnych osadach rybackich, gdyż pobliskie jeziora otaczały bujne łąki, zapewniając paszę dla koni i rybę dla żołnierzy. Słabe więc miał hetman siły, którymi wiele zdziałać nie mógł. Ograniczał jednak jak tylko się dało swobodę ruchów szwedzkich oddziałów w ich wyprawach po zaopatrzenie. Pieniądzy na żołd i inne wydatki mimo ciągłych obietnic nie otrzymywał, więc zdobywał pan Chodkiewicz fundusze różnymi sposobami: to zaciągał pożyczki u mieszczan, to sięgał i do własnej szkatuły, którą ostatnio zasilił, dając pod zastaw jedną ze swoich majątności. I wciąż daremnie słał listy do króla, bowiem na żołd tych pieniędzy w żadnym razie starczyć nie mogło. Nieomal też błagał litewskich panów o udzielenie pomocy w żołnierzu, chociażby z własnych, prywatnych chorągwi. O ile król zdawał się być głuchy na jego molestacje, to litewscy wielmoże, bardziej rozumiejąc potrzebę obrony pobliskich Inflant, wsparcie, choć szczupłe, zaczęli nadsyłać. Od Lwa Sapiehy przybył Kamieński z rotą piechoty, paru innych zapowiedziało wymarsz oddziałów, lada dzień oczekiwał również hetman starosty felińskiego, Dąbrowy. Było tego jednak wciąż za mało, by można było myśleć o poważniejszej rozprawie. Toteż trosk i zgryzot nie brakło. Teraz zaś pan strażnik otrzymał wiadomości, które skłoniły hetmana do zwołania narady. Otrzymawszy głos, pan Niszczycki oznajmił je zebrany: - Jak donieśli mi godni zaufania ludzie, Szwedzi przystąpili do wzmocnienia murów Narwy, zwłaszcza zaś



odbudowują fortyfikacje samego zamku. Pracuje tam ponoć moc ludu pod nadzorem miejscowej załogi. Tę za× powiększono, bo z powodu owej budowy musieli rozwalić czę×ć zamkowych umocnień. Oto, proszę panów braci, pierwsza wiadomo×ć, którą na życzenie pana hetmana przekazuję. O drugiej będzie jeszcze czas mówić. - To× zawiesił nam, Pawle, niby krukem przed dzioby, piękny kęs sera... - Lacki westchnął po usłyszeniu tej relacji. Pochmurne zazwyczaj oblicze pana Chodkiewicza rozpogodziło się. - Raczej to ja waćpanom ów kęs podsuwam - rzucił z błyskiem w oku. - Warto bowiem rozważyć, czy nie skorzystać z nadarzającej się okazji, by Szwedom przypomnieć, że nie oni tu panami! Toteż prosiłem was na naradę, by wspólnie pomy×leć, jak rzecz wykonać. Sił nie mamy dużo, toteż Szweda trzeba podej×ć z nagłą i nie wdając się w długą walkę. Sprawa dla piechoty, ale ta mało ruchliwa, posłać za× konnych, to o ich ruszeniu z kwater wnet Szwedzi będą wiedzieli... - A może by Narwą ludzi na tratwach spławić? - mruknął Farensbach. - Rzeka od jeziora sitowiem obrosła i przeważnie lasem płynie. Na miejsce nocą podjechać i z nagłą na brzeg wyskoczyć... - Rada przednia, mo×ci wojewodo! - Hetman z ukontentowania uderzył się po kolanie. Wszakże zaraz zatroszczył się: - Ale jak z powrotem? Pod prąd na tratwach nie popłyną... - Piechota cofnie się w bliskie lasy i tam da już sobie radę, je×liby nieprzyjaciel odważył się ją ×cigać. Szwedzi lasów jednak nie lubią, toteż pogoni można się nie bać. Lacki poparł projekt Farensbacha. - Zatem zgoda! Poprowadzą Kamiński lub Fitting! - zdecydował hetman. - Przykażę zawczasu do rzeki lasami cie×li podesłać i w odludnym miejscu tratwy szykować. Dni pięć na to wystarczy. - Na miejscu za× niech waszmo×ć Niszczycki kałauzów \* ma gotowych, by żołnierz nie pobłądził - zauważył pan Lacki. Przewodników. - Ci będą na czas. - Pan strażnik u×miechnął

się dobrodusznie, potem dorzucił: - A teraz, waszmo×ciowie, druga wiadomo×ć! Tuż przed naszą naradą wrócił zwiad donosząc, że o dwa dni drogi ciągnie ku nam husarska chorągiew... - Czyja i w wiele koni?! - żywo spytał hetman poja×niały na obliczu. - Nasi spotkali jej czaty, bo idzie ostrożnie. Chorągiew jest pana Szczęsnego Niewiarowskiego, liczy blisko stu pięćdziesięciu towarzyszy, a prowadzi ją Aleksander Lisowski, który w niej porucznikuje. - Lisowski, powiadasz waszmo×ć? Jest ich kilku braci, wszyscy wojenni ludzie, ale wła×nie Aleksander ponoć najbardziej się dotąd odznaczył... - Znam i ja ten ród - wtrącił Niszczycki. - Za Zygmunta Augusta rodzic ich, Jan herbu Jeż, przeniósł się z Pomorza na Litwę, znaczne tam mając dobra, z których główne Krokoszyn i Wołki. Aleksander rozpoczął służbę u Jana Potockiego jako towarzysz husarski i pod jego komendą walczył. Na Multanach i Wołoszczyźnie sławą rycerską się okrył, toteż do porucznikostwa doszedł. Wzory za× miał najwyższej marki, gdyż poza panem Potockim dowodzili wówczas i sam hetman wielki Zamoyski, i pan íólkiewski, a także Konstanty Wi×niowiecki, Mikołaj Stru×, Daniłowicz, Kazanowski... Przeto żołnierzem stał się znakomitym, jednak harda to dusza i do wojennej dyscypliny z trudem się nagina. - Zatem może jemu wyprawę powierzyć? - zastanowił się wojewoda. - Je×li i odwagi, i do×wiadczenia mu nie brakuje, niech pokaże, do czego zdolny. Tym bardziej że Szwedzi go nie spostrzegą, bo owej chorągwi jeszcze zapewne na oku nie mają... - Pomy×lę nad tym - mruknął Chodkiewicz. - Zważyć bowiem trzeba, że żołnierz będzie utrudzony marszem. - Niewielka to mitręga, skoro wolno idą - zauważył Lacki. - Pode×lij mu zatem waszmo×ć gońca, niech chorągiew wyprzedzi i w skok tu się stawi. Obaczmy, co powie... Na rzucone przyzwolenie drzwi, pchnięte silną ręką, otworzyły się gwałtownie i na progu stanął rycerz w husarskiej zbroi. Był

słusznego wzrostu, smukły i prosty jak pień młodego ×wierka. Napier×nik l×nił wypukło×cią o×ci, głowę krył hełm z nakarczkiem i nosalem. Obojczyk, naramienniki i karwasze dopełniały ochronnego rynsztunku. Pod nim widać było mocno przetarty żupan, nogi osłaniały luźne szarawary, tkwiące w cholewach zabłoconych, rudych butów. Twarz miał suchą, oczy kierowane na hetmana l×niły żywo×cią spojrzenia, a ciemny wąs układał się dwoma czarnymi skrzydłami pod lekko garbatym nosem o ostro zarysowanych nozdrzach. Pan Chodkiewicz odwrócił się od stołu, za którym siedział zajęty rozłożonymi papierami, i obrzucił rycerza badawczym wzrokiem. Wiedział, kogo ma przed sobą, bo przyboczny oficer zgłosił mu przybysza. Ten przemówił skłaniając się lekko: - Cze×ć i powinny pokłon składam. Czy przed wielmożnym panem hetmanem staję? - W istocie - stwierdził spokojnie Chodkiewicz. - Ja za× chyba porucznika Lisowskiego oglądam? - Tak jest, wasza wielmożno×ć. Po×pieszyłem zgodnie z otrzymanym rozkazem, chorągiew ostawując w drodze. Tę za× z polecenia mojego rotmistrza, Szczęsnego Niewiarowskiego, do waszej dyspozycji wiodę. Rotmistrza sprawy polityczne zatrzymały w Wilnie, ale i on rychło przybędzie do boku waszej wielmożno×ci. - Rad to słyszę, bo każda szabla teraz na wagę złota! A już taka jak Niewiarowskiego za dziesięć stoi. A o waćpanu też już nieco słyszałem... - Mnie za× o waszej wielmożno×ci więcej wiadomo, gdyż nie byle jaki mir macie w×ród rycerstwa. Toteż rad jestem, że pod taką ręką będę służył! Chodkiewicz ×ciągnął brwi rzucając zgryźliwie: - Wa×ć komplementa chcesz mi prawić niby dworskiej pannie? Jednak porucznik zdawał się nie dostrzegać gniewnego oblicza i tonu wypowiedzi, bo odezwał się beztrąsko: - Im też komplementów nie prawię. Zwykłem gadać, co my×lę, także wtedy, kiedy i przyganić muszę. - Tuszę, że zechcesz mnie

oszczędzić... - rzekł, tym razem już tylko ironicznie hetman, po czym dodał wracając do sedna sprawy: - Daleko wa×ci ludzie? - Dzi× wieczór powinni tu być. - Wielce zdrożeni drogą? - Wiodę chorągiew jedną z lepszych w kraju, wasza wielmożno×ć! To dla nich fraszka, tym bardziej że przez ostrożno×ć szli×my wolno. - To dobrze, bo miałbym dla was zadanie, które od razu, z marszu należy wykonać. - Rad to słyszę, bom oczekiwał, że przy waszym boku nudów nie zaznam. - Tedy odetchnij nieco, bo widzę, że× z siodła przede mną stanął. Pacholik wskaże ci kwaterę i zadba o posiłek. A zaś się staw się po rozkazy, dowiesz się, w czym sedno. Po wymianie licznych listów pomiędzy zięciem i te×ciem, czyli księciem Konstantym Wi×niowieckim a wojewodą Jerzym Mniszchem, wczesną wiosną zjechał do Sambora carewicz moskiewski Dymitr. Dużo miał z tym pan wojewoda ambarasu, bo dwór carewicza urósł już do kilkudziesięciu osób. Składał się ze służby osobistej, w×ród której był oddany, wierny zauszniak Grigorij, oraz z towarzyszących mu jezuitów, pełniących funkcje sekretarzy i nauczycieli, a także z przybocznej, choć jeszcze nielicznej straży. Prócz tego sporo było i podrzędniejszej czeladzi, jak woźnice, stajenni i inni pachołkowie. POza czeredą tej służby przebywali przy Dymitrze również wysłannicy niektórych rodów bojarskich, jak M×cisławskich czy Nagojów, by donosić swym mocodawcom o przebiegu jego sprawy w Polsce i dysponować przysyłanymi zapomogami pieniężnymi. Tak znaczna liczba przybyszów wymagała zapewnienia im kwater. Jednak samborski starosta sprostął temu zadaniu. Zaroilo się więc w mie×cie po przybyciu carewiczowskiego orszaku. Pan Mniszech pozostawił go×ciowi nieco czasu na urządzenie się w nowym miejscu, wszakże wkrótce prosił go na powitalną wieczerzę. Wzięli w niej udział i zaproszeni go×cie z sąsiedztwa, którzy zjechali wraz z małżonkami, ciekawymi

ujrzeć przyszłego władcę moskiewskiego państwa. Ucztowano więc gwarnie i wesoło do późnych nocnych godzin. Toteż było już dobrze po północy, kiedy Dymitr, nieco tylko podchmielony, bo trunków używał z umiarem, powrócił na kwaterę. Czekał tam na niego ów wierny sługa i zaufany doradca, Grigorij Pawłowicz Suchecki. Twierdził, że po ojcu, ruskim szlachcicu, posiadał dobra nadane przez Iwana Groźnego, ale ziemię zagarnęli niecni stryjowie, jego skazując na włóczęgę po świecie. Jakoż mało było pobliskich krain, gdzie nie postawiłby stopy. W Otomańskim imperium spędził sporo lat, a także i w tatarskim Chanacie, w swojej włóczędze zawędrował nawet do Persji. Był okiem i uchem swego pana Dymitra, a także jego najwierniejszym doradcą, traktując młodzieńca nieomal jak własnego syna. Niski, szczupły jak zapalka, nosił wystrzępioną kozią bródkę, mięsisty nos zwisał mu nad grubymi wargami, a nieco skośne, zielone oczy patrzyły przebiegle spod nabrzmiątych powiek. Jak twierdzili niektórzy, do diabelskiego wyglądu tylko rogów brakowało mu na łbie. Siedział w krześle z poręczami, i z głową przechyloną do tyłu spał, pochrapując przez nastroszone wąsy. Nie obcinany knot stojącej na stole świecy skwierczał z nadmiaru roztopionego wosku, który, ciekając, tworzył zastygły warkocz. Dymitr zbliżył się do pięcego i z uśmiechem na twarzy trącił go w ramię. - Ej, Grigorij, świeca wnet zgaśnie! Suchecki ocknął się i poderwał z krzesła. - Wybaczcie, wasza miłość, alem zmęczył się czekaniem. - Nie szkodzi, daj nową świecę, bo ostaniem bez światła. Dymitr był młodym mężczyzną o smukłej i zgrabnej postaci. Miał jasne włosy o rudawym odcieniu, niebieskie oczy, nieco zadarty nos i duże usta, których uśmiech, ukazując biel zębów, przysparzał twarzy wdzięku młodoci. Ubrany w polski strój nosił pod delią atłasowy, szmaragdowy żupan, zapinany na ozdobne guzy, przepasany szerokim, bogato

wyszywanym złotą nicią pasem. Rzucił delię na posłanie i skinąwszy na sługę, uniósł w górę rękę. Grigorij zrozumiał ten gest, bo przystąpił do carewicza i ująwszy koniec jego pasa zaczął go zwijać, Dymitr zaś z wolna obracał się wokół siebie. Nieskory do rozmów, jak zwykle wolał milczeć, ale sługa, ciekaw przebiegu wieczerzy, zagadnął carewicza: - Godnie was przyjęto? - Przyznać trzeba, że z wielką grzecznością. Jadło było obfite, trunków aż nadmiar, wszyscy zaś wielce mi przyjaźni... - Widzę, że w trunkach nie pofolgowaliście sobie. To i dobrze, bo w zaproszonej głowie język zbyt chętny do mielenia byle czego. Dymitr uśmiechnął się. - Wiesz, że do nich nieskory... A zresztą byłem ci posłuszny, stary... - Klepnął sługę przyjacielskim gestem po ramieniu. Suchecki skończył odwijanie pasa i odłożył go na skrzynię. Dymitr opadł na opróżnione krzesło i wyciągnął przed siebie nogi, unosząc jedną do ciągnięcia obuwia. - A jak gospodarz? Mówiliście coś o sprawie? - zapytał Suchecki. - Nie dla ludzkich ona uszu, toteż nie pora była ku temu... - Słusznie, tym bardziej że teraz okazji będzie dość. A jak panna, córka pana wojewody? Ponoć to wielkiej urody dziewczka. - Maryna? - Dymitr w milczeniu zapatrzył się przed siebie. Dopiero po chwili odezwał się mówiąc wolno, jakby odmawiał modlitwę: - Gibka niby łania, pierś ma wysoką i smukłą postać. Czarne włosy, miękkie i połyskliwe, czoło gładkie, a pod nim dwoje także czarnych brwi niby krucze skrzydła nad ciemnymi oczami. Białe ma lica, a usta czerwone, które zdają się czekać na pocałunki... - Znów zamilkł, ale zaraz dorzucił: - Nie ma takiej drugiej na świecie... Ona jedna, tylko jedna... Suchecki uśmiechnął się pod wąsem. Widzę, że bardziej niż wino zamroczyła ci myśli. - Od pierwszego wejrzenia, Grigorij... Jakem tylko ją ujrział, zdało mi się, że anioła oglądam, co na ziemię zstąpił... Ani kroku zrobić, ani słowa przemówić nie mogłem! Na

szczę×cie oprzytomniałem na czas, by należycie ją powitać. - Jak była odziana? Bogate miała szaty? - Szaty? - Dymitr jakby się ocknął. - Nie wiem... - I dodał bezradnie: - Chyba w białą suknię, ale przy tej bieli tym czarniejsze zdały się włosy, tym czerwiejsze usta... - I×cie dokładny opis! - prychnął ironicznie Grigorij. - Zatem więcej chyba w czasie tej wieczerzy oglądałe× widoków, niżli smakowałe× potraw. - Bom się od pierwszego wejrzenia zadurzył, czego ty, stary capie, pojąć nie umiesz. Wszystko teraz mam za nic krom pragnienia, by ją zdobyć! - Głupstwa gadasz! - zawołał bezceremonialnie Suchecki rozgniewany tym o×wiadczeniem. - Bacz, by× sięgając po koronę nie zaplątał się w babskie kiecki. Jeszcze by tego brakowało! - Nie poniecham jej, Grigorij... - Dymitr spojrział z wyrzutem na sługę. - Płomień mnie ogarnął i tylko ona zdolna go ugasić. - Wasza miło×ć, opamiętaj się... kamienistą i stromą masz przed sobą drogę, a dopiero na nią wstąpiłe×. Czy chcesz kolasie przysporzyć ładunku? - Krew w tobie wystygła, Grigorij, i nie możesz mnie pojąć! Zresztą nie przysporzę sobie kłopotów ubiegając się o względy tej dziewczyny. Jej rodzic już teraz jest mi przychylny, a do tego ostałby przecież te×ciem moskiewskiego cara! Tym większą więc i bardziej gorliwą okaże mi pomoc, a za nim pójda i inni polscy panowie, chociażby z pożądaniami, by i dla siebie zdobyć godno×ci na dworze swojej rodaczki. Jednak Suchecki nie dał się przekonać. - To zgoła nie takie pewne. Nie zapominajcie, wasza miło×ć, że nie wszyscy wierzą w wasze prawa. - Je×li nie wierzą, rychło to uczynią, bo prawda musi zwyciężyć! - Ale tę prawdę znamy tylko my, zatem należy jej dowie×ć. A dowody, jakimi dysponujesz, aczkolwiek mają swoją wagę, przecież nie są niezbite... Dymitr spojrział badawczo na sługę. - Czyżby× i ty we mnie wątpił? Te lata przebywania przy mnie nie dały ci pewno×ci? Suchecki spojrział z wyrzutem na carewicza. - Małom ci dał dowodów swej wierno×ci i

miłowania? Dymitr obrócił się i położył dłoń na ramieniu starego. - Wybacz mi te słowa... Wiem, że tylko na tobie mogę naprawdę polegać. - Tedy nie mówmy już o tym. Wszakże nie zmieniam mniemania, że sam sobie przysparzasz kłopotów, toteż ×ciągnij wodze żądzom. W poezji się lubujesz, blasków księżyca i ×piewu ptaszków szukasz miast jako przyszły władca mnogich ludów surowo i zimno sprawy rozsądzać. Natury nie zmienisz, to prawda, ale chociaż słuchaj rady! - Nie widzę nijakiej groźby, której ubieganie się o rękę Maryny miałyby przyczynić... - A ja tak, i to poważną. Powiniene× jako ruski car wprowadzić na tron z ruskiego rodu małżonkę. Obca, a do tego innej wiary, miast zjednać pogłębi nienawi×ć nieprzychylnych nam bojarskich rodów. I co jeszcze ważniejsze, prawosławnego duchowieństwa! A są też zapewne i tacy, co już teraz szukają w×ród swoich córek małżonki dla ciebie. Dymitr u×miechnął się beztrosko. - Z góry trzeba założyć, że nie wszystkie moje decyzje przypadną im do smaku. Ale niczego za darmo nie da się osiągnąć. Zamierzam żyć w zgodzie z bojarami, lecz i oni będą musieli pój×ć na ustępstwa, chociażby w sprawie wiary. Chyba rozumiesz, że bez katolickiego chrztu pomocy tu nie uzyskam, a więc siły zbrojnej. A bez niej niczego nie osiągnę. Skoro więc taką cenę przyjdzie mi zapłacić, polska carowa daje rękojmię dotrzymania przeze mnie obietnic. Toteż kładąc na wagę obie możliwo×ci, wła×nie carowa z polskiego rodu przeważa szalę. Bez chrztu i takiej gwarancji mogę tu tylko szukać służby na którym× z pańskich dworów, a nie sięgać po koronę! Mój wybór łączy pragnienie serca z racją stanu, temu chyba nie zaprzeczysz? Suchecki u×miechnął się pod wąsem. - Nie od dzi× wiem, że nie brak ci bystro×ci. Wywód może był i słuszny, ale i moje obawy nie są bez podstaw. - Nie mając innej, musimy i×ć tą drogą, jaka przed nami leży. Bogu jeno dziękować, że rozgorzał miłowaniem ku dziewczce, która



pomocą mi będzie w dalszych przedsięwzięciach. Oby tylko i ona okazała mi przychylność! - Zbyt silny blask ma carska korona, by mu nie ulec. O to możesz być, wasza miłość, spokojny. - Oj, Grigorij, Grigorij... - westchnął Dymitr. - Lubujesz się w kraszeniu grochu nie słoniną, ale łojem... Zawsze dostrzegasz jeno ciemne barwy. A przecież świat jest pełen tylu pięknych kolorów! Zręda jeste, stary, i tyle. - Dymitr wstał z fotela. - No, pora spocząć, bo rychło zaczniesz witać. Była już pełnia lata. Przez otwarte na taras drzwi szły do jadalnej komnaty fale gorącego powietrza. Widoczne na zewnątrz drzewa pławiły się w słońcu, nieruchome, jakby zmożone spiekotą. W komnacie panował jednak chłód, bo grube bale, z jakich stawiana była samborska siedziba pana starosty, zabezpieczały przed upałami lata i chłodami najsroższych nawet zim. U krańca długiego stołu siedziało trzech mężczyzn, spośród których poczesne miejsce zajmował otyły mąż o orlim nosie i czarnych oczach, odziany w szatę duchowną. Pelerynka na ramionach wiańczyła, że piastuje wysoką godność w kościelnej hierarchii. Istotnie, był to jego eminencja Rangoni, papieski nuncjusz, który, jako że sprawa była nader ważna, osobiście przybył do Sambora na naradę. Po jego lewej ręce siedział ojciec Pomaski z Zakonu Jezuitów, po prawej pan domu, sandomierski wojewoda i między innymi starosta samborski Jerzy Mniszech. Jego siwa broda i wąsy oraz porwana bruzdami twarz wiańczyły o podeszłym już wieku. Kończył właśnie swą wypowiedź: - ...gońcy chodzą teraz coraz częściej. W ostatnim miesiącu aż trzech ich było, dwóch za od siebie musiałem mu dać, bo także pisma wysyłał. - Wiesz, wasza wielmożność, co pisał? - Jego eminencja zerknął spod oka na wojewodę. Ten jednak nie dostrzegł w pytaniu niczego osobliwego. - Wchodzić w konfidencję z posłańcami nie uchodziło. A zresztą pieczętuje po trzykroć... - Dokąd jeżdżą? - Głównie na Ukrainę, ale także

i do Moskwy. Zapanowało chwilowe milczenie, które ponownie przerwał monsignore Rangoni, tym razem zwracając się do księdza Pomaskiego: - A co wy sądzicie o Dymitrze, ojciec Franciszku? Czy nie obawiacie się szalbierstwa, o które pomawiają go przeciwnicy? O ile wiem, jesteście z nim w konfidencji, a nawet w przyjaźni? - Tak, to prawda... Polubiłem tego młodzieńca i ufam, że jest tym, za kogo się podaje. - Czy istotnie pragnie zaprowadzić katolicką wiarę także i w moskiewskim państwie? Czy nie mamy nas tylko obietnicami dla zdobycia przychylności i pomocy? - Hm... - Ojciec Franciszek opuścił głowę i jakiś czas obracał kciukami złożonych dłoni. - Hm... - powtórzył mruknięcie, zanim zaczął mówić: - Icy obawy przed własnym duchowieństwem, które, wprowadziwszy nowy obrządek, wrogim sobie uczyni. A ma ono w moskiewskim narodzie mir wielki i posłuch. Toteż lęka się nie tyle o własne sumienie, co o skutki takiego kroku. Gdyby więc był szalbierzem, to z takimi skrupułami by się nie zdradzał, natomiast obiecywałby wszystko dla doraźnej korzyści. Wszakże jestem przekonany, że uda mi się nakłonić go do podjęcia decyzji. - Niechże tedy Bóg was wspiera w tych zabiegach! - Amen - odpowiedział z powagą ojciec Franciszek dorzucając po chwili: - Jakie jeszcze dacie polecenia, wasza eminencjo? Pytanie to nie było miłe uszom pana wojewody, bo nie zamierzał - mając własne cele na oku - wprzęgać się w nuncjuszowy rydwan. Toteż dla podkreślenia, że te polecenia nie dotyczą jego osoby, wstał od stołu, niby dla zaczerpnięcia chłodniejszego powietrza, i skierował się ku otwartym drzwiom. Miał przed sobą gąszcz parku poprzecinany wstęgami ścieżek. Korony drzew pławiły się w słońcu, ale pod ich gałęziami panował mroczny cień wróżący wytchnienie od panującego upału. Był zafrasowany, bo narastały pieniężne trudności, terminy kwarty za starostwa minęły, a on ich znów nie zapłacił, raty dzierżawne także

zalegały. Nawet krok ostateczny, jakim była sprzedaż czę×ci rodowych dóbr, nie pokrył zobowiązań. Było więc czym się frasować. Zaja×niał jednak miraż zdobycia nie tylko wielkich bogactw, ale i splendoru dostępnego mało komu, i to nie w dalekiej i mglistej przyszło×ci, lecz teraz, bo szansa była w zasięgu ręki. Coraz bardziej bowiem kuszące propozycje, obietnice i coraz wyraźniejsze aluzje jego go×cia zdradzały, że uległ on powabom Maryny, toteż córka zaczęła jasno rysować się jako główna osnowa nadziei i ×miałych planów. Starsza, Urszula, wyszła za Konstantego Wi×niowieckiego, młodszą czekał los chyba o wiele wspanialszy. Impreza była wszak niepewna i mocno hazardowa - zdawał sobie z tego sprawę. Jednak nie przychodziło jako× na my×L wojewodzie, jak bardzo naraża własne dziecko na liczne i groźne niebezpieczeństwa. Zresztą już od młodo×ci zdradzał brak skrupułów w osiaganiu korzy×ci, bo brało się przecież od dziewczek stręczonych Zygmunтови Augustowi czę×ć ich zarobków, ba, nawet wymuszało ich podział! A po ×mierci króla zagarnęło się sporo kosztowno×ci i sprzętów pod własny dach, za co miał nawet stawać przed trybunałem. Na szczę×cie księżniczka Anna, pomna pamięci brata, wstrzymała bieg sprawy. Teraz również nie zaprzętał sobie głowy ponurymi siłami, przeciw którym wysuwał osobę młodej, nie znającej życia dziewczyny - swojej własnej córki. Sam je wprawdzie dostrzegał, ale odwracał wzrok od tych groźnych obrazów w obawie, by nie ugięło się przed nimi nawet jego skostniałe sumienie. Nieprzeparta żądza zdobycia ogromnego bogactwa i zaszczytów tłumiła wszelkie skrupuły, łudząc nadzieją, że Opatrzno×ć zechce jej sprzyjać. Kiedy my×lą krążył wokół tych spraw, na jednej ze ×cieżek ujrzał Dymitra i Marynę. íywo o czym× ze sobą rozmawiając, wyłonili się spomiędzy cienia drzew na pełny blask słońca. Taras znacznie górował nad parkiem, toteż wojewoda widział ich jak na dłoni. Dymitr

mówił co× z niezwykajnym u niego ożywieniem, bo, jak wiedział wojewoda, zwykle powolny był w ruchach i w mowie. Czarnokrucze włosy Maryny okrywał kapelusik z cienkiej słomki, by uchronić lica przed wulgarno×cią opalenizny. W cieniu jego runda połyskiwały ciemne oczy, a nieco żartobliwy u×miech rozchyłał ponętne usta. Dymitr przystanął i co× dalej perorował, a gwałtowno×ć towarzyszących temu gestów dowodziła, jak przejęty jest tym, co mówi. Maryna zatrzymała się także i tak stali naprzeciw siebie - on wyraźnie podniecony własnymi słowami, ona słuchająca go z pochyloną główką, teraz już bez u×miechu na twarzy. Wojewoda obserwujący tę scenę nie miał wątpliwo×ci co do jej sensu. Silnie poruszony ujrzał w pewnej chwili, że kapelusik skłonił się jakby z aprobatą, a wówczas młodzieniec chwycił ręce dziewczyny pokrywając je pocałunkami, a po chwili objął jej kibić i przyciągnąwszy ku sobie, szukał ust. Wyrwała mu się jednak i ujawszy falbany spódnicy, pobiegła w stronę domu znikając za węglem. Młody mężczyzna stał nieruchomo, ×ledząc wzrokiem jej biegnącą postać, potem zawrócił w głąb parku. Wojewoda zgasił na twarzy u×miech rozradowania wywołany oglądaną sceną i odstąpiwszy od drzwi, zbliżył się do stołu. Monsignore Rangoni zwrócił się do niego z obja×nieniem: - Prosiłem wła×nie ojca Franciszka, by nadal miał pieczę nad waszym go×ciem i rozniecał w nim pragnienie poznania nowej wiary. Ale należy pamiętać, że zbyt natrętne namowy wywołują nie aprobatę, lecz opór. - Słuszne to ostrzeżenie, wasza eminencjo - przyznał Mniszech wracając na swoje miejsce. - Rad bym widział, mo×ci wojewodo, waszą pomoc w naszych staraniach o przyjęcie carewicza przez jego królewską mo×ć. Bez poparcia Zygmunta, a przynajmniej jego cichej zgody, wiele nie zdziałamy. - O ile mi wiadomo, król jegomo×ć przeciwny mu nie jest, bo i jemu leży na sercu nawrócenie carewicza. Ale

czy zechce to okazać? Gdyż bez wątpienia car Borys uzna poparcie samozwańca za naruszenie pokoju zawartego dopiero dwa lata temu. - Mimo to musimy uzyskać chociaż niemą zgodę na prowadzenie werbunku. Bez wojska niczego nie zdziałamy, inaczej tronu Dymitr nie zdobędzie! Trzeba też udzielić mu stałej i dostatniej zapomogi pieniężnej, gotów jestem nawet dyskretnie pokryć w połowie te koszta. W ten sposób uzależnimy Dymitra od polskiego dworu, co ułatwi kierowanie jego krokami. - Słuszne to racje, bowiem istotnie im większej udzielimy mu pomocy, tym bardziej przyczynimy się do nadania naszym radom wła×ciwej wagi. - Macie też chyba w zanadrzu, mo×ci wojewodo, jeszcze i inny sposób wiodący do tego celu. - Monsignore Rangoni u×miechnął się żartobliwie. Mniszech udał jednak, że nie dostrzega tego u×miechu, i odpowiedział obojętnie: - Innych sposobów wprawdzie nie widzę, lecz ile sił starczy, będę dążył do osiągnięcia naszego celu. Dobro bowiem ko×cioła i sprawiedliwo×ć tego wymaga, jako że Dymitr to prawowity syn Groźnego, a więc jemu tron się należy! - I ja jestem tego mniemania - z lekkim sarkazmem odparł nuncjusz, a potem już rzeczowo ciągnął dalej: - W miarę możno×ci należy sprawę trzymać w tajemnicy, bo lepiej będzie, je×li car Borys zbyt wcze×nie nie rozezna się w sytuacji. - Zamoyski jest samozwańcowi przeciwny, íólkiewski, Chodkiewicz także, a za nimi i większo×ć szlachty... - Wojewoda westchnął. - Dlatego może to i lepiej. Niech raczej moskiewski car sądzi, że Dymitr pomocy od was nie uzyska... - zakończył naradę jego eminencja. Następnego dnia po przybyciu chorągiew Lisowskiego zagłębiła się w pobliski las i, prowadzona przez ludzi pana oboźnego, pod wieczór znalazła się nad brzegiem Narwy. Rzeka miała tu blisko ćwierć mili szeroko×ci, toteż przeciwległy brzeg widniał tylko jako ciemny pas zieleni. Drzewa dochodziły niemal do samej wody, do tego

zarośniętej jeszcze pasem przybrzeżnych trzcin. Jednak w miejscu, gdzie chorągiew wyłoniła się z leśnego mroku, rozciągał się szmat łąki. Już wcześniej posłyszano ludzkie głosy i stuk siekier, a wkrótce potem rycerstwo ujrzało cięli obrabiających ostatnie chyba kłody, bo szereg gotowych tratw tkwił już wśród sitowia. Husarze posiadali z koni, które pocztowi poczęli rozkulbaczać, i puszczać na łąkę. Piechota pana Fittinga była już na miejscu i biwakowała na skraju boru. Wkrótce po zachodzie słońca żołnierze, podzieleni na grupy, zaczęli zajmować miejsca na tratwach, a te, prowadzone przez obytych z pracą flisaczę pacholek, kolejno wydostawały się z trzcin i spływały, niesione przez prąd. Noc zapadła szybko, ciemno jednak nie było, bo sierp księżycy rozpraszał nocny mrok. Rozległa powierzchnia rzeki lśniła blaskami jego światła, tym ostrzejszymi, że stała za nimi czarna ściana lasu. Kolejne płynęła cicho. Tylko od czasu do czasu plusnęło wiosło steru, kiedy sterujący pacholek poprawiał kierunek. Porozkładani na trzcinach rycerze, okryci burkami, ułożyli się do snu, a inni, skupieni w małe grupy, wiedli przyciszone rozmowy. Zestaw tratw. Te jednak wkrótce zaczęły milknąć i tratwy, niesione prądem, sunęły jedna za drugą równie ciche, jak otaczająca je noc. Wreszcie pierwsze promienie słońca zaróżowiły rozwleczone nad rzeką mgły, brać żołnierska poczęła się budzić, robiło się coraz gwarniej. Przewodnicy zapowiadali, że około południa las się skończy i wypłyną na otwartą przestrzeń, ciągnącą się już do samej Narwy. Wobec tego kapitan Fitting po naradzie z Lisowskim postanowił zawczasu opuścić tratwy i w lesie przeczekać do zmroku. Do zamku pozostawało z pół mili, więc czasu było dość na dokonanie napaści i powrotu jeszcze przed świtem. Wysłany zwiad rychło odszukał przewodników, którzy mieli doprowadzić żołnierzy w miejsce nowo wznoszonych murów, spokojnie czekano więc nocy.

Porucznik Lisowski ustawił czaty i sam przez dłuższy czas obserwował rozciągające się przed nim pole. Tu i ówdzie porastały je kępy zaro×li lub zagajniki olch, otaczających zapewne jakie× nie wyschłe bagniska czy porosły sitowiem stawek. Z prawej strony szumiał gąszcz wikliny, znacząc szerokim pasem koryto rzeki. Jedynym znakiem obecno×ci tu człowieka było kilka sztuk pasącego się gdzie× w dali bydła, nigdzie jednak nie widać było ludzkich osiedli czy nawet samotnych chałup. Należało wszakże przypuszczać, że napotkają je dalej, kiedy zbliżą się do miasta. Leżało ono, również jak i zamek, na tym samym brzegu rzeki, odpadała więc konieczno×ć przeprawy. Godziny wlokły się opieszale, wreszcie jednak słońce skryło się za drzewami. Jaki× czas jeszcze jego czerwone promienie przedzierały się przez li×cie, ale wkrótce zgasły, od rzeki zaczęło powiewać chłodem i z wolna zapadała ciemno×ć. Posterunki ×ciągnięto, padły rozkazy i ruszono w drogę. Po niedługim czasie dotarli do pierwszych budynków przedmie×cia. Tu powitały ich liczne i w×ciekle ujadania psów, ale w żadnym z u×pionych domów nie pojawiło się ×wiatło. Mieszkańcy, widać nawykli do takich psich alarmów, woleli po nocy chałup nie opuszczać. Długie węże żołnierzy posuwały się dwoma oddzielnymi szlakami, każdy bowiem z dowódców wiódł swoich ludzi inną drogą, a to dla przy×pieszenia marszu i wzajemnego zabezpieczenia. Prowadzeni pewnie przez miejscowych przewodników przemykali się sadami, omijając bardziej zwartą zabudowę. Wreszcie zamajaczyły przed nimi zarysy zamkowych umocnień z mroczną sylwetką wieży, zwanej Długim Hermanem, a potem ujrzeli fosę, z której spuszczone wodę, zapewne dla pogłębienia dna, o czym ×wiadczyły zwały wydobytej ziemi. Za fosą piętrzył się stok nasypu. Nad jego koroną widać było wierzchołki obronnych baszt, połyskujących dachówką w ×wietle księżyca. Po wale mogły

krażyć posterunki, toteż porucznik nakazał rycerzom zalec za owym ziemnym wyrobiskiem, sam za× przywołał do siebie swoich pocztowych, świrskiego i Seynę, z których ostatni był tak znakomitym strzelcem, że strzałą umiał ×ciągnąć w locie gołębia. Potem spytał przewodnika: - Co jest za tym nasypem? Czy tylko mury? - Tak. Tu wła×nie je rozwalili. Umacniają je i gdzie indziej, ale w tym miejscu przejdzie jest najszersze. - A za murami? - Zamkowe budynki. Zresztą niektóre z nich też rozebrali, by mieć dostęp do budowy. - Gdzie kwateruje załoga? - Czę×ć nie opodal, reszta nieco dalej, w zamkowym gmachu. Rajtaria kwateruje w mie×cie. - Dużo ich jest? - Dużo, panie... Zliczyć trudno, ale chyba z tysiąc, a może i więcej. - Jak gęsto stoją straże? - Kto ich tam wie... Nikogo tu nie dopuszczają. Lisowski obrócił się do przyczajonych za nim towarzyszy. - Kalinowski obejmuje komendę. świrski i Seyna pójdą ze mną! - Nie czekając na odpowiedź, podciągnął się na rękach i zaczął pełzać przez wyrobisko. Obaj pocztowi ruszyli za nim z cichym szelestem zbroi sunących po ziemi. Robili to sprawnie, zdradzając wielkie do×wiadczenie, bo ani żadna sprzączka, ani broń nie brzękła. ślizgając się po szlamowatym błocie przebyli z kolei fosę, potem przyszło drapać się po stromiznie jej przeciwległego brzegu. Wydostawszy się wreszcie na wierzch, przysiedli, by chwilę wytchnąć i u×mierzyć oddech. Ale już wkrótce ruszyli dalej. Za sobą mieli ×wiatło księżycyca padające na korony drzew i dachy domów przedmie×cia, przed sobą, nad głowami, kolejny stok, tym razem ziemnego wału, obro×nięty trawą i kępami zaró×li. Gdzie× z daleka doszło ich jakie× nawoływanie, być może okrzyki czuwającej straży. Poczęli piąć się w górę. Kiedy znaleźli się blisko korony wału, znów zalegli, by uciszyć oddechy. Lisowski pochylił się w pewnej chwili do Seyny. - Przedostań się na drugą stronę wału, ale nie wyłaż na wierzch... - szepnął mu do ucha. - Je×li posłyszysz



strażnika, posuwaj się stokiem ku niemu. Dopiero na mój głos wstawaj na nogi i dosięgnij go strzałą. Pocztowy ruszył, porucznik za<sup>x</sup>, przyłożywszy głowę do ziemi, pilnie nasłuchiwał. Niedługo trwało, a doszły go miarowe stapania. Stawały się coraz wyraźniejsze. Skinął więc na świrskiego, wskazując bez słowa kierunek, skąd ów odgłos pochodził. świrski popełznął wzdłuż zbocza. Lisowski posunął się ku koronie wału i po chwili był już na wierzchu. Kroki zbliżały się. Porucznik stanął na nogi i zawołał do nadchodzącego wartownika: - Du! Komm hier! Ośłupiały nagłym pojawieniem się intruza żołnierz stanął raptownie, unosząc jednocze<sup>x</sup>nie rusznicę. Wła<sup>x</sup>nie przykładał ją do ramienia, kiedy rozległy się dwa krótkie stuknięcia zwalnianych cięciw, jeszcze krótszy <sup>x</sup>wist strzał, i z dwoma pociskami w twarzy wartownik zwałił się na ziemię. Porucznik poskoczył ku niemu, jednak żołnierz już nie żył. Rozejrzał się dokoła, ale powierzchnia wału była pusta. Po drugiej stronie dostrzegł pod sobą rozwalony na staję mur, przed nim mocno pociętą koleinami drogę, kratownicę drewnianych rusztowań, a przy nich stosy cegieł, jakie<sup>x</sup> beczki, rzędy taczek i sterty piasku, który jasnymi plamami rysował się na tle mrocznej głębi zionącej z wyłomu murów. Zza skarpy wałowej wysunął się świrski, a wkrótce ukazał się i Seyna. - Daniel, <sup>x</sup>ciągnij naszych, będziemy zaczynać - polecił mu porucznik. - I po<sup>x</sup>piesz się, bo strażę mogą się wkrótce połapać, że jednego z nich brakuje. - Powiadomić Fittinga? - Nie wiadomo, gdzie zaległ. Jak posłyszysz, że<sup>x</sup>my rozpoczęli, przybędzie sam - rzucił beztrąsko Lisowski. Seyna już bez słowa skoczył ku skarpie. Słyszeli przez chwilę, jak się po niej zsuwa, potem zaległa cisza. Porucznik spojrzął w obie strony biegnącej po wale drogi, chwilę nasłuchiwał, wreszcie odezwał się: - Minie parę pacierzy, zanim się połapią. - Do tego czasu nasi dołączą. Lisowski w milczeniu wyciągnął się na trawie i podłożywszy

ręce pod głowę patrzył w rozgwieżdżone niebo, jakby przybył tu dla podziwiania piękna nocy, a nie stoczenia bitwy.

Wreszcie doszedł ich szmer osypującej się ziemi i szelest trawy - jedyne dźwięki, jakie zdradzały posuwanie się stu pięćdziesięciu żołnierzy. Wkrótce nad wałem ukazały się pierwsze hełmy husarzy i zaraz potem wyłoniła cała ich linia. Lisowski, który na pierwszy odgłos nadciągających zerwał się na nogi, szybko wy dobył szablę i wskazał nią widniejące mury. - Tędy droga, panowie bracia! - zawołał nie tłumiąc już głosu. - Za mną! Zaczął zsuwać się po pochyłoci wału, a chorągiew, również z dobytymi szablami w ręku, ruszyła za nim. Oni także nie zachowywali ciszy, toteż zza krenelaża gruchnął strzał, za nim drugi, a wkrótce i trzeci. Jednak husarze runęli już w czarną czeluć wyłomu. Skacząc przez rumowiska cegieł minęli linię murów i znaleźli się na obszernym dziedzińcu. Nie było na nim tak ciemno, jakby można sądzić po mrokach przejścia. Kępy drzew obrastały stojący nieco z boku, nieduży kociółek, z drugiej strony ciągnął się długi, ponury gmach, z którego wysypywali się żołnierze. Na wpół odziani, nie wszyscy z morionami na głowach i obuci, widać gwałtownie wyrwani ze snu. Wszakże uzbrojeni byli wszyscy - część dzierżyła muszkiety, inni halabardy bądź pałasze. Lisowski biegnąc na przodzie widział, jak sprawnie zaczęli formować szeregi. Husarze nie dali im jednak czasu na utworzenie obronnej linii, a tym bardziej zrobienia użytku z broni palnej. Pędem przebyli dziedziniec i zwarli się ze Szwedami. Ci, oszołomieni jeszcze nagłym alarmem i mniej od Polaków biegli we władaniu białą bronią, nie mieli w tej walce dużo szans. Toteż padali gęsto i wkrótce, parując już tylko ciosy, poczęli cofać się ku bramom gmachu, husarze jednak nie folgowali i co zapalczywsi wjechali na szwedzkich karkach do wnętrza. Lisowski, a także i stateczniejsi rycerze nie dali ponieć się gorączce walki i

skupili na majdanie. Z bramy dochodziły jeszcze pojedyncze wystrzały pistoletowe i rozlegały się krzyki walczących, ale zaczęły wnet zacichać. Coraz więcej towarzyszy, dysząc z wysiłku, wracało na plac. Lisowski zwrócił się do Idziego Kalinowskiego, swego dotychczasowego zastępcy: - Weź z dziesięciu ludzi, skoczcie na mury i baczcie, czy hurdycją nie nadciąga pomoc. W razie czego daj znać pistoletem. Działa, jeżeli najdziecie, zagrożdź! Pomoc istotnie nadeszła, ale zupełnie z innej strony. Zaledwie Kalinowski ze swoim oddziałkiem ruszył ku schodom wiodącym na stanowiska bojowe przy krenelażu, kiedy z ciemności kryjących stojące w głębi zabudowania rozległ się miarowy tupot biegnących nóg. Musiało ich być parę setek, bo grzmot biegu coraz głośniej rozlegał się w ciszy, jaka nastąpiła po zakończonej walce. W chorągwi nastąpiło poruszenie, kilku towarzyszy skoczyło w stronę, skąd szedł ten odgłos, ale zatrzymał ich rozkaz Lisowskiego. Porucznik z równości kroku ocenił, że pośpiesza ku nim dobrze wyszkolony żołnierz, nie byle służba wartownicza, z jaką dotąd mieli do czynienia. Ostrożność więc nakazywała nie wszczynać żadnej kacji bez rozeznania przeciwnika. Słuszność owej decyzji ocenili wszyscy, kiedy ujrzeli, jak zza ścian kościółka wyłania się czworobok regimentu piechoty z nastawionymi na boki pikami niby kolcami jeża, a potem sprawnie łamie szyk i rozciąga szeregi. Pomędzy pikinierami ukazali się strzelcy i ustawivszy forkiety założyli na nie muszkiety. W świetle księżyca równą linią połyskiwały moriony żołnierzy i blachy kirysów na piersiach. Nieco z boku stanął dowódca, a przy nim na długim drzewcu zwisał w bezwietrznym powietrzu sztandar bojowy oddziału. Żaden, nawet najgwałtowniejszy atak nie dawał nadziei na rozeznanie tych szeregów bez użycia ognia lub jazdy. Widząc zaustawianie muszkietów, porucznik wrzasnął na husarzy: - Ku ziemi i kryć się! Kończył to wezwanie leżąc już za stosem

cegieł, kiedy rozległ się ogłuszający grzmot i chmura dymu zakryła strzelających. Zajazgotały odbite od murów rykoszety kul, ale oddana salwa nie rozerwała na strzepy napastników, gdyż już zdążyli się skryć wśród rumowiska cegieł i zwałów piasku. Lisowski zastanawiał się, co mu teraz wypada czynić, by opanować krytyczną sytuację. Fitting nie wiadomo dlaczego dotąd się nie zjawiał i trzeba było radzić sobie samemu, by pozbawić piechotę możności chwalenia się, że musiała ratować husarzy, którzy zbyt pochopnie wdali się w walkę. Jeden z leżących obok towarzyszy wyraził tę myśl słowami: - Przycisnęli nas do ziemi, psia ich mać... Bez wsparcia piechoty nie damy rady... - Nie frasuj się wawczasu! - pocieszył go drwiąco Lisowski. - Masz waszmość radę na nich? - spytał z przekąsem zagadnięty, obserwując ciemną masę nieprzyjacielskiego oddziału. - Mam i włącznie wawci ją poruczę do wykonania, bo odstępować nie zamierzam. Weźmiesz trzydziestu ludzi i wymkniesz się tą samą drogą, którąmy tu wleźli. Podług słów przewodnika dalej także są wyrwy w murach. Przejdziesz przez najbliższą z takim wyliczeniem, by znaleźć się poza gmachem, o który oparli się muszkietrzy. Obejdiesz go i zajdziesz psubratów od tyłu. Mnie wystarczy, jak odciągniesz ich choć na pół pacierza... Zrozumiałe, mości? - Dziecko by zrozumiało - z wyraźną ulgą w głosie rzucił rycerz, już czołgając się do tyłu. Ledwie zniknął, od strony murów rozległy się pytania o porucznika i wkrótce miał przy sobie leutnanta Berga, zastępcę Fittinga. - Gdzie jesteście? - Lisowski, ukryty za stertą cegieł, obejrzał się na niego. - Dlaczego tak długo was nie było? - Stoimy z tamtej strony muru. A trwało przydługo, bo czekaliemy na waszego łącznika... - dodał z przekąsem leutnant. - Potrzebne wam było moje zaproszenie?! - prychnął w odpowiedzi Lisowski, ale zaraz powiedział już spokojnie: - Trzeba co rychlej obsadzić ten kawałek murów! - Wskazał

ręką. - Możecie skorzystać z rusztowań. Niech wasi ludzie zasiądą na hurdyce i rażą ogniem Szwedów. Resztę my dokończymy szablami. Berg mruknął potakująco i już bez słowa zawrócił. Jakoż wkrótce z ciemności zalegającej hurdyce zagrzmiały strzały i zaczęły ukazywać się ognie rusznic. W szwedzkich szeregach ten i ów z żołnierzy raptem rozkładał ręce i osuwał się na ziemię. Reszta, nie czekając na komendę, rozpoczęła chaotyczną strzelaninę ku znacznie teraz groźniejszemu przeciwnikowi. Ta wymiana strzałów trwała przez pewien czas z wyraźną przewagą napastników, którzy, górując nad Szwedem i dobrze ukryci, mieli go pod sobą nieomal bezbronno. Szwedzi z podziwu godną karnością wytrzymywali ten ogień, wciąż na nowo zwierając szeregi po powstałych ubytkach. Jaką decyzję w tej sytuacji postanowił powziąć ich dowódca, pozostało tajemnicą, doć że raptem od strony głównego gmachu zabrzmiał dziki wrzask i na tyłach uformowanej rotacji pojawił się jeden ich oddziałek. Lisowski, z niecierpliwością czekając na ten moment, wrzasnął na własną piechotę, by pofolgowała, i skoczył ze swoimi husarzami ku wznowionej bitwie. Tego dwustronnego ataku nie wytrzymał już szwedzki żołnierz. Początkowo, mając liczebną przewagę, stawiał jaki taki opór, ale kiedy i piechota, ujrawszy z murów potyczkę na białą broń, rzuciła się na dół i wsparła husarzy, podali tył. Rzucając się do ucieczki szukali ratunku w mrocznych zaułkach i przejściach między domami, gdzie zbawcza ciemność dawała ochronę. Padło ich jednak - jak naliczył leutnant Berg - ponad dwustu, a sam dowódca dostał się wraz ze sztandarem w ręce Polaków. Natomiast Kalinowski zawiadomił porucznika, że udało mu się unieszkodliwić pięć dział, jakie znalazł na tym odcinku murów. Nie należało kusić licha, bo bez wątpienia nie wszystkie szwedzkie siły wzięły udział w dotychczasowej potyczce. Lada chwila mogły nadejść inne oddziały, nawet i

rajtaria, toteż obaj dowódcy ×ciągnęli swoich żołnierzy i poleciwszy brać rannych, zarządzili natychmiastowy odwrót. Bojąc się zapewne zasadzki Szwedzi nie wysłali pogoni, więc spokojnie dotarli do lasu. Tam, czując się już bezpieczni, bez po×piechu ruszyli w drogę powrotną. W obozie pan Chodkiewicz wysłuchał sprawozdania obu oficerów, po czym odprawił Lisowskiego, ale zatrzymał Fittinga na dalszą rozmowę. Kiedy zostali sami, zagadnął kapitana: - No, a teraz co o nim powiesz? - Zgodnie z rozkazem dałem mu można×ć swobodnego działania. Uważam, że spisał się dobrze, lepiej, niż sądziłem... - Wszakże z tego, co mi gadał, nie widać, by miał należny respekt dla wojennej dyscypliny. Na własną rękę wszczął walkę, mimo że cię wyznaczył dowódcą wyprawy. Ja takich kawalerów nie lubię! - parsknął gniewnie hetman. - Tak, to prawda... - przyznał Fitting, ale potem dorzucił, jak zwykle cedząc słowa: - Zważ jednak, że dałem mu ku temu sposobno×ć, nie nakazując czekania na rozkazy. Sam że× to polecił, a teraz potępiasz za zbytnią zapalczywo×ć. Młody to jeszcze dowódca, lecz odwagi mu nie brak, i przyznać trzeba, że godzien stanowiska, bo w bitwie głowy nie traci. - Gadaj swoje, a ja wiem swoje... - burknął hetman, ale widać było, że słowa druha wziął pod rozwagę. Carewicz Dymitr, wracając z polowania w towarzystwie młodzieńców z dworów obu książąt Wi×niowieckich, a także sandomierskiego wojewody, w pewnej chwili obrócił się w siodle i zawołał: - Bywajcie, panowie, i wybaczcie, że was opuszczę, ale wła×nie mijamy plebanię księdza Pomaskiego. Chcę zajrzeć do wielebnego proboszcza, bom z dawna go nie widział. Skinąwszy na przybocznego pacholika, skręcił w boczną ulicę, przy której widać było w×ród drzew obej×cie plebanii. Istotnej przyczyny tych odwiedzin Dymitr jednak nie wyjawiał. Był nią li×cik otrzymany poprzedniego dnia w staro×ciańskim dworze, który, choć krótki, ale rozradował mu

serce, brzmiał bowiem: "Jutro po południu będę u wielbnego proboszcza. Je×li wola, możesz mnie, Wasza Wysoko×ć, tam spotkać". Pod tymi słowami widniała jedna duża i mocno nakre×lona litera "M". Z rado×cią w sercu carewicz opuszczał więc kompanię. Z niecierpliwym po×piechem spiał ostrogami konia i skoczył w boczną uliczkę, kryjąc się za obłokiem kurzu. Mało miał dotąd możliwo×ci pozostawiania z ukochaną w intymnym sam na sam, strzegła ją bowiem, niby srogi smok, leciwa pani Apolonia, przydana przez pana wojewodę jako opiekunka córki. Była rezydentką na łaskawym chlebie, toteż poruczone obowiązki spełniała z trwożliwą sumiennno×cią, bojąc się narazić chlebodawcy. W rzeczywiście×ci może by pan wojewoda i nie miał za złe bardziej intymnych spotkań młodych, gdyby nie przekonanie, że im skarb jest trudniejszy do zdobycia, tym więcej się go ceni. Carewicz zdarł wierzchowca przed furta i pozostawił go pieczy pachółka, sam za× ruszył w stronę plebanii. Już z daleka ujrzał obok czarnej sylwetki proboszcza jasną plamę sukni dziewczęcej. Siedzieli na werandzie krytej daszkiem i o czym× wiedli rozmowę. Kiedy zbliżył się ku nim, wielbny, wstając z ławy, zawołał: - Kogóż to widzę! Witaj, wasza wysoko×ć! W porę przybywasz, bo nie ja, leciwy kapłan, winienem tej tu osóbcie towarzystwem służyć. Chodźże i zastąp mnie godnie. Dymitr złożył na jego ramieniu pocałunek i z kolei głęboko skłonił się pannie. Ta skineła mu główką z nagłym rumieńcem na twarzy, proboszcz za× pogodnie ciągnął dalej. - Tym bardziej, że muszę was na czas jaki× opu×cić, bo czeka na mnie ko×cielny. Tedy pogadajcie sobie, dopóki nie wrócę. Kiedy zostali sami, Dymitr zwrócił się do Maryny siedzącej bez ruchu, jakby w napiętym oczekiwaniu na jego słowa: - Sługam waćpanny i niewolnik, przeto wdzięczno×ć serce mi przepaja, że× raczyła te kilka słów do mnie napisać. Tak mnie uradowały, zem ze szczę×cia długo w

noc usnąć nie mógł. Maryna uniosła powieki. Jej wielkie, ciemne oczy patrzyły jaki× czas na młodego mężczyznę ze zniewalającym czarem, ale i z dociekliwo×cią, jakby chciała zgłębić jego my×li. - Miałam do×ć tej babskiej opieki! - prychnęła wyginając usta, z czym była równie urocza jak i z owym badawczym spojrzeniem. - Wyczerpała wreszcie moja cierpliwo×ć swoim natręctwem. - Odważyła× się waćpanna sama wyj×ć na ulicę - rzucił Dymitr. - Dzięki ci za to! - Nie dbam o ludzkie gadanie. A zresztą to zaledwie dwa pacierze drogi. Wszakże dla przystojno×ci wzięłam pacholika, alem go odprawiła w nadziei, że samą mnie waćpan nie ostawisz. - Za największe szczę×cie to uznaję! Waćpanna nie widzisz, że goreję z miłowania ku tobie? Maryna przechyliła na bok główkę i u×miechnęła się przekornie. - Wszakże, wasza carska wysoko×ć, musisz być na ten ogień odporny, bo w popiół się nie obracasz... - Czyżby× tego chciała? Mam prochem lec u twych stóp? Wiary nie daję, by serce twe było tak twarde! Ale chociaż o swoim miłowaniu wciąż ci powtarzam, ty× w zamian ni słowa mi nie rzekła. Powiedz zatem teraz, ten jeden raz, miłujesz że mnie choć trochę, choć na tyle, by× rada była słuchać moich wyznań? Znów zagłębiła spojrzenie w jego rozplómiionych oczach. - Może doczekasz się i tego... - powiedziała cicho, z nagłym rumieńcem na twarzy. Usłyszawszy te słowa chwycił jej dłoń i schyliwszy się, przylgnął do niej ustami. Maryna szarpnęła rękę wstrzą×nięta tą pieszczotą, ale nie dał jej sobie odebrać, przytrzymując dłoń tym mocniej, i tym mocniej wpijając w nią wargi. - Przestań... przestań wa×ć... - wyszeptała cała w pasach. Uniósł głowę, lecz tylko po to, by znów spojrzeć w jej oczy. - Pani moja... carycą mi będziesz, a ja twoim rabem i sługą... W perły i diamenty cię odzieję, sto sług dywany będą słać pod twoje stopy! - Nie tym mnie skłaniaj ku sobie. - Wszystko ci ofiaruję, co moje i co zdobędę, czegoż więc



jeszcze by× żądała? - Tylko twego serca. Starczy mi za wszystkie bogactwa... - Jakże ci mogę dawać, co twoje?! - nieomal z dziecięcą naiwno×cią zapytał Dymitr. Dalsze wynurzenia przerwał im odgłos zbliżających się kroków proboszcza. Odsunęli się przeto od siebie, usiłując jak najszybciej opanować wzburzenie. Był to jednak daremny wysiłek, bo staremu kapłanowi wystarczyło jedno spojrzenie na ich twarze, by odgadnąć, że o pogodzie nie mówili. U×miechnął się więc tylko i nadając głosowi zatroskane brzmienie, rzekł przepraszająco: - Wybaczcie mi, żem zamarudził, ale ten mój ko×cielny to gaduła jakich mało... Oboje zakłopotani i jeszcze pod wrażeniem przeżytych wzruszeń woleli odej×ć, więc zaczęli się żegnać. Aczkolwiek ksiądz Pomaski istotnie lubił carewicza i sprzyjał jego zamiarom, to jednak jako człowiek do×wiadczony wiedział, że równie ważne są dobre stosunki z takim wielmożą jak Mniszech. Utrzymanie tych dobrych stosunków wymagało złożenia wyja×nień w tej nieco dwuznacznej sytuacji, jaką stworzyła przedsiębiorcza dziewczyna. Zatem jeszcze tego wieczoru pleban wybrał się do jego wielmożno×ci, by zasięgnąć języka co do stanu spraw, które im obu jednako leżały na sercu, a jednocze×nie pogawędzić i o owej popołudniowej wizycie jego córki. Swoją relację zakończył usprawiedliwieniem: - Zresztą to prawy młodzieniec i godzien zaufania... - Akurat! - mruknął ironicznie wojewoda. - To już bardziej ufałbym wilkowi dając mu w dozór owieczkę! Zresztą nie tylko jego mam na my×li. Maryna krew ma gorącą i rogatą duszę, co zechce, zwykła czynić, nawet na moją wolę zbytnio nie patrząc. Chłopakiem winna się urodzić, nie dziewczką! - Ale też i dumy Bóg jej nie poskapił. A że przypadli sobie do serca, to i dobrze, bo wiele może niewiasta, je×li ma miłującego męża. I dobrego doradcę - dorzucił ksiądz ze znaczącym naciskiem. - Tak, to prawda... - westchnął

wojewoda już wyzbyty zło×ci. - Widzi mi się, że afekt ku niej żywi, a ona chyba jest mu wzajemna. - Czy nie ulega jednak bardziej żądzy bogactwa i splendoru? Czy jeste×, wasza wielmożno×ć, pewny, że dziewczka idzie tylko za popędem serca, a nie skuszona blaskiem złota, przepychu i władzy? Je×li Dymitr byłby tylko równy jej urodzeniem i majątkiem, czy także byłaby mu przychylna? - Jakie to ma znaczenie i po co szukać odpowiedzi na takie pytania? A je×li nawet tak jest, je×li uległa pragnieniu panowania, czując, że jest tego godna? Daj, ojcze, spokój takim dociekaniom, bo do niczego krom jałowej dysputy nie prowadzą. Po wyj×ciu proboszcza kazał zaraz wołać Marynę, a kiedy zjawiała się i z pytającym wyrazem twarzy zatrzymała przy drzwiach, obrócił się w fotelu i skinął na nią. - Chodź no, waćpanna, mam z tobą do pogadania... Stała przed nim i nie spuszczała wzroku przed surowym spojrzeniem ojcowskich oczu, przeciwnie, rysy jej twarzy jakby zaostrzyły się, przybierając wyraz zdeterminowanej stanowczo×ci. Mniszech zbyt dobrze znał córkę, by nie wiedzieć, co to znaczy. Przeczesał więc tylko palcami białą brodę i odezwał się obojętnie: - Była× po południu u proboszcza? - Byłam, ojcze - odpowiedziała zaskoczona jego spokojem, bo spodziewała się besztania i napomnień. - Czemu× nie wzięła Apolonii! Nie przystoi twemu stanowi chodzić pieszo ulicami, a już tym bardziej z byle pachółkiem. - Mam do×ć Apolonii! We wszystkim widzi grzech, nawet kiedy gołębie latają parami. - Po co× tam poszła? Dziewczyna opu×ciła głowę i powiedziała cicho: - Wiecie i beze mnie... - Ano, wiem. A nie wstyd ci, że ty, Mniszchówna, za chłopem latasz? - Tak ja za nim latam, jak on za mną! - rzuciła gwałtownie. - Miłujemy się i nie mierzym, wiele kto do kogo zrobił kroków. - Zmień no ton, dzierlatko, jak z rodzicem gadasz! - już ostro upomniał ją wojewoda. Sapnął przy tym, ale widać gniew opanował, bo

znów spytał spokojnie: - O czym gadali×cie? - O... o... - Maryna znów zarumieniała się, tym razem jeszcze mocniej, wreszcie powiedziała z ociąganiem: - Mówił o miłowaniu, obiecywał bogactwa i carski tron... - Taaak...? A ty co× na to rzekła? - íe nie dbam ani o bogactwa, ani o koronę, jeno ma mnie miłować, nic więcej! - Zaiste nie dbasz? Nie chcesz zasią×ć na carskim tronie? Zmrużył nieco powieki i badawczo patrzył w twarz córki. Maryna uniosła dumnie głowę i spojrzała ojcu w oczy. - Chcę i zasiądem! Ale chcę takó¿, aby mnie miłował. - Może× ty i prawa, że o jego serce głównie zabiegasz... Je×li je zdobędziesz, reszta przyjdzie sama. Tedy dobrze× mu odpowiedziała. Uderzył dłonią w poręcz fotela, jakby dla dodania wagi swojej opinii, i dodał: - A co do Apolonii, to odejmę jej pieczę nad tobą, skoro ci tak dolega, ale mi zaprzysięgnij, że o swej i naszego domu godno×ci nie zapomnisz! - Przysięgam ci, ojcze. - Tedy już idź, dziecko... - Mniszech podał córce dłoń do ucałowania. Zaborów, majątno×ć niegdy× królewska, nadał jeszcze król Zygmunt Stary Włódkowi Jedlinie herbu Drzewica za zasługi wojenne, zwłaszcza przy zdobywaniu Smoleńska. Do dworu, położonego nad rzeczką Krasną w pobliżu Gór świętokrzyskich w ziemi kieleckiej, należały dwie wsie, poza orną ziemią szmat starego lasu, zasobnego w dziczyznę, i rozległe pastwiska. Pozwalały one na hodowlę koni, tote¿ stadnina zaborowska znana była w okolicy i niejedyn husarski rumak stamtąd pochodził. Zwłaszcza stała się słynna za czasów niedawno zmarłego Radosława Jedliny, choć raczej było to zasługą jego krewniaka i towarzysza wojennych wypraw Onufrego Odmetowicza, zagorzałego miło×nika koni i dobrze znającego się na rzeczy hodowcy. Osiadł on na zmierzch swoich lat w Zaborowie, a kiedy wkrótce po ×mierci małżonki zmarł i Radosław, Onufry objął opiekę nad majątno×cią i sierotą, małym Nikodemem, jedynym

potomkiem rodu i dziedzicem Zaborowa. Nikodem naukę pobierał w Kielcach u ojców jezuitów, gdzie w Maiorum uczył się gramatyki, syntaktyki, poetyki i wreszcie na filozofii naukę zakończył, wielce rad, że wreszcie wraca pod dach rodzinny. Czasy nie były spokojne, wielki hetman Zamoyski u×mierzał Multany, a kiedy zabrakło "Pioruna" Radziwiłła, ówczesnego litewskiego hetmana, walczył i w Inflantach. Wie×ci o tych zmaganiach i wyprawach dochodziły do spokojnej ziemi kieleckiej, wabiąc dochodzącego już drugiego dziesiątka lat młodzieńca. Nastawał więc na opiekuna, by i jemu zezwolił ruszyć w pole. Jednak pan Onufry wzbraniał się przed taką decyzją, choć dobrze rozumiał owo pragnienie, bo i on w tym wieku już rozpoczynał wojaczkę. Wszakże uważał, że Nikodem nadal jeszcze powinien uprawiać się w wojennym rzemio×le, zanim powierzy ręce i oku własną skórę. A troszczyć się było o kogo, gdyż w razie nieszczę×cia na tym młodzieńcu skończyłby się ród Jedlinów. Toteż Onufry baczył, aby młodzieniec należycie ćwiczył władanie bronią i prowadzenie wierzchowca, od czego wielekroć zależało w bitwie życie żołnierza. Pan Onufry musiał jednakowoż ustąpić, kiedy do Zaborowa przybył krewniak Nikodema, o dwa lata od niego starszy Roman Rymsza. Towarzyszyli mu pocztowy i pacholik wiodący zapasowego rumaka. Jak się okazało, ciągnęli do Brahinia, do księcia Konstantego Wi×niowieckiego, który zbierał rycerstwo na wyprawę do moskiewskiego państwa, by wesprzeć prawowitego dziedzica carskiego tronu, Dymitra, syna Iwana Groźnego. Pojawił się on ponoć w Polsce i przebywa w Samborze, u tamtejszego starosty, wojewody sandomierskiego Jerzego Mniszcha. Wie×ci o tym dotarły już do Zaborowa, bo z sąsiednich dworów, zwłaszcza co młodsi, żądni przygód młodzieńcy ruszali w ×wiat. Tym razem nie zdołał więc pan Onufry zatrzymać swego wychowanka. Zbroja rodzica, już parokroć

przez niego przymierzana, pasowała i do jego postaci, broni ani innego wojennego wyposażenia w domu nie brakło, toteż pozostawało tylko wybrać wierzchowca i przydzielić młodemu wojakowi pachołka do ich obrządzania. Wybór pana Onufrego padł przede wszystkim na mocną i szybką klacz Anulkę, dobrze wyszkoloną do bitwy, a do tego przyuczoną do brania w niej udziału w sposób, który pan Onufry zdradził sekretnie krewniakowi. Nastął więc majowy dzień 1604 roku, w którym mały poczet opuścił Zaborów i ruszył na południe. Rymsza postanowił najpierw dotrzeć do Sambora, bo, jak dowiedział się po drodze, tam obecnie najczęściej przebywał książę Konstanty. Do książęcego za dworu należał starszy brat Rymszy, który obiecywał uzyskać zgodę na przyjęcie młodego towarzysza husarskiego do przybocznej chorągwi, o czym decydował sam książę. Drogę odbywali spokojnie, zbytnio się nie śpiesząc, gdyż rzadko korzystali z zajazdów - nie tylko ze względu na koszty z tym związane, bo gospodarze kazali sobie dobrze płacić za usługi. Woleli przeto zajeżdżać do dworów, wiedząc, że tam zawsze będą chętnie goszczeni. W zwyczaju bowiem było zostawiać u stołu parę wolnych miejsc z nakryciami dla niespodziewanych gości. Dzień za, w którym ich nie stało, wydawał się domownikom pusty i nudny. Odwiedzano się więc chętnie i często, toteż panie domów dbały, by ich śpiżarnie były na to przygotowane. Pełno w nich było wszelakich wędlin, szynek, półgęsków i innych specjałów, nie brakło też różnych trunków, nalewek, doprawionych wódek, a także piwa czy miodu własnego sycenia. Osobną częścią, i to niepolednią tych śpiżarni, zajmowały domowe apteczki z przeróżnymi maciami, balsamami, wywarami i suszonymi ziołami na różne przypadłości. Niektóre gospodynie były prawdziwymi znawczyniami w rozeznawaniu ludzkich boleści, przyrządzaniu i aplikowaniu driakiew i lekarstw tak własnym

ludziom, jak i z okolicznych wsi. Zdarzało się więc, że i po kilka chłopskich wózków stało na majdanie, bo ich woźnice szukali pomocy we dworze. Podróż zatem nie była ×pieszna i nie pozbawiona rozrywek, zwłaszcza je×li we dworze były panny wzdychające po alkierzykach do swych patronek o rychłe nastęrczenie dzielnego a czułego młodzieńca. Wówczas zdarzało się, że podejmowani z wyjątkową go×cinno×cią przesiadywali dłużej. Wszakże przyznać trzeba, że choć nasi podróżni radzi byli płochym, niewie×cim szczebiotom, nie dawali się uwikłać w dłuższy pobyt, bo bardziej od żeniaczki pociągała ich rychła wojenna przygoda. Jednak zdarzył się im nocleg dalece różniący się od tych, do jakich dotąd nawykli. Minęli już Przemy×l i nadal ciągnęli ku południowi, do bliskiego już Sambora. Po drodze przyszło im przeprowić się przez Błozewkę. Rzeczka nie była szeroka, bo uj×cie brała z pobliskich Beskidów, ale głęboka, a zwłaszcza bystra, toteż do przeprowy trudna. Rozpytywali więc o nią w jednej ze wsi położonej w pobliżu, gdzie dowiedzieli się, że brodu nigdzie w pobliżu nie znajdują. - To jak w razie potrzeby dostajecie się na drugi brzeg? - spytał zaskoczony Nikodem. - Jest prom... Na linie wiedziony... - obja×nił go chłop, u którego zasięgali języka. - Czemu od razu tak nie gadasz? Gdzie go znajdziemy? - W Pieczarach. Tamtejsza dziedziczka pobiera za przewóz opłatę, bo prom do niej należy... - To i nocleg będzie u niej chyba! - ucieszył się Nikodem. - Jako że pora już chyba na przeprowę za późna. Chłop zerknął na niego spod oka i pokręcił głową. - Lepiej noclegu, wielmożny panie, niechajcie - mruknał. - Choć może go wam i nie odmówi... - Czemuż to mamy niechać? - wtrącił się do rozmowy Rymsza, zaciekawiony tym ostrzeżeniem. Ale chłop nie był skory do dalszych wyja×nień. - Nie warto gadać... Uczyńcie, jak wasza wola. - Skoro× już udzielił porady, podaj i przyczynę... Masz tu skojca. - Rymsza wsunął chłopu do ręki monetę. Ten znów

obrzucił ich spojrzeniem, chwilę milczał, wreszcie widać jednak zdecydował się, bo chociaż z ociąganiem, ale rzekł: - Ponoć latającą na łopacie ją widziano... Ziola różne także zna i ludziom sprzedaje, a i wróżbami się trudni... Takóż... Urwał, wyraźnie wystraszony tym, co chciał jeszcze powiedzieć. - Gadajże! - ponaglił go Rymsza. - Czego się boisz? To, co powiesz, przy nas ostanie. - Złe moce tam goszczą, toteż lepiej nocleg w lesie odbyć niż tam na noc ostawać... - Ejże! - prychnął lekceważąco Nikodem. - Nie tacy×my strachliwi! - Złego nie pokonacie, panie. - Cóż on nam może uczynić? Krzyżyki na piersiach nosim, te na niego starczą. - Nie wy jedni je nosicie, a przecież bywali tacy, co we dworze na nocleg ostawali, ale rankiem nikt nie widział, by który odjechał... - Czy aby złego to вина? - Rymsza u×miechnął się kpiąco. - Może nocleg był kiepski, więc jeszcze przed ×witem ruszali w dalszą drogę? Chłop wzruszył ramionami. - Ja tam nie wiem... Kazali×cie, tom powiedział. Rozpytawszy o drogę do dworu, ruszyli końmi. Nikodem milczał przez jaki× czas, zanim odezwał się: - Ciekawe będzie obejrzeć ten dwór i ową dziedziczkę. - I ja o tym samym my×lałem - wyznał jego towarzysz. - A przyjdzie na pewno do tego, bo innej przeprawy tu nie ma, a prąd jeszcze za bystry, by wplaw rzekę przebywać. - Chociażby przeprawa i była, to na ową niewiastę, co na łopacie lata, warto popatrzeć! - powiedział ze ×miechem Nikodem. - Słyszałem, że wiedźmami je zwa i one wła×nie owe latania praktykują, alem jeszcze takiej nie widział. Choć słyszałem, że chłopci o nich mówią: księżyc ×wieci, wiedźma leci... - I jam to słyszał. A także, że lecąc ponoć woła: las nie las, wie× nie wie×, a ty, biesie, nie× mnie, nie×! - uzupełnił ×miejąc się Rymsza. Obaj trącili konie, przyspieszając ich bieg. Gdy wjeżdżali na obro×nięty starymi drzewami majdan, od razu przekonali się, sądząc jedynie po gospodarskim obej×ciu, że ostrzeżenia chłopca nie były

pozbawione podstaw. Rozejrzawszy się po budynkach, wszędzie dostrzegali pustkę i zaniedbanie. Płoty były przegniłe i czę×ciowo porozwalane. Jedno ze skrzydeł wrót stajni było widać nie zawierane, bo wisiało na zawiasie. Inne budynki stare, o zapadłych dachach, z drzwiami zabitymi deskami, zdradzały, że zaprzestano ich używać. Nigdzie nie dostrzegli żadnego ruchu, obej×cie wyglądało jak wymarłe, jedynie para wychudłych kur, snadź nie karmionych, skrętnie szukała sobie pożywienia. Ich obecno×ć dowodziła jednak, że kto× przecież musiał tu przebywać. Zawołali raz i drugi, lecz nie odniosło to skutku. Pozostawiając je pieczy pachółków, ruszyli ku domowi. I on nie poprawił wrażenia, jakie wywarło na nich gospodarskie obej×cie. Skruszały komin szczyrzył brudną czerwienią osmalone dymem cegły. W dachu czerniały szczeliny po byle jak zabitych deskami dziurach, większo×ć okien zakrywały okiennice. Tylko dwa spozierały na nich małymi szybkami z grubego szkła, które dowodziły dawnej zamożno×ci wła×ciciela. Dach ganku podpierały grube, drewniane słupy, bure ze staro×ci i miejscami poro×nięte mchem. Długi czas musieli stukać do drzwi, zanim usłyszeli nie×pieszne stapania. Wnet rozległ się zgrzyt odsuwane go rygla i na progu pojawiła się dziewczka odziana w wystrzepioną spódnice i dziurawą koszulę. Spojrzenie, jakim ich obrzuciła, było chytre, a głos ochrypły, kiedy spytała burkliwie: - A czego? - Do pani wła×cicielki tej majątno×ci - obja×nił Rymsza. - Ponoć ma na rzeczce przeprawę? - A ma... Nie zwracając już na przybyłych uwagi, zostawiła ich przed otwartymi drzwiami i obróciła się do sieni wołając w głąb domu: - Jacy× dwaj! Chca się przeprawiać! W odpowiedzi usłyszeli starczy, piskliwy głos: - Prowadź, niech wejda! Nie czekając na dziewczynę weszli do sieni i skierowali się ku drzwiom, zza których doszło ich wezwanie. Znaleźli się w mrocznej komnacie,



urządzonej jednak nadspodziewanie dostatnio. Widać jednak było, że meble, choć rzeźbione, były leciwe, opony na ×cianach mocno już wyblakłe, a dywan za×ciełający podłogę tak przetarty, że miejscami raził oko plamami osnowy. Po×rodku stał stół z kilku krzesłami o wysokich oparciach, drugi, mniejszy, pomiędzy oknami, a na nim pełno było słoików, flaszek, jakich× misek i miarek. Na kominku nie palił się ogień, bo pora zresztą nie była już po temu, a mimo to stał przed nim fotel wyłożony kocami i poduszkami. W nikłym ×wietle uchodzącego już dnia, a do tego przygaszonym zielonkawymi szybkami okien, dostrzegli drobną postać siedzącej staruszki. Ręka, którą uniosła powitalnym gestem na widok wchodzących, zdawała się mieć tylko ko×ci zaledwie obciągnięte skórą. - Podejdźcie waszmo×ciowie, niech wam się przyjrzę... Stare oczy już słabe, a i niezbyt tu widno... Zbliżyli się do fotela, składając ukłony należne wiekowi i gospodyni. Ujrzeni starą i pomarszczoną twarz pod ciemnym czepcem. Okalały go wystające kosmyki siwych włosów, istotnie upodabniając staruchę do wiedźmy. Jedyne ciemne oczy, lustrujące ich badawczym, pełnym połysków spojrzeniem, zdawały się nie należeć do tej starczej postaci. Chude ramiona okrywała chusta, którą przytrzymywała jedną ręką. - Co×cie za jedni! - Głos miała skrzekliwy i cienki, podobny do pisku nie oliwionych zawiasów. Obaj młodzi rycerze podali, jak się zwą i skąd pochodzą, dorzucając: - Ciągniemy w pole i droga nam tędy wypadła, a jak słyszeli×my, tylko u jejmo×ci dobrodziejki przeprawę możemy odbyć. - A u mnie, u mnie... - potwierdził skrzekliwy głos. - Wszakże darmo tego nie czynię... Opłatę pobieram, co prawda godziwą, całkiem godziwą! Choć sporo przychodzi mi płacić temu niegodziwcowi Nikole, a i pomocnikowi także... Prąd tu bowiem idzie bystry, po prawdzie więc mocno muszą nateżyć się przy linie. - Jakież zatem czeka nas ekspens? -

raczej przez grzeczność niż z ciekawości spytał Rymsza, wiedząc dobrze, wiele przewoźnicy pobierają za swe usługi. Jednak kwota, którą usłyszał, była w dwójnasób wysoka. - Aż tyle? - nie omieszkał więc wyrazić zdumienia. - A tyle, waszmość, tyle! - nieoczekiwanie zaperzyła się stara. - Majątku tu nie zbijam, a żyć muszę. - Toć dwór, choć zapuszczony, ale przecież ziemię chyba ma? Czy nic ona nie daje? - Chłopom grunta wypuściłam, ci za starą oszukują i należności nie dają. Z głodu bym pomarła, gdybym na tych oszukańców liczyła! A za nocleg także z waszmościów opłatę pobiorę, bo już wieczór i rankiem dopiero Nikola was przewiezie. Nocleg i strawa, a byle czego nie daję, także nie za darmo. - A wieleż za to nam przyjdzie zapłacić? Podana kwota była równa cenie noclegu w najdroższej oberży w mieście, toteż tym razem Rymsza rzekł już z rozdrażnieniem: - Toć chyba kapłona i dzban wina dostaniem na wieczerzę, skoro tyle mamy płacić! - Kapłonem ani winem nie zwykłam ugaszczać, ale was nie struję. A i izbę dostatnią, i pościel wygodną także dostaniecie. Jenó pieniądze chcę mieć od razu, teraz! Rymsza spojrzawszy pytająco na Nikodema, a że ten, nie widząc wyjścia, skinął głową, więc sięgnął po sakiewkę i wyłożył na stół pieniądze. Stara wyciągnęła drżącą z pożądliwości rękę i zakrzywionymi niczym szpony palcami ciągnęła je ku sobie. Przeliczyła je raz, potem, jakby niepewna, czy nie popełniła omyłki, powtórnie, wreszcie, westchnawszy jak gdyby z żalu, że pieniędzy jest tak mało, sięgnęła za stanik, wyciągnęła kawałek mocno już przybrudzonego płótna i zawinęła węń monety. Kiedy się z tym uporała, wrzasnęła przenikliwie: - Hej, Nikola... Nikola! - powtórzyła po chwili jeszcze cieńszym piskiem. Rozległy się skądś ciężkie, wolne stapania i zrzędlawy głos odpowiedział: - Toć idę... Po chwili w bocznych drzwiach stanął niewysoki, nieco przygarbiony chłop o potężnych barach i groźnej

twarzy, przeciętej blizną od skroni do ust. Nad niskim czołem sterczały mu krzaczaste brwi, a pod nimi połyskiwały małe, ledwie widoczne oczka. Zatrzymał się na progu i najpierw zlustrował obu młodzieńców badawczym wzrokiem, a potem zwrócił się do starej kobiety: - Co jejmo×ć rozkaże? - Rankiem przeprowadzisz waszmo×ciów przez Błóżewkę. A teraz każ przygotować go×cinną izbę... A i wieczerzę... - dorzuciła z naciskiem. - Marfie? - A komu, gamoniu? - pisnęła starucha. - Niech uchę nam zrobi, a grzybków doda! - Ja×ko ma pomóc przy linie? - My×lę, że nie będzie potrzebny... - burknęła obojętnie gospodyni, obrzucając swych go×ci pobieżnym spojrzeniem. - Sam sobie poradzisz. Sługa już bez słowa obrócił się do wyj×cia. Kiedy młodzieńcy sprawdzili, gdzie umieszczono pachółków oraz wierzchowce, i wrócili do izby, ×ciemniało się już zupełnie. Paliła się jedna łojowa ×wieczka, przyklejona byle jak do zakrzepłego na spodku tłuszczu. Marfa rozstawiała wła×nie miski, więc przysiedli do stołu, za którym już siedziała stara kobieta. - Wielmożna pani wielką cieszy się sławą w okolicy... - zagał rozmowę Nikodem, starając się nadać głosowi ton podziwu. Gospodyni popatrzyła nań podejrzliwie i zaraz padło ostrożne pytanie: - Z jakiegoż to powodu? - Toć chyba jejmo×ć wie? Ludzie mówią, że nie ma skuteczniejszych leków niż z waszych rąk. Po ustach starej przewinał się nieco kpiący u×miech, ale szybko go zgasła. Nie uszedł jednak uwagi Rymszy, który nie spuszczał ze staruchy oczu. - Ach tak... - mruknęła lekceważąco, za chwilę za× dorzuciła równie niedbale: - Istotnie, skuteczno×ci moim ziołom nie brak. - Nie mniejszą sławą cieszą się i waćpani wróżby - ciągnął uprzejmie Nikodem, chcąc wciągnąć starą do rozmowy, zaciekawiony tym, co o niej usłyszał. Jednak stara ograniczyła się tylko do zdawkowego stwierdzenia: - Tak, co× nieco× w tym się wyznaję... - Ależ nie tylko co× nieco×! - zaprotestował z

ożywieniem młody rycerz. - Ponoć mało jest takich wróżbiarek jak jejmo×ć pani. Sam byłbym ciekaw, co czeka mnie w wyprawie, na którą wyruszam. Stara siedziała z pochyloną głową, wpatrując się w podłogę u swych stóp. - Czasami lepiej nie znać losu, jaki nam przeznaczony... - Mimo to rad bym wiedzieć, co mi grozi. Wzrok starej kobiety znów uniósł się na młodzieńca, ale tym razem przez dłuższą chwilę przyglądała się falistej grzywie jego czarnych włosów nad czołem, ×miałemu wejrzeniu ciemnych oczu i ×ciąglej, ×niadej twarzy. - Nie poskapiła ci natura urody, młodzieńcze... Lecz nie zawsze wie ona ku szczę×ciu... Nikodem roze×miał się. - Toteż szczę×cia nie od urody oczekuję. Wojenne przygody mnie ciągną. Stara zamiast odpowiedzi pokiwała tylko głową, jakby spodziewając się takich wła×nie słów. - No więc jakże? Powróżycie mi? - No cóż... Skoro chcesz... - mruknęła, ale zaraz dodała z nagłą stanowczo×cią: - Wszakże nie za byle co. Moja wróżba sporo kosztuje! Chciwo×ć staruchy była już dotąd dostatecznie widoczna, by to zastrzeżenie zaskoczyło Nikodema, odparł więc beztrąsko: - Niechże kosztuje. Wiele mi zatem przyjdzie zapłacić? - Nie mniej niż pół czerwonego. Ani grosza mniej! - Ho, ho... - Młody rycerz roze×miał się. - To istotnie ładny grosz. Dalszą rozmowę przerwało zjawienie się dziewczyny z pełną misą dymiącej uchy, jak Kozacy zwykli nazywać rybną zupę. Kiedy rozlała ją na talerze, młodzieńcy, jak to było w zwyczaju, wyciągnęli zza cholew własne łyżki i zabrali się do jedzenia. Już pierwszy łyk podanego posiłku sprawił, że spojrzeli po sobie porozumiewawczo, gdyż zupa była gorzkawa i przyprawiona byle jak. Nikodem zamierzał jednak je×ć ją nadal, bo głodny był po całodziennym jeździe, ale Rymśa ostentacyjnie odsunął swój talerz i z nie tajoną zło×cią rzekł: - Niech to psy zeżrą, bo ja do takiej stawy nie nawykłem! Nikodem spojrział na Rymśę i chciał go wła×nie

skłonić, by zadowolili się tym, co im dano, lecz poczuł, że towarzyszący trąca go pod stołem nogą. Dostrzegł też jego porozumiewawczy wzrok, więc także odsunął swój talerz. - Widać jejmo×ci dziewczka istotnie niezbyt biegła w kucharskiej sztuce - powiedział. - Cóż to? - oburzyła się stara. - Nie w smak wam moje jadlo? Widać naprawdę spodziewali×cie się kapłonów! - Pretensji nie wnosim, ale wolimy głodno i×ć spać - spokojnie już odpowiedział Rymsza. - Wasza sprawa. Lecz nie pojmuję, czemu×cie nie łaskawi temu posiłkowi. Przecież do mnie dochodzi miły zapach strawy. - Komu miły, komu nie, jejmo×ć pani... - mruknął Rymsza. - Jedzcie, kochani! Ta ucha przecież ze szczupaka, którego dzi× Nikola ułowił. świeżu×ki, nieomal wprost z rzeki. - Może i był dobry, ale go wasza dziewczka popsowała. - Patrzcie mi, jakie to gryma×ne panięta! Taka smakowita zupa! Je×ć nie chcą! - z nagle zrodzonym oburzeniem zawołała starucha. - Lecz to wiedzcie, że pieniędzy nie zwykłam zwracać. Nie chcecie, niech wam trzewia głód poskręca, ja wszakże, com przyobiecała, tom dała. Przeto zapłaty nie zwrócę! - A zatrzymajcie ją sobie. - Rymsza machnął lekceważąco ręką. - Nie będę jej żądał, je×li przeprawa pójdzie sprawnie. - A dlaczegoż miałyby nie pój×ć? - burknęła stara, jeszcze rozdrażniona, ale już spokojniejsza. - Nie spierajmy się zatem - zaproponował Nikodem chcąc poprawić nastrój. - Pora teraz zająć się wróżbą, bom ciekaw, co mi powiecie. - Ani my×lę do niej się brać! - fuknęła starucha. - Nie w smak wam była moja strawa, to i wróżby nie będzie. - Cóż ma jedno do drugiego? - zapytał ze ×miechem młodzieniec, ale jednocze×nie dorzucił: - Widać wam ten pół czerwony takoz nie w smak? Stara kobieta skierowała na niego spojrzenie swych błyszczących oczu i jaki× czas wpatrywała się weń. Wreszcie bez słowa opu×ciła powieki, nadal siedząc nieruchomo. Wyraźne jednak było, że wzmianka przybyśza nie daje jej spokoju, bo po pewnym czasie rzekła

patrzając w bok: - Ale zapłacić musisz wprzód... I nie zażadasz zwrotu, jeżeli to, co powiem, nie będzie ci po my×li. - Nie zażadam - obiecał Nikodem sięgając za pas. Po chwili na blacie stołu zabłysła moneta, jak poprzednie zgarnięta pożądliwie. - Czy nie będę zawadą, jeżeli ostanę? - spytał Rymsza mimo wszystko zaciekawiony, co usłyszy. - Mnie za jedno. To jego sprawa - szepnęła stara kobieta, zwracając się jednocze×nie do Nikodema: - Podaj mi to małe sitko - wskazała na boczny stół - i ten mieszek, co przy nim stoi... Potem kazała mu usią×ć przy sobie i podsunąć ×wiecę, by o×wietlała jej okryte derką kolana, na których umie×ciła nieduże sito. Rozwiązała mieszek i podała go Nikodemowi. - Weź małą przygar×ć i sypnij na sito. Jak się okazało, mieszek zawierał żytnie ziarno. Nikodem zgodnie z poleceniem sięgnął do ×rodka, zagarnął w dłoń zboże i przeniósł zaci×niętą pię×ć nad sito. Stara za×poleciała z kolei: - Nie syp go, ale ci×nij z gar×ci, od razu wszystko. Przytrzymała sito, a kiedy zboże rozsypało się w nim, wpatrywała się w milczeniu w układ ziaren. Płomień ×wiecy chybotął się lekko, przesuwając nikły, żółty blask po jej starczej twarzy, o×wietlając sterczące kosmyki siwych włosów. Pochylona nad sitem istotnie wyglądała jak czarownica spełniająca swoje tajemne obrządki. W komnacie zaległa cisza, której nie zakłócał najmniejszy szmer. Wreszcie po dłuższej chwili rozległ się przytłumiony głos wróżbiarki: - Nie widzę jeszcze do×ć jasno... Weź talerz z wodą, stoi także na stole - mówiła nie odwracając wzroku od sita. - Jest tam i mały garnuszek... Zeskrob nieco łoju spod ×wiecy, roztop nad płomieniem i wlej do wody. Talerz za×podaj mnie... Kiedy i to polecenie Nikodem wykonał, odebrała od niego talerz i potem dłuższą chwilę wpatrywała się w plaster zakrzepłego tłuszczu. Usłyszeli w końcu ciche mruczenie: - Mgła... Czarna mgła... Nie, to dymy pożaru... Złe moce dookoła... To one mącą obraz... - Głos starej nasilił

się. - Kula, widzę kulę... Ale czemu złotą? Wejdzie w twoje ciało... i porazi serce... Tak, wojaku, tego losu nie ujdiesz... Ale... wszakże... tego pojąć nie umiem... Mimo to duch nie opuszcza ciała... Nie do pojęcia są wyroki, co nad człkiem ciążyą... Starucha mamrotała co× jeszcze, lecz słów nie zdołali już rozemnać. Wkrótce zamilkła i siedziała bez ruchu z zamkniętymi oczami i opuszczoną głową. Po pewnym czasie ocknęła się jak gdyby z drzemki i rozejrzała dokoła, mówiąc ze zdziwieniem: - Ach, to wy, panowie rycerze... Czemuż nie idziecie spocząć, przecież już późno? Marfa! Hej, Marfa! - krzyknęła przenikliwie, a kiedy dziewczyna nadbiegła, rzuciła jej gniewnie: - Posłanie przygotowała×? Je×li tak, prowadź waszmo×ciów na spoczynek. Widać cały pozostały dostatek domu skupił się w komnacie, gdzie wła×cicielka przyjmowała go×ci, gdyż wyposażenie meblowe izby sypialnej składało się tylko z paru zbitych z nie heblowanych desek prycz, na których leżały wypchane słomą sienniki, kilka ko×lawych krzeseł tkwiło przy stole o pociętym nożami blacie, i to tak gęsto, że już chyba parę pokoleń krajało na nim swoją żywno×ć. Trzy sienniki, bo i pocztowego wzięli do siebie na nocleg, przykryte były jednak derkami. Leżały też na nich poduszki, których obleczenie było nawet ×wieże, a także i koce do przykrycia. Obejrzawszy wewnątrz przy ogarku, bo gospodyni poskapiła im całej ×wieczki, wnet pokładli się na spoczynek. Przedtem jednak Rymsza zbadał dokładnie drzwi i zamykający je od wewnątrz rygiel. Po czym, roze×miawszy się kpiąco, wyjął z pasa swój my×liwski nóż i wepchnął go pomiędzy żelazo rygla i deskę drzwi. - Co czynisz? - zdziwił się Nikodem, który wła×nie po ×ciągnięciu butów układał się do snu w ubraniu, bo niezbyt wierzył w czysto×ć koców. - Toć widzisz - odpowiedział mu towarzysz. - Zatykam ostrze noża między rygiel a drzwi, aby z korytarza nie można go było odsunąć. - A inaczej by było można? - Szparę przy nim

zapewne umy×lnie ostawiono. Byle szydłem można by rygiel ruszyć. - Sądysz, że z zamysłem to uczyniono? - Jakże inaczej? Ciekawe byłoby wiedzieć, co się tu w tej izbie działo. - Ejże! Czy nie ponosi cię fantazja? - Zapomniałe×, o czym mówił ten chłopiec? - A więc umy×lnie trącałe× mnie przy stole? - My×lałe×, że niechący? Kto wie, jakie zioła ta baba zbiera... A już zgoła nie przypadło mi do gustu to przypomnienie o grzybach do zupy! Toteż jej poniechałem, i to nie tylko dlatego, że licha była w smaku. - Ale gdyby chciała nas struć, by zawładnąć końmi i torbami, to co zrobiłaby z czeladzią? Czym wytłumaczyłaby, że nas nie ma? - Wcale by nie tłumaczyła! Ich spotkałby ten sam los, jeno przy ×niadaniu. Powiedziałyby, że jeszcze ×pimy, a ich nakarmiła... - Groźna starucha... Bóg nam zesłał tego chłopka z ostrzeżeniem - Nikodem przeżegnał się. - Wszakże widać, że niewysoko ceni nasze życie... - A to czemu? - Bo×my jeno skojcem go okupili! - Rymsza roze×miał się. - No, ale niech nieczysty ma z tą babą ambaras, my za× ×pijmy! Na szczę×cie Sambor już blisko. - Sądysz, że ten twój nóż nie zezwoli na odsunięcie rygla? - dobiegł jeszcze Rymszę głos Nikodema z ciemno×ci, bo ogarek raptownie zgasł. - Bądź spokojny, nawet go młotem nie ruszysz, póki ostrza nie wyjmę. Wkrótce w izbie rozległo się zgodne pochrapywanie strudzonych młodzieńców. Rano za×, kiedy już znaleźli się na drugim brzegu Błóżewki i ponaglili konie do biegu, Nikodem rzucił zafrasowanym głosem: - Nie wiedzieć, co ta baba miała na my×li wróżąc mi ową kulę w sercu... - Głupi× podwójnie! - opryskliwie odpowiedział mu krewniak. - Raz, że dałe× sobie wróżyć, a drugi, że w tę babską gadaninę wierzysz. Niewiele więcej jak trzy tysiące żołnierzy, i to w znacznej mierze dzięki wsparciu litewskich magnatów, zebrał hetman pod swoją buławą, mając do czynienia z trzykroć silniejszymi siłami szwedzkich załóg stojących po twierdzach. Mimo to pokusiłby



się do stawienia im czoła, gdyby chcieli wyjść w pole. Ale nieprzyjacielscy dowódcy, świadomi przewagi polskiej kawalerii, unikali bezpośrednich starć. O zdobywaniu zamurów za pomocą dział polowych i jednego czy dwóch regimentów piechoty nie było co myśleć. Natomiast jego królewska moc na wojsko pieniędzy wciąż nie miał, a do prywatnej szkatuły sięgać nie lubił; chyba że zachodziła konieczność nabycia nowych i zawsze niezmiernie drogich chemikalii, niezbędnych do produkcji złota. Szukaniem rozwiązania tej tajemnicy interesował się bowiem miłośnicy pan i nie tylko wiele środków, ale również i czasu temu poświęcał. Musiał przeto Chodkiewicz swoje działania dostosowywać do posiadanych środków. Szarpał więc szwedzkie oddziały w ich wyprawach po żywność czy przy innych okazjach. W sierpniu udało mu się dopaść większy korpus pod Rewlem. Doszło do bitwy, w której legło półtora tysiąca nieprzyjaciół, a ich obóz dostał się w hetmańskie ręce. Wkrótce potem w wyprawie spod Felina znów przetrzepał Szwedom skórę i spalił przedmieścia Parnawy. Zżymał się jednak na takie sukcesy, gdyż niczego w sytuacji nie zmieniały. A można było, mając nieco więcej sił, oczyścić Inflanty z najeźdźcy, bo jego garnizony, przez dłuższy czas nie wzmacniane, traciły swój stan liczebny, a i duch wśród żołnierzy nie panował najlepszy. Łatwo przyszłoby odebrać obsadzone zamki i Szweda przegnać. Trapił się więc hetman i niepokoił, bo zbliżała się zima, żołdu wciąż brakło, toteż niepłatny żołnierz coraz głębiej zaczynał szemrać i grozić opuszczeniem szeregów. Król Zygmunt natomiast, nie szczędząc hetmanowi pochwał, polecał go Boskiej opiece i dziwił się, że żołnierze: "...po takich zwycięstwach chcą odjeżdżać stamtąd, kiedy nieprzyjaciel następuje..." Jednocześnie nakazywał wypowiadać odchodzącym służbę, by nie korzystali z zimowych leż. Zima roku 1604 przyszła

wczesna i sroga, a kiedy miała się ku końcowi, siły pana Chodkiewicza wynosiły już tylko: 400 kopijników, 300 kozaków, 150 rajtarów i 600 piechoty, a do tego bez zapasów żywności, wyposażenia i w byle jakiej odzieży. Tegoroczny sejm nie uchwalił mimo to podatków na nowy werbunek, chociaż Karol Sudermański, obrany w marcu królem jako Karol IX, otrzymał od swego parlamentu środki na prowadzenie działań wojennych w Inflantach, co pozwoliło mu na wysłanie tam świeżych wojsk. Położenie hetmana było więc wręcz beznadziejne. Krańcowo rozgoryczony pisze do króla jeden z najbardziej dramatycznych listów:

"...Przyrzekasz nam w. k. m. na święta pieniądze - za późno będą; pierwszej pomrzemy od głodu i teraz już konie swe jedzą. Skryłem się do Berżów, żeby nie patrzeć na ich łzy, na ich rozpacz; głód wszystkich bezprawców przyczyną. W. k. m. zapomniałeś o nas zupełnie. Niech zastąpią miejsca nasze ci, co się z nas teraz urągają. Tłumem odchodzą żołnierze, na mnie tylko narzekając, żem ich w tę nędzę wplątał. Wejdę do jakiego zamku i tam niech zginę. Nieprzyjaciel się gotuje i zapewne Inflanty zniszczone zostaną". Wprawdzie ten mąż niezłomnego ducha skarży się, ale też i grozi, że gotów jest wysadzić się w powietrze, doprowadzony do takiej desperacji opieszalnością króla i dworu. Jednak właśnie owa twardość natury, mimo tych dramatycznych słów, nie pozwoliła hetmanowi na ostateczną rezygnację i poniechanie walki. Rozumiał, że jest jedynym obrońcą północnych rubieży Rzeczypospolitej, tak jak iólkiewski - jej krańców południowych; więc jeźliby ich nie stało, kraj ległby otworem przed Szwedami i Moskwą z północy, przed Turkami i Tatarami z południa. To przekonanie nie pozwalało na słabość, na powrót do rodzinnego Mysza, by odetchnąć przy boku małżonki i z ukochanym synem Hieronimem. Widać Bóg chciał, by władcą jego został ów "dojutrek" - jak

Zygmunta po cichu zwano na dworze - który żadnej decyzji nie umiał podjąć od razu i zwlekał ze wszystkim. Nie będąc za× człkiem wojennego rzemiosła, nie rozumiał jego wymogów i potrzeb. Z nastaniem wiosny sytuacja hetmana nieco się jednak polepszyła, bo żołnierz po przebyciu ciężkiej zimy mniej był skory do opuszczania szeregów. Nawet go nieco przybyło, gdyż nadciągnęli atamani; Bohusz w sto pięćdziesiąt koni i Achmet ze stu Tatarami. Nie było to wiele, ale przecież oddziały te choć trochę wzmocniły posiadane siły. Niebawem nastąpiło nowe pomy×lne zdarzenie. Pewnego majowego wieczoru, przybywszy na nocny postój do jakiej× łotewskiej wsi, dowiedział się od przedniej straży, że kwateruje w niej nieduży polski poczet. Zdziwiony, skąd się tu wziął, i to w tak szczupłej liczbie, kazał wołać do siebie dowódcę. Jak się okazało, był to zwiad wysłany przez większy oddział, bo liczący blisko dwustu usarzy, dwustu kozaków i nieco piechoty, dowodzony przez Jana Piotra Sapiehę, syna wojewody kijowskiego Pawła. Szedł, by nawiązać łączno×ć z hetmanem, jak powiedział dowódca zwiadu, "dla wspólnego bicia Szwedów". Już od dwóch dni wiedział pan Sapieha, w jakim rejonie hetman przebywa, ale że po drodze sam miał można×ć zetknąć się ze Szwedami, więc zbytnio ze spotkaniem nie ×pieszył. Chodkiewicz słyszał już o znakomitych czynach wojennych, zwłaszcza w Wołoszy, u×wiackiego starosty. Był on typowym okazem magnackiej sfery, co najdzielniejszych synów rodziła, wodzów i żołnierzy znakomitych, wszakże niesfornych i butnych, do ujęcia w karby wojskowej dyscypliny niezdatnych, gdyż znakomito×ć rodów chroniła ich od skutków samowoli. Takim był i młody Jan Sapieha, takim - choć z uboższego gniazda - ów Lisowski, z którego tyleż było pożytku, co i kłopotów. W dwa dni potem nastąpiło spotkanie. Powiadomieni przez czaty zbliżali się ku sobie idąc le×ną drogą. Kiedy zza zakrętu wyłoniła się

gromada jezdnych, czerniejąc zbitą masą wśród drzew, hetman wstrzymał konia, a za nim towarzysząca mu chorągiew i husaria. Tamci uczynili to samo, ale po chwili ruszyli znów, zbliżając się szybko. Chodkiewicz stał bez ruchu obserwując nadciągający oddział. Umyślnie nie postępował do przodu, by od razu zaznaczyć swe hetmańskie zwierzchnictwo. Przybyły dowódca zdawał się to respektować, gdyż ponaglił swego wierzchowca ostrogą i zbliżając się zerwał z głowy kapelusz z ozdobnym piórem u szerokiej kresy i zamachnąwszy nim, zawołał: - Witam waszą wielmożność! Prezentować się nie będę, boście już o mnie słyszeli. Rad jestem, że w zdrowiu was widzę. Chodkiewicz uchylił grzecznie futrzanego kołpaka i odpowiedział dwornie, ale jak zwykle z surową twarzą: - I jam rad ze spotkania, jako że pożytek naszej sprawie niesie. Witaj mi zatem, panie Janie! Wyciągnął ku przybyłemu dłoń, ten zaś, przysunąwszy się z koniem, ucisnął ją z uśmiechem na twarzy. Był to mężczyzna rosły, lecz szczupły, o wysokim czole, nosie prostym i wąskim. Szare oczy patrzyły bystro, ale i drwiąco, a ciemny wąs, zakręcony ostro, i mała bródka nadawały mu wygląd raczej szwedzkiego niż polskiego oficera. Hetman ograniczył się chwilowo do krótkiego powitania, lecz kiedy zasiadł z gośćmi przy kubku miodu w namiocie, wdał się z nim w dłuższą rozmowę: - Nie widać po wasci ludziach, byście mieli dostatnią hybernę. A i zapasów także nie dostrzegłem... - Istotnie, zimowe leże nie przypadły nam w bogatej stronie. - Pułkownik wzruszył ramionami. - Ale rychło przyjdą do siebie, bo lato przed nami, to o paszę i spyżę będzie lekcej. - A jak z żołdem? Mocno wasć zalegasz? - O pierwszą ćwierć tego roku zatroszczył się nasz kanclerz litewski, na drugą dopiero czekają... Hetman pokręcił głową. - Będą musieli chyba okazać cierpliwość. Moi żołnierze już od roku to czynią, bo to, co z Korony otrzymuję, nawet na obrok

dla koni nie starcza. - I nie buntują się? - Pewnie, że cicho nie siedzą. Czę×ć odeszła jeszcze przed zimą, resztę muszę nieomal błagać o służbę. - Jego królewska mo×ć musi być pewny naszego afektu ku jego osobie, skoro wierzy, że o głodzie będziem mu służyć. Hetman zmarszczył brwi. - Gdyby o niego tylko chodziło, dawno siedziałbym doma. Ale matce ojczyźnie służymy, mo×ci pułkowniku... Sapieha wzruszył ramionami. - Tedy niechże ta matka nie zapomina o dzieciach, co bronią jej progów! Słowa waszej wielmożno×ci mi nie nowina, toteż folguję ludziom, kiedy w żołnierskim trudzie swego dochodzą. - Folgując, robicie z żołnierza zwykłego zbója. - Cóż innego pozostaje mi czynić? - obojętnie mruknął Sapieha sięgając po kubek z miodem. Chodkiewicz siedział jaki× czas w milczeniu, wreszcie zmienił temat: - Po×lę was teraz w zasobniejszą stronę, by wierzchowce przyszły do sił. Dużo z nimi nie zwojujecie. A i żołnierz zbiedzony. - Nie przyszedłem do was na odpoczynek! W ogniu wróci do siebie, bo będzie miał okazję do zdobyczy. - Zatem takie mieli×cie zamierzenia idąc pod moją buławę? - Chodkiewicz ×ciągnął brwi, teraz już z twarzą pociemniałą gniewem. - Spodziewałem się czego innego! Sapieha u×miechnął się ironicznie. - Służba o pustym brzuchu wiele nie warta. A wojować potrafię i sam, je×li na głodno mam to robić. - Czego zatem waszmo×ć się spodziewałe×? - Przy boku waszej wielmożno×ci więcej ku zdobyczy okazji - wyznał szczerze pułkownik. - W pięćset koni niewiele można zdziałać przeciw twierdzom. - Chciałby× waszmo×ć przej×ć na królewski żołd? Sapieha ukazał w u×miechu biel zębów pod czarnym wąsem. - Czy jest różnica, kto mi go płacić nie będzie? - Wcze×niej czy później królewski zawsze wa×ć dostaniesz. - iołnierz bardziej liczy na własną szablę. Gdyby nie to, ani stu nie ostałoby ze mną. Gniew opu×cił już hetmana, więc tylko mruknął: - Zawsze to samo... - Potem

dorzucił stanowczym tonem: - Zatem wolna wola, mo×ci pułkowniku! Je×li służba ojczyźnie miła twemu sercu, ostawaj przy mnie, choć niczego innego obiecać ci nie mogę krom tego, co z królewskiej ręki dostanę. A je×li tylko o wojennych my×lisz zdobyczach, tedy idź z Bogiem! - Ja o zdobyczy nie my×lę, jeno o moim żołnierzu. - Sapieha wydał dumnie usta. - Mnie wojenna sława ponad bogactwa milsza, bo do gęby mam co włożyć! - Okazji do sławy na pewno tu ci nie zabraknie. - To wiem. Dlatego też do was przybyłem. Ale bez żołnierza jej nie obronię, tego za× bez zapłaty nie utrzymam. - Na rabunek i gwałty nigdy nie zezwolę! - stanowczo o×wiadczył Chodkiewicz, znowu z błyskiem gniewu w źrenicach. Pułkownik wykazał jednak, że i dyplomatyczna bystro×ć nie jest mu obca, bo odpowiedział pojednawczo: - I mnie rabunek niemiły. Przekażę żołnierzowi waszą wolę, ale za posłuszeństwo ręczyć nie mogę. - Subordynacji waszmo×ć nie umiały× u siebie zaprowadzić? Sapieha spojrzał hetmanowi w oczy i odpowiedział z naciskiem: - Zbyt sroga subordynacja, wyzbyta umiaru, nie do posłuszeństwa, ale do buntu skłania... - Dziękuję wa×ci za pouczenie - burknął Chodkiewicz i sapnąwszy, sięgnął po kufel. - Jakie zatem rozkazy otrzymam od waszej wielmożno×ci? - spytał Sapieha, by podkre×lić, że uznaje hetmańską zwierzchno×ć, a jednocze×nie zatrzeć wrażenie zbyt wyraźnie rzuconego ostrzeżenia. Zima osłabia ludzką ruchliwo×ć, zmusza do szukania schronienia w ciepłych izbach, zasypane ×niegiem drogi i mróz nie sprzyjają podróżom, zamierają sąsiedzkie odwiedziny, cichnie nawet szcęk oręza. Natura za× zapada w odrętwienie w oczekiwaniu słonecznego ciepła. Nie pozbawiła jednak ruchliwo×ci licznych pątników i przyjezdnych, którym droga ponoć wypadała przez Sambor. Niektórzy z nich zatrzymywali się nawet dłużej w miejscowym klasztorze bądź na plebanii proboszcza Pomaskiego. Byli to przeważnie

braciszkanie jezuitów - cisi, mało mówiący, ale sami chętnie słuchający ludzkich zwierzeń. Czasami odwiedzali wojewodę lub carewicza Dymitra, lecz o czym mówili, nie było wiadomo. Natomiast monsignore Klaudiusz Rangoni nie ustawał w zabiegach, by skłonić carewicza do przyjęcia rzymskiego obrządku, powierzając to zadanie braciszkom z jezuitskiego zakonu. Wreszcie też, po licznych zabiegach, udało mu się uzyskać zgodę jego królewskiej mości na udzielenie posłuchania carewiczowi. W końcu więc marca Dymitr w towarzystwie przyszłego teścia oraz liczego dworu zjechał do Krakowa, gdzie przebywał król Zygmunt, i zatrzymał się na zaproszenie krakowskiego wojewody w jego siedzibie. Bowiem pan Mikołaj Zebrzydowski, choć przyjaciel wielkiego kanclerza i hetmana Zamoyskiego, niechętnego moskiewskiej imprezie - był jednak popiecznikiem carewicza. Gwarno więc zrobiło się w pałacu wojewody, kręciło się moc służby, wciąż odbywały się spotkania i narady. W kilka dni po przyjeździe samborskich gości swoją wizytę zapowiedział nuncjusz Rangoni, by usłyszeć ostateczną deklarację carewicza. Ponieważ ten wyraził zgodę na przyjęcie wyznania katolickiego i zobowiązał się zaprowadzić tę wiarę także w moskiewskim państwie, nic już nie stało na przeszkodzie, by doszła do skutku i audiencja u króla. W tydzień potem carewicz Dymitr przybył do siedziby jego eminencji, gdzie podpisał przygotowany dokument. Dla uczczenia tego, jak wszyscy sądzili, wiekopomnego wydarzenia wydał monsignore uroczysty obiad, po którym udano się na Wawel. W szeregu karet, otoczonych zbrojnym i strojnym orszakiem, pierwszą zajmował nuncjusz wraz z carewiczem, w drugiej jechali wojewoda Mniszech i jego zięć, książę Konstanty Wiśniowiecki, w dalszych, podług godności i znaczenia, duchowieństwo i dygnitarze. Po przybyciu gości na zamek podkomorzy koronny zatrzymał w jednej z sal wszystkich

prócz jego eminencji nuncjusza i carewicza Dymitra, których powiódł dalej. Kiedy znaleźli się w królewskiej komnacie, ujrzeni Zygmunta stojącego z jedną ręką opartą o stolik. Drugą wyciągnął w stronę carewicza, uśmiechając się łaskawie. Dymitr postąpił ku monarsze i ucałowawszy podaną sobie dłoń, odezwał się z wyraźnie hamowanym wzruszeniem: - Najjaśniejszy panie, oto wołają nieba, a za przyczyną złych ludzi, stoję przed tobą jako włóczęga wyzbyty ojcowizny i przynależnej memu rodowi godności. Wierzę jednak głęboko, że dzięki Bożej i twojej, panie, pomocy złą dolę odmienię, przeto o tę pomoc cię błagam, upraszam i molestuję. Jeśli mi jej udzielisz i do objęcia tronu przodków zechcesz przyjazną dłonią wesprzeć, tedy moją dozgonną przyjaźń i wdzięczności ci ofiaruję, twoich wrogów za swoich będę uważał i wspólnym z tobą obrządkiem zanoszę modły za pomyślność i przyjaźń naszych narodów... Po wygłoszeniu tych słów Dymitr skłonił się głęboko, odstąpił parę kroków do tyłu i wyprostowany czekał na królewską odpowiedź. Zygmunt jednak, choć nadal uśmiechnięty, zwlekał z zabraniem głosu. Natomiast pan podkomorzy koronny, przystąpiwszy do carewicza, wskazał mu nieznacznym ruchem boczne drzwi i poprowadził za sobą. O czym więc mówili pozostali w komnacie król i nuncjusz, Dymitr nie wiedział; mógł się jednak domyślać, że ważą się jego losy, toteż pełen niepokoju stanął we wnęce okiennej i patrzył na rozciągający się pod nim podwórzec, ale pochłonięty myślami mało co widział. Niebawem drzwi uchyliły się i stanął w nich podkomorzy, zapraszając gestem do powrotu przed królewskie oblicze. Carewicz wszedł do komnaty i szybkim spojrzeniem obrzucił twarze obu mężczyzn. Ujrzał na nich uśmiechy, więc poczuł przypływ otuchy i już spokojniej czekał z ręką przyłożoną do piersi na królewskie słowa. Jakoż Zygmunt, nadal uśmiechając się łaskawie, przemówił: "Niechaj was Bóg



zbawi, Dymitrze, księżę moskiewski. A że z tego, co×my od was słyszeli i z okazanych nam pism uznajemy was za takiego, z uprzejmo×ci naszej wyznaczamy wam na potrzeby wasze czterdzie×ci tysięcy złotych na rok, nadto, jako przyjacielowi i będącemu pod naszą protekcją, pozwalamy wam traktować z pany naszymi i odbierać od nich tę pomoc i rady, które wam dogodnymi zdadzą się..." Słowa te zapowiadały zasadniczy zwrot w sytuacji. Teraz już, mając akceptację królewską, nie musiał Dymitr kryć swoich poczynań, a co najważniejsze, mógł przystąpić wraz z zaprzyjaźnionymi wielmożami do werbunku żołnierza i zbierać siły przed czekającymi go działaniami wojennymi w drodze ku upragnionej Moskwie. Toteż ze wzruszenia nie mogąc wymówić słowa, skłonił się tylko głęboko przed królem. W wyrażeniu podziękowania zastąpił go nuncjusz, czyniąc to w gładkich, pełnych wdzięczno×ci zdaniach. Owo zastępstwo nie zostało jednak przez króla źle przyjęte, a przeciwnie, szczere wzruszenie carewicza zrobiło na nim lepsze wrażenie, niż uczyniłoby to najgorętsze przemówienie dziękczynne. Íegnając przybyłych król wyraził życzenie, by traktowano jednak całą sprawę z największą dyskrecją. Wkrótce po audiencji udzielonej carewiczowi nastąpił jego uroczysty chrzest poprzedzony generalną spowiedzią. Ceremonia ta odbyła się 17 kwietnia, już po powrocie do Sambora, a w dniu 23 maja podpisano umowę pomiędzy panem Jerzym Mniszchem jako rodzicem narzeczonej a Dymitrem Iwanowiczem Rurykowiczem, w której ten zobowiązał się między innymi do wypłacenia przyszłej małżonce przy ceremonii ×lubnej miliona rubli gotowizną i wyznaczenia jej księstwa Nowogrodu Wielkiego i Pskowa jako wyposażenia carycy. Straż przy bramie świętego Michała w Dorpacie, powiadomiona przez gońca, była gotowa do jej otwarcia, kiedy w zupełnym już mroku nadciągnęły z Rygi

chorągwie towarzyszące wozom prowadzonym przez hetmana. Asysta wojskowa była przy tym transporcie znaczna, bo zawierał on między innymi i gotowiznę nadeszłą z Korony na poczet zaległego żołdu. Wiadomości za, jakie dotarły do pana Chodkiewicza, ostrzegały, że generał Sztum z pięciuset rajtarami i tysiącem piechoty kusi się o zagarnięcie tego łupu. Hetman ×ciągnął więc ku sobie grasujących w pobliżu Sapiehę i Lisowskiego - najbardziej niespokojne duchy z dowódców mu podległych - i w ich asy×cie ruszył w drogę, by osobi×cie dokonać wypłaty trzydziestu sze×ciu tysięcy złotych przede wszystkim wojskom stojącym w Dorpacie. Choć podróż minęła spokojnie, hetman był rad, że ma ją już za sobą ujrzawszy, jak wozy wjechały w bramę, a w ×ład za nimi i koła jego karocy zadudniły po opuszczonym mo×cie. Pieczę nad wojskiem i taborem poruczywszy Lackiemu, sam zmęczony podróżą, ruszył na kwaterę przygotowaną w oberży "Pod Trzema Królami". Nie spożywając nawet wieczerzy, zaraz legł w po×cieli, bo znów odezwały się kamienie nerkowe. Przykazał jedynie posługującemu mu Romaszce, by prosił na rano pana Niszczyckiego. Zanim wszakże nazajutrz stawiał się wezwany Niszczycki, przybył rotmistrz Niewiarowski, którego husarska chorągiew walczyła już pod wodzą porucznika Lisowskiego. Pan Niewiarowski przywiódł hetmanowi regiment piechoty i zwiadziawszy się o rychłym jego przyjeździe do Dorpatu, tu go oczekiwał. Po nim dopiero wraz z Niszczyckim zjawili się Sapieha i Lacki ciekawi wiadomości, jakie ponoć Niewiarowski przynosił hetmanowi. Nim jednak pan Chodkiewicz udzielił głosu Niszczyckiemu, zwrócił się do Niewiarowskiego z pro×bą o wiadomości z królewskiego dworu. - Wielki szum się podniósł i wrzawa wokół sprawy owego samozwańca, co się za carskiego syna podaje - rozpoczął swą relację pan Niewiarowski. - Król jegomo×ć za prawego następcę cara go uznał, bo posłuchania

udzielił i nie odmówił pomocy, mimo że co ×wiatlejsze głowy mają go za szalbierza. I pan Zamoyski, i pan íólkiewski, i inni! Na Rusi Ostrogscy są mu przeciwni, szlachta za× także wroga tym zamysłom królewskim. - A na Litwie? - spytał z zaciekawieniem pan Chodkiewicz. - Tam również nie brak oponentów. Ostro potępił imprezę biskup wileński Woyno, marszałek wielki Drohostajski także powodzenia nie wróży, a Januszek Radziwiłł wykorzystuje i podnieca ten sprzeciw, wskazując na jezuitów jako podżegaczy królewskich. - A pan kanclerz Sapieha? - Wyraźnie dotąd się nie wypowiedział, trudno więc rzec, co mniema o sprawie. Ale sądzić należy, że też Dymitrowi nie sprzyja, bo przez niego grozi nam rozprawa z Moskwą, a pan kanclerz zawsze przedkłada politykę nad wojenne ryzyko. - Zygmunt, zajęty walką z własną społeczno×cią, o nieprzyjaciołach kraju zapomina. Jemu może i za jedno, czy Inflanty będą szwedzkie czy polskie - rzekł hetman z westchnieniem. - Toteż na niego nie ma co liczyć - odezwał się Sapieha. - Musimy radzić sobie tymi siłami, które mamy. - Istotnie, nie spodziewam się ×wieżego żołnierza. Może otrzymam nieco szewelskiej piechoty i to wszystko. Brat mnie ostrzega, abym na inne wsparcie nie liczył. - I słusznie - przytaknął pan Niewiarowski - bo skądże by miał ochotnik pod wasze znaki ciągnąć, skoro wszyscy, którym wojenna zdobycz pachnie, ×pieszą teraz do Dymitra! A on podwójny żołd obiecuje i swą protekcją wabi, więc każdy łądzi się, że niech jeno do Moskwy dotrze, a złoto gar×ciami będzie zgarniał. Także Tarnowski dla króla ponoć werbuje, co by wskazywało, że Zygmunt długo nie zamierza beczynnienie siedzieć i być może sam w pole wyjdzie. - Złe to wie×ci. - Milczący dotąd Niszczycki westchnął ciężko. - Złe, bo czekają nas tu niełatwe terminy... - A wła×nie. - Chodkiewicz obrócił ku niemu chmurną twarz. - Cóż za wie×ci masz dla mnie, mo×ci kasztelanie? - Linderson rusza z wojskiem, ponoć

ponad cztery tysiące żołnierza prowadzi. Celu jego marszu nie znam, ale podejrzewam, że chce z Erichtonem się połączyć bo ciągnie na Rewel. - Cztery tysiące, powiadasz? - Hetman przygryzł wąsa i zamy×liwszy się, nic więcej nie powiedział. - Najlepiej w polu liczyć, a jak ruszymy, wnet będziemy wiedzieć, co zamierza - wtrącił Sapieha, jak zawsze chętny sięgnąć po szablę. - Siły mamy ku temu za małe - zauważył ostrożny Lacki. - Być może nie cztery tysiące, ale więcej prowadzi, my za× grodów nie ogołocimy. A tego, co mamy pod ręką, i trzech tysięcy nie będzie. - Jak zaczniemy zbytnio rachować, łatwo stracimy ochotę do walki - zareplikował pułkownik. Tę wymianę poglądów przerwał hetman: - Okazja dobra się zdarza, by Szweda pomacać, dlatego istotnie ostawmy liczenie. Nie można sposobno×ci poniechać, toteż po×ciągaj, mo×ci panie Teodorze, chorągwie, załóg wszakże nie ruszając. Wy za×, panowie, gotujcie się w dwa dni być do marszu gotowi. Dla nadrobienia tego czasu pójdziemy komunikiem. \* Bez taborów. Na tym rozmowa skończyła się i dowódcy ruszyli, by sposobić się do wykonania hetmańskiego rozkazu. - No i co? - spytał Chodkiewicz unosząc się z pnia zwalonego drzewa, na którym spoczywał w oczekiwaniu na powrót zwiadu. Ataman Bohusz rozłożył ręce. - Wie× opu×cili ze dwie godziny temu. Mieli pozostawać na noc, ale generał nagle poderwał wojsko do dalszego marszu. - Zwąchał, że×my blisko - rzucił przysłuchujący się meldunkowi Woyno. - Jasno widać, że unika bitwy, bo już trzeci raz uchodzi nam spod ręki. - Ruszył drogą na północ, ale czy daleko zaszedł, Boh jego znajet... Nie było rozkazu i×ć za nim. - W tamtej stronie ciągnie się za rzeką szmat boru - zabrał głos pan Dąbrowa znający dobrze okolicę - je×li więc zdoła przeje×ć na drugi brzeg Narwy i ma dobrych przewodników przez bagna, wówczas już go nie dojdziemy. - Długo borem nie pójdzie, bo to udręka dla takiej masy ludzi i

koni... - wtrącił Sapieha przysłuchujący się meldunkowi zwiadu. Kilku pułkowników otaczało hetmana, czekając na jego decyzję. Pomiedzy rzadkimi w tym miejscu drzewami widać było dookoła masę wierzchowców pasących się na odpiętych wodzach. żołnierze, skupieni w grupy, siedzieli lub stali wiodąc pogawędki. Nieco z boku rozłożyła się piechota, a od tej ludzkiej masy szedł pogwar i szum niby od brzęczącego roju pszczoł. Chodkiewicz zwrócił się do swego buńczuczego: - Wyłij gońca do przedniej straży. Niech rusza do owej wsi, a potem ciągnie ładami Szwedów. O wszystkim mają mnie bez zwłoki powiadamiać! Pan Strzeński skoczył wykonać hetmański rozkaz, a Dąbrowa, który prowadził wojsko, kazał trąbić wsiadanego. W nocy spadł rześisty deszcz, rozmokła ziemia stała się błotnista i grząska. Na łące lśniły kałuże wody, ale dalej nie było nic widać, bo wszystko pokrywały tumany gęstej mgły. Z lewej majaczyły kontury lasu, który szarym pasmem ciągnął się w pobliżu drogi. Konie stapały wolno, z trudem wyciągając kopyta z czarnej mazi, rozpryskując stojącą w koleinach wodę. Rozgrzana niedawnym upałem ziemia dyszała teraz oparami, które białą zasłoną przykrywały okolicę. Lisowski, prowadząc przednią straż, posuwał się wolno, gdyż i czaty wysłane do przodu nie mogły z powodu złej widoczności pośpieszać, bo coraz to trzeba było przystawać i nasłuchiwać, uchem zastępując wzrok. On sam również starał się wyłowić w panującej ciszy jakiś dźwięk, który by go ostrzegł o bliskości nieprzyjaciela. Ciszę tę zakłócało jedynie mlaskanie błota, parsknięcie konia lub nikły szczeł trącanej broni w postępującej za porucznikiem chorągwi. W pewnej chwili usłyszał przed sobą plusk rozpryskiwanego w pośpiechu błota i z mgły wyłonił się jeździec. Lisowski podjechał jednak do niego strzeżem w strzeżem, zanim przemówił, bo nakazał żołnierzom przestrzeganie ciszy. - Panie poruczniku, co w

poblizu słycać! - rzucił jeździec zdyszczanym z przejęcia głosem. - Niedaleko muszą pać się konie, bo doszło nas rzenie! - Gdzie? - Ze trzy staje przed nami. Przeworski i Ostaszko czekają tam na drodze. Lisowski zwrócił się do jadącego przy nim Kalinowskiego: - Idzi, obejmiesz komendę. Stać i czekać na rozkazy! Seyna, za mną! Trącił konia ostrogą i rozpryskując błoto, skoczył przed siebie. Wkrótce ukazały się zatarte mgłą sylwetki dwóch jeźdźców stojących na nasłuchu. Kiedy Lisowski i Seyna dołączyli do nich, tamci wskazali zarysy kilku stogów majających w białym тумanie. Dragi chroniące siano przed porywami wiatru sterczały ponad stogami jako tako widoczne, bo mgła zdawała się nieco opadać. Lisowski ciągnął wodze i znieruchomiał nasłuchując. Wiatru nie było i w ciszy wstającego dopiero poranka usłyszał po chwili ledwie uchwytny, jakby bardzo odległy, ni to szum leniwie płynącego potoku, ni to szmer sunących po ziemi liści. W pewnej chwili doszedł go odgłos bardziej wyraźny, podobny do kwiku gryzących się ogierów. Skinął na towarzyszy i właśnie zawracał konia, by co rychlej powiadomić hetmana o obozującym w poblizu wojsku, kiedy dostrzegł, jak jeden z dragów na stogu poruszył się i w następnej chwili panującą ciszę przerwał nagły huk wystrzału. - W skok! - zawołał spinając wierzchowca ostrogą. - Posadzili straż na stogu - stwierdził spokojnie Seyna galopując obok niego. - To wiem i bez ciebie - mruknął porucznik. Nic więcej nie mówiąc, dopadli własnej chorągwi. Porucznik kazał Seynie gnać co koń wyskoczy do hetmana, sam zaś pozostał na miejscu, by przepędzić szwedzki zwiad, którego wkrótce należało się spodziewać. Niebawem powrócił Seyna z wezwaniem powrotu do głównych sił. Tymczasem mgła zaczęła opadać i tylko jej resztki wlokły się jeszcze nad ziemią, pokrywając pasmami łąkę, błyszczącą teraz kroplami rosy w świetle wstającego słońca. Wkrótce spotkali pana

Chodkiewicza, który po wysłuchaniu relacji porucznika wyraził życzenie bliższego rozeznania się w położeniu. - Las pod ręką, wasza wielmożność - zauważył Lisowski. - Proponuję podsunąć się idąc jego skrajem. Nie tak łatwo dostrzeże nas nieprzyjaciel. - Daleko stąd usłyszała was nieprzyjaciela? - Będzie z kilka staj. Wtedy jeszcze niczego nie było widać, ale teraz wystarczy wysunąć się na owo wzniesienie, aby ich dostrzec. Hetman miał właśnie co odpowiedzieć, kiedy zza wzniesienia, które wskazał Lisowski, wyłoniły się sylwetki jeźdźców w kapeluszach z szerokimi kresami i butach sięgających za kolana. Kalinowski rzucił rozkaz i husarze natychmiast uformowali się w szereg. Z podaniem znaku do natarcia czekał jednak na hetmańską decyzję. Ale do niej nie doszło, bo rajtarzy, ujrawszy rozciągniętą w bojową linię husarię, zawrócili rzucając się do ucieczki. Chodkiewicz wzbronął pościgu. Był to zapewne zwiad, ale istniała też możliwość zasadzki, polecił więc tylko Lackiemu, by gotował nadciągające właśnie chorągwie do bitwy, a sam skierował wierzchowca ku pobliskiemu lasowi. Przemykając pomiędzy drzewami hetmański orszak wkrótce osiągnął wzniesienie. Tam zatrzymali się, gdyż ujrzeli ćwierć mili przed sobą szwedzkie oddziały zajmujące właśnie bojowe stanowiska. Widać Linderson zrozumiał, że bitwy nie uniknie, skoro przeciwnik doszedł go tak blisko. Mgła już zniknęła i Chodkiewicz, wstrzymawszy konia, patrzył, jak w blaskach wrześniowego poranka ostatnie już regimenty szwedzkiej piechoty formują się w rozciągnięte kolumny najeżone pikami. Mimo odległości widać było wyraźnie nawet poszczególnych żołnierzy. Na tle zieleni łąki pięknie barwiły się ich kolorowe kubraki, a po blachach kirysów i grzebieniastych morionach skakały skry słonecznych promieni. Pomiedzy kolumny piechoty z gorączkowym pościgiem zaciągano ostatnie działa, a na krańcach formacji

stały ciemne i nieruchome rajtarskie chorągwie. Chodkiewicz obrócił się i dostrzegłszy Lisowskiego rozkazał: - Przykaż wać Lackiemu, by na tym wzniesieniu ustawił wojsko. Na czele husarze, za nimi pancerni. Na skrzydłach niech umiećci lekkich. Po zejćciu konnych piechota ma natychmiast obsadzić wzgórze i gdyby natarcie nie powiodło się, wstrzymać nieprzyjaciela ogniem do czasu nowego uformowania chorągwi. Niech żołnierza pod ogniem nie trzyma, lecz od razu rusza do natarcia! Ja останę chwilowo na miejscu. Wkrótce na szczycie wzniesienia ukazały się najpierw szeregi husarskie, za nimi wysuwali się pancerni, a na skrzydłach stanęli Tatarzy i Kozacy. Na ten widok huknęły zaraz szwedzkie działa, okrywając się obłokami dymów, ale ta pierwsza salwa celna nie była. Natomiast jakby w odpowiedzi na grzmot armat zagrała w polskich szeregach trąba, wyskoczył przed nie Lacki i wskazując swą rotmistrzowską buławą Szwedów, poderwał konia do biegu. Za nim ruszyła ława jeźdźców. Wzniesione do tej pory kopie pochyliły się do końskich łbów, a długie jęzory różnokolorowych proporczyków zwijały się przy nich, furkocząc w pędzie. Pochyłość terenu sprzyjała sile uderzenia, które i bez tego dzięki ciężkim koniom i ich szybkoćci łamało wszelki opór, toteż nie było piechoty, która by zdołała je odeprzeć. Mało co wstrzymywały tę nawałnicę wraże piki wbite końcami w ziemię i pochylone ku końskim piersiom, bo kopie husarskie dłuższe były od nich i wpierw dosięgały dzierzącego je piechura. Pęd galopujących koni rósł coraz bardziej w miarę zbliżania się do nieprzyjaciela. Mimo że grunt nie był suchy, uderzenia kopyt ciężkich rumaków rozlegały się nad łąką szerokim grzmotem, a hetmańska grupa czuła, jak pod tą nawałnicą drży ziemia. Odległość dzieląca obie linie stawała się coraz mniejsza, rozległ się wkrótce zgodny, potężny wrzask, w chwilę potem huk uderzenia, trzask łamanej broni i



koński kwik. Szeregi piechoty pękły, rozwarły się, masa jeźdźców wdarła się w nie i odrzuciwszy kopie razami pałaszy i koncerzów torowała sobie drogę. Z wolna jednak sama masa ludzka zaczęła hamować ich pęd, toteż coraz to obracając konie, wkrótce siekli już w miejscu. Jednak czujny hetman dał buńczukiem znak i ruszyli z kolei pancerni. Na opustoszałym wzgórzu pozostały tylko lekkie chorągwie, ale zaraz pojawiła się tam stojąca dotąd w tyle piechota. Na widok nadbiegającego wsparcia Linderson ruszył swoją rajtarię; natychmiast pomknęły ku niej lekkie znaki i zatrzymały na pewien czas szwedzkie natarcie. Lecz starczyło tego czasu, by pancerni dopadli broniącej się już resztkami sił piechoty i przełamali jej opór. Porwane na strzepy szeregi nie myślały teraz o niczym innym jak tylko o ratowaniu życia. Część pancernych widząc, że nie staje już dla nich roboty, obróciła się przeciw rajtarom, i to w samą porę, bo i Kozacy, i Tatarzy nie mogli wytrzymać ich naporu i zaczęli się cofać. To wsparcie jak i widok uchodzącej z pola piechoty odjęły i rajtarom animuszu, toteż wkrótce i oni coraz częściej poczęli zawracać konie. Widząc to hetman buławą wskazał piechocie szwedzki obóz. Regimenty biegiem ruszyły w dół wzgórza i niebawem rozległ się stamtąd wrzask, ale po niedługim czasie te hałasy zacichły. Bitwa trwała mało co dłużej niż dwie godziny. Lindersona nie dało się jednak pojmać, gdyż widząc klęskę swego wojska, zagarnął uchodzących rajtarów i sam rzucił się do ucieczki. Po rozgromieniu nieprzyjaciela Chodkiewicz wysłał zaraz gościa do ciągnących taborów, by przypieszyły jazdę, a sam, sprawiwszy wojsko, wszedł w lasy i zarządził odpoczynek. Dzień w dzień jednak podjazdy przeglądały okolicę i zasiegały języka. Także i pan Niszczycki wysłał łączników do swoich ludzi, by rozeznać się w sytuacji, gdyż ów przemarsz Lindersona dowodził, że nieprzyjaciel nie zamierza spoczywać beczynnianie i ma jakieś zamierzenia,

które należało koniecznie rozpoznać. Wiele od pojmanych jeńców nie udało się dowiedzieć, gdyż brakło między nimi oficera znającego zamiary dowództwa. Byli to mało rozgarnięci gemajni z piechoty, którzy niczego nie wiedzieli. Jeden tylko zeznał, że słyszał rozmowę dowódców o zamierzonym połączeniu się Lindersona z generałem Erichtonem w celu wspólnego uderzenia na Biały Kamień. Wiadomość ta mocno zaniepokoiła hetmana, bo w Białym Kamieniu siedział Krzemiński ze szczupłą załogą, liczącą nie więcej niż trzystu ludzi. Rozbicie Lindersona nastąpiło ósmego września. W dziesięć za dni potem, bo dziewiętnastego, przybył do hetmańskiego namiotu pan Niszczycki i wyraźnie podniecony wołał już z dala: - Wieści, wasza wielmożność! Są wieści! Chodkiewicz zerwał się z polowego stołka, na którym spoczywał, grzejąc się w resztkach słonecznego ciepła. - Jakież?! Gadaj wać! - rzucił krótko. - Niedobre! Szwed oblega Biały Kamień! Mocno szturmuje, ale ponoć jak dotąd nasi dzielnie się bronią - odpowiedział już ciszej kasztelan, podchodząc do hetmana. - Kto ich oblega i w jakiej sile? - Właśnie ów generał Erichton. Ponoć ma pod sobą siedem tysięcy żołnierza. Kiedy wezwani dowódcy stawili się przed hetmanem, ten w krótkich słowach powtórzył otrzymane wiadomości i nie czekając na pytania rozkazał: - O wicie wymarsz. W przedniej straży idzie Lisowski. Tabory ostawić, niech ciągną za nami na Biały Kamień. Dopiero szarzało, kiedy oddziały ruszyły w drogę. Pan Chodkiewicz szedł szybko, dawał krótkie postoje i mało czasu na sen. Żołnierz nie sarkał jednak, bo nawykły był do takiego wysiłku, choć marsz był uciążliwy, gdyż Lisowski zgodnie z otrzymanym poleceniem omijał co większe ludzkie osiedla, nieraz więc trzeba było przedzierać się lasami lub grzęznąć w bagnach. Wreszcie jednak udręka marszu skończyła się i piątego dnia znaleźli się u celu wyprawy.

Wokół miasta szerokim na pół mili pasem ciągnęły się pola, teraz pokryte rżyskiem, dalej otoczone pierścieniem lasów. Zamek, gdzie stała polska załoga, stanowił główny punkt obronny w ciągu wałów opasujących Biały Kamień. Od północnego zachodu płynęła Parnawa wśród niskich, bagiennych brzegów. Lisowski zatrzymał swoją chorągiew na skraju lasu i posłał do głównych sił gońca z zawiadomieniem, że miasto ma w zasięgu wzroku. W godzinę potem nadjechał osobiście pan Chodkiewicz, by zaznajomić się z położeniem. Wysunął się ze swoim orszakiem poza skraj drzew i przez dłuższy czas lustrował rozciągnięty przed nim krajobraz. Z lewa soczysta wstęga zieleni znaczyła bieg rzeki, przed nim bure ściernisko ciągnęło się pasami zagonów. Dalej widział zatarte przez oddalenie zarysy miasta, szarą linię wałów i kilka kamiennych wież, wznoszących się ponad kontury dachów. Ciężką, brunatną bryłą rysowały się zamkowe mury i baszty, a u ich stóp rozrzucone domy przedmieścia otaczały grupy drzew. Wśród nich czerniały liczne plamy zgliszcz ze sterczącymi w górę, osmalonymi pożarem kominami. Wokół wałów biała wieża wydobytym piaskiem szwedzkie okopy. Dalej zasłaniały ich widok zarysy budowli oraz smugi dymów armatnich wystrzałów, których ponure grzmoty ucieszyły hetmana, dowodziły bowiem, że załoga jeszcze się broni. Po dokonaniu lustracji hetman zwrócił się do Lisowskiego: - Obejmiesz więc komendę nad Kozakami i ruszysz na Szweda. Wszakże w potyczkę nie wdawaj się, bo stracisz bez pożytku ludzi, rozeznaj jeno, na wiele zdołasz, położenie ich wojsk. Słońce stało już nisko ponad horyzontem, znacząc na ściernisku długie cienie, kiedy z lasu wysunęła się kozacka chorągiew i ruszyła rysią w stronę nieprzyjacielskich stanowisk. Dostrzeżono ich stamtąd rychło, ale widać z powodu szczupłości oddziału nie otwierano początkowo ognia. Dopiero kiedy przebyli już z połowę odległości i

pochyliwszy się ku końskim szyjom przy×pieszyli biegu, za przykładem dowódcy dobywając szable, gruchnęły pierwsze strzały gęstniejąc coraz bardziej, w miarę jak chorągiew nabierała pędu. Ku zdumieniu Szwedów napastnicy, zbliżywszy się o staję, nie wdali się w walkę, ale zawrócili wierzchowce i pognali wzdłuż linii ich szaićców. Porucznik wiedział, że wystawia się na boczny ogień stojącej tu piechoty, liczył jednak, że szybko×ć, z jaką szedł, uchroni go od większych strat i pozwoli dotrzeć możliwie najbliżej głównych sił przeciwnika, skupionych pod zamkiem. Teraz dopiero doszło do starcia, bo zastąpili im drogę rajtarzy, których czę×ć zdążyła dopa×ć koni. Wprawdzie Kozacy z wrzaskiem uderzyli na nich, ale że i liczebno×cią, i uzbrojeniem byli słabsi, zaczęli wkrótce ustępować pola. Lecz w tej chwili rozległ się przenikliwy gwizd pieszczaki i na ten odgłos zawrócili konie, i jak stado spłoszonych kurcząt rzucili się do ucieczki. Wkrótce słońce się skryło i zaczęło ciemnieć. Od szwedzkich pozycji rozległ się głos trąb, które grzmiały jeszcze długo w noc, gdyż zapewne w ten sposób generał Erichson, zaniepokojony wypadem, chciał utrzymać swe wojsko w gotowo×ci bojowej. Pan Chodkiewicz po wysłuchaniu relacji porucznika kazał rozstawić gęste straże z daleko wysuniętym nasłuchem, natomiast wojsku dał spocząć, by odetchnęło po tak uciążliwym marszu. Sam za×, jak tylko przeja×niało, wyjechał obejrzeć nieprzyjacielskie pozycje. W×ród podmiejskich zabudowań panował znaczny ruch. W polu formowały się już konne oddziały, armaty jednak milczały, a od strony zamkowych murów nie było słyhać odgłosów walki. Widać szwedzki dowódca poniechał szturmów, by stawić czoło odsieczy. Wiedział już na pewno o klęsce Lindersona, toteż domy×lał się, że ma przed sobą nie jaki× tam oddział, ale główne polskie siły pod dowództwem samego Chodkiewicza. Położenie miał bardzo dogodne, bo

prawe skrzydło osłaniały mu własne szańce, które obsadził nieliczną tylko piechotą, kierując znaczniejsze siły na lewe skrzydło, pomiędzy luźno stojące domy podmiejskie. Całą jazdę natomiast umieścił w centrum swego szyku, wysuwając ją nieco do przodu, a więc inaczej, niż zrobił to Linderson. Spodziewał się bowiem, że w ten sposób lepiej wytrzyma uderzenie strasznej husarii Polaków, bo konie staną przeciw koniom, a wychodząc nieprzyjacielowi naprzeciw, impetowi wroga będzie mógł przeciwstawić własne uderzenie. Była dziesiąta rano, kiedy polskie chorągwie wyłoniły się z lasu i stanęły długą linią przed szeregami szwedzkich wojsk. Chodkiewicz umyślnie rozciągnął swoje oddziały, by sprawić wrażenie, że więcej ich ma, niż to było w istocie. Liczył też, że gąszcz leśny wzbudzi w szwedzkim wodzu obawę, iż kryją się w nim odwody. W rzeczywistości jednak, wobec znacznej przewagi przeciwnika, postanowił rzucić do boju od razu wszystkie swoje siły, by przy Boskiej pomocy rozbić wroga od pierwszego uderzenia, gdyż dłuższa walka oznaczała przegraną. Jedyne jego odwodem pozostały szczupłe siły piechoty, ale liche to było wsparcie. Piechota mogłaby jedynie wstrzymać powój, gdyby przyszło to najgorsze i trzeba by było uchodzić z pola. Oba skrzydła swoich formacji obsadził tak, jak czynił to uprzednio, a więc przez Tatarów i Kozaków. Tych drugich dał pod komendę Lisowskiemu, Tatarom zaś przewodził Achmet. Wkrótce buńczuk hetmański pochylił się do przodu, rozległ się głos trąby i szeregi jeźdźców ruszyły z miejsca. Źopotały na wietrze długie proporce u kopii, których ostrza, niby las żądał, wznosiły się jeszcze ku górze. Odległość bowiem od nieprzyjacielskiej linii była dość znaczna i należało ją przebyć nie umęczony koni. Za husarią szły chorągwie pancerne przeznaczone do natychmiastowego wsparcia jej ataku. Konie potrzęsały ochoczo łbami, a jeźdźcy, kołysząc się miarowo w siodłach,

nie wydobywali jeszcze szabel. Przebyli już spory szmat równego jak stół pola, kiedy szeregi rajtarskie także ruszyły z miejsca. Na ten widok prowadzący atak Sapieha podniósł buzdygan i poderwał rumaka do galopu. Rozległ się gło×ny, zgodny krzyk, kopie pochyliły się, zabłyśły ostrza dobytých przez pancernych szabel i długa ława jeźdźców zaczęła nabierać coraz większego pędu. Tygrysie, lamparcie i rysie skóry rozwinęły się powiewając u ich ramion, a za plecami zafalowały u skrzydeł pióra. Wyrzucana kopytami ziemia wylatywała aż ponad szyszaki rycerzy. Wnet okazało się, że szwedzki wódz popełnił błąd, przeciwstawiając husarii zbyt płytką linię swojej konnicy. Toteż kiedy się zwarli, rajtarzy nie zdołali ani na chwilę wstrzymać huraganu, jaki w nich uderzył. Po prostu zniknęli, jakby ich pochłoneła ziemia, a jedyne ×wiadectwo, że nie byli złudą, stanowiły rumaki cwałujące wokół z pustymi siodłami. Po zniesieniu pierwszej linii rajtarii większy i bardziej skuteczny odpór dała ich druga linia, jako że była znacznie głębsza i bardziej zwarta. Została tylko wgnieciona, tu i ówdzie rozerwana, ale przecież wytrzymała uderzenie i krzyżowała rapiery z ciosami husarskich pałaszy. Lisowski, stojąc ze swymi Kozakami pod lasem, przyglądał się bitwie, choć przez tumany kurzu mało co mógł rozeznąć. W pewnej chwili przyszło mu więc na my×l, że stoi zbyt daleko od miejsca walki, i gdyby hetman dał mu rozkaz do natarcia, za wiele czasu zajmie mu doj×cie do walczących. Nie zastanawiając się więc dłużej skinął dłonią, dając żołnierzom znak, i sam trącił konia ostrogą. Kiedy ocenił, że zbliżył się do pola walki dostatecznie, zatrzymał oddział i dalej obserwował zmagania husarzy. Widok z nowego miejsca miał dużo lepszy, bo było i bliżej, i patrzył na walkę nieco z boku. Od razu więc dostrzegł, że szwedzka piechota przystąpiła do zmiany stanowisk. Pierwsza rota jak poprzednio stała na swoim miejscu z najeżonymi pikami, ale

skrzydłowe zmieniały front obracając go tak, by znaleźć się z boku chorągwi pancernych, które właśnie ruszyły do ataku. Lisowski od razu pojął zamiar dowódcy piechoty, który chciał bocznym ogniem powitać atakującą kawalerię, a potem, kiedy przebiegnie, razić ją ogniem od tyłu. Gdyby ów bystry Szwed zdołał na czas wykonać manewr, takich ciosów nie wytrzymałoby pancerne wsparcie i wynik bitwy byłby przesądzony. Porucznik nie zawahał się ani przez chwilę. Nie było czasu na posyłanie meldunku hetmanowi, który właśnie zmieniał swoje stanowisko, więc nie mógł dostrzec nagłego zagrożenia, toteż Lisowski krzyknął na Kozaków: - Za mną! - i poderwał wierzchowca do galopu. Jak zdmuchnięta wichrem zerwała się chorągiew i pognąła za nim. Pancerni już przebiegali przed linią piechoty. Zagrzmiała salwa i kilkunastu jeźdźców wyleciało z sodeł, ale reszta pędziła dalej. Do drugiej salwy wszakże nie doszło, bo Kozacy uderzyli już na muszkieterów. Nagłoc boczno uderzenia sprawiła, że rozbili szyki pierwszego regimentu, lecz nie nawiązując z nim walki, pognali w ład za dowódcą do następnego. Piechurzy próbowali dawać odpór, ale błyskawiczne i sprawne razy szabel siały strach i zamieszanie. Kozacy, znani z szybkości w boju, sprawnie rozbijali grupy oporu mimo rozkazów i nawoływań szwedzkich dowódców. Powstało tak wielkie zamieszanie, że o uporządkowaniu szeregów pod razami kozackich szabel nie było co myśleć. Jednak Lisowski rozumiał, że przewaga liczebna nieprzyjaciela wkrótce weźmie górę i wtedy on znajdzie się w opresji. Dostrzegłszy więc, że pancerni już dopadli rajtarów i przeniknęli w ich szeregi, dał piszczałką znak do odwrotu. Pancerni za, niewiadomi groźby, jaka nad nimi zawisła, coraz głębiej wdzierali się w rajtarskie szeregi i unosząc się w strzemionach, siekli z zawziętością i wprawą. Nie uszła więc z pogromu rajtaria, tym bardziej, że wielu, zagnawszy się w

panicznej ucieczce ku rzece, ugrzęzło w okalających ją bagnach. W rezultacie połowę swego wojska Erichon pozostawił na polach Białego Kamienia. Poległo kilku jego wyższych dowódców, stracił dwadzieścia jeden sztandarów i sześć pięknych dział. Hetmanowi zażyło osiemdziesięciu jeden zabitych i stu rannych. Tłoczno zrobiło się na zamku w Białym Kamieniu, tłoczno i w mieście, po zajazdach, oberżach, mieszczańskich obejściach, a także i w rolniczych, podmiejskich chałupach. Wszędzie pełno było koni i ludzi. A że tabory jeszcze nie nadeszły, a zabrana żywność skończyła się i ostatnie mile żołnierz przebywał o pustym żołądku, przeto teraz łapano drób, zarzynano winie, a nawet i bydło, by pożywić się do syta. Pokrzywdzona ludność wołała nie sprzeciwiać się w obawie przed ciosem kolby czy szabli. Ta samowola nie stanowiła zresztą dla niej pierwszozny - najgorszą udręką wojny było bowiem żołnierstwo, i to zarówno obce, jak i własne. Hetman, stanąwszy na zamku, przycisnął przede wszystkim Krzemińskiego do piersi, a potem kazał wołać do siebie pana Lisowskiego. W komnacie zatrzymał tylko Niewiarowskiego, Sapiechę i Lackiego. Przybyłego porucznika przyjął stojąc przy stole, a kiedy ten skłonił się i czekał na słowa wodza, hetman zmierzył go surowym spojrzeniem i z błyskiem gniewu w oczach zagadnął: - Kto wamci kazał opuszczać wyznaczone stanowisko? Lisowski po tym pytaniu wiedział już, o co chodzi, ale nie zdawał się być tym zbytnio przejęty. - Nikt, wasza wielmożność - odpowiedział miało. - Sam powziąłem decyzję zważywszy, że znalazłem się za daleko od bitwy. W razie konieczności szybkiej pomocy mogłem nie zdążyć na czas. - Nie wamci to była kompetencja! Jeśli każdy zacznie sam stanowić, jakie ma zająć miejsce, mnie ostanie jeno sadzić kury na jajcach! - Wybaczcie, wasza wielmożność.. - Nie ma wybaczenia załamanie wojennej dyscypliny! - Twarz



hetmana czerwieniała coraz bardziej. - Wać pod sąd winieneć, tym bardziej, że nie jedna to dzisiaj waćci przewina! Bez rozkazu bowiem ruszyłem także do bitwy! Gardłowa to sprawa! Lisowski także poczerwieniał, a mięśnie policzków ciągnęły mu się i drżały pod skórą, lecz odpowiedział spokojnie: - W rzeczy samej tak było, ale wasza wielmożność wlaśnie zmieniała stanowiska, a groźba była nagła. Szwedzi obrócili regimenta piechoty, by razić bocznym ogniem naszych pancernych. Nie było czasu na meldunek i czekanie rozkazu, toteż sam pośpieszyłem ratować towarzyszy. Twarz pana Chodkiewicza z czerwonej stała się purpurowa, guzy na czole zgrubiały i nabiegły krwią, a oczy zdawały się gorzeć niby dwa węgle. Skory bowiem do gniewu był pan hetman i straszny, kiedy go ten gniew ogarnął. Teraz także sapał, z trudem łapiąc oddech. - Ja... ja waćci rozstrzelać... cię przykażę! Gadasz mi tu jeszcze o zasłudze, że pancernych z opresji wyratowałem... Ja pomocy w dowodzeniu nie potrzebuję! Niech mi każdy zacznie się sam w boju rządzić, z wojska strzępy ostaną! - Opresja była szczególna i inaczej zrobić nie mogłem! Drugi raz toż samo bym uczynił. Bo hańba to, widząc zgubę towarzyszy, pomocy im nie udzielić! - hardo rzucił porucznik. Hetman zmierzył go piorunującym spojrzeniem i chwycił ze stołu hetmańską buławę. Dławiony wciekło cię zdołał tylko krzyknąć: - Precz! Precz mi z oczu! - Zamachnął się buławą i walnął nią w blat stołu, który od tego ciosu pękł z hukiem. Porucznik skłonił się przesadnie głęboko i już bez słowa ruszył ku drzwiom dzwoniąc ostrogami. - Szkoda pięknego stołu... - mruknął z nieco kpiącym ubolewaniem pan Sapięha, kiedy zamknęły się drzwi. Chodkiewicz zwrócił się do Lackiego, sapiąc jeszcze z gniewu: - Osądźże, Teodorze, zalim nie praw? - Czy niepewny swej racji, że mnie pytasz o sąd? - I Salomon nie zdoła rozstrzygnąć, przy kim racja - odezwał się

Niewiarowski - kiedy rację mają obaj adwersarze... Porucznik wrócił na kwaterę mroczny jak burzowa chmura. Warknął na Jarka, który wszedł mu w drogę, tak srogo, że chłopak uskoczył ze strachem. Bez słowa opadł na zydeł, wsparł się łokciem o stół i jaki× czas obserwował Seynę ×ciągającego dratwą ramię u siodła. - Gdzie Sawicki? - warknął ku niemu. - Grzeje posiłek, boć Makary jeszcze nie przybył - odpowiedział pocztowy nie unosząc głowy znad roboty. Po chwili zerknął z kolei na porucznika i odezwał się jakby od niechcienia: - Hetman zalał wa×ci sadła za skórę? - Jeszcze jak, bodaj szczezł! Nie w smak mu było, że bez jego rozkazu do bitwy poszedł. - Toć inaczej rozbiliby pancernych! - Wytlumacz to temu dziadowi! Bez rozkazu, powiada, waszmo×ć sobie poczynął, ×ciąć każe, przed muszkiety postawię! Buławą przy tym tak w stół uderzył, że go rozwalił. - Groźny on w gniewie, to prawda... Słyszałem, jak i oficerów obsobaczał, i choć nie o mnie chodziło, przecież poczułem strach, niby pacholik, co w tyłek ma dostać. - Jeszcze mu za dzisiejsze odpłacę! Nie naganiać, ale dziękować mnie powinien, że w porę z pomocą po×pieszył! - Wiele mu, wasza miło×ć, nie zrobicie. On hetman, a wy porucznik, to racja będzie zawsze jego. Po powrocie z Krakowa nastąpiły w samborskim dworze gorące dni. Radzono bez przerwy, biegali gońcy z pismami, a spraw było tyle, że pan wojewoda musiał trzymać ze dwudziestu posłańców, by choć paru w nagłej potrzebie było pod ręką. Nie mniejszą działalno×ć niż pan Mniszech i panowie Wi×niowieccy, a zwłaszcza Konstanty, przejawiał również i sam Dymitr. Listy do panów braci pisali wielmoże, on za× słał listy do dalekiej Moskwy i innych miast, bliższych polskiej granicy. Wyruszyli też zaufani ludzie jako posłowie na Ukrainę, do kozackich atamanów, a i jeszcze dalej, bo aż na Krym, do tatarskich chanów. Stamtąd za× dochodziły pomy×lne wiadomo×ci. Ruszali się Kozacy, były

też obietnice wsparcia przez czambuły. Czekał więc carewicz na rychły wyjazd, gdyż ostatnie wieści mówiły, że w wyznaczonym rejonie Lubienia pod Kijowem zaczynają się zbierać ochotnicy oraz zaciężni - czekają tylko na jego przybycie, by ruszać na wyprawę. Lato było u schyłku i należało kończyć narady i wymianę listów, a zabierać się do działania, by wojennych kroków nie wszczynać na samą zimę. Toteż na początku września wyruszył z Sambora dwór Dymitra i pana wojewody sandomierskiego. Pociągnął na Lwów, bo jako miejsce zgromadzenia wojsk wybrano Gliniany, gdyż teren Ukrainy był zbyt niebezpieczny ze względu na znaczne siły księcia Janusza Ostrogińskiego, przeciwnego moskiewskiej imprezie. W Glinianach założono obóz i przede wszystkim przystąpiono do porządkowania wojska. Zaciężnego żołnierza, a więc bardziej sprawnego i posłusznego dyscyplinie, nie było więcej niż siedmiuset ludzi, w chorągwiach: Mniszcha, Hryćka, Dworzyckiego, Fredry, i wreszcie piątej, Nieborskiego. Reszta była zbieraniną różnej hołoty i awanturników, którzy już zaczęli pustoszyć okolice Lwowa ku przerażeniu i łzom ludności. Toteż na pierwszej zaraz naradzie wybrano dowództwo wojsk. Głównym wodzem został wojewoda Jerzy Mniszech, z pułkownikami Adam Zaliwski i Adam Dworzycki. Postanowiono również wysłać zaufanych i bystrych ludzi z tajnymi misjami - między innymi do Czernihowa i Starodubia. Nowo ustanowiony hetman przystąpił natychmiast do porządkowania wojska i po jakimś takim uporaniu się z tym zadaniem zarządził pochód. Prowadził za wojsko z wielką ostrożnością, w obawie przed siłami księcia Ostrogińskiego, bo zbrojny z nimi konflikt mógł zakończyć się wojną domową. Do zbrojnego starcia wszakże nie doszło i wojska dotarły pod Kijów, w miarę zbliżania się do Dniepru coraz mniej obawiając się napaści, gdyż w marszu przez Ukrainę coraz to nowe oddziały, zwłaszcza Kozaków,

przyłączały się do pochodu. Kiedy więc armia Dymitra znalazła się nad Dnieprem, liczyła blisko piętnaście tysięcy ludzi, chociaż nie wszyscy zasługiwali na miano żołnierzy. Książę Ostrogski usiłował wprawdzie przeszkodzić przeprawie, usuwając na znacznej przestrzeni rzeki łodzie, krypy i promy, uporano się jednak z trudnościami i w październiku przekroczone Dniepr wchodząc na carskie ziemie. Tu hetman Mniszech wysłał przodem część swoich sił dla rozeznania zasięgu i stopnia oporu grodów leżących na szlaku jego marszu. Okazało się wkrótce, że grody nie zamierzały się bronić. Czernihów nie tylko otworzył bramy, ale witał oddziały jako swych oswobodzicieli. Z kolei poddały się i witały carewicza Morawsk, Putywl, Rylsk, Kursk, a zagony kozackie, podchodząc aż do Orła, opanowały Kromy. Tylko Nowogród Siewierski nie uznał jego zwierzchnictwa. Dowodzący silną załogą Piotr Basmanow odmówił poddania miasta samozwańcowi, zwąc go szalbierzem. Wojska otoczywszy gród przystąpiły do szturmów, które wszakże Basmanow dzielnie odpierał. Nastąpiła zima, ale działania wojenne trwały nadal. Nowogród bronił się zaciekle, w Moskwie zaś car Borys Godunow po wysłaniu jeszcze w październiku Piotra Basmanowa, by ten dał samozwańcowi pierwszy odpór, teraz organizował wielką armię. Sytuacja bowiem stawała się groźna. Car przerażony sukcesami samozwańca i radością, z jaką ten był witany przez ludność, która widziała w nim prawowitego następcę tronu, gorączkowo zbierał siły. Wkrótce więc ruszyło na odsiecz Nowogrodowi osiemdziesiąt tysięcy ludzi pod wodzą kniaziów Iwana i Dymitra Szujskich. Na wieść o tym marszu hetman Dymitra poniechał obleżenia i obrócił się przeciwko nadciągającej odsieczy. Doszło do bitwy, którą moskiewska armia przegrała. Tymczasem Mniszech ciężko zaniemógł, więc dla ratowania zdrowia udał się do Polski, a z nim i część

rycerstwa rozgoryczona zwłoką w wypłacie żołdu. Natomiast dowódcy rosyjscy, wsparci przez Basmanowa, zebrali rozproszone siły i przekupiwszy kozaków, by nie wzięli udziału w bitwie, 31 stycznia 1605 roku doszli samozwańca pod Dobroniczami, gdzie zadali mu druzgocącą klęskę. Z resztkami wojsk Dymitr zdołał jednak ujść do Putywła, skąd wysyłał błagalne listy o pomoc, przede wszystkim do swego przyszłego teścia. Nadal jednak zagrażała Moskwie silna załoga kozacka w Kromach. Wysłał więc tam car Borys bojara Szeremietiewa z nowo zorganizowanym wojskiem. Ale jego gwałtowne szturmy kozacy odpierali z twardą zaciętością, robiąc nawet udane wycieczki przeciw oblegającym. Szeremietiew postanowił przełamać ich opór w jednym ze wszystkich stron przypuszczonym szturmie. I byłby mu się ten zamiar udał, bo podpalony ostrokół gorzał już na dużej przestrzeni, gdyby nie zawiódł dowódca jego artylerii Michał Sołtykow. Nie wsparł bowiem w porę ataku ogniem swoich dział. Toteż i tym razem Kozacy zdołali się obronić, a zaraza dziesiątkująca moskiewskie wojska jak i liczne bunty zmusiły Szeremietiewa do zaniechania dalszych działań. W maju Basmanow i książę Golicyn podjęli jeszcze próbę zdobycia Kromów, ale wiadomość, która nadeszła z Moskwy, zmieniła radykalnie sytuację. Putywł również bronił się zawzięcie. W miarę jednak upływu czasu duch obrońców zaczął upadać; coraz częściej i głośniejsz sarkali żołnierze, buntowała się awanturnicza hołota. Dla podsycenia więc zapалу obrońców i przyciszenia malkontentów sekretarz i doradca Dymitra, Miechowicki, ułożył pismo pochodzące rzekomo od Chodkiewicza, w którym ten zapowiadał swoje rychłe przybycie z odsieczą. Istotnie, odczytanie tego listu przed zebraniem wojskiem wywołało pożądany skutek, bo sława litewskiego hetmana dotarła i tu. Tygodnie jednak upływały, minął kwiecień, nastał już maj, a o odsieczy nic nie było

słyszeć. Znow więc wojsko zaczęło szemrać i żądać poddania twierdzy, tym bardziej, że siła szturmów wzmagala się, a żołnierz stracił serce do walki. Miasto Putywl leży na prawym, w tym miejscu północnym brzegu rzeki Sejm. Moskiewskie wojska z tej więc tylko strony otoczyły go łańcuchem stanowisk, gdyż ciągnący się za rzeką pas mokradeł i bagien nie pozwalał na podejście. Ale odcinał również obleżonym wyjście z miasta, i to nawet zimą, gdyż najbardziej siarczyste mrozy nie skuwały bagien na tyle mocno, by możliwa była przeprawa. Była jednak już wiosna, pierwsze dni maja, a mimo to szły bagnami dwie postacie, wyraźnie rysując się na tle wieczornej zorzy. Posuwały się to wolniej, to szybciej, wśród krzaków łozin, trzciny i pojedynczych, lichych brzózek porastających teren. To niknęły wśród nich, to pojawiały się znow. Pierwszą był niski, barczysty chłop, odziany w łapcie i postrzępioną kurtkę, drugą szczupły mnich w burej opończy. Szli milcząc - chłop pokonywał przeszkody bez trudu, mnich z coraz bardziej przyśpieszonym oddechem. Mimo to trzymał się blisko przewodnika, bo jeden fałszywy krok groził zgubą w błotnej topieli. Wreszcie ujrzeli przed sobą równy pas sitowia, a za nim rzekę, lśniącą czerwienią od promieni zachodzącego słońca. Jeszcze kilka kroków i dotarli do szuwarów. Przewodnik miał wszedł w wodę i rozgarniając na boki trzciny, rozglądał się dokoła. Widać dobrze znał miejsce, bo ukryte czółno znalazł nieomal od razu. Drażone w kłodzie drzewa, zwane duszegubką, było niepewne i chybotliwe; przecież mnich był rad, kiedy poczuł pod sobą twarde drewno. Chłop ujął za długie wiosło i wysunął czółno na otwartą przestrzeń wody. Po przebyciu rzeki mnich pożegnał przewodnika i został w mroku zalegającym pomiędzy licznymi chałupami miasta, które dochodziły do samego brzegu. Kiedy dotarł do grodowego tyłu i został zatrzymany przez patrole straży, zażądał stawienia go przed

oblicze samego carewicza, jako że ważne i pilne niesie mu wiadomości, i to z samej Moskwy. W komnacie poza Dymitrem był jego doradca pan Miechowicki, pełniąc powinnośc przybocznego sekretarza, a prócz niego dwaj pułkownicy. Na widok tyłu twarzy przybysz odruchowo cofnął się, co widząc carewicz rzucił z uśmiechem: - Nie bój się, bracie, postąp bliżej. Jam jest Dymitr, twój car. Mów, od kogo i z czym przybywasz? Mnich był jeszcze młody. Miał ostre, niemal drapieżne rysy twarzy i wąskie, zacięte usta. Przesunął po obecnych spojrzeniem, któremu zdawało się nic nie uchodzić, i zatrzymał je na carewiczu. Ten uspokoił go: - Możesz mówić, jakbyśmy byli sami. To polscy dowódcy, którzy wspomagają mnie w złej doli. Teraz dopiero mnich skłonił się głęboko i prostując się przemówił: - Bądź pozdrowiony, carze wsiej Rusi, niech Bóg błogosławi tobie i tym, którzy cię wspierają! Jestem Bazyli z Wozniesieńskiego klasztoru i przybywam, aby donieść ci ważną wiadomość... Przysyła ją książę Worotyński. - Cóż to za wiadomość? Nie nadużywaj mojej ciekawości. - Car Borys Godunow żywot zakończył. Słowa te wywarły powszechne poruszenie. Oficerowie, przejęci usłyszaną wiadomością, utkwili spojrzenie w oblicze Dymitra, który nie mniej od nich był wstrząśnięty. Oto sam Bóg opróżniał mu miejsce na moskiewskim tronie! - Mamy zatem wyraźny znak Boży! - zawołał. - łaska Jego jest nade mną! Chwała niech będzie Panu, że tak jasno wskazał swą wolę! Pokornie chylę przed nim głowę w dziękczynnym pokłonie. Dymitr przeżegnał się, ale że uczynił to na rzymski sposób, po twarzy mnicha przemknął wyraz zdziwienia, jednak nie odezwał się, czekając na dalsze pytania. - Jakże do tego przyszło? - podjął indagację Dymitr. - Nie słyszałem, aby chorował? - Nikt nie wie, co było przyczyną śmierci, aczkolwiek naród sądzi, że podano mu truciznę. Carowi Borysowi krew się rzuciła nosem i

ustami, dławiąc gardło, i od tego zmarł. Potem kniaziowie Golicyń i Massalski wdarli się ze swą drużyną do komnat carowej, zawlekli młodego Fiodora do bocznej izby i mimo rozpaczliwej jego obrony tam go zakłuli, potem za× udusili carycę. Uratowała się jedynie córka Ksienia, ale i ją wtrącono do Włodimirskiego Monasteru. Polscy dowódcy, spojrzawszy po sobie, przeżegnali się ze zgrozą, jednak Dymitr wysłuchał relacji z rozradowaną twarzą. Skinął na Miechowickiego rozkazując: - Należy mu się suta nagroda za tak dobrą wie×ć! Zadbaj wa×ć, aby ją otrzymał! Brat Bazyli skłonił się w podzięcie nieomal do ziemi, nie wyjawiając jednak, że w rzeczywisto×ci był pisarzem kupca Aprochowa, dostawcy dworu kniaziów Worotyńskich, którzy także za przekazanie wiadomo×ci szczerze mu zapłacili. .nv Kiedy wyszedł, pułkownik Dworzycki odezwał się: - Ci za murami jeszcze chyba o niczym nie wiedzą, skoro nie zaprzestają szturmów. Inaczej przyszliby pokłonić się nowemu carowi. - Je×li dotarł do nas posłaniec, i to tajną drogą, oni na pewno już także o tym wiedzą - zaopiniował pułkownik Zaliwski. - Ale kniaziowie widać nie chcą tej wie×ci wojsku rozgłosić! - wyraził przypuszczenie Dworzycki. - Inaczej żołnierz poczułby się zwolniony z obowiązku służby, skoro nie stało tego, któremu przysięgał! Carewicz w milczeniu przysłuchiwał się tym uwagom. Wreszcie odezwał się z przekorą w głosie: - Skoro kniaziowie istotnie zataili wiadomo×ć o ×mierci Godunowa przed wojskiem, my to naprawimy. Postarajcie się waszmo×ć panowie, by nie tylko nasi żołnierze, ale i oblegający dowiedzieli się, co zaszło. Ogło×cie im to z murów. Lecz widać dowódcy przekonali swe wojsko, że kłamstwo to i zwykły wybieg, którym oblężeni chcą się ratować, bo szturmowały nadal, kilka wież spalono, powstały liczne ubytki w murach, które musiano łątać kłodami ×ciętych drzew i belkami z rozwalonych domostw, zasypując



je ziemią. Dzień w dzień grzmiały oblężnicze armaty, leciały żelazne lub ogniste kule, na drabiny wdzierali się brodaci, rozwrzeszczeni napastnicy. W kilka dni po przybyciu mnicha nadeszła chwila, kiedy zdawało się, że gród nie zdoła już odeprzeć kolejnej napa×ci. Masy atakujących wdarły się na znacznej przestrzeni na koronę murów, pięły się po barykadach ustawionych w miejscu dokonanych wyłomów. Gdzieś walczone już poza linią umocnień. Tego dnia dowódcy polscy przekonali się znowu, że Dymitrowi nie brakło odwagi, bo wdziawszy hełm i napier×nik chwycił za szablę i osobi×cie walczył w szeregach prostych żołnierzy, czym zagrzał ich do wzmożonego wysiłku. Ale i to nie pomogłoby na dłużej, jako że zbyt wielka była przewaga liczebna napastników, gdyby raptem nie rozległy się gdzie× z zewnątrz głosy trąb. Wezwanie dochodziło z kilku stron, było nagłace, trębacze musieli ulegać trwodze, bo dźwięki rwały się i brzmiały nieczysto. Na te sygnały napastnicy poczęli wycofywać się i porzucać drabiny. Po bitewnym zgiełku, szczęku oręza i krzyku nacierających nagły spokój oszołomił w pierwszej chwili obrońców. Spozierali na siebie nieufnie, nie pojmując, co by ten nagły zwrot miał oznaczać, toteż zaraz wszyscy wylegli na mury. Rozciągały się przed nimi nieprzyjacielskie linie okopów i szańców, stanowiska armat, a bardziej w tyle rozrzucone były skupiska namiotów i szałasów. Za nimi kłębił się teraz zażarty bój. W×ród masy pieszych żołnierzy widać było miotające się końskie łby, chwiały się husarskie skrzydła, błyskały w słońcu razy mieczów. Od strony za× pobliskiego lasu gnały w obłokach kurzu nowe oddziały jeźdźców z uniesionymi ponad głowy szablami. Z setek piersi polskich żołnierzy wyrwał się zgodny wrzask: - Nasi! Nasi! W nagłym zwrocie sytuacji i zaskoczeniu, jakie to spowodowało, Dymitr nie stracił jednak głowy. Mając przy sobie rotmistrza Borsza i pułkownika

Dworzyckiego rzucił grzmiącym głosem: - Rozwierać bramy! Uderzyć na tych psów! Nie będziemy chyba patrzeć, jak inni nadstawiają za nas karki! Na to wezwanie kto jeszcze jako tako mógł utrzymać się na nogach, pobiegł teraz ku otwierającym się wierzejom. Nagłe, wykonane z determinacją uderzenie na tyły broniących się formacji przesądziło wynik bitwy. Jak się potem okazało, jako pierwsi uszli z pola kniaziowie, pozostawiając Opatrzności los żołnierzy, a także zapasy, sprzęt i armaty. Carewicz sądził początkowo, że to moskiewscy przychylni mu bojarzy popieszyli z pomocą, ale polscy dowódcy zaraz wyprowadzili go z błędu, bo husaria łatwa była do rozpoznania. Wkrótce okazało się, że to kniaziowie, Konstanty Wiśniowiecki i Jan Roman Rożyński, wybawili go od zguby, i to w ostatniej prawie chwili. Dymitr witał ich na zamku. Przybyli nieomal z bitwy, jeszcze dyszący jej gorączką, w zbrojach i przy orężu, ale rozradowani zwycięstwem. Ostro dzwoniły ich ostrogi w ciszy zamkowej komnaty, kiedy szli ku Dymitrowi stojącemu na czele swojego orszaku. Wiśniowiecki był wzrostu raczej niskiego, miał nieco zadarty nos, ciemny włos na podgolonej głowie i takiż wąs nad szerokimi ustami. Książ Jan Roman Rożyński z domu Narymontowiczów, ostatniego z rodu Gedyminów, znany był z zapalczywości i zuchwałej odwagi. Niepohamowany w gniewie, którym łatwo wybuchał, lubił oddawać się pijaństwu, jednak wodzem był doskonałym. Głowę trzymał nieco przechyloną na lewe ramię, wysoki i barczysty, twarz miał pełną, płową brodę przyciętą półkolicie, a oczy jasne, prawie bezbarwne, podobne do kawałków lodu. Szli ramię w ramię i zatrzymawszy się przed Dymitrem złożyli mu pokłon. Carewicz podszedł ku nim i ująwszy za ramiona ucałował, a potem przyciskał ich do piersi w dziękczynnym uścisku. Prosił ich na ucztę, która wieczorem miała się odbyć. Już przy zapalonych wiecach

obsiedli stoły i choć jadło było zwykłe, żołnierskie, gdyż zamek długo był oblegany, było jednak czym się posilić przy opróżnianiu kielichów. Kiedy tak ucztowano, nadciągnęły w nocy chmury, czarne i groźne, i rozpętała się burza, jakiej nie pamiętali najstarsi mieszkańcy grodu. Mimo że był to dopiero maj, niesłychanej siły huragan zmiatał wszystko po drodze. Pioruny biły tak gęsto, jakby za oknami huczało tysiące dział, raz po raz nagle ×wiatło rozdzierało nocne ciemno×ci, białymi i silnymi rozbłyskami migotały okna. Ulewa była tak silna, że nie deszcz, ale istne strugi wody, niby lanej wiadrami, chlustały z czerni nieba. Resztki moskiewskiej armii schroniły się do lasów otaczających Putywl. żołnierze nawoływali się, skupiali w grupki i opatrując rany radzili, co dalej czynić i gdzie się obrócić. Kiedy rozpętała się burza, przyszło im przeżyć noc gorszą niż ubiegły dzień. W potokach wody, w ogniu trzaskających piorunów i wyciu wichru waliły się drzewa, gniotąc ludzi i konie. Nastąpiły chwile zguby straszniejsze niż za dnia, bo w nieprzeniknionej czerni nocy, w strumieniach wody, w×ród ogni gromów groźniejszych niżli oręż wroga. Toteż teraz więcej zginęło żołnierzy niż podczas dziennych zmagañ. Tak to Opatrzno×ć już zupełnie wyraźnie stanęła po stronie samozwańca. W ostatnich dniach maja carewicz Dymitr wyruszył do Moskwy i ciągnąc ×piesznym marszem, już nie napotykając oporu, czwartego czerwca stanął u jej wrót. Kiedy wynurzył się z lasów i znalazł na wzgórzu, ujrzał miasto. Wstrzymał konia i stojąc nieruchomo przez dłuższą chwilę, spoglądał w głębokim milczeniu na rozciągający się przed nim widok. Mrocznym kształtem rysowały się kontury wież i baszt, groźne swą potęgą, a jednocze×nie banie cerkiewnych kopuł migotały złotem, zdumiewając wspaniało×cią i bogactwem kolorów swych murów. Oto leżała przed nim stolica, dotąd daleka i wroga, ale do której wreszcie dotarł, by ją poskromić. Przeżegnał się

wolno i trącił konia ostrogą. Zbliżając się do luźno rozrzuconych, lichych chat przedmieścia, ujrzeli czarną masę ludzkiego mrowia, szumiącego gwarem i krzykiem tysięcy głosów. Dostrzeżono ich również. Od tłumu oderwał się nieduży oddział i szybko zbliżał do orszaku carewicza jadącego na czele husarskiej chorągwi. Wkrótce wyłonili się z obłoków kurzu brodaci mężowie, siedzący na wspaniałych rumakach o rzędach ozdobionych złotymi blachami, sadzonych szlachetnymi kamieniami, o bogatych, szytych złotem czaprakach, siodłach, których większość miała złote strzemiona. Grzywy koni kryła czerwona siatka, na łbach powiewały pęki cennych piór, u prężnych nóg brzęczały małe, srebrne dzwoneczki. Jeszcze wspanialsze pióra zdobiły hełmy jeźdźców. Odziani w lśniące, różnokolorowe kaftany i żupany, z sobolowymi futrami na ramionach, broń mieli równie wspaniałą bogactwem i różnorodnością ozdób, bo sadzoną diamentami, rubinami, szafirami, perłami. Zeskoczyli przed carewiczem z koni i bijąc pokłony zbliżali się kolejno do jego strzemienia, dotykając go czołem. Carewicz także zeskoczył na ziemię i ujmował każdego za ramiona w powitalnym geście. Basmanow i Golicyn, którzy po śmierci Godunowa odstąpili od oblężenia Kromów i zgłosili swe wiernopoddaństwo, stojąc teraz za nim, wymieniali nazwiska kniaziów i bojarów. Kiedy prezentacja dobiegła końca, Dymitr przesunął spojrzeniem po otaczających go bojarach. - Witalem przed chwilą kniazia Wasyla Mściławskiego. A gdzież jest Fiodor, mój niedawny przeciwnik? Czyżby nie zechciał uścisnąć mi ręki na zgodę? Walczyliśmy wprawdzie ze sobą, ale dziś należy o tym zapomnieć. - Ranny od padającego drzewa w łożu spoczywa, ojczulku carze - odpowiedział Wasyl. - Chciał z całego serca pokłon wam złożyć, ale sił zabrakło. - A Iwan i Dymitr Szujscy? A Wasyl? Ich także tu nie ma! Przez grupę bojarów przeszedł szmer zakłopotania,

odpowiedział zza pleców carewicza Piotr Basmanow: - Widać nie znając waszej carskiej łaskawości, woleli zostać w domu... - Niechże mi tedy oddadzą pokłon na Kremlu. Chętnie ich przyjmę, bo ustał już czas walki i wolą moją jest, by spory ucichły! I nie czekając na odpowiedź, obrócił się do konia i lekko skoczył na siodło. Bojarzy także podosiadali swoich wierzchowców i przyłączyli się do wity. Wkrótce wjechali w gęstą, rozkrzyczaną ludzką ciżbę. Wysunięty na czoło oddział Kozaków i postępująca za nim husarska chorągiew rozpychały ludzi końmi, w razie potrzeby imając się batogów, toteż orszak, choć wolno, ale i bez cisku, podążał wśród kłębiącego się tłumu witającego z entuzjazmem nowego cara z rodu panującego mu od wieków. Dymitr pozdrawiał ludność dłonią z dobrotliwym uśmiechem na twarzy. Był to pierwszy błąd, jaki popełnił, bo naród był nawykły wielbić władcę i uważać go za godnego szacunku, jeżeli ten był okrutny i srogi. Poddani są od tego, by bić pokłony, dawać wyraz pokornemu posłuszeństwu i radości z widoku władcy, ale muszą się go bać. Car zaś, istotnie godzien respektu, w ogóle nie powinien dostrzegać objawów uwielbienia i hołdu. Z tego jednak Dymitr nie zdawał sobie sprawy, bo dorastał i wchodził w dojrzały wiek na obczyźnie, gdzie panowały inne pojęcia i obyczaje. W miarę jak orszak posuwał się w głąb miasta, zabudowa gęstniała, ale nadal domy otaczały brzozy lub owocowe sady, a wśród nich stały tu i ówdzie małe kapliczki. Droga nadal była piaszczysta, nie zabrukowana; na rogach bocznych ulic tkwiły słupy z ikonami, a pod nimi skupiali się żebracy. Miejscami migotały stawy, ich bagienne brzegi porastało sitowie; poza ostrokołami obronnych palisad, otaczających bojarskie dwory, sterczały studzienne żurawie. Rycerze polscy rozglądali się ciekawie dokoła. Nie dostrzegali domów murowanych. Wszędzie, nawet te okazałe, stawiane były z bali, między nimi zaś tkwiło i wiele kurnych chat z

otworami w dachu do odprowadzania dymu. Wkrótce przebyli płytki bród na Nieglinnej ze stojącym przy niej wodnym młynem i minawszy obszar Ziemianego Grodu przez bramę w przysadzistej baszcie wjechali do dzielnicy zwanej Biełogorodem, otoczonej kamiennym murem. Ujrzeni zabudowę bardziej regularną, domy bardziej okazałe, choć również budowane z drewna, ale imponujące bogatym zdobieniem, często barwione różnokolorowym malowaniem. Pojawiły się pierwsze kramy, a stojący przy ladach kupcy ciekawie przyglądali się orszakowi, również i tu witanemu przez wyległą ludność okrzykami i wzywaniem Bożej opieki nad potomkiem Rurykowiczów. Następną linię obronną stanowił także mur, lecz znacznie mocniejszy, z licznymi wieżami. Leżał za nim Kitajgorod, już bezpośrednio łączący się z otoczoną własnymi murami dzielnicą Kremla - siedzibą moskiewskich carów. Po minięciu mrocznej czeluści bramy wjechali w moszczone balami ulice. Stąd w odstępach między domami widać już było baniaste, złote kopuły licznych kremlofskich cerkwi. I tu tłum witał ich okrzykami. Sprzedawcy blin i syty - miodu rozpuszczonego wrzątkiem i zaprawionego korzeniami - zachwalali swój towar, przystawali mnisi i podziwiając ciągnących z wolna jeźdźców, zegnali się raz po raz czy to z podziwu, czy też na intencję młodego carewicza. Wkrótce wjechali na obszerny plac - Krasnuju Płoszczad - centralne targowisko miasta, zwane potocznie Pożarem, po wielkim pożarze, którym przed trzydziestu kilku laty Tatarzy zniszczyli miasto. Po obu stronach stojącej tam cerkwi Wasyla Błazennego ciągnęły się szeregi kramów. Kręcili się tu skoromachy, wędrowni grajkowie i kuglarze, a wśród gęstej ciżby chłopów i wszelkiego rodzaju biedoty szukali zdobyczy złodziejaskowie, śpiewali pieśni żebracy, tu i ówdzie czerwieniały kaftany strzelców rozstawionych dla strzeżenia

porządku. Ulice były kręte i wąskie, toteż ludzie tłoczyli się tu głowa przy głowie. Jednak czołowe oddziały poprzedzające orszak rozpychały bezwzględnie gawieź i biada temu, kto na czas nie zdążył usunąć się z drogi. Końska pier~~x~~ obalała go na ziemię i miał szczę~~x~~cie, je~~x~~li zdołał uniknąć kopyt. Przed Błogowieszceńską Cerkwią leżały rozłożone dywany i stał szpaler strzelców ciągnący się aż do jej szeroko otwartych drzwi. Dymitr zsiadł z konia i ruszył ku grupie ruskiego duchowieństwa, które czekało tu na niego z metropolitą na czele, dzierżąc w rękach krzyże, ikony i kadzielnice. Szedł z odkrytą głową i zatrzymawszy się, wysłuchał powitalnego przemówienia metropolity, po czym przy biciu dzwonów i pie~~x~~niach ~~x~~piewanych przez popów wkroczył w dymie kadzideł do cerkwi. Ceremonii tej towarzyszył grzmot kotłów i trąb polskiej orkiestry wojskowej, co ruskie duchowieństwo bardzo wzięło za złe przyszłemu monarsze, poczytując to za lekceważenie rodzimej wiary. Wiele też było krytycznych głosów tak w~~x~~ród bojarów, jak i zwykłego pospólstwa. I to był drugi błąd popełniony tego samego dnia przez carewicza Dymitra. Termin ~~x~~lubu Maryny wyznaczono na listopad 1605 roku. Na miejsce odbycia tej uroczysto~~x~~ci wybrano kamienicę księdza Firleja, gdzie rozebrano nawet niektóre ~~x~~ciany, by powiększyć komnaty. W jednej z nich ustawiono pięknie ustrojony ołtarz. Do Krakowa przybyło liczne, bo dwie~~x~~cie koni liczące poselstwo z Moskwy pod wodzą Afanazego Biezobrazowa. Miał on w imieniu carewicza złożyć małżeńskie ~~x~~lubowanie. Na uroczysto~~x~~ć nadjechał jako pierwszy kardynał i biskup krakowski Bernard Maciejewski w towarzystwie nuncjusza Rangoniego, wkrótce po nich moskiewski poseł z całym orszakiem, a po niedługim oczekiwaniu na jego królewską mo~~x~~ć przybył i on w towarzystwie królewicza, szwedzkiej księżniczki Anny i liczego dworu. Król udał się do komnaty ~~x~~lubnej i zajął

przygotowany dla niego fotel. Poseł uderzył mu zaraz czołem, na co monarcha nawet nie skinął głową, natomiast kiedy poseł zbliżył się, by wraz ze swoim orszakiem ucałować królewską rękę, stojący przy nim królewicz, tak jak czynił to przed każdym, zdjął kołpak. Zaraz po tym powitaniu ukazał się przed ołtarzem kardynał odziany pontyficaliter, z kosztowną infułą na głowie, a za nim dwaj prałaci w kapach szytych perłami. Inni księża postępowali w komzach. Para carskich paziów rozłożyła jedwabny kobierzec, na którym stanął moskiewski poseł w towarzystwie sieradzkiego wojewody Koniecpolskiego i starosty gnieźnieńskiego Przyjemskiego. W chwilę potem wprowadzili oblubienicę - wojewoda łęczycki Miński i starosta małogoski Oleśnicki. Maryna ubrana była w powłóczystą, białą suknię wyszywaną perłami i złotą nicią. Na głowie miała koronę, a w czarne warkocze wpięte perły i drogie kamienie. Zabrał głos Biezobrazow i w imieniu cara żądał panny od wojewody sandomierskiego, prosząc go jednocześnie o ojcowskie błogosławieństwo. Po nim wygłosił przemówienie kanclerz litewski Lew Sapieha, a wreszcie - od stopni ołtarza - również i ksiądz kardynał. Odprawiano "Veni creator", potem wszyscy klękli, z królem włącznie, prócz moskiewskiego posła i szwedzkiej królowej. Przystąpiono teraz do ceremonii zaślubin. Ksiądz kardynał zwrócił się najpierw z paru słowami upomnienia do panny, by wierna była religii oraz krajowi. Potem spytał carskiego posła, czy car nie zaślubił dotąd komu innemu, co wywołało niespodziewany incydent, gdyż ten odpowiedział: "A szto ja znaju?" Upomniany zaś, uzupełnił: "Kaliby on zaślubił, to by mnie zdziwił!" I na inną odpowiedź mimo perswazji zgodzić się nie chciał, mówiąc: "Z panną Maryną ja mam howoryt, a waćpanna zaślubić carowi, a poseł za cara, pannie!" Kiedy przyszło do wymiany pierścieni, podano mu skrzyneczkę. Wyjął z niej pierścień z diamentem wielkości



dużej wi×ni i podał kardynałowi, ten za× włożył go na palec panny młodej. Otrzymanego za× od niej w rękę nie ujął, lecz podstawiał skrzyneczkę, którą zaraz zamknął. Potem przy wiązaniu rąk stułą swoją okrcił najpierw kawałkiem materii. Dopiero upomniany przez kardynała i przybocznych polskich panów, acz niechętnie, jednak ustąpił i ujął w dłoń rękę Maryny. Po zakończeniu ceremonii ruszono do stołu. Przodem szła carowa, za nią szwedzka królowna, za nimi postępował poseł. U stołu Maryna siadła po prawej, królowna szwedzka po lewej ręce jego królewskiej mo×ci, który uchylił czapki, gdy carowa zajmowała swe miejsce. Przy tymże stole zasiadło około czterdziestu członków moskiewskiego poselstwa. Przynie×li oni podarki dla carycy, których wyliczyć wszystkie trudno, ale były między innymi: pier×cień złoty z diamentem, krzyż z dwiema perłami i węzem z rubinów, a pod nim figurka Mojżesza wysadzana obficie różnymi kamieniami, pióro ze złota misternej roboty, oprawne w same rubiny dwie zapony, jedna większa, z diamentem, rubinami i perłą, wielko×ci małej gruszki, wór złoty, leżący, a w nim różne gospodarskie naczynia, czara wielka, złota, z kamieniami i perłami, zegar ozdobiony złotym słońcem, z którego, gdy biły godziny, trąb dwana×cie trąbiło, bębny biły i grały flety. Z kolei złożono soboli szesna×cie sorok, aksamitu weneckiego, szytego złotem, kilka sztuk, altembasu białego sztukę na sto łokci, złotogłowiu sztukę, srebrnogłową drugą, atłasów tureckich kilkoro, aksamitów, altembasów dużo różnych, wreszcie cztery tysiące osiemna×cie łutów pereł. Nie były to jednak wszystkie podarki, bo na początku następnego roku przywiózł pan Baczyński i wręczył w obecno×ci kardynała biskupa krakowskiego i innych dygnitarzy polskich i litewskich: cegły ze złota, które sze×ciu chłopca niosło ledwie dźwigając, wagę z 500 tysiącami monet złotych i srebrnych, z których dla pana wojewody 300 tysięcy, dla pana starosty

łęczyckiego 100 i dla carowej także 100 tysięcy, a poza tym krzyżyk diamentowy z wyrzeźbionym napisem "Maryna", w porożku piękny, wycinany, wielki diament szacowany na dwanaście tysięcy i dziewięć pereł wielkości dorodnych wisien, paciorki i koronki z pereł, wielki kanak różnymi kamieniami wysadzany, złota skrzynka, także sapecik, różne złote naczynia wysadzane szlachetnymi kamieniami, misy, roztruchany, półmisków dwanaście, puzdro talerzy, wszystko ze szczerzego złota. Prócz tego Biezobrazow ofiarował władczyni od siebie dwa soroki soboli, a panu wojewodzie przekazał od cara tarantowego konia z siodłem z aksamitu, złotem przybrany buńczuk ze złotą gałką, buławę ze złota także sadzoną kamieniami, kobierców perskich cztery i innych podarków sporo. Poseł u stołu siadł z drugiego boku carowej, królewicz zaś przy szwedzkiej królownie. Za królem, przy jego lewym ramieniu, stał krojczy. Z kolei zajęli miejsca książdz kardynał i nuncjusz. Gdy król jegomości ręce w podanej misie umywał, wszyscy powstali. Carowa i królowna umywały je siedząc, poseł wszakże nie chciał rąk obmyć. Dla kardynała i nuncjusza inną towaźnię i wodę przyniesiono. Dworzanom królewskim u krańców stołu jeszcze podawano wodę, kiedy słudzy pana wojewody poczęli wnosić półmiski. Krojczy królewski sposobił potrawy królowi, zasię pan Domaracki carowej, jako jej krojczy. Królestwo jedli z półmisków pozłocistych, natomiast carowa, kardynał i poseł - ze srebrnych. Ponieważ panna młoda nie jadła, poseł także odmówił jedzenia bojąc się cara. Gdy król pił do gospodarowej zdjąwszy czapkę, wszyscy wstali. Królowna Anna posłała do niej swego podczaszego z powinszowaniem, za zdrowie pijąc, kiedy wstała i ujęła kielich, podniosła się i carowa. Obie kłaniały się sobie nisko, ale niżej carowa. Potem piła carowa do królewicza, a ten do posła. Biezobrazow ujmując kielich wstał i stanąwszy za swym krzesłem, pił

zdrowie księdza kardynała. Kiedy za× Maryna za wskazaniem rodzica, który do niej podszedł, piła zdrowie cara, poseł nie tylko wstał ze stołka, ale w bok od niego odszedł i zażądał ×wieżego kielicha. Przy prawym stole siedzieli biskupi oraz dostojnicy Korony i Litwy, przy lewym członkowie moskiewskiego poselstwa, a także co znaczniejsi dworzanie królewscy. Po wetach nastąpiły tańce, które król rozpoczął z carową. Po tańcu król skinął na posła, by prosił ją także, ale ten odmówił, jako że nie ×miał dotknąć osoby władczyni. Przy końcu ceremonii pan wojewoda prowadził córkę przed króla, by dziękowała mu za doznane dobrodziejstwa. Kiedy przed nim uklękła, podniósł ją, odkrywszy na chwilę głowę, i miał do niej przemowę, napominając, by swego małżonka wiodła do dobrego sąsiedztwa, aby w bojaźni Bożej żyła i potomstwu swemu, je×li Bóg je da, także to wpajała, w obyczaju polskim smakowała, a naród ruski skłaniała do dobrej przyjaźni z polskim. Skończywszy, ponownie głowę odkrył i błogosławił ją, a ona znów przyklękła, łzy roniąc. Potem król odjechał na zamek, a posła carskiego pan wojewoda osobi×cie aż do karety odprowadził ku jego ukontentowaniu, gdyż i królewską kareta na kwatere wracał, i w towarzystwie przyjaciół pana Mniszcha. Mniej wszakże zadowoleni byli jego dworzanie, o których mówiono, że trunków w czasie uczyt nadużyli, a mięsiwo i inne potrawy rękami z mis brali i do ust nie×li. Natomiast pan poseł nie jadł wcale, a pił mało i trzeźwo×ć zachował. Widząc to król posłał pana Woynę z pytaniem, czemu pan poseł od jadła się wstrzymuje, na co ten odpowiedział, że nie godzi się je×ć z monarchami. Kiedy za× poszedł Woyna do niego powtórnie z królewską uwagą, że winien je×ć, gdyż swego pana sobą przedstawia, poseł dziękował królowi za te słowa, ale prosił, aby mógł kontentować się tylko patrzeniem na osobę polskiego władcy i szwedzkiej królowej. Pił potem król

Zygmunt do niego ze cztery razy za zdrowie jego monarchy, co poseł spełniał, lecz mało i ostrożnie, wstając ze stołka i za każdym razem skłaniając się carowej do nóg. Wszakże nazajutrz, kiedy nastąpiła odprawa poselstwa, żalił się obrażony, że nie użyto przy imieniu jego pana carskiego tytułu, a tylko kniazem hospodarem nazywano, a także i o to, że caryca królowi do nóg przypadła. Odpowiedziano mu, że król nie tylko dobrodziejem jej jest, ale i dopóki nie opuściła Korony, pozostaje jego poddaną. Przypomniano mu przy tym, że u stołu jeść nie chciał, co było przeciw obyczajom kraju. Odpowiedzi były oziębłe, bo dostrzeżono, że Biezobrazow płaszcz na dwie strony nosi. Okazując bowiem czołobitność carowej i czcząc osobę jej małżonka, jednocześnie jeszcze przed weselem ostrzegł panów kanclerza Sapiehę i starostę wielickiego Gosiewskiego - mając ponoć ku temu tajemne zlecenie kniaziów Szujskiego i Golicyna - że król jegomości dał się zwieść oszustowi, którego im za cara narzucił. Obiecywał przy tym, że Moskwa chętnie przyjmie na tron królewicza Władysława. Wszakże ani król, ani sandomierski wojewoda nie dali temu wiary. Już zbierały się więc chmury nad głową młodej dziewczyny, których nie chciano jednak dostrzec. Niedługo po pogromieniu Lindersona, a potem Erichtona chorągwie coraz głośniej domagały się zapłaty za służbę. Zwłaszcza wyrównania zaległości, które wciąż rosły powodując dotkliwy niedostatek w pokrywaniu potrzeb. Mimo bowiem molestacji, prób i grózb, tak listowych jak i osobistych, Rzeczpospolita, zajęta wewnętrznymi waściami, o wojsko mało dbała. Nie łagodziło goryczy pana Chodkiewicza nadanie mu w uznaniu zasług wielkiej buławy litewskiej. Wzrastająca niecierpliwość wojska groziła coraz wyraźniej otwartym buntem. Toteż hetman był wiadom, czym się skończą pełne pogroźek przemówienia przywódców, słuchane przez żołnierską brać ze zgodnym aplauzem. Na ich czoło

wysunął się Aleksander Lisowski z husarskiej chorągwi pana Niewiarowskiego. Jego wystąpienia były najgwałtowniejsze i najskuteczniej trafiały do żołnierskich umysłów, więc gniew hetmana obracał się głównie przeciw porucznikowi. Pod koniec 1604 roku istotnie doszło do buntu. Zerwały się chorągwie nie tylko pana Niewiarowskiego, ale i Kosedowskiego, a także Jana Sapiehy. Ruszyły na zachód, do spokojnej dotychczas Kurlandii, siejąc wśród mieszkańców zgrozę rabunkiem i gwałtami. Pisał więc pan hetman do kanclerza litewskiego Lwa Sapiehy dnia 10 grudnia 1604 roku: "...ładne perswazje, żaden wzgląd na dostojęństwo majestatu ani na powagę jurisdictii mojej nie ważą... Kurlandia wiecznie zapamięta to naj×cie nieprzyjacielskie, podarta, splądrowana, białogłowy w plon jęte. Umierałem z żalu słysząc płacz, narzekanie i skwierk zewsząd zachodzący..." Znikome siły, bo zaledwie kilka chorągwi i załogi po twierdzach pozostały przy hetmanie. Położenie więc stawało się wręcz dramatyczne wobec wie×ci, jakie zaczęły napływać ze Szwecji. Oto Karol IX nie zważając na poniesione klęski, a może wła×nie dlatego, uzyskał od parlamentu znaczne ×rodki na nową wyprawę, a werbował żołnierzy w całej Europie, głosząc jednocze×nie, że osobi×cie poprowadzi wyprawę, by opanować Inflanty. A tymczasem styczniowy sejm 1605 roku całe krasomówstwo posłów obracał na krytykowanie króla i jego polityki, nie uchwalając żadnych podatków na rychłą wojnę, która groziła na północnych rubieżach. Zdobył się jedynie na uchwalenie banicji, której podlegać mieli przywódcy spisku. Tak więc Chodkiewicz miał znikomą garstkę żołnierzy, bo liczącą mało co więcej niż tysiąc ludzi, przeciw czternastotysięcznej armii szwedzkiej, która w sierpniu pod wodzą Karola IX wylądowała w Inflantach. Jednak zbuntowane chorągwie, dawszy upust nagromadzonej w×ciekło×ci, jak i mimo

wszystko odpałszy sobie i konie, na wieć o nowym najeździe zrozumiały lub i żołnierskim instynktem wyczuły konieczność wspólnego przeciwstawienia się niebezpieczeństwu. Wygodne było kurlandzkie leże, ale zbyt wyraźna zawisała nad głowami groźba, że Szwed kolejno wydusi ich w kojcach, jeżeli na czas nie poddadzą się jakimukolwiek dowództwu. Zgłosiły więc wolę powrotu, jeżeli hetman pućci w niepamięć ich samowolę. Hetman, początkowo zawzięty w gniewie, nie chciał ani słyszeć o wybaczeniu niesubordynacji, lecz z czasem się uspokoił i z wolna, choć z goryczą, pod wpływem swoich dowódców począł zmieniać zdanie. Dobro sprawy istotnie wymagało zespolenia wszystkich sił, cenna stawała się każda szabla i kopia, dlatego zgodził się w końcu przyjąć niesfornych pod swoją buławę. Nadszedł więc dzień, kiedy porucznik Lisowski znów stanął przed jego obliczem w obozie pod Dorpatem. W izbie poza hetmanem byli: Jan Sapieha, kasztelan Paweł Niszczycki i Szczęsny Niewiarowski. Kiedy porucznik wszedł, bynajmniej nie z pokornym obliczem, hetman zacisnął mimo woli usta, jakby obawiał się, że nie zdoła pohamować ostrych słów. Odezwał się dopiero wtedy, gdy Lisowski, złożwszy ukłon, wyprostował się i czekał, aż dygnitarz pierwszy zabierze głos. - Tak że to, moćci poruczniku, służycie matce ojczyźnie? Gwałt zadajecie spokojnym ludziom i niszcycie ich dobytek! - Gwałt żołnierz czynił tam, gdzie wzbraniano mu zaspokoić głód, wasza wielmożność. Zezwólcie mi wszakże także zadać pytanie. Czemuż to ta matka ojczyzna nie dba o tych, co karku nadstawiają w jej obronie?! Gdzie były te zgniłki, co na banicję mnie skazały miast sięgnąć do mieszka i zapłacić za żołnierski trud?! A kiedy żołnierz, głodny i obdarty, poszedł swego szukać i jako tako pożywić się, zdrajcą ojczyzny go zwą! - Krwi przelanej i zadanych gwałtów żadna racja nie zmaże! - Mało, że waćpan

własną chorągiew na rabunek wyprowadził, to× jeszcze i moich ludzi za sobą pociągnął! - wybuchnął Sapieha. - Trzeba było waćpanu należne im wpłacić, to by za mną nie poszli! - równie gwałtownie odpowiedział Lisowski. Sapieha sięgnął do szabli, lecz wstrzymał go karcący wzrok hetmana. - Nie nowe spory nam prowadzić, ale stanąć ramię przy ramieniu i zgodnie i×ć na nieprzyjaciela - fuknął Chodkiewicz. - Ciężkie czekają nas termina i tylko w zgodzie możemy stawić im czoła. Toteż proszę waszmo×ciów poniechać wa×ni, jako i ja zapominam o owej samowoli i naruszeniu wojennej dyscypliny. - Z kolei hetman obrócił spojrzenie na porucznika. - Mocą prawa banicję zawiesza się temu, kto z szablą staje w potrzebie. Toteż zawieszam i ja ten wyrok, co nad waćpanem ciąży, a je×li godnie stawać będziesz, tedy masz mój parol, że będzie zniesiony. Lisowski skłonił się, a kiedy wyszedł, kasztelan powiedział: - Tak to z nimi jest, do buntu skorzy równie jak do bitwy... - Do buntu przymusił ich głód - odezwał się Niewiarowski - a do bitwy skłania żołnierska fantazja. Dostrzegam w tym różnicę. - Ten Lisowski - mruknął hetman - daleko może zaj×ć. Gdyby z możniejszego był rodu, już by o nim było słyhać. - W istocie rogata to dusza, ale i dowódca, za którym żołnierz pójdzie choćby do piekła. Dlatego porucznikiem u mnie został! - zakończył z nutką przechwałki pan Niewiarowski. Wkrótce zaczęły napływać do obozu, jak je oględnie zwano: kurlandzkie chorągwie. Więszo×ć ludzi była już na wschodnim brzegu Dźwiny, więc kiedy nadbiegli gońcy z wiadomo×cią o hetmańskiej łasce wraz z wezwaniem do po×piechu, szybkimi marszami ×ciągnęli pod Dorpat, tak że z początkiem sierpnia miał pan Chodkiewicz pod rozkazami dwa tysiące czterystu jezdnych i tysiąc piechoty. Były to jednak wobec szwedzkiej przewagi siły znikome. W pierwszych dniach sierpnia wylądował pod Rewlem generał Linderson na czele pięciotysięcznego

korpusu, a była to tylko jedna trzecia szwedzkich sił. Uporządkował wojsko i ruszył ku południowi, co wskazywało, że zamierza uderzyć na Felin. Chodkiewicz postawił więc swoje wojsko na nogi i zamierzał iść mu naprzeciw, ale tuż przed wymarszem z obozu nadeszły z kolei wieści z Rygi. Wylądował tam drugi ze szwedzkich generałów, hrabia Mansfeld, na czele czterech tysięcy żołnierzy i przystąpił do oblężenia miasta jak i pobliskiej twierdzy Dyjament, obsadzonej przez polską załogę pod dowództwem Białozora. Powiadomiony o oblężeniu Rygi i prośbie jej obrońców o pomoc hetman zmienił decyzję, gdyż z chwilą zdobycia tego portu król szwedzki miałby otwartą drogę do Inflant. Ruszył zatem nie przeciw Lindersonowi, ale z pomocą Rydze. Idąc komunikem, w pięć dni dotarł do Wolmaru, gdzie zatrzymał się, by dać wojsku, a zwłaszcza piechocie, nieco odetchnąć. Tam napotkał go goniec z Dyjamentu z pismem od Białozora. Kiedy hetman je przeczytał, wezwał do siebie oficerów ukazując rozradowaną twarz. - Dostałem dobre wieści! - Końcem palców uderzył w trzymany papier. - Pisze mi Białozor, że z zaciężnym żołnierzem ma do czynienia, który zbytnej zapalczywości nie okazuje, toteż szturmujemy z Bożą pomocą pomyślnie odpiera. A także ponoć i ryżanie dobrze sobie radzą i bez naszej pomocy. - Pierwszy to słoneczny promyczek po chmurnych dniach - rzucił uradowany Lacki. - Pociągniemy zatem z powrotem ku północy i powtórnie zmierzmy się z Lindersonem - zdecydował hetman. - Jeśli go pobijemy, wówczas przyjdzie kolej na Mansfelda. W taki sposób, bijąc generałów kolejno, mamy jaką taką szansę wyjść z opresji obronną ręką. Zawrócone z drogi tabory przybyły pod Felin w tym samym czasie co i główne siły Chodkiewicza, większość więc chorągwi obozowała pod namiotami. Mało jednak żołnierz miał korzyści z zakończenia marszu, bo hetman nie dał mu wytchnąć. Nie zastał już



bowiem pod miastem szwedzkiego generała, gdyż ten na wieść o zbliżaniu się Polaków zaniechał oblężenia i cofnął się w lasy, gdzie, jak raportował Lisowski, założył warowny obóz. Robił stamtąd wprawdzie zbrojne wypadki, wysyłając silne oddziały głównie po żywność, ale do bitwy nie był skory. Chodkiewicz widząc, że jego wyprawa pod Felin okazała się daremna, szarpał tylko wroga, gdzie zdołał go dopaść, ale nic więcej nie mógł uczynić. Położenie pogorszyło się więc, i to znacznie, gdyż groźba połączenia się wszystkich szwedzkich sił stawała się coraz bardziej realna. Stała się za już zupełnie bliska, kiedy dowodzący teraz Kozakami porucznik Lisowski doniósł, że Linderson opuścił swój obóz i nadal trzymając się zalesionego terenu, ciągnie ku Parnawie. A stamtąd przyszły również złe wieści. Nadpłynął król Karol i wylądowywał swe wojska, do których już dołączył Linderson. Ich połączone siły ruszyły na południe, trzymając się morskiego brzegu. Cel tego marszu nie nasuwał wątpliwości - była nim Ryga, nadal bezskutecznie oblegana przez Mansfelda. Połączenie wszystkich trzech szwedzkich korpusów również nie nasuwało wątpliwości. Tak wielkie siły rychło przełamałyby opór obrońców, a wówczas miałby Karol w Rydze dostateczną bazę operacyjną do opanowania Inflant. Dobrze rozumiał tę groźbę hetman, toteż wzmocniwszy jako tako załogę Felina, zarządził kolejny, trzeci już marsz w stronę wrogiem. Znow minął bokiem Wolmar i stanął pod Kiesią. Pozostał tam przez osiem dni w dobrze obwarowanym obozie, penetrując bacznie okolicę. Miał nadzieję, że Szwedzi nie zechcą pozostawić go pod bokiem i postąpią ku niemu, by najpierw usunąć zagrożenie, zanim rozpoczną szturmowanie Rygi. Należało także zaczekać na bliskie już tabory ciągnące z Dorpatu, jak również na chorągwie byłego mistrza Zakonu Kawalerów Mieczowych, księcia Kettlera, obecnie pana Kurlandii i polskiego lennika, którego pomoc hetman miał

obiecana. Minęła już połowa wrze×nia, pogoda nadal trzymała się dobra, lecz pan Chodkiewicz chodził z chmurą na czole. Jedynie żelazna wola walki do ostatka, a być może i nieco nadziei pokładanej w dzielno×ci żołnierza, kazały mu nie tylko czekać na bitwę, ale i jej szukać, mimo że trzeba było stawać przeciw całej potędze nieprzyjaciela. Wreszcie na dzień 25 wrze×nia zarządził wymarsz. Szedł szybko i przebywszy dziesięć mil, wieczorem 26 wrze×nia minąwszy Askiel, stanął obozem na dwie mile przed Rygą. Założył go między traktem wiodącym do miasta a Dźwiną, która w tym miejscu mocno zwązła swój bieg. Przed sobą miał wzgórze z ko×ciołem na szczycie, zwane Kircholmem lub Kirchinsel, gdyż kiedy× rzeka miała tu boczne koryto, więc ko×ciół znajdował się na wyspie. Król Karol na wiadomo×ć o tak bliskiej obecno×ci nieprzyjaciela zwołał wojenną radę, na której zaproponował pozostawienie sze×ciu tysięcy żołnierza pod Rygą, reszta za× winna się zmierzyć z litewskim hetmanem. Uważał bowiem, że przeszło dwukrotna przewaga starczy aż nadto do pokonania Polaków. Jednak jego generałowie ostrzegli władcę przed skuteczno×cią husarii, o której dotąd mało słyszał. Karol nie odrzucił ostrzeżeń swoich generałów i zarządził wymarsz całej armii tegoż dnia na dziesiątą wieczór, by po nocnym marszu, jeszcze przed ×witem, uderzyć na nieprzyjaciela. Nocą jednak rozszalała się tak silna ulewa, że trzeba było wstrzymać pochód, toteż w Kircholmie stanął już za widna. Po nocnej nawałnicy ciągnęły po niebie płachty szarych chmur, gnane wiejącym górą wiatrem. Dmuchał on i nad ziemią, ale już nie tak silnie. Wojsko o pierwszej jasno×ci wyszło z obozu i ustawiało się podług hetmańskiego zarządzenia nie w linię bojową, ale w zwarte, marszowe kolumny. Od strony wschodniej, skąd nadciągnął już nieprzyjaciel, zasłaniało go obłe wzgórze. Pan Chodkiewicz w towarzystwie znaczniejszych dowódców

wjechał na jego szczyt, by obejrzeć szwedzkie szyki i podług tego ostatecznie ustalić plan bitwy oraz ustawienie własnych chorągwi. Przed orszakiem hetmańskim rozciągało się pole na ćwierć mili głębokie i pół szerokie. Po lewej ręce toczyła swój bury nurt Dźwina, zwązając koryto w pobliżu rozłożonego nad nią obozu, po prawej zamykał równinę las, kryjąc drogę wiodącą do wsi Kurtenhof; potem zakreślał szeroki łuk, którym obejmował polskie oddziały stojące jeszcze za owym obłym wzgórzem. Wojska miały więc za plecami ścianę lasu wraz z traktem wiodącym do bliskiej wsi Askiel, a dalej do Dorpatu. Po drugiej stronie pola wznosiło się także wzgórze, ale znacznie wyższe, obsadzone przez Szwedów. Roilo się już masą wojska uformowanego w bojowym ordynku. Za równymi szeregami piechoty, stojącej rozciągniętymi regimentami, zieleniały korony drzew cmentarza, ostro rysowała się na tle nieba wieża kircholmskiego kościoła, a nieco dalej widać było rozrzucone domy osady. Po bokach piechoty stały kornety jazdy. Dobrze odżywione konie tańczyły nie mogąc ustać w miejscu. Połyskiwały niby kolce jeża ostrza pik piechoty, lśniły na głowach dzierżących je drabów moriony. Jak obliczały wprawne oczy polskich dowódców, każda z jej kolumn liczyła co najmniej tysiąc ludzi ustawionych w trzydziści szeregów. Kolumn było razem jedenaście. Sześć formowało pierwszą linię, pięć drugą. Dowodził nimi generał Linderson. Na skrzydłach stali rajtarzy. Na prawym pod dowództwem hrabiego Mansfelda - osiem kornetów po stu dwudziestu ludzi w każdym, na lewym zaś pod dowództwem generała Brandta - dziesięć. Resztę w liczbie ośmiu kornetów stanowił odwód, który król zatrzymał przy sobie, stając za drugą linią piechoty. Nieco dział postawił przed pułkami piechoty, resztę w lukach jej linii. Razem więc siły szwedzkie liczyły ponad piętnaście tysięcy żołnierza. Długo lustrował wzrokiem pan Chodkiewicz szyki szwedzkich

formacji. Poza przewagą liczebną Karol miał również dogodniejszą pozycję. Z jednej bowiem strony jego wojska chroniła rzeka, z drugiej las i mokradła, zajmował przy tym wzgórze, co udaremniało skuteczność uderzenia husarii. Milczał więc hetman, ze ściągniętymi brwiami oglądając ten obraz, a jego towarzysze nie przerywali tego milczenia, gdyż jako dowódcy wiedzieli, o czym дума i dlaczego z oblicza nie schodzi mu troska. Kiedy wreszcie zaczął wydawać rozkazy, jego głos brzmiał jednak spokojnie: - Wać, panie Woyna, obejmiesz huf czelny i na mój znak jako pierwszy uderzysz na piechotę. Dostaniesz nie więcej niż trzystu husarzy, ale też nie liczę, że przełamiesz jej szyk. Zadaniem waszmości będzie zatrudnić ją od czoła i związać w walce. Ty, Tomaszu - zwrócił się z kolei do felińskiego starosty Dąbrowy - weźmiesz pięciuset husarzy, czterystu petyhorców oraz trzystu kozaków i uderzysz od lewego skrzydła. Po rozbiciu rajtarii prawego rogu uderzysz w bok piechoty zajętej walką z Woyną. Tobie zaś, panie Sapięha, poruczam skrzydło prawe w sile sześciuset kopii husarskich z takim samym zadaniem. Po rozbiciu lewego rogu Szwedów uderzysz także w bok piechocie. Jeśli zdołacie uporać się z rajtarią, piechota, wzięta w kleszcze, mimo swej siły długo oporu nie zdoła stawiać. - A moja piechota? - upomniał się pan Kamieński. - Będzie robota i dla ciebie, ale wprzód wyznaczę ją Lackiemu. Ty, Piotrze, weźmiesz dwustu husarzy jako odwód. Pozostaniesz z nimi na wzgórzu, gdzie będzie i moje stanowisko. Tam też stanie w odwodzie - tu hetman spojrział na pułkownika Kamieńskiego - twoja piechota. Wszakże prócz jednego regimentu, który ma jako pierwszy ruszyć ku Szwedom, i to zanim harcownicy zejną z pola. Nieprzyjaciel zapewne ruszy przeciw nim przeważającymi siłami. Niech zatem oporem podgrzeją mu krew, ale na dany znak obrócą się do ucieczki. Powiadom o tym żołnierzy. Chcę

bowiem tym sposobem wyciągnąć Szweda w pole. Jeżeli Karol ulegnie bitewnej gorączce i rzuci się do walki, wielce mi pomoże w moich zamiarach. Hetman zamilkł i spojrzął po oficerach, oczekując pytań. Ponieważ nikt się nie odzywał, obrócił się do Fittinga z ostatnim poleceniem: - Zbierz czeladź i ustaw ją w jeden albo i dwa oddziały piechoty, po czym ukaż się z nimi na drodze od Askiel. Mogą i oni wziąć udział w boju, ale głównie chodzi mi o pokrzepienie żołnierskich serc. A wy, panowie, rozgłoście wówczas, że to Radziwiłł przybywa z pomocą... Gdy skończył mówić, zza szczytów wzgórza zaczęły wyłaniać się polskie oddziały uformowane w marszowe kolumny, jakby dopiero teraz przybyły na plac boju. Marszowy, zwarty szyk zmniejszył wizualnie ich liczbę, toteż król Karol na widok owej, zdawałoby się, garści rycerstwa prychnął urągliwie i zawołał szyderczo do swego zięcia, księcia Luneburskiego, Fryderyka: - Także tchórzyl przed tym polskim mocipaniem, a on wojska ma tyle, że dłużej niż pół godziny w polu nie ustoi! Aż mi wstyd z taką garcią się potykać. Nie wiedziałem, że taki strachliwy! Oburzony zarzutem tchórzostwa młody książę zeskoczył z konia i w parę chwil był przy piechocie. Zerwał z głowy hełm, wydarł najbliższemu drabowi z rąk pikę i stanął na jego miejscu w szeregu. Karol udał, że tego nie dostrzega, i spojrzawszy w pole, nadal co kpiąco mówił do swego orszaku, a wreszcie zawołał: - Ruszają harcownicy i niecnie nam urągają! Nuże, panowie, dalejże skarcić ich za zuchwałóć! Na to wezwanie znalazło się wielu chętnych do popisania się przed królem sprawnócią bojową. Wkrótce jednak dostrzeżono, że niezbyt im się szczęciło. Tam bowiem, gdzie zmierzyła się polska szabla ze szwedzkim rapierem, ten niedługo migotał w powietrzu. Wnet walił się rajtar na ziemię, a jego rumak z pustymi strzemionami, kolebiącymi się u boków, galopował ku swoim. W czasie

kiedy harcownicy krzyżowali broń, krążąc wokół siebie na tańczących rumakach, na trakcie wiodącym od strony Askiel ukazały się kolumny piechoty z berdyszami, szpontonami, rohatynami, a nawet i toporami na ramionach. Szli dziarsko, prowadzeni przez oficerów na koniach. Na ten widok w polskich szeregach rozległ się radosny krzyk: - Pan Radziwiłł przybywa ze wsparciem! Niedługo trwało, a zaszło nowe, równie pomyślnie zdarzenie, lecz bardziej wiarygodne, wywołując nie tylko ogólny entuzjazm, ale już i pewno zwycięstwa. Bo nieomal zza szwedzkich szeregów, tyle że na drugim brzegu Dźwiny, ukazały się dwie mocno zbrojne chorągwie na rostrych wierzchowcach. Nie dbając o bliskość nieprzyjaciela, skąd mogli być rażeni ogniem muszkietów, jechali rysią wzdłuż rzeki. Minęli szczęśliwie szwedzkie stanowiska i znając widać głębokość nurtu, wparli wkrótce konie w wodę. Wydostali się szczęśliwie na brzeg i dalej idąc rysią, skierowali się ku polskim stanowiskom. Pognał zaraz ku nim hetmański goniec, gdyż klejnot księcia Kettlera, pana Kurlandii, był już na sztandarze wyraźnie widoczny. Istotnie on to właśnie jako wierny lennik Rzeczypospolitej przywiódł jej w ostatniej dosłownie chwili trzystu kopijników. Z hetmańskiego rozkazu dołączyli do szyku Woyny, a książę Kettler ruszył witać się z panem Chodkiewiczem, który wielce rozradowany wyjechał mu naprzeciw. Tymczasem zbliżało się południe. Regimenty piechoty i konne chorągwie już dawno zajęły swoje stanowiska, harcowników ubywało, więc hetman uznał, że pora zaczynać sprawę. Skinął przeto buławą, dając znak Kamieńskiemu, by ruszył swoją piechotę. Wyznaczony do natarcia regiment mierzonym krokiem począł schodzić po stoku. Szeregi szwedzkie nie ruszały się, jakby z zaciekawieniem obserwując poczynania przeciwnika. Dopiero jak regiment znalazł się u podnóża wzniesienia, rozległy się krzyki komendy, uniosły muszkiety i gruchnęła salwa, po

której ciemny dym pokrył na chwilę szeregi strzelców. Jednocześnie zagrzmiały i działa. Polski regiment z krzykiem setek piersi ruszył biegiem. Szwedzcy harcownicy uszli z pola od razu, polskich zaś otoczyła własna piechota, pociągając ich za sobą. Odezwały się szwedzkie trąby. Na ten sygnał czołowe czworoboki piechoty opuściły piki i ruszyły z miejsca. W miarę schodzenia ze wzgórza, przyspieszały kroku, by wkrótce z bojowym wrzaskiem ruszyć już biegiem. Zaraz też obie linie zwały się ze sobą i od razu szwedzka przewaga liczebna, mimo że nie ustępowali przeciwnikowi w sprawności, poczęła spychać Polaków. Trudno jednak przychodziło stawać naraz przeciw trzem czy czterem gemałom. Toteż mimo sprawnej i nieustępliwej obrony rychło zostali zmuszeni do cofania się, zachrypiały polskie trąby i na ten sygnał polscy piechurzy zaniechali walki i rzucili się do ucieczki. Widząc to król Karol stojący pod chorągwią, na której dumny napis głosił: "Sum, Sum, Sum", zawołał do otaczających go oficerów: - A co, czyż nie mówiłem, że nie dotrzymają pola?! Jeszcze nie dobraliśmy się im do skóry, a już tył podają. Dalej w skok za nimi! Dać sygnał do natarcia i przepędzić mi ich sprzed oczu! Zanim jednak uciekający piechurzy dotarli do swoich stanowisk, znów odezwały się polskie trąby. Jeszcze głos ich nie rozpląnął się w powietrzu, kiedy szwedzcy dowódcy ujrzeli, jak z nieprzyjacielskich linii odrywa się kilka husarskich chorągwi. Pochyleni w siodłach jeźdźcy pędzą ku ich rozproszonej po polu piechocie, dopadają jej, zanim tamci na nowo zdołali się sformować, tratują piechurów kopytami swych ciężkich rumaków i rażą pchnięciami kopii. Teraz dopiero zrozumieli Szwedzi, że polski wódz nie miał zamiaru uchodzić z pola, a ciągnawszy ich z dogodnych stanowisk, chce przyjąć bitwę. Toteż zagrzmiały komendy, pozostałe rotacje najeżyły się pikami, a rajtarzy, czekając na rozkazy, zaczęli

popuszczając wodze swym koniom. Oddziały Woyny, wzmocnione chorągwiami Kettlera, od pierwszego uderzenia rozbiły owe rzucone do walki regimenty szwedzkiej piechoty i pozostawiając za sobą jej niedobitki, gnały dalej ku pozostałym na stanowiskach kolumnom. Konie naprężyły się w biegu, skóry za plecami jeźdźców wyciągały się od pędu, skrzydła nad głowami szumiały piórami, przy pochylonych kopiach łopotały wstęgi proporców. Z ustawionych w szachownicę regimentów wytrysnęły obłoki dymu i zagrzmiała salwa muszkietów. Kilku jeźdźców zważyło się na ziemię, między nimi i ranny sam Woyna, ale reszta wnet uderzyła w kolczastą  $\times$ cianę pierwszych szeregów. Widać było przez chwilę, jak ułamki potrzaskanych kopii  $\times$ migają w powietrzu, zabłyśły ostrza pałaszy nad głowami gemajnow, coraz to unosiły się nad nimi końskie kopyta, padały ciosy koncerzy. Ci z towarzyszy, którym oddana salwa zabiła konie, gnali pieszo ku bitwie. Rajtarzy hrabiego Mansfelda, wstrzymujący dotąd swoje wierzchowce, nie potrzebowali czekać na rozkazy, bo ruszyły na nich chorągwie felińskiego starosty Dąbrowy. Tak jak i husarze Woyny gnały polem, coraz bardziej nabierając prędko $\times$ ci, i wkrótce, podobni morskiej fali, bijącej o brzegi, uderzyli w rajtarię. Ta nie była w stanie sprostać sile tego ciosu. Pierwsze kornety, które ruszyły naprzeciw pędzącej husarii, rozprysnęły się niczym gliniany dzban od uderzenia kamieniem, a i następne nie zdołały zatrzymać nawały groźnych jeźdźców. Wprawdzie rychło potrzaskali kopie, ale rapiery również nie były zdolne odpierać razów ciężkich pałaszy i koncerzy. Toteż wkrótce zostali doszczętnie rozbici. Mając przed sobą wolne pole, chorągwie zatoczyły krótki łuk i zgodnie z rozkazem uderzyły w bok regimentów piechoty, która jak dotąd, dzięki głęboko $\times$ ci swoich linii, dawała skuteczny odpór husarzom Woyny i Kettlera. Teraz to boczne uderzenie zachwiało



szwedzką linię. Gromieni ciosami koncerzy i obuszków synowie dalekich ziem, bo werbowani w Niemczech, Francji, Anglii, Niderlandach, coraz słabiej bronili się przed naporem nie znanego sobie nieprzyjaciela, któremu nie mogli sprostać sprawno×cią bojową. Skrajne regimenty porzuciły więc rychło zbędne już muszkiety i piki i jak umieli, bronili się pałaszami. Był to jednak opór rozpaczny, zaledwie odwleczenie nieuchronnej zagłady. Padł dzielny książę Luneburski z rozciętą na połowy głową, generał Linderson, obalony wraz z koniem, jeszcze z ziemi bronił się do ostatka piką, na krótko jednak odwlekając żołnierską ×mierć. Pułkownicy Stywer i Stiegel okrzyknęli co bliższych żołnierzy i rzucili się ku ko×ciołowi, gdzie zawarłszy wrota obsadzili okna, by stamtąd prowadzić ogień. Ci za×, dla których zabrakło w ×wiątyni miejsca, dostali się na cmentarz i zza jego ogrodzenia razili z muszkietów nacierającą husarię. Skrzydło pana Sapiehy, a w nim i chorągiew porucznika Lisowskiego, nad którą ten znów objął komendę, ruszyło do boju równocze×nie z Dąbrową, biegnąc ku rajtarii Brandta. Porucznik gnał swoich husarzy nieco z boku. W rękę dzierżył ciężki husarski pałasz, bardziej od szabli zdatny do rozbijania kirysów, i coraz to spozierał wzdłuż chorągwi, pędzącej już pełnym galopem, sprawdzając, czy równo idzie. Widział rozwarte krzykiem usta jeźdźców i ich pochylone w siodłach postacie i długą linię kopii przed końskimi łbami, z jęzorami proporców furkoczących przy drzewcach niby kolorowe płomienie. Huk kopyt mieszał się z bojowym krzykiem jeźdźców, a porucznikowi ta przedbitewna wrzawa radowała serce, upajało go bijące w twarz powietrze. Niesiony bojową ochotą parł ostrogami rumaka, bo zdało mu się, że jeszcze biegnie za wolno, że przestrzeń dzieląca go od pędzącej naprzeciw rajtarii zbyt pomалу maleje. Kiedy się zwarli, jak Mansfeldowa konnica na prawym skrzydle, tak i tu, na lewym, ani na chwilę nie zdołała wstrzymać ciężkiej

masy rozpędzonych koni i jeźdźców. Kornety, które wzięły na siebie pierwsze uderzenie, od razu zniknęły sprzed łbów husarskich rumaków, jakby zapadły się w ziemię. Rozległ się tylko krótki huk, trzask łamanych kopii, krzyk ugodzonych jeźdźców, kwik koni i już pozostało po tym bitewnym zgiełku tylko echo; chorągwie za× pędziły dalej ku następnym oddziałom rajtarii. Pęd nie był jednak tak duży jak przy pierwszym starciu, toteż teraz już walczyli pier× w pier×, miast kopii poszły w ruch pałasze, obuszki, koncerze. Ale i ta walka nie trwała długo, bo rajtarzy nie mogli sprostać ani sprawno×ci bojowej Polaków, ani ich zawzięto×ci. Rapiery okazywały się mało skuteczne wobec cięższej broni przeciwnika i grubo×ci blach, jakimi był okryty. Widząc rychłą klęskę Brandtowych żołnierzy, król Karol wysłał im na pomoc cały swój odwód, owe osiem kornetów jazdy. Tysiąc ×wieżych jeźdźców pobiegło, by wesprzeć ustępujących już towarzyszy. To uderzenie zmusiło husarzy do najwyższego wysiłku. Zdawali sobie jednak sprawę, że ważą się teraz losy bitwy, więc pokonując omdlało×ć ramion walczyli z coraz większą determinacją. Wszakże baczny na wszystko pan Chodkiewicz skoczył do Lackiego i wskazując mu buławą zmagające się ciężko chorągwie Sapiehy, zakrzyknął: - Wesprzyj ich, a skoro, bo długo nie strzymają! Husarze, stojący dotąd beczynn timer, gryźli ze zło×cią węża i przyglądając się bitwie przeklinali, że im wła×nie przypadło w udziale pozostawać w odwodzie. Teraz więc na rozkaz pana Lackiego poderwali konie i z miejsca ponaglili je do pełnego pędu. Toteż wkrótce już byli przy rajtarii, zmieniając od razu obraz walki. To nagłe wsparcie zaskoczyło pewnych już siebie Szwedów i teraz oni zaczęli z wolna ustępować. Doznana pomoc wzmogła też na nowo zapal walczących chorągwi, wkrótce więc rozerwany na czę×ci szereg kornetów zaczął się najpierw skupiać w broniące się już tylko grupy, by rychło

ratować się bezładną ucieczką. W panice wdzierając się w kolumny własnej piechoty, sami rozbijali jej szeregi. Reszty dokonali husarze, którzy na ich karkach wpadli na owe regimenty, by, rozproszone przez swoich, wysiec je do ostatka. To uderzenie z drugiego boku przesądziło los bitwy. Szeregi piechoty, zatrudnione od frontu przez chorągwie Woyny i piechotę Kamieńskiego, którą także hetman wysłał już w bój, z boków przez Dąbrowę i Sapiechę wzięte niby w kleszcze, rozproszyły się i - jak pozostałe szwedzkie niedobitki - już tylko w ucieczce szukały ratunku. Teraz i owe oddziały czeladzi, którym hetman przykazał udawać Radziwiłłowskie posiłki, ruszyły do walki. Widząc ukrytych w kościele Szwedów, nie bacząc na ogień muszkietów, którymi ci razili z okien, wyważyli podwoje wiatyni i wdarli się do rodka. Zapanował we wnętrzu zgiełk, szczęk broni i wrzaski ginących, ale wnet te hałasy ucichły. Król Karol na widok klęski swoich wojsk porwał za sobą przyboczną chorągiew i rzucił się do ucieczki. Gnał co koń wyskoczy, kierując się na Nowy Młyn. Przywarty do grzywy, z gołą głową, bo kapelusz zgubił przesiadając się na podanego mu wieżego wierzchowca, modlił się pełen przerażenia, by jego ucieczka nie była przez wroga zauważona. Odsadził się już nawet kawał drogi, ale modły okazały się daremne, gdyż pognał za nim oddział husarii. Kazał przeto porzucić swój sztandar z dumnym napisem, by nie zdradzał jego osoby, i oglądając się wciąż za siebie, bódł ostrogami konia, który i bez tej podniety migał jak chart. Jego rajtarzy, mając gorsze wierzchowce, rozciągnęli się za nim w długi ogon, który wszakże pogoń z wolna skracała. Na jej czele pędziła mała grupa składająca się zaledwie z trzech jeźdźców. Był to Lisowski ze swymi pocztowymi. Nie tracili jednak czasu na strącanie mijanych rajtarów, pozostawiali ich towarzyszom, a sami nie spuszczaali z oczu osoby króla. Porucznik, mając pod sobą zmęczonego

bitwą wierzchowca, dostrzegł, że odległość dzieląca ich od uciekających powoli zaczyna się powiększać, rzucił więc pędzącemu obok Seynie: - Daniel, użyj łuku, bo nam ujdzie... Je- li
 zdołasz, wolałbym, żeby- u
strzelił wierzchowca. Większy będzie splendor, jak go pojmiemy żywcem... Seyna sięgnął za plecy, w sekundę potem podniósł do oka łuk i chwilę odczekał, by dostosować spuszczenie strzały do ruchów końskiego grzbietu. Wreszcie stuknęła cięciwa i ujrzeli, jak królewski koń wali się na ziemię. Krzyknęli rado- nie
, ale wnet okazało się, że rado- ść
 była przedwczesna. Jadący bowiem obok króla dworzanie zdarł gwałtownie swojego wierzchowca, zeskoczył na ziemię i wsparłszy ramieniem władcę, wrzucił go nieomal na siodło. Koń ruszył z kopyta, a rycerz zamiast uchodzić w las, stanął na - ro
dku drogi wyciągnawszy z pochwy rapier. Lisowski, ku któremu wymierzył pchnięcie, odbił go łatwo, a pędzący za nim świrski ciał w głowę odważnego Szweda, rozwalając mu czaszkę. Mimo zwłoki spowodowanej zamianą konia okazało się wkrótce, że i ten rumak nie był gorszy. Znow bowiem odległość zaczęła się powiększać i wkrótce stała się tak duża, że Lisowski z przekleństwem na ustach - ci
ągnął wodze. 30 wrze- nia
, już z pokładu swego statku, pisał Karol do Sejmu: "...Nasi uciekali jak gromada kurcząt, choć było ich czterech albo i pięciu przeciw jednemu. Opu- cili
 mnie, koń mi padł i byłbym zgubiony, gdyby nie był Wrede odstąpił mi swego konia..." Pozostałe z pogromu wojsko gnało ryskim traktem, - ci
gane aż nieomal pod samą Rygę. Więc chociaż bitwa, rozpoczęta w południe, skończyła się około trzeciej, jednakże kiedy polskie rycerstwo zaczęło wracać z po- cigu
, zrobił się już wieczór. Oceniano, że co najmniej drugie tyle co i w czasie bitwy wysieczono Szwedów w gonitwie, tak że więcej niż tysiąc przy życiu ich nie zostało. W ręce zwycięzców wpadły wszystkie działa oraz sze- ć
dziesiąt sztandarów;

generał Brandt i kilku ze szwedzkiej starszyny dostało się do niewoli, nie mówiąc już o tych, co jak książę Fryderyk czy generał Linderson padli na polu bitwy. Czternastotysięczna armia Karola IX przestała istnieć. On sam dotarł szczęśliwie na flagowy statek swojej floty stojącej na ryskiej redzie. Kiedy jeszcze mało co przytomny z wyciekłoci wchodził na pokład, los zdarzył, że akurat był tam towarzysz husarski Krajewski, który kilka dni wcześniej na podjeździe dostał się do szwedzkiej niewoli. Ujrawszy go Karol obrócił na niego przekrwione oczy i nie mogąc trzęsącymi się wargami wymówić słowa, wyszarpnął z pochwy rapier i przebił nim pierzeńca. Zwycięstwo tak zupełne, odniesione przy takiej proporcji sił, wywołało zdumienie całej Europy. Ale król Zygmunt potrafił je zmarnować, gdyż w następnym 1606 roku nie zapłacił komputowemu żołnierzowi żołdu, toteż opuścił on obóz, a w 1607 roku odwołał z Inflant i hetmana, by pomógł mu ratować tron zachwiany rokoszem Zebrzydowskiego. Natomiast porucznik Lisowski po odjeździe pana Chodkiewicza do króla pośpieszył do księcia Janusza Radziwiłła, który tak znamienitemu oficerowi zaproponował służbę. Walczył więc pod Guzowem po stronie rokoszan, a kiedy po klęsce Janusz Radziwiłł rozstawnymi końmi uchodził na Litwę, podążył w ślad za nim. Spędzał potem czas na polowaniach i biesiadach z sąsiadami w rodzinnych Wołkach. Dwa pierwsze błędy carewicza Dymitra może poszłyby w niepamięć, gdyby nie popełnił następnych, znacznie gorszych. Wkrótce już koronowany jako car Wszechrosji nie okazywał swoim bojarom, dworakom i służbie surowego i groźnego oblicza władcy. Nie rozpoczął rządów od ścinania głów i tortur, czego się spodziewano i na co wielu nawet liczyło, mając nadzieję na dokonanie osobistych porachunków. Nie wymagał też bicia pokłonów czy klękania u stóp dla ucałowania carskiej ręki, do czego

nawykło nie tylko otoczenie cara, ale i cały naród pamiętający krwawe rządy Iwana IV, a potem pełne intryg oraz nowych okrucieństw panowanie Godunowa. To byli prawdziwi władcy, pod których wzrokiem drżały nogi, a pot rosił czoło. Wzbudzali bojaźń, a przez to i szacunek, człek dygotał ze strachu przy każdym ich słowie, nie był pewny ni dnia, ni godziny, a przecież pod powłoką strachu, na dnie duszy gnieździł się podziw i uznanie, że tak mocarnemu władcy ma się można służyć. Ten zaś, choć także pomazaniec Boży, był całkiem inny, bo pogodny, uśmiechnięty, każdego obdarzał łaskawym słowem, nie lubił, by przypadano mu do nóg. Słabej więc natury musiał to być człek i mocno strachliwy, skoro nie łamał kości i nie wieszał na haku zaczepionym pod żebro. Nie było więc powodów, aby z nim się liczyć. Toteż bojarstwo coraz śmiało sobie poczynało, gdyż były już ku temu podstawy. Oto odkryto i udowodniono Wasylowi Szujskiemu, że nastawał na carskie życie. I czy dano go na tortury? Czy szarpano obcęgi, przypiekano żelazem, by wydał wszystkich swoich współników? Czy potem rzucono niedźwiedzim na pożarcie? Nic takiego nie nastąpiło. Wina została mu przebaczona, przywrócono go do łask, uzyskał nawet nowe dostojęstwa. Jakże zatem szanować takiego władcę, którego nie trzeba się bać? A więc można było folgować nienawici, do czego nie brakło powodów. A wywoływali ją zwłaszcza wędrujący po kremlowskim pałacu polscy zakonnicy, zwani jezuitami. Łatwiej mieli dostęp do osoby władcy niż rodzime duchowieństwo, ich rad car chętnie słuchał, za nic sobie mając kapłanów wiary prawosławnej. Po metropolicie Wszechrosji, którego w czasie zamieszek po śmierci Godunowa tłum zmusił do szukania schronienia w klasztorze, car mianował na jego miejsce rizańskiego metropolitę Ignacego, człowieka wyniosłego, pochodzącego z Cypru, a zatem nie urodzonego na ruskiej

ziemi. On wła×nie ju× w dwie niedziele po przybyciu koronował Dymitra. Odsunięta od tronu starszyzna duchowna czuła się więc zagrożona, a te rosnące obawy rozpały nienawi×ć w jej sercach. Ale najgorsze, najbardziej jątrzące nastroje wywoływało zachowanie się polskich panów, których pełno było teraz na Kremlu, jakby w moskiewskim państwie brakło diaków i dworzan chętnych do służby u carskich stóp. Z obcego, wrogiego kraju, o innej wierze, dumni, pogardliwi za nic sobie mieli ruskie obyczaje, choć różne od zachodnich, lecz przecież nie gorsze, bo u×więcone długowieczną tradycją. Swą wyniosłość i pychę okazywali nie tylko prostemu ludowi, takó× i bogobojnym, wiernym carskiemu tronowi wielmo×om. Wy×miewali się z ich rubaszno×ci, okazałej tuszy, pieczołowicie hodowanych bród, kpili z rzekomego obżarstwa, niczym nie hamowanego opilstwa, jakby było co złego w tym, że ten, kogo stać, folguje swoim chęciom. A przecież nic nie rozpała większej nienawi×ci ni× szyderstwo i doznana krzywda, więc dziwić się nie można, że wrogo×ć do przybyszów rosła nie tylko w×ród dworu i duchowieństwa, ale zataczała coraz szersze kręgi ogarniając i lud, judzony tak przez bojarów i diaków, jak popów i mnichów. Nic przeto dziwnego, że Wasyl Szujski w swoich tajnych zamierzeniach coraz więcej miał popleczników. O×mielony, przywrócony do łask nie poniechał dalszych knowań, skrzętniej jednak maskując teraz swoje zamiary. W styczniu 1606 roku wyruszyła Maryna w daleką drogę, która ją wiodła ku celowi wyznaczonemu przez los. Przy odjeździe mała płakała, gdyż widziała przed sobą mira× władztwa, wspaniałość dworu, blask niezmiernych bogactw i czekające ją ramiona ukochanego. Tote× nie dostrzegała szaro×ci zimowych dni, błotnistej drogi, nie czuła udręki powolnej podró×y, niewiele nawet my×ła o rodzinnym domu i kraju, który opuszczała niepewna, czy jeszcze kiedy× go ujrzy. Jechała w ogromnym

orszaku, podług ówczesnych źródeł liczącym 3619 osób. Ciągnął więc poczet karet, kolas, wozów i jezdnych długim, ciemnym wężem rozciągniętym na milę, noga za nogą, bo akurat panowała odwilż, więc koła grzęzły głęboko w błocie go×cińców. Toteż sze×ciokonne zaprzęgi, poganiane razami batów przez pacholków, musiały mocno napinać grzbiety. W jednej z czołowych karet siedziała Maryna pod opieką babki, pani chorążyny Tarłowej i staro×ciny sochaczewskiej. W następnych jechały panie Herburtowa i Kazanowska oraz małżonki innych dygnitarzy wraz ze swoim fraucymerem. W kolejnych siedzieli wojewoda sandomierski w towarzystwie moskiewskiego posła Biezobrazowa oraz posłowie królewscy - Aleksander Gosiewski, starosta wielicki, Mikołaj Ole×nicki, kasztelan małogoski i Stanisław Witkowski, wojski ziemi parczewskiej. Potem jechali liczni dygnitarze z sędziwym już starcem, chorążym przemyskim Tarłą na czele, wszyscy ze swoimi dworami i zbroją eskortą. Uciążliwa to była podróż, zwłaszcza przez Litwę, bo mrozów wciąż brakło, go×cińce i trakty miejscami zamieniały się w istne bagniska. Nieraz wypadało zatrzymać się i na dłuższy postój, by dać koniom wytchnienie lub zreperować wozy i uprzęż. Dlatego dopiero 17 kwietnia orszak osiągnął moskiewską granicę i zatrzymał się w miasteczku Krasne. Tam przybyli w dwie×cie koni moskiewscy bojarzy, by witać carową. Teraz orszak mógł jechać szybciej, bo na rozkaz cara całą drogę do Moskwy dobrze przysposobiono do jazdy. Ułożono bale, postawiono pięćset trzydzie×ci mostów, zadbano o postoje, aby tylko carska małżonka mogła przebyć podróż wygodnie. Po jednodniowym pobycie w Krasnem na kolejny nocleg zatrzymano się w t'ubej, gdzie czekali na orszak kniazie Nagoj i Massalski, każdy na czele trzech tysięcy zbrojnych i okazałych wojów. Stanęli oni po obu stronach drogi wiodącej do specjalnie dla carowej zbudowanego dworu. Tam zasiadła



na przygotowanym fotelu, a obaj kniaziowie z pocztem, nadzwyczaj bogato przybranym, przybyli ją witać. Po oddaniu należnych pokłonów witał Marynę Nagoj, dziękując Bogu, że im carycę wraz z jej ojcem szczę×liwie do moskiewskiej ziemi przyprowadził. Dwudziestego kwietnia ruszono dalej, zmierzając do Smoleńska. Na dwie mile przed miastem Maryna wraz z najbliższymi towarzyszami przesiadła się do trzech karet na saniach. Przeznaczone dla niej sanie ciągnęło dwana×cie białych koni, drugą, dla wojewody - osiem, trzecią - sze×ć. Wszystkie karety były wybite szkarłatnym aksamitem, o oknach z miki, zasłoniętych, zamiast firankami, sobolowymi futrami. Tylko trzecia miała futra kunie. Pojazd Maryny dodatkowo ozdobiły srebrne blachy i orły, nadając im specjalnie paradny wygląd. Każde cztery konie prowadzili jadący wierzchem stajenni, odziani w złotogłów. Poprzedzał ich rząd dwunastu jeźdźców na siwkach, także bogato odzianych. Od czoła dawali jeden drugiemu rozkazy, które ostatni przekazywał woźnicom wołając, jakiej strony drogi mają się trzymać, by ominąć kamień czy dziurę. Saniom towarzyszył przez zatłoczone ulice miasta kilkutysięczny oddział jezdnych, za nimi jechali polscy rycerze, karocę otaczała piechota. Witano Marynę chlebem i solą, a w czasie dalszych uroczysto×ci otrzymała od miasta wiele cennych prezentów w złocie i klejnotach. Po opuszczeniu Smoleńska droga prowadziła przez Dorohobuż i Możajsk. Orszak z wolna zbliżał się do Moskwy, wszędzie witany przez przystawów wysłanych dla pilnowania porządku. Kiedy wreszcie przybyto pod stolicę, oczekiwały tam na polach dwa wielkie namioty z rozłożonymi przed wej×ciem dywanami. Otaczały je liczne poczty i tłum bojarów bijących czołem przed wysiadającą z karety Maryną. Potem, kiedy już zasiadła w jednym z namiotów na bogato rzeźbionym krze×le, ciż sami bojarzy składali jej hołd zapewniając o wiernym poddaństwie. W

drugim namiocie witany był pan wojewoda, obdarowany przy tej okazji wierzchowcem w bogatym rzędzie, o strzemionach i olstrach ze złota, do których włożono jeszcze różne klejnoty i dwanaście złotych czarek. Zaraz też wjechali na Kreml polscy posłowie, by zawiadomić oficjalnie cara o przybyciu jego małżonki. Wkrótce po objęciu władzy dwie sprawy najbardziej zaprzętały myśli Dymitra. Jedną to jak najrychlejsze ujrzenie przy swym boku ukochanej małżonki, drugą to umocnienie pozycji na carskim tronie. Do narad wołał jednak nie zapraszać bojarów czy diaków, którzy tylko zdawali się być wierni jego osobie, lecz swych polskich doradców, a wśród nich również i towarzyszących mu jezuitów. Ci jednak nie znali ducha ruskiego narodu ani jego obyczajów i praw, toteż ich rady i zalecenia nie były najlepsze. Jezuici, niechętni krwawym kaźniom, woleli stosować inne, dyskretniejsze sposoby działania, toteż po dłuższych debatach uznano za wskazane przebaczyć Szujskiemu. Miał on zbyt wielu stronników nie tylko wśród bojarstwa, przeto jego egzekucja mogła jeszcze bardziej zaognić sytuację wymagającą ostrożnego i przemyślanego działania. Chodził więc Szujski nadal w blasku carskiej łaski miast dać głowę, co ostrzegłoby innych, że nowy car wzorem swego wielkiego ojca ma twardą rękę, wrogów się nie boi, a wszelkie przeciw niemu knowania kosztują życie. Takie w każdym razie było mniemanie poufnego doradcy i osobistego sekretarza cara, przebiegłego, o bystrym umyśle człowieka, pana Jana Miechowickiego, który jeszcze w Załużu ofiarował mu do usług swoją znajomość ludzkiej natury i bogate doświadczenie. Poza walorami umysłu odznaczał się i zamiłowaniem do wojaczki, z którą miał już sporo do czynienia, toteż rycerskie rzemiosło znał dobrze, cechowała go nie byle jaka odwaga, a nawet zuchwałość. Postawę miał żołnierską, ruchy opanowane, mówił zawsze spokojnie,

głosem ×ciszone, choć w potrzebie umiał gardło nateżyć, zwłaszcza kiedy na sejmikach swoje racje panom braciom przedkładał. Carewicz rychło ocenił warto×ć pana Miechowickiego i do konfidencji w swoich politycznych zamierzeniach dopu×cił, znajdując w nim doradcę i przewodnika po zawiłych ×cieżkach, jakimi musiał podążać do swego celu. Car Dymitr siedział w fotelu. Nieco z boku za carskim przyzwoleniem zajął miejsce na ławie Piotr Andriejewicz Basmanow, niski, krępy bojar o surowej twarzy, blond brodzie i ×miałym spojrzeniu szarych oczu. Miechowicki mimo zezwolenia nie usiadł, widać wolał prowadzić rozmowę na stojąco. Przesunął spojrzenie na twarz cara i odezwał się: - Dzi× nad ranem nasi znowu dokonali gwałtu. Sze×ciu drabów \* od Kazanowskiego napadło na dwór kupca Filetowa, niewiasty przymusili, dom do dna obrabowali... Drab - żołnierz piechoty. - Te napa×ci zaczynają się mnożyć, bo sprawcom bezkarnie uchodzą - mruknął Basmanow marszcząc gniewnie brwi. - Wasza carska mo×ć, ojczulku gospodarze, zbyt Polakom pobłażasz! - Mimo że przeciw braciom mówię, przecież dobro waszego tronu mając na względzie, takó× doradzam ukrócić samowolę, i to srogimi karami! Zaczęły się rozboje, napa×ci, grabieże. I nie tylko czeladź czy byle hołota tak czyni, ale prym wiedzie szlachecka młodź. Gardło powinni dać tych sze×ciu! Radzę i nalegam, aby dalej nie puszczać płazem tych bezceństw! - Tym razem Miechowickiego opu×ciło zwykłe opanowanie, gdyż wybuchnął gwałtownie. Dymitr wstał z fotela. Przeszedł się po komnacie jak zwykle nie×piesznym krokiem i opu×ciwszy głowę medytował przez pewien czas. Wreszcie zatrzymał się przed Miechowickim i położył mu na ramieniu dłoń. - Mój moskiewski lud musi jeszcze jaki× czas pocierpieć i płacić za usługi, jakie mi Polacy ×wiadczą. Nie czas teraz na srogie karanie, bo oni to jedyna siła, na której bez ryzyka

mogę się wesprzeć... - Nie jedyna! - zaprotestował żywo Basmanow. - My, bojarzy, wiernie stoimy przy tobie, prawosławny carze! Dymitr z kolei obrócił się ku niemu. - Ale czy wszyscy, Piotrze Andriejewiczu? Szujski nie okazał mi wdzięczności, choć puściłem w niepamięć opór, jaki mi stawiał. Ty także szedł tą drogą, ale serce kazało ci z niej zawrócić, on wszakże nadal chce wydrzeć mi carską koronę. Mimo to, kiedy się za nim wstawił, po raz wtóry uzyskał przebaczenie. Usłuchałem twoich rad, usłuchałem i innych swoich doradców, lecz dziś nie wiem, czym dobrze uczynił... Powrócił na swój fotel i wsparłszy łokcie o poręcze, splótł przed sobą dłonie. - Mam te same wątpliwości, wasza carska moc - odezwał się już spokojnie Miechowicki. Dymitr ciągnął dalej: - Ty za, kniaziu, wskazujesz mi bojarów jako podporę tronu. Pytam cię przeto, którzy to są? Czy masz nieomylnie rozeznanie, kto z nich prawdziwie mi sprzyja, a kto wiernie tylko udaje? Podejrzewam, że raczej czekają z wyborem, dopóki nie ujrzą silniejszego... A na takich opierać się carowi nie wolno! Póki więc nie okrzepnę na tronie, tylko w Polakach widzę ostoję. - Brak ci, ojczulku, takiego człowieka, jakim był Maluta... - rzekł z westchnieniem Basmanow. - On umiał nieomylnie wykrywać fałszywych służalców i niszczyć ich twardą ręką! Wielką miał w nim twój rodzic podporę i obrońcę tronu... - Tacy jak Skuratow nie rodzą się na kamieniu - powiedział na wpuł do siebie Dymitr. - Znaleźć takiego trudna to sprawa. Mikulin też się nie leni, ale dopiero ludzi musi sobie dobrać, bo sam wiele nie zdziała, na to potrzeba czasu. Dopóki to nie nastąpi, muszę przymykać oczy na łotrostwa niektórych. - Szujskiego musimy strzec się bardziej niż innych. Zbyt ułożony i za nisko zgina grzbiet... - wtrącił Miechowicki. Dymitr rozeźmiął się. - Gdyby nie Piotr Andriejewicz, dałby Wasyl głowę, bo ponoć lepszy jeden martwy wróg niż dwóch żywych przyjaciół. - Nie tylko

moje wstawiennictwo wzięło pod rozwagę, carze ojczulku...  
- mruknął z przekąsem Basmanow. - To prawda. Ojcowie zakonni, którzy ze mną tu przybyli, także radzili nie rozpoczynać panowania od rozlewu krwi. - Darować życie to nie to samo, co przywrócić do łask - z sarkazmem zauważył Miechowicki. - Powinien siedzieć nie w Moskwie, lecz u siebie w Tiopłym Kluczu albo - co byłoby jeszcze lepsze - za Uralskimi Górami... - Wiem, wiem! Było, panie Janie, od początku przeciwny mojej łaskawości. Ale lepiej mieć wroga na oczach. - To chytry i łiski człowiek, wasza wysokość, nawet będąc w zasięgu wzroku, nie da się już teraz przyłapać. - Mówiłem, że prosił o posłuchanie. Czego chce? - Nie dał jasnej odpowiedzi. Powiada, że w ważnej dla tronu sprawie. - Dla mnie? No cóż, zobaczymy, na czym ta troskliwość będzie polegać. Niech się tedy stawi w piątek około południa. Następnego dnia pan Miechowicki wrócił późno na swoją kwaterę, przydzieloną mu w kremłowskim pałacu. Składała się z dwóch izb i obszernej alkowy, gdzie ulokował się wraz ze swym towarzyszem, Grigorijem Sucheckim, z którym się zaprzyjaźnił. Zastał go przy kuflu piwa. Siadając po drugiej stronie stołu spytał: - Masz jakie wieści? Było u Aprochowa? - Byłem. To prawda, o czym mówił ów kuglarz. Czy waćpan ostrzegł cara? - On jeszcze nie wyzbył się młodzieńczej beztroski. Sądzi, że umylnie go niepokoję, by nadać sobie tym większe znaczenie. Suchecki zacisnął usta. - Niedobrze... - mruknął. - Jeszcze nie nawykł... - Sprawa równie jego jak nasza, bo także damy gardła w razie nieszczęścia! Suchecki spojrzął na płomień wiecy rzucający blask na jedną część jego twarzy, drugą pozostawiając w cieniu. - Człek zawsze głupi... - rzucił zamyślony. - Teraz dopiero rozważam, czy carska korona była warta nadstawiania głowy. - No, pora spać - burknął zamiast odpowiedzi Miechowicki, nie wiadomo dlaczego raptem rozzłoszczony. -

Chyba pora - zgodził się Grigorij, potem dodał jakby od niechcienia: - Kazałem pacholkom konie trzymać w pogotowiu... Tak jak za poprzednim razem car Dymitr, siedząc w jednej z komnat poselskiego pałacu, miał przy sobie osobistego sekretarza, kiedy jego marszałek dworu, bojar Ofanasjew, oznajmił przybycie kniazia Wasyla Szujskiego. Wszedł do komnaty człek niski i otyły, o ×niadej twarzy, dużym, lekko garbatym nosie i oczach, które niby para czarnych paciorków błyszcząły pomiędzy szparami nabrzmiątych powiek chytrym, a jednocze×nie ponurym spojrzeniem. Łopata brody otaczała mu szerokie usta, rozchylone teraz dorodusznym u×miechem, który nie łagodził jednak ostro×ci wzroku. Zaraz po przekroczeniu progu skłonił się tak nisko, jak pozwalała mu tusza, a potem, postąpiwszy ku siedzącemu Dymitrowi, skłonił się powtórnie i wyprostowawszy postać, czerwony od tego wysiłku, wysapał na przyzwalające skinienie Dymitra: - Dzięki ci, carze nasz i gospodarze, że× raczył przyjąć mnie, twego sługę, i wysłuchać, jaka troska kazała mi stawić się przed tobą... Mówiąc to przesunął spojrzeniem po postaci Miechowickiego, który stał w pobliżu carskiego krzesła. - Zawsze cię rad widzę, Wasylu Iwanowiczu - odpowiedział Dymitr - ale dlaczego tylko z troskami do mnie przychodzisz? Czy radować się nie masz czym? - Mam, carze ojczulku! - zawołał kniazź składając dłoń na dłoni, jakby chciał przytrzymać płochę szczę×cie. - Już chociażby i z tego, że× swą łaską mnie, grzesznika, przywiódł do opamiętania! - Czymże zatem się trapisz, i to tak bardzo, że swoim strapieniem chcesz podzielić się ze mną? - z lekkim u×miechem spytał Dymitr, patrząc badawczo w twarz kniazia. Ten jednak zdawał się nie dostrzegać tego spojrzenia, bo ciągnął swobodnie dalej: - Jest sprawa, którą wierno×ć tronowi kazała mi tobie, ojczulku carze, przedłożyć. O poważną rzecz idzie, toteż rad jestem, że i mo×ci pana

Miechowickiego tu widzę... - Zatem mówże, kniaziu. - Przybyłem, aby cię ostrzec, ojczulku... Zbyt już gło×no czerńcy i popi zaczynają lud burzyć przeciw twym doradcom i wiernym sługom, toteż i mnie już się dostaje... ale o siebie nie dbam, jeno o owych rzymskich mnichów, co ich jezuitami zwą. Wiem, że mili są twemu sercu, więc i ja troszcę się o nich. - Chwałę ci to - rzucił ostrożnie Dymitr, ciekaw, do czego zmierza kniaź. - Ale cóż z nimi mam począć? Je×li ich odprawię, gniew to wzbudzi naszych polskich go×ci. - Być może miałbym sposób, je×li zezwolicie rady udzielić, by rzymscy kapłani mniej w kremlo wskim pałacu rządili... Istotnie wszędy ich pełno. - Nie wypędzę ich, bo są mi potrzebni i tak samo jak i prawosławni ojcowie mili memu sercu... - burknął już z uporem Dymitr. - Wypędzać nie trzeba. - Szujski spojrział spod oka na rozgniewanego cara. - Należy znaleźć inny sposób, aby z pożytkiem dla siebie przebywali gdzie indziej, a nie w tym pałacu. - Widziałby× takowy? - Może i tak... I to bez ich obrazy. świadczyłby bowiem o waszej carskiej ku nim łaskawo×ci. - Mówże tedy, Wasylu Iwanowiczu - ponaglił kniazia car Dymitr. - Je×li rada będzie dobra, chętnie usłucham. - Należy przydzielić im teren i dać pieniądze, by postawili sobie klasztor. Mając własną siedzibę, nawet gdzie× blisko Moskwy, mniej by przebywali na Kremlu. Jednocze×nie za× wy, carze ojczulku, staliby×cie się ich dobroczyńcą i opiekunem, czym przysporzyliby×cie rado×ci rzymskiemu papieżowi. Twarz Dymitra rozja×nił u×miech, nie zdołał jednak odezwać się, gdyż pan Miechowicki przerwał mu w pół zdania, co jak na dworskie obyczaje było wręcz niesłychane. Za taki postępek car Iwan Groźny od razu kazałby ×miałka powlec do lochów. Zaskoczony Dymitr spojrział ostro na swego doradcę, ale była to jedyna jego reakcja, gdyż pan Miechowicki nie dał mu doj×ć do głosu mówiąc do kniazia: - Rada to przednia, rzecz

jednak wymaga rozważenia, zatem jego carska wysokość sprawę rozpatrzy i odpowiedzi udzieli w swoim czasie. Szujski przeniósł pytające spojrzenia na cara. Ten w milczeniu wysłuchał słów swego sekretarza i widać zrozumiał powód jego postępuku, gdyż odpowiedział: - Taka też jest moja wola. Mój doradca o×miał się zabrać głos nie pytany, za co poniesie karę, tobie za×, kniaziu, zezwalam mnie opu×cić. Kiedy zostali sami, Dymitr zawołał z gniewem: - Tego, com rzekł, nie cofam! Jak ×miała× mi przerywać? Teraz z kolei Miechowicki skłonił się przed nim. - Wybacz mi, wasza miło×ć, ale postąpiłem pod przymusem. Wasze rozradowane oblicze zdradziło mi, że rychło padnie nieopatrzna zgoda, do czego nie mogłem dopu×cić. - A dlaczego? Przecież to rada doskonała! Istotnie uradowałbym papieża, dał dowód przychylności dla zakonu, a jednocze×nie usunął z zamku rzeczywi×cie nadmierną liczbę zakonnych braci, co uspokoiłoby popów. Dziwię się, że sam wcze×niej na tak dobry pomysł nie wpadłem. Miechowicki pokiwał głową. - Otóż to. Słuszna więc była moja obawa i słusznie uczyniłem przerywając wasze carskie słowa, a to dlatego, że widzę ową radę w innym zupełnie ×wietle. - Widzisz ją inaczej? Jakże zatem? - Zastawił na nas ten wąż i×cie diabelską pułapkę, Panie Boże wybacz, że złego wymieniam... - Gdzie widzisz owe sidła, w które miałem się wplątać? - On już carską mo×ć nimi omotał. Bo chodzi o to, że obie wasze decyzje, i zgoda, i odmowa, je×li sprawa stanie się znana, o co zapewne się postara, będą ze szkodą dla tronu. Je×li bowiem wyrazicie zgodę i ufundujecie jezuitom klasztor, prawosławne duchowieństwo, choć może i będzie ukontentowane, bo polskich zakonników na Kremlu nie stanie, to krzyk wielki i larum podniesie, że w moskiewskim kraju osadzacie na stałe wrogich narodowi i obcej wiary mnichów. Wtedy najnędnniejsze Boże sługi przeciw wam powstaną i cały naród



pociągną. Jeżeli za ujrzawszy to niebezpieczeństwo odmówicie budowy, wtedy jezuici was odstąpią, a za nimi i wiele z rycerstwa, gdyż ugody potwierdzonej pismem nie spełniacie. A papież, choć daleki, ale długie ma ręce, i miast sprzyjać wrogiem waszym ostanie. - Tak sądzisz? - Dymitr spojrział na swego doradcę z rozterką. - Gdyż w rzeczy samej sprawa nie inaczej wygląda. - Tak... - Dymitr skinął głową. - A ja istotnie chciałem zgody udzielić. Radź jednak dalej, co teraz czynić, by z tej pułapki cało się wydostać. - Radę trzeba znaleźć. Odmówić fundacji musicie, bo bliższa ciału koszula i tu inaczej być nie może. Natomiast z ojcami trzeba będzie rzecz po cichu obgadać i uzyskać ich zgodę na tę odmowę, podając jej przyczyny. Są na tyle mądrzy, że zrozumieją... Na pierwszy plan wysunęła się obecnie sprawa powrotu carycy \_matki oraz potwierdzenia przez nią tożsamości syna, a zatem i jego prawa do korony. Uznano, że lepiej to u mierzy wszelkie knowania niż stracenie Szujskiego, choć ostrzegali przed nim nie tylko miejscowi dworacy, ale i sam daleki protektor, nuncjusz Rangoni. Jeździło więc zaufane poselstwo, biegli gońcy, aż wreszcie nadeszła wiadomość, że z Biełojezińskiego Monasteru wraca do syna caryca \_matka, obecnie mniszka, przebywająca tam pod imieniem Marfy. Był słoneczny, jesienny dzień, kiedy car w otoczeniu polskich dygnitarzy, duchowieństwa i bojarów, wśród których czołowe miejsce zajmował Szujski, wyruszył o pół mili za miasto, by witać matkę. Wydostali się na jarosławski trakt i oczekiwali wieści od gońców wysłanych naprzeciw zbliżającego się orszaku. Zapowiedziany przyjazd wyciągnął poza mury rzesze mieszkańców stolicy, ciekawych takiego spotkania, gdyż uznanie przez carycę Dymitra jako syna usuwało podejrzenia, jakie rozgłaszali obecnie przeciwnicy cara. Napór ogromnego tłumu hamowali strzelcy w czerwonych kaftanach, a szeregi straży porządkowej i halabardników utworzyły na trasie

przejazdu szpaler, nie dopuszczając gawiedzi zbyt blisko. Wreszcie ukazał się oddział eskorty w spiczastych hełmach i kolczugach nabijanych blachami. Trzymali w rękach krótkie włócznie, u boku mieli krągłe tarcze i dzierżąc mocno wodze, hamowali zbyt ogniste rumaki. Za nimi kilkunastu konnych dworzan poprzedzało toczące się wolno pojazdy z okazałą karocą na czele. Na ten widok car wyskoczył z siodła, a za nim jak jeden, wszyscy bojarzy, by nie uchybić władcy. Woźnice siedzący na koniach pierwszego zaprzęgu zatrzymali je i kolasa stanęła. Natychmiast doskoczyło do drzwiczek dwóch pacholików i otworzywszy je opuścili stopnie, nieruchomiejąc z obnażonymi głowami. Książę Michał Aleksandrowicz Nagoj zbliżył się i z widocznym wzruszeniem na obliczu wyciągnął rękę, by pomóc zejść małżonce wielkiego cara, wyłaniającej się z ciemnego wnętrza pojazdu. Kiedy stanęła na ziemi, jeszcze wsparta na jego rękę, zapanowała raptowna cisza, jakby niewidoczna dłoń nakryła wszystkie usta. Ałtasowy, ciemny sarafan okrywał jej szczupłą postać. Przebyte nieszczęścia pozostawiły wyraźne ślady na obliczu. Widać je było w opuchniętych policzkach, bruzdach wokół ust i zmarszczkach na skroniach. Jedynie wielkie, ciemne oczy świeciły dawnym blaskiem, być może pod wrażeniem chwili, którą przyniósł jej kaprys czy łaskawość losu. Na widok Dymitra, stojącego samotnie na środku drogi, zdjęła rękę z ramienia brata i zaczęła iść nie spuszczając wzroku z nieruchomego młodzieńca. Ten także ruszył z miejsca i tak zbliżali się ku sobie. Słyszeć było tylko chrzęst żwiru pod ich stopami w owej zupełnej ciszy, jaka zapadła. Wkrótce stanęli przed sobą. Caryca chwilę przesuwając wzrokiem po twarzy Dymitra, wreszcie, kiedy ich spojrzenia spotkały się, nagłym ruchem wyciągnęła ku niemu ramiona. Ten gest, pełen jednoznacznej wymowy, od razu rozładował napięcie, z jakim tłum obserwował to spotkanie. Niby wybuch

tysięcy beczek prochu przerwał ciszę jeden wielki krzyk, uniosły się ręce, poleciały w górę czapki. - Mateczka! - zawołał Dymitr obejmując szczupłą postać i przykładając głowę do jej piersi. Ona za× przesunęła dłonią po jego włosach i szepnęła nachylając się nad nim: - Panuj mądrze i szczę×liwie... I niech cię błogosławi Bóg, i niech Bogu będą dzięki, że znów mam syna... Dymitr osunął się na kolana i najpierw całował jej dłonie, a potem przypadł czołem do stóp. Zabrzmiał powtórny krzyk bijąc grzmotem pod niebo. Późno w nocy skończyła się powitalna uczta. Kiedy już pałac kremlowski dawno spał, we dworze kniazia Wasyla Szujskiego, za zasłoniętymi oknami, zebrali się bojarzy. W×ród wielu innych byli jego obaj bracia Iwan i Dymitr, kniaziewie Iwan Golicyn, Wasilij Massalski, Grigorij i Władimir Dołgorukowie, Kuriakin, Gołowin, Romandanowski. Na stole paliły się w lichtarzu ×wiece, ale ich płomienie nie rozpraszały ciemno×ci czających się w głębi obszernej komnaty. Krąg ×wiatła ogarniał tylko siedzących za stołem mężów. Zagaił gospodarz mówiąc gwałtownie: - Oto mieli×my przedstawienie godne tego szalbierza! Dziwi tylko, że caryca Maria wzięła udział w tak niecnym oszustwie. Toć kłamała i słowem, i czynem na oczach nas, kniaziew i bojarów, chyba za głupków nas poczytując! - Może dała się zwie×ć? - mruknął Grigorij Dołgoruki, najbardziej pojednawczy z grona oponentów. - Zwie×ć?! - wykrzyknął książę Wasyl. - Serca matki, a zwłaszcza oczu, oszukać tak łatwo nie można! - Oczy mogą mówić jedno, a serce drugie - nie ustępował Dołgoruki. - Wbrew oczom serce tęskniące za synem gotowe go widzieć w tym, kto za niego się podaje, i w ten sposób umocnić go na tronie, który jej potomkowi przynależy. W braku prawdziwego mogła się zgodzić na samozwańca, byle utrzymać ród przy panowaniu. - A samej opu×cić monaster i powrócić na Kreml! - prychnął ironicznie

Golicyn. - Słusznie - przytaknął książę Władimir. - Skoro nie syn rodzony, to niech choć przybrany pod jego imieniem rządzi. Ona za× odzyskuje swoje miejsce na dworze! - Mo×ci książciowie rozważają powody uznania Dymitra i nie dopuszczają zgoła my×li, że istotnie jest on jej synem - odezwał się książę Kuriakin u×miechając się kpiąco spod szerokiej łopaty swojej brody. - Przecież sama złożyła do grobu jego ko×ci! - zawołał Gołowin. - Czyż mogła wierzyć, że zmartwychwstał? - Pochowała, ale owego młodzika Siemaszkę, którego podsunął ten Niemiec lekarz... - obstawał przy swoim Kuriakin. - Głupstwa gadasz, książę! - wybuchnął Szujski. - Zapominacie, że na rozkaz cara Borysa jeździł do Uglicza na ×ledztwo i dużo ludzi na mękach przepytywałem. Nikt mi wówczas nie wspomniał, że nie Dymitra ubito! - Wtedy Borysowi chodziło nie o to, kogo zabito, ale jak się to stało, boć jego oskarżono o to zabójstwo. Ten rozkaz wypełniając, reszty nie byli×cie przecie ciekawi... Szujski przycisnął dłonie do stołu i byłby ostro odpowiedział na postawiony zarzut, lecz zabrał głos książę Massalski: - Poniechajcie zbędnych wa×ni, bo nie po to tu jeste×my. Jakie powody skłoniły cię, Wasylu, do zebrania nas na naradę o tak późnej porze? - spytał spokojnie wzburzonego gospodarza. - Uznałem to za konieczne po dzisiejszej ceremonii. Rozpoznanie przez carycę swego syna umacnia ostatecznie Dymitra na tronie. Nie możemy dopu×cić, by rządził nami oszust! Kuriakin nadal wszakże miał wątpliwo×ci. - Teraz u mnie w Lubażu nowo postawioną cerkiew otrzymał pop Niekluczew, który szczątki Dymitra do grobu składał. Opowiadał mi, że wbrew naszemu obyczajowi trumnę niesiono zamkniętą i taką pogrzebano. Nie wie przeto, czy zwłoki carewicza istotnie tam spoczęły. - A zatem również nie może mówić, że ich tam nie było! - już ze zło×cią zawołał Szujski. - Nie gadajmy po próżnicy, albowiem nikt z nas nie

wierzy, a zapewne i książę Kuriakin także, że Dymitra uratował ów Niemiec, bo na bajkę to wygląda, a i ×wiadków jego ×mierci mamy zbyt wielu. Radźmy zatem, co czynić dalej, bo ma słuszno×ć książę Szujski, że hańbą byłoby dla nas, bojarów, bić czołem przed szalbierzem! - upomniał Golicyn. - I to wy pytacie, co czynić dalej, książę, co×cie najmądrzejszy z nas wszystkich?! - zawołał Szujski z nutą pochlebstwa w głosie, gdyż w swoich zamierzeniach zabiegał o poparcie Golicyna. - Pytam, bo wciąż spieracie się jak baby. Skoro uznali×my go za przybłędę, takie zuchwalstwo nie może uj×ć bezkarnie! - Jeszcze×my go za takiego nie uznali... - mruknął Kuriakin. - A więc niech ci, co mi wierzą, uniosą do góry dłonie - zaproponował Szujski i mówił dalej: - Wiecie, że od początku widziałem w nim samozwańca, a kiedy wkroczył przy pomocy białorekich Polaczków, wojsko, przy waszym przecież wsparciu, przeciw niemu wysłałem. Jednak Bóg nie dał nam zwycięstwa, toteż coraz więcej zdrajców zaczęło za nim gęby drzeć, upatrując własnych korzy×ci. No i doczekali się, mają go teraz! Jego i owych czarnych żuków, co wszędy ×więtych udają, chytrzy niczym lisy odciągają ludzi od naszej prawosławnej wiary. A rzesze polskich panów i wielmożów? Czyż za dzikich nas nie mają, nas, których rody sięgają czasów, kiedy oni walczyli o piędź ziemi, co by starczyła im chociaż na mogiły? Teraz za×puszą się, lud biją, niewiasty gwałcą, swoje obyczaje, nam obce, w moskiewskim kraju chcą zaprowadzić! Nie, zacni bojarzy, raczej niech mi głowa z pieńką spadnie, je×li tak zechce wszechmogący Bóg, a uczynię wszystko, co w mej mocy, by do tego nie dopu×cić! Za nic ten chłystek ma swoją carską godno×ć, którą pieszo po ulicach obnosi! Z byle kim się brata, byle komu daje do siebie dostęp, zęby niby wszetecznicza szczerzy! I jemu czołem mamy bić?! Ru×pokornie ma lec mu u stóp?! Nie, i jeszcze raz powtórzę: nie! Winnym szalbierstwa go uznaję i was do

tego wzywam, a zasię niech gniew Boży go dosięgnie!  
Czerwony z podniecenia, z dziko latającym spojrzeniem  
Szujski uderzył pię×cią w stół. - A zatem - odezwał się  
Golicyn w ciszy, która nastąpiła po tym przemówieniu - niech  
ten, co za samozwańca go uważa, podniesie dłoń do góry.  
Uniosły się wszystkie ręce prócz Kuriakina i obu braci  
Dołgorukich. - Czyż jest on dla was prawowitym  
samodzierzcą Wszechrusi? - spytał ironicznie Szujski mierząc  
ich wrogim spojrzeniem. - Tego nie twierdzimy -  
odpowiedział Kuriakin - ale też i nie mamy pewno×ci, że jest  
oszustem. Dlatego nie unie×li×my rąk. Uznamy wszakże, co  
wy postanowicie. - Niech zatem poniesie karę! śmierć  
samozwańcowi! - zawołał Szujski. - śmierć! - zgodnie  
krzyknęli wszyscy spoglądając po sobie, jakby szukając  
×miałka, który odważy się oponować. Ale tym razem  
wszystkie ramiona uniosły się nad głowy. - Kiedy zatem? -  
rzeczowo spytał Massalski. - Zwlekać nie ma co. - Należy  
nieco poczekać, aż przybędzie tu jego polska małżonka -  
wyja×nił Szujski. - Jak donosi mi Biezobrazow, który wiernie  
nam sprzyja, ×lub odbył się wła×nie w Krakowie. Rychło  
zatem pani uda się do nas. Niechże wpierw tu przyjedzie. - A  
to czemu? - zdziwił się Massalski. - Ogromne bogactwa w  
złocie i klejnotach posłał jej Dymitr. Poleciałem więc  
Biezobrazowowi, by skłonił Marynę do zabrania wszystkiego  
ze sobą. Nasz skarb wkrótce opustoszeje, je×li ten przybędzie  
dalej tak będzie szastał zasobami carów! Niechże tedy  
wpierw tu powrócą, bo nasza to własno×ć i w obcych rękach  
nie powinna pozostać. Gdy to nastąpi, dopełni się Dymitrowy  
los. Pozostawcie to mnie. Kiedy bojarzy opuszczali  
dworzyszczę kniazia Szujskiego, zaczynało już ×witać. Po  
skończonej ceremonii przed namiotami Maryna wsiadła do  
karocy z zaprzęgiem dziesięciu tarantów, których wszakże nie  
dosiadali pacholki, lecz szli pieszo wiodąc konie za

wodze. Carowej towarzyszyła tylko pani staro×cina sochaczewska. Po obu stronach pojazdu szło po sze×ciu lokajów w zielonych, aksamitnych strojach i czerwonych płaszczach, a obok nich rzędy halabardników. Za tą karocą jechała następna, własna carowej, ciągnięta przez osiem białych koni. W niej wszakże nikt nie siedział. Prowadzili ją woźnice przystrojeni w atłasowe, czerwone żupany i ferezje; rzędy końskie, także obszyte czerwonym aksamitem, pięknie odbijały od bieli zaprzęgu. W trzeciej karocy, równie strojnej, siedziała księżna Koszyrska, pani chorążyna Tarłowa, panie Herburtowa i Kazanowska. Za nimi jechała reszta asysty carowej. Tego majowego dnia cała Moskwa wyszła na ulice. Gęste tłumy zaległy nie brukowane drogi miasta, wiodące miejscami przez puste place czy połacie łąk, pomiędzy jego gajami, ogrodami, sadami, dworzyszczami i dworami, domami, a nawet i kurnymi chatami. Cała ludno×ć opu×ciła domostwa, by zaspokoić ciekawo×ć i na własne oczy ujrzeć tę czarnowłosą Polkę, co miała zasią×ć na carskim tronie u boku swego młodego małżonka. Grzmot okrzyków rozbrzmiewał szeroko i podążał za posuwającymi się pojazdami i towarzyszącą im eskortą. Nawet nie widząc owego wspaniałego widowiska, można było rozeznać, gdzie w danej chwili znajduje się orszak. Tu i tam wybiegały na drogę zbłąkane psy i wystraszone krzykami rzucały się w różne strony, dopóki nie spędziły ich nahajki straży. Zdarzało się, że i niesforne stado krów zamiast podążać do zagrody wydostawało się, przerażone zgiełkiem, przed czołowy oddział i tłocząc się nieporadnie, próbowało przed nim uchodzić. Ale i takie przeszkody usuwano natychmiast, aby nic nie zakłócało posuwania się orszaku. Wreszcie rząd karoc dotarł do zamku. Minąwszy bramę karoca carycy zatrzymała się przed nowo wzniesionym, drewnianym monasterem, który car Dymitr kazał postawić dla swojej matki tuż przy cerkwi

Wniebowstąpienia Pańskiego. Czekali już przed nim wyżsi duchowni prawosławnego obrządku z metropolitą Ignacym na czele. Powitał Marynę chór popów i dymy licznych kadzideł, a potem ksieni powiodła ją do przeznaczonych dla niej komnat, w skrzydle zajmowanym przez carycę matkę. Po powitaniu na Kremlu pan wojewoda sandomierski odjechał do dworu Godunowa, a resztę panów polskich rozmieszczono po innych, co wspanialszych dworzyszczach bojarskich. Przez najbliższe pięć dni Maryna miała przebywać w monasterze, odcięta od świata, bo nawet nie mogła wysłuchać mszy świętej. Nikt, nie wyłączając rodziny, nie mógł mieć do niej dostępu. Jedynie jej fraucymerowi zezwolono uczestniczyć w nabożeństwach odprawianych u pani starościny sochaczewskiej. Powiadomiony przez Miechowickiego o porządku powitalnej ceremonii carycy, już ustalonym przez Radę Bojarów oraz metropolitę, Dymitr, niecierpliwie oczekujący chwili spotkania z małżonką, wybuchnął gniewem. Obecny przy tej rozmowie Suchecki starał się jednak cara uspokoić: - Nie sprzeciwiaj się Radzie, miłociwy panie, i okaż przychylność jej postanowieniu. Sprzeciw i objawienie swej carskiej woli lepiej okazać przy poważniejszej sprawie. - Ta dla ciebie mało istotna, co! - wykrzyknął z oburzeniem Dymitr. - Ona jest w pobliżu, lub został zawarty, a ja mam czekać aż pięć dni, bo tak się spodobało kilku brodaczom?! - Jeszcze raz powiem swoje: za błąha to przyczyna, by podsycać płomień, który może wybuchnąć pożarem. Czy nie lepiej poszukać innego sposobu? - Co masz na myśli? - Odwiedzić carową, jeśli już nie możecie wstrzymać gorącości krwi, ale tak, by nikomu o tym nie było wiadomo. Dymitr spojrzął na Miechowickiego. - A wać? Jakiego jeste mniemania? - Sądzę, że Grigorij Pawłowicz dobrze waszej carskiej wysokości radzi. - Stwierdził krótko szlachcic. - Nie znoszę kroczenia lisimi



×cieżkami, w czym lubuje się mo×ci Suchecki! - prychnął ze zło×cią Dymitr niezadowolony, że nie znalazł poparcia u swego sekretarza. Jednak po chwilowym milczeniu rzucił z wahaniem: - Je×li nawet posłuchałbym waszej rady, nie widzę sposobu, jak to zrobić. Przecież wokół monasteru rozstawiono strażę, a i mniszki zapewne strzegą jej pilnie... - To ostawcie mnie, ojczulku carze - o×wiadczył Suchecki. - Możecie wyprawić się dopiero z nastaniem ciemno×ci, mamy więc do×ć czasu. Muszę jeno wziąć z waszej szkatuły z pięćdziesiąt rubli. Znaczna to kwota, ale i sprawa nie jest łatwa. - Bierz, wiele trzeba. Cóż znaczą pieniądze wobec niecierpliwo×ci mego serca! Było blisko północy, kiedy okryty byle jaką opończą, z kapturem na głowie, Dymitr, prowadzony przez Sucheckiego, dotarł do furty monasteru. Tu sługa zamienił z kim× w ciemno×ci parę słów, furta zgrzytnęła i prowadzony z kolei przez strażnika ruszył w mrok zalegający między klasztornymi murami. Strażnik przekazał go następnie otulonej w chustę niewie×cie, która wiodła dalej, już przez budynek klasztorny. Wreszcie zatrzymali się, usłyszał ciche stuknięcie, potem skrzyp uchylanych drzwi i znalazł się w bogato urządzonej komnacie, o×wietlonej kilku ×wiecami. Na jej ×rodku stała Maryna z dłońmi przy piersiach, szeroko rozwartymi oczami wpatrując się w przybysza. Drzwi zamknęły się cicho, a ona przypadła do małżonka. Trwali w u×cisku przez chwilę, potem Dymitr niecierpliwym ruchem odrzucił opończę i uniósłszy Marynę na rękach, ruszył ku łożu. Złożył ją na nim ostrożnie, jakby się bał, że rozsypie mu się w rękach niby kwiat siejący płatki. Później równie wolno sam ułożył się przy niej. Lichtarz ze ×wiecami stał w drugim krańcu komnaty, ×wiatło więc ledwie docierało do łoża. Znaczyło tylko kontury leżących na nim postaci, zaledwie rozpraszając mrok, w którym byli pogrążeni. Wszakże słyhać było głos Dymitra, który leżąc głowa przy głowie z ukochaną,

szeptał urywanymi słowami: - Wreszcie nadeszła nasza godzina... Leżysz oto, miła moja, u mego boku, czuję pod dłonią dreszcz twojej piersi i uderzenia serca... - Dla ciebie bije, najmilszy... Tok słów urwał się, przerwany pocałunkiem. Po chwili znów rozległ się szept młodzieńca: - Pragnąłem opowiedzieć ci swą tęsknotę, swe miłowanie, szczę×cie z twojej blisko×ci... Ale teraz wszystko mi się w głowie mąci, my×li płaczą... Szczę×liwo×ć tak wielką czuję, że nie umiem do jej opisu słów znaleźć... - Mnie starczy, że jeste× przy mnie... Bo ja niecierpliwie na ciebie czekałam... - Czekala×, najmilsza?! - Wstyd to wyznać... Niewiasta nie powinna tego mówić... Ale czekałam... czekałam... - Głos Maryny drżał wzruszeniem i miło×cią. - Przytulam cię ku sobie, a przecież strach mnie ogarnia, że w obłok się zmienisz, że puste mi ostaną ramiona... Złudą wszystko się zda i snem, z którego boję się przebudzić... - Mnie za× zdało się, jakbym szła, biegła ku tobie, jednak daremnie, bo wciąż byle× równie daleki, wciąż nie do uchwycenia... - Ale oto jestem przy tobie, ty za× jeste× przy mnie... Czuję twe ciepło, drżenie twego ciała, tchnienie na licu... - Szept Dymitra pulsował wzrastającą namiętno×cią. Słowa urwały się, z mroku dochodziły już tylko szybkie, gorączkowe oddechy wtórujące szelestowi odzieży. Następnego dnia odbyła się audiencja posłów króla Zygmunta, wezwanych "do ręki jego cesarskiej mo×ci". Od ich siedziby aż do zamku stali strzelcy uzbrojeni w rusznice. Przy wej×ciu straż trzymali halabardnicy, dalej za× Inflantczycy pod dowództwem kapitana Margereta. Przed drzwiami audiencyjnej sali wyszedł naprzeciw posłom pan Mniszech i wdał się z nimi w rozmowę, ostrzegając, że listu królewskiego car nie chce przyjąć, zapewne z powodu pominięcia przysługującego mu tytułu. Czekali potem na przybycie okolniczego, Grigorija Iwanowicza Mikulina, który miał ich poprowadzić przed carskie oblicze. Sala przyjęć była wielka i

długa. W głębi, u jej krańca, na podwyższeniu o czterech stopniach, siedział na majestacie \* ze srebra car Dymitr, odziany w atłasową, bogato wyszywaną perłami szatę, z koroną na głowie i sceptrum \* w ręku. Czerńcy stojący obok niego mieli białe stroje i złote łańcuchy na szyi. Dzierżyli na ramionach siekierki obrócone ostrzami ku górze - dwóch z lewej i dwóch z prawej strony. Piąty trzymał obnażony miecz, szósty za× w miarę potrzeby ceremoniału podawał carowi to berło, to jabłko. Po jego lewej ręce w znacznym oddaleniu zasiedli bojarzy, po prawej duchowieństwo z metropolitą na czele. Dworzanie zajęli tylne ławy lub stali za plecami bojarów. Majestat - tronowe krzesło. Sceptrum - berło. Cała sala wyłożona była dywanami. Krzesła dla posłów ustawiono daleko od tronu, bo dopiero na ×rodku sali. Na wstępie przystąpiono do wręczania podarków od posłów, którym przewodził pan kasztelan małogoski Mikołaj Ole×nicki. Ich spis czytał Grigorij Mikulin. Z kolei posłowie witali cara, po czym w jego imieniu Ofanasjew wyraził słowa podziękowania i zaprosił do spożycia carskiego obiadu. Po odej×ciu posłów, w parę godzin po ich przybyciu na kwaterę, zjawił się tam cze×nik Wasilij Buturlin ze służbą, która przyniosła wielką ilo×ć potraw i napoi, wszystko w złotych naczyniach. Koronacja carowej Maryny została wyznaczona na czwartek osiemnastego maja. Tego dnia około południa zjechało na Kreml polskie poselstwo, ki erując się do tak zwanej złotej sali, w której swego czasu zmarł car Borys. Pełno już tam było bojarów i carskich dworzan, a w×ród nich i Polaków, przyjaciół pana wojewody. Połączyli się z nimi panowie posłowie, skracając oczekiwanie gawędą. Wreszcie do poselskiej sali uroczy×cie wkroczył car, ubrany w aksamitną, czerwoną szatę, tak gęsto sadzoną drogimi kamieniami, że ledwie spod nich widać było materię. W koronie na głowie, w rękach dzierżył berło i jabłko

wysadzane wielkimi diamentami. Poprzedzał go tłum dworzan składający się z kilkuset osób, a wśród nich szli pan starosta sanocki Stadnicki, chorąży przemyski Tarło i inni. Pan Baczyński z kniazem Mścisławskim trzymali cara pod rękę. Przy jego boku szła małżonka w ruskim stroju i obuwiu haftowanym perłami. Suknia z czerwonego atłasu, o szerokich rękawach, równie gęsto była obszyta diamentami i perłami. Na głowie miała małą koronę, taką, jaką w kraju zakładały polskie panny, ale bardzo bogato zdobioną szlachetnymi kamieniami. Wielką, carską koronę niesiono przed nią na złotej tacy. Prowadziły Marynę pod rękę księżne Mścisławska i Szujka, również w pysznych strojach i o licach mocno kolorami barwionych. Za nimi postępowały polskie panie ze starościaną sochaczewską, chorążyną przemyską, Herburtową i Kazanowską na czele. Car zasiadł na majestacie, carowa na mniejszym, ustawionym nieco niżej, po jego lewej ręce. Wówczas poproszono posłów polskich przed jego oblicze. Weszli Mikołaj Oleński, Aleksander Gosiewski i Maciej Niemojewski. W imieniu cara dziękował im Grigorij Mikulin za zezwolenie królewskie dane sandomierskiemu panu, by córkę wydał za mąż i przywiódł tutaj do Moskwy. Po tym przemówieniu zezwolono posłom siadać; zaraz też ukazał się patriarcha. Ponad jego głową niesiono tacę, a na niej spoczywała owa korona, która poprzedzała niedawno carską małżonkę. Patriarcha podszedł do cara, a ten, powstawszy, zdjął koronę z tacy i ucałował. Wszyscy także powstali, a potem ruszyli za nim, kiedy skierował się do wyjścia. Pochód mijał pałacowe sale i krużganki, potem zszedł schodami na dół i skierował się do cerkwi Przczystej Bogurodzicy Sobornej. Tam na podwyższeniu, obitym karmazynowym folendyszem, stały trzy ozdobne siedzenia. W środku dla cara, prawe zajął patriarcha, lewe carowa. Kiedy wspiąwszy się po stopniach usiedli na tych krzesłach, przeniesiono uroczystą

szatę, którą patriarcha okrył ramiona carowej. Potem na tejże tacy wniesiono złoty diadem, sadzony sześcioma szmaragdami wielkości kurzego jaja, wielką liczbą dużych pereł i przeróżnych kamieni. Diadem ten włożył przez głowę na ramiona carycy patriarcha, a kiedy w chwilę później na tej samej tacy ukazała się korona, uniósł ją w górę, a potem wolno umieścił na głowie siedzącej nieruchomo Maryny. Pobłogosławiwszy ją, ujął przez kraj szaty za dłoń i, schylony, kornie rękę ucałował. Przez cały czas trwania ceremonii posłowie musieli stać. Toteż zaczęli utyskiwać, co doszło do uszu cara. Polecił więc Ofanasjewowi objaśnić posłów, że nie jest we zwyczaju siedzieć w cerkwi i on sam także by stał, gdyby ceremonia nie kazała mu pozostawać w krześle. Patriarcha odstąpił teraz od królowej, by dać miejsce innym duchownym, a po nich księżę Mściłowski tak samo całował jej dłoń i w imieniu całego bojarstwa zaprzysiął wierne poddaństwo. Po tym hołdzie odprawiono modły i śpiewano pieśni, wreszcie car udał się na miejsce, które zajmował na zwykłych nabożeństwach, a carowa skierowała się do zakrystii, by odprawić modły swego obrządku. Kiedy znów ukazała się w drzwiach zakrystii, car uniósł się z miejsca i zbliżywszy się do niej, poprowadził do bocznego ołtarza, gdzie pop udzielił im ślubu. Kazał ująć się za ręce, a kiedy to uczynili, obrócił nimi trzy razy w koło, potem nalał wina do szklanej czarki, sam go nieco upił, dał carowi, a po nim carowej. Ceremoniał ten powtórzył trzy razy. Po trzecim picu postawił czarę na ziemi, a car, nastąpiwszy, rozgniół ją nogą. Nastąpiły dalsze ślubne obrzędy, wreszcie wrócili na miejsce i siedzieli nieruchomo, w koronach na głowach, dzierżąc w rękach berła i jabłka, od których biła jasność, tak były bogato zdobione. Dygnitarze, księżęta i co znamienitsi bojarzy pełnili teraz przy nich różne najlichsze, służebne czynności: podkładali pod stopy poduszki, wspierali na nich

carskie nogi, ×cierali z obuwia kurz, wygładzali szaty i spełniali inne posługi, które zwykle czynią paziowie. Miało się już ku wieczorowi, kiedy car opu×cił wreszcie swe miejsce i samotnie skierował się ku bocznym drzwiom. Dopiero po chwili carowa postąpiła za nim, otoczona swym najbliższym fraucymerem. Po ich wyj×ciu kniaź M×cisławski brał z misy złote portugały i rozrzucał je dookoła, a potem przystąpił do posłów i wskazując na późną porę i zmęczenie obrządkami prosił, by na weselną ucztę raczyli przybyć następnego dnia. Świece paliły się w kilku lichtarzach rozstawionych w komnacie carycy. Największy stał na nakrytym do posiłku stole. Ustawiony na ×rodku, przykryty ×nieżnym obrusem, l×nił w chybotliwym ×wietle ×wiec błyskami złota na talerzach, kielichach i misach. Podłogę i ×ciany pokrywały wschodnie kobierce, tu i tam stały obijane srebrem skrzynie i sepety, a różne sprzęty roboty tureckiej i nawet chińskiej połyskiwały rozmaitymi kolorami emalii. Nie brakło przedmiotów i roboty zachodniej, przysłanych carowi Iwanowi przez usługną Hanzę. Dwoje drzwi prowadziło do bocznych pomieszczeń. Jedne z nich, uchylone, ukazywały wnętrze sypialni z szerokim, przygotowanym do spoczynku łóżem. Drugie prowadziły do izb służbowych, gdzie rządziła pani Chmielecka, ochmistrzyni Maryny. Tylko ona miała teraz prawo do obsługiwania małżeńskiej pary, gdyż małżonek po długich i uciążliwych ceremoniach dworskich chciał wreszcie odetchnąć tylko z umiłowaną żoną. Młodzi małżonkowie usiedli naprzeciw siebie, przedzieleni szeroko×cią stołu. Maryna z rumieńcami na twarzy wskazała małżonkowi miejsce, sama oczekując, aż on nie spocznie. Ten jednak, zamiast usłuchać zaproszenia, zbliżył się do niej i objawszy ramionami nachylił się, szepcząc raptownie schrypniętym głosem: - Nareszcie nie potrzebujemy się skrywać! Przywarł ustami do jej ust, ona za×, także porwana

namiętno×cią, oddawała mu pocałunki. Wreszcie uwolniła się z jego objęć i z zarumienioną twarzą obróciła w stronę stołu. - Wasza carska mo×ć zechce posilić się - rzuciła z na pół zażenowanym, na pół przekornym u×miechem. - Przegłodowali×my cały dzień... - To prawda! - Dymitr opadł na wskazane mu krzesło. - Istotnie znojny to był, ale i najwspanialszy dzień mego życia. Toteż głodnym wielce, lecz nie tylko tych potraw, które tu widzę. - Trunki będą także - odpowiedziała żartobliwie, udając, że nie zrozumiała aluzji. - Pani Chmielecka zadbała o dobre wino, więc i pragnienie wasza carska wysoko×ć ugasi. - Wino tego pragnienia nie ugasi, choćby nie wiedzieć jak przednie! Ale poniechajcie wreszcie tego cara, chcę być owym Dymitruszką, którego× znała w Samborze. - I ja wolę tak ciebie zwać, gdyż bliższym mi się wtedy stajesz... Dymitr nie zdążył odpowiedzieć, gdyż weszła pani Chmielecka niosąc talerze i misy. Dopiero kiedy postawiła je na stole i opu×ciła komnatę, podjął rozmowę: - Za nic mam carstwo bez ciebie, bo× mi milsza ponad wszystkie ludy ziemi i całe jej złoto! - Sięgnął po napełniony przez ochmistrzynię kielich. Maryna uniosła swój i powiedziała poważnie: - Oby×my żyli szczę×liwie dla siebie, ale także i dla dobra naszego narodu. - I ja tego pragnę, boć poza miłowaniem są i obowiązki. Niechże zatem niebo nad naszymi głowami zawsze będzie czyste! Wypił kielich do dna. Maryna milczała chwilę, wreszcie spojrzała na niego z troską. - Zaczynam jednak dostrzegać na nim chmury, Dymitrze. - O czym my×lisz, kochana? - O buncie strzelców... - Mikulin szybko sobie z nim poradził. Spadło parę głów i jest spokój. - Czy można go być pewnym? To nie strzelcy się zbuntowali, boję się, że sprawa sięga głębiej i Mikulin do jej dna nie dotarł. Istotni sprawcy buntu nie zostali wykryci. Jestem pewna, że Tatiszczew nie działał sam... - Nie frasuj się, luba! Oto należymy do siebie, a carskie korony na naszych głowach,

których już nic krom ×mierci odebrać nam nie może! Maryna skierowała na niego spojrzenie swoich dużych, ciemnych oczu i powiedziała poważnie: - Nie mów o ×mierci, Dymitrze, w tej szczę×liwej chwili! I nie lekceważ tego buntu, gdyż widać z niego, że obudziły się złe siły i gdzie× skrycie działają. Zamierzoną odpowiedź przerwało Dymitrowi powtórne wej×cie pani Chmieleckiej, która przyszła zmienić talerze i potrawy. Kiedy wyszła, odezwał się: - Czy teraz musimy o tym mówić? Teraz, gdy płonę z niecierpliwo×ci, by przygarnąć cię do serca? - Zbyt mi te my×li gnębią, bym milczała. Chcę także, aby× powiedział, czy wie×ci, które mnie ostatnio dochodziły, choć w czę×ci są prawdziwe. - Cóż ci mówiono? - Za złe ci ponoć mają niektórzy, że× zbyt dla wszystkich przystępny, zbyt łaskawy. Oni tu nawykli do surowo×ci, z jaką rządził twój rodzic, a i Godunow także. Ci nikomu nie okazywali łaski, nawet je×li tylko okazał się podejrzany. Ty× chyba zbyt pochopnie i Szujskiemu wybaczył... - Zgodnie z Boskim przykazaniem to uczyniłem. Tak mi zresztą radzili duszpasterze, którym ufam. - Wszakże nie byli to miejscowi, ale z jezuickiego zakonu. To także prawosławnych kapłanów zniechęca i gniewa. - Szujski wiernie mi służy. Mieli rację moi doradcy skłaniając mnie do wybaczenia. - Za bardzo tę wierno×ć wystawia na pokaz, co sama widziałam. On, a także i jego bracia. Mój rodzic także mnie prosił, bym ci przekazała jego ostrzeżenie. Dymitr roze×miał się. - W obcym kraju jeste×, ptaszyno, w×ród obcych ludzi, dlatego niepokoje cię trapią. - Za złe ci też mają zbytnią szczodro×ć w rozdawaniu zasobów carskiego skarbcza... - Maryna nie ustępowała. - Władca musi okazywać hojno×ć sługom, bo na nią liczą. O skarb za× niech się nie martwią, podskarbi Własiejew garncami perły i drogie kamienie mierzył, kiedym sprawdzał, co mam. Złota także jest do×ć. - Tyle pereł i cennych klejnotów? Skądże tak wiele ich



jest? - Cały skarb Dżyngis\_Chana trafił przy zdobywaniu Syberii do kremlowskiego pałacu. - Wszakże nie twoje zasoby powinny decydować o przysłudze, gdyż mało warta wierność kupiona za pieniądze. Dymitr odsunął talerz i otarł wąsy. - Uczą starcy, że wszystko można kupić. A zatem i wierność także. - Tyle że na kupionej nie można polegać. Wydasz na nią wór złota, a okaże się, że i kopiejki nie była warta. Dymitr uśmiechnął się widząc, z jakim przejęciem jego młoda małżonka udziela mu pouczeń, więc zerwał się od stołu i skoczył ku niej wołając: - śliczna jesteś z tymi blaskami w oczach i łuną rumieńca na licu! Tchu nie staje, kiedy patrzę na twą krasę, a cierpliwoci, by podziwiać cię z dala! Poderwał ją z ziemi i niósł do sypialni, podobnie jak w pierwszą ich wspólną noc. Ostrożnie złożył na przygotowanej pościeli, ale tym razem, kiedy sięgnął do guzików i tasiemek jej sukni, wyrwała mu się i zeskoczyła z łoża. - Nie, Dymitrze... Nie... Tu tyle światła... Dymitr, początkowo zaskoczony jej odruchem, roześmiał się. - Tedy zaraz je pogaszę! Ale nie wszystkie, bo nie chcę pozbawiać oczu rozkoszy, niech się radują cudami, które ujrzą. - Oj, Dymitraszku... - pogroziła mu palcem - bądź posłuszny, idź do stołowego i czekaj, aż cię przywołam... Inaczej spędzisz noc na krześle. Szaro już było w sypialni, kiedy Maryna obudziła się. Dymitr jeszcze spał z ramieniem pod głową. Przez chwilę przyglądała się jego twarzy i opuszczonym powiekom, ledwie widocznym w cieniu padającym od czoła. Nagi, młodzieńczy tors, rysujący się dwiema tarczami mięśni, unosił równy oddech. Maryna uświadomiła sobie, że sama również jest naga, i mimowolnym gestem podciągnęła wyżej kołdrę. W na wpół sennym zamroczeniu ponownie przeżywała przebytą noc. Myśli mąciły się i rwały, bo strzępy snu i wstydliwie zakłócały ich bieg. Po chwili ujrzała, że mąż już się ocknął i szeroko rozwartymi oczami wpatruje się w jej twarz.

Umiechnęła się ku niemu z zażenowaniem. - Nie pisz, miły? - szepnęła, jeszcze bardziej podciągając koldrę. - Tak jak i ty... Obrócił się na wznak i podłożywszy dłonie pod głowę spoglądał w ciemną powalę nad sobą. Wreszcie odezwał się: - Oto zamiast pod gwiazdami i otwartym niebem spoczywam pod stropem kremłowskiego pałacu! Otmosiągnął siedzibę mych przodków i jestem w jej murach! - Czasem czyste niebo lepsze niż mury, bo te, choć chronią, ale i wiążą... - szepnęła w zamyśleniu i po chwilowym wahaniu ciągnęła dalej: - Nie wiem dlaczego, ale wciąż czuję niepokój, zda mi się, że skądś dochodzą mnie głosy ostrzeżenia, zjawia się lęk, iż lada chwila drzwi się uchylą i pojawi się w nich coś strasznego... Dymitr roześmiał się beztrąsko. - Jak wy to mówicie? Strachy na lachy? Nic sobie nie rób z tych przywidzeń! Objął żonę przyciągając ją ku sobie. Odnalazł jej usta i Maryna zapomniała o wszystkich obawach i lękach, które ostatnio trąpiły jej duszę. Książe Wiśniowiecki otrzymał kwatęę we dworze mołdawskiego hospodara Stiepana. Dom mieszkalny był ogromny, z licznymi przybudówkami, przejściami, korytarzami, alkowami i komorami. Stajnie i pomieszczenia służbowe także były obszerne, a więc większość jego orszaku, a zwłaszcza co znamienitsi jego członkowie mogli zakwaterować się przy księciu. Reszta wraz ze zbrojną ochroną dostała pomieszczenie równie wygodne, choć nieco odległe. Dni spędzano wesoło i hucznie. Jeśli nie było przyjęć na Kremlu, książe spraszał na biesiady polskich i ruskich przyjaciół, nie żałując potraw i trunków, gdyż car, pomny gołciny, jakiej zażywał w Załużu, przykazał dbać, by niczego księciu Konstantemu nie brakło. Lało się więc wino szcudrze, służba coraz to zmieniała półmiski, kurzyło się z podchmielonych głów, gdyż panowie bracia - poza nielicznymi wyjątkami - pozostawili małżonki w Polsce, przyhamować zatem ochoty nie było komu. Wszakże prym w

korowodzie tych uciech wiodła rzecz prosta młodzież - owi mało co więcej niż dwudziestoletni młodzieńcy, którym udało się wyrwać spod rodzicielskich skrzydeł, a korzystali ze swobody znaczniejszej niż na wojennej wyprawie, bo bez hetmańskiego porządku i regulaminowych obroży. A przy tym obyczaje na książęcym dworze nie były zbyt surowe. Tego wieczoru książę Konstanty i co znaczniejsi panowie byli na wieczerzy u cara. Stół na dworze Szujskich obsiedli więc młodszy jego dworzanie, wśród których prym wiodli Walery Jasiński, siostrzeniec pana Niemojewskiego, młody Zbaraski i Nikodem Jedlina, krewniak krakowskiego biskupa. Godnie im w picciu towarzyszyli i bojarscy synowie: młody Borys Szujski, Nikołaj Gramotin, Grigorij Gołochwostow i jeszcze kilku innych. Ze starszych zaś, zajmując górę stołu, zasiedli Dymitr Szujski, Łukow, Dołgoruki. Jako brat gospodarza przewodził Dymitr, gdyż Iwan wraz z Wasylem także wieczerzali u cara. Zapraszał więc druhów Polaków do trunków bacząc, by nikt nie miał pustych kielichów. Kiedy już dobrze kurzyło się ze łbów, a gwar rozmowy przeszedł w hałaśliwy rozgardiasz, bo każdy chciał być przy głosie, Zbaraski, siedzący obok Dymitra, zawołał ku niemu: - Wesoło, bo wesoło, ale przydałaby się i kapela! Wołajcie muzyków, niech nam zagrają! A i potańcować by się zdało, jeno nie ma z kim! - Na muzyków zbyt już późno, aby ich szukać - uśmiech Szujskiego skryła broda - toteż i tancerki zbędne... Ale czy nie milej pobaraszkować z dziewczką miast utrudzać się tańcem? Ja tam brzdąkania nie lubię, ale na babskie krągłości ochoty nigdy mi nie brak! Zbaraskiemu zabłyśły oczy, a siedzący obok Jasiński zawołał: - Chyba że milej! Ale gdzie je szukać?! Jedlina przyłączył się do towarzyszy: - Są tu gdzie blisko takie, co by człeka przytuliły? - Pewnie, że są - wyjaśnił dobrodusznie Dymitr. - Tylko że za dużo was, aby taką gromadą po nocy grasować... - Nie

wszyscy muszą i×ć! - zawołał Zbaraski. - Wymkniemy się cichcem, powiedzcie ino, gdzie je znaleźć. - To kawałek drogi, trzeba brać konie... - Książę Dymitr zawahał się. - Są tam dwie hoże córeczki, co lubią zarobić, ale umieją też zabawić, a i parę służebnych dziewczek, takóŜ wartych grzechu. Sam nieraz do nich zaglądałem, to wiem, co warte... - Trafimy sami? - Hm... Chyba nie, musiałbym dać wam przewodnika. Mogą tam być i rodzice, ale go×ci zwyczajni. Nieznajomych mogą jednak przeganiać, bo przyjmują tylko znanych. Wówczas trzeba z nimi twardo, zresztą jak was znam, potrafcie sobie poradzić. - Na pewno poradzimy! - zawołał Jedlina. - Kto tedy nas powiedzie? Szujski przeczesał palcami brodę, wodząc oczami po krzykliwie rozprawiających biesiadnikach. Zatrzymał wzrok na swoim krewniaku Borysie, dwudziestoletnim młodzieńcu, i wymieniwszy z nim spojrzenie, zerknął z kolei na Zbaraskiego, po czym odezwał się z żartobliwym błyskiem źrenicy: - Widzę, że będę musiał wam pomóc. Przewodnik się znajdzie. Wkrótce wymknęli się we trzech z izby i kazali pachołkom siodłać wierzchowce. Okazało się, że przewodnikiem będzie Borys, bo zaraz się zjawił i obiecał poprowadzić, więc ruszyli za nim. Gnali przez ulice ×piącej Moskwy, gdyŜ obraz czekających krasawic, tak zachęcająco ukazany przez kniazia Szujskiego, kazał nie szczędzić ostróg, jakby to wojenna konieczno×ć, a nie własna zachcianka ponaglała do po×piechu. Wasilij Andriejewicz Wołnow miał nieduŜe gospodarstwo w Słobodzie Czertolskiej, niedaleko rzeczki Nieglinki. Dom był wygodny, bo miał liczne komory i alkierze, tak przydatne w życiu rodzinnym. PoniewaŜ gospodarstwo było małe, trzymał tylko dwie służebne do pomocy córkom Maszy i Tani oraz małŜonce Natalii Pawłownie. Sam z synem Grigorijem słuŜył w carskiej zbrojowni, bo rusznikarzem był przednim. Jeszcze car Iwan wysłał go na Zachód, by uczył się tego rzemiosła. Ale nie

tylko jego mistrzostwo było przyczyną, że znany był również i w mieście. Szanowano go bowiem na równi za znajomością fachu, w którym nie miał sobie równych, jak i z powodu wielkiego poważania, jakim cieszył się w slobodzie. Przychodzono do niego po radę, bo człowiekiem był mądrym, a nawet poddawano się w sporach jego sądom. Opinia Wołnowa miała w dzielnicy decydujące znaczenie, a jego słowa - wagę przysięgi. Tego wieczoru Wasilij Andriejewicz wrócił do domu o zwykłej porze, trzykrotnie pokłonił się przed wiszącymi w rogu izby ikonami i przeżegnał się nabożnie, przysiadł na ławie, podstawiając służebnej nogi, by mu wyciągnęła obuwie. Potem zajął miejsce przy zastawionym stole. Matka i obie córki dopiero wtedy usiadły, ale czekały, dopóki pan domu nie rozpocznie posiłku. - Gdzie Grigorij? - zatroszczyła się w pewnej chwili Natalia Pawłowna. - Dlaczego nie przybył z waszą miłością? - Posłałem go do Tuszyna. Przyprowdzi rankiem krowę, którą tam kupilem... - wyjaśnił Wasilij Andriejewicz dokładając sobie do talerza. - To dobrze! - ucieszyła się jego małżonka. - Przyda się, bo obie nasze cielne i mleka skapia... - Ano właśnie... - mruknął w odpowiedzi Wasilij i nie podtrzymywał nadal rozmowy, głęboko nad czymś zamyślony. Niedługo po wieczerzy obie córki udały się do swojej dziewczęcej izby na spoczynek, małżonkowie pozostali jednak w jadalnej, bo Natalia Pawłowna koniecznie chciała wyciągnąć z męża przyczynę tak głębokiego zamyślenia. Ten jednak nie był skory do zwierzeń. Na takiej jednostronnej gawędzie minęła chyba godzina, kiedy raptem od bramy wjazdowej doszły ich jakieś głosy czy też wołania, rozległ się czyjś śmiech, a wreszcie drzwi otworzyły się z hukiem i do izby weszło trzech rośliwych młodzieńców. Wasilij Andriejewicz po strojach i rysach kołpakach poznał w nich od razu Polaków, a że słyszał już o swawolach tych nieproszonych gości, więc niespokojny

zerwał się na nogi. - Cze×ć, zacny gospodarzu! - zawołał idący na przędzie postawny brunet. - Dajcie trunku, chętnie też pogwarzymy z waszymi dziewczątkami! - Co wy...? Co wy...? - Ze zdumienia i zgrozy Wasilij nie mógł wydobyć z siebie ani słowa więcej. Natalia Pawłowna załamała ręce i zaczęła zawodzić: - Boże lito×ciwy, Chrystusie sprawiedliwy, czego od nas chcecie, czego nachodzicie po nocy niczym opryczniki?! - Toć wiadomo, co chcemy! - zawołał drugi z przybyszów. - Miodu popić, z dziewczątkami poigrać, a je×li my×licie, że×my golcy, to macie tu, chyba wystarczy! Sięgnął za pas i rzucił na stół sakiewkę. Widać nie była mocno ×ciągnięta, bo wysypały się z niej złote dukaty i potoczyły po obrusie. Teraz dopiero stary rusznikarz odzyskał głos. - Precz! - wrzasnął z twarzą nabiegłą krwią. - Precz, sobaki! Zerwał się na nogi i rzucił w kąt izby, gdzie stały włócznie i wisały na ×cianie pistolety, ale czujny Jedlina chwycił go za ramię i pchnął na ławę, Zbaraski za× gwizdnął przenikliwie przez zęby. Do izby wpadło kilku pachołków. - Wiązać go! - krzyknął do nich. - Widzi mi się, że tu tylko wybranych przyjmują, ale i my nie gorsi! Natalia Pawłowna pobiegła ku nim i szarpiąc ich za odzież, próbowała przeszkodzić w poniewieraniu małżonka. Zbaraski nakazał więc i ją skrepować, a ponieważ nie przestawała to skarżyć się, to przeklinać, dorzucił: - Wsadźcie tam który kawał szmaty do gęby tej starej kwoce! Wrzeszczy, jakby ją sadzano na ogień! Kiedy i ten rozkaz został spełniony i oboje małżonkowie już siedzieli skrepowani, z nienawi×cią spoglądając na swoich prze×ladowców, Zbaraski polecił pachołkom: - Niech jeden ostanie przy tych sępach, reszta czekać na podwórzu! - A gdzie Borys? - zainteresował się Jasiński. - Przecież przybył tu z nami? - Odjechał nawet nie zsiadając z konia - wyja×nił Zbaraski. - Odjechał? - zdziwił się młody rycerz. - A to czemu? - Powiedział, że z powrotem traficie już sami, a

czworo gości będzie za dużo... - Licho z nim! - Jedlina machnął ręką i obrócił się do towarzyszy. - My szukajmy teraz gołębnika! Gdzie przecież kwilą tu nasze ptaszyny, trzeba je pocieszyć. Miał przed sobą szeroko rozwarte oczy dziewczyny, połyskujące w półmroku alkowy. Utkwiła nieruchome spojrzenie w jego twarzy, jakby chciała poznać choćby strzępy jego myśli czy też może odgadnąć i pojąć uczucia. Zniewolony porażającą dociekliwością tego spojrzenia nie był zdolny odwrócić wzroku od utkwionych w niego oczu, które niby dwa gwoździe unieruchomiły mu źrenice. Raptem zrozumiał, że jest to spojrzenie istoty pozbawionej przytomności i tak wstrząśniętej, że nieświadomej gwałtu, jakiemu ulega, tak jak on teraz dopiero pojął, że gwałt zadaje. W pewnej chwili jakby nikły, mglisty obłok przesłonił jej oczy, źrenice uniosły się ku opadającym na nie powiekom, a usta tchnęły ledwie uchwytnym oddechem rozkoszy - takiej samej, jaka przeniknęła każde włókno jego ciała. Dopiero w pół godziny po odjeździe strasznych gości jedna ze służebnych, sama jeszcze w podartej koszuli, z licznymi plamami sińców na prawie nagich piersiach, rozcięła więzy skrepowanych gospodarzy. Nie mieli wątpliwości o losie córek, bo krzyki napastowanych rozlegały się po całym domu, więc nawet o nic nie pytali. Zresztą sam widok służebnej starczył za relację. Po opadnięciu sznurów Wasilij Andriejewicz nie ruszył się z miejsca. Nadal siedział nieruchomo, jakby nie czuł, że już ich na sobie nie ma, i tylko wpatrywał się uporczywie w leżące na stole żółte, połyskujące krążki. Natalia Pawłowna oparła czoło o blat stołu i otoczywszy ramionami głowę, zaniosła się nieprzerwanym, zawodzącym płaczem. Dopiero po pewnej chwili, jakby tknięta jakąś myślą, uniosła się na nogi. Byłaby upadła, gdyby nie podtrzymała jej dworka. - Prowadź - zachlipała - chcę do moich dzieci... Poszła z wolna, prowadzona przez

dziewczyne. Stary rusznikarz nadal nie ruszał się, jakby nie×wiadom, co dzieje się dookoła. Kiedy późnym już rankiem Grigorij uwiązał przyprowadzoną krowę i wszedł do domu, panowała w nim martwa cisza. ĩaden odgłos nie dochodził z jego głębi, nie słychać było ani zwykłego zrzędenia matki, ani wesołego szczebiotu sióstr. Ojciec siedział nieruchomo za stołem, na którym, ku zdziwieniu młodzieńca, stały jeszcze resztki wieczerzy. Trwał na ławie z opuszczoną głową, jakby zmożony snem. Grigorij chciał go wła×nie budzić, by zawiadomić o powrocie, kiedy raptem do izby wpadła matka i z płaczem rzuciła się ku synowi, przyciskając go do piersi. I dopiero z jej bezładnych i urywkowych słów dowiedział się, co zaszło. Kiedy za×pojął wszystko, obrócił się w stronę ojca. - Cóż tak siedzisz, jakby cię wyciosano z drewna?! - krzyknął zapominając o respekcie i strachu, jaki zawsze przed nim odczuwał. Ten uniósł powieki i bez słowa spojrzał na syna, ale tego spojrzenia starczyło, by Grigorij raptem zamilkł i w rozterce obejrzał się na matkę. Wasilij Andriejewicz, wciąż milcząc, wyciągnął rękę i zaczął zbierać rozrzucone na stole złote dukaty, układając je przed sobą. - Wasilij, opamiętaj się! - krzyknęła Natalia Pawłowna. - Nie dotykaj tego złota! Przeklęte ono i niech nie tkną go nasze ręce! - Zamilknij! - warknął krótko stary i tak groźnie, że Natalia Pawłowna ze strachem zacisnęła usta. Patrzyła jednak na małżonka z wyrazem zgrozy na twarzy, kiedy on, nie zważając na jej słowa, nadal układał przed sobą monety. Odezwał się jednak po chwili, i to nadspodziewanie spokojnie: - Niech dziewczki ogarną się i ruszą do zwykłej roboty. Nie życzę sobie żadnych biadoleń! W pracy najrychlej znajdą ukojenie. Sama także zajmij się domem. I zawrzyj wreszcie gębę, abym słowa więcej o tym, co zaszło, nie słyshał! Zrozumiała×? - Tak... łaskawco... tak... - wyjąkała Natalia Pawłowna i ruszyła do drzwi. A ponieważ Grigorij



chciał i×ć za matką, Wasilij Andriejewicz rozkazał: - Ty pozostań. Kiedy już byli sami, odezwał się do syna: - Weź to złoto i przetop mi z niego kule. Dwie do moich pistoletów, a trzy do rusznicy. Powinno go starczyć. - Kule? - Oczywiście Grigorija rozszerzyło zdumienie. - Tak, bo chcę im zwrócić to złoto... Odlej więc, synu, kule starannie, by dobrze pasowały i nie chybiły celu. A zasię wyzwolisz matkę Ru× od sprawcy wszelkiej nieprawo×ci, jaka u nas nastąpiła. On jest głównym jej winowajcą, niech więc takóž i za naszą hańbę zapłaci!

Grigorij wyszeptał z przerażeniem, mimo woli oglądając się na boki: - Car, ojczy? - Tak, wła×nie on. Pozostaną jeszcze ci, co złoto zostawili, ale tylko ja wiem, którzy to są, bom dobrze zapamiętał ich twarze. Mnie tedy oddasz te trzy kule, a sam weźmiesz pistolety... Poniewaž młodzieniec milczał, wstrzą×nięty ojcowską wołą, ten ciągnął dalej: - Nieskorym był do spisku przystąpić. łądano, bym naszą słobodę, a także i inne za sobą pociągnął. Teraz wszakże widzę, że prawdę mówiono, należy wytepić to robactwo, co nas oblažło... Niechże tedy krew się poleje, niechże twa ręka nie chybi, kiedy wymierzysz pistolet w pier× tego, który winien jest hańbienia naszych obyczajów i wiary! - Przykazujesz ubić cara? - Tak, jeno nie cara, ale tego, który nim się mianuje. Ważne zajdą zdarzenia tej nocy, lud za broń porwie i ruszy na kwatery Polaków. Kredą będą poznaczone, by łatwo przyszło je odnaleźć. Lecz nie twoja to sprawa, je×li zatem słowo o tym komukolwiek powiesz, własną ręką cię zgładzę! Ty jeszcze z wieczora zgłosisz się do dzwonnika cerkwi Zbawiciela, mnicha Onufrego. On już będzie o tobie wiedział i skryje cię, dopóki nie nadejdzie czas. Jak dzwon się odezwie, poszukasz samozwańca i ubijesz go! święta to będzie kula, totež nie chybi celu! Nie dawał wiary car ostrzeżeniom, które do niego dochodziły, bagatelizował słowa przestrogi, jakie nuncjusz przekazał mu przez swego siostrzeńca, nie słuchał też

przestróg polskich posłów i ich rad, aby bacznie obserwował swoje otoczenie. Jakby skazany przez los nie tylko był na nie głuchy, lecz nawet uspokajał posłów i zapewniał ich, że mocno dierży w ręku cugle władzy. W znacznej mierze utwierdzali go w tej pewno×ci chytry Szujscy. Na każdym kroku okazywali mu całkowite posłuszeństwo, spełniali wszystkie jego polecenia i wielokroć udzielali rad, które zdawały się pochodzić z życzliwo×ci, gdyż zawsze zmierzały do wzmocnienia powagi i trwało×ci tronu. Ostatnio, pragnąc dać wyraz swojemu oddaniu również osobie carycy, zaproponowali, by wzorem dworów zachodnich ogłosić na jej cze×ć turniej rycerski z nagrodami, które sama będzie wręczać zwycięzcom. Pomysł ten bardzo spodobał się carowi, przystąpiono więc do przygotowań. Kiedy wie×ć o turnieju rozeszła się po mie×cie, rycerstwo, zwłaszcza polskie, przystąpiło do sposobienia zbroi i broni. Jednak różni ludzie po cerkiewnych kątach, w oberżach i na targach inny podawali powód tych zabiegów. Mówiono, że to na moskiewską ludno×ć i bojarów przygotowuje się broń, że wnet poleje się ich krew. Jednocze×nie - również za radą Szujskich - dla u×pienia czujno×ci także i polskich panów przystąpiono do rokowań o wspólną wyprawę przeciw Turcji. Rozmowy te, prowadzone nieomal codziennie, przebiegały nadspodziewanie gładko, bo przewodzący im bojarzy okazywali wyjątkową ugodowo×ć i zrozumienie dla polskich żądań. Toteż rychło uzgodniono wszystkie warunki i tajny, zaczepno\_ odporny traktat był gotów do podpisania. To było powodem, że car, w tym wypadku także w my×l podsuniętej mu przez Wasyla Szujskiego propozycji, postanowił uczcić porozumienie wydaniem wielkiego przyjęcia na Kremlu. Proszono więc posłów i wszystkich znaczniejszych panów na ucztę, ustaloną na dzień 16 maja. Dymitr i Iwan Szujscy wzięli na siebie trud jej przygotowania, co pozwoliło im

zadbać o należytą ilość dobrych trunków. Dla tych zaś, których zaproszenie nie dotyczyło, rozesłano na kwatery beczki piwa, gorzałki i miodu. Rankiem rozeszła się wiadomość o nowym wybryku polskich gości, tym razem tak niesłychanym, że oburzyło to ludność całego miasta. Oto, mimo że poszkodowany nikomu o zdarzeniu słowa nie powiedział, dowiedziano się, że najechano dom Wołnowa. Znany był Wołnow z zacności nie tylko w swojej i okolicznych slobodach, ale także w całym Biełogrodzie, toteż wiadomość, rozprowadzana jakby umyślnie, rozeszła się szybko i po innych grodach, powodując oburzenie i gniew nie tylko tych, co Wołnowa znali. Wiadomość nie dotarła jednak na dwór kremlowski, a nawet jeżeli i któryś z dworzaków dowiedział się o zdarzeniu, zabroniono surowo dalej mu o tym powtarzać, by, jak wyjaśniali bojarzy, nie psuć nastroju przed wieczorną ucztą. Odbyła się więc istotnie wśród beztroskiej wesołości. Trunki lały się już nie strumieniem, lecz rzeką, o co dbali zarządzający uroczystością bracia Szujscy, sami zresztą nie pijąc, by - jak wyjaśniali - zachować trzeźwość dla tym lepszego obsługiwania gości. Po kwaterach także nie wylewano za kołnierze, kiedy więc strudzeni panowie zjechali wreszcie do swoich domów, ich służba nie była bardziej trzeźwa niż oni sami. Długo zatem nie trwało, a wszyscy pogrążyli się w twardym, pijackim śnie. Nikt więc nie widział, jak w nocnych mrokach przekradały się jakieś ciemne postacie i znaczyły bramy domów białymi krzyżami. Świt pierwszą szarością coraz wyraźniej rysował kontury dachów i korony drzew, wydobywając je z ciemności nocy, kiedy pięć miasto obudziły miarowe uderzenia największego kremlowskiego dzwonu, zwanego Niedźwiedziem. Grzmiał swym potężnym głosem pieśń trwogi, jakby wzywając pomocy i ratunku. Za nim odezwał się "Tatar" zawieszony na dzwonnicy Wozniesieńskiego

Klasztoru, a potem inne. Powietrze nad Moskwą zadrżało od tego rozkołysania dzwonných serc. Poderwali się ludzie na nogi w zamożnych sypialniach, w ubogich izbach i alkierzach, z byle jakich barłogów, z siana czy słomy po stajniach i szopach. Pytano w strachu, co zaszło, co się wydarzyło, bo patrząc na pierwszą srebrzystość nieba nie dostrzegali nigdzie łuny pożaru. Ale z szybkością wiatru rozeszła się wieść, że to Polacy mordują bojarów i moskiewski lud, a z nią poszło wezwanie, by każdy chwycił, co ma do obrony pod ręką, i pieszy odeprzeć napad. Pojawili się nie wiadomo skąd przywódcy i wiedli swoje oddziały na Kreml. Na czele jednego z nich, lepiej zbrojnego i odzianego nawet w blachy, kroczył sam książę Wasyl Szujski z szablą w jednej ręce, a krzyżem w drugiej, i nawoływał lud, by zniszczył obcą gadzinę, co wpełzła na święty, ruski tron. Już pierwsze, alarmujące uderzenia dzwonu zerwały pana Miechowickiego z pościeli, kazał mu szybko wdziawać odzież. Z komory wypadł też i Suchecki, przypinając w pościechu szablę. - Szybciej, bo nie wydostaniemy się - warknął widząc, że jego towarzysz nie jest jeszcze gotów. - Sądysz, że to nie pożar? - Jeśli pożar, łatwo będzie wrócić, ale po tym, com wczoraj słyszał, sądzę, że trzeba uciekać, by chociaż własne głowy ocalić. Dymitrowi teraz my niepotrzebni! Miechowicki porwał za kołpak. - Jedźmy, bo jeśli car sam się nie uratuje, istotnie już mu nic nie możemy pomóc. Konie gotowe? - Nie od dziś! Biegnijmy, bo może być za późno! W kilka minut dotarli do stajni, gdzie zbudzeni dzwonem pachółkowie już osiodłali wierzchowce. Ruszyli w pięciu i szczęśliwie, choć w ostatniej chwili, wydostali się poza mury Biełogorodu. Pognali na południe, traktem wiodącym na Kaługę i Briańsk, zmierzając do Starodubia, gdzie, jak zapewniał Grigorij, miał on tam dobrych przyjaciół, którzy schronienia im nie odmówią. Car Dymitr, do późnej nocy ucztując, zmożony biesiadą legł

spocząć w swojej sypialni. Obudził się jednak, mimo zamroczenia trunkami, szybciej niż miasto, bo głos dzwonu zdawał się mu grzmieć tuż nad głową, jakby to jego przede wszystkim chciał ostrzec. Porwał się więc z po×cieli i wdziawszy obuwie oraz polską czamarę, chwycił za szablę wiszącą na ×cianie. W służbowej komnacie zastał skupiających się halabardników, a wkrótce wpadł do niej Iwan Szujski. - Co się dzieje? - spytał go car nie okazując zbytniego przestachu. - Jaki powód tej trwogi? - Jeszcze nie wiem, wasza carska mo×ć - odparł ten. - Ponoć pożar wybuchł w Kitajgorodzie! - Co was tak mało? - Dymitr rozejrzał się po strażnikach zgromadzonych w komnacie. - Jeszcze kilkunastu straż przy drzwiach trzyma, resztę kniaź Golicyn odesłał na wasz carski rozkaz do kwater... - wyja×nił zalekniony dowódca. - Na mój rozkaz? - zdziwił się Dymitr, a jednocze×nie opadło go po raz pierwszy poczucie zagrożenia. Ale stojący za jego plecami Iwan po×pieszył z uspokajającym wyja×nieniem: - Widać zaszło nieporozumienie, do którego być może sam się przyczyniłem. Powiedziałem bowiem do kniazia, że należy rozkazać straży, by zachowali ciszę, gdyż wasza carska wysoko×ć, znużony wieczszą, musi dobrze wypocząć... A ich tu było zbyt wielu. Stąd zapewne kniaź... - Będzie okazja, to go samego o to zapytam... - Car szorstko przerwał Szujskiemu. - Teraz za×... Nie dokończył jednak polecenia, gdyż nagle otworzyły się z hukiem drzwi i na progu stanął wzburzony Basmanow z obnażoną szablą w ręku. - Ratuj się, carze! Uciekaj, bo tłuszcza tu bieży! My odpór jej damy, póki starczy sił, ty za× ratuj głowę, gdyż tłum żąda twojej ×mierci! Dymitr, gwałtownie pobladły, nie stracił jednak spokoju. - Uciekać, ale kędy? Basmanow wskazał szablą boczne drzwi. - Tędy wiedzie przeja×cie na krużganek. Z drugiego końca są następne drzwi, a za nimi schody na podwórzec. To jedyna stąd droga, bo po komnatach już rozlała

się gawiedź! Tylko patrzeć, jak się pojawia! Dymitr w paru skokach dopadł wskazanych drzwi. Stało się to w sam czas, gdyż wkrótce z głębi pałacu doleciały okrzyki, rozległy się strzały i wrzaski mordowanych, a w chwilę potem wdarł się do komnaty rozwścieczony motłoch. Zagrodzili motłochowi drogę halabardnicy z Basmanowem na czele. Jego zarąbano od razu, a z nim padło też kilku strażników. Reszta, widząc ogromną przewagę napastników, rzuciła broń i w ucieczce szukała ratunku. Zbyt ich nie goniono, bo pragnieniem rozeźlonego pospólstwa było odnalezienie samego cara. Wnet dostrzeżono uchylone drzwi, których w pośpiechu nie zamknął, i fala ludzka ruszyła w ślad za nim. Dymitr dotarł do krużganka i biegł do wskazanego mu wyjścia, ale drzwi zastał zamknięte. Mocował się z nimi przez chwilę, mimo popłochu myśli szukając sposobu wyjścia z pułapki, w jakiej się znalazł. Krużganek, z jednej strony otwarty, zabezpieczała balustrada nad rozciągającym się w dole podwórzem. Wysokość była znaczna, toteż car wahał się przed skokiem. Ale u wejścia ukazały się postacie ścigających i poleciały ku niemu wściekle. Nie bacząc więc, czy zdoła skoczyć szczęśliwie, przerzucił ciało przez barierę, potem zawisł chwilę na rękach i puściwszy się, poleciał w dół. Wstrząs spowodowany upadkiem na chwilę go oszołomił. Ale strzelcy, pełniący straż na podwórzu, rzucili się ku niemu i otoczywszy go, pomogli mu stanąć na nogi. Ponieważ dostrzegł na ich twarzach przerażenie i szczerą troskę, przeto łapiąc jeszcze oddech zawołał: - Bracia strzelcy, wierni moi strażnicy, nie opuszczajcie swego hospodara w nieszczęściu! Poratujcie w ciężkiej godzinie! Złotem was za to obdarzę, wiele kto zdoła dźwignąć! - Nie obawiaj się, ojczulku carze, straż ci zawsze wiernie służyła, to i teraz nie opuści! - odezwał się jeden z żołnierzy. W tej chwili z krużganka, który napełnił się już tłumem, zaczęły padać pogroźki: - Odstąpcie fałszywego lisa,

psa nieczystego! śmierć jemu, ale i wam, jeżeli będziecie go chronić! - Przysięgaliśmy wierność i przysięgi nie złamiemy! - odpowiedzieli zgodnie strzelcy i unieśli rusznice ku górze. Widząc to tłoczący się przy poręczy spiskowcy odskoczyli do tyłu, lecz nie przestali krzyżeć: - Jeszcze was dostaniemy! Dacie gardło jak on, nie ujdziecie zemście! Kto inny miał jednak jej dokonać, gdyż w tej chwili z za węgła pobliskiej baszty ukazała się druga grupa napastników, z kniazem Andriejem Golicynem na czele. Na widok Dymitra otoczono go strzelcami, którzy teraz ku Golicynowi skierowali lufy rusznic, książę gestem ręki wstrzymał swój oddział i zawołał: - Oddajcie w moje ręce tego człowieka, bo po niego przybyłem! Jeżeli będziecie posłuszni, szkody wam nie uczynimy! - Toć to nasz gospodar, któremu przysięgaliśmy! - odkrzyknęli strzelcy śmiejąc się wokół Dymitra. - Przysięgę złamać, grzech śmiertelny, kniaziu! - Nie gospodar to, lecz kłamca! Sam się synem Iwana cara ogłosił! Dymitr, słysząc ten zarzut, wyrwał się spośród otaczających go żołnierzy i miało wysunął przed nich. - Nie kłamca ja ani szalbierz! - krzyknął na cały podwórzec, a echo, odbite od murów, jakby potwierdziło te słowa. - Sam także mi wierność przysięgał! Nie uznałaby mnie caryca matka za syna, gdybym nim nie był! - Pacholęciem tamten Dymitr zginął! Już teraz taka pewna tego nie jest! W czasie wymiany tych słów z tłumu stojącego za kniazem przepchnął się do przodu jakiś młodzieniec. Stał u boku Golicyna, wyszarpnął z za pasa pistolet i wyciągnawszy ramię przed siebie, pociągnął za spust. Z lufy wytrysnął płomień, a za nim obłok dymu. Kiedy się rozwiął, ujrzeli Dymitra leżącego na ziemi. Czamarę na jego piersi barwiła powiększająca się szybko plama. Widok ten podniecił i tak już rozwścieczony tłum. Rzucono się gromadnie ku zwłokom i z wrzaskami tryumfu kłuto je rohatynami, widłami, rąbano szablami, toteż wkrótce

stały się jedną krwawą masą. Potem kilku co zagorzalszych chwyciło trupa za nogi i powlokło po ziemi krzycząc: - Na Krasnuju Płoszczad! Niech wszystek lud zobaczy, że nie ma już zdrajcy na carskim tronie! Inna grupa spiskowców wdarła się do komnaty carowej. Zastąpił jej drogę młodzik, Osmólski herbu Bończa, jeden z jej paziów. Stał w drzwiach z szablą w ręku, broniąc dostępu do sypialni. Huknęło jednak kilka rusznic i chłopak zwałił się martwy na ziemię. W komnacie wokół carowej skupiły się jej dworki i kilku młodszych jeszcze od Osmólskiego paziów. Jedna z kul trafiła panią Chmielecką, raniąc ją tak ciężko, że w kilka godzin potem zmarła. Dziko wrzeszczący motłoch rzucił się ku dworkom. Te rozproszyły się, ale dopadnięto je, zdzierając odzież. Kilku jednak, posłusznych wiodącemu tę grupę bojarowi Danile Mereckiemu, wyrwało już na wpół nagą carową z rąk napastników i okrywszy płaszczem, uprowadziło do Urzędu Ziemskiego. Nie wszyscy Polacy rozlokowani po kwaterach i gospodach, zamroczeni trunkami, spali tej nocy kamiennym snem. Wielu było takich, którzy bądź w swoich sprawach, bądź jako służba wyszli na ulicę, by już  $\times$ witaniem udać się na targ po zakupy. Mało który z nich uratował się. Wystarczył polski strój albo nawet tylko jaki $\times$  jego szczegół, by otrzymać nagły cios noża czy pałki. Tylko bardzo nielicznym udało się zbiec i po dopadnięciu kwatery powiadomić, co dzieje się na ulicach. Przy Arbacie, na kwaterze polskich posłów dźwięk dzwonów podniósł bardziej trzeźwych na nogi, resztę budzono, lejąc na nich wiadrami wodę. Pan Gosiewski już od pewnego czasu miał wiadomo $\times$ ci o powstającym spisku, o czym zresztą powiadamiał cara, obecnie więc od razu odgadł, co oznaczają te sygnały trwogi. Objąwszy dowództwo obsadził strzelcami bramę i palisadę, uzbroił czeladź w rusznice i posłał ją na dachy budynków, a co trzeźwiejszym panom braciom i husarzom wskazał stanowiska przy oknach.



Potem czekał na dalszy bieg wypadków. Do kwatery panów Lubomirskiego i Tarły przy ulicy Kuczkowe Pole, gdzie przebywała większość polskich niewiast, także na czas dotarło ostrzeżenie. Udzielił go nadbiegły, mocno przerażony pacholik, przy nim bowiem ubito kilku z czeladzi, z którymi szedł na targ. Pan Lubomirski, choć jeszcze na chmielu, ale przecież zdołał otrząsnąć się na tyle, że również zorganizował obronę, rozmieszczając posterunki z rycerstwa i czeladzi. Naprzeciw siedziby poselskiej stał w gospodzie pan Mniszech. I on, zamroczony, zapadł w twardy sen, toteż długo musiał go szarpać za ramię szatny, zanim wyrwał go z trunkowego i sennego oszołomienia. - Czego, psia twoja mać, mnie targasz?! - rzucił wreszcie na wpełn przebudzony i wściekły. - Wasza wielmożność... - wyjąkał wystraszony dworzanin. - Co złego się dzieje, biją dzwony... - Słyszę i bez twego gadania! Niechże biją, a ty mi snu nie przerywaj! - Pan Mniszech obrócił się do ciany i podciągnawszy kołdrę, zamierzał spać dalej. Groza, jaka szła z monotonnego bicia dzwonów, budziła większy strach niż gniew pana, więc szatny nie ustępował: - Wasza wielmożność, lepiej wstawajcie, bo i krzyki słyszać... - Ty gorzej będziesz krzyczał, jak ci grzbiet wyłoje! - wrzasnął rozsierdzony pan Mniszech siadając w pościeli. Dotarła wreszcie i do niego groza bijących dzwonów, dzikie hałasy i nawoływania. Przypomniał sobie wówczas obawy wyrażane przez panów Oleńskiego i Gosiewskiego, słowa o szykującej się rebelii, i raptem wytrzeźwiały poderwał się z pościeli. - Dawaj buty! - warknął na służbę. Temu za dwa razy nie trzeba było takiego rozkazu powtarzać. Odziawszy się w ćwierć pacierza, pan Mniszech osobiście budził służbę. Wnet rzucono się do broni, podparto belkami wrota, kilku z czeladzi zasiadło przy nich z rusznicami, inni przypadli do okien. Pan starosta widząc, że czeladź dziarsko sobie poczyną, ale dalej niespokojny, udał się

do swojej izby i nakre×lił na kawałku papieru pro×bę o  
wspieranie ogniem jego kwatery, a także baczenie na niego,  
kiedy będzie usiłował się przedostać do poselskiego dworu.  
Kartkę tę nasadził na strzałę i zdjawszy ze ×ciany łuk, ruszył z  
nim na dach. Kiedy się tam dostał i zasiadł za kominem, ujrzał  
sunący ulicą gęsty tłum. Wiódł go jaki× opasły bojar, ale kto  
to był, nie mógł rozeznać. Krzyki zlewały się w jeden wspólny  
ryk, jakby dołem sunęła rozjuszona bestia. Zbliżywszy się do  
poselskiego dworu tłum zatrzymał się i rozlał dookoła, nie  
przestając krzyczeć i wymachiwać bronią. Cze×ć widać  
dojrzała na wrotach gospody pana Mniszcha znak kredy, bo  
rzuciła się ku nim z toporami w ręku. Jednak powitana ogniem  
rusznic zakłębiła się i pozostawiając kilku zabitych, odstąpiła  
miotając przekleństwa. Pan Mniszech dokładnie widział z  
góry przebieg tych zdarzeń. Z drugiej strony ulicy miał przed  
sobą zabudowania dworzyszczka Iwana Szujskiego, otoczone  
wysoką palisadą, za którą widać było głowy strzelców.  
Odszukał wzrokiem przerwę między budynkami, by  
wypuszczona strzała nie utkwiała w dachu, i naciągnął łuk.  
Mierzył starannie, zanim spu×cił cięciwę. Strzała pomknęła,  
furkocząc skrawkiem papieru, i spadła tam, gdzie zamierzał.  
Zadowolony zszedł z dachu i udał się do towarzyszy, którzy  
wraz z nim zajmowali gospodę. Ci, aczkolwiek jeszcze  
niezupełnie trzeźwi, byli już jednak na nogach. Przedłożył im  
sвій zamiar przedostania się do posłów, których kwatery była  
silniej umocniona i większą miała załogę, ale uznali ten  
zamiar za zbyt ryzykowny. Nie znalazł więc pan starosta  
chętnych do towarzyszenia mu w tej wyprawie, gdyż aby jej  
dokonać, trzeba było przebiec przez całą szeroko×ć Arbatu.  
Wprawdzie czerń skupiała się głównie przed bramą i dalej  
palisada nie była strzeżona, to jednak - jak twierdzili panowie  
bracia - zanim biegnący dotarłby do krzewów rosnących pod  
tynem, już by z drugiej strony ulicy dosięgła go strzała lub

kula. Przebyć za samą palisadę można było tylko przy pomocy załogi, jeśli więc wypuszczona strzała z listem nie została znaleziona, tłuszcza dopadłaby uciekiniera u samego progu ocalenia. Pan Mniszech jednak był uparty, mimo więc że przytaczane argumenty były słuszne, zawział się, by swój zamiar wprowadzić w czyn. Stajnie zajazdu, który zajmował, stały nieco wysunięte w ulicę, częściowo przesłaniając widok za nimi. Tę okoliczność postanowił pan Mniszech wykorzystać. Przelazł przez palisadę za węglem stajni i wyjrzał, by zorientować się w sytuacji. Rozkrzyczany tłum znajdował się nieco z boku i cała jego uwaga była skierowana na budynki dworu. Do chaszczki po przeciwnej stronie jezdni było nie dalej niż ze sto kroków, więc pan starosta przeżegnał się, chwycił w dłoń pochwę szabli, by nie przeszkadzała mu w biegu, i skoczył przed siebie. Obserwujący go towarzysze widzieli, jak mimo swojego wieku miga niby zając. Piasek ulicy pryskał mu spod stóp, a poły żupana powiewały za nim jak dwa skrzydła. Dostrzeżono go z tłumy, kiedy był już w połowie drogi. Rozległy się wrzaski, ale zanim strzelcy chwycili za łuki i strzelby, już skrył się w chaszczach i przedzierając przez nie, dopadł palisady. Tam widać byli przygotowani na jego przybycie, bo przerzucono mu sznur i wciągnięto na szczyt, gdzie chwyciło go zaraz kilkoro ramion i pomogło przedostać się na drugą stronę. Kiedy zdarzenia te rozgrywały się pod poselskim dworem, na innych polskich kwaterach działy się rzeczy stokroć straszniejsze. Czerń wdzieriała się do domówznaczonych kredą, wyciągała z pościeli mieszkańców i mordowała ich bez litości. Lała się krew, krzykom zabijanych mężczyzn wtórowały jęki kobiet, szukano przede wszystkim złota, ale rabowano wszystko, co wpadło w ręce. Taki los spotkał także i kwaterę Kazanowskich, gdzie bez straży wszyscy pogrążeni byli w beztroskim śnie. Tylko kilku szczęśliwcom udało się

wyskoczyć oknem i w bieliźnie skryć między drzewami. Potem pojmano ich, ale już tylko skrepowano i powleczono do zamku. Grupie, która napadła na dwór zajmowany przez chorążego Tarłę i pana Lubomirskiego, przewodził poddziaczy Panuszkin. Siedziba należała do bojara Sienowa i leżała przy ulicy Pole Kuczkowe. Obwiedziona tynem i solidną palisadą, z drewnianą wieżą przy bramie z mocnych bali, dawała mieszkańcom dobre schronienie. Tu dowództwo nad obroną objął pan Lubomirski. Młodemu Firlejowi powierzył pieczę nad bramą, resztą ludzi obsadził palisady, dając ich pod komendę pana Tarnowskiego. Dziesiątek najlepszych strzelców skierował na dachy gospodarskich zabudowań, przydając im pachołków z zapasowymi muszkietami dla wzmożenia siły ognia. Reszta panów braci zajęła stanowiska przy oknach na piętrze głównego budynku. Przy niewiastach, stanowiących dwór pani chorążyny Tarłowej i pani Herburtowej, dla pokrzepienia ich serc został ksiądz Pomaski. Poddziaczy Panuszkin, człek przezorny i obeznany z rzemiosłem wojennym, zatrzymał swoich ludzi na odległość głosu i widząc przy bramie i na tynach obrońców, zawołał ku nim: - Hej, panowie Polacy, nie strzelajcie! Chciejcie wprzód wysłuchać, co wam powiem! Zza ciemnej linii palisady nie padło ani jedno słowo odpowiedzi. Trwała zupełna cisza, jakby czekano na spełnienie zapowiedzi. Tu i ówdzie widać było połyskujący hełm lub ostrze halabardy czy szabli. Poddziaczy wołał więc dalej: - Nie przelewajcie darmo chrześcijańskiej krwi, zdajcie się, a włos wam z głowy nie spadnie! Tym razem odezwał się pan Lubomirski: - Skoro nie chcecie przelewać chrześcijańskiej krwi, tedy odstąpcie i ostawcie nas w spokoju! To nie my was napastujemy! - Nie mogę tego uczynić, bom przybył tu, by was ochraniać, nie gubić! Jeśli odstąpie, przybędzie tu czerń i wyrżnie was wszystkich! - Ocalimy się i bez was! A jak to będziem czynić,

wnet wam pokażemy, jeżeli nas nie poniechacie! - odkrzyknął pan Lubomirski. Na te słowa tłum rzucił się do przodu i biegł z krzykiem ku wrotom z uniesioną ku górze bronią. Pan Lubomirski zaś wyrwał z pasa pistolet i oddał pierwszy strzał, w ten sposób rozkazując otwarcie ognia. Jakoż zagrzechotały muszkiety po dachach, błysnęły ognie z rusznic wystawionych z okien, wisnęły spuszczone z cięciw strzały. Pod tym ogniowym uderzeniem tłum zakotłował się, widać było we wznieconym na drodze kurzu padających ludzi, wrogie krzyki zlały się z wołaniem o pomoc tych, których raniły pociski. Reszta obróciła się i rozbiegła szukając kryjówek. Napastnicy próbowali potem ataków z innych stron, usiłując przedostać się do tynu, ale celny ogień raz za razem je odpierał. Walka trwała już ze dwie godziny, lecz czujność obrońców nie słabła, toteż coraz wyraźniej widać było, że bez sprzętu lub armat napastnicy obrony nie przełamają. Pan Lubomirski nie opuszczał wieży, skąd cały czas kierował walką. Mimo sędziwego wieku wspiał się ku niemu i pan Tarło i przez pewien czas bez słowa przyglądał się zmaganiom. Wokół palisady leżał już wieniec trupów i rannych, którzy o własnych siłach nie mogli się wycofać. Zapanowała cisza, którą w pewnej chwili przerwał głos z zarośli otaczających zabudowania po drugiej stronie ulicy: - Ej, panowie szlachta! Słuchajcie, co powiem! Odpowiedzi na to wezwanie nie było, więc głos odezwał się znów: - Nie nastajemy na wasze życie! Wprawdzie car został zabity, ale was mam przykaz doprowadzić bezpiecznie na Kreml! Poniechajcie więc oporu, nie przelewajcie chrześcijańskiej krwi, bo nic wam od nas nie zagraża! Powyłazili z nor różni łotrzykowie i oni rozbój czynią, przeto jeżeli my odejdziemy, nie uratujecie się spod ich toporów! - O naszym losie nie oni będą stanowić, lecz wola Boga! - odkrzyknął pan Lubomirski. - Obronimy się przed nimi tak, jako bronimy się przed wami!

Prochu ani kul nam nie zbraknie! Do tej wymiany zdań włączył się raptem pan przemyski, chorąży Tarło: - Kto z nami dyskurs prowadzi? Powiedz mi swe imię, skoro od bojarów jeste× przysłany. - Poddziaczy Panuszkin z wami gada, dobry człowieku! Z polecenia kniazia Szujskiego tu przybyłem, by bezpieczeństwo wam zapewnić i na Kreml doprowadzić! - Czy możesz zaprzysiąc na Krzyż i Mękę Pańską? - Mogę i zaprzysięgnę! - Wystąp zatem na drogę i uczyn to! Wówczas usiłuję skłonić towarzyszy, by na pokój między nami przystali. - Wnet tak uczynię - rozległ się głos niewidocznego poddziaczego - je×li mi przyobiecasz, że nie będziecie strzelać! - To ci przyrzekam! Głos pana Tarły słyhać było dobrze, kiedy nakazywał żołnierzom wstrzymać ogień. - Bierzesz wa×ć na swoje sumienie ten rozkaz! - zawołał pan Lubomirski. - Bardziej obarczę sumienie, je×li nie wstrzymam rozlewu bratniej krwi... - odpowiedział z powagą pan Tarło. Przerwali spór, bo na drogę wystąpił poddziaczy, a przy nim pop z krzyżem w ręku. Uniósł go ponad głowę, a Panuszkin uroczystym głosem złożył przysięgę, zapewniając ochronę życia polskim panom. Kiedy skończył, pan Tarło wychylił się przez poręcz i zawołał w dół, ku żołnierzom stojącym przy bramie: - Rozewrzyjcie wierzeje! Niech wchodzi! Niby rój mrówek ruszyły gromady wyłaniając się z dotychczasowych kryjówek. Głowa przy głowie przebiegli ulicę i gęstą ciżbą wleli się w czelu×ć otwartych wrót. Widok tego tłumu, który w złowrogim milczeniu ciągnął ku bramie, natchnął pana Lubomirskiego przeczuciem nieszczę×cia. Mimo woli wyrwał z pochwy szablę ku zdumieniu pana Tarły, który na ten widok zawołał: - Co wa×ć robisz?! Odpowiedź otrzymał natychmiast, ale inną, niż się spodziewał. Na majdanie wybuchł bowiem raptowny wrzask i gruchnęły strzały. Ujrzał chorąży, jak padają pod ciosami szabel, włóczni i siekier jego żołnierze i czeladź, jak

potoki ich krwi bryzgają na belki palisady. Zakotłowało się od napastników i ginących pod ich razami obrońców, a temu rozpasaniu towarzyszył jeden wspólny krzyk zabijanych i zabójców. Wkrótce już tylko ostatnich ocalałych goniono po podwórcach, szukano wśród stajen i szop, gdzie próbowali się skryć. Rozjuszony tłum zaraz też wdarł się i do domu, skąd z kolei rozległy się krzyki i wołanie o pomoc przerażonych niewiast. Niedługo pan Lubomirski wraz z kilku szlachty u jego boku zdołali bronić się na wieży. Czerń wdarła się tam na pomost i przyparłszy ich włóczniami do ściany, łatwo wzięła żywcem, gdyż z powodu szczupłości miejsca szable nie na wiele się zdały. Minęło nie więcej niż trzy pacierze i walka ustała. Jak potem naliczono, padło w niej trupem trzydziestu sześciu ludzi, więcej niż drugie tyle było ciężko posieczonych, między nimi i ksiądz Pomaski cięty w czoło, a jego brat zabity. Resztę pojmano i poturbowanych, obdartych powleczono na Kreml. Panią Tarłową i Herburtową, jak i kilka innych szlacheckich małżonek wraz z ich żeńską służbą, wsadzono na wozy, bo iść nie były zdolne. Stary Wołnow dowiedział się jeszcze w ciągu poprzedniego dnia, do jakiego dworu należeli owi młodzieńcy, co naszli jego dom. Zebrawszy więc swoich ze slobody, poprowadził ich na dwór hospodara mołdawskiego Stiepana, gdzie miał kwaterę książę Konstanty Wiśniowiecki. Owi polscy rycerze, jak mu powiedzieli pachołcy młodego kniazia Borysa Szujskiego, służyli w jego husarskiej chorągwi. Ciągnęły już tam i inne gromady, wkrótce więc zebrał się pod obronnym tynem wielki tłum wykrzykujący przekleństwa i złorzeczenia. Dwór, a właściwie obronny gródek, leżał przy szlaku wiodącym ku jarosławskiemu traktowi. Okalające go zabudowania były rozrzucone rzadko, od strony ulicy chronił obejście kamienny mur z przysadzistą basztą, przez którą prowadził wjazd, resztę za obronnej linii stanowił wał ziemny z dębową palisadą u

szczytu. Z jednej strony wąski pas łąki oddzielał szlacheckie dwory i chłopskie zagrody, z drugiej dochodziły w pobliżu tynu skupiska brzoź i dębów. Książ Wiśniowiecki przyprowadził ze sobą bez mała tysiąc zbrojnych, z czego blisko trzecia część - gdyż posiadłość była bardzo obszerna - znajdowała się przy nim. Wkrótce zaś po odezwaniu się dzwonu przygnała jeszcze część żołnierzy kwaterujących w pobliskich obejściach, tłoczno więc zrobiło się na podwórkach i głównym majdanie grodu. Przybysze ci donieśli o zabójstwie cara, bo wieść o tym błyskawicznie rozeszła się wśród ludzi. Wkrótce od strony Kremla zaczęła się ludzkiej masy sunącej niby wezbrana, ciemna rzeka ku siedzibie wołoskiego hospodara. Rzeka ta rozlała się zaraz dziesiątkami strumieni otaczając jej umocnienia. Frunęły pierwsze strzały i gruchnęły pierwsze rusznice. Załoga książęca była jednak silna i dobrze zbrojna, więc odpowiedziała jeszcze gęstszym ogniem, zmiatając nieostrożnych, którzy zbyt blisko zbliżyli się do palisady. Reszta cofnęła się, ale wnet poszły w ruch łopaty i zaczęto kopać aprosze i sypać ziemne przedpiersia dla strzelców. Ci, skrywszy się za nimi, rozpoczęli ostrzał tynów. Poszły także i szturmy, odparte jednak bez większego trudu. W paru miejscach wyjątkowo zązarcie atakującym oddziałom udało się przystawić drabiny, ale obrońcy użyli husarskich kopii do obalenia ich i strącenia pnących się w górę miałków. Po tych nieudanych próbach poniechano szturmów i skierowano gęsty i regularny ogień do broniącego się gródka. Strzelanina była gwałtowna i zązarta, bo obrońcy walczyli o życie, a napastników podniecała nienawiść i żądza zemsty. Walka przeciągała się i coraz wyraźniej stawało się widoczne, że nie uda się przełamać obrony, gdyż z łatwością szturmy odparto, a bramy osadzonej w kamiennej baszcie nie można było wyłamać bez należytego sprzętu. Dowodzący napastnikami



bojarzy przykazali więc przyprowadzić armaty. Wołnow, dzierżąc oburącz swoją rusznicę, nie włączył się do ogólnej strzelaniny. Ludzie jego słobody mieszały się z tłumem i nie potrzebowali przewodnictwa, jego zaś nie interesował przebieg walki. Upatrywał jedynie miejsca, skąd miałby najlepszy wgląd w linię obrońców. Zwrócił przeto uwagę na dęby rosnące w pobliżu bocznej palisady. Ruszył ku nim. Kiedy podszedł do drzew, upatrzył jedno o najniższych konarach, zarzucił rzemień rusznicy na szyję i dosięgnąwszy pierwszej gałęzi, już bez trudu począł pięć się wyżej. Ze swojej kryjówki widział dobrze wszystko, co działo się na podwórcach dworu. Podmurze palisad pełne było żołnierzy i czeladzi. Ich sylwetki widoczne były także na drewnianych mostach, z których prowadzili ogień. Ten bitewny obraz nie interesował jednak Wołnowa. On w linii obrońców stojących na pomoście szukał wzrokiem znajomych postaci. Jakoż wkrótce odnalazł jednego z nich. Stał on niedaleko baszty, dobrze widoczny na tle jej murów, i schylony pomiędzy ostrzami bali mierzył właśnie z muszkietu. Ponieważ na chwilę zakrył go obłok dymu, Wołnow odczekał cierpliwie, a kiedy tamten ukazał się znów i brał właśnie z rąk pocztowego nowo nabitą broń - on pociągnął za spust. Ugodzony podniósł w górę ramiona, muszkiet wypadł mu z rąk na deski pomostu, po czym zwałił się i on sam. Wkrótce śmierć Jasińskiego dostrzegł stojący niedaleko młody Zbaraski. Poniechawszy walki rzucił się ku niemu, przypadł do ciała druha i przykleknąwszy, uniósł jego głowę. Ale Wołnow zdążył już wrzucić do lufy i przybić pakułami następną ze swych kul. Kolejny złoty pocisk dosięgnął więc Zbaraskiego i obalił na towarzysza. Leżeli teraz jeden obok drugiego w przyjacielskiej bliskości i otwartymi, lecz już niewidzącymi oczami wpatrywali się w błękit majowego nieba. Długo jeszcze siedział wśród konarów dębu uparty strzelec, nie

zdołał jednak dostrzec trzeciego ze swoich go×ci. Niecałą jednak obronną linię miał na wglądzie, stąd domy×lił się, że tamten walczy po drugiej stronie baszty. Trzeba więc było zmienić miejsce zasadzki. Zwrócił uwagę na domy po drugiej stronie gródka, otoczone sadami. Szczyty stromych dachów wznosiły się ponad korony owocowych drzew, dając jeszcze lepszy pole widzenia. Zlazł więc z drzewa i ruszył, znów okrążając pier×cień oblegających, ku upatrzonym zagrodom. Dotarł do nich i wszedł w pierwsze z brzegu obej×cie. W domu nie było nikogo. W mrocznej sieni znalazł drabinę prowadzącą na poddasze. Tam stała podobna, po której wspiął się na dach. Stromy był, ale blisko sterczał komin, a przy nim leżała deska, by przy jego czyszczeniu stopy miały oparcie. Wkrótce Wołnow stał już na niej i, wychylony połową ciała, szukał wzrokiem znajomej twarzy. Widoczno×ć stąd miał lepszą niż z drzewa, gdyż całe obej×cie dworu leżało przed nim jak na dłoni, toteż nie wątpił, że wkrótce odnajdzie i trzeciego z nocnych przybyszów. Jakoż istotnie, po niedługiej chwili dostrzegł go na ×rodku podwórka, co wywołało w nim jednak raczej zdumienie niż rado×ć, bo człowiek ten wbił wła×nie forkiet w ziemię, oparł muszkiet i wymierzył go w kierunku Wołnowa. Wie×ć o ×mierci druhów rychło dotarła do Jedliny, bo przybiegł z nią jeden z ich pocztowych. Kiedy więc ukląkł przy ich zwłokach, od razu zauważył, że leżą niejako ramię przy ramieniu, tuż przy sobie. Zaskoczyło go także, że kule dosięgły ich niemal jednocze×nie, a do tego ukrytych za palisadą. Skąd zatem strzelano i kto był tym strzelcem, który upatrzył sobie wła×nie obu druhów? Ta wspólnota obudziła w nim początkowo zdziwienie, zaraz jednak zaczął dociekać przyczyny takiej zbieżno×ci. Nie mógł to być przypadek, bo Boska ręka nie zwykła powtarzać zdarzeń. Zaraz też przypomniał sobie nocną wyprawę i pojawiło się w nim pierwsze, mgliste jeszcze podejrzenie.

Je×li istotnie taka była przyczyna tych strzałów, to m×ciciel szuka teraz trzeciego sprawcy i być może wła×nie bierze go na cel. Uniósł się z klęczek i skinął na stojącego obok pocztowego. - Czy obaj stali na pomo×cie przy sobie? - Nie, pan Zbaraski stał bliżej baszty. - To dlaczego tu leży? - Przybiegł dowiedziawszy się o ×mierci pana Jasińskiego. - A więc zginął przy jego zwłokach? - Tak, wasza miło×ć. Jedlina obejrzał się dokoła. Od razu dostrzegł pobliskie skupienie drzew i zaczął podejrzewać, że wła×nie stamtąd padły oba strzały. Zeskoczył więc z pomostu i skrył się pod nim, przywołując pocztowego, zdumionego takim zachowaniem rycerza. - Wiedz, że obaj nie zginęli przez przypadek, ale z tej samej ręki - obja×nił go. - Mniemam, że zabił ich pewien człek, którego zemsta może dosięgnąć i mnie. Je×li nie zdołam się ustrzec, rychło trzecia kula ugodzi i moją głowę. - Jakiej pomocy wasza miło×ć oczekuje ode mnie? - rzeczowo i bez dalszych dociekań spytał pocztowy. - On ciebie nie zna, wysuń się tedy i nieznacznie rozejrzyj dokoła, zwłaszcza przypatrz się owym drzewom, czy nikt na nich nie siedzi. Ja tu ostanę, dopóki nie powrócisz. Pocztowy już bez słowa wysunął się na zalany słońcem podwórzec. Cierpliwo×ć Nikodema Jedliny została wystawiona na ciężką próbę, bo minęło sporo czasu, zanim pocztowy zjawił się przed nim. - Co× tak długo robił? - powitał go z nutą niecierpliwo×ci w głosie. - Sam musiałem także się kryć, by nie domy×lił się, że go szukam. - A więc znalazłē×? - rzucił żywo rycerz. Pocztowy skinął głową. - My×lę, że tak. Ale nie w konarach drzew, tylko na dachu jednej z chałup, co stoją z tamtej strony baszty. Kto× się ukrywa za kominem, widziałem wyraźnie ramiona i głowę... - Która to chałupa? - Dużo tam ich nie ma. Zaraz pierwsza z prawej... Jedlina zastanawiał się przez chwilę, wreszcie polecił: - Przynie× mi wa×ć dobry muszkiet i forkiet. Chcę się zmierzyć z nim, obaczym, komu sądzone! -

Niedaleko stoi parę wozów. Zza nich dobrze go widać... - powiedział pocztowy. - Nie, panie bracie, nie będę się krył! Niech Bóg nas rozsądzi, bo ów człek ma prawo do zemsty. Niechże z niego korzysta, jeżeli taka Boska wola. Pocztowy pokręcił tylko głową i już bez słowa poszedł spełnić otrzymane polecenie. Stary rusznikarz od razu dostrzegł trzeciego sprawcę swego nieszczęścia, kiedy ten, po wyjściu na otwartą przestrzeń, wbijał forkięt w ziemię. Widząc za, jak oparł o niego muszkiet i skierował lufę w jego stronę, domyślił się, że został odkryty. Mimo to wsparł łokcie o komin i mierzył starannie, nie bacząc, że na pół ciała jest dobrze widoczny. Chociaż polski rycerz wierzył w Boską sprawiedliwość, Bóg nie chciał zapewne mieszać się w błahe, ludzkie sprawy, bo obaj jednocześnie pociągnęli za spusty. Jednak Nikodem zrobił to chyba o część sekundy wcześniej, gdyż złoty pocisk zboczył nieco z obranej trasy i ognistym biczem przeorał rycerzowi bok, od czego ten zwał się z nóg. Stary Wołnow natomiast toczył się po dachu za swoją rusznicą ze zwykłą, ołowianą kulą w piersi. Po chwili przewalił się przez krawędź i jego ciało głucho uderzyło o ziemię. Przyciągnięto wreszcie cztery armaty pod dwór wołoskiego hospodara, ale nie zdołano odszukać puszkarzy. Toteż kiedy ochotnicy, jako tako obeznani z obsługą, oddali pierwsze strzały, okazało się, że nie potrafili armat należycie umocować ani dobrze naprowadzić na cel. Skakały więc przy strzałach jak cielaki na łące, pociski zaś szły górą. Mimo to sam ich huk podniecał tłumy do dalszej walki, dlatego dowodzący oblężeniem Massalski i Kuriakin przykazali nie przerywać ognia. W czasie strzelaniny jedno z dział przewróciło się, mimo to obsługa nabrała wreszcie nieco wprawy i kule zaczęły uderzać w mury, wzniecając obłoki wapiennego pyłu. Widząc to książę Konstanty kazał husarzom siodłać konie i zaatakować coraz niebezpieczniejsze armaty. Husarze byli już

w siodłach, kiedy, jakby przeczuwając książęcy zamiar, zjawił się pod basztą sam Kuriakin pod białą chorągwią i prosił o rozmowę. Odbyła się na głównym majdanie. Widok skrzydlatych jeźdźców, stojących szeregiem w gotowości bojowej, natchnął posła do tym gorętszego przemówienia, w którym apelował w imię wspólnej, chrześcijańskiej wiary i bratniej krwi do poniesienia walki, zapewniając o bezpieczeństwie polskich panów, całego żołnierstwa i sług, na co złożył uroczystą przysięgę we własnym i całego bojarstwa imieniu. Tak jak i pan Tarło dał się książę zwięź owa przysięgą i przyjaznymi słowami, których szczerze wyczuwał. Poleciał husarzom zsiąć z koni i odprowadzić je do stajni, a bramnej straży otworzyć wierzeje i wpuścić zbrojny oddział, który miał obsadzić gródek, by ocalić go przed grabieżą motłochu. Wszakże książę, aczkolwiek nie wiedział o losie pana Lubomirskiego, będąc przeczornym dowódcą nie zostawił żołnierzy swojemu losowi, lecz nakazał im po opuszczeniu palisady zebrać się przed pałacem, i to zanim brama zostanie otwarta. Kiedy to nastąpiło, wypadki potoczyły się jednak inaczej, niż zapewniał poseł. Lecz jego przysięga nie była wiarołomna, gdyż będąc człowiekiem uczciwym, także uczciwe miał zamiary. Wiódł wszakże nie karnego żołnierza, ale dziki motłoch. Ten zaś samowolnie skorzystał z rozwarcia wierzei i wdarłszy się na podwórzec, z nagłym wrzaskiem rzucił się na żołnierzy. Spotkał się jednak z zaciętym oporem. Napać została krwawo odparta, a na rozkaz księcia jego ludzie wycofali się do budynku. Tłuszcza parła wszakże za nimi nie przerywając napaćci, tak że walka trwała nadal i w obszernej sieni. Lecz już dalej nie puszczono napastników, a wkrótce nawet wyparto z gmachu. Kiedy rozgrywały się te wypadki, co rozumniejsi bojarzy wystraszyli się sami rozmiarami pogromu i rzezi, jaką wywołali. Może tylko Wasyl Szujski w skrytości ducha był rad krwawej

zem×cie, jaka dopełniała się za jego staraniem, ale i jemu rozsądek kazał pow×ciągnąć motłoch, którego zło×ć mogła łatwo obrócić się i przeciw samemu Wasylowi. Narażanie za×życia nie tylko możnych polskich panów, lecz i posłów króla, zagrażało jego planom. Dążąc bowiem do przejęcia carskiej korony, musiałby zacząć panowanie od rozprawy z silnym sąsiadem, co wobec panującego w kraju chaos u stanowiło zbyt duże niebezpieczeństwo. Na jego polecenie dosiadł więc konia książę M×cislawski i pognął na ulicę Mielecką, gdzie było najwięcej polskich kwater, a zatem i największa odbywała się rzeź. Tam książę, nawołując do opamiętania, zdołał powstrzymać rozwydrzoną czerń. Drugim wysłańcem był Borys Naszczokin, skierowany do poselskiej kwatery Polaków. Stanąwszy pod bramą prosił kogo×godnego na rozmowę. Wyszedł do niego pan Gosiewski i jemu Naszczokin powtórzył zleczone mu posłannictwo: "- Imieniem dumnych, ruskich bojarów przybywszy o×wiadczam, że kniaziowie wraz z całym ruskim narodem uważają was, Polaków, za najeźdźców, co podnieceni pragnieniem wszelakich bogactw do nas przybyli i oszusta, i kłamcę na tron nam wwiedli! Proszą tedy i domagają się szlachetni bojarzy, aby posłowie króla jegomo×ci Zygmunta odstali od tych niepoczciwych ludzi, którzy z sandomierskim wojewodą przybyli, a wielmożni bojarzy z Wasylem Szujskim na czele zapewniają im wszelkie niezbędne wygody i bezpieczeństwo, jak i ochronę ich sług i mienia". Pan Gosiewski wysłuchawszy tych słów nie zwlekał z odpowiedzią: "- Przybyli×my tutaj w poselstwie do Dymitra cara, bo×cie wy sami go za hospodara waszego uznali; dzi×zamordowawszy go, powiadacie, że nim nie był. Nam nic do tego; niech wam Bóg podług prawdy waszej pomaga. My, jak posłowie, powinni×my być pewni bezpieczeństwa naszego; jednak zgwałcono je, czego nawet w dzikich narodach nie

widać. Co się tyczy szlachty polskiej z wojewodą sandomierskim przybyłej, przybyła ona tu nie na wojnę, lecz na gody weselne, zaproszona od cara i od wszystkiej ziemi waszej; jeżeli się niektórzy ze sług dopuszczali zbytków i nieprawo×ci, udawać się należało po sprawiedliwo×ć, nie za× za kilku występnych krew niewinną okrutnie przelewać. Dziękujemy dumnym bojarom za dobre ich chęci ku nam, powiedzcie im imieniem naszym, niech baczą, by krew niewinna ludzi j. k. mci pana naszego dłużej przelewana nie była; gdyby za× ich - co uchowaj Boże - dalej przed oczyma naszymi mordować miano, tedy ani na to zimno patrzeć, ani żelaz naszych wstrzymać nie będziemy mogli. Będziemy się bronić, polegniemy wszyscy, ale co z tego wyniknie, łatwo dumni bojarowie przeglądać mogą". To upomnienie odniosło skutek, gdyż uprzytomniło Szujskiemu, że jego obawy mogą się zi×cić rychlej, niż się tego spodziewał. Wziął więc silny oddział zbrojnych i osobi×cie udał się u×mierzać rozruchy w bardziej zagrożonych miejscach, inne poruczając pieczy bojarów. Zbliżający się wieczór ułatwił mu to zadanie, bo po dniu pełnym walk i ×mierci zaczęła wygasać początkowa zapalczywo×ć, stygła nienawi×ć, i zmęczenie zaczęło dawać o sobie znać. Przy kwaterze posłów i co znaczniejszych panów stanęły silne straże i walki szybko wygasły. Różne potem podawano liczby ofiar tego krwawego dnia. Jedni liczyli je nawet na cztery tysiące, inni na mniej, ale żadne rachunki nie schodziły poniżej dwóch tysięcy zabitych. Toteż nastąpiła noc pełna żalu i łez po utraconych bliskich i przyjaciołach, opatrywano rany, szukano jakiego takiego przyodziewku, bo wielu postradało nawet odzież, większo×ć potraciła wszystko, co posiadała. Rozpoczęła się istna pielgrzymka do domu posłów po ratunek, wsparcie i pieczę nad tymi, którzy ocaleli. Zbierali się kapłani, rycerstwo, przybiegały niewiasty, wszyscy obdarci, pobici, mający jeszcze w oczach obłęd

przerażenia. Za przyzwoleniem bojarów odszukano leżących na słomie, poturbowanych: Lubomirskiego, Tarłów, Herburtową i inne niewiasty. Posłano im szaty i żywność, organizowano pomoc, na jaką w tych warunkach było stać poselski dwór. Pan Mniszech dowiedział się, że córka jego ocalała, rozpoczął więc poszukiwania i wkrótce ją przyprowadzono - ale w jakim stanie! Z przerażeniem w oczach i złamanym sercem oglądał wojewoda jej byle jaką, podartą odzież i ściągnięte bólem rysy. Cóż za odmiana losu, i to zaledwie w ciągu kilku godzin! Od bogactw, klejnotów, władzy do ostatecznego poniżenia i nędzy... Mimo to nie ugiął się zawzięty wielmoża i przyjął córkę ze wszystkimi należnymi jej honorami. Odstąpił jej cały swój dom, czcąc nadal jako prawowitą władczynię. Ona zaś także była mocna duchem, bo mimo ogromu nieszczęścia, jakie dotknęło ją tak nagle, choć okazała rodzicowi ściągniętą bólem twarz, lecz suchą, bez jednej łzy i z mocno zacięniętymi wargami, które tak niedawno udzielały rozkoszy ukochanemu. Wszakże jeszcze oszołomiona siłą i nagłością zaznanego ciosu nie była zdolna ocenić rozmiaru klęski. Dopiero w czasie monotonnych dni spędzanych w Jarosławskim Monasterze, dokąd wraz z ojcem została zesłana, pogrążona w rozpacz mogła w pełni ogarnąć myślą odmianę losu. Ale i wtedy nie poddała się, a wraz z rodzicem rozważnie omawiała swoje położenie i snuła nadzieje na jego zmianę. Toteż mówiła pocieszającym ją dwórkom: - Przestańcie łzy nade mną wylewać, bo choć straciłam lubego męża, to przecież godności nikt nie jest mi w stanie odjąć. Jam prawa władczyni tego kraju i nigdy nie przestanę nią być! Ten, który zechce mi wydrzeć koronę carów, wpierw musi mi odebrać życie! Była to zapowiedź dalszej walki, do której wszakże obecnie brakło potrzebnych sił. Te musiałby dopiero przynieść przyszły, bardziej pomyślny czas. W trzy dni po tych tragicznych



wydarzeniach książę Wasyl Iwanowicz Szujski został obrany carem. Towarzyszyło tej uroczystości bicie dzwonów we wszystkich moskiewskich cerkwiach - równie głośne jak tego dnia, kiedy ginął jego poprzednik. Nastał rok 1608. Na Inflantach rzeczy zaczęły przybierać coraz gorszy obrót. Król szwedzki Karol Sudermański, mimo pokojowych deklaracji i propozycji wszczęcia rokowań, zbierał wojska. Zawarł tajne porozumienie z carem Wasylem Szujskim, judził Turcję, z Francji ciągał ochotników, werbował w Holandii, gdyż dobrze wiedział o słabości Polski, o jej pustym skarbie, a także exodusie polskiego rycerstwa, które po bitwie guzowskiej ciągnęło na służbę do samozwańców. Sejm uchwalił wprowadzić podatki na utrzymanie wojska, ale od uchwały do zebrania i wysłania pieniędzy droga była długa, toteż Inflanty nieomal bezkarnie stawały się łupem Szwedów. Generał Mansfeld 27 lipca zajął fortecę Dyjament, 8 sierpnia Kokenhausen, potem Felin. Szła wprowadzić wymiana listów, protestowała Polska wskazując, że zawarty rozejm obowiązuje jeszcze do końca października, ale Karol dawał wykrętne odpowiedzi, mało co sobie robił z tych protestów, znając słabość przeciwnika. Chodkiewicz natomiast z polecenia króla nadal przebywał na Litwie, by nie spuszczać z oka byłych rokoszan. Niemniej jednak baczył też i na Inflanty. Bawił w tym czasie w Lachowiczach i czynił przygotowania do wojennej wyprawy, zabiegając o pomoc u litewskich magnatów. Wysiłki te nie były daremne, bo przede wszystkim dom Radziwiłłów pomocy nie odmówił. Wojewoda wileński Mikołaj, zwany Sierotką, posłał mu dwustu husarzy, hetman polny litewski Krzysztof, brat Janusza, dał silną rotę jazdy, syn Sierotki, Albrecht, trzystu konnych, których, tak jak i Krzysztof, sam przyprowadził do założonego obozu pod Nowym Młynem. Siły Chodkiewicza stały pod Schantzsteinem i Rygą i wynosiły bez litewskiego wsparcia

około dwóch tysięcy żołnierza. Z Lachowicz hetman zjechał już do Birż. Tam donieśli mu szpiedzy, że Szwedzi wyszli z Parnawy i ciągną do Dyjamentu. Mając przy sobie rotę Wejherowskiego, ruszył z nią do Schantzsteinu, skąd zabrał część wojska i w mięsopustną niedzielę 1609 roku pociągnął w silne mrozy i głębokim śniegu pod Rygę. Idąc lasami, nie zauważony, zatrzymał się o milę od miasta i mimo silnego mrozu stał do następnego dnia, 25 lutego, kiedy to w południe posunął się pod Nowy Młyn, gdzie z kolei wyczekiwał do piątku, 27 tegoż miesiąca. Następnie po przebyciu pięciu mil zaległ nad Gawią, skąd nie ruszał się aż do poniedziałku, niby zaczajony drapieżnik czekając na okazję do nagłego uderzenia. Jednocześnie pan Niszczycki zbierał wieści o poczynaniach przeciwnika. Jednak niczego nowego jego ludzie nie donosili, więc już we wtorek hetman skierował się pod Szac, by po całodziennym marszu skryć się na noc w lasach, już tylko osiem mil od Parnawy. Nie stał jednak dłużej niż jeden nocleg i zaraz szedł dalej. Lecz gęsty las i głębokie śniegi, przez które z trudem przebijały się chorągwie, nie pozwoliły mu przebyć w ciągu dnia więcej niż ponad dwie mile. Znowu nocował w śnieżnych zaspach głębokiego lasu i nie ukazując się na drogach ani nawet otwartych polach, prowadził dalej mocno już znużonych żołnierzy. Do miasta pozostało mu jeszcze mil trzy, kiedy w sobotę zarządził kolejny postój, nie pozwalając jednak wojsku na rozpalanie ognisk. Toteż stało ono bez posiłku, w gotowości bojowej aż do wieczora. Ruszył dopiero o północy. Szkocką piechotę powierzył Farensbachowi, pozostałą Guzowskiemu, jazdę zaś poprowadził osobiście i dotarł z nią do Parnawy, zatrzymując się nad rzeką o tej samej nazwie. Tu kazał robić zasieki i szance, a także sporządzać petardy. Nieoczekiwanie zerwał się wiatr i coraz bardziej przybierał na sile. Korony drzew chwiały się i szumiały nad głowami stojących w milczeniu

chorągwi, jakby targała nimi diabelska ręka. Wkrótce nadleciały tumany gęstego, ostrego ×niegu, pędząc niemal poziomo w ciemno×ciach nocy. Mknęły w nieustannej zawiei gęstwą białych igieł, a smagający je wicher gwizdał, huczał i zawodził z dziką zawzięto×cią. Skuleni w siodłach żołnierze, zmożeni trudem nieustannych marszów, przebijaniem się przez ×niegi, nie przespanymi nocami, brakiem gorącego posiłku, mogli tylko albo modlić się, albo kląć i złorzeczyć swojej żołnierskiej doli. Toteż kleli, a dostawało się i hetmanowi, choć ten tak jak i oni z konia nie schodził, tkwiąc niedaleko przed nimi w siodle, otulony burką i nieruchomy. śnieg coraz grubszą warstwą pokrywał jego postać, tak że wkrótce stał się podobny do ustawionego w polu, zapomnianego chochoła. W końcu wiatr zaczął przycichać, a zamieć z wolna rzednieć i wkrótce ustała zupełnie. Hetman otrząsnął nieco burkę i ruszył koniem. Wywołało to ożywienie w×ród żołnierskiej braci, za×witała im bowiem nadzieja, że nastał koniec udreki i wreszcie zmierzają się choćby i ze stokroć silniejszym przeciwnikiem, co już było lepsze niż oczekiwanie w bezruchu i zimnie. Ale w tejże chwili z czerni nocy przyniósł wiatr huk armatniego wystrzału, potem drugi, po chwili trzeci. Rycerstwo pojęło od razu, że był to sygnał alarmu z parnawskiej twierdzy, co dowodziło, że w jaki×sposób nieprzyjaciel zwiedział się o ich obecno×ci i stawia załogę na nogi. Tak też zrozumiał owe wystrzały i hetman, gdyż wstrzymał konia i przez chwilę naradzał się cicho z pułkownikami. Ci rozjechali się wkrótce do swoich oddziałów, ale żadne nowe rozkazy nie padły i chorągwie znów stały w nieruchomym oczekiwaniu. Ruszyły dopiero, gdy zaczęło szarzyć. Hetman cofnął wojsko o pół mili i ukrywając je za stokiem wysokiego wzgórza, pozwolił wreszcie żołnierzom nieco odetchnąć, zabraniając jednak i teraz palenia ognisk i wszelkich gło×niejszych rozmów. Była

niedziela, ale nikt nie my×łał o nabożeństwie. Zaczęło się obrządzanie koni, które tak jak i ludzie ledwo trzymały się na nogach. Tarto je sianem, okrywano czym kto miał, karmiono resztkami obroku. Znów rozległy się utyskiwania, lecz hetman, głuchy na żołnierskie gadanie, trzymał wojsko w ×niegach nie tylko przez cały dzień, ale jeszcze i długo w noc. Na szczę×cie wiatr ucichł, jednak mróz nadal był tęgi, od którego bezchmurne niebo zdawało się tym mocniej błyszczeć tysiącami gwiazd. Pod wieczór nadszedł w trzy konie pan Niszczycki, który wyruszył nie wiadomo dokąd jeszcze rankiem. Zaraz też rozpoczęła się kolejna narada dowódców, którą wiedli zasiadłszy pod rozłożystą jodłą, ale o czym mówili, nikt nie wiedział. Zapewne skutkiem tej narady poszedł o północy rzućany od chorągwi do chorągwi rozkaz wsiadanego. Wnet też ruszono w pochód, znów ciągnąc w stronę Parnawy. Porucznicy nakazali ciszę, gadać nie było wolno, tylko baczyć, by wierzchowce zachowały spokój i nie brzękła broń. Szli tak niby wilcy skradający się do zdobyczy. Wreszcie dostrzegli wyłaniające się z ciemno×ci zabudowania Parnawy. Przed sobą mieli szeroki pas skutej lodem rzeki, a dalej, za opłotkami, pomiędzy dachami chaotycznie rozrzuconych budynków, rysowała się równa linia murów obronnych miasta. Hetman wstrzymał marsz i wezwawszy żołnierzy, by pamiętali, że służą ojczyźnie, nakazał ruszać za sobą. Zaraz też zsiadł z konia, wy dobył szablę i wskazując nią owe mury, pobiegł ku rzece. Na ten widok żołnierze jak jeden zeskoczyli z siodeł i popędzili za nim. Jednocze×nie przemknęli bokiem dwaj francuscy inżynierowie z małym oddziałem szkockiej piechoty, niosąc petardy. Na koniach pozostały tylko trzy chorągwie pod wodzą pana Niszczyckiego, które miały zabezpieczać szturm, gdyż otrzymane wie×ci głosiły, że Szwedzi ciągną od Rewla w osiemset żołnierza i są już o osiem mil od Parnawy. Paru

oficerów podbiegło do hetmana i ująwszy pod ramiona, przytrzymało go molestując, by nie pozbawiał wojska dowództwa. Hetman widać uznał ich rację, bo nie opierał się długo i dosiadł wierzchowca, którego wła×nie mu podprowadzono. Tymczasem załoga szwedzka już ich spostrzegła i ciszę nocy rozerwał nagły huk armat. Rozległa się też gęsta strzelanina od bramy wiodącej ku rzece Parnawie, gdzie pobiegli Szkoci. Nie odstraszył ich jednak ten gwałtowny ogień, szybko przemknęli ku bramie, w mig podłożyli petardy i zapaliwszy krótkie lonty, podbiegli do następnej. Wkrótce gwałtowny wybuch targnął powietrzem, a po nim kolejno jeszcze dwa. Najbliższe bramy zostały wywalone. Na murach za×rozpętała się istna burza grzmotów i błysków. Ziały ogniem nieomal wszystkie sto cztery armaty, które mieli tu Szwedzi, dudniły hakownice, biły muszkiety, rusznice i wszelka palna broń. Szwedzi wiedli ostrzał nie tylko z korony murów, ale i ze wszystkich poddaszy basztowych. Padło od tego ognia wielu z piechoty, a także i spo×ród rycerstwa. Niemało też było i rannych, ale reszta żołnierzy, rzuciwszy się w owe wywalone bramy, od razu wdarła się do miasta. Tu krzyżowały się polskie szable i pałasze ze szwedzkimi rapierami, giewiami, halabardami. Dźwięczała broń bijąca o hełmy, moriony, szyszaki. Krzyki walczących mieszały się ze szczękiem oręża w jeden bitewny tumult. Wkrótce pod zaciekłym naporem napastników Szwedzi zaczęli coraz głębiej cofać się w wąskie ulice miasta, gdzie wszakże napór polski nie ustawał, aż wreszcie, nie zdoławszy mu sprostać, rzucili się do ucieczki pędząc ku zamkowej bramie. Ponieważ napływali z kilku stron, przeto brama nie została na czas zawarta i ×cigający wpadli na zamkowy podwórzec na plecach uciekających. Tu już Szwedzi widząc, że dalej uciekać nie mogą, rzucali broń i z uniesionymi rękoma oddawali się w niewolę. Na rozkaz hetmana nie

dobijano bezbronnych. Pozostał jeszcze główny gmach zamkowy. Podsunęli się zaraz ku jego wrotom bracia Farensbachowie i podłożyli petardy. Na ten widok Szwedzi zaczęli wołać o pardon wywieszając białą flagę, a następnie, zgodnie z żądaniem, wyrzucili przez okno klucze, które wręczono hetmanowi. Bitwa nie trwała dłużej niż trzy godziny, kiedy ostatnie jej odgłosy zamilkły. Wnet obsadzono zamek załogą, rozstawiono posterunki na murach miasta, na rozkaz hetmana przystąpiono do oczyszczania katolickiego kościoła, zamienionego przez Szwedów na magazyny, i już wczesnym rankiem odbyła się w nim dziękczynna msza, której wysłuchali żołnierze z dowódcami i hetmanem na czele. Wzięto na zamku kilku oficerów, nieco żołnierza, a także żonę i dzieci dowódcy Dyjamentu, Mikołaja Stiernskiolda. Na polecenie pana Chodkiewicza jeńców, którzy chcieli powracać do swoich, puszczano wolno, zatrzymując jedynie oficerów. Część jednak, a mianowicie stu pięćdziesięciu Szkotów pod dowództwem kapitana Klarke, zgłosiła chęć służby pod hetmańską buławą i tych przyjęto w szeregi. Następnie odebrał hetman przysięgę wierności od mieszczan. Zdobyto wszystkie działa i sporo koni, które rozdzielono pomiędzy tych, którzy je potracili. Jedynie żywności nie było dużo. Paszy też brakło, toteż pan Chodkiewicz długo w mieście nie popasał. Pozostawił w zamku trzy chorągwie husarskie oraz rajtarów Wahla, a z nimi dwieście ludzi piechoty, sam zaś ruszył z resztą sił ku Rydze, gdzie spodziewał się spotkać z Mansfeldem. Tuż przed wymarszem doszły go z Wyborga wieści o podpisaniu 28 lutego ugody między carem Wasylem a Karolem IX. Car zgodził się oddać Karolowi IX we wieczne władanie twierdzę Koksholm z przyległymi terenami, jak i wypłacać 30 000 rubli miesięcznie na pokrycie żołdu dla pięcioletniej armii, którą Karol zobowiązał się wesprzeć carskie wojska. Dowódcą owej armii został mianowany Jakub

Pontus de la Gardie, Francuz z pochodzenia, zdolny i doświadczony generał. Wiadomość ta zaniepokoiła hetmana, zmuszając go do pozostawienia w Parnawie silniejszej załogi, niż zamierzał, by chronić twierdzę przed ewentualnym szwedzkim napadem, gdyż wiedział, że będą oni bardziej dbać o własne dobro niżli swego nowego sprzymierzeńca. Ciągnąc ku Rydze zatrzymał się w Szacu na postój. Pan Giedroyc, oboźny hetmańskich wojsk, wynalazł mu wygodną kwaterę w mieście, niedługo wszakże pan Chodkiewicz mógł zażywać spoczynku, gdyż wkrótce przebudził go dowódca straży meldując, że nadjechał z Parnawy pan Niszczycki i prosi o natychmiastowe posłuchanie. Mocno niespokojny, co by się mogło stać w tak krótkim czasie, zerwał się hetman z łoża. Wkrótce ukazała się we drzwiach korpulentna postać niespodziewanego przybysza, który powinien był jeszcze pozostać w Parnawie. Twarz miał czerwoną od mrozu, a brodę i wąsy mokre od stopniałego szronu. Odziany w podbitą futrem delię szedł z uśmiechem na twarzy, co uspokoiło nieco hetmana. Za przybyłym postępował młody mężczyzna wysokiej postury, odziany w szubę krytą sukniem. Lica miał ciągłe, suche, włosy jasne, lekko faliste, a szare oczy spoglądały na hetmana badawczo i z ciekawością. - Czołem, wasza wielmożność! - zawołał pan Niszczycki. - Rad jestem, że tu was dopadłem, bo jest o czym pogadać, i to pilnie! - Cóż się stało, mości starosto, że tak nagle przybył? - z niepokojem spytał Chodkiewicz przenosząc wzrok na młodego mężczyznę. Spojrzenie to dostrzegł starosta i zrozumiał jego sens, bo odpowiedział: - To jest Peter Rutje, syn parnawskiego kupca. Przywiodłem go ze sobą, bo będzie nam potrzebny w sprawie, która mnie do was przygnała. Chodkiewicz skinął głową przybyszowi, ten zaś skłonił się bez słowa. - Mów zatem, panie Pawle, o co chodzi i dlaczego także pośpieszał? Zrzućcie też szuby, bom w izbie kazał

dobrze napalić. Usłuchali wezwania, a kiedy zasiedli, Niszczycki od razu zabrał głos: - Owóż ten mój kompan, z którym przybyłem, jest synem parnawskiego kupca, właściciela galeonu. Z dziesięć dni temu, kiedy wracał z Gandawy, Szwedzi napadli na statek i w czasie abordażu rodzica ranili, statek za×, ograbiwszy, zabrali. Jakem już rozeznał, istotnie tak rzecz się miała. On teraz szuka zemsty na Szwedach. Młodzian to stateczny, zna mowę niemiecką i ruską, nieco szwedzką, a także i naszą... - I dlatego waszmo×ć ganiał× po nocy, aby mi to powiedzieć? - nieco ironicznie rzucił hetman. Pan Niszczycki u×miechnął się. - Chyba znasz mnie na tyle, mo×ci hetmanie, by wiedzieć, że nie o to mi szło. Ma on dla nas propozycję wartą rozważenia... Ponieważ Chodkiewicz milczał wyczekująco, kasztelan mówił dalej: - Sprawa jest taka. Tu pod Szacem skupiają się głównie okręty Karola, które czatują na holenderskich i angielskich kupców zmierzających z towarami do Rygi i Parnawy. Otóż pan Rutje pragnie zebrać kilka okrętów i napa×ć na te szwedzkie, które czują się bezpieczne, gdyż my na morzu nijakich sił nie mamy i walki takiej nie zwykli×my prowadzić. - Napa×ć na szwedzkie okręty? - Tu pan Chodkiewicz już nie zmilczał, dorzucając ze zdumieniem: - Jakże to wa×ć sobie wyobrażasz? Husarię przeciw nim po×lę czy jak? I na czym, może na tratwach?! - Nie ja to sobie wyobrażam, ale pan Rutje, którego z tego powodu wziąłem ze sobą, by osobi×cie sprawę przedłożył... Kasztelan umilkł, jakby chciał umy×lnie pobudzić hetmańską ciekawo×ć. Jakoż udało mu się to, bo pan Chodkiewicz ponaglił go gniewnie: - Mówże zatem, do czarta! - łaskawca Rutje wie, że×my zdobyli w Parnawie dwa szwedzkie galeony, które akurat stały w porcie. Proponuje dokupić do nich chociażby jeszcze ze trzy okręty i z taką flotyllą uderzyć nocą na Szweda, podpłynąwszy z cicha pod Szac. - Od kogo dokupić?! - prychnął hetman. - Skąd wa×ć ich



weźmiesz, nie mówiąc już o ekspensie na taką imprezę! - Za pół ceny można by je kupić... Hetman przerwał panu Niszczyckiemu: - Cóż z tego, kiedy i pół ceny nie na moją kieszeń! - Toteż Rutje proponuje, aby nabyli je parnawscy kupcy. Oni potrafią przycisnąć właścicieli okrętów, którzy i tak nie mogą z nich korzystać, bo tak prędko w morze nie wyjdą, a załogi trzeba opłacać i karmić. Toteż kupcy i pół ceny mogą nie dać, gdyż będą musieli się liczyć, że stracą niektóre w bitwie... - No właśnie! I dlatego pieniędzy nie wyłożą. A przecież musimy ich uprzedzić, do czego okręty te będą nam potrzebne. - Aby, wasza wielmożność, jeno dał zgodę, a Madaliński ma twardą rękę i potrafi ich do wydatku skłonić... Zresztą i oni przychylni Szwedom nie są. - Hm... - Pan Chodkiewicz przygryzł wąsa. - Istotnie, powinni nam udzielić pomocy, bo prawdą jest, że pomstują na Szweda, niech więc sięgną do mieszka... - Otóż to! - potwierdził z zadowoleniem kasztelan widząc, że hetman skłania się do udzielenia zgody. - Jakie okręty pragnąłby zakupić ichmoć Peter Rutje? - Hetman spojrzał pytająco na milczącego Estończyka. Ten jednak milczał dalej, pozostawiając przy głosie pana Niszczyckiego. - Z tego, co mi mówił, ma na oku jeszcze jeden galeon, o sześćdziesięciu działach, może też karakę z czterdziestu armatami i dwie karawele. Te ponoć dział wiele nie mają, ale dobre są do pocigu. - Kto objąłby dowództwo? - spytał z kolei hetman zdradzając tym, że decyzję już powziął. - Nasz młody przyjaciel! - rzucił Niszczycki. - On morskie rzemiosło zna dobrze. Hetman zwrócił się już bezpośrednio do Rutjego: - Obmylił wszystko z rozsądkiem, ale chcąc po nocy dokonać napaćci, jak znajdziesz w ciemności nieprzyjaciela? Obawiam się, że możesz do witu krążyć i go nie napotkasz. - Przewidziałem i to - krótko owiadczył Peter, nic więcej nie dodając. - No cóż, skoro na wszystko macie radę, sprzeciwu nie wyrażam, bo

u×miecha mi się i na morzu Szweda dosięgnąć. A tego istotnie na pewno się nie spodziewają! - Tom na darmo po nocy nie ganiał - powiedział ze ×miechem pan Niszczycki. - Zatem, mo×ci Rutje, poruczam ci przewodnictwo nad wyprawą. Dostaniesz zaraz pisma do Madalińskiego, by wsparł cię w przygotowaniach. Wiele czasu na to stracisz? Estończyk zastanawiał się przez chwilę. - Spodziewam się sprawić nie dłużej niż w trzy dni. - Pismo dostaniesz wnet. Kiedy chcesz wracać do Parnawy? - Chociażby i zaraz. - Po nocy? - Po nocy, je×li dostanę ×wieżego konia. Hetman u×miechnął się z uznaniem. - Konia dostaniesz, i to dobrego. A po bitwie, oby Bóg dał szczę×liwej, wracaj do mego boku, bo rad będę usłyszeć, co× osiągnął. Ja tu zaczekam parę dni, bom ciekaw sprawy. Je×li za× ruszę, tedy mnie dognaj. Peter znów skłonił się bez słowa. Pod zaciągniętym chmurami nocnym niebem panowała zupełna ciemno×ć. Była tak gęsta, że Peter Rutje widział zaledwie zarysy dwóch pierwszych wio×larzy siedzących przed nim, i to tylko dzięki nikłemu ×wiatłu latarenki, którą na dnie łodzi przytrzymał stopami. W tej smolistej czerni rozlegały się jedynie ciężkie oddechy wiosłujących marynarzy, cichy zgrzyt dulek i lekkie pluski zagarnianej wiosłami wody. łódź sunęła jakby z ociąganiem, to opadając, to wznosząc się na kolejnej fali, która podsuwała się pod nią obłym garbem i biegła dalej. Wiatr z północo\_zachodu muskał twarz Petera ledwie wyczuwalnym tchnieniem, pozwalał jednak chociaż w przybliżeniu utrzymywać należyty kierunek łodzi. Swoje okręty zatrzymał o parę mil od brzegu na dryfkotwach i z opuszczonymi żaglami. Miały je natychmiast podnosić i ruszać w ×ład za nim, kiedy tylko uda mu się wykonać zadanie. Czas uciekał, a on wciąż nie dostrzegał umówionego sygnału. Okręty nie mogły zbyt długo pozostawać w dryfie, bo fala i wiatr, choć słabe, ale z wolna spychały je ku brzegowi. Niepokój

wzmagala niepewno×ć, czy wysłane na "świętą Annę" polecenie do dwóch znajdujących się tam byłych marynarzy z ojcowskiego galeonu dotarło do nich na czas. Wreszcie jednak Peter dostrzegł z ulgą, jak małe niby iskra ×wiatełko mrugnęło raz i drugi w dalekiej ciemno×ci. Po chwili ukazało się znów i jak poprzednio zamigotało przez moment i znikło. Peter, wyzbyty już niepewno×ci, odepchnął nieco rumpel od siebie, poprawiając kurs, i rzucił półgłosem: - Mocniej, chłopcy! światło jest! Podał szybszy rytm wio×larzom, potem znów zamilkł, już tylko z napiętą uwagą wpatrując się przed siebie. Po pewnym czasie schylił się, sięgając po stojącą na dnie łodzi matarnię, odsłonił szkło i uniósłszy ją nad głową, parokrotnie zakołysał dając znak, że sygnały zostały odebrane. Potem ukrył ją znów, by nie dostrzegły go inne statki, o których wiedział, że stoją w pobliżu. Wkrótce migające co pewien czas ×wiatło stało się bardziej widoczne, było coraz bliższe, aż wreszcie w jego błyskach dostrzegł wielki, czarny kontur okrętowego kadłuba z uniesionymi wysoko na dziobie i rufie kasztelami i trzema masztami ogołoconymi z żagli. Niebawem wio×larze złożyli wiosła i już tylko rękami, by zachować ciszę, odpyłchali łódź od burty okrętu. Na dno łodzi opadł koniec liny i Rutje pierwszy zaczął wspinać się po niej ku widocznej nad głową krawędzi burty. Za nim podążyło dwóch wyznaczonych uprzednio marynarzy. Kiedy znaleźli się na górze, pozostała w łodzi załoga owinęła w kawałek sieci leżące na dziobie baryłki ze smołą i pociągnawszy za sznur dała znak, że ładunek gotów jest do zabrania. Smoła, rozrzedzona terpentyną, dawała się łatwo wylewać pod maszty i ×ciany kaszteli. Pracowali cicho i sprawnie, nie nagabywani zresztą przez nikogo, bo załoga, czując się bezpieczna daleko od lądu, poza wachtowymi strażami nie wystawiła. Ci za×, dopomagając przybyszom, wraz z nimi zjechali po sznurze, kiedy już na rozlaną smołę padły kawałki szmat zapalonych

od latarki. Łódź pośpiesznie odbiła od okrętu i pchana szybkimi uderzeniami wiosel pograżyła się w otaczającej ją ciemności. Wkrótce jednak ową ciemność rozjaśnił czerwony blask buchających w niebo płomieni. Ich jęzory pięły się po masztach i kasztelach, wiły i tańczyły po pokładzie, hucząc coraz gwałtowniejszym rozpasaniem ognia. Dopiero teraz rozległy się wrzaski obudzonej pożarem załogi. Na tle purpurowego blasku ukazały się czarne kontury ludzkich postaci pnących się na burty, by skacząc w wodę szukać w niej ocalenia od szalejących za nimi płomieni. Słup ognia wzbił się wkrótce wysoko w górę, nad ogniem zakłębił się pióropusz dymu, rdzawy od spodu w refleksach światła. Okręt gorzał jak wielki, ofiarny stos. Oświetlał całą otaczającą go przestrzeń morza, wydobywając z ciemności kolejne sylwetki stojących w pobliżu statków - nieruchomych i jakby obojętnych na los swego towarzysza. Łódź szła szybko. Rutje, siedząc za sterem, miał teraz za plecami pożogę, ale nie był już jej ciekaw, całą uwagę kierując w czarną otchłań nocy przed sobą. Jakoż nie trwało długo, kiedy ujrzał wyłaniające się z tej czerni, różowe od blasku żagle swoich okrętów. Szły szykiem torowym w stronę pożaru. Wkrótce Peter dobił do pierwszego z nich, wiosłarze pochwycili rzuconą im linę i poczęli za dowódcą wspinać się na pokład. Był to galeon "Dragon", który prowadził flotyllę ku dobrze w blasku łuny widocznym nieprzyjacielskim okrętom. Pan Chodkiewicz po wizycie Estończyka przeniósł kwaterę na plebanię, gdyż znajdowała się tuż przy kościele świętego Michała, którego wyniosła wieża dawała dobrą widoczność na cały bezmiar pobliskiego morza. Przykazał postawić na niej posterunek i zaraz go budzić, gdyby coś się na morzu zdarzyło. Nie zamierzał bowiem stać w Szacu dłużej niż owe trzy dni, gdyż sytuacja oblężonej Rygi nie pozwalała na przeciąganie pobytu. Ciekaw był jednak, czy dojdzie do morskiej rozprawy, a

jeżeli, to jaki będzie jej wynik, ponadto i wojsku przed dalszymi trudami nie szkodziło dać nieco wytchnienia. Trzeciej nocy kładł się hetman na spoczynek z myślą, czy Rutjemu udała się zamierzona impreza i czy zdąży przybyć w wyznaczonym przez siebie terminie. Kiedy więc krótko po północy, obudzony przez Romaszkę, piał się otulony w szubę z Niszczycykiem i Lackim po stopniach wieży, wiedział, że rzecz doszła do skutku i teraz pozostaje tylko popatrzeć, jak się zakończy. Nieco zadyszany, znalazł się wreszcie w komorze dzwonnej, skąd widać było całą okolicę. Natychmiast przypadł do okiennego otworu i wychyliwszy się, spojrzał ku morzu. W głębi ciemności, zacierającej granicę między niebem a wodą, ujrzał palący się statek, z tej odległości podobny do płomienia wiecy. Rozproszone wokoło tkwiły nieruchomo i inne okręty z częściowo postawionymi żaglami, oświetlone blaskiem łuny, podobne do znieruchomiałych w locie motyli. Pięć sunących ku tym okrętom statków właśnie zmieniało kurs. Uczyniły zwrot i rozproszywszy się, szły każdy swoim torem, zmierzając do upatrzonej ofiary. Te zaś były nieomal bezbronne, bo dopiero wybierały kotwice i stawiały żagle, co pozbawiało je możliwości dokonania manewrów czy choćby ucieczki. Toteż hetman i jego towarzysze, wychyleni przez kamienne parapety, widzieli, jak atakujące okręty zbliżały się, obracały burta i oddawały salwę ze wszystkich dział. Potem szły dalej, by znów dokonać kolejnego zwrotu i oddać salwę z drugiej burty. Na galeonach na każdej burcie było po trzydzieści armat, toteż patrzący z wieży widzieli, jak padają strzaskane maszty, drobne jak ziarnka maku ludzkie postacie biegają bezradnie po pokładach, jak przykrywają je płachty żagli, które wnet zajmują się ogniem pożaru. Dym wystrzałów zasłaniał chwilowo ten widok, dopóki nie zniósł go wiatr, ale ich grzmot huczał po rozległej przestrzeni morza, podobny do

toczącego się po mo×cie ładownego wozu. Pożar pierwszego okrętu zaczął już przygasać, płomienie malały, z daleka więc pływający jeszcze wrak podobny był do kawałka rozżarzonego węgla. Ciemno×ć jednak nie ogarnęła walczących, bo od salw galeonów zapaliły się inne okręty i one z kolei roz×wietliły morze. Wkrótce bitwa dobiegła jednak końca, gdyż szwedzkie okręty postawiły wreszcie żagle i zaczęły uciekać, by jak najrychlej wyj×ć poza zasięg zgubnego ×wiatła. - Dobrze się spisał ten Rutje! - zawołał uradowany pan Niszczycki ruszając za hetmanem, kiedy na wodzie pozostały już tylko dopalające się wraki. - Rad jestem, że się na nim nie zawiódł. - I jam rad, ale bardziej ze szwedzkiej porażki - odpowiedział pan Chodkiewicz schodząc, poprzedzany przez pachółka z pochodnią. Po chwili za× dorzucił: - Ten człowiek mi się spodobał, toteż chyba go przy sobie zatrzymam, niech się nauczy wojować i na lądzie. Sądzę, że jeszcze się przyda. Podjazdy, jakie chodziły w czasie tych trzech dni postoju, napotykały szwedzkie zwiady, co dowodziło, że Mansfeld, nie zaniebując oblegania Rygi, bacznie ×ledzi ruchy polskich wojsk. Kiedy więc hetman dał rozkaz do wymarszu, wiedział dobrze, jak niebezpieczny to będzie pochód. W każdej chwili mógł bowiem nastąpić atak, gdyż Mansfeld był ×wiadom, jak szczupłymi siłami rozporządza jego przeciwnik. Nakazał zatem wozom taborowym ciągnąć po bokach oddziałów, by dały ochronę w razie ataku nieprzyjaciela. Tak ubezpieczony dotarł szczę×liwie pod Rygę, gdzie zatrzymał się, mocno obwarowany. Tu nocą przesłali mu ryżanie kilka dział i pieszą rotę. Wzmocniony tą pomocą ruszył ostrożnie z postoju i zdołał bez przeszkód przeprowadzić się wraz z armatami przez Dźwinę. Ale wie×ć o tym, choć poniewczasie, doszła jednak do Mansfelda. Rozeźlony, że przeciwnik zdołał mu uj×ć nieomal spod ręki, zaczął skupiać wojsko, by ruszyć w

po×cig. Chodkiewicz, który takōż nie spuszczał z oczu działań Szwedów, rychło się o tym dowiedział, lecz zamiast przy×pieszyć marsz zatrzymał się i zaczajony w lasach czekał na dalsze poczynania Mansfelda. Bowiem wielki wódz i tym razem nie stracił zimnej krwi i zwykłego sobie uporów. Może zresztą przewidział dalszy bieg zdarzeń, a może postanowił szukać szansy, którą wojenne szczę×cie darzy na ogół odważnego. Do×ć że nie zawiódł się na nim i tym razem, gdyż Mansfeld w zło×ci i gorączce po×cigu popełnił wkrótce błąd, na który tylko czekał jego przeciwnik. Od lasu, gdzie stanęło wojsko, była do Dźwiny niecała mila terenu, który stanowiły łagodne wzgórza pokryte tu i ówdzie kępami drzew.

Wykorzystując tę naturalną osłonę, hetman rozstawił wzdłuż rzeki czaty i czekał na dalsze ruchy Mansfelda. Niedługo trwało, a posterunki doniosły o ukazaniu się Szwedów. Nie próbowali jednak przeprawy wpław, lecz zaczęli ×ciągać krypy i łodzie, przystępując jednocze×nie do budowy mostu. Zbliżał się wieczór. Otrzymałszy tę wiadomo×ć Chodkiewicz kazał wołać Elersona, dowódcę ryskich oddziałów. -

Weźmiesz waćpan swoje armaty i piechotę dla ich osłony - polecił - i jak się ×ciemni, ruszysz nad rzekę w pobliże miejsca budowy mostu. Zachowuj wszakże bezpieczną odległo×ć, aby cię nie dosłyszano. Armaty skierujesz na most, ale ognia nie otwieraj, dopóki nie otrzymasz rozkazu. Skoro za× już będziesz na miejscu, zawiadomisz, gdzie ci ten rozkaz posłać. Z kolei zwrócił się do Dąbrowy, który wraz z innymi dowódcami znajdował się przy jego boku: - O ×wicie wezmę chorągiew i osłonięty wzgórzami podsunę się ku rzece.

Obejmiesz, Tomaszu, po mnie komendę. Uderzysz, i to całymi siłami, nie ostawiając żadnych odwodów, kiedy usłyszysz armaty. Do zbytniej przewagi liczebnej Szwedów nie dopuszczę, toteż nie będziesz miał zbyt duży roboty, ale tych, z którymi się zmierzysz, wycinaj do nogi nie dając pardonu,

aby Mansfelda odeszła ochota do dalszego pociągu. Ledwie zaczęło szarzyć, hetman dosiadł konia i poprowadził swoją chorągiew. Zatrzymał ją w upatrzonym miejscu, a sam, tylko w kilka koni, jeszcze bardziej zbliżył się ku rzece i skryty między kępą drzew oglądał miejsce nieprzyjacielskiej przeprawy. Miał ją całkiem blisko. Widział wyraźnie krzątających się ciele i szwedzkich knechtów. Pałace się nocą ogniska, teraz już niepotrzebne, dogasały, most zaś, prawie już gotowy, wsparty na łodziach, łączył oba brzegi. Wkrótce ujrzał, jak z porannej mgły, oświetlonej pierwszymi promieniami słońca, wyłoniły się oddziały jeźdźców. Szli rysi, regiment za regimentem, zmierzając wprost ku przeprawie. Nie zważając na pracujących jeszcze tu i ówdzie ludzi, wjechały na most i nie zmniejszając szybkości, zdążyły ku drugiemu brzegowi. Końskie kopyta z głuchym dudnieniem uderzały o deski pomostu i kolumna za kolumną wydostawała się na drugi brzeg. Chodkiewicz z napięciem oczekiwał dalszych poczynąń nieprzyjaciela. Ciekaw był bowiem, czy owe pierwsze regimenty rajtarskie zatrzymają się nad rzeką, dla ochrony dalszej przeprawy, czy też ruszą dalej, co świadczyłoby, że otrzymały rozkaz pociągu bez żadnej zwłoki. A tego hetman najbardziej pragnął. Toteż rozjaśnił oblicze ujrawszy, jak ani chwili się nie zatrzymując, regiment za regimentem szedł w pole, i to nawet ponaglając wierzchowce. Byстрыm spojrzeniem oceniał ich siły, a kiedy uznał, że już do oddziałów znalazło się na jego brzegu, skinął na gońca. - Ganiaj do Elersona, niech otwiera ogień na most! Wszakże kiedy ruszę z atakiem, niech przeniesie go na rajtarów! Działa stały nieco z boku i bliżej rzeki, toteż nie zagrażały hetmańskiej chorągwi. Ich pierwsza salwa huknęła tak nagle, że hetmański wierzchowiec, choć obyty z bitewnym zgiełkiem, aż przysiadł na zadzie. Pierwsze kule padły jednak w wodę, mało co szkodząc przeprawie. Dopiero z następnej



salwy trafiły w sam pomost, rozrzuciły jeźdźców, wyrwały w górę kawałki belek i desek. Kiedy za× uderzyły następne pociski, na mo×cie powstało już zupełne zamieszanie, a kilka łodzi zaczęło pogrążyć się w rzece. Hetman uznał, że przyszedł czas uderzać i jemu. Pognał więc drugi goniec, tym razem do oczekującej za wzniesieniem chorągwi, a kiedy ta nadleciała, Chodkiewicz wyrwał szablę i osobi×cie poprowadził ludzi do ataku. W regimentach, które dokonały już przeprawy, powstało zamieszanie. Jedni oglądali się za siebie, gdzie chorągiew hetmańska dopadła wkraczających na brzeg towarzyszy i niby nóż krający masło oddzieliła ich od rzeki, inni spoglądali ku lasowi, gdzie rozgorzała już zacięta bitwa. Pan Dąbrowa bowiem, usłyszawszy armaty, ruszył ze wszystkimi chorągwiami. Wypadając z lasu natknął się od razu na przednią straż szwedzką. Zniósł ją, jakby dmuchnął w pierze, i dopadłszy pierwszych regimentów rozpoczął robotę. Było szczę×ciem hrabiego Mansfelda, że sam nie zdążył przeprowić się przez Dźwinę. Ale mimo to ze zgrozą i w×ciekło×cią patrzył bezradnie na klęskę swoich rajtarów. Ci za× byli podobni do stada kur, pomiędzy które wpadł drapieżca lis. Pierwsze regimienta, rozbite i rozproszone od pierwszego uderzenia, miały się po polu, lecz następne, ochłonawszy z zaskoczenia, próbowały stawiać opór. Tym razem nie miały jednak liczebnej przewagi, więc wkrótce tylko nielicznym udało się wyrwać z bitwy i umykając na boki, w ucieczce szukać ocalenia. Kiedy rozprawa dobiegła wreszcie końca, naliczono blisko dwa tysiące zabitych lub rannych Szwedów, ponad stu dostało się do niewoli, a sztandarów zdobyto osiemna×cie. Wkrótce potopione łodzie pociągnęły za sobą most, który, zepchnięty nurtem rzeki rozpadł się na dwie czę×ci. Po tak dotkliwej porażce Mansfeld z pozostałym wojskiem odstąpił od oblężenia Rygi i wycofał się ku północy, by uporządkować po klęsce oddziały. Hetman

natomiast odesłał ryżanom ich piechotę, a nawet przydał nieco własnej. Teraz bowiem mógł odetchnąć. W lipcu za× nadeszło doń królewskie wezwanie na naradę do Wilna. Tam, przyjęty z honorami, otrzymał obietnicę rychłego zaopatrzenia inflanckich wojsk. Obietnica jednak jak i dotąd pozostała tylko obietnicą, toteż mocno rozgoryczony wrócił hetman na Inflanty, gdzie wie×ć o dalszej zwłoce z wypłatą żołdu doprowadziła do zawiązania konfederacji. Przystąpił do niej i sam pan Chodkiewicz, jednak po to, by nie utracić kontaktu z wojskiem i hamować co gorętszych wichrzycieli. Po uspokojeniu się rozruchów rannymi po dworach zaopiekowały się okoliczne kobiety, jako z natury bardziej skłonne do lito×ci. Bardziej też były zresztą obznajmione z obsługą i zabiegami leczniczymi. W×ród zniesionych z placu boju znalazł się i Jedlina. Kiedy wrócił do przytomno×ci, stwierdził, że leży przykryty kocami na posłaniu ze słomy, a swobodę ruchów krępują mu płótna, jakimi jest owinięty. Jednocześnie poczuł uporczywy, dojmujący ból, który piekł mu ogniem cały lewy bok. Poniechał więc poruszeń i rozejrzał się dokoła. Znajdował się w izbie o jednym oknie zaciągniętym błoną, toteż panował w niej półmrok. Nie był jednak tak gęsty, by skryć innych rannych, tak jak i on leżących pod ×cianami na posłaniach ze słomy. Jeden z nich widząc, że poruszył głowę, odezwał się: - A więc już waćpan oprzytomniałe×? Jam Sokolnicki, towarzysz husarski z chorągwi księcia Wi×niowieckiego. Z kim mam honor? - Nikodem Jedlina, takó¿ spod husarskiego znaku, jeno ze straży przybocznej księcia... Sokolnicki ożywił się. - Zatem czołem, panie bracie! Nieźle nas zaprawili, co? Gdzieże× wa×ć dostał? - Z bólu wnioskuje, że kula przeszła mi po żebrach. - Masz szczę×cie, bo rychło z tego wyjdiesz. Mnie także go nie brakło, bom tylko dźgnięty włócznią w udo, toteż również spodziewam się długo nie leżeć. - Gdzie się

znajdujem? - Tam, gdzie×my zostali ranni, na byłej kwaterze księcia Konstantego. - A co z nim? Nie wiesz waćpan? - Słyszałem, że pojmany w niewolę, ale gdzie przebywa, nie wiadomo... - No, to×my się nawojowali... - mruknął z goryczą Jedlina. - Z byle hołotą przyszło się mierzyć, a do tego jeszcze po łbie oberwać. - Trzeba jednak przyznać, że bez opieki nas nie ostawiono. Chodzą tu jakowe× niewiasty i dają baczenie, mniszki także widziałem... Dalej gawędy nie mogli prowadzić, gdyż do izby weszły dwie kobiety i pochylając się nad rannymi badały ich stan. Wkrótce za× potem zakonne siostry zaczęły roznosić południowy posiłek. Mimo optymistycznych zapowiedzi Sokolnickiego przez długi czas nie opuszczała Jedlinę gorączka. Jednak dzięki odporno×ci organizmu zaczął z wolna przychodzić do zdrowia. Miał teraz do×ć czasu na rozmy×lania, a ich główną ośnową były wspomnienia owego wieczoru, kiedy popełnili ów niecny czyn. Trapiły go wyrzuty sumienia, których nie tłumili okoliczno×ci, w jakich do tego postępku doszło. Jednocze×nie pojawiła się tęsknota za obrazem dziewczyny, pragnienie ujżenia jej wdzięcznej postaci, zatopienia wzroku w jej wielkich, orzechowych oczach. Był więc pełen poczucia winy i tym bardziej zgnębiony, że rozumiał, iż niczego, co się stało, odmienić się nie da. Nie wiedział, ile dni już leżał, bo zlały mu się w jedno pasmo biegnącego czasu, kiedy pewnego ranka drzwi do izby rannych otworzyły się i na progu stanęły dwie kobiety. Jedną z nich, starszą, ruchliwą Swietłanę Fiodorownę znał z jej codziennych tu bytno×ci. Druga za×, ledwie widoczna w półmroku izby, rysowała się tylko szczuplejszą sylwetką, lekko×cią ruchów zdradzającą młody wiek. Swietłana Fiodorowna zatrzymywała się z przybyłą przy każdym rannym i obja×niała ją o rodzaju rany, stanie zdrowia i koniecznych zabiegach. Kiedy za× zbliżyły się i stanęły nad posłaniem Nikodema Jedliny, ten, znieruchomiały ze

zdumienia, poznał, kim była towarzyska ich dotychczasowej opiekunki. - Oto pan Jedlina, Tanieczka... - objaśniła rzeczowo Swietłana Fiodorowna. - Gorączka niedawno go opuściła, ale nie wraca do sił tak szybko, jak powinien, nie wiem, z jakiej przyczyny. Zechciej zwrócić na niego baczniejszą uwagę... Dziewczyna musiała poznać go również, bo widział, jak jej oczy rozszerzają się z wolna, ukazuje się w nich przerażenie, potem ciemnieją ze zgrozy, a na policzkach wykwitają rumieńce gniewu. Nikodem, jakby nieświadom otoczenia, patrzył w jej płonąca gniewem twarz, wreszcie westchnął i rzekł na wespół do siebie: - A więc jeste... Znów cię widzę, miła moja... Dziewczyna ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się, rzucając wśród szlochów urywane słowa: - To on... on... Matko Przenajwiększa, on to przecież... Bodaj cię Bóg opuścił! - Zamilkła raptownie, gdyż widać zdała sobie sprawę, że dalsze słowa mogą narazić jej godność. - Jaki on? Sama nie wiesz, co gadasz! - wykrzyknęła zdumiona Swietłana Fiodorowna. - Co cię naszło? Po co zgodziła się pielęgnować Polaków, skoro tak ich nienawidzisz?! Jedlina, nadal nie zważając na starą kobietę, wyszeptał: - Przebacz, jeżeli zdołasz... Dopiero teraz Swietłana Fiodorowna zrozumiała, że oboje łączy zapewne jakaś sprawa wymagająca wyjaśnień, więc lepiej pozostawić ich samych, toteż rzekła rozkazująco dziewczynie: - Ostań tu, Tatiano, ja zajmę się innymi! Kiedy odeszła, Nikodem powtórzył półgłosem: - Czy mi przebaczysz? To nie było tak, jak sądzisz, oszukano nas, źle o was mówiono... A Borys Szujski osobiście doprowadził na miejsce, widać chciał waszej zguby... Tatiana wyprostowała się gwałtownie. - Nawet słuchać tego nie chcę! Nie wiedziałam, że was spotkam! Zgodziłam się opiekować waszymi rannymi, bo Chrystus nakazał miłować wrogów, a ja teraz mniszką chcę zostać. - Taniu, mówisz o miłosierdziu, miej go i dla mnie... - Nie,

nigdy! Słyszysz? Nigdy! Choćbym... choćbym... Nie dokończyła i obróciwszy się gwałtownie, ruszyła do wyjścia. Starodub był jednym z warownych grodów chroniących ziemię ruskich książąt przed napadami Litwinów, w czasie kiedy Litwa była odrębnym państwem. Miał więc gród obronny zamek, otoczony murem i fosą, a miasto równie silne tyny obronne. Jego okazała cerkiew już z dala połyskiwała ponad dachami domów złocistymi kopułami, ale ulice były wąskie i nie brukowane, domy drewniane, choć niektóre bogato zdobione i malowane. Nikt nie zwrócił uwagi na pięciu jeźdźców, którzy pewnego popołudnia minęli bramę miasta i skierowali się w jedną z wąskich uliczek biegnących wzdłuż obronnych wałów. Tak po dziesięciu dniach dwaj zbiegowie z Moskwy wraz z trzema pachołkami dotarli szczęśliwie do celu. W mieście przewodnictwo objął imć Suchecki, jako że on skłonił pana Miechowickiego do zgody na tak dalekie miejsce schronienia. Miał bowiem pan Jan cichą nadzieję, że uda się Dymitrowi wyjść cało z opresji, a wówczas lepiej by było być bliżej stolicy. Nadziei tej jednak nie podzielał jego towarzysz i jak się okazało słusznie, gdyż wieść o śmierci cara dognała ich jeszcze w czasie podróży. - Znasz wać drogę? - spytał Miechowicki towarzysza, kiedy minęli bramę miasta. - Lepiej nikogo nie rozpytywać o owego t'opuchina. - Nie frasuj się waćpan, pytać nie będę... - Nieco opryskliwie mruknął Suchecki. Pan Jan nie brał mu za złe tego tonu, gdyż wiadomość o śmierci Dymitra głęboko wstrząsnęła jego towarzyszem. Chociaż nie stracił opanowania, to jednak przez kilka dni zachowywał ponure milczenie, tylko z konieczności rzucał zdawkowe słowo, mało co brał do ust i nieruchomiał na dłuższe chwile zapatrzony przed siebie, jakby, sięgając pamięcią w przeszłość, oglądał jakieś obrazy. Nastroje te z czasem zaczęły mijać, ale z kolei nachodził go gniew, i to z byle błahego powodu. Miechowicki wiedział o jego

przywiązaniu do Dymitra, ale nie spodziewał się, że tak głęboko będzie przeżywał jego śmierć. Mijali domki ukryte wśród sadów. Suchecki wysforował się do przodu i wkrótce skreślił w otwartą bramę. Znaleźli się na obszernym podwórzu, przed dużym domem. Zostawili konie pod opieką pacholków, jedynie parę skórzanych troków Grigorij odpiął od siodła i zabrał ze sobą, mimo że wydawały się dość ciężkie. To nasunęło panu Miechowickiemu przypuszczenie, że jego towarzysz zdołał co nieco uratować z carskich skarbów. W sieni domu spotkali wystraszoną, zażywną kobietę. Poprowadziła ich zaraz do jadalnej izby. Tu Suchecki najpierw obrócił się ku ikonom zawieszonym w rogu komnaty i bijąc pokłony zęgnął się przed nimi, a dopiero potem prosił, by zawiadomiono gospodarza o przybyciu Grigorija Pawłowicza z Moskwy. Jakoż nie czekali długo, kiedy w sieni rozległ się tubalny głos i po chwili wszedł do izby otyły mężczyzna o pełnej, rumianej twarzy, okolonej ciemną brodą. Na widok Sucheckiego zawołał unosząc ramiona: - Toć to istotnie Grigorij Pawłowicz we własnej osobie! Podszedł do niego i objął uściskiem, w którym szczupła postać gościa zniknęła nieomal zupełnie. - Ano, jam to w istocie... - wysapał wreszcie Suchecki szczęśliwie uwolniony z objęć. - Przejazdem jestem, ale pomny dawnych czasów postanowiłem was, Anatoliju Iwanowiczu, odwiedzić w nadziei, że za próg mnie nie wyrzucicie. - Was, Grigoriju Pawłowiczu?! Co też mówicie?! I z góry zapowiadam, że szybko was nie puszcę. Teraz zaś siadajmy do stołu. - Chętnie, bośmy po drodze wygłodnieli. A pogadać będzie o czym... Czy znacie już straszną nowinę? - Znam... Wczoraj przyleciał z tą wieścią goniec z Briańska. - Łopuchin mimo woli obejrzał się za siebie. - No, siadajcie, pojemy i pogadamy. Kiedy posiłek miał się już ku końcowi i powspominali czasy jakichś wspólnych spraw i interesów, Łopuchin polecił usługującej do stołu

dziewczynie: - Zabieraj się i nie przeszkadzaj! - Jekatierina Pawłowna przykazała kwasu wam jeszcze przynieć... - Kwasu możesz przynieć i won! - rzucił kupiec, a kiedy służąca zniknęła z drzwiami, odezwał się: - No, teraz możemy pogadać. Skąd zatem przybywacie i dokąd zamierzacie jechać? - Skąd, to chyba wiecie? - Suchecki spojrzął spod oka na ʼopuchina. - Chyba mieliście ode mnie wiadomości przez Aprochowa? - Mieć, miałem i wielcem za nie wdzięczny, o czym jeszcze pogadamy - przytaknął gospodarz. - Ale były dawno, więc sądziłem, że w Moskwie was już nie ma. - Zajęty był człowiek nieco innymi sprawami niż kupieckie, o was jednak, Anatoliju Iwanowiczu, nie zapomniałem, czego dowód, że w potrzebie podążyłem do Starodubia... - Niebezpiecznie stało się na Kremlu? - ʼopuchin zerknął spod oka na swego gościa. Twarz Sucheckiego stężała, a strzępy wąsów najeżyły się. - Niewiele brakowało, a i nas z Iwanem Andriejewiczem dosięgłaby tam śmierć. - Suchecki spojrzął na swego towarzysza. - No tak... - mruknął kupiec. - Toteż najpierw niech wyjaśni się sytuacja. Do tego czasu zostaniecie u mnie. - Dzięki za propozycję. Oczywiście pokryjemy koszta żywności tak swojej, jak naszych ludzi i koni. - O żadnej zapłacie nie chcę słyszeć! - obrócił się kupiec. - ʼopuchin nie taki znów biedak, aby paru ludzi nie znalazło u niego misy z posiłkiem. Co do pachołków, to jednego zatrzymajcie do posług, a dwóm jak i koniom dam zatrudnienie. W ten sposób zarobią na siebie i na paszę. Obaj podróżni dostali wygodną komnatę, a pachołcy komorę, i tak to zbiegowie rozpoczęli bytowanie, nasłuchując wieści nie tylko ze stolicy, ale i całego kraju. Zbieraniem ich zajął się głównie Grigorij. On objął przewodnictwo, gdyż jego towarzysz stał się teraz w znacznej mierze od niego zależny. Nadeszły wieści, że Szujski został carem, potem o chłopskich buntach i przyłączeniu się do nich niektórych bojarów z

Szachowskim na czele, a wreszcie o losach polskich więźniów. Wiadomo×ć o buntach jak gdyby ocuciła Sucheckiego. Nie tylko opu×ciła go dotychczasowa zaduma, ale raptem okazał zaskakującą ruchliwo×ć. Wychodził często z domu, lecz wracał równie milczący jak poprzednio, a zapytania Miechowickiego zbywał ogólnikami, toteż pan Jan wkrótce przestał go w ogóle nagabywać, co robi i gdzie spędza czas. Sam za× nudził się coraz bardziej. Tak minęło lato, potem nadeszła zima, znacznie ograniczając ruchliwo×ć Grigorija Pawłowicza. Kiedy za× ×niegi zaczęły topnieć, Miechowicki, mając do×ć beczynno×ci, postanowił omówić z towarzyszem dalsze ich poczynania, gdyż coraz wyraźniej widział, że nie pozostaje mu nic innego jak wracać do Polski. Car Wasyl umacniał się na tronie, królewscy posłowie i ocalałe polskie rycerstwo nadal pozostawali w niewoli, caryca Maryna wraz z ojcem także nie odzyskała wolno×ci i przebywała pod strażą w dalekim Jarosławiu. Wyglądało na to, że jeszcze długo los ich nie ulegnie poprawie, nie było więc po co pozostawać w moskiewskim państwie. Którego× przedwiosennego wieczoru Grigorij Suchecki wrócił do domu późno i w wyjątkowo kiepskim humorze. Nie kwapiąc się z rozpoczęciem rozmowy chodził po komnacie i mruzczał pod nosem: - Aby go piekło pochłoneło, aby gnił za życia pies zdradliwy... Miechowicki, znużony samotno×cią, rad był z jego powrotu, ale widząc objawy złego humoru, spytał tylko ostrożnie: - Któż to tak waćpana ukrzywdził? Suchecki siadł przed trzaskającym na kominku ogniem. Na te słowa obrócił głowę i odpowiedział z niejakim zdziwieniem: - Mnie? Nie mnie, ale cały ruski naród, wszystkie moskiewskie ziemie, przeklęty zdrajca! - Wa×ć na naszego ojczulka tak pomstujesz? - domy×lił się Miechowicki. - A na kogóż by innego? - Sądziłem, że już w waćpanu nienawi×ć przygasła... Przecie to blisko rok, jak nam łaskawie caruje. - Jego kres



nadchodzi! To waćpanu przyobiecuję! - Mierzyć się z carem chyba nie możesz, bo lew on, a wać przy nim ledwie równy myszy. - Wszakże i mysz uratowała lwa przegryzając mu więzy. Toteż i zgubić go zdoła. - Jakim sposobem? - Przyjdzie czas, to waćpanu powiem. Zemstę temu psu poprzysiągłem i przysięgi dotrzymam! - Suchecki wyrzekł te słowa z niezwykłą zaciątością. - Cóż takiego uczynił, że tak na niego pomstujesz? - Wiećci o tym teraz dopiero mnie doszły, choć rzecz zdarzyła się wówczas, owego dnia... - mruknął Suchecki. Jego zielone oczy rzucały złe błyski, a capia bródka drgała przy każdym słowie. światło ognia padające z kominka przesuwano się po jego twarzy, to pogrążając ją w cieniu, to barwiąc czerwienią. Miechowicki powtórzył pytanie: - Cóż zatem uczynił? - Co, pytasz wać?! - Suchecki wybuchnął raptem potokiem słów: - Zwłoki sprofanowałem, sponiewierałem, jemu i po śmierci zawadzał ten dobry chłopiec! Z grobu go dobyłem, na goćciniec zwłoki wywlókłem i tam spalić przykazałem! A zasię prochy do armaty nabiłem i obróciwszy lufę ku Polsce, wystrzałem w powietrze je rozproszyłem! Toteż pokaran za to być musi, jeżeli jest Bóg nad nami! - Nie bluźnij wać, nie tobie osądzać Boską wolę... - Waćpan gadaj sobie kazania, a ja czym innym się zajmę! Już sporo czasu koło sprawy chodzę i do skutku ją doprowadzę albo gnojkiem zezwolę się nazwać! - Masz wać jakowe zamysły? Suchecki spojrzał z ukosa na towarzysza i uśmiechnął się jedną stroną ust. - Da Bóg już wkrótce rzecz całą waćci wyłożę, bo na jego pomoc liczę. Więcej jednak pan Grigorij nie chciał powiedzieć, toteż jego towarzysz poniechał nalegań. Do tej rozmowy wrócił jednak chyba w miesiąc później, kiedy dni drugiej połowy kwietnia stawały się coraz cieplejsze. Którego ranka swoim zwyczajem mruknął pod nosem: - Możebyśmy wyszli nieco do sadu? Słońko zaczyna już przygrzewać, warto odetchnąć wiosennym powietrzem... - Możemy pójść - zgodził się

Miechowicki - choć wilgoć jeszcze nie ustąpiła i o przeziębienie nietrudno. - Waćpan tylko w izbie by× siedział i ko×ci przy ogniu grzał. Jeszcze nie wiek po temu. Komnaty mają uszy, sad jest pewniejszy. Słowa te obudziły ciekawo×ć pana Jana. Domy×lił się zaraz, że dowie się czego× bliższego o zamiarach szlachetki, więc już nie zgłaszał sprzeciwu. - Chodźmy, gdyż istotnie spacer dobrze nam zrobi. Kiedy odeszli od domu, zagłębiając się pomiędzy drzewa, Suchecki przemówił: - Pora wyjawić sprawę, bo widzi mi się, że zbliżam się do zakończenia swoich zabiegów i pomoc waćpana będzie konieczna. Chodzi o to, że znalazłem odpowiedniego człowieka - zakończył, jakby jego towarzysz musiał wiedzieć, czego rzecz dotyczy. Ten jednak zapytał ze zdziwieniem: - Odpowiedniego człowieka? Do czego? Przecież nic nie wiem, kogo pan szukał i po co. - Dymitra Samozwańca! Aby powstał z grobu i dokonał pomsty na swoim mordercy! - Co wa×ć wygadujesz? Mówże, na Boga, ja×niej! - Od dawna nad tym przemy×liwałem - rozpoczął już spokojniej Suchecki. - Pragnienie zemsty kazało mi szukać sposobu, jak jej dokonać, bom i bez waćpana wiedział, że nie mnie, chudopachołkowi, równać się siłą i znaczeniem z ruskim carem! Przecież odebrał on memu Dymitrowi i złoto, i klejnoty, i sług ma bez liku, a wojska także. Cóż wobec tego znaczę ja, nędzny robak, przy jego potędze, owa licha mysz przy groźnym lwie... ale jednak sposób znalazłem i im bardziej go rozważałem, tym bardziej upewniałem się w swoim zamiarze. - A więc chcesz wa×ć ożywić samozwańca? Któż mu jednak uwierzy? Już ten pierwszy nie u wszystkich znajdował posłuch... - rzucił powątpiewająco Miechowicki. - Być może, ale sęk w tym, że jego siłą nie będzie prawda, lecz przydatno×ć do zamierzeń wrogów Wasyla! Dokonam zmowy tysięcy ludzi, którzy znając zmarłego Dymitra będą przysięgać, że ten nowy to on! Gdyż szukają oni sposobu

obalenia cara i ja im ten sposób dam! Będą głosić, że Dymitr jest prawdziwy, i wesprą go, bo i ów nowy obietnic im nie poskapi! - Hm... - Miechowicki nieomal ze zgrozą spojrział na niepozornego człowieczka, który z podnieceniem prowadził swój wywód, idąc u jego boku. - Muszę wyznać, że choć i×cie to szatańskie zamierzenie, przecież wa×ci słowa mnie przekonują. Moi rodacy chyba także za nim pójdą, bo nie o prawdę i sprawiedliwo×ć im chodzi... - No wła×nie! A przecież Polak to najdzielniejszy żołnierz w Europie, z którym nawet Szwed nie może się równać, a cóż mówić o licho zbrojnym i nie wyszkolonym wojsku Szujskiego! Miechowicki milczał przez dłuższy czas. Nie miał żadnych wątpliwo×ci co do skuteczno×ci planu, problem polegał tylko na znalezieniu odpowiedniego do tej roli człowieka. Ale domy×lał się, że tę trudno×ć jego towarzysz już pokonał. Spytał więc jedynie, chcąc się w tym upewnić: - Zatem twierdzisz waćpan, że× znalazł dobrego kandydata do tej roli? Czy chociaż podobny? - Nieważne podobieństwo, lecz to, co siedzi w nim samym. Czy jest podobny czy nie, tym się nie trapię, bo podobieństwo, którego w istocie nie ma, znajdą w nim ci, co za nim pójdą. Ważne, że ma naturę zdolną sprostać tej roli. - Gdzie teraz jest? Rad bym go obejrzeć. - Wkrótce tu przybędzie i poznasz go waćpan. Liczę, że zechcesz objąć podobną funkcję jak przy Dymitrze poprzednim, to znaczy zostaniesz jego sekretarzem i doradcą. Jest to o tyle ważne, że będziesz musiał wysłać sporo listów do Polski, no i pouczysz go o zwyczajach, upodobaniach i zachowaniu jego poprzednika. Trzeba, aby× go w tym przeszkolił i opisał dokładnie te zdarzenia, w których zmarły brał udział, gdyż na pewno znajdą się tacy, podesłani przez Szujskiego, którzy będą chcieli go o×mieszyć... - A waćpan? Czy będziesz tylko jego sługą? - Tak, bo widząc tego samego przy nim człowieka, łatwiej przełkną, że pan nie jest ten sam. Miechowicki

uśmiechnął się ironicznie, ale już dalszych pytań nie zadawał. Omawiając inne szczegóły zamierzenia zawrócili i z wolna skierowali się ku domowi. W dwa tygodnie po owej rozmowie Suchecki powiadomił Miechowickiego, że pretendent jest już na miejscu. Zwie się Andriej Nagoj i ma towarzysza, Aleksjeja Rukina, którego zadaniem będzie przygotowanie tamtemu gruntu do objawienia się ludności. Grigorij przewidywał jednak, że nie nastąpi to wcześniej niż za miesiąc, bo tyle czasu trzeba będzie poświęcić na przyszykowanie tej imprezy. Do tego czasu zakaze się Nagojowi opuszczania kwatery, więc pan Miechowicki będzie musiał przychodzić do niego, i to tylko po ciemku. Okno izby od zewnątrz chroniła okiennica, ale ciemność rozpraszała światło. W ich świetle Miechowicki, przyprowadzony przez Sucheckiego, ujrzał dwóch młodych ludzi, którzy na ich widok podnieśli się z miejsca i wyczekująco spoglądali na nich. Jeden z nich, szczupły, mocno piegowaty blondyn, odsunął się zaraz na bok, co pozwoliło Miechowickiemu domyślić się, że był to pomocnik Nagoja, Rukin. Skierował więc spojrzenie na drugiego, ale jego widok rozczarował go wielce. Jakże bowiem innego miał przed sobą człowieka niż ten, któremu służył uprzednio! Obaj byli wprawdzie nieomal jednakowego wzrostu i jednakowo szczupłych postaci, ale na tym też i kończyło się całe podobieństwo. O ile tamtego wprawdzie pięknym nazwać nie było można, to jednak miał w twarzy coś ujmującego, promieniowała zeń jakaś wewnętrzna pogoda, która objawiała się w spojrzeniu, uśmiechu, wyrazie całego oblicza. Ten zaś twarz miał wręcz prostacką, o oczach wyblakłych, o mętłym, lecz chytrym wzroku, nosie z szerokimi nozdrzami, o grubych wargach, z których dolna, nieco wywinięta ku dołowi, jeszcze bardziej poszerzała mu usta. Kiedy odezwał się, głos okazał się równie nieprzyjemny, bo chropawy i bełkotliwy, jakby mówiący

skrywał co× pod policzkiem. Słowa były tak samo prostackie jak i jego wygląd. - To× ty jest ten Polaczek - zwrócił się od razu do Miechowickiego - który ma mnie pouczać o mym poprzedniku? Co lubił poje×ć, a zwłaszcza popić, i jakie lubił dziewczki, grube czy też chude? - Roze×niał się rubasznie, po czym dorzucił: - No, właźże do izby, co tak sterczysz u proga? - Tuszę, że najpierw przyjdzie mi acana nauczyć lepszych obyczajów niżli te, które okazujesz... - odpowiedział na to powitanie pan Miechowicki, nie dając się jednak wyprowadzić z równowagi. - Widzę, że waćpanu szlachcicowi nie w smak moje słowa! Ale nic to, będziesz musiał do nich nawyknąć! - Pow×ciągnij no, bratku, język - ostro odezwał się Suchecki - bo tak, jakże× się tu zjawił, tak możesz i wylecieć, jeno jeszcze oberwawszy parę kijów na drogę! - Waćpan, kozia bródka, mnie nie strasz - hardo odparł Nagoj - bo gdybym nie był ci potrzebny, toby× się o mnie nie troszczył, darmo nie karmił i obietnicami nie kusił! Miechowicki zaczynał rozumieć, dlaczego wła×nie tego typu Grigorij wybrał do zamierzonej roli - nie brakło mu bowiem tupetu i bystro×ci, co od razu można było dostrzec. - Możesz sobie mniemać, co wola, ale to wiedz, że nieposłuszeństwa nie ×cierpię i raczej zaniecham moich zamiarów, niżli ci zezwolę na zbytnią poufało×ć. A je×li stracisz moją opiekę, to bacz, aby× nie stracił i życia... Przy ostatnich słowach ×ciszył głos, lecz przez to stały się tym groźniejsze. Nagoj wyczuł to od razu, bo roze×miałwszy się zawołał: - Dobra, dobra! Przecie wszystko czynię podług waszej woli, a że lubię gadać bez pańskich grzeczno×ci, niech to nikomu nie wadzi. Kiedy wracali, posuwając się ostrożnie w nocnych ciemno×ciach, Suchecki zagadnął towarzysza: - No i co waćpan o nim sądzisz? - Grubianin i prostak, a przy tym zadziora, sprytu mu jednak nie brakuje. Ale wła×nie taki powinien być. Tyle tylko... - Miechowicki zawahał się na chwilę. - Co× mi się widzi, że z

íydem mamy do czynienia... - To mnie zgoła nie obchodzi. - Głos Sucheckiego dochodził z ciemno×ci. - Ważne jest jedynie, czy okaże się przydatny. - Skądże wszakże to książęce nazwisko? - Na pewno przybrane, widać uważał, że w ten sposób doda sobie splendoru. To zresztą mało ważne, bo wkrótce będzie go musiał poniechać. Przez cały maj pan Miechowicki dawał swemu słuchaczowi pouczenia. Rychło utwierdził się w przekonaniu, że Suchecki dokonał wła×ciwego wyboru, bo choć jego kandydat na cara nie miał ani przyjemnej powierzchowno×ci, ani poprawnych obyczajów - to w zamian cechowały go inne walory, niezbędne do powodzenia imprezy, a mianowicie sprawno×ć my×lenia, dobra pamięć i rzadko spotykana bezczelno×ć. Na początku czerwca w paru karczmach miasta, jak i na placu targowym w dni jarmarków, pojawiał się piegowaty blondynek, który, podchmieliwszy sobie, wygadywał dziwne rzeczy. Oto rozповідаł, że car batiuszka Dymitr, coraz powszechniej już żalowany, wcale nie zginął, bo zdołał uj×ć z rąk siepaczy, a on dobrze wie, gdzie się obraca. Początkowo te przechwałki ludzi ×mieszyły, ale w miarę ich powtarzania zaczęto owej gadaninie przysłuchiwać się coraz uważniej, przepytywać młodzieńca, wręcz przymuszać do bardziej dokładnych informacji. Doszło wreszcie do tego, że raz i drugi zaciekawieni słuchacze, żądając szczegółów, nawet go i poturbowali, lecz i to nie rozwiązało mu do końca języka. Tymczasem wie×ć o uratowaniu się cara zaczęła rozchodzić się coraz szerzej, wybiegła poza miasteczko i rozniosła się po okolicy, a nawet i dalej, bo dotarła do Putywła. Miasto to za×, wciąż wierne pamięci zamordowanego cara, wiadomo×cią tą mocno poruszone, wysłało do Starodubia kilku statecznych mieszczan, by na miejscu sprawę zbadali. Wzięto więc ostro na spytki Aloszkę Rukina, ale on - mimo grózb poddania go mękom - nie chciał niczego więcej powiedzieć jak tylko to, że

jest mu wiadomo o uratowaniu się gospodarza Dymitra, lecz choćby mu łeb ucieli, nic więcej nie powie, bo carskiego gniewu boi się bardziej niż ich pogroźek. To o×wiadczenie doprowadziło już do szczytu podniecenie i ciekawo×ć delegatów. Przywołano miejscowego oprawcę, ten kazał Aloszkę obnażyć do pasa i przywiązać do słupa, sam za×, czekając na zakończenie przygotowań, ujął w potężną łapę batóg i klaszcząc nim w powietrzu, pokazywał delikwentowi, co go czeka. Wówczas biedny Rukin nie wytrzymał - mówiono nawet, że ze strachu zmoczył się w portki - i zaczął płaczliwie obiecywać, że wszystko powie, co mu wiadomo, niech go tylko odwiążą od słupa. Kiedy więc znów stanął przed brodatymi obliczami delegatów, wyznał w×ród westchnień i chlipania, że car Dymitr znajduje się tu, w Starodubiu, a on sam jest wła×nie jego sługą. Wskazał też, gdzie batiuszka gospodarz raczył zamieszkać, ubolewając jednocze×nie nad biedą i niedostatkiem, w jakich przebywa. Obaj autorzy tego wydarzenia, wmieszani w tłum, wymienili tylko porozumiewawcze spojrzenia, ale widać było po ich twarzach, że są zadowoleni. Zaraz też zaczęli wycofywać się, by dotrzeć jako pierwsi na miejsce dalszych wypadków, wiedząc, gdzie się rozegrają. Tłum dognał ich istotnie, lecz już przed samym schronieniem Nagoja. Ten na widok tylu mężów w swojej izbie zerwał się na równe nogi i wystraszony zawołał: - Czego ode mninie chcecie, dobrzy ludzie?! Po co przyszli×cie do mnie biednego, mężowie dostojni? - Mówią o tobie, że× ocalałym carem Dymitrem! - wykrzyknął jeden z delegatów. - Twój własny sługa wyjawiał, kim jeste×! - dołączył swój głos miejscowy przystaw. - Baty więc ode mnie dostanie, że was tak niecznie oszukał, szlachetni mężowie! - A może ty także chcesz nas kłamstwem zbyć? - Prawdę wam mówię, toteż idźcie Lisowski stąd i dajcie mi spokój! - Ejże, nie tak zaraz, bratku! Gadaj wprzódy, kto× ty jest?! Może na

przeszpiegi przybyłe×? - Brać go pod słupek, niech gada! - już jeden przez drugiego wołali delegaci. - Przypiec go żelazem, wnet dowiemy się, kto go tu przysłał! Zalekniiony dotąd młodzieniec raptem zmienił się, jakby go nieziemskie siły natchnęły innym zgoła duchem. Twarz mu stężała, brwi ×ciągnął gniew, a spojrzenie stało się groźne. Powiódł nim po twarzach otaczających go mężczyzn i krzyknął tak, że ci struchleli w zaskoczeniu: - Ach, wy psubraty! Wy bladine syny! To tak o×mielacie się gadać do waszego hospodara, cara Wszechrusi?! Na kolana, raby, bo ja was każę ogniem przypiekać i na ×mierć zaćwiczyć! Na kolana przed carem i skamlać o przebaczenie, psi pomioście! Krzyk ten w niedużej izbie rozbrzmiewał jak głos rozgniewanego archanioła. To przeobrażenie się ubogiego młodzieńca w groźnego władcę było tak nagłe i zaskakujące, że przerażeni tym wybuchem, a przywykli do ×lepego posłuszeństwa wszelkiej władzy ludziska jak jeden mąż padli na ziemię i bili czołami pokłony, wołając jękliwie: - Wybacz, ojczulku carze, wybacz nam, ×lepym! O×wieciłe× nas, ojczulku, w swej łaskawo×ci, toteż wiernie ci służyć będziemy! Pop za× wypadł z izby i uniósłszy w górę ramiona, zawołał do tłumu otaczającego dom: - Bić w dzwony, prawosławny narodzie! Car Dymitr żyje i raczył nam się objawić! Bijcie w dzwony w ten radosny dzień! Miechowicki i Suchecki stali na końcu tłumu w napiętym oczekiwaniu na rezultat spotkania delegacji z Nagojem. Po owym krzyku popa odetchnęli z ulgą, a Suchecki mruknął do towarzysza: - No, najgorsze mamy za sobą... Dał sobie radę. Teraz kamień potoczy się już własnym ciężarem. Nastaly dni wyteżone j pracy. Trzeba było rozesłać gońców przynajmniej do najbliższych miast, by jak najszybciej zebrać siły dla odparcia możliwo×ci napa×ci którego× z bojarów nasłanego przez cara. Siewierszczyzna była najwierniejsza pamięci Dymitra i można



było spodziewać się, że wsparcia nie odmówi. Wielką pomoc okazało kilku miejscowych kupców z łopuchinem na czele, dając doraźne wsparcie, potem zasiłek pieniężny nadesłał Putywl, a za nim i inne miasta. Pan Miechowicki za poradą Sucheckiego wysyłał liczne listy do swoich przyjaciół w Koronie i Litwie, namawiając ich do zbrojnego stawiania się pod sztandary Dymitra. Zapewniał w tych listach, że car wbrew dotychczasowym wieściom nie zginął i wszczyna na nowo działania wojenne, by odzyskać chwilowo utraconą koronę. Obiecywał przy tym niezwykle wysoki żołd, bo 70 złotych dla usarza, a 50 dla kozaka, czyli pancernego. Listy te krążyły potem po kraju, a że działo się to już po bitwie guzowskiej, wielu zwolnionych żołnierzy usłuchało tego wezwania i zaciągało się pod znaki formujących chorągwie pułkowników. Również i Aleksander Lisowski, przebywający po rokoshu Zebrzydowskiego i Radziwiłła na Litwie, dał się skusić nie tyle wysokością żołdu, bo o niego dbał najmniej, co nadzieją nowych wojennych przygód. Skupił więc przy sobie ze dwieście szabel tak zwanych kozaków i przybył z nimi do Starodubia. Do tego czasu zebrało się tam już sporo zbrojnych, ale były to oddziały miejscowe, więc jako żołnierze niezdyscyplinowani, a do tego licho zbrojni. Skusiła ich głównie ogłoszona przez Dymitra zapowiedź bezkarności za zabójstwa i rabunki popełniane w jego sprawie. Z ich małej przydatności bojowej dobrze zdawał sobie sprawę pan Miechowicki, który został carskim hetmanem i objął nad nimi komendę. Czekał jednak z niecierpliwością na rezultat swoich listów, bo tylko w polskim żołnierzu widział łsile, z którą można by poważić się na poważniejsze działania wojenne. Kiedy więc dowiedział się o przybyciu oddziałów tak znakomitego oficera jak Lisowski, zaraz słał do niego pachółka z zaproszeniem na kwaterę. Najokazalszy dom w mieście, należący do bojara Wierowkina, został oddany do

użytku cara i jego najbliższego otoczenia. Mimo że rozmiarami dostojnie reprezentował bojarską godność właściciela, to przecież dwór Dymitra był już tak liczny, że niektórzy jego członkowie pozajmowali na kwatery okoliczne budynki. Jeden z takich domów zajął pan Miechowicki na swoją kancelarię, bo poza sprawowaniem funkcji naczelnego dowódcy carskich wojsk, choć lichych, ale coraz liczniejszych, prowadził też rozległą korespondencję. Zaciekawiony sytuacją w kraju zagadnął o to Lisowskiego. - Co się dzieje u dworu? Jakie zamiary ma miłościwy pan? Czy nie ruszy przeciw Moskwie, boć to czysta obraza dla majestatu, że dotąd jego posłowie nie odzyskali wolności! - O tym różnie mówią. Ponoć Szujski wysłał do nas poselstwo w tej sprawie, ale za cichym pozwoleniem królewskim Andrzej Sapieha w Orszy ich zatrzymał tłumacząc, że żadnych poleceń, by ich przepuścić, nie dostał. - Nie do wiary! - zdziwił się pan Miechowicki. - Co za tym się kryje? - Ponoć jego królewskiej mości nie po myśli ugoda z Moskwą, bo chce szlachtę straszyć carem Wasylem, by wzburzone po rebelii myśli w innym obrócić kierunku, a także przemóc obojętność na moskiewskie sprawy. Słuchy bowiem chodzą, że tak jak wać powiedział, wyprawę przeciw niej zamyśla. - Ciekawe wieści waćpan przywozisz - mruknął Miechowicki zastanawiając się, do jakiego stopnia ewentualna wojna odbiłaby się na losie samozwańca. Lisowski jakby domyślił się, o czym medytuje jego rozmówca, bo powiedział: - Nierychło jednak będzie mógł ruszyć, gdyż szlachta, przynajmniej na razie, o wojnie ani słyszeć nie chce. Najpierw więc spróbuje zapewne obudzić jej gniew przeciw Moskwie. - A co mówią o uratowanym samozwańcu? - Miechowicki spojrzał spod oka na rotmistrza. - Czy wieści o nim już do was dotarły? - Te mkną chyżej jaskółek. Już w końcu czerwca poczęto na Litwie o tym mówić. Do Korony dotarły niewiele

później. Mało jednak jest takich, co wiarę dawali, że to ten sam Dymitr. - A waćpan? Lisowski roze×miał się. - Czy to ważne, skorom przybył usługi żołnierskie ofiarować? Mnie za jedno, ten sam, nie ten sam, jego sprawa! Ja orężną przygodę lubię, a i trzosik zapełnić nie zaszkodzi, bo pusty. Radziwiłł wprawdzie dłużny mi nie został, ale kompanii nie brakło, więc com otrzymał, z winem spłynęło. - Przy carze Dymitrze będziesz waćpan miał okazję jedno i drugie pragnienie zaspokoić. A że to ten sam Dymitr, który już carską koronę otrzymał, nie powiniene× wątpić. Lisowski rzucił na gospodarza rozbawione spojrzenie. - Któż jak nie waćpan zna lepiej prawdę? A skoro potwierdzasz, że to Dymitr, tedy wątpić chociażby przez grzeczno×ć nie wypada. Pan Miechowicki zdawał się nie wyczuwać ironii w tych słowach, bo odparł z powagą: - Rad to słyszę, mo×ci rotmistrzu. Tym bardziej, że mam dla waćpana zaszczytną propozycję. Wymaga ona zaufania do człowieka, któremu ją stawię. - Zaciekawiasz mnie waćpan. Chętnie jej wysłucham. Miechowicki nie odpowiedział od razu, ale najpierw spytał: - Czy jeste× pewny dyscypliny i posłuszeństwa swoich ludzi? - Jam nie z tych dowódców, których żołnierz o×mieliłby się nie usłuchać. Wie, czym to grozi. - To dobrze. - Miechowicki skinął głową. - Otóż jako dowódca wojsk cara Dymitra chcę poruczyć waćpanu straż nad jego osobą. Lisowski skłonił się lekko. - Zaszczyt to dla mnie wielki, ale i odpowiedzialno×ć taka sama. - Dlatego też będziesz dostawał większy żołd niż inne chorągwie. - Czy na jego poczet co× otrzymam? - spytał rzeczowo rotmistrz. - I ja, i moi żołnierze nie mamy własnych zasobów, by żywno×ć nabywać. - Nieco pieniędzy wa×ci dam, ale resztą dopiero wtedy, jak więcej gotowizny wpłynie do carskiego skarbcza. Teraz dały trochę pobliskie miasta i co znaczniejsi bojarzy, lecz i wydatków jest sporo. - Niechże tedy tak będzie - zgodził się rotmistrz. - Co za× do kwatery dla

moich ludzi, to musiałbym je mieć w pobliżu carskiej osoby, je×li straż mam przy niej trzymać. - Już się o to zatroszczyłem. Tym bardziej, że je×li zajdzie taka potrzeba, wesprzesz waćpan siłą moje zarządzenia, które zamierzam wydać, by wzmóc wojenne rygory. Mam tu bowiem dziki lud, nienawykły do żołnierskiej dyscypliny. - Możesz waćpan na mnie polegać. Jużem tę hałastrę widział i spodziewam się, że istotnie okażę się potrzebny. Miechowicki u×miechnął się z zadowoleniem. - Szcze×cie to, że wła×nie waćpan przybył tu tak rychło. Ale powiedz mi teraz, czy według wa×cinego rozeznania mogę liczyć na innych dowódców z kraju? - O to się, mo×ci hetmanie, nie kłopotcz! Listy waćpana krążyły z rąk do rąk i wiadomo mi, że wybierają się w drogę i inne oddziały. Przed wymarszem był Rudzki, Baranowski, Bobowski, Mieleszko, a także słyszałem, że nawet książę Adam Wi×niowiecki i Rożyński werbują i kto wie, czy osobi×cie nie nadciągną, by po raz drugi wesprzeć sprawę cara Dymitra. - Wielce że× mnie waćpan tymi słowami uradował! - zawołał z przejęciem pan Miechowicki. - Ta nowina lepszym duchem mnie napawa, boć przecie z tym niby żołnierstwem, co× tu widział, wiele zdziałać nie można. Oczekuję wprawdzie dońskich Kozaków i w nich pokładałem jaką taką nadzieję, ale lud to także ogromnie niesforny. - Tak, to prawda. t'upów chciwi, jednakże bitwę z nimi bez liczebnej przewagi trudno wygrać. - No wła×nie... Toteż z tym większą niecierpliwo×cią oczekiwałem skutków swoich listów. Bo takiego żołnierza, jak nasz, drugiego nie ma... - Nadeszły w dobrą porę. Po przegranej pod Guzowem rozbite wojska oponentów same zbierały się w większe oddziały i ruszyły na wschód, sądzę więc, że tylko ich patrzeć... - Dałby Bóg... - westchnął Miechowicki. - Zbyt długa nasza beczynno×ć da Szujskiemu czas na zebranie sił, a zapał, który po pojawieniu się Dymitra rozgorzał, może wygasnąć. - I ja sądzę, że nie

można zwlekać - przyznał rotmistrz. - Dlatego ci, co nadciągną, muszą już zastać należyty rygor, bo im więcej będzie żołnierza, tym trudniej przyjdzie go utrzymać. W kilka dni po rozmowie z hetmanem Miechowickim Lisowski został wezwany na posłuchanie do cara, który chciał poznać oficera wyznaczonego na dowódcę jego przybocznej straży. Izba, w której Lisowski się znalazł, stanowiła przedsionek komnaty przyjęć. Było w niej sporo ludzi, widać dworzan lub petentów czekających na audiencję. Rotmistrz nie czekał jednak długo. Drzwi do dalszych pomieszczeń wkrótce się otworzyły i niepozorny, szczupły człowieczek, rozejrzawszy się, skinął na niego. - Pan rotmistrz Lisowski? - spytał płynną polszczyzną. - Jam jest. - Lisowski skłonił się lekko. - A ja Grigorij Suchecki. Proszę za mną, jego carska mo×ć życzy sobie z panem rozmawiać. Przepuszczony przez straż, którą pełnili już jego ludzie, poprzedzany przez Sucheckiego, znalazł się Lisowski w obszernej komnacie, gdzie ujrzał stojącego przy stole młodego mężczyznę, odzianego w długi, szmaragdowej barwy żupan z bisioru, bogato haftowany złotymi nićmi. Wyprostowany, z uniesioną dumnie głową trzymał w ręku posoch, opierając go o podłogę. Obrócił się ku wchodzącym i z gniewnie zmarszczonymi brwiami spojrzał na rotmistrza. Ten skłonił się przed władcą, bacząc jednak, by ukłon nie był zbyt głęboki, a kiedy się wyprostował, musiał skryć zaskoczenie, stojący bowiem przed nim człowiek miał prostackie oblicze, niegodne potomka rodu Rurykowiczów. Gdyby spotkał takiego na drodze i w innej odzieży, wziąłby go za parobka, pastucha czy zgoła za zbója. Bogaty strój, który miał na sobie, w niczym nie osłabiał tego wrażenia, lecz przeciwnie, jeszcze bardziej podkre×łał prostactwo samozwańca. Na ukłon Lisowskiego odpowiedział lekkim skinieniem głowy, potem padło krótkie pytanie, rzucone gardłowym, chropawym głosem: - Waćpan objał× straż przy

mojej carskiej osobie? - Poruczono mi tę służbę. - Masz mówić do mnie wasza cesarska mo×ć! - warknął Dymitr. - Ja za× mam rangę rotmistrza - odparł spokojnie Lisowski. - Hardy ten wasz szlachcic, panie Suchecki! - Dymitr odwrócił głowę do stojącego obok dworzanina, uderzając gniewnie posochem o podłogę. - Jako żołnierz nie nawykł zapewne do dworskich obyczajów - rzekł uspokajająco Grigorij. - Gdzie× waćpan wojował? - Car zwrócił ponownie gniewne jeszcze oblicze na swego oficera. - Na Multanach z Potockim, z Chodkiewiczem w Inflantach, a ostatnio z Radziwiłłem brali×my w skórę pod Guzowem... - I po krótkiej przerwie dorzucił: - Wasza carska mo×ć. Dymitr u×miechnął się z lekka. - To× nieco prochu powąchał... - I on zrobił krótką przerwę, zanim dokończył: - Mo×ci panie rotmistrzu... - Cóż tedy radziłby× nam czynić, skoro zbierzemy siły? - wtrącił się do rozmowy Suchecki. - Wdrożyć szybko wojsko do dyscypliny i jak najrychlej ruszyć w pole. - Ale dokąd? Na kogo uderzać? - znów zabrał głos Dymitr. - Czy wpierw dobywać miasta, czy i×ć na Moskwę? - Ciągnąć na Moskwę i tylko te grody dobywać, które będą na drodze, bo załóg za plecami nie możecie ostawiać, mając zbyt szczupłą armię. A więc ciągnąć na Kaługę po uprzednim zdobyciu Briańska. Tam założyć warowny obóz i zależnie od sił i sytuacji rozważyć możliwo×ci oblężenia i zdobycia Moskwy. - Zapowiedziałe× hetmanowi nadciągnięcie waszych oddziałów. Wiele tego będzie? - Już nieco nadeszło, a wiele jeszcze przybędzie, trudno rzec, lecz na kilka tysięcy można chyba liczyć. Dymitr pokręcił głową. - To niezbyt wiele. Liczyłem na więcej... - Te kilka tysięcy lepsze niż waszych kilkadziesiąt. Obaczycie w polu. - Mam nadzieję, że obaczę. Możesz i×ć, zwalniam pana - po czym dorzucił z akcentowaną ironią: - Mo×ci rotmistrzu... Lisowski odwrócił się i bez pokłonów skierował do drzwi, odprowadzany przez Dymitra

niechętnym spojrzeniem. Wreszcie we wrze×niu Miechowicki ruszył wojsko spod Starodubia. Prowadził około półtora tysiąca Polaków, przeważnie z Litwy, trzy tysiące dońskich Kozaków i wojsko ruskie, którego liczby nawet dobrze nie znał, ale obliczał je na około czterech tysięcy. Stan był płynny, bo niektóre oddziały odłączały się, by rabować na własną rękę, inne, rozbite lub mniej liczne, dołączały do nich, szukając oparcia i ochrony w większej masie. Po naradzie z polskimi i kozackimi dowódcami hetman postanowił nie kusić się o zdobywanie mocno obronnego Briańska, ominął go więc od wschodu, ale też i nie posuwał się dalej. Stanął obozem pod Karaczewem oczekując przybycia dalszych polskich posiłków. Otrzymał bowiem wiadomo×ci, że ciągną, i to w znacznej liczbie, prowadzone przez Walawskiego, Tyszkiewicza i innych, a przede wszystkim nadchodzi księżę Wi×niowiecki. Postanowił więc zaczekać na nich, by wspólnie zdecydować, co czynić dalej. Wkrótce po założeniu obozu przyszły wie×ci, że położony o dwadzie×cia mil ku północy Kozielsk wypowiedział posłuszeństwo carowi Wasylowi, który w odwet wysłał bojara Mizinowa z o×miu tysiącami żołnierzy dla ukarania niesfornych mieszczan. Nadarzała się okazja, by zmierzyć się z carskim wojskiem i pokazać, że Dymitr wspomaga przychylnie mu grody. Rozprawa z ekspedycją była imprezą ryzykowną, bo przegrana podważyłaby prestiż Dymitra, ale poniechanie pomocy obleżonym naraziłoby go jeszcze bardziej. Ruszył więc hetman komunikiem, zaskoczył Mizinowa i pokonał w kilkugodzinnej bitwie. Następnego jednak dnia wybuchł w obozie niespodziewany bunt, i to na tyle groźny, że przewodziły mu litewskie chorągwie petyhorców, zapowiadając opuszczenie samozwańca i powrót do kraju. Powodem stało się carskie zarządzenie nakazujące przekazanie zdobytej kasy kniazia Mizinowa na ręce

Dymitrowego skarbnika. Na wieś o tym rozpędzono postawioną przy wozach straż i złoto rozgrabiono. Dymitr na czele chorągwi Lisowskiego próbował wprawdzie przeciwstawić się, ale wobec zbyt dużej różnicy sił rotmistrz kazał kozakom wycofać się. Dymitr wpadł w panikę i zebrawszy co się dało żołnierza, wymknął się z obozu i uciekł do pobliskiego Orła. Powiadomiony o incydencie Miechowicki przybył natychmiast z Karaczewa, gdzie miał kwaterę, i nieco uspokoił wzburzone umysły. Cara w obozie już nie było, a równie zaskoczony Suchecki także nie wiedział, co się z nim stało. Miechowicki, mocno niespokojny, zaczął przesłuchiwać żołnierzy i czeladź, ale nikt nie umiał powiedzieć, gdzie podział się car. Dopiero następnego dnia hetman dowiedział się od przybyłych z Orła ludzi, że Dymitr znajduje się w mieście. Wysłał więc natychmiast gońca z listem, perswadując samozwańcowi, by nie opuszczał swych wojsk. Zapewniał go jednocześnie, że rokosz już przycichł, a z chwilą powrotu cara na pewno da się opanować całkowicie. Dymitr, który w Orle także nie czuł się bezpieczny, zwłaszcza z oddziałem liczącym zaledwie trzydziestu ludzi, usłuchał wezwania i powrócił do Karaczewa. Ale mimo przewidywań hetmana i jego usiłowań, by uspokoić buntowników, powrót cara na nowo ich rozdrażnił, do czego Dymitr sam się przyczynił, odprawiwszy z dumą i wręcz arogancko delegację żołnierską. Teraz już, przerażony na dobre, stracił zupełnie głowę i mimo zapewnień Lisowskiego, że nie dopuści żołnierstwa do jego osoby, powtórnie zebrał nieliczny oddział i wymknął się nocą z miasta. Niepewny Orła, tym razem skierował się do bardziej odległego, lecz wiernego sobie Putywła. Jak się okazało, szczęście go jednak nie opuściło, gdyż w drodze spotkał silne oddziały prowadzone przez pułkowników Walawskiego i Tyszkiewicza. Powiadomił ich o zaszłych zdarzeniach i



powrócił z nimi do obozu. Przybycie cara na czele półtora tysiąca husarzy, z czego Walawski przyprowadził osiem, a Tyszkiewicz siedem setek, chorąży za mozyrski Budziłło jedną pełną chorągiew w sile stu pięćdziesięciu husarzy, zamknęło gęby nawet najgłośniejszym krzykaczom. A kiedy wkrótce potem przyszedł regiment piechoty Tyszkiewicza i dwa Walawskiego, w obozie zapanował zupełny spokój. Zaczęły nadciągać i dalsze oddziały. Przybył Wielogłowski na czele dwunastu chorągwi, Aleksander Zborowski ze Stadnickim w sile tysiąca sześciuset konnych, oczekiwano też przybycia księcia Adama Wiśniowieckiego, który osobiście chciał mieć orężem uwięzienie brata. Napłynęły także chorągwie kozackie donosząc, że sam ataman Zarucki ciągnie z ośmioma tysiącami zaporoskich i dońskich Kozaków. Rojno się zrobiło w obozie i ciasno, toteż budowano nowe szałas, stawiano namioty, tak że wkrótce obóz otoczył półkolem Karaczew. żołnierstwo zalało miasto, zaczęły się burdy, najpierw po szynkach, a wkrótce i na ulicach, zapanowała powszechna drożyzna. Przerażeni tym najciemniejszym mieszczańskim podjudzaniem zresztą przez wysłanników Szujskiego, zamknęli bramy miasta nie wpuszczając doń zbrojnych. Miechowicki zwołał więc naradę dowódców, na której postanowiono przerwać nie sprzyjającą dyscyplinie bezczynność żołnierza i iść na Briańsk, by dokonać próby jego zdobycia. Obóz zwinięto i wojska ruszyły w pochód. Po dotarciu na miejsce rozłożono się nad Disną, z południowej strony miasta. W tym czasie Szujski stał na czele blisko stutysięcznej armii w okolicach Tuły, obserwując poczynania samozwańca. Rychło dowiedział się o jego przybyciu pod Briańsk, toteż pociągnął śpiesznym marszem na pomoc miastu. Dotarł tam wkrótce po nadejściu wojsk Dymitra i okopał się po północnej stronie. Oba wojska dzieliła więc nieznaczna przestrzeń, ale też i rzeczka o bagnistych brzegach, wpadająca w tym miejscu do

Dzisny. Miechowicki, ujrzawszy się w tak bliskim sąsiedztwie nieprzyjaciela, w dodatku o tak znacznej sile, wołał bitwy nie wszczynać. Przed mniejszymi potyczkami nie udało mu się wszakże uchronić. Obie strony zdawały się jednak unikać walnej bitwy. Zresztą trudno było potykać się tak z powodu braku odpowiedniego terenu, jak i wskutek głębokiego ×niegu, który pokrył już ziemię. Toteż kiedy Miechowicki, rezygnując ze zdobywania Briańska, zwinął obóz i pomaszerował poprzednim szlakiem, by nadchodzącą zimą przebyć w obozie pod Orłem, dotarł tam bez przeszkód. Po powrocie z Wilna pan Chodkiewicz dostał się od razu w krąg strapiień, kłopotów i zgryzot, jakie niby zmory towarzyszyły mu i dotąd. Zbliżał się dzień ×świętego Michała, przypadający na 29 wrze×nia, a więc termin zapowiedzianego przez wojsko powrotu do kraju, je×li do tego czasu żołd nie zostanie mu zapłacony. Tymczasem uchwalone przez styczniowy sejm podatki dla oddziałów inflanckich król zabrał na zamierzoną wyprawę moskiewską, uznając ją za ważniejszą niż działania w Inflantach. Należy więc podziwiać umiłowanie ojczyzny i hart ducha hetmana, który mimo parokrotnego złamania przez króla danych obietnic, mimo sprzeciwu, a nawet wręcz buntu żołnierzy nie machnął ręką na inflancką imprezę i nie powrócił na Litwę, by u boku małżonki zaznać wreszcie nieco odpoczynku. Pozostał mimo wszystko na miejscu i zwalczał przeszkody, które własny władca rzucał mu pod nogi. żołnierz był tak rozgoryczony i zły z powodu ciągłej zwłoki w wypłacie, że nie zważał nawet na złożoną swego czasu przysięgę towarzyszom stojącym załogą w Parnawie, w której ×lubował nie ostawić ich nigdy bez wsparcia. Nie pomagały już żadne perswazje ani groźby, zawiedziony i rozeźlony żołnierz niczego nie chciał brać pod rozwagę. Natomiast Szwedzi, łudząc Polskę pokojem, przygotowywali dalsze kroki wojenne. Była już druga połowa sierpnia. Chodkiewicz

stał wówczas pod Dyjamentem i tam doszła go wiadomość od Petera Rutjego, który przyjął służbę u hetmana i pełnił ją przy jego boku wykonując poufne zadania. Donosił Rutje, że Szwedzi zgromadzili pod Parnawą sześć tysięcy żołnierza i zamierzają przystąpić do oblężenia. Mimo że dotychczasowe korowody z żołnierzami opóźniły zarządzoną koncentrację chorągwi, jak również jeszcze nie przybyła piechota, stojąca w rejonach bardziej odległych, hetman, zniecierpliwiony tą zwłoką, zebrał, wiele mógł, wojska - a było go około trzech tysięcy - i odstąpił od Dyjamentu, pozostawiając pod nim tylko kilkaset szabel dla dalszego ucinania wszelkiego zaopatrzenia, a sam ruszył ku Parnawie. Zatrzymał się w borach o cztery mile od miasta, na wielkiej polanie, i nieomal z marszu kazał żołnierzom kopać szańce i umocnienia, a kiedy po dwóch dniach były prawie gotowe, natychmiast pozaciągał działa i obsadził je piechotą. Pod wieczór przybył do obozu wędrowiec i kazał prowadzić się przed hetmańskie oblicze. Przywołany oficer rozpoznał od razu przybysza i wyciągnął ku niemu dłoń. - Czołem, mości Rutje! - zawołał przyjaźnie. - Cóż to się stało, że łaskawcę witam? Czy aby nic złego? - Pismo nie w stanie przewidzieć pytań, jakie może wywołać - odparł krótko młody mężczyzna. - Wać jak zwykle do gadania nieskory! - Oficer rozeźmiął się. - Czekażcie chwilę, zaraz cię zgłoszę. Jakoż niebawem Peter został wezwany do hetmańskiego namiotu. Pan Chodkiewicz wskazał mu obróconą do góry dnem skrzynkę od obroku i rzucił nie ukrywając zaciekawienia: - Siadaj chociażby i tam i mów, z czym przybywasz. Rutje bez słowa zajął wskazane miejsce i spojrzawszy na hetmana, który spoczywał na polowym krzeselku, rzekł zwięźle: - Szwedzi wiedzą już, gdzie stanęliście, i zbierają się do nagłej napaści, by nie dopuścić was bliżej oblężonych. Chodkiewicz zmarszczył brwi. - Jesteś tego pewny? - Wiem to z pewnością. Być może ruszą

już jutro. - Jakimi siłami? - Mansfeld ma sześć tysięcy żołnierza. Na pewno część piechoty pozostawi w blokhauzach, które pobudował głównie od południa. Należy więc liczyć, że wyprowadzi ich z pięć tysięcy, bo z mniejszą siłą będzie się bał na was uderzać. - Mówisz, że pobudował blokhauzy? - zainteresował się hetman. - Wiesz może, jak je rozmieścili? Rutje wziął leżącą na stoliku hetmańską szablę i końcem pochwy zaczął rysować na ziemi linie. - To jest brzeg morza, to miasto, a tu ma ujście Parnawa. Tu Mansfeld skupił swe siły i pobudował mocne blokhauzy oparte z jednej strony o rzekę, z drugiej o wybrzeże. U samego za ujścia Parnawy, naprzeciw Ryskiej Bramy, postawił wysunięty do przodu blokhauz, wyjątkowo silny, bo obsadzony załogą, liczącą dwustu ludzi, i czterdziestu działami. - Będzie chciał z niego forsować Bramę... - rzucił Chodkiewicz, przyglądając się w zamyśleniu rysunkowi kreślonemu na piasku. - Bez wątpienia. Poza tym postawił jeszcze jeden, ale już za rzeką, o tu, w tym miejscu... - Takoz silnie obsadzony? - Tego nie wiem. Chyba załogę ma równie niemalą, bo stoi w odosobnieniu. - Hm... Obaczmy... - mruknał hetman. Jakiś czas siedział zadumany, wreszcie spojrzal na milczącego Petera. - Rad jestem z waszmości. Nie zapomnę przysług, jakie mi oddajesz. Spoczniej teraz, a rankiem wracaj do Parnawy, dam ci pismo do Madalińskiego. Tam czekaj na moje dalsze polecenia. Już na tą noc czaty i nasłuchy, rozstawione wokół obozu, zostały wzmocnione. O pierwszym za brzasku na rozkaz hetmana główną bramę, wychodzącą na północ w kierunku Parnawy, zasypano, a w zamian przekopano dwie boczne, po obu stronach obozu. O wicie wyszły też zwiady, a puszkarze oddawali po kilka strzałów dla sprawdzenia dział. Jednak wieści o zbliżaniu się nieprzyjaciela nadeszły dopiero w południe. Zwiady zaczęły nadlatywać nieomal jeden za drugim z meldunkami, że

Szweda tylko patrzeć, gdyż jego strażę przednie są nie dalej niż o ćwierć mili. Nastąpiły chwile napiętego oczekiwania. Piechota, rozstawiona za ziemnym wałem, wsparła muszkiety na forkietach, puszkarze, każdy na swoim miejscu, zastygli przy działach z zapalonymi lontami. Wpatrywano się z nateżeniem w ciemną ×cianę niezbyt odległego lasu, w stronę, skąd podług relacji zwiadowców miał nadciągnąć nieprzyjaciel. Jazda, już w siodłach, ustawiła się rzędami chorągwi przy obu bocznych bramach zagrodzonych wozami. Ich woźnice czekali na rozkaz podcięcia zaprzęgów i zwolnienia przej×cia. Na takim oczekiwaniu minęła dobra godzina, kiedy usłyszano z głębi lasu kilka pojedynczych wystrzałów, a wkrótce potem ukazały się sylwetki jeźdźców gnających ku szańcom. Były to własne pozostałe czaty, które miały powrócić po nadej×ciu nieprzyjaciela. Niebawem ujrzano go istotnie. Z lasu wynurzył się bowiem oddział rajtarów; wstrzymał konie i jaki× czas stojąc w miejscu, lustrował obozowe umocnienia i ich rozległo×ć, by po pewnym czasie zawrócić wierzchowce i zniknąć pomiędzy drzewami. Wreszcie, już po niedługiej zwłoce, ujrzano, że rozciągająca się przed obozem ×ciana lasu jakby poruszyła się i zaczęła zbliżać. Wkrótce zabłysła blachami kirysów i ostrzami broni, a jednocze×nie do uszu oczekujących żołnierzy doszły miarowe uderzenia bębnow. Hetman, stojący na koronie wałów, skinął buławą ku puszkarzom, a potem piechocie. Zadrżała ziemia od nagłego grzmotu dział, zaraz też gruchnęły i muszkiety. Prochowe dymy pokryły szańce przesłaniając wszelką widoczno×ć. Trwało chwilę, zanim się rozwiały, ale przez ten czas puszkarze zdążyli nabić działa, a piechota przybić ładunki muszkietów. Jakby w odpowiedzi na to wojenne powitanie nad głowami obrońców zagwizdały kule. Nieprzyjaciel nie przebył jeszcze i pół pola, kiedy huknęła druga salwa, a za nią, nieomal bez zwłoki, i trzecia.

Ogień musiał być celny, bo choć jego skutków trudno było przez dymy dostrzec, słychać było jednak zza ich zasłony ludzkie krzyki i wrzaski rzucanych rozkazów. Hetman obrócił się z kolei ku czekającym na jego znak chorągwiom i także dał im znak buławą. Woźnice krzykiem i batami poderwali swoje zaprzęgi, wozy rozjechały się i dwa węże jezdnych wypadły w pole. Przez resztki wlokących się dymów widać było, jak pochyleni nad końskimi grzywami jeźdźcy gnali z dwóch stron ku zmieszany już szwedzkim szeregom, niby dwa kły zwierające się nad kęsem strawy. Roty nieprzyjacielskiej piechoty, porozrywane ogniem, biegły jednak ku szańcom, ale nie widok pędzącej od boków jazdy zatrzymały się i poczęły gorączkowo zmieniać front, by obrócić go ku nacierającym chorągwiom. Przede wszystkim pikinierzy usiłowali wydostać się do przodu, lecz nie zdołali na czas zmienić szyków, bo jazda już ich dopadła. Wprawdzie w sukurs piechocie ruszyły rajtarskie rotы i co koń wyskoczy gnały ku bitwie, ale zastąpiły im drogę te chorągwie, które ostatnie wydostały się zza obozowych szańców. Toteż czołowe chorągwie siekły broniącą się rozpaczliwie, pozostała bez wsparcia piechotę. Ciężkie, husarskie szable spadały na moriony, coraz liczniejsze grupy pancernych wdzierały się w szwedzkie szeregi, bitwa, aczkolwiek zażarta, z wolna przeobrażała się w pogrom. Szwedzki wódz zapewne również tak samo ocenił położenie, bo spod lasu rozległ się wciąż powtarzany sygnał trąby i jego rotы, które jeszcze do cna nie zostały rozbite, zaczęły cofać się ku lasowi. Po×cigu jednak hetman zabronił, ale wysłał zaraz zwiady, by ×ledziły dalsze ruchy nieprzyjaciela. Te wróciły wkrótce z wie×ciami, które potwierdziły potem wysłane oddziały rozpoznawcze. Oto Szwedzi, cofając się, rąbali co kilka staj większe drzewa, kładąc w ten sposób na wszystkich przej×ciach zapory. Wiadomo×ć ta mocno zmąciła hetmanowi rado×ć ze

zwycięstwa. Atak szwedzki został wprawdzie odparty, ale wszystkie drogi wiodące ku Parnawie nieprzyjaciel zdołał zagrozić. Pojechał nawet osobiście oboźny, pan Giedroyć, by owe zasieki obejrzeć, wrócił jednak markotny, bo, jak opisał po powrocie, drzewa leżały jedne na drugich, w wielu miejscach zupełnie zagradzając leśne szlaki. Kłody zaś były tak liczne i grube, że przepiłowywanie ich i odciąganie na boki zajęłoby sporo czasu. Toteż po odbytej naradzie z przewodnikami pan Chodkiewicz postanowił obejść owe przeszkody okrężnym marszem, gdyż nawet na myśl mu nie przyszło, by poniechać wyprawy. Ruszył więc wojsko, rozpoczynając uciążliwy marsz przez bezdroża. Wreszcie po pięciu dniach mętej, nałożywszy dwadzieścia mil, dotarł do rzeki Parnawy. Przewodnicy doprowadzili wojsko w miejsce zdatne do przeprawy, więc od razu z marszu przykazał przebywać rzekę i rozkładać się obozem na przeciwnym brzegu. Potem, obróciwszy się ku morzu, mała armia pana Chodkiewicza pociągnęła wzdłuż plaż, kierując się ku miastu. Kiedy zaś zwiad doniósł o napotkanym niedaleko blokhauzie, o którym wspominał Rutje, pan Chodkiewicz zatrzymał wojsko i sam ruszył do przodu, by rozeznac teren. Kiedy wynurzył się ze swym poczem z lasu i wspiał na mały wzgórek, miał szwedzki fort przed sobą. Niby stary, rozrosły grzyb przysiadł na pobliskiej wyniosłości, rysując się szarozółtą linią szańców, obłożonymi darnią stanowiskami armat i ciemną linią palisady. Nieco z boku srebrzyła się nitka rzeki, wijąca się wśród otwartych pól, tylko z rzadka porosłych kępami drzew. W dali majaczyła w sinawej mgłę Parnawa. Dokonawszy lustracji hetman podsunął wojsko nieco bliżej, bacząc wszakże, by nie dostać się w zasięg fortecznych dział, i zaraz wysłał chorągiew na rozpoznanie podejścia do umocnień. Powitał ją jednak tak silny ogień, że musiała zawrócić. Uprzytomniło to hetmanowi, że czeka go

niełatwe zadanie. Przykazał więc wojsku zakładać warowny obóz, a jednocześnie skierował do Szwedów parlamentariusza z wezwaniem do poddania się. Było już pod wieczór, kiedy wysłany z dwoma żołnierzami porucznik powrócił, przynosząc wszakże urągliwą odmowę, którą dowódca załogi podyktowała zapewne nadzieją, że stojące za rzeką własne wojska wnet przybędą z pomocą i wybawią go z opresji. Hetman domyślił się przyczyny tej odmowy i jeszcze na noc zarządził atak. Kiedy więc nastąpiła ciemność, podciągnięto pod fortecę armaty, a piechota zajęła stanowiska. Zaraz też huknęły polskie działa skierowane na palisadę, a piechota ruszyła do szturmów. Wprawdzie szwedzkie armaty odpowiedziały równie gwałtownym ogniem, ale nie trwał on długo, bo piechota zdołała dotrzeć do dział, wyrąbała obsługę i przez potrzaskaną palisadę wdarła się do blokhauzu. Wnet zapłonęły postawione tam drewniane budynki. Przy świetle pożaru wycinano załogę nie szczędząc nikogo, bo żołnierz, rozeźlony urągliwą odpowiedzią i stawianym oporem, nie dawał pardonu. Po zdobyciu blokhauzu, nie czekając wiatu, kazał hetman bez zwłoki budować most, by znów przekroczyć rzekę i natrzeć na główne siły Mansfelda. Ten jednak na wieść o nowej porażce i o budowaniu mostu wycofał załogi z pozostałych blokhauzów i nocą, idąc lasami, okrążył polski obóz, przebył rzekę i znów zagłębiwszy się w lasy, zatrzymał o milę. Skoro tylko wiadomość o zwinieniu oblężenia i wycofaniu się Mansfelda dotarła do hetmana, ten pozostawił piechotę wraz z działami w obozie, powierzając dowództwo Lackiemu, i z konnicą ruszył komunikem ku nieprzyjacielowi. Ów jednak mimo swej liczebnej przewagi, obawiając się groźnego wodza, nie zamierzał stoczyć z nim bitwy. Zaczął kryć się po lasach i mało dostępnych ostępach, aż Chodkiewicz, widząc trudności dalszego pociągu, konie mając ustale i ludzi tak zmordowanych, że na postojach, nie



ruszając nawet strawy, kładli się pokotem, by nieco odpocząć - poniechał dalszej gonitwy. Most już był gotów, hetman zwinął więc obóz, ale jeszcze dwa dni zatrzymał się pod Parnawą. Poniszczył blokhauzy Mansfelda, wzmocnił załogę zamku blisko tysiącem piechoty, zaopatrzył ją w żywność i ściągniętą z okolicznych wsi, pozostawił także zdobyte na Szwedach armaty, po czym dopiero ze swą uszczuploną armią skierował się z powrotem pod Dyjament, spokojny już o losy Parnawy. Wkrótce po powrocie nadeszły doń jednak wieści, że Mansfeld, postępując za hetmańskimi wojskami, nadciągnął w pobliże z trzema tysiącami jazdy i dwoma piechoty i próbuje przeprowadzić do Dyjamentu kilkuset żołnierzy dla wzmocnienia załogi. Chodkiewicz, nakazawszy czujność w obozie, gdzie pozostawił kilka setek kozaków i pancernych, sam znów ruszył w pole. Przez kolejne cztery dni, do szóstego października, penetrował okolice Dyjamentu, nie pozwalając Mansfeldowi zrealizowania zamiaru. Ten wszakże, dowiedziawszy się o opuszczeniu obozu przez hetmana, z całymi siłami ruszył, by go zdobyć. Szóstego października dotarł na miejsce na czele trzech tysięcy żołnierzy i ustawivszy armaty, obrzucił pociskami polskie umocnienia, a potem ruszył do ataku. Zbyt szczupłe siły, pozostawione do obrony, bo liczące pięćset szabel, nie zdołały stawić skutecznego oporu tak wielkiej przewadze przeciwnika, więc mimo zaciętej obrony na długo go nie wstrzymały. Ratując się przed zupełną klęską chorągwie uszły w las, wysyłając gońców do hetmana z powiadomieniem o napaści i plądrowaniu obozu przez Szwedów. Chodkiewicz na wieść o tym ataku obawiał się początkowo, czy nie jest to podstęp Mansfelda, który w ten sposób próbował odciągnąć go od Dyjamentu, by dać możliwość oddziałom posiłkowym przedarcia się do twierdzy. Pozostał więc na miejscu z lada jakimi siłami, a Dąbrowę z trzema pułkami jazdy wysłał w

odsiecz obozowi. Odległość nie była duża, toteż idące w skok chorągwie wkrótce dotarły na miejsce i od razu uderzyły na Szwedów. Sytuacja zmieniła się w jednej chwili. Mimo że początkowo rajtarzy nie ustępowali pola, próbując sprostać przeciwnikowi, to przecież w miarę upływu czasu zaczęli coraz gęściej pole zaćciać. Kiedy zać powróciły do bitwy i owe chorągwie, które dotąd ukrywały się w lesie, bitwa przemieniła się w pogrom. Rozbite rotys poszły w rozsypkę i one z kolei ratowały się ucieczką, pozostawiając armaty i rzucając sztandary, których naliczono potem dwanać. Wielu pobrano w niewolę, wielu też, uciekając przez Dźwinę, potopiło się w rzece. Mansfeld nie brał udziału w bitwie, dowiedziawszy się jednak o nowej klęsce, rzucił się z przybocznymi rotami do ucieczki. W pogoń za nim poszły chorągwie, które hetman zatrzymał przy sobie, i doszedłszy uciekających, jeszcze kilkuset Szwedów ćciągnęły z siodeł. Pozostali dotarli wprawdzie do Gawii i szczęćliwie ją przebyli, ale wycinali ich potem miejscowi starostowie, i to tak zażarcie, że sam Mansfeld tylko z małym pocztem zdołał ujć z życiem. Po tym kolejnym sukcesie czekały jednak hetmana dalsze kłopoty, lecz tym razem z własnym żołnierzem, który zaczął buntować się na nowo, widać oceniwszy, że teraz, kiedy nie stało Mansfeldowej armii, nie jest już niezbędnie potrzebny. Ledwie hetman zdołał wyjednać zgodę, by pozostali w szeregach jeszcze przez dwa tygodnie. Chcąc wykorzystać ten czas, opasał Dyjament ćcisłym pierćcieniem. Bronił go Mikołaj Stiernskield, ten sam, którego rodzinę wzięto do niewoli przy zdobywaniu Parnawy. Hetman w obawie, że nie zdoła w terminie zdobyć silnej i broniącej się zaciekle twierdzy, wpadł w złość i posłał parlamentariusza z zawiadomieniem, że jećli zamek się nie podda, rodzinę Stiernskiolda wyćle do Polski i osadzi w lochach, by tam czekała lepszej doli. Groźba ta odniosła skutek i Stiernskield

po krótkich targach twierdzę poddał. Chodkiewicz za× zgody dotrzymał, bo nie tylko jego żonę i dzieci, ale i innych szwedzkich jeńców, trzymanyh w Parnawie, przykazał odstawić na statek i wysłać do Szwecji. Dyjament jak i inne twierdze inflanckie, które udało się hetmanowi bądź zdobyć, bądź utrzymać, w miarę można×ci także zaopatrzył w żywno×ć, i wobec odej×cia wojsk udał się pod koniec roku do swoich Birż, by wreszcie nieco wytchnąć i leczyć zdrowie, bo kamienie wciąż wielce mu dokuczały. Ciężkie, ponure chmury zaciągnęły niebo nad moskiewskim państwem. Mroczno w nim się stało i duszno. Nastął czas Wielkiej Smuty - czas ognia, krwi, krzyku zabijanych, płaczu pozostałych przy życiu, o którym decydowało posiadanie końskiego grzbietu, jedyneho nieraz ×rodka ratunku. Okres ten zapoczątkowała ×mierć owego nikomu nie znanego, pogodnego, życzliwego ludziom młodzieńca, który głosił się synem wielkiego cara Iwana. Różnił się on jednak wielce naturą od swego rzekomego rodzica, więc może i nie był jego potomkiem? Może też dlatego, że nie miał jego natury, utracił i tron, i życie? Już w trzy dni po zabójstwie Dymitra książ Wasyl Szujski, obrany carem, składał na Kremlu przysięgę, podejmując trudy rządu. Dzięki pomocy bojarów usunął Dymitra i oni obrali go carem, teraz więc należało uczynić ustępstwa, by ich sobie nie zrazić. Ustępstwa te jednak pociągnęły za sobą ograniczenie autokratycznej władzy, jaką sprawowali Rurykowicze, potomkowie Monomacha. Toteż wzburzyły one nieprzychylne bojarom szerokie masy ludzkie, a także i stan szlachecki, który widział w tym dowód carskiej uległo×ci. Nadane więc bojarom przywileje, zwane potocznie zapisem, uznały masy za słabo×ć nowego cara, co znacznie obniżyło jego autorytet. Aby go wzmocnić, rozgłaszał Wasyl, jak wielkim przestępcą był Dymitr i jak zgubne były dla kraju jego zamiary; w moskiewskim państwie miał być

zaprowadzony katolicyzm, ziemie podzielone pomiędzy samozwańca i polskiego króla, a możnowładcy i wszyscy temu przeciwni mieli zostać rękami Polaków bezlitośnie wymordowani, przed czym on właśnie państwo uchronił. Nie wszyscy dawali temu wiarę, niezadowolenie z nowych porządków rosło, a wraz z nim i legenda wokół osoby Dymitra. Coraz więcej głosów potępiało jego zabójców, coraz powszechniej wyrażano żal z powodu jego śmierci.

Wykorzystywali to byli zwolennicy samozwańca, jak książę Szachowski czy bojar Kielakiewski, głosząc, że Dymitrowi udało się uciec, i w jego imieniu podnieśli bunt przeciw Szujskiemu. I tak oto Smuta coraz szerzej rozlewała się po kraju. Dały o sobie znać i najniższe warstwy społeczne; ciemne masy chłopstwa pod przewodnictwem zbiegłego chłopca Iwana Bołotnikowa, rozbijając po drodze napotymane wojska, ciągnęły ku Moskwie. Przyłączył się do ruchu inny buntownik, Prokop Łopunow z Riazania, wiodąc szlachtę z terenów leżących nad Oką. Ci dwaj przywódcy szli jakiś czas razem, dopóki tajni wysłannicy Szujskiego nie przeciągnęli Łopunowa na swoją stronę. Inny chłop, Eliasz Wasiljew, ogłosił się jeszcze za życia Dymitra Piotrem, synem cara Fiodora. Obecnie pociągnął za sobą masy chłopstwa i kozackich ochotników i również ruszył przeciw Szujskiemu. Przyłączył się do niego z resztą swych sił rozbity pod Koriekoziem Bołotnikow, a na wieść o nadciąganiu z Moskwy wielkiej armii dowodzonej przez samego Szujskiego - również Szachowski i Tielatiewski. Doszło do bitwy pod Tułą, zwycięskiej dla Szujskiego. Zginął w niej Tielatiewski, a Wasiljew i Bołotnikow zamknęli się za murami miasta. Szujski odciął jednak Tułę dopływ wody, zmuszając w ten sposób mieszkańców do wydania buntowników. Wasiljew został ścięty, a Bołotnikow zesłany na Sybir. Pożoga buntów chwilowo została ugaszona. Nie na długo jednak, gdyż

następna chmura zawisła już nad krajem i znów miała się rozpętać kolejna burza, jaką groziła armia następnego samozwańca, stojąca obozem pod Orłem. Rana Nikodema Jedliny goiła się wolno, ale bez komplikacji. Gorączka zaczęła spadać, największym więc wrogiem stały się beczynno×ć i my×li niezmiennie krążące wokół jednego tematu - owej dziewczyny, którą ukrzywdził, nie bez uszczerbku na rycerskim honorze. Brała teraz na nim nie×wiadomy odwet, bo obudziła ku sobie uczucie, które tkwiło mu w sercu niby drzazga, gdyż nie łagodziło, lecz wzmagало gorycz wspomnienia. Nie był to jednak koniec utrapień młodego rycerza. Wyrzuty sumienia miały swoją podniebę w uczuciu, to za× podsycał widok dziewczyny, która teraz często odbywała służbę przy rannych. Towarzyszyła starej mniszce, pomagając w miarę umiętno×ci w opatrywaniu ran, kiedy za× zbliżała się do jego posłania, udawała, że nie dostrzega spojrzeń, jakimi uporczywie wodził za ruchami jej rąk, to znów przenosił je na twarz. Bładła wtedy, ×ciągała gniewnie brwi i zaciskała tak go kuszące wargi, jakby zamykając je przed słowami nienawi×ci, które mogły wypowiedzieć. Pewnego razu, korzystając, że Swietłana Fiodorowna odwróciła się, wyciągnął ramię i końcami palców przesunął po jej ręce, próbując ująć dłoń. Szarpnęła nią jednak tak gwałtownie i z tak gniewnym błyskiem w oczach, że więcej już prób nawiązania bliższego kontaktu nie ponawiał. Nie mógł wszakże opanować wymowy oczu, które ku niej kierował. Ona zdawała się jednak nie dostrzegać niczego, pochmurnym obliczem okazując swój ku niemu gniew. Jak jednak zawzięta była ta niechęć, tak równie uporczywie on usiłował przełamać dzielącą ich zaporę. Rozmy×lając, jak to uczynić, przywołał jednego z towarzyszy, który wstawał już na nogi, a kiedy siadł przy nim, poprosił go szeptem: - Kiedy zbliżą się do mnie, odwołaj wa×ć starą i zatrzymaj przy sobie,

jak długo zdołasz... Muszę koniecznie mówić bez ×wiadków z Tatianą. Czy zechcesz mi pomóc? - Ależ z ochotą, panie bracie! Zatem miły× temu dziewczęciu? Pozazdro×cić tedy wa×ci, bo dziewczka piękna, że palce lizać. Towarzysz istotnie spełnił obietnicę, bo kiedy podeszły do łoża Nikodema, zaczął jęczeć przywołując ku sobie Swietlanę Fiodorownę. Skoro podeszła do niego, począł skarżyć się na nowe dolegliwo×ci i rozpytywać o leczenie. Stara, wyraźnie zadowolona z możno×ci niesienia pomocy, jęła dopytywać się o objawy i udzielać pouczeń, Nikodem za× od razu zagadnął dziewczynę: - Zechciej wysłuchać tego, co ci powiem, i na Boga nie odchodź! Sprawa to dla mnie ważniejsza od życia, toteż nie ostaw mnie bez odpowiedzi! - Mów zatem - szepnęła cicho - niech i to złożę Bogu w ofierze... - Okazujesz mi miłosierdzie ranę opatrując, za co dozgonną wdzięczno×ć ci przyrzekam, ale dlaczego także miłosierdzia nie okażesz odpuszczając, jak Chrystus przykazał, moją przewinę?! - Nie równać mi mego serca z Chrystusowym! Jam nędzna grzesznica i zdobyć się na to nie umiem. Mało ci było mojej hańby, to× ponoć jeszcze u×miercił mojego rodzica, co niedawno mi powiedziano. - W równej walce to się stało. On także mierzył we mnie. - Więc przyznajesz, że od twojej kuli zginął! - W obronie własnego żywota to uczyniłem. Jego to kula ranę mi zadała, którą teraz ty opatrujesz. A do tego dwóch serdecznych przyjaciół mi zabił! Ale przecież na to nie zważając umiłowalem cię ponad wszystko na tym ×wiecie! - Twoi druhowie byli równie niecni jako i ty, toteż na ×mierć zasłużyli. - Ale też oni swą ×miercią, a ja krwią wyrównali×my rachunki. A do owego najazdu podjudził nas nie kto inny jak carski brat Dymitr. Mówił, że radzi nam będziecie, bo lubicie zabawę i swawolę, o czym dobrze wie, bo sam także do was jeździł! - To być nie może! Nigdy nie uwierzę w taką podło×ć. - A jednak to prawda, przysięgam na Krzyż i Pańską Mękę! Teraz jednak dopiero

rozumiem, dlaczego tak uczynił. Umyślnie nas podprowadził, by nienawiść ku nam, Polakom, wzbudzić! Ponieważ Tatiana stała z pochyloną głową i ciągniętą brwią, nic nie mówiąc, młody rycerz ciągnął dalej: - Zechciej zatem w swoim sercu rozważyć, czy tak wielka jest moja wina, jak sądziła, i nie skazuj mnie na swój gniew. - W tej chwili dostrzegł, że stara skończyła pogawędkę z jego druhem i zbliża się ku nim, więc szybko dorzucił: - A rozważając pamiętaj, że rozmawiałem się w tobie, że panią mego serca, a miłowania tego nawet opisać nie umiem, bo ludzką mową nie sposób go wyrazić! Uniosła głowę, a kiedy spojrzenia ich spotkały się, chwilę patrzyła mu w oczy z powagą. Właśnie Swietłana Fiodorowna zbliżyła się, więc tylko ruchem głowy dała znak odmowy i obróciła się do niej. Wynik tej próby porozumienia zburzył wprawdzie jego nadzieje, ale wyznanie przyniosło ulgę. Rad był przynajmniej, że Tania wie, jak przyszło do sprawy, a zwłaszcza że po tym, co między nimi zaszło, właśnie ona zyskała nad nim przewagę. To powinno w pewnej mierze ukoić zranioną dumę. A także być może i złagodzić nienawiść, jaką wciąż żywi ku niemu. Owa zaufanie, którą udało mu się między nimi wprowadzić, choć znikoma, dawała mu przecież cień szansy, że w przyszłości uda się ją pogłębić. Rana goiła się coraz szybciej i Nikodem próbował wstawać, ale były to próby jeszcze nieudolne i dokonywane mimo zakazu opiekunki. Z tej więc przyczyny nastąpiło kolejne zdarzenie, które bardziej niż owa rozmowa wstrząsnęło rannym. Wstał tego dnia z pościeli próbując sił, ale kiedy zrobił kilka kroków, zakręciło mu się w głowie, i to tak mocno, że ledwie wrócił do łóżka. W tej właśnie chwili weszły do izby obie opiekunki. Stara widząc, jak z pobladłym obliczem bezwładnie osuwa się na pościel, podbiegła ku niemu wołając na Tatianę: - Daj szybko wody, bo do cna straci przytomność! Niecierpliwy to młodzian i do posłuchu nieskory. Skaranie Boże z tymi żołnierzami! Kiedy

dziewczyna wróciła z wodą, poleciła jej z kolei: - Unie<sup>x</sup> mu głowę i daj łyk, może oprzytomnieje. Tatiana posłusznie nachyliła się nad rannym i podłożywszy dłoń pod głowę podała mu kubek z wodą. Upił parę łyków i już przytomny otworzył oczy. Ujrawszy jej twarz nad sobą, w nagłym porywie uczucia otoczył ramieniem szyję dziewczyny i przywarł ustami do jej warg. Kubek przechylił się gwałtownie, wylewając resztkę zawarto<sup>x</sup>ci na pier<sup>x</sup> rannego. Swietłana Fiodorowna nie wiedząc, co było tego przyczyną, bo zajęta zmianą bandażu nachylała się nad innym rannym, ofuknęła ją gniewnie: - Co robisz, nie potrafisz napoić chorego?! - Nie szkodzi! - zawołał z u<sup>x</sup>miechem młody rycerz. - To moja wina, bom się nieopatrznie poruszył. Tatiana, cała w pąsach, wyprostowała się bez słowa, widać z oburzenia niezdolna do wydobycia głosu, i nie zważając na towarzyszkę ani na innych rannych, którzy u<sup>x</sup>miechali się dostrzegłszy incydent, ruszyła ku drzwiom. Wkrótce potem spotkała młodego rycerza inna niespodzianka. Był już wła<sup>x</sup>ciwie zdrów, trapił go jedynie ubytek sił, ale i pod tym względem czuł, że szybko przychodzi do siebie. Począł więc przemy<sup>x</sup>liwać, co dalej ze sobą robić i gdzie się obrócić, bo wie<sup>x</sup>ci z miasta zgodnie mówiły, że wszyscy pojmani Polacy nadal przebywają w niewoli i nic nie wskazuje na to, by rychło odzyskali wolno<sup>x</sup>ć. Ci, co wcze<sup>x</sup>niej od niego wydobrżeli, znikli, lecz nie mógł się dowiedzieć, co dalej z nimi się działo i jak sobie radzili w obcym mie<sup>x</sup>cie i w<sup>x</sup>ród wrogich im ludzi. Wła<sup>x</sup>nie wtedy zjawił się ów Jacek Woluta, były pocztowy Jasińskiego, który wypatrzył na dachu zabójcę. Młody rycerz poznał go od razu, kiedy ten wszedł do izby, i przywołał ku sobie: - No, wreszcie waćpana odnalazłem! - z rozradowanym obliczem powitał go przybyły. - I to całkiem przypadkowo. - Jakże to się stało? - spytał równie uradowany Jedlina, <sup>x</sup>ciskając mu dłoń. - WAsze nazwisko wymienił jeden z tych, co tu leżeli. Przepytałem go,



gdzie przebywał, no i jestem. - Rad acana widzę, bo z dworu księcia Konstantego nie było tu nikogo. Co wa×ć porabiasz i jak sobie radzisz, skoro wszyscy są nam tu wrodzy? - Nie wszyscy, wasza miło×ć, nie wszyscy... Car Dymitr miał i w×ród bojarów przyjaciół, którzy dobrze go wspominają, obecny za× raczej wrogów sobie przysparza. Toteż wielu jest takich, co teraz żałują, że do spisku dali się wciągnąć. Ci są nam przychylni i pomocy nie odmawiają. - To pocieszająca wiadomo×ć, bom już zdrów i nie wiedziałem, co z sobą począć. Gdzie zatem acan przebywasz i co robisz? - Wielu bojarów przygarnęło na swoje dwory tych Polaków, którym udało się uj×ć ×mierci czy niewoli. Ja pełnię służbę w drużynie kniazia Trojekurowa. - Winszuję waszmo×ci! A co słyhać z naszymi posłami? - Porozsyłał car panów do różnych zamków i grodów, ale posłów trzyma pod aresztem w Moskwie. Wszakże słyshałem, że rozmowy idą o ich zwolnienie. - Oby Bóg dał jak najprędzej! Może wówczas i mnie udałoby się wrócić do kraju... - Młody rycerz zawahał się, wreszcie dodał na wpeł do siebie: - Choć nawet nie wiem, czy bym z takiej okazji skorzystał. - Cóż waćpana tu trzyma? - zdziwił się Woluta. - Nie warto o tym gadać! - Jedlina machnął ręką, zły za zbyt pochopnie rzucone słowa. - Pytam, bo mam dla waćpana propozycję, którą może zechcesz przyjąć, je×li z wyjazdem ci nie pilno. Mój kniaz za dowódcą swych żołnierzy się ogląda. Chciałby komendę powierzyć Polakowi, bo wie, że nikt nam w żołnierskim rzemio×le nie dorównuje. Mogę z kim trzeba pogadać i waćpana wskazać... - Gadaj tedy, bo rad będę wreszcie wyrwać się stąd i ×wieżego powietrza zażyć. A do zdrowia nic mi już nie brakuje, prócz siodła i żołnierskiej braci. - Czekaj zatem waćpan ode mnie wiadomo×ci. My×lę, że wkrótce tu powrócę. - A je×li ostaną, czy nie zechciałby× pocztowym być przy mnie? - Z ochotą i wiernie będę waćpanu służył - wyraźnie zadowolony rzekł

Woluta. W ten sposób Jedlina objął służbę u kniazia Trojekurowa. 1000 dostawał w terminie, a że do tego mógł korzystać z książęcej kuchni, więc wiodło mu się dobrze. Jedynie wspomnienie dziewczyny nie opuszczało go ani na chwilę, tęsknił do jej widoku, ale darmo szukał sposobu, by znów ją zobaczyć i zamienić tych kilka słów, choćby były dlań nadal wrogie jak dotychczas. Na początku lipca następnego roku rozeszła się po Moskwie wiadomość, że car Dymitr szczęśliwie ocalał i objawił się w Starodubiu, gdzie ponoć gromadzi wojska, by ruszyć na stolicę. Zawrzało w mieście od plotek, poruszeni tą wiadomością bojarzy rozesłali gońców, a kiedy wiadomości zaczęły się potwierdzać, niektórzy coraz częściej odbywali tajne narady nad sposobami poparcia powracającego cara. Najpierw więc po cichu jęli zasilać go pieniędzmi, a potem wysyłali ochotników, by przysporzyć żołnierza. W pierwszej kolejności zaczęli zgłaszać się Polacy, zawsze gotowi do wojaczki, a przy Dymitrze tym chętniej, że w ten sposób widzieli możliwość zemsty nad znienawidzonym Wasylem, winnym śmierci tylu ich rodaków. Jedlina także postanowił porzucić służbę u Trojekurowa, kiedy dowiedział się, że u Dymitra zjawily się polskie oddziały, co zapoczątkował ów Lisowski, o którym co nieco już słyszał. Niektórzy bojarzy nie tylko zwalniali swoich żołnierzy, chętnych do przejścia na służbę u cara Dymitra, ale nawet ich do tego namawiali, dając zaopatrzenie na drogę. Toteż i Nikodem, skaptowawszy nieco swoich kozaków i kilku synów szlacheckich z miejscowych rodzin, utworzył własny oddział i wystąpił o zgodę na wymarsz. Otrzymał ją bez trudności wraz z zezwoleniem na zabranie wierzchowców. Uradowany łaskawością bojara, choć znał jej przyczyny, stanął w rezultacie na czele małego oddziału zbrojnych. Czas więc było ruszać, a Nikodem wciąż nie umiał znaleźć sposobu na pożegnanie dziewczyny. Miał bowiem

nadzieję, że przy tej okazji uda mu się przełamać jej opór i uzyskać przebaczenie. Wiedział już dobrze, gdzie leży dom Wołnowów, gdyż parokrotnie krążył w jego pobliżu, czatował nawet przy furcie, ale Tatiany nie udawało mu się spotkać. Zdesperowany tym niepowodzeniem i ponaglany koniecznością wymarszu zdobył się ostatecznie na krok stanowczy, nie bacząc, jakie pociągnie skutki. W przeddzień wyjazdu wziął więc wierzchowca i ruszył do Wołnowów. Podjechał do bramy, zsiadł z konia i parokrotnie uderzył w kołatkę. Po chwili usłyszał za parkanem zbliżające się kroki i rzucone pytanie: - A tam kto? - Posłaniec, otwieraj bez obawy! Zgrzytnęła zasuwa i furta uchylła się. Ujrzał przed sobą smukłego młodzieńca, a kiedy przesunął spojrzeniem po jego twarzy, domyślił się, kogo ma przed sobą. - Mam posłanie do Tatiany Wasiljewny - oświadczył krótko. - Czy w domu? Młodzieniec zawahał się, więc dodał: - Ty jej brat, nieprawdaż? Podobny jeste, stąd się domyślam. - To ją znasz? - Znam - odparł. - Idź i przywołaj ją, ja tu zaczekam. Po prostu jednak, bo czasu mam mało, a sprawa ważna. - Kto zaczął? - Ranny, którym się opiekowała. W podzięk za opiekę pragnę się jej pokłonić. - Zaczekaj tedy... Młodzieniec poszedł w głąb obejścia, a Nikodem ruszył w stronę domu widniejącego wśród kępy brzoź. Zatrzymał się przy stopniach ganku i w napięciu oczekiwał na wynik poselstwa. Wkrótce usłyszał lekkie kroki i szelest spódnicy, a kiedy odwrócił głowę, ujrzał przed sobą Tanię. - A więc to istotnie wy... - szepnęła rumieniąc się gwałtownie i przykładając do piersi złożone dłonie, jakby w obawie napaści. - Ja, Tatiano Wasiljewna. Zanim mnie jednak przepędzisz, przyjmij podziękowanie za opiekę. Przybyłem, aby ci się za to pokłonić, a także z pożegnaniem, bo wyruszam na wojaczkę, nie wiadomo więc, czy jeszcze cię ujrzę... Dziewczyna słuchała nie odwracając wzroku od jego twarzy.

Oddychała tylko coraz szybciej, ale milczała, przeto młody rycerz mówił dalej: - Więcej nie będę cię niepokoił ani nachodził, Taniu... Chciałem jednak, by× wiedziała, że wyjeżdżam z twoim obrazem w sercu. Je×li Bóg pozwoli, że życie zachowam, to wrócę, do nóg się pokłonię i spytam, czy zechcesz zostać moją żoną. Może do tego czasu gniew twój minie i inaczej mnie przyjmiesz... Zabrałbym cię do Polski chociażby i z rodziną, bom nie byle chudopachołek i tego, co posiadam, starczy na dostatnie życie. A teraz na pożegnanie podaj mi choć rękę... Wyciągnął dłoń, ale zawisła w powietrzu, bo dziewczyna nie odrywała swoich od piersi. Zauważył tylko, jak rumieniec znika z jej policzków i lico blednie coraz bardziej. Wreszcie usłyszał jej szept: - A więc wyjeżdżasz? Skinął głową. - Nie mam tu czego szukać. Gdyby× była mi przychylna, nie ruszyłbym nigdzie, ale tak... - Wyjeżdżasz... - powtórzyła jeszcze ciszej, nie przestając wpatrywać się w jego twarz, potem dorzuciła: - To... to lepiej... - A więc znać mnie nie chcesz? Mimo to wrócę, chyba że nie останę przy życiu! Wrócę choćby dlatego, by jeszcze raz usłyszeć, że mnie odtrącasz. - Dlaczego wciąż mnie dręczysz? - wyjąkała szeptem, z trudem dobywając głosu. - Ja... ja... Nagle wybuchnęła szlochem, obróciła się i jak nieprzytomna wbiegła do domu. Nikodem patrzył za nią zaskoczony tym wybuchem płaczu, nie rozumiejąc, co by miał znaczyć. Wreszcie i on z chmurną twarzą ruszył ku furcie. Do obozu samozwańca pod Orłem dostał się szczę×liwie. Wiedział, że przebywa tam i Lisowski, więc słysząc już tyle o nim, postanowił przede wszystkim jego odszukać. W obozie ruch panował wielki, ale ku jego zdziwieniu nikt go nie pytał, kto jest i skąd przybywa. Wkrótce dowiedział się jednak, że takich oddziałów jak jego - a nawet dużo większych - przybywa co dnia po kilka, toteż nie wzbudzały niczyjego zainteresowania. Wynałazł więc nieco wolnego miejsca i

przykazał swoim ludziom rozładować wóz z zaopatrzeniem i rozbić namioty. Sam za× ruszył na poszukiwanie rotmistrza. Wkrótce dowiedział się, że jest dowódcą carskiej straży przybocznej, zatem przebywa przy jego osobie, a że najja×niejszy ojczulek ma kwaterę w samym mie×cie, tam musi go szukać. Było już za późno, by opuszczać obóz, więc do miasta wybrał się następnego dnia. Od razu przekonał się, że panowały w nim inne porządki niż w obozie. Przy bramie stały posterunki, a u wrót dworu, w którym znajdowała się carska kwatera, straż pełniło nawet kilku żołnierzy. Wzbroniono mu wej×cia, ale kiedy o×wiadczył, do kogo przybywa, wprowadzono do wartowniczej izby i kazano czekać, aż nie wróci wysłany z zawiadomieniem żołnierz. Potem w asy×cie przewodnika dotarł do jednego z budynków, których sporo było w obej×ciu, gdyż dwór widać należał do jakiego× bogatego bojara. Po minięciu sieni znalazł się w obszernej, ale mrocznej komnacie, którą w większo×ci zajmował długi stół, ×wiadczący, że pomieszczenie było przeznaczone na jadalnię. Za stołem siedziało kilku mężczyzn, których rysów po jasno×ci dnia nie zdołał rozpoznać. Dopiero kiedy podszedł bliżej i wzrok oswoił z półmrokiem komnaty, poszukał spojrzeniem w×ród siedzących dowódcy. Dopomógł mu w tym żołnierz, preżąc się przed młodym mężczyzną o bystrym spojrzeniu ciemnych oczu. - Mo×ci rotmistrzu, oto ten człowiek! Lisowski obrzucił przybysza lustrującym spojrzeniem i spytał sucho: - Wa×ć mnie szukałe×? Z kim zatem mam honor i czego sobie życzysz? - Poznać znakomitego żołnierza! - o×wiadczył z u×miechem Jedlina. - I ofiarować mu swoje służby, je×li zechce je przyjąć. Zwę się Nikodem Jedlina i jestem towarzyszem husarskim z przybocznej chorągwi ja×nie księcia Konstantego Wi×niowieckiego... - Siadajże zatem, panie bracie, do kompanii... - Lisowski porzucił sztywny ton. - Oto mój

porucznik Idzi Kalinowski, a to pocztowi, urodzeni Sawicki i Seyna... - zaprezentował towarzyszy, a jednocze×nie zawołał na pacholka, by podał dodatkowy kufel. - My tu jeno piwko pijamy, gdyż lepsze trunki już wypite - odpowiedział, kiedy pacholik napełnił podany kufel. - I ja dawno już nie piłem czego× lepszego, ale w tak zacnej kompanii i woda by smakowała - odparł dwornie Nikodem. - Książę Konstanty, jak słychać, jeszcze u Szujskiego w niewoli siedzi? - zagaił Lisowski. - Tak jak i wszyscy nasi znaczniejsi panowie, którzy z życiem uszli. - Skądże zatem waćpan przybywasz i dlaczego służby szukasz? - Przybywam z Moskwy, gdzie najpierw po postrzale z rany żem się leczył, a potem objąłem dowództwo nad sotnią kniazia Trojekurowa. Ale beczynno×ci miałem do×ć, więc wziąłem ze sobą nieco ochotnika i ruszyłem w pole. Mam ich ponad dwudziestu, zatrzymali×my się w obozie. - Książ Trojekurow musi być Polakom wielce przychylny, skoro wa×ci nad swymi ludźmi komendę powierzył... - zauważył rotmistrz. - Istotnie przychylny, bo nie tylko ze służby zwolnił, ale i wierzchowce zabrać pozwolił. Lecz sądzę, że bardziej to z wrogo×ci do Szujskiego niż z miło×ci ku nam uczynił! Tak zresztą robią i inni rusczy wielmoże, wrodzy carowi. Szujski za×, zwiedziawszy się o tym, wzmocnił strażę przy bramach i zakazał wypuszczać oddziały, toteż po jednym musieli×my wyjeżdżać, a zasię połączyć się za miastem... - Zatem nie tylko w nas ma wrogów! A lud, czy takóże się burzy? - Tak dalece nie, ale przychylny mu nie jest. Natomiast coraz więcej kniazów i bojarów Szujski ma przeciwko sobie, mimo owych przywilejów, co to "zapisem" je zwa. - Maryna z rodzicem także w niewoli u niego siedzą? - Tak, lecz słychać, że pisma od króla Zygmunta chodzą, by im, a także posłom wolno×ć przywrócił. - Rozprawimy się z Szujskim, to i nijakie pisma nie będą potrzebne - wtrącił Kalinowski, a rotmistrz spytał: -

Zatem służby wać ofiarujesz naszemu gospodarowi? - Ale tylko, jeżeli waszmoć zezwolisz pod swoją komendą ją pełnić, bo do kogo innego nie przystanę i raczej wrócę do domu. - Dawno waćpan u Wiñniowieckiego? - Od szećset czwartego. Kiedy to ruszyli×my z Glinian. - Tedy masz szczęćcie, że× nie dostał się pod rękę Chodkiewicza! - Lisowski roze×miał się. - U niego zaznałby× wojaczki do woli. Lecz i u nas będziesz miał okazję szabelką pomachać! No dobrze, przyprowadź swoich ludzi, żołd u nas podwójny, ale byle kogo do służby nie biore. Obaczmy, co warci! Kalinowski przydzielili im kwaterę i waćpanu takóž wskaże. Wielu masz pocztowych? - Jednego, urodzony Jacek Woluta. Lisowski już bez słowa skinął głową aprobująco. Nikodem rozpoczął służbę. Była ona ciekawsza niż w Moskwie, gdzie dni płynęły mu jeden podobny drugiemu i poza krążącymi plotkami nic nie przerywało codziennej nudy. Tu roilo się od żołnierzy, panował ruch i krzątania dworaków, wciąż przybywali i wyruszali w drogę gońcy, odwiedzali carską kwaterę kupcy ubiegający się o dostawy. Jedlina otrzymał rangę i żołd porucznika, ale początkowo pełnił służbę przy boku Kalinowskiego, by zaznajomić się z obowiązującymi wymogami. Izbę dostał w tej samej oficynie, gdzie kwaterował nie tylko Lisowski z Kalinowskim i swymi pocztowymi, lecz i sam hetman carskich wojsk, pan Miechowicki. Wziął ze sobą Wolutę, któremu pozostawił troskę o zdobywanie zaopatrzenia, a sam zaznajamiał się z nowymi obowiązkami. Był zbyt bystry, by nie dostrzec, że rotmistrz, choć tego nie okazuje, to jednak ×ledzi spod oka, jak sobie z żołnierzami radzi nowy porucznik. Nikodem nie dawał jednak po sobie poznać, że to zauważył, i w niczym nie zmieniał postępowania, które zwykł stosować. Lisowski za× już od razu zauważył, że nowy jego podkomendny zaczyna cieszyć się większym mirem u żołnierzy, niż miał go dotąd

Idzi. O ile bowiem Kalinowski zwykł krzykiem i besztaniem, a także w razie potrzeby i surowymi karami utrzymywać dyscyplinę, to Jedlina, choć żadne uchybienie nie uszło jego uwagi, nigdy nie podnosił głosu, upominał żołnierzy spokojnie, a jeżeli wymierzał karę, to zawsze odpowiednio do przewiny, co oznajmiał delikwentowi. To opanowanie i sprawiedliwość w karaniu szybko zjednały mu żołnierzy, toteż jego rozkazy były wykonywane szybciej i sprawniej niż kraszone przekleństwami Kalinowskiego. Również i w bardziej osobistych kontaktach podobał się rotmistrzowi nowy porucznik, więc coraz częściej zapraszał go do siebie na pogawędki, zwłaszcza jeżeli udało się zdobyć coś lepszego niż zwykłe piwo. Przy tych okazjach już wkrótce Lisowski dostrzegł, że jego towarzysza gnębi jakieś strapienie. Nachodziły go bowiem takie chwile, że milknął, jakby czymś głęboko zatroskany i obcy myślami. Rotmistrz nie pytał go jednak o przyczynę, pozostawiając to sposobności. Jakoż istotnie wydarzyła się, nawet w niedługim czasie. Któregoś dnia Jedlina zaszedł sam do rotmistrza, i to z gąsiorkiem, który udało się zdobyć Wolucie, proponując, by wspólnie go wysuszyć. Zastał Lisowskiego samego i w nie najlepszym humorze. - Psia jego mać z taką służbą! Człek chodzi tu w kółko niczym wół w kieracie! Ciągłe to samo - oświadczył od razu po powitaniu. - Długo tego nie zdzierzę! Rzucę tego prostaka w czorty i w pole ruszę. Inaczej do cna zbabieję! - Nie szkodziłoby... - mruknął uśmiechając się Jedlina. - Byłoby na kwaterze weselej. - Myślałby kto, że wać taki na baby łasy! Nie widziałem, żeby się do której zabierał, choć dziewczek tu nie braknie. - Istotnie, nieskorym do nich - przyznał Nikodem stawiając gąsiorek na stole. - Widzę, że wać miodek przyniósł! W samą porę, bo już lichy mnie ponosi od tej sobaczej służby! Dajże, niech go rozleję. - Sięgnął po kubki. Kiedy już nieco popili, rotmistrz wrócił do



podjętego wątku: - Wa×ć do dziewczek nieskory, a przecież to jedyna żołnierska uciecha. Kufelek wypić, dziewczynę przytulić, a zasię na siodło i w pole! - Nie każdy ma takie upodobanie. - Po wa×ci widzę, że nie każdy. Ale mało takich jest, co o jednej my×lą i jeno wzdychają. A owo wzdychanie, a i reszta ×miechu tylko warte! - Widać, że× waćpan takiej nie trafił, która by ci w sercu grotem ugrzęzła... - rzekł z westchnieniem Nikodem. - Tego nie powiem, zdarzało się i mnie miłowanie, jeno kiedym jeszcze nie zmądrzał. No ale opróżniajmy, panie bracie, ten gąsiorek do dna, bo trunek najlepiej goi rany serca, a widzę, że chyba ta bole×ć wa×ci dolega. - Ano, prawda to... - mruknął Nikodem odstawiając pusty kubek. Lisowski zerknął na towarzysza spod oka i odezwał się. - Mocno kto× wa×ci musiał zaleźć za skórę... Ulżyj tedy sobie i opowiedz o swoich strapieniach. Jedlina przeniósł spojrzenie z kubka na rotmistrza, milczał chwilę, a potem, widać pod wpływem nagłego impulsu, zaczął mówić. Kiedy skończył, westchnął z ulgą, jak człowiek, który pozbył się ciężaru, a Lisowski powiedział ze zrozumieniem: - No tak... Ci Szujscy to łajdacy niegodni miana bojarów... Ale bywają tacy i u nas. Wszakże nie powiniene×, mo×ci Nikodemie, tak mocno się trapić, bo co× mi się widzi, że× nie tak nienawistny tej dziewczce, jakby można sądzić z jej słów. - Z czego to waćpan wnioskuje? - z ożywieniem spytał Nikodem. - Dowodzi tego mimo wszystko jej zachowanie wobec wa×ci. Ona na pewno rzeczywi×cie na ciebie gniewna, czemu dziwić się trudno, to przecież w głębi serca spójnię z waćpanem odczuwa. Dlatego nie wyzbywaj się nadziei, gdyż sądzę, że twoja sprawa tak całkiem przegrana nie jest... - Boże miły... - westchnął młody rycerz. - To× mi waćpan wbił ćwieka w głowę! - Bądź tedy dobrej my×li i nie chodź markotny, jakby× w portkach jeno mysi ogon nosił! Grudzień przyniósł mrozy i ×niegi. Padało obficie, potem znów mróz

stęzał, ziemię przekuł na głaz i zatrzymał rzeki. Ludzie pochowali się po chałupach, trzaskał ogień na kominkach, w piecach i na paleniskach kurnych chat. Zimowe miesiące minęły żołnierzom spokojnie, w ciepłe zapiecków i przy pełnych misach. Ale jakby na ironię losu pożar wybuchł w mieście nie wtedy, gdy dymiły wszystkie kominy, lecz dopiero z nadejściem wiosny. Ogień, mając po czym buszować, bo wszystkie domy były drewniane, rozszedł się szybko i cały Orzeł stanął w płomieniach. Ludzie ratowali z pożogi co tylko mogli, żołnierstwo także rzuciło się na ratunek; jedni, by pomóc bliźniemu w biedzie, inni dla rabunku. Car Dymitr wraz ze dworem uszedł z miasta, zanim fala ognia podeszła pod jego kwaterę. Musiał przenieść się do obozu, gdzie naprędce pobudowano mu pomieszczenie, posłuszny jednak głosom doradców hamował z tego powodu złość, gdyż wojsko wzięłoby mu to za złe. Natomiast pan Lisowski, mając dość beczynności, pod koniec roku postanowił opuścić samowłańca, tym bardziej, że od początku jego prostactwo nie przypadło mu do gustu. Do pełnienia jego służby było wielu chętnych, on zaś wolał wyruszyć w pole. By zachować jednak wojskową dyscyplinę, objawił swój zamiar Miechowickiemu, proponując wszczęcie już zimą działań zaczepnych przeciw Moskwie, czego podjąłby się z ochotą. Pomysł ten spodobał się hetmanowi, dostał więc nawet zezwolenie na wzmocnienie sił werbunkiem ochotników z innych chorągwi. Wyruszył przeto rotmistrz pewnego styczniowego ranka na czele swoich dwustu kozaków i tyluż wybranych ochotników nie wiedząc, że wraz z tętentem owych czterystu koni wkracza na karty historii, że jego imię będzie powtarzane z podziwem przez szlachecką brać, a czyny otoczy legenda żołnierskich opowieści, snutych przy obozowych ogniskach. Ale również by się nie trapił, gdyby wiedział, że wiele tysięcy ludzi będzie wymawiać jego

imię ze zgrozą, przerażeniem i przekleństwami, i to nie tylko w moskiewskim kraju, lecz także w całej Europie. Jego żołnierze będą walczyć nad Wełtawą, t'abą, Wezerą, napoją konie w wodach Renu. Stada kruków szybować będą nad ich głowami, po ich wojennym szlaku pozostanie pustynia, a na niej tylko zgliszczą i trupy. Nie czterech bowiem, lecz tysiące jeźdźców Apokalipsy przemierzy czeskie i niemieckie ziemie. Natomiast teraz zapowiedzią jego czynów było przemówienie, jakie wygłosił z konia do swoich żołnierzy w przeddzień wymarszu: "- Niech każdy nadstawi bacznie ucha - wołał grzmiącym głosem do stojących szeregiem konnych - i dobrze spamięta, co powiem! Na twarde i niebezpieczne posługi ruszamy, ale też za zezwoleniem zakazanym innym pułkom, w orężu i odwadze cały wasz żołd, cała nagroda! Przecież pewniejsze one będą niż zawodne z publicznego skarbu wypłaty! Wszakże niepospolitej ja od was żądam odwagi: jeżeli jeden w×ród was jest, który by na wymierzone w siebie działo nie rzucił się, jeden nie uderzył na pięciu, gdy ja rozkażę, nie skoczył pierwszy na mury lub w bystre i głębokie nurty, niech wynijdzie z szeregów! Orężem waszym będzie szabla i rusznica, łuk z sądkiem, rohatyna, koń lekki i wytrwały, ani wozów, ani taborów, ani ciurów nie ×cierpię, wszystko nosić będziecie ze sobą! Nie wymagam od was gładkich w szykach obrotów; natrzeć zuchwale, kiedy potrzeba, rozsypać się, zmylić ucieczkę, znów się obrócić i nieprzyjaciela obskoczyć, to dzieło wasze! Dam spoczynek, gdy czas po temu, lecz w potrzebie, w pracach waszych znać nie będziecie ni dnia, ni nocy. Przebiegać najodleglejsze szlaki nieprzyjacielskiej krainy, palić wsie, burzyć miasta, pędzić przed sobą trzody bydła i jeńców tysiące, nie przepuszczać nikomu to odtąd jedynym zatrudnieniem waszym! To sobie zatrzymajcie we łbach, a do jutrzejszego wymarszu, który na ×witanie

wyznaczam, niech lepiej nie stają ci, którzy sprostać owym kondycjom sił lub ochoty nie mają!" Wszakże kiedy o pierwszej szarości dnia rotmistrz objeżdżał gotowe do wymarszu szeregi, żaden z dowódców chorągwi nie zgłosił braku chociażby jednej szabli. Na cel wyprawy rotmistrz wybrał pobliską ziemię rizańską, nad którą mieli pieczę z carskiego ramienia książę Chowański i dworzanie rady t'upunow, gdyż przezorność kazała przynajmniej na początek nie kusić się na szarpanie głównych carskich sił skupionych wokół Tuły. Tam bowiem spędzał tę zimę i sam car, obserwując przez licznych szpiegów poczynania samozwańca. Dzień był mroźny, ale bezwietrzny. Na czystym niebie czerwony krąg słoneczny z wolna unosił się ponad horyzontem, barwiąc różanym blaskiem równinę pokrytą śniegiem pól, dając złudne wrażenie ciepła, czemu wszakże przeczyły sine cienie, skryte w zagłębieniach terenu. Konie szły rażno, parskając raz po raz jakby z ochoty, i dudniły kopytami o zmarzniętą ziemię. Lisowski jechał na czele swoich chorągwi, z lubością wdychając ostre, zimne powietrze. W ucisku nóg czuł prężność końskich mięśni, więc pierś mu wzbierała radością, że skończyła się wreszcie szara nuda obozowych dni i niby wolny ptak wyrwał się na bezmiar przestrzeni, może iść, gdzie wola, dotrzeć wszędzie, bo nie ma przeszkód, których nie pokonałaby jego szabla. Ludności nie nagabywał, nie było jej zresztą wiele, bo większość uciekła ze względu na bliskość biwakujących wojsk. Przenocował pod imijówką, rankiem ruszył w dalszy pochód, a że dzień był bezchmurny i drogi mocno zawiane, szedł na przełaj, kierując się słońcem. Jeszcze daleko było do południa, gdy przyleciał żołnierz od idącego o wiorstę zwiadu z zawiadomieniem o napotkaniu kozackiej chorągwi, idącej jako przednia straż większych sił, które prowadzi ataman Zarucki na pomoc carowi Dymitrowi. Lisowski słyszał o

młodym atamanie słynącym z urody i odwagi, toteż ciekaw był tego spotkania. Roztropność jednak nakazywała zachowanie ostrożności, więc skrył chorągwie w mijanym właśnie wąwozie, a sam, przybrawszy Jedlinę i pocztowych, ruszył w pięć koni do przedniej straży, by osobiście przekonać się, czy za owym spotkaniem nie kryje się jakowyś podstęp, gdyż mógł to być zwiadowczy oddział Szujskiego. Zastał jednak swoich ludzi na przyjacielskiej pogawędce z napotkanymi Kozakami. Czekali oni także na powrót gońca, którego posłali z meldunkiem do atamana. Obawy rotmistrza rozproszył od razu jeden z jego Kozaków, wskazując młodego junaka ze spotkanego oddziału: - Wot i brata naszoł, ba~tka pułkownik! I wie×ci z domu dostałem! - Dobrze przynajmniej? - Lisowski u×miechnął się zadowolony z wyja×nienia sytuacji. - Sława Bogu, dobre. Rodzina zdrowa, tylko jedna krowa nam padła. - Nawojujesz, kupisz pięć innych! A pod czyimi rozkazami brat służy? - Hetmana Iwana Martynowicza Zaruckiego. W pięć tysięcy koni ciągnie z pomocą naszemu carowi. Tylko go patrzeć! Istotnie nie potrwało i kilka pacierzy, jak pomiędzy wzgórzami ukazał się zastęp idących w skok jeźdźców, którzy wkrótce byli przy Lisowskim. Jadący na czele wysoki, młody mężczyzna, okryty ciemną, kozacką burką, z białą papachą na głowie, obrzucił szybkim spojrzeniem poczet rotmistrza i zwrócił się do niego, widać po polskim ubiorze poznawszy w nim dowódcę. - Kto wa×ć jeste× i co tu robisz? - spytał płynną polszczyzną. Lisowski ujrzał twarz o regularnych rysach, nieco ×ciągłych policzkach, lekko garbatym nosie i czarnym, małym wąsie. Ale największą ozdobą tej twarzy były wielkie, ciemne oczy, błyszczące pod czarnymi łukami brwi. - Zwę się Aleksander Lisowski i jako rotmistrz z rozkazu cara Dymitra idę w czterysta koni przeciw Szujskiemu. A ja z kim mam zaszczyt? - Zarucki się zwę, hetman kozacki. - U×miechnął się. - Ja

dopiero idę usługi waszemu carowi ofiarować. - Słyszałem, że w pięć tysięcy koni ciagniesz, mo×ci hetmanie? - Może będzie i tyle, może nieco mniej. - Zarucki u×miechnął się kpiąco. - Nie równać mi się jednak z waszmo×cią, który w czterysta koni przeciw stutysięcznej armii Szujskiego idziesz. Lisowski roze×miał się. - Mnie nasz hetman Chodkiewicz uczył liczyć wroga dopiero na pobojuwisku! Wszakże w polu nie zamierzam mu stawać, jeno transporty niszczyć i podjazdy szarpać. - Zamierzenie godne uznania - przyznał Zarucki, po czym dorzucił: - Chętnie zamieniłbym z waćpanem kilka słów, a i nieco grzanego miodu nie szkodziłoby łyknąć. Zaciszne miejsce znaleźli w pobliżu, pomiędzy chaszczami, Zarucki kazał rozpać ognisko, a kiedy zasiedli przed nim z kubkami miodu, spytał: - Ponoć stoicie pod Orłem, a więc o dzień drogi stąd? - Tak, idźcie nieco bardziej na zachód, a traficie w sam raz. - Dużo ma car przy sobie wojska? - Ponad dziesięć tysięcy, ale wciąż napływają różne watahy, bardziej mi jednak patrzą na zbójów niżli żołnierzy. - A jakież on jest ten Dymitr? Lisowski spojrzał wymownie na Zaruckiego, który coraz bardziej przypadał mu do gustu. - W konfidencji wam powiem: prostak to i grubianin. Zarucki u×miechnął się. - Już to słyszałem, bo wie×ci chyżo biegną. I ponoć tak podobny do pierwszego jak pię×ć do nosa? - O tym trudno mi mówić, bom nie widział tamtego. Ale urodzony Miechowicki, który był sekretarzem pierwszego, a obecnie hetmanuje nad całym wojskiem, obstaje stanowczo, że ten sam jest, któremu na Kremlu służył. - Mówi, bo inaczej przecież nie może, je×li nie chce stracić znaczenia, a zresztą niech ich czort rozeznaje! - Zarucki sięgnął po bukłak i napełnił kubki miodem. - Książ Rożyński listy mnie słał i prosił, abym wsparł samozwańca, zdobycz przy nim obiecując znaczną, tom go usłuchał, bo mir ma w×ród nas, Kozaków. A kraj istotnie rozległy, będzie gdzie hulać... - Otóż to! - przytaknął Lisowski. - Widzę, że

waszmo×ć, hetmanie, równie lubujesz się w wojaczce jako i ja. - A kto i jakie przy Dymitrze sprawuje urzędy? - Jakem rzekł, Miechowicki hetmani, kanclerzem został pan Walawski, człek bystry i głowa przednia, pułkownik Charliński objął godno×ć marszałka. Jeno skarbnikiem ma prostaka, bo urząd podskarbiego dostał niejaki Hryćko, kramarz ze Starodubia. Widać car jego rąk był pewniejszy niż którego× z naszych, czym dowiódł rozsądku, bo istotnie ci, co przy nim się kręcą, rządzić pieniędzmi nie są zdolni, bo nie nawykli ich szanować. - A jak z gotowizną? íółd płaci? - Obiecuje - rzekł ze ×miechem Lisowski - że dopiero w Moskwie dokona wypłaty. Chociaż ja, pełniąc dowództwo nad jego strażą, swoje dostałem. - Ma przecież i inne ekspensa. Z czego je pokrywa? - Chyba ekspensa na szpiegów, bo żywno×ć bierzemy z okolicznych wsi. Wszakże wierne mu miasta dały nieco grosza, a na odporne zamierza nałożyć kontrybucję, kiedy ruszy w pole. - Zatem należy liczyć raczej na własne szable? - Chyba tak, przynajmniej na początku. Z tą nadzieją ciągnie też za nim żołnierstwo. Jam już teraz podjął się i×ć w pole przeciw Szujskiemu, i to bez oszczędzania kogokolwiek, gdyż car uznał, że im bardziej dokuczy ludno×ci, tym większą wzbudzi nienawi×ć do Szujskiego, w nim bowiem będą widzieli głównego winowajcę swych nieszczę×ć. - W taki zatem sposób rozpoczyna panowanie - mruknął ironicznie Zarucki. - Z tego już widać, co to za człowiek. Ale siły dał waćpanu chyba za małe? w czterysta koni za wiele nie zdziałasz. Lisowski u×miechnął się beztrosko. - íółnierz jest przedni, a to główna rzecz! Byle kogo wolałem nie brać. U Szujskiego szlachty mało, głównie hołota i chłopstwo służy, bardziej skore do rozboju niżli do wojaczki. - Sam bym do waćpana z ochotą dołączył, jenó mi nie uchodzi takiej imprezie pierwszeństwo dawać, póki z batiuszką carem nie pogadam, warunków nie ułożę i ugody nie zawrę. Gdyby

jednak znaleźli się ochotnicy, kilka sotni mógłbym waćpanu dać. Mieliby i moi chłopcy uciechę miast gnu×nieć w obozie. - Wdzięcznym będę, mo×ci hetmanie, za takie wsparcie, bom istotnie liczył, że dopiero po drodze bardziej w siły urosnę. Kiedy więc po godzinie rotmistrz, pożegnawszy Zaruckiego, ruszył w drogę, pociągnęło z nim pięć setek jego Kozaków. Poszłoby i więcej, ale hetman na większy ubytek swoich sił nie zezwolił, gdyż pomniejszyloby to jego znaczenie w rychłych pertraktacjach. Wiódł teraz Lisowski wój pułk na Droskowo, również zakazując nagabywania ludno×ci, a następnej nocy stanął pod Czernawą. Tej poniechawszy także, przemknął obok lasami i wreszcie obrócił się ku północy, kierując na Płoskoje. Teraz dopiero uznał, że nadszedł czas wydobycia szabel, tym bardziej, że żywno×ć, którą jego żołnierz miał w sakwach, zaczynała się już kończyć. Dotarł do miasteczka pod wieczór, o pierwszym zmierzchu. Zatrzymał oddział w pobliskim lesie i dał dwie godziny odpoczynku ludziom i zwierzętom, wszakże bez palenia ognisk, potem rozkazał towarzyszącemu mu Jedlinie: - Weźmiesz swoją chorągiew i okrążysz miasto z przeciwnej strony, na co daję godzinę, po czym uderzę. Je×li zdążysz wcze×niej, nie musisz na mnie czekać, za jedno bowiem, kto rozpocznie pierwszy. Nie zabraniaj uciechy z babami, mężczyzn wybij do nogi. Co żołnierze zdołają zabrać w sakwy, niech biorą, ale upomnij, by pamiętali o żywno×ci, więc miasta lepiej nie palić. Nie chcę też zbyt wcze×nie dawać o sobie znać. Ruszajcie! Z panującej w×ród drzew ciemno×ci dochodził pogwar żołnierskich rozmów, parskanie koni, czasami rozlegał się nagły kwik wybuchłej między nimi wa×ni, zabręczała broń. Wkrótce zaczęły ukazywać się w półmroku polany pary jeźdźców i jak wyłaniały się z tej ciemno×ci, tak w niej znów po chwili ginęły. Reszta Kozaków, których Lisowski zatrzymał przy sobie, posiadała z koni i karmiła je z ręki. Gawędy zacichły i



tylko chrobot końskich zębów zakłócał panującą ciszę nieruchomego lasu. Wreszcie rotmistrz dał znak piszczałką. W następnej chwili żołnierze byli w siodłach i niebawem z mroku zaczął wysnuwać się - niby snuta z kłębka nić - długi rząd jeźdźców. Po krótkiej jeździe w zupełnych ciemnościach wyłonili się z lasu na przestrzeń otwartego pola. Blask gwiazd i biały kobierzec niegu rozpraszały dotychczasową ciemność. Wyraźnie więc było widać czarną wstęgę domostw rozciągniętą przed nimi. Miasteczko otaczała linia tynu, ponad który wznosiło się kilka drewnianych baszt. Początkowo Lisowski prowadził żołnierzy po śladach pozostawionych przez oddział Jedliny, ale kiedy spostrzegł, że zaczęły skręcać w bok, porzucił je i szedł już prosto ku czerniejącym coraz bliżej zabudowaniom przedmieścia, rozrzuconym przed linią obronną samego miasta. śnieg leżał cienką warstwą, widać zmieciony wiatrem hasającym po otwartym polu, więc posuwali się szybko i wkrótce, minawszy liczne chałupy podmiejskie, dotarli do wału z palisadą u szczytu. Za nimi trwało jeszcze jazgotanie psów, tu i ówdzie zabłyśły światła łuczywa obudzonych mieszkańców chat. Nie zważali jednak na nie, rozciągając się długim szeregiem przed ciemną ścianą tynu. Kilku ludzi poszło odszukać wjazdową bramę i wiodący ku niej gołciniec. Zaledwie wrócili, dobiegły żołnierzy przytłumione odległością krzyki, huknęło kilka wystrzałów, a niebawem rozległy się uderzenia dzwonu, głuszając te hałasy swym jednostajnym, złowróżbnym dźwiękiem. Miarowy, donośny jego głos rozbrzmiewał niczym pełne trwogi wołanie. świsnęła przenikliwie rotmistrzowa piszczałka i część Kozaków, porzuciwszy wierzchowce, pomknęła z wrzaskiem ku wałom. Niektórzy, bardziej niecierpliwi, wspinali się na wały konno, pokonując stok w siodłach, by potem, stanawszy na nich, wedrzeć się na palisadę. Powitało ich kilka pojedynczych zaledwie

wystrzałów, oddanych pewno przez strażników, i na tym zakończyła się cała obrona. Nie minęło więc i parę pacierzy, jak krzyki napastników rozległy się po drugiej stronie tynu, a wkrótce potem zaskrzypiały rozwierane wierzeje bramy. Runęła w nie reszta oddziału, którą rotmistrz zostawił przy sobie. Połączyli się wnet z towarzyszami i zmieszani z pieszymi pędzili przez miasto z wrzaskiem i z błyskami uniesionych szabel. Niektórzy rzucali się w mroczne głębokie poprzecznych uliczek, by jak najrychlej dopa×ć ofiar i zdobyć. Mimo ostrzeżenia rotmistrza tu i ówdzie wybuchały pożary, zaprószone w zgiełku i tumultcie od nieopatrznie porzuconego łuczywa. Jednak starszyzna kozacka, pomna odpowiedzialno×ci za niewykonanie rozkazu, zaganiała zaraz żołnierzy do ich gaszenia, by nie doszło do spalenia miasta. Kiedy wraz ze zbliżającym się ×witem opadło podniecenie, miasto umilkło, jakby zmęczone doznaną klęską, otepiałe po zadany mu ciosie. Jeszcze tylko tu i ówdzie brać kozacka, dopadłszy gorzałki, raczyła się nią przy ogniskach, na których piekła połacie mięsa. Ale i oni pookręcali się wreszcie w burki i schroniwszy po domach, zapadli w sen. Jednak nie wszystkim rotmistrz dał zaznać odpoczynku. Wysłał w różnych kierunkach kilka nasłuchów, polecając obsadzić skrajne chaty przedmie×cia, pozostawił strażę i na tynach, a dopiero potem ruszył na upatrzoną dla siebie kwaterę, gdzie czekała zagarnięta zawczasu branka, strzeżona przez pacholka. W południe żołnierze zaczęli z wolna wyłazić z domów i chałup, myli się przy studniach, opatrywali wierzchowce, a potem zagnali kobiety do przyrządzania posiłków. Opróżniali zarazem spiżarnie, ładując do sakiew wszelaką żywno×ć. Raptem od południowej strony rozległ się pojedynczy strzał, a chwilę potem przybiegł do rotmistrza strażnik z doniesieniem, że jaki× oddział zbliżył się do przedmie×cia. Odłączyło się od niego trzech zbrojnych i zbliżają się ku bramie, niosąc na kiju

kawał białego płótna. Lisowski kazał ich przyprowadzić i wkrótce stanęło przed nim trzech brodatych mężczyzn odzianych w krótkie kozuchy, baranie czapy, zbrojnych w rusznice, rohatyny i zatknięte za pas siekierki. Jedyne przodujący im brodacz miał przy boku starą szablę, a za pasem parę pistoletów. Zatrzymali się przed rotmistrzem i pokłonili w pas, a ów z pistoletami przemówił: - Pokłon tobie, wielmożny panie pułkowniku! Przychodzimy do ciebie z zapytaniem, czy zechcecie nas wziąć pod swój znak? - Kto jest i wielu was jest? - Zwę się Worobiej, na imię mam Wańka, czyli Iwan, do niedawna za byłem poddanym bojara Kamieniewa. Mam tu jaki taki oddział dzielnych chłopów, również jak i ja uciwnionych przez naszego pana, wiernego sługę cara Szujskiego. Porzuciliśmy okrutnika, co głodem nas morzył i plecy batogiem siekł i do szyszów \* przystaliśmy. Dostrzegliśmy was i widząc, że miasto dobyliście, przybywamy z zapytaniem, czy zechcecie nas przyjąć do siebie. Tak nazywano lewnych rozbójników. - Aby mieszki napęścić? - Lisowski uśmiechnął się, bo chłop z wyglądu mu się spodobał. - Wy, panie, chyba też z pustymi rękami stąd nie odejdziecie. - Wielu was jest? - Mój oddział liczy z pół setki. Ale w pobliżu ze swymi rozłożył się drugi, Bugaja. On także z ochotą by do was przystał. - My konni, jakże za nami nadążycie? - Drogi skrótowe znamy, a w razie potrzeb to i zaczekalibyście nieco na nas, bo w bitce za plecy innych nie chowamy się. Przewodników także dam wam dobrych. - Macie wozy? - Jest kilka, ale te w niczym zawadą nie będą. A jak trzeba będzie rannych podwieźć, mogą okazać się przydatne. - U mnie rygor wojskowy. Za opieszałość czy tchórzostwo precz gonię, a za nieposłuszeństwo grozi stryczek! - Jam smakował już wojaczki w bojarskich szeregach i obyczaje wojenne znam, wielmożny panie... - Zgoda, możecie do nas przystać. Przyprowadź ludzi i

rozkwateruj po mieście. Co zostało po moich, możecie brać, a zostało sporo, bo idziemy bez taborów i mało co bierzemy. - Dzięki ci, panie - z rozradowaną twarzą wykrzyknął Worobiej. Wszyscy trzej złożyli znów głębokie pokłony. Pod wieczór około stu brodatych, byle jak odzianych i uzbrojonych chłopów przybyło do miasta i na nowo rozpoczęło rabunek, rzucając się przede wszystkim na odzież i broń. Nie ufając zbyt przybyszom, rotmistrz wyznaczył im na kwatery oddzielną część miasta i od tej strony również kazał ustawić posterunki. Po drugiej nocy odpoczynku wskazał chłopom kierunek dalszego marszu, a sam wyruszył rankiem. Kiedy dotarł pod Krasnoje, długo na swoją piechotę istotnie nie czekał, bo tamci wyszli wcześniej od niego i teraz razem uderzyli na miasteczko. Po splądrowaniu kazał je podpalić, potem ruszył dalej, pałac następnie Dankow. Łuny tych nocnych pożarów barwiły czerwienią niebo, wznecając popłoch w okolicznych wsiach, a wieść o nich dotarła do wojewody rizańskiej ziemi, którym z ramienia cara był książę Chowański. Przebywając w Riazaniu książę nakazał stamtąd łopunowowi, oblegającemu w tym czasie wierny samozwańcowi Prońsk, by poskromił owe - jak wówczas przypuszczał - chłopskie bandy. Toteż czata zwiadowcza Lisowskiego natknęła się niedaleko Skopina na przednią straż części wojska wysłanego przez łopunowa, który ciągnął w tyle, wykonując otrzymany rozkaz. Lisowski, otrzymawszy meldunek, domyślił się od razu, kogo ma przed sobą, ale nie wiedział, z jaką siłą przyjdzie mu się zmierzyć. Zatrzymał więc chorągwie w lesie, do czasu aż wysłani przez Worobieja ludzie nie przyniosą mu wiadomości. Wkrótce dowiedział się od nich, że ma przed sobą pułki wysłane przez łopunowa spod Prońska, lecz podawane siły, jak zwykle w takich wypadkach, były bardzo różne. Mimo tych rozbieżnych wiadomości rotmistrz, tytułowany już od pewnego czasu pułkownikiem,

pewny swoich ludzi postanowił nie unikać bitwy, przysunął się więc bliżej skraju lasu i czekał. Wkrótce ujrzeli ową straż przednią, o której doniósł zwiad. Szła spokojnie, widać nie dostrzegłszy uprzednio wrogich zwiadowców, gdyż Kozacy nie gorzej od Tatarów umieli wykorzystywać wszystkie osłony terenu. Kiedy zbliżyli się na tyle, że mogli dostrzec ukrytych między drzewami jeźdźców, Lisowski skinął na najbliższe chorągwie. Wysforowały się do przodu i popędziły ku zaskoczonemu tym atakiem oddziałowi moskwiczów. Ich dowódca, widząc przewagę nacierających, zawrócił konia i pociągając za sobą swoich ludzi, rzucił się do ucieczki. Kozacy dogнали ich jednak szybko i siekli co powolniejszych. Lisowski postanowił na karkach przedniej straży zaatakować siły główne, ruszył więc do walki z resztą swoich żołnierzy. Kozacy nie szli rozciągnięci w linię, jak zwykli to czynić husarze czy pancerni, ale zwartą grupą, gdyż dosiadając lekkich koni, mogli w ten sposób skuteczniej uderzać na nieprzyjacielskie szeregi. Pędząc za uchodzącą strażą, ujrzeli niebawem przed sobą wojsko idące w szyku marszowym. Nadjeżdżająca z bitewnym krzykiem konnica wywołała wśród maszerujących szeregów popłoch, rozległy się wrzaski rzucanych w podnieceniu rozkazów, oddziały zaczęły rozciągać się w bojową linię, ale nie zdążyły jej sformować, gdyż żołnierz nie był należycie wyćwiczony, a i czasu na to zabrakło. Wprawdzie konne oddziały zdołały częściowo wyrwać się do przodu, lecz i one przystąpiły do walki luźnymi grupami, więc od razu zostały zmiecione i Kozacy, nie tracąc rozpędu, wpadli na piechotę. Szybkie ciosy szabel spadały na nieporadnie broniących się moskiewskich wojowników, bo lud, wzięty nieomal wprost od pługów, wprawy w rzemieślniczym wojennym nie miał. Toteż wkrótce zaczęli rzucać broń i w ucieczce szukać ratunku. Rozproszeni próbowali kryć się w pobliskich chaszczach lub biegli ku taborowym wozom, by

odgrodzić się nimi od ×miertelnych ciosów. W godzinę cała kolumna marszowa została rozbita, rozproszona po polach lub wysieczona. Lisowski wstrzymał pogoń za umykającymi piechurami, bo uznał, że nie warto dla nich męczyć koni, kazał natomiast przyprowadzić jeńców i dowiedziawszy się od nich o oblężeniu Prońska, ruszył w dalszy pochód. Jechał na czele, w towarzystwie Jedliny i poruczników Kalinowskiego i Rogowskiego. Po chwili zwrócił się do nich z pytaniem: - Jak waszmo×ciowie sądzicie, czy nie pokusić się nam o rozerwanie tego oblężenia? - Warto by - przyznał Kalinowski. - Miasto zawarło przed t'opunowem bramy, opowiedziawszy się po naszej stronie. Należy przyj×ć im z pomocą. - Jeńcy mówili, że t'opunow ma przy sobie ponad dziesięć tysięcy żołnierza, my za× mało co więcej niż tysiąc - odezwał się Rogowski. - Urwali×my bowiem co nieco z tych tysięcy - rzekł ze ×miechem Jedlina. - Większo×ć ×ciągnie z powrotem pod Prońsk, ale to nie szkodzi, bo nie przyczynią się do podniesienia ducha, zaznawszy porażki - zauważył pułkownik. - A zatem mówcie, kto przeciwny, niech poda swoje racje. - Przeciwnych chyba nie będzie, bo×my tacy sami pomyleńcy jak i nasz dowódca - ironicznie i bez większego respektu rzucił Rogowski, który pozwalał sobie na takie uwagi, gdyż sprawno×cią bojową i odwagą nie ustępował Lisowskiemu. - Ja także do rozprawy chętnie rękę przyłożę, ale radzę wprzód dobrze owego t'opunowa obwąchać, gdyż owi ciemni chłopci, co×my ich przepytawali, zapewne sami dobrze nie wiedzieli, wielu ich jest i jak zostali rozmieszczeni. - Za gołowąsa mnie wa×ć uważasz, że takie rady dajesz? - prychnął pułkownik podrażniony ironiczną uwagą porucznika. - Skoro× jednak z tym wyskoczył, weźmiesz na noc ochotnika i odpowiesz na te pytania! Następnego dnia zaraz po południu dotarli w okolice Prońska. Prowadzeni przez ludzi Worobieja nie opu×cili lasu, strzegąc się ujawnienia swojej obecno×ci.

Lisowski zarządził postój. Rozsiodłano konie, by same szukały pod ×niegiem lichej, zimowej trawy, a jeźdźcy zabrali się do rąbania jodłowych gałęzi na szałas. Podług relacji przewodników miasto leżało na niedużym wzniesieniu nad Pronią, która wszakże nie miała błotnistych brzegów i była łatwa do przebycia, zwłaszcza obecnie, kiedy skuł ją lód. Przed wieczorem porucznik Rogowski, dobrawszy dwudziestu ludzi i przewodnika, wyruszył na zwiadowczą wyprawę. Wrócił z niej nad ranem nie poniosłszy strat, prowadząc czterech jeńców. Relacje ich były zgodne. Wojska t'opunowa otaczały miasto trzema grupami, artylerii mieli mało i lichą, bo wszystkiego osiem bombard mocno już leciwych. Miasto i obronny gród leżały na północnym brzegu i tam też zajmowały pozycje dwie grupy mając pięć armat, podczas gdy na południowym brzegu rozłożyła się trzecia grupa z trzema pozostałymi bombardami. Jeńcy zgodnie szacowali liczbę wojska na dziesięć tysięcy żołnierza, a Rogowski, który policzył ogniska na południowym brzegu, uważał tę liczbę za prawdopodobną. Pułkownik medytował nad planem napa×ci rozpatrując różne możliwo×ci. Po południu za× zebrał co znaczniejszych oficerów w swoim namiocie. - Mówić zamierzam krótko - rozpoczął. - Chcę zmusić Moskali do poniechania oblężenia, ale że są od nas silniejsi dziesięciokroć, o wydaniu bitwy nie może być mowy. Pozostaje więc tak długo szarpać wojska t'opunowa, aż zaniecha zdobywania Prońska. - Spodziewacie się, mo×ci pułkowniku, zmusić go do odstąpienia? - wyraził wątpliwo×ci Idzi Kalinowski. - Nie o×mieli się chyba powziąć takiej decyzji wobec otrzymanych rozkazów... To naraziłoby go na gniew Chowańskiego, a co gorsza, na carską niełaskę. Wątpić więc należy, by dał się wygnać spod miasta. - Jakże tedy pozostanie mu wyj×cie? - spytał Jedlina. - Bez przerwy czuwać po nocach i z wolna tracić powierzone wojsko? To już

raczej pokusi się, by wciągnąć nas w zasadzkę i rozbić. - Tak łatwo mu to nie przyjdzie... - mruknął Lisowski. - Przedniej chydro×ci musiałaby to być pułapka, żebym dał się w nią złapać... A zatem słuchajcie, waszmo×ciowie, rozkazów: Skoro bitwa z całymi siłami t'opunowa jest niemożliwa, uderzymy na oddziały, które stoją po tej stronie rzeki. Ruszymy rozdzieleni na dwie grupy. Rzecz prosta prócz piechoty, bo ta na taką imprezę za powolna. Worobiej weźmie kozackie rusznice, gdyż w ataku są nam zbędne, i zasiądzie na drodze naszego powrotu. Gdyby po×cig był zbyt gorliwy, powstrzyma go ogniem. Jedną grupę powiodę ja, drugą mo×ci Bobrow - zwrócił się do dowódcy Kozaków Zaruckiego. - Rozdzielimy się od razu w obozie. Po bitwie powrót po własnych ×ladach. - A strażę? - spytał Bobrow. - Może wysłać zwiad, by je uprzątnął? Mam u siebie takich specjalistów. - Nie trzeba. Nawet kiedy postawią wojsko na nogi, sprawić się nie zdążą, bo my będziemy szybsi. Kiedy zabłysły pierwsze gwiazdy, chorągwie podzieliły się i niby dwa warkocze, rozwijane z jednej głowy, szły rozciągnięte w długi rząd jezdnych. Prowadzony przez przewodnika oddział Lisowskiego wkrótce skręcił i posuwał się teraz z coraz większą ostrożno×cią. Noc nie była ciemna, bo choć na niebie brakło księżyca, to jednak mrowie gwiazd mżyło po×wiatą, a biel ×niegu jeszcze bardziej poprawiała widoczno×ć. Pierwsi jeźdźcy musieli przecierać szlak, więc czoło zmieniało się co jaki× czas. Szli brzegiem rzeki. Rosły nad nią wierzby i krzaki łożyny, osłaniając ich przed zbyt wczesnym wykryciem. Iskierki ognisk, migające gdzie× w ciemnej przestrzeni nocy, początkowo małe, zaczęły z wolna stawać się coraz większe i ujrzeli niebawem majaczące poza nimi czarne kontury pierwszych zabudowań przedmie×cia. Punkty ognisk ciągnęły się szerokim pasem, który urywał się w oddali, przesłonięty zaro×lami i ×cianami budynków. Lisowski, jadąc na czele



grupy, starał się z ich położenia rozeznaczyć rozlokowanie moskiewskich wojsk. Kiedy rozważał właśnie kierunek i miejsce ataku, zza jednej z pobliskich wierzb wyskoczyło dwóch jeźdźców i obróciwszy konie pognało w stronę obozowiska. Jadący za nim świrski wyrwał z sajdaka łuk, mignęła strzała i jeden z uciekających zwał się na ziemię. Drugi zdążył jednak pociągnąć za spust swojej rusznicy. Gruchnął strzał, głosem gromu rozlegając się ponad polami. Pułkownik wyszarpnął szablę i poderwał chorągwie do ataku. Śnieg, ubity w pobliżu obozowiska licznymi ładami kopyt i płozami sań, pozwalał na rozwinięcie pełnej szybkości. Światła ognisk zaczęły rosnać w oczach. Przebyli bez trudu niedbale usypany wał ziemny i wkrótce dotarli do ziemianek i szałasów tratując je końmi. Wypadali z nich przerażeni napadem żołnierze, inni, zerwawszy się od ognisk, biegli chwycić za broń, której jednak nie zdążyli ująć cięci kozackimi szablami. Niby czarne biesy wyrwane z piekielnych czeluści skakali Kozacy przez ogniska, rozsypując snopy iskier, i w pełnym biegu, z niezwykłą sprawnością dosięgali ostrzami uciekających piechurów, którzy w nocnym mroku usiłowali znaleźć ratunek. Miotali się ogarnięci trwogą, aby tylko ująć napastnikom, którzy niby wilki w owczej zagrodzie grasowali wśród nich. Zataczali wierzchowcami koła i w poszukiwaniu nowych ofiar uderzali na każde większe skupisko, aby nie dopuścić do sformowania się obronnej grupy. Pracowali tak już dłuższy czas, zagłębiając się coraz bardziej w teren nieprzyjacielskiego obozu, kiedy głos piszczałki nakazał zakończenie walki. Pułkownik bowiem uznał, że zamierzony cel na dzisiejszą noc już osiągnął, nie należało więc zbytkiem brawury narażać życia żołnierzy. Niebawem, już sformowani, szli własnym tropem ku obozowi. Konie parowały mocno, toteż nad oddziałem unosiła się zwiewna mgła, żołnierze dyszelili jeszcze

z wysiłku, ocierając spocone mimo mrozu twarze. Po×cigu nie było, więc rozciągnięci w długi rząd jechali nie ×piesząc. W pół drogi minęli zaległych chłopów Worobieja, jak stwierdził pułkownik, dobrze ukrytych w ×nieźnych zaspach i za krzakami łożyny. Wkrótce po nich wrócił do obozu i Bobrow, także prawie bez strat, gdyż miał tylko pięciu rannych, przeciwnik bowiem i z tej strony dał się zaskoczyć. Następna wyprawa nie była już jednak tak łatwa, gdyż gę×ciej rozstawione i czujne straże udaremniły zaskoczenie. Ale sprawno×ć bojowa lisowczyków i szybko×ć, z jaką uderzyli, i tym razem pozwoliła na zadanie nieprzyjacielowi dotkliwego ciosu, ten wszakże został okupiony większymi teraz stratami. Mimo to pułkownik ruszył i na trzecią wyprawę, tym razem na owo skupienie łopunowowych wojsk rołożonych na północnym brzegu rzeki. Spotkał się wprawdzie z mniejszym oporem niż poprzednich nocy, ale i tu widać liczone się z napadem, bo po raz pierwszy poszedł za uchodzącym napastnikiem po×cig. Przewyższał lisowczyków i liczbą, i wypoczętymi wierzchowcami, więc zaczął zbliżać się coraz bardziej. Sytuacja stawała się niebezpieczna, lecz na czas jeszcze przemknęli przez linię chłopskiej piechoty Worobieja. Ten za× umiejętnie przepu×cił uciekających, a potem powstrzymał po×cig dwiema salwami. Drugi oddział chłopskiej piechoty, dowodzony przez Bugaja, tak samo wspomógł Bobrowa. Oцениwszy położenie pułkownik postanowił przerwać na jaki× czas akcję, by u×pić nieco czujno×ć przeciwnika, tym bardziej, że trzeba było zatroszczyć się o żywno×ć, której zaczynało brakować. W czasie kiedy pan Lisowski tak wojował, do obozu pod Orłem przybyli posłowie kniazia Jana Romana Rożyńskiego, by wstępnie omówić z carem Dymitrem warunki służby. Książę początkowo przebywał w Czerniejowsku, potem ruszył do Nowogródka, skąd na czele czterech tysięcy żołnierzy

pociągnął dalej i stanął obozem w Kromach, odległych od obozu Dymitra o sześć mil. Stamtąd pojechało liczne poselstwo, które imieniem księcia oznajmiło jego przybycie i żądało ustalenia warunków służby jak i wypłaty pieniężnej zaliczki. Rożyński był ostatnim potomkiem rodu Gedymina, znanym z talentów wojskowych. W tej sytuacji pan Miechowicki czuł się zagrożony w swej hetmańskiej funkcji, gdyż księżę nie uznałby nad sobą żadnego zwierzchnika, a zwłaszcza zwykłego szlachcica. Robił więc co mógł, by nie dopuścić w pobliże cara niebezpiecznego konkurenta. Skutkiem jego przestroóg, a także i pomówień Dymitr stawał się coraz bardziej nieufny wobec tego sojusznika, Miechowicki ostrzegał go bowiem, że kniaź usunie go z czasem i sam będzie usiłował sięgnąć po koronę. W takich okolicznościach przybyło owo poselstwo. Pan Walawski jako kanclerz odpowiedział na powitanie, po czym zabrał głos sam Dymitr mówiąc po rusku: "- Rad byłem, kiedym się dowiedział, że Rożyński idzie, ale gdy mam wiadomości, że mi na przeszkodzie stoi, wolałbym, aby się wrócił. Posadził mnie Bóg pierwaj na stolicy mej bez Rożyńskiego i teraz posadzi, a że wy się hroszy domagacie, mam ja tu niemało tak dobrych jak i wy Polaków, a jeszcze im nie dałem. Zbiegłem ja ze stolicy mojej, od miłej małżonki mojej, od miłych przyjaciół moich, nie tylko tak mnoho hroszy, ale i deży z sobą nie wzięwszy. A kiedyście swoje koło mieli na ledzie pod Nowogródkiem, pytaliście się, czy ja jestem ten czy nie ten, a ja z wami w karty nie grywał..." Po tym przemówieniu posłowie wybuchnęli gniewem, już bez ogródek wołając, że nie ten on, za którego się podaje, bo tamten umiał rycerskich ludzi szanować i tak by nie przemówił! Oni zaś po powrocie powiedzą panom braciom, czego mogą od owego cara oczekiwać, a tamci będą już wiedzieli, co dalej trzeba czynić! Kiedy jednak wzburzone poselstwo wróciło na kwaterę,

przybiegł posłaniec Dymitra, prosząc jego imieniem panów posłów na obiad, aby wyjaśnić i w niepamięć puścić owo nieporozumienie. Domyślając się, kto był inspiratorem carskiej mowy, posłowie, powodowani chęcią przeciwdziałania intrygom wymierzonym przeciw kniaziowi, postanowili zaproszenie przyjąć, by incydentu nie zaognić - co byłoby na rękę panu Miechowickiemu - wręcz przeciwnie, dążyć do jego załagodzenia. Obiad odbył się więc w przyjacielskiej atmosferze, ale relacja złożona po powrocie do Kromów wywołała gniew rycerskiej braci, która zaczęła coraz gwałtowniej domagać się powrotu do Polski. Jednak przybyli na własną rękę niektórzy dworacy z otoczenia Dymitra starali się te wrogie nastroje ułagodzić, obiecując, że wszystko da się załatwić, jeśli książę osobiście zechce porozumieć się z Dymitrem. Posłuchał więc rady Rożyński i przybył do Orła w asyście dwustu husarzy i trzystu pięćdziesięciu piechurów, następnego dnia zjawił się carski posłaniec z zaproszeniem "do carskiej ręki". Zdarzył się jednak nowy incydent, kiedy książę wraz z orszakiem był w drodze do carskiej kwatery. Spotkał go wówczas następny posłaniec z prośbą o wstrzymanie przybycia, gdyż car zażywa właśnie kąpiele, a nie chce, by na niego czekano. Rożyński zignorował jednak tę prośbę i jechał dalej, a na miejscu kazał sobie wskazać poselską komnatę. Tam spotkał się z protestami dworaków, którzy żądali, by opuścił salę, ale książę był nieustępliwy i Dymitr musiał wejść w jego obecności. Szedł zatem car ku swojemu krzesłu, lecz odwracał głowę, by nie patrzeć w stronę księcia i jego orszaku. Kiedy jednak już usiadł, witał go pan Rożyński przemową, a potem ucałowaniem ręki, co następnie czynili i członkowie jego poczty. Po tym powitaniu prosił car wszystkich do stołu. Siadł z kniazem przy osobnym, u innych zajęli miejsca pozostali obecni. Rożyński, nie dając się zwieść wystawnością

przyjęcia, żądał rozpoczęcia konkretnych rozmów, spotkał się jednak z odwlekaniem sprawy. Minał dzień, potem drugi i jeszcze kilka, a termin narady ciągle był odkładany. Książę dał więc rozkaz do opuszczenia Orła. Piechota już wyruszyła, a husaria właśnie dosiadała koni, kiedy przylecieli polscy dowódcy z Dymitrowego otoczenia prosząc, by książę jeszcze dzień zechciał zaczekać, a oni na jutro zwołają rycerskie koło, by uradzić, co w tej sytuacji czynić nadal. Obiecywali przy tym zrzucenie Miechowickiego z hetmaństwa i oddanie dowództwa w książęce ręce, a w razie oporu cara - wymówienie mu służby. Rożyński ostatecznie zgodził się na zwłokę, ale wojska nie zawracał, a zatrzymawszy go na przedmieściu, tam przenocował. Następnego dnia koło odbyło się istotnie. Pan Miechowicki został na nim nie tylko pozbawiony hetmańskiej godności, ale wraz z kilku innymi usunięty z grona żołnierskiej braci, a na jego miejsce wodzem obrano księcia Jana Rożyńskiego. Wiadomość o zaszytych zmianach przesłano natychmiast carowi domagając się nominacji, jeżeli chce, aby zebrani w kole nie uchwalili poniesienia jego sprawy. Samozwaniec zdecydował się więc na osobiste przybycie do koła, co spowodowało burzę okrzyków trudnych do rozeznania - powitalnych czy wrogich. Car wszakże przyjął je za wrogie, a nawet zrozumiał jako przeczące jego carskim prawom, zawołał więc z gniewem: "- Cytte skurwysyny który niecnota, kto przyjechał? Muskitin przyjechał!" Rycerze, upomnieni przez księcia, by nie zabierali głosu, jemu pozostawiając rozmowę z carem, zamilczeli obelgę. Z kolei Rożyński nakazał jednemu ze swoich oficerów wygłosić w jego imieniu powitalne przemówienie, następnie za Dymitra począł mówić jeden z bojarów, ale że dukał i jąkał się, rozdrażniony car kazał mu zamilknąć i sam ciągnął dalej: "- Przysłaliście do mnie, abym wiernych sług moich, którzy mnie w czym przestrzegają, wydał i mianował -

nigdy na to monarchom moskiewskim nie przyszło, aby wiernych sług swoich, którzy im w czym przestrzegają, wydawać mieli i ja tego nie tylko dla was, ale by Bóg sam z wysokiego nieba zstąpił i to uczynić rozkazał, tego ja nie uczynię!" Teraz już rycerstwo nie wytrzymało i zaczęło wołać ze wszystkich stron: "- A cóż ty wolisz, czy tych mieć, którzy cię pokątnie językiem przysługują, czy to wojsko, coć przyszło zdrowiem i szablą służyć?!" Dymitr jednak nie ustępował: "- Jak sobie choticie, to idzicie!" Na to o×wiadczenie rozległy się wrzaski i przekleństwa. Carska eskorta pochyliła halabardy i trącając drzewcami zbyt rozgorączkowanych, odsuwała ich od carskiego wierzchowca. Odezwały się i okrzyki: - Ubić szalbierza! Rozsiekać! W dyby z nim! Skurwysynu, szalbierzu, zwiodłē× nas i jeszcze niepoczciwie gadasz! Dymitr zachował jednak zimną krew. Tracił konia i już nie zatrzymywany opu×cił koło. Wrócił na kwaterę, wokół której ustawiono zaraz strażę, ale po to, by nie zezwolić na ucieczkę samozwańca. Jednak on o niej nie my×lał, bo zaraz kazał podać gorzałki, którą pił przywoławszy co wierniejszych towarzyszy, dopóki nie zwałił się na posłanie zmożony trunkiem. Książ Rożyński także wrócił na swoją kwaterę i choć nie w desperacji, lecz rozeźlony ponad wszelką miarę. A że w gniewie był straszny, przeto schodzono mu z drogi, nie ×miąc nawet odezwać się słowem. Skłonny do wybuchów zło×ci, obecnie był tym groźniejszy, że milczał, a tylko ogień, błyskający w jego niemal bezbarwnych źrenicach, i ceglaste plamy na policzkach, doradzały dworakom nie nasuwać mu się na oczy. Wysoki z natury wydawał się jeszcze wyższy w długiej, sięgającej stóp szubie. Wkroczywszy do komnaty rozpiął guzy i cisnąwszy szubę na ziemię, wrzasnął na pacholka: - Gorzałki, gnojku! Wej×ć z nim do komnaty o×miał się tylko jeno najbliższy towarzysz i powiernik, rotmistrz Pieniążek, mąż niezwyklej siły. Już rozdzielony z

kożucha i bez szabli zbliżył się do księcia. Ten spojrzał na niego z ukosa i warknął: - I co na to rzekniesz? Skurwysynami szlachecką brać nazwał! - Było mi dziwno, mo×ci księżę, że× to zmilczał... - mruknął Nikodem Pieniążek. - Gdybym nie zmilczał, do siebie obelgę bym przyjął! A po drugie, skoro krzyczało rycerstwo, mnie nie uchodziło w te wrzaski się mieszać. Owo zmilczenie pozwoliło mi nie podejmować decyzji, do czego inaczej byłbym zmuszony... - Zamilkł na chwilę a potem dorzucił: - W gniewie lepiej jej nie podejmować... Zdawał się już być nieco spokojniejszy, choć nadal szybkimi krokami przemierzał komnatę, jak zwykle z głową przechyloną na ramię. Wszedł pacholik i drżącymi ze strachu rękami stawiał na stole dzban z gorzałką i kubki. Rożyński nalał sobie do pełna i wychylił od razu. - Uff... zgniewał mnie psubrat! - Wskazał towarzyszowi dzban. - Pij, dobrze zrobi i tobie. Lubił kniaź Rożyński trunek i często to upodobanie zaspokajał. Nie tracił jednak nigdy przytomno×ci do końca, a jego dworacy mówili, że im więcej pije, tym bystrzej my×li. - Co teraz...? - spytał rotmistrz napełniając sobie kubek. Kniaź u×miechnął się jedną połową ust. - Wypijemy po drugim... - I trzeci niewiele pomoże. Co zamierzasz? - Ostawię oszusta samego. A je×li odejdę, to i ci, co przy nim, także go opuszczą. - A potem? - No cóż, powojujemy na własną rękę. Wiosny tylko patrzeć, to i w pole można będzie ruszać. - Dobrze i to - przyznał rotmistrz. - Ale pod carskim godłem byłoby polityczniej... Zawszeć byłaby to służba w sprawie, a nie rozbójnictwo... Korzy×ć za× ta sama. Rożyński już nie odpowiedział, bo wpadł pacholik meldując, że przyjechali carscy pułkownicy i o przyjęcie proszą. - Niech wchodzą! - zawołał księżę, sam kierując się ku drzwiom, za którymi rozległy się głosy i brzęk ostróg. Jakoż po chwili weszli do komnaty księżę Adam Wi×niowiecki, Konstanty bowiem nadal przebywał w moskiewskiej niewoli, a za nim

pułkownicy Walawski i Charliński. - Czołem, waszmo×ciowie, witajcie! - zawołał na ich widok książę. - Chętnie was widzę, bo×cie jeszcze smrodem tego przybłądy nie przeszli. - Czołem, mo×ci książę, czołem! Uznali×my, że należy uradzić, co dalej czynić, dlatego nie zwlekając po×pieszyli×my do was. - Sercem was witam, ale rady żadnej nie widzę. Takiemu gnojkwowi służyć za ujmę sobie i rycerstwu bym poczytywał. - Siadajmy, panowie, na stojąco dobrze się nie gada - z udaną swobodą zaproponował książę Adam. - Tuszę, że przecież jako× rzecz da się ułagodzić. Książę Rożyński wołał więc znów pachołka i przykazał donie×ć kubki i trunków, a także i mięsiwa dla posilenia się. Wkrótce więc przepili do siebie i krając każdy swoim nożem podane mięsa, zaczęli debatować, co robić w powstałej sytuacji. Go×cie przybyli z wyraźnym zamiarem załagodzenia sporu i skłonienia kniazia do pozostania w obozie. Ten początkowo oponował, ale czy to pod wpływem trunku, który skłaniał ku bardziej ugodowemu nastawieniu, czy też wskutek argumentacji przybyłych, do×ć że z wolna mniej ostro mówił i widać było, iż zaczyna się wahać. Zapewne też i owa krótka wzmianka Pieniążka, rzucona przed przybyciem delegatów, musiała trafić mu do przekonania. Sumując rozmowę, pułkownik Walawski powtórzył innymi słowy uprzednią opinię rotmistrza: - Możecie, mo×ci książę, liczyć na nasze głosy i szable, ale lepiej chyba Dymitra popierać jako pokrzywdzonego cara niżli, samemu grasując po kraju, na miano rozbójnika się narazić. A wracać do siebie z pustymi rękami nikomu nie ochota... Zbyt bowiem duże ponie×li×my na tę wyprawę ekspensa, by jej poniechać. Książę milczał chwilę, po czym, uniósłszy na pułkownika spojrzenie swych bezbarwnych oczu, powiedział: - Niechże zatem będzie, jak proponujecie. Ostańcie przy swoich godno×ciach, my za× zostaniemy w obozie, z tym wszakże, że w pole pod niczyją



komendą nie wyjdę. A zaś - obaczym. .nv Dymitr wyraził zgodę na takie chwilowe porozumienie, tłumacząc się, że owe obraźliwe słowa kierował do swoich strzelców. Wrócił więc książę Rożyński na resztę zimy do Kromów, by przy pierwszych promieniach wiosennego słońca pociągnąć z całym wojskiem pod Orzeł. Miasto jednak wkrótce spłonęło, więc i Dymitr zjawił się we wspólnym teraz obozie. Tam zaczęły dochodzić wieści, że car Wasyl z ogromnym wojskiem nadciągnął pod Bołchów, dokąd napływają do niego wciąż nowe posiłki, dowództwo zaś nad tą armią powierzył swemu bratu Dymitrowi. Lisowski, grasując wokół osoby Łopunowa, zdawał sobie sprawę, że w miarę dokonywanych napadów nawet najmniej domyślny dowódca odkryje wreszcie miejsce jego obozowania. Chwilowo lekceważył sobie wszakże to niebezpieczeństwo, toteż nie ustawał w dokonywaniu rozbójniczych wypraw. Należało jednak oczekiwać jakiegoś bardziej zdecydowanego działania Łopunowa, zmierzającego do pozbycia się natrętnego napastnika, a sił do tego miał dość. Skutkiem tych rozważań pułkownik postanowił zwinąć obóz i przenieść się w inne miejsce. Poderwał więc pułk, przeszedł po lodzie rzekę i okrążywszy w ciągu jednej nocy stanowiska wojsk Łopunowa, zapadł w lesy gęszcz od ich północnej strony, miało lokując się bliżej Riazania. Jak się potem dowiedział, uczynił to w samą porę, bo w kilka dni po jego odejściu ruszyła silna ekspedycja przeczesując las, w którym niedawno obozował. Obecnie, organizując nowe wyprawy przeciw oblegającym broniący się wciąż Prońsk, obrał inny sposób napadów. Poniechał ataków całymi siłami, a utworzył z Kozaków Bobrowa kilka małych grup, najwyżej po sto koni, i kolejno co noc wysyłał je do akcji. Owe grupy skradały się niby lisy do kurnika, sprzątały po cichu strażę, uderzały zniemacka siejąc zamieszanie i popłoch, a potem, nie wdając się w

dłuższą potyczkę, umykały w pole. Jak zwykle ruszał za nimi pościg, za każdym razem równie żarliwy, ale napotykał zaciekłego z pełnymi siłami Lisowskiego. Mimo wielkiej przewagi ścigających ani razu nie udało się im pokonać tej zapory i sami z kolei musieli w ucieczce szukać ratunku. Tak więc owe wojenne igraszki trwały bez przerwy. Dziwną przeto zaczęła się stawać dla żołnierskiej braci owa uporczywość nieprzyjaciela, który mimo doznawanych za każdym razem strat wciąż, niby w otumanieniu, ponawiał próby pokonania napastników. Zdawać by się mogło, jakby to opunow w ten sposób chciał karać swoich ludzi za ich nieudolność bojową lub być może spodziewał się, że wreszcie wojenne szczęście przechyli się na jego stronę i zdoła zniszczyć nieuchwytnego przeciwnika. Jednak pułkownik widział w tym tylko ślepotę zawziętość człowieka, który na nic nie bacząc, trzyma się swego zamiaru. Na takich podchodach i walkach przeszła reszta zimy. Spoza szarej powłoki chmur coraz częściej zaczęło ukazywać się słońce, mróz folgował, nastaly pierwsze dni odwilży, śnieg lepił się do końskich kopyt, które grzęzły w zalegającym spodem błocie, co nie sprzyjało szybkim marszom i atakom. Wierzchowce na rozmokłym gruncie męczyły się ponad miarę, więc Lisowski postanowił nieco pofolgować nieprzyjacielowi. Ale wtedy właśnie jeden ze zwiadowców doniósł mu, że to opunow zwija oblężenie i odstępuje od Prońska. Radość zapanowała w obozie. Wśród starszyzny zaczęły krążyć kubki, wieszowano dowódcy, który także radował się z sukcesu, nie wiedząc jednak, że dopiero teraz czeka go najcięższa próba i największe niebezpieczeństwo. Poniechanie bowiem oblężenia nastąpiło nie tyle skutkiem jego działania, co z rozkazu cara Wasyla, by okoliczni wojewodowie wsparli jego armię swoimi siłami. Szedł on w kierunku Bołchowa, by tam, zebrawszy wiele się da wojsk, rozgromić samozwańca. Książ Chowański widząc więc trudne

położenie, w jakim znalazł się t'opunow, który tracił żołnierzy z powodu ciągłych napa×ci jakiego× zuchwałego awanturnika, posłał go w sukurs carowi, sam za×, posiadając znaczne jeszcze siły, postanowił rozprawić się wreszcie z owym ×miałkiem. A był to zgoła innej miary wódz niż mała obeznany z rzemiosłem wojennym t'opunow. Lisowski wkrótce dowiedział się od pojmanych jeńców, kto jest jego nowym przeciwnikiem, ale nie zdołał ustalić, wiele wojska miał pod sobą wojewoda. Zdarzyło się za× niedługo potem, że i jego zwiad dał się wciągnąć w zasadzkę, tracąc kilku ludzi pojmanych na arkana przez napastników, którymi okazali się Tatarzy. Pułkownik poniechał więc dotychczasowego miejsca postoju i pociągnął na Michajłów. Ograbił go doszczętnie, a potem spalił, rzucając w ten sposób niejako rękawicę nowemu przeciwnikowi. I tak zaczęła się ta kilkumiesięczna wojna pomiędzy dwoma godnymi siebie wodzami, pełna zasadzek, podstępów, nagłych napa×ci i szybkich ucieczek, niby odyńca groźnego siłą a dopadającym go ogarem. Stała się ona potem nieomal legendą snutą przez opowie×ci żołnierskie. Lisowski co pewien czas czynił lustrację obozu, by zachować w nim porządek, do czego nawykł jeszcze w czasie służby pod Potockim. Tego dnia beształ wła×nie jednego z setników kozackich za resztki strawy, wyrzuconej z kotła pomiędzy szałasami, kiedy dostrzegł, że w×ród chłopów siedzących przy pobliskim ognisku dwóch ma na głowach spiczaste, tatarskie kołpaki. Zaciekawiony zbliżył się ku nim i palcem przywołał ku sobie. Zerwali się wystraszeni i pochyłili w pokłonach. Wskazał na kołpaki, które trzymali w rękach. - Skąd je macie? Chłopi, coraz bardziej wystraszeni, spojrzeli po sobie, ale żaden nie zdobył się na odpowiedź. - Języki wam w gębach zamarzyły? Gadać, psie syny! - Ustrzelili×my Tatarów... - wyznał wreszcie ×mielszy. - Przecież ostatnio nie chodzili×cie na wyprawy? Gdzie×cie ich dopadli? -

Polowali×my, ba~tku atamanie... I podwinęło się kilku. - To na własną rękę, psy przeklęte, w las chodzicie?! My kryjemy się jak zające, a wy z rusznicami buszujecie po polach? Worobiej, po dwadzie×cia batów każdemu! Chłopi upadli na kolana. - Nie bijcie, atamanie! Toć zakazu nie było! - To wam dopiero zakaz potrzebny? A samym rozumu nie stało?! - Kawalek mięsa do kotła chcieli×my zdobyć... - Gdzie tych Tatarów dopadli×cie? I wielu ich było, że×cie im uszli? - zainteresował się Lisowski. - Było ich o×miu, nas trzech. Ukryli×my się widząc naszych wracających ze zwiadu, w strachu, że donos na nas zrobią... - Ano, wła×nie... - mruknął pułkownik. Jednak to pierwsze wyja×nienie zainteresowało go mocno, pytał dalej: - Co ma wspólnego nasz zwiad z owymi Tatarami? - Szli jego ×ladem, i to blisko. Jak nasi przeszli, wnet nadjechali i oni... Wyjechali z zaro×li i przystanęli obzierając się dookoła. My×my pozostali w zaspach, gdzie zalegli×my i czekali, co będzie dalej. Kiedy oni ruszyli ×ladem naszych, dopu×cili×my ich nieco bliżej i dali×my ognia. Dwóch spadło z siodeł, a reszta zawróciła i tyle ich widzieli×my... Usłyszana relacja zaniepokoiła pułkownika. Czy było to tylko przypadkowe zdarzenie, czy jakowe×działanie nakazane z góry? Toteż kiedy w parę dni później szli na kolejną wyprawę, polecił Jedlinie: - Wybierz z dziesięciu Kozaków władających dobrze arkanem i za powrotną drogą miej ich przy sobie. Wskażę ci miejsce, gdzie z nimi zasiądziesz, by wypatrzeć, czy nikt nie idzie naszym ×ladem. Je×li do tego przyjdzie, pojdziesz, wielu zdołasz. Muszę koniecznie zdobyć języka, i to od Tatarów! - Nie za mało dziesięciu? - Dałbym ci i stu, ale im więcej ich będzie, tym trudniej przyjdzie się wam skryć. A wiedz, że z Tatarami sprawa, a ci ×lepi nie są. Kiedy już jechali, jak zwykle wyciągnięci w długi rząd jeźdźców, na pół drogi przed celem wyprawy Lisowski wskazał towarzyszowi stok wzgórza

poro×nięty miejscami kępami drzew i połaciami sosnowych zagajników. - Widzisz to rozległe skupisko młodej so×niny? Poprowadzę teraz ludzi jego skrajem, a że wracać będziemy własnym tropem, to i Tatarzy, gdyby za nami szli, pociągną tamtędy, więc wejdą ci pod rękę. Musisz kilku pojmać żywcem, o resztę się nie troszcz, chociażby ci uszli. - Zrozumiałem - skwitował krótko Nikodem otrzymany rozkaz. Wracali wcze×niej, niż się spodziewał pułkownik, bo brakowało jeszcze nieco czasu do pierwszego brzasku, kiedy wiodąc zagarnięte konie i nieco bydła, przeciągnęli obok zagajnika. Jedlina ze swymi Kozakami nieznacznie zjechał w bok, od razu zagłębiając się w gąszcz młodych sosen. Rozpoczęli oczekiwanie. Było ciemniej niż w ×rodku nocy, gdyż gwiazdy już znikły, a brzask jeszcze nie nastąpił, toteż w otaczającym ich mroku dostrzec niczego nie mogli. Nasłuchiwali więc tylko czujnie, choć w ciemno×ci i tatarski zwiad mało co mógł dostrzec. Kiedy wreszcie pierwsza szaro×ć wydobyła z mroku szczyty drzew, Jedlina stanął na siodle i rozejrzawszy się wokoło poleciał jednemu z Kozaków: - Weź połowę ludzi i przeskocz z nimi w zagajnik, który ciągnie się obok. Skryj się dobrze i nie nagabuj, zajdziesz im tył, dopiero jak ja wyskoczę. Pamiętaj, że martwi nam niepotrzebni! Roztrząsając piersiami koni sosnowy gąszcz, wyznaczeni Kozacy od razu zniknęli z oczu. Kiedy rozwidniło się na dobre, Jedlina pozostawił swego wierzchowca pod opieką żołnierzy, a sam podczołgał się do samego skraju zaro×li i wyciągnięty na ziemi, z głową skrytą gałęźmi, obserwował rozciągające się przed nim pole. Minęła dalsza godzina i młody rycerz zaczął już wątpić w celowo×ć dalszego oczekiwania, kiedy raptem ujrzał w dali kilka czarnych, wolno posuwających się kropek. Były dobrze widoczne na tle ×nieżnej bieli, a kiedy zbliżyły się bardziej, naliczył dziesięciu jeźdźców. Pisnął wówczas głosem polnej

myszy, przywołując tym nikłym dźwiękiem Kozaków ku sobie. Przysunęli się zaraz i przykładając dłonie do końskich chrap, by który× nie parsknął, czekali w napięciu na znak dowódcy. Ten uniósł się na nogi i przez gałęzie obserwował zbliżających się jeźdźców. Byli już blisko, wyraźnie widział ich sylwetki, a nawet rozróżniał rysy twarzy. Jechali jeden za drugim, przy czym pierwszy, nachylony, badał ×lady, reszta za× spoglądała dookoła, bacznie lustrując mijany zagajnik. Kiedy zbliżyli się już na tyle, że słychać było stąpanie koni i głosy jeźdźców, Jedlina jednym skokiem znalazł się w siodle, a za nim Kozacy, i z wrzaskiem wypadli z zaro×li, by krzykiem jeszcze bardziej otumanić i tak już zaskoczonego przeciwnika, a jednocze×nie dać towarzyszom znak do odcięcia drogi ucieczki. A było to ze wszech miar konieczne, gdyż Tatarzy z zadziwiającą przytomno×cią umysłu zawrócili z miejsca konie, batogami nagłąc je do biegu. Mimo to na ratunek było już za późno. świsnęły powietrzem arkany Kozaków Jedliny jak i nadbiegających towarzyszy i siedmiu jeźdźców zważyło się z siodła, jednego za× dosięgła kula pistoletu młodego rycerza. Tylko dwóm udało się uj×ć z opresji i ×migali białym polem jak dwie ciemne wrony, niezdolne oderwać się od ziemi. Kozacy, nie zważając już na nich, wnet połapali tatarskie konie i skrępowawszy jeńców, powrzucaли niczym toboły na siodła. Potem powiązali wierzchowce i mały oddział ruszył w drogę. Badani jeńcy zeznawali bez oporu - wiedząc dobrze, jak zmusza się opornych do gadania - wszystko, co było im wiadome. Skutkiem tego przesłuchania pułkownik wezwał swoich oficerów i przedstawił im sytuację: - Dowodzi to, że tym razem przeciwnik stosuje inne metody, by znaleźć nasz obóz. Ale też jest w innym położeniu, niż był t'opunow, bo tamten wiedział, w które miejsce uderzymy, czego nie wie książę Chowański, z którym teraz mamy do czynienia. Tamten mógł

więc przygotować siły do po×cigu, czego nie jest w stanie zrobić kniaź. Imał się zatem innego sposobu. Jak zeznali jeńcy, porzucił małe, ale liczne patrole, przyobiecując znaczną nagrodę tym, którzy znajdą nasze ×lady i wykryją, skąd wyruszyli×my. Chciałbym zatem usłyszeć wasze mniemanie - czy ruszać stąd w inne okolice, czy też, zachowując czujno×ć, pozostać, gdzie jeste×my? - Nie należy kusić złego - jako pierwszy odezwał się Rogowski. - Zasadzka może się nie udać albo pójdą dwa patrole, o czym nie wiedząc, po zniszczeniu pierwszego będą pewni bezpieczeństwa, damy się nakryć niczym kury w kojcu. - I ja jestem zdania, by stąd ruszyć - odezwał się Czapliński, który rzadko na naradach zabierał głos. - W takiej walce jak nasza niedobrze jest za długo przebywać w jednym miejscu. Lisowski spojrzawszy pytająco na Bobrowa, ceniąc jego do×wiadczenie wojenne. - Takoz sądzę, że zbyt tu już długo siedzimy - stwierdził ten krótko. - Ale te same sposoby przeciwnik zastosuje i gdzie indziej - zaproponował jedynie Jedlina. - Zatem i niebezpieczeństwo będzie takie samo. - To prawda. - Bobrow skinął głową i dorzucił u×miechając się pod wąsem: - Ba~tko pułkownik pyta każdego z nas, ale niech sam powie, co mniema o sprawie? Lisowski skinął głową. - Wpierw chciałem usłyszeć wasze zdanie. Widzę, że wszyscy my×limy podobnie, bo istotnie chyba już do×ć wydeptali×my tu ×cieżek, a i okolica stała się jakby za ciasna, pora więc ruszać! Ale dokąd? Może na południe, wiosna idzie, stepy wabią tam szerokie, wnet porosną bujną trawą, przeto konie ×wieżych sił nabiorą, a my wolnej przestrzeni zaznamy, bo do×ć już mam krycia się po lasach! Tam postoję tylko na jedną noc będziemy mieli. - Miłe to słowa dla mego ucha... - rzekł z westchnieniem Bobrow, ale Jedlina znów okazał się oponentem: - I dać pole Chowańskiemu? Gotów jeszcze pomy×leć, że×my przed nim stchórzyli. Lisowski,

przesuwając spojrzeniem po twarzach oficerów, dostrzegł w nich wyraz rozterki wywołanej tymi słowami. Widać było, że ta uwaga trafiła im do przekonania. Dał temu wyraz Bobrow mruknąwszy pod nosem: - To też racja... - Zatem - zdecydował Lisowski - wyprawę na południe odłożymy na czas późniejszy, teraz za× jednak ruszymy, ale wła×nie na północ. Miniemy bokiem Riazan i damy baczenie na trakt wiodący do Moskwy, bo nim ciągnie zaopatrzenie dla Chowańskiego. Lecz ostrzegam panów, że kniaź wojewoda, jak już widać, to nie łopunow i z nim sprawa będzie trudniejsza. Polecam przeto ostrożno×ć, bo z niebezpiecznym przeciwnikiem będziemy się mierzyć. - Dotąd takōż babom kołysek nie kolebali×my... - rzucił zgryźliwie Rogowski. Szli lasami zatrzymując się w nich, je×li się kończyły, i czekali nocy, by przebyć otwartą przestrzeń. Gdzie× za nimi ciągnął Worobiej, któremu Lisowski porucił dowództwo nad pieszymi oddziałami. Stanowili oni już pokaźną siłę, bo wciąż przyłączały się do nich większe i mniejsze grupy zbuntowanych chłopów lub zaprawionych w le×nym bytowaniu szyszów. Oddziały konne takōż wzrosły na sile, gdyż dołączały do nich poczty szlacheckie i drobniejsze watahy kozackie. Wiódł więc teraz pułkownik ponad dwa tysiące żołnierza. Przemykając obok Riazania od zachodniej strony, podsunął się pod Zacharowsk i przyczaiwszy się w zaro×niętej kotlinie nie dalej niż parę wiorst od miasta, rozesłał zwiady dla sprawdzenia okolicy, a także mały oddział, któremu przykazał odszukać i przyprowadzić Worobieja. Zamierzał bowiem pokazać się Chowańskiemu i wła×nie Zacharowsk wydał mu się do tego celu najbardziej odpowiedni. Worobiej był bliżej, niż można się było tego spodziewać, i już następnej nocy przybył do obozu. Stali w gąszczu zaro×li nie paląc ognisk. Dnie były już cieplejsze, ×nieg leżał tylko w miejscach, gdzie nie docierało słońce,



ziemia zaczynała mięknąć po wierzchu, była więc nasiąknięta wodą. Nie przeszkadzało to jednak żołnierskiej braci układać się do snu, nawet jeśli nie można było znaleźć suchszego miejsca. Rano dwaj pocztowi Lisowskiego, Sawicki i Seyna, do których na ochotnika dołączył i Woluta, przebrali się w chłopskie siermięgi, wciągnęli płócienne portki, a stopy obuli w lipowe łapcie, uwiązane rzemiennymi paskami, i ruszyli do miasta, by rozejrzeć się w nim co nieco, a także posłuchać ludzkich gadek. Wrócili po południu opisując obwarowanie, które stanowił kamienny mur, ale już stary i mocno zaniedbany, bo zawalił się nawet w kilku miejscach. Wyrwy te połatano byle jak belkami i podsypano ziemią, ale zdaniem zwiadowców przedrzeć się przez nie było łatwo. Jakie siły broniły miasta, nie udało się w tak krótkim czasie dowiedzieć, lecz żołnierza na ulicach prawie nie widzieli, co dowodziło, że wielu ich nie było. Pułkownik postanowił więc nie zwlekać i uderzać jeszcze tej nocy, wezwał więc Worobieja. Po wysłuchaniu poleceń chłop odezwał się: - Przykazali×cie, wasza wielmożno×ć, powiadamiać o każdym człeku, jaki do nas przystaje... Toteż donoszę, że w czasie tego marszu przystał do nas taki jeden ze swymi ludźmi. - Wielu? - Szesnastu, bez dowódcy. - Kto oni? Znasz którego×? - Nie, wszyscy nie z moich stron. - A przywódca? Kto on? Worobiej wzruszył ramionami. - A czort jego znajet! Jaka× chzytra sztuka. A w ogóle... - urwał drapiąc się w skołtunioną głowę, bo zgodnie ze zwyczajem czapkę trzymał w ręku. - Co znaczy w ogóle? Dostrzegł× co×? - Przykazał×, panie, każdego brać na spytki i dobrze prze×wietlić, a on próbował ze mną robić to samo. A skąd idziem, a kto dowodzi, dokąd zmierzamy, wielu nas... Wiadomo, każdy chce wiedzieć, z kim ma kark nadstawiać, ale ten wydał mi się zbyt ciekawy... - Przyrowadź go do mnie, a na jego ludzi przykaż mieć baczenie! Wkrótce stanął przed Lisowskim chudy, żyłasty

chłop o pociągłej, pełnej bruzd twarzy i przebiegłym spojrzeniu latających oczu. Ubrany był w krótki barani kożuszek, obrócony włosem na wierzch, i taką czapkę. Za rzemiennym paskiem tkwił mu my×liwski nóż i mały toporek.

- Jak się zwiesz? - spytał krótko pułkownik w odpowiedzi na jego uniżony ukłon. - Stiopka t'ysyj, wielmożny panie... - Czyj jeste× i z jakiej wsi? - Kniazia Chowańskiego, oby go czort ze skóry obdarł! A ja sam ze wsi Zarzewo. - Daleko stąd leży wie×? - Wiorst ze dwadzie×cia. Lisowski skinął na Worobieja.

- Wyszukaj kogo×, kto dobrze zna te strony, niech tu przyjdzie. t'ysyj u×miechnął się. - Nie wierzycie mnie, panie? Głupi byłbym, gdybym kłamał, bo sprawdzić łatwo. - Dopiero okaże się, czy× głupi... Wrócił Worobiej prowadząc wybranego chłopą, więc pułkownik pytał dalej: - Wielu ludzi przyprowadziłe×? - Szesnastu, panie. Takoz od kniazia Chowańskiego. Tylko trzech od Skopina. - Z jakiej wsi pochodzą? - Kilku z mojej, kilku z okolicznych, a od Skopina to nawet nie wiem... - Jakze×cie nas znaleźli? - Słyszeli×my, że gdzie× w okolicy większe wojsko stoi, to×my krążyli po lasach, aż szcze×liwie trafili na oddział tego człowieka... - Spojrzał na Worobieja. - Od kogo słyszeli×cie? Chłop zawahał się chwilę. - Trudno teraz przypomnieć, bo różni o tym mówili. I na targach, i po szynkach... Ale powiadają, że gdzie dym, tam i ogień, więc uradzili×my was szukać, by razem powojować. - Widziałe× kniazia Chowańskiego? Jaki on jest? - Raz tylko widziałem, jak rok temu przeciągał przez Zarzewo i na popas stanął. - Wielu mieszkańców ma Zarzewo? t'ysyj obrzucił Lisowskiego zdziwionym spojrzeniem, ale odpowiedział: - Będzie ze stu, może trochę więcej... - Jaka wie× leży najbliżej Zarzewa? Tym razem spojrzenie chłopą zabłysło gniewem, lecz po chwilowym wahaniu odpowiedział spokojnie: - Wnukowo... - Wiele wiorst od Zarzewa? - Będzie z pięć. Lisowski kątem oka dostrzegł,

jak przyprowadzony przez Worobieja chłop co× mu szepnął na ucho, spytał go więc: - No a ty co na to powiesz? Prawda to? - Nieprawda, panie! Najbliższe są t'opuchy i wszystkiego o dwie wiorsty! - No, t'ysyj, my×łał×, że byle czym się wykpisz? - Lisowski groźnie ×ciągnął brwi. - Na kłamstwie dał× się złapać? - Tak, wielmożny panie, o t'opuchach żem zapomniał! W Zarzewie żem się rodził, ale dobrych kilka lat tam mnie nie było. - Nie był×? A przecież mówił×, że rok temu Chowańskiego tam widział×!... - Głos Lisowskiego zabrzmiał z dobroduszną wyrozumiało×cią, lecz był w nim również i ton groźby, który sprawił, że przesłuchiwany zbladł raptownie i mimowolnym ruchem sięgnął do noża tkwiącego za pasem. Gest ten jednak wystarczył, by przysłuchujący się zeznaniom żołnierze bez rozkazu skoczyli ku niemu i chwyciwszy za ramiona, wykręcili je do tyłu. Pułkownik polecił za× Worobiejowi: - Natychmiast każ powiązać wszystkich jego ludzi! I bacz, aby żaden nie uciekł! Potem obrócił się do skrepowanego już więźnia. - Teraz, bratku, pogadamy ze sobą inaczej. Będiesz mówił z dobrej woli czy przy ogniu? - Co mam mówić... - t'ysyj wzruszył ramionami. - Com wiedział, tom rzekł. Z dobrej woli do was przystałem, a wy na mnie sznury nałożyli×cie. - ie z dobrej woli, to wiem. Ale z czyjego polecenia? - Z czyjego mogłoby być! Dostyc już rozkazów żem się nasłuchał! - hardo rzucił t'ysyj. Lisowski polecił żołnierzom: - Rozpalić ogień, ale baczcie, by nie dawał dymu, i zdjąć mu buty! Po chwili rozległ się wrzask, później potok przekleństw, wreszcie tylko jęki, które przeszły w wycie i błaganie o lito×ć wraz z przysięgami wyznania. Te za× potwierdziły podejrzenia pułkownika. Oddział t'ysego wraz z kilku innymi został wysłany przez kniazia Chowańskiego z poleceniem, by odszukały grasującego w okolicy rabusia i przystawszy do niego, nadsyłały łączników z wiadomo×ciami, w jakiej sile i gdzie przebywa. Kiedy o pierwszym zmroku

wojsko Lisowskiego ruszało na nocną wyprawę, pozostawiło za sobą szesnastu wisielców kołysanych podmuchami wiatru na gałęziach pobliskich drzew. Pod mury Zacharowska podeszli cicho, jak zwykle przemykając się między domami przedmie×cia i nie nagabując jego mieszkańców. Dostrzeżono, a może dosłyszano ich w ostatniej chwili i jeszcze załoga nie zdążyła zająć stanowisk, kiedy oni szeroką ławą ruszyli już ku murom i rzucili się przede wszystkim ku rumowiskom kamieni, wskazującym wyłomy, o których mówili wywiadowcy. Walka tam długo nie trwała, gdyż obrońców nie było dużo. Wkrótce ze skrzypieniem i zgrzytem łańcuchów opadł most bramny i ukazała się czarna czelu×ć przejazdu. Czekał na tę chwilę konne oddziały runęły w nią z wrzaskiem tryumfu. Na ten wrzask miasto odpowiedziało wkrótce krzykiem ugodzonej ofiary. Słabą obronę wybito niebawem do nogi i napastnicy rozbiegli się po ulicach, wdzierając się do domów, które ożyły jękami przerażenia i bezsilno×ci. Tu i ówdzie wybuchły pożary, o×wietlając czerwonym blaskiem jakby zastygłe w grozie pobliskie drzewa. W×ród nich, pomiędzy huczącymi płomieniami, przebiegały czarne postacie napastników, niby skrzydła drapieżnych sępów łopotwały za plecami jeźdźców burki. Skakali przez ogień, w biegu wciągając na siodła uciekające kobiety. W alkowach, komnatach, izbach i komorach domów hasał lud dziki, żądny krwi i złota, szukał bogatej broni, kobiecych ozdób, garnków z pieniędzmi. A je×li nie znajdował zdobyczy, pastwił się nad mężczyznami, żądając wskazania kryjówek. Bezbronni wobec napastników mieszkańcy tylko w ucieczce szukali ratunku. Niewiasty chowały się po stryszkach, piwnicach, szopach, w snopach złożonych w stodołach, biegly w ciemno×ć sadów, zaszywały się w gąszcz zaro×li. Mężczyźni włązili na dachy lub chwyciwszy się drąga opuszczali w głąb studni, pozostawiając

dobytek na pastwę rabunku i płomieni, by z tego piekła uratować chociaż życie. Na dwie godziny przed  $\times$ witem rozległy się w $\times$ ród domostw i ulic przenikliwe głosy piszczałek, którymi setnicy nawoływali do opuszczenia miasta i wymarszu. Owych sygnałów słuchano karnie, bo nieposłuszeństwo groziło  $\times$ miercią. Albo na rozkaz pułkownika, albo z rąk rozw $\times$ cieczonych mieszkańców, którzy zapóźnionych mordowali rozrywając nieomal na sztuki. Zamilkły więc krzyki i nawoływania i wnet nastąpiła cisza, zakłócana jedynie trzaskiem płomieni i walących się budynków. Początkowo nie o $\times$ mielano się opuszczać kryjówek, ale wreszcie buszowanie ognia zmuszało co  $\times$ mielszych do walki z pożarem. Lisowski, zebrawszy swoich ludzi, rozdzielił ich na cztery grupy i przykazał rozjechać się w różne strony, a potem skierować do miejsca wyznaczonego na spotkanie, przede wszystkim korzystając z dobrze przejeżdżonych dróg. Po ponownym skupieniu oddziałów nie pozostał długo na postoju, postanowił bowiem od razu skorzystać z kryjówki, którą wskazał mu jeden z jego ludzi, urodzony w tych stronach. Znajdowała się o sze $\times$ ćdziesiąt wiorst od Zacharowska, w $\times$ ród bagien rozciągających się nad rzeką Osietr. Stanowiła ją długa na wiorstę, a szeroka na pół jakby wyspa suchego, bo nieco wzniesionego terenu. Z jednej strony okalała ją rzeka, z drugiej pas bagien poro $\times$ nięty kosodrzewiną, lichymi brzoškami i olchą. Prowadziło między nimi kręte, wąskie przej $\times$ cie, mało komu znane, bo tylko wprawne oko mogło je zapamiętać w $\times$ ród ostrej, bagiennej trawy, skrzypów i mchu. Po przybyciu na miejsce Lisowski stwierdził, że istotnie teren nadaje się na obozowisko. Starczyło miejsca dla koni i ludzi, a nawet przed tysiącem napastników mógł skutecznie bronić tam dostępu mały oddział strzelców. Wnet poszły zwiady tak dla własnego bezpieczeństwa, jak i zbadania ruchu na niedaleko ciągnącym

się trakcie. Potwierdziły przewidywania o sunących po nim taborach, więc rychło ruszyła pierwsza wyprawa. Nie przyniosła znaczniejszych korzyści niż pozyskanie żywności, choć i ta była ceną zdobyczą, bo zaczynało jej braknąć. Atoli jeden z następnych taborów dostarczył żołnierzom większej radości, gdyż na którymś wozie znaleziono beczułki z brzęczącą gotowizną. Jednak dalsze zasadzki okazały się daremne. Wyprawy wracały z pustymi rękami, bo ruch taborów ustał. Lisowski zrozumiał, że przeciwnik wstrzymał transporty, by zapewnić im silniejsze eskorty. Nie mogły bowiem ustać zupełnie ze względu na powszechną mobilizację kraju do walki z samozwańcem, o czym wieści dochoǳiły ze wszystkich stron. Przewidywanie to potwierdziło się już po kilku dniach. Ze względu na wzmożone niebezpieczeństwo wyprawę tym razem prowadził osobiście sam pułkownik. Nie wiedząc, z jak silnym przeciwnikiem przyjdzie się mierzyć, wziął ze sobą tysiąc pięćset szabel, czyli nieomal całą konnicę, jaką miał. Tym razem postanowił odsunąć się nieco dalej od Riazania. Jak wszędzie w kraju - poza stepami południa - większość terenu pokrywały lasy, jakby niechętnie dając miejsce otwartym przestrzeniom pól czy łąk. Toteż Lisowski mógł niemal stale trzymać się leśnej gęstwiny. Szli szybko aż do pierwszego zmroku, po czym rozłożyli się na nocleg. Trakt był już pod bokiem, więc o wiele poszły w jego kierunku oddziały zwiadowcze. Miały one pozostawić na szczytach przydrożnych drzew obserwatorów, którzy krakaniem wrony winni zawiadamiać o zbliżaniu się taboru. Czas płynął wolno, ale do cierpliwego, wytrwałego czatowania na zdobycz żołnierze Lisowskiego byli już nawykli. Pozsiadali z koni i z wodzami w rękach wiedli przyciszone rozmowy lub ułożywszy się u końskich nóg, wyzbyci emocji, zapadali w drzemkę. Godziny mijały, a wroniego krakania wciąż nie było słychać. Od strony traktu

dochodziło wprawdzie skrzywienie kół lub strzępy prowadzonych rozmów, lecz brak sygnału dowodził, że przeciągają drogą jakieś pojedyncze wozy lub idą zwykli wędrowcy. Minęło południe, czas płynął. Lisowski zaczął już sądzić, że i tym razem czatowali daremnie, kiedy raptem odezwało się krakanie wrony. Żołnierze poderwali się na nogi i w następnej chwili wszyscy byli w siodłach. Lisowski dał znak, by pozostali na miejscu, sam zaś, tylko z pocztowymi przy boku, ruszył pieszo do skraju drogi. Przekonał się, że po przeciwnej stronie Rogowski dobrze ukrył swoich ludzi, ale na drodze niczego dostrzec nie zdołał, bo trakt nie biegł całkiem prosto, więc przesłaniały go drzewa. Po chwili usłyszał jednak skrzywienie licznych kół, pokrzykiwania woźniców, a zaraz potem spoza dalekiego zakrętu zaczęły wyłaniać się postacie konnych i ciemne, półkoliste, płócienne dachy wozów. Było ich ze dwadzieścia, a co wiozły, trudno było stwierdzić, gdyż ładunku nie było widać. Parę wozów wiozło jednak siano, bo jego kopice sterczały wysoko ponad głowami otaczających je żołnierzy. Toteż kiedy wycofywali się do swoich, Sawicki wyraził zdziwienie: - Po jakie лихо wiozą siano? Mało mają swego, aby ciągnąć go aż z Moskwy? - Właśnie - przyznał pułkownik. - Co w tym musi być... - Zapewne przykryli sianem jakiś cenniejszy ładunek... - domyślił się pocztowy. Lisowski, obejrząwszy się na żołnierzy, czy wszyscy są gotowi, czekał jeszcze, aż pomiędzy pniami drzew ujrzy pierwszych jezdnych. Wyrwali się na gościniec akurat w chwili, gdy z przeciwnej strony wyskoczył spomiędzy drzew Rogowski ze swymi ludźmi. Napad był nagły i sprawny, lecz mimo to żołnierze eskorty nie stracili głowy i stawiali zacięty opór. Jednak tym razem przewaga napastników polegała nie tylko na sprawności bojowej, ale i na liczbie. Potyczka nie trwała więc długo i wkrótce zwłoki obrońców zasłały ziemię. Tylko kilku udało się wyrwać z okrążenia, lecz nikt nie ruszał

za nimi w po×cig i rychło zniknęli z oczu. Pułkownik nie mógł jednak się przekonać, co kryło się we wnętrzu siana, gdyż zaraz na początku walki wozy zapaliły się i buchały teraz płomieniem nie dającym dostępu. Wiły się nad nimi kłęby białego dymu, szybko biegnąc ku górze, gdzie rozciągały się w rozległą chmurę. - Niezłe widowisko! - zawołał Rogowski podjeżdżając do pułkownika. - Przykażę brać dragi z hakami, bo w wozach jest i sprzęt oblężniczy. Niech rozciągną siano, gdyż może zająć się las, a ten zbyt nam jest przydatny. - Ogień daleko nie pójdzie, poszycie jeszcze za mokre - zauważył Lisowski. - Natomiast ciekawi mnie, jakim sposobem powstał ten pożar. - Pewnie uderzyła w siano kula albo od wystrzału padła iskra... - Mogli też umy×lnie go podpalić, by ukryty w nim ładunek nie dostał się w nasze ręce. - Sądysz waćpan? Tym bardziej zatem warto go gasić. Nie było jednak wody, a zbyt silny żar bronił dostępu do palącego się siana, by go rozrzucić. Tym bardziej, że w pewnej chwili ogień, jakby czym× gwałtownie podsycony, wybuchnął z nową mocą. Teraz jednak czarny dym nieomal przesłonił widoczno×ć. - W sianie musiały być beczki ze smołą, a nie żaden cenny ładunek! - wykrzyknął Rogowski. - Aż w nosie kręci ze smrodu, a i barwa dymu na to wskazuje. - Po co by chowali w sianie smołę? - zawołał z kolei Jedlina, podjeżdżając z Czaplńskim i Kalinowskim do rozmawiających. - Chyba wiem, po co... - mruknął pułkownik patrząc w zadumie na buchające morze płomieni. Stali oddaleni od żaru i przyglądali się pożarowi, od którego zaczęły zajmować się najbliższe wozy. żołnierze odrąbywali szablami postronki szalejących ze strachu zaprzęgów i łapali przerażone zwierzęta. - Co waćpan masz na my×li? - spytał Kalinowski spoglądając z zaciekawieniem na Lisowskiego. - Ten tabor Chowański podesłał nam umy×lnie, przykazawszy woźnicom w razie napa×ci podpalić siano. - Po co miałyby to uczynić? - Dym



wskazuje miejsce zasadzki, co pozwala mu nas dopa×ć. A zatem musiał wzdłuż traktu porozstawiać oddziały, aby nadażyć na czas w każde miejsce na trakcie. Ludzi na to ma do×ć. - Zatem tylko ich patrzeć, i to zapewne z dwóch stron... - zauważył Jedlina. - Trochę czasu jeszcze mamy - spokojnie stwierdził Lisowski. - Ale zbierz wa×ć, mo×ci Rogowski, żołnierzy i nie zwlekając wejdź z nimi w las, lecz nie za głęboko, aby× ich dojrzał, kiedy nadbiegną. Ja tu pozostanę z małym oddziałem i podprowadzę ich ku wam. Tylko nie przywitajcie mnie ogniem! Poczekajcie, aż was minę. - A je×li istotnie nadbiegną z dwóch stron? - zatroszczył się Czapliński. - Tak też zapewne i będzie, ale obaczym, czy razem. Wkrótce na drodze został tylko szalejący nadal pożar, porozciągane w różne strony wozy, niektóre przewrócone przez wystraszone konie, i zwłoki żołnierzy eskorty. Lisowski zatrzymał przy sobie pół chorągwi i ukrył się w pobliżu drogi. Tym razem nie czekali długo, gdyż wkrótce usłyszeli zbliżający się tętent, a po chwili w miejscu napadu rozległy się przekleństwa i krzyki. Niebawem podobny tętent doleciał i z przeciwnej strony, krzyki wybuchły powtórnie, a w parę sekund potem usłyszeli coraz bliższy trzask łamanych gałęzi i nawoływania. Zaraz też dobiegł ich wrzask tryumfu wskazujący, że zostali spostrzeżeni. W×ród drzew zaroilo się od jeźdźców, ale ogień rusznic i pistoletów, jaki ich powitał, sprawił w×ród nich zamieszanie. Skorzystał z tego Lisowski i poprowadził swoich ludzi najpierw nieco głębiej w las, a potem zatoczył łuk i ominąwszy Moskwiczana dopadł traktu, mając pogoń na karku. Jednak nie była tak bliska, by Rogowskiemu nie starczyło miejsca do ataku. Masa jego jeźdźców wysypała się na drogę i powitała goniących najpierw ogniem, po czym wzięła się za szable. Ta salwa jak i nagłe pojawienie się tyłu jezdnych zaskoczyły zupełnie goniących, toteż zaczęli zdzierać konie gotując się już tylko do obrony. Wkrótce rozgorzała zaciekle

walka w wąskim wąwozie traktu, gdzie Kozacy wkrótce zmusili niedawną pogoń do ucieczki. Lisowski wstrzymał jednak amatorów gonitwy, nie wiedząc, z jakimi siłami ma do czynienia. Postanowił więc nie oddalać się zbyt, a dopiero rano zdecydować, co czynić dalej. Dopiero kiedy ×ciągnął z drzew wysłane czaty, te okre×liły mu siły przeciwnika na blisko tysiąc żołnierza. Wiadomo×ć ta dowodziła, że kniaź przestał wroga lekceważyć. Kiedy Lisowski udawał się na spoczynek, decyzję już powziął. Skutkiem tego polecił Kalinowskiemu, by jeszcze w nocy wysłał do Worobieja gońca z rozkazem przybycia. Rankiem zezwolił żołnierzom rozpać małe ogniska dla zagrzenia strawy, czekając za× na posiłek, oznajmił siedzącym przy ogniu oficerom: - Posłałem po Worobieja, bo może nam być potrzebny, postanowiłem bowiem ruszyć na Zarajsk. Miasto leży nie dalej niż wiorst kilkana×cie stąd i do obrony będzie zapewne nie przygotowane, ponieważ wiadomo im, że Chowański krąży w pobliżu ze znacznymi siłami. Spodziewam się więc, że dadzą się zaskoczyć. - Przednia my×! - zawołał Kalinowski, któremu u×miechnęła się nadzieja nowych igraszek z dziewczętami. - Nie zaszkodzi zagrać na nosie jego książęcej mo×ci! - Bacz, by przy okazji z twego jucha nie poszła... - jak zwykle zgryźliwie zauważył Czapliński. - Waćpan lepiej dbaj o swój nos, boby× nie miał czym tabaki niuchać - obruszył się Idzi. - Posłałe× wa×ć po Worobieja - podjął Rogowski - czy warto wszakże na niego czekać? Zdobędziemy miasto i bez niego. - Sądzisz waćpan? - zastanowił się Lisowski. - A zatem zgoda, ruszamy zaraz, bo lepiej Chowańskiemu zbyt wiele czasu nie dawać. Zostawcie jednak Worobiejowi łącznika, by wiedział, gdzie ma nas szukać... Przez cały dzień wojsko odpoczywało, bo do Zarajska nie było daleko. Przy pierwszym za× zmroku chorągwie ruszyły w drogę. Niedługo po północy Kozacy znaleźli się pod murami Zarajska i przystawili do nich

przywiezione drabiny. Zagrzmiała kanonada rusznic i hukanie ×migownic, bo większych dział widać miasto nie miało. Owa bezładna strzelanina dowodziła jednak raczej przerażenia obrońców niż ich determinacji. Na wspinających się żołnierzy leciały też kamienie i belki, tu i ówdzie zwała się drabina, ale wkrótce zmagano się już na koronie murów. Niebawem i tam walka zacichła, bo bitwa przeniosła się na ich podnóże, a potem w najbliższe ulice. A wtedy ze skrzypieniem rozwarły się bramne wierzeje i do miasta wpadły konne oddziały. Napad jednak nie był tak krwawy jak w Zacharowsku, gdyż nie brali w nim udziału chłopci Worobieja, Kozacy za× bardziej byli żądni złota niż krwi. Zabijano więc tylko tych, którzy próbowali stawiać opór lub zatajać miejsce ukrycia pieniędzy. Ze względu na blisko×ć Chowańskiego Lisowski po wjeździe do miasta kazał natychmiast zamknąć bramę i obsadził mury strażą. Skierował tam polskich żołnierzy i petyhorców, obiecując jednak, że zdobycz ich nie minie. Potem ze swymi pocztowymi objeżdżał ulice przyglądając się obojętnie grasującym żołnierzom, wiedział bowiem, że bez tej zapłaty za trudy wojaczki mało kto pozostałby przy nim. Chociaż na jego widok zrywały się okrzyki uznania i powitań, to zdawał sobie sprawę, że były to pozdrowienia składane nie zwycięskiemu dowódcy, lecz temu, który dostarczył im zdobycz. Zaczęło ×witać i wnet ukazało się słońce. żołnierz syt już był uciech i zdobyczy, której zresztą dużo ze sobą nie mógł zabrać, bo wozów nie było. Dlatego też szukano jedynie klejnotów i pieniędzy. Wkrótce pojawili się na ulicach gońcy, wzywając do zbierania się na targowym placu. Tam czekały na Kozaków, którym przyszło wspinać się na mury, ich konie i niebawem chorągwie stanęły w ordynku. Dowódcy skierowali ludzi na pobliskie kwatery z zakazem ich opuszczania, by każdej chwili byli gotowi stanąć do walki. Jak się wnet okazało, przezorno×ć ta była słuszna. Straże zostały

zmienione, żołnierze legli na spoczynek. Zażywali go przez dzień, bo dopiero pod wieczór dały się słyszeć wystrzały i zabrzmiały sygnały alarmu. Znow więc przyszło chwycić za broń i biec ku murom. Był już na nich pułkownik, który wydawał rozkazy kierując oddziały na ich miejsca. Okazało się, że pojawiły się jakieś wojska i nagłym szturmem próbowały wdrzeć do miasta. Jednak czujne posterunki zdążyły w porę dostrzec nieprzyjaciela, a bliżej stojące chorągwie przybyły na czas, by ów pierwszy szturm odeprzeć. Jedlina odszukał pułkownika, który na pytanie młodego rycerza odpowiedział: - Nie domyślasz się wać? Pan Chowański przyszedł w odwiedziny! - Tak rychło się zjawił? - Rychło? Toć już blisko dobie tu goćcimy, a daleko nie był. Spoglądali w dół, ku domom przedmiecia, wśród których widać było uformowane oddziały. Galopowali przed nimi konni co pokrzykując - zapewne dowódcy gotujący swoich ludzi do kolejnego szturmu. - Trudno rozeznac, wielu ich jest, ale chyba nie mniej niż pięć tysięcy... - zauważył Nikodem. Lisowski chciał co odpowiedziec, lecz przerwał mu huk śmigownic, które stały w pobliżu. Zasięg ich okazał się dostateczny, bo oddziały stojące zbyt blisko zakotłowały się i rozprysły, kryjąc się za ścianami pobliskich domów. - Ciekawe, gdzie znajduje się teraz Worobiej? - na wpół do siebie rzucił Lisowski, starając się dostrzec przez obłoki prochowego dymu skutecznie kolejne wystrzałów armatnich. - Chyba już niedaleko... - odparł z zastanowieniem Jedlina. - Przecież mija już druga doba, jak poszli do niego gońcy. - Właśnie. Bardzo by mi się teraz przydał. - Należy żywić nadzieję, że Chowańskiemu w ręce nie wlezie. - Głupi on nie jest. Na pewno bez zwiadów nie idzie. śmigownice ucichły, gdyż wojsko Chowańskiego wycofało się poza zasięg ognia, ale widać ostudziły też nieco napastników, gdyż sygnały do szturmu nie odzywały się. Wkrótce Lisowski

zdołał dokładniej określić się przeciwnika, bo kolumny oddziałów, rozmieszczone między domami, stały łącznie dobrze widoczne. Zgodnie z opinią Jedliny armia Chowańskiego nie przekraczała pięciu tysięcy ludzi. Nie przyprowadził jednak armat, zapewne spiesząc, by przyłapać napastników. Natomiast migownice na murach nadal milczały, ale, jak stwierdził pułkownik lustrując wzrokiem swoich żołnierzy, obsługujący je Kozacy czuwali przy nich, gotowi w każdej chwili do otwarcia ognia. Potrzeba ta wisiała jednak nad głowami obrońców, dalsze bowiem przygotowania do szturmów były widoczne. Podciągano bliżej murów drabiny, szeregi piechoty z tarczami na ramionach ustawiały się w kolumny, ponaglone krzykami dowódców. Pułkownik, bacznie obserwując te ruchy, wybiegał również wzrokiem ku niezbyt dalekiej stronie lasu, skąd powinien nadciągnąć Worobiej, jednak żadnego ruchu tam nie dostrzegał. Niebawem rozległ się głos bojowej trąby, a za nim wrzask tysięcy gardeł i ława ludzka ruszyła ku murom. Te okryły natychmiast dymy armat, zaraz też huknęły setki rusznic, pofrunęły strzały. Nacierające oddziały, dostawszy się pod ten ostrzał, od razu zgubiły początkowy szyk, zmieszały się, ale ponaglone rozkazami dowódców przyspieszyły kroku, a po chwili już biegły ku skarpi podmurza. Dopadłszy jej, wspinały się po stoku wciągając ze sobą drabiny. Większość drabin oparto wkrótce o mury i napastnicy, chroniąc głowy uniesionymi tarczami, jęli pisać się ku górze. Wszakże nigdzie nie udało się im postawić na szczycie stopy. Albo drabiny, ciągnane w bok hakami, waliły się na ziemię, albo ciosy szabel, spadając na głowy wspinających się, zwały ich na dół i lecieli rozpostarłszy ramiona, jakby chcąc zamienić je w skrzydła. Zmagania te trwały już dobrą godzinę i coraz wyraźniej było widać, że i tym razem oblegającym nie uda się wdrzeć na mury. Ich dowódca musiał także dojść do tego mniemania, bo

znów zagrzmiały trąby. Na ich głos napastnicy porzucili drabiny i ruszyli biegiem, uchodząc przed strzałami i ogniem rusznic, którymi ×cigali ich oblężeni. Po murach za× pobiegł rozkaz, by nieznacznie opuszczać stanowiska i biec do koni. Kozacy, wiedząc, o co chodzi, już w pół pacierza byli przy wierzchowcach i wkrótce chorągwie ustawiły się na przedbramiu. To objął nad nimi dowództwo sam pułkownik, a z nim Rogowski i Czapliński. Rozdzieleni na trzy grupy, z których ×rodkową poprowadził Lisowski, a boczne wyznaczeni oficerowie, wypadli przez szybko rozwartą bramę i uniósłszy ponad głowy szable, wrzeszcząc przenikliwie, runęli na jeszcze nie uporządkowane po szturmie oddziały Chowańskiego. Ponieważ ten większo×ć swojej konnicy spieszył, by wsparła piechotę, przeto tylko nieliczne sotnie mogły ruszyć przeciw Kozakom, żeby choć na krótko wstrzymać ich atak i dać piechocie nieco czasu na uformowanie szyków. Nadzieje te wszakże zawiodły, gdyż nawet na chwilę nie zdołali wstrzymać pędu kozackich koni, które wkrótce wpadły w bezładny tłum piechoty. Stłoczone i jeszcze zadyszane ucieczką spod murów oddziały szturmowe znów musiały stawić wrogowi czoło, ale teraz już dla własnego ratunku. Nie uporządkowane wojsko kładło się pokotem pod kozackimi szablami, jednak na razie przynajmniej od zupełnej klęski uratowały ich oddziały arszamskich wojowników, które nie wzięły udziału w szturmie, więc wypoczęte i w obronnym szyku stawiały Kozakom zacięty opór. Jednak wojenne szczę×cie nadal sprzyjało panu Lisowskiemu, bo od niezbyt oddalonego lasu oderwała się raptem ciemna fala, jakby drzewa ruszyły do przodu, i szybko zaczęła zbliżać się do pola walki. To nagłe uderzenie w plecy, dokonane przez Worobieja, załamało od razu wszelki opór broniących się jeszcze chowańczyków. Rzucili się najpierw ku zabudowaniom podmiejskim, potem

widząc, że ich konnica biegnie traktem na Kołomnę, bezrozumnie popędzili za nią. Ocaleli więc tylko ci, którzy pozostali w swoich kryjówkach, bo wyłapano ich wprawdzie, ale kazano im tylko kopać groby dla poległych towarzyszy. Uszli jednak z życiem, gdyż potem pułkownik zabronił ich tracić, przykazawszy im zwozić zwłoki do wspólnej mogiły, nad którą usypali następnie wysoki kurhan. Ostał się on przez następne wieki, toteż tak o owej bitwie pisała Kronika Nikonowska. "Lisowskoy że widzie iż Zarayskowo Moskowskich ludiey pobił na hołowu i mnogich żywych pojmał, jedynych Arzamców ubiwszy tym boju trista czelowiek: trupy ich Lisowskoy powolie w odnom sto w jama, i zdziała tu nad nimi dla swojej sławy kurhan wielikli: toy kurhan stoit i do nynie". Najbliższą noc spędzał pułkownik już w lesie. Kiedy po wieczery układał się do snu, odszukał go Jedlina. Przysiadł przy ledwie żarzącym się ogniu i zerknąwszy na pułkownika, zagadnął: - Waszmo×ć długo zamierzasz tu pozostać? - Jutro ruszamy dalej. Czemu pytasz? - Nie z babskiej ciekawo×ci, ale z ważnej dla mnie przyczyny. Dlatego chciałbym wiedzieć, dokąd zamierzasz i×ć. - Pójdziemy na południe, jakem uprzednio zamierzał. Maj już za pasem, pora konie podpa×ć, a i mnie samego w stepy ciągnie. - Bo widzisz waćpan... - Młody rycerz zawahał się. - Skoro tu nie ostaniem, o permisję odej×cia bym prosił... - Toż nikogo tu siłą nie trzymam! Je×li wola, odchodź wa×ć. Ale jaka tego przyczyna? Czyżby× miał do×ć wojaczki? - Nie, ale Kołomna blisko, a z niej do Moskwy nie więcej niż ze sto wiorst. Przebrałbym się w ruskie szaty i poszedłbym z Wolutą. W Moskwie za× mamy pewną kwaterę u owego bojara, com mu służył... Lisowski roze×miał się. - Tędy cię, braciszku, wiedli! Dzieweczka o×cią ci w sercu utkwiła i z portek dym idzie! Jedź tedy i je×li wola, wracaj szczę×liwie. Chętnie cię znów ujrzę przy sobie. Uradowany Nikodem zerwał się na

równe nogi. - Rad to uczynię, ale gdzie waćpana znajdę? - Ze dwa, trzy miesiące zejdzie mi na zamierzonej wyprawie, a potem chyba wrócę do Dymitra. Po powrocie pytaj zatem o mnie na jego dworze. W kilka dni po tej rozmowie Nikodem wraz z Wolutą, obaj przyodziewkiem i bronią podobni ruskim wojownikom, byli już na trakcie wiodącym wprost na Moskwę. Młody rycerz gnany pragnieniem serca nie szczędził wierzchowców, w szybkim tętnie ich nóg zostawiając za sobą wiorsta po wiorocie. Wreszcie któregoś południa w oddali zasnutą szarzyzną zamgloną ujrzeli w blasku słońca, które właśnie wynurzyło się zza chmur, drobne jeszcze i ledwie widoczne błyski, migające złotem na cerkiewnych kopułach Moskwy. Dowództwo nad wojskami samozwańca objął ostatecznie książę Rożyński. Miechowicki po naradzie z Dymitrem powziął bowiem decyzję ustąpienia mu - przynajmniej chwilowo - hetmańskiej buławy i opuścił obóz, by przeczekać zły czas u jednego z zaprzyjaźnionych bojarów. Innego zresztą wyjścia po uchwale rycerskiego koła nie było, gdyż filarem sił wojskowych Dymitra byli Polacy. Bez ich udziału, tylko przy pomocy przychylnych mu bojarów i Kozaków, niedoszły car wiele zdziałać nie mógł. Siłą więc rzeczy musiał i pan Miechowicki ustąpić, żywiąc jednak cichą nadzieję, że jedno czy drugie niepowodzenie wojenne Rożyńskiego może zmienić sytuację na jego korzyść. Książę rychło zaprowadził w wojsku dyscyplinę, co było już znacznym sukcesem. Jego podporą byli Polacy, ale główną siłą stanowili Kozacy, ich za posłuszeństwo zależało przede wszystkim od Zaruckiego. Toteż Rożyński starał się młodego junaka niczym nie zrażać, przeciwnie, zapraszał go na biesiady, gdzie trunków nigdy nie brakło, bo książę pił chętnie i dużo. Wiosną zaczęły nadchodzić coraz częstsze wiadomości o gromadzeniu się wojsk cara Wasyla w pobliżu Bołchowa. Był to nieduży gródek z miasteczkiem, leżący



tylko o osiem mil na północ od Orła, więc koncentracja ta wróżyła rychłe wszczęcie działań zaczepnych przeciw samozwańcowi. Szpiedzy donosili, że stało tam już blisko sto tysięcy ludzi, a dalsze oddziały jeszcze nadciągały. Jednak książę Rożyński, mając pod sobą mało co więcej niż piętnaście tysięcy żołnierzy, przewagi tej zbyt nie przeraził, gdyż znał małą wartość bojową wojsk moskiewskich, a także wiedział, że brak im doświadczonych dowódców. W większości bowiem wojska te składały się z pańszczyźnianych chłopów, a więc z rzemiosłem wojennym nie obytych i bez ochoty do walki. Liczyły się tylko drużyny bojarskie, przeważnie konne, ale tych było niedużo i liczbą nie przewyższały polskiego rycerstwa. Książę postanowił zatem nie czekać na uderzenie przeciwnika, lecz wyjść mu naprzeciw. Poderwał wojsko w pierwszych dniach maja i ruszył wprost na północ. Obóz Dymitra Szujskiego leżał dwie mile od Bołchowa, zabezpieczony od południa błotami. Wojska samozwańca nadciągnęły 10 maja i od razu doszło do spotkania przednich formacji. Ustarczka skończyła się jednak rychło i bez niczyjej przewagi, bo Rożyński, mając zmęczone całodziennym marszem konie, wnet nakazał odwrót do obozu. Wobec zbliżającego się wieczoru i oddziały moskiewskie zaniechały walki. Następnego dnia Dymitr Szujski ustawił swe wojska za pasem błot, wzbraniających dostępu do jego stanowisk, mając nadzieję, że polski wódz ruszy do ataku bez sprawdzenia terenu i ugrzęźnie w bagnach. Jednak Rożyński był na to zbyt doświadczonym dowódcą. Dojrawszy przeszkodę wstrzymał chorągwie i rozesłał patrole, by wyszukały miejsce dogodne do przeprawy. Oba wojska stały więc dłuższy czas naprzeciw siebie, obserwując się tylko wzajemnie. Wtedy to ukazały się od polskiej strony wozy ciągnące w szesnastu rzędów, a w każdym tkwiły powtykane rohatyny, włócznie i kopie z proporcami, co z daleka czyniło

ów tabor podobnym do ciągnącej armii. I to tym bardziej, że wozy wzniecały wielkie tumany kurzu, który utrudniał dokładne rozeznanie, czyniąc ów widok jeszcze groźniejszym. Istotnie Szujski dał się zwie×ć i zaczął wycofywać swe pułki ku obozowi, by zza jego szańców stawiać opór tak przeważającej sile nieprzyjaciela. Wkrótce za× potem wrócił jeden z wysłanych przez Rożyńskiego patroli z meldunkiem, że miejsce dogodne do przej×cia bagien zostało znalezione. Książ dał więc rozkaz do zmiany szyku i ruszył ku owej przeprowie. Nie miał jednak zamiaru jeszcze tego dnia jej dokonywać, bo czas uciekał i było już na to za późno. Przerzucił więc tylko na drugą stronę pułk pod komendą Rudzkiego, by przej×cie zabezpieczył. Moskale ujrawszy ów pułk osądzili, że Polacy rozpoczynają atak, i wszystkimi siłami rzucili się ku Rudzkiemu, co widząc książ musiał wesprzeć zagrożony oddział i w miarę rozwoju walki przerzucił i resztę swoich sił. I tak oto jeszcze tego dnia doszło do walnej bitwy, która skończyła się zupełną klęską wojsk Szujskiego. Gnano je aż trzy mile za Bołchów, dopóki uciekający nie schronili się za zasiekę, jak zwano linię obronną składającą się z przykopu, palisady i wzmacniających je baszt i bram, które przegradzały dochodzące do owej zasieki trakty. Była ona zbudowana przeciwko najazdom tatarskim i ciągnęła się wiele mil przez pola i lasy. Cały obóz wraz z armatami dostał się w ręce zwycięzców. Jednak niedługo dał Rożyński wytchnąć wojsku pod Bołchowem. Ruszył, i to ×piesznym pochodem, przebywając po siedem, osiem mil dziennie, na Moskwę. Szedł na Kozielsk, gdzie odpoczął przez dzień, potem na Kaługę, gdzie również dał wojsku dzień wytchnienia i skierował się na Borysów, murowany zamek położony o dwie mile od Możajsk. Zamek był opuszczony, więc zajął go bez walki i obrócił się z kolei na Możajsk. Tu zastał bramy zawarte i załogę gotową do

obrony. Kiedy jednak wyciągnięto armaty na pobliskie, górujące nad grodem wzgórze i otwarto ogień, miasto poddało się. Droga na Moskwę stała się otworem. Rożyński zwołał teraz szybko marsz i szedł ostrożnie w obawie przed niespodziewanym napadem. Obyło się jednak bez zasadzki, natomiast pod Zwienigorodem, położonym niedaleko od Moskwy, spotkał wojsko Piotr Borkowski, wysłannik nowych posłów Zygmunta, a to panów Stanisława Witowskiego i Jana Sokolińskiego, z żądaniem, by wstrzymano pochód jak i wszelkie działania wojenne, gdyż idą rokowania z carem Wasylem o uwolnienie jeńców i zawarcie trwałego pokoju. Takie rozwiązanie nie było jednak po myśli kniazia, więc zignorował to żądanie i szedł dalej. Był już czerwiec. Wojsko stanęło nad rzeką Moskwą i szukało dobrego miejsca na założenie obozu. Ponieważ w pobliżu nie znaleziono odpowiedniego terenu, przeto zapadła decyzja, by zrezygnować z przychylnego zaplecza, jakie od południa stanowiły ziemie siewierskie, i okrążywszy Moskwę zająć stanowiska na jej północnych rubieżach. W ten sposób zostałaby przerwany napływ żywności, której transporty szły z ziem wiernych stolicy, a położonych z tamtej strony. W czasie okrążania miasta doszło do spotkania z siłami cara na twerskim trakcie. Wasyl bowiem mylnie ocenił ten ruch wojsk przeciwnika i poczytując go za wszczenie odwrotu ku polskiej granicy, wysłał w pomoc nieomal wszystkie posiadane siły. Rychło jednak doznał rozczarowania, bo w powstałej bitwie znów zaznał porażki, a jego rozbite oddziały uciekły w popłochu za moskiewskie mury. Książę Rożyński już bez przeszkód szedł dalej, znajdując wreszcie odpowiednie miejsce do założenia stałego obozu. Owym miejscem był teren położony przy wsi Tuszyno. Stanowiła go wyniosła, obszerna płaszczyna, od północy i zachodu i południa objęta rzekami Moskwą i Tuszyn. Natomiast ku wschodowi rozciągały się

równiny i od tej strony Rożyński kazał kopać rowy i sypać szańce, by utworzyć linię obronną. Rozłożyli się tam Kozacy dońscy. Tatarzy, których - po niedawnym przybyciu kilku czambułów - było około dwudziestu tysięcy, stanęli przy rzece Moskwie, dalsze za<sup>x</sup> stanowiska w głębi obozu zajęła lekka jazda, piechota, a wreszcie polskie chorągwie i dwie cara Dymitra. Na drugim brzegu, w osobnym obozie, stanęły wojska bojarów przychylnych samozwańcowi. Stało się to skutkiem licznych awantur i burd, jakie powstawały pomiędzy tymi mało zdyscyplinowanymi oddziałami a pozostałymi wojskami. Minał czerwiec. W pierwszych dniach lipca w obozie zjawili się następni wysłannicy polskich posłów, tym razem panowie Buczyński i Domaradzki, z ponownym żądaniem zaniechania działań wojennych i opuszczenia granic moskiewskiego państwa z powodu nadal toczących się pertraktacji. Jak się później okazało, posłowie, sami nie wierząc w skuteczno<sup>x</sup>ć tego wezwania, spełniali jedynie żądania cara Wasyla, który w ten sposób powiadamiając o toczących się rokowaniach, spodziewał się u<sup>x</sup>pić czujno<sup>x</sup>ć Dymitrowego wodza, sam bowiem zamierzał go zaskoczyć nagłym uderzeniem. Wzbraniał się więc niby przed prowadzeniem rozmów, dopóki polskie rycerstwo stoi u wrót jego stolicy, choć dobrze wiedział, że nie dzieje się to z rozkazu Zygmunta, lecz stanowi samowolę żołnierską. Wyszła zatem z Moskwy siedemdziesięcioletnia armia pod wodzą kniazia Wasyla Massalskiego i zatrzymała się, formując do bitwy, nad rzeczką Chodynką, o milę od polskiego obozu. Rożyński przejrzał jednak ten zamiar i trzymał wojsko w pogotowiu bojowym, rozstawiwszy liczne straże. Te doniosły mu jeszcze nocą o pojawieniu się przednich sił moskiewskich. Książ nie czekał więc <sup>x</sup>witu i wyprowadził chorągwie z obozu. Rozdzielił swe siły na trzy hufce, obejmując osobistą komendę nad <sup>x</sup>rodkowym, który

stał na szerokim trakcie, obro×niętym po bokach chaszczami. Miał przed sobą główne siły Massalskiego z czterdziestoma wymierzonymi na go×ciniec działami. Mimo to z chwilą pojawienia się wywiadowczych oddziałów nieprzyjaciela pu×cił na nie lekką jazdę, przykazując je przegnać, a sam ze swą husarią i Kozakami ruszył w ×ład za nią. Zagrzmiały moskiewskie działa czyniąc spustoszenie w polskich szeregach, które jednak nie poniechały ataku, ale jedynie zboczyły z traktu i przedarłszy się przez zaro×la, szły jego skrajem. A że nie zwolniły biegu, puszkarze nie mieli czasu na opuszczenie armatnich luf i kule zaczęły i×ć górą. Kozacy wraz z husarią wrócili więc na trakt, dopadli puszkarzy i w mig ich wybiwszy, gnali dalej. Dostało się przy tym i samemu kniaziowi Rożyńskiemu, którego jaki× puszkarz zdzielił stemplem przez łeb. Chorągwie dopadły obozu już wspólnie z lewym hufcem, który jak dotąd większych strat nie poniósł. Prawego natomiast wciąż brakło. Zaczęła się bitwa, a wła×ciwie już pogrom, w samym obozie. Dopiero kiedy się z tym uporano, nadleciał prawy hufiec, tłumacząc opóźnienie napotkaną po drodze warowną cerkwią, którą musiano zdobywać. Wojska moskiewskie poniosły więc drugą klęskę. Zdobyto wszystkie działa, zginęło bojarskich synów ponad stu, a książę Massalski dostał się do niewoli. Niedobitki z jego armii uciekały do drugiego obozu, który, jak się okazało, leżał w pobliżu. Na wiadomo×ć o tym Rożyński zabronił wszelkiego po×cigu i kazał chorągwiom formować się w szeregi w obawie, że to nie koniec bitwy i może nastąpić przeciwuderzenie. Przeworno×ć ta okazała się słuszna. Nastął już ranek i w pierwszych promieniach wschodzącego słońca istotnie ujrzano od strony owego drugiego obozu tuman kurzu, wskazujący na zbliżający się atak kawalerii. Rzuciły się jej naprzeciw polskie chorągwie. Jednak nieprzyjaciel znacznie przewyższał ich liczbą, oni za× konie mieli już pomeczone, a

dostali się przy tym pod ogień rusznic oraz armat - ponie×li przeto znaczne straty. Po zmaganiu więc, które mimo wszystko trwało do południa, polskie chorągwie zaczęły ustępować przed zażarcie nacierającym przeciwnikiem. Wreszcie rzuciły się do ucieczki i przebywszy Chodynkę, oparły się dopiero o własny obóz. Ale kiedy już większo×ć żołnierzy była po drugiej stronie rzeczki i czekała na resztę nadbiegających towarzyszy, zdarzyło się, że jeden z Kozaków ustrzelił chorążego moskwiczan. Chorągiew padła na ziemię, a widok ten wzniecił nowy zapal w żołnierskich sercach, więc obróciwszy się, pognali znów na opuszczony brzeg, uderzając na pewnych już tryumfu moskwiczan. Ten nagły i gwałtowny atak wywołał tak wielkie zaskoczenie i strach, że teraz znów oni nie dotrzymani placu i obrócili się do ucieczki. Mając do cna już zmęczone konie, rycerstwo długo ich nie ×cigało, radując się, że mimo wszystko zwycięstwo zostało przy nim. Okupione zostało jednak dużymi stratami, bo oprócz zabitych samych rannych było ponad trzystu, a w chorągwiach powstał wielki ubytek koni. Były nawet takie, które potraciły ich ponad połowę. Po tej bitwie książę Rożyński kazał wzmocnić obozowe szańce i pogłębiać rowy, budować baszty i bramy, by zabezpieczyć się przed nową napa×cią. Kniazia Massalskiego nie uwięziono, gdyż zgodził się pozostać w obozie na prawach jeńca, wyrzekając się ucieczki. Zwycięstwo to było powodem, że coraz liczniej poddawały się okoliczne miasta i ziemie samozwańcowi, zaprzysięgając mu wierno×ć. Ten za× wyznaczył im daninę, głównie w żywno×ci, którą zaczęto obficie dostarczać do obozu. iołnierzowi niczego więc nie brakło, co z czasem miało ten skutek, że więcej ucztowano i pito, niż my×lano o wojaczce. Znów jeły nadciągać z Polski ×wieże siły. Jako pierwszy przybył rotmistrz Jaxa\_Bobowski z chorągwią husarską, potem Andrzej Młocki z jedną husarską i jedną pancerną z

konfederacji brzeskiej, po nim Aleksander Zborowski z ponad tysiącem jezdnych. Z konfederacji inflanckiej nadciągnął Wilamowski również z ponad tysiącem szabel, wreszcie, już pod koniec sierpnia, przybył do obozu pan starosta uwiacki Jan Piotr Sapieha z ponad dwoma tysiącami żołnierzy. Tym razem furtkę otworzył kilkunastoletni chłopak, obrzucając przybysza zaleknionym spojrzeniem. Ubrany w płócienne porcięta, zawiązane u kostek sznurkami, bosy, w postrzępionej witce, spoglądał pytająco na Jedlinę. Ten, chcąc go omielić, uśmiechnął się przyjaźnie. - Czego się boisz? Chcę powitać Tatianę Wasiljewnę, jest w domu? Zamiast odpowiedzi chłopak potrząsnął przecząco głową. - Nie ma?! - nieomal z przerażeniem wykrzyknął młody rycerz. - Czy stało się jej coś złego?! - Co się miało stać? - Wyrostek wzruszył ramionami. - Poszła do monasteru odwiedzić swoją siostrę... Jedlina, już spokojniejszy, pytał dalej: - W domu kto jednak jest? - Starsza pani... Natalia Pawłowna. - Syn także? - Nie, ten w wojsku, carowi batuszce służy... - Kiedy wróci Tatiana Wasiljewna? - A Boh jejo znajet... Nie wiem... Jedlina zastanawiał się przez chwilę, czy ponowić odwiedzin, czy też poczekać na miejscu. Nadarzała się jednak okazja porozmawiać z matką, a takie spotkanie wcześniej czy później musiało nastąpić. Mogło skończyć się dla niego źle, bo groziło rozpoznanie, ale postanowił wziąć byka za rogi i sytuację wyjaśnić od razu, gdyż czuł, że na dalsze niepewne oczekiwanie nie starcza mu już cierpliwości ani ochoty. Powziąwszy decyzję, polecił czekającemu przy koniach Wolucie: - Wprowadź wierzchowce na podwórze i czekaj na mnie. Może panna wkrótce wróci, a tymczasem pogadam z matką. - A jeśli was pozna? - zatroszczył się Jacek, którego Nikodem wtajemniczył w swoją miłosną przygodę. - Tedy w najlepszym razie wylecę za drzwi jak kundel! Mam jednak nadzieję, że dobrze mi się nie przyjrzała, bo było nas kilku, a

w izbie liche światło... Tłumiąc wewnętrzny niepokój, ruszył za chłopakiem ku domowi. Za plecami usłyszał stuk bramy zamykanej za koźmi, które pocztowy poprowadził w ład za nim. Zdawało mu się, że dochodzi go odgłos zatrzaśniętej pułapki, co jeszcze bardziej wzmogło w nim napięcie, ale też i determinację. Z zaciętą więc twarzą minął sień i wszedł do znanej już sobie jadalni. Był koniec maja i palenisko ziało ciemną pustką. W półmroku panującym w komnacie dostrzegł kobiecą sylwetkę. Na widok wchodzących uniosła się od stołu, za którym siedziała. - Przybył jakiś tam... - objaśnił niepewnie wyrostek. - Pyta o Tatianę Wasiljewnę. Kiedy Nikodem wyprostował się po niskim pokłonie, ujrzał przed sobą twarz o zapadniętych policzkach, z głębokimi bruzdami wokół ust, i duże, ciemne oczy, błyszczące żywym blaskiem, wpatrzone w niego z napiętą uwagą. - Ktoś jest, dobry człowieku? - przemówiła przyciszonym głosem, jakby przemawiała do ducha, a nie żywego człowieka. - Przybyszem, który szuka Tatiany Wasiljewny - odpowiedział młody rycerz, nie odwracając spojrzenia od utkwionego w siebie wzroku. - Po co ci ona? - Pokłon przybyłem złożyć i o zdrowie pytać, wróciwszy z dalekiej podróży. - A dlaczego to czynisz? Czyżbyś ją znał? Nic mi nie mówiła... - Przyczynę niełatwo wyjawić, pani dobrodziejko... Kilka słów na to nie starczy. Kobieta chwilę milczała, jakby zapominając o jego obecności, wreszcie uniosła wzrok i spojrzała mu w oczy: - Tyś Polak? - Słowa zabrzmiały bardziej stwierdzeniem niż pytaniem. - Tak. Skąd to wiecie? - Tym razem Jedlina zniżył głos, w napięciu czekając na odpowiedź. Kobieta uśmiechnęła się lekko i odpowiedziała: - Boś nie złożył pokłonu przed ikonami. Wy tego nie robicie. - To prawda, matko... - Młody rycerz zawahał się rzuciwszy to słowo. Kobieta inaczej jednak musiała zrozumieć przyczynę wahania, bo odpowiedziała: - Na imię mam Natalia, a rodzicowi było Paweł. Mimo



spokojnego przebiegu tej rozmowy Jedlinę nie opuszczało zażenowanie i niepokój. - Słyszałem, że Tatiana Wasiljewna wyszła, ale ponoć wnet powróci. Czy zezwolicie zaczekać? - Tak ważną macie do niej sprawę, panie, że wymaga ona osobistego widzenia? Młody rycerz stracił na chwilę panowanie nad sobą. - Sto wiorst gnałem konie, żeby ją ujrzeć! - wybuchnął. - A sprawę mam równie ważną jak szczę×liwo×ć żywota! Kobieta opu×ciła głowę i milczała dłuższy czas, zanim znów się odezwała: - O co więc chodzi, mówcie. Jestem jej matką, możecie nie ukrywać niczego... Młody rycerz westchnął, jakby zabrakło mu tchu. - Nazywam się Jedlina, na imię mam Nikodem, po ojcu Pietrowicz. Jestem polskim szlachcicem... - urwał nie wiedząc, co mówić dalej. Kobieta zdawała się jednak nie dostrzegać jego wahania, bo uniosła dłoń i wskazując na ławę powiedziała: - A zatem siadajcie, Nikodemie Pietrowiczu, i mówcie, co was tu sprowadza. Sama skierowała się również ku stołowi i siadając przy nim, splotła przed sobą dłonie. Nikodem poszedł za jej przykładem i zaczął mówić z ociąganiem, gdyż nie wiedział, jak wyja×nić swoje przybycie, nie zdradzając przedwcze×nie wła×ciwego celu wizyty. - Tatiana Wasiljewna opiekowała się mną, kiedy kilka miesięcy temu leżałem ranny. Wdzięcno×ć za to mam dla niej wielką, toteż przybyłem, by złożyć jej dziękczynny pokłon... Znów spojrzenie ciemnych oczu przesunęło się po twarzy młodego mężczyzny, potem Natalia Pawłowna opu×ciła powieki i przyglądała się przez chwilę swym splecionym dłoniom leżącym na stole. Wreszcie przemówiła z lekką drwiną w głosie: - I tylko dlatego gnali×cie konie taki szmat drogi? Nikodem zacisnął usta czując, jak na twarz występują mu rumieńce. To jeszcze bardziej pozbawiło go pewno×ci siebie. Nie wiedząc, co odpowiedzieć, bąknął: - Wysilek nie był taki znów wielki wobec wdzięcno×ci, jaką dla niej czuję... Wyraz twarzy

Natalii Pawłowny niczym nie zdradzał, jak oceniła to nieporadne wyjaśnienie. Pytanie, które zadała z kolei, brzmiało spokojnie i jakby od niechcienia: - Byliście już chyba u nas? Mówił mi Grisza, że z tej samej przyczyny ktoś już pytał o Tatianę. - Tak, to byłem ja. - Podziękowaliście? - Nie mówiła wam o tym? Tak, podziękowałem. - I znów po raz drugi chcecie to robić? Powtarzanie podziękowań nie ma sensu... - Nieco kpiący uśmiech przemknął przez usta Natalii Pawłowny. Jedlina uniósł raptownie głowę wzburzony tymi słowami i tym uśmiechem. Zażenowanie, które odczuwał przez cały czas rozmowy, raptem zniknęło i nieomal z gniewem rzucił: - Istotnie, nie warto gadać byle co, kiedy dla innej przyczyny pędziłem tu jak szalowiec, by ujrzeć Tanię choć przez chwilę! Nie ma co dalej ukrywać, że rozmiłowałem się w niej bez pamięci! Jam nie chudopacholek, w ojczyźnie dobra mam znaczne i dostatek wszelki mogę i jej, i wam zapewnić, jeżeli zgodzi się żoną mi zostać! Przybyłem więc, by o odpowiedź ją prosić. - O jaką odpowiedź? Czy już ją o to pytaliście? - Kobieta wpatrzyła się z uwagą w rozplómieloną uczuciem twarz młodego rycerza. - Nic mi o tym nie mówiła... - Prosiłem ją o zgodę, kiedym był tu poprzednio. - A ona? Co odpowiedziała? - Nie dostałem odpowiedzi - rzekł z westchnieniem młody rycerz. - Po prostu uciekła. - A kiedyż to rozmiłowaliście się w Tatianie, Nikodemie Pietrowiczu? - W rzuconym z powagą pytaniu pojawił się cień groźby, który nie uszedł uwagi rycerza. - W... w czasie, jak mnie pielęgnowała... - powiedział znów zażenowany. - Hm... No cóż... Tatiany nie ma i nie warto, byście na nią czekali. Tak mi się zdaje. Słowa te zabrzmiały jak wyrok, toteż wzburzony rycerz poderwał się na równe nogi. - A więc gonicie mnie precz? A jam się wam zwierzył w nadziei waszej przychylności! Chcę jednak ten wyrok usłyszeć z ust samej Tani. Niech ona mi to powie. Natalia

Pawłowna wstała także zza stołu i uniósłszy głowę, bo rycerz znacznie przewyższał ją wzrostem, patrzyła na niego w milczeniu. Nikodem nie mógł jednak rozeznaczyć, czy rozważa jego słowa, czy też my×li o czym× innym. Wreszcie skierowała spojrzenie na podłogę u swych stóp i odezwała się: - Dobrze zatem... Przyjdź za tydzień, powiem, że× był, niech sprawę rozważy. - Nie będziecie na nią wpływać? - Nie, niech zadecyduje sama. Choć nie wiem, czy dostaniesz przychylną odpowiedź... Po tym, co× jej uczynił. Ostatnie słowa, mimo że powiedziane nieomal szeptem, ×cisnęły serce rycerza przerażeniem. Jaki× czas prawie ze zgrozą patrzył na kobietę, zanim wreszcie zawołał: - Więc wiecie?! Natalia Pawłowna skinęła głową. - Poznałam cię od razu. - I nie przegnali×cie?! Zechcieli×cie ze mną mówić?! - Serce się wzbraniało, ale rozum kazał. Chciałam ci się przyjrzeć i poznać, co× za jeden, czy× nie z piekła rodem, lecz tylko człowiek, co pobłądził... - Nie doszłoby do tego, gdyby nie nieczyny podstęp, jakim nas zwiedziono. - Wiem, Tania mówiła mi. Idź teraz i wróć za tydzień. Obaczymy, jak Bóg wami pokieruje... Nastaly teraz dla Nikodema trudne dni - najbardziej uciążliwe, jakie przyszło mu dotąd przeżywać. Każdy dłużył się jak mila pieszemu wędrowcowi, czas zdawał się, na przekór niecierpliwó×ci rycerza, stać w miejscu. Noce też nie były lepsze, budził się często, przewracał z boku na bok, wreszcie zasypiał nad ranem, by wstać i pokonywać nowy dzień niepewno×ci. Wreszcie nadszedł jednak wyznaczony termin. Tak jak uprzednio powstrzymując niecierpliwó×ć, teraz jeszcze z obawą, co go spotka za kilka chwil, szedł ku domowi. W jadalnej izbie nie było nikogo, ale chłopak, który wszedł za nim, oznajmił: - Panienska kazała prosić, by×cie czekali. Zaraz pójdę ją powiadomić. Wyszedł z izby, a młodemu rycerzowi wydało się, że minuty rozwlekły się w godzinę i nie będzie temu końca, kiedy raptem ujrzał na progu dziewczynę. Była

ubrana w długi, luźny, sięgający stóp sarafan, na nim miała krótki serdaczek, trzymający się na wyszywanych perełkami szelkach. Splecione w warkocze włosy otaczało wznoszące się pionowo czełko, z którego opadała na ramiona muślinowa, krymskiej roboty chusteczka. Jednak nie ten ubiór przyciągnął wzrok młodego człowieka, ale pełna uroku twarzyczka i owe nie schodzące mu z pamięci wielkie, piękne oczy, które teraz wpatrywały się w niego spod lekko przeciągniętych brwi, nadając licu wyraz skupienia i surowości. Nie mogąc opanować wzruszenia, w porywie uczucia rzucił się ku niej i chwyciwszy dziewczynę za ręce, począł je całować, a potem przyłożył jej dłonie do swoich policzków i powtarzał w uniesieniu: - Taniu... Taniu... Jakżem szczęśliwy, że znów cię widzę! Dziewczyna, zaskoczona gwałtownością tego powitania, stała pochylona nad jego głową. Nieruchoma i milcząca zdawała się ulegać temu porywowi namiętności młodzieńca, bo twarz jej skłaniała się coraz niżej ku jego głowie, jakby chciała na niej złożyć pocałunek. Ale nagle, niby ocknięta z uroku, wyprostowała się i szarpnąwszy dłonie, odskoczyła do tyłu. W jej oczach ujrzął rycerz błyski gniewu, które skuły mu serce przecuciem klęski. - Nie rusz mnie! - krzyknęła. - Nie po to zgodziłam się cię widzieć! - Zgodziła się? A więc nie chciała? - żeby wiedział, że nie chciałam. - Czy prócz pragnienia zemsty na nic innego nie ma miejsca w twym sercu? Tatiana, która patrzyła na niego ze przeciągniętą jeszcze brwią i iskrami wzburzenia w oczach, odwróciła wzrok i schylając głowę rzekła cicho: - Ja zemsty na tobie nie szukam... Niech Bóg cię osądzi... - Ale i wybaczyć nie możesz? Chociażby tylko tyle... Jeśli już ogień, który serce me trawi, w twoim niezdolny rozniecić choć iskry! Zaprzeczyła niemym ruchem głowy, więc ciągnął dalej: - Kiedym cię zegnał, zabłysnął mi promyk nadziei, że mi przebaczysz, a twoje serce odpowie mojemu. Głupi jednak

byłem, co teraz dopiero dostrzegam. Mówisz, że zemsty na mnie nie szukasz, to prawda, bo za nóż nie chwytasz, ale czyż może być gorsza odplata niż ta, której od ciebie zaznaję? Sam nieczysty lepszej by nie wymy×lił! - Nie wymieniaj jego imienia! - oburzyła się. - Nie godzi się o nim wspominać. Czemu nie my×lisz o Bogu? Bacz, by za to jego kara cię nie dosięgła! - Ja swój grzech już odkupuję daremną miło×cią. To ty× szatanowi posłuszna, nie Bogu! Tatiana tupnęła z oburzenia nogą i łapiąc spazmatycznie oddech wykrzyknęła: - Jak ×miesz tak mówić! Skąd wiesz, co moim sercem rządzi? Przyłożyła ręce do twarzy i schyliwszy głowę, rozplakała się. Nikodem, zaskoczony tym nieoczekiwanym zakończeniem gniewnych słów, na chwilę znieruchomiał, a potem skoczył ku dziewczynie i objąwszy ją ramionami zaczął całować jej ręce, a potem twarz. Nie broniła się przed tymi pocałunkami, przeciwnie, raptem przylgnęła do jego piersi. Kiedy za× znalazł jej usta, podała mu je rozchylone i drżące. Pełen upojenia uległ niespodziewanemu szczę×ciu, ale tym razem jeszcze bole×niejsze było przebudzenie z tego zachwytu. Poczul bowiem, jak ręce dziewczyny nagle wsparły się o jego pier× i, pchnięty gwałtownie, musiał rozerwać swój u×cisk. Ujrzał przed sobą jej wzburzoną, okrytą rumieńcem twarz. Rozsypujące się na czole włosy nadały jej czupurny wygląd, a z rozedrganych ust zaczęły padać szybko rzucane słowa: - Idź precz! Słyszysz? Idź precz! Nienawidzę cię! Parę razy złapała oddech i wołała dalej, wciąż ogarnięta miotającym nią gniewem: - Ty× złego przywołał! To on mnie skusił! Ale nic z tego! Znać cię nie chcę ani więcej widzieć! Idź tedy i tu nie wracaj! Opadła na ławę i wyciągnawszy na stole ramiona, wsparła na nich głowę wstrząsaną łkaniem. Nikodem, wstrzą×nięty tą nagłą reakcją, przyglądał się bezradnie szlochającej dziewczynie. Nie wiedział, co mówić i czynić. Po chwili, kiedy szlochanie zdawało się zacichać, odezwał się,

próbując ją uspokoić: - Wstrzymaj, Taniu, łzy... Nie chcę być ich przyczyną, toteż są to ostatnie moje słowa do ciebie. Oby Bóg przynajmniej tobie przywrócił spokój, bo ja już go nie zaznam, chyba przez śmierć, co żołnierzowi bliska. Słowa te odniosły jednak skutek wręcz przeciwny, bo nastąpił ponowny, jeszcze bardziej gwałtowny wybuch płaczu. Z trudem łapiąc oddech, zaczęła mówić: - O, ja nieszczęśliwa... Czymże zawiniłam, miłosierny Boże, że mnie tak karzesz? Czemu mnie nie umacniasz w postanowieniu, tylko targasz za serce? Ten nowy objaw rozpacz i niezrozumiałe słowa dziewczyny jeszcze bardziej pogłębiły młodego rycerza. Toteż poczuł nieomal ulgę na widok Natalii Pawłowny, która ukazała się w drzwiach. Stała w progu i przez chwilę patrzyła na rozgrywającą się scenę, potem podeszła do niego i położywszy mu dłoń na ramieniu, powiedziała spokojnie: - Idź teraz, synu, i ostaw nas same... Matka lepiej sobie poradzi z tą boleścią. Wolucie wystarczyło jednego spojrzenia na twarz młodego rycerza, by poniechać wszelkich pytań. Toteż drogę powrotną odbyli w zupełnym milczeniu. Nikodem mimo utraty wszelkiej nadziei nie mógł jednak zdobyć się na decyzję wyjazdu, aczkolwiek, wierny przyrzeczeniu, nie próbował szukać okazji do rozmowy. Chodził jedynie pod dworzec Wołnowów i krążąc samotnie w pobliżu, wypatrywał Tatiany, by jeszcze raz ją ujrzeć i już na zawsze choć w ten sposób pożegnać. W maju 1608 roku nadeszły wieści o rozgromieniu carskich wojsk pod Bołchowem, potem zjawili się uciekinierzy z twerskiego traktu, co nie wyrwało jednak Nikodema z bierności. Czerwiec z wolna mijał, a on nadal nie ruszał się z miejsca. Którego dnia wybrał się na kolejną wycieczkę do Biełogrodu, bo tam znajdował się dwór Wołnowów. Jak zwykle chciał go okrążyć, by mieć lepszy wgląd na podwórze, gdzie spodziewał się ujrzeć Tatianę, kiedy dostrzegł, jak furta otwiera się i, ubrana do wyjścia,

staje przed nią Natalia Pawłowna. Jej widok natchnął go pragnieniem zamiany choć kilku słów, by uzyskać wieści o Tani, toteż przyspieszył kroku i stanął przed starą kobietą. - Kłaniam się wam, Natalio Pawłowna... Droga mi wypadła akurat koło waszego domu i oto szczęśliwie was spotykam. Czy w zdrowiu żyjecie? Zagadnięta uniosła ku niemu oczy i nie okazując zdziwienia nagłym spotkaniem, odpowiedziała z naturalną swobodą: - Chwała Bogu, jako się żyje... - Stała nie ruszając od furty, jakby wiadoma, że czeka ją dalsza rozmowa. - A Tatiana Wasiljewna? Co porabia? Kobieta uśmiechnęła się z lekka. - Co ma porabiać? Krząta się ze służebną przy gospodarstwie, choć nie takie ono teraz zasobne, bo czasy nastały ciężkie. - Czy... czy mógłbym z wami choć parę słów zamienić? Pora mi ruszać już w pole, a chciałbym waszej rady wysłuchać, bo rozumu niejeden mąż mógłby wam pozazdrościć. - Ejże, pochlebco... - Natalia Pawłowna pogroziła rycerzowi palcem. - Chcesz mnie, starą, brać na przynętę? - Nie pochlebstwo to, lecz rzetelna prawda! Choćby i dlatego, że każda matka, rozpoznawszy mnie, precz by wyгнаła, wy natomiast daliście sposobność do rozmowy. - Nie przeczę, że chciałam poznać, co za jeden. Zaskoczyły mnie bowiem twoje odwiedziny, gdyż wydało mi się to niezwykle, że ośmielił się powrócić na miejsce niecnego czynu. No dobrze - zmieniła temat - chodźcie, mogę wam poświęcić nieco czasu, skoro rychło ruszacie w drogę. Zawróciła podprowadzając swego gościa do stojącej przy domu ławki. Przysiadła na niej, wskazując miejsce obok siebie. - Siadajcie i wyznajcie, co leży wam na sercu. Chyba to wiem, ale mówcie wy... - Czy Tania nic wam o mnie nie mówiła? Rad bym o niej wiedzieć wszystko... Chociaż tego, co czuje, nie skrywała przede mną. - Tak? Zatem wiesz więcej niż ja. Nikodem obrócił się do kobiety poruszony tymi słowami. - Jak mam to rozumieć? Przecież jasno mówiła, że

niczego krom nienawi×ci nie mogę od niej oczekiwać. - To wszystko nie takie proste, mój synu. Nienawi×ć to mocne słowo, a wzburzenie tylko takie podsuwa. Ale... Natalia Pawłowna przerwała, widać zastanawiając się nad dalszym wątkiem. Patrzyła przy tym przed siebie, jakby zainteresowały ją dwa koguty walczące wła×nie na podwórzu. Młody rycerz ciągnął więc dalej: - Straciłem już wszelką nadzieję na inny obrót sprawy, przyobiecałem więc Tani, że zgodnie z jej wolą nachodzić waszego domu więcej nie będę. - Tedy głupi×, Nikodemie Pietrowiczu - stwierdziła krótko kobieta. - Ową głupotą młodego wieku, co głębiej w nic nie umie wejrzeć, ale pochopne sądy rada wydawać. - Głębiej nie umie wejrzeć? - ze zdziwieniem powtórzył młody rycerz. - Nie rozumiem... - Tatiana jest może bardziej nieszczę×liwa niż ty, Nikodemie Pietrowiczu. Szarpie się, miotana rozterką, mam jednak nadzieję, że wreszcie uspokoi serce i zdoła dokonać wyboru. - Jak mam to rozumieć? O jakim wyborze mówicie? - Niczego nie dostrzegasz? Nic nie pojmujesz? - Kobieta rzuciła na rycerza ironiczne spojrzenie, ale towarzyszył mu smutny u×miech. - Nie... - Nienawi×ć czuje ku tobie, gdyż siłą zmuszając ją do uległo×ci zraniła× ×miertelnie jej dumę, budząc przez to i nienawi×ć. Ale raptem ujrzała, że nie jest ci obojętna, to ukoilo nieco ranę zadaną jej godno×ci i poruszyło serce, mimo wszystko obudzone więzią, jaka was połączyła. Jednak zrodzona nienawi×ć niełatwo daje się unicestwić... I tak oto miota się dziewczyna między jednym i drugim. Toteż jako matka pragnę, aby rychło dokonała wyboru, bo chociażby nawet miłowanie góry nie wzięło, odzyska spokój... - Miłowanie? - ze zdumieniem szepnął młody rycerz, potem wykrzyknął: - święty Panie Niebieski, więc widzicie dla mnie jeszcze nadzieję?! - Widzę i z serca ci życzę, by się spełniła. - Prawda to?! Od początku spostrzegłem, że×cie mi przychylni, co pojąć było mi trudno, ale tym większą



odczuwam dla was wdzięczno×ć! - Bom się przekonała, że× nie taki, jak sądziłam. W tobie za× widzę dla Tatiany jedyny ratunek przed gorzkim żywotem, jaki ją czeka, je×li nie usłucha serca. Masza idzie do klasztoru, ale tego pragnęła już z dawna, a co czekałoby Tanię? Samotne starzenie się, boć uważając się za zhańbioną, innego nie weźmie. Ty× dla niej, synu, a tego mniemania wcale nie skrywam, jest ratunkiem, a być może trochę i szczę×ciem. - Istotnie mądra×cie, Natalio Pawłowna, kobieta... - w zadumie rzucił Nikodem. - My×lę, że wam głównie będę zawdzięczał odmianę mego losu, je×li dobry Bóg skłoni Tanię ku miło×ci. - Ostańmy przy tej nadziei, synu... - Jest jeszcze jeden cień, co mroczną między nami wyznacza granicę... - z wahaniem w głosie podjął Jedlina. Natalia Pawłowna pokiwała głową. - Wiem, co masz na my×li, i czekałam, kiedy o tym wspomnisz. Skoro× to podjął, opowiem ci co nieco ze swojej młodo×ci. Małżonek mój ze szlacheckiej, ale biednej pochodził rodziny, ja za×, o czym nawet dzieciom nie mówiłam, z bojarskiego jestem rodu. Rozkochałam się jednak w Wasiliju, kiedy więc rodzic zabronił mi go widywać, uciekłam z lubym, sama go do tego skłaniając. Poszedł za nami po×cig prowadzony przez dwóch moich braci. Doszło do potyczki, w której Wasilij na moich oczach, będąc osaczony, ciosem szabli ubił jednego z nich. Mimo to zostałam jego żoną i dałam mu troje dzieci. Nigdy też nie żałowałam swego wyboru, bo był prawym człowiekiem i wiernym towarzyszem życia. My, kobiety, na wasze męskie poczynania musimy patrzeć wyrozumiale, bo×cie niesforni i rządzicie się swoimi, nie zawsze mądrymi prawami, które dzikie są nam i obce... - Co mi teraz radzicie czynić? Natalia Pawłowna wstała z ławki. - No, pora i×ć, zbyt długo gadamy. Ty za×, Nikodemie, jedź, jakie× zamierzał, w pole, ale gdyby× powrócił, możesz do nas zajrzeć. Obaczym, co czas i łaska Boża przyniesie... W kilka dni potem Jedlina

wyjechał z Moskwy już nie tak zgnębiony jak w ostatnich tygodniach. Doszły go słuchy, że armia samozwańca znów rozbiła nad Chodynką carskie wojska i stanęła obozem pod Tuszyńem. Wiedział więc, gdzie ma się obrócić, a że droga nie była daleka, jeszcze tego samego dnia udało mu się bez przygód dostać do obozu. Car Wasyl czuł się coraz bardziej zagrożony tak rosnącymi siłami samozwańca, jak i jego przewagą w polu, tym bardziej, że sam nie miał ani dobrego wojska, ani zdolnego wodza. Nie opóźniał więc pokojowych rozmów z posłami Zygmunta, godził się na zwolnienie wszystkich więźniów, żądał jednak, by Polska przestała zasilać Dymitra żołnierzem. Natomiast w sprawie wycofania wojsk znajdujących się już u boku samozwańca uzyskał jedynie obietnicę, że takie usiłowania będą podjęte, jak tylko pozwoli na to sytuacja. Ostatecznie porozumienie o pokoju zostało podpisane 27 lipca 1608 roku, a obowiązywać miało przez trzy lata i jedną×cie miesięcy. Więźniowie odzyskali więc wolno×ć. Pan Mniszech z córką przybyli do Moskwy, gdzie mieli przyłączyć się do posłów Gosiewskiego i Ole×nickiego i wraz z nimi ruszyć do Polski z poczem tysiąca konnych, przydanych przez cara Wasyla dla zapewnienia im bezpieczeństwa przejazdu. Maryna już w Jarosławlu słyszała o rzekomym uratowaniu się Dymitra. Początkowo, ponad miarę uszcę×liwiona radosną wie×cią, zaczęła snuć ×miałe plany zrzucenia z tronu Szujskiego. Potem doszły ją wszakże i głosy podające w wątpliwo×ć tożsamo×ć owego Dymitra, a wreszcie w Moskwie otrzymała zapewnienie, że jest to zwykły oszust, a do tego prostak i grubianin. Stwierdzali to również wysłannicy panów Witowskiego i Sokolińskiego, którzy jeździli do Tuszyńa. Mimo tych ostrzeżeń nie traciła nadziei w przekonaniu, że tego rodzaju wie×ci umy×lnie głoszą nieprzychylni Dymitrowi ludzie. żywiła tę nadzieję, nie chcąc uznać się za pokonaną, a i obawiając się powrotu w takiej roli

do ojczyzny, gdzie nie uniknęłaby naigrawań. Trudno też było pogodzić się z utratą carskiej godności, kiedy jej smaku już się zaznało. Te wszystkie myśli skłoniły Marynę do poruszenia tej sprawy w rozmowie z ojcem nieomal w przeddzień wyjazdu do kraju. Okres niewoli, choć nie spędziła go w więziennych lochach, odbił się na niej wyraźnie. Przeżyty dramat, niepewność losu i gorzkie myśli ciągnęły jej rysy, pomniejszając jakby twarz, w której dawnym blaskiem świeciły tylko jej piękne oczy, a i tak wiotka kibić nabrała jeszcze większej smukłości. Na panu wojewodzie przebyte strapienia i niedola pozostawiły ślady tym większe, że był już człowiekiem leciwym. Rozmawiali w komnacie poselskiego dworu, gdzie zatrzymali się na owe dni krótkiego pobytu w Moskwie. - Nie chcę wracać do Polski! - rzuciła zdecydowanie Maryna. Chodziła wzburzona od ściany do ściany, szumiąc szeroką spódnicą. Wojewoda siedział w fotelu i spoglądał spod oka na córkę, wodząc za nią spojrzeniem. - I mnie nie ochota, ale kto wie, czy nie najlepsze to wyjście. Stary już się czuję i do walki niezdolny. Jak twierdzi Gosiewski, a wierzyć mu można, Rożyński jest nam przeciwny. - Dlaczego? - Jeśli to w istocie nie ten sam Dymitr, boi się, że go nie uznasz, a wówczas sprawa samozwańca upadnie, a z nią i jego nadzieje na korzyść. Jeśli za niego uznasz, wzmocnisz znaczenie Dymitra, co niechybnie osłabi pozycję księcia. Dlatego lęka się ciebie i woli, by sprawa biegła dotychczasowym torem... - Wiadomo mi jednak, że mam w obozie wielu stronników. Wszyscy Kozacy czekają na moje przybycie, a i niektórzy z rodaków także, bo Rożyński wielu już się dał we znaki. - Ale też i wielu ma popleczników, właśnie wśród naszego rycerstwa, a oni są główną podporą całej imprezy. Mogą powstać w obozie rozruchy, niebezpieczne dla niego, lecz także i dla nas, bo nie wiadomo, czym się skończą. - Nie ośmiela się podnieść na

mnie ręki! A jeżeli temu pijanicy łeb spadnie z karku, o to nie dbam! - A gdyby jednak poniechać tego ryzyka? Dość już zaznaliśmy nieszczęść, czy warto narażać się na nowe? - Dotąd mówiłam, ojcze, inaczej. Przypomnij sobie czasy Sambora. Jakże mam teraz tam powrócić, ja, carowa? Jako kto? Nieszczęsna, opuszczona przez los wdowa? Może na byle bryczuszce zaprzężonej we dwa konie, ja, com karetą w szesnacie jeździła?! Nie, chociażbym wiedziała, że położę głowę, tego nie uczynię! - Wielką chcesz płacić cenę za zwodną nadzieję... - Nie zapominaj, że nie byle kto, gdyż ruską władczynią nie przestałam być! Wie o tym Rożyński i dlatego boi się mnie. Niech się boi, bo do Tuszyna przybędę. - A jeżeli się okaże, że ów Dymitr to istotnie nie ten, którego pokubiła? - Sama muszę to stwierdzić. Bez tego moskiewskiego kraju nie opuszczę. - Hm... - Wojewoda zadumał się i nic więcej nie powiedział. Maryna spostrzegła to zamyślenie ojca i przystanęła w swej wędrowce po komnacie. - Czemu zaniemówił? Co rozważasz? - Nie możesz nagle zmieniać decyzji i pozostać w Moskwie, bo narazimy rzetelność naszych posłów, którzy obiecali, że zabiorą nas do kraju. Pozostanie grozi więc utratą królewskich względów, a do tego nieskorym. - Co tedy robić? - spytała nieco bezradnie, ale zaraz dorzuciła z uporem: - Mimo to decyzji nie zmienię! Radź tedy, ojcze, zawsze umiałeś wyście znajdować. - Właśnie rozważam, czy znajdę i teraz... - Wojewoda znów zamilkł i po chwili dodał: - Może by i było... Maryna obróciła się do niego gwałtownie. - Masz wyście? - spytała szybko. - Mów, ojcze, ja nie mogę wracać teraz z posłami, moim przeznaczeniem jest panować nad tym krajem! Mniszech zdawał się nie zwracać uwagi na słowa córki, bo wznowił rozpoczętą myśl: - Domaradzki ponoć mówił, że i Aleksander Zborowski jest w obozie. A to przecież nasz krewniak i rody nasze żyją w przyjaźni... Można by to poruczyć jemu, on nie

zdradzi... - Czego ma nie zdradzić? Co zamierzasz? - Rzecz by wyglądała całkiem inaczej, gdyby× przybyła do obozu nie z własnej woli, ale przymuszona... Niechby Zborowski porwał cię po drodze i przyprowadził siłą. Wtedy ani posłowie, ani Rożyński nie mogliby nam niczego zarzucić. - Rozumiem. Tak, to dobre wyj×cie! - Po dziecinnemu klasnęła w dłonie. - Tak trzeba zrobić, wiedziałam, że sposób znajdziesz.

Wojewoda u×miechnął się pod wąsem, kontent z pochwały, po czym rzekł: - Napisz tedy pismo do Zborowskiego i pro×go, by wnet ruszył za nami w po×cig i odbił nas z konwoju. Niech pismo zaraz zniszczy, a to, że je otrzymał, zachowa w najgłębszej tajemnicy. Pismo Zborowski istotnie otrzymał. Było mu po my×li, bo sam należał do stronników wołających o przybycie Maryny, tym bardziej, że księżę Rożyński nie przypadł mu do gustu. Toteż zgodnie z poleceniem list spalił i tym usilniej zaczął kaptować zwolenników przybycia do obozu małżonki Dymitra. Niech wspólnie walczą o należny jej tron - przedkładał - a skoro jest temu przeciwna, siłą należy ją do tego przymusić. Znalazł pan Aleksander posłuch, bo podobnego mniemania było wielu szlachty. Wie×ci o tym rychło dotarły do księcia, toteż zwołał naradę co znamienitszych panów braci i od razu przystąpił do rzeczy: - Słuchy mnie doszły, że coraz liczniejsze są głosy domagające się, by caryca Maryna znalazła się przy nas i wspomogła w walce o należne jej małżonkowi prawa. Początkowo sądziłem, że waszmo×ciowie są temu przeciwni. Ja zresztą także, bojąc się w obozie niesnasek, wołałem rzecz pozostawić tak, jak ona biegnie. Ale teraz widzę, że wła×nie większo×ć panów chce jednak, aby caryca między nami była. Zatem nie oponuję temu, niechże więc pan Walawski co rychlej wyrusza w po×cig i przywiezie ją do nas. Wszyscy przyklasnęli decyzji księcia. Jedynie pan Zborowski dziwił się nieco tej tak szybkiej zmianie stanowiska. Ale że była ona po jego my×li,

więc nie dochodził przyczyny, chociaż wiedział, że i Walawski podzielał dotąd pogląd Rożyńskiego. Domy×lił się dopiero, co za tym się kryło, kiedy Walawski po tygodniu wrócił z wie×cią, że poselskiego orszaku nie zdołał do×cignąć, gdyż ten zbyt szybko się posuwał i zdążył już przekroczyć litewską granicę. Zborowski, rozzłoszczony, że tak łatwo, niby żaczek, dał się podej×ć, poderwał swoje chorągwie i sam wyruszył w drogę. Było zgoła nieprawdopodobne, by tak rychło karety i wozy mogły opu×cić moskiewski kraj, tym bardziej że z listu wiedział o intencjach carowej. W obozie było wiadomo o poselskim orszaku i trakcie, którym ciągnął, bo główny i najbardziej przejezdny prowadził na zachód przez Możajsk, Wiaźmę i Smoleńsk, skąd do Orszy, leżącej po stronie polskiej, było już blisko. Toteż pan Aleksander nie potrzebował zrazu zasięgać języka, szedł szybko, by nadrobić blisko dziesięć dni przewagi, jakie tabor miał nad nim. Pocieszał się wszakże, że karoce i wozy nie robiły więcej niż ze trzy mile na dzień, spodziewał się więc dopędzić orszak jeszcze przed granicą. Dotarwszy do Wiaźmy stwierdził jednak ku swemu zdumieniu, że żaden tak znaczny orszak tędy nie przejeżdżał. Było rzeczą niemożliwą, aby ciągnące w asy×cie tysiąca jezdnych karety nie zostały dostrzeżone, toteż Zborowski rozesłał natychmiast podjazdy, chcąc się dowiedzieć, gdzie orszak skręcił z głównego szlaku i kędy posuwa się dalej. Wkrótce otrzymał wie×ci, że widziano wozy i poczet zbrojnych w Turbiejewie. Ciągnęły na Chołm i Białą, zatrzymując się na częste i długie postoje. Zborowski domy×lił się od razu, że owa dłuższa trasa i częste postoje mają mu ułatwić po×cig, toteż pewny już pomy×lnego skutku wyprawy ruszył w dalszą drogę. Jakoż istotnie dopadł orszak pod Białą i po krótkiej potyczce rozgromił konwój. Kiedy już się z tym uporał, podążył ku karetom wypatrując Maryny. Niebawem ujrzał jej

rozradowane oblicze wychylone z okna pojazdu. Wkrótce dojrżeli ją i husarze i otoczyli karete, wiwatując na cześć carycy. Ponieważ Biała znajdowała się zaledwie o parę wiorst, postanowiono dojechać do niej i tam zatrzymać się na postój, tak dla wytchnienia, jak i odbycia narady. Propozycję tę wysunął pan Oleński, jeden z dwóch królewskich posłów wracających do kraju. Drugi bowiem, pan Gosiewski, już dwa dni wcześniej odłączył się od orszaku i ruszył w dalszą drogę tylko ze swymi ludźmi. Sprzykrzył sobie bowiem, jak mówił, ciągle postoje, zwąc je niewieściami grymasami. Naradę zaproponował pan Oleński, gdyż przyszło mu do głowy, że nie od rzeczy będzie wykorzystać sytuację i niby wbrew własnej woli znaleźć się w tuszyńskim obozie. Obiecywał sobie pan kasztelan uzyskanie jakich takich wpływów wśród znajdującego się tam polskiego rycerstwa, nie szkodziło też przyjrzeć się i Dymitrowi, co razem wzięwszy mogło być potem przydatne dla królewskich zamierzeń. Chodziło tylko o to, aby samemu nie wysunąć takiej propozycji, toteż naradę rozpoczął od skierowania prośby do pana Zborowskiego o nieco zbrojnych dla zapewnienia mu bezpieczeństwa przynajmniej w drodze do Orszy. Wszakże pan Mniszech, jakby zgadując jego intencję, a jednocześnie dostrzegłszy dla siebie korzyści, gdyby przybył do obozu w towarzystwie królewskiego dygnitarza, zaczął go namawiać do powrotu wraz z nimi do Tuszyna. Radził to usilnie wskazując, że pan Oleński mógłby bezpieczniej stamtąd powrócić wraz z nowymi posłami, którzy już tam są, a to z Witowskim i Sokolińskim. Pan kasztelan, rad w duszy z takiego obrotu sprawy, długo się nie opierał i w drogę powrotną ruszono razem. Przybywszy na miejsce, pan wojewoda wraz z panem Oleńskim postanowili nie zjawiać się w obozie, lecz obrać za siedzibę bojarski dwór leżący nie dalej niż kilka wiorst od Tuszyna. Natomiast pan Zborowski, jeszcze w półpancerzu i

hełmie, po×pieszył do kwatery księcia Rożyńskiego, by złożyć mu jako hetmanowi meldunek z odbytej wyprawy. Miał przy sobie asystę paru poruczników i pocztowego. Temu zostawili konie, ujrzawszy przed namiotem grupę oficerów, a w×ród nich wyniosłą postać księcia. Zborowski szedł więc ku niemu i zbliżywszy się powitał: - Czołem, wasza wysoko×ć! Przybywam, aby donie×ć, że z carycą Maryną wraz z rodzicem i kasztelanem Ole×nickim do×cignął i tu szczę×liwie przywiodłem. Panu Walawskiemu fortuna widać nie dopisała albo tropu nie zdołał znaleźć, gdyż na głównym trakcie woda mosty zniosła i orszak okrężną drogę musiał obrać. Toteż rad jestem, że przynajmniej mnie udało się waszą książeczkę mo×ć zadowolić i jadących z drogi zawrócić - zakończył nie bez lekkiej drwiny w głosie. Rożyński wysunął się z kręgu otaczających go pułkowników, zatrzymał na chwilę i bez słowa spoglądał na stojącego o kilka kroków przed nim rycerza. Głowę jeszcze bardziej niż zwykle przechylił na bok, a w twarzy białej niby płótno koszuli bezbarwne oczy ×wieciły mu zimnym, złowrogim blaskiem. - Waćpan dworować sobie ze mnie raczysz? Mało ci, że× bez rozkazu obóz opu×cił?! - Obejrzał się na stojącego w pobliżu strażnika i wyrwał mu z ręki włócznię. - Oto masz swoją nagrodę! - wrzasnął, ciskając ją całym zamachem ramienia na zdumionego taką reakcją rycerza. Włócznia uderzyła w pancerz i ze×liznąwszy się z niego spadła na ziemię. Zborowski, jakby teraz dopiero ocknął się z zaskoczenia, wyrwał szablę z pochwy i skoczył do księcia. Byłby mu bez wątpienia rozwalił głowę, bo swojej szabli Rożyński nie zdążył wyciągnąć, gdyby nie wpadli między nich oficerowie i, otoczywszy, nie odciągnęli na strony. Pan Aleksander wrócił do swego namiotu wielce jeszcze wzburzony. Zaraz też ruszył do pana Sapiehy, z którym się przyjaźnił, by opowiedzieć mu całe zdarzenie i dać w ten



sposób folgę zło×ci. Zaproszony do stołu i częstowany miodem opisał zaszły incydent. Pan Sapieha słuchał go u×miechając się pod wąsem, a kiedy go×ć skończył, sięgnął po kufel, opróżnił go i z hałasem stawiając na stół, odezwał się: - Uspokój się, panie bracie, bo nie warto przez tego gwałtownika popadać w gniew. I ja mam go już do×ć, bo w gruncie rzeczy to grubianin i pijanica. Dnia bez chmielu nie przeżyje i dochodzi do tego, że on kufle opróżnia, a ja muszę za niego chorągwie do straży wyznaczać i porządku w obozie pilnować. - Toć wiem o tym. Tfu, do licha, wolę kozy doić niż pod takim wodzem służyć! To już lepszy byłby Miechowicki, ale go utracił. - Miechowicki to chytra sztuka. Musiał ustąpić, bo inaczej Dymitr by się nie ostał, wiem jednak, że przeciw Rożyńskiemu co× knuje, gdyż są tacy, co pisma od niego otrzymują. - Gdzie on teraz? - Daleko nie odbieżał. Siedzi w jakim× bojarskim dworze, pięć mil stąd. - Niechby tu przybył! Pierwszy bym za nim gardłował. - Jednak nie równać mu się z Rożyńskim. Bo jakikolwiek nasz Jan Roman jest, ale trzeba przyznać, że wojenne rzemiosło zna i wodzem jest przednim. - Toteż niestety wielu jest takich, co przy nim stoją - mruknął z westchnieniem Zborowski. - Chociażby Zarucki i tatarscy murzowie... Sapieha milczał krótką chwilę, zanim odezwał się zniżając głos: - Ciągnąć nikogo ze sobą nie będę, lecz sam postanowiłem wyj×ć z obozu, co w zaufaniu waćpanu mówię. Tuszę bowiem, że się do mnie przyłączysz... - Z ochotą! - rzucił Zborowski. - Młocki także z nami pójdzie. Ale dokąd się obrócimy? - Dokąd, jeszcze nie postanowił, ale wojować dla Dymitra dalej zamierzam. Czekam na Lisowskiego, rychło ma tu przybyć. Miałem od niego wie×ci, że ku nam ciągnie, i to ze znacznymi siłami. To dobry żołnierz, ponoć na południu mocno dał się we znaki tamtejszym wojewodom. Spełniły się marzenia Lisowskiego przemierzania szumiących trawami stepów nad Wołgą i Donem. Szedł jak zwiastun zagłady przez

ziemię rizańską, tombowską, woroneską. Po drodze palił i grabił mniejsze miasteczka i osiedla, zdobył Lisiecko, potem zboczył na Jelez, złupił miasto i pociągnął na Rossosz. Nie szczędził i tam nikogo, toteż kiedy je minął, pozostawił tylko kobiety oplakujące pobitych mężów i pohańbione córki. Z tygodnia na tydzień rósł teraz w siły, bo niby spragnione żeru kruki ciągnęły ku niemu dzicy jeźdźcy na ×migłych koniach, z chutorów i wsi rozrzuconych w×ród stepów Donu. Miał już ich pod sobą ponad dziesięć tysięcy, kiedy następnie ruszył na Morozowsk, gdzie przerażeni mieszczanie, oddając mu klucze miasta, na kolanach błagali o lito×ć. ściągnął więc tylko od nich haracz, który przywieźli na wozach, ratując w ten sposób życie rodzin i swoje. Gdy przeszedł Don, rozciągnęły się przed nim bezkresne przestrzenie stepów astrachańskich. I tam pojawiły się nocą łuny pożarów, zlatywało się ptactwo, krążąc nad porzuconymi w×ród zgliszcz zwłokami, przerażona ludno×ć uciekała, kryjąc się po kotlinach, jarach i chaszczach, porzucając dobytek na pastwę losu, Lisowski natomiast pustoszył ziemię głośząc, że zmusza kraj do uległo×ci imieniem prawowitego cara Dymitra, syna Iwana. Nigdzie nie popasał długo. Szedł jak burza, toteż wszelkie próby miejscowych wodzów, by zebrać siły i dać mu odpór, zawsze były spóźnione. Konie miały do×ć paszy, więc ich nie szczędził, a jeźdźcy byli wytrzymali na trudy wojaczki. O tych zresztą dbał najmniej - którym nie starczyło sił, pozostawiali na szlaku. Wpadali potem najczę×ciej w ręce ludno×ci, ta za×, zadawszy im najokrutniejsze tortury, pozbawiała ich życia. Jednak z chorągwi, które wyszły z nim spod Orła, a i z kozackiej Zaruckiego, żaden nie odstał. Chyba że taki, który legł w stepie, niewidzącymi już oczami wpatrując się w niebo. Zatrzymywał się nie na dłużej niż na dzień, rzadko na dwa, i ruszał w dalszy pochód, jakby opanowany żądzą pędu, niby sokół, który, wyzbyty kaptura, wyrywa się do lotu w bezmiar

podniebnej przestrzeni. Wkrótce jego imię stało się gło×ne w całej nadwołżańskiej krainie, napływali doń wciąż nowi junacy, których przyciągała sława groźnego wojownika. Zaczęli nazywać siebie jego imieniem, mianując się lisowczykami. Nazwa ta już pozostała i przeszła do historii, która potem, z powodu nieustraszonej odwagi lisowczyków, przydała im drugą: straceńców. Dopiero w okolicach Adyku Lisowski rozłożył się obozem i stał w nim przez tydzień, by ludzie i zwierzęta nieco wytchnęli, mogli oporządzić broń i rzędy, a także wyleczyć poranione konie. Nastął lipiec i pułkownik uznał, że do×ć się już nawojował i do×ć miast zhołdował Dymitrowi, pora więc wracać, by na jesienne chłody nie znaleźć się zbyt daleko od głównych sił. Prowadził teraz dwudziestotysięczną armię zabijaków gotowych na wszystko i nie bojących się samego diabła, ale mało zdyscyplinowanych, nie nawykłych do wojskowego posłuszeństwa, chyba że wobec własnego, bezpo×redniego dowódcy. Zaciekli i nieustępliwi byli to wojownicy, gardzący ×miercią, zwłaszcza przy zdobywaniu palisad czy murów, za którymi czuli zdobycz. Powrotną ich drogę znaczyły więc także resztki rozbitych domów, ruiny obrabowanych i spalonych cerkwi, pogorzeliska osiedli i miast, za nimi za×niosły się przekleństwa, płacz i wzywanie pomsty Bożej. Gdzie× w połowie sierpnia znalazł się Lisowski pod Kołomną. Mimo że była mocno broniona, już za pierwszym szturmem zdobył ją, a potem i zamek, gdzie wziął do niewoli całą gromadę dygnitarzy z wojewodą, księciem Włodzimierzem Dołgorukim, i biskupem Józefem na czele. Po doszczętnym obrabowaniu miasta ruszył ku Moskwie, wiedząc już z pisma Sapiehy, które otrzymał po drodze, gdzie znajduje się obóz Dymitra. Szedł teraz wolniej i ostrożniej, wysyłając liczne czaty. Był już drugi dzień w marszu, kiedy otrzymał pierwszą wiadomo×ć od jednego ze zwiadów wysłanych na północ.

Patrol ów napotkał jaki× konny oddział. Ten, mimo że liczniejszy, nie wszczął potyczki, lecz zawróciwszy konie zniknął w lesie, z którego się wyłonił. Wkrótce i inny patrol, wysłany na zachód, także doniósł o spotkaniu ze zbrojnymi. Trakt moskiewski, którym posuwał się Lisowski zbyt nie kryjąc - sił bowiem, jakie prowadził, skryć się nie dało, a zresztą i nie było potrzeby - biegł w tym miejscu brzegiem rzeki Moskwy płynącej na wschód od tego traktu. Ciągnął się nad rzeką długi pas mokradeł zwany Niedźwiedzim Bagnem, stamtąd więc nic grozić nie mogło. Pułkownik dawał raczej baczenie na stronę zachodnią, mając ją z lewego boku. Las, którym biegł go×ciniec, po kilku wiorstach kończył się pasem pola, za nim za× teren znów był zadrzewiony. Owe napotkane oddziały dowodziły, że jakie× wojsko nadchodzi z dwóch stron. Stało się zatem konieczne uzyskanie wie×ci, jak wielkie są to siły i kto je prowadzi, gdyż było mało prawdopodobne, by oddziały Dymitra zapu×ciły się aż na południową czę×ć stolicy. Zboczył więc pułkownik z traktu i zagłębiwszy się w las, zatrzymał wojsko. Wozy z łupami wzięto w ×rodek i oddziały zaległy w oczekiwaniu na powrót patroli mających rozeznaczyć sytuację. Zbliżał się już wieczór, kiedy zaczęły powracać zwiady. Znów natknięto się na poczty jezdnych, co wskazywało, że w pobliżu muszą znajdować się jakie× większe siły. Te wątpliwo×ci rozwiązał ostatecznie Rogowski, wiodąc dwóch pojmanych jeńców. Po ich zeznaniach Lisowski dowiedział się dopiero, z kim przyjdzie mu się zmierzyć. Oto car Wasyl, po otrzymaniu wie×ci o grasowaniu Lisowskiego w południowych prowincjach, wysłał przeciw niemu wielką, bo sze×ćdziesiątysięczną armię, którą podzielił na trzy grupy, przykazawszy zagrozić mu półkolem drogę, gdyby ciągnął do tuszyńskiego obozu. Dowództwo grupy objęli: Kniaziowie Kuriakin i t'ykow, drugą Wołkońscy, a trzecią Baturlin i

Puszkina. Jeńcy należeli do wojsk książąt Wołkońskich, gdzie za× znajdowały się pozostałe grupy, tego nie wiedzieli. Toteż kiedy na tle wieczornej zorzy ujrzał Lisowski wysoki komin dymu, biegnący w górę zza ciemnej ×ciany pobliskiego lasu, wiedział, co to oznacza. Dowódca, na którego się natknął, dawał tym sposobem znak innym o spotkaniu z nieprzyjacielem. Tym razem nie układał się więc do snu z lekkim sercem. Przygotowana przeciw niemu operacja dowodziła, że była zaplanowana chytrze, co wróżyło trudną przeprawę. Zdawał też sobie sprawę - z czym się nie zdradził przed swymi oficerami - że zapewne został już otoczony, a teraz carscy wodzowie będą go chcieli zepchnąć w bagna, które miał za plecami. Obudził się tuż po północy. Z czerni wypełniającej wnętrze boru dochodziły krótkie parskania koni, chrzęst przeżuwanej trawy i pochrapywanie ×piących w pobliżu żołnierzy. Kiedy podniósł się, doszedł go z ciemno×ci głos strażnika: - Przykażecie co×, wasza miło×ć? - Gdzie× tu ×pią świrski i Seyna. Obudź no ich. W nikłym blasku tłącego się jeszcze żaru ogniska ukazały się wkrótce postacie obu pocztowych. - Weźmiecie po dwóch ludzi i pójdziecie skrajem lasu od strony pola, jeden ku Moskwie, drugi ku Kołomnie. Chcę wiedzieć, czy natkniecie się na posterunki. Je×li je napotkacie, zawracajcie nie nagabując. Nie minęły nawet dwie godziny, kiedy obaj wrócili z jednakowym meldunkiem - natknęli się na nieprzyjacielskie czaty i zostali przez nie ostrzelani. - No to czeka nas dobra potańcówka - skwitował krótko tę wiadomo×ć Lisowski. Kazał zaraz wezwać do siebie dowódców, a kiedy obstawili ognisko, do którego pacholek dorzucił nieco gałęzi, odezwał się: - Baczcie pilnie, co powiem. Otoczyli nas niczym ogary odyńca, z trzech stron. Natomiast z czwartej, wschodniej, ciągną się bagna. Mamy przed sobą siły trzykroć większe od naszych. Udało się zatem carskim wodzom wsadzić nas do sakwy, z której nie zechcą

tak łatwo wypu×cić. Spróbujemy wszakże wyrwać się z tej pułapki. Ci z waszmo×ciów, którzy stoją na krańcach naszego obozowiska, o pierwszym brzasku ×ciągną sotnie ku ×rodkowi, bo uderzymy zwartą ławą próbując rozerwać moskiewską obręcz. O wozy nie dbać, czort z nimi. Ci, którym uda się przerwać, niech ciągną w rejon między Domodiewem a Barybinem i tam wypatrują innych. Setnicy mają obja×nić swoich ludzi w położeniu, aby każdy, nawet w pojedynkę, wiedział, gdzie ma się obrócić, je×li żywot cało wyniesie, bo przeprawa łatwa nie będzie. Odwód poruczam atamanowi Nalewajce. Stanowić go mają jego ludzie, do których niech sobie dobierze z dziesięć sotni. Uderzysz, atamanie, skoro ujrzysz, że zachodzą nam tyły. Je×li przerwiemy się, ruszaj w ×ład za nami. Wkrótce zaczęło ×witać, stawało się coraz ja×niej, mimo to Lisowski nie dawał znaku do natarcia, gdyż pole, rozciągające się między dwoma lasami, powlekały tumany gęstej mgły. Wolał więc odczekać, aż słońce nie przywróci widoczno×ci. Upłynęło jednak sporo czasu, zanim odległa ×ciana lasu zaczęła stawać się coraz bardziej widoczna, aż wreszcie zazieleniała w słonecznym blasku. Ruszył wówczas koniem, a za nim jeły wysuwać się chorągwie w mocno wyciągniętą, ale głęboko uszeregowaną linię. Szli początkowo rysią, z uwagą wpatrując się w leżącą przed nimi wstęgę boru. Nie trwało długo, gdy owa wstęga jakby nabrała życia, co× się w niej zakłębiło, zamigotała błyskami, zafalowała, a wiatr przyniósł przytłumiony, przedbitewny krzyk. Lisowski poderwał konia do galopu, a za nim uczyniła to i ogromna nawała jeźdźców. Zwarli się ze sobą w ×rodku pola. Tumany kurzu przykryły skłębioną masę koni i błyskające w ×rodku ostrza szabel. Już wkrótce pułkownik zorientował się, że istotnie przewaga przeciwnika była ogromna. Kiedy jednak w pewnej chwili ujrzał przed sobą rzadziejące szeregi wojowników, a za nimi przestrzeń

otwartego pola, nabrał nadziei, że wkrótce uda mu się przerwać nieprzyjacielską linię. Musiał to jednak dojrzeć i dowódca moskiewski, bo spomiędzy drzew wyłoniły się nowe oddziały jezdnych i pognały do bitwy. Co gorsza, obejrzawszy się raz i drugi za siebie, Lisowski dostrzegł sotnie Nalewajki pędzące mu z pomocą, co dowodziło, że nastąpiło uderzenie od tyłu. Groziło to rychłym okrążeniem, zacisnąwszy więc zęby, mając przy sobie swoją chorągiew, walczył dalej. Czas mijał, ramiona zaczęły słabnąć, co musieli odczuwać i przeciwnicy, toteż szable nie uderzały już tak silnie i szybko, a ruchy koni straciły sprężystość. Teraz dopiero nabierała znaczenia liczebna przewaga nieprzyjaciela. W porę więc przyszła chwila, kiedy raptem ujrzał przed sobą lukę wśród nieprzyjacielskich jeźdźców. Runął w nią natychmiast koniem, a za nim jego żołnierze, i poszerzając lukę coraz bardziej, wypadli wreszcie na otwarte pole. Gnali ku zbawczemu lasowi, dopadłszy go wreszcie szczęśliwie. Tu wszakże Lisowski dalej nie uciekał, okazując jeszcze raz, że był dowódcą nawet w najgorętszej chwili nie tracącym głowy. Obrócił bowiem konia i przez chwilę uważnie przyglądał się bitwie. Wnet dostrzegł, że tym razem los nie był dlań łaskawy. Jego Kozaków rozerwano już na grupy i choć bronili się dzielnie, widać było, że jeśli nie zaniechają oporu, zostaną wysieczeni. Jednak przez lukę, którą rozwarła jego chorągiew, wylewała się teraz struga jezdnych, tak jak i oni pędzących ku lasowi. Ujrzał też, że i w innych miejscach wyrywali się jeźdźcy poza krąg walczących, co pokrzepiło mu nieco serce. Było oczywiste, że jego armia zostanie rozbita, a zdobycz stracona, ale być może trochę sił da się uratować. Kiedy wraz ze swymi chorągwiami dotarł na wyznaczone miejsce koncentracji, rozesłał zaraz patrole, by przeczesywały pobliskie lasy i doprowadziły zbiegów do jego obozu. Jakoż odnaleźli jeszcze sporo ludzi, a także Bobrowa z jego

Kozakami. Wkrótce zjawił się i Nalewajko z ponad tysiącem żołnierzy, toteż kiedy wreszcie pułkownik doszedł do przekonania, że na więcej przybyszów nie ma co liczyć i dał rozkaz do wymarszu, prowadził z sobą blisko osiem tysięcy szabel, co wprawdzie dawało obraz poniesionej klęski, ale mimo wszystko była to znaczna siła i nie z byle garściami żołnierza mógł zjawić się w tuszyńskim obozie. Wszakże bolało go serce z powodu doznanej porażki i utraty bogatej zdobyczy. Wierzył jednak w swe wojenne szczęście, pocieszał się więc, że znajdą się jeszcze okazje, by poniesione straty odrobić. W tuszyńskim obozie zjawił się pod koniec sierpnia, ku wielkiej uciechu pana Sapiehy, który zaraz wysłał do niego zaproszenie na gawędę przy kuflu miodu. Słońce szerokim pasem blasków padało przez otwarte okno. Dymitr, rozwalony w krzesło, w rozpiętej na piersi koszuli i hajdawerach wpuszczonych w cholewy butów, ze skołtunioną jeszcze po stronie głową, spojrzął z drwiącym uśmiechem na Sucheckiego. Szlachcic przysiadł na skrzyni i obserwował spod oka gospodarza. - Sarenka przybieżała więc do ręki, co, Grigorij? - Cieszyć się jeszcze za wczynie. Raczej pomyśleć trzeba, jak dalej poprowadzić sprawę. - Też mi kłopot! - Dymitr szeroko ziewnął. - Obudziłam mnie i prosiłam o rozmowę, jakby chodziło nie wiadomo o co. - Czy pomyślała, co będzie, jak ona cię nie uzna? - spokojnie i cicho spytał Suchecki. - Nie uzna, mówisz? To po co by tu przyjeżdżała? - Bo myśli, że ten sam Dymitr, którego pokochała. - Ejże, czyżby była tak głupia?! Nie, bratku, wie ona dobrze, że nim nie jestem. - Skądże miałyby to wiedzieć? - Mało to mamy wrogów? Na pewno już jej doniosli. Wszakże zbyt łakomy kęs ta carska korona, by na to zważać! - Oby się, gospodarze, nie mylił. Bo w istocie nie taki jak tamten... - To cóż z tego? Możem gorszy? - Wsunął rękę pod koszulę i zaczął się drapać. - Zmarły był gładki w obejściu, ty za...



Można by rzec, że tamten wyszedł spod snycerskiego dłuta, ty natomiast załedwie spod topora... - Zmilcz, szlachetko! - warknął Dymitr ×ciągnąwszy płuwe brwi. Jego grube wargi wygiął grymas zło×ci. - Nie waź się carowi ubliżyć! Jednego dosiadamy konia, ale niekoniecznie obaj z niego zlecimy! Suchecki spojrział na niego z pobłażaniem i pokiwawszy głową nic nie odpowiedział, więc Dymitr odezwał się po chwili: - Kiedy mamy się spotkać? - Trzeba, aby× wysłał godnego posła z powitaniem. Przy tej okazji ustalili dzień twego przybycia. - Jeszcze by też! Mogę z nią gadać każdej chwili, ale ona do mnie ma przybyć. - Przestań ple×ć byle co! Nie ty ją, ale ona ciebie ma uznać, więc decyzja w jej ręku - rzekł porywczo szlachcic. - Albo zrobisz, co ci powiem, albo pożegnaj się z cesarstwem! - Pożegnać się? Czy× ty aby nie pijany? - Skoro cię nie uzna, mało kto przy tobie oстане, czy tego nie pojmujesz? A skoro wojsko odejdzie, siepacze Wasyla dopadną cię szybko. - Hm... - Dymitr podrapał się z kolei w zmierzwioną głowę. - Co tedy radzisz? - Jak powiedziałem: ×lij zaraz posła, niech pyta, kiedy przyjmie twoje powitanie. - A wtedy? - Odziejesz się bogato, najlepiej w polskie szaty, i pojedziesz na spotkanie z małym jeno orszakiem. I pamiętaj, że od tego, jak ono wypadnie i czy jej nie urazisz, zależy twój los. - Wa×ć, mo×ci Grigorij, umiesz tylko krakać... Jej także zależy, aby×my się zeszli. - Ale nie tyle co tobie, bo głowy na hazard nie wystawia. Za całą odpowiedź Dymitr splunął na ×rodek izby. Chwilę milczał, wreszcie podniósł się z krzesła. - Idę brać kąpiel. Kogo posłać? - Kogo× znacniejszego. Najlepszy byłby Wi×niowiecki. Dymitr ruszył ku drzwiom, ale jeszcze zatrzymał się przy nich i obrócił do Sucheckiego ze słowami: - Zapomniałem ci rzec. Pisał Miechowicki, prosił o pozwolenie na przyjazd. - Co mu też w głowie! íycie mu niemiłe? - Ponoć piszą do niego tutejsi towarzysze, by

przybywał, a oddadzą mu hetmaństwo. - Co takiego? -  
Sucheckie aż poderwał się z miejsca. - I on w to wierzy? Toć to  
wierutne kłamstwo i pachnie mi jakowąś pułapką! Czy to aby  
nie Rożyńskiego robota? - Po cóż by on teraz knował przeciw  
tamtemu? Już go przecież pokonał? - Miechowicki nie siedzi  
jednak spokojnie. Ma mściwą naturę i przysłała do obozu  
pisma, w których przeciw kniaziowi buntuje. Ten zapewne w  
odwet chce go tu ciągnąć, by go mieć w zasięgu ręki. -  
Niezbyt temu wierzę... Dla Rożyńskiego teraz to nie  
przeciwnik. - Ma ich doć w obozie, to prawda. Ale że  
Rożyński okrutny jest i zawzięty, odradzałbym zezwalać  
Miechowickiemu na przyjazd. - Jużem zezwolił... - Dymitr  
machnął ręką i dorzucił wychodząc z izby: - A niech ich czort  
godzi! Miechowicki będzie mi tu bardziej przydatny, bo i ja  
Rożyńskiego mam doć. Dymitr przybył kareta z licznym  
pocztem husarskim, lecz do domu wszedł tylko w  
towarzystwie księcia Wiśniowieckiego i niepozornego  
szlachetki, na którego mało dotąd zwracano uwagi -  
niejakiego Sucheckiego. Tak szczupłą asystę on właśnie  
wymógł, chcąc mieć jak najmniej wiadków niepowodzenia,  
jeżeli do tego doszło. Liczył się bowiem z takim obrotem  
sprawy, gdyż zbyt wielka różnica w obyczajach i wyglądzie  
istniała między obecnym Dymitrem a tamtym. Z carskiego  
rozkazu wszyscy zostali na podjeździe, on zaś, w asyście  
tylko dwóch zaufanych towarzyszy, zniknął w sieni. Długo  
jednak poczet carski na władcę nie czekał, gdyż ku zdziwieniu  
wszystkich nie upłynęło nawet pół godziny, kiedy pojawił się  
we drzwiach i powiewając rękawami kontusza, szybko ruszył  
do karety. Miał jednak twarz groźną i zaciśnięte usta, co  
ujrzawszy porucznik Kleczkowski, dowodzący pocztem  
husarskim, obrócił się ku najbliższym towarzyszom z  
porozumiewawczym uśmiechem. Jednak widok  
postępujących za carem księcia Wiśniowieckiego i pana

Sucheckiego podważył jego ujemną opinię o wyniku spotkania. Szli bowiem u×miechnięci, prowadząc ożywioną rozmowę. Toteż porucznik korzystając, że obaj zatrzymali się chwilę przy otwartych drzwiczkach karety, przechylił się w siodle i zagadnął księcia Adama: - No i jak, poznała? - A dlaczego miałyby nie poznać?! - ze zdziwieniem spytał księżę. - Bo car batiuszka wyszedł niezbyt wesoły... - Miał ku temu przyczynę. - Jakąż to? - Chciał, aby małżonka zaraz przybyła do niego, ona za×oparła się, by nie mówiono, że ×pieszno jej do małżeńskiego łóża. Kleczkowski roze×miał się prostując w siodle, a księżę wsiadł do karety. W rzeczywisto×ci zdarzenia miały jednak nieco inny przebieg, niżby można było sądzić z relacji księcia Adama. Kiedy bowiem przybysze weszli do przybranej oponami komnaty, w której miało się odbyć spotkanie, wyszedł im naprzeciw pan Ole×nicki ze słowami powitania, w imieniu carowej zapowiadając, że rychło nadejdzie. Nie omieszkał przy tym zaznaczyć, że obecnie nie jest już królewskim posłem i występuje jako osoba prywatna, z racji przyjaźni, jaka od dawna łączy go z wojewodą. Kończył wła×nie pan kasztelan to wyja×nienie, kiedy otworzyły się boczne drzwi i pojawiła się w nich Maryna. Za nią postępował ojciec i ksiądz Kacper Sawicki, jej doradca i spowiednik. Była ubrana w białą suknię ze sztywnym kołnierzem, wysoko otaczającym jej głowę. Tym ostrzej na jego tle rysowały się jej czarne włosy, a obcisła w stanie suknia ukazywała smukło×ć talii i krągło×ć kobiecych wdzięków. Spojrzenie miała utkwione w postaci Dymitra. Obecni ujrzeni, jak powieki jej się szeroko rozwarły, przez co oczy, i tak duże, stały się jeszcze większe, a we wzroku pojawił się najpierw wyraz zaskoczenia, potem wręcz strachu. Obróciła się do idącego za nią wojewody i zawołała: - Ależ... to jednak nie on! Ojczy, to nie on! Dymitr postąpił parę kroków po zasłaniającym podłogę dywanie i zatrzymując się

przed nią, skłonił głęboko. - Nie wiem, caryco, kogo masz na my×li, skoro stoi przed tobą prawowity car moskiewski. - Ale ty× nie on, nie mój małżonek! Dymitr wyprostował się i obrzucił jej postać pożądanym spojrzeniem. - Wszakże potrafię godnie go zastąpić... W łóżu takó×... - dorzucił z cynicznym u×mieszkciem. Zmarszczyli na tę odpowiedź brwi nie tylko towarzysze Maryny, ale i obaj dworacy cara. On zdawał się jednak nic sobie nie robić z wrażenia, jakie wywarły jego słowa, gdyż ciągnął: - Prócz dobrego koguta dostaniesz także moc złota, pereł, atlasów i adamaszków, a i sług setki... Tedy podajże mi rękę na znak, że× zgodna wraz ze mną panować. Wyciągnął dłoń, ale Maryna zmierzyła go pełnym oburzenia spojrzeniem i odezwała się do wojewody trzęsącymi się wargami: - Wyprowadź mnie, ojczy! Nie należy z byle kim się zadawać! Zawróciła gwałtownie i nie czekając na rodzica wyszła z komnaty. Wi×niowiecki za× rzucił się do Dymitra. - Ty głupczy! Sądziłem, że potrafisz swe prostactwo ukryć! - Potem zawołał do Mniszcha, który był jego te×ciem: - Co teraz, ojczy?! Musimy co× postanowić. Nie do pomy×lenia, by tak ostało! Wojewoda spojrział z wyrzutem na Dymitra i odezwał się tonem pełnym gorczy: - Nie takich słów oczekiwałem od cara Wszechrosji. Niedu×o masz walorów, by za niego uchodzić. - Co teraz robić? - z troską w głosie powtórzył swoje pytanie ksią×ę Wi×niowiecki. - Proponuję, aby×my, tak jak tu jeste×my, jeszcze dzi× się zeszli i spokojnie rzecz rozwa×yli - odezwał się pan Ole×nicki. - My pogadamy z jej wysoko×cią carycą, wy za×, panowie, przywołajcie do opamiętania tego pastucha. Niech przyuczy się bardziej dworskiego języka! Na tym stanęło. W sieni za× pan Suchecki poradził księciu Adamowi, by zachował na licu wesoło×ć, kiedy uka×e się ludziom, by nie poznali prawdziwego obrotu sprawy. W wyniku zaszłego incydentu najbliższy tydzień wypełniły gorączkowe,

codzienne narady. Dymitr, uwiadamiając sobie popełniony błąd, skonfundowany własnym niefortunnym wystąpieniem, przekazał całkowicie bieg sprawy w ręce swoich zauszniaków. Ze strony za Maryny rozmowy prowadził jej rodzic oraz panowie Oleński i Niemojewski. Zbyt wiele było argumentów używanych przez dworaków Dymitra, by je cytować. Mimo to nie udawało im się pokonać oporu nie tylko Maryny, ale i jej ojca, nie mniej oburzonego niż ona. Być też może, że owo oburzenie udawał, by podnieść cenę za udzielenie zgody, lecz jakkolwiek by było, wzbraniał się stanowczo przed użyciem swego wpływu na córkę. Wreszcie jednak uległ, kiedy okazało się, że cena za ustępstwo jest godziwa. Ustalona została na krótko przed wyjazdem do Polski i potwierdzona na piśmie wynosiła: "...Obiecujemy mu, gdy nas Pan Bóg na stolicy naszej posadzić będzie raczył, trzykroć sto tysięcy rubli ze skarbu naszego nieomieszkanie dać rozkazać, co słowem naszym ziścić obiecujemy. Czego aby być pewniejszym, pieczęcią naszą oznaczyć kazaliśmy i ręką własną podpisaliśmy się. Datum w obozie naszym pod stołecznym miastem Moskwą w państwach naszych, dnia 14 Octobra anno 1608. Dymitr Car" Nie było to jednak wszystko, czym mógłby zadowolić się wojewoda sprzedając córkę, bo do tego zobowiązania został dołączony wykaz zamków, które car mu nadawał: "Dymitr Iwanowicz, z łaski Bożej car etc. Regestr zamków Księstwa Siewierskiego: Czernihów, Smoleńsk, Briańsk, Starodub, Putywl, Nowogródek, Kursk, Rylsk, Karaczew, Poczapowo, Trubaczewsk, Komarsk, Rostow, Morawsk. Który to regestr zamków siewierskich ze wszystkimi włóściami referować się ma do przywileju od nas danego jaśnie wielmożnemu panu Jerzemu z Wielkich Kończyc, Mniszchowi, wojewodzie sandomierskiemu etc. panu ojcu naszemu, nam uprzejmie i wiernie miłemu. Dymitr Car" Po uzgodnieniu tego zadośćuczynienia za doznane

rozczarowanie co do carskiej osoby pan wojewoda zmienił zapatrywanie i przyłączył swój głos do reszty dygnitarzy. Ale Maryna, ku coraz większej irytacji wojewody, nie chciała wyrazić zgody na małżeństwo. Dał więc upust swojej złości w kolejnej rozmowie z córką. Perorował chodząc wzburzony po komnacie: - Kto nie chciał wracać do Polski? Ja czy ty? Kto upierał się, by jechać do obozu i dochodzić nadal prawa do tronu? A teraz co? Odmieniło ci się?! Babskie fochy i tyle! - Chciałam pozostać, bo wierzyłam, że mój Dymitr żyje... Ten, którego miłowałam... - Amory ci w głowie, a nie zdobycie władzy i bogactw! Ten czy inny, sprawa to błaża, skoro osadzi cię na tronie carów. - Jak możesz tak mówić, ojczy? - zawołała z oburzeniem, obracając do wojewody zagniewaną twarz. - Tamten był mi miły, a do tego czuję odrazę. - Icie dziewczynskie grymasy! - zaperzył się już na dobre Mniszech. - Gładysz on nie jest, ale da ci władztwo nad największym krajem świata, wyposaży w bogactwa, o jakich mało kto ma wyobrażenie. Chcesz przez głupie fochy odtrącić koronę, którą pomyślny los ci podsuwa? Zastanów się, pomyśl, toć wyzbyta rozumu nie jeste! Gładki czy nie gładki to fraszka, jeżeli przez niego carycą останiesz! - Przy boku męża z chamską gębą i o prostackich obyczajach! Nie chcę go, nie wpychaj mi do łóżka tego parobka! - już ze łzami w oczach zawołała Maryna. - Nie jego ci wpycham, jeno carską koronę! Do jego gęby rychło przywykniesz, a należytych obyczajów łatwo go nauczysz, bo za tobą będzie stało całe nasze rycerstwo, bez niego niczego nie działo. O twoje dobro mi chodzi, niczego więcej nie pragnę. - Krom Dymitrowych rubli i grodów, które ci przyobiecał! - Tfu, do czorta! - wrzasnął wojewoda. - Kto ci takich bredni nagadał?! Jakie grody, jakie ruble? O splendor rodu mi idzie, to prawda, ale nie o korzyści! - Chciałabym w to wierzyć, ojczy... Może wówczas łatwiej by mi przyszło pokonać wstręt, jaki czuję do tego

prostaka i oszusta... Wojewoda wyczuł pierwszy ton wahania w głosie córki, więc wzmógł nacisk. Przedstawiał swoje racje z dobrze udaną wiarą i tak natarczywie, że zrezygnowana Maryna szepnęła wreszcie, odwracając się od niego: - Ostaw mi parę dni czasu... Niech się zastanowię... I tak osaczona ze wszystkich stron, nakłaniana, molestowana, przekonywana, ale głównie ulegając woli i słowom rodzica, dziewczyna wyraziła wreszcie zgodę na uznanie owego prostaka za małżonka, zastrzegając wszakże, że pełnych praw mu nie przyzna, dopóki katolickim obrządkiem nie zostaną za×lubieni. Ponieważ uradowany Dymitr sprzeciwu nie wyraził, przeto po dziesięciu dniach zwłoki doszło do ponownego spotkania. Jak za poprzednim razem tak i teraz strojnie odziany car wszedł do komnaty, ale obecnie już w asy×cie licznych dworów i wielu oficerów, z kniazem Rożyńskim na czele. Witął go znów pan Ole×nicki, wkrótce za× potem ukazała się w drzwiach Maryna. Przekroczyła próg i zatrzymała się o krok przed Dymitrem, a w chwilę potem ujrzano, jak wyciąga ku niemu ręce. On za× poskoczył do niej i opasawszy ramionami przywarł grubymi wargami do jej ust. Czuł jednak, jak jej ciało sprężyło się, a oparte o pier× dłonie próbowały go odepchnąć. Ponieważ mimo to nie zwalniał u×cisku, otaczający ich dwór nie mógł tego dostrzec, uczcił więc owo powitanie klaskaniem w dłonie, trzaskaniem w szable i okrzykami rado×ci. Imieniem carskiej pary rodzic carowej prosił zaraz na biesiadę, wszyscy przeszli więc do jadalnej komnaty, gdzie czekały już przygotowane stoły. Ucztowano przy nich nieomal do wieczora, wreszcie żegnano małżonków w zrozumieniu, że po tak długiej rozłące radzi będą pozostać sami. Kiedy więc ostatni go×cie opu×cili progi domu, zgodnie z poprzednim ustaleniem już tylko ×ciste grono uczestników dotychczasowych rozmów przeszło do przygotowanej kaplicy, gdzie ksiądz Sawicki połączył młodą

parę małżeńskim węzłem. świadkowie wieszowali nowożeńcom, życzyli szczę×cia w panowaniu i także zaraz ich pożegnali. Wtedy Dymitr poprowadził małżonkę do łóżnicy. Łoże było już przygotowane do spoczynku. Na stojącym obok stoliku paliły się ×wiece w trzyramiennym lichtarzu. Dymitr stanął na ×rodku alkowy z założonymi za pas rękami i u×miechnięty rzucił kpiąco: - No, wreszcie całe to przedstawienie mamy za sobą! Teraz, ptaszyno, już mi się z rąk nie wymkniesz! Musisz przyznać, że cały czas trzymałem gębę na uwięzi i przestrzegałem tych waszych dworskich obyczajów, za co chyba należycie mnie teraz wynagrodzisz. Maryna obróciła się ku niemu. - Dobrych obyczajów nie wynagradza się. One winny być cnotą przyrodzoną, a zwłaszcza carskiemu majestatowi. - Rozumu mnie nie ucz! Skorom car, mogę być, jaki chcę! - Lecz nie przy mnie. - Co?! Probujesz mną rządzić?! Jeszcze się taka nie urodziła! Ale wnet cię posłuszeństwa nauczę! Ruszył z miejsca i wolno szedł ku niej. Ujrzała jego płonące pożądaniem oczy i wargi wykrzywione tryumfalnym u×miechem. Idąc rozwiązywał pas, a potem jednym ruchem ×ciągnął z siebie żupan. - No, dalej! - rzucił stłumionym głosem. - Rozdziewaj się i jazda do łóża! Bacz, abym nie czekał! Wstrzą×nięta jego widokiem i brutalno×cią rozkazu cofała się, niezdolna wypowiedzieć słowa. - Ruszaj się! - warknął. - Co tak wytrzeszczasz ×lepia? Oparta już plecami o ×cianę, widząc go przed sobą, próbowała jeszcze uzyskać nieco zwłoki dla opanowania my×li, więc rzekła na wpół prosząco: - Ale... ale się obróć... - Co× ty, ko×ława czy ułomna, że zwlekasz? Nie pierwszy ja, tę uciechę już znasz, tedy nie udawaj wstydlivej! - Dymitrze! - wykrzyknęła, zawierając w tym jednym słowie całe oburzenie, jakiemu uległa. - Nieskoro ci? To pomogę! - wrzasnął doskakując do niej. Jednym szarpnięciem zerwał guzy spinające suknię, a potem rozdarł stanik obnażając piersi.



Próbowała się bronić, nie mogła jednak sprostać sile jego rąk zdzierających z niej odzież, toteż wkrótce rzucił ją nagą na łożo. Kiedy za× poczuła na sobie ciężar jego ciała, naszło ją wspomnienie pieszczot drogich dłoni, nie tak jeszcze dawno tulących ją do siebie. Pod powiekami za× miała obraz pogodnej twarzy o jasnych oczach, więc z rozpaczą w sercu zacisnęła usta, by uchronić się przynajmniej od obmierzłych pocałunków. W obozie zaczęto już my×leć o zimie, bo klimat był tu surowszy niż w Polsce i wrzesień przynosił pierwsze podmuchy zimnego wiatru wróżącego rychłą jesień. Nastroje też nie były dobre, bo wa×nie i intrygi pomiędzy co znaczniejszymi dowódcami stawały się coraz częstsze, czemu dawali przykład Rożyński i Sapieha, już na dobre ze sobą skłóceni. Wreszcie po kolejnej awanturze, w czasie której o mało nie doszło do użycia broni, Sapieha zapowiedział opuszczenie obozu. Rożyński nie sprzeciwiał się temu, widząc w staro×cie niebezpiecznego rywala do godno×ci hetmańskiej, miał on bowiem większą popularno×ć w×ród żołnierzy, a wodzem był lepszym nawet od kniazia. Już poprzednio starosta u×wiacki umy×lił sobie wyprawę z chwilą opuszczenia Tuszyna. Postanowił bowiem uderzyć na pobliski Monaster Troicki, Trójcy świętej. Był wprawdzie mocno warowny, o czym już się dowiedział, ale też i ponoć miał chronić ogromne skarby, bo i carowie przekazywali pod opiekę mnichów swoje zasoby, wła×nie z powodu obronno×ci tego miejsca, bardziej godnego miana twierdzy niż monasteru. To pana Sapiehę zachęcało do dokonania próby jego zdobycia, gdyż za poniesione trudy spodziewał się obfitej zapłaty. Upewnił się też, czy pułkownicy Lisowski, Zborowski i Młocki wezmą w niej udział. Ci widząc, że Rożyński bardziej oddaje się pijaństwu, niż my×li o dalszych wojennych działaniach, nadal byli gotowi do opuszczenia obozu. Kiedy więc ogłosił wymarsz, poszli pod jego komendę. Dołączyli też

do nich Wiśniowiecki i Tyszkiewicz. Zaraz po powrocie Lisowskiego z południowych stepów Jedlina zgłosił się do niego, wyrażając chęć ponownego służenia pod jego rozkazami. Został przyjęty równie przyjacielsko, jak swego czasu był żegnany, i przy szklanicy miodu opowiedzieli sobie co nieco o swoich przygodach. W rezultacie Lisowski zaproponował młodemu rycerzowi objęcie jednej z chorągwi, której dowódca poległ pod Niedźwiedzimi Błotami. Z podobnego powodu objęli chorągwie jako rotmistrze i ci z poruczników, którzy najbardziej się wyróżnili, jak Stanisław Czapliński, Wojciech Kleczkowski, Walenty Rogowski czy Stanisław Rusinowski. Następnego dnia po wyruszeniu napotkali wojska Iwana Szujskiego, kniazia Romadanowskiego i wojewody Gołowina, którzy próbowali zastąpić im drogę. Wszakże po parogodzinnej bitwie zostali rozbici. Stanęli pod Troickim Monasterem 23 września. Była to istotnie twierdza silna i trudno dostępna. Położona wśród borów, poprzecinanych wąwozami i jarami, dostęp miała tylko z jednej strony. Las kończył się tu przed łagodnym, porośniętym trawą stokiem, ciągnącym się do głębokiego wykopu, za którym tkwiły szańce przedmurza. Za nimi wznosił się dopiero potężny, kamienny mur z mnogimi basztami, gęsto obsadzony załogą i wielką liczbą dział. Sapieha, objechawszy w asyście pułkowników teren, ustalił miejsce obozu, linię kopania umocnień i stanowisk dla własnych dział, których przyprowadził sześćdziesiąt trzy. Przez cały ten czas twierdza milczała, jakby niewiadoma nadzieją wroga. Mimo to jej widoczne z daleka mury zdawały się tym spokojnym milczeniem bardziej grozić śmiałkom, którzy się do niej zbliżyli, niż gdyby grzmiała ogniem armat. Mogła sobie pozwolić na to pogardliwe milczenie, będąc zasobna w zapasy i liczną, dobrze wyszkoloną załogę pod dowództwem kniazia Grigorija

Dołgorukiego i wojewody Aleksieja Gołochwostowa. Natomiast pan Sapieha mało miał piechoty, a armaty niezbyt zdadne do rozbijania murów. Większość jego wojsk stanowili wszakże Kozacy, a ci równie dobrze radzili sobie w siodle, jak i na oblężniczych drabinach. Znani byli nie tylko z biegiem w zdobywaniu obronnych obozów, ale i zamkowych murów, czego nauczyli się w czasie tureckich wypraw. Na nich więc najbardziej liczył pan starosta, postanawiając zdobyć monaster i skarby, które on chronił. Dlatego też nakazał nie tać przed żołnierzem przyczyny, dla której tu przyszli, by zachęcić kozackich junaków do tym większej zawziętości. Ponieważ mieli przed sobą rychłą już porę deszczową, a potem mrozy, namioty postawiono tylko doraźnie, by po zakończeniu prac przy umocnieniach zabrać się do kopania ziemianek, a dla dowódców - stawiania chat z grubych, sosnowych bali. Toteż od witu do nocy pracowały łopaty, siekiery i piły, ciano i podciągano kłody drzewa, zwożono glinę i kamienie. Czego należało się spodziewać po obrońcach, powiedziały wycieczki, jakie zaczęli robić po nocach. W czasie pierwszej wymknęli się poza piercień oblężenia i spalili kilka najbliższych słobód, by pozbawić nieprzyjaciela dowozu żywności. Kiedy skutkiem tego Sapieha poobsadzał wszystkie drogi i przejścia, nie zaniechali bynajmniej napadów, kierując je z kolei bezpośrednio na oblegających. Dwudziestego dziewiątego września poszli do monasteru parlamentariusze z wezwaniem do poddania się, jednak ugodowe propozycje zostały urągliwie odrzucone, wobec czego przemówiły armaty, zasypując monaster gradem pocisków. Jego działa odpowiedziały ogniem i tak spokój wiekowego boru zakłóciły wojenne działania. Dwunastego października ruszył pierwszy szturm przypuszczony nocą, ale nie zaskoczył obrońców, skończył się więc niepowodzeniem, w cztery za dni potem oblężeni odpowiedzieli silną wycieczką. Z kolei Lisowski

dowiedział się, że niedaleko znajduje się młyn, z którego prowadzi do monasteru podziemne przejście. Ruszył więc na wyprawę, lecz noc nie była ciemna, niespodziewanie ukazał się księżyc i zostali dostrzeżeni. Musiał stoczyć formalną bitwę, w czasie której raniono go w dłoń, stracił kilkunastu ludzi i ostatecznie został zmuszony do wycofania się. Nastąpiły dalsze szturmy, na które oblężeni nie omieszkali odpowiadać wypadami. Owa aktywność bojowa obrońców dowodziła, że załoga jest liczna i ożywiona bojowym duchem. W tym stanie rzeczy Sapieha zwołał kolejną naradę. Postanowiono, przynajmniej na razie, zaniechać szturmów, starać się natomiast podejść podkopami do murów i dokonać próby wysadzenia ich w powietrze. Rozpoczęły się więc intensywne prace ziemne. Drażono tunele z dwóch miejsc w nadziei, że drogi nie zagrodzą skalne bloki. Dowódcy twierdzy zaczęli jednak czegoś się domyślać, zauważywszy być może wzmożony ruch ludzi czy wozów w miejscach robót, mimo że prowadzono je pod osłoną leżących drzew i zarośli. Domysły te wkrótce potwierdzili im pojmani z obozu jeńcy. Znalazł się jednak w monasterze doświadczony górnik Korsakow, temu więc książę Dołgoruki polecił zapobiec niebezpieczeństwu. Korsakow kazał w basztach kopać głębokie doły, na dnie stawiać bębny i uderzać, czy nie drżą rozłożone na ich błonach ziarenka grochu. Baszty, w których owe drgania wystąpiły, wskazywały kierunki, skąd szły podkopy. Natychmiast więc rozpoczęto kopanie własnych tuneli, prowadząc je na spotkanie z podkopami nieprzyjaciela. W rezultacie doszło do dwóch krwawych bitew, gdy oddziały monasteru napadły na pracujących kopaczy. Jednak czujny Sapieha na czas wzmocnił chorągwie chroniące ich prace. Oba ataki zostały odparte, ale ze znacznymi stratami z obydwóch stron. Tymczasem w Tuszynie po wyjściu tak dużej liczby wojska zrobiło się przestronnie. Teraz, kiedy miejsca było

doć, niektórzy z polskich dowódców, nawykli do wygodnego życia, kazali żołnierzom zwozić z lasu drzewo i stawiać dla siebie chaty. Za ich przykładem poszli i inni, a wreszcie i żołnierstwo. Poczęto opuszczać ziemianki, używając je nadal jako piwnice na zapasy. Byli i tacy, którym nie chciało się ciosać i pasować bali, rozbierali więc w okolicznych wsiach chłopskie chaty i przewozili je do obozu. Wielu znaczniejszych dowódców miało nawet po dwie i trzy izby z piecami i należywym wyposażeniem. Pobudowano też dwór dla carskiej pary oraz wojewody, do którego ci przenie×li się już pod koniec wrze×nia. Obóz stawał się więc coraz bardziej podobny do sporego miasta. Miał ulice, wytyczono plac targowy, postawiono kaplice, pojawiły się oberże i szynki, a nawet zamtuzy, kupcy pootwierali sklepy. Było ich wraz z przybyłymi z Polski blisko trzy tysiące, mieli swoją osobną dzielnicę handlową, gdzie również mieszkali. Zaopatrzenia było pod dostatkiem, bo oddziały rozdzieliły między siebie okoliczne wsie jako dostawców żywno×ci, zdarzały się więc dnie, w których przybywało po tysiąc albo i więcej chłopskich tieleg ze spyżą i paszą. W obozie panował ożywiony ruch, wieczorami słychać było w szynkach dźwięki bandur i bałajek, ×piew i pijackie wrzaski, kobiece piski. Nierzadko pijany żołnierz, nie mogąc z nadmiaru trunku ustać na nogach, walił się w uliczne błoto, w którym przesypiał do ×witu obudzony dopiero porannym zimnem. W ostatnich dniach wrze×nia, zaraz po przenosinach carskich, przybył do obozu - ku zdziwieniu jednych, a cichej rado×ci innych - pan Miechowicki. Zatrzymał się w carskim obej×ciu, na co Dymitr wyraził zgodę. Już pierwszego wieczoru po przyjeździe zjawił się u przybysza pan Grigorij, okazując wcale nie uradowane oblicze, i zaraz po powitaniu odezwał się: - Co× ty, panie Janie, rozum postradał, że× do nas przybył? Co cię do tego skłoniło?! - Ledwie× mnie, Grigoriju Pawłowiczu, powitał, a

już rugasz! - rzekł ze ×miechem pan Miechowicki, rad z odwiedzin starego kompana. - Bom niespokojny o wa×ci. Mów, czego tu chcesz? - Swojej godno×ci hetmańskiej dochodzić. Piszą mi przyjaciele, że Rożyński nahodował sobie moc wrogów i mało kto już za nim stoi; nie tylko z oficerów, ale i prostego żołnierza. Przyobiecali po moim powrocie wnet koło uczynić i przywrócić mnie do hetmańskiej godno×ci. - A ty× uwierzył, że kniaź do tego dopu×ci? - Wobec przewagi niechętnych nic mi nie zdoła uczynić. - Nie wiem, czy teraz, kiedy Sapieha, Lisowski i paru innych z obozu wyszło, ta przewaga będzie tak wielka. Tamci nie bali się go, pozostali za× tacy, których sama wzmianka o kniaziu napawa strachem. - Wszakże Dymitr car za mną stoi, jego woli kniaź nie będzie mógł się oprzeć. Za carską zgodą i pozwoleniem tu przybyłem. - Ale to cię nie uchroni, bo w razie zagrożenia Dymitr ani chybi nie zawaha się wa×ci po×wieć. Po prawdzie to on i Rożyńskiego się boi. Nie występują wszakże przeciw sobie otwarcie, bo jeden drugiemu jest potrzebny. - Dlatego też sądzę, że kniaź nie o×mieli się na mnie nastawać. - Zbyt pewny tego waćpan nie bądź. I na Boga, bacz na siebie pilnie, bo może dosięgnąć cię z ukrycia! Kto mu będzie co× mógł zarzucić, je×li jaki× pijany żołdak przebiję cię szablą? - Nie takim strachliwy, bym tego się bał! Szablę i ja przy sobie noszę! - W każdym razie przynajmniej chwilowo siedź cicho i przeciw kniaziowi nie spiskuj. Będę baczył, co tam się dzieje, i dam ci znać... - Dzięki ci, stary przyjacielu, bo× jeden został, któremu mogę zawierzyć... Na tym skończyła się rozmowa. W tydzień za× później zjawił się u pana Miechowickiego nie znany mu człowiek, lichy odziany, z szablą na byle rzemykach, podgoloną głową zdradzając szlachecki stan, i zaprezentowawszy się jako urodzony Grabowski herbu Hołobok, spytał rozglądając się na boki: - Mogę tu z waszmo×ciem mówić? Mam w konfidencji parę słów

przekazać... - Ależ tak, mów swobodnie, mo×ci Grabowski. Bać się nie ma czego. - Bać się zawsze jest czego, mo×ci panie, zawsze jest czego... Taki to nasz człowieczy los na tym srogim ×wiecie. Miechowicki u×miechnął się. - Z czymże waćpan przychodzisz? Nie darmo chyba o konfidencji wspomniałe×? - Ano, nie darmo. Waćpanu przyjazny pan Suchecki mnie przysła... - Jakież masz od niego posłanie? - zainteresował się Miechowicki. - Mów ×miele, sami jeste×my. Przybysz spojrział na niego spod oka. - Nie za dobre, bo polecono mi, abym waćpana ostrzegł. Wczoraj wieczór książę Rożyński, podpiwszy sobie w czasie biesiady, wspomniał waćpana nazwisko i powiedział oficerom: Możecie mu rzec, że je×li nie pójdzie przez z obozu, to go każę ubić! - Tak rzekł? - Miechowicki przestał się u×miechać, spoglądając w zamy×leniu przed siebie. Następnego dnia powtórzył carowi usłyszana wiadomo×ć, ten jednak tylko zmarszczył brwi i mruknął w odpowiedzi: - Takie tam pijackie gadanie! Nie o×mieli się waćpana tknąć, skoro przy moim boku przebywasz. A jak waćpana stronnicy? - zmienił temat. - Gadałe× już z niektórymi? - Radzono mi nieco zaczekać. Ale jestem dobrej my×li. - I ja też. Wszakże bez działania niczego nie wskóramy. Probuje zwołać koło rycerskie, je×li ono przywróci ci hetmańską godno×ć, rad ją zatwierdzą. Miechowicki miał więc okazję przekonać się, że zgodnie z opinią Sucheckiego car nie chciał otwarcie występować przeciw Rożyńskiemu. Doszedł przeto do przekonania, że tym bardziej należy usłuchać rady przyjaciela. Nie wychodził zatem nigdzie, rozmy×lając nad dalszymi krokami, jakie w tych warunkach można by podjąć, by sprawa nie utknęła w miejscu. Na tych rozważaniach znów minęło mu kilka dni, kiedy pewnego ranka usłyszał za drzwiami tupot biegnących nóg, a w chwilę potem na progu stanął zadyszany pacholek. - Wasza miło×ć! Książę Rożyński wie dzie czterech zbrojnych! -

zawołał, oglądając się ze strachem za siebie. Miechowicki zerwał się na równe nogi i skoczył ku wiszącej na ścianie szabli. Ledwie zdążył ją uchwycić, kiedy w otwartych przez pachółka drzwiach ukazał się kniaź z kilku żołnierzami za plecami. W półmroku izby połyskiwały złowrogo groty włóczni, które trzymali w rękach. Kniaź ruchem ramienia odepchnął chłopca i w milczeniu wpatrywał się chwilę w stojącego przed nim szlachcica. Ten jedną ręką trzymał pochwę szabli, drugą zacisnął na jej rękojeści. - Czego, książę, tu chcesz?! - rzucił miało, patrząc w twarz przybysza. - Jam cię do siebie nie prosił! - Kazałem ci obóz opuścić, i to pod karą gardła! Bando rycerskie na tobie ciąży, a ty ośmielił się tu przybyć rozkazom nie będąc posłuszny! - Nie ty mi będziesz rozkazy wydawał! - krzyknął poczerwieniały na twarzy Miechowicki i wyrwał szablę z pochwy. Na ten widok Rożyński odstąpił na bok, dając miejsce strażnikom, i bez słowa wskazał im przeciwnika. Cztery włócznie uderzyły w pana Miechowickiego. Cios jednej zdołał odbić, ale trzy pozostałe utkwily mu w piersi. Zwalił się na ziemię, jakby mu podcięto nogi, i legł znieruchomiały od razu. Rożyński pochylił się nad nim i chwilę wpatrywał w pobladłą twarz, wreszcie obrócił się do żołnierzy i rzekł obojętnie: - Wywlec mi to ścierwo pod płót! Dwóch strażników ujęło zwłoki za nogi i pociągnęło ku drzwiom. Na podłodze pozostała tylko obnażona szabla i smugi rozwleczonej krwi. Rożyński kopnięciem odrzucił szablę i rozejrzał się po izbie. Dostrzegł stojącą obok łóża szkatułkę z tkwiącym w niej kluczykiem. Wziął ją do ręki i uniósł wieko. Leżały w niej jakieś papiery, w których od razu rozpoznał korespondencję. Z zaciekawieniem czytał podpisy na listach, które po chwilowym namyśle wyjął i schował w zanadrze. Tymczasem pachółek wpadł na carskie komnaty, alarmując krzykiem o napaści. Kiedy więc kniaź szedł już ze swymi ludźmi do



wyj×cia, natknął się na samego cara, który, otoczony dworakami, zagroził mu drogę. - Co tu, kniaziu, robisz?! - spytał wzburzonym głosem. - Jakże× ×miał przekroczyć moje progi, o zezwolenie nie prosząc?! Rożyński na chwilę zatrzymał się przed Dymitrem, a potem podszedł do niego tak blisko, że niemal otarli się odzieżą, i rzucił mu w twarz tonem przyciszonym: - Chcesz, abym i ciebie nadział na włócznie? Wracaj na swoje komnaty i siedź cicho, bo oberwiesz i ty! Raptownie pobladły Dymitr nie umiał nawet zdobyć się na odpowiedź, toteż w×ród głuchego milczenia kniaź ruszył ze swymi strażnikami ku drzwiom. Śmierć Miechowickiego wywołała początkowo liczne głosy protestu i oburzenia, ale kniaź wezwał do swego namiotu kilkunastu wybranych oficerów i wyciągnąwszy plik listów zaczął z nich czytać urywki, nie zdradzając wszakże, kto je pisał. Potem złożył pisma i odezwał się: - Jasno widać, przeciw komu są te głosy, które, podpadając pod regulamina wojenne, winne być gardłem karane. Kto je pisał, jest wiadome tym, co je pisali, ale porachunków czynić nie zamierzam, je×li w obozie będzie spokój. Tyle jeno chciałem waszmo×ciom rzec. Ta krótka przemowa miała ten skutek, że głosy protestu przycichły i wkrótce ×mierć pana Miechowickiego poszła w niepamięć. Pod monasterem Trójcy świętej trwały ciągle szturmy z jednej strony i ciągle wycieczki, przeradzające się w formalne bitwy, z drugiej. Nie dawały one jednak ani oblegającym, ani obleganym zdecydowanej przewagi. Toteż Lisowski wkrótce miał do×ć tych próżnych zmaganiań, a w dodatku, molestowany przez swoich Kozaków, którym także zaczęło doskwierać bezowocne siedzenie pod murami, objawił panu Sapieżę chęć wyruszenia w pole i zagarnięcia pod panowanie Dymitra opornych dotąd miast. Na odbytej naradzie zdołał przekonać starostę, że ma on do×ć sił i na oblegani monasteru, i na obsadzenie traktów, którymi ciągnęły do Moskwy transporty z

żywnością. Taka wyprawa może się więc odbyć bez uszczerbku dla działań starosty, a wzmocniłaby Dymitra, zasilila bądź carską kasę wpływami z kontrybucji, bądź szkatułę jego, Sapiehy, jako wodza wojsk, które wyprawy dokonały. Te argumenty trafiły do przekonania pana starosty, wyraził przeto zgodę i w parę dni potem pułkownik wyruszył na nową wyprawę. Wiódł ze sobą trzy tysiące żołnierza, bo część ludzi zostawił staroście, lecz tym razem prowadził ich na północne obszary moskiewskiego państwa. W ostatniej chwili przyłączył się do niego wojewoda suzdalski Fiodor Pleszczejew wraz ze swoim oddziałem. Wyruszyli o świcie, kiedy jeszcze pomiędzy pniami drzew wlokły się tumany mgły. Mgła pokrywała także wzgórze, na którym wznosiły się budynki i wieże monasteru. Wyłaniały się z niej tylko szczyty baszt, blanki otaczających je murów i banie cerkiewnych kopuł ze złotymi krzyżami, połyskującymi w pierwszych promieniach wschodzącego słońca. Monaster pogrążony był w ciszy, którą zakłócał tylko odległy dźwięk sygnaturki wzywającej zapewne mnichów na poranne modły. Towarzyszący Lisowskiemu wojewoda Pleszczejew jeszcze w obozie namawiał go usilnie, by ruszyć przede wszystkim na Suzdal. Obiecywał, że miasto podda się bez oporu, w zamian za co zastrzegał sobie prawo powrotu na uprzednie stanowisko, którego pozbawił go car Wasyl. Wprawdzie książę miał pod sobą zaledwie kilkuset jezdnych, i to słabo zbrojnych, ale jako były wojewoda mógł istotnie skłonić swoich zwolenników do poddania miasta. Dałoby to przykład i innym zamkom, przeto Lisowski postanowił usłuchać namów bojara i od razu skierował się na północ\_wschód, gdzie leżał Suzdal. Toteż na ósmy dzień po opuszczeniu Trójcy świętej byli pod miastem. Stanęli obozem już po południu. Ostatnie parę mil przebyli otwartym terenem. Hulał po nim wiatr, niosąc tumany śniegu, którym zima

zapowiadała swoje nadej×cie. Białe płaty biegły we w×cieklej gonitwie pod ciemnymi chmurami, sunącymi nieomal tuż nad głowami skulonych w siodłach żołnierzy. Napotkano wszakże głęboki jar, przecinający rozwarciem gruntu płaszczyznę pola. Oboźny sprowadził po stoku oddziały na jego dno i tu je zatrzymał. Miejsce było dobrze wybrane, bo wicher, gwizdząc u góry, na dno parowu nie docierał. środkiem kotliny biegł strumień poro×nięty drzewami i krzewami, a stoki obrastała le×na młódź. Zaraz też Kozacy zaczęli ustawiać w kręgi włócznie, pochylone ku ×rodkowi, i wiązać je u szczytu. Potem w tak zrobione szkielety wplatali gałęzie jedliny, budując sobie szałas. Ataman nie zabronił palić ognisk. Parlamentariusze Pleszczejewa od razu pojechali do miasta, więc łuna szkodzić nie mogła, a przeciwnie, powinna pomóc w tym szybszym przekonaniu mieszkańców, że posłowie sami tu nie przybyli. Oficerowie zasiedli na krótko przy rozpalonym ognisku, by się nieco ogrzać, po czym wrócili do swych chorągwi, więc pozostali przy nim tylko Lisowski i Jedlina. Ten, podsuwając grotem włóczni gałęzie do ×rodka ogniska, mruknął: - Może i ziszczę swoje nadzieje... Wzmogłē× je waćpan domysłami... Lisowski, który z relacji Nikodema znał już przebieg jego moskiewskich przygód, domy×lił się, do czego ten pije. - Sądzę, że zi×cisz, gdyż zyskałē× cennego sojusznika - odpowiedział naciągając na siebie burkę, bo układał się wła×nie na spoczynek. - Matkę dziewczyny? Czy aby zechce mi sprzyjać? - Nie dostrzegasz, że już sprzyja? A mądra to niewiasta. Umie obejrzeć sprawę z różnych stron... - Tak waszmo×ć wysoko cenisz rozum Natalii Pawłowny? - Czyż sam tego nie dostrzegasz? - rzucił ironicznie pułkownik. - Przecież skoro cię poznała, każda inna skoczyłaby wa×ci z pazurami do oczu lub poszczuła psami. Nie każdy też chciałby dochodzić przyczyny waszej bezczelno×ci. - Lisowski u×miechnął się lekko. - Lub,

powiedzmy, odwagi, jaką okazał przybywając do ich domu. No i wreszcie po dowiedzeniu się, jak się rzecz ma, poniechawszy zemsty, szukała lepszego wyjścia. - Tak... - Młody rycerz westchnął. - To istotnie dostrzegłem, ale nie od razu... - Zalepiony miłowaniem nie zdawałem sobie sprawy, jak łącznie mogłem utracić tę ostatnią iskierkę nadziei, jaka jeszcze być może istniała... W tej chwili gdzieś ponad brzegiem skarpy wiatr zahuczał wyjątkowo przenikliwie, więc Lisowski nakrył burką głowę mrużąc: - Nie pora teraz na gadanie, idź waćpan spać. Nasi posłowie nie wrócili, co poczytuję za dobrą wróżbę. Widać gadają, bo inaczej wygnano by ich za mury, nie bacząc na noc i taką pogodę. Parlamentariusze rzeczywiście wrócili dopiero rano, przywodząc ze sobą z miasta wysłanników. Stało się więc zgodnie z obietnicą Pleszczejewa - Suzdał otworzył bramy, a szlachcic Szydłow złożył wiernopoddańczą przysięgę nowemu carowi. Po krótkim odpoczynku Lisowski ruszył na Perejesław, który poddał się także, a nawet dał nie tylko pieniądze, ale i żołnierza, dla wsparcia kolejnego celu wyprawy, mianowicie Rostowa. Wojewodą był tam książę Tretiak Szczytów. Zagrzany do oporu przez tamtejszego metropolitę Fiodora Romanowa, noszącego imię Filaret, nie tylko odmówił poddania miasta, ale wyszedł poza mury, by stoczyć z najeźdźcą bitwę w otwartym polu. Był to błąd, który rychło się na nim zemścił. Kiedy Lisowski ujrzał przed sobą rozciągnięte szeroką ławą zastępy rostowskich wojowników, wielce był zadowolony z takiego obrotu sprawy. Także i Kozacy radzi byli, że miast piąć się po byle jakich drabinach mogą powojować w siodłach. Zanim ataman dał szablą znak do rozpoczęcia natarcia, dojrzał, jak w nieprzyjacielskich szeregach powstał jakiś ruch, a po chwili pojawił się przed nimi orszak duchownych z siwobrodym kapłanem, odzianym w bogate, kościelne szaty. Unosił nad głową błyszczący

złotem krzyż i widać było, jak błogosławi nim stojące wojsko. Urywki modlitewnych pieśni, śpiewanych przez postępujących za nim popów, wiatr roznosił po polu wraz z dymami kadzielnic. Pułkownik ze względu na własnych Kozaków, także wyznawców prawosławia, odczekał, aż obrzęd się skończy, a dopiero kiedy grupa duchownych zniknęła za żołnierskimi szeregami, uniósłszy szablę do góry, uderzył konia ostrogami. Runęła za nim masa jeźdźców ku podobnej lawinie rozkrzyczanych wojowników, pędzących im naprzeciw. Zwarli się ze sobą w jedną skłębioną, ruchliwą masę, okrytą obłokiem kurzu, z którego wyłaniały się końskie łby, hełmy i szłomy wojowników, błyskały unoszone i opadające ostrza szabel. Wkrótce kłębowisko to zaczęło rozrywać się na grupy, w których wierzchowce krążyły wokół siebie w bitewnych płasach, a jeźdźcy zadawali i parowali ciosy, dopóki jeden z nich nie zleciał na ziemię. Zmaganie trwało już ze dwie godziny, aż wreszcie obrońcy, rozbici, obrócili się do ucieczki. Do miasta było blisko, więc biegli ku jego murom w nadziei, że za nimi znajdą schronienie. Lecz Kozacy, równie sprawni w bitwie jak i pościgu, nie dali im oderwać się i na zadach ich koni wpadli w rozwarte bramy. W mieście nie było już komu dawać oporu, przeto bojarzy i co znaczniejsi dowódcy pognali ku cerkwi, by tam szukać ostatniego schronienia, gdyż i zamek był już w rękach napastników. W cerkwi za metropolita Filaret odprawiał błagalne nabożeństwo, wznosząc modły o ocalenie. Do wnętrza świątyni zaczęły jednak dochodzić coraz głośniejsze krzyki z ulicy, więc ująwszy krzyż, a także chleb i sól, metropolita wyszedł odważnie przed cerkiew, by własną osobą bronić dostępu do jej wnętrza. Nie zdołał jednak powstrzymać rozwścieczonych lisowczyków. Obezwładniony brutalnie, spętany sznurem poszedł w niewolę, dzieląc los kniazia Tretiaka i co znamienitszych bojarów. Z pozostałych

za<sup>x</sup> w cerkwi nikomu nie dano pardonu. Krew obryzgała ołtarze, pryskała spod nóg, pod razami oprawców padali zarówno zbrojni mężowie jak popi i czerńcy. Porąbano sprzęty, potrzaskano grobowce i posagi. Miasto również zostało doszczętnie splądrowane. Strach padł na całą północną Ru<sup>x</sup>, struchlały serca mieszkańców miast i wsi, z przerażeniem oczekiwano, na kogo spadnie następny cios. Lisowski pociągnął jednak z powrotem pod monaster Trójcy świętej, by oddać pojmanych, a tak znacznych jeńców, także i wiezione na wozach srebrne posagi zagrabione w cerkwi. Zwłaszcza najcenniejszy z nich, bo odlany ze szczerego złota, posąg <sup>x</sup>świętego Leontyna, który, jak mówiono, był wart pięćdziesiąt tysięcy rubli. Pan Sapieha ofiarował go carycy Marynie, odsyłając posąg wraz z jeńcami do Tuszyna. Nie lubił pułkownik długich odpoczynków, dał więc żołnierzom tylko nieco wytchnienia i to ze względu na konie, po czym poderwał swoje pułki do kolejnej wyprawy. Mało które miasto próbowało teraz stawiać mu opór. A je<sup>x</sup>li, wierne Wasylowi, zamykało przed nim bramy i próbowało się bronić, spotykała je okrutna kara. Pozostawały z niego tylko zgliszcza i niedobitki mieszkańców błakających się w<sup>x</sup>ród ruin, bez dachu nad głową przed nadchodzącą zimą. Większo<sup>x</sup>c jednak oddawała mu klucze do bram, witając go chlebem i solą, którą na kolanach wręczali mu wojewodowie i bojarzy, a popi błogosławili krzyżami, paląc wonne kadzidła przy wtórze dziękczynnych pie<sup>x</sup>ni. Poddały się więc carowi Dymitrowi miasta: Włodzimierz nad Kłajmą, Kostroma, Jarosław, Halicz, Wołogda, Uglicz nad Wołgą i wiele innych. Wrócił pułkownik z tej wyprawy znów w blasku wojennej sławy, ale wnet przyszło mu ruszyć na następną. Którego<sup>x</sup> dnia bowiem dotarł do obozu wynędzniały człeczyna na lichej szkapie, ledwie już włóczącej nogami, i dopuszczony przed Sapiehę padł na kolana, polską mową błagając o ratunek. Oto bowiem

w Zamku Bielozierskim nad Białym Jeziorem, siedemdziesiąt mil od Moskwy w kierunku północnym, przebywają jeszcze liczni polscy więźniowie, których Wasyl zataił w czasie pokojowych rokowań. Wyprawiony przez nich posłaniec przedostał się szczę×liwie przez mury zamku i przedzierając się lasami, odnalazł polskie oddziały. Natrafił wła×nie na Sapięgę, jego więc zaklinał, by nie odmówił ratunku więźniom, w×ród których są i kobiety. Poszedł więc pan Lisowski w pole, tym razem w sukurs rodakom, co wszakże nie zmieniało faktu, że znów obozowe leże trzeba było zamienić na siodła. Początkowo marsz był łatwy, bo biegnące ku liczным miastom go×cińce ułatwiały pochód. Wszakże po minięciu Uglicza trzeba było obej×ć wielkie niczym morze Jezioro Rybińskie i tu skończyły się trakty. Gęstym, starym borem biegły jako tako przejezdne wąskie drożyny na szeroko×ć chłopskiego wozu, pełne wybojów, dziur i sterczących korzeni, a przymarznięte po wierzchu błoto raniło końskie pęciny. Kiedy nawet ukazywało się słońce, to przez gąszcz gałęzi nie było widać jego blasku, a je×li dzień był pochmurny, to panował w×ród drzew mrok tak gęsty, że zdawało się, jakby już wkrótce miała nastąpić noc. Zdarzało się też, że natrafiali na teren sfalowany wzgórzami, nieraz o stokach tak stromych, że jeźdźcy zsiadali z koni i wspinali się pieszo, wiodąc wierzchowce za uzdy. To znów głęboki jar czy rozpadlina gruntu przecinała szlak i dopiero należało szukać mniejszej stromizny, która by pozwoliła choć ukosem zej×ć na dół. Nie mniejszym utrapieniem stały się rzeki, rzeczki, a nawet i byle strumienie, biegnące licznie do pobliskiego jeziora. Dobrze jeszcze, je×li twardy brzeg pozwalał zej×ć bezpiecznie do wody, by następnie pogrążyć się w jej lodowatym nurcie. Ale je×li trafiały się mokradła, to dopiero dzięki przewodnikom, których brali po wsiach, znajdowali zdatne do przeprawy miejsce. Największą wszakże i groźną

udrękę stanowiły połączenie bagien i oparzelisk, w jakie obfitowały te bliskie jezioru okolice. Zwiastowały je coraz rzadziej rosnące i coraz lichsze drzewa, aż wreszcie oczom żołnierzy ukazywała się otwarta przestrzeń, porożnięta tylko z rzadka kołlawymi sosenkami, chaszczami i kępami trzciny. Teren pokrywały kępy mchu i ostrych traw, wśród których połyskiwały, odbijając niebo, jasne oka wody. Dobrze było, jeżeli przeciwległa ściana boru znajdowała się blisko, lecz jeżeli widniała dopiero w oddali jako wąski, ciemny pas, żołnierzy ogarniał gniew i strach przed trudem takiej przeprawy. Chorągwie rozciągały się wówczas w długą wstęgę postępujących przy koniach jeźdźców. Pierwszy szedł ze swymi pocztowymi pułkownik, poprzedzany przez przewodników wiodących wojsko z długimi żerdziami w rękach, którymi co raz to dziobali mokradło, by nie zejść z wąskiego przejścia wijącego się wśród zdradliwego bagna. Teraz dopiero pan Lisowski zrozumiał, że nie chcąc nakładać drogi, za bardzo się przybliżył do jeziora i co zarobił na milach, to stracił na trudnej przeprawie. Postanowił więc w powrotnej drodze tego błędu już nie popełnić. Potem przeważnie szli borem, rozciągnięci długim węzłem, bo więcej niż dwóch żołnierzy nie mogło jechać obok siebie, gdyż leśny gąszcz, poza wąskim traktem, trudny był do przebycia. Wielkie, stuletnie olbrzymy, obalone starością i wiatrem, leżały pełne sterczących gałęzi, co raz to głębokie jamy po ich korzeniach, wypełnione wodą, zagradzały drogę, a ostry, kolczasty gąszcz różnych zarostów, które pędziły tu swój żywot wśród mroku drzew, wstrzymywał wierzchowce i tylko szabla mogła wyrąbać w nim przejście. Nie szczędził jednak ataman ani ludzi, ani koni i uparcie szedł ku północy. Dopiero kiedy był już blisko celu, zwolnił marsz, wysyłając zwiady, by zbadały okolice. Ominął Woskresieńsk, po czym posuwał się wzdłuż długiego jak kiszka Jeziora Czerepowieckiego, które



miało podług zasięgniętego języka łączyć się z Jeziorem Białym. U ich styków leżał wła×nie Bieloziorsk, cel jego wyprawy, otoczony murami i broniony mocnym, dobrze warownym zamkiem. Przekonał się o tym, kiedy o pół mili od celu wyprawy pozostawił wojsko ukryte w lasach, a sam, tylko w trzy konie, wyjechał, by osobi×cie zapoznać się z okolicą. Kiedy wyłonił się z lasu, od razu ujrzał miasto, szeroko rozciągnięte brunatnosinym skupiskiem domostw, rysujących się ostro na tle nieba nierówną, jakby poszczerbioną linią dachów, ponad którymi strzelały w górę wieże obronne zamku i cerkiewne kopuły. Z lewej strony, gdzie las podchodził nieomal pod same domy przedmie×cia, połyskiwała w oddali otwarta przestrzeń wodna, przecięta zamgloną linią horyzontu. - Miasto nietrudno będzie zdobyć, ale zamek wygląda na mocno obronny - zauważył Siwicki zatrzymując konia przy boku pułkownika. - Miałem wiadomo×ci, że prócz więźniów znajdują się tam również carskie skarby, a byle gdzie ich nie chowają... Po powrocie do obozu Lisowski wydał rozkazy. Kleczkowski z dwiema setkami Kozaków, zagnawszy do pomocy miejscowych rzemie×lników, miał przygotować drabiny. Skoro je wykona, do szturmuryruszą dwie grupy: mniejsza winna uderzyć od czoła i ×ciągnąć obrońców na siebie, większa podejdzie do miasta lasem, tam gdzie najbardziej zbliża się do zabudowań, i wyskoczywszy zniemacka, spróbuje sforsować mury. Kiedy w kilka godzin po wyruszeniu Kleczkowskiego nadleciał goniec z wiadomo×cią, że drabiny są gotowe i rozwieszono, Czaplński, dowodzący mniejszą grupą, poderwał swoich ludzi, a za nim wyruszył i Rogowski. Pierwszy szturm został odparty, lecz wnet po nim Czaplński poprowadził drugi. W×ród kłębow prochowego dymu, krzyku walczących rozgorzał nowy bój, pieli się po drabinach wciąż nowi ×miałkowie w miejsce tych, których obrońcom udało się

strącić. Szczękały miecze o nastawione nad głowami tarcze, leciały kamienie, belki, ×migwały włócznie. Mimo to w kilku miejscach udało się napastnikom wedrzeć między blanki, ale liczna załoga broniła zażarcie dostępu, toteż nie zdołali się tam utrzymać. Wynik tych zmagania rozstrzygnął dopiero wrzask tryumfu, jaki doleciał z innej czę×ci murów, tam gdzie szturmował Rogowski. Obie strony pojęły od razu, co on oznacza, więc serca obrońców zamarły z przerażenia, napastnikom za× przybyło nowych sił. Wkrótce opór zaczął słabnąć, coraz więcej Kozaków doskakiwało z pomocą towarzyszących, coraz słabszy opór stawiali obrońcy. Wyparci ku schodom wiodącym na podmurze próbowali jeszcze się bronić na ulicach miasta, ale była to już obrona własnego życia, nie grodu. Wnet otwarto bramę. Pułkownik wjechał w nią z odwodowymi chorągwiami i od razu ruszył pod zamek, gdzie bój jeszcze się nie skończył, gdyż jego załoga broniła się nadal. Okryte dymami mury grzmiały łoskotem rusznic i hukami dział. Kozacy podciągnęli wyładowane drewnem wozy i ukryci za nimi także wiedli ogień z rusznic, gotując się do szturmowania. Lisowski kazał go jednak wstrzymać, polecając po×ciągać z murów miejscowe armaty i co rychlej przywieźć pod zamek. Kiedy je przywleczono, przykazał, by wszystkie biły w główną bramę. Musiała już być nadwątlona czasem, bo po niedługim ostrzeliwaniu runęła, wzniesając wielki obłok kurzu. Zanim załoga zdołała zorganizować obronę, Kozacy rzucili się w wodę fosy, przebyli ją w pław i wdarli się na brzeg. Wkrótce po pokonaniu słabego już oporu, niby wessani przez czarną czelu×ć wywalonych wrót, znikali w ich głębi. Zaraz ×ciągnięto budulec i przerzucono prowizoryczny pomost, po którym ataman wjechał do zdobytego zamku. Uwolnieni więźniowie powitali go dziękczynnymi krzykami. Niektórzy rzucali się do strzemion całując buty Lisowskiego, inni chwycili wodze i prowadzili wierzchowce w×ród

rozkrzyczanego tłumu. Kobiety - bo i tych było sporo - przypadały z płaczem i błogosławieństwami do jego kolan. Miasto za<sup>x</sup> spotkał ten sam los, jaki przypadł i innym, które próbowały się bronić. Natomiast odnalezione w lochach skarby pocztowym pułkownika udało się uchronić tylko w czę<sup>x</sup>ci, bo resztę rozgrabili żołnierze. Niedługo popasał ataman w obrabowanym mie<sup>x</sup>cie. Kozacy, poigrawszy z mieszczkami, z pełnymi sakwami zdobyczy, znów gotowi byli do marszu. Załadowano więc uwolnionych więźniów na wozy, niektórzy dosiedli koni, i Lisowski ruszył w marsz powrotny. A że teraz ciągnął dłuższą drogą, więc dopiero w połowie grudnia wrócił pod świętą Trójcę. Tu walki trwały bez przerwy. Pan Sapieha nie ustawał w ciągłym szturmowaniu murów, a obrońcy urządzali w odwecie nocne wypadki. Dochodziło do bitew, w których oblegający musieli dobrze się wysilić, by odeprzeć atak przeciwnika. Prochowe dymy wciąż spowijały mury monasteru, a kiedy zwiewał je wiatr, włócząc smugi po koronach drzew, tylko na krótko ukazywały się zarysy budynków i cerkiewnych kopuł, gdyż zaraz nowe kłęby dymu wyrzucały z hukiem klasztorne działa. Armaty oblegających też nie pozostawały im dłużne. Niby zgłodniałe połykały wsuwaną im w pyski strawę, by za chwilę wypluć ją wraz z obłokiem dymu. Na takich pojedynkach, od których wokół armat topniał <sup>x</sup>nieg, ukazując czarne kręgi gołej ziemi, minął rok 1608, nastął dziewiąty i nic nie <sup>x</sup>wiadczyło o tym, by oblężenie skończyło się powodzeniem. Sejm 1609 roku rozpoczął się w Węszawie 14 stycznia. Poprzedziły go tajne narady senatu, który nieomal jednogło<sup>x</sup>nie poparł zamiar króla wszczęcia z Moskwą wojny. Posłowie jednak nie okazali zrozumienia dla królewskiej inicjatywy. Ogromna większo<sup>x</sup>ć była przeciwna temu projektowi, a niektórzy - nastawieni wręcz wrogo. Król jednak miał za sobą poparcie senatu, więc ostateczna decyzja

należała do niego. Uparty z natury, podniecany do działania tak przez swoich najbliższych doradców z braćmi Jakubem i Janem Potockimi na czele, jak i duchownych, a zwłaszcza jezuitów, nie zmienił postanowienia. Zamierzał nastroje niechętniej szlachty zmienić drogą pism, pamfletów, namów a nawet i kościelnych kazań. Zadania te powierzył swemu nowemu wicekanclerzowi Kryskiemu, znakomitemu mówcy i polemikowi. Chociaż sejm miał przebieg na ogół spokojny, to jednak narady i dyskusje tak w kole, jak i poza nim, były nieraz gorące, a rzecznicy wojny i także jej przeciwnicy wiedli ostre spory. Kiedy wreszcie się skończyły, król Zygmunt udał się do Krakowa, gdzie 23 kwietnia urodził mu się syn, Jan Kazimierz. Potem, wobec sprzecznych wiadomości dochodzących z moskiewskiego państwa, udał się w lipcu do Wilna, by stamtąd, bliżej terenu przyszłych działań, obserwować poczynania cara Wasyla i samozwańca. Ale już 26 marca wojska szwedzkie weszły z Finlandii do moskiewskiego kraju. Początkowo armią tą miał dowodzić Mansfeld, jednak wobec niepowodzeń w Inflantach jego obecność tam była konieczna, więc Karol IX powierzył dowództwo Jakubowi Pontusowi de la Gardie. Prowadził on pięć tysięcy żołnierza, mając pod rozkazami tak dzielnych generałów jak Georgson, Boje czy Horn. Potem przyłączył się jeszcze do tego korpusu Piotr de la Ville z tysiącem francuskiej jazdy. Z ramienia cara Wasyla wspomagał szwedzkiego generała powinowaty carski, młody, bo zaledwie dwudziestodwuletni wojewoda Wielkiego Nowogrodu, Michał Skopin\_Szujski. Był to młodzieniec, któremu, niczym Aleksandrowi Macedońskiemu, wróżono wielką przyszłość, gdyż natura obdarzyła go niepowszednimi zdolnościami wojskowymi, i politycznymi. Z czasem jednak car Wasyl, mimo korzyści, jakie dawały mu te uzdolnienia synowca, począł nań spoglądać nieufnym wzrokiem w obawie, czy nie

przyjdzie mu ochota pozbawić go carskiej korony. Pontus de la Gardie na jakiś czas wstrzymał jednak działania wojenne, gdyż obiecane przez Wasyla pieniądze na opłatę żołdu nie nadchodziły, a w uzgodnionym oddaniu twierdzy Koksholm także następowała podejrzana zwłoka. Brak zaś pieniędzy na żołd stawał się niebezpieczny, gdyż rotty fińskie i niemieckie zaczęły się buntować. Generał zdołał jednak uśmierzyć te niepokoje i czekał na połączenie z wojskami Skopina, który ciągnął ku niemu. O tym rychłym połączeniu dwóch wojsk dowiedział się pan Sapieha i postanowił do tego nie dopuścić, póki jeszcze Skopin\_Szujski znajdował się po tej stronie Wołgi. Zabrał więc część wojsk spod świętej Trójcy i ruszył ku niemu, kierując się na Kłuszyn. Tam istotnie dopadł nieprzyjaciela, ale ten obwarował się w obozie i nie chciał wyjść w pole, gdyż poniósł już straty w kilku pomniejszych utarczkach. Była to słuszna decyzja, o ile bowiem moskwiczanie tak z powodu słabego uzbrojenia, jak i bojowego wyszkolenia nie stanowili w otwartej bitwie groźnego przeciwnika, o tyle obwarowani bronili się zaciekle i umiejętnie. Może by jednak pan Sapieha zdecydował się uderzyć na obóz, choć taki szturm stwarzał wielkie ryzyko, gdyby nie przyszły wieści od kniazia Rożyńskiego, że król Zygmunt ciągnie z wojskiem i znajduje się już niedaleko granic moskiewskiego państwa. Zwołał więc pan Sapieha koło generalne, ale jak zwykle powstały na nim wątpliwości i spory. W rezultacie Zborowski opuścił Sapiechę i pociągnął do Tuszyna, zmuszając w ten sposób starostę do zaniechania rozprawy ze Skopinem. Temu zaś nadal służyło wojenne szczęście, bo zaskoczył w Perejesławiu lekkomyślnych dowódców, zostawionych tam z załogą przez Sapiechę, i wyciął ją do nogi nie oszczędzając nawet jeńców, których po okrutnych torturach kazał stracić. Zachęcony tym sukcesem ruszył na obóz samego starosty. Ten miał jednak wówczas przy sobie tylko

nieznaczące siły, bo większo×ć żołnierza wysłał pod Lisowskim, by szarpał Pontusa, który jednak połączył się już ze Skopinem. Ponieważ wiedli teraz sze×ćdziesiąt tysięcy żołnierza, starosta nie mógł wydać im bitwy, by zagrozić drogę do Moskwy, toteż obaj spokojnie wkroczyli do stolicy. Aczkolwiek książę Rożyński cieszył się, i słusznie, sławą zdolnego wodza, jako człowiek i statysta nie przedstawiał takiej warto×ci. Popędliwy, ulegający napadom niepohamowanego gniewu, brutalny i okrutny, stawał się chwilami niebezpieczny nawet dla najbliższego otoczenia, zwłaszcza je×li napad w×ciekło×ci nachodził go w czasie pijaństwa. A że pił nieomal co dzień, nie starczało mu czasu ani trzeźwej my×li, by zająć się sprawami wojska, utrzymaniem w nim porządku i dyscypliny. Toteż z wolna następowało coraz większe rozprzężenie, o obowiązki nie dbano, za przykładem wodza oddawano się pijaństwu, bójki i wa×nie były na porządku dziennym. Z braku porządku i zorganizowanego zaopatrzenia zaczęto też żądać od cara zezwoleń na doraźne ×ciąganie kontrybucji z pobliskich miast i wsi. Początkowo, by uniknąć zadrażnień, Dymitr podpisywał nakazy kontrybucyjne, których dla ochrony przed zarzutami rabunków domagali się od niego pułkownicy. Ale kiedy żądania stawały się coraz częstsze, ostrzeżony przez Suheckiego jał podpisu odmawiać. Wywoływało to wiele scysji i wręcz awantur, które wszczynał Rożyński. Posuwał się w swej popędliwo×ci tak daleko, że nawet w carskiej obecno×ci bił jego dworaków, a towarzyszący mu nieodłącznie zauszniak, Samuel Tyszkiewicz, w oczy nazywał Dymitra szalbierzem i oszustem. Suhecki przestrzegał Dymitra przed szafowaniem zezwoleniami na ×ciąganie daniny w przewidywaniu skutków, jakie przyniosłaby taka nierozwaga. Groziło to bowiem ostateczną utratą i tak już nadwątlonej popularno×ci samozwańca w×ród ludu, a nawet

mogło doprowadzić do powszechnego buntu, bo lokalne już miały miejsce. Wreszcie doszło do tego, że podczas kolejnej awantury Rożyński rzucił się z obnażoną szablą na samego Dymitra. Na szczęście obecna przy tym Maryna - z którą jedynie liczył się książę, zapewne w obawie przed narażeniem się koronnym wielmożom - zasłoniła sobą małżonka, a potem zdołała go ukryć. Następnego dnia, już z samego rana, Dymitr wezwał do siebie Sucheckiego. Stary szlachcic stał się z czasem jedynym doradcą, którego samozwaniec darzył zaufaniem, toteż kiedy skłonił się przed Dymitrem w powitalnym ukłonie, ten rzucił mu krótko: - Siadaj, bo musimy pogadać. I to tak, by niczyje oko nie widziało ani ucho nie słyszało! - Słucham waszą carską łaskawość... - Wprzód wyjrzyj, czy strażnik zbyt blisko nie stoi. Dymitr, na wpół ubrany, siedział swoim zwyczajem rozparty w fotelu i spojrzał wymownie w stronę drzwi. Suchecki spełnił polecenie, wrócił i potrząsając przecząco głową, przysiadł na ławie. - Wiesz, co wczoraj zaszło? - spytał Dymitr rzucając na Grigorija kose spojrzenie. Ten znów bez słowa skinął głową. Odezwał się dopiero po chwili: - Tak. Jest coraz gorzej. To człek nieobliczalny. By przypochlebić się rycerstwu i miru nie stracić, zezwala na wszystko. Porządku w obozie nie ma, a on ucztuje niczym Baltazar... - Kto zaczął ten Baltazar? - zainteresował się Dymitr. - Był taki władca dawno temu. Bóg go ostrzegł, a potem pokarał. - Niechże pokarze i jego! - wyrzekł Dymitr gwałtownie. - Oby co rychlej! Postanowiłem Bogu w tym dopomóc. - Jakim sposobem? - zapytał spokojnie Suchecki. - Najdzie się taki, co za mieczek złota wsadzi mu nóż. - Wtedy zginiesz i ty. - Czemuż to? - Bo pojmany zabójca cię zdradzi. A jeżeli nawet zginie także albo zdoła ująć, to i tak ciebie o zabójstwo oskarżą. A wówczas rozniosą cię na szablach. - Co zatem czynić? - bezradnie mruknął Dymitr. - Już od śmierci Miechowickiego o tym myślę... - Od śmierci

Miechowickiego? - powtórzył samozwaniec spoglądając ze zdziwieniem na swego doradcę. - Był mi druhem, ostatnim, bliskim sercu człowiekiem. Zaprzysiągłem jego zabójcy zemstę i jeno sposobu szukam... - I znalazłem? - z ożywieniem spytał Dymitr. - Musimy się z tym psem rozprawić, i to rychło, inaczej on mnie ubije, by samemu po carską koronę sięgnąć! - Ostrzegałem cię przed tym od początku. Błąd to był wielki, że my jego pomoc przyjęli. - Teraz nie czas na wspominki! Zresztą wówczas był mi niezbędnie potrzebny. Co zatem radzisz? - On musi umrzeć, ale nie od śmierci gwałtownej. Choroba niejednego już położyła. Ziele także łatwiej zadać niż uderzyć nożem. A je liby nawet jeden czy drugi snuł jakowe domysły, to powolny zgon powinien je u mierzyć. - Zioła, mówisz...? Ale skąd takie wziąć? I kto je poda? - Większą trudnością będzie zdobycie driakwi. Dymitr u miechnął się krzywo. - Widzę, że istotnie o sprawie myślał... - Toć ci mówiłem. Od śmierci Jana o niczym innym nie myślałem. On o zemstę mnie prosi... Istotnie Grigorij Pawłowicz Suchecki śmierć towarzysza przeżył nieomal równie głęboko, jak śmierć owego młodzieńca, młodego Dymitra, którego jego skamieniała serce tak sobie swego czasu upodobało. Toteż niejedną godzinę rozmyślał nad zemstą, bo w niej szukał ukojenia dla palącej duszę nienawici. Tym bardziej, że sprawcą był człowiek, który przeszkadzał w wykonaniu głównego zadania, jakie przedsięwziął, a mianowicie w wyrównaniu rachunku z zabójcą jego wychowanką, którego uważał nieomal za syna - teraz wszechmocnym carem. ów drugi Dymitr był tym narzędziem zemsty, a obecnie zagrażał mu ten sam człowiek, który zabił jego druha. Zrozumiał więc, że nadszedł czas działania, je li jego ponury plan ma zostać zrealizowany. Dymitr obrócił głowę i spotkał się ze spojrzeniem utkwionych w siebie zielonych oczu. - Co zatem zamierzasz? - spytał,



jeszcze bardziej ×cisząc głos. - Ruszać do Moskwy. Mam tam człowieka, który zdolny jest w tej sprawie udzielić mi pomocy. - Kiedy chcesz jechać? - Po tym, co tu wczoraj zaszło, nie wolno zwlekać. W najbliższych dniach. - Sam? Suchecki wzruszył ramionami. - Po co mi kompania? Jeden, dwóch z opresji mnie nie wyratują, a chorągwi przecież nie wezmę. - Strzeż się wszakże. Wasyl nieufny, we wszystkich widzi szpiegów. - Niejedną taką imprezę mam już za sobą - stwierdził obojętnie stary szlachcic, podnosząc się z ławy. - Przygotuj mi tylko pieniędzy, bo za darmo jeno psy jedzą. - To wiem. Grosza ci nie pożałuję. Lisowski, wyprawiwszy się z rozkazu pana Sapiehy na rozeznanie, prowadził dwa tysiące swoich ludzi już wypróbowanych, bo byli to ci sami, z którymi przebył całą kampanię przeciw Chowańskiemu. Z owej jego pierwszej chorągwi, składającej się głównie z ubogiej litewskiej szlachty, niewielu ubyło, a dołączyli nowi, toteż choć większo×ć oddziałów stanowili dońscy Kozacy, przecież zaporskich, a także i litewskiej braci nie brakło. Byli oni w bitwach i podchodach niezawodni, a nawet w×ród ówczesnego żołnierstwa odznaczali się i×cie szaleńczą odwagą. Niesforni, pod inną ręką nie dający się utrzymać w dyscyplinie, swego dowódcę wielbili, ale na równi się bali, dzięki czemu dzierżył ich w ryzach. Nadeszła już połowa wrze×nia. Skopin zajął tymczasem leżący na szlaku Perejesław i posunął się ze swymi wojskami pod Aleksandrów. Skutkiem tego rejon do obserwacji stał się nieosiągalny, a samo zadanie zbędne, gdyż nieprzyjaciel już rozpoczął marsz i było wiadome, gdzie się znajduje. Ale w jednej z potyczek z oddziałem Skopina udało się pojmać jeńców, którzy zeznali, że młody moskiewski wódz, zatrzymawszy się koło Aleksandrowa, wysłał znaczne siły pod dowództwem tŷkowa i Boratyńskiego, by dokonały nagłej napa×ci i odbiły Suzdał. Wiadomo×ć ta oszczędziła panu

Lisowskiemu wahań, co ma czynić w powstałej sytuacji. Wysłał pod świętą Trójcę meldunek, donosząc o swojej decyzji obrony Suzdalu, i ruszył spod Zagorska, gdzie grasował, wprost na wschód, i to szybkim marszem, by wyprzedzić przeciwnika. Moskwićzanie wiedli ze sobą armaty i tabory, toteż już po kilku dniach znalazł się w pobliżu ciągnącej z wolna armii, a potem, okrążając ją ostrożnie, wysforował się do przodu. Dowiedział się też, z jak wielką siłą ma do czynienia, podług bowiem zebranych wiadomości obaj wodzowie Skopina prowadzili dziesięć tysięcy zbrojnych, nie licząc ciurów i czeladzi. Lisowski nie zraził się jednak tą przewagą, a myślał jedynie, jak udaremnić napad na Suzdal. Przede wszystkim więc posłał tam gońca z ostrzeżeniem przed napadami i z poleceniem, by wzmocniony strażnicy mieli się na baczności. Potem upatrywał już tylko okazji dla dokonania nagłego ataku. Okazja wkrótce się nadarzyła, kiedy po wyjątkowo trudnym dniu marszu moskiewskie wojska zatrzymały się na postój i widać znużone uciążliwą drogą nie zadbały o należyte zabezpieczenie obozu wozami. Pułkownik wyznaczył specjalny oddział, który miał nie wdawać się w walkę, ale z chwilą rozpoczęcia bitwy wyciąć puszkarzy, unieszkodliwić działa, oraz podpalić jak najwięcej wozów. Potem, krótko przed pierwszym brzaskiem, z nagłą uderzył na obóz. Zaskoczenie było zupełne, toteż nasiekli wielu moskwiczów nie wyłączając i Szwedów, których kilkuset padło pod razami szabel. Do panicznej ucieczki przeciwnika doszło jednak dopiero wówczas, kiedy od podpalonych wozów zajęły się i te wiozące prochy. Od ich wybuchów padło i nieco własnych żołnierzy, którzy znaleźli się w pobliżu, ale cała armia Boratyńskiego i tykowska poszła w rozsypkę kryjąc się po lasach, zanim znów zaczęła się zbierać. Nie była jednak już zdolna do dalszych działań, tym bardziej że straciła armaty, prochy i tabory. Ocaliwszy w ten sposób

Suzdal Lisowski, uspokojony co do losu miasta, ruszył w powrotną drogę. Zastał pana Sapiehę srodze rozeźlonego na zawziętość i głupotę kniazia Rożyńskiego, który zezwolił na wzmocnienie broniącej się już resztkami sił Moskwy. W tym czasie bowiem polskie wojska, stojące obozem w Tuszynie, dwanaście wiorst od Moskwy, przejawiały jeszcze działalność wojskową, zwłaszcza dzięki inicjatywie Sapiehy. Polskie szturmy z trudem odpierała załoga moskiewska, w mieście zaś panowały epidemie, brak było żywności, a bojarzy, mocno skłóćeni, zwalczali się wzajemnie. Wszystko to wraz z nadchodzącymi wieściami o kolejnym poddawaniu się miast powodowało zwątpienie, upadek ducha i liczne zdrady, toteż Szujskiego coraz częściej ogarniało przeczucie zbliżającej się klęski. Tymczasem nadeszły wieści o idącym już z odsieczą kniaziu Trubeckim. I chociaż było nader wątpliwe, czy zechce podjąć ryzykowną próbę zmierzenia się z Polakami w otwartej bitwie, to już sama jego obecność w pobliżu stolicy podnosiła na duchu jej obrońców. Jednak Rożyński, zamiast ruszyć mu naprzeciw i zmusić do wydania bitwy, oddawał się pijaństwu, a i niesnaski pomiędzy dowódcami nie sprzyjały zdecydowanemu działaniu. Ostatecznie rozżłoszczony tą biernością Sapieha poniechał działań pod murami Moskwy i ruszył pod Trójcę świętą. Wkrótce doszły go tam wieści, że król Zygmunt przekroczył pod Orszą moskiewską granicę, co dowodziło, że ciągnie na Smoleńsk. Marsz jednak odbywał się wolno, więc król dotarł do Smoleńska dopiero następnego roku 1609, i to pod koniec września. Natomiast obecnie poza już beczynnie stojącymi wojskami w Tuszynie, gdzie przebywał również drugi samozwaniec z Maryną, na innych terenach trwały krwawe walki. Sapieha, choć bezskutecznie, ale zawzięcie szturmował Trójcę świętą, Lisowski nękał nieustannymi napadami siły kniazia Chowańskiego, który zamiast ciągnąć z pomocą

Moskwie starał się na próżno dopa×ć nieuchwytnego napastnika niszczącego kraj, a hetman Chodkiewicz po wyzwoleniu Parnawy gromił szwedzkiego generała Mansfelda i odebrał Szwedom twierdzę Dyjament. Trudno było przewidzieć, jak potoczą się dalej wypadki i do jakiego stopnia wpłyną na sytuację samozwańca. Nękanie tymi wątpliwo×ciami Sapieha zwołał naradę swoich pułkowników, by zapoznać się z ich postawą, gdyby - z czym należało się liczyć - jego królewska mo×ć wezwał polskie rycerstwo do swego boku. Z narady tej pan Lisowski wrócił późno, ale Nikodem, który dzielił z nim kwaterę, nie spał czekając na powrót pułkownika. - Co×cie postanowili? - zagadnął go od razu, kiedy ten podszedł do wygasającego ogniska i opadł na ustawiony przy nim pniak. - Niewiele albo zgoła nic - burknął niechętnie Lisowski rozżłoszczony możliwo×cią powrotu do regularnych szeregów, co oznaczało koniec wojaczki na własną rękę i podporządkowanie się hetmańskiej dyscyplinie, od czego już odwykł. - Co zamierza pan Sapieha? - Za mądry on, by zdradzać swe my×li. Raczej chciał usłyszeć, co my mu powiemy. Ale na decyzje jeszcze nie czas. - To i dobrze, bo i mnie on się przyda. Lisowski spojrzał ze zdziwieniem na porucznika. - Na co wa×ci czas? - O permisję chcę prosić na wyjazd do Moskwy. - Co, znowu? - Pułkownik roze×miał się. - Jeszcze waćpan nie ostygł? - I nie ostygnę! Cni mi się, że miejsca znaleźć nie mogę. Muszę ją obaczyć, muszę wiedzieć, co postanowiła. Na czekanie cierpliwō×ci już nie staję! - Niebezpieczna to ekskursja. Zwłaszcza teraz, kiedy pełno w stolicy żołnierstwa. Je×li cię pojną, zawi×niesz na pierwszej gałęzi. - A niechby tam! Muszę wiedzieć, co mi los naznaczył. - No to jedź wa×ć, skoro tak ci pilno łeb w stryczek wsadzić! W dwa dni po tej rozmowie Jedlina wraz z Wolutą ruszyli w drogę, tym razem pieszo. Do Moskwy było blisko, bo zaledwie kilka godzin marszu, konie za× niepotrzebnie

zwracałyby uwagę. Szli w chłopskiej odzieży, czemu sprzyjały nie ogolone po ostatniej wyprawie brody. Wędrując więc z płóciennymi torbami, zawieszonymi na kijach opartych na ramionach, szczę×liwie dotarli do stolicy. Weszli do miasta przez Twerską Bramę. Za murami nie było zwartej zabudowy; z rzadka rozrzucone domostwa kryły się w×ród drzew, z których większo×ć stanowiły bielejące pnie brzo×. W pobliżu drogi, niedaleko bramy, rozciągał się obszerny plac, a przy nim ujrzeni niski, stawiany z bali dom ze sterczącą przed frontem tyką, na której tkwił zawieszony u szczytu gliniany garnek. Na placu stało kilka chłopskich wozów. Parę chudych szkap z workami na grzbietach, uwiązanych do drąga umocowanego wzdłuż ×ciany budynku, gryzło podrzucone siano. Zmożeni dwumilowym marszem skierowali się do owego zajazdu czy też szynku. Wnętrze stanowiła obszerna izba o klepisku miast podłogi. Na wbitych w ziemię czterech palach spoczywał blat stołu, a ułożone na pniakach deski zastępowały ławy. W głębi stał szynkwas, a za nim - para gospodarzy. Mężczyzna rozlewał do kubków gorzałkę lub piwo, kobieta sięgała czerpakiem do kotła i nalewała do postawionych misek kapu×niak lub sięgała szpikulcem do beczki i wydobywała z niej kwaszone ogórki. Oboje, zanim podali trunek czy strawę, wyciągali rękę po pieniądze i dopiero potem obsługiwali go×cia. Jedlina i Woluta wyciągnęli z mieszkań swoje miski oraz kubki i wkrótce, znalazłszy miejsce przy stole, zabrali się do jedzenia. Kapu×niak okazał się nadspodziewanie smaczny, bo gotowany na wędzonym mięsie i zaprawiony ×mietaną. Jedząc spoglądali po izbie. Mroczna nie była, gdyż ×wiatło dnia dostawało się przez okienne otwory, z których ze względu na letnią porę powymowano okna. Nikodem, przesuwał spojrzeniem po siedzących na sali, w pewnej chwili zatrzymał wzrok na jednym z nich. Chudy mnich,

pochylony nad miską, zdawał się nie zwracać uwagi na otoczenie, zajęty tak jak i inni jedzeniem. Jednak twarz, która bielą pod nasuniętym na głowę kapturem, zdała się młodemu rycerzowi znajoma. Wreszcie uprzytomnił sobie, kogo widzi, i mocno poruszony trącił Wolutę łokciem. - Popatrz no pod tamtą ×cianę - rzucił półgłosem. - Tylko nieznacznie, bo ten człowiek kryje się jako i my w przebraniu, lepiej więc, aby nie dostrzegł, że go oglądamy... Woluta zerknął we wskazanym kierunku. - úw mnich? - spytał cicho. - No wła×nie. Poznajesz go? - Nie. Chyba nigdy go nie widziałem. - Ja spotkałem go dwa razy, kiedy przyszło mi być na carskiej kwaterze. On był przy Dymitrze, ponoć to jego zaufany doradca. - Co zatem tu robi, i do tego w przebraniu? - To wła×nie rad bym wiedzieć. Ale lepiej na niego nie spoglądaj, aby nie spostrzegł, że×my go ciekawi. - Po co zaufany samozwańca idzie do Moskwy? Czyżby za jego wolą? - Czy za wolą Dymitra, czy bez jego woli, dziwna to sprawa. - Może Dymitr przez tego człowieka znosi się z przychylnymi sobie bojarami? - zastanowił się Woluta. - Może być i tak - zgodził się młody rycerz. - Tym bardziej więc nie wtykajmy w to nosa. Toteż nie obracaj na niego oczu, kiedy będziemy wychodzić. Wkrótce skończyli posiłek, popili piwa, schowali naczynia do mieszkań i nie oglądając się na nikogo, opu×cili oberżę. Ostatecznie mimo niechęci, a nawet wyraźnego sprzeciwu hetmana polnego Stanisława íólkiewskiego i co ostrożniejszych doradców królewskich Zygmunt nie dał się odwie×ć od wyprawy na Moskwę. Podsycali go w tym obaj panowie Potoccy, po rokoshu Zebrzydowskiego cieszący się królewskimi łaskami, skłaniał kanclerz litewski Lew Sapieha, wileński biskup Benedykt Woyno, wicekanclerz Kryski, obiecywali radosne powitanie w moskiewskim kraju Ole×nicki i Gosiewski, a także podtrzymywało go w decyzji duchowieństwo. Mimo więc ostrzeżeń íólkiewskiego ruszył król 18 sierpnia 1609

roku z Wilna i przez Smorgonie, Radoszkowicze, Mińsk i Borysów skierował się do Orszy. Ciągnął pomalą, na czele nieznacznych tylko sił, głównie z Litwy. W Mińsku dopiero spotkał iólkiewskiego, który przyprowadził dwa i pół tysiąca żołnierza koronnego, i wreszcie czwartego września stanął w Orszy. Tu przyszło czekać na resztę oddziałów, nie przygotowanych w porę do wyprawy, a także i na działa ciągnane dopiero z Tykocina, Witebska i Wilna. Wreszcie jednak siedemnastego września, nie czekając na armaty, po przeglądzie wojska, udał się Zygmunt w dalszą drogę. Wiódł teraz osiem tysięcy żołnierza, bo litewscy wielmoże nadesłali dalsze posiłki. Zamierzał z tą szczupłą armią zdobyć Smoleńsk i następnie opanować moskiewskie państwo, nie wiedząc nawet, jak tego dokona, bo żadnego planu operacyjnego nie przygotował. Może więc polegał na wojennym geniuszu swego hetmana, któremu, wbrew jego oporom, powierzył naczelne dowództwo wyprawy. Dwudziestego pierwszego września, o pięknej pogodzie, armia przekroczyła granicę i dwudziestego dziewiątego stanęła pod Smoleńskiem. Miasto to oddziela od zamku Dniestr, płynący tu ze wschodu na zachód. Obszerny teren zamku otaczał kamienny mur grubości ośmiu łokci, a na piętnaście wysoki. Na nim stała ceglana nadbudowa wysokośći dwunastu łokci. Co dwieście sążni tkwiły w murze potężne baszty i wieże, których było trzydzieści osiem, jednak tak fosy, jak wałów na przedpolu brakło. Samo miasto o ośmiu tysiącach domów mieszkańcy spalili i przenieśli się na obszar zamku. Dobrze zaopatrzony w żywność i prochy miał trzysta dział, bardzo silną załogę liczącą trzydzieści tysięcy żołnierzy i piętnaście tysięcy zbrojnych mieszczan, powołanych do obrony przez dowódcę, Michała Borysowicza Szeina. W samym środku obszaru zamkowego znajdował się jeszcze zespół obronnych budowli i murów z wysoką, okrągłą

wieżą o stożkowym, otoczonym krużgankiem dachu, z którego rozciągał się rozległy widok na całą okolice, płaską i pełną mokradeł. Leżące w pobliżu wsie na wieś o zbliżającym się nieprzyjacielu opustoszały, toteż kwater dla chorągwi nie brakło. Natomiast miejsce na główny obóz wybrał osobiście hetman íólkiewski, wyznaczając obszar na nieco wynioślejszym terenie, od wschodniej strony ku Dnieprowi, pomiędzy murowanymi klasztorami Bogurodzicy, Przenajwiętszej Trójcy i świętego Zbawiciela. Na północnym brzegu Dniestru Pokrowskie Wzgórze zajęła husaria pod wodzą wojewody braclawskiego Jana Potockiego, a oddziały kozackie rozłożyły się nad samą rzeką. Jeszcze przed zjawieniem się pod Smoleńskiem król Zygmunt ogłosił manifest do smoleńszczan, w którym oznajmiał: "Sam Wielki Gosudar Zygmunt III, Bożą Miłością Król Polski etc., etc.. W Smoleńsku wielebnym władcykom, archimandrytom, ihumenom, wojewodom, dworzanom, dzieciom bojarskim, ludziom targowym, strzelcom, kozakom, puszkarzom, zatyńszczykom, wrotnym i wszystkim posadskim i urzędym, żyleckim i służebnym starszym, średnim, młodszym, wszystkim ludziom. Widzicie wy to sami, co od onego czasu, jego Pan Bóg Wszechmogący z woli Swej świętej ostatniego potomka wielkich gosударów i wielkich książąt Moskiewskich Gosudarstwa . p. Wielkiego Gosudara i Wielkiego Kniazia Fiodora Joannowicza brata naszego z tego ziemskiego do Niebieskiego Królestwa przeniósł, a na Jego miejsce nie z carskiego rodu ani Boską Wolą, ale swem chceniem, chytrością i omamą, pierwej Borys Godunow, a potem inszy uczynili się wielkimi hospodarami i Moskiewskim Gosudarstwem władać poczęli... iż nie po swojej mierze na carski stopień i stolec targnęli się, puścił Bóg gniew Swój Boży na wszystkich chrześcijański naród, moskiewski, ruski..." "...I My, Wielki Gosudar Chrześcijański, według naszej



Królewskiej Dostojności, takiego upadku waszego i bezprzestannego przelewania krwi chrześcijańskiej żałując, z wielkimi wojski Naszemi idziemy ku Wam, nie dla tego, cobyśmy wojowali i krew waszą rozlewać mieli, ale dla tego, iżby za pomocą Bożą i modlitwami Przenajwiększej Bogarodzice Naszej i Wszystkich świętych Wybranych Naszych Bożych was od wszystkich nieprzyjaciół waszych obronić i z niewoli od ostatniego zginienia wybawić..." Jednak ani ten manifest, ani wysłane do Szeina wezwanie do poddania się nie odniosły skutku. Królewskie listy wróciły bez odpowiedzi, a nieliczni zwolennicy poddania się zostali ścięci. Teraz dopiero Zygmunt zmiarkował, że zbyt łatwo dał wiarę zapowiedziom panów Gosiewskiego i Oleńskiego, i innych, równie pochopne wydających sądy, a opinie dworaków czy dygnitarzy, jak Lew Sapieha czy Potoccy, dalekie były od rzeczywistości. Nie pozostawało więc nic innego jak rozpocząć działania oblężnicze i ciągać dodatkowo ciężkie bombardy z Rygi, bo tych głównie było potrzeba, czego w braku należytego przewidywania nie uwzględniono. Przybycie Zygmunta pod Smoleńsk wywołało w obu obozach - i w Tuszynie, i pod świętą Trójcą - oburzenie, a nawet wręcz nienawiść ku osobie królewskiej. Pomstowało zwłaszcza rycerstwo tuszyńskie, bo tam Dymitr i Maryna, jak mogli, tak podsycali te wrogie nastroje. Pan Sapieha wprawdzie nie zabierał głosu w tej drażliwej sprawie, ale i jemu nie po myśli było pojawienie się tak poważnej przeszkody na drodze do Moskwy. Obecnie bowiem do wyścigu stawał nowy współzawodnik - własny monarcha. Wkrótce w obozie tuszyńskim zjawili się dwaj wysłannicy Zygmunta - rotmistrze Buczyński i Rusiecki, zapowiadając rychłe przybycie królewskiego poselstwa. Zawisła więc nad kniazem Rożyńskim groźba obrócenia wniwecz całego dotychczasowego wysiłku i przelanej krwi, także i własnej.

Ostatnio bowiem na twerskim gołcińcu został ranny strzałą, która, przebiwszy bok, wyszła grotem na plecach. Jeszcze przedtem zwołał żołnierskie koło, wzywając do złożenia przysięgi na wierność, ale Dymitrowi. Mowa ta, idąca po myśli żołnierstwu, wywołała powszechny entuzjazm. Postanowiono założyć konfederację dla ochrony praw samozwańca do moskiewskiego tronu. Smutny był to objaw, zwłaszcza kiedy okazało się, że Kozacy odmówili przystąpienia do związku, a nawet posłali do króla gońców z zapewnieniem o swej wierności. Po odbytym kole kniaź, już bardziej pewny siebie, wysłał poselstwo do króla, podając warunki, na jakich gotów przejść pod jego rozkazy. Pojechali towarzysze Marchocki, Roźniatowski i paru innych. Owa propozycja rokowań, przedłożona własnemu monarsze, była już jako taka nieprzystojnym zuchwalstwem, a do tego Marchocki wygłosił buńczuczną przemowę do tronu, wzmagając jeszcze bardziej powszechne oburzenie. Toteż kiedy posłowie wręczali potem pisma, hetman iółkiewski chłodno ich odprawił, wykluczając dalsze rozmowy. Odjechali więc nic nie wskórawszy, a do tego odprowadzani złodziejami przycinkami rycerstwa. Panowie Rusiecki i Buczyński pozostali wszakże w tuszyńskim obozie, niby w oczekiwaniu na rychły przyjazd królewskiego poselstwa, w rzeczywistości zaś, by kaptować zwolenników ugody. Niepowodzenie poselstwa jak i te starania przyczyniły się do zmiany nastrojów, i to nie tylko wśród żołnierstwa, ale i u dowódców. Miała na to również wpływ i sytuacja wojenna. Zborowski dostał ciężki pod Twerem, Sapieha ponosił duże straty, nadal daremnie zdobywając Trójcę świętą. Rożyński po otrzymanej ranie mocno podupadł na siłach. Z coraz większym też niepokojem obserwował działania wspomaganego przez Szwedów Skopina, który okazywał, że jest wodzem niepowszedniej miary. Wszystko to studziło zbyt wojownicze

nastroje. Poselstwo Zygmunta, które wkrótce przybyło, przystąpiło zaraz do rozmów i narad. Nie pomijali w nich i moskiewskich bojarów, stronników samozwańca, przebywających w obozie tuszyńskim, a także pozostającego tu w niewoli patriarchy Filareta, usiłując ich także skłonić do poniesienia politycznych planów związanych z osobą Dymitra. Jednocześnie wyszły królewskie pisma do cara Szujskiego, do patriarchów, a także i moskiewskich stanów. Uwłaczało jednak godności królewskiej znosić się z samozwańcem - tym razem już bez wątpienia szalbierzem - toteż tylko senat upomniał go, by nie czynił przeszkód poselstwu. Pozostawało ono przez dłuższy czas w obozie i dzięki mądrej wyrozumiałości oraz sprytowi posłów jego działalność zaczęła przynosić rezultaty. Coraz więcej bowiem towarzyszy było gotowych przejść do smoleńskiego obozu. Natomiast car Wasyl spalił listy Zygmunta nie tylko skierowane do niego, ale i przeznaczone dla duchowieństwa i moskiewskiej ludności. Zabiegał przy tym o zmianę przychylnych Zygmunto wi nastrojów głośząc, że jako zagorzały papista zniszczy prawosławną wiarę i zaprowadzi rzymski obrządek. Nie odnosiło to jednak większego skutku, gdyż ludność do czasu już miała carskiej obłudy i okrucieństwa. Bojarzy zaś nienawidzili go za bezwzględność, z jaką, mimo udzielonych na początku panowania zapisów, usiłował pognać teraz ich stan. Te wrogie nastroje podsycaly ciągle klęski ponoszone przez carskie wojska i ich wodzów. Zaczęły więc wybuchać coraz częstsze i coraz bardziej krwawe bunty, pospółstwo wdzierało się nawet pod mury kremłowskiego pałacu, żądając wysłania posłów do polskiego króla. Wywołało to nowe okrucieństwa i represje. Wrzało więc w stolicy moskiewskiego państwa. Ostatni szturm przypuścił pan Sapiaha siódmego sierpnia tegoż 1609 roku, rzucając do walki wszystkie swoje siły, mimo to równie bezskutecznie.

Jednak jeszcze blisko dwa miesiące nie zwijał oblężenia, licząc na pomoc wojsk Rożyńskiego, beczynnie stojących w obozie tuszyńskim. Ale książę nie zamierzał wspierać niebezpiecznego rywala. Z tych samych zapewne przyczyn i pan Zborowski był staro×cie niechętny. Ostatecznie więc wkrótce po naradzie ze swymi pułkownikami zarządził pan Sapiaha likwidację oblężenia i skierował się pod Dymitrow, gdzie założył obóz nad Ugrą. Natomiast Lisowski już wcze×niej ruszył swoje chorągwie i pociągnął na nową wyprawę. Idąc znów na północ, po kilku dniach napotkał kilkutysięczny oddział Kozaków pod wodzą młodego atamana Andrzeja Proszowickiego. Ten na wie×ć, kogo zdarzyło mu się spotkać, zgłosił gotowo×ć wspólnego wojowania pod tak znakomitą dowódcą. Lisowskiemu zależało na powiększaniu swoich sił, więc przystał na propozycję i już razem rozbili pod Kłuszynem Dawida ĩerebcowa, który dla obrony miasta, na czele trzynastu tysięcy ludzi, zaszedł im drogę. Wojsko wojewody zostało wycięte nieomal w pień, a on sam za hardą postawę - stracony. Miasto nie było już zdolne do obrony i uległo wraz z klasztorem świętego Makarego całkowitemu splądrowaniu. Syci zdobywcy przeszli następnie Wołgę i skierowali się na zachód. W drodze dopadł pułkownika goniec dyneburskiego starosty, a litewskiego regimentarza Adama Talwosza z pismem wzywającym do poniechania działań na własną rękę i przyłączenia się do królewskiej armii. Pisma takie rozsyłali w tym czasie senatorowie do wszystkich znaczniejszych dowódców. Lisowski wezwania nie zlekceważył, ale rycerska ambicja nie pozwalała mu na stawienie się z mało co więcej niż tysiącem szabel, Proszowicki bowiem owo wezwanie odrzucił. Odłożył więc zamierzony powrót do czasu, aż nie powiększy swych sił, obecnie za×, nie zważając na liczebną przewagę nieprzyjaciela, uderzył na stojące pod Wdowem moskiewskie

wojsko i nagłym atakiem rozbił je doszczętnie. Po tym kolejnym sukcesie wkroczył na ziemie Wielkiego Nowogrodu i skierował się na Psków. Tamtejszy wojewoda, wystraszony wieściami, jakie nadeszły o doli opornych miast, wysłał do Lisowskiego posłów, wysuwając warunki, na jakich byłby gotów do poddania Pskowa. Ponieważ w ręku wojewody znajdowali się jeszcze więźniowie Polacy, wysłani doń przez Szujskiego po śmierci pierwszego samozwańca, przeto Lisowski, obawiając się o ich los, nie odrzucił propozycji. W rezultacie Psków przyjął jego żołnierzy jako gości, jeńcy zostali zwolnieni, a miasto uniknęło rzezi i grabieży. Pułkownik otrzymał iście królewską kwaterę, nie brakło też niczego i jego wojsku. Rozpoczęło się próżniacze bytowanie wśród uciech i biesiad ku zadowoleniu miejscowych kupców, którzy za pół ceny skupowali od żołnierzy ich łupy, natomiast za trunki kazali sobie płacić podwójnie. Nie obeszło się jednak bez gwałtów, toteż ruski kronikarz pisał potem, że pan Lisowski biesiadował z mieszkańcami jak z braćmi, ale łupił ich jak wrogów. Biegł jeszcze rok 1609. Nastał październik, dni były słoneczne, lecz zimne, nocami chwytały już przymrozki, białym proszkiem szronu posypując gałęzie drzew, szczyty palisad i darń pokrywającą szanice. Lufy armat, także oszronione, spozierały cyklopowymi ślepiami ku potężnym murom i basztom smoleńskiego zamku. Komnatę królewskiej kwatery w monasterze Bogurodzicy oświetlał trzaskający na ogromnym kominku ogień, rzucając poświatę na postacie zasiadłych półokręgiem co znaczniejszych dowódców i dygnitarzy królewskich. Zygmunt siedział w środku, mając po jednej stronie hetmana iólkiewskiego, po drugiej kanclerza Litwy, Lwa Sapiechę. Kolejne miejsca zajmowali: wicekanclerz koronny Kryski, marszałek wielki Litwy Dorohostajski, wojewoda braclawski Jan i jego brat Jakub Potoccy, słynny w całej Europie kawaler maltański

Bartłomiej Nowodworski i inni znakomici wodzowie. Przy głosie był hetman íólkiewski, mąż wysokiej postaci, o siwych już skroniach, pociągłej twarzy, ciemnych oczach i z wąsami pod nieco przygiętym ku dołowi nosem. Dowódca wielkiego rozumu, nieskazitelnej prawo×ci i o znakomitych zdolno×ciach wojskowych, jeden z owych wielkich wodzów jak Zamoyski, Koniecpolski, Sobieski, Chodkiewicz czy Czarniecki, których w tej dobie miała Rzeczpospolita. - Działa, które nadeszły - mówił hetman - tyle szkody narobią, co groch ciskany na rycerską zbroję, toteż darmo będziemy prochy spalać. Wprawdzie wkrótce mają nadej×ć owe bombardy od ryżan, ale i one wiele nie działają, bo nie sze×ć, lecz sze×ćdziesiąt takich nam potrzeba, by uszczerbek tym murom zadać. - Są i inne sposoby krom bombard... - mruknął zgryźliwie Jakub Potocki, który przychylny hetmanowi nie był. - Masz waćpan na my×li ową nocną wyprawę, którą wespół z kawalerem maltańskim zamy×lasz? - spytał spokojnie hetman, jakby nie dostrzegając tonu, w jakim padła odpowiedź. - Niechże Bóg da, aby się powiodła, gdyż jedyna to będzie sposobno×ć, by wdrzeć się do zamku. Drugi raz Szein zaskoczyć się nie da. - Jaką zatem inną radę masz dla nas, mo×ci hetmanie, skoro powątpiewasz w skuteczno×ć owej nocnej wyprawy, a działa uznajesz za nieprzydatne? - spytał Zygmunt z dąsem w głosie. - Je×li powątpiewam, ja×nie panie, to nie z braku wiary w dzielno×ć naszego żołnierza czy talenta dowódców. Wiele wszakże zależy od u×miechu fortuny, a wiedzę o jej płocho×ci nabyłem dzięki wiekowi i dotychczasowej wojaczce. Nie przeciwnym owej imprezie, oby Bóg dał szczę×liwej, ale obleganiu tak potężnej twierdzy bez należytego wyposażenia, zwłaszcza ciężkiej armaty. - Radę, jaką teraz chcesz dać, już znam, bo× jej udzielił - o×wiadczył król spoglądając porozumiewawczo na pana Potockiego. - Wiele jest jednak przyczyn, dla których nie

zamierzam jej usłuchać. - Mimo to jeszcze raz ją powtórzę - z uporem rzucił hetman. - Należy poniechać tego oblężenia i ruszyć wprost na Moskwę! Jeszcze teraz sposobna jest ku temu chwila, bo przeciw Szujskiemu cały kraj będziemy mieli za sobą. Jeżeli za zdobędziesz Kreml, tedy i Smoleńsk klucze ci odda! Sposobny czas może łącno minąć, a my tu zęby będziemy sobie o te mury kruszyć. - Radzisz zatem, mości hetmanie, zostawić za plecami czterdzieści albo i więcej tysięcy dobrego żołnierza? - prychnął ironicznie Potocki. - Możem łącno nie dojść nawet pół drogi do Moskwy! - Pieczę nad tutejszą załogą ostawiłbym Kozakom. Jeżeli nawet nie zdołają pokonać smoleńszczan, są dość liczni, by wstrzymać ich trochę. Sądzę wszakże, że Szejn będzie wolał czekać, aż Szujski sam rozprawi się z nami. - Skoro jednak do takiej wyprawy dojdzie - zabrał głos drugi z Potockich, wojewoda braclawski Jan - łącno możemy dostać się w kleszcze dwóch armii. Początkowo może istotnie Szejn będzie się bał wyjść w pole, ale kiedy upewni się, że my naprawdę przerwali oblężenie, ani chybi pospieszy z pomocą swemu carowi. - Ataman Olewczenko w trzydzieści tysięcy więcej żołnierza ku nam ciągnie. Tylko patrzeć, jak tu przybędzie, a wówczas będziemy od Szeina bezpieczni. Skoroście, panowie, tak ostrożni, poczekajmy zatem na niego, nadal radzę jednak ruszać na Moskwę, bo nie pod murami Smoleńska leży rozstrzygnięcie naszej wyprawy. A dla jej sukcesu warto ponieść hazard! - Ja widzę go większy niżli wy, panie hetmanie - oświadczył Zygmunt. - Nawet choćby Szejn nam nie zagroził, zbyt mało mamy sił, by ruszać w głąb moskiewskiego państwa. Dlatego należy najpierw odciągnąć od owego szalbierza tych, co przy nim stoją. Żołnierz to może i niesforny, ale bitny i Moskali zna już dobrze. Toteż tuszę, że nie pora jeszcze na podejmowanie decyzji. Poczekajmy, co nam przyniesie jutro. - Lisowski w dwa tysiące szabel

przemierzył astrachańskie stepy dobywając grody... - odezwał się jakby mimochodem pan Stru<sup>x</sup>. Inni dostojnicy milczeli, jedni bowiem respektowali zdanie do<sup>x</sup>wiadczonego hetmana, drudzy woleli nie narażać się panom Potockim, którzy od rokосу Zebrzydowskiego cieszyli się królewską łaską. - Lisowski dla nas nie przykład - zareplikował zaraz wojewoda Jan - bo komunikiem wojuje, toteż lotny niczym czajka. My i działa, i tabory ze sobą wie<sup>x</sup>ć musimy, a stąd i czeladzi mamy więcej niż rycerstwa, ta za<sup>x</sup> do sprawnych obrotów czy szybkich marszów niesposobna. - Słuszny to wywód, ale i my możemy i<sup>x</sup>ć komunikiem, ostawiwszy tabory pod opieką piechoty i armat. Miło<sup>x</sup>ciwy pan wspomniał - hetman mówił bez po<sup>x</sup>piechu i spokojnie - że rad, by zanim stąd ruszy, mieć przy sobie chorągwie samozwańca. Otóż chętniej przyłączą się do nas, kiedy będziemy w marszu, niż do stojących pod Smoleńskiem. Król z pewnym zniecierpliwieniem potrząsnął głową. - Może tak by i było, mo<sup>x</sup>ci hetmanie, lecz pewno<sup>x</sup>ci w tym względzie nie mamy. Na razie na nas pomstują, nie bacząc na powagę majestatu... Czy nasze poselstwo co<sup>x</sup> osiągnie, jeszcze nie wiemy, a to, co<sup>x</sup>my usłyszeli od ich posłów, otuchą nie napawa. Wolą moją zatem jest baczyć stąd na dalszy bieg zdarzeń... - Wszakże czas ucieka i sposobną chwilę uniesie - nie bez goryczy mruknął iólkiewski. Król pomiął milczeniem tę uwagę hetmana, przeto zaczęto radzić nad sposobem zdobycia twierdzy bez użycia armat. Tu zabrał głos pan Nowodworski - rycerz nie tylko znakomity zuchwałą odwagą, ale i wielki wojennym do<sup>x</sup>wiadczaniem, jakie, będąc kawalerem Maltańskiego Zakonu, zdobył w walkach u obcych władców. Podjął się wysadzić prochami bramę, a nawet dwie, i w ten sposób dać można<sup>x</sup>ć podciągniętym w pobliże rotom wdrzeć się do zamku. Wkrótce projektowany szturm odbył się, pan Nowodworski słowa dotrzymał, bo dwie bramy zostały wysadzone prochami. Rozgrzani sukcesem napastnicy



wdarli się przez nie, nie napotykając większego oporu, gdyż załogi uległy panice i rzuciły się do ucieczki ku pobliskiej cerkwi, by w niej szukać ratunku. Daremnie jednak czołowe oddziały oglądały się na wsparcie. Brakło go też, kiedy z głębi zamku nadbiegły nowe oddziały obrońców. Sytuacja od razu się zmieniła. Będąc o krok, o cal od zwycięstwa i opanowania twierdzy, sami teraz musieli bronić własnego życia. Wycofali się wreszcie względnie szczęśliwie, okupiwszy jednak krótkotrwały sukces dwudziestoma poległymi. Jak potem wykazało przeprowadzone dochodzenie, do posiłkowych oddziałów nie doleciał ponoć żądający wsparcia głos trąb, który zagłuszyła strzelanina, więc dowodzący, nie słysząc umówionego sygnału, wierni rozkazom nie ruszali do bitwy. Tak czy owak jedyna, jak się potem okazało, szansa szybkiego opanowania Smoleńska została zaprzepaszczona. Natomiast w Pskowie stało się wkrótce obu dowódcom za ciasno. Zaczęły się między ich żołnierzami niesnaski, przeto za zgodą Lisowskiego ataman Proszowicki wyruszył w pole i zdobył dla siebie Wielkie Łuki. Nie uchroniło to jednak od utarczek podczas spotkania oddziałów, aż wreszcie pomiędzy dotychczasowymi sprzymierzeńcami doszło pod Pskowem do krwawej bitwy. Po doznanej porażce Proszowicki zebrał swoje rozbite chorągwie i pociągnął pod Suzdal. Lisowski zaś, mając już dość bezczynnego życia i w obawie o dyscyplinę w oddziałach, zarządził wymarsz z miasta. Po odejściu Proszowickiego zaszła również konieczność powiększenia liczby wojska, a tego nie dało się osiągnąć. Żołnierza bowiem przyciągała nie nuda obozowego bytowania, lecz działania wojenne. Kiedy więc nadeszły pierwsze wiosenne dni 1610 roku, pułkownik ruszył na bojowy szlak. Obrócił się na południe i niby gnany wichrem zajął Pryhorody, Ostrów, Woroneż, Zawołoczje, Krasne. Tam wziął do niewoli miejscowego wojewodę Iwana Resniczyna,

którego odstawił do królewskiego obozu. Wkrótce potem, ale już latem, pomny wezwania ruszył pod Smoleńsk. Jedlina ze swoim pocztowym Wolutą znaleźli kwaterę u ubogiego powroźnika, zamieszkałego w moskiewskim Biełogrodzie. Nie dlatego wszakże, że brakło ×rodków na zajazd, bo dzięki dotychczasowej wojaczce i zapobiegliwo×ci Woluty tych nie zbywało, lepiej jednak było nie zwracać na siebie uwagi. Dlatego też nie poniechali chłopskiego przydzwiewku, pielęgnowali coraz okazalsze brody, a że i językiem ruskim władali już równie biegle jak własnym, niczym więc nie wyróżniali się w tłumie, wędrując ulicami miasta. Ono za× także zmieniło swój wygląd. To już nie była Moskwa jeszcze sprzed dwóch lat czy nawet roku. Wówczas gwarna, rozkrzyczana, hała×liwa, kłótliva, ale serdeczna i go×cinna; kipiąca życiem, zatłoczona wozami, które prowadzili wykrzykujący soczyste przekleństwa woźnice, wezbrana tłumem pieszych, pełna ulicznych przekupniów i żebraków, z targowymi placami, gdzie handlarze hała×liwym pokrzykiwaniem usiłowali ×ciągnąć ku sobie nabywców, by potem prowadzić z nimi przewlekłe targi. Teraz miasto jakby zszarzało, przycichło, przypominało Jedlinie psa, który przypadłszy do ziemi czołga się czujnie; wiadomo×ci szeptano sobie do ucha, oglądając się dokoła, jakby zewsząd czyhało niebezpieczeństwo. Wiadomo bowiem było, że batiuszka Wasyl szpiegów i podsłuchiwczy ma co niemiara. Docierają wszędzie, węszą, podglądają ludzkie poczynania, i nie daj Boże jedno niebaczne słowo, a niknie człowiek nagle i nie wiadomo nawet, jaki spotkał go los. Ceny też nie były te same co niegdy×. íywno×ci wprawdzie jeszcze nie brakło, choć zdarzały się trudno×ci z dostawą, bo pod murami, zwłaszcza od północy, krążyły oddziały samozwańca, ale dopływ trwał nadal - tyle tylko, że i kupcy, i chłopci kazali sobie płacić za ryzyko. Toteż sarkali ludziska na panoszącą się drożyznę

mimo grozy, jaka zza murów kremlowskiego pałacu ogarniała miasto. Zasiadał tam bowiem człowiek, który żył w nieustannym lęku o dzierzoną władzę. Nie było dobrego żołnierza, brakło zdolnych wodzów, toteż wszystkie armie, które zdołał zebrać, wyposażyć i wysłać w pole, ulegały rozbiciu, a każda kolejna klęska wstrząsała jego tronem. Wreszcie pojawił się dobry żołnierz, którego kupił u szwedzkiego króla, znalazł się również wielkiej miary wódz, młody nowogrodzki wojewoda Skopin\_Szujski, ale jakby wskutek ironii losu nadchodziło coraz więcej sygnałów, że pragnie on wprawdzie ocalić moskiewski tron, lecz dla siebie. Mierzył więc car Wasyl coraz bardziej nieufnym spojrzeniem otaczających go dworzan i bojarów, jakby szukając stronników młodego rywala. A kiedy mu się zdało, że dostrzega choćby nikły cień zdrady, wtedy los nieszczę×nika był przesądzony. Ginał nie wiadomo jak i kiedy lub, co gorsza, poddany torturom dla wymuszenia zeznań kończył żywot w męczarniach. Coraz pochmurniejszy był więc car batuszka Wasyl, coraz gniewniej szarpał swą dostojną brodę, coraz ostrzejszym i pełnym podejrzeń spojrzeniem taksował swoich najbliższych nawet doradców. Ale nieustępliwy w dążeniu do zachowania władzy nie szczędził wysiłków, by opanować groźniejszą z tygodnia na tydzień sytuację. Miał nadzieję, że zawarte porozumienie ze Szwecją i jej pomoc pozwoli na rychłe rozprawienie się z owym przelkętym "tuszyńskim worem". Działania de la Gardie'ego i kniazia Michała Skopina zdawały się potwierdzać tę nadzieję, kiedy na scenę zmagañ wkroczył ów szwedzki kundel, polski król, łakomy tak jak samozwaniec na kremlowski tron. Toteż zgryzot carowi Wasylowi nie brakło. Na Kremlu radzono bez przerwy, zbierano zewsząd ludzi i ×rodki na wciąż nowe armie, zapadały kolejne decyzje i wyroki. Wyczuwalny w mie×cie nastrój wrzenia, tłumiony strachem przed carskimi

siepaczami, nie docierał jednak do domu Wołnowów. Na rozległej przestrzeni ogromnego miasta ×cierały się ze sobą ludzkie namiętno×ci, toczyła się walka o władzę, wpływy, bogactwa i łaski, ale jednocze×nie wzmagał się gniew ludu. Jednak i Natalia Pawłowna, i Tania żyły nie×wiadome nadchodzącej burzy. Dni mijały obu kobietom na codziennej, gospodarskiej pracy. Za pomocników miały szesnastoletniego wyrostka Fie~dkę i pozostałą z dawnej służby biodrzastą Awdokię. Natalia Pawłowna w czasie zimy raz czy drugi napomknęła córce o polskim rycerzu, niby mimochodem przypominając go sobie, ale za każdym razem padała w odpowiedzi niechętna uwaga: - Nie chcę o nim mówić... Którego× jednak dnia, kiedy szara, zimowa godzina kazała zaniechać domowej krzątaniny i przysiadły obie w pobliżu trzaskającego w chlebowym piecu ognia, Tatiana, zapatrzona w tańczące płomienie, sama odezwała się na wpół do siebie: - Dawno nie było od Griszki wie×ci. Czy aby... - Daj spokój! - ofuknęła ją Natalia Pawłowna. - Jeszcze licho obudzisz. Okazji nie było, to i wiadomo×ci nie nadesłał. Zapadło milczenie, które po chwili znów przerwała Tania: - Oby tylko nie spotkali się w boju... Natalia Pawłowna zerknęła nieznacznie na córkę, potem spytała, pozornie, nie×wiadoma o kogo chodzi: - Z kim niby ma się nie spotkać? - Toć chyba wiesz...? - Dziewczyna zamilkła i jakby wystraszona opu×ciła głowę. Ale Natalia Pawłowna nie dawała się zbyć: - Zatkalo cię, że zaniemówiła×? Niby skąd mam wiedzieć, co ci chodzi po głowie? - Udała zagniewaną. - My×lę... no, my×lę o tym Polaku... Natalia Pawłowna okazała zdziwienie: - O tym Polaku? Doprawdy? Nie rozumiem, dlaczego boisz się ich spotkania? Grisza ani chybi go ubije, bo on ręki na niego nie podniesie. Chyba uradujesz się z tego, boć przecie go nienawidzisz... - Mamo, co też mówisz? Miałabym pragnąć czyjej× ×mierci? - Skoro go jednak nienawidzisz? - Istotnie

nienawidzę... Ale ×mierci dla niego nie pragnę... Zresztą wierzę, że Bóg nie dopu×ci, by się zeszli. - Nie wiem, po co takie spotkanie wymy×liła×. Tak ono możliwe jak spotkanie paru mrówek w puszczy. - Wszakże Bóg kieruje ludzkimi drogami... - Czy aby nie nazbyt troszczysz się o tego Polaka? Co× mi się widzi, że przekorna ta twoja nienawi×ć, a ty nie za bardzo jej posłuszna. - Był mi nienawistny, ale teraz jest tylko obojętny, niby chwast przy drodze! - z oburzeniem wykrzyknęła Tatiana. - Dostrzegam to wła×nie... - mruknęła Natalia Pawłowna i zaczęła mówić o czym innym. Od tej rozmowy upłynęło kilka miesięcy, aż pewnego dnia rozległ się u furtki głos kołatki i Fie~dka, który poszedł dowiedzieć się, kto i czego chce, wrócił z wiadomo×cią, że jakowe× dwa muzyki proszą o rozmowę z chaziajką. Kiedy Natalia Pawłowna ujrzała w otwartej furcie przybyszów, jednego z nich - mimo bujnej brody i chłopskiej odzieży - poznała natychmiast. Toteż wykrzyknęła ze zdumieniem: - Nikodem Pietrowicz! Aż uwierzyć trudno! I do tego w chłopskiej siermiędze! No wchodźże i towarzysza prowadź! Zapewne szmat niebezpiecznej drogi macie za sobą. - Witam, Natalio Pawłowna, rad z waszej życzliwo×ci. - Jedlina pochylił się nad ręką kobiety. - Istotnie, Moskwa teraz niby kocioł z wrzątkiem, to i poparzyć się nietrudno. Bóg szczę×liwie jednak doprowadził do waszego progu. A oto mój pocztowy, urodzony Woluta... Natalia Pawłowna zatrzęsnęła za nimi furtę i zaszumiawszy spódnicą pospieszyła ku domowi. - Chodźcie do izby, wnet przygotuję posiłek. Zapewne×cie wygłodzeni. - Głodnym, pani matko, ale widoku Tatiany Wasiljewny! Czy aby przy zdrowiu? - Zdrowa, zdrowa... - Natalia Pawłowna spojrzała przez ramię na młodzieńca, u×miechając się z lekka. - Obiad gotuje, zaraz ją powiadomię o waszym przybyciu, a o powitanie sam się zatroszcz! Uwagę tę rzuciła już zza progu, znikając za drzwiami wiodącymi do

gospodarskich pomieszczeń. Zastała córkę pochyloną nad kuchennym stołem. - Po×piesz się, Taniu, z obiadem! - zawołała ku niej. - Mamy go×ci, ani zgadniesz, kto przybył! Dziewczyna odwróciła się gwałtownie i ujrzawszy u×miechniętą twarz matki, odgadła od razu. - Nikodem Pietrowicz? - rzuciła wzburzonym tonem. - Ano wła×nie. Ze swoim pocztowym. Mocno widać się stęsknił, skoro nie zważał na tyle niebezpieczeństw, aby tobie się pokłonić. Tatiana, jakby wyzbyta z sił, oparła ręce o stół i powiedziała z determinacją: - Nie wyjdę ku niemu! Nie chcę go widzieć! - Teraz tak gadasz, bo tu jest, ale× na niego czekała. Siebie możesz okłamywać, ale matki nie oszukasz. Więcej dostrzegam, niż ci się zdaje. - Ja czekałam? - Twarz jej oblał raptowny rumieniec. Po chwili pochyliła głowę i dodała już ciszej: - Widać nie wszystko jednak dostrzegasz... Natalia Pawłowna podeszła do córki i położyła dłoń na jej ramieniu. - Skoro o nim nie my×lała×, to pomy×l teraz. Rada bym widziała, gdyby× zechciała go za męża... Tatiana buntowniczo podrzuciła głowę i spojrzała na matkę pałającym dumą wzrokiem. - Jak możesz tego chcieć?! Po tym, co się zdarzyło? Toć on nie dla mnie samej, jeno dla zmazania grzechu chce mnie brać. Taką pokutę sobie obmy×lił! To nieoczekiwane o×wiadczenie wprawiło Natalię Pawłownę w takie zdumienie, że w pierwszej chwili bez słowa patrzyła na córkę, aż wreszcie wybuchnęła: - Też mi wymy×liła! Sądzisz, że zdolny tak kłamać? To w gruncie rzeczy prawy człowiek, a ty nie wiem czemu serca do głosu nie dopuszczasz. íycie wolisz sobie zmarnować niżli go przyjąć! Oczy dziewczyny zapłonęły gniewem. - Nigdy! - krzyknęła z determinacją. - Słyszysz?! Nigdy za niego nie pójdę! Odwróciła się i przyłożywszy dłonie do twarzy, zaczęła pochlipywać. Natalia Pawłowna jaki× czas spoglądała na nią z wyrozumiałym u×miechem, wreszcie o×wiadczyła: - Nie chlipaj, bo oczy

zaczzerwienisz, i posłuchaj, co powiem... Choć ci niemiły, nie okazuj mu tego, boć przecie ryzykował życie, aby cię ujrzeć. Traktuj go przynajmniej z powinną go×ciowi grzeczno×cią, a resztę pozostawimy losowi. Przymuszać cię do niczego nie zamierzam... Kiedy więc przyszło do powitania, na gorące słowa młodego rycerza Tania odpowiadała z nieco sztywną uprzejmo×cią, czego rozradowany jej widokiem zdawał się nie dostrzegać. Miarę za× szczę×cia młodego rycerza dopełniło zaproszenie Natalii Pawłowny do ponowienia odwiedzin. Tłumiąc niecierplivo×ć Jedlina odczekał kilka dni, zanim znów wybrał się do dworku w Biełogorodzie. Była to ofiara złożona na rzecz rozsądku, który nakazywał umiar w narzucaniu swojej osoby. Ale też te kilka dni stanowiły wszystko, na co było go stać. Tym razem wła×nie Tania otworzyła mu drzwi. Kiedy dostrzegła go przed sobą, ujrzała wyraźny błysk w jej oczach, stłumiony wprawdzie zaraz ×ciągnięciem brwi, ale na to młody rycerz zwrócił już mniejszą uwagę. Toteż z rozja×nioną twarzą skłonił się przed dziewczyną. - Mam szczę×cie od razu widzieć waćpannę! Witam tedy w nadziei, że nie przegnasz mnie z progu. Dziewczyna obrzuciła go krótkim spojrzeniem, po czym gestem dłoni wskazała mu wnętrze sieni. - Proszę do domu... - Już prowadząc go dodała: - Skoro waszmo×ć już tu jest... Na te słowa Nikodem przytrzymał ją za rękę. - Wciąż jeste× na mnie gniewna? Tania wysunęła dłoń z jego u×cisku i bez słowa otworzywszy kolejne drzwi, zawołała: - Mamo, Nikodem Pietrowicz przyszedł! Z głębi domu doleciał głos Natalii Pawłowny: - Rada to słyszę! Zabaw go, zanim przyjdę. Tania wprowadziła więc go×cia do jadalnej komnaty i wskazała ławę, mówiąc z przesadną grzeczno×cią: - Wybaczcie pusty stół, ale zaraz co× przyniosę... - Nie odchodź, bo nie takiego poczęstunku głodnym! Znów ×ciągnęła gniewnie brwi, lecz tym razem prychnęła

pogardliwie: - Innego jak ze stołu nie oczekujcie... - Skoro zatem inaczej nie może być, to na konia cię porwę, a nie poniecham! - zawołał Nikodem wzburzony jej obojętnością. - No właśnie... Tylko do gwałtów jesteście zdolny. - Wierzę, że Bóg nas sobie przeznaczył i taką drogę obrał, byśmy się zesзли. - Nieprawda to! - wykrzyknęła nadspodziewanie porywczo. - Bóg nie posłużyłby się występkiem, by okazać swą wolę. - Występek musi człowiek cierpieniem odkupić, może tedy skazał mnie na udrękę, bym tym łatwiej ocenił potem jego łaskę? - Dlaczego więc i mnie nie oszczędził? Cóżem była winna, że tak mnie pokarał? W oczach dziewczyny ukazały się łzy, ku tym większemu strapieniu młodego rycerza, że dodały im blasku. - Może kiedyś uznasz, że nie była to taka sroga kara? - powiedział z westchnieniem. Tania ukryła twarz w dłonie. - Nigdy do tego nie przyjdzie... - szepnęła przez palce. Umilkła na chwilę, a potem dorzuciła już zupełnie cicho: - Wężowe to kuszenie... Nie chcę go słuchać... - Nie chcesz słuchać... - powtórzył jej słowa. - A mnie tkliwość ku tobie ogarnia, kiedy wspomnę tamtą chwilę, że na kolana bym przed tobą padł i stopki całował, bo... bo właśnie wtedy rozgorzało we mnie to miłowanie! Odwróciła się gwałtownie i odjąwszy ręce od twarzy ukazała gorejące gniewem oczy. - Zamilcz! Zabraniam ci tamto wspominać! Jeszcze jedno słowo i więcej mnie nie obaczysz! Teraz i jego ogarnął gniew, zawołał więc, nie usiłując go opanować: - Nie czujesz, żeśmy ze sobą związani?! Za nic masz owe chwile, kiedy trzymałem cię w ramionach!? Słuchała go z pobladłą twarzą, ale nie zdołała już nic odpowiedzieć, gdyż do komnaty weszła Natalia Pawłowna. Obrzuciła ich krótkim spojrzeniem i zauważyła: - Widzę, że tracie czas na spory. Czy godzi się, Taniu, tak goście przyjmować? - Przyjmuję go tak, jak na to zasługuje. - Czyżby? Coście takiego jej powiedzieli, Nikodemie Pietrowiczu, że taka gniewna? - Zbyt niom skory



do zwierzeń, które nie po my×li Tatianie Wasiljewnie. Toteż karci mnie ponad miarę. - Mocny Boże! - zawołała Natalia Pawłowna. Na jej twarzy nie było jednak widać nadmiaru oburzenia, mimo to zwróciła się surowo do córki: - Nie pleć byle czego i przyjmuj go×cia z należną stateczno×cią! - Nie mój to go×ć, ale twój, bo ty go rada widzisz! - fuknęła Tania. I tak w czasie następnych odwiedzin, których Nikodem nie zaniechał, Tania nie zmieniła swego stosunku do wszelkich jego wynurzeń. Nadal nie szczędziła mu kpiących, wręcz zło×liwych uwag. Znosił je wszakże cierpliwie, podejrzewając po trosze, że przyczyną tych kaprysów było - może nawet mimowolne - poszukiwanie dziewczęcego odwetu na przeciwniku. Pobyt w Moskwie przedłużał się ponad zamierzony termin i pora była my×leć o powrocie, choć niełatwo było Jedlinie podjąć taką decyzję, gdyż wiedział, że teraz będzie jeszcze bardziej tęsknił za dziewczyną. Z ciężkim więc sercem szedł w pożegnalne już odwiedziny, wiedząc z do×wiadczenia, że nie wypadną one tak, jakby tego pragnął. Jedynym pocieszeniem był spostrzeżony przezeń fakt, że mimo wszystkich grymasów Tania nie uchylała się od dotrzymywania mu towarzystwa i dostosowała się do niego, mówiąc mu po imieniu. Po zwykłym ze strony Natalii Pawłowny życzliwym, a Tani pow×ciągłym powitaniu od razu o×wiadczył: - Ostatnie to moje przed wyjazdem odwiedziny, bo pora mi Moskwę opuszczać. Przybyłem żegnać was, Natalio Pawłowna, i ciebie, Taniu, i o pamięć prosić. - Cóż tak nagle? - zdziwiła się starsza pani. - Nic że×nam o tym nie mówił. - Wolałem zawczasu nie cieszyć Tatiany Wasiljewny - rzucił z przekorą młody rycerz. - Tym bardziej rada słyszę to teraz - ze zwykłą czupurno×cią odparła bez zwłoki dziewczyna. - Kłóćcie się lepiej sami, tym bardziej, że mam sporo roboty... - Natalia Pawłowna obróciła się do wyj×cia, rzucając na odchodnym: - Słońce pięknie

dogrzewa, toteż ×wiadczyc sobie afekta idźcie lepiej do sadu. Istotnie dzień był nieomal upalny, pełen słońca i wróblego ćwierkania w×ród owocowych drzew ciągnących się za domem. Szli obok siebie w pozornej zgodzie. Jednak już wkrótce pierwsza odpowiedź dziewczyny na odezwanie się młodego rycerza dowiodła, jak owa harmonia była zwodna. - Obym mógł jechać z nadzieją, że choć trochę będziesz za mną tęskniła! Lżej by mi było znosić udrękę rozstania - rzekł z westchnieniem Nikodem. - Tęskniła? - Obróciła ku niemu twarz unosząc brwi ze zdziwieniem. - A to z jakiego powodu? - Chociażby z przyjaźni, je×li już twej przychylności zdobyć nie umiałem... - Czy nawet o przyjaźni może być między nami mowa? - Wciąż to samo! - Nikodem nie zdołał opanować rozdrażnienia. - Czymże tedy mam cię przebłagać, aby przebaczenie uzyskać? Zatrzymała się i odpowiedziała z powagą: - Je×li tylko to cię uspokoi, to ci przebaczam i Boga będę prosić, aby i on ci wybaczył... - Taniu, a więc jednak! - wykrzyknął uradowany. - Wielki ciężar zrzuciła× mi z duszy! Poczytuję to za dobry początek, teraz mam znów nieco nadziei, że i two serce dojdzie do głosu. - Może i dojdzie... - u×miechnęła się przekornie. - Dajesz mi więc tę nadzieję? - Tobie? - prychnęła lekceważąco. - Czy× ty jeden na ×wiecie? - A więc to tak?! Postanowiła× mnie dręczyć i wciąż zabawiać się niby kot z pojmaną myszą? Wszakże do takowych igraszek poszukaj sobie innego, mnie za× nie pozostaje nic więcej, jeno cię pożegnać! Przystanął i skłoniwszy się przesadnie, zamiótł kołpakiem ziemię. Obrócił się, ale powstrzymał go jej okrzyk: - Poczekaj! Zatrzymał się zdziwiony gwałtowno×cią, z jaką rzuciła to jedno słowo. - Służę waćpannie - odezwał się już opanowany. - Czymże chcesz mnie jeszcze na pożegnanie uraczyć? Milczała stojąc z pochyloną głową. Wreszcie usłyszał jej ciche słowa, ze zdumieniem dostrzegając jednocze×nie łzy zabłyśnię na policzkach: - Ja... ja nie wiem...

- wyjąkała. - Niewiele widać jestem warta, skoro nie mogę powstrzymać się, by cię nie dręczyć... Wyczuł, że jedno nieopatrzne słowo może zerwać tę nikłą nić, jaką zadzierzgnęło między nimi jej nieoczekiwane wyznanie. Uśmiechnął się więc i ujmując dłoń dziewczyny, powiedział beztrusko: - Skoro nie możesz się powstrzymać, to sobie folguj. Zapłata mi będzie, jeżeli sprawi ci to ulgę. - Najgorsze, że ulgi nie czuję... - westchnęła. Przezornie nie podtrzymywał już tego tematu i zawrócili ku domowi. W sam czas, bo właśnie rozległo się stamtąd wołanie Natalii Pawłowny wzywające ich na podwieczorek. Kiedy zażegnał się z Tanią i nachylił nad jej ręką, nie usunęła dłoni przed pocałunkiem, jak i nie umknęła oczami, kiedy zatopił w nich pożegnalne spojrzenie. Tymczasem w moskiewskim państwie zachodziły złowrogie zdarzenia; nad miastami bez przerwy wisiała groźba nagłej napaści, nie ustawał bitewny zgiełk, przeciągały wciąż wojska - to rodzime, moskiewskie, to szwedzkie, to polskie, to wreszcie najbardziej okrutne i chciwe kozackie sotnie. Wszystkie nie oszczędzały ludności, toteż wiele wsi, mniejszych miast i osiedli pustoszało, bo ich mieszkańcy szukali schronienia po większych grodach lub kryli się w lasach. Dzielny wojewoda Skopin\_Szujski, współdziałając ze szwedzkimi wodzami de la Gardie i Hornem, toczył zwycięskie zmagania z oddziałami "tuszyńskiego wora". Gromił nie pokonanych dotąd Polaków, rozbijał zagony kozackie, nie mając nad pojmanymi litości. Wziąwszy w Perejesławiu stu pięćdziesięciu towarzyszy i pocztowych husarskich, wszystkich kazał przypiekać ogniem, a potem ścinać. Jedynie Smoleńsk trwał nadal w okowach oblężenia. Natomiast Sapieha, odstąpiwszy od murów monasteru świętej Trójcy, nadal stał obozem pod Dymitrowem, by stamtąd dawać odpór Skopinowi, którego działania stawały się coraz groźniejsze. Przez cały ten czas samozwaniec i nieugięte

broniąca swojej godności carycy jego małżonka z rosnącym niepokojem obserwowali działania posłów polskiego króla. Ci bowiem nie szczędzili wysiłków, a nawet i własnych funduszków, by kaptować rycerstwo, przekonywać go o rychłym upadku Dymitrowej imprezy i w ten sposób jak najwięcej szabel ciągnąć pod królewskie znaki. O tych usiłowaniach donosili Dymitrowi jego zaufani ludzie. mimo namów Maryny bał się jednak nastawać na opuszczenie przez posłów obozu, pomny ostrzeżenia, jakie otrzymał od panów senatorów. W tych warunkach otwarte wystąpienie groziło konfliktem, który wobec nastrojów panujących w polskich chorągwiach mógł się skończyć tylko katastrofą. Nie stało rady chytrego Sucheckiego. Iąłował teraz Dymitr, że powodowany chwilą wzmożonej nienawiści wysłał go na tak niebezpieczną wyprawę. Wieści od niego też żadnych nie było, kto wie zatem, czy nie położył już głowy w tym przedsięwzięciu. Należało więc radzić sobie samemu, bo do innych doradców brakło Dymitrowi zaufania, gdyż wraz ze wzrostem niebezpieczeństwa wzrastała też i jego podejrzliwość. Przeważnie kazala zapewnić sobie przede wszystkim jakieś bezpieczne schronienie na wypadek niekorzystnego rozwoju dalszych wydarzeń. Pognali więc tajni gońcy do Kaługi, gdzie dzięki sprzyjającym mu bojarom liczył na przychylność miasta. Po uzyskaniu zapewnienia wierności od tamtejszego wojewody Dymitr wysłał tam najpierw rodziny wiernych sobie bojarów, a potem i ich samych, może nie tyle w trosce o zapewnienie im bezpieczeństwa, co w obawie, że włącznie wśród nich car Wasyl postara się znaleźć tego, który podsunie mu truciznę albo ugodzi zniecka nożem. Pod koniec roku sytuacja w obozie stała się tak zła, że groźba ucieczki zawisa nieomal nad głową. Zanikła wszelka dyscyplina, żołnierz nie słuchał żadnych rozkazów, zresztą nikt ich nie wydawał. Nie

utrzymywano ani straży, ani czat, zapanowała zupełna samowola i rozprzężenie, pito i po nocach, i za dnia, trwały nieustanne spory, kończące się często bójkami. Wybuchwały one pomiędzy zwolennikami powrotu pod królewskie znaki, a obstającymi przy dalszym wspieraniu samozwańca jako jedyne go gwaranta przyszłych korzy×ci. Toteż Dymitr z rosnącym strachem przyglądał się biegowi zdarzeń. Widział upadek swego osobistego autorytetu, topnienie wiernych mu oddziałów. Zarucki i Rożyński, w miarę wzmagającego się w×ród żołnierstwa rozwydrzenia, okazywali mu coraz większe lekceważenie, a czasami wręcz pogardę. Kiedy za× wkrótce potem dowiedział się, że i sam książę Rożyński znosi się z polskim królem, uznał, że dalsza zwłoka grozi mu zgubą. W asy×cie więc małego tylko oddziału pewnej styczniowej nocy 1610 roku uciekł do Kaługi, pozostawiając małżonkę jej własnemu losowi. Ta wobec takiego postępku Dymitra uznała dalszy swój pobyt w obozie za bezcelowy, a nawet niebezpieczny, mimo że rycerstwo respektowało w niej i godno×ć carowej, i rodaczkę pochodzącą z senatorskiego rodu. Jak zawsze odważna, tylko z jedną dwórką, w asy×cie zaledwie kilkunastu zbrojnych opu×ciła Tuszyno, ale nie udała się w ×ład za mężem, lecz do obozu pana Sapiehy pod Dymitrowem, gdzie dotarłszy szczę×liwie, uzyskała opiekę starosty. Szopa była długa i mroczna. Grigorij Suchecki zagłębił się w jej wnętrze, idąc początkowo nieomal po omacku. Potem, kiedy wzrok przywykł mu już do ciemno×ci, zaczął rozróżniać zarysy stojących rzędami beczek, dostrzegł długie drągi z rozwieszonymi na nich skórami, piętrzące się pod ×cianami skrzynie i sterty worków. Wszędzie unosił się zapach dziegciu, juchtu i wiele innych jeszcze woni drażniło nozdrza. W głębi widać było następne, również otwarte wrota, przez które wpadał pas ×wiatła. Ukazała się na jego tle jaka× postać kierująca się ku Sucheckiemu. Był to młody mężczyzna

o ×ciągłej, chudej twarzy, wydatnym, nieco garbatym nosie i gładko wygolonych policzkach. Ostro patrzące oczy jeszcze bardziej podkre×lały drapieżny wyraz jego oblicza. Grigorij Pawłowicz rozróżniał te szczegóły mimo panującego półmroku, widząc jednocze×nie, że i sam jest poddawany bacznej lustracji. Wiedział, kiedy i gdzie spotkał już tego człowieka. Był to ów rzekomy mnich, wła×ciwie wysłannik Aprochowa, który przybył do Putywła, by zawiadomić tamtego, pierwszego Dymitra o ×mierci Godunowa. Suchecki nie dał jednak poznać po sobie, że wie, z kim rozmawia. Pozdrowił go więc tylko zgodnie z obyczajem, a potem spytał: - Chcę mówić ze swym starym druham, Prokopem Prokopowiczem. Zastałem go? Młody mężczyzna wskazał widniejące w głębi schody z drewnianą poręczą. - Jest u siebie w kantorze... Grigorij Pawłowicz ruszył ku schodom. Były strome, toteż piał się po nich z trudno×cią. Pokonawszy wreszcie ostatni stopień znalazł się w izbie o dwóch oknach, z których jedno mimo chłodu jesieni było otwarte, prawdopodobnie, by zapewnić wnętrzu dostatek ×wiatła. Za stojącym przy tym oknie stołem siedział mały człowieczek w futrzanej czapie, odziany w rozpięty na piersi półkożuszek. Nachylony nad rozłożoną księgą wolno wodził po niej gęsim piórem, ale usłyszawszy wchodzącego obrócił ku niemu głowę. Spoglądał chwilę ku balustradzie otaczającej wylot schodów, wreszcie odrzucił pióro i zerwał się na równe nogi. - Kogóż to widzę! - zawołał ruszając ku przybyszowi. - Grigorij Pawłowicz! Wiek, jakże×my się nie widzieli! Był niski i szczupły, a do tego pochylał jeszcze swą nikłą postać. Twarz o zapadłych policzkach, z bruzdami zmarszczek wokół ust okalała rzadka, zmierzwiona bródka, a wąskie usta rozchyłał teraz u×miech, choć małe oczka o przebiegłym spojrzeniu zdradzały raczej podejrzliwo×ć niż rozradowanie. - Wiek nie wiek, ale ze trzy

lata to×my się nie widzieli - odparł jowialnie Suchecki, odwzajemniając u×cisk ramion gospodarza i składając na jego policzkach tradycyjne pocałunki. Kupiec wskazał go×ciowi krzesło po drugiej stronie stołu. - Siadaj, mileńki, siadaj i opowiadaj! Co się z tobą działo, gdzie× przebywał, co× robił przez cały ten czas? - Baczyłem, by wzburzona fala nie zalała mi łodzi... - rzekł z westchnieniem Grigorij Pawłowicz zajmując wskazane miejsce. Aprochow pokiwał głową. - Oj, prawda to, prawda... W istocie burzliwą mamy pogodę! Kiedy przybyłe× do Moskwy? - Parę miesięcy temu. - I teraz dopiero odprawiasz odwiedzin?! - z wyrzutem w głosie zawołał Prokop Prokopowicz. - Ochoty mi nie brakło, ale i trosk także, toteż czasu nie stało... - Czy z tego mogę sądzić, że pozbyłe× się swoich trosk, Grigoriju Pawłowiczu? - Prokop Prokopowicz spojrzał na swego go×cia spod oka. Ten jednak nie był widać zbyt skory do udzielania wyja×nień, bo rzucił wymijająco: - Widziałe×, Prokopie, takiego, co uwolnił się od trosk? Zawsze jakie× gnębią duszę... Ale nie mówmy o mnie. - Suchecki machnął dłonią. - Powiedz raczej, jak tobie idą sprawy. Cieszyłe× się łaskami batuszki Dymitra, Panie ×wieć nad jego duszą, czy potrafiłe× również pozyskać względy Wasyla? Prokop Prokopowicz widocznie również nie był skory do zbyt daleko idących zwierzeń, bo u×miechnął się tylko i nie patrząc na swego go×cia, odparł zdawkowo: - Staram się, bracie, staram, choć my, kupcy, polityką nie powinni×my się zabawiać. - Bywało jednak inaczej... - mruknął Grigorij. Aprochow mimo woli zerknął przez ramię. - Ciszej, bracie... Nie warto o tym gadać. Dzi× trzeba służyć batuszce Wasylowi i jeno baczyć, by nie mieć pustego talerza. Inaczej łatwo stracić głowę. - Nie zawsze byłe× taki lękliwy. - Cóż, człowiek się starzeje, a wiek odwagi nie przysparza... - Ale za to umie lepiej ocenić warto×ć złota... - rzucił od niechcienia Suchecki nie patrząc na gospodarza,

jakby całą jego uwagę pochłonięła wielka, czarna mucha, która wleciała wła×nie przez otwarte okno i leniwie spacerowała po stole. Zapadło chwilowe milczenie, które przerwał Aprochow: - Czyżby× jednak czego× ode mnie potrzebował, Grigoriju Pawłowiczu? - Może, lecz je×li stronisz od życia... - Hm... Istotnie tak jest, skoro jednak przyjaciel w potrzebie, pomocy nie wolno odmówić. - Słuszne to słowa - zgodził się Suchecki - i to nawet wtedy, gdy nie o kupiecką chodzi sprawę... - Nie kupiecką mówisz? Zatem o jaką? - już rzeczowym tonem spytał Aprochow, przyglądając się uważnie go×ciowi. Jego małe, chytne oczka połyskiwały w ×wietle padającym przez okno. Jednak Suchecki nadal zdawał się nie być skłonny do zbyt otwartych zwierzeń, bo odpowiedział z westchnieniem: - Każdy ma wrogów, Prokopie Prokopowiczu. I ja ich mam, i ty, a już nasz ojczulek Wasyl ma ich najwięcej... - Oj, prawda to, prawda... - tym razem Aprochow zgodził się ze swoim rozmówcą. - Czyżby×, Grigoriju Pawłowiczu, miał wspólnych wrogów z samym naszym batuszką? - Dziwno ci, Prokopie? W życiu różnie przecież bywa. - Pewnie, że różnie. Toteż z tym większym zrozumieniem i ochotą rad jestem słuchać cię dalej. - Jak widzę, sprzyjasz po kolei każdemu z kremlofskich panów? - Może sprzyjam, może nie... Jużem ci rzekł, że polityką kupca winno być unikanie polityki. Niech dba o kiesę, troskę o władzę pozostawiając innym. - Ale je×li sprawa polityczna daje korzy×ci, i to znaczne, takó× ma być wierny tej zasadzie? - Słusznie, Grigoriju Pawłowiczu, to wywiodłē×! W czymże więc ja, twój sługa, mogę ci być pomocny? Suchecki przeniósł spojrzenie na towarzysza i patrząc mu w oczy powiedział wolno: - Potrzebuję dziewczyny. Pięknej dziewczyny i nie ×więtej... I odważnego chłopca. Taka para byłaby mi potrzebna. Przysługa zostanie sownie wynagrodzona, bo za pomoc sto rubli złotem wyłożę. Lekki u×miech przewinał się w×ród wystrzępionej bródki



kupca. - Dobrze płacisz, a więc i służba będzie. Chcesz mieć do wyboru nóż lub truciznę? Suchecki zmrużył powieki. - Jasno stawiasz sprawę, Prokopie Prokopowiczu, ale może to i dobrze. Tak, chcę mieć taki wybór. Aprochow podrapał się końcem palca po nosie. - Siergiej, znasz go już, ten byłby dobry... - mruknął na pół do siebie. - Ale dziewczyny tak od razu nie da się znaleźć... - Nie szkodzi, jestem gotów poczekać. - Masz schronienie? Je×li nie, możesz znaleźć je u mnie. - Dzięki za dobre słowo, lecz kwatery wolę nie zmieniać. Dać ci co× na koszt? - Nie, zapłacisz, jak otrzymasz, co ci konieczne. Gdzie cię w potrzebie szukać? - Je×li będziesz gotów, narzuć na wrota kawał starego worka. Przyjdę sam. - Jeszcze jedno. Wolałbym wiedzieć, kto stanął ci na drodze? Bojar jaki× czy zgoła chudopacholek? - Czy nie zbytek ciekawo×ci, Prokopie Prokopowiczu? - Suchecki u×miechnął się z lekka. - Ani bojar, ani żaden z naszych. Polski wielmoża. Aprochow pokiwał głową ze zrozumieniem. - Panoszą się u nas niczym indory... Toteż tym chętniej ci pomogę. - Tak sądziłem, Prokopie, więc nie zataiłem tego przed tobą. - Dobrze zrobił×. Przeto i ja wyznam, że istnieje ważniejsza przyczyna niż twoje złoto czy stara znajomo×ć, dla której jestem gotów cię wspomóc. Wiem, że wspierasz owego drugiego Dymitra, bo słuchy o tym doszły mnie już wcze×niej, mimo że to oczywisty szalbierz. Mniemam jednak, że wiem, dlaczego to czynisz. Zatem i tym razem jednakie mamy cele, bo każdy inny lepszy będzie od tego, który teraz jest... Więc wypatruj mego znaku, Grigoriju Pawłowiczu, ale nie trać nadziei, je×li rychło go nie ujrzysz, bo niełatwe dał× mi zadanie. Wkrótce po rozmowie ze swoim starym znajomym Sucheckim Prokop Prokopowicz został wezwany do ziemskiego urzędu wojewódzkiego. Nie zdziwił się temu wezwaniu ani nim przestraszył, bo wypełniając swe zadanie doniósł, komu trzeba, o owym spotkaniu. Obleciał go strach

dopiero w chwili, kiedy polecono mu w urzędzie czekać cierpliwie, gdyż ma stanąć przed obliczem samego cara. Nie wróżyło to niczego dobrego, toteż Prokop Prokopowicz wystraszył się mocno, potem za×, kiedy wiedziony przez dworzanina mijął w carskim pałacu komnatę za komnatą, czuł miękko×ć w nogach i pocił się w swej szubie, jakby siedział w łaźni, i to na najwyższej ławie. Wreszcie znalazł się w obszernej, bogato malowanej komnacie. Przy oknie, odwrócony tyłem, stał mężczyzna odziany w długą, sięgającą nieomal ziemi szubę, z posochem w ręku. Kiedy dworzanin, zgłosiwszy kupca Aprochowa, wycofał się z komnaty, mężczyzna z wolna odwrócił się od okna, a Prokop Prokopowicz w najwyższym strachu padł na kolana, bijąc czołem o posadzkę. Po chwili ujrzał przed oczami długie noski safianowego obuwia, a z góry doszedł go skrzekliwy, gniewny głos: - Przestań, durniu, miotać się po ziemi i stawaj na nogi! Chcę z tobą gadać! Do cna przerażony Aprochow z trudem wykonał polecenie, a kiedy wreszcie wyprostował się, ujrzał stojącego przed nim cara. Był mało co wyższy od niego, ale zażywnej postaci, o pełnej twarzy z wydatnym nosem i okolonej rudą, przyciętą w klin, siwiejącą brodą. Spomiędzy wąskich szpar połyskiwały oczy niby para czarnych szkiełek. Rozchyłona na piersi szuba ukazywała szmaragdowy kaftan z atłasu, suto wyszywany srebrem, a dzierzony w ręku posoch l×nił czernią polerowanego hebanu. - Słucham cię najpokorniej, carze ojczulku nasz i opiekunie, gotowym do najwierniejszej służby... - zdołał wyjąkać Aprochow. - Kto zacz jest ten Suchecki, z którym gadałe×? - Mój dawny znajomy, szlacheckiego rodu... - Nie tegom ciekaw! - Służy temu oszustowi samozwańcowi... - To wiem i bez ciebie, bo mi moi bojarzy o tym donoszą. Ponoć ostatnio książ Rożyński mocno dał się temu "tuszyńskiemu worowi" we znaki. Czy nie jego ów Suchecki chce się pozbyć? - Nie zdradził mi tego,

chociażem próbował pociągnąć go za język, najja×niejszy carze, gospodarze... - A może zgoła o kogo innego mu chodzi? - zastanowił się Szujski. - Może ma na oku kogo× tu, w MOskwie? Może nawet upatrzył sobie moją osobę? Jak sądzisz? - Rozwazałem to, miło×ciwy panie, ale uznałem za wręcz nieprawdopodobne. Nie szukałby wówczas pomocy w Moskwie. Byłby szalony chcąc przygotowania czynić na miejscu... Toteż wątpię, by ×miał my×leć o tobie, ojczulku. - Hm... Może masz istotnie słuszno×ć. Tym bardziej że i wie×ci z Tuszyna na to wskazują. A wówczas rzecz by tyczyła chyba tylko Rożyńskiego, bo nikt inny nie wart byłby takiego zachodu... Aprochow milczał nie ×miąc mówić nie pytany. - No cóż... Wobec tego wolą moją jest, aby× mu pomógł... Prokop Prokopowicz ze zdumienia na chwilę zaniemówił, a potem wykrzyknął: - Jakże to, gospodarze ojczulku?! Swemu wrogowi chcesz pomagać? Trosk mu ujmować? Szujski u×miechnął się jedną połową ust. - Nie on teraz najgroźniejszy, ale czasem bywa i tak... Udzielając mu wszakże pomocy, masz upewnić go, że nie dla obiecanego zarobku to czynisz, lecz z nienawi×ci ku mojej osobie... - Ja...? Z nienawi×ci...? - wyjąkał nieszczęsny Aprochow, bo sama my×l o tym, że o×mieli się mówić tak niebezpieczne słowa, napełniła go przerażeniem. - Ty, durniu! - warknął rozgniewany Szujski. - Cóż to, tak mnie miłujesz, że nie stać cię na owo zapewnienie? - dorzucił ironicznym tonem. - A może łąć nie potrafisz? - Stumaniałem, najja×niejszy gospodarze, bo dziwne mi twoje rozkazy... - próbował usprawiedliwiać się Prokop Prokopowicz. - On musi uwierzyć, że× równie mi wrogi, jak i on sam. Inaczej wyda mu się podejrzany warunek, jaki mu postawisz przed dostarczeniem pomocników. - Warunek, wasza jasno×ć? - Ten mianowicie, że najpierw będzie musiał usunąć człowieka, którego ty mu wskażesz, a dopiero potem rozprawić się ze

swoim. - A je×li przyobieca i nie wykona? - Odpowiednią dziewczynę przykażę dla ciebie wyszukać, pomocnik także się znajdzie. Będą oni wiedzieć o moim życzeniu. Je×li ów szlachcic okaże się nieposłuszny, wówczas go dosięgnę. - Jako pomocnika chciałem mu dać swego zaufanego sługę. Chytry to i sprawny młodzieniec... - Aprochow uznał za wskazane nie nawiązywać do ostatniej uwagi cara. - Pewny× go? - Od małego przy mnie się chowa, za syna się uważa... - Tedy uprzedź i jego. - Zezwólcie zatem spytać, najja×niejszy gospodarze... - No?... - Kim jest ten człowiek, który naraził się na twój gniew? Przecież będę musiał go Sucheckiemu wskazać. Car Wasyl u×miechnął się z lekka. - Jego imię powie ci niewiasta, którą ci przy×lę. Lepiej, je×li zawczasu nie będziesz go znał, gdyż słaba jest natura człowieka i kto wie, czy jakowa× pokusa by cię nie naszła, jako że wierno×ć sługi tak samo krucha jak miło×ć kobiety. Aprochow złożył kolejny pokłon, po czym rzekł z przejęciem, bijąc się w piersi: - Pytałem o imię w obawie, czy nie jest to kto×, kto popiera samozwańca. Wówczas mógłbym spotkać się z oporem tego Sucheckiego. - Nie, przeciwnie... - Szujski znów u×miechnął się krótkim, zło×liwym u×mieszkiem. - To człowiek, na którym nie samozwańcowi, lecz mnie powinno zależeć, bo za mego sprzymierzeńca uchodzi. Toteż dlatego powinieni× upewniać Sucheckiego w swojej nienawi×ci do mnie, bo inaczej podejrzone będzie, je×li wła×nie jego mu wskażesz. Aprochow zastanawiał się chwilę, zanim odezwał się: - Trapi mnie jeszcze jedno, carze ojczulku... - Cóż takiego? - Swego człowieka jestem pewny, owa dziewczka też tajemnicy dochowa, bo pierwsza by głowę pod topór dała, ale Suchecki to nasz wróg, a będzie znał sprawę i mój w niej udział. Szujski prychnął pogardliwie. - O to najmniej się obawiaj! Na zachowaniu tajemnicy mnie bardziej zależy niż tobie. Upewnisz się w tym, jak będziesz już wiedział, kogo ci

wskażę. Natomiast o tym szlachetce nie zapomnę! Prokop Prokopowicz wrócił więc do siebie raczej zadowolony z pobytu na Kremlu. Miał zaszczyt osobistej rozmowy z samym carem, a przy tym pozbył się wszelkich kłopotów związanych z wykonaniem przyjętego na siebie zobowiązania. Dopiero na początku stycznia Grigorij Pawłowicz ujrzał na bramie, wiodącej w obejście kupca Aprochowa, stary worek, poruszany z wolna podmuchami wiatru. Aczkolwiek Prokop Prokopowicz nie był już w latach, które pozwalały na interesowanie się kobiecymi wdziękami, to jednak musiał przyznać, że piękność owej wybranej dziewczyny była zgoła niezwykła. Zdumiał się też wielce, kiedy się dowiedział, kogo na życzenie cara ma zgładzić Suchecki. Dopiero wówczas w pełni zrozumiał, dlaczego otrzymał rozkaz występowania jako zażarty carski wróg. Bez tego bowiem przebiegłemu szlachetce mogło się to żądanie istotnie wydać mocno podejrzane. Dziewczyna miała na imię Sonia. Kruczoczarne włosy, wielkie, ciemne oczy, zgrabna sylwetka i śniada cera wskazywały na jej cygańskie pochodzenie. Pełna zmysłowego uroku zrobiła też wrażenie i na starym szlachcicu, który nie miał zadowolenia z wyboru, jakiego udało się dokonać jego druhowi, Prokopowi Prokopowiczowi. Nie okazał, wbrew przewidywaniom, zdziwienia postawionym mu warunkiem, uśmiechnął się tylko z lekka, jakby go dobrze rozumiał, i zaakceptował bez sprzeciwu, obiecując zadanie potraktować jako pilne. Natomiast już następnego dnia po przekazaniu Sucheckiemu dziewczyny i Siergieja, z którymi ten miał zamiar wyruszyć zaraz w drogę, odwiedził Aprochowa w kantorze barczysty mężczyzna. Kiedy, nie nagabywany przez nikogo, wychodził już z magazynu, ciało Prokopa Prokopowicza leżało przerzucone przez stół, z zacięniętym na szyi powrozem. Rozpoczął się rok 1610. Książę Rożyński po opanowaniu kozackiego buntu zwołał w marcu żołnierskie

koło, na którym doszło jednak do tak ząartych sporów, czy ić do Dymitra, czy na słuźbę królewską - za czym obecnie przemawiał i sam Roźyński - że przeobraziły się one nieomal w bitwę, która osobę samego kniazia naraziła na niebezpieczeństwo. Nie mogąc więc uzyskać zgody co do dalszych poczynań, wezwał kniaz wierce sobie chorągwie do wymarszu i wyruszył w pole, pozostawiając oponentów w obozie. Pociągnął na północny zachód, by przysłużyć się królowi i od tej strony chronić stojące pod Smoleńskiem wojska przed coraz niebezpieczniejszymi działaniami Skopina. Zdobył Wołokę, Osipow, Moźajsk, Rzew, ale po owej ranie od strzały, która go dosięgła na moskiewskim goćcińcu, zaczął podupadać na zdrowiu, tak że nawet dosiadanie konia sprawiało mu trudnoć. Po tych działaniach Zborowski, Wilamowski i Szczucki wyjechali pod Smoleńsk, by uzgodnić warunki przejcia na królewską słuźbę. Wrócili jednak z niczym, król bowiem odmówił zgody na jakiegokolwiek "warunki", a głównie zapłaty za Dymitra zaległego żołdu. Na domiar złego po powrocie do Wołoki, gdzie kniaz założył swą kwaterę, dowiedzieli się o jego zgonie. Nastąpił ósmego kwietnia, podobno skutkiem poniesionych uprzednio ran, czemu wszakże dziwili się medycy, bo rany, już nieomal zabliznione, otwarły się na nowo. Po zgonie kniazia w oddziałach znowu zaszumiało, doszło do nowych wańni. W rezultacie częć chorągwi pociągnęła do Kaługi, częć za pod Smoleńsk. Na wieć o śmierci Roźyńskiego Sapieha udał się do tuszyńskiego obozu, by ciągnąć do siebie pozostałe tam rycerstwo. Obrany na żołnierskim kole hetmanem rozkazał przede wszystkim zrównać z ziemią zabudowania obozowe. Potem zebrał resztki oddziałów i ruszył z nimi do swego obozu pod Dymitrowem. Wkrótce nadeszły tam wieci o zbliżaniu się armii Skopina, który nie znalazłszy pod Trójcą świętą Sapiehy ani pod

Tuszynem Rożyńskiego, ruszył w  $\times$ ład za nimi. Doszło do zażartej bitwy, w której Skopin wziął górę i byłby rozbił doszczętnie pana Sapiehę, gdyby tego ostatniego nie wsparł w porę ataman Zarucki ze swymi dońcami. Udało się staro $\times$ cie schronić w dymitrowskim zamku, gdzie skutecznie odpierał szturmy. Wielką przy tym odwagą odznaczyła się Maryna, osobi $\times$ cie na murach zagrzewając rycerstwo do walki. Ponieważ ostatecznie nie udało się Skopinowi rozbić zgrupowania Sapiehy, poniechał daremnego oblężenia i cofnął pod Trójcę świętą, pozostawiając wszakże pod Dymitrowem czę $\times$ ć swoich sił. Potem zaszły trudne do przewidzenia wypadki, które uwolniły pana Sapiehę od niebezpiecznego przeciwnika. Maryna za $\times$  udała się do Kaługi, by nadal u boku męża walczyć o moskiewski tron. W Moskwie wzmagало się wzburzenie ludno $\times$ ci. Car Wasyl natomiast, zamiast cieszyć się sukcesami swego wojewody Skopina, wspierać go i wykorzystywać dla u $\times$ mierzenia buntów, z coraz większą niecierpliwo $\times$ cią czekał na wie $\times$ ć o jego  $\times$ mierci. Widział bowiem, jak potwierdzają się jego obawy, jak ro $\times$ nie w $\times$ ród ludu popularno $\times$ ć młodego wodza, w którym zaczęto upatrywać jedyne go wyzwoliciela umęczonego kraju. I wła $\times$ nie tego zbawcę wskazał owemu kupcowi, który musiał życiem zapłacić za powierzoną mu tajemnicę. Grigorij Pawłowicz nie zdziwił się, a już na pewno nie zgorszył, kiedy Aprochow postawił mu warunek zgładzenia Michała Skopina, i to możliwie szybko. Jego własna nienawi $\times$ ć do Wasyla skłaniała go do dania wiary w podobną nienawi $\times$ ć współnika, tym bardziej, że wyczuwał szcero $\times$ ć tej nienawi $\times$ ci. Aprochow służył bowiem Szujskiemu tylko dla ochrony własnych interesów, w głębi za $\times$  serca pragnął jego zguby. Toteż nietrudno mu przyszło przekonać Sucheckiego o szcero $\times$ ci swojej intencji. Zbyt dzielnym obrońcą carskiego tronu był nowogrodzki wojewoda, by Sucheckiemu nie

przypadła do gustu okazja podcięcia tej podpory. Toteż postawiony sobie warunek przyjął nie tylko bez sprzeciwu, ale chętnie, widząc można×ć wytrącenia z carskiej ręki tak skutecznego oręża, jakim był jego młody bratanek. Sytuacja, jaką Suhecki zastał w Tuszynie, nie pozwalała na natychmiastowe działanie. Obóz przestał istnieć, nie było w nim ani Dymitra, ani Rożyńskiego, więc zmienił kolejno×ć zamierzeń i ruszył za kniazem do Wołoki. W połowie kwietnia przybył jednak pod świętą Trójcę. Tu dowiedział się, że wła×nie zjechał ochmistrz wojewody i zaczął przygotowywać dla niego kwaterę w ímijówce, wsi położonej w okolicy monasteru. Suhecki poszukał więc tam pomieszczenia i dla siebie. Już zawczasu ×ciągnął z Moskwy dwa wozy towarów, by uchodzić za kupca. Woźnice przywieźli mu wiadomo×ć o ×mierci kupca Aprochowa, co starym szlachcicem mocno wstrząsnęło, dając jednocze×nie dużo do my×lenia. Postanowił jednak nie zmieniać planów, bo choć wszystko wskazywało na to, że car istotnie rozkazał zgładzić Skopina, wszakże owa decyzja była tak oczywistym błędem, że warto było spełnić ten rozkaz. Kiedy więc zjawili się w ímijówce i inni kupcy, towarzyszący zwykle armiom, a wkrótce potem nadciągnęły pierwsze oddziały straży przedniej wojsk Skopina, gotów był do działania. Wynaleźć odpowiedniego wojskowego starszyne, który by przyjął dobrze płatną propozycję, nie było trudno. Wystarczyła jedna rozmowa odbyta w skryto×ci, by rzecz całą omówić i uzgodnić. Wreszcie przybył i dwór księcia. Nadjechały wozy otoczone zbrojnymi, kwaterę wodza napełnił gwar licznej czeladzi i osobistej służby kniazia, jego za× samego tylko było patrzeć. Wtedy to na obej×cie kupca Suheckiego dokonano nocą napa×ci. Poturbowano jego samego, rozgrabiono towary, zarżnięto obie jego krowy, a nawet próbowano zamachu na cnotę siostrzenicy. Na szczę×cie udało się jej w porę skryć.



Głośno było w wiosce o tym napadzie, toteż nikomu nie było dziwne, że już nazajutrz po przybyciu kniazia Michała piękna siostrzenica kupca pobięła ze skargą. Po gwałtownym sporze w izbie straży zdołała skłonić żołnierzy do przywołania setnika. Ten ujrawszy dziewczynę rozchmurzył gniewną twarz, z jaką zjawił się w wartowni. Bo też istotnie było czemu się przyjrzeć. Lica o nieskazitelnym owalu otaczały czarne włosy, ciemne, wielkie oczy pełne były zalotnych błysków, równy rząd zębów na tle czerwieni zmysłowych warg połyskiwał nieskazitelną bielą, a smukłą kibić opinał stanik, podkreślając krągłość stromych piersi. - Chcę mówić z samym kniazem, wasza wielmożność! - rzuciła na widok setnika. - I to zaraz, jeżeli wasza łaska! A to dla waszej wielmożności, że omielila się go trudzić. Szybko rozpięła górny guzik stanika i ukazując ponętny cień między piersiami, wyciągnęła srebrnego półrubla i podała go setnikowi. Zaraz sięgnęła po raz drugi i wręczając kolejną monetę dorzuciła: - Niech będzie cały rubel, ale nie odprawcie mnie z kwitkiem! Starszyna rozemiał się biorąc pieniądze. - Widzę, że nielekliwa, sikorko. - Przytrzymał rękę dziewczyny. - Ale najpierw powiedz, co za jedna i czego od kniazia chcesz? - Zwę się Sofia Muchina, jestem siostrzenicą kupca, którego wczorajszej nocy obrabowali wasi żołnierze. Przybywam więc ze skargą i żądaniem odszkodowania! Setnik, nie zwalniając chwytu, rzekł z żartobliwą kpina: - Napadli, powiadasz? I obrabowali? A tobie także odebrali to i owo? - Próbowali, ale zdołałam uciec! - Sonia wyrwała rękę z przytrzymującej ją dłoni żołnierza. - To ciesz się choć z tego, bo nie myślę, aby zyskała coś więcej. Gdyby książ chciał o byle czym gadać, a jeszcze i płacić za swoich wojaków, nie starczyłoby mu ani majątku, ani czasu. - Może tak być, ale chcę, aby sam mi to powiedział! - Tym razem towarzyszył słowom zalotny uśmiech. Co widząc setnik podsunął się bliżej i

bezceremonialnie sięgnął do jej piersi: - A jeżeli pójdę do kniazia, co mi dasz jeszcze prócz rubelków? Sonia, nie odtrącając jego dłoni, spojrzała mu w oczy. - Najpierw pójdź, a potem pytaj... - Co z ciebie za dziewczucha! - rzucił z nie skrywanym uznaniem. - No, niech będzie, spróbuję... - Obrócił się do strażnika, który w milczeniu obserwował tę scenę: - Pilnuj jej, dopóki nie wrócę! Długo nie trwało, kiedy znów ukazał się w drzwiach wartowni. Skinął na Sonię mówiąc z dwuznacznym uśmiechem: - Chodź, panienko! Powiedziałem jego wielmożności, co z ciebie za laleczka, i chce cię obejrzeć. Może i uzyskasz coś od niego, jeżeli nie będziesz za harda, bo on lubi takie sikorki jak ty... Komnata, do której Sonia została wprowadzona, wyłożona była kobiercami. Znajdowało się w niej kilku mężczyzn, ale tylko jeden z nich, właśnie ten najmłodszy, siedział w krześle z poręczami i wysokim oparciem. Otaczali go barczyści dworacy o brodatych obliczach, okryci bogatymi szubami. Dziewczyna bez trudu domyśliła się, do kogo ma mówić. Upadła na kolana i unosząc twarz zawołała przez łzy, które pojawiły się w jej oczach: - Po sprawiedliwości do ciebie, wasza wielmożność, przychodzę! Twój żołnierz żebraków ze mnie i z opiekuna mego zrobili, cały towar nam rozgrabili, nawet dwie krowy, cośmy je uratowali i ze sobą wiedli, także porznęli! Ukarz, panie, winnych, a nam przykaż dać nawiązkę! Głos jej drżał z żałości, a szeroko rozwarte oczy wyrażały błaganie, bacznie jednak obserwowały książęcą twarz. Toteż dostrzegła, jak jego spojrzenie, najpierw surowe i przenikliwe, z wolna łagodniało, aż wreszcie pod płowym wąsem pojawił się uśmiech. - Wstań i opowiedz spokojnie, jak rzecz się miała - odezwał się łaskawie. Kiedy zaś uniosła się z klęczek, jego wzrok przesunął się po jej postaci, a potem znów powrócił ku zarumienionym licom. Wysłuchał wygłoszonej z przejęciem relacji, wypytywał o szczegóły,

zwłaszcza o dowódcę owych żołnierzy. Wreszcie rzekł, patrząc w oczy dziewczyny: - No cóż, przykażę odszukać owego setnika. Posłuchamy, jak będzie się bronił przed twoim oskarżeniem. Przyjdź jutro wieczór, polecę strażom, by cię nie zatrzymywano, a usłyszysz moje postanowienie. Być może okażę ci swą łaskawość... Sonia chciała przypaść do książęcej ręki, ale powstrzymał ją mówiąc: - Na podziękowanie jeszcze nie pora. Przyjdź, jak mówiłem, podziękę może wówczas przyjmę, jeżeli będzie po mojej myśli. Następnego dnia z rozkazu kniazia szybko ustalono, kim był przywódca rabusiów, ale mimo usilnych poszukiwań nie udało się go znaleźć. Stwierdzono tylko, że poprzedniego wieczoru mocno popijał - widać za zrabowane pieniądze - w miejscowej karczmie, lecz co robił potem, nie wiadomo. Na kwaterę nie wrócił, nikt go nie widział. Podejrzani o współudział jego podwładni wypierali się, przysięgając na wszystko, że o niczym nie wiedzą. Poniechano więc dalszych dochodzeń, a tym bardziej przeszukania dna pobliskiej rzeczki. Znaleziono by wówczas owego setnika z uwiązaniem do pasa kamieniem i raną od noża w piersi. Natomiast Sonia zgodnie z otrzymanym poleceniem, tym razem starannie odziana i z włosami upiętymi wokół kształtnej główki, stawiała się w książęcej kwaterze o późnym zmierzchu. Straż istotnie musiała być uprzedzona, gdyż bez zwłoki poprowadzono ją przed oblicze wodza. Obecnie książę Michał był sam. Niezbyt wysoki, ale zgrabnej postaci, na widok dziewczyny wchodzącej do izby nie czekał, aż złoży mu należny pokłon, lecz krótkim ruchem dłoni odprawiwszy pokojowca, sam raczył zbliżyć się do niej. - Prawdę mówiąc - odezwał się z uśmiechem - niewiele z tego, co mówiła, udało się sprawdzić. Mimo to postanowiłem dać wiarę twoim słowom i odszkodowanie otrzymasz. - Dzięki, dzięki waszej wielmożności!... - Sonia chciała przypaść do książęcych nóg,

lecz on wstrzymał ją, ujmując za ramiona. - Nie przeciwnym twoim podziękowaniom - powiedział patrząc jej w oczy - ale nieco innym... Przyciągnął ją ku sobie i nachylił się nad nią, szukając ust, których mu nie broniła. Była już późna noc, kiedy dziewczyna uniosła się w po×cieli i spojrzała na ×piącego obok mężczyznę. Potem lekko trąciła go w ramię. Mruknął co× przez sen, ale dopiero kiedy powtórzyła dotknięcie, spytał przytomniej: - Co ci? Spać nie możesz? - Pić mi się chce... - Wino zostało. Idź i nalej sobie. Zupełnie naga wstała z łoża i skierowała się do przyległej izby, gdzie we dwoje spożywali wieczerzę. Napełniła czarkę i upiwszy trochę spytała przez otwarte drzwi: - Napijesz się także? - Możesz przynie×ć. Napiję się... Dziewczyna nachyliła się nad niedbale porzuconą na krze×le odzieżą. Sięgnęła po stanik i oderwała od niego jeden z licznych, małych guziczków, jakimi był obsyty. Nie przyszło to z trudno×cią, bo przymocowany był byle jak, zaledwie jedną nitką. Po wypiciu trunku odstawił pusty kielich na podłogę, ona za× w×liznęła się pod kołdrę. Obrócił się i objawszy ją wpół, przyciągnął ku sobie. Kiedy o ×wicie wróciła na kwaterę, zastała już starego szlachcica na nogach. Siedział przy kuchennym stole oparty plecami o ×cianę i przyglądał się jej przez chwilę, zanim spytał krótko: - No...? Westchnęła, u×miechając się cynicznie. - Wymęczył mnie, bies przekłety... - Nie to mnie obchodzi - burknął gniewnie Grigorij Pawłowicz. - Gadaj, jak poszło? - Wino mu smakowało, wypił nocą. W południe mam dostać od skarbnika pieniądze. - Nie omieszkaj się zgłosić, aby× nie wpadła w podejrzenie. Kazał przyj×ć znów? - Obiecałam, ale czy... - urwała spoglądając na starego. - Nie bój się, niczego nie poczuje wcze×niej niż za dziesięć dni. Pójdiesz, podziękujesz za ruble, a przy okazji powiesz, że krewniak sierznił się, że× nie wróciła na noc do domu, i zapowiedział rychły wyjazd do Moskwy. Pieniędzmi podziel się z

Siergiejem, bo i on wykonał, co do niego należało. - Idę teraz spocząć - odpowiedziała ziewając. - Ten książęcy kogucik nie dał mi pospać jak należy... Dopiero na dzień przed odjazdem Grigorij Pawłowicz poinformował swoich partnerów o śmierci Aprochowa, nawietlając im jednocześnie skutki, jakie dla nich ta śmierć pociągała. - Ja do Moskwy nie wrócę - oświadczył, kiedy już ochłonęli po wysłuchaniu wieści. - A dlatego nie wrócę, gdyż nie chcę tak jak Prokop Prokopowicz, Panie wiec nad jego duszą, zginąć z powrozem na szyi. - Wy? - zdziwił się Siergiej. - Z jakiego powodu? - Teraz dopiero dostrzegam, jak rzecz się miała. Aprochow wyprowadził mnie w pole, bo nie jego to był interes ta śmierć Skopina, ale życzenie samego cara. - Więc to nie z Prokopa woli? - Oczywiście, że nie! Car, wiedząc o zamachu, ostrzegłby przecież Skopina, a skoro tego nie uczynił... - Mógł nie zdążyć... - przerwał ten wywód Siergiej. - Mało to miał czasu? Ale niechby nawet. Wszakże czy po zgonie kniazia nie wzięłby najpierw Aprochowa na męki, by wydał współników? Skoro jednak biedak zginął od razu, świadczy to, że żadne dodatkowe wiadomości nie były Wasylowi potrzebne. Kazał więc tylko dla zatarcia ładów udusić Prokopa, stąd możemy być pewni, że to samo czeka i nas, kiedy powrócimy do Moskwy. - Co tedy mamy czynić? - z przerażeniem spytała Sonia, spoglądając na Siergieja, który z ponurą twarzą przysłuchiwał się słowom starego szlachcica. - Możecie zostać ze mną - oświadczył im od razu, co dowodziło, że sprawę już przemyślał. - Ale rzecz prosta w służbie prawowitego cara Dymitra. Skąpy on nie jest i za dobrą, wierną służbę płaci suto. Jeśli wola, ruszajcie ze mną, bo w Moskwie nic dobrego was nie czeka. - Dymitr ponoć przebywa w Kałudze? Czy tam bymy jechali? - Tak, do Kaługi. - No jak, Sonia? - Siergiej spojrział pytająco na dziewczynę. - Wygląda na to, że innego wyjścia nie mamy. Dziewczyna wzruszyła ramionami. - Co

mi za różnica! Może być i Kaługa. Bywa tak, że godna pochwały cecha ludzkiego charakteru kieruje przeciw człowieka na ponurą drogę występku. Tak się stało z Grigorijem Sucheckim, któremu głębokie przywiązanie, a nawet nieomal rodzicielska miłość do owego młodzieńca, co carską godność przypłacił życiem, rozpałała w duszy płomień nienawiści, ten zaś pchnął go ku zbrodniom. Dostrzegł głupotę Wasyla i okazję zemsty nad nim, więc zlecenie wykonał w przekonaniu, że ta śmierć przyczyni się do jego zguby, gdyż tylko Skopin był zdeolny uratować dla niego tron. Jednak ogarnięty zawiścią Szujski tego nie widział, posłuszny podszeptom brata, który dla siebie pragnął naczelnego dowództwa. Książ Michał Skopin\_Szujski zmarł po krótkich cierpieniach w drugiej połowie kwietnia. Wszyscy byli przekonani, że zginął od trucizny, różniono się jedynie w typowaniu sprawcy - jedni twierdzili, że był nim Wasyl, inni, że jego bratowa Katarzyna. Teraz głównodowodzącym wszystkimi wojskami został carski brat Dymitr. Na wspierających go dowódców zostali wyznaczeni kniaziowie Andrzej Golicyn, Jakub Boratyński i Wasyl Baturlin. Daleko było jednak Dymitrowi do talentów wojskowych Skopina, brakło mu też jego bystrości umysłu. Zarozumiały, pewny siebie i bez wyobraźni wierzył tylko w moc posiadanej przewagi liczebnej. Stojąc na czele pięćdziesięciotysięcznej armii, ruszył wprost na Smoleńsk z zamiarem wzięcia polskiego króla w kleszcze podwójnego uderzenia - z jednej strony własnych sił, z drugiej mało co mniejszych Szeina, znajdujących się w smoleńskiej twierdzy. Sytuacja Zygmunta stała się poważna. Jeszcze pod uderzeniami Skopina padły zdobyte przez Rożyńskiego grody, które broniły polskiego zaplecza. Wołkow zdobył Wołokę, Piotr de la Ville Osipow, potem Rzew, a wreszcie skutkiem zdrady tamtejszego dowódcy Wilczka został opanowany Możajsk. Jedynie Białą

zdołał jak dotąd utrzymać dzielny Gosiewski, ale i on znajdował się w krytycznym położeniu. Polskie dowództwo orientowało się w sytuacji, jednakże król postanowił pozostać pod Smoleńskiem, a tylko część swego wojska wysłać w pole celem zatrzymania nieprzyjaciela. Mógł bez uszczerbku dla oblężenia przeznaczyć na to dwanaście do piętnastu tysięcy żołnierzy, co mimo znacznej przewagi liczebnej wroga dawało szansę na powstrzymanie ciągnącej nawały. Na wodza wyprawy wyznaczył Zygmunt swego faworyta, wojewodę braclawskiego Jana Potockiego. Ten zdawał sobie sprawę z odpowiedzialności, jaką obarczał go władca, ponadto obawiał się, że nielubiany przezeń hetman íólkiewski, objąwszy dowództwo, gotów w czasie jego nieobecności zdobyć Smoleńsk. Toteż zaczął kluczyć, wykręcać się, targować o przyszłe nagrody, a wreszcie, tłumacząc się słabym zdrowiem, wręcz dowództwa odmówił. Królowi nie pozostało więc nic innego, jak zwrócić się z kolei do íólkiewskiego, którego wszakże nie darzył sympatią. Hetman, człowiek prawy, niepomny uraz, bez żadnych targów podjął się ratować królewską armię. Skutkiem jednak niechęci Zygmunta do jego osoby jak i wrogoci dworaków z Potockim na czele siły, jakie íólkiewski otrzymał, wynosiły nie więcej niż cztery tysiące żołnierzy. W porównaniu z moskiewską armią była to wręcz garstka z góry skazana na zagładę. Wiódł pan íólkiewski, prócz chorągwi własnych i siostrzeńca Aleksandra Bałabana, chorągwie Stanisława Koniecpolskiego, księcia Poryckiego, Mikołaja Strusia, Jana Sapiehy (syna kanclerza, starosty słonimskiego), wreszcie Chwaliboga i Tyszkiewicza. Poza tym obozował w Wiaźmie Marcin Kazanowski z ośmiuset szablami, a w Carewo\_Zajmiszczu Dunikowski z siedmiuset. W pobliżu było jeszcze około trzech tysięcy Kozaków Piaskowskiego i Iwaszyna, wypartych ostatnio z Chlepienik. Niedaleko stał też i Aleksander Zborowski ze

swym pułkiem, ale trudno było na niego liczyć, bo miał pod sobą tuszyńskiego żołnierza, zdemoralizowanego i wyzbytego wszelkiej dyscypliny. Po przyjęciu dowództwa starczyło hetmanowi czterech dni, by zapędziwszy czeladź do roboty podkuć konie, przygotować wozy do drogi, a żołnierza przysposobić do wymarszu. Poszły też rozkazy do Kazanowskiego i Dunikowskiego, a także do atamanów kozackich, by ruszyli do Szujaska na wyznaczoną tam koncentrację oddziałów. Jedlina po powrocie z Moskwy nie zastał już pod Trójcą świętą pana Lisowskiego. Wszakże swój szczupły toboł z osobistymi rzeczami i odzieżą znalazł wraz z pomieszczeniem u krewniaka, Romana Rymszy, towarzysza husarskiej chorągwi pana Zborowskiego. Za jego też namową, do czasu powrotu pułkownika, przystał do nowego znaku. Stali na kwaterze, tak jak i cała chorągiew, we wsi Szuty, dwie mile od Carewo\_Zajmiszcza. Rymsza, dzięki licznym znajomościom, zawsze był dobrze zorientowany, co działo się wśród żołnierskiej braci. Tego wieczoru przyszedł na kwaterę wcześniej, wołając już od progu: - Zadał bobu pan hetman naszemu pułkownikowi! - Mów zatem, o co chodzi! - zawołał zaciekawiony Jedlina. - Pan íólkiewski nadesłał wezwanie, by pan Zborowski przyłączył się do niego i wspomógł w walce z Moskwą. Wszakże ponoć nie korzystał ze swej hetmańskiej władzy, ale jak brata zaklinał, by zachował wierność królowi, gdy ten znalazł się w niebezpieczeństwie i każda szabla warta jest złota... - W niebezpieczeństwie, mówisz? Przecież król jak stał pod Smoleńskiem, tak i stoi? - Carski brat Dymitr po śmierci Skopina chce pokazać, że nie gorszy z niego wódz od nieboszczyka, i zebrawszy wielką armię ciągnie na Zygmunta, by wspólnie z Szeinem wziąć go we dwa ognie. Jest już blisko, bo zatrzymał się w Możajsku, toteż pan hetman rusza, by zastąpić mu drogę. - Co na to nasz pułkownik? - Waha się, co czynić. Już nie wierzy w sukces samozwańca, a że



samowolnie poszedł na obcą służbę, chciałby ułagodzić królewski gniew. Ale niesforny żołnierz ani słyszeć nie chce o poddaniu się hetmańskim rozkazom bez zapłaty zaległego żołdu. - Chyba nie ma na to nadziei? - Myślę, że żadnej, gdyż Zygmunt słusznie odmawia pieniędzy na opłacanie obcych zobowiązań, i to w dodatku tym, co okazali warcholstwo. - Mimo to, jak mi wiadomo, żołnierz zawzięcie się tego domaga, nie wchodząc w żadne racje. Mówi, że bez względu na okoliczności jego szabla i krew warta jest zapłaty. - Toteż nie sądzę, by hetmańskie wezwanie odniosło skutek. - Niedługo obaczym, bo choć żołnierze gęby drą i za szablę chwytają, to przecież w gruncie rzeczy rozsądku wiékszości nie brak... Sejm, za buntowników i rabusiów ich poczytując, łatwo może wyjąć tych ludzi spod prawa. A niejeden ma sąsiada, który tylko na to czeka... Jednak to optymistyczne przypuszczenie Nikodema sprawdziło się tylko częściowo, gdyż mimo perswazji pułkownika oponentów nie brakło i wielu wezwania nie usłuchało. W Wiaźmie stały królewskie oddziały pod Kazanowskim, bardziej ku północy, w Carewo\_Zajmiszczu, obozował Dunikowski, więc pan Zborowski niejako wzmocnił linię zabezpieczającą od wschodu główne siły koronne, choć akcesu do służby królewskiej nie zgłosił. Udowodnił w ten sposób, że gotów jest każdej chwili to uczynić, wszakże w zależności, jak dalece jego królewska moc okaże tolerancję wobec żądań jego żołnierzy. Te ich żądania i zarazem nieustępliwość króla uniemożliwiały jednak pułkownikowi dokonanie jakiegokolwiek wyboru. Będąc w tej sytuacji pan Zborowski zwołał żołnierskie koło, ale i na nim nie uzyskał powszechnej zgody. Jednakże pod wieczór zaczęli zgłaszać się do niego poszczególni dowódcy na rozmowę przy kuflu piwa, pełni rozterki i wahania. Nie namawiał ich zbyt, decyzję zostawiając ich własnemu rozumowi i sumieniu. Mimo to,

kiedy rankiem ruszał w pochód, szła za nim większo×ć opornych chorągwi, tak że ostatecznie wyprowadził ponad tysiąc szabel. Tylko najbardziej zagorzali malkontenci pozostali na kwaterach z zamiarem udania się do Kaługi. Tabory wyszły już ósmego czerwca, zgodnie z rozkazem ciągnąc do Wiaźmy. Wojsko miało wyruszyć w ×ład za wozami dziesiątego, ale w przeddzień wymarszu nadleciał wieczorem goniec i poruczywszy spienionego konia czeladzi, jeszcze cały w błocie, kazał się prowadzić przed hetmańskie oblicze. Długo nie trwało, kiedy z kwatery pana íólkiewskiego wyskoczył oficer ordynansowy wołając o wierzchowca, a pytany przez zaciekawionych towarzyszy nie ukrywał, że otrzymał rozkaz zawracania taborów i kierowania ich na Białą. Wkrótce stało się ogólnie wiadome, że przybyły goniec został wysłany przez pana Gosiewskiego, który z nagłą obleżony w Białej przez regimenta angielskie broni się resztkami sił. Hetman przykazał więc taborom zmienić kierunek, wojskom za× gotować się do wymarszu krótko po północy. Już tę pierwszą komplikację uznano za złą wróżbę dla zamierzonej wyprawy. Potem kiedy chorągwie, pogrążone w głębokiej ciemno×ci, zagłębiły się w las i mimo mżącego deszczu doszły je wołania puszczyka, co przy takiej pogodzie było zgoła niezwykle, pesymistyczne nastroje żołnierzy wzmogły się jeszcze bardziej. Wreszcie i konie, zmuszając swą opieszalo×cią do ponagłania ostrogą, nie poprawiły humoru. A ponaglać było trzeba, by zbytnio nie odstać od przedniej straży, która na rozkaz hetmana szła ostrą rysią. Zaciągnięte chmurami niebo niby brudna płachta wisiało nad głowami. Mżył drobny deszczyk, woda ×ciekała po licach, kapiała z wąsów, dostawała się za półpancerze, moczyła kubraki, a nawet i koszule, szybki za× bieg koni nie pozwalał na zwykłą drzemkę w siodle. Kilka godzin snu z wieczora nie starczyło na należyty odpoczynek, przeto niepogoda i owe

niepomyślnie znaki powodowały, że żołnierz daleki był od zwykłej beztroski. O pierwszym brzasku hetman zarządził postój, który wszakże zbytniego wytchnienia nie dał, gdyż zsiadłszy z koni ludzie nie mogli nawet wyciągnąć się na ziemi, bo wszędzie stały kałuże, więc i o rozpaleniu ognia nie było mowy. Sięgnięto przeto do sakiew po suchą strawę, podkarmiono nieco konie, i to z ręki, a kiedy zatrąbiono wsiadanego, każdy rad był temu, bo lepsza była kulbaka pod tyłkiem niż mokra trawa. Dopiero w południe niebo zaczęło się nieco przejaśniać, od czasu do czasu ukazując słońce. Nie było go wiele, z rzadka tylko wyglądało spoza sunących chmur, ale i tego starczyło, by żołnierskie humory poprawić. Resztę czterodniowego marszu wojsko przebyło już przy lepszej pogodzie. Czternastego czerwca hetman podszedł pod Białą, wysyłając liczne podjazdy. Te rychło wróciły z wieścią, że nieprzyjaciel zwiedziawszy się o nadciągającej odsieczy, odstąpił od oblężenia twierdzy. Wkrótce też o pół mili od miasta witał hetmana uradowany pan Gosiewski. Iólkiewski zatrzymał się pod Białą dwa dni, by dać wytchnąć ludziom i zwierzętom przed nowymi trudami i walką, która ich czekała, a także celem zebrania nieco dokładniejszych wieści o nieprzyjacielu. Wiadomo już było, że oddziały - przeważnie angielskiej piechoty - po odstąpieniu od murów Białej skierowały się ku Wołdze, brakło natomiast dokładniejszego rozeznania o armii Dymitra Szujskiego, która zatrzymała się pod Możajskiem. Wkrótce jednak przyszły wieści, że w kierunku Carewo-Zajmiszcza idzie blisko dziesięcioletni korpus pod dowództwem Grigorija Wołujewa i kniazia Jeleckiego jako czołowa formacja całej armii Dymitra. Ruszył więc Iólkiewski spod Białej do Szujaska, by połączyć się z czekającymi tam na niego chorągwiami Kazanowskiego i Dunikowskiego, a także Kozakami Piaskowskiego i Iwaniszyna. W Szujsku rozłożył się na nocleg. Wszakże ze

snu obudził hetmana powrót kozackich podjazdów, wysłanych przez pułkowników jeszcze przed jego przybyciem. Wieści były alarmujące. Do odległego o cztery mile Carewo\_Zajmiszcza - gdzie jeszcze przed kilku dniami stał Dunikowski - nadciągnął Wołujew, zawróciwszy z drogi owe regimenty angielskie, które wycofały się spod Białej. Toteż nie dospał już tej nocy pan íólkiewski. Dokładnie przepytawszy przyprowadzonych jeńców i po odbytej z pułkownikami naradzie zarządził poranny wymarsz wszystkich sił. Niebo dopiero różowiało na wschodniej stronie, kiedy chorągwie stanęły w szyku, a potem jedna po drugiej opuszczały obóz w ólad za przednią strażą, która od pół godziny była już w marszu. Droga, początkowo wiodąca traktem, niedługo skończyła się, bo liczne na szlaku mosty były w większoóci zniszczone, co wymagało długich i uciążliwych objazdów. Otwarte połączenie pól nie opóźniały jazdy, ale gorzej było, kiedy przychodziło zagłębiać się w las i ciągnąć byle jakimi ócieżkami. Kolejną zwłokę spowodował postój zarządzony przez hetmana w pobliżu Szut, gdzie obozowały chorągwie Zborowskiego. íólkiewski posłał do nich pana Herburtę z wezwaniem, by wsparły jego imprezę, kiedy jednak ten po dniu zwłoki wrócił z niczym, hetman poniechał dalszych zabiegów. Zawiedziony i zły z przyczyny daremnie zmitręzonego czasu zarządził dalszy marsz. Dwudziestego trzeciego czerwca krótko po południu dotarł pod Carewo\_Zajmiszcze. Zarządził postój jeszcze przed opuszczeniem lasu, a sam, wzięwszy dla ostrożności tysiąc szabel, ruszył na osobisty rekonesans, by zapoznać się z okolicą, i jeóli się uda, wejrzeć w nieprzyjacielskie pozycje. Poszły zwiady, a za nimi chorągiew straży przedniej. Wkrótce potem wyjechał i sam hetman pod ochroną swojej zbrojnej asysty. Szli wolno, bo leóna droga była wąska, pełna dziur i wystających, poskręcanych korzeni. Drzewa, stare i

rozro×nięte, gęstwą li×ci przysłaniały słońce. Pachniało grzybnią i le×ną zgnilizną w wilgotnym i parnym wnętrzu boru. Wreszcie pomiędzy kolumnami pni ujrzeli najpierw skrawki zalanej słońcem łąki, a chwilę potem rozciągnęła się przed nimi rozległą przestrzeń. Hetman wstrzymał swego wierzchowca i rozejrzał się po leżącej przed nim szerokiej dolinie. Środkiem jej licznymi skrętami płynęła rzeczka, tu i ówdzie obrosła wierzbami i olchą. Wpadała do długiego jeziora czy też stawu. O kilka staj w głębi widniały ×wieżo ciosane bale niedawno widać wieszono ostróżka, czyli gródka obronnego. Wznosiły się ponad nim dwie drewniane wieże, niby dwaj strażnicy czuwający nad okolicą. Za gródką po lewej stronie stał półkolem las. Z prawej ochraniał go pas bagien sięgający stawu. Tylko od czoła rozciągała się równa połać pola, które jednak przecinał głęboki rów z wałem ziemnym, obsadzony gęsto piechotą, dobrze widoczną z tej odległo×ci. Przed owym rowem harcowali już pojedynczy jeźdźcy, tocząc ze sobą pojedynki. To straż przednia mierzyła się w przedbitewnych utarczkach z moskiewskimi ochotnikami. Z boku, nieco dalej od wjazdu za groblę, widniały zabudowania miasteczka. Kłębiły się teraz ponad jego dachami chmury dymu od pożaru wzniesionego na rozkaz Wołujewa, który na wie×ć o zbliżaniu się Polaków przykazał miasteczko podpalić. Hetman, oglądając ten pożar, ujrzął w pewnej chwili, jak zza gródka wyłaniają się kolumny wojsk. Szła piechota, a za nią zastępy jezdnych. Było ich podług oceny patrzących ze trzy tysiące, toteż pan íólkiewski przykazał trąbić na harcowników, a kiedy zjechali ku niemu, zarządził odwrót. Dopiero następnego dnia, zwinąwszy pod wieczór le×ny obóz, hetman ruszył nad groblę. Stał nad nią około północy i czekał, aż nadciągną chorągwie zamykające pochód. Wysłał też zaraz zwiady ku mostowi, by dowiedzieć się, czy nie obsadził go nieprzyjaciel. Nie było do mostu

daleko, zwiad rychło więc powrócił donosząc, że nikogo przy nim nie ma, ale został rozebrany, i to tak dokładnie, że tylko sterczą z wody pale, na których spoczywał. Trzeba więc było czekać ranka. Noc, jak wszystkie letnie w tych stronach, nawet bez księżycy nie była ciemna. Hetman zezwolił jeźdźcom zejść z koni i rozluźnić popręgi, piechota zaległa w trawie, do przodu zaś wysunęły się liczne nasłuchuchy, by czuwać nad bezpieczeństwem wojska. Wszakże o pierwszym brzasku, kiedy różowoczerwone wstającego dnia zaczęła wydobywać z mroku kontury bliższych drzew, piesze rotacje otrzymały rozkaz zajęcia stanowisk na skraju pogorzeli pozostałych po miasteczku. Oddział wybranych Kozaków, obznajmionych z cisiółką, ruszył pod osłoną zbrojnych do naprawy mostu, konne zaś chorągwie rozciągnęły się w bojowy szyk, gotowe do bitwy. Skoro tylko stało się zupełnie widno, pan iólkiewski objechał jeszcze raz cały pobliski teren, po powrocie zaś przykazał Atamanowi Iwaniszynowi zbadać głębokość stawu w pobliżu grobli. Wnet kilkunastu żołnierzy zeskoczyło z koni i zagłębiło się w wodę. Istotnie nie sięgała im wyżej piersi, toteż rychło tłoczno stało się w stawie, gdyż za nimi popędziły już całe sotnie. Kiedy znaleźli sposobne miejsce do wyjścia, wyskakiwali na brzeg i ponaglani przez Iwaniszyna, który osobiście dowodził wyprawą, poczęli szykować się do natarcia. Wkrótce ruszyli. Zasłonięci dotychczas groblą dopiero teraz ukazali się oczom zaskoczonej piechoty, zasiadłej w rowie obronnym. Ciszę poranka rozdarł nagły wrzask napastników. A że ów rów rozpoczynał się w pobliżu bagien, uderzenie kozackie poszło nie od czoła, lecz z boku, wzdłuż wału. Toteż piechota nie miała możliwości otworzenia ognia, tym bardziej że została zaskoczona nagłą napaścią. Wrzask Kozaków zmieszał się z krzykiem przerażonych moskwiczów. Tylko niektórym udało się odpalić rusznice, bez żadnego wszakże skutku, a

tymczasem poszły w ruch kozackie szable. Ową bliższą bagien załogę wybito niemal doszczętnie, reszta za× na widok pogromu wyskakiwała z rowu i pędziła ku ostróżkowi, by za jego palisadą szukać schronienia. Wkrótce więc cała linia obronna przed gródkiem została zdobyta i obsadzona przez zwycięzców. Przytomny Iwaniszyn mimo odezwania się dział, których ogień był zresztą mało skuteczny, nakazał swoim Kozakom zasypywać ×rodkową czę×ć rowu, by w razie potrzeby dać przej×cie jezdny. Rzucili się więc ku porzuconym przez piechotę glewiom, berdyszom, a nawet i za pomocą własnych szabel zaczęli spychać ziemię z wału i wyrównywać wykop. Jednocze×nie ów oddział cie×li, posłany do naprawy mostu, także nie próżnował i zdołał w tym czasie przerzucić prowizoryczny pomost umożliwiający jaką taką przeprawę. Po×piech ten i sprawno×ć, z jaką to uczynili, okazały się bardzo potrzebne, gdyż moskiewski wódz, widząc utratę przedpola i małą skuteczno×ć swoich puszkarzy, postanowił przy pomocy jazdy odzyskać utraconą pozycję. Hetman, ×ledząc bacznie przebieg dotychczasowej akcji, dostrzegł w pewnej chwili, jak z gródka zaczęły wyjeżdżać konne oddziały, formując się do uderzenia na Iwaniszyna. Zwrócił się więc do stojącego przy nim Strusia i wskazał buławą na ustawiające się szeregi. - Weź waszmo×ć z pięć chorągwi i przepędź tych huncwotów! W razie potrzeby wesprze cię Kazanowski. Pułkownik obrócił konia i ruszył do stojących w tyle chorągwi. Po chwili szły już wolną rysią ku mostowi. Stłoczyły się przed nim, a po przebyciu go znów wydłużyły, by wydostawszy się na otwarte pole utworzyć sprawnie bojową linię. Stru× wysunął się do przodu i machnął buzdyganem. Ruszyli cwałem ku zdążającym im naprzeciw moskiewskim jeźdźcom. Przepłynęli falą przez czę×ciowo zasypany rów i schyliwszy kopie przy×pieszali biegu. Jeżeli dzielny moskiewski wódz Grigorij Wołujew, który miał

wkrótce zawrzeć przyjaźń z panem íólkiewskim, nie widział jeszcze polskiej jazdy w potrzebie, to teraz mógł się przekonać, jak próżna była nadzieja pokonania jej samą tylko liczebną przewagą. Od ciosów husarskich kopii z szeregów moskiewskiej konnicy, rzecz by można, poszły strzepy. Niby uderzeniem taranu, co rozbija wrota na drzazgi, moskiewska jazda, rozerwana na czę×ci, tratowana ciężkimi rumakami, nie tylko została zatrzymana w swoim impecie, ale od razu zepchnięta do tyłu. Niezdolna stawiać oporu, tak jak niedawno piechota, w ucieczce musiała szukać ratunku. Pogrom był szybki i całkowity. Rozbite oddziały w małych grupach pomykały ku ostrózkowi, konie bez jeźdźców galopowały po opustoszałym polu - pozostali na nim tylko strąceni z siodeł lub padłe wierzchowce. Nie ×cigano jednak uciekających, gdyż odezwała się trąba wołająca o zaniechanie walki. Gródek bowiem zadymił działami i kanonadą rusznic, a gwałtowno×ć tego ognia zaczęła powodować straty w×ród rycerstwa, toteż Stru× nakazał odwrót. Po trzech dniach, dwudziestego piątego czerwca, most naprawiono całkowicie i całe wojsko mogło przeprowić się na drugą stronę jeziora. Hetman okrążył gródek i założył obóz na drodze do Możajska, odcinając w ten sposób Wołujewowi drogę na Moskwę, skąd miał nadciągnąć Dymitr. Gródka pan íólkiewski nie my×lał zdobywać wiedząc, że moskwiczanie w umocnieniach bronią się umiejętnie, z zawzięto×cią i nieustępliwie. Natomiast w miejscach, gdzie nieprzyjaciel miał dostęp do wody, kazał budować szańczyki i obsadził je silnymi załogami. Oceniał bowiem, że Wołujew, nadciągnąwszy niedawno, nie miał czasu zaopatrzyć się w żywno×ć, brak więc jeszcze i wody powinien zmusić go do tym szybszej kapitulacji. Otoczywszy w ten sposób przeciwnika, który wypadami daremnie usiłował przerwać zaciągniętą pętlę okrążenia, wyczekiwał hetman wie×ci o głównej armii pod wodzą Dymitra. Dzień w dzień rozsyłał



liczne podjazdy, by przeglądając okolice chroniły wojsko przed zaskoczeniem. W pierwszych dniach lipca humor pana íólkiewskiego bardzo się poprawił, pułkownik Zborowski bowiem, który nadciągnął z Szut w tysiąc dwieście szabel, znacznie wzmocnił hetmańskie siły. Drogę przebył szczęśliwie, gdyż szedł ostrożnie, chorągwie w marszu nie rozciągały się, lecz trzymały blisko jedna drugiej, chronione nie tylko strażą przednią, ale i bocznymi, ponieważ wiadomo było, że nieprzyjaciel znajduje się w pobliżu. Szły także zwiady i właśnie jeden z nich natknął się na patrol hetmański penetrujący okolicę. Rozpoznali się na czas, więc do potyczki nie doszło. íółnierze pana íólkiewskiego, pozostawiwszy jako przewodników dwóch towarzyszy napotkanym "dymitrowcom" - jak zwano ich w królewskim wojsku - sami pośpieszyli powiadomić hetmana o pomyślnym zdarzeniu. Zborowski, prowadzony przez owych dwóch przewodników, nie potrzebował szukać drogi, toteż już po godzinie chorągwie wyszły z lasu i stanęły na jego skraju. Jedlina z Rymszą i Wolutą u boku wstrzymał tak jak i inni wierzchowca i oglądał rozciągającą się przed nimi panoramę. Na lewo, wśród pogorzelsk i resztek nie dopalonych domów miasteczka ujrział barwy królewskiej piechoty, na prawo grupa pachołków poiła w stawie stado koni. Ten obraz mógłby wydać się nieomal sielanką, gdyby nie grzmiot dział i ich dymy pokrywające stojący w dali gródek. Odcinał się on wyraźnie od ciemnej ciany lasu jasnością wieży ciosanych bierwion. Las ów otaczał go niby ochronnym ramieniem, dochodząc prawie do wody przeciwległego brzegu jeziora. Niby garby na płaszczyźnie łąki, rozrzucone co kilka staj, rysowały się nasypy szańców, obsadzonych żołnierzem, bo połyskiwała tam broń i kręciły się ludzkie sylwetki. Przybyli w samą porę, ponieważ trzeciego lipca rotmistrz Niewiarowski, wróciwszy z podjazdu z pojmanymi jeńcami, doniósł, że nadciągnęła cała

armia moskiewska w sile czterdziestu tysięcy żołnierza własnego i ośmiu tysięcy cudzoziemców, a to Niemców, Francuzów, Anglików, Szwedów i kto jeszcze wie, jakich nacji, pod dowództwem tej miary generałów co Pontus de la Gardie, Horn czy pan de la Ville. Tej potędze paniółkowski mógł przeciwstawić załedwie dziewięć tysięcy straceńców, a nawet, jak się wkrótce okazało, mniej, bo ponad tysiąc żołnierza przyszło ostawić pod ostróżkiem. Podług relacji jeńców Dymitr zatrzymał się pod wsią Kłuszyn, nie dalej niż cztery mile od polskiego obozu. Po otrzymaniu tej wiadomości hetman zwołał naradę, prosząc pułkowników o rozważenie dwóch możliwości, jakie mają: czekać na miejscu czy też ruszyć na nieprzyjaciela, częć sił pozostawiwszy pod ostróżkiem, by nie dać się zaskoczyć od pleców. Zdania były podzielone: jedni wskazywali na niebezpieczeństwo oczekiwania wroga, mając pod bokiem częć jego wojska, a i miejsca do walnej bitwy za mało, inni odradzali wymarsz, gdyż wówczas częć sił trzeba by zostawić dla powstrzymania Wołujewa, gdyby chciał poćpieszyć z pomocą Dymitrowi i wziąć szczupłe siły polskie we dwa ognie. Hetman natomiast do końca nie wypowiedział swego zdania, a to przez ostrożność, gdyż niebacznie powtórzone przez któregoś z dowódców mogło z kolei dotrzeć do nieprzyjaciela. Rozkazał tylko, aby chorągwie w każdej chwili były gotowe do wymarszu. Wojsko trwało więc w gotowości. Wieć o nadciągnięciu moskiewskiej armii, i to w tak przygniatającej przewadze, szybko rozeszła się wśród żołnierzy, nie wywołała jednak popłochu. Przyjęto ją bez zwykłych w takich razach przechwałek, gdyż dowiadczone rycerstwo wyczuło, że nadchodzi moment ćmiertelnej rozprawy i nie czas na kpiny z przeciwnika. Toteż w skupieniu szli do swoich kapelanów szukać rozgrzeszenia lub spędzali czas w namiotach na modlitwie lub pisaniu listów. Każdy rozumiał powagę chwili i

swój żołnierski obowiązek, przygotowywał się więc do rozprawy, polecając się Boskiej opiece. Tego dnia pod wieczór hetmańscy gońcy roznieśli dowódcom kartki z rozkazami. Wszyscy komendanci szanów mieli ze swymi załogami pozostać na miejscu, prowadzić ogień i niczym nie zdradzić, że wojsko opuściło obóz. Pieczę nad strzeżeniem Wołujewa otrzymał rotmistrz Jakub Bobowski, któremu hetman przydzielił siedmiuset jazdy, czterystu Kozaków i całą królewską piechotę. Pozostałym dowódcom został podany porządek, w jakim chorągwie miały opuszczać obóz przy zachowaniu zupełnej ciszy, bez żadnych trąb czy nawet głośniejszych rozkazów. Wieczorem chorągwie zaczęły ruszać. Wyjeżdżały w martwej ciszy i niby zjawy znikwały w leśnym gąszczu. Marsz okazał się wyjątkowo trudny, i to nie tylko dlatego, że odbywał się w ciemnościach, bo nocna powiata nie docierała do głębi lasu, ale ze względu na wyjątkowo złą drogę, pełną dziur i wybojów, pokrojoną licznymi koleinami, a do tego błotnistą, bo i za dnia słońce tu nie sięgało. Wojsko szło komunikiem, pozostawiwszy wozy w obozie. Mimo to pochód odbywał się wolno, dobrze dając się we znaki i koniom, i ludziom. Na domiar złego utknęły w podmokłym terenie dwie armatki prowadzone przez hetmana, zagrażając przejazd idącym za nimi oddziałom, które przez to musiały szukać objazdu. Jednak i ta noc, pełna udręki, wreszcie minęła i o wicie chorągwie ujrzały przed sobą otwarte pole. Ukazała się równina ujęta z lewa pasmem wzgórz, na wprost i z prawa zamknięta lasem. O jakie pół mili majaczyły w powiacie wstającego dnia kontury dwóch małych wiosek: jednej leżącej w środku równiny, drugiej na lewo u stóp wzgórz. Natomiast Kłuszyn, stanowiący cel marszu, zakrywała ściana lasu. Po lewej stronie leżącej w środku wsi ciągnęły się zapory z kobylic i mocne, dębowe płoty, a za nimi rysowały się linie umocnień otaczających dwa

blisko siebie położone obozy. Prawy, znacznie większy, krył się za silną palisadą, lewy otaczał pier×cień wozów podsypanych ziemnym wałem. t×czyło je przejdzie również umocnione wozami. Po rozmiarach obu obozów wnioskowano, że ów prawy, większy, krył wojska moskiewskie, a mniejszy - roty cudzoziemskie. Dziwne to było, ale na widok wyłaniających się z lasu chorągwi nie padł ani jeden ostrzegawczy strzał, nie zabrzmiał żaden inny sygnał zwiastujący ukazanie się obcych wojsk. Okazało się wkrótce, że nieprzyjaciel nigdzie nie rozstawił straży ani czat, widać w przekonaniu, że o wiele słabszy przeciwnik nie o×mieli się zaczepić tak silnej armii, ale odwrotnie, to jego przyjdzie szukać i ×cigać. Bardzo by pragnął pan íólkiewski na swój sposób obudzić ×piących beztróska moskwiczów, lecz nie nadciągnęły jeszcze wszystkie chorągwie, a także i owe dwa falkonety wraz z towarzyszącą im piechotą. Przeworno×ć nakazywała więc zaniechać korzy×ci płynących z zaskoczenia i czekać na zebranie wszystkich sił. Kazał wszakże hetman podpalić ową wioskę zagrządzającą drogę do obozów Dymitra, aby nie obsadził jej nieprzyjaciel, gdyż wówczas ogień zasiadłej między domami piechoty mógłby mocno dać się we znaki polskim oddziałom. Jednocześnie rozmieszczał swoje chorągwie. Na prawe skrzydło, naprzeciw moskiewskiej jazdy, skierował Aleksandra Zborowskiego, którego rotę pierwsze wyszły z lasu. Dał mu pod komendę chorągwie księcia Poryckiego, Samuela Dunikowskiego, Marcina Kazanowskiego i Ludwika Weihera. Dowództwo za× lewego skrzydła, owe kobylice i obozy, poruczył Mikołajowi Strusiu, któremu przydał żołnierzy Koniecpolskiego oraz Kozaków książąt Zbaraskich i Iwaniszyna pod atamanem Piaskowskim. We własnym odwodzie pozostawił swoją chorągiew husarską pod księciem Koreckim i piechotę, która jeszcze nie nadeszła, ale oczekiwał jej lada chwila. Resztę

wojsk zatrzymał w środku, przed palącą się już na dobre wsią. Ów pożar obudził dopiero moskiewskie wojska. Początkowy popłoch uśmierzyli jednak szybko dowódcy, i to tym łatwiej, że nie zostali zaatakowani. Mieli więc czas na sprawienie się, wyście w pole i uformowanie szeregów. Większość jazdy postawił Szujski na swym lewym skrzydle, naprzeciw pana Zborowskiego, za nią zaś, bliżej lasu, umieścił pieszych. Prawe skrzydło przed Strusiem zajęła cudzoziemska piechota, dobrze zabezpieczona owymi kobylicami i płotami, mając za sobą rajtarię i francuską jazdę de la Ville'a, który jednak w bitwie udziału nie brał, gdyż trawiony gorączką musiał zostać w Pohorełej. Paląca się na środku pola wioska zmuszała przeciwnika do walki tylko na skrzydłach. W skupieniu i powadze przyglądało się polskie rycerstwo ogromnej masie stojących przed nim zbrojnych zastępów. Obozowa palisada ciągnęła się za plecami moskiewskich oddziałów, to wznosząc się, to opadając w zależności od terenu, a przed nią jak okiem sięgnąć stał mąż przy mężu, koń przy koniu, kolumna przy kolumnie uszeregowana aż w pięć rzędów. Nad każdym z oddziałów powiewała chorągiew, sterczały wzniesione włócznie, rohatyny, oszczepy, skry słońca skakały po blachach zbroi i tarcz, konie biły długimi ogonami po zadach, potrząsały łbami. Ich jeźdźcy patrzyli przed siebie, czekając głosu trąby, by ruszyć do boju. Jedlina przesuwając spojrzeniem po tej, zdawało się, niezmierzonej masie wojsk, których mnogość mogła przerazić nawet najdzielniejsze serca. Wszakże to jeszcze nie byli wszyscy, bo bardziej w lewo, kryte za kobylicami, barwiły się mundury i lśniły lufy muszkietów cudzoziemskiej piechoty. Za nią zaś znów stała jazda: szwedzka rajtaria, francuska kawaleria, angielska konnica. Trudno było wszystkich ich dostrzec z tej odległości, tym bardziej, że widok przesłaniały zarosła i zasieki. - Stają gęsto niby las... - odezwał się stojący obok Woluta. - Będziem

mieli sporo roboty, by go zrąbać... - mruknął w odpowiedzi młody rycerz. - Napracujemy się mocno. Popatrzył w bok, po własnych chorągwiach. Stały i one rozciągnięte w szeregi, licha garstka wobec ogromnej masy nieprzyjacielskich oddziałów. Przy wzniesionych ku górze kopiach długie języki proporców to zwijały się, unoszone podmuchami wiatru, to opadały wzdłuż drzewców. Konie ×ciągnięte wodzami potrzęsały łbami, starając się od nich uwolnić, a nieruchomi jeźdźcy wpatrywali się w rozciągnięte przed nimi kolumny przeciwnika. Przed ×rodkiem szyku, niedaleko palącej się wsi, Jedlina dostrzegł na małym wzgórku szczupły hetmański orszak ze wzniesionym w górę proporcem dowódcy. W panującej nad polem ciszy słychać było tylko huk płomieni i trzask walących się dachów, które zapadając się w ognistą otchłań, pryskały snopami iskier. Gęste obłoki dymu kłębiły się, biegnąc ku górze, i znoszone wiatrem sunęły w stronę moskiewskich szeregów. Wznieciło to nieco otuchy w żołnierskich sercach, bo wierzano w pomy×lno×ć tej wróżby. Tak bowiem jak baczono, w którą stronę padnie głową pierwszy harcownik, tak i dym wskazywał, komu nie sądzone zwycięstwo. Wreszcie ujrzano, że hetmański proporzec unosi się, a potem pochyla do przodu. Jednocze×nie rozległ się sygnał trębacza, powtórzony wnet przez trąby poszczególnych dowódców. Pierwsze polskie szeregi ruszyły z miejsca. Były to chorągwie pana Zborowskiego, któremu przypadł zaszczyt rozpoczęcia bitwy. Nikodem ujął mocniej w gar×ć kopię i trącił konia ostrogą. Początkowo jak zwykle chorągiew szła rysią. Zborowski, który szedł na jej czele, po chwili zaczął zjeżdżać w bok, by zająć miejsce na skrzydle i stamtąd baczyć na przebieg bitwy. Wkrótce chorągiew bez komendy przeszła w cwał, a niebawem pędziła już całą mocą końskich sił. Płaty darni leciały w górę, ziemia dudniła pod potężnymi uderzeniami kopyt ciężkich wierzchowców i wreszcie kiedy

brodate oblicza nieprzyjacielskich jeźdźców stały się dobrze widoczne, kopie pochyliły się ku końskim łbom niby kły rozeźlonego zwierza. Kiedy zagrzmiały polskie trąby, stojące dotąd nieruchomo kolumny moskiewskich jeźdźców poruszyły się i zafalowały jak łany zboża, po których przeszedł podmuch wiatru. Szeregi, na które szło natarcie, trąciły konie, rozległy się krzyki dowódców i masa jeźdźców pierwszej i drugiej linii pocwałowała naprzeciw husarii. Pozostały po nich czarne, zryte kopytami miejsca, na które zaczęły przesuwać się następne, pozostałe jeszcze trzy linie moskiewskiej jazdy. Podobne morskim falom, które zamiast gonić jedna drugą uderzyły o siebie tryskając strugami wody i piany, tak zwały się linie pędzących ku sobie jeźdźców. Wrzask, zamęt, kwik koni, wylatujące w górę kawałki strzaskanej broni, szczęk uderzających o zbroje szabli, cały ten hałas rozniósł się po polu grzmotem rozpoczętej bitwy. Wkrótce okazało się, po czyjej stronie była przewaga w opanowaniu wojennego rzemiosła. Wprawa w szybkim zadawaniu, czy parowaniu ciosów była u polskiego rycerstwa zbyt widoczna, a i wierzchowce lepiej do boju były wyszkolone. Przy tym dowódcy moskiewscy spóźnili się z kontratakami, nie zdołali więc przeciwstawić własnego, dostatecznie silnego impetu. Toteż szeregi moskiewskie rwały się i walczyły nie jedną zwartą ławą, lecz rozbite na małe grupy jeźdźców. Książ Dymitr dostrzegł klęskę swoich wojowników. Wiatr przyniósł od strony moskiewskich szeregów głos trąb i huk bębnow, kierujący do bitwy kolejne oddziały konnicy. Kiedy te zetknęły się z idącą im naprzeciw husarią, osłabioną brakiem kopii i pozbawioną zwykłego pędu, pokryły ją masą jeźdźców, podobnie jak fala powodzi pokrywa wszystko, co napotyka na drodze. Niczego w tej płątanie jeźdźców i koni nie można było rozeznąć. Z bitewnego chaosu co raz to wyrywały się wierzchowce z

pustymi siodłami, nad głowami walczących unosiły się i opadały ostrza szabel, od czasu do czasu ukazywał się koński łeb z rozwartym pyskiem, wszystko na pół przesłonięte tumanami kurzu. W ciężkiej opresji znalazły się chorągwie Zborowskiego, ale mimo ogromnej przewagi przeciwnika nie dały się rozerwać i nie cofnęły się o krok. Wkrótce nadleciała jednak pomoc, by czujny rotmistrz Kazanowski, któremu Zborowski zlecił dowództwo nad odwodem, poderwał wszystkie oddane mu pod komendę chorągwie i pognął wesprzeć towarzyszy. Po nadej×ciu nowej nawałnicy moskwiczanki rozpoczęła się ciężka, żołnierska praca wymagająca nie tylko żelaznego ramienia, zdolnego znie×ć trud nieustannego wysiłku, ale i bystrego oka, bo potykając się, należało jednocze×nie widzieć, co dzieje się dokoła. Jedlina dwoił się i troił, by sprostać nawale, jaka na nich runęła. Raz po raz spadał jego koncerz na wrogi hełm, sięgał blach zbroi, a je×li była sposobno×ć, to i odkrytego ciała. Widział dokoła brodate, czerwone z wysiłku twarze, rozwarte krzykiem usta. Czasami udawało mu się pchnąć sztychem w taką twarz lub w odsłoniętą szyję. Lecz i na niego spadały ciosy szabel, które bądź parował własnym ostrzem, bądź nadstawiał im tarczę. Zdarzało mu się zasłonić walczącego obok Rymuszę czy Wolutę, niejeden cios wymierzony w niego oni z kolei odbili. Wreszcie coraz bardziej zaczął mu ciążyć koncerz, coraz wyraźniej czuł, jak ten przybiera na wadze, bo już z trudem unosił go w górę. Zrozumiał, że chwila, kiedy nie nadaży z odparowaniem kolejnego ciosu, przybliży się, więc zdobywając się na ostatni wysiłek, z cicha odmawiał modlitwę. Kiedy jednak spojrzął w bok, by sprawdzić, jak sobie radzi Woluta, dostrzegł nowe twarze i zbroje. Ciosy przybyszy były szybsze i sprawniejsze, stąd pojął, że nadeszło wsparcie. Zaczął przeto hamować wierzchowca i cofać go. Wkrótce znalazł się na otwartym polu



i ciężko dysząc rozejrzał wokół siebie. Dookoła leżały zwłoki ludzi i koni, na porytej ziemi pełno było broni porzuconej lub potrzaskanej. Liczni jeźdźcy, którzy tak jak i on wycofywali się właśnie z bitwy, z wolna zdążali ku grupie towarzyszy, zapewne zluzowanych już wcześniej. Niebawem zobaczył Wolutę, a za chwilę i Rymszę, podążyli więc razem do formującej się na nowo chorągwi, by po jakim takim wytchnieniu być gotowi do dalszej walki. Trwała ona już dobrą godzinę, a mimo to jeszcze nieraz przychodziło formować się, by znów wracać do dzieła. Niektóre chorągwie powracały tak siedem, a nawet osiem razy. Pałaca się pośród pola wieś podzielili oba walczące wojska na dwa człony, tworząc zamiast jednej dwie oddzielne bitwy toczące się na skrzydłach. O ile na prawym skrzydle chorągwie Zbiorowskiego

, choć z trudem, ale dawały sobie radę, a nawet z czasem zaczęły spychać moskiewskie zastępy ku ich obozowi, to na lewym, gdzie walczyły formacje Strusia, sytuacja była znacznie gorsza. Tam bowiem ataki husarskie załamywały się na zasiekach i w ogniu zasiadłej za nimi cudzoziemskiej piechoty, dobrze z walką obytej. Toteż chorągwie musiały się cofać, ponosząc straty. Tylko niektórym udało się poścignieniu szyków przedrzeć lukami, jakie obrońcy pozostawili dla własnej konnicy. Wnet jednak zatrudniła ich rajtaria, nie dając dostępu do pieszych. Własna piechota, tak hetmańska jak i pana Strusia, jeszcze nie nadciągnęła, zatrzymana w marszu przez owe ugrzęzłe armaty, niezbędnie teraz potrzebne. Hetman posłał już drugiego gońca z ponagleniem do największego pościgu, bo tylko armaty mogły uporać się z umocnieniami, które raziły nieustannym ogniem, skutecznie odpierając ataki konnicy. Wreszcie - na szczęście jeszcze w porę - przybyły owe jednorożce wraz z piechotą. Był to żołnierz doświadczony, obyty z walką, który

nawet z tureckimi janczarami dawał sobie radę. Nie minęły i dwa pacierze, jak zajęli stanowiska i natychmiast otworzyli ogień. Niby rozsierzone szczeniaki zaszczekały oba działka, a że puszkarzy hetman miał doskonałych, już od pierwszych strzałów widać było, jak z nieprzyjacielskich umocnień wylatują w górę kawałki potrzaskanego drewna. Skutek był nieomal natychmiastowy. Nieprzyjacielski ogień od razu osłabł, zaraz też chorągwie Marchockiego, Firleja i Wańczyckiego, z których dwie ostatnie zachowały jeszcze kopie, ruszyły do kolejnego ataku. Tym razem przedarły się przez zasieki i uderzyły z boku na niemiecką i szwedzką piechotę. Cios był morderczy, zwłaszcza tych chorągwi, które zachowały kopie. Nie tylko bowiem owo boczne uderzenie załamało szeregi cudzoziemskich gemajnow, dało ponadto drogę innym chorągwiom, które skoczyły natychmiast w powstałe wyrwy i wspomogły towarzyszy. Teraz wspólnymi siłami, rąbiąc co tchu w piersiach i siły w ramionach, gnali rozbitą piechotę ku jej obozowi. Widząc ów pogrom rajtaria rzuciła się po raz drugi do ataku, by opanować sytuację. Swoim zwyczajem pierwsze szeregi, nadbiegając, dały salwę z pistoletów, po czym cofnęły się, by mogły strzelać następne. Stosowali ten sposób walki Szwedzi, zwąc go karakolowaniem. Jednakże zaraz po pierwszej salwie Polacy nie dali czasu na zmianę strzelców i idąc w dym, runęli na rajtarskie szeregi. Skłębiły się one, zakotłowały i poniechawszy pistoletów musiały chwycić za rapiery. Niedługo wszakże rajtarzy zdołali odpierać ciosy szabel, pałaszy i koncerzy. Coraz gę×ciej jeźdźcy zaczęli walić się z koni i wkrótce, nie wytrzymawszy polskiego naporu, rzucili się do ucieczki. Napastowani już teraz z kilku stron, z powodu szczupło×ci miejsca wpadli na szeregi własnej, jeszcze pozostałej na pozycjach piechoty. Jezdni i piesi zmieszali się w jeden, ogarnięty paniką tłum, który runął lawiną w przerwę

pomiędzy dwoma obozami, ku ciągnącym się za nimi lasom. Na ten widok w szeregach moskiewskich wojowników lewego skrzydła, stawiających jeszcze opór chorągwiom Zborowskiego, zamarł duch walki. Nie pomogli już generałowie de la Gardie i Horn, którzy nadbiegli ze swoją jazdą, próbując zatrzymać uciekających. Ogarnięci trwogą żołnierze, niby oszalałe ze strachu, bezmyślnie stado, powalili ich i zepchnęli samym ciężarem swej masy. Głowa przy głowie gnały zastępy niedawnych wojowników, ogarniętych teraz już tylko żądzą ratowania życia. Piesi zmieszani z konnymi złali się w jedną rzekę pędzącą wezbranym nurtem ku zbawczemu lasowi. Jednak jazda francuska i angielska jeszcze walczyły. Dobrze zbrojne i wyszkolone stawiały zaciekły opór, ale i one zaczęły wkrótce ulegać gwałtowność polskiego ataku, zwłaszcza kiedy część polskiej chorągwi, poniechawszy pościgu, rzuciła się, by wesprzeć towarzyszy. Mając wszakże Francuzów w estymie, zaczęli Polacy nawoływać ich do poniechania zmagają. Wezwania te odniosły skutek, bo wkrótce tamci jęli się cofać i na znak zgody machać kapelusami. Niebawem więc walka ustała zupełnie i wysłano ku sobie parlamentariuszy, rozpoczynając w ten sposób zgoła przyjazne rozmowy. W rezultacie niedawni przeciwnicy przystali na porzucenie dotychczasowej służby i przejście pod sztandary polskiego króla. Okazało się jednak, że w lasach pozostało jeszcze koło trzech tysięcy niemieckiej piechoty postawionej tam jako odwód. Nie było przy niej wyższego dowódcy, a komendanci rot, obserwując przebieg bitwy, nie kwapili się do wzięcia w niej udziału. I oni również, widząc zachowanie Francuzów, wysłali trębaczy z oznajmieniem, że pragną rokować. Hetman rad przystał na tę propozycję i zaraz wysłał parlamentariuszy, by omówili warunki porozumienia. W tym czasie zagarnięci przez uchodzące z bitwy oddziały generałowie szwedzcy Gardie i

Horn, jak i również ruscy wojewodowie: książę Andriej Golicyn, Jakub Boratyński, Wasyl Baturlin i paru innych, zdołali wreszcie wyrwać się z ogarniętego paniką tłumu. Zebrawszy nieco żołnierzy, jako tako sprawili na nowo parę oddziałów i ruszyli z nimi z powrotem na plac boju. Lecz bitwa już się kończyła, więc przedostali się do moskiewskiego obozu, w którym zamknął się Dymitr ze swoją piechotą i resztkami tej kawalerii, co tu szukała schronienia.

Dowiedziawszy się o pertraktacjach, odważny de la Gardie po×pieszył do swych niedawnych podkomendnych, upominając ich i protestując przeciwko jakiegokolwiek ugodzie. Ale pertraktacje były już na ukończeniu, toteż generał spotkał się z pogrózkami francuskich oficerów, którzy zagrozili użyciem pistoletów, je×li nadal będzie mieszał się do sprawy. Wobec takiego ostrzeżenia szwedzki generał poniechał dalszych nalegań i wrócił do moskiewskiego obozu. Tu jednak już także o ucieczce, a nie o dalszej walce my×lano. Broniły się jeszcze wierne książęciu Dymitrowi roty, ale ich opór słabł coraz bardziej, bo przybywało napastników żądnych zdobyczy, zwłaszcza chorągwi kozackich, które nie zważając na ogień rusznic, ciosy szabel, rohatyn i toporów, zawzięcie wdzierały się na palisady. Załamany i przerażony do ostateczno×ci książę Dymitr, nie widząc już szans ratunku, dopadł konia i zostawiając nie tylko swoje książęce dobro, ale i dwa tysiące par sobolowych futer, przysłanych mu z Moskwy na wypłatę żołdu, otoczony orszakiem wojewody i niedużą grupą zbrojnych, których udało mu się przy sobie skupić - rzucił się do ucieczki. Zabrał jednak za radą księcia Golicyna gotowiznę, złotą zastawę stołową, cenną broń oraz inne kosztowno×ci, by porzucić je stopniowo w czasie ucieczki i w ten sposób opóźnić pogoń. Rada istotnie okazała się dobra, bo podrzucane bogactwa za każdym razem wstrzymywały pogoń, gdyż łakomy łupów żołnierz wolał

zbierać złoto niż gonić zbiegów. Tak więc ostatecznie udało się Dymitrowi ujść z życiem, ale wkrótce, zgubiwszy się w lesie, trafił na bagna i ledwie zdołał się z nich wydostać. Dotarł w końcu do Możajaska na byle jakiej szkapinie, w chłopskiej odzieży i ledwie żywy. Natomiast de la Gardie i Horn z niedobitkami wiernych sobie szwedzkich regimentów dopadli do Pohorełej, gdzie wreszcie mogli odetchnąć. Cały za moskiewski obóz z zapasami i porzuconym bogactwem tak kniazia Dymitra, jak i jego wojewodów, dostał się w polskie ręce. Obłowili się zwłaszcza ci, którzy pierwsi dopadli owych sobolowych skórek. Zdobyto nawet kosztowną karetkę Dymitra i jego osobistą broń, jak szyszak, szablę, buławę, a także wszystkie jego armaty. W bitwie padło dwanaście tysięcy żołnierzy moskiewskich, trzy tysiące oddało się w niewolę. Tyleż cudzoziemców przeszło na polską stronę, straciwszy tysiąc poległych. Straty polskie też były stosunkowo znaczne, bo samych towarzyszy husarskich, nie licząc pancernych i Kozaków, zginęło stu siedmiu, rannych naliczono stu czternastu, koni zabito dwieście dwadzieścia sześć. Z piechoty i wśród pachołków straty sięgały blisko tysiąca, jeszcze więcej naliczono rannych. Zwycięstwo jednak było zupełne, a jak mówiono potem w obozie, różnicą sił i znaczeniem przewyższało nawet kircholmską potrzebę pana Chodkiewicza. Nie dał jednak hetman wojsku zbyt długo radować się sukcesem. Niespokojny o los Carewa, ledwie po bitwie żołnierz nabrał nieco tchu, zarządził na wieczór marsz powrotny. Tak więc wyruszywszy w sobotę wieczorem, po całonocnym marszu i stoczeniu w niedzielę zażartej, trzygodzinnej bitwy rycerstwo ruszyło w dalszą drogę. Piechota zaś wiodła ze sobą nie tylko dwa własne jednorożce, ale i owych czternaście dział zdobytych w moskiewskim obozie. Do takiego po piechu zmuszała hetmana obawa o oddziały pozostawione w Carewo\_Zajmiszczu. Wołujew mógł

dowiedzieć się od szpiegów albo wskutek nieostrożności żołnierzy Bobowskiego o odejściu głównych polskich sił. Wówczas los rotmistrza byłby przesądzony, a wojska hetmańskie, nie w pełnej zdolności bojowej, narażone na spotkanie wieżych sił nieprzyjaciela. Mimo że przyczyna owego rozkazu była znana, sarkąło bractwo mocno, przeklinając los i hetmana. Słońce zaczęło niebawem chylić się ku zachodowi. Ubytek sił u ludzi i koni sprawił, że owa noc zdała się wszystkim jeszcze gorszą udręką. Większość towarzyszy posiadała z wierzchowców i na wpół drzemiac, wlokła się noga za nogą, pokonując liczne przeszkody. Wreszcie szarać witu dotarła i pod gałęzie drzew. Zaczęło robić się coraz jańiej, co ożywiło zmordowanych do cna ludzi i zwierzęta. Jednak słońce wysoko już stało na niebie, kiedy wojsko dotarło do obozu. Na wieć o zwycięstwie powstał w nim tumult, palenie z pistoletów, krzyki radości, powinszowania i dopytywania się o szczegóły bitwy. Wszakże wszelkie relacje zmęczeni żołnierze odkładali na później, każdy bowiem oglądał się za posłaniem i spoczynkiem. Gródek natomiast wiódł zwykły ostrzał szanćów, nie okazując jednak większej inicjatywy bojowej, co dowodziło, że nie wiedział o odejściu głównych sił oblężniczych spod jego wałów. Hetman, zdruzony nie mniej od swoich żołnierzy, odłożył do następnego dnia powiadomienie Wołujewa o zmianie sytuacji. Kiedy nocą działa gródka zamilkły, zasiadła w szanćach piechota okrzyknęła obrońców i powiadomiła ich o rozgromieniu Dymitrowej armii. Ci wszakże nie dali temu wiary, naigrawając się w dodatku, że w tak głupi sposób Polacy chcą ich otumanić i skłonić do poniechania oporu. Również i wysłani rankiem parlamentariusze hetmana nie znaleźli wiary u Wołujewa, i to nawet wówczas, kiedy íólkiewski przykazał podesłać mu zdobyte sztandary i kilku jeńców dla potwierdzenia wiadomości. Ten nawet tym

dowodom wzdragał się uwierzyć, podejrzewając podstęp - że pokazano mu sztandary z innej, uprzedniej bitwy i podstawiono przekupionych ludzi jako jeńców. Dopiero kiedy hetman zaproponował wysłanie na pole bitwy zwiadu Wołujewa, któremu obiecał dać ochronę, a ten powrócił z potwierdzeniem nieprawdopodobnej wieści, dzielny moskiewski dowódca zgodził się na rozpoczęcie pertraktacji. Nie trwały one jednak długo, bo hetman uważał za pilniejszy marsz na Moskwę niż targi o stawiane warunki, i Wołujew ostatecznie poddał się, zaprzysięgając wierność królewiczowi Władysławowi jako moskiewskiemu carowi. Przysięgi tej dochował przez cały czas dalszych zmagania, czym wzbudził szacunek pana iólkiewskiego, co doprowadziło do zadzierzgnięcia więzów przyjaźni pomiędzy obu wybitnymi wodzami. Skutki pogromu wojsk Dymitra pod Kłuszynem nie dały na siebie długo czekać. Strach padł na całą ruską ziemię, przeraził cara Wasyla, który dojrzał kres swego panowania. Najpierw poddały się najbliższe miasta i twierdze, jak Możajsk, Carewo, Osipow, Rzew, Borysow, Ruza, Wereja, za nimi zaś poszły następne. Hetman wysłał natychmiast pismo do króla zawiadamiając go o odniesionym sukcesie i prosząc o dalsze instrukcje. Sam zaś rozumiejąc, że dla należytego wykorzystania zwycięstwa należy działać bez zwłoki - ruszył na Moskwę. W komnacie paliło się sześć świec w srebrnym lichtarzu. Za otwartym oknem czarne niebo, usiane gwiazdami, zdawało się okrywać opiekuńczym sklepieniem ułpioną ziemię. Sierpniowa noc tchnęła pozornym spokojem i ciszą. Zwodny to był jednak spokój i niezupełna cisza. Zwiastunem, że coś się w dalekich ciemnościach dzieje, był odległy, podobny szemraniu pogwar ludzkich głosów, strzępy nawoływań straży, od czasu do czasu rzenie konia. Wszystkie te dźwięki, tłumione odległością, dochodziły do wnętrza komnaty, nie zakłócając jednak rozmowy, jaką wiedli ze sobą

dwaj siedzący w niej mężowie. Byli to bracia Jan i Jakub Potoccy, synowie Mikołaja Pilawy Potockiego, krzemienieckiego starosty. Jan, starosta rawski i wojewoda braclawski, był po bitwie guzowskiej z rokoszanami wielkim ulubieńcem króla. Z jego łaski został naczelnym wodzem wojsk oblegających Smoleńsk. Już zresztą pan Zamoyski poznał się na talentach wojskowych młodego wówczas Potockiego, które ten wykazał w Mołdawii. Był to mąż ×redniej tuszy, o płowych włosach na podgolonej głowie, dumnym wyrazie twarzy i żelaznym zdrowiu, wytrzymały na wszelkie wojenne trudy. Może byłby już i hetmanem, gdyby nie kacerstwo, czego nie mógł mu mimo wszystko zapomnieć gorliwy katolik król Zygmunt. Wszakże owo kacerstwo nie było przyczyną ulegania przesądom, wszelkim przepowiedniom, horoskopom i wróżbom, co wojewoda chętnie czynił. Drugi z mężów, jego rodzony brat Jakub, był nieco szczuplejszej postaci, ale o równie dumnym obliczu. Miał rysy jeszcze bardziej ×ciągle, ostre, zdobne w parę ciemnych wąsów, z foremnym, nieco garbatym nosem. Znany był z nieustraszonej odwagi i zamiłowania do wojennego rzemiosła. Walczył także pod Zamoyskim na Wołoszczyźnie, i to z tak wielką ochotą i zapałem, że kiedy pewnego razu hetman odłożył bitwę na następny dzień, Jakub dostał z alteracji gorączki, która zwała go z nóg. Wszakże gdy nazajutrz przyszło do bitwy, od razu wrócił do zdrowia i odznaczył się, dowodząc prawym skrzydłem. Przymioty te niestety szły w parze z wadami, obaj bowiem jednako żądni byli znaczenia, honorów, splendoru. Bezwzględni w ubieganiu się o królewskie łaski, zazdro×ni o każdego, kto mógłby choć o cal wysunąć się przed nich - głusi wówczas byli na głosy sumienia czy rozsądku. Lekki powiew wiatru ciągnący od okna przychylił płomień ×wiec. Przygasły, a potem rozbłysły tym silniejszym ×wiatłem. Jan Potocki odsunął



nieco kielich z miodem i oparłszy łokieć o stół ciągnął dalej swą wypowiedź: - ...ową kłuszyńską potrzebę uważa za wielką wiktoryę, bo tak mu zapewne każda jego oficerowie, toteż widzi mi się, że w oparach własnej sławy niby we mgle błądzi, a stąd i dobrego widoku na bieg rzeczy nie ma. - Trzeba jednak przyznać, że pięciokroć silniejszego przeciwnika pokonał i nas od wielkiego uchronił niebezpieczeństwa - zareplikował Jakub. Mimo słów brata starał się okazać bezstronno×ć. - Przeto trudno zasługi mu odmawiać... - Zasługi mu nie ujmuję, a nawet przed Zygmuntem chwałę, że dzięki niemu oblężenie możemy spokojnie prowadzić. Ale też przedkładam przy tym i racje, dla których należy najpierw to oblężenie zakończyć, a dopiero potem my×leć o zdobywaniu moskiewskiego tronu. - íólkiewski domaga się posiłków? - Otóż to! Zygmunt za× rad by mu je posłać, gdyż uważa, że i połowa sił, jakie mam, starczy do zdobycia Smoleńska, bo głód w nim i zaraza panuje. - Jednak nie można dopu×cić, by íólkiewski urósł w siły! Dopiero by×my wyszli na dudków - obruszył się teraz Jakub. - Wzmocniony gotów istotnie opanować Moskwę, a wtedy on, a nie my, będzie górą! - Należy więc działać skutecznie, ale i ostrożnie. íólkiewski żąda instrukcji, jak ma sprawy dalej prowadzić, toteż w miarę możliwo×ci opóźniam odpowiedź królewską. Na szczę×cie jak zwykle Zygmunt nieskory do podjęcia decyzji, więc nie mam z tym trudno×ci. Wszakże dalej rozstrzygnięcia odwlec się nie dało i Gosiewski wyjeżdża z listem, który jednak nie będzie hetmanowi po my×li, bo Zygmunt sam postanowił ubiegać się o carską koronę. Jakub uderzył się otwartą dłonią w kolano. - Co też przyszło mu do głowy?! Toć chyba ostatni jest z tych, którego Moskale zgodzą się uznać za cara! Uważają go przecież za przyczynę wszelakich nieszczę×ć, jakie spadły na ich kraj. Wojewoda przymknął jedno oko i u×miechnął się pod wąsem. Odpowiedział jednak z powagą: -

Sam mu to podsunąłem. Radząc takie rozwiązanie miałem na oku dobro dynastii. Władysław za młody jeszcze i mało doświadczony, by posyłać go w paszczę lwa. Z kolei trzeba skłaniać senatorów do uznania, że Smoleńsk powinien mieć pierwszeństwo przed Moskwą i wojska rozdzielać nie należy.

- To chyba ważniejsze. Zatem ty zajmij się senatem, ja zaś będę usiłował przekonać pułkowników... - Jednak nie wolno zaniedbać i tej drugiej sprawy, bo szalony to pomysł pchać się w moskiewską imprezę! Za wielki kawał pieczeni chcemy brać w gębę, łącznie możemy się takim kęsem udławić. Jan pokręcił głową. - Ie też może iółkiewski sam nie dostrzega, w jak niebezpieczną imprezę chce królewicza wciągnąć!

Zamyśla zapewne, osadziwszy go na carskim tronie, zostać doradcą i opiekunem młodzieńca, co wysunęłoby go na czoło dworu. I dlatego nie waha się narazić jego życia, boć to kraj, gdzie trucizna czy skryty sztych już niejednego dosięgły!

Przed tym właśnie niebezpieczeństwem ostrzegałem miłośniczego pana i nadal będę to czynił. - Oby Bóg dał, z dobrym skutkiem... - Jakub westchnął, po czym zaczął rozważać: - Z posiadanymi siłami wiele nie zdoła, bo zbyt licznych będzie miał przeciwników. Samozwańca z Sapieżą i Zaruckim, kniazia Pożarskiego, który siły zbiera, a także owego człeka, ponoć rzeźnika z profesji, niejakiemu łopunowa. Lud za nim ciągnie, więc rychło i on zapewne zbrojnie wystąpi. - Tak... - Wojewoda Jan sięgnął po kielich i pociągnąwszy parę łyków, odstawił go i wytarł wąsy. - Tak... - powtórzył i mówił dalej: - Tym razem przewlekanie sprawy nie będzie dowodem chwiejności, lecz rozsądku. - Obawiam się jednak, że jeżeli iółkiewskiego Moskale zgniotą, wówczas nam przyjdzie mierzyć się z nimi. Czy nie lepiej zjednoczyć siły? - Z iółkiewskim pospołu nigdy nie stanę! - warknął wojewoda. - Pod Guzowem wszakże stawałeś? - A teraz nie stanę, choćby mi przyszło w pojedynkę iść do bitwy! Tyle

było zawzięto×ci w głosie wojewody, że Jakub już nie podtrzymał tego wątku. Popatrzył w okno i jaki× czas nie odwracał wzroku od bezmiaru gwiaździstego nieba. Wreszcie przeniósł spojrzenie na brata i odezwał się: - Podobno Zygmunt pisał do Chodkiewicza? Czyżby dowodziło to, że my×li o zmianie wodzów? - Nie dziwno by mi to było, bo pan íólkiewski istotnie nadto już sobie na samowolę pozwala! - Trzeba nam to oblężenie kończyć jak najszybciej, bo czy íólkiewski, czy Chodkiewicz, obaj będą nam wadzić. - To prawda, toteż nie szczędzę wysiłków, by złamać wreszcie opór Szeina. Po upadku Smoleńska nie byłby potrzebny ni jeden, ni drugi... - Na razie ów litewski borsuk podesłał nam jednego ze swych gło×niejszych oficerów. - Kogo masz na my×li? - Ponoć stawił się Lisowski. Dziwno mi, że wojował w przeszło tysiąc szabel, a przyprowadził zaledwie kilkadziesiąt. Nie wiesz dlaczego? - Dużo stracił w walkach kierując się pod Smoleńsk, a nowych nie zdołał ×ciągnąć. Wszakże bardziej to rabusie niż żołnierze, toteż widać woleli pod moją rękę nie trafić. - W samej rzeczy niesforne to bractwo, które tylko taki Lisowski w ryzach potrafił utrzymać. - Dlaczego jednak człek tej miary za prostego towarzysza husarskiego zgodził się służyć? Jan u×miechnął się. - U Jaxy\_Bobowskiego niejeden z senatorskich synów rad by być na rejestrze. A przy tym przypomniałem mu o sejmowej uchwale z ubiegłego roku, która infamię rzuca na tych, co bez królewskiego zezwolenia wojują pod obcymi znakami. - Ale przecież i inni, bardziej od niego znaczni rodem, to czynią. Sapieha, Zborowski, Kazanowski, nie mówiąc już o Rożyńskim, bo ten pomarł. Wojewoda u×miechnął się powtórnie. - Z nimi nie przyszło mi gadać... - Dlaczego× tak postanowił? Lepiej można było go wykorzystać dając mu komendę. - Bałem się, że dyscypliny niezwykajny kłopotów mi przysporzy. - Oby ci nie przysporzył wojując pod znakiem Bobowskiego. Obaw tych

przyszłość jednak nie potwierdziła, gdyż pan Lisowski wielce się odznaczył nie tylko odwagą, ale i innymi żołnierskimi cnotami, biorąc udział w wielu szturmach na mury twierdzy. W Moskwie Szujski daremnie starał się opanować sytuację. Przekupywał strzelców resztkami zasobów skarbu, zaciągnął Tatarów krymskiego chana, ci wszakże, obawiając się polskiego hetmana, nie dotarli nawet do Moskwy, a złupiwszy spory szmat kraju, powrócili za Okę. W rozterce i niepewności, miotając się od jednej decyzji do drugiej, zamierzał Wasyl słać nawet posła do hetmana, by skłonić go do ugody, ostatecznie jednak tego poniechał. Iólkiewski natomiast pomny, że nie tylko szablą można pokonać wroga, wysyłał tajnych posłów do stolicy z gramotami wzywającymi bojarów i lud do oporu, wskazując Szujskiego jako głównego winowajcę nieszczęść, które spadły na moskiewskie państwo. Pisma te trafiały na podatny grunt, bo już przedtem zaczęła konsolidować się przeciw carowi silna opozycja z kniaziami Fiodorem Mścislawskim i Wasylem Golicynem na czele. Ludowi zaś przewodził Zachary ʹopunow, który już 24 lipca, kiedy chorągwie polskie nie stały jeszcze pod Moskwą, zażądał od cara Wasyla, by złożył posoch i zrzekł się władzy. Ten wszakże oparł się swemu żądaniu i począł gorączkowo ciągać ku sobie strzelców, których w Moskwie było jeszcze około ośmiu tysięcy. Wiadomość o tym wywołała powszechny już bunt. Ostatecznie Szujski został 29 lipca pozbawiony władzy, siłą postrzyżony na mnicha i wraz z braćmi Dymitrem i Iwanem osadzony pod strażą w Monasterze Czudowym. Na czele Rady Bojarów stanął książę Mścislawski, człowiek mądry, przezorny i umiarkowany, rzecznik kandydatury Władysława, a to z obawy przed walką bojarstwa o carski tron, ku czemu zakusy już zaczęli okazywać Golicynowie. Iólkiewski, rozumiejąc konieczność poświęcenia wobec tych wydarzeń, posuwał się jednak wolno. Przybył do Możajska 12

lipca, zatrzymał się tam przez całe dwa tygodnie, a na chorošzowskich polach o milę od Moskwy stanął dopiero 27 lipca. Przyczyną owej opieszalności był ciągły brak królewskich wytycznych co do politycznych celów, mimo że słał hetman pisma pod Smoleńsk w tej sprawie. Zygmunt wszakże jak zwykle nie był skory do powzięcia decyzji. Sytuacja wymagała jednak natychmiastowego działania, tym bardziej, że nadeszła alarmująca wiadomość o armii samozwańca, która pod wodzą Sapiehy pobiła pod Torczycą Tatarów Szujskiego, a pod Borowskiem jego dziesięcioletnie wojsko, obecnie za minęła Sierpuchowo i ciągnęła na Moskwę. Trzeciego sierpnia ruszył więc hetman chorągwie i stanął na Dziewiczym Polu pod murami stolicy. Zbliżanie się samozwańca zaniepokoiło również Radę Bojarów, skłaniając ją do przypieszenia rozmów z hetmanem. Rozbito więc okazały namiot pod Dziewiczym Monasterem i rozpoczęto obrady. Ponaglany przez własne wojsko, domagające się coraz natarczywiej zaległego żołdu, jak i przymuszony wytworzoną sytuacją 10łkiewski przyjął warunki bojarów. Sprawy jednak bardziej istotne, jak kwestie religijne czy ewentualne przejście królewicza Władysława na wiarę grecką, pozostawił decyzji sejmu. Ponieważ jednak obu stronom zależało na czasie, w dniu 27 sierpnia 1610 roku ugoda została podpisana. Jej wstęp brzmiał następująco: "Za pozwoleniem i błogosławieństwem największego Hermogena patriarchy moskiewskiego i całej Rosyi, niemniej jak metropolitów, archimandrytów, ihumenów i całego duchowieństwa synodu, z rady i zezwolenia wszystkich dumnych bojarów, rządców prowincyj, dworzan, sekretarzów, stolników, podkomorzonych, wodzów wojska, strzelców, dowódców artylerii, kupców, Kozaków i wszelkiego stanu ludzi, w carstwie moskiewskim żyjących. My dumne bojary, Fiodor Iwanowicz książę Mścisławski, Wasyl Wasiljewicz

kniaź Golicyn, Fiodor Iwanowicz kniaź Szeremetów, Daniło Iwanowicz Marecki, i my najwyższego sowieta sekretarze, Wasyl Telepniów i Tomasz t'ugów, wszedłszy w umowę ze Stanisławem na iółkwi iółkiewskim, wielkiego hospodara naj. Zygmunta króla pols. w. ks. lit. prus. rus. etc. hetmanem najwyższym wojewodą ruskim, rohatyńskim, kamienieckim, kłuszyńskim starostą, postanowili<sup>x</sup>my, aby najbłogosławieński Hermogens, patrijarcha całej Moskwy, <sup>x</sup>. synod cały, dumne bojary, wszelkiego stanu ludzie, prawdziwi synowie Moskwy wysłali posłów do najja<sup>x</sup>. Zygmunta polskiego i szwedzkiego króla etc. etc., aby ten wielki monarcha, synowi swemu królewiczowi Władysławowi, nad państwem włodzimierskim, moskiewskim i całej Rosyi panować dozwolił: (...) A my, dumne bojary, rządcy prowincji... całując Chresta przysięgamy... nikogo ani z narodu naszego, ani z postronnych książąt na tron prowadzić nie odważymy się, prócz samego monarchę naszego królewicza Władysława". Potem następowały bardziej szczegółowe warunki, zapewniające utrzymanie wiary prawosławnej w państwie, opiekę carską nad duchowieństwem, jego należyte zaopatrzenie, zachowanie przywilejów bojarskich i dotychczas piastowanych urzędów, zakaz powierzania ich Polakom lub Litwinom, jak też zobowiązanie królewicza do usunięcia żydów z granic moskiewskiego państwa. Natomiast obydwaj kraje, a więc Polska i Rosja, miały swych wrogów uważać za wspólnych i wspólnie ich zwalczać. Wreszcie porozumienie przewidywało ogólną amnestię i wzajemne zwolnienie jeńców. Po podpisaniu paktu rozbito natychmiast dwa namioty z ołtarzami. Jeden w obrządku katolickim, gdzie ugode zaprzysiągł jako pierwszy hetman, a za nim wszyscy pułkownicy, rotmistrze i inni co przedniejsi dowódcy, w drugim, dla obrządku prawosławnego, patriarcha Hermogenes

dawał do ucałowania krzyż bojarom, duchowieństwu i przedstawicielom wszystkich stanów na znak poddaństwa wielkiemu hosudarowi Władysławowi Zygmuntowiczowi, carowi Moskwy i Wszechrusi. Przysiędze tej wtórował krzyk zebranego ludu, głos trąb, uderzenie bębnow, kotłów, bicie w dzwony i huk dział stolicy. Dopiero po podpisaniu tego aktu i jego zaprzysiężeniu nadeszła wreszcie tak niecierpliwie oczekiwana przez ółkiewskiego instrukcja królewska.

Przywiózł ją starosta wielicki, pan Gosiewski. W pi×mie tym król polecał hetmanowi, by zabiegał o tron dla niego, a nie dla Królewicza Władysława. Polecenie było już spóźnione, a zresztą i nie do wykonania, zważywszy zawziętą nienawi×ć, z jaką bojarstwo odnosiło się do osoby Zygmunta. W Kałudze o kwaterę nie było łatwo, bo miasto - szeregi drewnianych domów i zagród ciągnących się w×ród piaszczystych dróg - pełne było żołnierzy. Nadszedł bowiem w pobliże pan Sapieha, który po ×mierci kniazia Rożyńskiego obrany hetmanem spalił obóz tuszyński, a potem ruszył z Dymitrowa, by wesprzeć samozwańca. Tylko nieliczne domy odznaczały się bardziej ozdobnym wyglądem, okazując zamożno×ć wła×ciciela. Nie brukowane ulice obsiadły liche w większo×ci chaty otoczone drzewami, w×ród których, tak jak i w Moskwie na skrzyżowaniach ulic, stały krzyże z czeredą kalek i żebraków u podnóży. Monotonnymi głosami odmawiali modlitwy, przerywając je żałosnymi pro×bami o datki. Mimo panującego tłoku Suchecki znalazł kwaterę dla siebie i towarzyszy, gdyż i tu nie brakło mu znajomo×ci. Jednak jako człowiek przezorny nie poszedł od razu do Dymitra, który przebywał na zamku, lecz najpierw zasięgnął języka, co dzieje się na jego dworze. Nie szukał jednak wie×ci zbyt wysoko, wiedząc, że najlepiej zdobyć je u służby. Otrzymane wiadomo×ci nie były jednak dobre. Dymitr stracił resztę znaczenia, jakie jeszcze dzięki Marynie i staraniom niektórych

dworaków zachowywał przy Rożyńskim. Sapieha na przykład nie tail pogardy, jaką dla niego żywił, i okazywał mu ją na każdym kroku. Już więc w obawie o życie otoczył się Dymitr strażą przyboczną trzystu Tatarów pod wodzą niejakiego Uruzowa i spędzał noce na pijaństwach w towarzystwie byle kompanii i dziewczek ×ciąganych z miasta. Nie ukrywał też nienawi×ci do Polaków, nie wyłączając własnej małżonki, uważając, że go zdradzili. Maryna bowiem odsunęła się od niego, być może pod wpływem urodziwego atamana Zaruckiego, którego coraz powszechniej uważano za miło×nika carycy. Usłyszawszy te wie×ci, Grigorij Pawłowicz poniechał zwlekania i udał się na zamek z samego rana. Dostrzegł zaraz, jak wiele zmieniło się w otoczeniu cara Dymitra, od czasu gdy zegnał się z nim przed wyprawą do Moskwy. Wówczas czy to dzięki Marynie, czy utrzymywanej dyscyplinie w×ród służby, panował tu jaki taki porządek. Teraz widział wszędzie objawy niedbalstwa, rozprzężenia i wręcz niechlujstwa. Komnaty były za×miecone, w jadalnej na stołach pozostały misy, półmiski i wywrócone dzbany, zapewne po ubiegłym, wieczornym posiłku czy nocnym pijaństwie. Panował zaduch, ciężkie powietrze przesycił zapach trunków i wystygłego jadła. Grigorij, nie napotykając nikogo, bo nawet i straży nie było, uchyliwszy kolejne drzwi zajrzał do ×rodka. Stało tu obszerne łóże o czterech słupach podtrzymujących baldachim. W stłamszonej, przybrudzonej po×cieli spała na pół naga, gruba dziewczyna z odrzuconym na bok ramieniem i błyszczącą od potu twarzą. Suchecki cofnął się do jadalnej komnaty, gdzie dopiero teraz pojawił się jaki× sługus o impertynenckim spojrzeniu zaczerwienionych od pijaństwa oczu. - Gdzie car? - warknął Grigorij marszcząc gniewnie brwi. - Tam... Pewnie ×pi jeszcze... - pokojowiec wskazał drzwi do korytarza. - Nie ma go... Jeno jaka× dziewczka... - To widać już wstał - mruknął obojętnie sługus. -



Chyba będzie w poselskiej izbie... - Wskazał inne drzwi. W półmroku obszernej komnaty o bogatych sprzętach, wskazujących na jej specjalny charakter, Suchecki dostrzegł rozwalonego w fotelu Dymitra. Siedział ze spuszczoną głową i rękami złożonymi na brzuchu. Na stuk otwieranych drzwi mruknął nie unosząc głowy: - Gdzie leziesz? Przyjdiesz, jak cię zawołam... - Tak, carze batiuszko, witasz swego wiernego sługę? - ze zjadliwą ironią spytał Grigorij podchodząc do carskiego krzesła. Dymitr uniósł głowę i jaki× czas wpatrywał się w niego mętnym, mało co przytomnym spojrzeniem. Widać opary alkoholu tumańczyły mu umysł, bo odezwał się, jakby rozstali się przed paru godzinami: - No i co? Czego się gapisz? - I po chwili, już trzeźwiej: - Dopiero teraz przypomniałe× sobie, że jeszcze żyję? Gdzieże× się włóczył tyle miesięcy? - Czknął gło×no, potem dodał, jakby dla wykazania, że całkiem jeszcze pamięci nie stracił: - Przecież wreszcie ten pies już zdechł... Zdechł dzielny nasz książ... - powtórzył z krzywym u×miechem. - Bóg sprawiedliwy ukarać go raczył - powiedział z powagą Suchecki. - Miałem jednak inne kłopoty i one to opóźniły mój powrót. - Czort z tobą... - Dymitr machnął ręką i zatopił palce w zmierzwionych włosach, drapiąc się po głowie. - Im mniej gadania, tym lepiej... Och, we łbie mi grzechoce... - Znow czknął. - Przykaż, niech przyniosą kwasu. Suchecki klasnął w dłonie, a kiedy po dłuższej chwili pacholek wysunął głowę zza uchylonych drzwi, przekazał mu polecenie Dymitra. - Jak tam teraz w Moskwie? - zapytał Dymitr. - Zrzucili wreszcie tego opryszka z tronu? Szykują go dla mnie? - Roze×miał się drwiąco, zaraz jednak zacisnął usta i zmarszczywszy brwi, spojrzał na przybysza. - No, czego milczysz? Nie masz nic do gadania? Niczego, com winien wiedzieć? - Gadać jest o czym, ale poczekam, aż gorzałka wyparuje ci ze łba. Wszedł pacholik niosąc dzban i kubki. Dymitr wyrwał mu z ręki

dzban, od razu przechylił do ust i pił łąpczywie, nie zważając, że częć pŁynu cieką mu po brodzie i moczy rozchełstną koszulę. Wreszcie odstawił naczynie i wytarł usta dłonią. - Uff... lżej mi teraz... No, możemy gadać, jużem nieco oprzytomniał. - Zamiast o sobie wolę mówić o tym, com tu ujrzał. Dziewki w poćcieli się walają, służba chodzi pijana, a i ty nie lepszy! - Większych trosk nie masz? - kpiąco prychnął Dymitr. - Bo ja mam... - O niektórych jużem sŁyszał. - O?... A o czym to? - Za nic cię mają! Nie tylko carskiej godnoćci, ale własnej, człowieczej, nie umiały zachować! Na pijaństwie i rozpućcie czas ci schodzi, o resztę nie dbasz! Miast sprzymierzeńców kaptować, wrogów jeno masz dokoła! Jakżem z gnoju cię wydobył, tak i w gnoju skończysz! - Dobrze ci gadać! - Teraz Dymitr wybuchnął potokiem sŁów: - To diabelskie nasienie, Polaczki przekłete wszystkiemu winne! Z goryczy piję i złoćci, nienawić mi kubek wciska do ręki! Za nic mnie mają, to prawda, ale pijaństwo, które mi wypominasz, to nie przyczyna, lecz skutek! Zdradzili mnie wszyscy podle, jak i ta dziwka Maryna, co z Zaruckim teraz się parzy! Grigorij, ojczulku, nijakiego respektu ni uszanowania mi nie okazują, bo wiedzą, że bez nich niczego nie osiągnę... Moskwy nie zdobęde, a jeszcze i gardło dam! Psy przekłete, bodaj gnili za życia! Rozzalił się i ostatnie sŁowa dopowiadał chlapiąc i siąkając nosem. Wreszcie zamilkł i wsparty łokciami o poręcz krzesła zapatrzył się tępo przed siebie. Nie zwracał już uwagi na Sucheckiego, który w milczeniu wysłuchał jego żalów. Odezwał się dopiero po chwili: - A co na to Maryna? Przecież w ten sposób i ją poniżają? - Im dotkliwszą zadają mi poniewierkę, tym większy okazją jej respekt. A do tego ma swego przydupnika, owego pięknisia Zaruckiego, co skacze koło niej i na niej... - Ponoć i Sapieha jest jej przychylny? - Na razie tak, ale coć mi się widzi, że sam łakomym okiem spogląda na moskiewski

tron, toteż może stąd ta przychylność... Suchecki pokręcił głową i spytał tylko: - Jakie zatem w tej sytuacji widzisz wyjście? - Przyjęcie propozycji, jaką otrzymałem z dworu Zygmunta. Przyobiecują mi Sambor lub Grodno w dożywocie, jeśli ustąpię z placu. - No i? - Może byłoby to wyjście... Sam nie wiem... Suchecki zacisnął usta, by nie wybuchnąć potokiem przekleństw, nie takiego bowiem ukoronowania swoich planów się spodziewał. Sama Opatrzność rozprawiła się z Wasylem, a teraz okazywało się, że wybrany człowiek nie jest zdolny do odegrania wyznaczonej mu roli. Grigorij zdołał wszakże opanować wściekłość i spytał z pozornym spokojem: - A co na to Maryna? - powtórzył uprzednie pytanie. - Ano, właśnie... Słyszeć o tym nie chce, suka przekłeta... Nie mnie, ale swego pętaka chce widzieć na carskim tronie! - Tak... - Suchecki skwitował tę wiadomość tylko tym jednym słowem, jakby chciał ukryć za nim nurtujące go myśli. Odszedł od stołu, przy którym siedział Dymitr, i wolnym krokiem przemierzył komnatę. Wściekłość z wolna w nim wygasła, pozostawała jednak zimna nienawiść szukająca ujścia. Dymitr wiódł za nim spojrzeniem, wreszcie przerwał zaległą ciszę: - Cóżże tak długo robił w Moskwie? Kiedy dowiedziałem się, że Rożyński zmarł, radowałem się ze spełnionej zemsty. Ale dlaczego nie wracałeś tak długo? Gdyby był przy mnie, może inaczej potoczyłyby się sprawy. - Przygotowania zajęły mi dużo czasu, więcej, niżem przypuszczał. Byłem jednak zależny od człowieka, który udzielił mi pomocy i dał władczych ludzi. - Co to za jedni? - Mężczyzna i dziewczka. - Tylko dwoje? - Dwoje, ale groźniejsi od tatarskiej sotni. - Gdzie teraz są? - Tu, przy mnie. - Trzymaj ich, mogą się przydać. - Dlatego też wzięłem ich ze sobą. Byli wszakże na żołdzie Wasyla, a teraz są na twoim, mnie za pieniądze już się skończyły. - Chciałbym miał trawę żreć, a ich opłacę! Wycisnę jeszcze z

Walawskiego, wiele trzeba. Trzymaj ich zatem przy sobie. Trzymaj, bom wszystko rozważył i chcę żądać od ciebie zapłaty, bo za twoją przyczyną znalazłem się w tej biedzie! - Za moją przyczyną? - ze zdumieniem spytał stary szlachcic i zaraz dorzucił, ale już ogarnięty gniewem: - A nie za swoją czasami? Nie dlatego, że Maryny nie umiał uszanować, nie widział w niej swej głównej podpory? - grubiańsko i bez żadnej politycznej przebiegłości polskich dowódców traktował, przez co pozwolił Rożyńskiemu wziąć wodze w ręce miast samemu je dzierżyć, że wreszcie pijaństwem łeb sobie mroczył zamiast trzeźwo myśleć zachować?! I teraz mnie o swoją niedolę obwiniasz?! Tfu, do czorta, głupi byli i głupi pozostał! - Stary szlachcic, poczerwieniały na twarzy z oburzenia i wysiłku długiej przemowy, splunął na kobierzec. - A obwiniam! - z uporem powtórzył Dymitr. - Bo to ty pchnął mnie na tę drogę, ty niby szatan skusił mirażem władztwa i bogactw! Ty mnie zwiódł i od ciebie teraz będę żądał zapłaty! - Zapłaty? - powtórzył Grigorij Pawłowicz, nadal zaskoczony słowami samozwańca. - Jakiej to zapłaty chcesz żądać? - Jako człek już stracony - nieoczekiwanie poważnie i ze spokojem powiedział Dymitr, zapatrzony w dywan u swych nóg, i mówił dalej, jakby w odpowiedzi własnym myśleniem: - Nie ma wielkich nadziei, abym wylazł z tej jamy, w jaką wpadłem, być może przez swoją głupotę. Toteż pozostała mi tylko zemsta, i chcę, aby ty jej dokonał! Potrzebne pieniądze ci dam, ty zaś będziesz moim mścicielem. W ten sposób, jeśli przyjdzie mi głowę położyć, nie ciebie będę o to winił z tamtego świata, bo jeśli me żądanie zgodzisz się spełnić, rachunek ze mną, żywym czy martwym, wyrównasz... - Kogo swoją zemstą chciałby osiągnąć? - cicho spytał Suchecki. - Tych, których zniechęciłem do głębi serca, którzy, przeniewiercy, podstępni i kłamliwi, wpędzili mnie w nieszczęście, a za

porzucili niczym dziurawy, do niczego niezdatny garnek!  
Przekłete psy tylko łupów żądne, niech za moją zgubę sami zapłacą! - Dymitr, choć coraz bardziej wzburzony, również zniżył głos. - Jakże ową zemstę widzisz? Przecież sam przeciw ich siłom nie stanę... - Toteż nie siłą, lecz podstępem trzeba ich zmóc! I żołnierzy, i to dobrych, mają tysiące i tym rady nie dasz, ale wystarczy wodzów ich pozbawić, a wówczas i najlepszy żołnierz nie przyniesie pożytku. W wodzów trzeba ci uderzyć, bo bez nich niczego nie działają. Wówczas ja serce zemstą nakarmię, a ty krom mnie i matce Rosji oddasz przysługę! Grigorijem Pawłowiczem mocno wstrząsnęło usłyszane żądanie, a także i ocena tego prostaka. Sam już dostrzegł zmianę sytuacji i przemy×liwał nad dalszym działaniem. Doznany zawód napawał go goryczą, bo klęska jego zamysłu była wyraźna, jak i widoczny koniec kariery drugiego samozwańca, toteż mimo woli szukał uj×cia dla miotającego nim gniewu. Teraz to żądanie, nieoczekiwane wobec prostactwa jego wybrańca, wskazywało mu drogę dalszych działań, których ostateczny cel wydawał się wart wysiłku. Milczał jednak chwilę, zanim odpowiedział: - Sprawa godna rozważenia... Tym bardziej teraz, kiedy służyć nie mam już komu... - Uwolniłby× kraj od przekłętego najeźdźcy, a mnie uradował duszę! A je×li zginę, z tamtego ×wiata nie będę cię przynajmniej przeklinał... Grigorij Pawłowicz u×miechnął się drwiąco na to ostatnie zapewnienie i odpowiedział z powagą: - Pomy×lę nad tym, co× mi rzekł. Ale to nie będzie tania impreza... - O to n iech cię głowa nie boli! Jakem rzekł, pieniądze na to znajdę. W kilka dni po tej rozmowie Sapieha ruszył wojsko, by zbliżyć się ku Moskwie i tam zadecydować o dalszych działaniach. Po drodze zdobył monaster Pafnucego, potem zatrzymał się o trzy mile od stolicy. Towarzyszący mu Dymitr i Maryna stanęli kwaterą w niedaleko położonym monasterze Nowe Hroszy, a z nimi i

ataman Zarucki ze swymi Kozakami. Książ Mściłowski w imieniu Rady Bojarów wręcz zażądał od hetmana iólkiewskiego rozprawy z samozwańcem, by chociaż od tej strony odsunąć od stolicy zagrożenie. Ponieważ propozycja polskich kół dworskich nadania samozwańcowi Grodna lub Sambora w dożywocie została nie przez Dymitra, lecz Marynę odrzucona, i to w sposób obraźliwy, iólkiewski dał posłuch naleganiom Mściłowskiego i przyjął pod rozkazy ofiarowane mu w tym celu wojska moskiewskie. Jednocześnie w tym czasie wyjeżdżało do Smoleńska liczne poselstwo bojarskie z metropolitą Filaretem i księciem Golicynem na czele, by skłonić króla Zygmunta do wyrażenia zgody na objęcie przez królewicza Władysława moskiewskiego tronu. Dopiero więc po wyprawieniu tego poselstwa wyruszył hetman przeciw samozwańcowi. Ten bowiem opuścił Kaługę i korzystając z przychylności, jaką Sapieha darzył Marynę, niejako pod jego opiekę wraz z nią udał się pod Moskwę, by za radą Sucheckiego być bliżej zdarzeń, które mogły zadecydować o jego losie. Toteż zatrzymał się w Monasterze Uhreckim czekając na wynik spodziewanej, bratobójczej walki pomiędzy uwiackim starostą a iólkiewskim. Wojsko - piętnaście tysięcy żołnierzy moskiewskich i dwa tysiące jazdy polskiej - dla skrócenia drogi przeszło przez Moskwę nocą z piątego na szósty września 1610 roku. Wyszło południowymi bramami i skierowało się na Nowe Hroszy. Pan Sapieha był jednak zbyt dobrym wodzem, by dać się zaskoczyć. Kiedy bowiem już wiataniem zbliżono się do celu wyprawy, iólkiewski i towarzyszący mu książ Mściłowski otrzymali meldunek od straży przedniej, że wojska nieprzyjacielskie stoją uszeregowane do bitwy na pół mili od monasteru. Hetman, nie przerywając marszu, popieszył do czołowych oddziałów i wkrótce ujrzał sapieżyńskie chorągwie rozciągnięte na szerokim polu. Galopował od nich mały oddziałek jezdnych z

powiewającą na wietrze białą chorągwią. Jak się potem okazało, był to pułkownik Pobiedziński z kilku rotmistrzami, który imieniem braci szlachty przybył prosić hetmana, by nie następował na nich i nie przelewał bratniej krwi, lecz szukał porozumienia, które, jak wierzą, niechybnie nastąpi. Mimo niezadowolenia kniazia M×cisławskiego, pragnącego od razu rozpocząć bitwę, hetman wdał się w rozmowę z przybyłymi oficerami. Jeszcze w trakcie jej trwania nadleciał kolejny oddział, tym razem z samym panem Sapiehą na czele. Podjeżdżając do powiewającego na wietrze hetmańskiego buńczuka, już z dala zdjął kołpak dla okazania należnego respektu. Kiedy za× stanął przy wierzchowcu pana íólkiewskiego i u×cisnął podaną mu dłoń, odezwał się: - Nie było moim zamiarem chwycić przeciw braciom za oręż, ale raczej, połączywszy siły, skłonić Dymitra do zgody, a chociażby nawet ustąpienia z placu. Wszakże, mo×ci hetmanie, skoro× zbrojnie przeciw mnie ruszył, masz oto moich żołnierzy gotowych do bitwy! - Wcale nie pragnę, aby do niej doszło, mo×ci starosto - odparł hetman. - W przeciwnym razie nie wiedliby×my tej rozmowy. Do bitwy nie bądź wa×ć jednak zbyt skory, bo miałby× do czynienia ze zbyt znaczną przewagą, której nie sprostałaby ani dzielno×ć żołnierza, ani talenta wodza. Nie o to jednak chodzi, by brać się za łby, ale próbować, czy do ugody nie można by doj×ć. - Chętnie tedy wysłucham, jak ową ugodę wasza wielmožno×ć widzisz... - odparł z u×miechem pan Sapieha. Ta pierwsza wymiana zdań dopiero się rozpoczęła, a już pognali ku sobie co gorętszej krwi harcownicy, krzyżując ostrza i tańcząc koło siebie końmi w przebitewnych potyczkach. Toteż Sapieha, spojrzawszy za siebie, urwał wypowiedź i zaproponował: - Trzeba chyba wprzód wojska cofnąć, bo gotowe same rozpocząć bitwę... íólkiewski przychylił się do tej propozycji. Rozkazy zostały wydane i linie obu wojsk zaczęły opuszczać

zajmowane stanowiska. Rozmowy, już w spokojniejszej atmosferze, wszczęto na nowo. Hetman poinformował pana Sapiehę o propozycjach przesłanych Dymitrowi i urągliwych odpowiedziach, jakie otrzymał od niego, a zwłaszcza od Maryny. Ostatecznie uchwalono ponowienie tych propozycji, gdyby za× i teraz zostały odrzucone, pan Sapieha zobowiązał się nie popierać nadal samozwańca. Porozumienia tego nie spisano, a jedynie obaj wodzowie potwierdzili jego przyjęcie u×ciskiem dłoni. Jednak i tym razem Maryna odrzuciła ofiarowane zabezpieczenie. Zgodnie więc z daną obietnicą Sapieha odstąpił samozwańca i wkrótce potem wyjechał do swego U×wiatu. Hetman miał jeszcze sporo kłopotów z jego żołnierstwem, które w większo×ci nie chciało podporządkować się decyzji swego wodza, obstając przy dalszej służbie u Dymitra. Dopiero po przewlekłych sporach udało się skłonić nieposłuszne chorągwie do udania się na zimowe leże w siewierskie ziemie. Wrze×niowa noc była ciepła, ale że niebo pokrywały chmury, więc ciemna choć oko wykol. Konie Dymitra i Suheckiego szły bok przy boku, stukając kopytami o twardą ziemię polnej drogi. Tuż za nimi kłusował oddział tatarskiej straży przybocznej pod wodzą Uruzowa, a parę staj dalej toczyła się kareta i wozy Maryny, otoczone Kozakami Zaruckiego. Gdzie× w przodzie szła niewidoczna w nocnej czerni straż przednia, przed obu jeźdźcami za× jechał pacholik z kagańcem zawieszonym na wysokiej tyce. Falujący na wietrze płomień rzucał krąg czerwonego, chybotliwego ×wiatła, którego blask nie sięgał wszakże dalej niż do poboczy drogi. Carskiej parze, ostrzeżonej w ostatniej chwili, udało się uj×ć tuż przed przybyciem żołnierzy pana íólkiewskiego, którzy dostali rozkaz pojmać ich i stawić przed jego oblicze. Uciekali teraz do Kaługi, jak dotąd wiernej samozwańcowi. Już koło południa stało się panu Suheckiemu jasne, że sprawy źle idą.



Powiadomiony o nadciągnięciu wojsk hetmańskich i rozpoczętych rozmowach z Sapiehą wysłał z monasteru paru co sprytniejszych dworaków, by dotarli w pobliże toczących się rozmów i starali się dowiadywać, jaki mają przebieg. Stary lis był bowiem ×wiadom, że nadchodzi najbardziej krytyczna chwila w karierze jego wybrańca. Po pierwszych wie×ciach przysły następne, że rozmowy trwają, co już było niepokojące. Pod wieczór za× nadleciał kolejny goniec z wie×cią, że obaj rozmówcy podali sobie dłonie. Oznaczało to, że nad głową Dymitra zawisło ×miertelne niebezpieczeństwo. Dał więc obojgu godzinę na spakowanie tobołów, a straży tatarskiej i Kozakom za karmienie koni. Mimo że od kilku godzin byli już w drodze i groźba pogoni znacznie się zmniejszyła, nieskoro im było do rozmowy. Toteż jechali obok siebie w milczeniu, kiwając się w kulbakach. Czerwony blask kagańca nie wybiegał dalej niż na kilka kroków, wszakże nieco o×wietlał drogę. Chwilami padał przed końskie łby, by za chwilę, targnięty wiatrem, umknąć w bok i wyrwać z czerni nocy kontury drzew na poboczu. Wylaniały się wówczas z ciemno×ci, a kiedy ×wiatło pomknęło dalej, znów w niej się kryły. W ciszy nocy słyhać było tylko głucho dudnienie kopyt, od czasu do czasu rozległo się parsknięcie wierzchowca lub zaskrzypiała skóra siodła. Dymitr odezwał się w ciemno×ciach, gło×no widać ciągnąc swoją my×l: - ...przynajmniej dożyłbym w dostatku i spokoju reszty swoich dni... Ale nie chciała, suka przeklęta... Suchecki domy×lił się, o czym towarzysz mówi, więc spytał: - Cóże× zatem odpowiedział posłowi íólkiewskiemu? - íe przedkładałam służbę u chłopca nad Zygmuntowy chleb. - A ona? - Jeszcze dosadniej! Jakby już siedziała na carskim tronie! - Hm... - mruknął stary szlachcic, po czym dodał: - Toteż uciekamy teraz po nocy niczym złodzieje... - Ten jej gaszek, Zarucki, podbuntował ją do tego. Nie chce jej z rąk wypu×cić, bo

własne ma plany! - wybuchnął Dymitr. Suchecki obejrzał się. Zobaczył tuż za plecami łeb konia dowódcy tatarskiej straży Uruzowa, rzucił mu więc rozkazująco: - Przyciągnij no wodze i odstań od nas, by×my mogli z carem batuszką spokojnie pogadać! - Według waszej woli, panie... - Tatar musiał wstrzymać wierzchowca, bo jego głos dobiegł już z głębi ciemno×ci. Grigorij Pawłowicz podjął rozmowę: - Zarucki na carską koronę nie może liczyć, gdyż bojarstwo nigdy go nie uzna. - Toteż ponoć obiecuje Marynie, że jej szczeniaka po tamtym Dymitrze osadzi na tronie. Wówczas byłby pierwszą osobą w całym moskiewskim kraju, to po co mu korona? Suchecki zmienił temat: - Po przybyciu do Kaługi wy×lę posłańców, by zwiedzili się, co słyhać w Moskwie, gdyż od nowa trzeba nam szukać sprzymierzeńców. Nie całe kozactwo stoi za Zaruckim i nie wszystkie polskie chorągwie opowiedziały się za Zygmuntem. - Pies z nimi tańcował, gady przekłete! Nie chcę nic o nich słyseć. Zdradzieckie sobaki, rodzoną matkę za złoto daliby w niewolę! Słowa Dymitra były przesycone tak zajadłą nienawi×cią, że stary szlachcic z mimowolnym uznaniem spojrział na swego towarzysza, którego dotąd miał za lichą miernotę. Kiedy więc odezwał się, w jego głosie pojawił się pojednawczy akcent: - Póki× zdrów i głowę nosisz na karku, nie wolno ci tracić nadziei. Każdy dzień może przynie×ć odmianę fortuny. Bojarzy wadzą się ze sobą w wy×cigu do tronu, Zygmunt takóże pcha się na niego, nieskory dać im syna, a niech nie stanie íólkiewskiego, wszyscy polscy wodzowie wezmą się za łby. - Nie wierzę już w fortunę, bo prawdziwie zwa ją kapry×ną niewiastą, jako że kurewską ma naturę. Możesz sobie posłańców do Moskwy słać, ale skoro już o polskich wodzach mówimy, obiecał× odpowiedź mi dać... Jakaż jest ona? Suchecki nie odpowiedział od razu. Słyhać było tylko stukot końskich kopyt, toteż Dymitr rzucił ze zniecierpliwieniem: - Nie

słyszałe×, o co pytałem?! Czemu nie odpowiadasz? Na to ponaglenie rozległ się w ciemno×ciach głos starego szlachcica: - Rozważyłem sobie twoją wolę, Dymitrze. Wykonam ją, ale tylko je×liby ciebie nie stało, bo wówczas już jedynie matce Rusi pozostanie mi służyć... - Przysięgasz mi to? - Przysięgam... - Dziękuję ci, wierny mój druhu... - z powagą odpowiedział Dymitr ×cisząc głos. - Pocieszyłe× moje serce. W Kałudze dam ci zaopatrzenie i ruszaj nie czekając, aż mój los się spełni... Zamilkli obaj i w mrokach nocy słycać było tylko stłumiony grzmot kłusującego oddziału. Coraz większe poważanie u bojarów zdobywał sobie pan íólkiewski. Owemu jego nocnemu przemarszowi byli niektórzy przeciwni, gdyż obawiali się swawoli polskiego żołnierza, mając po temu liczne powody. Jednak karno×ć, porządek i sprawno×ć, jaką okazały chorągwie w czasie tej nocy, ciągnąc przez u×pione ulice miasta pod osobistym dowództwem hetmana, jeszcze bardziej wzmogły to poważanie. Toteż bojąc się bojarских wa×ni i spisków w walce o tron, uznawano w nim bez sprzeciwów zarządcę kraju do czasu objęcia tronu przez królewicza Władysława. Zagrożenie bezpieczeństwa Moskwy, jakie owe spory mogły przynie×ć, najlepiej rozumiał mądry książ M×cisławski. On też był głównym rzecznikiem przekazania panu íólkiewskiemu skarbcza carów rosyjskich oraz majątków wtrąconych do więzienia braci Szujskich. Wasyl, jak wiadomo, po przymusowym postrzyżeniu został jako mnich osadzony w Czudowym Monasterze, Iwan za× i Dymitr - w twierdzy Białej. Rada Bojarów prosiła też hetmana o obsadzenie Moskwy przez polskich żołnierzy, bała się bowiem buntu carskich strzelców sprzyjających Wasylowi. Weszły więc do stolicy w pierwszej połowie października pułki Zborowskiego, Kazanowskiego, Weihera, Strusia i Gosiewskiego oraz rotы niemiecko\_ szwedzkie, które pod

Kłuszynem przeszły na polską stronę. Zborowski ze swymi chorągwiami stanął w Bielogorodzie, Kazanowski w Kitajgorodzie, pułki hetmańskie w Krymgorodzie, zwanym też Kremlinem, a oddziały Gosiewskiego o ćwierć mili za miastem, w Nowodiewicznym Monasterze. Wiaźmę, Borysów i Możajsk obsadziły wojska Strusia i kniazia Poryckiego. Ogólna liczba żołnierza, jaką rozporządzał hetman, nie licząc piechoty, przekraczała nieco sześć tysięcy. Tymczasem do uszu iółkiewskiego zaczęły dochodzić ze Smoleńska niezbyt pomyślnie wiadomości, a wszystkie mówiły o knowaniach wrogich mu Potockich. Mimo więc że jego obecność w Moskwie była konieczna, postanowił udać się do smoleńskiego obozu, by tam osobiście zabiegać o królewską decyzję i w ten sposób dotrzymać sierpniowego paktu, potwierdzonego przysięgą i własnym podpisem. Aby swemu przybyciu nadać większy splendor i pozyskać królewską przychylność, wysłał chorągwie do Czudowego Monasteru i Białej z rozkazami wyciągnięcia do Moskwy więźniów, by topomiędzy jego gajami, ogrodami, sadami, dworzyszczami i dworami, domami, a nawet i kurnymi chatami. Cała ludność opuściła domostwa, by zaspokoić ciekawość i na własne oczy ujrzeć tę czarnowłosą Polkę, co miała zasiąść na carskim tronie u boku swego młodego małżonka. Grzmot okrzyków rozbrzmiewał szeroko i podążał za posuwającymi się pojazdami i towarzyszącą im eskortą. Nawet nie widząc owego wspaniałego widowiska, można było rozeznać, gdzie w danej chwili znajduje się orszak.

Tu i tam wybiegały na drogę zbłąkane psy i wystraszone krzykami rzucały się w różne strony, dopóki nie spędziły ich nahajki straży. Zdarzało się, że i niesforne stado krów zamiast podążać do zagrody wydostawało się, przerażone zgiełkiem, przed czołowy oddział i tłocząc się nieporadnie, próbowało przed nim uchodzić. Ale i takie przeszkody usuwano

natychmiast, aby nic nie zakłócało posuwania się orszaku. Wreszcie rząd karoc dotarł do zamku. Minawszy bramę karoca carycy zatrzymała się przed nowo wzniesionym, drewnianym monasterem, który car Dymitr kazał postawić dla swojej matki tuż przy cerkwi Wniebowstąpienia Pańskiego. Czekali już przed nim wyżsi duchowni prawosławnego obrządku z metropolitą Ignacym na czele. Powitał Marynę chór popów i dymy licznych kadzideł, a potem ksieni powiodwysłanych dla pilnowania porządku. Kiedy wreszcie przybyto pod stolicę, oczekiwały tam na polach dwa wielkie namioty z rozłożonymi przed wejściem dywanami. Otaczały je liczne poczty i tłum bojarów bijących czołem przed wysiadającą z karety Maryną. Potem, kiedy już zasiadła w jednym z namiotów na bogato rzeźbionym krześle, ciż sami bojarzy składali jej hołd zapewniając o wiernym poddaństwie. W drugim namiocie witany był pan wojewoda, obdarowany przy tej okazji wierzchowcem w bogatym rzędzie, o strzemionach dla pilnowania porządku. Kiedy wreszcie przybyto pod stolicę, oczekiwały tam na polach dwa wielkie namioty z rozłożonymi przed wejściem dywanami. Otaczały je liczne poczty i tłum bojarów bijących czołem przed wysiadającą z karety Maryną. Potem, kiedy już zasiadła w jednym z namiotów na bogato rzeźbionym krześle, ciż sami bojarzy składali jej hołd zapewniając o wiernym poddaństwie. W drugim namiocie witany był pan wojewoda, obdarowany przy tej okazji wierzchowcem w bogatym rzędzie, o strzemionach i olstrach ze złota, do których włożono jeszcze różne klejnoty i dwanaście złotych czarek. Zaraz też wjechali na Kreml polscy posłowie, by zawiadomić oficjalnie cara o przybyciu jego małżonki. Wkrótce po objęciu władzy dwie sprawy najbardziej zaprzętały myśli Dymitra. Jedna to jak najrychlejsze ujrzenie przy swym boku ukochanej małżonki, druga to umocnienie pozycji na carskim tronie. Do narad woła

jednak nie zapraszać bojarów czy diaków, którzy tylko zdawali się być wierni jego osobie, lecz swych polskich doradców, a wśród nich również i towarzyszących mu jezuitów. Ci jednak nie znali ducha ruskiego narodu ani jego obyczajów i praw, toteż ich rady i zalecenia nie były najlepsze. Jezuiti, niechętni krwawym kaźniom, woleli stosować inne, dyskretniejsze sposoby dpilnowania porządku. Kiedy wreszcie przybyto pod stolicę, oczekiwały tam na polach dwa wielkie namioty z rozłożonymi przed wejściem dywanami. Otaczały je liczne poczty i tłum bojarów bijących czołem przed wysiadającą z karety Maryną. Potem, kiedy już zasiadła w jednym z namiotów na bogato rzeźbionym krześle, ciż sami bojarzy składali jej hołd zapewniając o wiernym poddaństwie. W drugim namiocie witany był pan wojewoda, obdarowany przy tej okazji wierzchowcem w bogatym rzedzie, o strzemionach i olstrach zeaktu rozbito natychmiast dwa namioty z ołtarzami. Jeden w obrządku katolickim, gdzie ugodę zaprzysiągł jako pierwszy hetman, a za nim wszyscy pułkownicy, rotmistrze i inni co przedniejsi dowódcy, w drugim, dla obrządku prawosławnego, patriarcha Hermogenes dawał do ucałowania krzyż bojarom, duchowieństwu i przedstawicielom wszystkich stanów na znak poddaństwa wielkiemu hosudarowi Władysławowi Zygmuntowiczowi, carowi Moskwy i Wszechrusi. Przysiedze tej wtórował krzyk zebranego ludu, głos trąb, uderzenie bębna? - Niski, chudy jak patyk, z rzadką, jakby wyczesaną zgrzebłem bródką, a nos sterczy mu z chudych policzków niczym ogórek. Ma przy tym iście diabelskie spojrzenie, które zda się na wylot przewiercać człowieka. Rutje uśmiechnął się z lekka. - Gdzie go pan tu dostrzegł? - Na targowym placu w Sieniawce. I co mnie zaciekało, że prowadzi tam oberżę. On, ponoć najwierniejszy Dymitrowy sługa! - Zapewne porzucił samozwańca, by ratować skórę, bo nie wydaje mi się, aby ten

szalbierz wiele już zdołał zdziałać - zauważył Rogowski. - Może tak, a może jest tego i jaka× inna przyczyna... - nie dawał za wygraną Jedlina. - Dziwnym też mi się zdało, że wówczas w Moskwie miał na sobie zakonną odzież. - Jak go spotkasz, to go o przyczynę pytaj - poradził kpiąco Lisowski, po czym ciągnął, zmieniając temat: - Mnie za× bardziej ciekawi, czy uda się panu íólkowskiemu skłonić króla jegomo×ci do zgody na objęcie przez Władysława moskiewskiego tronu. - Ponoć hetman, związany swoim podpisem na pakcie z bojarstwem, bardzo zabiega o jego przyjazd. Może dlatego przywiózł podarek, by zjednać Zygmunta? - On łatwo zdania nie zmienia, bo uparty niczym... No, Bóg z nim! Są wszakże i panowie Potoccy, którzy nieskorzy do tego dopu×cić - zauważył Rymśa. - Owych za× jeńców, choć z honorami przyjmowanych, mają ponoć odesłać do Korony i trzymać w lochu. Dyskusja ciągnęła się dalej, jedynie Rutje nie wtrącał się już do rozmowy. Wiatr uderzał w okiennice niby niecierpliwy pątnik domagający się schronienia przed słotną pogodą. Chlustał strugami deszczu i bił raz po raz setkami ciosów w deski z zajadłą natarczywo×cią, jakby rozeźlony, że stawiają mu opór. W zamkowej komnacie tylko te odgłosy jesiennej pogody zakłócały panującą ciszę. Na wielkim kominie palił się suty ogień, a płonące w lichtarzu ×wiece wzmagwały ×wiatło padające z paleniska. Przy ogniu, zapatrzona w jego płomienie, siedziała Maryna. Zarucki przerwał swoją milczącą wędrówkę po komnacie i stanął za jej fotelem. Padający z kominka blask o×wietlał jego wysoką, zgrabną postać o wąskich biodrach i szerokich barach. Faliste, czarne włosy okalały piękną, męską twarz z parą wielkich, ciemnych oczu o długich niczym u dziewczyny rzęsach. Prosty nos z ostro zarysowanymi nozdrzami i foremne usta pod czarnym wąsem tworzyły obraz rzadko spotykanej, męskiej urody. Oboje

przerwali prowadzoną rozmowę i pochłonięci myśłami nie wznawiali jej przez dłuższą chwilę. Dopiero po pewnym czasie Maryna podjęła wątek, nadal mówiąc po polsku: - Czy Proszowicki aby przyjmie warunek, jaki postawiliśmy Lepunowowi? - Prokop twierdzi, że przyjmie, bo go nie odrzucił, lecz tylko prowadzi targi. Sądę na podstawie wiadomości, jakie otrzymałem z innej strony, że porozumienie jest na dobrej drodze. Jeśli ono nastąpi, los Gosiewskiego będzie przesądzony, bo takiej przewadze nie sprosta. - Oby stało się to jak najprędzej - rzekła z westchnieniem Maryna. - Ale pamiętaj, Janie, że tron dla Dymitrowego syna muszą zaprzysiąc i pakt podpisać! Niech sprawiedliwości stanie się wreszcie zadość, gdyż mój zmarły małżonek był prawowitym synem Iwana Groźnego, więc jego synowi korona przynależy... Zarucki, wciąż stojąc za fotelem Maryny, położył dłoń na jej ramieniu. - O to się nie kłopotcz. Bez spisanych i potwierdzonych podpisami warunków nie przyłączę się do nich... A moi Kozacy to siła, z którą muszą się liczyć. - Boję się podstępu z ich strony. Po zdradzie Sapiehy już nikomu nie wierzę, tym bardziej że Prokop Lepunow to chytry, przebiegły człek. Dla niego przysięgi i pakta niewiele znaczą. - Dotrzymania warunków dopilnują szable moich Kozaków. - W tobie teraz cała moja nadzieja. Tylko ciebie mam, mój najmilszy, i tylko tobie ufam... - Obróciła głowę i spojrzenie wielkich, czarnych oczu utkwiała w twarzy nachylonego nad nią mężczyzny. - Nie odstąpię cię póki życie, moja ptaszyno! Czego bądź pewna, bo wiesz, jak cię miłuję... Objął ją ramieniem przysiadając na poręczy fotela, ona zaś oparła głowę o jego pierś. Złączeni uściskiem znów zamilkli. W komnacie nadal rozlegały się hałasy szalejącej wichury i plusk deszczu. Tym łaskawszy i opiekuńczy zdawał się być ogień buchający w kominku, tym bardziej kojący blask jego płomieni, który padał na zasłaną



kobiercami podłogę. Znów pierwsza odezwała się Maryna: - Może jeszcze fortuna się odmieni... - westchnęła cicho. - Na pewno, miła. Bóg nie dopuści, by twemu dziecięciu stała się krzywda. Nie wątpię też, że usunie główną przeszkodę stojącą mu na drodze do tronu. Może już by to uczynił, gdyby go o to prosiła. - Nienawidzę Dymitra z serca, ale przecież nie zdołam o to się modlić... Zwłaszcza teraz, kiedy wszyscy go opuścili. - Gdyby zezwoliła, rozprawiłbym się z nim w godzinę! - Nie, Janku, tylko nie to! Nie chcę przykładać ręki do jego zguby. - Miałem tureckiego jeńca, Greka rodem, który pływał po wielu morzach. Ten mi opowiadał o marynarskim obyczaju praktykowanym na statkach w razie niepowodzeń w żegludze. Załoga wyszukuje wśród siebie tego, który przynosi nieszczęście, i wyrzuca go w morze... ów Grek twierdził, że niejeden statek przez to się uratował. My też wiemy, kto jest przyczyną naszych niepowodzeń... Maryna odsunęła się od atamana i uczyniła przeczący ruch głową. - Nie... nie mogę... Podobnego grzechu nie wezmę na swoje sumienie. Zarucki obrócił się do ognia i chwilę wpatrywał w lizgające się po bierwionach płomienie, po czym powiedział na wpół do siebie: - Darmo niczego się nie osiąga. Im wyżej sięgasz, tym większą cenę musisz zapłacić. Niech moje sumienie ten grzech obarczy... Maryna zerwała się z miejsca i gwałtownym szarpnięciem obróciła go ku sobie. Był od niej o pół głowy wyższy, więc uniosła w górę spojrzenie, a w jej oczach zaszklily się łzy. Powiedziała stanowczo: - Nie! Słyszysz, nie! Masz uszanować moją wolę! Zarucki, ujrawszy jej błagalne spojrzenie i drżące raczej prośbą niż rozkazem usta, wziął ją w ramiona i całując pokrytą łzami twarz, mówił gwałtownie: - Tylko mi nie płacz, bo niewart twoich łez! Niech będzie, jak chcesz, choć tylko on stanowi teraz przeszkodę w naszych dążeniach, tylko on zagradza twemu synowi drogę do tronu. No, już się uspokój, miła, nie dręcz się tym psubrątem... Niech

Bóg sam rozstrzyga o jego losie! Uspokojona objęła ramionami jego szyję i odchyliwszy głowę podała mu usta. Przez kilka najbliższych dni Zarucki wracał myślą do tej rozmowy, wciąż na nowo rozważając sprawę. Wreszcie któregoś wieczoru kazał zaufanemu słudze odszukać Uruzowa, dowódcę tatarskiej straży Dymitra, i wezwać go do siebie. Kiedy już nocną porą Uruzow stanął się i od progu bił pokłony, Zarucki obrzucił go krótkim spojrzeniem i przemierzywszy kilku krokami izbę, zatrzymał się przed Tatarem. Ten czekał w milczeniu, aż ataman odezwie się pierwszy: Zarucki nie spieszył się jednak z wyjaśnieniem powodów wezwania. Jakiś czas wpatrywał się z namysłem w chudą, kościstą twarz murzy, potem obrócił się i ciężko usiadł na zydlu, stojącym w pobliżu palącego się na kominie ognia. Wreszcie przerwał panującą w izbie ciszę: - Widział kto, jak Kozak prowadził cię do mnie? - Nie spotkaliśmy nikogo, wasza wysokość... Tylko straż nas okrzyknęła. Zresztą ćma taka, że o pół kroku nic ujrzeć nie można. - Hm... to i lepiej. A przywołałem cię do siebie, bom właśnie usłyszał, że ponoć w ciemnicy dobry miesiąc przesiedział. Kiedy to było? Tatar chmurnie ciągnął brwi. - Rok temu, wasza wysokość... - Z czyjego rozkazu? - Batuszki cara... - Za co cię tak pokarał? Bo i chłostę przykazał ci wymierzyć. - Tak, to prawda. Plecy miałem tak posiekane, jakby kto nożem pokrajał. I to za nic, bez żadnej winy... Złą wieść mu przyniosłem i trafiłem na rozeźlonego, a do tego ojczulek już pijany był mocno. Toteż przykazał mnie obatożyć i do ciemnicy wsadzić. - I mimo to służysz mu dalej? W oczach murzy ukazał się krótki błysk, ale zaraz zgasł. Nie uszedł wszakże uwagi atamana. - Do łaski mnie przywrócił, to i służę - padła spokojna odpowiedź. - To zły wyznawca proroka. Nie przykazywał on okiem płacić za oko, a zębem za ząb? Z ust murzy wyrwało się krótkie, jakby zduszone w gardle westchnienie, lecz nie padło ani

słowo odpowiedzi. - Dlaczego milczysz? Tatar uniósł wzrok i utkwiał spojrzenie w oczach atamana. - Do czego zmierzacie, panie? - Chcę wiedzieć, dlaczego<sup>×</sup> zapomniał o przykazaniu Allacha i jego proroka. - Jam nie zapomniał, panie. Ale przykazał on także wiernie służyć swym władcom i być cierpliwym... Zarucki z aprobatą skinął głową. - Chwali ci się to, murzo. Dojrzały mąż nie działa pochopnie, bo przystoi mu rozważa i cierpliwos<sup>×</sup>ć, o której rzekł<sup>×</sup>. Lecz oczekiwanie nie powinno trwać za długo, bo osłabia gorliwość w służbie wiary. - To prawda, wasza wysoko<sup>×</sup>ść... Zarucki podszedł do stołu, na którym stała okuta żelazem skrzynka, uniósł jej wieko i wyjął dwie mocno wypchane sakiewki, stawiając je obok szkatuły. - Chcę cię wynagrodzić, że<sup>×</sup> prawy wyznawca swej wiary. Jeden mieszek dla ciebie, drugi dla twoich ludzi. Je<sup>×</sup>li dar mój przyjmiesz, będę sądził, że<sup>×</sup> zrozumiał mnie tak, jak ja ciebie. Murza skłonił się nieomal do ziemi, po czym podszedł do stołu i zagarnął w dłoń obie sakiewki. Jednocześnie, spotkawszy się wzrokiem z atamanem, powiedział wolno: - Przyjmuję twój dar, panie... Samozwaniec siedział w Kałudze z nielicznymi już, wiernymi sobie bojarami, i to po<sup>×</sup>ledniejszych rodzin, pod opieką własnej straży tatarskiej, składającej się z trzystu wojowników, i mając już jako jedyną siłę wojskową - Kozaków atamana Zaruckiego. Spędzał czas na nieustannych pijaństwach i przeklinaniu Polaków. Toteż kiedy jego Tatarzy w jednej z wypraw napotkali chorągiew rotmistrza Czaplickiego, który nie zachował należytej ostrożnos<sup>×</sup>ci i dał się zaskoczyć, tracąc kilku towarzyszy i nieco czeladzi - w monotonii swego bytowania uznał to Dymitr za wielki sukces, nieomal przełomowe zwycięstwo. Może też, widząc upadek ducha w<sup>×</sup>ród swego otoczenia, chciał w ten sposób obudzić go na nowo, do<sup>×</sup>ć że ową potyczkę ogłosił jako znamienitą wiktorię, godną uczczenia biesiadą. Napalono więc w wielkim kominie,

znów nakryto stoły i batuszka Dymitr przyjmował swoich dworaków z rozradowaną twarzą. Należał do nich i dowódca jego straży Uruzow, który, posłuszny carskiej woli, właśnie przed kilku dniami przyjął chrzest przybierając imię Piotra. Mógł więc teraz wraz z innymi opróżniać szklance za zdrowie batuszki cara. On sam siedział pośrodku stołu w rozpiętym kaftanie, czerwony na twarzy od panującego w izbie ciepła i wypitych trunków. Wzniósł właśnie kielich do góry i omiótłszy spojrzeniem twarze biesiadników, przekrzykując panujący gwar, wołał: - Hej, druhowie moi, słuchajcie, co rzeknie car wasz prawosławny! Na dźwięk jego głosu zacichło przy stole i wszystkie twarze obróciły się ku niemu. On zaś, w rozchełstanej na piersi koszuli, z zaczerwienionymi policzkami, na których lśniły krople potu, rzucał słowa pełne zawziętości: - Na pohybel przeklętym Polakom! Jako my ich dzisiaj pogromili, tak teraz już bez przestanku gromić będziem, psów przeklętych, przeniwierców i zdrajców! Mili memu sercu bojarzy, pułkownicy i dworacy! Jako wy za moje zdrowie dotąd piliście, tak ja wypiję teraz za wasze, a zaś pijmy pospołu na śmierć i zgubę Polaków! Bowiem zapowiadam wam, że rychło dalsze nastąpią nad nimi zwycięstwa, aż precz ich przegnamy z naszej ziemi! Na pohybel im! Grzmot wrzasków wypełnił izbę, biesiadnicy zerwali się na nogi, wznosząc w górę kielichy i kufle. Kiedy zaś wołania "na pohybel" zaczęły przycichać i zajmowano znów miejsca, Dymitr ponownie zawołał: - Tak tedy, jak my pogromili owego Czaplickiego ze wszystkimi jego siłami, tak bić będziem i innych! Wnet nastąpią i dalsze ich klęski, dopóki nie ostaną tylko ci, co spoczną w mogiłach! Bo wysłannicy to złych mocy, których samo piekło nam przysłało, by wbrew woli Boskiej nie dopuścić mnie, a ze mną i was, druhow moich, do należnych każdemu godności. Wypuściłem ku nim strzałę śmierci i

niedługo już nadejdzie ta chwila, że znów jako i dzisiaj zasiądziem do stołów, jeno że w kramlowskim pałacu! Znów rozległy się wrzaski aprobaty i zapewnień wiernoci, które Dymitr przytłumił skinieniem ręki, dając tym do zrozumienia, że nie skończył jeszcze swej redy. Jakoż zaraz odezwał się znowu: - Skoro jestem jeszcze przy głosie, by za długo nie gadać, bo od nadmiaru słów sucho robi się w gardle, to powiem, że godzi się teraz wypić i zdrowie mego wiernego sługi, dowódcy mej wiernej straży tatarskiej, który posłuszny memu carskiemu rozkazowi chrzest przyjął i sługą naszej prawosławnej cerkwi został! Wszystkie głowy obróciły się ku krańcowi stołu, gdzie wśród poledniejszych biesiadników siedział starszyna carskiej straży. Ten usłyszawszy, o co rzecz idzie, uniósł się z ławy i poblady na twarzy bił głębokie pokłony. Ucztowano dalej, ale w miarę wzmaganą się pijackiej ochoty, a może od sutego ognia bijącego żarem z kominka, zaczęło robić się coraz goręcej, toteż ciągnano szuby i rozpinano kaftany. Odezwały się też i głosy, by rozewrzeć okna i dopuścić nieco zimniejszego powietrza. Usłyszawszy to Dymitr zerwał się z miejsca i wykrzyknął: - Czyż nie lepiej samym wyjść z tej dusznej izby? Będziem dalej ucztować na niego! Hej, służba! Rozpalić ogniska wśród drzew za murami zamku, rozstawić stoły i niech podjadą sanie z gorzałką i miodem! Ruszajmy ostudzić łby mroźną nocą! Wnet podano mu szubę i kołpak, a jego kompania, trącąc się i krzycząc z nadmiaru pijackiej uciechy, ruszyła za nim. Kiedy przybyli na miejsce, gdzie niedaleko zamkowej drogi skupisko drzew tworzyło rodzaj gaju, już paliły się tam ogniska, a na wydeptanym niego rozstawiano właśnie stoły. Zanim rozproszyli się i zaczęli się rozsiadać, nadjechały sanie z trunkami i przerwana biesiada rozpoczęła się na nowo. Znów rozległy się wrzaski, zabrzmiały pieśni, przekleństwa i wybuchy miechu zlewały

się w jeden wielki pijacki harmider, wzmożony echem odbitym od zrębów pobliskiego zamku, który ciemnym konturem majaczył na tle rozgwieżdżonego nieba. Blask chybotliwych płomieni wokół ognisk oświetlał dolne gałęzie wierków i jodeł, barwiąc na czerwono biesiadujące postacie, które w tej purpurze zdały się tłumem diabłów odprawiających swój sabat. Nie opodal stały wśród drzew zaprzęgi z saniami, które dowiozły drewno do ognisk i trunki. Konie opuściły łby, obojętne na wrzawę ucztujących, a nieco w głębi kordon rozstawionych straży strzegł osoby cara i jego dworaków. Ten zaś, pijany już zupełnie, usiłował przekrzywić panujący hałas. Mało go jednak słuchano, bo ze łbów dobrze już się kurzyło i każdy gadał nie zważając na innych. Nikt więc nie zwrócił uwagi, kiedy Uruzow, nieomal trzeźwy zupełnie, podniósł się z ławy i bez pośpiechu skierował ku rozstawionym strażom. Obszedł najbliższe ich półkole, po czym również bez pośpiechu zawrócił ku stołowi. Nie szedł jednak do swego miejsca, ale skierował się ku Dymitrowi. Ten właśnie przerwał kolejną przemowę i podstawił opróżniony kielich usługującemu pacholce. Uruzow, podchodząc do samozwańca, rozejrzał się nieznacznie na boki. Dostrzegł, że jego wojownicy już opuścili posterunki i niby wilki podążają w ślad za nim. Wyrwał przeto szablę z pochwy i skoczył ku Dymitrowi. Czerwoną błyskawicą mignęło ostrze i spadło na głowę samozwańca, który właśnie unosił do ust napełniony kielich. Załamał się pod tym ciosem Dymitr w pół ciała i runął rozwaloną głową na stół, barwiąc płótno obrusu tryskającą krwią. Przez moment zapanowała taka cisza, że słyhać w niej było tylko trzask palących się ogni, dopóki nie uwiadomiono sobie, co się stało. Wybuchł wtedy wielki, wspólny krzyk. Jedni porwali za broń, inni rzucili się pomiędzy drzewa w panicznej ucieczce. Tych nie ścigano. Natomiast z resztą

Tatarzy rozprawili się szybko. Kilku z nich jeszcze rąbało Dymitra, a potem, odarłszy go z odzieży, powlokło do ogniska, rzucając twarzą w płomienie. Maryna, wyrwana w środku nocy ze snu, mimo mrozu biegła na wpół odziana na miejsce zabójstwa. Ujrawszy porąbane zwłoki męża, dopadła do nich z krzykiem, wołając o pomstę dla morderców. A potem, już powróciwszy na zamek, pochwyciła szablę i wzywała do siebie Kozaków, żądając zemsty. Uruzow, słysząc te wołania, przykazał Tatarom dosiadać koni, sam pierwszy rzucając się do ucieczki. Pognało za nim jego trzystu wojowników; pochyleni nad końskimi grzywami wypadli na moskiewski trakt. Zarucki nie był jednak wolniejszy. Na czele tysiąca jeźdźców, którzy natychmiast skoczyli na konie, rzucił się w pogoń i po godzinie dopędził uciekających. Wprawdzie obrócili się i początkowo próbowali stawić mu czoło, ale z powodu liczebnej przewagi pościgu nie zdołali długo się opierać i straciwszy ponad stu towarzyszy poniechali walki, salwując się ucieczką. Po zawziętości tego pościgu Uruzow domyślił się, że o niego głównie chodzi. Toteż sam nie wdawał się w bitwę, lecz gnał co końskich sił ku pobliskiemu lasowi. I miał rację, Zarucki wołał bowiem nie pozostawiać przy życiu uczestnika nocnej rozmowy. Toteż był mocno zły, kiedy dowiedział się, że jednak udało się murzy dopaść zbawczego lasu, gdzie rozproszył resztę swych ludzi i sam ukrył się w jego ciemnościach. Koło południa zaś, po przybyciu na komnaty Maryny, dowiedział się, że na wieść o morderstwie cara miejscowy wojewoda stał się raptem stronnikiem moskiewskiej rady i natychmiast przykazał uwięzić carycę, obstawiając jej komnaty swą strażą. Rozwścieczyło to do reszty atamana, więc nie dobywając nawet szabli przepędził najhajką owych strażników, posyłając jednocześnie wojewodzie zapowiedź, że jeśli nie powciągnie swej gorliwości, to spali go wraz z miastem.

Groźba ta poskutkowała, ale że sytuacja w Kałudze stała się niepewna, ataman poradził Marynie, by przeniosła się wraz z dworem do Kołomny. Grigorij Pawłowicz po przybyciu pod Smoleńsk mocno musiał się nakrzętać, by znaleźć odpowiednie pomieszczenie na szynk, którego otwarcie sobie zamierzył. Mimo że było ich już pełno, nie obawiał się, że zabraknie chętnych do znoszenia mu pieniędzy. Zresztą nie pieniądze były jego celem. Znalazł wreszcie odpowiednią chatę o dostatecznie obszernej izbie, położoną przy placu targowym dużej wsi Sieniawki. Wkrótce otworzył swój przybytek. Zaczęła się ciężka harówka, ale też i pieniądź płynął wartką strugą. Siergiej szynkował trunki, Sonia roznosiła je go×ciom, nie wypuszczając jednak kufli z rąk, póki zapłata nie była uiszczona, bo hultajów i wydrwigroszy nie brakło. Natomiast stary szlachcic, czuwając nad porządkiem, lubił też przysiądać się do swoich go×ci, pogadać o tym i owym, a także postawić czarę gorzałki czy kufelek piwa. Bardziej za× krewcy biesiadnicy przekonali się wkrótce, że lepiej zbytkowi animuszu nie folgować, bo je×li brakło Siergieja, to zawsze znalazło się kilku osiłków, którzy dla przypodobania się gospodarzowi brali takich kawalerów za kołnierze i bez pardonu wyrzucali w błoto ulicy. Interes szedł więc dobrze, a pomocnicy pracowali chętnie, bo patron sprawiedliwie zyski dzielił. Grigorij Pawłowicz, przysiadając się do go×ci, czynił to z rozwagą, nie honorując bowiem bynajmniej bogatszych czy bardziej dostojnych, potrafił pogadać przyjaźnie i z byle ciurą. Którego× dnia jego gospodę odwiedził przybysz, na którego początkowo nie zwrócił uwagi, gdyż go×ć nie wyróżniał się niczym, co by mogło wzbudzić ciekawo×ć. Jednak Sonia wnet go dostrzegła, a że lubiła blondynów, obdarzyła przybysza zainteresowaniem. Tym bardziej, że był wysoki i smukły, o twardych, ale regularnych rysach twarzy i włosach układających się nad



czołem jasnym puklem. Ubiór wprawdzie nie rzucał się w oczy, lecz hajdawery i kaftan, choć szare w kolorze, były uszyte z dobrego sukna. Te wszystkie szczegóły Sonia oceniła jednym bystrym spojrzeniem. Toteż ×cierając przed nim stół, otarła się ramieniem o jego ramię i nachyliła, pozwalając dojrzeć piersi wylaniające się z mroków stanika. - Co mam waszmo×ci podać? Kufelek miodu? Mamy litewskiego sycenia, może dać z malinowym sokiem? - Chętnie go spróbuję. Nie wątpię, że z tak pięknych rąk będzie mi smakował... Tę dworską odpowiedź odpłaciła zalotnym u×miechem, po czym ruszyła do szynkwasu kołysząc smukłymi biodrami. Przybysz patrzył chwilę za nią, nim przesunął wzrokiem po izbie. W samym jej rogu, tuż przy bufecie, dostrzegł szczupłego, niskiego człeka o dużym nosie, z rzadką, klinowatą bródką. Kiedy przyszło do płacenia, bo pieniędzy od niego z góry nie żądała, Rutje położył na stole całego czerwonego złotego. Dziewczyna wzięła monetę, nadal spoglądając nań zalotnie. - Chwilkę, panie... Pójdę do patrona, aby mi dał resztę. - Nie trzeba - odpowiedział z u×miechem - reszta dla waćpanny. - Dla mnie? - zdziwiła się niezwykle hojno×cią napiwku. - Dziękuję waćpanu! - Już grudzień - mówił Rutje nie przestając się u×miechać - w izbie zimno, a waćpanna chodzisz mało przykryta. - Spojrzał na głębokie wycięcie jej sukni. - Kupże sobie jaki× kubraczek, chętnie ekspens pokryję... Dziewczyna nie spieszyła się jednak tą uszczypliwą uwagą. Roze×miała się kpiąco i rzuciła, patrząc mu zalotnie w oczy: - Waćpan już o mnie zazdrosny? Młody mężczyzna odpowiedział, nie przestając się u×miechać: - Prawa do tego mi brak, choć miałbym go chętnie. - Miło mi zatem, że waćpan o moje zdrowie się troszczysz. Będę was wspominać wdzięcznym sercem. - Okaż mi je nie tylko wspomnianiem... - Nie wiem, czy się jeszcze zobaczymy. Młody mężczyzna sięgnął po kołpak i wstając odpowiedział

patrzając jej w oczy: - Miód był przedni, nie omieszka więc jeszcze tu zajrzeć. Wracając na kwaterę Rutje zastanawiał się, czy dostatecznie okazał dziewczynie swoje zainteresowanie, by mogło ono być poczytane za przyczynę dalszych jego odwiedzin w gospodzie. Wszakże mimo tych trzeźwych rozważań czuł jednocześnie, że piękno dziewczyny zrobiło na nim wrażenie, co miał sobie za złe. Już poprzednio bowiem nazwisko Sucheckiego obijało mu się o uszy, różnie o nim mówiono, toteż postanowił bliżej poznać tego człowieka, ku czemu nadarzała się teraz okazja, a nie wodzić wzrokiem za dziewczyną... Pan Chodkiewicz, wysyłając Rutjega z listami do króla, nakazał oczy i uszy mieć otwarte, chciał bowiem wiedzieć, co na dworze i wkoło niego się dzieje. Osoba za tego Sucheckiego, zwłaszcza po zasłyszanych u Lisowskiego informacjach, wydała mu się godna uwagi. Po kilku zatem dniach Rutje znów zjawił się w gospodzie, witany przez Sonię błyskiem oczu i nieco drwiącym, ale i przyjacielskim uśmiechem. Pora była wczesna, gości mało, był więc czas na gawędę, a raczej żartobliwe przekomarzania. W czasie następnych spotkań, do których Rutje również wybierał wcześniejszą porę, owe rozmowy stawały się coraz bardziej poufale. Sonia starała się dowiedzieć, skąd pochodzi i co tu robi, on za zbytnio nie skąpił jej wiadomości o sobie, lecz podawał je w taki sposób, by podniecić jej ciekawość. Unikał jednak pytań dotyczących właściciela gospody, zaspokojenie ciekawości pozostawiając określonym drogom. Wszakże ten nieoczekiwanie sam dał mu sposobność do zawarcia znajomości. Zdarzyło się bowiem, że pewnego ranka nie dostrzegł na sali dziewczyny, natomiast za bufetem siedział tylko gospodarz. Na widok gościa powitał go skinieniem głowy i unosząc się ze stołka powiedział z przyjacielskim uśmiechem: - Mojej krewniaczki dziś nie ma, toteż sam waćpana obsłużę... Jak zawsze miodek? - Tak, proszę... A cóż

się pannie Soni przydarzyło? Czy aby zdrowa? Pan Suchecki u×miechnął się pod wąsem. - Nie, jeno na targ musiała pój×ć, bo kucharce czasu nie stało. Nalał dwa kubki miodu i stawiając je przed Rutjem, przysiadł na ławie. - Pozwolisz waćpan, że dzi× ja go ugoszczę? Ckni mi się samemu, bo o tej porze u mnie pusto, chętnie przeto za waćpana przyzwoleniem pogawędzę. - Wielce temu będę rad, bo muszę wyznać, że× moją ciekawo×ć waćpan obudził... Gospodarz okazał wyraźne zaskoczenie tym wyznaniem. - Z jakiegoż to powodu? - Rzucił na u×miechniętego kompana krótkie, badawcze spojrzenie. Ten jednak widać go nie dostrzegł, bo wyja×nił swobodnie: - Waćpan z wyglądu nie pasujesz do tego, czym się trudnisz. Nie wątpię, że mam do czynienia z urodzonym, cóż tedy skłoniło waćpana do szynkowania? - Wa×ć masz dobre oko. - Oberżysta u×miechnął się z uznaniem. - Ale młody× jeszcze, tedy nie miałe× okazji zaznać zmienno×ci fortuny... Mnie ona łaskawa nie była, toteż dobrze jeszcze, że całkiem nie opu×ciła i choć takim sposobem mogę zarabiać na życie. Rutje uznał, że dalsze pytania co do przyczyn tej odmiany losu mogłyby wzbudzić podejrzenia, pozostawił więc je kolejnej sposobno×ci i rzekł z niejakim współczuciem: - Tedy podziwiać waćpana muszę, że× nie uległ złej doli i chociaż tym sposobem borykasz się z fortuną. Za zdrowie waćpana! - Uniósł swój kubek i upił miodu. - Przedni wa×ć masz trunek - zauważył odstawiając naczynie. - Dlatego tu przychodzę... Oberżysta u×miechnął się pod wąsem. - Czy aby tylko dla miodu? Co× mi się widzi, że× acan łakomy i na inne słodko×ci... - powiedział z przyjacielską wyrozumiało×cią. Rutje opanował chwilowe zmieszanie i roze×miał się. - Rad jestem, że waszmo×ć nie masz mi tego za złe. Suchecki machnął ręką. - I ja byłem młody. Niewiasty takó× lubilem, a i wojaczkę nie mniej. Teraz wszakże z daleka przychodzi patrzeć i na nie, i na żołnierkę... - Dzi× miałby× waćpan do×ć

do niej okazji. - Toteż zazdroścę waćpanu. Wspominała mi krewniaczka, że przy panu Chodkiewiczu wać służyysz. Jakże u niego? Nie spodziewa się, że król jegomoć wezwie go do swego boku, by wspomógł w moskiewskiej potrzebie? Pytanie obudziło czujnoć Petera, ale nie dając tego po sobie poznać, odpowiedział swobodnie: - Nie sędzę, by król go potrzebował, bo ma tu przecież wielu znamienitych wodzów. Hetmana iółkiewskiego, Jana Potockiego, a znalazłby i innych... - Mówisz wać o Potockim. Lecz są chyba lepsi od niego? Już długo siedzi pod Smoleńskiem, a niczego dotąd nie zdziałał... - Twierdę ma do zdobycia potężną i z liczną załogą. Ale to nie ×wiadczy, że nie jest jednym z lepszych. - No tak... - Stary oberżysta pokiwał głową. - Wszakże daleko mu do pana Chodkiewicza... Doć o nim słyshałem, by go nie podziwiać bardziej od innych. - Rad to słyse - odpowiedział z ućmiechem Rutje, znów sięgając po miód. - Boć jemu przecie mam honor służyć. - Dziwię się zatem, że miłoćciwy pan nie da mu tu dowództwa. Przecież w Inflantach teraz spokojniej, bo Szwed Wasyla począł wspomagać... Rutje został zwolniony z odpowiedzi, gdyż na salę weszło paru husarskich towarzyszy i gospodarz poćpieszył ich obsłużyć. Dziękując więc za poczęstunek, grzecznie proszony o następne odwiedziny, opućcił oberżę. Wracając zać na swoją kwaterę zastanawiał się, czy zainteresowanie gospodarza osobą pana Chodkiewicza było tylko przypadkowe, czy też miało jakić cel. W każdym razie dowodziło, że pan Suchecki interesował się nie tylko wyszynkiem. W czasie jednego z kolejnych spotkań Sonia, przysiadłszy przy nim na ławie, powiedziała w pewnej chwili odchodząc od tematu rozmowy: - Waćpan bywasz na dworskich pokojach, toteż zapewne widzisz także i pana wojewodę braclawskiego? Musi to być wódz wielkiej miary, skoro król jegomoć poruczył mu dowództwo nad wszystkim wojskiem. - W istocie tak jest - odpowiedział

swobodnie Rutje. - Nie mogę rzec, by wojewoda dopuszczał mnie do konfidencji, ale przecież parokroć zaszczyt mi uczynił, wdając się w gawędę. - Czegóż to był ciekaw? - Pytał o pana Chodkiewicza, wiedząc, że jest jego dworzanin. Przeto ciekaw był zdrowia hetmana, który cierpi na kamienie. - A jakież ten pan Potocki jest? Młody, stary? Podobałby się niewieście? - spytała z przekorą. - Nie znam gustów waćpanny, ale mąż to postawny i od niewiast chyba nie ucieka. - Mówią, że ponoć w gusła i przepowiednie wierzy. Jeżeli ranek złe przynosi wróżby, niczego tego dnia nie poczyna, prawda to? Rutie rozeźmiał się. - W istocie tak ponoć jest, ale nie on jeden wróżb ciekaw. Ja sam rad bym wiedzieć, czy mi Kupido przychylny. - Zatem waćpan kogoś w sercu nosisz - rzuciła z niewinną miną. - Jakby waćpanna nie wiedziała! Po cóż bym tak często tu przesiadywał? Udała zdziwienie. - Co nasza gospoda ma wspólnego z waćci sercem? - Waćpanna kpisz sobie, a we mnie krew się burzy! Nie dworuj przeto, lecz powiedz, czy będziesz mi łaskawa. - Zbyt ciekaw, mój acanie! - Zerwała się z ławy i lekko pociągnęła go za włosy. - Muszę bieć, przybyli nowi goście. W czasie następnych spotkań, ulegając już tylko rosnącemu pożądaniu, zaczął coraz natarczywiej nastawać, by odbywać rozmowy w innym, bardziej sposobnym do zwierzeń miejscu. Sonia zdawała się nie być temu przeciwna, ale kiedy przyszedł, by ustalić porę, dziewczyny nie zastał. Mocno zawiedziony zagadnął stojącego za ladą wysokiego mężczyznę o suchej, ciemnej twarzy: - Cóż to się dzieje z Sonią? Czyżby chora, że wciąż jej nie ma? Ten zmierzył go badawczym, zimnym spojrzeniem i mruknął wzruszając ramionami: - Nie ma i nie będzie... - Nie będzie? Dlaczego to? - Miała doć posługiwania. - Gdzie się zatem teraz podziewa? - spytał zdziwiony. Mężczyzna znów wzruszył ramionami, obrzucając go już wyraźnie wrogim wzrokiem. -

Nie wiem. Mało mnie to obchodzi. Rutje wracał więc na kwaterę mocno zawiedziony i zły, tym bardziej, że w żaden sposób nie mógł pojąć, co wydarzyło się z dziewczyną, że tak nagle opuściła oberżę, i to właśnie w chwili, kiedy chyba blisko był celu. Na poszukiwania za i dochodzenie przyczyn jej zniknięcia nie stawało mu już czasu. Otrzymał bowiem wiadomość z królewskiej kancelarii, że odpowiedzi dla pana Chodkiewicza są już wystosowane, jeno czekają na królewski podpis, z czym król jegomościom swoim zwyczajem zwleka. Należało więc gotować się do powrotnej drogi, a nie myśleć o amorach. Nic więc dziwnego, że układając się do snu nie był w najlepszym nastroju. Rozważając wszakże w myślach czas pobytu pod Smoleńskiem, dochodził do przekonania, że go nie zmarnował, bo sporo miał do opowiadania hetmanowi o sprawach, których ten był ciekaw. Głównie za o stosunkach panujących obecnie na królewskim dworze, bo osoba Sucheckiego nie wydała mu się godna hetmańskiej uwagi. A to, że dziewczyna zawróciła mu w głowie, było już jego osobistą sprawą. Śmierć drugiego samozwańca ożywiła działalność wrogich Polakom moskiewskich przywódców, którym leżało na sercu uwolnienie kraju od obcych najeźdźców. Przestano z wolna wierzyć w przybycie Władysława, a kandydatura samego Zygmunta spotykała się z powszechną wrogią, knowania więc i spiski przybrały na sile. Prokop Łopunow, zarządca ziemi riazkańskiej, skierował z Perejesławia manifest do wszystkich prowincji wzywający do oporu. Potem za, dzięki potwierdzeniu przysięgą obietnicy wprowadzenia na tron syna Maryny, doprowadził do porozumienia z Zaruckim. Inni bojarzy, jak Trubecki, Pożarski, Repin, Izmajłow, Massalski, też sposobili się do zbrojnego wystąpienia, Proszowicki natomiast zebrał już piętnaście tysięcy żołnierza i penetrował okolicę Moskwy. Jednocześnie patriarcha Hermogenes rozsyłał po kraju popów

i czerńców z pismami do duchowieństwa i monasterów, by ostrzegały lud przed nowym zamachem na wiarę. O tych poczynaniach ostrzegali pozostałego w Moskwie zastępcę hetmana íólkiewskiego, pana Korwina Gosiewskiego, bojarzy przychylni Polakom, jak Sołtykow, Andronow czy Gramotin. On sam też miał od swoich agentów wiadomo×ci o grożącym niebezpieczeństwie, przygotowywał się więc do czekającej go rozprawy. Wzmocnił mury Biełogorodu, łącząc je z Kitajgorodem, gromadził żywno×ć, rozsyłał podjazdy, a przede wszystkim obsadził bramy i baszty niemiecką piechotą i wciągnął na nie działa. Wrzenie wzrastało po obydwóch stronach. Nieznany sprawca strzelił do krzyża na cerkiewnej kopule, potem towarzysz z rotty Marchockiego, niejaki Bliński, ugodził pociskiem obraz Matki Boskiej nad bramą, której strzegł jako wartownik. Wykryto go i ukarany został z rozkazu Gosiewskiego okrutnie. Ucięto mu bowiem obie ręce i ułożywszy go na stosie, żywcem spalono. Ta sroga kara oburzyła z kolei żołnierzy, którzy swój gniew skierowali przeciw moskwiczynom, w nich widząc przyczynę kaźni. Nastął już rok 1611. Dwudziestego piątego lutego doszło do pierwszego zbrojnego starcia i padły pierwsze ofiary. Na przedmie×ciu Zamoskworeczje pacholek jednego z towarzyszy zwymy×łał kupca za zbyt wysoką cenę, jakiej ten żądał za owies, a wreszcie wdał się z nim w bijatykę. Na pomoc kupcowi ruszyli jego kompani, co widząc obecni na targu żołnierze otworzyli ogień. Rozpoczęła się istna walka, której kres położył dopiero sam Gosiewski, przybywszy na czas z pocztą zbrojnych. W kilka za× dni potem o mało nie doszło do powieszenia kilku przychylnych Polakom bojarów, których w ostatniej chwili zdołano uratować. W tym też czasie wysłany w siedemset koni podjazd pod wodzą rotmistrza Waszczyńskiego przejął pisma patriarchy skierowane do jednego z monasterów, podburzające przeciw najeźdźcom.

Otrzymałszy owe pisma pan Gosiewski zwołał Radę Bojarów i otwarcie postawił Hermogenesowi zarzut knowań i zdrady. Patriarcha próbował się wyprzeć, zarzucając fałsz temu oskarżeniu, ale po okazaniu mu pisma musiał zamilczeć. Gosiewski nałożył nań areszt domowy i już z sali wyprowadzono patriarchę pod strażą. Wszystko to wzmagało i tak już nabrzmiałe wrogo×cią nastroje. Widać było coraz wyraźniej, że zbrojna rozprawa wisi w powietrzu. Nie lepsze wie×ci dochodziły również z prowincji; donoszono o połączeniu się t'opunowa z Zaruckim, a to wróżyło rychły ich marsz na Moskwę, zbierał siły Trubecki, Pożarski był już blisko. Dodatkowy niepokój budziła też wręcz służalczo×ć, z jaką odnosili się do Polaków miejscowi dworacy i kupiectwo. W tym stanie rzeczy Gosiewski nakazał oddziałom "niezdejmowanie siodeł z końskich grzbietów", a na ulice wychodzić tylko z konieczno×ci i nie mniej jak w pięćdziesiąt szabel. Wie×ci o tych wypadkach dochodziły na królewski dwór tak w pismach Gosiewskiego, jak i od innych dowódców znoszących się z królewskim otoczeniem. Donosili też o nich i komendanci garnizonów w Wiaźmie czy Możajsku, pisząc o dowozie broni chowanej pod słomą w tielegach, o napływie do Moskwy zbrojnych, jak i o zbieraniu sił przez t'opunowa dwadzie×cia mil od Moskwy, dokąd i Zarucki miał już przybyć. Owe doniesienia przewidywały wybuch buntu już na Wielkanoc. Radzono zatem u króla nad powstałą sytuacją, zastanawiając się nad sposobami jej opanowania. Liczne głosy były za wsparciem Gosiewskiego czę×ci sił stojących pod Smoleńskiem, czemu wszakże gorąco sprzeciwiali się obaj Potoccy, zapowiadając rychły, generalny szturm na twierdzę, w której ponoć panował mór i niedostatek żywno×ci. Zwrócono się też do hetmana íólkiewskiego z naleganiem na powrót do Moskwy i objęcie komendy nad tamtejszym garnizonem. Sędziwy hetman nieskory był jednak narażać



dobre imię i sławę wodza, a także był rozżalony na króla za brak stanowczości, wymawiał się więc słabym zdrowiem i koniecznością udania się wkrótce na południowe rubieże Rzeczypospolitej. Tam, jak donosiły wieści, rodziło się nowe tureckie niebezpieczeństwo, co zresztą było zgodne z prawdą. Ponieważ odmówił ostatecznie przyjęcia dowództwa, ograniczono się tylko do wysłania pisma do pana Sapiehy, by ciągnął swoje chorągwie z Siewierszczyzny i popieszył z pomocą Gosiewskiemu. Pan iólkiewski natomiast nakazał chorągwiom, które przywiodły dostojnych więźniów do królewskiego obozu, powracać pod komendę swoich pułkowników. Tak więc na początku marca chorągiew Jedliny, staczając po drodze drobne potyczki z luźnymi watahami snującymi się wokół stolicy, znalazła się w Moskwie. Rzeka Moskwa tworzyła tutaj półkole wygięte ku północy. Na tymże brzegu u wierzchołka półkola rozciągały się dwie leżące obok siebie dzielnice, otoczone silnym murem i takim samym murem przedzielone, a to Kitajgorod i Krymgorod lub Kremlin. Oba te kompleksy opasywała niby podkową trzecia dzielnica - Biełogorod. Tę z kolei otaczały przedmięcia chronione już tylko ziemnym wałem. Z północy na południe płynęła rzeczka Nieglinka, dzieląc Biełogorod na część wschodnią i zachodnią. Docierała w pobliże północno-wschodniego narożnika murów Kitajgorodu, gdzie rozdzielała się na dwie odnogi. Główny nurt skręcał ku zachodowi, otaczał Kremlin i docierał do rzeki Moskwy. Boczny natomiast płynął znacznie węższym korytem, wzdłuż wschodniej części murów Kitajgorodu. W ten sposób Nieglinka obejmowała niejako ramionami swych obu nurtów zespoły Kremlina i Kitajgorodu. Po drugiej stronie rzeki Moskwy, we wnętrzu jej łuku, leżała część miasta zwana Zamoskworeczjem, gdzie rozłożyła się strzelecka słoboda. Dopiero na miejscu Nikodem pojął, jak dalece zmieniła się

sytuacja od dnia, w którym zegnał dworek Wołnowów. O powitaniu ukochanej nie mogło być teraz mowy, bo ostrzeżono go, że wyjazd nawet w kilka koni grozi niechybną śmiercią, gdyż zostaną wystrzelani niby kaczki z okien czy dachów domów. Westchnął więc tylko i postanowił czekać sposobnej chwili. Rozpoczęła się zwykła, codzienna służba, przeważnie wartownicza, bo oczy i uszy należało mieć otwarte, ponieważ każda godzina mogła przynieść nieoczekiwaną napaść. Jakoż rychło do niej doszło. Dwudziestego ósmego marca, w palmową niedzielę, pan Gosiewski, w poszanowaniu obyczajów, zezwolił patriarsze, by zgodnie z religijnym obrzędem objechał miasto na ołicy. Cugle jej trzymał, idąc przy łbie, bojar Gondarow. W tym dniu cała Moskwa wyległa na ulice. Dzwony biły uroczysto i dostojnie, tłumy wiwatowały i krzyczały "Christos woskries", w domach zaś pozostali tylko co zamożniejsi lub bardziej wiadomi sytuacji. Znalazło się jednak na przedmieściach nieco Polaków, bardziej zżytych z miejscową ludnością. Ci, powodowani bądź ciekawością, bądź nie doceniając niebezpieczeństwa, znaleźli się wśród tłumu. Kiedy ich rozpoznano, zostali natychmiast rozszarpani nieomal gołymi rękami i tylko nielicznym, mocno jednak poturbowanym, udało się uciec z życiem. Nazajutrz zawrzało na wieść, że hufce Pożarskiego są już blisko stolicy. Znów zabrzmiały dzwony, ale inaczej - nie były już z miarową powagą. Teraz dźwięk ich był śpieszny, gorączkowy, niby wołanie o pomoc. Zauważono też, że place targowe były puste, natomiast ulicami krążyły liczne wozy, i to nawet bez ładunków, co polskim dowódcom nasunęło przypuszczenie, iż w ten sposób spiskowcy chcą udaremnić użycie najgroźniejszej broni, a mianowicie jazdy husarskiej. Stan napięcia dochodził więc do szczytu. We wtorek trzydziestego marca towarzysz husarski Mikołaj Kossakowski żądał od woźniców, zebranych na

targowym placu Kitajgorodu, pomocy przy wciąganiu działa na jedną z bram, co mu zostało poruczone. Ci jednak odpowiedzieli drwinami i to stało się początkiem kolejnej walki. Powstały tumult – ciągnął oddział niemieckiej piechoty, który otworzył do tłumy ogień, a następnie sięgnął po pałasze. Walka szybko przekształciła się w prawdziwą bitwę, gdyż otoczonej ze wszystkich stron piechocie nadleciały w sukurs polskie chorągwie i zaczęły sieć bezlitośnie. Mimo ogromnej przewagi liczebnej mieszczanie nie mogli sprostać – wietnemu żołnierzowi polskiemu i poczęli kłaść się tak gęsto, że powstały całe zwałowiska trupów, których po bitwie naliczono do siedmiu tysięcy. Przerazenie ogarnęło tych, którzy pozostali przy życiu. Błagając o litość, krzycząc o swej niewinności, chronili się po sieniach, domach, szopach, kramach. Tam szukano ich także, więc padło dużo kupców, bo rozwścieczony żołnierz nie szczędził nikogo. Cały Kitajgorod rzucił się do ucieczki, płynąc wezbraną rzeką ku bramom wiodącym do Biełogorodu. Niektórzy dowódcy wart, a tych była większość, przepuszczali uciekających, ale byli i tacy, którzy próbowali ogniem wstrzymać pęd tłumy. Nie na wiele jednak to się zdało, gdyż napór ogarniętej przerażeniem ciżby był zbyt przemożny. Toteż okupiwszy przejście setkami ofiar, owa ludzka rzeka wypływała na zewnątrz murów ociekającego krwią Kitajgorodu, który opustoszał zupełnie. Walki przeniosły się teraz na teren Biełogorodu. Na wieść bowiem o masakrze dokonanej przez Polaków mieszkańcy porwali za broń, choć mało kto miał nawet szablę. Źapano więc widły, drągi, nahajki z uwiązany do rzemienia kawałkiem żelaza, łańcuchy na krótkich, drewnianych trzonkach czy też pałki z wbitym na końcu gwoździem. Było też nieco broni palnej, starych i mało skutecznych rusznic, pistoletów i kocieni. Chorągwie Zborowskiego, stojące w Biełogrodzie, zgodnie z

otrzymanymi rozkazami pozostawały w stanie ciągłego pogotowia. Toteż strażę już od rana dostrzegały podniecenie wśród ludności jak i wzmożony ruch na ulicach. Pan Zborowski kazał przeto kulbaczyć konie i gotować się do rozprawy. Pognali też gońcy do innych dworzyszcz, gdzie biwakowały jego chorągwie, z rozkazem, by na znak trąby rozwarli bramy i przebijali się ku niemu. Wkrótce nadeszły od zaprzyjaźnionych bojarów wiadomości o odbywającej się w Kitajgorodzie bitwie wraz z ostrzeżeniem, że tylko patrzeć, jak walka rozszerzy się na teren Biełogorodu. Niektórzy z nich zapowiadali natychmiastową ucieczkę z miasta, dopóki jeszcze tłuszczka nie opanowała bram. Kiedy Jedlina dowiedział się o tych ostrzeżeniach, odnalazł Rymszę i zagadnął go z rozpaczą w głosie: - Pójdiesz ze mną, Roman? Muszę gnać do Tani, by ostrzec ją także! Może jeszcze zdąży uciec wraz z matką... Walkę zapowiadają tu okrutną! Rymsza obrzucił krewniaka zdumionym spojrzeniem. - Czy ty aby nie oszalał? Nie widziałeś, co dzieje się na ulicach? Nawet dziesięciu kroków nie dadzą ci zrobić! - Jeśli się boisz, pójdę sam. Ubłagam porucznika o permisję, pognam w skok i przelecę, zanim się połapią. - Karkołomna to impreza... - Rymsza pokręcił głową. - Jeźliby nas wstrzymali, nawet nie ostawią strzepów... Użycie liczby mnogiej nie uszło uwagi Jedliny, toteż zawołał uradowany: - Wiedziałem, że mogę liczyć na ciebie! Odziejem ich baranie czapy, a na zbroje wciągniemy kozuchy. - Jeszcze mam nadzieję, że ci porucznik permisji nie da... - mruknął zgryźliwie Rymsza. - Ale jeśli da, to kat z tobą! Gdzie ginąć, mnie za jedno. Tu także bezpiecznie nie będzie. - To mi brat i druh! - Rozradowany Nikodem złapał krewniaka za ramiona. - Chodźże tedy, idziemy obaj do porucznika. On ponoć przez małżonkę twój powinowaty, może tedy nas wysłucha. Pan Chęciński, porucznik chorągwi, w której obaj służyli, na prośbę Jedliny

zareagował podobnie, jak uczynił to Rymsha, tylko jeszcze bardziej gwałtownie. Spojrzał ze zdumieniem na młodego rycerza i jaki× czas mierzył go wzrokiem, jakby chcąc przekonać się, czy jest przytomny. Wreszcie zawołał raczej ze zgrozą niż gniewem: - święci Pańscy! Wa×ć chyba rozum postradał! Chcesz leżć w paszczę tej dziczy jeno po to, by jakową× kieckę ratować?! Polka ona? - Nie...  
Moskwiczanka... - To czego się wa×ć boisz? Swoi krzywdy jej nie zrobią. Między sobą nie biją się. - Wszakże bojarzy uciekają z miasta... - bąknął skonfundowany młody rycerz. - A dziewczce nie wiedzieć, co może się zdarzyć... - Także× waćpan rozmiłowan? Gładka to musi być niewiasta... - Chęciński u×miechnął się pod wąsem. - Ponad życie, mo×ci poruczniku! śmierci będę szukał, je×li ją utracę! Porucznik spojrzał porozumiewawczo na Rymszą. - To× sobie wybrał kompana... On, widzę, z tych, co to piosneczki układają i pod oknami je nucą miast dziewczkę ułapić za tyłek! No cóż... W tych latach i ja taki byłem... Niechże tedy będzie, ale rzecz musicie wykonać inaczej. Póki co ostaniecie przy chorągwi. Dopiero jak nadarzy się okazja i będą widoki na powodzenie imprezy, wówczas ruszycie. Teraz nie macie żadnej szansy, nawet przykrywając zbroje, bo poznają was choćby i po końskim rzedzie. Jedlina dziękował porucznikowi za przyzwolenie jak i za dobrą radę, po czym wróciwszy na posterunek wołał Wolutę i kazał mu przysposobić wszystko do niebezpiecznego wypadu. Całe rycerstwo było przy palisadach, pozostawiwszy czeladzi pilnowanie pokulbaczonych wierzchowców, już z podciągniętymi popręgami i wędzidłami w pyskach. Dwór, w którym stał pan Zborowski wraz ze swą przyboczną chorągwią, leżał przy Nikitskiej ulicy. Od dwóch dni była ona przegrodzona barykadami. Przyglądano się z dala tym zaporom, nie szcędząc kpiących uwag, bo widać było, że stawiała je nie×wiadoma rzeczy ręka. Gorsze przeszkody

przychodziło już brać, nie wspominając hiszpańskich kozłów, za którymi lubiła się kryć szwedzka piechota. Głębiej jednak w ulicę wglądu nie było, bo zasłaniały je owe barykady i nierówno stojące domostwa. Ci jednak, którzy wleźli na dachy czy drzewa, mówili, że takimi zaporami przegrodzone są i inne ulice, co wskazywało na zamiary przeciwników. Kiedy dzielono się uwagami na ten temat, rozległ się ledwo uchwytny dźwięk, na który nikt początkowo nie zwrócił uwagi. Był to z trudem słyszalny szept czy może raczej szemranie. Z wolna jednak ów odległy pomruk począł nasilać się, aż przeszedł w monotonne, równomierne buczenie, podobne głosowi pszczelego roju. Wkrótce był to już grzmot niby ciężko toczącego się, ładownego wozu, w którym rychło dały się słyszeć pojedyncze wołania i krzyki. - Tłuszcza ku nam wali! - dała znać czeladź siedząca na dachach i drzewach. - Głowa przy głowie! Biegną od strony Kitajgorodu! Tym okrzykiem zawtórowały głosy dzwonów. Biły gwałtownie, szybko, natarczywie, jakby żądne krwi. Ich dźwięki dochodziły ze wszystkich stron miasta, zlewając się w jedno, wstrząsające powietrzem brzmienie. Towarzysze bez komendy sięgnęli po rusznice i przywarli do palisady, wspierając broń o jej belki. Za nimi pachołcy dzierżyli w pogotowiu kule i proch, by podać go szybko zaraz po strzale. Niektórzy trzymali rusznice zapasowe. Pan Zborowski osobiście wyszedł na podwórzec i wspiął się na strażnicę przy bramie. Czoło tłumu podchodziło już do najbliższej barykady. Coraz więcej wrzeszczących, brodatych napastników przedzierało się przez nie i dźwigając drabiny biegło ku palisadzie. Gruchnęły strzały i tyny pokryła chmura prochowego dymu. Jeszcze nie zdążył odpłynąć, kiedy z jego kłębów wytrysnęły kolejne języki ognia. Kanonada rozgorzała na dobre, nieprzerwanym hukiem wystrzałów grzmiały rusznice i muszkiety. Z pierwszych szeregów nacierających

mało co zostało, następne na chwilę przystanąły, potem zawróciły i rzuciły się z powrotem ku barykadom, by za nimi szukać schronienia. Na przedpolu zostały zwłoki zabitych i ranni, którzy, czołgając się, próbowali także u×ć do swoich. Strzelanina ustała, bo i rozgrzane lufy zaczęły parzyć ręce. Jednak przerwa w walce nie trwała długo. Rozległy się rzucane gdzie× z dala rozkazy i nowa fala ×miałków popłynęła ku palisadzie. Ta znów pokryła się smugami dymów i zagrzmiała strzałami. Następne kolumny napastników znów się cofnęły ulegając sile ognia, ale nie dobiegli jeszcze do barykad, kiedy runęły stamtąd nowe zastępy, zepchnęły uciekających i pognały ich ponownie w stronę zionącego ×miercią szańca. Masa nacierających była tak wielka, że mimo licznego ubytku w szeregach zdołała dotrzeć do palisady i poczęła przystawiać drabiny. Niektóre zdołano obalić, na innych cięto ukazujące się łby, toteż wkrótce zwały trupów zaległy przedpole. Wreszcie i tym razem natarcie załamało się i reszta niedobitków rzuciła się do ucieczki popędzana ogniem rusznic; przeto wielu z nich legło, zanim dostali się do swoich kryjówek. Nastąpiła przerwa w walce. Nauczka musiała poskutkować, bo szturmów nie wznawiano. Kiedy za× przerwa zaczęła się przedłużać, wielu żołnierzy uznało, że przeciwnik stracił już ochotę do walki i zapewne jej poniecha. Niebawem przekonali się jednak, że nadzieje te były płonne, dostrzeżono bowiem w pewnej chwili poruszenie w×ród zalegających barykady moskwiczów, a wkrótce jaki× ×miałek wspiał się na nią i grożąc pię×cią, zaczął wykrzykiwać: - Opołczenije prziszło, sam kniaź Pożarski idiot nam w pomoszcz! On wam, polskije sukinsyny, pokażet, kak wojewa~t! Ni odin z was nie wierniotsa domoj! Sobaki oczistiat wasze kosti! Pan Zborowski nie wiedział, co tym wołaniu sądzić. Czy była to tylko plotka puszczona dla poprawy nastroju własnych ludzi, a także dla zastraszenia

przeciwnika, czy też istotnie należało się liczyć z przybyciem tego doświadczonego wodza. Było wiadome, że zbliżał się do Moskwy, więc taka możliwość istniała. Wątpliwości pana Aleksandra nie trwały długo, gdyż wkrótce posterunki rozmieszczone na dachach doniosły o zbliżaniu się nowych oddziałów, a w chwilę potem oznajmiły, że widzą ciągnięte ku barykadom armaty. Trudno było dociec, skąd się raptem wzięły. Czy istotnie przyprowadził je ze sobą Pożarski, czy też zostało je tylko z pobliskich baszt? Odpowiedź na to pytanie okazała się jednak mało istotna, kiedy ujrzano ich lufy sterczące spoza barykad. Niebawem też zagrzały ogniem, podskakując przy strzałach jak rozeźlone psy. Pierwsze pociski przeleciały górą, ale pan Zborowski nie czekał na poprawę celności ognia. Skinął na trąbacz, a kiedy przebrzmiał donośny głos jego trąby, rzucił rozkaz wsiadania na konie. Odwalono bale podpierające wrota, rozwarło wieże i uformowana już chorągiew pełnym galopem wypadła na ulicę z uniesionymi ponad głową szablami. Znojną mieli żołnierze robotę, kiedy dopadli barykad. Przebyli je wprawdzie kolejnymi skokami wierzchowców, ale potem gęsty tłum, choć zbrojny lichy, samą liczbą zmuszał do największego wysiłku. Ciosy szabel spadały raz po raz, zanim przeciwnik zdążył unieść swą broń, zamachnąć się toporem czy łańcuchem, a jeszcze, porażony, nie dosięgnął ziemi, kiedy następne cięcie zwałało z nóg następnego wojownika. Chorągiew z wolna torowała sobie drogę przez gęszcz rozwścieczonego ludu. Jednak nie wiadomo, czym by wreszcie skończyła się ta walka i czy zmęczony nią żołnierz nie uległby wreszcie przewadze liczby, gdyby nie reszta chorągwi pana Zborowskiego, która zaczęła nadlatywać z pomocą. Przyszła w samą porę, przynosząc ulgę zmordowanemu żołnierzowi. Teraz tłum rzedniał szybko, aż wreszcie jego resztki poczęły rozbiegać się i kryć po zaułkach.



Połączywszy swe siły pan Zborowski już bez większego trudu przebił się przez zbrojne watahy, próbujące zastąpić mu drogę, i wkrótce wjechał w bramy Kitajgorodu. Nastął wieczór, a z nim ciemność ogarnęła miasto. Nikt w nim jednak nie spał, bo nie do snu było wojsku, zamkniętemu w Kitajgorodzie i Kremlinie, i nie do snu jego mieszkańcom gotującym się do wszczęcia walki o pierwszym brzasku. We wszystkich cerkwiach popi odprawiali nabożeństwa, a pan Gosiewski zwołał naradę starszych rangą dowódców, którym przedstawił położenie i pytał, jakie by widzieli z niego wyjście. Zostali bowiem zamknięci w obu zamkach z odciętym dowozem żywności, a zapasów zbyt wiele nie było. Nie było też możliwości użycia najmocniejszej broni, jaką stanowiła kawaleria, bo czy zamknięta murami, czy w wąskich ulicach miasta - na wiele się nie zdała. Jakie więc widzą wyjście? Może dokonać próby przebiccia się przez pierścień oblężenia? Ale przecież ów pierścień to również zabudowania miasta, a zatem trzeba zostawić konie i przebijać się pieszo... Wówczas, bez wierzchowców i tak skazani byłiby na zagładę, bo nie sprostają ciągnącym na Moskwę łopunowowi czy Zaruckiemu. Po tej przemowie zaległo milczenie, gdyż trudno było znaleźć wyjście od takiej opresji. Wreszcie odezwał się Kazanowski: - Nie widzę innego sposobu jak przebrać paru miechów i wysłać do naszych. Niech gońcy biegną do Możajska, do Wiaźmy, a nawet samego Smoleńska i niech proszą o sukurs... Ta rada nie znalazła jednak uznania, bo każdy czuł, że na szwank naraża żołnierski honor. Przyszłoby potem wysłuchiwać miechów, że bez niańki wojować niezdolni... Co innego bowiem wołać o pomoc dzierząc w garści szablę, a co innego znajdując się w saku. Znow więc zapanowało milczenie, dopóki nie odezwał się jeden z pułkowników, a był to bodaj towarzysz Marchocki: - Przypomniał mi się właśnie Osipow... Może by tak spróbować

tego sposobu i teraz? Tam wszakże wyrwali×my się z matni. - Co waćpan masz na my×li? - zainteresował się Gosiewski. - Co zdarzyło się pod Osipowem? - Wyparli×my wroga ogniem, wzniciwszy pożar... - Pożar? - Błysk zainteresowania ukazał się w oczach starosty. - Hm... ogniem, mówisz? Nie potrzebował długo zastanawiać się, bo wszyscy także dostrzegli skuteczno×ć tego sposobu, toteż szmerem aprobaty przyjęto propozycję. Zaczęto zaraz radzić, już tylko jak i kiedy przystąpić do wykonania. Narada długo nie trwała i w godzinę po niej małe oddziały, wyposażone w łuczywo, pakuły i smołę, wymknęły się z zamku i zniknęły rozpraszając się w ciemno×ci nocy. Ponieważ dzień był dżdżysty i przez to dachy i ×ciany mokre, wydano polecenie, by rozniecać ogień wewnątrz budynków. Skutkiem tego należało liczyć się z oporem, przeto wyznaczonym do podpalania pachółkom przydano zbrojnych. Jedlina dowiedział się o rychłej wyprawie i od razu pojął, jaką mu dawała szansę. Ale jednocze×nie przeraziła go decyzja podjęta przez wojskową starszyznę, bo wzmagala niebezpieczeństwo zawisłe nad głową jego lubej. Pocieszał się jednak, że dom Wołnowów nie tak szybko znajdzie się w zasięgu ognia, on więc zdoła nadażyć z ratunkiem. Potem przywiezie kobiety do Kitajgorodu, tu za× będą mogły znaleźć schronienie, bo większo×ć domów stało pustych. Postanowili ruszyć z całą czeladzią, by zapewnić sobie jak najsilniejszą ochronę, a także zabrać zapasowe konie. Za radą porucznika Chęcińskiego czekali, dopóki nie zapłoną domostwa i nie ruszą pierwsi uciekinierzy, bo nikt wówczas nie będzie zwracał uwagi na nic innego jak na własny ratunek. Tymczasem zebrani na murach dowódcy starali się przebić wzrokiem smolistą czerń nocy, wypatrując pierwszych ogni. Czas jednak mijał, lecz nigdzie nie zabłysła nawet iskra. Miasto pokrywała czarna, nieprzenikniona zasłona ciemno×ci, jaką zaciąga noc przy

zasnutym chmurami niebie. Zaczęto już obawiać się o rezultat wyprawy, snując różne przypuszczenia co do przyczyn niepowodzenia. Te niewesołe rozważania przerwał wreszcie nikły płomyczek, który raptem ukazał się gdzieś w dali. Wkrótce pojawił się i drugi, a za nim następne, nie trwało długo, a rozbłysnął cały ich różaniec, zlewając się szybko w coraz jaśniejszą, ruchliwą wstęgę ognia. Pożar, wzniecony z trudem, rozprzestrzenił się teraz z zaborczą chyżością. Języki płomieni początkowo tylko lizały ściany kolejnych zabudowań, jakby próbując ich smaku, a potem rzucały się na nie, obejmowały czerwonymi ramionami i pożerały łąpczywie. Drewniane domy paliły się z trzaskiem i hukiem, tryskając w górę mrowiem iskier. Mały oddział Nikodema wypadł z bramy i zawrócił w drogę wiodącą pomiędzy murem Kitajgorodu a głównym nurtem Nieglinki. Domów tu nie było, bo na przedmurzu budować nie było wolno, więc i ludzi także. Pędzili w ciemności, zmierzając ku północno-wschodniemu narożnikowi zamku, tam bowiem most, przerzucony przez boczną odnogę rzeczki, pozwalał przedostać się na drugi brzeg, gdzie we wschodniej części Biełogorodu leżał dworek Wołnowów. Na razie mieli pożar z dala za sobą, jednak coraz szersza łuna zmuszała do pośpiechu, gdyż ogień mógł się łącno okazać szybszy i zagrozić im drogę. Pod kopytami koni most zagrzmiał nagle niby bęben pod gradem uderzeń, a potem, kiedy minął go ostatni jeździec, równie raptownie dudnienie ucichło. Zaraz za mostem zagłębili się w ulice miasta. Początkowo zupełna czerń nocy z wolna jakby roztapiała się w ciepłej poświacie coraz bliższego pożaru. Coraz jaśniejszy blask łuny wydobywał z mroków sylwetki domów i krzątających się przy nich ludzi, a na czerwonym tle, jakie łuna rozpostarła nad miastem, tym ostrzej rysowały się czarne kontury dachów, baszt i cerkiewnych kopuł, jakby znieruchomiałych z przerażenia wobec rychłej zagłady. Tłum

uciekających zaczął wypełniać ulice. Ludzie gorączkowymi krzykami poganiali i tak już wystraszone konie i bydło, inni pchali przed sobą ręczne wózki, ale większo×ć swój dobytek dźwigała na plecach. Nikt więc nie zwracał uwagi na mały oddział jeźdźców, tym bardziej, że na hełmys i szyszaki czy też łebki pacholków ponaciągali zwykłe baranie czapy, pospolite w mie×cie, a zbroje przykryli opończami. Zresztą gdyby kto× nabrał nawet podejrzeń, to i tak gnali zbyt szybko, by można było ich wstrzymać. Nikodem drogą znał dobrze, toteż prowadził bez wahań i wkrótce zdarli konie przed obej×ciem Wołnowów. Bramę zastali zawartą, więc w pierwszej chwili młody rycerz przeraził się, czy aby nie przybył za późno i kobiety już nie opu×ciły domu. Kiedy jednak rozwarłszy wierzeje wpadli na podwórze, dostrzegł ×wiatło sączące się spod jednej z okiennic, co natchnęło go nową nadzieją. Gnany niepokojem wpadł do stołowej izby. Tu ujrzał w ×wietle palących się ×wiec trzy kobiece sylwetki klęczące przed ikoną. Na jego widok zerwały się na nogi, a służebna Awdokia, bo ona była tą trzecią, wybuchła lamentem: - Matko Bogurodzico, zmiłuj się! Bies nieczysty do nas przybieżał! Boże sprawiedliwy, ratuj nas, dziatki swoje! Lament ten był usprawiedliwiony, bo trudno było Nikodema poznać pod baranią czapą i rozwianą u ramion opończą. Ale Tania spojrzenie miała bystrzejsze. W naj×mielszych nawet snach nie mógł młody rycerz wymarzyć powitania, jakie nastąpiło, gdyż dziewczyna, widać pod wpływem pierwszego impulsu, podbiegła do niego i rzuciła mu się na szyję z krótkim okrzykiem: - Nika! Więc przybyłe×! Zaskoczony, ale z sercem przepojonym szczę×ciem, objął ją i przycisnął do piersi, pokrywając twarz pocałunkami. Dopiero po chwili uwolniła się z jego u×cisku i cała w pąsach rzuciła, udając zagniewaną: - Ko×ci by× mi połamał o to żelazo, co go masz na sobie... - Przybyłem po was, bo wnet ogień dotrze i tutaj!

Pani matko - zwrócił się do Natalii Pawłowny - pakujcie, co macie lepszego, i to chyżo, bo czasu niewiele! Mam tu pachółków, którzy wam pomogą. - Dokądże chcesz nas zabrać, synku? Gdzież się podziejemy? - Musimy przedostać się do Kitajgorodu, dopóki nie dopadnie nas pożoga. Dlatego zwijajcie się szybko! Natalia Pawłowna nie traciła już słów na dalsze wyjaśnienia. Dopiero kiedy Jedlina jednemu z przywołanych pachółków kazał poszukać w pobliskich zagrodach jakiegoś wozu, rzekła, zajęta pakowaniem tobołków: - Nie trzeba, wóz stoi w szopie... Tyle że nie ma co do niego zaprzęgać. - Znajdzie się i zaprząg. Dalej, wynoście toboły, a chyżo, bo za pół pacierza ma nas tu nie być! - polecił pachółkom i ruszył na podwórze, by dopilnować przygotowania wozu. Wyniesiono toboły i podręczne torby, powsadzano kobiety na wóz, przy czym Nikodem sam wziął Tanię w ramiona, uniósł ponad drabiny i jakby była ze szkła, umieścił ostrożnie na słomie siedzenia. Zachęcone krzykiem konie szarpnęły gwałtownie i wóz wytoczył się na ulicę. Czas ku temu był ostatni, bo płomienie buszowały już tak blisko, że w ich blasku widno było zupełnie, a żar bijący od pożaru ciepłą falą owiewał twarze. Wkrótce dostrzegli jednak nowe i zgoła nieoczekiwane niebezpieczeństwo. Oto pożar zbliżał się nie tylko od strony zachodniej, ale zatoczył łuk i stał się ognia również od północy, a więc od Kitajgorodu i Krymgorodu, skąd ciągnęły podmuchy wiatru. Sytuacja nieoczekiwanie skomplikowała się. Jedlina dla zorientowania się w położeniu wstrzymał uniesieniem ręki poczet i zagadnął jadącego obok Rymkę: - Kiepsko to wygląda, Romanie... Drogi do swoich mamy odcięta! - I ja tak mniemam... - zgodził się zafrasowany rycerz. - Tego należało się spodziewać. - Decyzji bym nie zmienił, nawet gdybym przewidział taki obrót sprawy. - Ale można by wówczas stateczniej rzecz przemyśleć. W siodłach trudno radzić...

Rymsza miał rację, bo istotnie odbywali naradę w niezwykle trudnych warunkach i pod przymusem natychmiastowego rozstrzygnięcia. Toteż i decyzja, którą nagle podjął Jedlina, była ×miała: - Innej drogi nie mamy jak ta, co wiedzie za miasto, a dalej obaczmy! - Chyba tylko to nam pozostaje - przyznał Rymsza. - Najlepiej obrócić się potem na zachód. Stoją przecież w Możajsku nasze chorągwie. Można by pozostawić tam niewiasty, a samym przystać chociażby do Strusia. - Pozostawić? - zachnął się młody rycerz. - A pod czyją opieką? - Może mają krewniaków albo jest blisko jakiś żeński monaster? - Nie czas na dalsze gadanie! Będzie inna okazja radzić. Nie ma co dalej tu stać, bo coraz mniej ludzi już widać i ogień gotów nas dognać. W drogę! - Jedlina skinął na pachołków i sam ruszył koniem, wyskakując na czoło oddziału. - Licz, Romanie, na szczę×cie głupich, bo nic innego nam nie zostało - mruknął Rymsza ruszając za nim. Ponaglone przez woźniców konie ruszyły szparko i wkrótce znaleźli się w×ród domów przedmie×cia. Jedlina podjechał do wozu i nachylił się ku Natalii Pawłownie. - Ogień odciął nas od Kitajgorodu, więc musieli×my zmienić kierunek. - Widzę to, Nikodemie Pietrowiczu - odpowiedziała spokojnie kobieta. - Dokąd zatem teraz zmierzamy? - Na razie musimy wydostać się z miasta. Czy nie macie gdzie× blisko rodziny, u której mogłyby×cie znaleźć schronienie? - Blisko nie mamy, bo aż pod Wereją. Brat ma tam majątno×ć. - Gdzie leży ta Wereja? - Niedaleko Możajska, z pięć mil na południe... - To dobrze się składa, bo w Możajsku stoją nasi! - zawołał młody rycerz uradowany wiadomo×cią. Wkrótce wydostali się poza ziemny wał opasujący przedmie×cie i wyjechali na suzdalski trakt. O ×wicie 31 marca, a była to już ×roda Wielkiego Tygodnia, okazało się, że czę×ć Biełogrodu ocalała od pożaru, być może z powodu luźniejszej zabudowy czy też skuteczniejszej walki z ogniem jej mieszkańców. Pan Gosiewski nie dał

jednak za wygraną i dla bezpieczeństwa postanowił rzecz doprowadzić do końca, popierany zresztą w tej decyzji również przez bojarów z Sołtykowem na czele, który własny dwór podpalił osobiście. Przyczyną tego poparcia była raczej obawa o własne bezpieczeństwo w wypadku klęski Polaków. Radzili więc, by spalić również i Zamoskworeczje celem uzyskania wolnej drogi dla ewentualnych posiłków czy też na wypadek konieczności opuszczenia zajmowanych zamków. Tamtędy bowiem prowadziła najdogodniejsza droga na zachód, w kierunku Możajska i Wiaźmy. Pan Gosiewski uznał słuszność tych argumentów, nie czekał więc nocy, lecz rozkazał natychmiast przystąpić do akcji. Światłość dnia ułatwiała jednak obronę, toteż ruszyły tym razem silne oddziały cudzoziemskiej piechoty, wzmocnione spieszoną chorągwią husarską i dwoma pancernych. Część z nich pan Gosiewski skierował do Biełogrodu, ale główne siły przeszły Moskwę i wdarły się do Zamoskworeczja. Tu napotkano oddziały opolczenija (pospolite ruszenie) kniazia Pożarskiego, pod dowództwem Pleszczejewa. Ten wszakże na widok Polaków stracił odwagę i rzuciwszy oręż, pierwszy obrócił się do ucieczki, pociągając za sobą swe wojsko. Druga linia obrońców pod wodzą Kołtowskiego także nie stawiała silniejszego oporu i po krótkiej walce poczęła uciekać. Wzniesiony pożar wkrótce zaczął ogarniać Zamoskworeczje i rychło dotarł do otaczającej je drewnianej palisady, która wnet stanęła w płomieniach, buchając długą wstęgą ognia. W tym właśnie czasie umieszczone na basztach Kremlina i Kitajgorodu posterunki doniosły przebywającemu na murach panu Gosiewskiemu, że jacyś konni potykają się za płonąca palisadą z wojskami opolczenija. Niebawem okazało się, że walczą tam chorągwie Strusia pod jego osobistym dowództwem. Rad ze wsparcia pan Gosiewski pchnął zaraz posiłki, by wspomogły odsiecz i utorowały jej wolną drogę do

Krymgorodu. Pan Stru× dostrzegł owo wsparcie, decyzja za×, jaką skutkiem tego powziął, ×wiadczyła o niepospolitej odwadze tego rycerza. Ujrzano bowiem, jak obrócił się ku swoim żołnierzom i wskazując płonąca palisadę obnażoną szablą, rzucił się z koniem w ×cianę ognia. Posłuszny rumak, zdarty wodzami, uniósł się w górę i zniknął w płomieniach. Za mgnienie wyłonił się z nich, ale owa krótka chwila wydała się patrzącym nie mieć kresu. Za dowódcą nadbiegli najbliżsi mu jeźdźcy i także pograżali się w płomieniach, by wyłaniać się z nich potem niby czarci z piekielnych czelu×ci. Widać konie narzuciły kopytami nieco piasku, bo ogień w tym miejscu zmalął i nie buszował już tak gwałtownie, więc kolejni ×miałkowie nie podejmowali tak wielkiego hazardu, choć mimo to był on znaczny, gdyż jedno potknięcie czy upadek wierzchowca oznaczały ×mierć w płomieniach. Wkrótce wszystkie chorągwie pana Strusia przebyły ogniową zaporę i z okrzykami rado×ci i podziwu witały się z oddziałami wysłanego im z zamku wsparcia, a potem razem już obróciły ku murom Kremlina. Stamtąd za× zaczęli wyjeżdżać inni jeźdźcy, gdyż baczny na wszystko pan Gosiewski dostrzegł, że palisada tymczasem w wielu miejscach już się wypaliła i jego piechota walczy z przemożnymi siłami po jej drugiej stronie, z trudno×cią dając sobie radę z liczebną przewagą moskwiczów. Podesłał więc zaraz wsparcie, które zmusiło resztę wojska kniazia Pożarskiego do ucieczki. Daremnie dzielny książę starał się opanować panikę i skierować pierzchających z powrotem do boju. Przerazenie ogarnęło już całe jego wojsko, więc walczył tylko ze swoją przyboczną drużyną. Niebawem ranny padł na ziemię, ale ocalał dzięki swym wiernym żołnierzom, którzy unie×li wodza i odwieźli do monasteru Trójcy świętej, dokąd uciekało i jego opołczenie. Leżąc już na wysłanym słomą wozie, płakał książę nad losem swej ojczyzny i jej stolicy, której zabrakło obrońcy.



Tam za× strach owładnął sercami mieszkańców. Przerazenie okazało się silniejsze niż nienawi×ć, pragnienie życia przemogło pragnienie zemsty, rzucono więc broń. Ów strach przed ×miercią wiszącą nad głowami ma×ił my×li i kazał gnać przed siebie, byle uj×ć rzezi, nie słyszeć krzyku mordowanych, choćby nawet drogę ucieczki zagradzały płomienie. Toteż wielu zginęło w ogniu, ale jeszcze więcej od wrogiego oręza, który raził bez lito×ci miotający się tłum. Aż wreszcie pokonana Moskwa ukorzyła się. Obalona na kolana błagała o łaskę, płacąc za nią życiem blisko stu tysięcy ofiar, które padły pod razami bądź zginęły w ogniu. Stosy trupów zaległy ulice i place, sięgając miejscami wzrostu człowieka, pełno ich było po domach, podwórkach, sklepach i szopach, spali snem wiecznym na schodach i poddaszach, w sieniach, izbach i piwnicach. Umilkły dzwony Biełogorodu i Zamoskworeczja, ucichły krzyki walczących, ustał szcęk oręza, słychać było tylko trzask płomieni dopalającego się miasta. Pozostali przy życiu jego mieszkańcy na klęczkach błagali o lito×ć. Na rozkaz Gosiewskiego przerwano masakrę, ale ludno×ć musiała na nowo składać przysięgę na wierno×ć carowi Władysławowi. Nie zdołał on jednak opanować w×ród własnych żołnierzy żądzy rabunku, toteż rozgrabiono doszczętnie bogate magazyny, położone na terenie Kitajgorodu, dorwano się i do trunków, uczując potem w×ród pogorzeli i trupów. Zwycięstwo było zupełne. Lecz jak okazało się wkrótce, nie na wiele się zdało. Tego dnia, kiedy to Rutje spodziewał się doj×ć wreszcie do porozumienia z Sonią, już z samego rana wezwał ją Grigorij Pawłowicz do swojej izby na zapleczu gospody. Zawarłszy drzwi siadł za stołem i jaki× czas mierzył dziewczynę wzrokiem, zanim odezwał się: - Od dzi× przestanieś usługiwać go×ciom. Weźmiesz ten cygański przyodziewek - wskazał na tobołek leżący na ławie, owinięty w kolorową chustę - i udasz się do

siebie. Nie wolno ci będzie opuszczać kwatery, póki ci na to nie zezwolę. - Mam się przebrać za Cyganę? - Sonia okazała zaniepokojenie. - Właśnie. I nauczysz się wróżby. Znalazłem babę, która cię obezna ze sprawą. - Ja znam się nieco na wróżeniu, bo w dzieciństwie już mnie tego uczono. A komu to mam wróżyć? - Każdemu, kto za to zapłaci. - Kiedy zaczną przychodzić? - Aż dobrze nie poznasz arkanów tej sztuki. Ze dwie niedziele na to ci starczą... - I przez cały ten czas mam siedzieć doma? Ani myśle! - fuknęła z niezadowoleniem. Ale Grigorij Pawłowicz nie był z tych, którym można było okazywać grymasy. Rzucił krótkie spojrzenie na dziewczynę i powiedział nie podnosząc głosu: - Zrobisz, jakem przykazał, i fochów mi nie okazuj, jeśli ci miła moja przychylność. Dziewczyna spłoszyła się, ale mimo to próbowała jeszcze protestów. - Nudno mi będzie... - rzekła kapryśnie. - I dlaczego tak z nagła? Rozdrażniło to Grigorija Pawłowicza, bo powiedział już gniewnie: - Wolałabyś gzić się z owym posłem pana Chodkiewicza? Zęby do niego suszyć i tyłkiem mu kręcić przed nosem? Dla byle amatorów u mnie nie służysz! Z Siergiejem przespałaś się, przeto teraz wilkiem na cię patrzy, a ja waśni nie cierpię, bo z nich wielka bieda wynika. To sobie zechciej spamiętać, inaczej kańczugiem wbiję ci rozum do głowy! Sonia, tym razem już wystraszona, bąknęła: - Nie ma co się sierznić... - Po chwili zastanowienia, widząc zmieniony tok myśli, dodała: - Mylicie, że da się wziąć na hak? Nie powiedziała, kogo ma na myśli, ale Suchecki nie potrzebował wyjaśnień, bo już wtajemniczył dziewczynę w niektóre szczegóły swego zamierzenia i wiedział, o kogo pyta. - Jak będziesz dobrą wróżbiarką, to wczynie czy później wieć do niego dotrze. A to powinno go skusić. - Myślę, że to takie rzemiosło jak i wiele innych, więc abym tylko miała nieco praktyki... - Bystroć myślenia może starczyć za praktykę, a tego ci nie brak... - Grigorij

Pawłowicz u×miechnął się pod wąsem. - Zresztą o płotki możesz nie dbać, znacznieszych za× nie dopuszczaj od razu, ale wyznaczaj im porę. Takim sposobem będzie czas na rozeznanie, kim są i co należy mówić. Bowiem tylko ci znaczniejsi dadzą ci rozgłos, który dotrze tam, gdzie trzeba. - A wówczas? - Sonia u×miechnęła się porozumiewawczo. - Sam nie przyjdzie, lecz wezwie cię do siebie. Wówczas powiem ci, co masz czynić. Zaczęły płynąć dni, potem tygodnie i wie×ć o pojawieniu się jakowej×, zgoła niezwyklej wróżbiarki, przybyłej ponoć aż z dalekiej Persji, zaczęła szeroko rozchodzić się w×ród żołnierstwa. Nikt jednak nie połapał się, że źródłem tej wie×ci była gospoda Sucheckiego, że stamtąd płynęły pochwalne i intrygujące wiadomo×ci, wzbudzające ciekawo×ć słuchaczy. A że byli to żołnierze, a ci, jak wszyscy ocierający się o ×mierć, są przesądni, przeto izbę wróżbiarki odwiedzano coraz czę×ciej, pojawiali się w niej i panowie oficerowie, a potem nawet wyżsi rangą dworacy, których wszakże wróżbiarka od razu nie przyjmowała, wyznaczając im przeważnie wieczorne godziny, co chętnie widzieli. Pieniądze obfitą strugą płynęły do mieszka owej Persjanki, a że groźny patron zezwolił nie rozliczać się z nich, początkowe niezadowolenie minęło i Sonia była rada ze zmiany, jaką jej nakazano. Należało teraz czekać, czy założona przynęta chwyci i upatrzony szczupak na nią się złakomi. Jakoż okazało się, że kalkulacje starego szlachcica były dobre, bo gdzie× na początku kwietnia zjawił się wysłannik pewnego możnego pana, który życzył sobie widzieć wróżbiarkę u siebie. Powiadomiony o tym Grigorij Pawłowicz odbył z Sonią poufną rozmowę, wręczając jej na zakończenie mały, atlasowy miszek, haftowany we wschodnie wzory i znaki. W dzień później przyszedł wieczorem tenże sam dworzanin z poleceniem, by wróżka zechciała zająć miejsce w karecie, którą po nią przyjechał.

Jednocześnie położył przed Sonią sakiewkę o dobrze zaokrąglonym kształcie i uśmiechając się przy tym, oświadczył: - Drugą taką dostaniecie, jeżeli pan mój przekona się, że istotnie jesteście tak dobrą wróżbiarką, jak o was mówią. - Postaram się zadowolić waszego pana, ale wolałabym wiedzieć, kto nim jest. - Ujrzycie go na miejscu i myślę, że rozpoznacie sami. Otulona peleryną i z małym zawiniątkiem pod ramieniem Sonia zajęła miejsce w karecie obok swego przewodnika i ruszyli w drogę. Po godzinie jazdy zatrzymali się przy murze okalającym budynki, a kiedy wysiedli, towarzysz podróży zbliżył się do mającej w ciemnościach furty, przy której stał wartownik. Rzucił mu półgłosem hasło, ten uchylił furte i wpuścił przybyszów za mury. Wkrótce dotarli do jakiegoś domu i Sonia znalazła się w ciemnym korytarzu. Spod jednych drzwi sączyło się światło i ku nim skierował się wiodący ją dworzanin. Odemknął je przed nią i wpuściwszy wróżbiarkę do rodka, sam dalej nie szedł. Znalazła się w niedużej komnacie i rozejrzała dlatego ciekawie dookoła, daleka od jakiegokolwiek strachu. Na kominku palił się ogień, obok na stole stał lichtarz z dwiema świecami i dzban, a przy nim parę kielichów, co oświadczyło, że gospodarz niedawno musiał mieć gości. Na widok wchodzącej uniósł się zza stołu postawny mężczyzny o urodziwej twarzy, zdobnej parą ciemnych wąsów, i zbliżywszy się do Soni, spytał z uśmiechem: - To aćka jest ową znakomitą wróżbiarką, o której mi mówiono? Spodziewałem się ujrzeć leciwą niewiastę, a tu widzę młodkę, i do tego niepowседневnej urody! Dziwne, że tak młoda, a przecież, jak mówią, umiesz dostrzegać sprawy niewidoczne dla innych. - Wyjątkowy to dar natury, wielmożny panie... - Sonia skłoniła głowę z powagą. - Rad będę w tym się upewnić. Jeżeli to prawda, sownie cię nagrodzę! - Dzięki, jaśnie panie wojewodo... - Dziewczyna nie porzucała

poważnego tonu. - Wiesz, ktom jest? Powiedział ci mój dworak? - Nie, wiem to z siebie... Uzyskawszy potwierdzenie rzuconego niejako na przynętę tytułu, Sonia już wiedziała, z kim mówi. Zresztą i otrzymany od pryncypała opis wyglądu pana Jana Potockiego potwierdzał początkowe przypuszczenie. - Zatem prezentować się nie ma potrzeby. Przystąpmy więc do rzeczy... Rad usłyszę nie tylko o tym, co mnie czeka, ale i co dzieje się wokół mojej osoby. Kto mi przychylny, a kto wróg, kto wart przyjaźni, a kogo należy się strzec. - Dobrze, ja×nie panie... Wszakże nie spodziewajcie się, że po nazwiskach będę o widzianych mówić, bo i dworu nie znam, i czynić tak mi nie wolno... - Starczy opis, gdyż istotnie, skąd możesz wszystkich znać? - Siadajcie więc po tej stronie stołu, a ja siądę wam naprzeciw... Kiedy wykonał polecenie, wyciągnęła rękę przez stół. - A teraz podajcie mi swą dłoń ku górze obróconą... Nie prawą, lewą... Połóżcie płasko na stole... Kiedy spełnił i to polecenie, podsunęła ku sobie lichtarz i patrząc w otwartą dłoń, zaczęła mówić: - Wielkiego umysłu i serca mąż... ale burzliwego żywota... No tak, bo×cie wojennego rzemiosła człek... Jeszcze dziesiątki lat przed wami i zaszczyt niemały czeka... Chyba hetmańska buława... Lecz i przeciwno×ci widzę, przez wrogów snute knowania... - Kto zacz oni są? - z przejęciem spytał wojewoda. - O tym ręka mi nie powie. - Odsunęła jego dłoń. - Ale też to jeno tylko czę×ć z tego, co zapewne ujrzę... - A reszta? Powiesz zatem co× więcej? - Powiem... - Rozejrzała się po izbie. - Potrzebuję jakiego× naczynia i nieco żaru z ognia. Wstała i zbliżyła się do gzymsu kominka, na którym dostrzegła glinianą misę. Wzięła ją i nachyliwszy się nad ogniskiem nagarnęła pogrzebaczem trochę rozżarzonych węgla. Dmuchając, by za szybko nie wygasły, wróciła do stołu i postawiła misę przed sobą. Wojewoda przez cały czas obserwował bacznie jej ruchy. Był wyraźnie przejęty i

zaciekawiony, z czym się zdradził, pytając z przejęciem: - Co teraz? Potrzebujesz jeszcze czego×? - Nie, resztę mam ze sobą... Rozwinęła chustę, którą położyła na ławie obok siebie. Było tam nieduże zwierciadło oprawne w srebrną ramkę, puzderko i mały, atlasowy mieszek wyszywany złotą nicią. Ustawiała lustro za misą, po czym wyjęła z puzderka kawałek ko×ci i szepnąwszy kilka słów, których pan Potocki nie dosłyszał, położyła ko×ć na rozżarzonych węglach. - Co to za ko×ć? - spytał szeptem, coraz mocniej przejęty. - Człowiecza. Takiego, co sam ukrócił swój żywot... Nie odwracając wzroku od rzuconej na żar ko×ci, pan wojewoda szybko się przeżegnał. Ta za× była zapewne przesycona jaką× żywiczną substancją, bo wnet zaczęły ją lizać małe, ale liczne płomyki, a wraz z nimi pojawiły się strużki białego, gęstego dymu. Był ciężki, nie szedł w górę, lecz snuł się pasmami po krawędziach miski, wylewając niejako poza jej brzegi. Sonia, nachylona nad misą, nie patrzyła jednak w jej wnętrze, utkwiała wzrok w stojącym przed nią zwierciadle, które pokryło się pasmami dymu, i zaczęła mówić: - Chcesz wiedzieć, kto ci zagraża? Poznać wroga... Szukam go... widzę postacie... szare, zamazane... Trudne do rozeznania... Czeka, widzę oblicze... błyskają w nim jeno oczy, resztę zasnuwa dym... Ten jest twoim zawziętym wrogiem... Może dlatego, że× innej wiary... Nie wiem, kto zacz jest, bo tego oblicza nie znam, ale postać odziana w szaty duchowne... Chyba to biskup... Już mi znika, snują się inni, mającą ich zakonne habity... - Przekłęci jezuici... - warknął przez zęby wojewoda, wręcz chłonąc słowa wróżbiarki. Po chwili za× dorzucił półgłosem, jakby odpowiadając jakiej× swojej my×li: - A więc to nie iółkiewski... Zatem kto? Który z tych ×wątobliwych opojów? Sonia nie zwróciła jednak uwagi na jego słowa i mówiła dalej: - Widzę ich wszakże jako we mgle... Krążą, są to bliżej, to dalej, ale mgła, wszędy mgła... Czeka, czeka... - Głos wróżbiarki

nasilił się. - Widzę inną postać, zbliża się, ja×nieje... owe zakonne mary umykają... Tak, poznaje, to ty dzierzysz buławę... Ale widzę nie ciebie, jeno odbicie tve w wodzie... jest klarowna, chłodna... jej powierzchnia lekko się marszczy i twój konterfekt drga... Strzeż się, zatem strzeż się zimnej, głębokiej wody... Głos wróżki zaczął zacichać, słowa stawały się coraz mniej wyraźne, z wolna milkła, aż wreszcie po krótkiej chwili jakby ocknęła się ze snu i już przytomnie spojrzała na wojewodę. Ten spytał głosem przytłumionym podnieceniem: - Kto to był? Mówiła×, biskup? Sonia wzruszyła ramionami. - Kto był, tego nie wiem, boć przecie nie znam waszych dygnitarzy, zwłaszcza duchownych... - Obrzuciła wojewodę przelotnym spojrzeniem i dodała: - Rozeznać, kto zacz był, możecie tylko sami... - Ba, ale jak to mam zrobić?! Niewiele na tej materii się znam... Sonia milczała jaki× czas, schyliwszy głowę. Wreszcie uniosła ją i spojrzała na wojewodę, który nie spuszczał z niej wzroku. - Byłby sposób - powiedziała z ociąganiem - jeno nie wiem, czy wykonacie, wielmożny panie, wszystko jak trzeba... - Masz sposób?! Mówże tedy i o zapłatę nie pytaj! Tej ci nie poskapię, je×li mi wskażesz, co mam czynić. - Czynić wiele nie trzeba, bo nie o to chodzi. Mam tu ziele, rzadkie i trudne do zdobycia. Ono otworzy wam drogę przez granicę, którą nie każdemu dane jest przekroczyć. Za nią znajdziecie odpowiedź. - Masz takie ziele? Jak je zażyć? Sonia wyłożyła atlasowy woreczek na stół. - Ono nie do parzenia. Weźcie, panie, jakom ja to czyniła, żaru na tę miskę i posypcie go ziele. Kiedy pocznie dymić, nachylcie nad nim twarz i wdychajcie w siebie. Nieco was może zamroczy, ale przed oczami staną obrazy i lica, które pragniecie widzieć. - Naprawdę? I tylko tyle mam czynić? - Tylko. Ale radzę ziele rozdzielić na trzy czę×ci, bo może się zdarzyć, że za pierwszym razem nie wszystko ujrzycie albo zgoła nic się nie ukáže. Gdyby stało się

to i za drugim razem, za trzecim wymówcie słowa, które powiem. - Jakie to słowa? - Zapamiętajcie je dobrze, bo niczego w nich zmieniać nie wolno, oto one: Arymanie, wspomóż sługę, Arymanie, rozedrzyj zasłonę, Arymanie, ukaz mi go... i wówczas bez wątpienia obaczycie, panie, co widzieć pragniecie. - Mam rzec "sługę" ...? - zapytał z wahaniem wojewoda. - Słowo wiatr, ale powiedzieć je trzeba, bo zakłęcia w niczym zmieniać nie wolno. I jeszcze jedno: Nikt nie ×mie być obecny przy tym obrzędku ani nikt jego ×wiadom. Nawet rodzony brat. To równie ważne jak słowa samego zakłęcia. Pan Potocki powtórzył podane mu zwroty, po czym sięgnął za pas i położył na stole sporą sakiewkę. - To dla ciebie. My×lę, że ekspensu na próżno nie czynię. - Jam tego pewna, z tym, że przerwa pomiędzy użyciem ziół nie powinna być krótsza niż jedna doba. Najlepiej skutkują użyte o północy. Chyba z dziesięć dni po owej bytno×ci wróżki pan Potocki począł niedomagać. íaden za× z medyków, i jego własny, i nawet przyzwany, królewski, nie mogli doj×ć przyczyny choroby, jakiej ulegał. Rozpytywali go, co jadł, kto podawał mu strawę i napoje, ale nie dostrzegli niczego, co by mogło wzbudzić podejrzenia. On za× chudł w oczach, dzień za dniem był coraz słabszy i chyba zmarłby o wiele wcze×niej, gdyby nie moc organizmu, który walczył z bole×cią. Była to jednak walka daremna, bo wojewoda braclawski rozstał się ze ×wiatem 25 aprila ku wielkiemu strapieniu króla jegomo×ci, którego był ulubieńcem. Jego funkcje jako naczelnego wodza objął brat Jakub, wojownik równie dzielny jak i do×wiadczony. Jedlina i Rymsza okolice Moskwy znali dobrze, bo nieraz wyjeżdżali w różne strony po furaz bądź na podjazdy. Kiedy więc znaleźli się z konieczno×ci na suzdalskim trakcie, wiedzieli, że należało skrócić ku południowi i od tej strony okrążyć stolicę, a potem dopiero obrócić się na zachód, gdzie na szlaku do Smoleńska,



mil z piętnaście od Moskwy, leżał Możajsk. Jedlina skierował oddział pomiędzy grupę drzew majaczącą przy gościńcu, przykazał stanąć i karmić konie. Wszyscy obejrzeni się i ze zgrozą patrzyli na szalejące morze ognia, tryskające iskrami w rozpasanym tańcu płomieni. Rozlane pulsującą czerwienią od krańca widnokregu buszowały ponad czarną linią wału Ziemiańskiego Gorodu. Łuna pożaru sięgała zenitu nieba, a padająca od niej purpurowa powłoka rzucała na niego czarne cienie pni drzew i stojących przy nich jeźdźców. Na trakcie mniejszy był ruch, niż należało oczekiwać. Jechały wprawdzie wozy, szły grupy ludzi, niektórzy pędzili bydło czy ciągnęli wyładowane wózki, ale byli to zapewne ci, co w pobliskich wsiach mieli krewnych lub przyjaciół, gdzie spodziewali się znaleźć schronienie. Rozpasane żołnierstwo zniszczyło bądź rozgabiło magazyny z żywnością w Kitajgorodzie, czego skutkiem braki w zaopatrzeniu stały się coraz dotkliwsze. Tym było trudniej, że okolice Moskwy zostały już obrabowane doszczętnie. Zmuszało to wojsko do coraz dalszych wypraw, jednak stolica była nieomal całkowicie otoczona tak przez chorągwie różnych znaczniejszych dowódców, jak i luźne oddziały partyzanckie, czyhające na okazję do napaści. I chociaż kończyły się one z reguły ich porażkami, to przecież następnych watażków nie odstraszało to od ponawiania napadów. Dochodziło też i do większych bitew. Wkrótce po przybyciu Strużki wybrał się na czele siemuset szabel po żywność, zamierzając zdobyć ją w dalszych okolicach. O trzydzieści wiorst od Moskwy spotkał pięcioletnią armię Proszowickiego. Rozproszył ją wszakże śmiałym atakiem i zmuszając do ucieczki zagarnął całe zapasy, jakie Proszowicki wioził ze sobą. Przeważnie jednak te dowody męstwa i wysiłku żołnierza nie dawały rezultatów. Kraj był już wyniszczony licznymi przemarszami różnego żołnierstwa, wiele wsi opustoszało, gdyż ludność wołała kryć się po lasach, wiele

uległo pożarom, toteż zdobywać zapasów nie było na kim. Zachodziła więc konieczność szukania żywności w coraz odleglejszych stronach, co wymagało czasu, wysiłku i silnych liczebnie wypraw. Sytuację pogorszyło przybycie Prokopa Łopunowa na czele ponad stutysięcznej armii. Minął monaster świętego Symeona i rozłożył się obozem nad rzeką, o milę od Moskwy, nie zaniehbując należytego zabezpieczenia się okopami i szeregiem szańców przed atakiem Polaków. Zdawał sobie bowiem sprawę z ich wielkiej przewagi w polu, której jego słabo uzbrojone i nie wyszkolone jak trzeba wojsko nie byłoby w stanie sprostać. Postanowił więc nie wszczynać działań zaczepnych, lecz przecinać gdzie się da dowóz żywności, nękać napadami wysyłane po nią oddziały nieprzyjaciela i w ten sposób głodem zmusić go do kapitulacji lub wycofania się ze stolicy. Referendarz litewski Aleksander Korwin Gosiewski, wyznaczony przez hetmana iólkiewskiego na dowódcę wojsk stojących w Moskwie, donosił jego królewskiej mości o pogarszającej się z dnia na dzień sytuacji moskiewskiego garnizonu. Meldunki te, znane królewskiemu otoczeniu, powodowały coraz głośniejsze żądania udzielenia pomocy Gosiewskiemu, a przede wszystkim co rychlejszego wysłania do Moskwy królewicza Władysława. Król jednak nadal był przeciwny takiej decyzji. Ostatecznie wysłano komisarzy z pieniędzmi na częściowe pokrycie żołdu. Poszło też pismo do starosty uwiackiego Sapiehy, by ciągnął swe wojsko rozrzucone po ziemi siewierskiej i ruszył na pomoc Gosiewskiemu, a jednocześnle postanowiono wzmóc szturmy celem jak najpieszniejszego zdobycia Smoleńska, co pozwoliłoby odzyskać swobodę ruchów. Pismu królewskiemu, mimo że było raczej prośbą niż rozkazem, pan Sapieha był posłuszny. Zebrał chorągwie i pociągnął z nimi na Moskwę. Nie usiłował wszakże połączyć swych sił z moskiewską załogą, lecz zatrzymał się o pięć mil od stolicy i stanął

obożem, nie zawiadamiając nawet Gosiewskiego o swoim przybyciu. Na wieść o zbliżaniu się jednego z dwóch najgroźniejszych polskich wodzów, za jakich bojarzy uważali Sapiehę i Lisowskiego, Łopunow i jego dowódcy wpadli nieomal w popłoch. Na odbytej naradzie postanowili nie szczędzić starań i obietnic, by tego niepokonanego męża wojny przeciągnąć na swoją stronę. Do przeprowadzenia rozmów wybrał więc Łopunow trzech najprzebieglejszych swoich doradców, którzy zaraz ruszyli w drogę. Pojechali bojarzy: Anatolij Iwanowicz Szurkow, Borys Wasiljewicz Ruskin i Iwan Pietrowicz Tratiak. Witali Sapiehę zwyczajem moskiewskim głębokimi pokłonami, on zaś podług swojego obyczaju wymienił z każdym uścisk dłoni, a potem prosił do polowego stołu, na którym stał dzban z miodem. Kiedy zasiedli, rozmowę zagał Iwan Pietrowicz Tretiak: - Pismo Prokopa Iwanowicza do rąk waszej wielmożności złożyliśmy, przeto nie ma chyba wątpliwości, że my prawomocni jego posłowie i to, co przyrzekniemy, wiernie będzie dotrzymane. Pan Sapieha uśmiechnął się pod wąsem. - Iście jego posłowie i za jego wolą ze mną mówicie, w to nie wątpię - odpowiedział nieco kpiąco - ale czy będzie dotrzymane, okaże dopiero przyszłość. Gdybym wszakże zupełnie w to nie wierzył, nie siedzielibyśmy teraz za stołem. - Wielką rozterkę przeżywa teraz Prokop Iwanowicz - podjął z kolei Szurkow. - Podziwia on was, Polaków, i ubolewa, że nienawości nie czując, oręż na was musi podjąć. Jednak dobro kraju wyżej stawia niżli przyjaźń, jaką do was czuje. Na pociągłej, urodziwej twarzy pana Sapiehy ukazało się zatroskanie. Odpowiedział też z westchnieniem. - I ja nad tym ubolewam, dobrze go rozumiejąc. Ale już tak bywało i będzie, że najlepszych przyjaciół los rzuca przeciw sobie. Także i my skrzyżujemy broń, ponieważ dążę z pomocą naszej moskiewskiej załódze, na którą macie zamiar nastawać.

Odezwał się bojar Ruskin. Najpierw chrząknął raz i drugi, a potem mówił z należytym okazaniem wzruszenia: - Czyż potrzeba broń krzyżować, wasza wielmożność Piotrze Pawłowiczu? Czyż wciąż my, ze wspólnego pnia narodów, musimy przeciw sobie powstawać? Nie można by chociaż teraz tego uniknąć, skoro jednako wy, ja nie panie, i Prokop Iwanowicz sprawę widzicie? - Do czego zmierzacie, Borysie Wasiljewiczu? - spytał od niechcienia Sapięha sięgając po kubek z miodem. Jednak Ruskin nie odpowiedział na to pytanie, lecz zadał inne od siebie: - Czy wiecie, wasza wielmożność Piotrze Pawłowiczu, skąd powstało porozumienie Prokopa ʼopunowa z atamanem Zaruckim? Zapewne jest wam wiadome, lecz je przypomnę. Otóż zaprzysiągł ʼopunow Zaruckiemu osadzić na moskiewskim tronie syna cyrycy Maryny... To jest cel, jaki sobie wytknął i do którego zmierza. Bez politycznych bowiem zamierzeń żadna walka nie ma sensu... - Istotnie, o porozumieniu wiedziałem, ale czy to ma być odpowiedź na moje pytanie? Ruskin uśmiechnął się nieznacznie i przeczesał palcami brodę. - Do pewnego stopnia tak. Bo przecież i wy popieracie dążenia Maryny do objęcia tronu przez młodego Dymitra. Czyż nie warto połączyć naszych wysiłków? Do tego właśnie zmierzałem. - Hm... - Poza mruknięciem pan Sapięha nie powiedział na razie nic więcej. Obracał jakiś czas pusty kubek w palcach, wreszcie odstawił go i odezwał się: - Nie widzę tu miejsca dla nas dwóch, dla Zaruckiego i dla siebie. Bez wątpienia będzie mnie uważał za rywala, a być może i posądzi, że chcę walczyć nie tylko w imieniu Maryny... - Nie posądzi, jeżeli zgodzicie się, by poślubił Marynę. Carem obierzemy syna Dymitra, więc znaczenie jej małżonka nie będzie wielkie. W każdym razie mniejsze niż wasze jako tego, który osadził dziecko na tronie. - Jakąż tedy pozycję widzi dla siebie Prokop Iwanowicz? - Jemu wystarczy zasługa i miano

oswobodziciela ojczyzny. On do zaszczytów nie dąży. Sapięha roze×miał się. - Ba! Rad bym wierzyć! Wszakże mógłbym rzecz wziąć pod rozwagę, ale tylko pod jednym warunkiem. - Przykazano nam powiedzieć, że na każdy wasz warunek gotowi×my wyrazić zgodę. - Zbyt to pięknie brzmi, ale w praktyce bywa inaczej. Otóż, jak rzekłem, wezmę rzecz pod rozwagę, je×li powierzycie mi naczelne dowództwo nad wszystkimi wojskami. Bez tego nie ma o czym gadać. - Wasze żądanie nas nie dziwi, bo×my je brali pod uwagę... - zabrał głos Tretiak. - I co×cie postanowili? - Pierwszy Prokop Iwanowicz był za tym, by je przyjąć, i to z zadowoleniem, boć z takim wodzem jak wasza wielmożno×ć będziemy spokojni o pomy×lno×ć naszej sprawy. - Rad to słyszę. Zatem niech wiem, jaką siłą będę rozporządzał, a głównie, ile wiezie ze sobą armat, gdyż bez nich dużo nie zdziałam... Bojarzy spojrzeli po sobie. Tretiak już chciał udzielić odpowiedzi, ale ubiegł go Bojar Ruskin: - My×my doradcy polityczni jego wielmożno×ci t'opunowa, a nie dowódcy wojskowi, toteż nie rozeznajemy się w tej materii. Nie wątpimy jednak, że wszelkie potrzebne wiadomo×ci otrzymacie od niego samego, boć trzeba, aby×cie sprawę ostatecznie załatwili między sobą. - Niechże i tak będzie. Poczekam. - Czy możemy zatem powiedzieć Prokopowi Iwanowiczowi, że do czasu waszego spotkania nie wesprzecie moskiewskiej załogi? Sapięha chwilę milczał, zanim odpowiedział: - Dobrze. Możecie mu to powiedzieć. Skutkiem tego przyrzeczenia nadal więc stał beczynnie w obozie, czekając na dalsze kroki t'opunowa, zmierzające do zawarcia ostatecznego porozumienia. Zaniepokojony tą beczynno×cią Gosiewski postanowił przekonać się, jak dalece wie×ci, jakie doń dochodziły, są prawdziwe i w jakim stopniu może liczyć na pomoc u×wiackiego starosty. Wyprowadził więc 21 maja swoje wojsko poza mury miasta, dotarł przed ×witem pod obóz

Łopunowa i nagle×cią uderzenia całkowicie zaskoczył jego armię. Powstał popłoch, wiele pułków rzuciło się do panicznej ucieczki, a te, które dowódcy zdołali utrzymać w korbach, również nie zdradzały zbyt chętnie do walki ze wzbudzającymi postrach Polakami. Uradowany bliskim zwycięstwem Gosiewski wezwał Sapiechę, by przybywał jak najspieszniej i pomógł mu pokonać ostatecznie nieprzyjaciela. Odpowiedź, którą wnet otrzymał, była tak niespodziewana, że wysłuchawszy posłańca, poczerwieniały na twarzy, kazał ją sobie powtórzyć. - Otrzymałem rozkaz, abym uprzedził waszą wielmożno×ć - po raz drugi o×wiadczył więc obojętnie wysłany oficer - że je×li natychmiast nie przerwiecie walki i nie ostawicie Łopunowa w spokoju, pan Sapieha uderzy na was bez nijakiej zwłoki. - Waszmo×ciowie słyszycie? - Gosiewski zwrócił się zduszonym głosem do otaczających go oficerów. - Słyszycie, panowie bracia? Bądźcie ×wiadkami... na towarzyszy chce uderzać!... Nie mógł dalej mówić, ale wyręczyli go oficerowie zgodnym krzykiem: - Zdrajca i psu brat! Hańba mu! Pan Gosiewski już się jednak opanował i rzucił trębaczowi rozkaz: - Daj znak do odwrotu! Niech chorągwie ×ciągają z pola! Trudno opisać oburzenie jak i zacytować wszystkie przekleństwa, których nie szczędzono panu staro×cie, kiedy wie×ć o jego groźbie rozeszła się wśród żołnierzy. Pan Sapieha nie złamał więc obietnicy. Dobrze to by o nim ×wiadczyło, gdyby respektowanie swego słowa nie opłacił uszczerbkiem honoru, i to tak wyraźnie widocznym. Nie tylko tę jednak cenę przyszło mu zapłacić. Łopunow bowiem, choć powrótnie nadesłał mu posłów z potwierdzeniem uzgodnionych warunków i z podzięką za wsparcie, to jednak nie wspomniał o spotkaniu dla ostatecznego zawarcia paktu. Zrozumiał więc pan Sapieha, że tą drogą nie zrealizuje ambitnego celu, jaki zaczął mu przy×wiecać, aby popierając Marynę, samemu zawładnąć

moskiewskim tronem. Kiedy więc Stru× w wyprawie po żywno×c spotkał poważne siły przeciwnika pod t'uznikowem, Sapieha wsparł go ratując z opresji. W ten sposób dał do zrozumienia Gosiewskiemu, że zerwał porozumienie z t'opunowem. Skierował też do pułkownika przyjazne pismo, na które otrzymał równie przyjazną odpowiedź, bo dobro sprawy pan Gosiewski uznał za ważniejsze niż osobistą animozję i żał za wydarcie mu zwycięstwa. Zaproponował więc staro×cie, by pociągnął w głąb kraju po żywno×c i furaz, co dałoby podwójną korzy×c - zaopatrzyło głodującą załogę i odciągnęło czę×c sił t'opunowa spod Moskwy, gdyż na pewno będzie usiłował przeszkodzić takiej wyprawie. Pan Sapieha uznał słuszno×c propozycji i wsparty tysiącem pięciuset żołnierzy, których dał pod jego rozkazy Gosiewski, zwinął obóz i ruszył w pole. Poza dowódcami pomniejszych sił jak Proszowicki czy Massalski, działającymi w różnych stronach kraju, trzech dowódców skupiało pod swoimi rozkazami armię stanowiącą bezpo×rednie zagrożenie dla polskiego garnizonu w Moskwie. Byli to książę Dymitr Michajłowicz Trubecki, dowódca opołczenia, Prokop t'opunow i kozacki ataman Iwan Zarucki. Pierwszy z nich, reprezentujący stan bojarski, nie był człowiekiem wybitnym, raczej tylko figurantem dla dwóch pozostałych, którzy wprowadzili we wszystkich przykazach i gramotach jego nazwisko umieszczali na pierwszym miejscu, ale w rzeczywisto×ci, rywalizując między sobą, zupełnie się z nim nie liczyli. t'opunow dowodząc wielkim liczebnie opołczeniem, które udało mu się powołać pod broń, miał jednak pod sobą żołnierza lichego, źle uzbrojonego i nie wyszkolonego w wojaczce. Natomiast Zarucki, jako Kozak liczebnie znacznie słabszy, bo stosunek ich sił wynosił z grubsza jak jeden do czterech, dysponował żołnierzem odważnym, bitnym i z wojną obznajmionym, toteż w rzeczywisto×ci był stroną silniejszą. Zdając sobie z tego

sprawę, niezbyt liczył się z Łopunowem i wcale tego nie ukrywał. Nic też dziwnego, że pomiędzy obu wodzami wybuchły niesnaski, które wkrótce przerodziły się w wyraźną wrogość. Powody wani były i inne, gdyż Łopunow działał z pobudek patriotycznych, dążąc do usunięcia z kraju Polaków, zaprowadzenia ładu i praworządności, a także osadzenia na tronie prawosławnego cara. Natomiast Zarucki, będąc Kozakiem, nienawidził i Polaków, i Rosjan, dążył do przeciągnięcia anarchii, bo ta dawała mu możliwość wzbogacenia się, a że był zakochany w Marynie, pragnął osadzić na tronie syna Dymitra, małego Iwana, i zostać głównym doradcą oraz opiekunem Maryny jako regentki. Łopunow, zdając sobie sprawę z jego dążeń, sprzeciwiał się im stanowczo. Mimo to działali jednak wspólnie zostawiając rozgrywkę na czas późniejszy, gdyż takie wspólne działanie leżało w interesie ich obu. Toteż cały czerwiec przeszedł im na walkach o Biełogorod, którego zdobycie stanowiło warunek zgniecenia polskiej załogi i ostatecznego uwolnienia stolicy od obcego najeźdźcy. Były to jednak raczej tylko drobne potyczki i wypadki zmierzające do rozpoznania sił przeciwnika. Dopiero nocą z drugiego na trzeci lipca, otoczywszy mury Biełogorodu, rzucili się do szturm uderzając jednocześnie w różnych miejscach. Szczupłość sił nie pozwalała Gosiewskiemu na obronę długiej linii murów, więc zabezpieczył tylko poszczególne baszty, i to szczupłymi załogami, po dwudziestu, trzydziestu ludzi. Jedyne Wieżę Nikicką obsadził silną załogą niemieckiej piechoty, liczącą blisko trzystu żołnierzy, a Basztę Pięciu Wież nad rzeką Moskwą - trzema rotami polskiej piechoty Groickiego pod dowództwem rotmistrza Pieniążka. Rychło więc reszta baszt została zdobyta, a tylko te dwie stawiały zażarty opór. Z potężnej Wieży Nikickiej salwa po salwie odpierały ponawiane wciąż szturmy. Grzmiały bez przerwy rusznice i



hakownice niemieckich i francuskich piechurów. Dymy wystrzałów zasnuły szczyt wieży, zaciekle walczyła trwała już parę godzin, aż wreszcie obrońcom zaczęło braknąć prochów. Klęli więc żołnierze, odrzucając bezużyteczne już rusznice, ale nie folgując zawziętości obrony poczęli wyrywać z murów kamienie i cegły i ciskać nimi na głowy równie zażarcie szturmujących Kozaków. Broń ta zdradziła jednak oblegającym wyczerpanie się prochów, więc tym gwałtowniejsze przypuszczali ataki. Mimo to grad kamieni okazał się mało mniej skuteczny od kul, bo obrońcy trzymali się nadal. Jednak już blisko wylotu udało się napastnikom wyważyć potężne drzwi i wdrzeć do środka. Rozpoczęła się teraz walka pierś w pierś, na szable, tasaki (szable piechoty o prostej głowni), halabardy, spisy, berdysze, a nawet i na gołe pięści. Jednak przewaga liczebna wroga zmusiła obrońców do cofania się z piętra na piętro, aż wreszcie zaniechano oporu, wysłuchawszy wezwania o poddanie się wraz z obietnicą pozostawienia przy życiu. Wyprowadzono więc wkrótce obrońców z wieży, ale wbrew przyrzeczeniu spętano ich sznurami i zaraz na miejscu wycięto wszystkich. Równie, a nawet jeszcze bardziej zawzięcie broniła się Baszta Pięciu Wież położona nad samą rzeką Moskwą. Miała cztery piętra, dość więc było miejsca na pomieszczenie dla trzech rot polskiej piechoty. Odpierały one szturm po szturmie zadając wrogowi dotkliwe straty. Pan Pieniążek był dobrej myśli i nadal pewny, że zdoła basztę utrzymać mimo ogromnej przewagi liczebnej napastników, gdyż ani prochów, ani kul mu nie brakło. Znalazł się jednak zdrajca, dobośz jednego z regimentów, który skuszony sutą zapłatą zdradził przejście do piwnic, gdzie składowano prochy. Paru miałków dostało się tam i podłożywszy lont spowodowało wybuch. Ten nie rozwalił wprawdzie muru, ale uszkodził jego część, a co gorsza, wznicił gwałtowny pożar. Mimo płomieni załoga

wraz ze swym dowódcą walczyła bohatersko do ostatniego żołnierza, ginąc zarówno od ognia, jak i od przemożnej liczby napastników. Jedyne Monaster Nowodiewiczy, obsadzony przez Kozaków, poddał się bez walki. Cały Biełogorod dostał się więc ostatecznie w ręce t'opunowa i Zaruckiego. Gosiewski został zamknięty w obrębie Kitajgorodu i Kremlina, bo nieprzyjaciel opanował również Zamoskworeczje. Okopał się tam i zaciągnął działa, zamykając pier×cień okrażenia. W ten sposób polska załoga znalazła się w pułapce. Pan Gosiewski wysłał wprawdzie kilku gońców do Smoleńska, z których paru udało się dotrzeć do polskiego obozu, pomocy jednak nie otrzymał, bo król znajdował się już w drodze do Polski, a pozostawiony na dowództwie pan Potocki nie ×pieszył panu Gosiewskiemu z pomocą w mniemaniu, że, wsparty przez Sapiehę, sam sobie poradzi. Widząc beznadziejno×ć sytuacji rozmy×lał przeto pan regimentarz nad sposobami wyj×cia z opresji. Nie wiadomo, czy sam na to wpadł, czy też kto× podsunął mu ten niecny pomysł, ale wprowadził go w życie. O niesnaskach panujących pomiędzy t'opunowem i Zaruckim dobrze w Moskwie wiedziano, toteż zamy×lił pan Gosiewski do reszty skłócić obu dowódców. Przystępując do wykonania zamierzonej intrygi, chyba nie przypuszczał, że będzie ona kosztowała życie jednego z adwersarzy. Miał u siebie pewnego znacznego kozackiego jeńca, o którego zwolnienie zabiegał Zarucki. Zatem pan Gosiewski przywrócił mu teraz wolno×ć, obdarowując go nawet sowicie. Jednocze×nie dał mu list otrzymany rzekomo od t'opunowa, w którym ten okazywał chęć porozumienia z Polakami i zapowiadał zgubę Kozakom. Zwolniony jeńiec po powrocie list ten oddał Zaruckiemu. W tym czasie zdarzyło się wła×nie, że za rozbój t'opunow kazał utopić dwudziestu o×miu Kozaków, tym większą więc wzbudził nienawi×ć i chęć zemsty. List

przedstawił Zarucki zebranemu sądowi i mimo gwałtownych zaprzeczeń Łopunowa i wahań niektórych sędziów rozwścieczone kozactwo zarąbało szablami nieszczęsnika. Po śmierci Łopunowa głównym wodzem wszystkich wojsk został Zarucki. Prowadził dalej walki z nie mniejszą niż dotychczas energią, ale nie starczyło mu talentów, by sprostać tak wysokiej randze. Okazał się okrutny i niesprawiedliwy, krzywdził i gnębił niechętnych mu, tak swoich, jak i bojarów. Jednocześnie za wiadome było, że sam chce zostać regentem carstwa, coraz więcej miał więc wrogów. Kiedy te wypadki zachodziły w Moskwie, pan Sapieha wojował z dala od niej. Pod Jurowem rozbił i w pień wyciął piętnaście tysięcy ludzi, zdobył potem zamki Bratoszyn i Aleksandrow, gdzie także nie oszczędził nikogo. Były to jednak działania zamierzone, a nie wynikające z zamięłowania do okrucieństwa. Chodziło mu bowiem o zastraszenie ludności i tą drogą uczynienia jej powolną swoim rozkazom. Cel ten istotnie osiągnął, gdyż otrzymał wszędzie żywność, potrzebne podwozy i wszelkie usługi, jakich zażądał. Zebrał więc ogromny tabor i z wielkimi zapasami pociągnął z powrotem ku Moskwie. Stał pod jej murami 14 sierpnia, po rozbiciu wysuniętych garnizonów kozackich leżących na szlaku jego przemarszu. Tu książę Trubecki, który po Łopunowie objął naczelne dowództwo nad opołczeniem, próbował, już znacznie większymi siłami, odeprzeć go od stolicy. Wybuchła zaciepła walka, ale nie zdołał pan Sapieha przełamać napotkanej zapory. Cofnął się więc o milę i stanął obozem. Odgłosy tej bitwy doratły jednak do chorągwi stojących w Kitajgorodzie. Domyślnie, o co chodzi, wysłał pan Gosiewski silną wycieczkę, by z drugiej strony uderzyć na Rosjan i wyprzeć ich przynajmniej z murów Biełogrodu. Piętnastego sierpnia, a był to dzień świąteczny, bo Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, ruszyło bractwo do natarcia i po zmiennych walkach udało się

odzyskać większo×ć baszt, gdyż blisko×ć wojsk sapieżyńskich odbierała żołnierzom opołczenia serce do walki. Z kolei jednemu z oddziałów sapieżyńskich powiodła się przeprawa wpraw przez Moskwę i wdarł się na Zamoskworeczje, gdzie Rosjanie przekopali głęboki rów, łącząc nim łuk rzeki, i pobudowali dwa gródki, by odciąć i z tej strony drogę obleżonym. Napadli na owe gródki Polacy i w gwałtownym natarciu rozbili załogę, zmuszając ją do ucieczki. Zdobyli przy tym zaciągnięte tam armaty, rozrywając szczelny dotąd pier×cień obleżenia. Pan Sapieha znów ruszył swe wojska i tym razem pogromiwszy oddziały Trubeckiego, wsparł obleżonych, oczyszczając ostatecznie z nieprzyjaciela mury Biełogrodu. Pozwoliło to ruszyć taborem i w ten sposób wozy z żywno×cią dotarły do celu przeznaczenia. Wraz z tym taborem jechały do Kremlina i wozy bardziej przedsiębiorczych kupców, które zwykle ciągnęły za wojskami. Pomiedzy nimi znajdowały się wozy kupca Sucheckiego. W ten sposób jadowity wąż wpełzł niepostrzeżenie do kremlowskiego pałacu. Pan Sapieha po tym ×wietnym wyczynie znów się cofnął i zatrzymał się obozem pod Krasnym Siołem, nie zważając na wojska nieprzyjaciela obozujące w blisko×ci. Stał teraz u szczytu sławy, gdyż istotnie nie było równego mu wodza, tak gło×nego z odwagi, szybko×ci decyzji i działania, jak również talentów stratega. Należało ruszać, toteż Nikodem skinął na Rymszą i podszedł do wozu. - Nie tędy nam jechać - odezwał się do kobiet. - Toteż skrećimy stąd od razu ku południowi, a potem, przebywszy Jauzę, będziemy przez noc ciągnąć drogą wiodącą w pobliżu wałów. O ×wicie staniemy na postój w sposobnym do ukrycia się miejscu. - Sądzisz, Nikodemie Pietrowiczu, że dniem lepiej nie jechać? - spytała Natalia Pawłowna. - Nasze przebranie nie tak dobre, by bystrzejsze oko nie dostrzegło, co×my za jedni. Je×li pożar nie wyga×nie,

trudno będzie się w ciągu dnia precyzyjnie. - Prawda to, ale jest i powód, dla którego nie możemy sobie pozwolić na zwłokę - zauważył Rymśa. - Widzisz konieczność pośpiechu? Lepiej posuwać się wolniej, ale bezpieczniej. - Zwłoka może narazić nas na większe niebezpieczeństwo niż rozpoznanie przez nie uzbrojoną ludność. Nie zapominaj o ostatnich wieściach, jakie nas doszły. Jedlina odgadł, o czym myślał krewniak. - Masz na myśli Łopunowa i Zaruckiego? - Właśnie. Ciągną jeden od Riazania, drugi od Kaługi i są już tylko o kilka dni marszu. Jeśli na czas nie przemkniemy pomiędzy nimi a miastem, dostaniemy się w ich ręce. Straże przednie mogą być nawet wcześniej. - Matko Najświętsza! - zawołała Awdokia. - Chronź nas nieszczęsne! - Swoich się boisz? - nieco zgryźliwie zapytała Natalia Pawłowna. - Swoi nie swoi, a wszystkie chłopcy psa warte! - Toć rodzinę masz w Kotłach, a to kilka wiorst stąd. Myślałam, że będziesz chciała udać się do nich? - Pewnie, ale skoro panowie rycerze mówią, że od Riazania i Kaługi ciągnie wojsko, nie polezę im w łapy! Zabierzcie mnie, wielmożna pani, ze sobą, bo jeśli nawet przegnacie, za wozem pobiegnę! - Nikt przeganiać cię nie zamierza. Skoro nam służyła dotąd, to wstawię się za tobą u Nikodema Pietrowicza, by służyła i nadal. - Dzięki, wielmożna pani! - zawołała z ulgą dziewczyna. - Nie mnie dziękuj, lecz Nikodemowi Pietrowiczowi, jeśli cię przygarnie. - A także i nie mnie. - Młody rycerz uśmiechnął się. - Jako że i ja mam teraz nad sobą panią... Natalia Pawłowna zerknęła na córkę, której rumieniec skryła ciemnością. - Jak chcesz jechać? - zatroszczył się Rymśa. - Myślę, że im bliżej miasta, tym więcej będziemy spotykać ludzi. Jeśli jednak oddalimy się za bardzo, nie tylko naddamy drogi, ale tym łatwiej możemy napotkać zwiadowcze oddziały Łopunowa czy Zaruckiego. - Po przebyciu Jauzy musimy trzymać się blisko miasta, zmierzając ku następnej przeprawie, z kolei przez Moskwę.

Potem pociągniemy na Kubinkę, od niej za× na Dorohowo, gdzie, jak mi wiadomo, mają swoje forpoczty chorągwie stojące w Możajsku. Tam więc będziemy już bardziej bezpieczni. - Całkiem bezpieczni będziemy dopiero w Możajsku, choć i tam nie mało po go×cińcach grasantów. Wystarczy poza mury miasta nosa wysunąć, a wnet ci go utra... - Rymsza jak zwykle okazał sceptycyzm. W czasie tej narady podkarmione konie były gotowe do dalszego wysiłku, bo jechać trzeba było szybko. Mały orszak zawrócił i pociągnął ku drodze okalającej ziemne umocnienia przedmie×cia. Wkrótce wydostali się na nią i przy×pieszyli jazdę. Trakt był nieomal pusty. Tylko z rzadka spotykali nieliczne grupy uciekinierów wiozących lub dźwigających na plecach swój dobytek. Na widok poczty zbrojnych usuwali się na bok. Po godzinie przebyli płytki bród na Jauzie, po czym dotarli do mostu przerzuconego przez rzekę Moskwę. Warunki jazdy nadal nie zmieniały się. Wypoczęte konie szły ostrym klusem, wóz kolebał się więc i skakał na nie rozmarzniętych jeszcze grudach kolein, otoczony zastępem milczących jeźdźców. Jedlina parokrotnie podjeżdżał do Tani, próbując namówić kobiety, by ułożyły się na słomie i próbowały zasnąć, ale przestraszone grożącymi niebezpieczeństwami ani my×lały o ×nie. Wreszcie wjachali na trakt wiodący do Kaługi. Skręcając w niego przekonali się, że był zatłoczony, i jazda nim wraz z falą uciekającej z miasta ludno×ci stała się znacznie trudniejsza. Toteż Jedlina wysłał na czoło pachółka, by krzykiem usuwał z drogi wolno ciągnących uciekinierów. Kiedy dawał to polecenie, Rymsza dorzucił z kostycznym u×miechem: - Krzycz, żeby dawali drogę księżni Pożarskiej... Pachółek nie zrozumiał jednak zawartego w tym poleceniu żartu i przyjąwszy rozkaz dosłownie, skoczył do przodu z wrzaskiem: - Dorogu księżni Pożarskiej, sukinsyny! Dorogu księżni! Won w pole! Rymsza

nie przypuszczał, że owa rada odniesie taki skutek. Na dźwięk bowiem najpopularniejszego w ostatnich dniach nazwiska ludzie uskakiwali na boki, skręcali wozami, odganiaли prowadzone bydło do rowu, a wielu przystawało i zdzierając z głowy czapki, biło pokłony. Nie potrzebowali więc zmniejszać szybkości, a nawet ją wzmogli, ponaglając konie do cwału. Wóz dudnił, oni zaś, chwiejąc się miarowo w siodłach, wypatrywali niecierpliwie zarysów Dońskiego Monasteru, za którym trakt zbaczał wiodąc na zachód, w kierunku Możajska. Źmęczenie z wolna przygasała, ale i ciemność nocy zaczęła ustępować przed pierwszym, nikłym jeszcze brzaskiem. Ukazywały się już kontury pobliskich drzew, a po godzinie dostrzegli wreszcie i zarysy monasteru. Kiedy wreszcie znaleźli się na możajskiej drodze, Jedlina zwolnił jazdę, bo i konie parowały mocno, i pora już była rozejrzeć się za miejscem postoju. - No, tośmy w czas umknęli z groźnego szlaku... - westchnął z ulgą. - Teraz pora odsapnąć. - Tylko nie bardzo widzę gdzie... - Rymszą nie opuszczał sceptyczny nastrój. Istotnie dookoła rozciągały się pola. Rozwidniło się już na tyle, że wzrok mógł objąć najbliższą okolicę, nie widać jednak było w pobliżu ani zabudowań, ani jakiegokolwiek skupiska drzew, które dałyby osłonę. - śpieszyć już nie musimy - powiedział Nikodem. - Konie odetchną i w powolnej jeździe. Ten szmat pola wnet się skończy, bo lasów dookoła Moskwy nie braknie. Odjechał od towarzysza i przysunął się do wozu, nachylając nad dziewczyną. - Nie spoczniesz, miła? - spytał z troską w głosie. - Musiało was mocno wytrząść. Zatrzymam wóz i każę go przemościć, byście mogły lepiej odetchnąć. Tania uniosła ku niemu ciężką zmęczeniem i troską twarz. - Nie trzeba, Nikodemie Pietrowiczu. Chyba nie usnę, póki nie dojedziemy w bezpieczne miejsce. Przewidywanie młodego rycerza wnet się sprawdziło, bo wkrótce w świetle pełnego już poranka

ujrzeli wstęgę lasu zamykającą horyzont, a kiedy zbliżyli się ku niej, także i kilka chłopskich zagród rozrzuconych na jego skraju. Konie same przyspieszyły kroku, jakby rozumiejąc, że czeka je rychły odpoczynek. Niebawem zabudowania były już dobrze widoczne. Nie było jednak przy nich ludzi, choć o ich obecności świadczyła strużka dymu snująca się nad jedną z chałup. Zabudowania leżały parę staj od traktu i wiodła ku nim wąska, polna droga. Jedlina zatrzymał poczet i polecił Wolucie: - Skocz no i sprawdź obejście. Dziwne mi, że dym idzie z komina, a nie widać nikogo... Pocztywy ruszył koniem, a oni stali patrząc za nim. Po chwili ujrzeli, jak zbliżając się do zagrody zwolnił i jadąc ostrożnie, znikł za węglem stodoły. Czas upływał na oczekiwaniu, kiedy znów się ukaże. Ale zamiast widoku Woluty usłyszeli raptem huk wystrzału, a za chwilę drugi. Nikodem wyszarpnął oba swoje pistolety z olster i rzucił je pachołkowi prowadzącemu zaprzęg. - Broń niewiasty! - krzyknął, po czym, już w biegu, dał kolejny rozkaz dwom najbliższym pachołkom: - Ostańcie także przy wozie! Ci zawrócili, reszta zaś wpadła za nim w obejście. Ujrzeli Wolutę tańczącego koniem wśród zgrai napastników. Brodaci, o dzikich twarzach, ale zbrojni byle jak, starali się dosięgnąć broniącego się sprawnie rycerza. Rymsza i Jedlina dopadli ich pierwsi i od razu roztrącili kopytami koni, a potem siekli co rusz, obracając się w siodle, gdyż ze wszystkich stron próbowano dosięgnąć ich pchnięciem wideł czy ciosem pałki. Kiedy jednak i pachołcy nie mniej sprawnie zabrali się do roboty, rozległ się przenikliwy gwizd, napastnicy rozpierzchli się i skacząc przez płoty rzucili się do ucieczki ku pobliskiemu lasowi. Pachołcy, rozgrzani walką, pogonili za nimi, toteż nim pierzchający zdolali dopaść leśnej gęstwiny, pozostawili niejednego za sobą. - No, tośmy ich nieco narabali! - Rymsza uśmiechnął się zadowolony z potyczki, ocierając ostrze szabli o końską grzywę. - Byłoby lepiej, gdybyśmy rozbili ich



doszczętnie - mruknął zafrasowany Nikodem. - Ostało ich jeszcze tylu, że zebrawszy się do kupy, mogą zasadzić się na nas w lesie... - Istotnie, trzeba będzie mieć się na baczno×ci - przyznał Rymsza. Jedlina u×miechnął się. - Wszakże zostawili nam kwaterę. Przykaż pacholkom, niech zaciągną trupy do stodoły, aby nie straszyły niewiast. - Chcesz się tu zatrzymać? - zdziwił się Rymsza. - A je×li powrócą? - Dostali nauczkę, wpierw przeto muszą ochłonać. Je×li za× zechcą nam odpłacić, to nie tu, tylko w lesie. Ale strażę musimy pozostawić. Z podwórek wybiegło parę dzieciaków i rozszerzonymi z ciekawo×ci oczyma przyglądało się jeźdźcom. Wreszcie ukazał się i jaki× stary brodaty chłop, nieufnie przyglądając się przybyszowi. Jedlina zagadnął go przyjaźnie: - Nie bójcie się, ojczulku, jam nie żaden zbój i krzywdy wam nie zrobię. Nie macie tu we wsi innych go×ci? - Tych starczyło, wielmożny panie... Uratowali×cie nas... - Wnet nadciągnie reszta mego orszaku. Wieziem trzy niewiasty powierzone naszej opiece. Czy poza traktem prowadzi stąd jaka× droga na Możajsk? Chłop nie odpowiedział, gdyż nadjechał wóz prowadzony przez Rymszę. Na widok zbrojnych oczy starego pobiegły spojrzeniem w stronę chałup, jakby stamtąd spodziewał się pomocy, ale widząc na wozie kobiece postacie, wyraźnie uspokojony, odpowiedział przyjaźnie: - Chyba przez pobliskie łąki, skąd zbieramy siano. - Można przejechać tymi łąkami? Chłop podrapał się po głowie. - Chyba i można, bo ziemia jeszcze nie rozmarzła, to przejechać wóz by przejechał... - A potem? Będzie tam dogodny dojazd na trakt? - A będzie, od dworu bojara Szaposznikowa. Ale teraz go nie ma. Mówią, że gdzie× wojuje... - Długa nas czeka jazda? - Wiorst z piętna×cie, a może i więcej... - Powiedliby×cie nas? Dam za mitręgę. Chłop u×miechnął się chytrze, widać znecony zapłatą. - Kiedy chcecie ruszać? - Jak nieco odetchniemy. Kobiety muszą

pospać i co× gorącego też przydałoby się włożyć do gęby. Wkrótce Tania z Awdokią przygotowały w chacie chłopu gorący posiłek, a potem Nikodem, objąwszy sam straż, wysłał wszystkich na siano do odryny. Nie dał im jednak dużo czasu na sen, bo obudził już po paru godzinach. Zjawił się też i chłop odziany w barani kozuch, przepasany rzemieniem, i bez słowa wgramoliwszy się na wóz, wskazał kierunek. Wydostali się niebawem istotnie na otwartą przestrzeń łąki, pokrytą jeszcze tu i ówdzie płatami ×niegu i kepami z rzadka rozrzuconych łozin. Ziemia nadal była twarda i równa, toteż przy×pieszyli jazdę. Konie szły różnym kłusem, a wóz wtórował dudnieniem uderzeniom ich kopyt. Jechali teraz po otwartej przestrzeni. Rozglądali się więc bacznie w obawie przed nieoczekiwanym spotkaniem. Okolica wydawała się jednak pusta, choć widoczno×ć była kiepska, gdyż mglista zasłona przykrywała horyzont. Miało to jednak i tę dobrą stronę, że i oni z dala nie byli widoczni. Jedlina, który jechał przy wozie i rozmawiał z Tanią, zagadnął w pewnej chwili starego chłopu: - Za godzinę zacznie ciemnieć. Czy napotkamy po drodze jaki× ruczaj czy rzeczkę? - Płynie strumyk, ale przeprawa nie będzie trudna, bo ma piaszczyste dno i głęboki nie jest. - Daleko? - Chyba z pięć wiorst. Stoi przy nim z dawna opuszczony młyn, to i ogień będzie z czego rozpalić. Dotarli na miejsce już po pierwszym zmroku. Na wpół rozwalony budynek patrzył na nich pustymi oczodołami otworów okiennych, lecz blisko połowa dachu jeszcze się trzymała. Nikodem kazał więc narzucić narąbanych gałęzi z sosnowego zagajnika i wymo×cić posłania dla kobiet. Reszta pacholek zabrała się do wyciągania zawałonych belek i rąbania ich szablami. Ognisko rozpalili wewnątrz młyna, aby blask nie był widoczny. Zawiesili kociołek z wodą, by ugotować wieczerzę, i obsiedli ogień. Wyznaczony do kolejnego strażowania pacholek odszedł na posterunek, a

Nikodem także niebawem podniósł się na nogi. Widząc to Tania uniosła głowę. - Dokąd idziesz? Jeszcze× nie wysechł! - Do koni. Trzeba je obejrzeć. - Mogę i×ć z tobą? - Pytasz się? Tania żywo wstała i po chwili zniknęli w ciemno×ciach, odprowadzani wzrokiem przez Natalię Pawłównę. Młody rycerz sprawdził, czy pacholcy do×ć zadali wierzchowcom siana, a potem oglądał im nogi. Młodzi nic do siebie nie mówili, dopóki po odej×ciu od zwierząt nie skierowali się do odłamu młyńskiego kamienia, który zapewne pękł w czasie transportu i został tu porzucony. Nikodem wskazał dziewczynie miejsce i sam przysiadł obok niej. - Dobrze, że możemy pogadać na osobno×ci. Nie ma teraz na to okazji, a chciałem ci powiedzieć, jak jestem szczę×liwy, udrękę nie pewno×ci mając za sobą. - Chyba się domy×laę× - odpowiedziała pochylając głowę - że mimo gniewu, jaki czułam, nie byłę× mi obojętny... I to mnie zło×ciło... Dlatego cię dręczyłam. - Teraz wszakże za zrządzeniem losu jeste× pod moją opieką. Czy zatem to nie wdzięczno×ć przemogła twój gniew? - Ależ, Nikolka, co mówisz! - wykrzyknęła nieomal z oburzeniem. - Czy× doprawdy taki ×lepy?! Nie neguję, że szczerze ci wdzięczna, ale... ale... Jedlina gwałtownie obrócił się do dziewczyny, starając się w ciemno×ci ujrzeć jej twarz. Dostrzegł tylko błyski oczu wpatrzonych w niego, lecz mrok nie pozwalał na odczytanie ich wymowy. Jej okrzyk natchnął go wprawdzie otuchą, ale mimo to ciągnął dalej: - A jednak, je×li nie jeste× pewna swej przychylności ku mnie, to mów otwarcie. - Mam ci powiedzieć otwarcie? - znów usłyszał jej głos pełen gniewnej nuty. - A więc ci powiem. Jeste× głupi i tyle! I w ogóle szkoda z tobą gadać! - Może i jestem głupi, ale czemuż to? - Najpierw sądziłam, że chcesz mnie po×lubić z obowiązku, potem zaczęłam wierzyć, że ci istotnie miła... W czasie pożaru padłam przerażona na kolana prosząc Bogurodnicę o pomoc...

Od razu też pomyślałam o tobie i pełna żalu, że nie ma cię przy mnie, przysięgam, że jeśli cię Bóg przyśle, przestanę ci się opierać. Głos Tani, początkowo wzburzony, z wolna uspokajał się, a ostatnie słowa powiedziała już zupełnie cicho. - I teraz nie chcesz przysięgi złamać? - zapytał. - Od początku nie chciałam... Ona mi nie ciąży... Wziął ją w ramiona, a ona tym razem sama podała mu usta. Kiedy po powrocie zasiedli przy ognisku, Natalia Pawłowna znów obrzuciła córkę badawczym spojrzeniem. Ujrzawszy jednak jej oblicze, popatrzyła z kolei na młodego rycerza i pogroziła mu palcem. Zresztą i na twarzy Nikodema widać było radość. Toteż Rymsza, który znał jego strapienie, nieskory do zachowania dyskrecji odezwał się niby do siebie: - Widzi mi się, że kot dopadł wreszcie szpyrki... Poczet Jedliny, prowadzony przez chłopą, jeszcze cały dzień jechał łąkami. Dopiero pod wieczór dotarli do lasu, gdzie stanęli na kolejny nocleg. Rano za, doprowadzeni z powrotem na możajski trakt, obdarowawszy przewodnika, ruszyli już sami w dalszą drogę. Pod wieczór dotarli do Wnukowa. Noc minęła tu niezbyt spokojnie, bo zakłóciły ją jakieś postacie krążące wokół ich kwatery, które, niewidoczne w ciemnościach, usiłowały podkraść się do koni. Wprawdzie strzał wartownika przepłoszył je, ale też i postawił na nogi cały poczet, który już czuwał do rana, nie wracając na spoczynek. Na ostatni postój stanęli milę za Kubinką, i wreszcie trzeciego dnia, dopiero po południu, dotarli bez dalszych przygód do Możajska. Tu poczuli się w końcu bezpieczni. W miasteczku stały polskie chorągwie, a o kwaterę też nie było trudno, gdyż po różnych kolejach wojennych wielu jego mieszkańców szukało bardziej spokojnego dachu nad głową. Do Werei z Możajska było wiorst około trzydziestu, a stamtąd do majątności bojara Rumcewa, brata Natalii Pawłowny, jeszcze dobrych dwadzieścia, a więc razem dwa dni drogi. Toteż Nikodem,

czując się bezpiecznie, postanowił nieco wytchnąć, tym bardziej, że i wóz wymagał napraw. Jako tako ulokowawszy się, obaj rycerze poszli do komendanta, starszego już wiekiem rotmistrza Dobrowolskiego. Po opuszczeniu Możajska przez Strusia pan Kazanowski, stojący w Wiaźmie, przydzielił rotmistrzowi dwie chorągwie i kazał objąć ten najbardziej na wschód wysunięty posterunek królewskich wojsk. Rotmistrz Dobrowolski przyjął ich przyjaźnie, wypytywał o cel podróży, a kiedy wyjaśnili mu sprawę, wyraźnie ciekaw moskwiczanki, która podbiła serce młodego rycerza, prosił ich nazajutrz na wieczerzę razem z niewiastami. Wieczerza, z jaką wystąpił podejmując swych gości, jeśli nie była wystawna, to przecież nie przyniosła mu ujmy. Wzięli w niej udział jeszcze dwaj porucznicy, dowódcy chorągwi stojących w mieście. Jeden z nich, porucznik Turkoń szczupły i ruchliwy jak szczygieł, był tym, który najlepiej wyczuł skrepowanie młodej dziewczyny i żartami oraz paru wcale zgrabnymi komplementami zdołał to oniemielenie rozproszyć. Wkrótce więc Tania zaczęła się z nim przekomarzać, a nawet podrwiwać z jego komplementów, podczas gdy Natalia Pawłowna wiodła rozmowę z rotmistrzem, opowiadając mu o przygodach, jakich zaznali w dotychczasowej podróży. Wieczerzę przerwało zjawienie się pachółka. Stał przy drzwiach meldując od progu: - Wrócił z podjazdu ataman Plewicki, ponoć ma jakieś wieści... - Niech tedy przychodzi - polecił rotmistrz. - Tu sami swoi, może mówić. Kiedy pachółek wyszedł, Rymsza spytał z zaciekawieniem: - To i Kozaków masz pod sobą, mości rotmistrzu? - Niewielu, będzie ze trzydzieści szabel. Przywiódł ich ten Plewicki, zgłaszając ochotę do służby. Jakem zmiarkował, naraził się Zaruckiemu i musiał uchodzić. Pełni wraz z moimi służbę patrolową i okazał się dobrym żołnierzem... Właśnie rotmistrz domawiał tych słów, kiedy zjawił się w izbie młody mężczyzna, smukły i wysoki, o nieco

drapieżnym wyrazie urodziwego oblicza i czarnych jak węgle oczach. - Cze×ć, mo×ci rotmistrzu, i wam, panowie oficerzy. Wie×ci przywiozłem... Urwał, jakby wahając się, czy mówić dalej, po czym utkwiał wzrok w twarzy Tani i wpatrywał się w nią jak urzeczony. Dobrowolski ową przerwę w meldunku uznał widać za objaw ostrożno×ci, bo zachęcił atamana do dalszej relacji: - Mów, mo×ci atamanie, tu obcych nie ma. - Jakowa× znaczniejsza banda grasuje od południowej strony, mil ze cztery stąd. Napadli, obrabowali do cna i spalili sporą wie× Kosyty, a zasię zapadli w pobliskie lasy. Nie próbowałem ich doganiać, bo konie miałem już zmordowane, a i przewagę mieli zbyt znaczną. - Wielu ich było? - Należy liczyć na pół tysiąca chłopca. - Młody ataman, udzielając wyja×nień, co rusz zerkał na Tanię, która dostrzegłszy to zainteresowanie odwróciła wzrok z gniewnie zmarszczoną brwią. - No cóż, trzeba będzie ich obejrzyć... - Rotmistrz zwrócił się do porucznika Turkonia: - Weźmiesz wa×ć swoją chorągiew i ruszysz w po×cig, gdyż płazem tego pu×cić nie można, boby×my wnet samego Możajska musieli bronić. Plewicki cię powiedzie. - Konie mam mocno zdrożone, do po×cigu przeto niezdolne - zaproponował ataman. - Wszakże dam przewodników, je×li otrzymają ×wieże wierzchowce. Ja bym jeno opóźnił pochód. - Zgoda, daj przewodników. Ty za×, Kacprze, ruszaj przed ×witem. - Zatem czas spocząć. - Turkoń wstał od stołu, a za nim zaczęła się żegnać i reszta biesiadników. Księżyc jeszcze nie wzeszedł, więc panowała zupełna ciemno×ć. Niebrukowane ulice miasteczka tonały w gęstym, głębokim błocie. Leżały wprawdzie po bokach chodniki z desek, ale wąskie były, a deski chybotliwe, przeto łatwo było zapa×ć się w czarne grzędawisko. Do kwatery nie było daleko, toteż Jedlina nie brał koni, czego teraz żałował, bo po ciemku droga okazała się mocno uciążliwa. Wszakże ataman, który wyszedł razem z nimi, przywołał zaraz paru

Kozaków i przykazał przynieść pochodnie, specjalną przy tym opieką otaczając Tanię, jakby dla okazania, że jej przede wszystkim pragnie służyć. Piękność dziewczyny zrobiła na nim widać tak duże wrażenie, że nie chciał dostrzec ×ciągniętych gniewnie brwi młodego rycerza, a może istotnie w ciemnościach tego nie widział. Jak się dowiedzieli rankiem, chorągiew Turkonia wyruszyła o pierwszym brzasku. Natomiast słowa Woluty, rzucone do jednego z pachołków podczas porannego czyszczenia koni, uszły uwagi Jedliny. Woluta w pewnej chwili odezwał się do owego pachołka: - O północy była twoja kolej wartowania. Gdzieże×, psubracie, był, jakem robił obchód obej×cia? - Siedziałem pod ×cianą szopy. Tam księżycowe ×wiatło nie dochodziło, toteż mogli×cie mnie nie spostrzec. - Źesz, oczajduszo, jak sobaka! Niech cię jeszcze raz przyłapię na takim niedbalstwie, to tak oporzędę, że rodzona mać cię nie pozna! - Nie sierzcie się, bom nie winien - odparł hardo pachołek. - Widziałem, jak×cie szli, a że tak było, mam dowód, bo zaraz potem przybieżał niedaleko naszego obej×cia jaki× jeździec. Musieli×cie chyba także go słyszeć, bo konia nie szczędził. Widać Woluta przypomniał sobie również ten epizod, gdyż więcej do tematu nie wracał, Jedlina za×, zajęty włą×nie oględzinami swego wierzchowca, pu×cił słowa pachołka mimo uszu. Po porannym posiłku Nikodem poszedł oglądać wóz i pytać o kowala, by mu zlecić naprawy, potem prowadził targi z miejscowymi kupcami o zakup żywno×ci, resztę za× dnia przesiedział u Tani. Była już chyba dziesiąta, kiedy będąc jak najlepszej my×li, wrócił do siebie. Legł zaraz, ale nie sądzone mu było przespać spokojnie do rana. Gdzie× bowiem już po północy rozległo się gwałtowne kołatanie do drzwi i rozpaczliwy krzyk kobiecy, w którym rozpoznał głos Awdokii: - Ratunku, panie! Ratunku!! Pełen przerażenia naciągnął z żołnierską wprawą spodnie i buty i jednym

skokiem wypadł na ganek. Noc była bezchmurna, na niebie stał sierp księżyca, więc dostrzegł od razu słaniającą się na nogach dziewczynę, bosą i tylko w koszuli, która zanosząc się płaczem zawodziła: - Panienkę porwali! Panienkę porwali! - Kto porwał?! - wrzasnął potrząsając dziewczyną. - Boh jego zna... - wyszlochała. - Porwali, wsadzili na konia i tyle widziała... - A starsza pani? - Musić ubili, bo bez życia leży... Jedlina nie tracił czasu na dalsze indagacje, jednym skokiem wpadł do izby, porwał kaftan i pistolety i odziewając się w biegu, zdążył jeszcze krzyknąć na Wolutę, który już także był na nogach: - Konie, a żywo! Jak do tego przyszło? - zapytał Rymszy. - Przecież wartownik... Odpowiedź otrzymali natychmiast, dostrzegłszy ciało pachółka rozciągnięte na stopniach ganku. W izbach zajmowanych przez kobiety obok przewróconego krzesła leżała na podłodze Natalia Pawłowna. Nikodem przypadł do niej i pełen trwogi uniósł jej głowę. Z ulgą dostrzegł, jak otwiera oczy. Musiała go poznać od razu, bo tylko zamrugała powiekami i szepnęła: - Nie trać dla mnie czasu... ścigaj Tanię... Nie mógł uciec daleko... - Kto to był?! - Plewicki... No ruszaj... Mnie nic nie będzie... Pchnął mnie tylko na ×cianę, tom straciła przytomno×ć... Jedlina zerwał się na nogi i poleciał Awdokii: - Daj pani wody i ułóż ją na łożu! - Potem zwrócił się do Rymszy: - Biegnę przodem z Wolutą! Ty zbierz pachółków i ruszaj za mną! Księżyc ×wieci, to ×lady dostrzeżem! Przed gankiem Woluta, sam już w siodle, trzymał za wodze jego wierzchowca. Młody rycerz, nie szukając strzemion, skoczył na konia w biegu. Księżycowy sierp i mrowie gwiazd, rozsypanych na bezchmurnym niebie, na tyle rozpraszały ciemno×ć, że widać było dobrze najbliższą okolicę. ślad kilku koni dostrzegli więc od razu. Przecinał drogę i biegł polem, niknąc w jego mrocznej dali. Zamykał ją czarny pas lasu. Konie, spinane ostrogą, ×migwały niczym para wilków goniących zwierzynę.



Jeźdźcy gnali obok siebie, wpatrzeni w ciemne pasmo gruzłowatej ziemi. Las stawał się coraz bliższy, ale nikogo przed nimi nie było. - Oby×my w lesie nie zgubili ×ladów.. - mruknął z frasunkiem Woluta. - Przeciwnie, tam będzie wyraźniejszy, bo pomiędzy drzewami ×nieg zawsze leży dłużej. Okazało się wkrótce, że istotnie ciemny szlak tropu, wijący się między drzewami na białych połaciach ×niegu, widać było zupełnie wyraźnie. Drzewa nie pozwalały teraz na szybką jazdę, ale Jedlina pocieszał się, że i uciekinierzy musieli również zwolnić tempo, tym bardziej że jeden z nich jechał z ciężarem. Lecz upłynęła dobra godzina, a nadal otaczał ich pusty i milczący las, w którym żaden odgłos nie zdradzał uciekających. ślad ich był wszakże zupełnie wyraźny, zwłaszcza w tych miejscach, gdzie ×wiatło księżyca i gwiazd przedzierało się przez nagie gałęzie drzew. Jedlina wstrzymał nagle wierzchowca i nastawił ucha, wsłuchując się w ciszę panującą w×ród nieruchomych drzew. W pewnej chwili dobiegł ich nikły, ledwie dosłyszalny strzęp rozmowy, jakie× słowo czy wołanie, które powtórzyło się, a zaraz potem usłyszeli już wyraźnie krótki, ostry gwizd. - Są już blisko przed nami... - szepnął Woluta. - Dają jakowe× znaki, ale komu? - Zaraz będziemy wiedzieć! - warknął Nikodem uderzając konia ostrogą. - Ostrożnie, panie... - upomniał go pocztowy przysuwając się wierzchowcem. - Trzeba by wprzód rozeznać... - Do czorta z rozeznaniami! - przerwał mu gwałtownie Jedlina. - Polezę w samo piekło, a pogoni nie zaniecham! Jak chcesz, to ostawaj i dołącz do Rymczy. Wnet powinien tu być. - Trafi i beze mnie - mruknął z determinacją Woluta. - Nie ostawię was samego! Jechali jaki× czas w milczeniu, w×ród ciszy, jaka panowała w×ród nieruchomych drzew. Bezlistne gałęzie zwisały im nad głowami, jakby chciały ich uchronić czy też powstrzymać przed dalszą jazdą. Raptem las jakby rozwarł się przed nimi, ukazując szmat

pustej drogi, chyba dawno jednak nie używanej, bo poro×niętej krzakami i le×nym młodnikiem. Drogę tę przegradzał w dali ziemny wał z resztkami rozwalonej palisady. Kiedy roztrącając końskimi piersiami krzewy podjechali bliżej, ujrzeni, że jego pale mocno już były przegniłe, porośnięte zgniłą trawą i młodymi pędami drzew. - Jakowe× rozbite grodziszczce... - szepnął Woluta, mimo woli ×ciągając wodze. - Oto×my i u kresu naszego po×cigu... - mruknął Jedlina rozglądając się bacznie dokoła. - Czemu wszakże nikt nas nie obwołuje? Tam widać przerwę w wałach, a i ×ła

do niej prowadzi. To zapewne miejsce dawnej bramy. Ponaglił konia i ruszył ku czerniejącemu już blisko przeje×ciu. - Ostrożnie, panie... - znów upomniał go szeptem Woluta. - Leziem jak w paszczę wilka. Nie wiedzieć, wielu ich jest i co się tam kryje... Może zasiedli się na nas... - Zaraz będziemy wiedzieć - odpowiedział spokojnie młody rycerz. Zaro×ła czepiały się gałęzmi ich strzemion i nóg, jakby wzbraniając dalszej jazdy. Konie z trudem przeciskały się przez gąszcz, łamiąc kopytami bardziej wiotkie pędy, i ponaglone ostrogami, chrapiąc, pokonywały posłusznie tą ruchliwą zaporę, wdzierając się coraz głębiej w jej wnętrze. Wreszcie ujrzeni przed sobą mroczny przejazd rozcinający pochyłą ×cianę wału. Wypełniała go ciemno×ć, w której niczego nie można było dostrzec. Nikodem wyciągnął szablę i bez wahania skierował konia w tą ciemno×ć. Woluta, przeżegnawszy się, także sięgnął do rękoje×ci. Zaro×li już nie było, ale mimo to jechali stępa, koń przy koniu, nie widząc się wzajemnie. Ledwie słyszeli kroki wierzchowców, wnioskowali z tego, że przejazd pokrywa darń, głusząc stuk kopyt. Zdawało się, że szlak ten nie ma końca, ale to napięte nerwy tak przedłużały im czas, wkrótce bowiem znaleźli się po drugiej stronie wału. Tu ujrzeni rozległą przestrzeń, także

mocno zaro×niętą krzakami wokół wykarczowanego majdanu. Otaczały go rzucone chaotycznie szałas z gałęzi. Tu i ówdzie tkwiło między nimi kilka namiotów ze smołowanego płótna, a jeden, nieco większy, stał na uboczu, przeznaczony chyba dla dowódcy. W×ród szałasów, a zwłaszcza pod namiotami paliły się ogniska, ale nigdzie nie było widać żywego ducha. Zaskoczeni tym widokiem wstrzymali konie i nadal z szablami w rękach rozglądali się bacznie dokoła. Słysząc było trzaskanie płomieni przygasających już ognisk. Od strony większego namiotu dobiegał wprawdzie przytłumiony odgłos jakiej× rozmowy, ale nikt z niego nie wychodził. Reszta namiotów i szałas stały jakby unieruchomione panującą wokół ciszą. W pewnej chwili ciszę tę przerwał nagły krzyk. Nikodem z przerażeniem rozpoznał, że był to krzyk kobiety. Dochodził od strony jednego z bocznych namiotów. Zaraz potem ujrzał, jak wypadła z niego Tania i usiłując uj×ć ×cigającemu ją pachołkowi, gnała na o×lep przed siebie. Poderwali konie i rzucili się ku niej. Woluta ciosem szabli rozplątał napastnika, a Nikodem nachylił się ku Tani, by wciągnąć ją na siodło. Ale raptem namioty i szałas ożyły. Wyskoczyło stamtąd mrowie zbrojnych i rzuciło się ku nim. Musieli mieć rozkaz pojmania ich żywcem, bo nie mając się broni, chwycili konie za uzdy, a ułapiwszy ich za nogi, zwalili na ziemię. Wkrótce z pętami na rękach, otoczeni tłumem zbrojnych, zostali doprowadzeni przed oblicze człowieka stojącego przed namiotem, do którego wiedziono ponownie broniącą się daremnie dziewczynę. Był to Plewicki. Przyglądał się jeńcom z kpiącym u×miechem na ustach, wreszcie rzekł: - Witam panów Polaczków! íał, że tylko was dwóch, gdzież reszta waszmo×ciów? - Wnet ich będziesz oglądał, ale z gałęzi! - z nienawi×cią rzucił Jedlina. - Czy z gałęzi, to jeszcze obaczmy, bo nas tu blisko tysiąc, a u was mało kto ostał, bom chorągwie wysłał w pole przeciw bandzie,

której nie było! - Roze×miał się. - Na was i tego, co mamy, starczy! - Mocny×, bratku, w gębie, ale wnet spu×cisz z tomu! Będiesz przywiązany do pala i poczekasz do rana, póki nie skończę zabawy z twą lubą! Mocno mi przypadła do gustu, toteż sędzę, że nocka będzie udana. A na dowód, że twoje pogróżki mam za nic, rankiem dostaniesz ją z powrotem i będziecie mogli odjechać. Rozległ się rechot rozbawionych tą zapowiedzią Kozaków. Urwał się jednak nagle, bo bezceremonialnie roztrącając tłum stanął przy Plewickim młody mężczyzna. Był niewysokiego wzrostu, ale mocnej budowy, o szerokich plecach i twarzy otoczonej półkolistą, jasną brodą. Szare oczy o badawczym, ostrym spojrzeniu patrzyły groźnie, kiedy je skierował najpierw na więźniów, a potem na Plewickiego. - Co zacz są? - zapytał. - Co się tu dzieje i czemu× już przybył? - Przybyłem, by ci donie×ć, że polecenie wykonałem. Na najbliższe dwa dni w Możajsku została niecała chorągiew, a przy okazji przywiozłem sobie pięknego szczygiełka. Dziewka jak malowana! - A ci dwaj? - ścigali mnie, wciągnąłem ich przeto w pułapkę. - Tylko we dwóch? - Chyba tak, bo jak dotąd nikogo nie dostrzeżono. Wszakże przykazałem straży, by dawała baczenie. - Hm... - Młody dowódca milczał jaki× czas, widać co× sobie rozważając. Wreszcie spytał: - Gdzie owa dziewczka? - U mnie w namiocie, pod strażą. - Każ ją tu przywie×ć. Szybko×ć, z jaką Plewicki powtórzył najbliższym żołnierzom ten rozkaz, zdradziła Jedlinie, że nie on był tu dowódcą. Wkrótce w asy×cie dwóch strażników ukazała się Tania. Kiedy nadeszła, Kozacy rozstąpili się bez słowa, dając przej×cie. Ona za× ujrawszy Jedlinę przystanęła i z rozpaczą w oczach wpatrywała się w jego więzy. Kiedy znalazła się już tak blisko, że w ×wietle ogniska można było rozeznać jej twarz, ruski dowódca znieruchomiał i ze zdumienia otworzył usta, jakby chciał co× zawołać, ale nie mógł dobyć głosu. Wreszcie

jednak krzyknął, i to tak głośno, że las zawtórował mu echem: - Tania! Na ten krzyk dziewczyna odwróciła wzrok od młodego rycerza. W pierwszej chwili patrzyła na wołającego jakby zdziwiona, skąd zna jej imię, lecz już za chwilę rzuciła się ku niemu z krzykiem: - Griszka! Miłyj! - Dopadła go i zarzuciwszy mu ręce na szyję przywarła policzkiem do jego twarzy. On zaś objął ją i głaszcząc po głowie coś mówił. Wreszcie Tania odsunęła się i zawołała już z umiechem na twarzy: - Widać Bóg przysłał tego niecnego człeka, abyśmy mogli się spotkać! - Kto są ci dwaj? - Grigorij wskazał na jeńców. - To... mój mąż... I jego pocztowy. ścigali ich, by mnie uwolnić... - Twój mąż? To już mężatką?! A gdzie matka? - Z nami, kochany. W Możajsku, gdzie stanęliśmy na kwaterę. Grigorij opanował się wreszcie i zrozumiał, że to nie miejsce na dalsze wyjaśnienia, polecił krótko: - Rozciąć im więzy i prowadzić do mego namiotu! A ty chodź także! - zwrócił się do zaskoczonego takim obrotem sprawy Plewickiego. Dowódca Kozaków już bez dalszych słów wziął siostrę za ramię i ruszył przez szpaler rozstępujących się żołnierzy. Namiot był na tyle obszerny, że mieścił zbity z paru desek stół i kilka pniaków. Kiedy zajęli miejsca, Wołnow zwrócił się do siostry: - Opowiadaj zatem, co robicie w Możajsku. Dlaczego opuściliście Moskwę?! - To jeszcze nie wiesz? Cały Biełogorod spalony i nasz dom także... Ale Nikodem Pietrowicz - Tania spojrzała z zażenowaniem na Jedlinę - wyratował nas od ognia i wiezie do wuja Rumcewa... - Dziwne są wyroki Boże... - Grigorij zamyślił się. - Ja tu wojuję z przeklętym najeźdźcą, a ty dzielisz z nim łóżko... Dawno braliście łub? Tatiana spojrzała na brata niepewnie, ale odpowiedziała miło: - Jeszcze nie braliśmy. Powiedziałam tak przy żołnierzach. Co to ma jednak za znaczenie? Pobierzemy się, jak przyjdzie czas. - Istotnie nie ma! - Wołnow rozeźmiął się gorzko. - No cóż, przyszły

szwagrze - zwrócił się do Jedliny ironicznym tonem - puszcze was wolno, lecz pod warunkiem, że nie zdradzisz w Możajsku miejsca naszej kryjówki. Na ciebie nastawać nie chcę, ale to nie znaczy, że walki z wami poniecham. Jelina pominął postawiony sobie warunek milczeniem, natomiast spytał: - Więc nie chcesz zobaczyć się z matką, wolisz dokonać napadu? A ona wciąż cię wspomina... - Czy× ty postradał rozum? - Ze szczerym zdumieniem spytał Wołnow. - Miałbym leżać wam w ręce? Jam podwładny kniazia Massalskiego i dowodzę jednym z jego oddziałów. Cóż by powiedział na wie×ć, że zaniechał sprawy i zwał się z wami? - Przecież nie zawierasz zgody na stałe, jeno na jeden dzień. Inaczej narazisz matkę na groźbę ×mierci, bo wiesz, że przy napa×ci żołnierz rąbie, kogo zdoła dopa×ć szablą. A jak mu wskażesz, kogo ma oszczędzić? Za twoje za× bezpieczeństwo ręczę głową. Mam tu ukryty oddział, przywołam go i pojedziesz między mymi ludźmi. Z powrotem odprowadzę cię równie bezpiecznie. Grigorij nic nie odpowiedział na tę propozycję, natomiast zwrócił wzrok na Plewickiego. - Już nie pierwszy raz działasz na własną rękę - powiedział - ale tym razem miarka się przebrała! Przez swoją głupotę i chęć dogodzenia własnej zachciance zdradziła× miejsce naszego postoju! Co zmusza mnie do poniechania sprawy, bo już ich z nagła nie podejść. Powinienem cię za to obwiesić, ale że odnalazłem siostrę, daruję ci życie. Bierz jednak swoich dońców i ruszaj precz z obozu! Daję ci na to godzinę! Plewicki zerwał się na nogi i widać było, że chce protestować. Zapewne jednak zrozumiał, że niczego nie wskóra, bo spojrzał tylko na Jedlinę z nienawi×cią i idąc już do wyj×cia, rzucił przez ramię: - Poczekaj, jeszcze was znajdę! Kiedy zostali sami, Wołnow nie odezwał się od razu. Siedział na swoim pniaku, co× sobie rozważając. Przez ten czas Nikodem nachylił się nad Tanią i przyciskając ją ku sobie, rzekł półgłosem: - Zbyłem się

wszelkiego rozeznania, kiedym się dowiedział o twoim porwaniu... Jak nieprzytomny polazłem im w ręce... - Bóg widać tobą kierował, bo przez to mnie uratował×! Bez ciebie Grigorij nie dowiedziałby się, co zaszło, a ja przebiłabym się nożem... Ich cichą rozmowę przerwał Grigorij rzucając z nagłą pytanie: - Sądysz - spojrzął spod oka na młodego rycerza - że mógłby× bezpiecznie zaprowadzić mnie do Możajsk i przywieźć z powrotem? - Jestem tego pewny. Nikt przecież nie będzie wiedział, kto zacz jeste×, a w razie zapytania powiem, że× mój krewniak, co nie będzie kłamstwem... - zakończył z u×miechem. - Powiniene× jechać, Grisza - odezwała się z powagą dziewczyna. - Matka do końca życia miałaby do ciebie żal, że× z obawy o siebie w takiej chwili do niej nie przybył. Wołnow skinał głową. - Masz rację, ale nie o siebie się troszczę. Odpowiadam za powierzonych mi żołnierzy i wykonanie otrzymanych rozkazów. - Niczego nie zmienisz, je×li pójdziesz z nami, bo ostrzec swoich muszę, toteż Dobrowolskiego nie zaskoczysz. A je×li chorągwie na czas wrócą, dostaniesz się we dwa ognie - zauważył Nikodem. - Nie otrzymałem dotąd odpowiedzi, czy nie zdradzisz miejsca naszego postoju? - Grigorij spojrzął w oczy Jedlinie. - Nie zdradzę, gdzie leży wasz obóz, ale moim obowiązkiem jest powiadomić Dobrowolskiego o waszej blisko×ci i tego obowiązku nie poniecham! - Miałbym na to sposób, i to dobry... - Grigorij u×miechnął się kpiąco. - Jaki? - Jedlina spojrzął ostro na kozackiego atamana. - Zatrzymam tu was pod strażą, dopóki zamierzenia nie wykonam... - I mnie uwięziłby× też?! - wybuchnęła z oburzeniem Tania. - I nie dbałby× o życie matki, bo Nikodem Pietrowicz miał słuszno×ć ostrzegając, że nikt z twoich Kozaków jej nie zna, więc w gorączce napa×ci mógłby który ją ubić. Je×li Nikodema uwięzisz, ja dosiądę konia i pognam do Możajsk, a je×li i mnie nie poniechasz, tedy zapomnę, że miałam brata!

- Też wymy×liła! - prychnął ze zło×cią Grigorij wzruszając ramionami. - Lepiej nie medytuj za długo, tylko gotuj się do drogi! - jeszcze rozgniewana fuknęła dziewczyna. - A kto bezpieczeństwo mi zapewni? Mam leżeć w paszczę wilkowi? - próbował oporu Wołnow, ale widać było, że ostrzeżenie Tani wziął do serca. - Ja... - o×wiadczył Nikodem. - Gdzie× tu w pobliżu jest jeszcze kilku moich żołnierzy, co za mną ruszyli. Wnet ich odszukam i oni wezmę cię między siebie... Również w drodze powrotnej z nimi cię przeprowadzę do obozu. Grigorij milczał chwilę, wreszcie chyba zdecydował się, bo skinął głową. - No dobrze, jadę z wami, ale jeno na kilka godzin, by pożegnać matkę. Nikodem polecił więc Wolucie, który w milczeniu słuchał rozmowy: - Odszukaj Rymszę i czekajcie na nas! Tym razem Tania dosiadła osobnego konia i mała kawalkada wyjechała poza wały dawnego grodziszcza. Po krótkiej jeździe Nikodem gwizdnął na palcach i wkrótce z zaro×li wyłonił się Rymsza. Po połączeniu się ze swymi ludźmi Jedlina nie ruszył od razu, a zatrzymawszy pachołków odezwał się: - Dajcie dobre baczenie na to, co wam wnet wyłożę, bo my×lę, że lepiej będzie, jak zamiast rozkazu wyja×nię, o co chodzi. Ten oto ruski wódz jest bratem mojej niewiasty, zatem moim szwagrem. Jedzie z nami, by przypa×ć do nóg swojej matce, którą znacie. Gdyby zatem wydało się, kto zacz jest, wówczas nie tylko ja, ale i wy sami musieliby×cie nadstawić karku, aby go bronić, gdyż moim jest go×ciem. Tedy dobrze sobie to, głąby jedne, zapamiętajcie, bo jak mi który parę z gęby pu×ci, to rozwałę mu kulą łeb, jak wierzę w Boga! A teraz bierzcie go między siebie i jazda! Kiedy ruszyli już w drogę, Rymsza zbliżył się z koniem do Jedliny, ciekaw bliższych szczegółów, chociaż już co nieco wiedział od Woluty. Po zakończeniu relacji skomentował lakonicznie jego przygodę: - Takiego szczę×ciarza jeszcze nie widział... Ale i durnia też... Słońce



wznosiło się już ponad dachy miasteczka, gdy opowiedziawszy się strażom, wjechali pomiędzy jego domy. Ruch jeszcze był mały, pachołcy po obejściach dopiero kończyli oporządzenie koni, panowie bracia siedzieli po kwaterach, toteż mało kto ich widział. Zapewne wieść o nocnym napadzie jeszcze nie zdążyła się rozejść pomiędzy żołnierstwem, bo i widok dziewczyny, otulonej opończą, choć może zadziwił jednego czy drugiego, to jednak nie na tyle, by pytać, co by to miało znaczyć. A już na Wołnowa, jadącego wśród pachołków, nikt nie zwrócił uwagi. Trudno opisać ogrom radości Natalii Pawłowny na widok uratowanej córki, a wreszcie zdumienie i szczęście matki, kiedy oplakiwany już syn przypadł do jej rąk. Objęła mu głowę ramionami i długo trzymała przy piersi, niezdolna wymówić słowa. Za to potem popłynęły one wartkim potokiem pytań, opisem własnych przeżyć, czułymi objawami matczynego wzruszenia. Nie chcąc zakłócać rodzinnego spotkania Jedlina wycofał się z izby i korzystając ze sposobności, ruszył od razu do rotmistrza, by powiadomić go o sytuacji. Pan Dobrowolski wiedział już o napadzie, toteż na widok dobrego humoru młodego rycerza domyślił się pomyślnego obrotu sprawy, ale mimo to z ciekawością wysłuchał jego relacji. Na wieść jednak o bliskości tak znacznych sił i zdradzie Plewickiego złapał się za głowę. - Stary głupiec ze mnie, że dałem się tak podejść! Daleko obozuje ów watażka? Gdzie założyli obóz? Zamiast odpowiedzi na te pytania Nikodem oświadczył: - Chwilowo nic nam nie grozi, bo dowódcę mam u siebie. - Masz u siebie? - ze zdziwieniem spytał rotmistrz utkwivszy w młodym rycerzu nieufne spojrzenie. - Zdołałem go ująć? To już nie do wiary! - Jest u mnie, ale nie jako jeniec, lecz gość. Poręczyłem mu słowem bezpieczeństwa. - Jakim prawem to zrobiłem?! Dlaczego?! - Jako bratu swojej przyszłej małżonki, mości rotmistrzu. A dlatego, by mógł pożegnać matkę, którą

zapewne nieprędko zobaczy. Tu już zdumienie nieomal zupełnie zatkało pana Dobrowolskiego. Raz i drugi zaczerpnął powietrza, zanim wreszcie wykrzyknął: - Co wa×ć za banialuki mi tu pleciesz?! Zatem dowódca tej bandy to wa×ci szwagier?! - To nie banda, lecz oddział kniazia Massalskiego. A że przyszedł szwagier, tom go przywiózł, by u×cisnąć matkę... - Tu Nikodem wyjawiał rotmistrzowi bliższe szczegóły nocnej przygody. Słuchając tej relacji pan Dobrowolski sapnął raz i drugi, po czym zawołał, nie mogąc wyzbyć się zdumienia: - Wprost niesłychany trafunek! Oto jak ręka Boska nami kieruje! Ale czy aby nie wywiedzie nas w pole? - Wierzę mu, tak jak i on mnie zawierzył, toteż nie zdradzę, gdzie stoi obozem. Uprzedziłem go jednak, że was ostrzeżę. Na zaskoczenie nie może więc już liczyć, a obronić się potrafimy, zanim powrócą chorągwie. Wówczas nie my, ale on znajdzie się w opresji. Uznał ten wywód za słuszny, sądzę przeto, że o napa×ci już nie my×li, tym bardziej, że naraziłby na szwank i własną rodzinę. - Hm... Dobrze× mu waćpan to wywiódł, pochwalam rozsądek. Ale że strzeżonego Pan Bóg strzeże, tedy wy×lij paru swoich na zwiady, boć oni jeno wiedzą, gdzie leży ów obóz... - Wy×lę natychmiast - o×wiadczył Nikodem. - Niech istotnie dają baczenie, co się tam dzieje. Rotmistrz jeszcze nad czym× przemy×liwał i wreszcie odezwał się: - Zważywszy wszakże sprawę bez gorączki, widzę, że Bóg mi wa×ci zesłał, bo gdyby nie wasza przygoda, wycięliby nas, jak lis wydusza kokosze w kurniku... Z tak słabymi siłami i zaskoczony po nocy łącno mógłbym stracić i Możajsk, i zapewne życie! Grigorij mimo namów odjechał jeszcze tego samego dnia, zgodnie z obietnicą odprowadzony przez Nikodema i jego ludzi w pobliże własnego obozu. Kiedy już się rozstawali, Jedlina przechylił się w siodle i złożywszy rękę na jego ramieniu, powiedział przyjaźnie: - Bądź zdrów, Grigorij, i nie zapominaj, że będziesz w naszym domu miłym

go×ciem... - Szmat drogi nas dzieli. A zresztą nie będę nawet wiedział, gdzie was szukać. - W ziemi kieleckiej pytaj o majątno×ć Zaborów. Tam ród nasz jest znany, mało kto o nim nie słyszał. - Mój kraj przechodzi czas Wielkiej Smuty. Dopóki nie minie, a na moskiewskim tronie nie zasiądzie nasz prawosławny car, nie podróżować, ale walczyć nam trzeba... Mały orszak wyruszył w drogę. Zaraz od początku mieli zapowiedź trudno×ci, jakie ich czekają w najbliższym przynajmniej czasie, bo pora była najgorsza do odbywania podróży. Wiosenne ciepło rozmiękczyło bowiem ziemię, więc drogi zamieniły się w istne grzędzawisko, koła po osie tonęły w błocie, zmuszając konie do nieustannego wysiłku, tak że dwie mile dziennie trudno było przebyć. Jechali więc noga za nogą, końskie grzbiety prężyły się przy wyciąganiu wozów z błotnistej kipieli, pokrzykiwania woźnicy niemal bez przerwy towarzyszyły trudowi zwierząt. Nie udreki jednak tej podróży były powodem strapienia młodego rycerza, pamiętał bowiem o pogróżce Plewickiego i wcale jej nie lekceważył. Toteż na nocne postoje wyznaczał teraz po dwóch strażników. Nie miał zresztą dostatecznych sił, by czuć się bezpiecznie, bo choć Plewicki opu×cił obóz zaledwie w kilka koni, to przecież było pewne, że rychło postara się o powiększenie swej watahy. Już pierwszego dnia podróży odbył na ten temat rozmowę z Rymszą. - Wciąż się trapię pogróżką tego zbója... Nie sądzę, by zemsty poniechał. - I ja mniemam, że nie poniecha - zgodził się Rymsza. - Ale chyba nie tak rychło. - A to czemu? - Bo piesi mu na nic, a konnych znaleźć trudniej. - Tak, to prawda! - nieomal ucieszył się Jedlina. - Może więc do Werei dostaniemy się szczę×liwie. Stoi tam nieco żołnierza Kazanowskiego, toteż ów zbój nie o×mieli się nas zaczepić. - Nie bądź tego zbyt pewny i zachowaj ostrożno×ć. To będzie zależało, wielu ludzi zdoła zebrać. - Kto kracze, ten i wykracze... - rzekł młody rycerz, któremu to ostrzeżenie

popsuło humor. - Lepiej krakać niż płakać. A kwaterę trzeba znaleźć łatwą do strzeżenia i obrony. - Mimo naszej załogi? - My×lisz, że oni nie mają niczego innego na głowie jak troskę, by pana Jedlinę nie spotkała zła przygoda! Je×li sam nie będziesz przezorny, to i twoje i×cie głupie szczę×cie wreszcie cię opu×ci. - Tfu, oby× nie rzekł tego w złą porę! - rzucił już ze zło×cią młody rycerz. - A moje szczę×cie nie takie znów wielkie, jeno los tak ze mnie podrwiwa. - W czymże to widzisz? - Gdyż najgorsza bieda spotyka mnie nie w×ród wrogów, ale między swoimi. - Hm... - mruknął tylko Rymsza zaskoczony tym spostrzeżeniem. Jechali wolno, a im bardziej oddalali się od Możajska, tym bardziej rósł niepokój Jedliny. Wciąż przemy×liwał, jakby uniknąć wiszącego nad głową niebezpieczeństwa, trapiła go bezustanna obawa, czy strażę czuwają należycie, więc trzy i cztery razy w nocy obchodził posterunki, po większej czę×ci sam czuwając nad obozem i snem dziewczyny. Czas jednak mijał i nic nie zakłócało monotonii ich podróży. Wereja była coraz bliżej i Nikodem zaczął już nabierać otuchy, że szczę×liwie do niej dotrze, kiedy zdarzyło się co×, co na nowo obudziło wszystkie jego niepokoje. Znajdowali się już tylko kilka wiorst od miasteczka. Wyjeżdżając z lasu na otwartą przestrzeń, ujrzeli przed sobą sznur chłopskich furmanek. Woźnice widząc zbrojnych dali im drogę i z wolna jechali poboczem, wkrótce więc zaczęli ich mijać. Raptem Awdokia krzyknęła na pachołka kierującego zaprzęgiem: - Stój! Stój! Zatrzymaj się na chwilę! Zdziwiony tym natarczywym żądaniem wstrzymał konie, dziewczyna za×, nie zważając na błotnistą drogę, zeskoczyła na ziemię i podbiegła do jednego z wozów. Jedlina ze zdziwieniem obserwował tę scenę, ujrzawszy, jak schyla się do ręki siwego chłopca, a potem z ożywieniem prowadzi z nim rozmowę. Wreszcie Natalia Pawłowna, zniecierpliwiona, ponagliła dziewczynę: - Długo jeszcze tego gadania?!

Chodźże wreszcie, trzeba jechać! Na to wezwanie Awdokia znów przypadła do ręki starego chłopca i za chwilę wgramoliła się na wóz. - Wybaczcie, łaskawa pani, alem rodzonego dziadka spotkała! Oni z Wnukowa, polscy panowie zabrali ich do przewiezienia siana, i teraz wracają do domu. Ucieszyłam się ujrzawszy go, bo będzie mógł podać krewniakom wiadomość o mnie. Jedlina dał znak, by poczet ruszał w dalszą drogę. Dziewczyna zaś zwróciła się do niego: - Wielmożny panie, myślę, że nas to dotyczy. Dziad mi mówił, że jakowi zbrojni pytali o wóz z pocztem... Nikodem gwałtownie obrócił się w siodle. - Kiedy pytali? - Dzisiaj rankiem. Jak wyruszali z nocnego postoju. - Wielu ich było? - Ponoć z piętnastu. - Dobrze, że mi to powiedziała... - Jedlina uśmiechnął się, by zamaskować niepokój. - Nie myślę jednak, aby chodziło im o nas. Zamienił jeszcze nieco żartobliwych uwag z obu kobietami, po czym ruszył do przodu, by powtórzyć Rymszy złą nowinę. Ten jednak przyjął ją bez zbytniego poruszenia. - A więc jeszcze nie zebrał do ludzi - zauważył spokojnie. - Jeśli oczywiście nie było ich więcej niż piętnastu. Z taką siłą nie o mieli się nas zaczepiać. Werek mamy pod nosem, a co będzie dalej, obaczym. Mimo tej uspokajającej oceny Nikodem nakazał swoim ludziom zachowanie czujności i wysłał przodem Wolutę, by poszukał w miasteczku kwatery, która byłaby sposobna do obrony. Pocztowy wyruszył, a że nie musiał trzymać się wozów, sprawił się szybko i czekał już na nich przy pierwszych chałupach przedmieścia. Woluta dobrze wykonał powierzone mu zadanie, bo istotnie dwór był otoczony ogrodzeniem z silnych bali. Kobiety zabrały się do przygotowania posiłku, konie wprowadzono do stajni, a Nikodem wyznaczył kolejność straży i polecił Kosmie, jednemu z bystrzejszych pacholców, poszukać kowala, bo wóz domagał się już pilnej naprawy. Ten wrócił po godzinie, zgłaszając Nikodemowi: -

Znalazłem kowala, ale nie spodobał mi się, bo począł brać mnie na spytki. Zaraz wspomniałem wasze ostrzeżenie, dlatego o tym donoszę... Jedlina zwrócił się do Rymszy, który przysłuchiwał się relacji pachołka: - Plewicki wpadł jednak na nasz ×lad i przewidział, że kowala nie ominiemy. Mniemam, że wła×nie przez niego zaciąga języka... O co cię wypytywał? - zagadnął z kolei Kosmę. - Z jakiego my oddziału, czy od Kazanowskiego, czy tylko przejazdem... - Z tym kowalem trzeba pogadać, i to ostro! - zdecydował Rymsza, polecając jednocze×nie Kosmie: - Weź parę koni niby do podkucia, jak i ze dwóch krzepkich pachołków. Kiedy nadjedziemy i my, nie okazujcie, że się znamy, póki nie zajdzie potrzeba. Przepytali Kosmę o drogę i po jego odjeździe zostawili na straży Wolutę, a sami ruszyli za pachołkami. Już z dala ujrzeli swoje wierzchowce, bo kuźnia stała przy samej drodze. Podjechali do niej i Rymsza, zeskoczywszy z siodła, spytał pachołków niby obcy przejezdny: - Boże dopomóż, dobrzy ludzie! Majster jest? - Tam w głębi... - Jeden z pachołków wskazał mroczne wnętrze, w którym żarzył się na palenisku ogień i skąd dochodziło postukiwanie młota. Obaj rycerze weszli do ×rodka, a kiedy wzrok oswoił im się nieco z ciemno×cią, rozpoznali kowala zajętego formowaniem podkowy, którą w długich szczypcach trzymał mu pomocnik. Kowal był chłopem barczystym, o mocno umię×nionych ramionach zdradzających siłę. Na widok wchodzących przerwał robotę i uniósłszy twarz, okoloną gęstą brodą, spojrzął na nich pytająco. Rymsza powtórzył pozdrowienie, a kiedy otrzymał burkliwą odpowiedź, rzucił z u×miechem: - Odłóż no robotę, bo chcemy z tobą pogadać. - Gadaniem wiele nie zarobię - burknął kowal chwytając za młot. - Czego, panie, chcecie? - Zaraz się dowiesz! - rzucił już ostro Rymsza. - Przykazałem przerwać robotę, to jej poniechaj! - A je×li nie? - Kowal oparł młot o kowadło i spojrzął ponuro na Rymszę. - Jeżeli nie,

stracisz można×ć wyboru, który wnet ci przedłożę... Przerwał i wyszarpnął nagle pistolet zza pasa, dostrzegłszy, jak dłoń pomocnika zacisnęła się na rękoje×ci szczypiec. - Jazda pod ×cianę! - warknął kierując lufę ku niemu. - A chyżo, bo ponaglę kulą! - Jaki wybór chcecie mi dać, panie, i w jakiej sprawie? - Kowal przesunął wzrokiem po swym pomocniku, który po×piesznie wykonał polecenie, po czym znów utkwiał go w przybyszu. - Krzywdy ci dobrzy ludzie nie dadzą mi zrobić. - Popatrzył teraz na pacholków, którzy stali przy drzwiach kuźni. - Mało o nich dbam. Wybór masz taki: albo srebrnego rubla za odpowiedź, albo nogi w ogień! - Rozstrzygnąć łatwo, panie. Wszakże jeszcze nie wiem, o co chodzi... - Chcę wiedzieć, kto kazał ci przepytawać o poczet z wozem? - Nikogom nie przepytawał. - Kowal wzruszył ramionami, ale nie odrywał oczu od pistoletu, który Rymsha nadal trzymał w ręku. - tżesz, bratku! Zatem powiesz czy nie? - Przysięgam na mego patrona, ×świętego Symeona, że nikt mi niczego nie przykazywał! Je×lim i zapytał o to czy owo, to z prostej ciekawo×ci! - Skądē× zatem wiedział, że mamy ze sobą wóz? - O żadnym wozie nic nie wiem! - Kosma, pytał o wozy czy nie? - Rymsha spojrział za siebie. - Pytał, panie. A także, wielu nas i kiedy ruszamy w dalszą drogę. Pytanie to i odpowiedź, jaka padła, zdradziły kowalowi istotną sytuację. Na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia, ale tylko zacisnął usta, jakby chcąc okazać, że niczego mówić nie będzie. Tak też zrozumiał go i Rymsha, bo rzucił krótki rozkaz: - Brać go i w pęta! W jednej chwili trzy pary rąk chwyciły brodacza. Próbował strząsnąć je z siebie, lecz przewaga była zbyt znaczna, by mógł jej sprostać. Stał więc wkrótce z rzemieniem oplatającym mu ×ciągnięte do tyłu ręce. - Rozłożyć go na ziemi i zedrzyć buty! - padł kolejny rozkaz, ale kowal nie czekał już na jego wykonanie. - Czort z wami! Czekać, będę mówił! - No, wreszcie zmądrzałe×. Kto chciał

od ciebie wiadomo×ci i komu miałe× je przekazać? - Fie~dka Czukin, pomocnik kupca, co handluje skórami. Mieszka przy Rzewskiej drodze, kupiec zwie się Morozow... - A jemu kto polecił? Kowal wzruszył ramionami. - Tego już nie wiem... Nie sądzicie chyba, panie, że mi to zdradził? - A teraz posłuchaj. Dam ci przyrzeczonego rubla za milczenie. Ale je×li przekonam się, że× ostrzegł tego Fie~dkę, to cię zamknę w tej kuźni i podpalę ją ze wszystkich czterech węglów! A obietnic nie zwykłem niechać. Rozwiązać mu ręce, niech podkuje konie, a potem przyprowadzicie mu wóz. Ma się uwijać, bo wieczór bliski! W powrotnej drodze Nikodem odezwał się: - Trzeba dobrać się do tego Fie~dki. Przez niego dotrzemy i do Plewickiego, a wtedy nie on na nas zapoluje, ale my na niego... - To samo miałem na my×li - zgodził się Rymsza. Wyruszyli we trzech, kiedy dobrze się już ×ciemniło. Obja×nieni, gdzie leży dom Morozowa, skręcali raz i drugi w zwykłe, niebrukowane uliczki, które trudno było tak nazwać, bo ciągnące się przy nich domy stały luźno, otoczone sadami. Wreszcie Kosma, który ich prowadził, wstrzymał konia i obrócił się do jadących za nim rycerzy. - To ten, drugi po lewej... - szepnął. Noc nie była zupełnie ciemna, toteż rozróżnili majaczący w mroku zarys budynku, zwłaszcza że był łatwiejszy do rozpoznania, bo w jednym z okien błyszczało ×wiatło. Zeskoczyli z siodeł i ruszyli ku niemu, pozostawiwszy Kosmie pieczę nad wierzchowcami. - Trzeba by jako× tego Fie~dkę wywabić z domu... - szepnął Jedlina, kiedy zbliżyli się już do ogrodzenia otaczającego obej×cie. - My×lę, że najprostszy sposób będzie najlepszy. Zrobię tak, jak uczyniłby wysłannik Plewickiego. - Co masz na my×li? Rymsza, nie udzielając odpowiedzi, wspiął się na niezbyt wysokie ogrodzenie i zeskoczył po drugiej stronie. Gdzie× w pobliżu rozległo się w×ciekle ujadanie psa, ale nie zwrócili na nie uwagi. Nikodem poszedł za przykładem towarzysza i już



we dwóch ruszyli ku domowi. Rosło tu kilka starych drzew. Rymsza skrył się za jednym z nich i gwizdnął krótko raz i drugi. Nikły blask z oświetlonego okna, zaciągniętego woskowanym płótnem, kładł się jasną plamą przed domem. Obok majaczyły dwa słupy podpierające daszek ganeczka. Po powtórnym, tym razem nieco głośniejszym sygnale drzwi uchyliły się i ujrzeli zarys ludzkiej sylwetki. - A tam kto? - dobiegł ich przytłumiony głos. - Fie~dka, eto ty? - rzucił w odpowiedzi Rymsza. - Pojdi siuda, ja ot atamana... Ujrzeli, jak postać zesła ze stopni i zaczęła ostrożnie zbliżać się ku nim. Rymsza ponaglił niecierpliwym szeptem: - Idi skoriej! Torczat zdies wsiu nocz nie budu! Wezwany przyśpieszył kroku, a kiedy znalazł się przed nimi, Jedlina, przygotowany na to spotkanie, zarzucił mu na głowę trzymaną w ręku opończę, a Rymsza paru szybkimi ruchami skrepował ramiona. Pojmany, przerażony nieoczekiwanym napadem, początkowo nie stawiał niemal oporu. Dopiero kiedy Rymsza, zarzuciwszy go sobie na ramię, ruszył w drogę powrotną, zaczął wierzgać i szarpać się. Jednak ostrzeżenie, poparte mocnym ciosem, uspokoiło go od razu i już bez oporu dał się przerzucić przez płot, a potem przez siodło. - Gdzie go przepytamy? - zwrócił się Rymsza do pocztowego. - Niedaleko jest tartak. Stoi nad rzeką, skryć się będzie gdzie. - Dobrze, prowadź zatem. Wkrótce wjechali pomiędzy wysokie na dwóch ludzi sterty złożonego budulca. Pozsiadali z koni i złożonywszy jeńca na ziemi ciągnęli mu z głowy opończę. Ten westchnął ciężko i potoczył spojrzeniem po nachylonych nad sobą twarzach. - Czego chcecie ode mnie? Cóżem wam zawinił, że mną poniewieracie? - Nie skomlij, sobako, ale jak będę pytał, gadaj szybko, zanim poderżnę ci szyjkę... - Rymsza wyjął myśliwski nóż do oprawiania zwierzyny i przystawił go jeńcowi do gardła. - Powiem wszystko, co chcesz wiedzieć, tylko o co ci chodzi? - wyjąkał przerażony

pachołek. - Gdzie nosiłeś wieści od kowala? - Od jakiego kowala? Jakie wieści? Panie, zmiłuj się, toć o niczym takim nie wiem! - Skoro nie wiesz, to mi niepotrzebny... Rymsza lekko pociągnął nożem i musiał przeciąć skórę pojmanemu, bo ten zaskomlał: - Stój, czekaj... Jakie wieści! Do kogo?! - Do kozackiego atamana. Gdzie z nimi chodził? - Jam nie chodził, klnę się na zbawienie duszy... Czekajże, nie rznij mnie jak winię! Tylko razik! Przysięgam, że tylko jeden, jedyny razik! - Nie pytam cię, wiele razy, ale dokąd je nosiłeś? - Do... do jego obozu... - Gdzie się rozłożył? - W jarze... - Odpowiedzi padały już teraz szybko i bez oporu. - Daleko stąd? - W pobliżu rzeki, wiorst ze trzy. - Wielu ma ludzi? - Będzie blisko pół setki... - Obaczym, czy nie łżesz, bo zawiedziesz nas tam! - Zawiodę, jasny panie, zaprowadzę, kiedy zechcecie! - Zaraz. Siądziesz z nami na konia i wskażesz drogę. - Teraz? Po nocy? Czy nie lepiej poczekać do rana? Po ciemku łatwo można pobłądzić. - Bacz, aby nie pobłądził, bo rankiem będą po tobie skakać wrony! Mnie nie oszukasz, a już wiesz, że nóż mam ostry. Tym razem dokładnie związano ręce więźnia, wsadzono go Kosmie na przedni łęk i mały poczet ruszył w drogę. Po powrocie z nocnej wyprawy jeńca zamknięto i dla pewności powierzono pieczy dwóch strażników. Rano za wybrali się na kwaterę porucznika Sobola, który, jak już wiedzieli, był dowódcą posterunku. Był to młody, jeszcze przed trzydziestką mężczyzna, o smukłej postaci, jasnych, patrzących miało oczach i płowym, podkreconym wąsie. Zmierzył ich krótkim spojrzeniem, a kiedy go powitali, spytał bez żadnych zbędnych grzeczności: - Coście za jedni i skąd przybywacie? - My towarzysze husarscy z chorągwi pana Zborowskiego - wyjaśnił Jedlina, który prowadził rozmowę. - Jedziemy z Moskwy do pobliskiej majątności bojara Rumcewa, dokąd za permisją odwożę małżonkę. - Toć waćpan tu się ożenił? -

Porucznik u×miechnął się lekko. - Zapewne z moskwiczanką?  
- W istocie, mo×ci poruczniku. - Musi być urodziwą  
niewiastą, skoro wa×ci do ołtarza przywiodła? - W rzeczy  
samej, Bóg nie poskapił jej urody i rozumu. - íyczę zatem  
waćpanu szczę×cia. Z czym wszakże do mnie przychodzisz? -  
Prosić o pomoc... - Jedlina w krótkich słowach i nie wdając się  
w zbytek szczegółów, opowiedział swoje przygody i obecną  
sytuację. - Wielu masz wa×ć ludzi? - spytał rzeczowo  
porucznik po wysłuchaniu relacji. - Dwunastu, wasza  
wielmożno×ć. - A ów watażka? - Około pół setki. A muszę ich  
wyciąć do nogi! - z zawzięto×cią o×wiadczył młody rycerz. -  
Bo inaczej znów się na mnie zasadzą. - Hm... zatem chcesz  
waćpan, abym dla prywaty dawał ci żołnierzy? - Toć to nie  
tylko prywatą. My×lałem, że nie ×cierpicie, by pod waszym  
bokiem grasowała wataha zbójów... Dzi× mnie napadną, a  
jutro waszych picowników. - Słusznie, toteż obsobaczę  
wachmistrza, że obozuje w pobliżu banda zbójów, a patrole jej  
nie wykryły. - Są dobrze za dnia ukryci w głębokim jarze. A  
nocą blasku ogni z jaru nie widać. - Hm... Zgoda, dam wa×ci  
nieco ludzi... Tuszę, że ze dwudziestu starczy? Kiedy w dwie  
godziny potem trzydziestu jeźdźców wyruszyło w pole, wnet  
rozdzielili się na dwie grupy. Nad jedną przewodnictwo objął  
Jedlina, nad drugą Rymsza jako znający miejsce położenia  
oboju. Rymsza, który wysforował się do przodu, miał  
nieznacznie okrążyć jar, gdzie ów obóz się znajdował,  
Nikodem natomiast - uderzyć od drugiej strony. W ten sposób  
bandyci, ×ci×nięci w wąwozie, nie mieli żadnej szansy uj×ć z  
pułapki, tym bardziej, że kilku ludzi z czeladzi rycerzy dostało  
polecenie obsadzenia rusznicami obu brzegów jaru i  
niedopuszczenia, by ktokolwiek wydostał się po jego stoku.  
Kiedy strażę obojujących dostrzegły jezdnych, wąwóz był już  
zamknięty z obu stron. Na odgłos strzałów wartowników  
porwali się Kozacy do koni, ale nie wszyscy nawet zdążyli ich

dosiać, gdyż napastnicy nadlecieli szybko, rozpoczynając krwawą rzeź. Miotali się Kozacy niby stado owiec w zagrodzie, do której wpadły wilki, próżno próbując stawić jaki taki opór. Sieczeni razami szabel zaćiełali pole, a tych, którym udało się wdrzeć na stoki w nadziei ucieczki chociażby i pieszej, strącały w głąbię wąwozu strzały zacajonych w górze pachołków. Toteż wkrótce było po wszystkim i tylko rozgorączkowane potyczką konie pozostały przy życiu. Połapano je wkrótce i jako cenną zdobycz, bo o konie było trudno, pognano ku miastu. Jedlina nie rzucił się za swymi ludźmi w wir walki. Pozostał na szczycie wąwozu i z góry przyglądał się dokonywanej masakrze. Szukał jedynie wzrokiem Plewickiego, bo tylko o niego mu chodziło, tylko na nim pragnął wyrzucić zemstę za zadaną Tani zniewagę. Wkrótce go dostrzegł. Widział, jak niby giętki wąż zwija się w siodle i bądź paruje ciosy, bądź zadaje je z wyjątkową sprawnością. Kilku jego najbliższych towarzyszy zleciało z koni, on zaś, wykorzystując powstałą lukę, wyrwał się poza krąg napastników i pochyliwszy w siodle, pognął dnem wąwozu. Nikodem obrócił więc wierzchowca i nie spuszczać Plewickiego z oczu, ruszył górą za nim. Dosiadał klaczy przywiezionej jeszcze z rodzinnego Zaborowa, gdzie była hodowana i sposobiona do walki przez starego pana Onufrego Odmętowicza, przyjaciela zmarłego rodzica, hodowcę znakomitego, którego bojowe konie cieszyły się wielką renomą. Klacz zwała się Anula i tak szybkością, jak i wytrzymałością w biegu mało miała sobie równych. Cechowała ją też sprawnością wyuczona w żmudnych ćwiczeniach, której tajemnicę powierzył Nikodemowi pan Onufry. Toteż od razu dostrzegł, że jego koń z łatwością utrzymuje dystans, a nawet wysforowałby się wnet do przodu, gdyby go nie ciągał wodzami. Spokojnie więc czekał, aż jar się skończy i znajdą się na płaskiej przestrzeni. Wkrótce istotnie obaj wypadli na

otwarte pole. Nikodem miał przed sobą uciekiniera nie dalej niż o dwie staje. Ten wła×nie obejrzał się i widać dopiero teraz dostrzegł, że jest ×cigany, bo zaczął przynaglać ostrogami swego wierzchowca do szybszego biegu. Nie na wiele to się jednak zdało, gdyż, kiedy znów obrócił głowę, ujrzął, że od ×cigającego dzieli go już nawet mniej niż staja. Widząc, że pogoni nie ujdzie, a ma do czynienia tylko z jednym przeciwnikiem, zatoczył koniem krąg i uniósłszy szablę, ruszył ku Jedlinie gotów do przyjęcia walki. Nadarzała się okazja, by wypróbować tajemną sprawno×ć klaczy. Toteż na widok nadlatującego przeciwnika Nikodem nachylił się nad jej łbem i rzucił, wymieniając nakazująco słowa: - Anula, bier go... bier... Usłyszawszy to wezwanie klacz raptownie położyła po sobie uszy i wyszczerzyła zęby. Reszta stała się błyskawicznie. Plewicki nadlatywał z uniesioną szablą gotów do zadania ciosu, a wpatrzony tylko w broń przeciwnika nie zwracał uwagi na jego wierzchowca. Klacz za× w momencie, kiedy mieli się już zewrzeć, poderwała łeb i wyciągnąwszy szyję, chwyciła go zębami za twarz. Wyleciał z siodła, nawet nie zdążywszy krzyknąć. Kiedy wrócili na kwaterę, Jedlina przykazał wypu×cić uwięzionego Fie~dkę, zbyty troski, która trapiła go dotychczas przez całą drogę. Rozradowany pomy×lnym wynikiem wyprawy udał się do niewiast, by teraz dopiero powiadomić je o ponownej rozprawie z Plewickim i jego ×mierci. Już spokojni udali się w dalszą drogę i wreszcie, powitani okrzykami zdumienia i rado×ci przez całą bojarską rodzinę, a zwłaszcza brata Natalii Pawłowny Bazylego Pawłowicza, mogli po trudach podróży lec w wygodnej po×cieli i cieszyć nie byle jaką strawą. Zatrzymywani gorąco przez gospodarzy, a po cichu i przez Tanię, Nikodem z krewniakami odpoczywali całe dwa tygodnie, zanim, serdecznie żegnani, pociągnęli w pole, pamiętając o swym żołnierskim obowiązku. Nikodem, odjeżdżając, miał na palcu

ofiarowany mu przez Tanię przy pożegnaniu pierścionek, a na ustach smak jej pocałunków. Otoczenie, w którym znaleźli się Jedlina i Rymsza, ruch i nastrój wojennej imprezy, wielkie skupisko wojsk i wojennego sprzętu, związane z blisko dwuletnim oblężeniem, sprawiły, że niby myśliwskie ogary ulegli tak podnieceniu, jak i chęci wzięcia udziału w walce. Pragnienie to wzmagał widok odległego, przysłoniętego niebieską mgłą smoleńskiego zamku wraz z jego potężnymi murami i licznymi basztami. Dzień w dzień zasłaniały go dymy wystrzałów, wśród których widać było błyski ognia, a ich ponury grzmot zlewał się w jednostajne dudnienie, rozlegające się groźnym echem po całej okolicy. Rycerze postanowili więc odwiedzić Lisowskiego, by doradził, do którego z rotmistrzów obrócić się o przyjęcie w poczet towarzystwa. Husarze, a wśród nich chorągiew Bobowskiego, stali na Pokrowskich Wzgórzach. Pana Aleksandra odwiedzili już pod wieczór któregoś z spokojniejszych dni. Lisowski ucieszył się szczerze na widok Jedliny, wziął go w ramiona, a potem, odsunawszy od siebie, obrzucił wesołym spojrzeniem. - Zmienił się waćpan... - rzekł. - Już nie ten młodzieniaszek z waćci, którego poznałem, ale mąż dojrzały nie tylko do służby ojczyźnie, lecz także i dziewczkom. Pozwól, że ci zaprezentuję... - Wskazał na męża okazałej postaci, który uniósł się z zydlą. - Oto mój miły towarzysz, urodzony Chrapowicki. Przyszedł wychylić ze mną szklaneczkę miodu, który wnet nam podadzą. Jedlina wraz z Rymszą zasiedli za stołem. Kiedy pacholek rozstawił kielichy i napełnił je miodem, Lisowski zwrócił się do Nikodema: - Opowiadaj tedy, gdzie przebywał i jak trafił pod Smoleńsk. Słyszałem bowiem, że walczył pod Zborowskim. A co z twą miłą? Czy Kupidyn okazał ci wreszcie przychylność? Jedlina uśmiechnął się. - Opowiem ci pokrótce, by rozwlekłym gadaniem nie nużyć... Opisał zwięźle zdarzenia ostatnich

czasów i obecną sytuację, co usłyszawszy pan Aleksander podniósł do góry kielich z miodem. - Tedy piję zdrowie twej przyszłej małżonki! Mimo wszystko lepszy to jasyr niżli bisurmańskie pęta. Kiedy wszyscy spełnili toast, Nikodem powiadomił Lisowskiego, z czym przybyli. - Radzi by×my nieco powojować, przynajmniej do czasu, aż nie ruszymy w dalszą drogę. Ale do kogo by przystać? - Chociażby do mnie! Porucznikuję teraz w chorągwi, bo poprzednik, ranny przed miesiącem, jeszcze nie odobrzał na tyle, by powrócić do komendy. - Bóg ci, bracie, zapłać! - wykrzyknął młody rycerz. - Zaszczyt to niemały służyć w takiej chorągwi jak Bobowskiego i pod taką ręką jak waszmo×ci! Nadarzyła się nowa okazja do opróżnienia kielichów, której nie poniechali, po czym Rymsza zagadnął: - Teraz, skoro już×my rzecz ułożyli, pozwólcie waszmo×ciowie spytać, co tu u was się dzieje. Różnie bowiem o tym mówiono w×ród moskiewskiej załogi. W odpowiedzi zabrał głos milczący dotąd Chrapowicki: - My tu wojujemy i gadamy. Szły pertraktacje z Szeinem o poddanie zamku. Gotów był to uczynić, ale na imię Władysława, na co Zygmunt nie przystał. Chciał potem pu×cić na zamek stu naszych żołnierzy, do czasu aż król jegomo×ć ułoży rzecz z bojarami, lecz miło×ciwy pan zażądał wprowadzenia o×muset zbrojnych, co z kolei odrzucił Szein. - Twardy to musi być człek, bo×my słyszeli, że morowe powietrze mocno wytrzebiło mu żołnierzy. - Tak, to prawda. Nie można zaprzeczyć, że wódz to nieustępliwy, ale też i przebywający tu moskiewscy posłowie, z kniazem Golicynem i metropolitą Filaretem na czele, tajnymi pismami podżegali go do oporu. - Odkryto ową niegodną posłów czynno×ć? - Odkryto i wysłano ich jako jeńców do Polski. - Mimo że posłowali? - Stracili przywileje poselskie wdawszy się w taką imprezę. Tak przynajmniej głosił Potocki, a miło×ciwy pan wbrew opinii Kryskiego przychylił się do tego mniemania. - A

walki? - Te wiem bez ustanku. Prowadzimy podkopy, oni za× zakładają kontry, więc spotkawszy się pod ziemią toczymy tam z nimi zażarte zmagania. Padło w nich wielu naszych i ich, zdarzało się przeto, że przy wybuchu miny ziemia wyrzucała na wierzch żołnierskie zwłoki, jakby żądając dla nich należytego pochowku. - Armaty huczą bez przerwy, to słyszymy - wtrącił Jedlina. - Tak, bo wreszcie mamy już moździerze i bombardy. Nadeszły z Rygi, Tykocina i Wilna. Ale cóż z tego, kiedy rozwaliwszy nimi mur znaleźli×my za nim drugi. - Coraz wyraźniej widać, że pan iólkiewski miał słuszno×ć doradzając nie bawić się w dobywanie Smoleńska, tylko ruszać wprost na Moskwę... - I ja tak mniemam, lecz nas jest mniejszo×ć. Więcej zwolenników miał ×więtej pamięci zmarły Jan, a teraz ma jego brat Jakub, który twierdzi, że hańbą dla króla i Polski byłoby odstąpić od obleżenia, zwłaszcza kiedy×my zmitrężyli taki szmat czasu. Uważają też, że odstąpienie od Smoleńska nie udobruchałoby moskwiczów, jak mniema hetman, ale przeciwnie - rozzuchwaliło, zatem nie należy udawać przyjaciół, lecz pokonać ich i siłą zmusić do posłuchu. Obecnie, kiedy iólkiewski odjechał na Multany, stronnictwo Potockich wyraźnie wzięło górę. Decyzja hetmana opuszczenia obozu była w znacznej jednak mierze powzięta wła×nie dlatego, że Zygmunt, przeciwny mu, chętniej słuchał rad jego wrogów. - Nadal więc będziemy stać pod Smoleńskiem? - Chyba tak - odpowiedział za Chrapowickiego Lisowski. - Wszakże nie wiem, z jakim skutkiem, bo wojsko zaczyna się buntować, gdyż nie widzi żołdu, ale z drugiej strony i Szein nie jest już raczej zdolny do tak mocnego oporu jak dotychczas. Słyszałem, że wkrótce ma się odbyć narada wojenna, na której zapadnie decyzja co do dalszych działań. Zobaczymy, co przyniesie. W jakie× dziesięć dni później istotnie rada się odbyła. Postanowiono na niej przeprowadzenie zmasowanego



szturmu, a maltański kawaler Bartłomiej Nowodworski z Tucholi powtórnie obiecał wysadzić prochami mury. Przydzielono mu zatem żądane sto cetnarów prochu, wyznaczając jednocześn*ie* termin szturmu na noc z dwunastego na trzynasty czerwca, by dać maltańskiemu kawalerowi czas na wykonanie przeji*cia* w miejscu, które sobie upatrzył. Wyniku narady żołnierze zaczęli się domy*ślać* dopiero w dniu szturmu, kiedy to od *ś*witania przemieszczano wojska, wyznaczając chorągwiom przeznaczone im miejsca. I tak komendę nad husarią, której kazano poniechać sodeł, objął od północnej strony miecznik wielki litewski Krzysztof Drohostajski, mając przy sobie pana Nowodworskiego z jego oddziałem. Czę*ść* tej husarii jak i pancernych, także spieszonych, wziął wraz z Kozakami pan Jakub Potocki, zajmąwszy stanowisko od wschodu. Od zachodu objął komendę Stefan Potocki, a od strony zachodnio-południowej Neukirch z regimantami piechoty niemieckiej. O pierwszej ciemno*ści* wszystkie te wojska przesunęły się, przy zachowaniu największej ciszy, na stanowiska wyj*ściowe* i czekały na sygnał ruszenia. Sygnałem tym miały być odgłosy walki od strony wschodniej, obsadzonej przez chorągwie dowódcy wszystkich wojsk, którym był po zmarłym bracie Jakub Potocki. On bowiem miał pierwszy ruszyć do szturmu, a dopiero za nim reszta pułków otaczających twierdzę. Była równo północ, kiedy do czekających oddziałów pana Potockiego przybiegli gońcy z rozkazem ruszania ku murom. Niby czarne żuki popęzły drabiny dźwigane przez czeladź, a za nimi kolumny żołnierzy. Czerwcową noc była pogodna, toteż ciemne zręby zamkowych *ścian*, ku którym kolumny sunęły, były wyraźnie widoczne. W szeregach panowała cisza i tak*ż* cisza trwała za blankami. Jakby przyczajeni i *ś*wiadomi napa*ści* żołnierze czekali na nią, by zniemacka dać tym skuteczniejszy odpór. Jednakże wartownicy niezbyt

czujnie pełnili straż, bo ich strzały rozległy się dopiero wówczas, kiedy drabiny były całkiem blisko, niektóre nawet już oparto o kamienne ściany. Niby mrówki wspinali się po nich pierwsi żołnierze dzierżąc nad głowami tarcze. Byli to Kozacy jako najsprawniejsi w zdobywaniu umocnień. Ale i wielu towarzyszy, nie mogąc opanować bojowej gorączki, wmieszało się pomiędzy nich i pospołu wdzierało po szczeblach. Wkrótce strumień napastników popłynął niepowstrzymanie, jakby wsiąkając między blanki. Był to znak, że już walczone na koronie i spychano obrońców. Na ten widok reszta czekających chorągwi rzuciła się bez rozkazu ku murom i biegła z bojowym okrzykiem ku pustym już drabinom. Ten sam krzyk, a może jeszcze głośniejszy, doszedł z południowej strony, od stanowisk niemieckiej piechoty Neukircha. Jakby w odpowiedzi na te wrzaski rozkołysały się nad Smoleńskiem cerkiewne dzwony. Biły hałaśliwie, szybko, nierówno, jak gdyby ogarnięte trwogą wołały o ratunek. Ich brzękliwy głos rozchodził się w nocnej ciemności głusząc hałasy walki. Ta zaś od południa również przybrała na sile, bo i piechota niemiecka już się wdarła pomiędzy blanki. Na pomoc ostatkiem sił broniącej się załozie rzucił Szein wszystkie swoje odwody, które skupił w samej twierdzy. Biegły ze wsparciem, ale odezwały się polskie armaty i dobrze wstrzelani puszkarze zasypali zamek lawiną pocisków. Oddziały biegnące bezładnymi kupami dostały się pod ich ogień, tak że tylko część ich wsparła walczących jeszcze towarzyszy. Odsiecz ta zatrzymała wprawdzie napór szturmujących, lecz nie zdołała ich wyprzeć z murów. Także gęsty ogień, prowadzony z baszt pozostających nadal w rękach smoleńszczan, nie pozwalał nacierać na następny pas murów zagrządzających drogę do samego zamku. Natomiast Stefan Potocki nacierający na zachodnią stronę umocnień zdobył je także i nie zatrzymując

ataku, na karkach uciekających obrońców przebył głęboki rów dzielący mur zewnętrzny od wewnętrznego, dopadł go i opanował jednym gwałtownym szturmem. W tym samym czasie wdarł się do miasta również oddział Drohostajskiego, prowadzony przez maltańskiego rycerza. Chorągwie pana miecznika litewskiego rozpoczęły szturm jako ostatnie. Przyczyną tej zwłoki było oczekiwanie na rezultat wyprawy pana Nowodworskiego, który odkrył zapomniane przez obrońców podziemne przejście i wiele dotąd poświęcił starań, by uczynić je zdatne do wykorzystania. Teraz zaś wraz z przydzielonym sobie oddziałem dźwigającym prochy zagłębił się w nie nakazując, by reszta wojska nie postępowała za nim, aż nie dokona miną wyłomu w murach. Toteż okryte nocną ciemnością chorągwie oczekiwały w napięciu spodziewanego wybuchu. Jedlina z Rymszą i pocztowymi stał wśród towarzyszy spod znaku Bobowskiego, którego chorągiew przypadła pod komendę pana Drohostajskiego. Początkowo napięcie wywołane oczekiwaniem skracało czas, w miarę jednak jego upływu zaczęła brać górę niecierpliwość. Minęła godzina, potem druga i nic się nie działo. Panowała niczym nie zakłócona cisza, w ciemnościach przed nimi majaczyły zarysy Kryłowskiej Bramy, jako tako widoczne w mżącym świetle gwiazd. Zerwał się wiatr, więc z obawą spojrzeli ku niebu, czy aby nie przygoni chmur, co by wielce utrudniło walkę. Niebo jednak było czyste, usiane mnóstwem świecących ziarenek. Minęła kolejna godzina i nadal żaden odgłos nie dochodził z nocnej ciemności. Tylko do skupionych szeregów rycerzy szedł pogwar z cicha prowadzonych rozmów. Pogwar ów w pewnej chwili ustał, jakby kto uciął go jednym ruchem ręki. Przyczyną tego był fakt, że nagle usłyszeli wyraźny, choć przytłumiony odległością, szum ludzkich głosów i jakby nawoływań, które doszły ich zza wyniosłej ściany rysujących się przed nimi

murów. - No... - westchnął Rymsha - wreszcie chyba ruszyli. - Ale co, do licha, robi Nowodworski? Czyżby nie zdołał założyć miny? - zapytał niecierpliwie Nikodem. Nie otrzymał jednak na to pytanie odpowiedzi, gdyż wszyscy wsłuchiwali się w dalekie odgłosy toczącej się gdzieś walki. Zamiast zaoczekiwanego z niecierpliwością wybuchu odezwały się najpierw polskie armaty, a potem cerkiewne dzwony, rozkołysaną pieśnią trwogi. Biły popiesznie, chaotycznie, widać poruszane rękami wystraszonych ludzi. Jedlinie przypomniały się podobne wołania dzwonów z czasów, kiedy zdobywali pod Lisowskim miasta na dalekich krańcach moskiewskiego państwa. Wspomnienie to przerwał potężny wybuch, który raptem rozświetlił mury i Kryłowską Bramę. Wytrysnął w górę płomieniem wraz z gradem kamieni, cegieł, belek i chmurą wapiennego pyłu, wstrząsając ziemię pod ich stopami. Chorągwie wrzasnęły zgodnym krzykiem i poderwały się do biegu. Nikodem pędził wraz z innymi z uniesioną nad głową szablą w stronę, gdzie czerniała wyrwa w rozwalonym murze. Znikali właśnie w tym wylomie ostatni żołnierze z oddziału Nowodworskiego, którzy nie czekali nawet, by opadły wyrzucone w górę kamienie i uniesiony podmuchem piasek. W powstałym wylomie, który niby mroczny wąwóz przeciął mury, pełno było zwałów ziemi, gruzu, kamieni, potrzaskanego drewna, toteż rycerstwo przyhamowało bieg, tłocząc się w wąskim przejściu, żadne jak najszybszego wzięcia udziału w bitwie prowadzonej już przez Nowodworskiego. Jej odgłosy dochodziły do rycerzy, budząc tym większą niecierpliwść. Wreszcie oddziały pana miecznika, prowadzone przez niego osobiście, przedostały się na drugą stronę i kiedy już mogły się rozwinąć, od razu przystąpiły do walki. Widać do puszczarzy dotarła wieść o przedarciu się chorągwi do miasta, bo wstrzymali ogień, ale wzniecone przez nich pożary, wspierane wiatrem, zaczęły

ogarniać coraz więcej domów. Chorągiew Bobowskiego z Lisowskim na czele jako pierwsza doszła żołnierzy Nowodworskiego i już wspólnie parli do przodu. Nikodem, rozogniony walką, odbijał ciosy włóczni i szabel broniących się rozpaczliwie smoleńszczan. Sam także zadawał cięcia, w bitewnej gorączce nie widząc niczego, jak tylko rozgrzane wysiłkiem, spocone twarze ruskich wojowników i błyski ich oręża. Toteż oprzytomniał dopiero w chwili, kiedy tych brodatych twarzy zaczęło ubywać, a coraz liczniej ukazywały się ich plecy. Dookoła paliły się domy, trzaskiem ognia wzmagając bitewny zgiełk, obsypując walczących deszczem iskier, od których niejednemu zajęła się odzież. Gorąco biło w twarze, a blask płomieni raził oczy. Zwycięzcy gonili jednak uciekających już wszędzie obrońców, razami szabel powalając mniej zdatnych do szybkiego biegu. Ci zaś szukali ratunku w pobliskiej cerkwi, otoczonej lichym, obronnym murem. Nie stanowiłby on dla pogoni trudnej przeszkody, ale od pożaru zapaliła się jedna z cerkiewnych wież, w której musiały znajdować się prochy, bo nagle gwałtowny wybuch uniósł ową wieżę do góry, a potem zwałił się na cerkiewny dach. Z otchłani ognia rozległ się przejmujący ludzki krzyk. Brzmiał jeszcze, kiedy jedna z baszt przy pobliskich Wrotach Książęcych, wiodących do samego grodu, raptem także ze strasznym grzmotem wyleciała w powietrze, rozrzucając dookoła kamienie i płonące belki. Widać i tam przechowywano prochy, które wybuchły od zaprószonego ognia. Od niej też zapaliły się sąsiednie baszty na północnym stoku zamku. Pożar rozszerzał się podniecany podmuchami wiatru. W niektórych miejscach obrońcy i napastnicy, jednako parzeni ogniem, ramie przy ramieniu uciekali od niego. Nie tylko zresztą wiatr był przyczyną tak gwałtownego pożaru, wzniecali go bowiem i smoleńszczanie widząc upadek miasta. A potem sami rzucali się w płomienie. Wszakże pełne

największej grozy zdarzenie nastąpiło w pałacu archireja. Złożyli tam swój dobytek liczni mieszkańcy, sami również szukając w nim schronienia. Jednak w jego piwnicach złożono lekkomyślnie beczki z prochem. Musiała i tam dotrzeć iskra ognia, bo wybuchło 150 pudów prochu, cały pałac zamieniając od razu w rumowisko. Jeszcze chwilę po wybuchu opadały na ziemię pałace się zagwie, kawałki cegieł i ludzkich szczątków. Siła wybuchu nie tylko rozerwała pałac na strzępy, ale i zburzyła jedną ze ścian stojącego w pobliżu soboru. Polscy żołnierze, ogłuszeni jeszcze wybuchem, ujrzeni raptem wewnątrz świątyni w pełnym blasku gorejących tam świec, a wśród wlokącego się dymu i pyłu tłumy wiernych zatopionych w błagalnych modłach, którym przewodził odziany w bogate szaty cerkiwene sam metropolita smoleński Sergiusz. Niektórzy na widok wrogich żołnierzy, przyciskając się do ścian, zasłaniali twarze dłońmi, inni padali krzyżem na ziemię, rozległ się krzyk kobiet i płacz dzieci. Ale właśnie na odgłos detonacji nadbiegł pan miecznik Drohostajski. Ujrawszy ten obraz nakazał zaprzestać walki i ruszać do gaszenia pożaru. Wszakże Jedlina i Rymsza nie byli świadkami tego zdarzenia, bo wraz z kilku towarzyszami zagnali się za uciekającymi żołnierzami Szeina aż pod główną wieżę obronną, stojącą wśród budynków zamku. Wpadli za nimi do wnętrza, a potem, rozgrzani pościgiem, wdzierali się po schodach z piętra na piętro, pokonując wszędzie krótki jeno opór. Większą grupę obrońców napotkali dopiero na ostatniej kondygnacji. Wszakże i tu szybko sobie z nimi poradzili, a potem już nie po schodach, ale po drabinie przystawionej do otworu w suficie pieśli się w górę. Ujrzeni, jak Kosma, który szedł pierwszy, wsadził najpierw w otwór głównię szabli, a potem zaczął wolno wysuwać głowę okrytą hełmem. W chwilę potem usłyszeli świst i brzęk ostrza uderzającego o ostrze. Skoczyli za Kosmą i wkrótce znaleźli się w niedużej

izbie na poddaszu wieży. Wnętrze oświetlała wisząca na haku latarnia. W jej nikłym blasku ujrzeli postać kobiety przyciskającej do piersi dziecko i niskiego, barczystego męża o szerokiej, rudej brodzie, z obnażoną szablą w ręku, której koniec opierał o deski podłogi. Naprzeciw niego Kosma, nieco zadyszany widać od skoku z drabiny, zamierzał się do cięcia, ale wstrzymał go krzyk kobiety: - Panowie Polacy, to sam dowódca zamku, więcej wart dla was żywy niż martwy! Oszczędźcie go! A ty, Michale, poddaj się, ratuj żywot dla naszego dziecka! Miszka, błagam cię, poniechaj walki, doć już krwi! Rymsza odsunął na bok Kosmę i zwrócił się do brodacza: - Dobrze mówi małżonka, wasza wielmożność Michale Borysowiczu, doć walki, oddaj więc broń i zostań naszym jeńcem. - Nie tobie, młodzieńcze, odbierać mi szablę! Jako dowódca tylko wodzowi przeciwnika mogę broń oddać. Więc albo złij po niego, albo ruszajcie na mnie, a ja stanę przeciw wam wszystkim! - Chcesz, abyśmy cię usiekli na oczach żony i dziecka? Czyż to nie zbytek determinacji? Szein opuścił głowę marszcząc brwi. - Czyńcie, co chcecie - powtórzył z uporem - ale broni nie oddam... - Zatrzymaj ją zatem, aż nie przybędzie nasz wódz. Wnet po niego póję, lecz koni nie mamy i na piechotę przyjdzie go szukać. - Niespieszno mi rozstawać się z szablą... - z sarkazmem mruknął w odpowiedzi Szein. Poszło na poszukiwanie kilku żołnierzy, by tym szybciej znaleźć pana Potockiego. Jakoż musiało któremuś z nich poszczęścić się, gdyż nie upłynęło kilka pacierzy, kiedy pan Potocki zjawił się na poddaszu. Rymsza w paru słowach przedstawił mu Szeina, objaśniając całą sprawę. Pan Potocki, wysłuchawszy relacji, podszedł do niedawnego przeciwnika z wyciągniętą dłonią. - Nie odmawiaj mi ręki teraz, kiedyśmy walkę skończyli. A szablę zatrzymaj na znak szacunku, jaki dla cię żywię... Tak padł ostatecznie Smoleńsk nocą z dnia 12 na 13 czerwca 1611

roku. Zdobyto ogromne zapasy żywności, wielką ilość prochów i pocisków, a także dwieście pięćdziesiąt dział. Natomiast do niewoli wzięto niecałe trzy tysiące żołnierza, gdyż podług relacji Szeina około siedemdziesięciu tysięcy padło ofiarą moru, jaki panował w mieście. Zdobyć Smoleńsk było spełnieniem najgorętszych pragnień króla Zygmunta. Uradowany tym sukcesem wyprawił żołnierstwu ucztę, bardziej zasłużonym dawał nagrody, Jakuba Potockiego obdarzył po zmarłym bracie województwem braclawskim. Natomiast pan Nowodworski nagrody nie przyjął, prosząc w zamian króla o opiekę nad Zakonem Maltańskim. Sądono, że wreszcie teraz ruszy Zygmunta na Moskwę, gdyż chwila była jak najbardziej sposobna. W mieście stała już jego własna załoga, oblegający ją nieprzyjaciel, skłócony i przerażony upadkiem Smoleńska, nie sprostałby królewskim wojskom, nietrudno byłoby więc w tej sytuacji przeciągnąć Zaruckiego na swoją stronę i osadzić wreszcie Władysława na moskiewskim tronie. Wówczas przed dwoma zjednoczonymi wspólną dynastią państwami otwałyby się rozległe horyzonty polityczne. Ta kusząca perspektywa nie trafiła widać do wyobraźni ograniczonego w gruncie rzeczy monarchy. Znużony długotrwałym oblężeniem, pragnący splendorów i aplauzów chciał czym prędzej zrealizować te swoje marzenia, odbyć tryumfalny wjazd do Warszawy, zadziwić zwołany na wrzesień sejm i zebraną na nim szlachtę. Sytuację w Moskwie mimo alarmów Gosiewskiego uważał za zadowalającą, zwłaszcza kiedy Sapieha usłuchał wezwania i ruszył oblężonym z pomocą. Tym bardziej że korespondując z Chodkiewiczem po odjeździe iólkiewskiego poruczył mu sprawę moskiewską. Opuszczał więc obóz pod Smoleńskiem w przekonaniu, że Chodkiewicz mimo trudności podporządkuje sobie skłóconych wodzów moskiewskich. Król wyruszył siódmego lipca Dnieprem do Orszy, skąd miał



zamiar skierować się do Wilna, a potem pociągnąć do Warszawy na sejm i tam zaprezentować dostojnych jeńców - cara Wasyla i jego dwóch braci, Dymitra i Iwana - oraz doprowadzić do uchwalenia podatków na wypłatę zaległego żołdu. Jego królewska mo×ć życzył sobie ten odcinek drogi przebyć drogą wodną, toteż ×ciągnięto pod Smoleńsk parę szkut dla króla, jego najbliższego otoczenia, oraz barkę dla zbrojnej eskorty. Reszta dworu z przydzieloną mu ochroną miała udać się drogą lądową i czekać na króla w Orszy. Natomiast Lisowski po upadku Smoleńska nie widział celu dalszego wojowania, postanowił przeto nieco odetchnąć i dojrzeć gospodarki w rodzinnych Wołkach, tym bardziej, że w czasie oblężenia stracił już drugiego brata, Stanisława. Towarzyszył więc królewskiemu orszakowi, by z nim pociągnąć do Wilna, stamtąd za× udać się do siebie. W tym czasie pan hetman litewski Chodkiewicz, korzystając ze spokoju, jaki zapanował w Inflantach po rozejmie ze Szwedami, obowiązującym jeszcze do grudnia, załatwiał swoje sprawy majątkowe. Otrzymał bowiem w spadku po Mieleckich dobra w Sandomierskiem, Mielec i Zagórszk. Wezwany listownie przez króla udał się na spotkanie z monarchą. Do×cignął go cztery mile za Orszą. Powitany nad wyraz przychylnie zaszczycony został zaproszeniem do królewskiej karocy, w której przebył pozostałą drogę do Tłoczyna, majątno×ci Lwa Sapiehy, gdzie Zygmunt miał korzystać z go×ciny litewskiego kanclerza. Nie wiadomo, czy to za jego chytrą radą, czy też Zygmunt sam tak sobie rzecz ułożył, ale już następnego dnia odbyła się uczta, ponoć specjalnie na cze×ć litewskiego hetmana, gdyż król posadził go koło siebie i parokroć pił jego zdrowie. Przy dźwiękach trąb i fletni szły toast za toastem, przy czym monarcha łaskawie do hetmana przepijał. Owe względy dyktowały monarsze zamiary, jakie wiązał z osobą hetmana. Wszakże

przedtem chciał się przekonać, jak dalece może liczyć na jego lojalność i oddanie. Pan Chodkiewicz początkowo zachowywał czujność pamiętając, że już w karecie Zygmunt wypytywał go o przychylność ku swojej osobie, o stosunki na Litwie, zwłaszcza dotyczące wami z Januszem Radziwiłłem, podczaszym litewskim. Jak domyślał się hetman, czynił to zapewne w obawie, by wśród litewskich magnatów nie zapanowała zgoda, co groziłoby ich wspólnym wystąpieniem przeciw tronowi. Pytał także o opinię hetmana na temat jego, królewskich, zamierzeń dotyczących wojny moskiewskiej. Teraz nawiązał niejako do tej pierwszej rozmowy, bo po kolejnym tobie zadał pytanie: - Czy prawda to, o czym dochodziły mnie słuchy, że wojewoda wileński Mikołaj Radziwiłł pogodził się z podczaszym? - Prawdą jest tylko to, miłociwy panie, że pan wojewoda życzyłby sobie takiej ugody, ale ja obstaję przy tym, aby pan podczaszy najpierw waszej królewskiej mości złożył powinne zapewnienie wierności. Wówczas dopiero byłbym skłonny zgodę z nim zawrzeć, z tym wszakże zamiarem, byśmy wspólnie ojczyźnie i waszej królewskiej mości służyli... - odparł ostrożnie pan hetman. Zygmunt zorientował się z tej odpowiedzi, że hetman odgadł właściwą przyczynę jego zainteresowania, więc już nie podtrzymywał tego tematu, natomiast poruszył inny, nie mniej go interesujący: - Czy dość jasno przedstawiłem ci w listach swoje intencje co do Moskwy? - Sądzę, że zrozumiałem je należycie... - A zatem czy znajduję w tobie poplecznika tych zamierzeń? - Nie tylko masz we mnie samym, najjaśniejszy panie, wiernego sojusznika, ale i propagatora sprawy wśród litewskiej braci! Wielce będzie w tym pomocna wieść o wiktorii waszej królewskiej mości, gdyż przysporzy sporo stronników. - Widzę zatem, że służa mój i przyjaciel. Twoje więc piję zdrowie! Niech w tej intencji wszyscy tu obecni do dna spełnią kielichy, a muzyka niech nie

milknie! Król duszkiem wypił swój, dając tym przykład obecnym, toteż wśród ogólnych wiwatów pito zdrowie pana Chodkiewicza i już na dobre zaczęło się ucztowanie. Grzmiąły trąby, biesiadnicy przepijali do siebie, miechy i wzajemne przekrzykiwania zlewały się w jeden wspólny, grzmiący uciechą tumult, który wylewał się donośnym gwarem przez otwarte okna biesiadnej sali. Król, już sam podchmielony, przechylił się ku siedzącemu obok i dobrze pijanemu panu Chodkiewiczowi. - Wiele dla ojczyzny i dla tronu uczynił, drogi przyjacielu! Dłużnikiem twoim jestem i inaczej ciebie, a inaczej Radziwiłła osądzam... Na dowód czego niechże ci usłużę... To mówiąc król jegomość sięgnął po dzban, własnoręcznie napełnił kielich hetmana i nie spuszczał zeń wzroku, aż ten nie wypił go do dna. W dalszej drodze - gdyż hetman towarzyszył królowi nieomal pod Borysów - zdołał on skłonić pana Chodkiewicza do objęcia pieczy nad moskiewską imprezą. Powierzył mu zatem zwierzchnią władzę nad wszystkimi wojskami. Ale i król, i hetman wiedzieli, że tylko od dobrej woli działających tam dowódców zależy uznanie zwierzchniej władzy hetmańskiej. Trzeba było dopiero do tego ich skłonić, czemu polecenie królewskie mogło być tylko pomocne, ale nic więcej. Po pewnych oporach, wynikających raczej z intencji wywarcia na króla nacisku, by dostarczył rodków finansowych przede wszystkim na żołd, pan Chodkiewicz podjął się poruczonego mu zadania, w listach do żony okazując z tego dowodu królewskiego zaufania nie tylko zadowolenie, ale nawet i dumę. Po rozstaniu z królem ruszył do Szkłowa, gdzie zamierzał ciągać wojska. Przed wyjazdem zdarzyło mu się spotkać na którymś z postojów pana Aleksandra, a że pamięć do twarzy miał dobrą i słyszał już zresztą, że słynny wojownik ciągnie z królewskim orszakiem, więc przystanął w odpowiedzi na złożony mu ukłon i uprzejmie zagadnął: - Słyszałem już o wasci, panie Lisowski,

że z królem ciagniesz. Dokąd zmierzasz, je×li możesz mi to wyjawić? - Pod rodzinny dach, zaznać wreszcie snu we własnym łożu. A także i w gospodarskie sprawy wejrzeć, wiele tam czego włodarze pokradli. - Rozumiem waćpana, bo i mnie nieraz tęskno za domem. Wa×ć przynajmniej nie masz małżonki, która ci miła i przyjazdu wypatruje... No, ale o innych sprawach rad bym z waćpanem pogadać, zajdź tedy pod wieczór na moją kwaterę... - Sługam pana hetmana! - Pan Lisowski uchylił kołpaka domy×lając się już, że mimo niechęci pana Chodkiewicza ku niemu, zechce przecież animozje pu×cić w niepamięć, mając zapewne jakie× zamierzenia co do jego osoby. Rzekł więc tylko z westchnieniem do siebie, spoglądając za oddalającą się grupą oficerów otaczających hetmana: - Nie spodziewaj się, Oleczku, że zaznasz wytchnienia. Ten litewski bóbr nie zezwoli ci wylegiwać się w łożu! Przypuszczenia te okazały się całkowicie słuszne, bo kiedy wieczorem siadł z hetmanem za stołem i wypili pierwszy kubek miodu, ten otarł wąsy i odezwał się: - Nie zwykłem wiele czasu po×wiecać na zbędne gadanie. Widziałbym pana chętnie pod swoją komendą, więc pytam, czy gotów byłby× na to przystać? - Pod takim wodzem służyć jak wasza wielmożno×ć honor to dla mnie, żołnierza, niemały - odpowiedział ostrożnie Lisowski. - Pragnąłbym jednak wiedzieć, jakie rozkazy od waszej wielmożno×ci otrzymam. Chodkiewicz skinął głową. - Słusznie pytasz. Otóż rzecz się ma następująco; zachowaj wszakże moje słowa w tajemnicy, bo w zaufaniu ci mówię. Rozejm ze Szwedami mamy do grudnia tego roku, lecz zabiegam o jego przedłużenie, by mieć za plecami spokój, kiedy będę się zabawiał z Moskwą, co jego królewska mo×ć mnie wła×nie powierzył. Toteż łatwiej skłonię Szwedów do zgody, je×li kto× ich nieco poszarpie już teraz... - Mimo obowiązującego jeszcze zawie

szenia broni? Chodkiewicz u×miechnął się lekko, skrywając ów u×miech w brodzie, którą przeczesał palcami. - No wła×nie... Ja ani podległe mi chorągwie uczynić tego nie możemy. Ale gdyby jakowy× zuchwalec chciał powojować z nimi na własną rękę? Co wa×ć o tym sądzisz? ów junak nie mógłby wprawdzie liczyć, że stanę za nim w razie opresji, bo gło×no jego poczynania będę potępiał, ale udzielając mi pomocy przysłuży się wielce ojczyźnie... Lisowski roze×miał się. - Dzięki za szcero×ć, wasza wielmožno×ć! Przynajmniej wiem, czego się trzymać. - Czy mam to rozumieć jako zgodę? - Prawie tak, bo za łaskawym przyzwoleniem chcę postawić warunek. Już raz popadłem w infamię sejmu z dziewiątego roku. Teraz więc pragnę się zabezpieczyć, wobec ostrzeżenia waszej wielmožno×ci. - W czym widzisz takie zabezpieczenie? - W li×cie przepowiedni, jaki mi dacie na werbunek dwóch tysięcy ludzi, bo z mniejszą siłą nie ma co się kusić o szarpanie Szwedów. Schowam go głęboko, ale w razie oskarżenia o samowolę będę miał czym się bronić. Chodkiewicz zastanawiał się przez chwilę, wreszcie skinął głową. - Dobrze, list przepowiedni otrzymasz wraz z rangą pułkownika. Bez ważnej jednak potrzeby nikomu pod nosem nim nie machaj. Warunki jak dotychczas: żadnego żołdu obiecać nie mogę. - Toć wiem, co się dzieje w wojsku z powodu braku pieniędzy. Sam nie otrzymałem jeszcze ani złotego, toteż obiecywać werbowanym żołd to podkładać sobie pod tyłek zapalony kartacz. Chodkiewicz u×miechnął się gorzko. - Sobie wciąż go podtykam. Gdzie zamierzasz werbować? Na Litwie czy w×ród kozactwa, którego pełno w moskiewskim kraju? - Po co mi oni? I na Litwie, i w Koronie do×ć jest chętnych, którzy na moje wezwanie ruszą w pole. Odetchnę z miesiąc, a w drugi sprawię się z werbunkiem. - Ja po rozstaniu z miło×ciwym panem po×pieszę do Szklowa, bo tam zamierzam zbierać wojsko. Spodziewam się po×ciągać,

co się da, z Inflant, szukać ochotnika na Litwie, ale głównie liczę na chorągwie stojące teraz beczynnym pod Smoleńskiem. - Oby ze skutkiem, wasza wielmożność, bo żołnierz tam mocno zły z braku żołdu i ciągłych pustych obietnic, jakie mu czyniono. - Wiem o tym, obawiam się wszakże, że miłociwy pan nie dostrzega groźby. Wierzy, że Gosiewski, Stru, a zwłaszcza Sapieha wraz z Potockim mają dość sił, by panować nad sytuacją. Nie wie jednak, jak dalece żołnierz jest rozeźlony i mało przez to subordynowany. Moskwa za zbiera coraz większe siły i już teraz poważnie naszym zagraża... Wkrótce po tej rozmowie pan Chodkiewicz opuścił królewski orszak, natomiast pułkownik Lisowski już z drogi do siebie wysłał paru gońców do tych swoich byłych oficerów, o których wiedział, gdzie przebywają. Sejm 1611 roku rozpoczął się w Warszawie bardzo wcześnie. Nie były to jednak poważne narady najwyższego organu ustawodawczego Rzeczypospolitej, choć sesje miały przebieg równie burzliwy jak na sejmach ubiegłych, większość czasu bowiem pochłaniały zabawy, uczyty, festyny, sceny tryumfów, strojne i barwne parady. Szlachta opróżniała szkatuły do dna, a nawet puszczała pod zastaw włości dla zdobycia gotowizny na bogate suknie, ozdobną uprząż, pyszną broń i poczęstunki, by okazać dostatek w większej mierze, niż było ją stać. Trwał niejako wyścig w sadzeniu się na przepych, toteż istotnie barwnie, bogato i wesoło wyglądała przepełniona ponad kwaterowe możliwości Warszawa. Ten, kto na czas nie zapewnił sobie dachu nad głową, musiał rozbijać namioty dla rodziny i służby, bo wielu zjechało z żonami, jako że i niewiasty chciały popisać się bogactwem i pięknocią strojów. Powstały więc miasteczka namiotów nie tylko szlachty, ale i kupców, którzy przyciągnęli z różnych stron kraju, z nadzieją zarobków. Wszakże szczytem tych hucznych zabaw i wspaniałych festynów był dzień 29 października, gdy

hetman íólkiewski wiódl przez Warszawę kawalkadę towarzyszącą jego dostojnym jeńcom, carowi moskiewskiemu Wasylowi Szujskiemu i jego braciom, Dymitrowi i Iwanowi. Król Zygmunt, po przyjeździe do Warszawy przyjęty przez senatorów, posłów i lud jako wielki zwycięzca, oczekiwał teraz na Zamku, by postawiono więźniów przed jego obliczem. Otaczający ich poczet ciągnął Krakowskim Przedmie×ciem, w×ród tysięcznych tłumów pragnących ujrzeć tak dostojnych i niezwykłych jeńców. Tłum ten, ustawiony po obu stronach drogi, grzmiał okrzykami tryumfu, wiwatami na cze×ć króla jegomo×ci i hetmana, leciały w górę czapki i kołpaki. Istotnie, było na co popatrzeć. Pierwszy jechał pan íólkiewski, hetman koronny, w otoczeniu wielu możnych panów z Korony i Litwy oraz niektórych posłów ziemskich, za nimi postępowała hetmańska chorągiew husarzy. Potem jechali pułkownicy i rotmistrze w najparadniejszych strojach, dalej co najmniej sze×ćdziesiąt karoc, z których ostatnią, pana hetmana, ciągnęło sze×ć białych koni. Jeńcy, jadący w karocy królewskiej, tak zostali opisani przez naocznego ×wiadka: "Szła karetta otworzysta króla imci, sze×ć białych koni. W tej karecie siedział sam car w złotogłowej białej szacie długiej, w szłyku (czapce) marmurkowym, zsiadły, niezbyt wysoki, twarzy okrągłej, ×niadej, postrzyżoną, okrągłą niską brodą, większą połowicę siwą mając, oczu oparzystych, ponurych, surowych, nosa pociągłego trochę garbatego, ust rozciąglých. Przed nim dwaj bracia rodzeni jego Szujscy, jeden starszy Dymitr, drugi młodszy Iwan, a między nimi, w po×rodku karocy niżej, przystawa króla imci. íe bowiem karetta otworzysta była, łącno wszystko widzieć było, a tem też konkurs ludzi był większy..." W Zamku, w wielkiej senatorskiej sali siedział na tronie król Zygmunt z małżonką u boku. Salę okalały odsunięte od ×cian krzesła, na których zasiedli senatorowie, za nimi za×,

pomiędzy krzesłami a ×cianami, stali posłowie ziemscy, inni dostojnicy i dworzanie, którym nie przynależały senatorskie siedzenia. Cisza panowała na sali, jakby kto makiem siał, kiedy stanęli w niej Szujscy. Trzymali w rękach nakrycia głowy i bacznie rozglądali się dokoła. Widziano, jak Wasyl, przesuając wzrokiem po siedzących senatorach, na chwilę zmarszczył brwi, ujrawszy w×ród nich Jerzego Mniszcha, ojca carycy, którą tak haniebnie zdradził. W×ród panującej nadal ciszy przypatrywali się też Szujskim senatorowie i posłowie. Pokłoniwszy się królowi, a potem obecnym, pan hetman wielki koronny przerwał tę ciszę, witając ich królewskie dostojno×ci, a potem rozpoczął przemówienie do tronu: "- Oto, najja×niejszy panie, stoi przed tobą wraz z braćmi władca i gospodar - tu pan hetman wymienił kolejno kraje, prowincje, księstwa, ludy i wielkie miasta, jakie carowi podlegały - oraz brat jego, hetman stoosiemdziesiąt tysięcy armii żołnierzy ze wszystkich stron carskiego państwa. Z takiej oto potęgi, znaczenia i bogactwa zrzędzeniem złego losu opuszczeni przez szczę×cie i wyzuci z błogosławieństwa Bożego stoją teraz przed tobą, miło×ciwy panie, jako więźniowie pozbawieni dóbr wszelkich i sławy, łaski twojej prosząc..." Kiedy hetman wymawiał te słowa, car skłonił nisko głowę przed królem i schyliwszy się, dotknął palcami podłogi, a potem uniósł te palce do ust. Z kolei Dymitr czołem uderzył o ziemię. Najmłodszy za×, Iwan trzykroć to uczynił, roniąc przy tym łzy. W dalszej przemowie przekazywał hetman tych więźniów królowi, prosząc jednocześnie dla nich o łaskę i miłosierdzie. Następnie pan kanclerz koronny dziękował w imieniu króla panu hetmanowi, za nim za× od posłów marszałek sejmu tak hetmanowi, jak i tym wszystkim, którzy przyczynili się swymi trudami i krwią do wojennych sukcesów. Potem odezwały się jednak i inne głosy, bardziej dociekliwie wnikające w stan rzeczy. Zaczęły



padać oskarżenia, przede wszystkim pod adresem Wasyla i Dymitra, zarzucające im zdradę cara Dymitra, któremu zaprzysięgli wierność, gwałt i znieważenie posłów jego królewskiej mości, rozlew krwi polskich żołnierzy przez zdradzieckie knowania, a także mordowanie kapłanów. Wszakże z najgwałtowniejszym oskarżeniem wystąpił sandomierski wojewoda Mniszech: "- Jego wielmożność pan hetman wielki koronny przedstawił nam tego oto człowieka, byłego hospodara moskiewskiego - wołał senator - jako ofiarę złego losu, odwrócenia przychylności fortuny, bo ja wiem, jakich jeszcze nie zawinionych przyczyn! Rzecz atoli ma się inaczej, bo oto jasno na jego przykładzie widzimy, jak Bóg sprawiedliwy karze zdrajcę za przelaną chrześcijańską krew, wszelką niecnotliwość i przeniewierstwa! Wieleż on żywotów naszych braci ma na sumieniu, jakich poniewierek i nieszczęść stał się sprawcą i przyczyną! Znieważył i zdradził mą córkę, a prawowitą swoją carową, której wierność zaprzysiągł, zdradliwie spiskując jej małżonka, a także swego prawowitego cara żywota pozbawił, mnie, senatora Rzeczypospolitej, poniewierał, powłóczył, na więzienie, nędzę i poniewierkę skazał! A przecież i wojna, jaka powstała między nami a moskiewskim ludem, także rozgorzała za jego przyczyną! O te wszystkie nędzne postęпки go oskarżam i do stóp mego miłościwego pana owo oskarżenie składam!" W tym samym duchu przemówiło jeszcze kilku panów, po czym wyprowadzono więźniów z sali. Wysłani wkrótce do gostyńskiego zamku i tam osadzeni, w kilka lat później pomarli. Resztę lata tego 1611 roku pan Chodkiewicz spędził w Szklowie, dokąd udał się po rozstaniu z jego królewską mością. Miasteczko położone na lewym brzegu Dniepru, na południe od Orszy, niejako za plecami Smoleńska, nadawało się dobrze na założenie kwatery do czasu koncentracji oddziałów, które, jak hetman się spodziewał, będą posłuszne

jego wezwaniu. W tym czasie był więc jeszcze hetman najlepszej my×li. Siedząc za stołem w jadalni szkłowskiego gródka, pisał do żony przy blasku ×wiec stojących przy nim w lichtarzu: "...mniemam, że samego kopijnika prócz rajtarów będę miał ze trzy tysiące, a rajtarów sze×ćset, petyhorców tysiąc, Lisowski też z dwoma tysiącami następuje ku mnie, niemieckiej piechoty będzie tysiąc przedniej, dobrej, oprócz kozactwa, których jako sobie nie zaciągam, mam nimi bronić granic i ochraniać Smoleńsk..." Zaciągnięte woskowanym płótnem okno było uchylone, bo po upalnym, sierpniowym dniu noc tchnęła ciepłem. Ciągące z ciemno×ci powietrze chwiało płomieniami ×wiec, które kładły na papier spokojne, żółte ×wiatło. Pióro ostro przycięte skrzypiało pod hetmańską ręką, kre×ląc szybko równe szeregi słów. Wreszcie pan Chodkiewicz zakończył list zamaszystym podpisem, odłożył pióro i sięgnąwszy po czarę posypał papier mialkim piaskiem, potem z powrotem zsyłał piasek do czarki i dmuchnąwszy na arkusz, złożył go i sięgnął po lak. Siedział przez chwilę zamy×lony, aż widać powziąwszy decyzję, klasnął raz i drugi w dłonie. Do komnaty wpadł pacholik. - Wołaj mi Rutjego... - rzucił krótko hetman. Estończyk, przebywający w ostatnim czasie przy boku hetmana, ukazał się wkrótce w drzwiach. Wezwany skinieniem dłoni podszedł do stołu. - Siadaj waszmo×ć. Rutje zajął miejsce po drugiej stronie i jak zwykle milczący czekał na dalsze słowa wodza. Na suche, regularne rysy jego twarzy z jasną falą włosów nad czołem padał chwiejny blask ×wiec to o×wielając je, to znacząc plamami cienia. Spojrzenie szarych oczu, jakby nieco senne, utkwiał pytająco w obliczu hetmana. Jakoż ten przerwał krótką chwilę ciszy: - Ostatnio wiele do czynienia nie miałe×. Aby× przeto zbyt nie tłuszczem nie obrósł, chcę waszmo×cia posłać do Moskwy. Spojrzał na Rutjego spod ×ciągniętych brwi. Ten skinął głową z lekkim u×miechem i rzekł: - To i

dobrze, bom z nudów już chciał z babami gęsi skubać... - W Moskwie za wesoło ci nie będzie. Ią się tam ze sobą Gosiewski ze Strusiem, Sapieha ze Zborowskim, Stru<sup>x</sup> z Sapiehą i Bóg jeden wie, kto jeszcze z kim! Rycerstwo za<sup>x</sup> z wodzów przykład bierze i za łby się wodzi miast pospołu wroga gnębić. Otoczeni dookoła, w<sup>x</sup>ród wrogiej ludno<sup>x</sup>ci miasta sami między sobą zgody nie umieją utrzymać, chyba że we wspólnym żądaniu zaległego żołdu. A przecież, Bogiem a prawdą, jakby dobrze ich obliczyć, to wiele z tych zaległo<sup>x</sup>ci nie zostało. Sami nagrabili tyle, że do wywiezienia wozów by brakło! Z carskiego skarbcza od tamtejszych dworaków i w złocie, i w klejnotach też sporo dostali, teraz za<sup>x</sup>, jak słyszę, futra sobolowe im dają, by ludno<sup>x</sup>ć przed rabunkami uchronić. Ale tego od zaległego żołdu odliczać nieskorzy, poczynają grozić, że miasto opuszczą... Chodkiewicz przerwał, Rutje jednak nie zadawał pytań, hetman ciągnął więc rzecz dalej ze wzrastającą goryczą: - Ludno<sup>x</sup>ć gwałcą, rabują, prawa żadnego ni dyscypliny nie ma, bo pułkownicy na te niecnoty oczy przymykają, aby tylko żołnierza przy sobie zatrzymać. Zupełnie jakby siedzieli u siebie za piecem, a święci Pańscy za nich służbę pełnili na murach! Tymczasem jest mi wiadomo, że książę Pożarski pogodził się z Trubeckim i wojsko zbierają, by razem ruszyć ku Moskwie. Także niejaki Minin, człek lichej kondycji, bo rzeźnik z Niżniego Nowogrodu, zwany Suchorukim, naród za sobą porywa, a ci, co do oręza niezdatni, ostatni grosz na walkę dają... Zaiste z nich trzeba brać przykład, jak ojczyznę z opresji ratować! Ostatnie słowa hetman wymówił już cicho, potem zamilkł i patrząc w płomień <sup>x</sup>wiec trwał w zadumie. Wreszcie, jakby w odpowiedzi na jakie<sup>x</sup> swoje my<sup>x</sup>li, pokiwał głową. - Lepiej nie snuć takich rozważań, bo gorzko w gębie się robi. Wszakże jego królewska mo<sup>x</sup>ć zaufaniem mnie obdarzył i jego wolę spełniając, swoją powinno<sup>x</sup>ć wykonać muszę.

Zatem, mo×ci Rutje, pojedziesz wa×ć do Moskwy, bo chcę mieć stamtąd wie×ci rzetelne, a nie zależne od tego, jak patrzy ten, kto je przysyła. Dam ci pismo do pana Gosiewskiego, on tylko jeden ma wiedzieć, po co istotnie przybyłe×, nikt poza nim, boby× mógł popa×ć w tarapaty, gdyż Stru× jako krewny Potockich takó× jest mi wrogi. - Kiedy mam ruszać? - spytał krótko Rutje. - Jak najrychlej, chociażby jutro. Ja ruszę jak tylko nasza opieszła brać raczy wreszcie nadciągnąć w takiej sile, by można było i×ć w pole. Dam ci dwóch pachółków i dobre wierzchowce, bo wokół Moskwy krążą grasanci, co ich zwą szyszami. Tote× od dobrego wierzchowca może zależeć wa×ci życie, gdyż samotrzeć jadąc w walkę nie ma co się wdawać. Więc niby szarak bezdrożami przemykaj, aby× skórę dowiózł bez dziur. Przed wyjazdem zgło× się do kasztelana Niszczyckiego, wska×e ci ludzi, którzy będą ci pomocni. Pismo do pana Aleksandra na rano ci wygotuję - to zaszyj w kaftan, by nie wpadło w obce ręce. Drugie dostaniesz do pana Sapiehy, w którym zapowiem swoje rychłe przybycie. Schlebi mu, że jego powiadamiam, a nie Gosiewskiego, co wykorzystaj i ostań lepiej przy jego boku. Gosiewski wiedząc, co masz poruczone, nie będzie miał ci tego za złe. Je×li za× w razie czego znajdą pismo do Sapiehy, drugiego szukać nie będą. Gdzie× około połowy lipca Lisowski najechał ziemię Wielkiego Nowogrodu, opanowaną już w większo×ci przez Szwedów, przekraczając granicę w okolicy jeziora Ilmeń. ślad jego szlaku znaczyły łuny pożarów, zryte kopytami koni uprawne pola, płacz i lamenty ludzkie. Gonily go także i przekleństwa Szwedów, którym pustoszył spichrze i palił sterty zboża. Gorzały wsie, padały leżące na jego drodze miasta, po napotkanych oddziałach szwedzkich pozostawały trupy ludzi i koni, szczątki potrzaskanych wozów. Raz i drugi próbował Pontus zastąpić mu drogę większymi siłami, ale szybko×ć marszu przeciwnika i częste zwroty nie pozwalały

na dostateczną koncentrację, a po×cig ciężką rajtarią za lotnym wrogiem nie dawał nadziei na powodzenie. Pisał więc pan de la Gardie protesty do pana Chodkiewicza, zarzucając mu łamanie zawartego rozejmu, lecz ten odżegnywał się od udziału w tych napa×ciach przypisując je samowoli jakiego× watażki. Lisowski za×, przemierzywszy ziemie Nowogrodu, nie zawahał się przed wtargnięciem w głąb Finlandii przynależnej szwedzkiej koronie. Stamtąd zawrócił i znów zaczął grasować po Nowogrodczyźnie, niszcząc szwedzkie zapasy i magazyny. Między innymi ofiarą napa×ci stały się Jama, Pelczara, t'adyga, płonęło zboże, padało bydło, ginęli ludzie. Nadal jednak Szwedzi nie zdołali dopa×ć lotnego napastnika. Mocno więc napsuwszy im krwi, postanowił jesienią ruszyć na południe, na co złożyło się kilka przyczyn. Przede wszystkim otrzymał poufne polecenie od hetmana, by pofolgował Szwedom, gdyż rychło kończy się z nimi rozejm, trzeba więc wszcząć rozmowy o jego przedłużeniu, czemu działania pułkownika mogłyby przeszkodzić. Drugą przyczyną były wie×ci o zbieraniu wielkich sił w rejonie Niżniego Nowogrodu przez kniazia Pożarskiego i Kuźmę Minina, celem oswobodzenia Moskwy, bo nienawi×ć do najeźdźców pustoszących kraj, a więc Szwedów, Polaków, Kozaków i Tatarów, była tak powszechna, że na wojnę dawano wszystko, co kto miał, a nawet mężowie podeszli wiekiem chwyтали za broń. Pułkownik miał więc zaabsorbować kniazia, by opóźnić jego gotowo×ć do wymarszu. Wreszcie obecny teren działania był już w znacznej mierze zniszczony, a jednocze×nie wciąż patrolowały go silne oddziały szwedzkie, dlatego nie nadawał się do spokojnego przezimowania. ściągnął więc Lisowski grasujące jeszcze tu i ówdzie swoje watahy i ruszył z nimi ku żyznym obszarom Siewierszczyzny, gdzie zamierzał przeczekać okres silnych mrozów i ×nieżnych zasp. Znów

zatem na nieszczęsną ziemię siewierską spadł bicz boży. Niby złe duchy, zwolnione z piekielnych otchłani, galopowały zastępy dzikich jeźdźców, tratując kopytami swych koni wszystko żywe, co znalazło się na ich drodze. Wieści o tym rychło zaczęły dochodzić kniazia Pożarskiego, ale nastawała zima, przewidywał więc, że groźny rabuś wnet przycichnie i rozprawę z nim będzie można odłożyć do wiosny. Przewidywania te okazały się słuszne. Pułkownik nie ruszał dotąd Starodubia tylko dlatego, że wybrał to miasto na swoją zimową kwaterę. Nadciągawszy więc w pobliże, wysłał jednego ze swych oficerów, by wezwał delegację miejską przed jego oblicze. Kiedy za nimi, bijąc pokłony, stawili się spieszenie, pytając, czym by mogli służyć tak znakomitemu wojownikowi, postawił im krótko swoje warunki: miasto ma przez zimę dostarczać żywność i zapewnić kwatery, w zamian zaś uzyskać bezpieczeństwo życia i mienia swoich mieszkańców. W przeciwnym razie niech nie spodziewają się litości, a z ich domów pozostanie tylko kupa gruzu. Delegaci w pełni docenili wiarygodność tej zapowiedzi, zgodzili się zatem od razu. Tak więc Lisowski stanął w Starodubiu, zatrzymując przy sobie kilka chorągwi, resztę rozmieszczając w okolicznych wsiach i dworach. Zima nadchodziła wyjątkowo mroźna, zaniechał więc wypraw, by dać odetchnąć ludziom i koniom, ograniczając działalność do częstych zwiadów. Pierwszy etap podróży przebył Rutje spokojnie. Dopiero po minięciu Wiaźmy musiał zachowywać wzmożoną czujność. Za dnia obozowali więc w lesie, a na otwartą przestrzeń wysuwali się dopiero po nastaniu ciemności. Opóźniało to podróż, zatem po minięciu Możajska dopiero po dwóch tygodniach dotarli pod Moskwę. Lasy z tej strony dochodziły niemal do samych podmiejskich sadów, co pozwoliło znaleźć dobre miejsce na postój. Konie nie były już potrzebne, więc jednego z pachołków odesłał z nimi do

Szkłowa. Pozostał mu drugi, o imieniu Makary. Litwin z pochodzenia, odznaczał się niepospolitą siłą tkwiącą w suchym, żylastym ciele. Małomówny, ale czujny jak żuraw i o wzroku, którego uwagi nie uchodził nawet żuk przemykający w trawie. Z kolei należało odnaleźć chatę owego rybaka, którego w Szkłowie wskazał mu pan Niszczycki, i to zachowując wielką ostrożność, gdyż zgodnie z ostrzeżeniem kasztelana cały teren Zamoskworeczja jak i Biełogrodu znajdował się w rękach wojsk oblegających Kreml i Kitajgorod. Dlatego też wał obronny, okalający tę zewnętrzną dzielnicę miasta, nieomal całkowicie zresztą spaloną przez Polaków, nie był obsadzony przez strażę. Wkrótce znaleźli szczęśliwie chatę rybaka i po krótkim odpoczynku wypłynęli na wodę. Łódź sunęła cicho tuż przy ścianie sitowia, kryjąc się w zalegającym tam cieniu. W tyle siedział skulony rybak i szybkimi ruchami wiosła pchał ją pod prąd, niezbyt tutaj bystry. Rutje wraz z Makarym rozciągnięci na dnie czółna baczyli, by najmniejszym ruchem nie zakłócać jego chybotliwej równowagi. W panującej ciszy, jaka trwała nad pogrążoną w ciemnościach rzeką, rozlegał się tylko cichy plusk pracującego miarowo wiosła. Mury Kitajgorodu ciągnęły się nad samą rzeką, łącząc się z murem otaczającym Kremlin. W pobliżu miejsca tego połączenia znajdowała się furta stanowiąca cel ich wyprawy. Najpierw należało jednak ominąć pas ognisk płonących po obu brzegach rzeki. Światło ich rysowało grzbiety wzniesionych tu szańców i szczyty drewnianych zasieków. Wkrótce ujrzeli nieomal nad głowami ponury zarys baszty. Brzeg był tu nagi, ale pogrążony w ciemnościach, jakie zalegały podnóża murów. Opuścili czółno, które natychmiast pochłonęła czerń nocy, i skierowali się ku majaczącej w mroku baszcie. Przywołani przez nich do furty strażnicy otoczyli ich, a potem zatrzymali w mrocznej izbie, ledwie co oświetlonej wiszącą na ścianie latarnią.

Nadszedł niebawem dowódca, który wysłuchawszy, kim są, osobiście poprowadził ich na Kreml. Mogli się teraz przekonać, w jak nędznym stanie była moskiewska załoga. W chybottliwym świetle niesionej latarni Rutje widział zapadłe policzki ich eskorty, gorejące w głębi oczodołów źrenice, zabrudzoną i byle jak połataną odzież, widoczną spod blach. Prowadzono ich do pałacu, który po carze Iwanie, a potem po Szujskim zajmowali teraz polscy dowódcy wraz z wyższymi oficerami. Tam więc kwaterował również i pan Sapieha, do którego Rutje kazał się prowadzić. Wiadomość o przybyciu gońca z pismem od pana Chodkiewicza sprawiła, że mimo przedwitu obudzono pana starostę. Jakoż wkrótce pojawił się w łukowato sklepionej komnacie, gdzie czekał na niego Rutje. Okryty obszerną szubą, wysoki i smukły, jeszcze ze zmierzwionymi snem włosami zatrzymał się przed przybyłym, który na jego widok uniósł się z zydła. Przyłożył dłoń co ust, ziewnął szeroko, po czym spojrzał z umiechem na gońca. - Nie mogłem przyjechać parę godzin później...? - Podeszedł do stołu stojącego pośrodku komnaty i podsunął sobie jeden z zydli, Rutjemu wskazując drugi. - Siadaj wać... - rzucił i zaraz rzekł do stojącego za nim oficera: - Każ dać grzanego piwa, to najlepszy trunek na tę porę... - Kiedy oficer wyszedł, zagadnął z kolei Rutjego: - Wać masz do mnie pismo? Ktożacz i jak się zwiesz? - Pochodzę z Rewla i zwę się Rutje. Pełnię służbę przy jego wielmożności hetmanie jako jego przyboczny oficer. Pan Sapieha skinął lekko głową i wyciągnął rękę. - Gdzie masz to pismo? - Oto ono... - Peter sięgnął w zanadrze kaftana i podał złożony arkusz spięty pieczęcią. Sapieha bez słowa złamał pieczęć i przechyliwszy się ku stojącej na stole wiecy, rozłożył papier. Czytał w milczeniu, wreszcie złożył list i rzucił na stół. Nic nie mówił, bo właśnie wszedł pacholek z dzbanem i kubkami, które postawił na stole i wlał do nich parujący napój. Dopiero kiedy



wyszedł, gospodarz uniósł swój kubek i kiwnął nim w stronę go×cia. - Pij wa×ć, sądzę, że po nocnej przeprawie dobrze ci zrobi. Sam jeste×? - Nie, z pocztowym. Tego zabrała czeladź, by dać mu posiłek. - I nam takó× niedługo co× dadzą, jeno na dostatnią strawę nie licz... Co tam słychać u hetmana? Piszę, że spodziewa się za kilka niedziel ruszyć nam z pomocą. Wysoko sobie cenię, że wła×nie nas moje ręce wie×ć w tej materii przyszła. Widać jeszcze od czasu Kircholmu zachował mnie w łaskawej pamięci... - Zawsze waszą wielmo×no×ć z wielką estymą wspomina - Rutje po×pieszył podtrzymać wyraźne ukontentowanie pana starosty. - Rad to słyse×. Ale jak waćpan sądzisz, czy istotnie za tych kilka niedziel zbierze dostateczne siły? - Nie wiem, jak wielkie muszą być, by sukurs okazał się skuteczny... - Głównie przydałaby się piechota. Jazda na wiele się tu nie zda. - Dlaczego× to? Sapieha u×miechnął się. - Hetmanowi przyjdzie dobywać okalające nas zasieki i szańce, a także i walczyć w mie×cie, do tego za× tylko piechota jest zdatna. Rutje postanowił nie wyjawiać prawdy, jak wielkie miał pan Chodkiewicz trudno×ci z werbowaniem wojska, tote×z odpowiedział: - O ile mogę się dorozumiewać, gdyż pan hetman my×li swoich mi nie wyjawiał, liczy się on z potrzebą przyprowadzenia dostatecznej siły wła×nie w piechocie. Tuszę zatem, że tę będzie miał, choć może nie tyle, wiele tu potrzeba. O jezdnych łatwiej... - Tak, to wiem. Piechotę, je×li nie zaciężna, trzeba także uzbroić, a i odziać - a ekspens to znaczny... Natomiast Korona wciąż grosza na żołnierza skąpi. A jak tam z zaległym żołdem? Czy gotowiznę ze sobą przywiezie? - Jest mi wiadome, że mocno o nią u króla jegomo×ci zabiega, bez ustanku pisma w tej materii ×le, lecz krom obietnic niczego jeszcze nie wskórał. Sapieha pokręcił głową. - Ano wła×nie... iółdu nie ma, ale wojsko ma walczyć, chociażby o pustym brzuchu. Spodziewa się widać król jegomo×ć, że modlitwy

zastąpią żołnierzowi spyżę. Jako bigot na cud boski widać liczy! - dorzucił już ze zło×cią. - Te same zgryzoty ma i pan hetman, toteż frasuje się mocno, lecz starań o żołnierza nie niecha... - zauważył Rutje. - Wieleż wreszcie tego żołnierza spodziewa się zebrać? Rutje zastanawiał się chwilę, zanim odpowiedział: - Tuszę, że z dziesięć tysięcy, a może i nieco więcej. Ale wiele w tym będzie piechoty, trudno rzecz... - Zaledwie dziesięć tysięcy?! Niezbyt to dużo - prychnął ironicznie starosta. - Jak na parę setek tysięcy, z którymi rychło będziemy mieć do czynienia! Taką bowiem armię zbiera pod Niżnym Nowogrodem kniaź Pożarski i niejaki Minin, o czym słuchy tu dochodzą. Rutje nic na to nie odpowiedział wiedząc, że nawet i dziesięciu tysięcy hetman zebrać nie zdoła. - Wa×ć chcesz wracać czy ostaniesz przy nas do czasu nadej×cia pana Chodkiewicza? - Sapieha zmienił temat sięgając po piwo. - Ostałbym za pozwoleniem waszej wielmożno×ci, je×li zechcecie zatrzymać mnie przy swoim boku. Nie warto wracać, by zaraz ruszać powtórnie w tę samą drogę, tym bardziej, że odesłał hetmanowi wierzchowce. - Tedy ostawaj wa×ć przy mnie, miejsca tu do×ć. - Z serca dziękuję waszej wielmożno×ci, bo wiem, że żywno×ci tu nie staje, com pomiarkował z kondycji żołnierza. - W lipcu parę tysięcy wozów ze spyżą wprowadziłem za mury, szablą torując drogę. Chwilowo więc załoga ma jeszcze co je×ć. Zadbalem także o siebie, a czego mi brak, dostarcza mi jeden z tutejszych kupców. Wprawdzie niecnota liczy słono, ale co zażadam, to mi daje. Nie wiem, jakim sposobem to robi, bo i miasto syte nie jest. - Obrotny to musi być człek, skoro umie sobie poradzić... - zdawkowo rzucił Peter, nie spodziewając się wiadomo×ci, jaką na tę uwagę posłyszcy. - Taki też wydaje się być - równie niedbale powiedział starosta. - Zwie się Suchecki, przybył tu ponoć z innymi kupcami, którzy przyciągnęli za mną. Osiadł w Kitajgorodzie... - Suchecki...? -

zdziwił się więc Rutje wielce zaskoczony. - Toć znałem oberżystę o tym nazwisku, szynkował pod Smoleńskiem... - Usługiwała tam piękna dziewczka, ponoć jego siostrzenica... - Tak, widziałem ją, przychodziła tu po zapłatę... Gładka jest istotnie i strzelać ×lipiami umie, grzeszne my×li na człowieka nawodząc... - Sapięha u×miechnął się obracając się w stronę drzwi, gdyż w progu ukazał się pacholek z talerzami i pełną misą jajecznicy. Najbliższe dni przeszły Rutjemu beczynnim. Dostał kwaterę w jednej z pałacowych izb, którą zajął wraz z Makarym nie tylko dla własnej wygody, ale i towarzystwa. Kwaterowało tu wiele rycerstwa, lecz ci surowi, wyraźnie zmęczeni ponoszonymi trudami ludzie nie okazywali chęci wchodzenia w komitywę. Rychło też Peter stwierdził, że wszyscy byli tu sobie wrodzy, zapewne biorąc przykład ze swoich dowódców. Następnego dnia Peter poszedł do pana Gosiewskiego prosząc o posłuchanie. Otrzymał je łatwo, bo pan regimentarz wiedział już o jego przybyciu. Był zaskoczony, że wysłannik hetmański nie zgłosił się przede wszystkim do niego, ale po przeczytaniu pisma i wysłuchaniu ustnej relacji dotyczącej przyczyn zrozumiał hetmańską intencję. Po tej wizycie Rutje niewiele miał do roboty. Początkowo chodził więc z Makarym ulicami Kremla i Kitajgorodu, przyglądając się mieszkańcom i obyczajom miasta. Na ulicach ruch był znaczny, ale wszędzie widział pozamykane składy i kramy. Jedyne z oberży dochodził gwar głosów. Przechodnie mijali ich w ponurym milczeniu, obrzucając wrogimi spojrzeniami, których nie starali się maskować. Nastął wrzesień, a wciąż brak było wiadomo×ci od króla. Milczał także i pan Chodkiewicz. Do kremlowskiego pałacu za× co dnia zgłaszały się delegacje i pojedynczy ludzie ze skargami na rabunki, gwałty, a nawet zabójstwa popełniane nie tylko przez rozwydrzoną czeladź, ale też i pewnych bezkarno×ci panów braci, zwłaszcza z biedniejszych rodów,

których nie stać było na kupno wciąż rosnącej w cenie żywności. Mając ku temu czas, Rutje postanowił odszukać swego dawnego znajomego, Sucheckiego. Przyczyną tej decyzji było nie tylko zaciekawienie jego zagadkową postacią, lecz również wspomnienie kuszących oczu dziewczyny. Toteż dowiedział się, gdzie kupiec ma swój skład, i poszedł go odwiedzić. Jak wszystkie obejścia tak i to otaczała palisada z dobrze okutą bramą. Peter minął uchyloną furtę i skierował się ku grupie drzew, za którymi dostrzegł ciany domów. W głębi stała obszerna szopa z otwartymi wrotami, a przy nich wyładowany workami wóz. Wnosił je do wnętrza jakiś młody mężczyzna. Po zbliżeniu się poznał w nim owego bruneta, którego często widywał za ladą oberży pod Smoleńskiem. Na jego widok Siergiej, który właśnie wyszedł po kolejny worek, zatrzymał się przy wozie i przyglądał mu się wyczekująco. Peter przywitał go z uśmiechem. - Znamy się chyba,? Nie spodziewałem się, że acana tu zastanę... Siergiej zmierzył go chmurnym spojrzeniem i mruknął niechętnie: - I ja nie spodziewałem się ujrzeć waćpana. Czego pan chce? - dorzucił już z wyraźną wrogością w głosie. - Mam sprawę do Grigorija Pawłowicza... Jest w domu? - Jest. - Siergiej odwrócił się i sięgnął po następny worek, demonstrując w ten sposób, że nie ma zamiaru prowadzić dalszej rozmowy. Rutje ruszył ku domowi zastanawiając się, czy będzie miał sposobność ujrzeć Sonię i zamienić z nią chociaż parę słów. Miał wszakże szczęście, gdyż to właśnie ona otworzyła mu drzwi. Poznała go od razu i w jej łniących w półmroku oczach pojawiło się zdumienie. - Jasna Panienko! - zawołała. - Toż to waszmość Rutje! Rada waćpana widzę! - Dowiedziałem się przypadkiem, że wuj waćpanny tu przebywa, toteż postarałem się o powód, by do niego przybyć, w nadziei, że ujrzę waćpannę i chociaż nacieszę nią oczy. - Waćpan po dawnemu duserami chcesz mnie zwodzić! -

Roze×miała się. - Czy taki powód podasz także wujowi? -  
Nie. Do niego przybyłem, by nabrać nieco trunków, piwa i  
miodu. Chyba je ma? Rozmawiali stojąc na progu sieni. Przy  
ostatnich słowach dziewczyna odwróciła się, by wprowadzić  
go×cia do domu. Tam jednak postanowił wykorzystać okazję.  
- Chwileczkę, waćpanno... - zatrzymał ją. - Pragnąłbym ujrzeć  
cię znów, więc daj mi ku temu sposobno×ć! Nieraz cię  
wspominałem i na tej jednej, krótkiej gawędzie nie chcę  
poprzestać. - Naprawdę? - Spojrzała na niego przez ramię z  
figlarnym u×miechem. - Nie zapomniałe× o mnie? - Serce  
strzegło pamięci! Rzeknij tedy, kiedy i gdzie znów będę cię  
mógł ujrzeć. - Gorączka z wa×ci... - Przekorny u×mieszek nie  
schodził z ust dziewczyny. - Aż się wa×ci boję. - Takim dla  
ciebie straszny? - Może... No dobrze, za dwa dni mam być na  
Kremlu u ochmistrza pana Sapiehy. Tam możesz mnie  
znaleźć, je×li nie wzbronią ci wstępu. - Toć wła×nie od  
ochmistrza dowiedziałem się, gdzie szukać waćpanny  
krewniaka! Przynależę sam do dworu pana Sapiehy, toteż  
łatwo mi przyjdzie waćpannę wypatrzeć. Rzeknij jeno, o  
jakim czasie tam będziesz? - Należysz wa×ć do dworu pana  
Sapiehy? - Sonia przestała się u×miechać, obrzucając twarz  
młodego mężczyzny uważnym spojrzeniem. Ten nie zwrócił  
na to uwagi pochłonięty wyczekiwaniem na odpowiedź. - A  
zatem o jakiej porze tam będziesz? - ponaglił ją. - Nigdy na  
Kremlu waćpana nie widziała... - zauważyła z wahaniem, nie  
spuszczając z niego wzroku. Rutje zorientował się, że może  
powiedzieć za dużo, więc rzekł beztrasko: - Widać nie miałem  
szczę×cia, aby cię spotkać. Ale teraz mnie ujrzysz, abym jeno  
wiedział, o jakiej porze... - Chyba w południe. Teraz tego  
okre×lić nie zdołam. Chcesz mnie ujrzeć, to mnie wypatruj. -  
Waćpanna nieuchwytna niczym motyl! - Peter westchnął.  
Chciał jeszcze co× powiedzieć, lecz w tej chwili skrzypnęły  
drzwi w głębi sieni i ukazał się w nich sam pan kupiec

Sucheckie. - Z kimże to dyskurs prowadzisz? - burknął mierząc przybysza nieufnym spojrzeniem. Widać nie poznał go jednak, bo przeniósł pytający wzrok na siostrzenicę. - Nie poznajesz, wujku, pana Rutjego? Bywał w naszej oberży pod Smoleńskiem... W oczach Sucheckiego ukazał się krótki błysk zaskoczenia, ale przypomniał i chyba swego dawnego go×cia, bo u×miechnął się pod wąsem. - Teraz sobie przypominam! Co waćpana do mnie sprowadza? - Sprawa handlowa, mo×ci Grigoriju Pawłowiczu... - Chodźmy tedy do domu, pogadamy... Peter ruszył za gospodarzem. Został wprowadzony do mrocznej komnaty o małych, zaciągniętych pęcherzami okienkach i drewnianym pułapie. Wyposażenie nie było bogate, jedynie barwny kobierzec łagodnił surowo×ć wnętrza. Obok wej×cia, jak we wszystkich domach, wisiały ikony z palącą się pod nimi lampką oliwną. Sucheckie wskazał mu miejsce za stołem, sam przysiadając po drugiej stronie. - Zanim przystąpimy do sprawy - zaczął gospodarz - pozwól waćpan, że spytam, jak dawno jeste× w Moskwie. Twój wygląd bowiem wskazuje, że× nie zaznał panującej tu biedy. - Bystre masz waćpan oko, gdyż istotnie niedawno tu bawię. Przybyłem tu z pismami do pana Sapiehy i przy jego boku pozostałem. - Przecież nie z królewskiego dworu przybyłe×? Skąd zatem, je×li to nie sekretna sprawa? - Ależ nie! - beztrąsko rzucił Rutje, by nie okazać czujno×ci dociekliwemu gospodarzowi. - Przysłał mnie pan hetman Chodkiewicz, do którego dworu należę. - To honor wielki pod takim panem służyć... - z akcentowanym uznaniem zauważył kupiec. - Może mi tedy rzekniesz waćpan, czy nie obiecuje pan hetman nadesłać obiecane go żołdu? Pytam, bo sporo mam w×ród panów oficerów dłużników. Jedynie pan Sapieha i jeszcze mało kto płaci mi gotowizną! - Tego, Grigoriju Pawłowiczu, nie wiem, gdyż pan Sapieha nic ze mną o tym nie mówił. - A nie słyzałe× wa×ć, przy hetmanie będąc, czy rychło

po×pieszy nam z pomocą? Zamknęli tu nas moskwiczanie niby myszy w pułapce... łałuję, żem tu przybył, bo o towar coraz trudniej, a o zapłatę jeszcze bardziej... - O ile wiem, miasto całkowicie okrażone nie jest. Przecież idą wyprawy po żywno×ć. - Wszakże nie zawsze szczę×liwie wracają! No, ale mniejsza z tym. Mów waszmo×ć, jaką sprawę masz do mnie? - U pana Sapiehy wikt mam zapewniony, ale o trunki sam muszę zadbać. Przybyłem zatem spytać, czy nie mógłbym u waćpana dostać ze dwa antałki piwa i beczułkę miodu? Rzecz prosta za gotowiznę... - dodał z u×miechem Rutje. - Tyle zawsze się znajdzie, nie wiem tylko, czy ekspens dla waćpana nie będzie za duży, bo ceny tu inne niż u was. - Co× nieco× już się rozeznałem, wszakże dla go×ci trunek muszę mieć, by za chudopachołka nie uchodzić. Kiedy po krótkim targu, który Peter uznał za wskazany, transakcja została zawarta, Suchecki skinął głową i rzekł: - Dobrze zatem, podrzucę towar woźnicą, a Sonia odbierze gotowiznę, bo będzie w pałacu po naležno×ć od pana Sapiehy. - Pan Suchecki wyciągnął flaszkę z miodem, rozlał trunek, uniósł swój kielich ku go×ciowi i odezwał się ponownie: - Tuszę, że na tej jednej dostawie waćpan nie poprzestaniesz i będę miał sposobno×ć jeszcze go obsłużyć. - Przy takich cenach wiele mój mieszek nie zdierży... - z żartobliwym u×miechem odpowiedział Rutje. Grigorij Pawłowicz westchnął. - Tak, muszę przyznać, że nietani to zakup, ale racz waćpan wziąć pod uwagę, jak niebezpieczny jest przewóz towarów. Sporo transportów tracę po drodze, a i woźnice, nadstawiając karku, każą sobie słono za to płacić. Wszakże waćpanu, jako staremu znajomemu i go×ciowi jeszcze spod Smoleńska, obiecuję w cenach pofolgować... - Wdzięcznym sercem przyjmuję tę obietnicę waćpana! - Peter okazał należyte zadowolenie. - Nie omieszkać z tego skorzystać. - O ile waćpan nie opu×cisz Moskwy... Długo masz zamiar tu zabawić? Nie pierwszy raz od czasu poznania

Sucheckiego Rutje dostrzegł badawczą czujność we wzroku kupca, który jakby chciał zajrzeć do mózgu swego rozmówcy. Toteż coraz bardziej był pewny, że stary kupiec jest godzien uwagi. - Pozostanę tu tak długo, jak długo będzie tu przebywał pan Sapięha. Nie sądzę bowiem, by odprawił mnie od swego boku - odpowiedział Peter wesoło. - Winszować zatem... - Sucheckie upił miodu i otarłszy wąsy dodał: - Wielki to bowiem wódz. Takiego nie tylko w Polsce, ale i w całej Europie próżno by szukać. - Miłe mi te słowa, gdyż pod nim teraz służę... Pozwól wszakże waćpan, że go już pożegnam, bo na mnie czas. - Rutje podniósł się z krzesła. - Z tym wszakże, że zajrzę do waćpana w razie dalszej potrzeby. - Rad temu będę. Sądzę jednak - dodał Sucheckie z dobrodusznym, ale i nieco kpiącym uśmiechem - że i Sonia także... Była to określona akceptacja dalszego kontaktu z dziewczyną, co nie uszło uwagi Petera. Następnego dnia gdzieś około południa Makary zawiadomił go, że siostrzenica kupca właśnie rozlicza się z ochmistrem. Ruszył więc zaraz i ujrzał wychodzącą z kantoru Sonię. Na jego widok uśmiechnęła się wołając: - Dzień dobry waszmości panu! - I ja witam waćpannę rad ze spotkania! Pozwól wszakże, bym przede wszystkim uiścił się z długu, zanim zaczniesz mnie ranić kpiącymi słowy. - Zapłata może poczekać, najpierw wolę waćpana nieco podręczyć. - Poniechaj mnie jednak choć na chwilę. Moja izba stąd parę kroków, tam mam swą sakiewkę, niechże wprzód zapłacę, com winien waćpanny wujowi. Sonia zmarszczyła brwi i spojrzała mu w oczy. Wszakże surowości w wyrazie twarzy przeczyły iskierki rozbawienia drgające we wzroku. - Niecnota z pana! - rzuciła z przyganą. - Omielasz się samotną dziewczynę prosić do męskiej izby? Nie wstyd ci? - Przecież grzechu nie popełnię, jeśli nawet wyznam waćpannie, jak gorącym afektem ku niej pałam! - Hm... I obiecujesz być statecznym? - W miarę sił, jak mi Bóg



miły! - No dobrze... Zapłatę muszę przecież odebrać. Kiedy znaleźli się w izbie, jaki× czas stała przesuwając wzrokiem po jego wnętrzu. - Wa×ć nie sam tu kwaterujesz? - spytała ujrawszy dwa posłania. - Wziąłem do siebie pocztowego, aby było do kogo otworzyć gębę. Ale teraz go nie ma. - Wa×ć chcesz mnie tym uspokoić? - Zerknęła zalotnie na Petera. - Toć mówiłem, że skrytych zamiarów nie mam... - U×miechnął się. - Racz zatem waćpanna przysią×ć, wnet wręcę należno×ć dla krewniaka. Sonia w milczeniu przysiadła na skrzyni, on za× wyciągnął z podróżnej torby sakiewkę i odliczywszy sumę wręczył ją dziewczynie ze słowami: - Obrachunek mamy za sobą, teraz możemy i o swoich sprawach pogadać. - Jakież to są te nasze sprawy? - Zawinęła pieniądze w chusteczkę i schowała za stanik. - Toć nic nas ze sobą nie wiąże! - A szkoda... - Siadł obok niej, i to blisko, jednak nie odsunęła się. - Zbyt mi waćpanna przypadła do serca, abym tego nie pragnął. Moje waćpanna zdobyła×, czy i twoje nie okaże mi przychylno×ci? Opu×ciła głowę i milczała chwilę. Wreszcie zerknęła na niego, odzywając się tym razem z powagą: - Aby× je waćpan wkrótce ostawił samotne? - Dlaczego tak mniemasz?! - spytał żywo. - Raczej ja muszę bać się niewie×ciej płocho×ci! Popatrz mi w oczy, czy nie dojrzysz w nich blasku tego płomienia, który goreje we mnie?! Ujął ją za ramiona. Jaki× czas mierzyli się wzrokiem, potem przyciągnął ją lekko ku sobie. Ona za× przywarła do niego i sama poszukała ustami jego ust. Za chwilę jednak odsunęła się i zerwała na równe nogi. - Waćpan obiecał× stateczno×ć - fuknęła - teraz za× nieprzystojnie sobie poczynasz! - Nie z chytro×ci, jeno z pożądlivo×ci serca! - ie z pożądlivo×ci, to wierzę, tylko nie z serca! - Krzywdzące to słowa, waćpanno! Boć przecież także nie była× mi przeciwna... Dała× mi asumpt. - Jak ×miesz tak mówić? Nie sądziłam, że× taki przewrotny! - wykrzyknęła z oburzeniem. -

Nie bądź gniewna... - Znowu wziął ją w ramiona i chciał pocałować powtórnie, ale tym razem wysunęła się z jego uścisku, rzucając z wyrzutem: - Jestem gniewna, bo nie wierzę temu, co mówisz... - Wprzódę się przekonaj! Toteż obiecaj, że znów cię ujrzę. - Nie wiem, czy będę mogła... Wuj mnie mocno pilnuje... - Bywasz przecież na zamku. Okazja więc będzie. - Obaczę... - Uniosła twarz, chwilę patrzyła mu w oczy i już w milczeniu skierowała się do wyjścia. Przyszła dwa dni potem. Otworzyła bez pukania drzwi i rozejrzała się po komnacie. Rutje, zajęty reperowaniem siodła, w pierwszej chwili nie obrócił się pewny, że to wraca Makary z codziennej włóczęgi po mieście. Poderwał się na nogi dopiero wówczas, kiedy usłyszał jej głos. - Jesteś waćpan sam? - spytała rozpinając pelerynkę i rzucając ją na krzesło. - Cieszę się, że cię widzę! - Podszedł ku niej i ujął ją za obie ręce. Wyjęła dłonie z jego uścisku i przeszła się po komnacie. - Większy teraz widzę porządek, niż kiedy tu byłam... - zauważyła. - Pognałem nieco pocztowego, gdyż miałem nadzieję, że dotrzymasz obietnicy. - Ależ ja niczego nie obiecywałam... - Mimo to jesteś. - Zaszłam, bo muszę czekać na skarbnika... - Wydeła kapryśnie usta dodając: - A wać nawet nie prosisz, bym usiadła. - Wybacz prostakowi, ale rad bym, abyś się tu czuła jak u siebie. - Bacz, bym nie wzięła twych słów poważnie... - Umiechnęła się zalotnie przysiadając, jak uprzednio, na skrzyni. - Niczego więcej nie pragnę! - zapewnił ją gorąco. - Częściej wówczas cieszyłbym się twym widokiem! Usiadł tuż przy niej, ona zaś przechyliła się ku niemu i opierając głowę o jego ramię, szepnęła: - Dobrze, że jesteś blisko. Objął ją i spytał równie cicho: - Prawda to? Nie zwodzisz mnie?! Odsunęła głowę i zerknęła na niego figlarnie. - Głupi, Peter... Czyżbym inaczej przyszła znowu? Uszczęśliwiony słowami dziewczyny zbliżył usta do jej warg. Ona jednak niecierpliwym ruchem ujęła jego głowę i

przyciągnęła ku sobie. Tym razem nie przerywała pocałunku, nawet wówczas, kiedy uniesiony pożądaniem sięgnął dłonią do jej stanika i gorączkowo zaczął rozpinać guziki. Po chwili wziął ją na ręce i ruszył ku łożu. Teraz już odwiedzała go co kilka dni, a kiedy nasyceni leżeli przy sobie, pytała o dotychczasowe jego losy, służbę u hetmana, obowiązki, jakie przy nim pełnił, a także, jakby mimochodem, o osobę pana Sapiehy, jego upodobania i obyczaje. Ta ciekawość nie uszła uwagi Rutjego, toteż udzielał odpowiedzi tylko pozornie szczerych. Początkowo mgliste podejrzenia co do dwuznacznej roli Sucheckiego zaczęły bowiem nabierać coraz wyraźniejszych kształtów. Dociekliwość dziewczyny umacniała je, zaczął w niej widzieć pomocnicę kupca albo też złe jego narzędzie, niewiedomie uległe jego wskazówkom. Zachowanie ostrożności nie było jednak łatwe, gdyż uwodzicielski czar, w jaki natura tak bogato wyposażyła dziewczynę, coraz bardziej na niego działał. Jednak jak dotąd zdołał zachować trzeźwość myśli i nie popaść w całkowitą niewolę. Tego popołudnia leżeli obok siebie w milczeniu, jakby zasłuchani w z wolna cichnący rytm swoich serc. Promienie słoneczne przedzierały się przez grube szyby kremlowskiego pałacu. Jeszcze ciepłe, bo była połowa wrzeźnia, kładły się jasnymi smugami na posadzce izby. Panowała w niej cisza - żadne głosy nie dochodziły do nich przez pałacowe mury. Przerwało ją pytanie Soni: - Bardzo będziesz za mną tęsknił, jeśli się rozstaniemy? Rutje uniósł się i podpierając na łokciu spytał ze zdumieniem: - Dlaczego o to pytasz?! - Bo wczynie czy później przyjdzie się pożegnać... - To prawda, ale wolałem o tym nie myśleć... - mruknął opadając na poduszkę. Chwilę wpatrywał się w łukowate sklepienie nad głową, zanim znów się odezwał: - A może znalazła zastępcę? - Głupi, Peter... Po co mi on, kiedy z tobą mi dobrze. - Obróciła się na bok i przesunęła palcami

po jego włosach. - Ostatnio do×ć często wspominała× pana Sapiehę. Powinszować wyboru, bo mąż to znaczniejszy ode mnie, a do tego i wojownik słynny... Wyprężyła się i przylgnęła do niego całym ciałem. - Ty× mi najmiłszy... - Dlaczego zatem mówisz o rozstaniu? - Wuj my×li o opuszczeniu miasta. Coraz trudniej przychodzi mu zdobywanie towaru. Dwa ostatnie transporty znów zagarnęli szysze. Zamilkł leżąc z chmurą na twarzy. - Dokąd wuj chce się udać? - zapytał wreszcie. - Tego nie wiem. On nie zwykł zdradzać swoich zamiarów. - A więc nawet i tego nie będę wiedział? Roze×miała się i unosząc na posłaniu, sięgnęła po bieliznę. - Zawczasu się nie trap! Jak będziesz chciał, to mnie najdziesz. Zresztą jak się dowiem, dam ci znać. - Państwo moskiewskie wielkie i miast w nim niemało! Je×li mi drogi nie wskażesz, jakże cię odnajdę? Sonia zastanowiła się. - Wuj wspominał co× o Kałudze... Być może tam chce się udać? A je×li nawet pojedziemy gdzie indziej, możesz o mnie pytać u tamtejszego kupca Połubajewa. On prowadzi interesy z wujem, więc na pewno będzie wiedział, gdzie przebywamy. - No, przynajmniej tyle... - Westchnął. - Ale trudno mi będzie żyć bez ciebie. - Najdziesz sobie inną. - Takiej jak ty nie najdę! - Tak mówisz dzisiaj, lecz wnet o mnie zapomnisz. - Obaczysz! Kiedy znów przyjdiesz? - Chyba nie wcze×niej niż za kilka dni. - Wszakże z nagłą mi nie umkniesz? - zaniepokoił się. Sonia roze×miała się dopinając ostatnie guziki stanika. - Toć to dopiero wujowe zamiary! Nie wiadomo jeszcze, czy je spełni. Ale bez pożegnania nie pojedę, tego bądź pewny! Wieczorem, kiedy po skończonym posiłku Sonia zbierała ze stołu naczynia, Grigorij Pawłowicz otarł wąsy i spytał zerkając na nią spod oka: - Wspominała× mu, że wyjeżdżasz? - Tak, ale bez zupełnej pewno×ci. - Wielce był markotny? - W głosie Grigorija Pawłowicza pojawił się kpiący ton. - Pewnie, że był! - prychnęła dziewczyna. -

Zimny to człęk, ale go przecież rozgrzałam. - Co× mi się widzi, że i sama ciągoty ku niemu czujesz... Dziewczyna roze×miała się. - Bo w łożu najgorszy nie był. Wszakże nie takam skora do wzdychania. - Powiedziała×, dokąd jedziemy? - Tak jak przykazali×cie, dałam ×lad na Kaługę... - U Chodkiewicza służy, może nam jeszcze być potrzebny... - mruknął Suchecki na wespół do siebie, po czym zmienił temat: - Ten mieszek z orzechami już staro×cie wysłałem. Kazał ci powiedzieć, że czeka dzi× wieczorem... - A te, które mi dasz, nie będą się różnić? - Bądź spokojna. Otwory igłą wiercone tak zostały woskiem zatarte, że żadne oko ich nie dostrzeże. Ale lepiej sama je łuskaj i dopiero z innymi podawaj zważając, by ich nie pomylić, bo bogato nasycone... - O to się nie troszcz, już sobie poradzę. Stary u×miechnął się pod wąsem i rzekł raczej do siebie: - Nic nie zwąchają, orzechy mają przecież skorupy... Starosta u×wiacki Jan Piotr Sapieha zmarł po krótkiej chorobie, której żaden z medyków nie umiał rozeznąć, w dniu 24 wrze×nia. Zaskoczenie tą ×miercią było ogromne, gdyż starosta był mężczyzną w sile wieku i cieszył się doskonałym zdrowiem. Snuto więc różne domysły i próbowano doj×ć przyczyny tak nagłego zgonu, ale niczego nie dało się wykryć. Wprawdzie na trzy dni przed zgonem pan Sapieha go×cił u siebie jaką× miejscową piękno×ć, lecz podług zeznania kucharza częstował ją tylko orzechami, bo nic innego je×ć nie chciała, te za× popijali miodem. Pacholek, wierny sługa starosty, twierdził, że osobi×cie miód nalewał, a co pozostało w dzbanie, sam wypił po wieczerzy, nie doznając żadnego uszczerbku na zdrowiu. Bardziej przeto wydała się podejrzana wieczerza, którą następnego dnia pan starosta podejmował kilku bojarów, stronników królewicza Władysława. Na nich więc i na ich dworakach, którzy zasiedli z nimi do stołu, skupiło się podejrzenie. Wszakże skierować je konkretnie na którego× z nich nie było podstaw, tym bardziej,

że nie wykryto żadnych ładów trucizny. Sprawa pozostała więc nie wyjaśniona, stając się jedynie przyczyną domysłów i różnorodnych spekulacji. Wśród żołnierzy zmarłego zapanowała szczerza i powszechna boleść. Dopiero teraz okazało się, jakim zmarły cieszył się wśród nich miernym. Wielu płakało, słuchając pogrzebowej mowy wygłoszonej przez księdza Skarbiewskiego. Ogłosili też zaraz, że żadnego innego wodza nad sobą nie uznają, co było przyczyną nowych kłopotów pana Gosiewskiego, jakby dotąd miał ich za mało. W parę dni po zgonie Sapiehy Sonia zjawiała się znów u Rutjego, zapowiadając, zaraz po powitaniu: - Przybiegłam do ciebie, miły, tylko na krótką chwilę, bo jutro już wyjeżdżamy. Płakać z żalu chcę, bo serce ból przejmuje, ale cóż poradzę, skoro taka wola mego opiekuna. Padła mu w ramiona i skłoniwszy głowę pochlipywała z cicha. - Czemu tak mu spieszo?! - wykrzyknął Peter. - Niektóre chorągwie zbuntowały się i opuszczają Moskwę, wuj chce więc skorzystać z ochrony, jaką dzięki nim uzyska. Tu za o towar coraz trudniej, a kupujących ubywa. - Ciężkie czekają mnie dni... - westchnął Rutje dodając: - Może znajdziesz chwilę czasu, żeby odwiedzić mnie wieczorem? - Nie, miły, lepiej na nowo siebie nie dręczyć! Uniosła się na palce i ucałowała go w oba policzki. Były to jednak pocałunki szybkie i jakby zdawkowe. Może dlatego, że pożegnanie odbywało się w obecności Makarego, który właśnie wrócił z miasta. Puste i gorzkie dni nastąpiły dla Rutjego po rozstaniu z Sonią. Jednak niebieskie moce widać uznały, że goryczy przysporzyły mu zbyt mało, toteż nieco mu jej dołożyły, zadanie to powierzając Makaremu. W kilka dni po rozstaniu z Sonią, w czasie porannych porządków czynionych w izbie Makary odezwał się w te słowa: - Zatem panna wyjechała? Rutje, który wychylił właśnie głowę z naciąganej koszuli, spojrział na niego ze zdziwieniem. - To nie wiesz? Przecież byłę przy

pożegnaniu! Makary swoim zwyczajem nie odpowiedział od razu. - Ano, byłem... I wła×nie dlatego... Ale my×lę, że dostrzegli×cie sami? Ta urywana wypowiedź rozdrażniła Petera. - Nie umiesz jasno się wyrażać?! Gadaj zrozumiale! - A więc istotnie nie dostrzegli×cie... - Makary nie przejął się naganą i nadal mówił jakby na wpół do siebie: - Choć ten pier×cionek przecież był piękny... - Jaki, u czorta, pier×cionek? - Nie wiem, czy o tym wspominać... Lecz chyba lepiej, aby×cie wiedzieli. - Gadaj zatem... - Rutje opanował rozdrażnienie i ton ponaglenia grzmiał już spokojnie. - Mówię o tym pier×cionku, co go panna miała na palcu. Z pięknym, modrym kamieniem... - No to co z tego? Co to ma za znaczenie? - Bo taki sam nosił pan Sapieha... Sens tych słów dotarł do Petera dopiero po chwili. Milczał, jakby ×ci×nięty za gardło, i dopiero po chwili obrócił się do towarzysza. - Taki sam? Nie mylisz się? Może jeno podobny? Makary najpierw zaprzeczył ruchem głowy, potem rzekł: - Nie mylę się, panie. To był ten sam. Modry kamień w ×rodku z wianuszkim białych dookoła. Widziałem go na palcu starosty, ×wieć, Panie, nad jego duszą! Rutje znał bystro×ć wzroku swego pocztowego, więc już nie wątpił w prawdę jego słów. Wolno przetał dłonią czoło i mruknał przez zaci×nięte zęby: - A więc to tak... A to suka! Opadł ciężko na zydel. Obraz dziewczyny zatarło teraz zrozumienie własnej głupoty. Umy×lnie wdała się z nim w miłostkę, by takim sposobem zataić swoje prawdziwe zamiary... Kłamała każdym słowem, każdym westchnieniem, aby znaleźć drogę do łoża tamtego... Czyżby jednak tak bardzo była nim urzeczona, by wkładać tyle wysiłku i kłamstw dla osiągnięcia celu? O co więc jej chodziło - o miło×ć tego męża czy też o jego ×mierć? Tu przypomniał sobie starego szlachcica. Czy to nie jego ręka dzierżyła wodze i kierowała dziewczyną? Przecież z własnej woli nie nastawałaby na życie obcego jej człeka? A więc

byłaby narzędziem przebiegłego mordercy? Kto jednak nasłał jego? Z czyjego polecenia działał? Czyżby dlatego ciągnął za polskim wojskiem, był przecież i pod Smoleńskiem... A tam...? O mocny Boże! Zgroza przeniknęła mu serce. Jednak podniecenie wywołane tym podejrzanym związkiem zdarzeń przygasiły zrodzone zaraz wątpliwo×ci. Czy możliwe, by do tego stopnia była zdolna go okłamywać? Te wzruszenia i szeptane wyznania nie były udane, ona czuła to, w jej tkliwo×ci była naprawdę szczeró×ć... Przecież medycy nie wykryli żadnej trucizny... Dwa zgony może i podejrzone, ale zapewne tylko dla niego, z powodu doznanego zawodu, gniewu, zazdro×ci... Czy nie lepiej pozostawić bliższe rozeznanie tej sprawy, aż nieco ochłonie? Obrócił się do Makarego, który czując jego nastrój nie przerywał panującego milczenia. - Podaj dzban miodu, niech ochłodzi gorzkie my×li... Wieczorem, w dniu × ierci pana Sapiehy, starosta chmielnicki Mikołaj Stru× przed udaniem się na spoczynek chodził po komnacie kremlowskiego pałacu, zadumany głęboko. Był to mąż jeszcze młody, niezbyt wysoki, ale zbudowany krzepko, o płowym wąsie i takiejże podgolonej czuprynie, nieco zadartym nosie i przebiegłym spojrzeniu pod brwiami, których jasna barwa odcinała się od ogorzałego oblicza. Krok miał sprężysty, zdradzający żołnierską sprawno×ć, ruchy zdecydowane. W pewnej chwili przerwał wędrówkę i zatrzymując się, zaklaskał w dłonie. Do izby wpadł pacholik, któremu polecił: - Wołaj mi porucznika Trojana! Był to dowódca własnej chorągwi pana starosty, wierny sługa, a nawet druh, mąż już po czterdziestce, do×wiadczony żołnierz i godny zaufania doradca. Kiedy wszedł, Stru× wskazał mu skórą obite krzesło z wysokim wezłowiem, których kilka otaczało stół o bogato rzeźbionych nogach. - Siadaj wa×ć - rzucił zamiast powitania, sam zajmując drugie. - Chcę pogadać o tym i owym... Porucznik



usłuchał wezwania i spytał spoglądając spod oka na starostę: - Zapewne o owym nagłym zgonie? Stru× u×miechnął się pod wąsem. - Ano wła×nie... Co o tym gadają? Co× nieco× do mnie dotarło, ale rad bym wiedzieć więcej. - íołnierze boleją niezwykle. Już pojawiły się głosy, że pod inną ręką służyć nie będą i sami wybiorą sobie wodza... - Patrzcie no ich! Niczym bogate dziewczki sami chcą wybierać! - z przekąsem prychnął starosta, który miał co do tych chorągwi pewne zamiary. - Nikt o nich zabiegać nie my×li, a już na pewno nie ja! - Wszakże to przedni, w wielu bitwach wyćwiczony żołnierz. Nie pod byle ręką służył i do niejednej wiktorii sam się przyłożył. - Pies z nimi tańcował - rzucił starosta machnąwszy lekceważąco dłonią. - Ciekawi mnie bardziej, co mówią o samej ×mierci. Dlaczego Sapieha zmarł tak nagle i zdawało się w pełni zdrowia? - Zaczynają gadać, że mu zadano. - A jak wa×ć ty sądzisz? Kto zacz to mógł być i kiedy podsunął truciznę? - Na dzień przed chorobą zmarły podejmował wieczorem bojarów Andronowa i Gramotina wraz z ich dworakami. Toteż chociaż sami nam przychylni, nie wiadomo kogo mieli przy sobie. Ponoć popijali niezgorzej, to i baczenie na pewno nie było należyte. - Słyszałem i inne gadki... - Stru× spojrział z ukosa na swego porucznika. - Inne? Jakież to? - spytał ten zaciekawiony. - Ponoć przychodziła do niego jaka× pięknotka, która miała w pałacu swego gacha... - Nic o takim nie słyszałem - wyznał Trojan. - Ale ja tak. I wiesz, kto nim był? - Skoro mówię, że nie słyszałem, to po co wasza wielmożno×ć pyta? - odpowiedział zgryźliwie porucznik nierad, że zwierzchnik wie więcej od niego. - Dziwno mi, że× balwierzem nie ostał! Językiem mógłby× brody golić! - rozzło×cił się Stru×, ale po chwili dorzucił spokojniej: - Otóż jej kochasiem był nie kto inny jak posłaniec pana Chodkiewicza, jego przyboczny oficer, który zmarłemu pismo od hetmana przywiózł. - To co z tego? Nie pojmuję, do czego

wasza wielmożność zmierzasz. - Bo kiep, Jerzyku! Toć łącno mógł tę dziewczkę podsunać u wiackiemu staroci, ta za podać truciznę... - Ejże, Mikołaju! Wasza wielmożność dosiadł chyba Pegaza! Po cóż miałby dokonywać tak niecnego czynu? - Aby przysłużyć się temu litewskiemu borsukowi albo nawet i na jego życzenie... Porucznik spojrział spod oka na swego dowódcę. - Chyba nie wierzysz w to, co gadasz? Stru uśmiechnął się. - Nie ma nic do rzeczy, wierzę czy nie! Jest dobra okazja, by tej boćwinie ładny kubraczek przykroić, toteż nie należy tego poniechać. Trzeba niektórym szepnąć do ucha, że niczyja to sprawa jak owego gońca, którego tamten tu nasłał, bo Sapiehom wrogi... - Nie najgorzej to wasza wielmożność obmyślił. - Trojan uśmiechnął się drwiąco. - I chcesz, abym w tej zabawie wziął udział? - Nie szkodziłoby, mości balwierz. I nie trzeba znajdować za wielu słuchaczy, bo im będzie ich więcej, tym łatwiej dojdą, kto gadkę puścił. Dwóch, trzech starczy, potem już wieć sama się rozejdzie... - Chętnie waszej wielmożności usłużę, bo takóże niezbyt miłuję tego dzierzymordę... - Rad to słyszę. Ale jest jeszcze jedna sprawa, którą chcę ci poruczyć, i to znacznie ważniejsza. Tę pierwszą traktuj jako krotchwilę, wszakże ta druga inną ma wagę... Ponieważ porucznik milczał wyczekująco, pan Stru ciągnął dalej: - Gadałem o tym ze Zborowskim i paru innymi. Wszyscy są zgodni, że dalej czekać na należny żołd, niczym na królewskie zmiłowanie, już niepodobna. Byli ze mną zgodni, że należy uczynić koło i wybrać posłów na warszawski sejm. Ustanowić przy tym termin zapłaty, a jeżeli takowa nie nastąpi, uczynić konfederację i pociągnąć do kraju, by tam swego dochodzić. Moskwę za oddać bojarom, bo po kiego licha nam ona! Wybierz więc kilku zaufanych towarzyszy, by nakłaniali ku temu zwłaszcza tych spod sapieżyńskich znaków. - Dlaczego właśnie ich? - Bo ich przede wszystkim pan hetman będzie

usiłował przeciągnąć na swoją stronę. A jak dochodzą słuchy, jest już w drodze ku nam. - Zgoda. Tym zajmę się przede wszystkim! - rzucił zdecydowanie Trojan. - Czasu niedużo, a sprawa całkiem innego kalibru. Wątpię wszakże, by prócz dalszych obietnic poselstwo wiele wskórało. - Tym łatwiej będzie wtedy doprowadzić do konfederacji - orzekł z uśmiechem Stru. - Zrobię to tym chętniej, że doć już mam służby w tym kraju. Pora wracać do domu. - Będiesz miał ku temu okazję prędzej, niż sądzisz... - Jakim to sposobem? - A takim, że niedługo pociągnę ze swoją chorągwią do Polski. Obecny braclawski wojewoda Jakub Potocki, który tę godność dostał od Zygmunta po bracie, a mój krewniak i protektor, obiecuje dalsze wsparcie w żołnierzu. Toteż zamierzam osobiście go tu doprowadzić a także dlatego, by jeszcze na miejscu mieć na sprawę baczenie. - To dobra wiadomość! Wszakże nie w smak będzie ona panu hetmanowi, a także i innym, skoro się o tym dowiedzą. - Przeto zachowaj tę sprawę na razie w tajemnicy. - O tym i mówić nie warto. - Porucznik wstał z fotela. Zaraz po tej rozmowie Trojan zabrał się do wykonania poleceń, i to tym gorliwiej, że były one i po jego myśli. Pomocnych do zwołania koła znalazł sporo, bo na zaleganie z żołdem pomstowali wszyscy, natomiast nikt nie dawał wiary, by do śmierci pana Sapiehy mógł w jakiegokolwiek mierze przyczynić się hetman, gdyż cieszył się on zbyt wielkim respektem jako wódz i człowiek prawego charakteru. Znaleźli się jednak w końcu i tacy, którzy służąc pod nim narazili się na jego gniew, szukali więc okazji do odpłaty. Zdecydowany sprzeciw, i to w obu sprawach, zaskoczył go u osoby najmniej spodziewanej, a mianowicie u własnego bratanka. Mocno to porucznika oburzyło, tym bardziej, że młokos gadał całkiem od rzeczy. śmiał bowiem zarzucić jemu, opiekunowi i przewodnikowi w żołnierskim rzemiole, udział w niecej

intrydze, i to przeciw człowiekowi, co do którego winy nie miał żadnych dowodów. Jakby tego było mało, gołowas o×mielił się postawić mu zarzut, że wzywając do zawiązania konfederacji i opuszczenia powierzonego posterunku, zdradza ojczyznę! W×ciekł się przeto porucznik na taką pustą gadaninę i wygnał bratanka nie tylko od swego boku, ale i z husarskiej chorągwi, którą dowodził. Kara istotnie była dotkliwa, lecz młody Trojan zawziął się także i po zapowiedzi, że więcej stryjec go nie ujrzy, wyszedł z izby trzasnąwszy drzwiami. Rutje sięgał wła×nie po dzban z miodem podany mu przez Makarego, kiedy rozległo się pukanie do drzwi, a na wezwanie do wej×cia stanął w progu młody mężczyzna. Sądząc na oko miał nie więcej niż lat dwadzie×cia parę. Był smukły, o pociągłej twarzy i bystro patrzących oczach. - Czy waćpana Rutjego mam zaszczyt widzieć? - spytał zdejmując z głowy obsyty futrem kołpak. - W rzeczy samej - odpowiedział Peter, zdziwiony wizytą nieznajomego. - Jam za× Marek Trojan herbu Korab, do niedawna towarzysz husarski z chorągwi pana Strusia... - zaprezentował się przybysz podchodząc do Rutjego. Ten uniósł się z krzesła, wyciągnął dłoń. - Rad waćpana witam! Ale dlaczego do niedawna? - Rzecz wymaga poufnego wyja×nienia... - Młody mężczyzna spojrział w stronę Makarego. - Wszystko, co waćpan powiesz, nie opu×ci ×cian tej izby, możesz mówić bez obawy. Mój pocztowy mniej skory do gadania nawet niżli ja. - Rad to słyszę, gdyż sprawa istotnie ważna. - Siadaj zatem waćpan i mów. - Rutje wskazał krzesło, jednocze×nie polecając gestem Makaremu podać drugi kubek. Go×c odczekał, aż pocztowy zakończy obsługę, za przykładem gospodarza upił nieco trunku i dopiero odezwał się: - Dlaczego zostałem wygnany, bo tak się zdarzyło, i to przez własnego stryjca, który chorągwią porucznikuje, mówić nie warto. Są wszakże w przyczynach i sprawy ważniejsze, o

których powiniene× waćpan wiedzieć... - Słucham zatem - odpowiedział Peter skrywając zaniepokojenie, gdyż zaczął się domy×lać, że wie×ci nie będą dobre. - Przybyłem do wa×ci, gdyż wiem, że służysz u hetmana, dla którego od pacholećcia żywię estymę jako do wodza wielkiego formatu. Może waćpanu jest dziwno, że słyszysz te słowa od żołnierza z chorągwi pana Strusia, który wilkiem na pana Chodkiewicza patrzy. I dlatego wła×nie chciałby ×mierć pana Sapiehy przypisać hetmanowi. Z tej to przyczyny mnie tu widzisz. - Ze wzburzeniem już wyja×nił młody rycerz. - Po cóż miałby to uczynić? - Aby, u×mierciwszy wodza, przejąć jego wojsko! - Czyż znajdzie się kto× taki, kto by dał posłuch tak lichej przyczynie?! - Nie chodzi im o prawdopodobieństwo, jeno o pomówienie! Jako że nawet najwierutniejsze łgarstwo pozostawia po sobie ×lad. - Jakim jednak sposobem hetman miałby to uczynić? - Otóż to! Intencję chcą przypisać hetmanowi, a sam czyn waćpanu. Dlatego, szczerze sprzyjając hetmanowi, przybyłem, aby o tym waćpana powiadomić. - Postąpił× wa×ć jak prawy człek i dobry przyjaciel. Nie zapomnę tego waćpanu! - Rutje okazał jak na niego wyjątkowe podniecenie. - Jakże jednak miałem tego dokonać, skoro ze zmarłym raz tylko gadałem, i to wkrótce po przyjeździe? - Mówią, że odwiedzała was jaka× młoda niewiasta, tę za× na krótko przed ×miercią ponoć go×cił zmarły... To waćpan miał× ją u×wiackiemu staro×cie podesłać... Rutje aż złapał się za głowę. - święci Pańscy! Toć nie tylko truciciela ze mnie chcą uczynić, ale i rajfura! Trojan, przejęty wrazeniem, jakie wywołała jego wiadomo×ć, sięgnął po kubek. Rutje nie×wiadomie poszedł za jego przykładem, ale swój wypił do dna. Potem, już bardziej opanowany, mruknął na wpół do siebie: - Trzeba pomy×leć, jak przyciąć owe jadowite języki... Zmilczeć tego nie sposób... - Młodszym od waćpana, toteż rad dawać mi nie uchodzi, lecz sądzę, że

najlepiej spokojnie odczekać i obaczyć, co będzie dalej. Ponoć ma wdać się w sprawę sam pan Gosiewski, bo i konfederacja żołnierska nam zagraża. Przykazał więc dowódcom ukrócić żołnierskie języki, grożąc połowym sądem. A liczyć się z nim muszą, bo z królewskiego rozkazu jest tu komendantem. Tuszę przeto, że cała gadanina wnet przycichnie... - Istotnie, uspokoił× mnie waćpan, bo słowo pana Gosiewskiego ma wagę. Ale wspomniał× wa×ć o konfederacji? Po co ją zawiązują? - Chcą posłów słać na sejm i termina wyznaczyć, w jakim jeszcze będą służyć, je×li żołd nie nadejdzie... - Stale o ten żołd idzie? Przecież i bez niego większo×ć wzbogaciła się znacznie. - Ponoć nie istnieje taki, który by poprzestał na tym, co ma. Samego diabła gotowi dosię×ć, by dognać uciekającego talara! - Kto ich do tego podnieca? - Wybacz wa×ć, ale nie z donosem przybyłem, jeno z ostrzeżeniem. W każdym razie to ci mogę rzec, bo wiedzą o tym wszyscy, że przewodzi buntownikom i najbardziej za konfederacją gardłuje porucznik sapieżyńskiej chorągwi husarskiej, Józef Ciekliński. Rutje zamy×lił się na chwilę, po czym odezwał się z nagłą: - Muszę zatem naprzeciw hetmana wyruszyć, by powiadomić go, jakim tu torem sprawy idą, a także i o ×mierci Sapiehy, o czym na pewno jeszcze nie wie... - Spojrzał na swego młodego towarzysza i dorzucił z ożywieniem: - A waćpan, je×li wola, jedź ze mną, skoro tu cię nie chciano. Hetmanowi każda szabla potrzebna! Trojan rozja×nił twarz w u×miechu. - Zgoda, wolę bowiem u hetmana za pocztowego służyć niż za towarzysza u Strusia. Kiedy waćpan chcesz ruszać? - Do drogi musimy się przygotować, gdyż pieszo przyjdzie się przemykać. A i pożegnać pana Gosiewskiego mi wypada... Sądzę wszakże, że za dwa dni będziemy mogli stąd odej×ć. Uradowany Trojan poderwał się na nogi. Koncentrację oddziałów hetman przeniósł do Białej, skąd pod koniec wrze×nia, kierując się na Wiaźmę i Możajsk, ruszył na

Moskwę. Szczupłe prowadził siły, dalekie od tych, jakie przewidywał. Szedł bowiem z niespełna czterema tysiącami, i to tylko samej jazdy. W Wiaźmie spotkało go poselstwo na warszawski sejm wysłane przez moskiewską załogę, jak wyszło wnet na jaw, za podjudzeniem Strusia. Poselstwo to składało się z kilku dowódców i towarzyszy husarskich, między innymi jechał Marcin Kazanowski, Jerzy Trojan, Piotr Borkowski, dowódca piechoty. Mieli żądać wypłaty zaległego żołdu, i to nie później jak szóstego stycznia następnego roku, pod groźbą zawiazania konfederacji i opuszczenia Moskwy. Daremnie pan Chodkiewicz molestował i namawiał, by poniechali zamierzonej misji. Posłowie w odpowiedzi stwierdzili, że przyjąwszy mandaty nie mogą samowolnie odstąpić od powierzonego im zadania. Aby powiadomić pana Gosiewskiego o swym rychłym przybyciu, hetman wysłał przodem pana Wąsowicza w pięćdziesiąt koni. Lecz na ten szczupły oddział wnet napadła grupa partyzantów, i to w tak przeważającej sile, że panu Wąsowiczowi zaledwie w kilka koni udało się wyjść z opresji i przedostać do Moskwy. Podobny zresztą los spotkał i pana Maszkiewicza, który z kolei wyszedł z Kremla, by powitać hetmana. Został rozbity, stracił cały swój dobytek i jak potem pisał w swoich pamiętnikach, pozostała mu tylko jedna kobyła. Hetman ciągnął jednak nie nagabywany, dotarł do Możajska, po czym szóstego października przybył pod Moskwę, stając obozem przy Nowodiewiczym Monasterze. Jeszcze pierścien oblężenia nie zacisnął się całkowicie, choć nadciągnęła już część wojsk kniazia Pożarskiego, stał Trubecki ze swymi pułkami i Kozacy Zaruckiego. Reszta znajdowała się na terenie kraju chroniąc go przed najezdami rozbójniczych watah, a zwłaszcza przed drapieżcą, który przywarował w Starodubiu. O zaopatrzenie formujących się oddziałów zabiegał niestrudzony Koźma Minin, teraz starosta

ziemski, poborca danin i podatków jak i główny skarbnik całego ruchu. Trubecki za× zajął się przede wszystkim umacnianiem własnych pozycji, a więc kopaniem rowów, okopów, sypaniem wałów, stawianiem barykad i gródków, otoczonych palisadą punktów oporu. Nie mając jednak należytego rozeznania co do sił przybyłej obleżonym pomocy, nie wszczynał działań zaczepnych, czując zresztą respekt przed niepokonaną jazdą polską. Toteż Chodkiewicz bez trudno×ci zjechał na Kreml, gdzie wszczął rozmowy z dowódcami, przede wszystkim z panem Gosiewskim. Od razu też dostrzegł upadek dyscypliny w×ród całej załogi. żołnierz bowiem, pozostawiony bez pieniędzy, był zmuszony do zdobywania żywno×ci chociażby gwałtem, więc przestawał liczyć się z rygorami służby. W tych warunkach wszelka surowo×ć mogła doprowadzić do otwartego buntu. Ta obawa hamowała głównie pana Gosiewskiego, zmuszając go do folgowania winnym nieraz i poważnych przestępstw, co w rezultacie powodowało coraz większy rozkład dyscypliny. Początkowo brać żołnierska gromko witała hetmana, leciały w górę czapki, grzmiały radosne okrzyki, huczały pistoletowe strzały. Ale już na drugi dzień, kiedy dowiedziano się, że oczekiwanego żołdu hetman nie przywiózł, a siły miał ×miesznie małe wobec masy oblegających wojsk, a do tego jeszcze bez piechoty, początkowy entuzjizm szybko przygasł. Widząc beznadziejno×ć swoich wysiłków w zaprowadzeniu jakiego takiego ładu i dostrzegając jątżenia wrogich sobie dowódców, hetman, rozgoryczony, opu×cił Kreml i powrócił do swego obozu. Przekonał się wszakże, że i tam dotarły kremłowskie zarazki, bo zaczęły odzywać się głosy judzące do ostrzejszego domagania się żołdu. Szybko się z tym jednak uporał rugując malkontentów z chorągwi. Będąc za× człowiekiem wielkiej energii i jako Litwin upartym, nie umiejąc ponadto stać bezczyinnie, postanowił przekonać się o



sile przeciwnika. Wyszedł więc z obozu i ustawił wojsko do bitwy. Chorągwie rozciągnęły się na polach nieopodal monasteru. Na widok występujących do bitwy wojsk wysunęły się ze stanowisk ruskich sotnie kozackie Zaruckiego i także uformowały bojową linię. Wyjechali przed nią pojedynczy jeźdźcy, co o chotnie zostało przyjęte przez polskie rycerstwo jako zaproszenie do przedbitewnych pojedynków. Jakoż spotkali się ze sobą wojownicy na środku pola, okrążając się końmi i błyskając uniesionymi szablami. Wkrótce jednak coraz mniej chętnych wysuwało się z szeregów kozackich, gdyż mało któremu udało się pokonać polskiego przeciwnika. Biegłość Lachów we władaniu bronią i koniem okazywała się zbyt wyraźna, by sprawdzać ją na własnej skórze. Harce wnet więc wygasły i zaraz potem ruszyła husaria. Kiedy obie biegnące ku sobie linie zwały się, szeregi kozackie porwały się od razu na strzepy drobnych oddziałów, które poczęły rąbać tylne szeregi atakujących chorągwi. Ich czoła za chwilę, nieomal nie potraciwszy kopii, szły dalej, ku drugiej linii kozackich wojsk. Kłęb ludzi i koni pokrył tuman kurzu, w którym zaledwie majaczyły sylwetki jeźdźców. Niebawem i druga linia wojsk Zaruckiego, niezdolna dłużej stawiać oporu, zaczęła się cofać, zrazu z wolna, potem coraz szybciej, aż wreszcie wszystkie sotnie, już pomieszane i rozbite, rzuciły się ku rzece, by na przeciwnym brzegu szukać ocalenia. W tym czasie prawe skrzydło pod Konięcpolskim, wzmocnione Tatarami Ibrahima, wyparło oddziały Trubeckiego aż za Jauzę i przebywszy ją w pobliżu za uchodzącym nieprzyjacielem, rozpoczęło walkę na jej drugim brzegu. Tam jednak natrafił pan Konięcpolski na tak silny ogień ukrytej w ruinach Biełogrodu piechoty, że młody dowódca musiał się cofnąć. Podobna sytuacja powstała i na innych frontach walki. Jazda zaczęła ponosić coraz większe straty od ognia piechoty, gdyż książę Pożarski rozproszył

swoje oddziały, kazał im chronić się w przekopy, rowy, do resztek domów i stamtąd razić ogniem nacierających Polaków. Ostrzał był tak silny, że Chodkiewicz, widząc bezradność jazdy w tych warunkach, podobnie jak i Koniecpolski nakazał odwrót. Tylko piechota mogła tu nawiązać równorzędną walkę, tej zaś hetman nie miał. Nakazał więc wojsku powrót do obozu. Stało się jasne, że dalsze potyczki nie rokują powodzenia, tym bardziej, że kremlowska załoga nie wykazała na tyle zapału bojowego, by wziąć udział w walce, i z murów przyglądała się biernie zmaganiom swoich towarzyszy. Widząc tę bierność hetman powtórnie dokonał próby zjednania sobie załogi i w tym celu wszczął dalsze pertraktacje. W rezultacie uzyskał zgodę około trzech tysięcy żołnierza na pozostanie w Moskwie. Była to jednak mniej niż połowa całej załogi. W ten sposób sytuacja, chociaż doraźnie, została opanowana, jednak hetman zdawał sobie sprawę, że owych pozostających ożywiało nie tyle umiłowanie ojczyzny, ile nadzieja na zdobycie carskiego skarbcza. Wychodzące oddziały ubezpieczały pod murami Moskwy chorągwie Strusia pod komendą rotmistrza Klinickiego, bo sam starosta już wyruszył do Polski. Październikowy dzień, wprawdzie nie dżdżysty, był jednak pochmurny, smętny, z szarymi obłokami sunącymi po niebie. Wojsko opuszczające Moskwę wychodziło Twerską Bramą, kierując się na północ, do oddalonego o dwanaście mil Rohaczewa, gdzie miało stanąć obozem. Obrany wodzem Józef Cielkiński uznał bowiem za konieczne odpaść nieco pozostałe konie przed dalszym marszem, a i żołnierzowi dać możnaść nabrania sił. Chodkiewicz przyglądał się wymarszowi stojąc na niewielkim wzniesieniu, wśród zarastających je brzoź. Za nim zatrzymała się jego własna, towarzysząca mu chorągiew husarska. Była bez kopii, nieruchome sylwetki jeźdźców tworzyły ciemną, jednolitą bryłę wśród bieli brzoźowych pni. Hetman

wysforował swego siwka na sam skraj gaju i z ponurym obliczem obserwował przemarsz. Za jego plecami ustawili się półkolem oficerowie - Rudzki, Wessel, dowódca piechoty, choć obecnie bez regimentu, Fitting, jako przyjaciel towarzyszący hetmanowi w kampanii, i jeszcze kilku innych. W tym miejscu trakt ciągnął się w ród otwartego pola, gdyż ciana lasu zamykała horyzont dopiero o kilka wiorst dalej. Na rozległej płaszczyźnie przez nikogo nie uprawianych zagonów chaotycznie rozrzucone czerniały kontury zabudowań podstołecznych gospodarstw. Nie widać jednak było pomiędzy nimi żadnego znaku życia, ludzkiej krzątaniny, nie dochodziły stamtąd głosy ludzi ni zwierząt, a kominów nie wieńczyły strużki dymu. Oddziały wolno sunęły drogą, bo większość z nich była piesza. Samej husarii brakło tysiąc pięćset koni, które bądź padły, bądź zostały zjedzone. Z tych za jeźdźców, co nawet zachowali swoje wierzchowce, rzadko który je dosiadał, by nie obciążać ledwie trzymających się na nogach zwierząt. Ludzie także nie wyglądali lepiej. Wychudli, z zapuszczonym zarostem, w wyszarganej, a często i podartej odzieży, w ciemniałych blachach i hełmach, bo od dawna nie czyszczonych, toteż i rdzę widać było miejscami. Szli ciężko, wolno, z pochylonymi głowami, nieciekawo niczego, co działo się wokół, jakby pogrążeni w zadumie nad zmiennością losu. Kroczyli w milczeniu, słyhać było tylko stąpanie ich nóg. Czasami rozległo się ostrzejsze słowo czy przekleństwo ponaglające wierzchowca, dla którego i ten powolny marsz okazywał się zbyt uciążliwy. Chodkiewicz odwrócił głowę i mruknął do swego siostrzeńca Koreckiego, który stał najbliżej jego boku: - Patrz, do czego prowadzą kłótnie wodzów i niesforność żołnierza. Inszą koleją poszłyby sprawy, gdyby nie wadzili się między sobą i zachowali wierność panu... Korecki nie miał wszczynać z surowym krewniakiem dyskursu, ale odezwał się Wessel, który przysunął się z

koniem: - Wszakże król jegomo×ć także przyłożył ręki do ich losu - rzucił z goryczą. - Jemu wciąż i we wszystkim niespieszno, toteż jego winię za to, co tu oglądamy! - Władysław już dawno powinien siedzieć na moskiewskim tronie, lecz Zygmuntowi było to nie w smak, bo naród widziałby w tym nie jego, tylko íólkiewskiego zasługę - uzupełnił Fitting. - Wówczas i żołąd dla żołnierza szedłby z carskiej szkatuły... - Nierad słyszę potępiania króla jegomo×ci, choć przyznać muszę, że jego opieszało×ć pozbawiła nas niejednego sukcesu. Na swojej skórze odczułem, jak smakują jego niespełnione obietnice! - W głosie hetmana zabrzmiało rozdrażnienie. - Ciekawe, jak długo szysze dadzą im spokój? - zastanowił się Wessel spoglądając na wlokące się oddziały. - Toć starczy dmuchnąć, by zwalić ich z nóg. Chodkiewicz spojrzał na rotmistrza. - Wła×nie o tym my×lałem. Wybrali Rohaczew, bo blisko Wołgi, za którą łatwo o żywno×ć, ale czy do niego dotrą? - Dwana×cie mil wszystkiego, lecz trzymam zakład dziesięć przeciw jednemu, że wielu takich, co dotrą, nie będzie. - Nie narażaj wa×ć sakiewki! Trzeba tylko o nich się zatroszczyć, jak i o tych, co ostali na Kremlu. Tam już mocno żywno×ci nie staje... - Chcesz, wasza wielmożno×ć, chronić tych zdrajców?! - oburzył się Wessel. - Niech sami dbają o swoją skórę, skoro odmówili jej królowi! - Toć to mimo wszystko nasi towarzysze i jednej z nami krwi. Miałby× sumienie wystawić ich na zgubę? - Ciężar swego losu złożyli ci wszakże na barki, toteż powody do zmiłowania dostrzec trudno... - wtrącił Fitting z sarkazmem. - Wymieniłem je - odparł sucho hetman. - A do tego i o żywno×ć dla pozostałych chcesz się troszczyć? - Fitting nie dawał za wygraną. - Nie za dużo tej łaskawo×ci? - To nie łaskawo×ć, jeno powinno×ć wobec kraju. Pieczę nad moskiewską załogą powierzył mi król jegomo×ć, a oni jeszcze pełnią tam służbę. Fitting nic na to nie odpowiedział, gdyż

hetman po tych słowach trącił konia ostrogą i ruszył ku bocznej drodze wiodącej do obozu. Zgodnie z zapowiedzią Chodkiewicz podążył w ślad za rokoszanami na początku listopada, kierując się jak i oni na Rohaczew. Stanał obozem o kilka mil od nich, nieco z boku, pod Rohaczewską Przystanią nad rzeką Siostrą. Przed wymarszem spróbował wszakże nawiązać łączność z atamanem Zaruckim, posyłając doń zaufanego szlachcica Borysławskiego z listem, w którym skłaniał atamana do porzucenia niepewnych sojuszników, ostrzegając go, że może na nich liczyć tylko tak długo, dopóki sami nie zbiorą tyle sił, by obyć się bez niego. Wówczas za nie o przyszłych godnościach przyjdzie mu myśleć, ale o ratowaniu własnego życia. Proponował więc hetman, by ataman wziął to pod rozwagę i już teraz przyłączył się do niego. Zarucki przewidywał możliwość takiego rozwoju wypadków, toteż zachowując wobec kniazia Pożarskiego pozory przyjaźni, wysłał jednocześnie siemiu Kozaków, a wśród nich morderców Obreżkę i Stańkę, by kniazia zgładzili. Zamach wszakże nie udał się, a schwytani i poddani torturom wyznali, kto ich przysłał. Pożarski jednak zemsty na nich nie szukał i podarował im życie, osadzając ich tylko w więzieniu. Lecz już wiedział, co jest warta przyjaźń Zaruckiego. Borysławskiemu z przydanymi mu towarzyszami udało się dotrzeć do atamana i doręczyć mu list. Zaraz też zaczęły się pertraktacje, i to pomyślnie zmierzające do zakończenia, bo Zarucki zgadzał się porzucić dotychczasowych sojuszników, a nawet i Marynę, i wraz ze swymi Kozakami przyłączyć się do hetmana. Nastąpił jednak tragiczny zwrot w sytuacji. Borysławski został rozpoznany jako zaufany człowiek Chodkiewicza i pojmany. Ale mimo najwymyślniejszych tortur hetmana nie zdradził i ostatecznie żywcem go spalono. Nie wszyscy wszakże z jego pocztu byli tak oporni i sprawa wyszła na jaw. Zaruckiemu nie pozostało nic innego jak

ucieczką ratować życie. Toteż zebrawszy co wierniejsze chorągwie pognął z nimi do Kołomny, gdzie przebywała Maryna. Natomiast hetman, nieświadom jeszcze losu Borysławskiego, stojąc obozem niedaleko rebeliantów, nawiązał z nimi łączność i wkrótce ustaliła się między nimi współpraca - oto dawni żołnierze Sapiehy, zwani obecnie sapieżyńcami, dokonując dalekich wypraw ciągnęli żywność, hetman zaś troszczył się o bezpieczne dostarczenie jej moskiewskiej załodze. Sam także wysyłał silne oddziały za Wołgę, bo nadchodziła zima, groziły srogie w tych stronach mrozy i ogromne śniegi, uniemożliwiające poruszanie się w tym terenie, tym bardziej, że wzrastająca aktywność szyszów i partyzanckich oddziałów, nieraz skupionych w większe grupy, stwarzała dodatkowe niebezpieczeństwo. Toteż wielu transportów nie udało się uchronić, gdyż opór ludności rósł i konwój żywności wymagał wielkiego wysiłku i hartu ducha. Hetman jednak z żelazną wytrwałością nie ustawał w staraniach, by za wszelką cenę utrzymać moskiewską załogę w stanie zdatności bojowej. Rutjemu przybycie hetmana pod Moskwę oszczędziło trudu i ryzyka powrotnej podróży. Natychmiast zgłosił się do niego z relacją, nie tając romansu z Sonią, ale i podejrzeń co do Sucheckiego. Przy okazji przedstawił też Trojana, wyjaśniając, kim jest i w jakich okolicznościach stracił służbę u Strusia. Hetman potraktował młodzieńca łaskawie i pozwolił zostać przy sobie, poruczając go opiece Petera. Obaj młodzi pełnili więc teraz służbę razem, lecz nuda obozowego życia zaczęła obu coraz bardziej dawać się we znaki. Toteż kiedy dowiedzieli się, że pułkownik Wessel na czele ośmiuset szabel ma ruszyć na nową wyprawę po żywność, i to w bardziej odległe strony, na wschód od Wołgi, Rutje poprosił hetmana o zezwolenie na wzięcie udziału w imprezie. Zgodę uzyskał, więc w kilka dni potem, wczesnym, mroźnym rankiem wychodzili z obozu. Był

dopiero początek grudnia, ale mrozy chwyciły takie, jakby zima była już w pełni. Kierowali się na północ\_wschód, w stronę Perejesławla Zaleskiego, zamierzali jednak ominąć go od południa i ciągnąć dalej, już prosto na wschód. Zbyt blisko bowiem leżał Jarosław, stanowiący główną bazę operujących stamtąd oddziałów partyzanckich, choć jeszcze nie zorganizowanych w armię, to jednak bardzo silnych i ruchliwych. Konie wypoczęte i ostatnio lepiej żywione szły dziarsko, buchając kłębami pary. Droga była dobrze przejeżdżona, więc chorągwie ciągnęły ostrym kłusem, wyrzucając kopytami wierzchowców chmary ×nieźnych pacyn. Słoneczny dzień napawał żołnierskie serca otuchą, słycać było w×ród szeregów gwar rozmów i ×miechy. Peter i Trojan, przydzieleni do orszaku pułkownika jako ordynansowi, jechali wraz z Makarym za otaczającą go ×witą. Peter swoim zwyczajem milczał, ale Marek, bardziej skory do gawędy, odezwał się: - Rado×ć mnie rozpiera, że konia mam pod sobą, a słońce nad głową! - Raduj się zatem... - odpowiedział krótko Rutje, nie odwracając wzroku od cwałujących przed nim koni. Marek obrzucił go krótkim spojrzeniem. - Wciąż my×lisz o tamtej? Czy warto zaprzętać sobie nią głowę? - Bardziej, niż sądzisz... - Czyżby ta dziewczka tak mocno załazła ci za skórę? - Istotnie załazła, ale nie tak, jak ci się zdaje. - Tak czy inaczej, wciąż nie możesz o niej zapomnieć. - Nie powinienem... - Jak to mam rozumieć? - Trojan okazał zaciekawienie tą odpowiedzią. - Sądzę, że nie koniec to sprawy, lecz dopiero początek. Nie pytaj jednak, co to oznacza, sam ci powiem, je×li zajdzie taka potrzeba. Oschły ton dał Markowi do zrozumienia, że towarzysz nie chce dalej o tym mówić. Toteż zamilkł, ale dobry nastrój go nie opu×cił, więc po chwili znów się odezwał: - I bez niej czeka nas jeszcze niejedna przygoda. - Bez tego się nie obejdzie - obojętnie stwierdził Rutje. - Przeto Wessel nie zaniedbuje

ostrożności. - W przedniej straży poszli Tatarzy Ibrahima... -  
zabrał głos po raz pierwszy Makary, jak zwykle nieskory do  
gawędy. - Sam ich wie? - Nie, dowództwo powierzył  
Ibrahim niejakemu Uruzowowi. - Cóż to za jeden? - Bóg go  
wie... Także Tatar, przystał do niego ze swymi ludźmi zaraz  
po bitwie pod Moskwą. - Gadał z nim? - zainteresował się  
Peter. - Miałem okazję... Przy gorzałce. - Na nieruchomym  
obliczu pocztowego ukazał się uśmiech. - Pociąga ją chętnie  
mimo zakazów wiary, toteż nieco się o nim dowiedziałem... -  
Makary uznał widać, że dosyć już powiedział, bo na tej  
informacji poprzestał. Ale Rutje był innego zdania i zapytał  
ostro: - Mam cię ciągnąć za język? - Nic ciekawego nie  
mówił... - Makary usprawiedliwił się. - Ponoć pierwiej służył u  
drugiego samozwańca, dopóki go nie ubito. Co nieco o nim  
opowiadał, wszakże nic dobrego... A także i o tym naszym  
dostawcy, Sucheckim... - Mówił, że był doradcą samozwańca?  
- A mówił. - Ty za dopiero teraz mi o tym wspominasz?! -  
Gadaliśmy ze dwa dni temu, nie było też potrzeby pilności -  
mruknął obojętnie pocztowy. - Ale to przecież Tatarzy ubili  
ponoć Dymitra! Zapewne więc i on przyłożył ręki! -  
Sucheckim? Mocno wątpię, bo ten Tatar mówił o nim jako o  
najwierniejszym słudze samozwańca i dlatego go przeklinał...  
- Nie o Sucheckim, głupcze, mówię, tylko o owym Uruzowie!  
- A nawet jeśli i on go ubił, to co z tego? Toć to nie  
przeszkoda, by u nas służył... Rutje na tę uwagę nic już nie  
odpowiedział, pogrążył się w zadumie. Pierwsze dwa dni  
marszu odbyli spokojnie, nie napotykając żadnej żywej istoty.  
Mijane wsie stały puste, dawno widać opuszczone przez  
mieszkańców, wypłoszonych zapewne przez oddziały  
grasujące tu jeszcze latem. Ale droga była przetarta, choć  
zbity nieg wskazywał, że jeździły nią raczej konne oddziały  
niż sanie. Kiedy za wkrótce przyszło zagłębić się w lasy,  
znaczyły ją również długie linie zagłębień pozostawionych



przez łyże - jak zwano gładkie deski, które szysze przywiązywali sobie do nóg, by w ten sposób szybciej i łatwiej posuwać się w zasypanym śniegiem terenie. Mróz jeszcze był znosny, wystarczyło więc na biwaku rozpalic ognisko, by zaznaczc spoczynku. Czuwały wówczas gęsto rozstawione straże, gdyż pułkownik nie lekceważył niebezpieczeństwa. Jak się wkrótce okazało, nie była to zbędna ostrożność, bo już trzeciej nocy zagrzmiały strzały posterunków. Wszakże doświadczonego żołnierza bez popłochu poderwał się na nogi, do ognisk poleciały co suchsze gałęzie, oświetlając szerokim kręgiem ciemną głębię lasu, w którą z szablami w rękę rzuciła się żołnierska brać. Dopiero po blisko godzinnej walce napastnicy zostali odparci i zniknęli w czerni nocy, pozostawiając pomiędzy drzewami liczne zwłoki swoich towarzyszy. Ten pierwszy napad był niejako zapowiedzią czekających chorągwie trudności. Następnej nocy przyszło odpierać kolejny atak, drugi zaś w kilka godzin później, już za dnia, w czasie marszu. Potem, kiedy hufiec skręcił bardziej na wschód, opuszczając drogę na Perejesław, dwa dni minęły spokojnie. Wszakże nocą znów przyszło żołnierzom chwycić za broń. Jakby mało było tej udręki, mróz zaczął tężeć, kłując nozdrza przy każdym oddechu. Konie, coraz bardziej zmęczone, parowały gęsto, przemarznięty żołnierz okrywał kożuszki derkami, kuląc się w siodłach. W nocy nie można było rezygnować z ognisk, gdyż groziło to zamarznięciem, chociaż ich blask zdradzał miejsce biwaku. Ponure stawały się twarze żołnierzy, a spojrzenia, lustrujące pobocza drogi, coraz bardziej czujne. Ciemne bowiem wnętrza boru, każde skupienie zarośli, zagłębienie terenu, wszystko, co mogło stanowić jakąkolwiek kryjówkę, było podejrzane, stwarzało groźbę nagłej napaści, mimo że szły i boczne straże, dokładnie lustrujące teren. Jednak oddziały szyszów były teraz tak silne i coraz lepiej zbrojne zdobyczną bronią, że nie liczyły

się z ostrzeżeniem, jakie straże dawały, a spędziwszy je do głównego oddziału, rzucały się na ciągnące chorągwie. Były to napaści nagłe, szybkie, ale krótkie, bo atakujący wiedzieli, że zbyt długo mierzyć się z napadniętymi nie mogą. Niby sfora psów dopadająca odyńca obskakiwali dookoła jeźdźców, starając się dosięgnąć ich włócznią lub łańcuchem, i nie wdając się w dłuższą walkę umykali w leśny gąszcz, gdzie nie groził im pościg ciężkich, husarskich koni. Noce stały się jeszcze większą męką, gdyż wobec częstych napadów pułkownik zabronił palić większych ognisk, nie było więc łatwo ogrzać się przy byle jakim, pełgającym płomieniu. Toteż zaczęły padać pierwsze ofiary tego surowego zarządzenia. Coraz częściej żołnierze znajdowali rankiem zamrożone ciała swoich towarzyszy. Mimo to oddział wytrwale zdązał w okolice Suzdału, gdzie nie sięgały jeszcze wyprawy po żywność, a i okolica była spokojna, bo nie grasowały tu watahy kozackich rabusi. Rutje przez kilka dni daremnie wypytywał o Uruzowa, nie zdołał go jednak osiągnąć. Tatarzy bowiem idąc w straży przedniej biwakowali osobno i chyba celowo niezbyt blisko polskiego obozu. Okazja do rozmowy z Tatarem nadarzyła się wówczas, kiedy Peter dostał rozkaz od pułkownika przekazania przedniej straży zmiany kierunku. Wskazano mu dowódcę, którym tym razem był sam Ibrahim. Rutje powtórzył mu rozkaz, a kiedy następnie spytał o Uruzowa, ten wskazał mu jadącego obok jeźdźca. - To on. Czego chcesz od niego? - Wiem o tobie, murzo, że dzielny wojownik. Dlaczego zatem pytasz niczym ciekawa niewiasta? Ibrahim ciągnął gniewnie brwi i odpowiedział wyniośle: - Ostawię cię bez odpowiedzi... - Chcę z nim nieco pogadać, a o czym, na pewno sam ci powtórzy. - Wstrzymajcie zatem wierzchowce, by ostać w tyle. Uruzow nie odzywał się, lecz słysząc tę wymianę słów, pierwszy ciągnął wodze swego konia. Kiedy znaleźli się już

poza ostatnimi jeźdźcami, Peter zagaił: - Obaj służymy pod rozkazami hetmana, winni×my mu przeto żołnierską wierno×ć. Czy× w tym zgodny ze mną? Uruzow obrzucił Rutjego zdziwionym spojrzeniem. - Czy powątpiewasz w to? - Dowodów twej wierno×ci nie mam, ale my×lę, że mi je dasz. - Nie ufasz mi? Co cię niepokoi? - Niektóre wiadomo×ci, jakie do mnie dotarły. - Cóż to za wiadomo×ci? Ludzie różne rzeczy plotą. - Ponoć służył× uprzednio drugiemu samozwańcowi? - Nie ja jeden. Połowa hetmańskich żołnierzy służyła i jemu, i innym panom. Dymitr zginął, musiałem więc szukać służby gdzie indziej. - To zrozumiałe i tego za złe nikt ci mieć nie może. Ale Dymitr ponoć został ubity przez swoją przyboczną straż, a tę stanowili Tatarzy... Uruzow spojrzał na niego badawczo, a potem roze×miał się. - Więc już o tym wiesz! To ci mogę jeszcze powiedzieć, że to ja dowodziłem tą strażą. Wszakże ręki do tego nie przyłożyłem! Lecz znalazło się kilku takich w×ród moich ludzi, których Dymitr mocno pokrzywdził, i ci zmówili się, by go zgładzić. Goniłem ich potem, ale bez skutku, gdyż w zamieszaniu, jakie powstało, zbyt późno rzuciłem się w po×cig. Rutje u×miechnął się lekko. - Rad to słyszę, choć o tej gonitwie wiadomo mi co innego. Ostawmy jednak tę historię, bo prawdę mówiąc, ×mierć Dymitra mało mnie obchodzi. Szalbierzem był, toteż zginął marnie... Bardziej mnie wszakże ciekawi pewien człowiek, jemu bliski. Jako dowódca straży na pewno go znał×. - Jak się zwie? - Grigorij Pawłowicz Suchecki. Człek o lisiej twarzy i, jak sędzę, takiej samej naturze. Znał× go? Co możesz o nim powiedzieć? Uruzow milczał, wracając chyba my×lą do przeszło×ci. Wreszcie przybliżył swego wierzchowca do konia Rutjego i powiedział ×ciszając głos, jakby nie byli sami na pustej drodze: - Powątpiewał× w moją wierno×ć hetmanowi. Aby× więc nie miał co do tego wątpliwo×ci, powtórzę ci rozmowę tego człowieka z

Dymitrem w noc, kiedy×my uchodzili przed po×cigiem żołnierzy pana íólkiewskiego. Jechałem tuż za nimi, mimo że Dymitr przykazał mi pohamować konia. Jednak noc była ciemna, a ja ciekaw, o czym będą gadać... - I usłyszałe×? - Dokładnie. Dymitr spodziewał się już rychłego końca i spragniony nad wami zemsty wymógł na Sucheckim, że wygubi wszystkich waszych co znamienitszych wodzów... - I Suchecki mu to przyobiecał? - rzucił równie cicho Rutje, cały pod wrażeniem usłyszanych słów. - Zaprzysiągł na zbawienie duszy. - Mocno musi nas nienawidzić, je×li nie oponował... - Równie mocno jak Dymitr, tom wyrozumiał. Ale przyczyn nie znam. Rutje opanował wrażenie, jakie wywarła na nim usłyszana wiadomo×ć. - Istotnie dowiodłe× swojej wierno×ci, mo×ci Uruzow, mów więc mi o tym. Sądzę, że hetman należycie oceni twój postępek. Uruzow skinął głową, ale jego odpowiedź nie była pozbawiona lekkiej drwiny: - Wolałbym wszakże, aby poza hetmanem nikt o tym, com rzekł, nie wiedział. Cnota wierno×ci nie potrzebuje rozgłosu. - To ci przyrzekam... - Rutje skinął głową i trącił konia ostrogą. Mimo ×nieżyc, zasp i tęgiego mrozu Wessel prowadził swój oddział uparcie na wschód. Mijane dotąd wsie nie były zbyt zasobne i rozrzucone rzadko, zebranie więc dostatecznej ilo×ci paszy i żywno×ci, a także sań do ich transportu, wymagałoby za dużo czasu i mitręgi. Natomiast okolice Suzdalu były i bogatsze, i gę×ciej zaludnione. Starał się i×ć omijając osiedla, je×li nie brakowało mu paszy dla koni. W miarę posuwania się w głąb spokojniejszego terenu napa×ci stawały się coraz rzadsze, więc podróż mijała na ogół spokojnie. Kiedy był już o kilka mil od Suzdalu, zapadł w lasy, dając ludziom i koniom nieco odetchnąć. Zezwolił też na palenie ognisk, przykazując jednak, by nie dymiły. Rozesłał zaraz wywiadowców, by zasięgnęli języka o położeniu i zasobno×ci okolicznych wsi. Po otrzymaniu wiadomo×ci

rozdzielił ludzi na trzy grupy, każdej przeznaczając inną okolicę. Przy sobie pozostawił jedną chorągiew oraz Tatarów, na wypadek gdyby któremuś z oddziałów trzeba było przyjechać z pomocą. Okazało się to zbędne, gdyż wszystkie trzy zagony wróciły szczęśliwie, wiodąc każdy po kilka setek wozów wszelkich zapasów. Wessel zarządził więc natychmiastowy wymarsz dwurzędowym taborem, który otoczyli jezdni. Obecnie ostrożność w marszu wzmógł jeszcze bardziej. Straż przednia i tylna zostały wzmocnione z nakazem rozsyłania patroli, w nocy zaś przywrócił nad wyraz uciążliwy zakaz palenia ognisk. Znowu więc pozostawiano za sobą groby zamarzniętych towarzyszy. Ponownie też zaczęły się nagle, nieoczekiwane napaści, które trzeba było nieraz odpędzać z wielkim wysiłkiem. Już kilka dni byli w drodze, kiedy około południa nadleciał z przedniej straży Tatar z wiadomością, że las niedługo się skończy, a za nim ciągnie się zagajnik. Tam właśnie, wśród młodej sosniny dostrzegli błysk ostrza włóczni. Ibrahim ukrył więc oddział na skraju lasu i pytał, czy ma iść dalej, bo jeśli to zasadzka, to straży przedniej nie zaczepi, czekając na główne siły. Pułkownik przykazał podjąć marsz. Przedtem jednak pachołcy i pocztowi obsadzili wozy, konie pozostawiając pod ochroną w lesie. Husarze i pancerni oddali im posiadane rusznice, a sami rozdzielili się na trzy grupy. Główną, w czterysta koni, pułkownik wziął pod swoją komendę, pozostałe dwie mniejsze powierzył Wąsowiczowi i Moczulskiemu. Rozkazał im obsadzić obie strony traktu i nie ukazywać się, dopóki nieprzyjaciel nie uderzy na tabor. Wtedy dopiero mieli bez zwłoki zaatakować napastników z obu boków. Oddziały te rozjechały się znikając za drzewami, pocztowi zaś i czeladź, każdy z zapasową rusznicą, zalegli w wozach i tabor ruszył w dalszą drogę. Istotnie drzewa zaczęły wkrótce rzednąć i ukazała się otwarta płaszczyna pola zawiana wiekiem, przecięta zieloną ścianą sosnowego

zagajnika, który ciągnął się po jednej stronie drogi. Straży przedniej Ibrahima, która przeszła nie nagabywana, nie było widać, gdyż zniknęła już za skrajem zaro×li. Konie czołowego oddziału Wessela szły stępa, jeźdźcy, otuleni w kożuchy i burki, kiwali się w siodłach, jakby ogarnięci drzemką, a za nimi z pokrzykiwaniem woźniców ciągnęły sanie, jedne tuż za drugimi, tworząc dwa długie rzędy. Nagło×ć ataku, jaki nastąpił, na pewno zaskoczyłaby kolumnę, gdyby nie była na to przygotowana. Toteż kiedy raptem zafalowały gałęzie so×niny, roztrącane końskimi piersiami, i wyłoniła się ćma rozwrzeszczanych jeźdźców, chorągwie z nagłą ożyły. Poderwane natychmiast konie rzuciły się ku atakującym, a jeźdźcy, krzykiem odpowiadając na krzyk napastników, z równym impetem zmierzyli się z nimi. Wessel jednym rzutem oka ocenił ogromną przewagę liczebną nieprzyjaciela. Zanim zderzyli się ze sobą, widział, jak z zaro×li wypadały wciąż nowe oddziały konnych, a wkrótce ukazali się i piesi, biegnąc wszakże nie ku bitwie, ale do stojących sań. Pędzili ku nim i konni, zdawało się więc, że bez trudu, samą swą liczbą zaleją tabor. Zagarniali go z obu stron z zamiarem całkowitego otoczenia. Raptem rozległ się krzyk komendy i z obu rzędów sań zagrzmiała salwa, pokrywając zaprzęgi chmurą dymu. Oddana z bliskiej odległo×ci uczyniła w×ród napastników tak wielkie spustoszenie, że ci, jakby wstrzymani niewidzialną zaporą, stanęli w miejscu i w oszołomieniu zdawali się nie wiedzieć, czy gnać dalej, czy rzucać się do ucieczki. Konie i jeźdźcy, wpadając na pieszych, tworzyli splątany tłum, w który wdzierali się kolejni jezdni, nie mogąc pohamować rozpędzonych wierzchowców. Wtedy gruchnęła następna salwa, już do reszty rozbijając atak. Jednocze×nie spomiędzy drzew lasu wypadły dwa odwodowe oddziały i pognały ku walczącym. Te już tylko siekły uciekających, po czym obróciły się ku czołowemu oddziałowi ×piesząc mu ze

wsparciem. Wessel ciężką odbywał przeprawę z przeważającym liczebnie przeciwnikiem. Mimo to nie ustępował mu pola wiedząc, że lada chwila nadleci pomoc. Toteż kiedy nadeszła, obraz walki natychmiast się zmienił. Napastnicy spotkali się z groźbą otoczenia, więc coraz ×pieszniej zaczęli ustępować. Wreszcie wynik rozprawy rozstrzygnął ostatecznie Ibrahim ze swymi Tatarami, który na odgłos bitwy zawrócił i uderzył na tyły watahy walczącej jeszcze z Wesselem. Ta, usłyszawszy za sobą krzyk "hałłach, hałłach" nadbiegających Tatarów, nie wiedziała, że jest ich tylko garstka, od razu więc rzuciła się do ucieczki, straciwszy już całkiem ochotę do walki. Obróciwszy się plecami mogli już tylko polegać na ręco×ci własnych wierzchowców. Ale że rumaki husarskie były bardziej ręczne, nasieczono teraz napastników więcej niż w czasie całej bitwy. Toteż nie trwała dłużej niż godzinę, jednakże tabor, ruszając w dalszą drogę, pozostawiał za sobą ×niezną płaszczyznę gęsto usianą zwłokami koni i ludzi. Przewidywania pułkownika Wessela, wyrażone w czasie pogawędki z oficerami po odbytej bitwie, jeszcze w kulbakach, sprawdziły się. Rozbicie oddziału partyzanckiego, i to tak silnego, zapewniło taborowi spokój na najbliższe dni. Przeciwnik bowiem musiał najpierw skupić rozproszone siły, uporządkować się, a dopiero potem pomy×leć, czy warto powtórnie zaczepić czujnego wroga. Toteż tak dni jak i noce mijały teraz spokojnie i tylko mróz wciąż mocno dawał się we znaki coraz bardziej wycieńczonemu żołnierzowi. Dlatego też, mimo że tabor miał już za sobą więcej niż połowę drogi i pomału zbliżał się do Moskwy, oblicze pułkownika stawało się z każdym dniem mroczniejsze. Również i Rutje trapił się mocno, bo stan jego młodego towarzysza nie wróżył niczego dobrego. To, że schudł i zaro×nięte oblicze miał niby jabłko o zimowej porze, pomarszczone i wiotkie, dziwne nie było, gdyż takie mieli

wszyscy. Ale w innych oczach dostrzegał bądź błyski niewygasłego animuszu, bądź uporczywości i zawziętości czy też wreszcie chmurnej determinacji. Natomiast wzrok Trojana był oziębiały, zagubiony, obojętny na otoczenie, jakby wszystko, co działo się wokół, było dlań niezrozumiałe. Widać było, że życie w nim wygasa i ledwie się już tylko kołaczę resztką sił. Do Moskwy pozostało mało co więcej niż dziesięć mil, toteż obliczano, że za pięć, sześć dni dotrą wreszcie do celu. Peter żywił więc nadzieję, że jeszcze ten czas zdoła Marek wytrzymać. Mróz jakby zelżał, ale z kolei gdzieś około południa zerwał się wichur, a z nim nadleciała śnieżnica, i to tak gęsta, że o trzy kroki ledwie można było rozróżnić człowieka. Wielkie, białe płatki śniegu leciały nieomal poziomo, zakrywając nieprzeniknioną zasłoną wszystko, co działo się dookoła. Gdyby zamieć potrwała dłużej, mało kto zapewne uszedłby z życiem. Wszakże nikt nie zaprzętał tym sobie głowy. Kolumna stanęła, konie same poobrały się zadami do wiatru i pokładły łby, opuchliwie, zastygły jakby w rezygnacji. Józłnierze zeskoczyli z siodeł i opasawszy się ciasno kożuszkami, przywarli do swych wierzchowców. Wichur za to był huczącym basem, to gwizdał przenikliwie, jakby urągając ludzkiej udreće. Śnieg pędził tak gęsty i tak szybko, iż zdawało się, że to biała piana zalewa świat, bijąc po ramionach i wtulonych w nie głowach. Na szczęście burza jak z nagle przysła, tak nagle ustała. Wiatr raptownie ucichł, po niebie pędziły już tylko resztki postrzępionych chmur, spoza których, wisząc nisko nad horyzontem, wyrzało blade słońce i rzuciło na siną płaszczyznę pola nikłe, żółte światło. Konie wstawały, a z nimi i ludzie, otrząsając się ze śniegu. Woźnice z krzykiem zawracali sanie w poprzednim kierunku, choć nie pozostało ani ładu drogi. Zaraz też ruszyła straż przednia. Czekają ją ciężkie zadanie przecierania szlaku, toteż Wessel wyznaczył chorągwiom kolejność zmian w tym



trudzie. Kierując się zachodzącym słońcem kolumna ruszyła ku czarnej ×cianie lasu widocznej na horyzoncie, by w×ród drzew zatrzymać się na nocny postój. Kiedy już można było stanąć na nogi, Rutje ogarnął z siebie ×nieg i podniósł się z ziemi. Za jego przykładem poszedł i Makary. Trojan za× nadal leżał na boku z głową otoczoną ramionami. - Hej, Marku, co ci?! - rzucił zaniepokojony Peter pochylając się nad towarzyszem. Ten jednak zdawał się nie słyszeć wezwania, bo nie ruszał się, choć lekki obłoczek pary u na wpół otwartych ust wskazywał, że żywy, a tylko ×pi głęboko. - Trza budzić na siłę... - mruknął Makary. - Bo jeszcze trochę, a zga×nie... Rutje bez tej uwagi wiedział, co grozi towarzyszowi. Potrząsnął go więc mocno, ale ten tylko szepnął ledwie dosłyszalnie: - Daj mi spać... Peter opadł na kolana i zgarnąwszy nieco ×niegu zaczął nim pocierać twarz leżącego. - Spać nie będziesz! Wstawaj, bo wnet ruszamy! Odpowiedział mu ledwo przytomny bełkot: - Nigdzie nie ruszam... Chcę spać... Peter wstał z ziemi. - Bierz go, Makary, za drugie ramię. Trzeba go postawić na nogi, musi oprzytomnieć! Kiedy dźwignęli u×pionego i zaczęli go rzucać ku sobie niby bezwładną kukłę, Trojan wreszcie oprzytomniał, bo zawołał ze zło×cią: - Czy×cie poszaleli, sobacze ogony?! Czego ode mnie chcecie?! - Aby× dosiadał wnet wierzchowca! Czoło już ruszyło! - To dlatego poniewieracie mną jak mieszkem gnatów?! Gdzie mój koń? - Rozejrzał się niezupełnie jeszcze przytomnie. - Tam gdzie i nasze. Uwiązany do sań. - No... no to ruszamy... - Marek obrócił się, ale byłby upadł, gdyby Makary na czas go nie podtrzymał. - Jeszczem nie wybił się ze snu... - burknął usprawiedliwiająco. - Ale wnet oprzytomnieję. Po godzinie jazdy, w czasie której dostrzegli, jak ich towarzysz miast dźwżyć wodze trzyma się kurczowo łęku siodła, dotarli do skraju lasu, gdzie oboźny wyznaczył już miejsce na nocny postój. Sanie ustawiono w

kraę, za nimi skryto konie, a rycerska brać rozłożyła się na zewnątrz tego kręgu, na wiele się dało odgarniając i udeptując ×nieg. Było go tu znacznie mniej, gdyż drzewa osłabiły napór zamieci. Zezwolono na rozpalenie małych ognisk, wszakże z rozkazem osłonięcia ich od strony pola. Poszła więc czeladź w las, by rąbać na ową osłonę młodą so×ninę, a pan oboźny wyznaczył kolejno×ć straży. Służbę tę pełnili teraz wszyscy bez wyjątku, łącznie z towarzyszami husarskimi, którzy zwykle byli od niej uwolnieni. Poszczególne czata składała się z trzech ludzi, z których jeden jako nasłuch wysuwał się jeszcze do przodu. Posterunku w zależno×ci od pokrycia terenu stały od dwóch do kilku staj od siebie, a z wiorstę od obozu. Za za×nięcie na posterunku, zwłaszcza w pobliżu nieprzyjaciela, groziła kara ×mierci. Wła×nie tej nocy kolej przyszła również na Rutjego i jego towarzyszy. Peter zgłosił jednak niemoc Trojana w pełnieniu tej służby, skutkiem czego dostał w zastępstwie jednego z pancernych. Nowym towarzyszem okazał się wąsaty, chudy rębajło o ponurym obliczu. Ubrany był tak jak i większo×ć żołnierzy, w krótki kożuch ×ciągnięty skórzanym pasem, za którym tkwił pistolet, a wysoko przytroczona szabla wisiała mu u boku. W rękę za×trzymał rusznicę. - Trzebicki herbu Jastrzębiec - przedstawił się Rutjemu wyciągając dłoń w grubej, łosiowej rękawicy. Po ulokowaniu Marka w jednych z sań i poruczeniu go pieczy woźnicy ruszyli na wyznaczone im miejsce. Przypadło ono w głębi lasu. Zgodnie ze zwyczajem ustalili między sobą kolejno×ć obejmowania nasłuchu, bo ten był najważniejszy i najbardziej niebezpieczny, gdyż przeważnie tych wartowników wła×nie znajdowano z arkanem na szyi lub strzałą w plecach. Pierwszy poszedł do przodu Makary. Rutje za× z Trzebickim zasiedli na zwalonym drzewie i rozpoczęli nużącą wartę. Wiatr przegnał chmury jeszcze przed zachodem słońca, więc noc zapowiadała się księżycowa. Na razie

×wieciły tylko gwiazdy, skrząc się pomiędzy nagimi koronami drzew, ale wielkie, ×wiejące kolisko już ukazywało się w×ród gałęzi. Las skuty mrozem jakby zastygł w nieruchomej ciszy. Od czasu do czasu przerywał ją tylko ledwie słyszalny szelest zsuwającego się z konarów ×niegu. Mróz dawał się we znaki. Coraz czę×ciej wstawali bijąc się dłońmi o barki i przytupując, by rozgrzać stopy. Wreszcie jako następny ruszył na wysunięty posterunek Trzebicki, a wkrótce potem zaskrzypiał ×nieg i z ciemno×ci wyłonił się Makary. - Cisza, że w uszach szumi... - rzucił półgłosem podchodząc do zwalonego pnia. - Widać zamieć i szyszów przydusiła do ziemi. Rozmawiali jeszcze chwilę przyciszonymi głosami, potem zamilkli, każdy po swojemu cierpiąc od zimna. Mimo to co rusz lustrowali wzrokiem ciemną głębię lasu, bacznie nastawiając ucha, czy nie doleci z niej jaki× podejrzany szmer. Tak minęła blisko godzina, kiedy Rutje, który wła×nie przysiadł na kłodzie po dłuższym dreptaniu po mocno już ubitym ×niegu, znów raptownie poderwał się na nogi i odchyliwszy nastawiony kołnierz kozucha, począł wsłuchiwać się w ciszę czarnego wnętrza boru. - Co...? - Makary urwał, bo Peter podniósł ostrzegawczo rękę. Po chwili dopiero szepnął wyciągając zza pasa pistolet: - Ostań tu i bacz pilnie dookoła, a zwłaszcza za siebie. Idę do Trzebickiego... Co× usłyszałem... Jakby kto stęknął czy sapnął... Nie wiem, pójdę sprawdzić. Obrócił się i ruszył w głąb lasu po tropach towarzyszy. Księżyc stał już wysoko i jego ×wiatło, przedzierając się przez gałęzie drzew, znaczyło na ×niegu czarne pasy cieni od pni. Nadal panowała zupełna cisza, w×ród której słyszał tylko szmer wdeptywanego przez stopy ×niegu. Posuwał się szybko, kryjąc się ostrożnie za drzewami i bacznie badając wzrokiem otoczenie. Księżycowe ×wiatło na tyle rozpraszało ciemno×ć, że zawczasu dostrzegł leżące przed nim ciało. Dopadł je w paru skokach. W karku Trzebickiego tkwiła

strzała. Rutje stwierdził od razu, że życie już z niego uszło. Wyprostował się i rozejrzał dookoła. O kilkanaście kroków dalej dostrzegł wycięte w niegu ciągłe linie, jakie pozostawiają za sobą łyże. Szybko zdjął rękawice, złożył dłonie i wkrótce rozległo się przeciągłe, ponure pohukiwanie puszczyka - sygnał ostrzeżenia dla najbliższych posterunków. Potem ruszył biegiem wąskim ładem łyż. Wgłębienia wskazywały, że miał przed sobą trzech nocnych myśliwców. Niebawem dostrzegł, że łady skręciły nieco w kierunku linii posterunków. Nie minęło wiele czasu, jak ich dostrzegł. Dwóch miał przed sobą skrytych za grubym dębem, trzeci wychylał się właśnie zza pobliskiego krzaka jałowca z łukiem w wyciągniętej ręce; z wolna napinał cięciwę, przyciągając ku piersi założoną strzałę. Peter ujrzał, gdzie była wymierzona. Wartownik był schowany za drzewem, ale z tej strony dobrze widoczny. Nie wiadomo mi, jaka nad nim zawisała, bacznie wpatrywał się w głąb lasu. Rutje wyszarpnął zza pasa pistolet i podparłszy go wolną dłonią, chwilę mierzył, a kiedy cięciwa temtego już się napięła, pociągnął za spust. Strzał huknął niby grom, rozdzierając ciszę upiętego lasu. Człowiek z łukiem uczynił pół obrotu i zwałił się w niego. Dwaj pozostali znieruchomieli raptem, by gwałtownie poderwać się do biegu. Nie zdążyli wszakże zrobić i dziesięciu kroków, kiedy zagrzmiął drugi strzał, tym razem z rusznicy owego wartownika. Jeden z uciekających zatoczył się, potem daremnie usiłował uczynić następny krok, zanim upadł twarzą w niego i znieruchomiał. Drugi za ku zdumieniu Petera zamiast biec dalej opadł przy leżącym na kolana i schyliwszy się, próbował go unieść. Widać jednak był to trud ponad jego siły, bo ostrożnie osunął ciało na niego i rzucił prosząco, kiedy Peter z pistoletem w ręku doskoczył do niego: - Eto moj otiec... On tolko ranien, nie ubiwaj jewo... Rutje ujrzał twarz młodego, najwyżej szesnastoletniego

chłopca o parze niebieskich oczu rozszerzonych strachem, ale i błagających. Mimo woli schował pistolet za pas, lecz nie zdążył odpowiedzieć, gdyż nadbiegł ów wartownik, którego przed chwilą wyratował z opresji. W jednej ręce trzymał rusznicę, z której wydostawała się jeszcze resztką dymu, w drugiej obnażoną szablę. Na widok klęczącego uniósł ją do góry, ten za× odruchowo osłonił ramionami głowę. Peter przytrzymał dłoń żołnierza. - Daj spokój, toć to jeszcze pacholę... - powiedział. - Ten za× ranion, chyba dobijać go nie będziesz? ółnierz opu×cił szablę, lecz parsknął ze zło×cią: - Wszakże mało mnie nie ustrzelili, psubraty! - Ale× żywy, tedy mu pofolguj... - íywym dzięki tobie, bracie! Po drodze widziałem tego z łukiem. Jeszcze miał strzałę na cięciwie. W czas nadażył×! - Nie ma o czym gadać. Unie×my rannego, a to jego syn, niech nam pomoże. Dobrze będzie zasięgnąć u nich języka. Tymczasem na odgłos strzałów obóz poderwał się na nogi. Po chwili nadleciało paru konnych z zapytaniem, co było przyczyną alarmu. Po wyja×nieniu Petera pognali z powrotem, by powiadomić dowódców. Rannego przetransportowali do obozu. Okazało się, że kula przebiła mu tylko bok, i to nie głęboko. Przepytywany zeznawał bez oporu, w strachu, że zostanie porzucony w polu. Należał do nielicznej grupy, która nie kusząc się o napad na obóz, próbowała pozbawić go chociaż straży. Ostatecznie pułkownik zrezygnował z ugania się za byle jaką grupą, bo nie warta była zwłoki. Rannego za× zezwolił Rutjemu zabrać wraz z chłopcem na wóz i zostawić w pierwszej napotkanej wsi, co przynajmniej dawało rannemu schronienie przed mrozem. Usłyszawszy o tej decyzji chłopak uniósł głowę i zapytał nie×miało: - Pozwólcie podziękować wam, wielmożny panie... Uratowali×cie nas w lesie, a teraz wstawili×cie się za nami. - To pięknie, że umiesz być wdzięczny. Jak się zwiesz? - Kola, wasza miło×ć... Nikołaj Nikołajewicz Soroka - dorzucił zaraz,

uznawszy widać, że pierwsza prezentacja była za uboga. - Skąd pochodzisz? - Z siewierskiej ziemi. Mamy tam gospodarstwo, bo×my ze szlacheckiego rodu... - uzupełnił z nutą dumy. Rutje położył dłoń na ramieniu chłopca. - Bądź zdrow i opiekuj się rodzicem. Ostawię ci nieco żywno×ci. Może się jeszcze spotkamy, ale nie jako wrogowie... W pięć dni potem stanęli wreszcie pod murami Moskwy. Przez ten czas Trojan, jadąc na saniach, przyszedł nieco do sił. Jeszcze sama przeprawa do Kitajgorodu nie obeszła się bez prób odbicia transportu, ale dzięki pomocy oblężonej załogi cały tabor dotarł na miejsce. Na krótko przed dniem szóstym stycznia 1612 roku - czyli terminem wyznaczonym przez zbuntowane wojsko do zapłaty zaległego żołdu, Ciekliński zwołał w obozie pod Rohaczewem żołnierskie koło, które zawiązało konfederację. Hetman robił, co mógł, by wpłynąć na zmianę tej decyzji lub skłonić chociaż czę×ć wojska do pozostania w Moskwie. Usłyszał jednak od Cieklińskiego wyniosłe słowa odrzucające jakiegokolwiek ustępstwa, a nawet zapowiedź powrotu do Moskwy, po to jednak, by objąć konfederacją i resztę żołnierzy. Jakoż zgodnie z zapowiedzią zwinął obóz i ruszył z powrotem do stolicy. Rozsierdzony takim uporem Chodkiewicz długo bił się z my×lami, co w tej sytuacji ma począć. Gniew i rozżalenie skłaniały do pozostawienia zbuntowanych ich losowi, prawo×ć charakteru i przezorno×ć nakazywały nie ostawiać ich w niebezpieczeństwie, na jakie narazili się nie×wiadomi wojennej sytuacji. Wreszcie poczucie obowiązku przeważało i hetman ruszył w ×lad za buntownikami. Wnet okazało się, jak słuszna była to decyzja, bo już następnego dnia silne oddziały Kozaków i wojsk Trubeckiego otoczyły ciągnące drogą chorągwie Cielkińskiego. Doszło do zaciętej walki, w której ten bronił się odważnie, wszakże nie na wiele by się to zdało wobec wielkiej przewagi liczebnej przeciwnika. Zguba więc

zawisała nad głowami broniących się chorągwi i mało kto wyniósłby głowę z pogromu, gdyby hetman nie nadciągnął na czas i nie udzielił pomocy. Jednak i on musiał dokonać wielkiego wysiłku, by sprostać wrogiej przewadze, toteż bitwa przeciągnęła się do następnego dnia, zanim wreszcie udało się odeprzeć nieprzyjaciela. Resztę marszu wojska odbyły już razem i trzynastego stycznia dotarły do Moskwy. Następnego zaraz dnia zebrane koło generalne wybrało Cieklińskiego marszałkiem, wydało też odezwę, w której ogłosiło się niezależną formacją militarną, wysuwając pretensję o zaległy żołd w wysokości około trzech milionów złotych, grożąc dochodzeniem tej należności na dobrach królewskich w razie dalszej zwłoki w zapłacie. Przedłożeniem tej petycji warszawskiemu sejmowi obarczono z kolei Szczukę i Wichrowskiego. Hetmana natomiast usiłowano skłonić, by swoimi wojskami przejął obronę Moskwy, obiecując mu przekazanie magazynów i arsenału. Ten wszakże był zbyt doświadczonego żołnierzem, by poniechać swobody ruchów, odrzucił więc tę propozycję, wzywając tamtych nadal do opamiętania. Ostatecznie udało mu się skłonić część sapieżyńców do pozostania w zamian za podwyższony żołd z dwudziestu na trzydzieści złotych. Komendę nad nimi objęli mozyrski chorąży Budziłło i rotmistrz Strawiński. Konfederaci po zamknięciu koła zmienili jednak zamiar i zamiast powrotu do Polski postanowili najpierw zebrać trochę zapasów i ciągnąc spyżę zza Wołgi, samym odżywić się nieco. By ułatwić sobie zdobycie zaopatrzenia, rozdzielili się, stając w odległych o dziesięć mil od Moskwy Staricy, Pohorelej i Wołoku t'ukomskim. Były to miejsca położone dość blisko stolicy, a więc niezbyt bezpieczne, gdyż znajdowały się w zasięgu oblegających wojsk. Chodkiewicz zaś, zawsze pomny obowiązku poruczonego mu przez króla, i tym razem stanął w pobliżu, pod wsią Fiedorowsko. I on również musiał nadal

wysyłać oddziały po żywność, i to nie tylko dla siebie, ale i dla pozostawionej w stolicy załogi. Zima nadal panowała ostra, toteż wyprawy te kosztowały wiele żołnierskiego trudu i krwi, gdyż na ciągnące tabory bez ustanku napadali szysze, gorsi w swym okrucieństwie od wilków. Hetman dokonywał iście nadludzkich wysiłków, by w tych warunkach nie tylko dla siebie zdobywać zaopatrzenie, lecz i podsyłać je na Kreml. Trwał jednak w tym trudzie wiadomo odpowiedzialności, jaka obarczała jego osobę. Pochłonięty nawałem różnorodnych trosk i kłopotów nie zapomniał wszakże o kończącym się rozejmie ze Szwedami. Ganiłi więc posłańcy do gubernatora Tallina Larsona, który podjął się pośrednictwa w rokowaniach o przedłużenie zawieszenia broni. Szwedzi w tym czasie, zajęci wojną z Danią, mieli w Inflantach tylko szczupłe siły, toteż istniała nadzieja na zawarcie rozejmu. Rutje i Trojan - ten ostatni wyleczył już odmrożenia i nabrał sił - nie narzekali teraz na nadmiar czasu. Zaledwie wrócili z jednej wyprawy, już trzeba było ciągnąć na nową, czy to po żywność, czy to z pomocą konfederatom. Nie było sposobności prosić hetmana o permisję celem dalszego zajęcia się sprawą Suheckiego. Zresztą i zimowa pora nie sprzyjała temu przedsięwzięciu. Jednak ta zwłoka ciążyła Rutjemu na sercu po wieściach, jakie usłyszał od Uruzowa. Dał wyraz tej trosce w jakiejś wieczornej gawędzie z Trojanem na obozowej kwaterze. Kiedy ten, jak zwykle niechętny zbyt długiemu milczeniu, spytał, o czym się tak zadumał, Peter odpowiedział mu, jakby snując dalej tok swoich myśli: - Końca tej zimy nie widać... - Oj, prawda to, że nie widać - podchwycił Marek. - Dobrze nam zalewa sadła za skórę! Mrozy takie, że żelazo dłoń parzy. Zła to pora do wojaczki. - Wszakże nie o wojaczce myślałem. - Czemu zatem wypatrujesz końca zimy? - Bo inną mam na głowie sprawę, co nie daje mi spokoju. - Wciąż owa urodziwa



dziewka? - prychnął ironicznie Marek. - Głupi× - stwierdził obojętnie Rutje. - Nie o dziewczkę się troszczę, gorsze rzeczy za nią się chyba kryją... - Mów ja×niej, bo nic nie pojmuję! Rutje powtórzył mu przebieg rozmowy z Uruzowem i kończąc relację, dorzucił: - Należy rozdeptać tego gada, i to jak najrychlej, bo nie wiadomo, na kogo znowu zapoluje! - A owa dziewczyna? - Obaczym. Najpierw muszę ją znaleźć, niech teraz ona, nic o tym nie wiedząc, pomoże mi w mojej imprezie. Dlatego nie zdradzę się, że wiem o jej wiarołomstwie... - A więc zamierzasz ją odnaleźć? - spytał już z wyraźnym zaciekawieniem Marek. - Tak, jak tylko nieco się ociepli, chcę ruszyć do Kaługi. Sądzę, że hetman uwierzy w powagę groźby, jak mu powtórzę, co mi rzekł ów Tatar. Boję się, czy nie polują teraz na niego. - Przecież nie ma ich w pobliżu! A hetman byle kogo do siebie nie dopu×ci. - Wolę nie czekać, jak się pojawią. To chytry człek, sposobów mu nie brak. Marek zerknął spod oka na swego towarzysza. - Słuchaj... Ruszymy chyba razem? - Jakże inaczej! We trzech zawsze raźniej. Około połowy marca nadeszły listy od jego królewskiej mo×ci jak i paru zaprzyjaźnionych z hetmanem senatorów. Donosili mu o uchwale sejmowej dotyczącej poborów na dalszą wojnę, zapłaty zaległego żołdu, a także zawiadamiali, że sam król wybiera się na wyprawę wraz z synem. Na razie za× wysyła mu tysiąc chłopów polskiej piechoty. Uradowany tymi wie×ciami hetman powiadomił o nich tak konfederatów, jak i moskiewską załogę. Wbrew jednak oczekiwaniu zapowiedzi te nie wywarły żadnego wrażenia, bo żołnierz przestał już wierzyć wszelkim obietnicom. Ciekliński za× pominął je milczeniem i zażądał, by od dziewiętnastego marca hetman obsadził mury Kremla swoimi ludźmi. Chodkiewicz, rozeźlony taką butą, zabronił dokonywania jakichkolwiek zmian do czasu powrotu chorągwi wysłanych po żywno×ć i przybycia piechoty ze

Smoleńska, ostrzegając jednocześnie przed rychłym  
zjawieniem się pod Moskwą kniazia Pożarskiego.  
Hetmańskie pismo nie odniosło jednak skutku i Ciekliński  
ruszył w drogę powrotną do kraju. Skierował się w okolice  
Lwowa, gdzie rabował królewskie i kościelne dobra. W  
Moskwie pozostała załoga w sile zaledwie tysiąca sześciuset  
żołnierza pod Gosiewskim, Zborowskim, Łodzińskim i  
Budziłą. Natomiast hetman zakończył pomyślnie rokowania  
ze Szwedami, przedłużając rozejm do 1 lutego 1613 roku. W  
tym czasie Rutjemu udało się odbyć poufną rozmowę z panem  
Chodkiewiczem, w której zdał relację z zeznań Uruzowa.  
Zrobiły one na hetmanie silniejsze wrażenie, niż Rutje się  
spodziewał, gdyż i on nie zlekceważył związku śmierci  
Sapiehy i Potockiego oraz równie podejrzanego kryzysu, jaki  
nastąpił u powracającego do zdrowia Rożyńskiego. Toteż  
zezwolił Peterowi na dalsze prowadzenie tej sprawy, radząc  
mu jednak odłożyć nieco wyjazd do nastania sposobniejszej  
pogody. Trojan natomiast wybrał się nie czekając na Litwę z  
listami hetmańskimi, miał jednocześnie nadzieję, że otrzyma  
od rodzica nieco pieniężnego wsparcia, bo sakiewkę miał już  
pustą. A że i Rutje nie był zbyt zasobny, więc należało zdobyć  
środki na przyszłą wyprawę. Na hetmana bowiem trudno było  
liczyć, gdyż wiedzieli dobrze, że i on nie jest w lepszej  
sytuacji. Nastął kwiecień. Chodkiewicz zwinął dotychczasowy  
obóz i ruszył do Możajska, by tam czekać na przyobiecane  
piechotę, a także na pana Strusia, który, jak mu doniesiono, w  
trzy tysiące żołnierza lada dzień ma nadciągnąć pod Moskwę.  
Zima ta zapisała się w pamięci rosyjskiego ludu jako czas  
gniewu Bożego. Starzy ludzie, pamiętający dawne czasy, rok  
ten nazywali licholetiem, kronikarze zaś zapisali: "Wielki  
gniew Boży spadł na ludzi, mór, ziąb, grad na wszelki płód  
ziemski. Zwierz pożerał człowieka żywego, a ludzie ludzi  
jedli i niewole były wielkie..." Istotnie, całe gromady ludu

wygnane z domostw, popalonych siół i wiosek zamarzały po lasach i drogach. Wszędzie grasowały bandy rabując ludno×ć, a także staczając między sobą zażarte walki o zdobyte łupy. Mnisi, zwłaszcza z Monasteru Trójcy świętej, krążyli po okolicach Moskwy i zbierali trupy, zwożąc je do klasztoru. Przewodził tej akcji ojciec Dyonizy, który przywiezione zwłoki odziewał i grzebał. Pisał ×wiadek naoczny i uczestnik, autor życiorysu ojca Dyonizego: "...sami×my z bratem Symeonem pochowali 4000 nieboszczyków. Prócz tego objeżdżali×my posłuszni rozkazowi wsie i siola w ciągu 30 tygodni i z górą 3000 pogrzebali×my na miejscu. A w monasterze wiosną dzień nie upłynął, by pięć, sze×ć, a nieraz i dziesięć ciał od razu do jednej nie spu×cić mogiły..."

Tymczasem ruch zapoczątkowany przez Minina coraz szerzej rozlewał się po kraju. Suchoruki ×ciągał bezwzględnie podatki i daniny, sprowadzając je nieraz do jednej trzeciej posiadanego majątku. Posypały się też i dobrowolne ofiary, a byli i tacy, którzy dawali więcej, niż im wyznaczono. Bogaci kupcy prócz danin udzielali pożyczek, lud za× kwapił się do oręża. Kraj obiegały liczne gramoty wzywające do wygnania z Rosji Marynki z synem, do ×więtej wojny z litewskim królem jak i rozprawy z trzecim samozwańcem, który wła×nie pojawił się w Pskowie. Miasta rywalizowały ze sobą w dostarczaniu żołnierza i pieniędzy. Ruch ten wspomagali duchowni z archimandrytą Trójcy świętej Palicynem na czele. Mnisi z monasterów krążyli po kraju wzywając ludno×ć do walki. Śmierć więzionego patriarchy Hermogenesa, która nastąpiła dwudziestego dziewiątego lutego 1612 roku, uważanego przez ludno×ć za męczennika walki o wolno×ć, podsyciła jeszcze bardziej i tak już powszechny zapal i ofiarno×ć. Nie próżnował i książę Pożarski. Przebywał w Jarosławlu, gdzie formował i przygotowywał do walki wciąż nowe pułki. Zima w Starodubiu przeszła lisowczykom spokojnie. Odpa×li konie,

sami wypoczęli, można było i gorzałki popić, i z dziewczętami pobaraszkować, wszakże bez przymuszania, bo użycie siły, do czego nawykli, okazało się niepopłatne. W kilka dni bowiem po zajęciu kwater nadleciała do pułkownika starszyzna miasta z lamentem, że wbrew porozumieniu kilku jego żołnierzy obrabowało gospodarza, u którego stanęli kwaterą, i nie tylko służebne dziewczki przymusili do grzechu, ale i nie pofolgowali jego córce. Lisowski kazał przyprowadzić winowajców, a kiedy przybyli, otoczeni strażą, wyszedł na ganek i powiódł spojrzeniem po ich uniesionych ku górze twarzach. - Kogóż to widzę?! Pan Wa×ko, Kopicki... A jest i tuka... Moi starzy żołnierze...! - Lisowski miał doskonałą pamięć i wielu swoich ludzi znał z nazwisk. - To służąc tyle czasu pode mną nie wiedzieli×cie, że obietnic dotrzymuję? Co, tuka? Jóltnierz zdjął z głowy baranicę, ukazując wygolony czerep z czubem włosów na szczycie. - Prawda to, ba~tko atamanie... Twoje słowo pewne jak cios szabli... - Toteż przyjdzie pokiwać się na wietrze. Jutro w południe, na rynku... - Twoja wola, atamanie... Tylko nie zaniechajcie postawić na mogile krzyżyka, niech chrze×cijańskiej duszy nie porwie nieczysty! - Będziecie pogrzebani po chrze×cijańsku. Przykażę też stanąć przy pomo×cie chorągwiom. To im przypomni mój zakaz, a was uhonoruje. Ponure dotąd twarze skazańców rozja×niły się i odpowiedzieli zgodnie: - Dziękujemy, hetmanie! Owo przypomnienie okazało się skuteczne, bo był to jedyny incydent, który zakłócił współzycie z mieszkańcami miasta. Kiedy więc w połowie marca chorągwie ruszały w pole, zęgało je niejedno zapłakane lico dziewczęce. Lisowski po naradzie ze swymi najbliższymi oficerami postanowił uderzyć na Briańsk. Drogi w tych stronach już zaczęły podsychać, więc chorągwie szły szybko, by w miarę można×ci zaskoczyć miasto nagłym zjawieniem się. Nie nagabywano napotykaných po drodze wsi i miast, by nie tracić czasu i

uprzedzić wie×ci o nadciągającym wojsku. Jednak wtedy jeszcze Lisowski nie doceniał przezorno×ci kniazia Pożarskiego, który polecił ×leźć wszelkie jego poruszenia. Toteż kiedy mijął Wygonicz, wojewoda briański już wiedział o jego zbliżaniu się. Lisowski zastał więc wrota zawarte, tyny obsadzone przez zastępy zdeterminowanych obrońców, a na wezwanie do poddania się, otrzymał pogardliwą odpowiedź. Licząc na taką reakcję, polecił od razu swoim żołnierzom zabezpieczyć się przed wypadami obleżonych. Główna czę×ć miasta leżała w zakolu Desny, na jej zachodnim brzegu, skąd był najłatwiejszy dostęp pod jego umocnienia, dlatego też z tej strony były i najsilniejsze. Tu jednak pułkownik rozstawił swoje wojsko, tylko dwom chorągwiom pod wodzą Rogowskiego polecił penetrować wschodni brzeg rzeki i nie dopuszczać jakichkolwiek transportów z zaopatrzeniem dla załogi. Rozpoczął szturmy, ale tylko czę×cią swoich sił, by przede wszystkim rozpoznać siłę obrony, a przy tym przyzwyczać przeciwnika do lekceważenia szturmujących. Potem gotował się do zadania decydującego, gwałtownego uderzenia. Wszakże do tego nie przyszło, gdyż nadleciał goniec od Rogowskiego. Porucznik przesyłał pismo, jakie przejął od pojmanego gońca, wysłanego do wojewody Briańska. Była to zachęta do obrony z zawiadomieniem, że odsiecz w sile trzech i pół tysiąca ludzi jest już w drodze i za dzień, dwa przybędzie z pomocą. Lisowski odwołał więc zapowiadany szturm i nocą, by nie spostrzegła tego obleżona załoga, z większo×cią swoich sił ruszył naprzeciw ciągnącej odsieczy. Prowadził niespełna dwa tysiące żołnierza, gdyż jedną trzecią zostawił pod Briańskiem z poleceniem, by ruchliwo×cią maskowali w miarę można×ci ubytek wojsk. Uznał zresztą, że tego, co prowadzi, starczy, by dać nauczkę natrętom. Jakoż dał, i to srogą, bo zostało z odsieczy zaledwie siedem setek ludzi, którym udało się uj×ć z pogromu. Po

powrocie pułkownika zawiadomiono go, że o pół mili zatrzymał się oddział liczący blisko tysiąc koni, a jego dowódca chciałby z nim mówić. Zaciekawiony tym życzeniem wysłał gońca z zaproszeniem dowódcy na kwaterę. Przybysz nadjechał następnego ranka w pięć koni i przeprowadzony przez strażę zsiadł z kulbaki przed namiotem Lisowskiego. Ten wyszedł na zewnątrz w otoczeniu swoich oficerów, bacznie lustrując wzrokiem nieoczekiwanego gościa. Był to mężczyzna nieco po trzydziestce, niezbyt wysoki, ale barczysty. Krótkie jasne wąsy i biel zębów, które odsłonił w uśmiechu powitania, odejmowały mu wszakże lat. Podszedł do Lisowskiego z wyciągniętą prawicą. - Zwę się Jerzy Rysiewicz, klejnotu Przeginia - zaprezentował się. - Przybyłem, mości pułkowniku, by za waszej zgodą ze swymi chorągwiami pod jego komendą powalczyć. Wiodę osiem setek szabel. Po krótkiej rozmowie, w czasie której uzgodniono warunki, przybyłe chorągwie dołączyły do sił Lisowskiego, poważnie je wzmacniając. Powtórnie trzeba było jednak poniechać zamierzonego szturmu, gdyż po raz drugi przyszła od Rogowskiego wiadomość, tym razem zacerpnięta od Kozaków zbiegłych z moskiewskiej niewoli. Donieśli, że książ Szacharski prowadzi tym razem dziesięć tysięcy żołnierza, by pomóc porażkę, której zaznała uprzednio wysłana odsiecz. Pułki kniazia - jak zeznali - ciągną spod Orłowa, podążając w kierunku Karaczewa. Miasto to leżało na szlaku wiodącym z Orła do Briańska, więc Lisowski nie zlekceważył tej wiadomości. ściągnął Rogowskiego, wziął chorągwie Rysiewicza i pozostawiwszy komendę Kleczkowskiemu wraz z pięciuset ludźmi, znów nocą opuścił stanowiska i ruszył na wschód. Odległość z Briańska do Orłowa wynosiła około dwudziestu mil, Karaczew natomiast leżał na jednej trzeciej tej odległości, liczonej od Briańska. Owe ponad sześć mil Lisowski przebył w ciągu nocy, za dnia

zatrzymując się w otaczających Karaczew lasach. Natychmiast też rozesłał zwiady, by rozeznać, jak daleko znajduje się nieprzyjaciel. Wieści otrzymał nadspodziewanie szybko, gdyż jak się okazało, Szacharski nadciągnął niedawno i stanął obozem niecałą milę od miasta. Zmierzch był już bliski, ale odległość nieduża, toteż Lisowski postanowił osobiście zbadać podejście do nieprzyjaciela. Wziął ze sobą Rysiewicza i Kalinowskiego oraz dwóch żołnierzy ze zwiadu, by wskazali drogę, i w piątkę ruszył na rozpoznanie. Wracał już zupełnie po ciemku, ale zadowolony. Obóz leżał zaledwie kilka staj od zarosli, które stanowiły przedłużenie lasu. Wozy były ustawione byle jak, nie dając należytej ochrony obozującemu wojsku, a strażę stały zbyt blisko, by na czas ostrzec przed nieprzyjacielem. Widać było, że dowódca nie ma dostatecznej praktyki wojennej lub też pewny swej przewagi nie liczy się z zaczepką przeciwnika. Zaraz po powrocie pułkownik zebrał swoich oficerów. Debata nie trwała długo, bo zbyt mało było nad czym, chodziło raczej o zaznajomienie ich z sytuacją. Postanowiono ruszyć na dwie godziny przed świtem, iść w trzech grupach, by w ciemnościach nie stłoczyć się, co groziło zamieszaniem, podsunąć się tak blisko, jak się da, i ten, kto przyjdzie pierwszy, uderzy natychmiast, nie czekając na pozostałe grupy. W razie bowiem gdyby któraś grupa zmyliła nawet drogę, zgwał natarcia wskaże właściwy kierunek. Dowódcami grup zostali: Rogowski, Rysiewicz i sam Lisowski. Tej nocy w namiocie kniazia Szacharskiego gęsto krążyły kubki spełniane przez jego dowódców. Zasiadli przy rozstawionym stole, bo książ lubił wygodę i na wyprawę nie wybierał się jak byle chudopacholek. Teraz z wesołą twarzą słuchał perory bojara Szyszkiń, który w rozpiętej szubie, z kielichem w rękę starał się przekrzyczeć panujący harmider. - Jakimi tych psich synów obkoczyli, tylko kłaki z nich leciały! Starali się

Polaczkowie stawiać opór, ale nam nie zdzierżyli i porzuciwszy wozy, pierzchli niczym zajcy. Cały tabor wpadł wówczas w nasze ręce! - Musieli×cie mieć znaczną przewagę - wtrącił siedzący obok Szyszkina bojar Jakimow - boć to srogi przeciwnik... - Więcej w tej gadaninie o nich strachu niż prawdy! - prychnął lekceważąco Szyszkin. - Byli w trzysta szabel, ja za× miałem może ze cztery setki. Toć to żadna przewaga! - Policzyłe× Polaczków, Borysie Iwanowiczu? - spytał ironicznie Jakimow. - Jakże× tego dokonał, skoro mówisz, że zaraz uciekli? - Czyżby× trzymał ich stronę, Timofiej Leontiewiczu? A może ci nie w smak, że ich pokonał? - Nie w smak mi twoje przechwałki! - rzucił poczerwieniały na twarzy Jakimow. Sporo już zdążyli wypić i skorzy byli do wa×ni. Widząc to kniaź Szacharski odezwał się ochryłym od gorzałki głosem: - Je×li o przewadze mowa, to wam co× powiem, mili bojarzy! Mam pewne wie×ci, że ów Lisowski, czy jak mu tam, nie ma więcej niż ze dwa z połową tysiąca konnych, ja za× prowadzę na niego siedem tysięcy żołnierza. Toteż chociażby i sam czort go wspomagał, nie da mi rady! Na te słowa wszyscy unie×li kielichy i krzyknęli zgodnie: - Na pohybel Polakom! Zasypiem papistów ziemią! Ucztowali tak od wieczora, toteż już mocno kurzyło się wszystkim ze łbów. Noszona w sercach nienawi×ć wybuchła teraz gwałtownie, podsyciona wypitymi trunkami. Krzyczeli jeden przez drugiego, trzaskali o stół misami, bili pię×ciami, nie dosłyszeli więc od razu innych hałasów dochodzących spoza płócien namiotu. Dopiero grzmot strzałów i wrzask tysięcy gardeł, jaki ich doleciał, zagłuszając panujący harmider, kazał im zerwać się na nogi. Jakby na dany znak wszyscy raptownie zamilkli i chwilę wsłuchiwali się w ów tumult. Wkrótce pojęli, że gdzie× na zewnątrz rozgorzała bitwa. Rozlegały się strzały z rusznic i pistoletów, słychać było krzyki walczących i po×piesznie rzucane rozkazy. Kniaź



Szacharski, roztrącając biesiadników, rzucił się do wyjścia z wrzaskiem: - Konia i broń! Hej, żywo! Za nim popędzili pozostali, także wołając o wierzchowce. Ćadania te jednak okazały się daremne, bo nie było komu wykonywać rozkazów: straż i służba bądź sama szukała broni, bądź - schronienia. Wypadłszy z namiotu Szacharski ujrzał przed sobą pustą płaszczyznę z palącym się spokojnie półkolem ognisk, przy których wszakże nie było nikogo. W blasku padającym od ich płomieni, już za jego kręgiem, majaczyły sylwetki konnych i pieszych zmagających się w zaciętej walce. Książ dojrzał jednak, że piesi padali gęsto pod razami szabel, mało się broniąc, a raczej w ucieczce szukając ratunku. Widząc to i Szacharski, rzuciwszy dookoła spojrzeniem, skoczył w bok próbując skryć się za namiot. Ale z ciemności, panującej za światłem ognisk, wyłoniły się właśnie końskie łby, nad nimi twarze jeźdźców z ustami rozwartymi krzykiem. Nie ubiegł więc daleko, kiedy poczuł na sobie arkan i w następnej chwili zwałił się na ziemię. Cały za jego korpus został doszczętnie rozbity, wszyscy dowódcy z ksiąziem na czele wzięci do niewoli, w ręce napastników dostał się wszelki dobytek wraz z taborowymi wozami. Teraz dopiero miał pan Rysiewicz możność zapoznać się ze sposobami wojowania swego pułkownika. Spodziewał się, że żołnierze po bitwie dobiorą się do wozów i gorzałką będą ucztować zwycięstwo. Wszakże to przewidywanie nie sprawdziło się. Lisowski bowiem nakazał rotmistrzom zebrać natychmiast wszystkie chorągwie, trzy pozostawił dla ochrony zdobytego taboru, reszcie zaś wskazał szablą kierunek ku pobliskiemu miastu mającemu w dali zamglonymi konturami, które wydobywał z ciemności poranny brzask. - Drabin nie mamy, skoczycie tedy duchem i przyciągnąć dębowe kłody do rozbicia bram! śpią tam wszyscy pewni ochrony bliskiego obozu, toteż wnet ich obudzimy! Chorągwie odpowiedziały mu zgodnym okrzykiem

radości, bo zdobycie miasta więcej obiecywało niż zagarnięty tabor. Jakoż istotnie w parę godzin później Karaczew był w ich rękach. Tymczasem Kleczkowski zaraz po wymarszu Lisowskiego, więc jeszcze w nocy, rozmieścił swoich ludzi wzdłuż całej linii okopów. Miał ich teraz znacznie mniej, zatem linia ta była wiotka, gdyż rozluźnione chorągwie obsadziły całą jej długość. Dlatego rotmistrz nakazał dowódcom chorągwi okazywać za dnia jak największą ruchliwość, by zamaskować ubytek wojska, co mogło skusić obleżonych do wycieczki. Z tego też powodu przykazał dobrze skryć wierzchowce, by z ich liczby obleżeni nie zorientowali się w sytuacji. Dzień jednak upłynął spokojnie, bo nawet widoczna na murach załoga zaniechała prowadzenia ognia jak i posyłania strzał. Zresztą jak dotąd było to mało skuteczne, gdyż ukryci w okopach oblegający mało co sobie z tego robili. Pod wieczór zaś Kleczkowski przywołał do siebie poruczników, którym przedstawił swój pogląd na sytuację. - Nakazałem za dnia ruchliwość żołnierza, a także i ukrycie koni, byliby wszakże lepi, gdyby dali się zwać naszym zabiegom, i głupi, gdyby tego nie chcieli wykorzystać. Toteż nakazuję konie o zmroku podprowadzić w pobliże okopów, lecz tylko dla czterech chorągwi. Z tych dwie weźmiesz pod komendę waszą, panie Malinowski, drugie dwie weźmie porucznik Kuźma. Piąta pozostanie piesza i tę poprowadzę sam. Po nawiązaniu walki przeze mnie ruszycie wy od dwóch boków - Malinowski z prawa, Kuźma z lewa. Do tego czasu skryjcie ludzi jak należy! - Może nas w ogóle nie ruszą? - rzucił na odchodnym porucznik Malinowski. - O to waszą się trapisz? - odpowiedział mu zgryźliwie rotmistrz. Wkrótce okopy pokryła ciemność nocy. Żaden najmniejszy nawet szmer nie zdradzał, by ich użycie było pozorne. Ludzie z chorągwi rotmistrza obsadzili rowek linii i każdy z rusznicą albo i dwiema przy boku wsłuchiwał się w ciszę nocy. Ale

umówiony sygnał, jakim miał być pisk duszonej przez nocnego drapieżnika myszy, nie dochodził od straży. Wolno płynęły godziny nocy, lecz żołnierze Lisowskiego byli nawykli do długiego, cierpliwego oczekiwania. Dowódcy już zaczęli przypuszczać, że ostrożność rotmistrza okaże się zbędna i mimo jego przewidywań noc minie spokojnie, kiedy na krótko przed brzaskiem rozległ się raptem z ciemności oczekiwany sygnał. Dłonie żołnierzy zacisnęły się na rusznicach, a za chwilę usłyszeli, że w zalegającej przed nimi czerni coś się dzieje. Dobiegły ich najpierw jakieś szelesty, potem coraz wyraźniejszy szmer stapań, a nawet od czasu do czasu brzęknęła broń, zdradzając niedowiadanie wojenne napastników. Te nikłe odgłosy przerwał nagle gwałtowny jak grom strzał z pistoletu. Zaraz potem nocną ciszę rozdarł wrzask z setek gardeł. Odpowiedział mu przeciągły grzmot salwy, a wkrótce i drugi. Po chwili przedokopowy wał zaroił się ludzkimi sylwetkami. I salwy, i nagłe pojawienie się na wale gotowych do walki żołnierzy od razu zmieniło sytuację. Napastnicy, spodziewając się zaskoczyć nieprzyjaciela, sami zostali przez niego zaskoczeni, tym bardziej, że obie salwy spowodowały w ich szeregach prawdziwe spustoszenie. W tej chwili korona bliskich murów rozgorzała łuną ognia od palących się beczek ze smołą. Języki płomieni gięły się na wietrze, oświetlając kłęby czarnego dymu gwałtownie bijącego w górę. Czerwony blask zalał pole walki. Początkowe zamieszanie, wywołane salwami rusznic, opanowali wkrótce dowódcy, krzykami ponaglając swoich ludzi do biegu. Mimo wielkiej przewagi napastników lisowczycy skoczyli ku nim bez wahania, jakby radzi, że tylu ludzi mają do rąbania. Istotnie zabrali się do roboty ochoczo i nie ustąpili pola do czasu, aż nie nadlecieli konni towarzysze. Ci skacząc przez własne okopy uderzyli na przeciwnika z obu stron i natychmiast wdarli się w jego ciasno zbite szeregi,

razami szabel torując sobie drogę. Trudno piechurowi walczyć z konnym, zwłaszcza jeżeli ten włada bronią z taką biegłością. Kładli się więc pokotem niby zboże cięte sierpami wprawnych żniwiarzy. Wreszcie, poniechawszy zupełnie obrony, rzucili się do ucieczki. Brama, którą wyszli w pole, była nadal rozwarta. Dopadli jej, znikając w jej ciemnym wnętrzu, tłocząc się, popychając i szarpiąc, gdyż mieli za plecami bezlitośnie siekających ich jeźdźców. Ci zaś wdarli się za nimi do miasta i na jego ulicach kończyli rzeź. Samego zamku także nie było już komu bronić, bo nieliczna załoga, nie zdążywszy zawrzeć wrót, rzuciła broń zdając się na łaskę najeźdźcy. Lisowski nie dał swym żołnierzom długo pohulać w zdobytym mieście. Zaraz po południu zarządził wymarsz i udał się w drogę powrotną, gdyż ostrożność nakazywała, by zbyt długą nieobecnością nie narażać Kleczkowskiego na kaprys wojennej fortuny. O pierwszym brzasku znalazł się o godzinę drogi od Briańska. Zatrzymał chorągwie i polecił przedniej straży, by zbadała sytuację pod miastem, a zwłaszcza czy Kleczkowski jest na miejscu. Po dwóch godzinach goniec powrócił, lecz wiadomość, jaką przyniósł, była zgoła niezwykła. Oto zatrzymując spienionego wierzchowca przed pułkownikiem, żołnierz zakrzyknął: - Zastaliśmy okopy puste, wasza miłość, ale... - Co mi tu gadasz! - przerwał mu gwałtownie Lisowski. - Przecież nie wybili wszystkich do nogi! Nie spotkaliśmy nikogo, kto by uciekał! - Oni siedzą w mieście! - zawołał goniec z rozjaśnioną twarzą. - Rzecz nie do wiary! - krzyknął Rysiewicz. - W pięć setek!? - Na bramie wisi nasza flaga, a druga na zamkowej wieży. Pan Kleczkowski przykazał powiedzieć, że czeka tam na waszą miłość. - Jak do tego przyszło?! - spytał rozradowany Lisowski. - Jeszcze nie wiadomo. Nie było czasu na gawędy. - Nie szkodzi... - mruknął pułkownik ruszając koniem. - Wkrótce będziem

wiedzieć. Istotnie niedługo potem wjechał do miasta z niewielkim poczem. Na zamku objął uściskiem wybiegającego mu naprzeciw rotmistrza. - Wiedziałem, Włodku, komu powierzyć posterunek! Pacierze wprawdzie klepiesz, ale z szablą przy boku. Teraz daj miodu i gadaj, jak do tego przyszło. Po wysłuchaniu relacji pułkownik kazał wezwać do siebie starszyznę miasta, a kiedy przybyli, polecił zebrać do następnego dnia dziesięć tysięcy rubli jak i żywność dla żołnierzy. Na lament z powodu wysokości kontrybucji i szybkiego zebrania tak ogromnej kwoty przedłużył wprawdzie termin do trzech dni, ale o innych ulgach nie chciał słyszeć: - Wasza wola - oświadczył krótko. - Nie spełnicie żądania, wpuszczę wojsko do miasta, zapłacicie, pozostaną poza murami. Delegaci dobrze wiedzieli, co oznaczała obecność żołnierzy w mieście, więc woleli przyjąć postawione im warunki. Trojan powrócił z Litwy pod koniec kwietnia, dobrze zaopatrzony. Rutje oczekiwał go tym niecierpliwiej, że czas mu się dłużył, gdyż wiosenne roztopy uniemożliwiały wszelkie wyprawy. Tę przymusową bezczynność wykorzystywał więc na przemyślanie, jak najbezpieczniej odbyć czekającą ich podróż. Skutkiem tych rozważań ruszyli na początku maja w drogę chłopską tielegą zaprzężoną - by nie kusić licha - w mizernego konika. Sami też byli odziani w byle jaką chłopską odzież, a zapuszczone brody okalały im twarze. Makary w baraniej czapie na głowie ulokował się na przodzie wozu z lejcami w rękach, oni zaś pokładli się na sianie ugniecionym między drabinami, chowając pod nim pistolety i szable. Przykryci siermięgami dali się kołysać kolebaniom wozu, którego koła to zapadały się, to wynurzały z kałuż błotnistej jeszcze drogi. Nieduży, lichy konik o wyliniałej sierści człapał z opuszczonym łbem, jakby rozmyślając nad swą nędzną dolą. Na takiej powolnej podróży mijały im bez przygód dni. Drogi były puste, a lasy zdawały

się trwać w ciszy i spokoju. Wiedzieli jednak, że im dalej będą od Możajska, skąd wychodziły w teren polskie oddziały, tym rychlej spokój ten się skończy. Już na początku podróży Peter polecił swemu pocztowemu: - Pytaj spotkanych po drodze chłopów o nazwy pobliskich wsi. A jak natkniemy się na zbrojnych, mów, że wracasz do domu zagarnięty przez Polaków do posługi. Dlatego musisz wiedzieć, skąd jeste×, aby cię nie przyłapano na łgarstwie... - A wy? - Nas nie znasz. Przysiedli×my się po drodze, prosząc o podwiezienie. To pouczenie przydało się już wkrótce. Wła×nie zagłębili się w kolejny las, kiedy ukazał się przed nimi oddział kilkudziesięciu jeźdźców. Jadący na czele dowódca obrzucił ich tylko obojętnym spojrzeniem, ale kilku zbrojnych odłączyło się od grupy i podjechało ku nim. - Co×cie za jedni? - spytał ostro jeden z nich, lustrując wzrokiem wóz i robiącego bokami konia. - Ja z Borowinki... - mruknął Makary udając wystraszonego. - Z Małojarostławca wracam, baba posłała... - A ci dwaj? Makary wzruszył obojętnie ramionami. - Boh ich znajet... Prosili podwieźć... - No, mołojcy, dokąd to Bóg prowadzi? - Jeździec zagadnął z kolei obu pasażerów, którzy unie×li się z siana i przysłuchiwali rozmowie. Rutje chciał odpowiedzieć, lecz wyręczył go Trojan: - Wojować jedziem, braciszku! - rzucił z u×miechem. - Pod Kaługą kniaź Pożarski pułki zbiera, to i my wybieramy się Polaczków nieco poskubać. - Tu także bojarzy Sawkin i Woronow zbierają ochotników, po co mitrzyć czas na daleką drogę? - Może i zbierają, ale na nas kniaź Pożarski specjalnie czeka, bo powiedział, że bez nas tym psisynom rady nie da! íołnierz roze×miał się. - Wesprzyjcie tedy kniazia jak należy, bo on teraz główny obrońca naszej matuszki Rosiji! - Machnął im ręką i zawrócił konia, Makary za× swego klepnął lejcami po grzbiecie, ponaglając do ruszenia w dalszą drogę. Dotarli wreszcie do Kaługi. Zatrzymali się na przedmie×ciu w

chłopskiej zagrodzie, gdzie za parę kopiejek otrzymali miejsce w szopie dla siebie, a kąt w stajni dla konia. Teraz pozostawało odszukanie owego kupca Połubajewa, wskazanego przez Sonię. Zadanie nie okazało się trudne, bo rozpytawszy w jednej i drugiej oberży dowiedzieli się wkrótce, gdzie znajduje się jego dwór. Rutje zaczął zastanawiać się, czy iść tam samemu, czy też posłać Marka. Należało się przecież spodziewać spotkania z Sucheckim... Czy wówczas nie obudzi podejrzeń tego starego lisa? Czy on uwierzy, że podjął trud podróży tylko ze względu na dziewczynę? A jeżeli w Kałudze ich nie ma - czy Marek potrafi wydobyć wiadomość, dokąd się udali? Dziewczyna wskazała mu miejsce swego pobytu nie żądając, by zachował je w tajemnicy... Więc liczyła się z tym, że on może przybyć, czego przed starym nie mogła przecież ukryć... Czyżby nie uprzedziła go o tym? Wydało mu się to mało prawdopodobne. Ostatecznie postanowił, że wybierze się sam. Wskazany dwór znalazł bez trudu. Drzwi tworzyła mu tęga kobieta. - Do kogo? - Zmierzyła go nieprzychylnym spojrzeniem. - Do jego łaskawości kupca Połubajewa. - Do Iwana Iwanowicza? A od kogo? - spytała z pewnym zdziwieniem, gdyż lichy strój przybysza zdawał się wykluczać, by mógł to być interesant godzien dobrego traktowania. Rutje, nie zaskoczony tym objawem nieufności, odpowiedział z uśmiechem: - Nie jestem niczym posłańcem. Mam na głowie tylko swoje sprawy... - A co chcesz od jego łaskawości? I skąd jeste? - Zezwólcie, że sam mu to powiem. A przybywam z Rewla. - Aż z Rewla? - Tym razem spojrzała na przybysza z zaciekawieniem, ale i wahaniem. Wreszcie jednak zdecydowała się. - No cóż, pójdę popytać, może zechce z tobą gadać. Pozostawiła gościa w sieni, lecz wróciła po niedługim czasie i skinęła głową wskazując drzwi. - Wchodź... Rutje znalazł się w obszernej izbie o dwóch oknach i z długim

stołem w rogu, otoczonym ławami. Niedaleko wejściowych drzwi wisiały jak wszędzie ikony z palącą się przed nimi lampką. Peter nie omieszkął złożyć przed nimi przewidzianych zwyczajem pokłonów, zanim powitał gospodarza. Mimo że na kominie palił się ogień, ten siedział za stołem w obszernej szubie. Odwróciwszy się od ikon, Rutje złożył teraz jemu ukłon, na co kupiec odpowiedział lekkim skinieniem głowy. - Witajcie, Iwanie Iwanowiczu - odezwał się Peter nie czekając na pytania. - Przybyłem w swoich sprawach, a przy okazji zapragnąłem ucisnąć dłoń mego starego przyjaciela, Grigorija Sucheckiego, gdyż wspominał mi, że u was mogę go szukać... Połubajew obrzucił gościa uważnym spojrzeniem, nie kryjąc tej lustracji, i powolnym ruchem pogładził brodę. - Zwiesz swym przyjacielem tego Sucheckiego? Nie widzi mi się, by wszedł z tobą aż w taką komitywę... - Z drwiącym uśmiechem zlustrował strój Petera. - Nie sądźcie ludzi po ubiorze, łaskawco... Jeno dla bezpieczeństwa w podróży tak się odziałem... - wyjaśnił Rutje widząc to spojrzenie. - No cóż... Siadajcie zatem... Choć nie wiem, czy wasze żądanie zdołam zaspokoić. Wszakże gdzieście się zaprzyjaźnili? Mówiliście przecież, że przybywacie z Rewla? - Zwę się Rutje i pochodzę stamtąd, ale przybywam z Moskwy. - Ach tak... Więc Grigorij Pawłowicz był w stolicy? - Jak to? Czyżby wam o tym nie mówił?! - Skądże mógł mówić, skoro przeszło rok go nie widziałem! - A więc nie gościł u was? Wspominał mi, że was odwiedzi, dlatego o niego pytam. - Łałuję, dobrodzieju, lecz u mnie nie był, darmo trudziliście się... - Trud to niewielki, bo w Kałudze inne miałem sprawy. Z Sucheckim za tylko przy sposobności chciałem pogadać. Toteż jeśli go ujrzycie, raczcie mu rzec, że o nim nie zapominałem, ale szczęścia brakło, by go spotkać. Rutje wstał z ławy, a Iwan Iwanowicz poszedł za jego przykładem. - Wiernie mu to powtórzę... -



zapewnił z powagą. - A wam dobrej drogi życzę. Po opuszczeniu izby Peter ze zdziwieniem ujrzał w sieni tę samą matronę, która go powitała. Zdziwienie to wzmogło się, kiedy dostrzegł, że podnosi palec do ust. - Zwiesz się Rutje? - spytała przyciszonym głosem. - Skąd o tym wiecie? Matrona obrzuciła go nieco kpiącym spojrzeniem i powiedziała z uśmiechem: - Czasami lubię przyłożyć ucho do drzwi. - Istotnie tak się zwę. - Mam dla ciebie wiadomość. Peter wątpił od początku w prawdomówność kupca, więc odgadł od razu, od kogo. Mimo to spytał z przejęciem: - Od Soni? - Cicho, nie tak głośno... Tak, od Soni. - Zatem tu była?! Ona i Suchecki? - Skoro Iwan Iwanowicz ci powiedział, że nie byli, to znaczy, że nie byli - upomniała go surowo. - Lepiej jego słów nie podawaj w wątpliwość... - Bóg z nim, mateczko! Jeno mówcie! Ciekawym, co moja gołąbeczka kazała mi przekazać. Co z nią? Czy w dobrym aby zdrowiu? - W zdrowiu dobrym, ale mocno za tobą wzdychała. Nic, jeno gdzie też przebywa mój Peter... Czy aby o mnie nie zapomniał? No cóż - obrzuciła go baczny spojrzeniem - gładki z ciebie chłopak, to nie dziwota, że zawrócił jej w głowie. - Rad to słyszę, bo i mnie ona miła. Tedy mówcie, może powiedziała gdzie jej szukać? - Ano, właśnie... Kazała przekazać, że zapomnieć was nie może, a jeśli i wam po dawnemu bliska sercu, to najdziecie ją u kupca t'opuchina w Starodubiu, bo tam się z krewniakiem udała... - Dzięki, mateczko, za dobrą wiadomość! - Tym razem Rutje ucieszył się szczerze. - Nie zdradź wszakże nikomu, że ode mnie to słyszał! A także Sonia prosiła, aby w razie spotkania z jej krewniakiem nie wyjawiał, że to ona podała ci miejsce pobytu. Ponoć ten Suchecki nie chce, aby za nią biegał, bo kogo innego upatrzył dla niej na męża. - Nie będę tak głupi, aby się wygadać. A wam jeszcze raz składam podziękowania za życzliwość! Po powrocie Rutjego na kwaterę Marek, wysłuchawszy

sprawozdania z jego odwiedzin, zadał pytanie, na które i Peter szukał odpowiedzi: - Ciekawi mnie, dlaczego Suchecki zataił swą bytność u tego kupca? - Niełatwo znaleźć na to pytanie odpowiedź. I mnie ona wielce ciekawi... - Z tego wszakże widać, że dziewczka darzy cię afektem, a on chyba chce zgubić swój ład... - Nie bierzesz pod uwagę, że spełnia ona polecenia Sucheckiego. Nie z własnej przecież woli ułmierciła Sapięgę... - Jesteś pewny, że to jej sprawka? Możesz się mylić. - A czyja? Przecież z nim się przespała, bo za darmo nie ofiarował jej pierścienia! - A może? On miewał pańskie gesty. Spodobała się, może jeno go rozweseliła i otrzymała podarek. - To możesz żakom gadać, nie mnie! Zbyt to kosztowny pierścień, by go za byle co dawać. Musiała, suka, dobrze mu dogodzić! - Zazdrość górę w tobie bierze i dlatego tak sądzisz... - Mnie przychodzi na myśl co innego... - powiedział Peter łciągając brwi. - Skoro działa z polecenia krewniaka, to całe owo gadanie o afekcie jest jeno mydleniem oczu, aby mnie zwiść i przy sobie utrzymać. A jełli to jest kłamstwem, to również nieprawdą jest, że tai wiadomość dla mnie przed wujem. Gadała tak, bo tak jej przykazał! - Ale dlaczego? - Być może Suchecki nie jest pewny, czym dostatecznie zadurzony. Chce więc zejść w cień, a pozostawić działanie dziewczynie. Odsunął się od sprawy, by spokojnie przyglądać się, czy dziewczyna mocno wzięła mnie w ręcę. A dopiero jak się w tym upewni, podejmie dalsze kroki. Dlatego od tej chytrej baby dostałem niby to sekretną wiadomość. - Hm... - mruknał Trojan za całą odpowiedź na ten wywód, ale po chwili dorzucił: - Co zatem teraz zamierzasz? - Wracać do hetmana, a jełli zezwoli, wybrać się do Starodubia. - Tam wszakże na wszelki wypadek musisz zachować ostrożność. Bo może dziewczyna naprawdę kryje się przed krewniakiem? - Mocno w to wątpię, lecz obaczym dopiero na miejscu... Lisowski przez dłuższy czas nie opuszczał Brińska,

niepokojąc jedynie okolicę częstymi wypadami. Szły zagony aż pod Rosławł, Starodub, Tułę, Kaługę, a nawet poza Orzeł. W tym czasie jego siły nadal wzrastały, bo poza Rysiewiczem, który okazał się dzielnym żołnierzem, ×ciągały ku niemu pomniejsze watahy Kozaków dońskich grasujące dotąd na własną rękę. Miał więc teraz pod sobą ponad cztery tysiące żołnierza. Był to jednak lud mocno niesforny i co do warto×ci bojowej jeszcze nie sprawdzony. Wysyłał więc pułkownik te oddziały w teren, poruczając nad nimi komendę swoim oficerom, ale też przydzielał im dla ostrożno×ci i własne chorągwie, w bitwach już wypróbowane. Wyprawy te, niepokojące nawet odległe od Briańska obszary, zmuszały dowódców do trzymania tam licznych sił, co udaremniało skierowanie ich pod Moskwę. Zasięgano też języka, więc Lisowski wiedział, że kniaź Pożarski znajduje się obecnie gdzie× w pobliżu Kaługi, lecz nic nie wskazywało na wszczęcie jakiej× akcji przeciw niemu. Nie łudził się jednak, że na długo tego spokoju starczy, nie ruszał się przeto z Briańska czekając na potwierdzenie swoich przewidywań. Otrzymał je w pierwszej połowie sierpnia, kiedy Rogowski, wracając z kolejnej wyprawy, doniósł, że dziesięcioletni korpus pod wodzą samego kniazia zbiera się za Oką, by lada dzień wyruszyć na Briańsk. Wstrzymał więc Czaplińskiego, który wła×nie miał i×ć na kolejną wyprawę, a Kalinowskiemu, grasującemu gdzie× w okolicach Kozielska, posłał rozkaz natychmiastowego powrotu. W drugiej połowie sierpnia był już w marszu. Szedł na północo\_wschód, gdyż wysłane zwiady doniosły, że znaczne siły nieprzyjacielskie przeszły Okę w okolicy Bielewa i zacierają w jego stronę. Lisowski i tym razem nie czekał, aż wróg zbliży się do niego, lecz ruszył mu naprzeciw. Wiedział o sile Pożarskiego, ale mimo tak znacznej jego przewagi nie zamierzał zamykać się za murami miasta, gdzie mieszkańcy byliby mu wrody, a

mury uniemożliwiły swobodę ruchów. Ciągnął na przelaj, nie oglądając się na drogi. Sierpień się kończył, zboże z pól chłopów już zebrali, więc kopyta koni deptały opustoszałe ×cierniska. Pomiedzy Terebieniem a Znamienskiem przedostał się na prawy brzeg Wytiebieti i szedł zgodnie z jej biegiem, korzystając z ciągnących się wzdłuż rzeki łąk. Dzień był wyjątkowo parny. Duszne powietrze wyciskało pot z ludzi i zwierząt bardziej, niżby to czynił największy upał. Lisowski swoim zwyczajem jechał w otoczeniu paru bliższych sobie oficerów na czele wojska, bo, jak mawiał, nie lubił mieć końskich zadów przed sobą, chyba tylko tych uciekającego nieprzyjaciela. - Niepokoi mnie, że zwiady nie natknęły się dotąd na czołowe oddziały Pożarskiego - odezwał się w pewnej chwili. - Powinien być już gdzie× całkiem blisko. - Mówią o nim, że to dowódca wielce ostrożny. Taki, co to trzy razy przymierzy, zanim raz uderzy... - rzucił Rysiewicz. - I ja o nim słyszałem, że jak może, unika wojennego hazardu - wtrącił Jan Lisowski, jadący u drugiego boku swego brata. - Wie, co robi - zaopiniował pułkownik. - żołnierza ma jeszcze licho wyćwiczonego, bez wojennego obycia, a i wodzów chyba nie najlepszych... - No cóż, teraz dopiero uczą się wojennego rzemiosła - zauważył Idzi KAlinowski. - Wszakże inny duch w nich wstąpił - odezwał się jadący nieco w tyle Rogowski. - Potykają się całkiem inaczej niż wprzódy. Jeszcze rok temu starczyło raz czy drugi szablą się przyłożyć, a wnet dawali tył, obecnie za× twardo stają i dobrze się trzeba napracować, by pokazali plecy. - Bo stracili cierpliwo×ć i wreszcie mają nas do×ć! - rzekł z u×miechem Rysiewicz. Po chwili spojrzął na niebo z wolna zaciągające się chmurami i zauważył: - Pora chyba niedługo stawać na nocleg. Pchnąć gońca do przedniej straży? - zwrócił się do Lisowskiego. Ten powiódł spojrzeniem po okolicy. - Dobrze, ale zboczym nieco ku lasowi, który dostrzegam od prawa. W godzinę potem

wojsko rozlokowało się na skraju lasu, nie rozpalając ognisk, a straż objęła stanowiska. Z wieczora zaczął siąpić drobny, ale uporczywy deszcz, trawa więc była mokra, a ziemia nasiąkała wodą. żołnierz jednak mało co sobie z tego robił, tym bardziej, że wkrótce deszcz ustał. Nie ochłodził jednak powietrza, które nadal dyszało parnościami. Noc przeszła spokojnie. Kiedy jednak o pierwszej wiatłoci dnia chorągwie dosiadły koni, zdawało się, że cały wiat ogarnęła mleczna powódź, taka gęsta była mgła. Szczelną zasłoną pokryła wszystko, tak że nawet żołnierz nie widział pleców jadącego przed nim towarzysza. Mimo to pułkownik zarządził dalszy marsz. Rzeka pozwalała na zachowanie kierunku, toteż poszli ku niej łącznicy, którzy głosem bekasa mieli dawać sygnały. Szli wolno, przeklinając mgłę, która stała w nieruchomym powietrzu, równie gęsta jak o brzasku. Na takim marszu przeszedł dzień, dobrze dając się we znaki zwłaszcza przedniej straży. Toteż kiedy pod wieczór poczuli na twarzach lekki podmuch wiatru, zwiastujący powrót widoczności, Kalinowski, prowadzący straż przednią, odetchnął z ulgą. Gdy za zatrzymali się w niedużym, brzozowym gaju na nocny postój, widoczność wróciła już całkowicie. Ognisk nadal palić nie było wolno, więc o pierwszym zmierzchu wojsko pokładło się do snu. Tegoż dnia również we mgle, ale wzdłuż drugiego brzegu Wytiebeti, szedł ze swym korpusem książę Pożarski kierując się na Briańsk, a więc w przeciwnym kierunku. Oba wojska, nie dostrzegłszy się wzajemnie, minęły się w marszu. O ile jednak napotkani chłopcy nie byli skorzy do udzielania Polakom informacji, to tych dostarczono Pożarskiemu natychmiast. Pierwszym informatorem był rybak, który mimo mgły wybrawszy się na połów, wypatrzył, ukryty w sitowiu, ciągnących żołnierzy. Książę, otrzymawszy tę wiadomość, domyślił się, że przeciwnik ciągnie mu naprzeciw, poznał już bowiem jego sposoby wojowania. Wstrzymał więc pochód i

dzięki chłopom, którzy wskazali mu bród, przeprowił się na drugi brzeg, gdzie znalazł liczne łady przemarszu, co utwierdziło go w mniemaniu, że nie ma do czynienia ze zwykłym zagonem. Ostrożnie ruszył wyraźnie widocznym tropem Lisowskiego rad, że wreszcie nie tylko dopadł groźnego atamana, ale i niepostrzeżenie znalazł się na jego tyłach. Pod wieczór Tatarzy idący w zwiadzie dali mu znać, że Lisowski zatrzymał się na nocny postój. Książ, który postępował za nim o niecałą milę, zatrzymał się również nakazując, by ciągnące wozy utworzyły warowny obóz. Po naradzie z co znaczniejszymi wodzami postanowił uderzyć przed samym brzaskiem, otoczyć półkolem obóz nieprzyjaciela, przyprzeć go do rzeki i albo wyciąć wroga doszczętnie, albo potopić. Sam książ wziął na siebie najtrudniejsze zadanie, bo całkowite obejście nieprzyjaciela i uderzenie na niego od czoła. Natomiast łopatin objął dowództwo nad oddziałem łodkowym, Kuriakin zaś miał nacierać od tyłu, ze strony własnego obozu. Ponieważ książowi przypadła najdłuższa droga, przeto postanowił, że on da sygnał do rozpoczęcia bitwy, po czym uderzy łopatin, a wreszcie Kuriakin. W ten sposób spodziewał się POżarski zmusić przeciwnika do kolejnego rozdzielenia sił, co powinno było wywołać zamieszanie w jego szeregach, a tym samym doprowadzić do ostatecznego pogromu. Chorągwie Lisowskiego, niewiadome zawisłej nad nimi groźby, spały mocnym snem, kiedy tuż przed brzaskiem posterunki stojące od północnej strony zaalarmowały obóz strzałami pistoletów. W jednej chwili sprawny żołnierz poderwał się na nogi chwytając za broń. Wierzchowce pały się obok, więc ich wnet dosiedli, niektórzy nawet nie siodłając, gdyż coraz wyraźniej było słycać dudnienie końskich kopyt, inni tylko podociągali popręgi. Odgłos ten, docierający z resztek mroków uchodzącej nocy, stawał się coraz donośniejszy i

groźny. Wreszcie ujrzeli sunącą ku nim lawinę jeźdźców, podobną czarnej wstędze, szybko rosnącej w oczach. Wnet też zwarli się ze sobą. Był to atak pierwszych oddziałów Pożarskiego, więc lisowczycy nie mieli jeszcze do czynienia z przewagą liczebną przeciwnika. Zwarłszy przeto szeregi nie tylko się bronili, ale zaczęli coraz mocniej gniewać napastników. Początkowa różowość na wschodniej stronie nieba poczęła szybko wznosić się ku górze, przepędzając nocny mrok. Lisowski, który nie brał udziału w bitwie, obserwując jej przebieg ze skraju lasu, dojrzał raptem, jak na tle porannej zorzy sunie ku nim niczym groźna fala ciemna, szeroko rozciągnięta linia pędzących jeźdźców. Wnet ukazała się i druga, bardziej odległa, nacierająca od południa. - Zgarniaj tylne szeregi i obracaj nimi ku nowym przybyszom! - wrzasnął do stojącego przy nim Kalinowskiego. - Ja zajmę się tymi od czoła! Stojący przy nim oficerowie także dostrzegli nowe niebezpieczeństwo i od razu rozproszyli się, by wypełnić rozkaz. Niebezpieczeństwo dostrzegli również i żołnierze, ale wszelki strach dawno już nie miał dostępu do ich serc. Zanim więc pędzące do bitwy zastępy ich dopadły, samą liczbą i pędem chcąc zmieść wroga z ziemi, spotkały już sprawione szeregi, które skoczyły im naprzeciw. Jednak masa napastników była tak wielka, że wkrótce lisowczycy zostali otoczeni i tylko z tyłu broniła ich rzeka - sprzymierzeniec, lecz i wróg, bo odbierała nadzieję na szukanie ratunku w ucieczce. Wiedzieli więc, że albo zdołają odeprzeć nieprzyjaciela, albo przyjdzie im zginąć od jego razów lub kopyt koni. Ale jak obca im była wszelka litość, tak i obcy strach przed śmiercią. Trwała zatem zacięta walka, choć słońce coraz wyżej wznosiło się na niebie. Lisowczycy bronili się wciąż z jednaką zajądłością, ani kroku nie ustępując nacierającym, tak że wkrótce zaczął się przed nimi tworzyć wał rzucających się po ziemi obalonych koni i porażonych jeźdźców. Minęła jeszcze

godzina, kiedy stało się widoczne, że ruskich wojowników opuszcza duch walki. Wodzowie także zdawali się tracić nadzieję na zwycięstwo, bo nie zagrzewali swoich żołnierzy własnym przykładem ani nawet krzykami zachęty. Na próżno kniaź Pożarski, widząc ten upadek ducha, porzucił swoje stanowisko wodza i wmieszał się między walczących, gromkim głosem zachęcając i ponaglając do boju. Pierwszy przedarł się ze swą chorągwią przez nieprzyjacielskie szeregi Lisowski i natychmiast natarł na tyły ruskich wojowników. Słyszając polskie okrzyki bojowe za plecami, oddziały kniazia Pożarskiego zaczęły zawracać wierzchowce i rzucać się do ucieczki. Wreszcie cała linia bojowa rozpadła się i pognęła w stronę własnego obozu. Starczyło tego, by i pozostałe oddziały, зараżone paniką, ruszyły za nimi. Oparli się dopiero za własnymi umocnieniami, mimo że zmordowani żołnierze Lisowskiego nie mieli już ani sił, ani ochoty ich ścigać. Pułkownik, zdając sobie sprawę ze zmęczenia żołnierza, bo i sam ledwie dyszał, zarządził odpoczynek na miejscu poprzedniego postoju, gdyż tam pozostał cały żołnierski dobytek i sprzęt. Przykazał jedynie rozstawić gęste czaty od strony nieprzyjaciela i dobrze baczyć na jego poruszenia. Po raz drugi Lisowski zaskoczył Rysiewicza swoją decyzją. Ten spodziewał się bowiem, że po tak ciężkim boju, w którym wojsko było o krok od pogromu, pułkownik odstąpi i skrywszy się w lasach, da żołnierzowi nieco dłużej odetchnąć. Tymczasem przekonał się ku swemu zdumieniu, że zamierzenia Lisowskiego były zgoła inne. Wkrótce poszły w stronę nieprzyjacielskiego obozu zwiady z rozkazem donoszenia o wszelkich ruchach ich wojsk, a żołnierze po krótkim tylko odsapnięciu otrzymali rozkaz gotowania się do bitwy. Wczesnym popołudniem chorągwie wyszły w pole, kierując się w stronę ruskiego obozu. Nie było do niego zbyt daleko i niebawem ujrano łańcuch wozów stanowiących



umocnienie. Krzątało się przy nich ludzkie mrowie wzmacniając szańcami tę obronną linię. Teren wokół był otwarty. Stanowiły go łąki porośnięte miejscami grupami drzew i krzewów, podobnie jak dotychczasowe brzegi Wytiebieti. Straże dostrzegły więc już z dala chorągwie i zaalarmowały obóz, toteż pracujący kopacze poczęli szybko znikać za wozami. Wszakże Lisowski ustawił tylko wojsko w szerokie półkole, poza zasięgiem rusznic i łuków, zezwalając jedynie ochotnikom wychodzić na przedbitewne harce. Z nieprzyjacielskiego obozu wielu do tego chętnych nie było, a i ci, co powyjeżdżali, rychło zaczęli schodzić z pola. W tym czasie pułkownik udał się na czele małego oddziału na rozpoznanie obronnej linii obozu, nigdzie jednak nie dostrzegł ruchu, który by ×wiadczył o przyjęciu przez nieprzyjaciela zaproszenia do bitwy. Kiedy więc wkrótce słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, nakazał chorągwiom powrót do własnego obozu. Tam nie polecał czynić żadnych umocnień. Rozstawił jedynie posterunki, zakazawszy na noc rozkulbaczania koni, które miały stać na zwolnionych wędzidłach i z popuszczonymi popręgami. Następne dni schodziły na spędzaniu z pastwisk nieprzyjacielskich tabunów, napastowaniu wysyłanych z obozu oddziałów i na pomniejszych potyczkach. Jednak tak jak książę Pożarski nie przyjmował wyzwania do bitwy w polu, tak Lisowski nie dawał się skusić do ataku na obóz. Wreszcie po kilku takich dniach niejako przekomarzań pułkownik nocą ruszył dalej, kierując się na południe. Ominął Orzeł i pociągnął na Kromy. Próbował wziąć miasto z marszu, ale zastał załogę przygotowaną do obrony. Nie próbując przeto wznowiać szturmów, odstąpił od murów i znów ruszył na północ. W ciągu dwóch dni i dwóch nocy dotarł do Bołchowa. Tu znów rzucił się do szturmów i widać ludzie, rozdrażnieni poprzednim niepowodzeniem, z większą zacięto×cią wdzierali się na

palisady, bo w kilku miejscach przełamali obronę i wpadli do miasta. Ale że stało się to szybko i bez większych strat, żołnierz raczej szukał trunków i niewiast niż zemsty za przelaną krew. Chociaż więc miasto ucierpiało, to więcej w nim było krzyku i lamentu z powodu rozbijanych piwnic, skarbczyków oraz podartej niewieściej odzieży niż płaczu nad poległymi. Z Bołchowa pułkownik szedł nadal na północ i zatrzymał się pod Lichwinem. Znalazł tam bowiem miejsce jakby specjalnie przygotowane przez naturę dla założenia obozu. Z trzech stron nieznana rzeczka otaczała bagiennymi brzegami rozległe wzgórze, pokryte bujną trawą i częściowo porośnięte drzewami. Tylko z jednej strony był dogodny dostęp do owego wzgórza, ale niezbyt szeroki, więc bronić by go było łatwo nawet niedużymi siłami. Książę Pożarski, dowiedziawszy się o odejściu lisowczyków, ruszył za nimi natychmiast w pościg. Nie zdążył jednak dopaść szybkich rabusi ani pod Kromami, ani w Bołchowie, bo Lisowski swoim zwyczajem nigdzie dłużej nie stał. Teraz książę był już nieomal za plecami ściganej zwierzyny, jednak po rozeznaniu jego legowiska uznał, jak zwykle ostrożny, że miejsce nie nadaje się do rozprawy. Także Lisowski, zawsze czujny, dowiedział się o bliskości groźnego przeładowcy. Nie zamierzając więc dać się zamknąć nawet w tak dogodnym do obrony miejscu, wymknął się cichaczem z obozu, pod Kozielskiem przeszedł na lewy brzeg Łydzdy i ruszył na Peremyszl położony o trzy mile na południe od Kaługi. Zaraz po przeprawie straż przednia spotkała kilkunastu konnych, którzy podali, że pochodzą z oddziału Kozaków rozbitego tegoż dnia przez silne zgrupowanie partyzanckie. Im udało się zbiec, a teraz chcieliby przyłączyć się do pułkownika, o którym już wiele słyszeli. Kiedy stanęli przed Lisowskim, ten przesunął po nich spojrzeniem, zanim rozpoczął indagację: - Jak zwał się wasz dowódca? - Osip Koreniuk. - Gdzie was

rozbito? - Nad rzeką, stąd z pięć mil... - Odpowiedzi udzielał wąsaty Kozak, przywódca grupy. - Jak dostali×cie się aż tu? - Lasami idąc, le×ny lud przepytując. - O mnie? Kozak u×miechnął się. - Daleko by×my nie uszli... - Ponoć macie dla mnie wiadomo×ć? Jaką to? - Zanim przyciągnęli×my w te strony, wojowali×my w twerskiej ziemi, skąd poszli×my na Rzew. Tam zbiera wielkie wojsko kniaź Szeremisz, aby przeciw wam ruszyć. - Pewna to wiadomo×ć? - Toć przysięgać nie mogę, ale tak gadali, i nie od jednego to słyszeli×my... - Spojrzał po towarzyszach, którzy milcząco przytaknęli głowami, a jeden z nich uzupełnił: - Odgrażają się, że wasz koniec bliski, bo kniaziowi Szeremiszowi nie dacie rady, gdyż ponoć do dziesięciu tysięcy żołnierza na was poprowadzi. - No cóż, jak przyjdzie, będziemy go witać. Wy za× mimo to chcecie do mnie przystać? - Wojna nam nie straszna, ani ogień, ani woda także! - U mnie odważni mołojcy służbę zawsze znajdują. Toteż je×li Szeremisz wam nie straszny, możecie ostać. Nie zrażony doznany niepowodzeniem, nadal szablą wyrąbując drogę do uwolnienia swego kraju od najeźdźcy, ciągnął kniaź Pożarski uparcie za lotnym przeciwnikiem. Szedł wolniej, ale nieustępliwie trzymał się jego ×ładów. Chorągwie Lisowskiego szły lewym brzegiem íyzdry, wyraźnie zmierzając na Peremyszl, wkrótce kniaź zorientował się w tym, toteż drugim brzegiem pognali gońcy z rozkazami kniazia dla mieszkańców miasta. Kiedy więc przednia straż Lisowskiego podeszła pod Peremyszl, wyjechała jej naprzeciw kawalkada wozów z kilku kupcami, popem i prystawem na czele. Bijąc pokłony prosili o doprowadzenie przed oblicze znakomitego wodza, by go powitać jak i przedłożyć swą pro×bę. Powiadomiony o tym pułkownik wstrzymał marsz i w asy×cie kilkunastu jeźdźców ruszył do przedniej straży. Już z daleka ku swemu zdziwieniu ujrział namiot, kiedy za× podjechał bliżej, zobaczył rozłożony

przed nim dywan, ustawione ławy i stół, a na stole dzbany i kufle. Obok stały puste wozy, które przywiozły te sprzęty. Lisowski na ten widok roze×miał się i zeskakując z konia rzekł bijącym pokłony wysłannikom: - Widać, że znacznej wagi macie pro×bę, skoro trunkiem chcecie jej ulżyć. Przemówił najstarszy wiekiem kupiec: - Istotnie sprawa dla nas ważna, wielki hetmanie! A po kurzu drogi dobrze gardło popłukać, toteż sprawę przedłożymy, je×li wasza wielmožno×ć raczycie z nami do stołu zasią×ć. - Możemy zasią×ć, bo istotnie słońko dzi× dobrze przypieka, przeto radzi napijemy się, je×li trunek godny. Tuszę wszakże, że i wy opróżnicie z nami kielichy? Intencja tej propozycji została zrozumiana, ale nie wywołała obrazy. Kupiec skinął tylko głową odpowiadając: - Wielki nam czynicie zaszczyt, sławny hetmanie! Toteż wychylimy kielichy w nadziei na pomy×lną z wami ugodę... Zwę się Antoni Fiodorowicz Malinin i chętnie do was przepiję. Ta wzmianka dowodziła, że propozycja pułkownika została należycie zrozumiana. Lisowski skierował się więc ku stołowi, a za nim ruszyli jego oficerowie. Obsiedli jedną ławę, na drugiej za× zajęli miejsca wysłannicy miasta. Kiedy kielichy zostały napełnione, a trunek wypity, Lisowski otarł wąsy i powiedział z uznaniem: - Przednim winem nas go×cicie! Dobry za× trunek zawsze poprawia mi humor. Mówcie zatem, Antoni Fiodorowiczu, czego rzecz dotyczy. - Przybyli×my, wasza wielmožno×ć, z pokornym pokłonem, by×cie chcieli oszczędzić miasto. Niech żołnierska srogo×ć i ogień go nie dosięgną! O to was przybyli×my błagać i do nóg padając zaklinać w imię Chrystusa, Zbawiciela naszego! - Błogosławić was będziemy i modły słać o błogosławieństwo do Wiekuistego dla was i waszych żołnierzy! - dorzucił z gorącym przejęciem pop. - Wszakże nie umniejszając Bożej łaski, o którą dla was chce błagać batiuszka, ja i o ziemskich korzy×ciach zamierzam mówić, bom nie duchowny, lecz

kupiec... - wtrącił Malinin. - Ano wła×nie... - odezwał się po tych o×wiadczeniach pułkownik. - Co chcecie ofiarować za oszczędzenie mieszkańców? - Gotowi×my złożyć wam daninę, wielmożny panie, z nadzieją wszakże, że będziemy zdolni ją zebrać. Błagamy więc waszą wielmożno×ć o zgodę na wykup, a także o chrze×cijański jego wymiar. Kupiec urwał i z napiętym oczekiwaniem patrzył w twarz pułkownika. Ten obrócił się do towarzyszy. - Co wy na to? Czy żołnierz się zgodzi? - Niech powiedzą, wiele gotowi dać, by×my wiedzieli, czy sprzeciwu nie zaznamy... - odpowiedział Kleczkowski pojąwszy taktykę dowódcy. - No, wiele dajecie?! - Tym razem ostro zagadnął Lisowski kupca. - Rzeknijcie wasze słowo, panie... Miasto bogate nie jest. - Widzę, że chcecie się targować. Ale ze mną targów nie będzie! Briańsk zapłacił dziesięć tysięcy, tyle też macie dać i wy! - Zmiłujcie się, panie! - wykrzyknął Malinin. - Toć nie możecie równać nas z Briańskiem! On dwa razy od nas bogatszy! - Może to być. Toteż niech będzie osiem tysięcy i na tym koniec. Dacie, będzie zgoda, nie, pójdziecie z dymem! Pop i starszyzna westchnęli ze zgrozą, a Malinin schylił głowę i w milczeniu kręcił palcami złożonych dłoni. Wreszcie sapnął i powiedział z rezygnacją: - Musimy przystać, wasza wielmożno×ć, bo innej rady nie mamy... Niechże tedy tak będzie. - Cóż wy, Antoni Fiodorowiczu?! - zakrzyknęli zgodnie pozostali. - Jakże tyle zebrać? I kiedy? Toć na to trzeba czasu! - Tak, czasu trzeba... - przyznał Malinin. - Lecz tego chyba nam nie poskapiacie? - Spojrzał pytająco na pułkownika. Ten już począł domy×lać się, o co chodzi, więc spytał spokojnie: - Wieleż tego czasu potrzebujecie? - Co najmniej siedem dni... Tyle chyba wystarczy... - Kupiec spojrzeł pytająco na swoich towarzyszy. Ci wszakże nie mieli okazji wypowiedzieć się, gdyż zadzierzysty jak zwykle Kalinowski zawołał: - Mamy czekać tydzień?! Po co, skoro sami dzisiaj więcej weźmiemy?

- Niech zatem w trzy zapłacą - zdecydował Lisowski. - A przez te trzy dni? - spytał z cicha Kleczkowski. - Rzecz prosta poczekamy w mieście, nie ruszając jednak ludności - odparł pułkownik. - Chyba że nie zapłacą... - dorzucił znacząco. - Nie obejdzie się bez rabunków i gwałtów, wielmożny panie! Każdy żołnierz łakomy kobiet! - zawołał przystaw. - Pod murami stać nie będę i czekać jak sługa na zapłatę! - Może byłby sposób, by wasze żądania spełnić, a przecież uchronić mieszkańców - odezwał się jeden z mieszczan. - I wy nie stalibyście w polu, i my czulibyśmy się bardziej bezpieczni... - No to mówcie. Rozpatrzę - zgodził się Lisowski. - Miasto leży pomiędzy Oką a łązdrą, które w tym miejscu się spotykają. U samego ujścia łązdry znajduje się gródek otoczony własnymi murami, które łączą się tam z murami miasta. Stoi on przeto nad samymi wodami łązdry i Oki, od których dzieli go pas łąki, więc mielibyście nawet miejsce dla waszych koni. Obsadźcie tedy gródek, nie zatrzymując się w mieście. Pod gródkiem jest dogodna płycizna, gdzie moglibyście poić konie, bo dalej brzegi są bagniste i porośnięte trzcinami. Lisowski, wysłuchawszy tego opisu, spojrzął po swoich oficerach, ci wszakże nie kwapili się z zabieraniem głosu. Dopiero po chwili odezwał się Kleczkowski: - Przed powzięciem decyzji należałoby wprzód wszystko to obejrzeć... - Słuszna rada - przytaknął Rysiewicz - bo nie każdy jednak rzecz widzi. - Jeśli nawet wyrażę zgodę na waszą propozycję, to tylko pod warunkiem, że miejskie bramy obsadzę swoim żołnierzem. Na to oświadczenie wysłannicy spojrzeli po sobie, ale jak dotąd pierwszy zabrał głos Malinin: - Skoro taka wasza wola, trudno nam się sprzeciwić. - Aby jednak tych żołnierzy za dużo nie było - zatroszczył się jeden z kupców. - O tym ja już będę decydował! - ostro rzucił Lisowski. - Wiele macie tych bram? - Trzy, nie licząc tej do gródka. Lisowski zwrócił się do

Kleczkowskiego: - Weź kilku żołnierzy i niech cię któryś z delegatów oprowadzi. Obejrzyj dobrze gródek i teren wzdłuż rzeki. My tu poczekamy. Pułkownik rozpoczął przyjacielską rozmowę z delegatami niczym przybyły w odwiedzinach krewniak. Po powrocie na jego pytające spojrzenie Kleczkowski skinął głową wraz z krótkim stwierdzeniem: - Opis się zgadza... - To cóż? Chyba zawrzemy ugodę? Na potwierdzenie wychylono kielichy i obie strony rozjechały się. Bramy obsadzono silnymi załogami, konie wypuszczono na łąkę ciągnącą się istotnie pod samymi murami gródka. Pozostała tam i część chorągwi, bo miejsca dla wszystkich w gródku nie stało. Natomiast oficerowie zasiedli przy stole w jadalnej sali zameczka, w dobrych humorach, gdyż miasto przysłało i żywność. Humor ten poprawiła jeszcze ironiczna uwaga Kleczkowskiego rzucona Czaplińskiemu, który pierwszy sięgnął do misy z pieczonym drobiem, podanym do stołu: - Chwytaj i próbuj, a my obaczymy, czy wnet nie zaczniesz wierzyć nogami... Czapliński szybko cofnął rękę. - Myślisz, że nam zadano? - Spojrzał z niepokojem na Idziego, który już rozpoczął jedzenie, potem na towarzyszy. - Wcale bym się nie zdziwił - odpowiedział poważnie Kleczkowski. - Nie potrzebowaliby płacić okupu, bo i komu? Lisowski rozeźmiął się i sięgnął do misy. - Jedz, Stasiu, spokojnie, a jemu powiedz, że skoro taki płochliwy, niech idzie głodno spać. Oni dobrze wiedzą, co by się stało, gdyby żołnierz dowiedział się, że nas struto. Nikt żywy nie uszedłby z miasta! - Jedz spokojnie, ale pij czujnie - dorzucił Kleczkowski. Lisowski spojrzał na niego spod oka, co ten dostrzegłszy, pośpieszył z wyjaśnieniem: - Za łatwo zgodzili się na nasze żądania... W Briańsku, a również i gdzie indziej, zawsze targowali się bardziej... - To zauważyłem - przyznał Lisowski. - Ale jeszcze bardziej nie podobały mi się spojrzenia, jakie wymienili, kiedy zapowiedział obsadzenie

bram. Co× się za tym kryje, ale co? - Toteż tyłek mnie swędzi, jakbym siedział na beczce z prochem, i do tego ze ×wiecą w ręku... - wtrącił Kalinowski urywając zębami kawał mięsa. Noc jednak minęła spokojnie, a wysłane w dzień podjazdy nie ujawniły blisko×ci nieprzyjaciela. Lisowski czekał na wiadomo×ć od starszyny miasta o pierwszej wpłacie okupu, ale nikt się nie zjawił. Pod wieczór kazał więc odszukać Malinina i wezwać go do grodu. Stawił się on po godzinie w towarzystwie jeszcze dwóch kupców. Schylając się zgodnie ze zwyczajem w głębokich pokłonach pytali z czołobitną troską, lecz i zdziwieniem, o powód wezwania. Lisowski nie dał się jednak zjednać tym pokornym powitaniom. Omiótł przybyszów gniewnym spojrzeniem i rzucił bez żadnych wstępów: - Dzień minął, a nijakich pieniędzy nie widzę! - Przecież tylko jeden, a dali×cie nam ich trzy, wasza wielmożno×ć - odpowiedział Malinin zalęknionym głosem. - A jeden to tyle co nic, mo×ci hetmanie... - dodał towarzyszący mu kupiec. - Mało, pieniądze zebrać, ale trzeba spisać, kto wiele dał, i zliczyć... - A i z Kaługi wysłannicy nie zdążą wcze×niej przybyć - uzupełnił drugi. - A cóż ma do tego Kaługa? - zdziwił się Lisowski. - Sami nie zebraliby×my tyle pieniędzy. Więc ojciec Jeremiej pojechał prosić tamtejszego batuszkę o pomoc... - Bierzcie, skąd chcecie, ale baczcie, aby zapłaty dokonać na czas. Inaczej nawet żywej myszy nie ostawię! Przysięgając z biciem się w pier×, że pieniądze będą w terminie zapłacone, kupcy po pożegnalnych pokłonach wycofali się z komnaty. Lisowski spoglądał za nimi z chmurną twarzą, a kiedy wyszli, murknął do obecnego przy rozmowie Rogowskiego: - Co× mi tu ×mierdzi... - Co mogliby knuć? Trzymamy ich w gar×ci i oni dobrze o tym wiedzą... - rzucił uspokajająco Rogowski. - Pożarski mnie nie poniechał, na tyle już wiem, co to za człowiek. Ostrożny, ale i zawzięty jak wilk. Dopóki mnie nie



zdusi, nie chce iść na Moskwę, a ta mu ważniejsza ponad wszystko. Dlatego tak go czuję, jakby stał mi za plecami... - Czy zwiady już wróciły? - Te ranne. Popołudniowe jeszcze nie. Ale i one przyniosły uspokajające wieści. Mimo to pułkownik nakazał wzmożoną czujność. Jednak i następna noc minęła spokojnie. Wysłane rano podjazdy nie wróciły wszakże o spodziewanej porze. Pod wieczór za przybył wysłannik Malinina z oznajmieniem, że pieniądze z miasta zostały już zebrane, przez noc nastąpi przeliczenie i z samego rana Malinin osobiście przywiezie je do gródka. Owa chytrze usprawiedliwiona zwłoka jak i nieobecność podjazdów nie wróżyły nic dobrego, toteż stawało się coraz bardziej jasne, dlaczego mieszczanie nie targowali się zbytnio o okup. Lisowski wzmocnił więc załogi przy bramach, nakazał wysłanie nasłuchów i jak największą czujność. Konie miały na noc pozostać okulbaczone, a w razie potrzeby pasione z ręki. ściągnął też z biwaków nieco żołnierzy do gródka, by wzmocnić jego obronę, i czekał na dalszy bieg wypadków. Minęła północ, kiedy nadleciały z meldunkiem nasłuchy o podejrzanych odgłosach dochodzących z nocnych ciemności. Wkrótce doszły one i do uszu pułkownika, czuwającego wraz z oficerami na ganku palisady wieńczącej od strony rzeki ziemny wał. Co się w ciemnościach ruszało, dochodziły trudne do rozróżnienia dźwięki, zdawało się, że w mrokach nocy ktoś szmerze, czy też monotonnie szepce. Nadlecieli gońcy od bram z podobnymi meldunkami, a za rzeką odgłosy, początkowo ledwie uchwytnie, stały się wyraźniejsze. Można już było rozróżnić wołania, dudnienie wozów, wreszcie i ludzki gwar. Nie sposób było jednak niczego dojrzeć, gdyż ciemność pochmurnej nocy kryła świat nieprzeniknioną zasłoną. - No i nas dopadł, psi syn - mruknął stojący przy pułkowniku Kalinowski. - Do rana rozstawi wojska i o wicie ruszy do szturmu - odezwał się Rogowski. - Nie ruszy, dopóki

nie pobuduje umocnień, mamy do czynienia z przezornym wodzem. Inaczej otworzymy bramy i przejdziemy po nich jak nóż przez masło! - rzucił opryskliwie Lisowski. - A jeżeli nawet, to szybko się z budową uwinie. Ludzi ma dość. - Wszakże dzień mu na tym zejdzie. - Otoczył nas niczym obręczą. Od bram były meldunki, a zza rzeki także ich słyszym... - odezwał się Rysiewicz. - Dzień zwłoki niczego nie zmieni. - Pozwoli jednak na rozeznanie, jak się umacnia i gdzie ustawił wojska - wtrącił Kleczkowski. - Można jednak sądzić, że zamknięcie będzie szczelne. - Co do tego nie mam żadnych wątpliwości! - Lisowski roześmiało się bez troski. - Śmiejesz się, mimo że dał się wpędzić w pułapkę... - Głos Rysiewicza, dochodzący z ciemności, nie był pozbawiony ironii. - Nie tak bardzo na tyle, jak sądzisz - nadal wesoło odpowiedział mu pułkownik, a Kleczkowski dodał: - Byliśmy już w gorszych opałach, ale Bóg w swej łaskawości nas nie opuszczał... - Możesz wać sobie wierzyć w Opatrzność, lecz ja wolę w swoją szablę! - już niemal gniewnie odparł Rysiewicz. - Nie sierz się, Jerzy - uspokoił go Lisowski. - Malinin w pole mnie nie wywiódł. - Co ma do tego Malinin? - Grał przeciwko nam ręka w rękę z Pożarskim, przed którym, prawdę mówiąc, coraz większy mam respekt. - Mimo to dał się tu zamknąć! w tym drewnianym kurniku długo oporu stawiać nie sposób. - Skoro tak mniemasz, odmawiaj tedy pacierze wspólnie z Kleczkowskim. A ja będę gotować stawę, bo za dnia na posiłek może nie być czasu. W przesłaniającej świat czerni wybłysły raptem nieliczne początkowo ogniki, ale wkrótce cały ich rząd rozciągnął się przed nimi niby sznurek czerwonych koralii. Drgały błyskami w nocnej ciemności ni to ostrzegawczo, ni to drwiąco. Kiedy po posiłku Lisowski, przykrywszy się kożuszkim, gotował się do pokrępienia chociaż parogodzinnym snem, Czapliński, który zajmował z nim izbę, odezwał się z niepokojem w

głosie: - Czy× tak pewny swego, że nie okazujesz troski, czy też nie chcesz jej okazać? Tym razem Lisowski odpowiedział poważnym tonem: - Dowódca odpowiedzialny za swoich ludzi nigdy nie jest wolny od troski. Toteż bez znajomo×ci miejsca nigdy bym się nie zgodził na propozycję tego chytrego kupca. - Chcesz przyjąć walkę we wrogim sobie mie×cie i za tak słabymi murami? - Chcę pobawić się nieco z tym ruskim niedźwiedziem! To zdolny wódz, ale zbyt ostrożny, przeto powolny w działaniu. Tuszę więc, że do następnej nocy nas nie zaczepi, tym bardziej że mając nas niby w saku, jest pewny swego. - A czyż tak nie jest? Czy× nie nazbyt dufny w swoje wojenne szczę×cie? - Głupi byłbym, gdybym tylko na nim polegał. Rad je widzę, ale zaufanie mam tylko do własnej głowy i szabli! No, do×ć tej gadaniny, trzeba nieco pospać, zanim dzień wstanie na dobre. Kiedy za× dzień nastał, wystarczył rzut oka na płaszczyznę pól, rozciągających się za nurtami obu rzek, aby ocenić położenie, w jakim znalazły się chorągwie Lisowskiego. O wiorstę za brzegami Oki, a także i łyzdry, widać było długi pas wozów obsypanych ziemią, zataczających rozległe półkole. W połowie tej odległo×ci krzątało się jeszcze ludzkie mrowie, wkopując w ziemię ostro zakończone pale, które, nachylone, kierowały swoje złowrogie ostrza ku gródkowi, jakby czekając na końskie piersi. Lisowski wziął chorągiew i ruszył przez miasto ku bramom obsadzonym przez jego żołnierzy. Jechał pustymi, jakby wymarłymi ulicami, na których nie widać było ani jednej żywej istoty. Wszystkie okiennice były zawarte, drzwi i bramy wzmocnione barykadami. Wszakże nikt nie zaczepiał przejeżdżającego oddziału. Widać czekano, aż uczyni to ich stojący za murami wybawiciel. Wkrótce pułkownik stwierdził, że tak jak i gródek, całe miasto otoczone było wojskiem. I tu kończono po×piesznie budowę umocnień i zasieków przeciw atakowi jazdy. Lisowski wydał dowódcom bram szczegółowe

rozkazy, dotyczące nie tylko doraźnych przygotowań, ale i dalszego działania, po czym, również nie nagabywany, powrócił do gródka. Prace przy umocnieniach trwały nadal, poza tym nic się jednak nie działo. Przewidywania pułkownika zaczęły się potwierdzać, a jego oficerowie rozumieli już, że czas spokoju mija i nadchodzi chwila czynu. Dopiero jednak wieczorem wezwano ich na kwaterę. Rozkazy, jakie otrzymali, pojęli od razu, toteż nieomal weseli pognali ku chorągwiom, by przygotować ich do działania. Jednak dopiero po północy dostali polecenie rozpoczęcia akcji. Jako pierwszy wyszedł na czele chorągwi Lisowskiego Idzi Kalinowski. żołnierze z zapalonymi pochodniami opuścili gródek i zaczęli podrzucać ogień pod najbliższe stojące domy. Płomienie od razu chwyciły w se objęcia drewniane budynki i morze ognia wnet zalało tę stronę miasta. Pojawienie się pożaru było sygnałem dla załogi bram. Ruszył więc i stamtąd pochód pożogi. I tak miasto, wzięte z kilku stron w zakola płomieni, stanęło całe w ogniu niby jedna wielka pochodnia. Nie było mowy o gaszeniu w ciasnocie uliczek tak rozległego pożaru. Drewniane domy zajmowały się jak smolne łuczywo, toteż ludzie, oszołomieni grozą, trzaskiem buszującego ognia, bijącym z niego żarem i hukiem walących się ścian, ratując już tylko życie, rzucili się ku bramom. Te, zgodnie z rozkazem pułkownika, załogi rozwarły, a dopiero potem skupiły się i z wolna wycofały ku gródkowi, gdzie czekano na ich przybycie. Przerażony tłum zaczął wylewać się poza mury szerokimi rzekami, uciekając z szalejącego za plecami piekła. Pożar, który rozkazał wzniecić Lisowski, nie był jednak tylko zemstą za przemieszczenie miasta. Głównym bowiem celem pułkownika było zabezpieczenie sobie tyłów przed zamierzoną ucieczką z zastawionej pułapki. Skoro więc ogień rozlał się dostatecznie szeroką falą, chorągwie pod przewodem swego wodza rzuciły się do brodu. Wszakże nie

przebywały go całkowicie, lecz zaraz skręcały, powierzając się nurtowi rzeki i spływały szybko jedna za drugą. Już zawczasu żołnierze zostali powiadomieni przez dowódców, co ich czeka, więc przytroczyli do siodeł wszystko, co mogło hamować im ruchy. Teraz więc, trzymając się strzemion, płynęli swobodnie przy swoich wierzchowcach. Droga tej ucieczki całkowicie zaskoczyła oblegających. W świetle pożaru ujrzeli wprawdzie masę koni i jeźdźców zanurzających się w rzekę i szybko sunących z jej prądem, ale oprócz brodu brzeg był wszędzie bagienny i niedostępny, przeto zbliżyć się do uciekających było nie sposób. Odezwały się co prawda rusznice i poleciały strzały, lecz odległość była spora, a bijący od pożaru blask utrudniał celowanie. Kiedy żołnierze, prowadzeni cały czas przez Lisowskiego, oddalili się dostatecznie daleko od nieprzyjacielskich linii i znaleźli miejsce dogodnie do opuszczenia rzeki, wydostali się na brzeg. Chorągwie zaczęły formować się na nowo, otrząsać z wody i rozwiązywać troki. Wkrótce byli gotowi do dalszego marszu, zagłębili się więc w nocną ciemność. Szli do wiatu, nie oddalając się zbyt od rzeki. O pierwszym brzasku skręcili ku ciągnącemu się w pobliżu lasowi, gdzie zatrzymali się, by nieco wytchnąć. Niebawem ruszyli dalej, kierując się już słońcem. Lisowski ominął Koriekoziewo nie kusząc się łatwą zdobyczą, gdyż Pożarski był zbyt blisko, a książę Szeremisz też spieszył ku niemu spod Rżewa. Ruszył więc mu naprzeciw. A ponieważ omijał wszelkie ludzkie osiedla, a strażom wydał rozkaz zabijania każdego napotkanego po drodze, podjazdy wysyłane przez księcia Pożarskiego, mające odnaleźć kierunek jego marszu, wracały z niczym. Pan Chodkiewicz w tym czasie czekał w Wiaźmie na pana starostę Chmielnickiego, Mikołaja Strusia. Ten przybył wreszcie, prowadząc ze sobą trzy tysiące wyborowego żołnierza. Owo wojsko poruczył mu jego krewniak, wojewoda braclawski

Jakub Potocki, zalecając jednak, by nie poddawał się pod niczyje rozkazy - ani Gosiewskiego, ani tym bardziej Chodkiewicza, lecz sam osiągnął sławę, utrzymując Moskwę do czasu nadejścia króla jegomości. Posłuszny temu poleceniu Struż zachowywał się jak wódz równy znaczeniem hetmanowi. Oddzielnie pomaszerował pod Moskwę i oddzielnie stanął obozem pod Nowodewiczym Monasterem, gdzie swoje wojsko zatrzymał również Chodkiewicz. Siły hetmana nieco wzrosły, bo Samuel Korecki przyprowadził kilkaset konnych i stu ludzi piechoty ze Smoleńska, Niewiarowski osiemset piechoty, Waszczyński, Grajewski i Młocki po kilkaset piechoty i konnych. Przybyło też na rozkaz króla cztery tysiące Kozaków, ale był to żołnierz niepewny. Razem miał więc pan Chodkiewicz około ośmiu tysięcy żołnierzy. Wkrótce znów dała o sobie znać buta Strusia, kiedy to w rozmowach wiedzionych na Kremlu oświadczył, że nie obejmie murowej służby, dopóki nie zostanie komendantem całej załogi. Oburzył się wielce hetman takim despektem uczynionym zasłużonemu mężowi, jakim był pan Gosiewski, oburzali się i inni oficerowie, najmniej jednak wziął go sobie do serca sam pan Gosiewski. Doświadczony wódz widział bowiem, że wojna jest przegrana. Iólkiewski odsunął się całkowicie od sprawy moskiewskiej, własne wojsko było niesforne, bo rozzuchwalone pobbłażaniem dowódców i zaległością w zapłacie, natomiast siły nieprzyjacielskie wzrastały nieomal z dnia na dzień, ogarnięte ogniem patriotyzmu, mając wreszcie w osobie Pożarskiego tak zdolnego wodza. Toteż przy chwiejności i opieszłości własnego władcy wróżyło to nieuchronną, a rychłą klęskę. Nie wdając się zatem w dłuższe spory, pan Gosiewski sam wyraził zgodę na zdanie komendy Chmielnickiemu staroście i niebawem opuścił Moskwę. Poszło za nim rycerstwo dawnych zaciągów, choć częśc z

nich przystała do Chodkiewicza. Większość jednak po opuszczeniu Moskwy także zawiązała konfederację pod przewodnictwem Adama Zaliwskiego. Struż pozostał więc na Kremlu z własnym regimentem w sile trzech tysięcy ludzi wraz z częścią dawnych sapieżyńców pod Budziłą, Charlińskim i Chocimirskim. Wobec powstałej sytuacji Chodkiewicz odstąpił od Moskwy i stanął pod Krajcarowem, ale nie pozostał bezczynny. Pomny swego obowiązku wobec ojczyzny i króla, mimo Strusiowych fochów i pychy nadal dbał o moskiewską załogę. Nie zważając więc, że dowodzi nią wrogi mu człowiek, również teraz troszczył się o żywność dla Kremla. Udało mu się podesłać tam dwa transporty. Mając jednak na uwadze zbliżającą się porę jesiennych deszczów jak i dochodzące z Niżnego Nowogrodu wieści o zbieranych tam przez nieustrzonego Minina wielkich siłach, którymi zamierzał uwolnić stolicę, Chodkiewicz osobiście ruszył około połowy sierpnia na kolejną wyprawę. Wracał z niej prowadząc ogromny tabor, bo składający się z czterystu wyładowanych do pełna wozów. Tak wielki transport posuwał się wolno, więc pod Moskwę dotarł ostatniego sierpnia - i niestety o jeden dzień za późno. Bowiem trzydziestego nadciągnęli pod stolicę Kuźma Minin i książę Pożarski, który poniechał pościgu za Lisowskim. Wojsko to w sile około pięćdziesięciu tysięcy żołnierzy otoczyło już Moskwę szczelnym pierścieniem. Dotychczasowa armia, oblegająca miasto pod wodzą Trubeckiego, znajdowała się głównie na Zamoskworeczju, umocnionym silnie szańcami i tak zwanymi gorodkami, gdyż stamtąd spodziewał się książę ataków polskiej załogi. Obóz za Kozaków i ich dalsze stanowiska ciągnęły się od strony południowo-wschodniej i sięgały Monasteru Andronikowa. Pożarski natomiast zajął pozycję wokół Biełogrodu, od Bramy Piotrowskiej do Baszty Aleksieja nad rzeką Moskwą. Główną redutę wznosił naprzeciw Bramy

Arbackiej, tu też znajdowała się jego kwatera główna. Od niej rozciągały się rowy strzeleckie, szańce i zapory przeciw konnicy obsadzone przez Kozaków. Większość tych umocnień już zawczasu przygotował Trubecki. W godzinach rannych Chodkiewicz przeszedł rzekę nieopodal Nowodiewiczego Monasteru, pozostawiając jednak tabor jeszcze na drugim brzegu, gdyż na widok przepływających się chorągwi ruszyły od stanowisk Trubeckiego kozackie sotnie i uderzyły na te oddziały. Zborowski, który już był na drugim brzegu, wyszedł im naprzeciw i po zaciętej, trwającej blisko godzinę walce spędził ich z pola w kierunku Bramy Czertolskiej, zabezpieczając dalszą przeprawę wozów, która zresztą w czasie bitwy trwała nadal. Przeprowadzone już wojsko niedługo jednak pozostawało w bezczynności, gdyż wkrótce pomiędzy umocnień nieprzyjacielskich wyłoniły się nowe watahy i z dzikim wrzaskiem gnały ku liniom piechoty stojącej w środku szyku, z konnicą ustawioną przez hetmana na jej bokach. Regimenta zagrzmiały salwami ognia, okrywając się dymem, który zwiany wiatrem zakrył na chwilę pędzących jeźdźców. Rozległa się mimo to druga salwa, a kiedy dymy zniknęły, ujrzano tarzające się po ziemi konie i jeźdźców. Pozostałych powitała kolejna salwa z dalszych szeregów, po której zawrócili, uciekając ku swoim. Ruszyły za nimi w podciąg chorągwie Kordeckiego, Wasiutyczyńskiego i Zborowskiego. Część uciekających zepchnęły w rzekę, za resztą zapędziły się w pogorzelska Biełogorodu, rąbiąc uciekinierów i piechotę skrytą w strzeleckich rowach i szańcach. Jednak w dalszym ciągu napotkały tak gwałtowny opór, że zaczęły ponosić coraz większe straty. Wypadły wprawdzie z Kremla oddziały sapieżyńskie, by dać im wsparcie, ale był to żołnierz osłabiony niedostatkiem, toteż napotkawszy silny ogień, musiał się wycofać. Hetman skierował więc do bitwy regimenty Niewiarowskiego i



Grajewskiego, pozostawiając tylko nieznaczne siły dla ochrony taborów. Piechota owa, walcząc dzielnie, parokrotnie wdzierając się w stanowiska wojsk Pożarskiego, zdobywała kolejne umocnienia i staczając bój o każdą ruinę, każdą barykadę, wolno posuwała się do przodu. W tym czasie Trubecki stał beczynnym za zakolem Moskwy, jednak znajdujące się przy nim oddziały opołczenia w sile pięciu setni rzuciły się wpraw przez płytką rzekę i zaatakowały prawe skrzydło polskich sił. Pod tym uderzeniem - wobec wzmożonej przewagi przeciwnika i zawziętości jego oporu - nacierające oddziały zostały zmuszone do przerwania natarcia i odwrotu. Hetman dał rozkaz zaprzestania walki, cofnął wojsko pod Pokłonną Górę i przegrupował, a następnie przesunął w zakole rzeki, na Zamoskworeczje, odkładając dalszą walkę na następny dzień. Szczelność obręczy oblegających wojsk nasunęła wątpliwość, czy Struż jest w stanie wesprzeć dalszą walkę. Wprawdzie część załogi wzięła już w niej udział, ale były to oddziały sapieżyńców, a więc tylko pośrednio mu podległe, hetman zaczął wątpić, czy Struż zechce mu udzielić jakiegokolwiek pomocy. Postanowił przeto skłonić go do współdziałania, które przede wszystkim jemu przyniosłoby korzyść. Dla wykonania tego zadania przydzielił Zborowskiemu oddział piechoty w sile sześciuset ludzi, by na ich czele nawiązał kontakt z załogą i wezwał do połączenia wysiłków. Zborowski wyruszył o północy wraz ze stronnikiem Polaków, bojarem Orłowem, który przeprowadził oddział przez Zamoskworeczje. Sforsowali umocnienia obleźnicze, po zaciętych nocnych walkach dotarli pod kremłowskie mury i wypełniwszy hetmański rozkaz wrócili oświecie do swoich. Rankiem drugiego września hetman znów ustawił swe wojsko na przedpolu Zamoskworeczja. Jednak nieprzyjaciel nie wyszedł mu naprzeciw, pozostając pod ochroną swych umocnień. Nastąpił dzień trzeciego września.

Chodkiewicz jak poprzednio wyprowadził wojsko. Stanisława Koniecpolskiego z kilkuset pancernymi i czterema tysiącami Kozaków Szatyja ustawił na prawym skrzydle. Zborowskiemu powierzył ×rodek, także z kilkuset jeźdźcami, ale i z piechotą, sam za× objął lewe skrzydło, mając przy sobie resztę sił. Ze względu na konieczność dostarczenia żywności postanowił tym razem wydać bitwę bez względu na zachowanie się przeciwnika. Przykazał więc taborom ruszać za wojskiem. Pomędzy rozrzuconymi tu i ówdzie resztkami zabudowań Zamoskworeczja widać było pas ziemnego wału, za którym zasiadła piechota. Wyrzucony piasek żółtą wstęgą przecinał ruiny domów, z których wychylały się sylwetki żołnierzy, zapewne ciekawych nieprzyjaciela, z którym zaraz przyjdzie im się zmierzyć. Za wałem ciągnęły się zgliszcza, bo resztę ocalałych domów już z rozkazu kniazia Pożarskiego spalono ubiegłego dnia. W×ród tych ruin i zgliszcz tu i ówdzie można było dostrzec dalsze umocnienia, toteż żołnierz u×wiadamił sobie, że czeka go niełatwa przeprawa. Chorągwie ruszyły z miejsca. Od razu zza wałów wybiegła im naprzeciw kozacka konnica, a za nią ruszyła i piechota pospolitego ruszenia. Rozgorzała zacięta i długotrwała walka, bo i teraz moskwiczanie bili się nieustępliwie i żąrcie. Zepchnięci wreszcie z pola nie uciekali, lecz doskoczywszy wału, przyłączali się do jego obrońców. Z kolei więc rozgorzała walka o to umocnienie. Raz po raz szły do szturm polskie oddziały, ale napotykając gęsty ogień rusznic i chmurę lecących strzał, musiały ustępować, i to nawet tam, gdzie udało się dotrzeć do samego wału, bo liczebna przewaga obrońców była zbyt wielka. Dopiero po pięciu godzinach takich zmagani hetmańskie oddziały zdołały przełamać opór broniących wału Rosjan i wdrzeć się na Zamoskworeczje. To wreszcie załamało słabo obyte go z walką żołnierza. Opołcenije rzuciło się do ucieczki, nie wytrzymali także

naporu i Kozacy Trubeckiego. Na próżno książę Pożarski sam chwycił za szablę, by na czele swojej drużyny wkroczyć do bitwy i nawoływać do oporu - raz zrodzony strach nie dał się opanować. Walka jednak nie ustała, gdyż piechota zasiadła w dalszych umocnieniach i ruinach, a także obrońcy barykad nie ulegli panice. Zza każdego węgła nie dopalonego domu, z każdej sterty gruzu czy belek, z każdego krzaka, piwnicznego dołu błyskały ognie rusznic, leciały strzały. Jednak polski żołnierz rozgrzany dotychczasowym sukcesem parł naprzód. Poza chorągwiami Zborowskiego hetman skierował do bitwy i swoje chorągwie, a jednocześnie dał rozkaz wozom, by ruszyły za posuwającym się wojskiem. Tabor jechał więc wśród huków wystrzałów, wstępu kuli, chmury strzały, z woźnicami, którzy - kryjący się jak kto umiał - krzykiem przerażenia i batami poganiali swoje zaprzęgi. Piechota i konni przedzierali się coraz bardziej w głąb Zamoskworeczja. W kilku szarżach wycięto broniących się Kozaków co do jednego, aż wreszcie piechota dotarła do cerkwi świętego Klimenta, pierwszym szturmem zdobywając stojący przy niej gorodok. Przyczyniły się do tego również chorągwie Budziły i Chocimirskiego, które wypadły z Kremla i przez most łączący go z Zamoskworeczjem przedostały się na teren walki. Natomiast Strużko nie wydał swoim żołnierzom rozkazu, by wsparli walczących towarzyszy. Wszedł na mury i w towarzystwie kilku swoich oficerów obserwował toczący się bój. Jego odgłosy dochodziły do stojących grzmiotem rusznic, krzykami napastników i obrońców, szczękami ich broni. Widzieli przesuwające się postacie spowite dymami wystrzałów, których błyski raz po raz ukazywały się w czarnych kłębach. W pewnej chwili Strużko obrócił się do stojącego przy nim jednego z rotmistrzów: - Zawzięta jucha ten królewski lizus... - W czym? - spytał zagadnięty nie ukrywając rozdrażnienia. - W walce czy w chęci udzielenia

nam pomocy? Stru× obrzucił oficera gniewnym spojrzeniem. - Cóż to, widzę, że wa×ć jego stronę dierzysz? - Przecież dla nas wiecie spyżę, żołnierską krwią za to płacąc! My za× nie ruszamy mu w sukurs, choć głód nie jemu, ale nam grozi! - W sukurs?! - wybuchnął chmielnicki starosta. - Niedoczekanie jego! Nie, mo×ci panie, wolę, by mi głód kiszki skręcał! - Nie sądzę, aby i rycerstwo było tego mniemania... - mruknął zgryźliwie rotmistrz, na co starosta nic już nie odpowiedział. Bitwa tymczasem zaczęła zacichać. Tu i ówdzie Kozacy zalegli w umocnieniach i sięgnęli po bukłaki z wódką, by pokrzepić nadwątłone sdiły, polskie rycerstwo za×, także zmęczone dotychczasowym wysiłkiem, posilało się czym kto mógł lub co zdołał schować za pazuchę. Jakby za milczącym porozumieniem nastąpiła przerwa w walce. Wozy, choć wolno, ale posuwały się nadal. Hetman rozkazał im formować się w bardziej zwarty rząd przy cerkwi świętej Katarzyny, skąd biegła droga na most przerzucony przez Moskwę, a wiodący wprost ku bramie w kremłowskim murze. Natomiast kniaź Pożarski, spostrzegłszy zmęczenie polskich oddziałów, skierował do ataku nowe sotnie. Wielce mu w tym był pomocny niejaki batiuszka Palicyn, który i osobi×cie, i przez rozesłanych mnichów gorąco wzywał żołnierzy do nieustawania w wysiłku i ruszenia do dalszej walki w imię ×więtego Siergieja. Wezwanie to nie przebrzmiało bez echa, rozpalając na nowo serca wojowników, którzy byli już teraz owiani innym duchem niż w okresie pierwszych walk z najeźdźcami. Toteż rzucili się z nowym zapalem do bitwy, z imieniem ×więtego Siergieja na ustach, wzywając go, by wspomógł ich w boju. Walka rozgorzała więc z nową siłą ku zaskoczeniu hetmana, który wynik rozprawy zaczął uważać za przesadzony. Rozkazał przeto, by tabory natychmiast wyruszyły ku mostowi. Znów woźnice poukładali się płasko na ładunkach

wozów lub kryli za końmi, nie żałując ani batów, ani gardeł do ponaglania zaprzęgów, aby co rychlej przebyć resztę niebezpiecznej drogi. Ponownie grzechotały rusznice, szybowały w powietrzu strzały, rozległ się wrzask zmagających się wojowników, tworząc jeden bitewny zgiełk, ponad który wybijał się krzyk z tysięcy gardeł: Siergiej! Siergiej! Zdawało się, że uderzenie rosyjskie idzie ze wszystkich stron, taka masa ludzi rzuciła się ponownie do walki. Widząc tę nieoczekiwaną zmianę sytuacji, tak obcą rosyjskiemu żołnierzowi, który jak dotąd nigdy nie wznawiał boju zaznawszy w nim porażki, hetman ×ciągnął ku sobie wiele mógł żołnierzy i z szablą w ręku osobi×cie poprowadził ich do bitwy. Było to bardzo na czasie, bo jej obraz zmienił się zupełnie. Wszędzie wypierano polską piechotę z już zdobytych pozycji, odbijano obsadzone przez nią szańce, padł Klimentowski gorodok, z którego porucznik Grajewski musiał się wycofać. Rycerstwo prowadzone przez samego hetmana znów musiało mocno naprzeć na wroga. Niby błyskawice ×migwały szable, konie chrapały z wysiłku, przechylali się w siodłach jeźdźcy, by odpierać ciosy nacierających zewsząd wojowników moskiewskich. Rannemu od postrzału chorążemu księcia Koreckiego Janowi Kropiwnickiemu wydarto chorągiew, ranny został także rotmistrz Wa×niewski, a walczących przy nim trzydziestu piechurów wybito co do nogi. Także konni z powodu ciasnoty miejsca - bo wszędy leżał gruz, sterczały nadpalone ×ciany, pełno było dołów i rowów - z trudem stawiali opór atakującym przeciwnikom. Tymczasem tabory zbliżały się już do zbawczego mostu, za którym blisko×ć kremlowskich murów i rozwarta brama zapewniały bezpieczeństwo. Wszakże piechota Niewiarowskiego, która strzegła wozów, podniecona widokiem bliskiego już mostu po×pieszyła zbyt do przodu, przez co odsłoniła boki transportu. Dostrzegłszy to od razu,

oddziały opołczenia i Kozaków rzuciły się na straż konną i przełamawszy z łatwością jej opór, dopadły wozów. Poszły w ruch drągi i topory. Rąbano dyszle i koła, odcinano postronki zaprzęgów, wywracano tielegi. Toteż tylko część taboru wraz z rotą Niewiarowskiego dotarła do zbawczej bramy. W tym czasie Kuźma Minin uporządkował konne sotnie opołczenia i poprowadził je na formacje Chodkiewicza. Z lewej strony, wpływ przebywszy rzekę, rzuciła się do boju konnica Pożarskiego. Od czoła natomiast natarły główne siły pospolitego ruszenia, skupione dotychczas na terenie carskich ogrodów ciągnących się na prawym brzegu Moskwy. Pod naporem tak wielkich sił, a zwłaszcza wobec straty taboru, co pozbawiało sensu dalsze zmagania, hetman nakazał odwrót. Rosjanie nie zaprzestawali jednak nacisku, toteż walki już pod samym obozem zakończyła dopiero nastająca ciemność. Hetman w obawie nocnej napaści nakazał wojsku pozostanie w siodłach. Noc wszakże minęła spokojnie, więc o świcie wycofał oddziały w pobliże Dońskiego Monasteru, poniosłszy pierwszą w życiu porażkę, i to z dużymi stratami, bo około pięciuset zabitych i ciężiej rannych. Natomiast w głównej kwaterze kniazia Pożarskiego w pobliżu Bramy Arbatowskiej świętowano zwycięstwo, uciskali się, uszczęliwieni nim, główni jego twórcy - pochodzący z ludu Kuźma Minin z kniazem Dymitrem Michajłowiczem Pożarskim. Jednak nieustępliwy w swych zamierzeniach hetman w kilka tygodni później nadciągnął z nowym transportem żywności. Został jednak wokół Moskwy tak mocne fortyfikacje i tak szczelnym łańcuchem opasujące miasto, że ich forsowanie uznał za szaleństwo. Pociągnął więc mocno do wiadczony przez własnych rodaków do Wiaźmy, gdzie miał przybyć jego nieudolny władca. Rezygnując z powodu sprzeciwu bojarstwa z carskiego tronu, król Zygmunt przystał jednak na wprowadzenie na ten tron swego syna, toteż postanowił

wyprawić się do Rosji. Jak zwykle powolny w działaniu dopiero w lipcu 1612 roku w otoczeniu liczego dworu, lecz z niewielką liczbą wojska, bo tylko z dwoma regimentami piechoty, ruszył w drogę. Zatrzymał się jakiś czas w Wilnie, po czym, nie doczekawszy się tam spodziewanych posiłków, udał się do Orszy. Stąd pociągnął do Smoleńska, gdzie dotarł drugiego października. Liczył na wsparcie stojącej tam załogi, ta jednak wręcz odmówiła wzięcia udziału w wyprawie, widząc nieudolność w przeprowadzaniu całej imprezy. Dopiero kiedy już opuścił Smoleńsk, zrażone do władcy rycerstwo, mimo braku wiary w skuteczność jego zamierzeń, powodowane jednak honorem i poczuciem obowiązku, ruszyło za nim w sile tysiąca dwustu towarzyszy husarskich, by dać ochronę monarsze. Ze Smoleńska Zygmunt skierował się do Wiaźmy, gdzie spotkał go Chodkiewicz. Pozostało przy hetmanie nie więcej niż trzy tysiące żołnierza, gdyż odeszli sapieżyńscy i Kozacy. Te znikome siły, a także nawet brak armat spowodowały, że wezwane do poddania się Pogoriełowo Grodiszcze odmówiło temu żądaniu, a potem próba zdobycia Wołokołamska, właśnie z powodu braku armat, nie powiodła się również. Nastął już grudzień, a z nim coraz ostrzejsze mrozy. Wojsko stojące w otwartym polu cierpiało więc bardzo, a wyprawy po żywność spotykały się z coraz ostrzejszym oporem. Nie było przy tym żadnej nadziei na poprawę sytuacji, toteż król Zygmunt nakazał odwrót i jeszcze w czasie srogiej zimy wrócił do Polski. Hetman Chodkiewicz pozostał w Rosji, ale, jak pisał, położenie jego było "haniebne". Tylko nieliczne grody były obsadzone przez polskie załogi, natomiast cała jazda skonfederowała się i pociągnęła do kraju, mocno tam dając się we znaki ludności miejscowej. Bez pieniędzy i wojska nie było co myśleć o jakichkolwiek działaniach, toteż na początku 1613 roku pan Chodkiewicz z garścią najwierniejszych żołnierzy udał się do

swego Bychowa. Rutje wraz z Trojanem, jeszcze w Wiaźmie uzyskawszy zezwolenie hetmana, ruszyli do Starodubia. Do Rosławla ciągnęli wraz z hetmańskim orszakiem, tam jednak przyszło im się rozdzielić, bo hetman kierował się bardziej na zachód, im za× wypadło zmierzać wprost na południe. Drogę nadal mieli uciążliwą, gdyż był dopiero początek marca, więc ×nieg tworzył jeszcze liczne i nie zawsze przejeżdżone zasy. Konik jednak odpał się na tyle, że pokonywał te przeszkody, zwłaszcza je×li opuszczali sanie i wspomagali go w wysiłku. O ile więc droga do Rosławla zajęła im niecałe dwie niedziele, to obecnie prawie taką samą przestrzeń pokonali w czasie dwa razy dłuższym. Był więc początek kwietnia, kiedy dotarli do Starodubia, i to bez przygód, gdyż zimowa pora ograniczyła działalno×ć szyszów i luźnych watah kozackich. Tak jak poprzednio zresztą byli ubrani w chłopskie siermięgi i baranie czapy i w takim stroju podjeżdżali do miasta. Już z daleka ujrzeli połyskujące złoceniem kopuły cerkiewne, wyłaniające się zza dachów domostw i nagich gałęzi drzew, a wkrótce bez większego trudu znaleźli kwaterę w jednym z dostatniejszych gospodarstw. Rutje, pamiętając o poleceniu Soni, poniechał tym razem poszukiwania jej, powierzając to zadanie Trojanowi. Następnego więc dnia po przybyciu już z samego rana Marek ruszył do miasta. Nie było zbyt duże, toteż kłopotu ze znalezieniem drogi do siedziby kupca t'opuchina nie miał, gdyż wskazał mu ją pierwszy zagadnięty wła×ciciel kramu. Dom znalazł też łatwo. Bez wahania minął otwartą bramę i widząc dziewczynę myjącą przy studni wiadra, skierował się ku niej. - Dzień dobry, panienko... - powitał ją z u×miechem. - Czy to dom jego łaskawo×ci kupca t'opuchina? Dziewczyna odwzajemniła u×miech i obrzuciwszy twarz przybysza kokieteryjnym spojrzeniem, przytaknęła: - Tak, abo co? - A panienka Sonia bywa u was? - Nie bywa, ale jest - odpowiedziała dziewczyna, lecz zreflektowała się i zaraz



dodała: - Czego od niej chcesz? - Powiedzieć to i owo, pozdrowić... Służyłem u kupca, który w Kałudze go×cił ją u siebie, zwał się Połubajew... Na pewno rada będzie mnie ujrzeć, wszakże nie powiadamiaj jej przy krewniaku, bo jeszcze gotów precz mnie pognać. - Poczekaj, spróbuję... Postawiła wiadra na ganku i zniknęła za drzwiami. Nie było jej dłuższy czas, a potem zamiast niej zjawiała się inna. Na jej widok Marek od razu domy×lił się, kogo ma przed sobą. Słyszał wprawdzie od Rutjego o jej urodzie, lecz nie spodziewał się, że jest aż tak piękna. Stojąc na ganku, wysoka i smukła, patrzyła na niego nieco z góry. Dojrzał wielkie, ciemne oczy, okolone długimi rzęsami, spoglądające na niego z ciekawo×cią, ale i uwagą. Kuszące usta rozchyłał lekki u×miech, a kolorowy stanik podkre×lał stromiznę piersi. Trojan podszedł ku niej, pokornie zdejmując czapkę. - W Kałudze służyłem u kupca Połubajewa, lecz parobka pewnie nie dostrzegli×cie. Wszakże gospodyni darzyła mnie swą łaskawo×cią, toteż kiedy zwiedziła się, dokąd idę, przywołała i rzekła: "Odszukaj panienkę Sonię i powiedz jej, że kabałą po jej wyjeździe kładłam i ciekawe odczytałam w niej wie×ci..." Sonia u×miechnęła się, pytając z zaciekawieniem: - Cóż takiego jej powiedziała? - íe niezadługo ujrzycie w Starodubiu młodego męża, mocno za wami stęsknionego... - Nie wszystkie wróżby się spełniają... - Dziewczyna zmrużyła nieco powieki. - A chcieliby×cie tego? Trojan ujrzał, jak na chwilę znów je szeroko otworzyła, by ukazać rozbłysłe raptem spojrzenie. - Mów! - rzuciła krótko. - Czy już tu jest? - Tak, czeka na wiadomo×ć od was. - Gdzie przebywa? - Na przedmie×ciu, mogę zaprowadzić... - Kto× zacz? Jeste× u niego na służbie? - Nie, towarzyszem... - Towarzyszem? - spytała ze zdziwieniem, lustrując jego odzież. - Nie sądź człowieka po ubiorze. - Tym razem powiedział po polsku. - On chodzi tak samo odziany jak ja. Inaczej nie ujechaliby×my

daleko. - Rozumiem... - Uśmiechnęła się ukazując biel zębów.  
- Dobrze, idę z tobą. Poczekaj na mnie za cerkwią, a potem idź przodem pokazując drogę. Lepiej, by mnie z obcym nie widziano, zbyt dużo ludzi mnie tu zna. Trojan skinął głową i już bez słowa poszedł ku bramie. Ukryty za jednym z drzew otaczających cerkiew nie czekał długo. Szła szybko, odziana w podbity futrem kubraczek i z chustką zarzuconą na głowę. Kiedy podeszła bliżej i zauważył, że go dostrzegła, oderwał się od pnia i ruszył w powrotną drogę. Po minięciu bramy w tyńie otaczającym miasto, idąc jedno za drugim dotarli wkrótce do bocznej drogi prowadzącej do zagrody ich gospodarza. Ponieważ nikogo w pobliżu nie było, Peter zatrzymał się objaśniając: - Jesteśmy na miejscu, mamy izbę w tym domu. Gwizdnął przenikliwie raz i drugi i za chwilę ujrzeli wychodzącego z chaty Rutjego. Na widok Soni skoczył ku niej, ona zaś podbiegła do niego rozpościerając ramiona, które po chwili zarzuciła mu na szyję, obsypując twarz pocałunkami. Kolorowa chusta opadła jej na plecy ukazując czarne sploty włosów. Oderwali się wreszcie od siebie. Sonia chwyciła obu rękami dłoń Petera, jakby w obawie, że jej ucieknie, i powiedziała urywanymi słowami: - Peter, kochany... A więc jeste... Znalazłem mnie... Boże miły, jak ty wyglądasz... Aż uwierzyć trudno, prawdziwy, brodaty, ruski chłop! Rutje rozeźniał się. - Ale mnie chyba nie przepędzisz? - Przeciwnie! Zamknę cię na siedem kluczy i tylko ja będę cieszyć się, że cię mam! Kiedy zasiedli potem we trójkę w mrocznej izbie, Sonia, nie kępując się towarzystwem Marka, zawołała, znów dając upust radości: - Takam szczęśliwa, że mam cię przy sobie! Teraz opowiadaj, jak było w Kałudze. A więc Marfa powtórzyła ci moje zlecenie? - Inaczej bym tu nie był... - Peter opowiedział pokrótce przebieg podróży i rozmowę z Połubajewem, kończąc zaś relację spytał z uśmiechem: - Cóż się zmieniło, że przykazała trzymać w

tajemnicy przed krewniakiem moje przybycie? Sonia spuściła wzrok ku ziemi, po czym zerknęła na Trojana. Widząc to spojrzenie Rutje uspokoił ją: - Możesz przy nim mówić wszystko. To mój druh i zna sprawę... - Chwilę jakby się zawahał, zanim dorzucił: - I wie, jak cię miłuję... - Wiele się po Moskwie zmieniło - zaczęła. - Wuj rozeźlił się na mnie, zem uległa afektowi ku tobie... Na szczęście nie wie, jak dalece, ale i tak mocno zatruwał mi życie. - Tak mu się stałem niemiły? - Nie, tylko upatrzył dla mnie jakiegoś bogatego kupca... A skoro byłam temu przeciwna, o byle co sierdził się na mnie, a już ostatnimi czasy całkiem spokoju przy nim nie mam... Nawet za pas próbował się brać, alem mu hardo stanęła, więc poniechał. - Rozumiem... Dlatego zakazał Połubajewowi mówić, gdzie zamierza się obrócić. Sonia skinęła głową. - Skąd jednak wiedział, że udam się do Kaługi? - Bom nieopatrznie wyznała, że zdradziłam ci, dokąd jedziemy... Wtedy to po raz pierwszy wpadł w złość. - Nie sądziłem, że to taki człek! - wybuchnął Peter, starając się, by jego oburzenie wypadło szczerze. - Kupiec mu lepszy! To służbę u takiego wielmoży jak pan hetman ma za nic? - Kryć się zatem musicie... - wtrącił się do rozmowy Jerzy. - Przyjdzie nam ostrożność zachować, by waćpanna nie miała przez ciebie, Peter, kłopotów. Sonia jednak uspokoiła go: - Przybyliście w dobry czas, bo teraz go nie ma. Wyjechał z Siergiejem w jakichś swoich kupieckich sprawach. - Na długo? - Mówił, że na trzy niedziele, a wyjechał dziesięć dni temu. - Nie wiesz, dokąd się udał? - spytał Peter zdawkowo. - Do Homla. - Czasu nie mamy więc zbyt dużo... - mruknął zmartwiony. - Sądziłem, że dłużej będę z tobą. - Cieszymy się choć z tego, miły! Choć z tych dziesięciu dni, jakie mamy przed sobą. - Czy musisz przy nim pozostawać? Nie masz innej rodziny? - Mam, ale dalecy to krewniacy i daleko żyją, bo aż pod Saratowem. Chyba że poszłabym gdzieś na służbę...

- Nie pora teraz o tym mówić - wtrącił Marek. - Radziłbym pomyśleć o wygodniejszej i bliższej kwaterze... - Spojrzał pytająco na Rutjego. - W rzeczy samej! - przytaknął Peter zwracając się do Soni. - Nie możesz tak daleko chodzić, gdyż wnet by cię dostrzeżono. Rad bym najął osobny dom, by bez strachu z tobą się spotykać... - Spojrzał porozumiewawczo na dziewczynę. - A i w tym chłopskim przyodziewku też nie mam chęci ostać. - Znajdę taki... - oświadczyła dziewczyna. - Ale teraz chyba was pożegnam, bo zaniepokoję Jekatierinę Pawłownę... To żona naszego gospodarza, której krewniak powierzył pieczę nade mną - dorzuciła wyjąkująco, z żalem spoglądając na Petera. - Muszę iść do stajni oczyścić i nakarmić konia, a i sanie po długiej drodze trzeba oporządzić, Makary za poszedł po żywność do miasta - rzekł Trojan wstając z zydła. - Pogadajcie jeszcze, boście dawno się nie widzieli... - dodał kierując się ku drzwiom. Kiedy po godzinie powrócił, siedzieli grzecznie przy sobie, ale wkrótce dziewczyna wstała i zaczęła się żegnać. Nie zważając nadal na obecność Trojana zarzuciła Rutjemu ramiona na szyję i żegnała go długim pocałunkiem. Kiedy jednak odwracając się ku drzwiom pomachała mu na pożegnanie ręką, ujrzał na jej palcu pierścień połyskujący niebiesko w mroku izby. Już nazajutrz, przebrani we własną odzież, przenieśli się do niedużego domu stojącego na uboczu, przy jednej z uliczek bliskich siedziby łopuchina. Rozpoczęły się częste odwiedziny Soni i jak dawniej Rutje był całkowicie pod jej urokiem. Wróciły chwile uniesień podobne przeżywanym w kremlowskim pałacu. Jednak w rozmowach, jakie prowadzili, temat narzucała ona, co nie uszło uwagi czujnego teraz Petera. Przekonał się wkrótce, że była ciekawa nie tylko wszystkiego, co tyczyło jego samego, ale i spraw służbowych, zakresu obowiązków, a także i osoby hetmana, jego upodobań i zwyczajów. On za udawał, że tego nie dostrzega, odpowiadał

w miarę szczerze i strzegł się pilnie, aby nawet najmniejszą aluzją nie zdradzić się, że wie o jej bytności u Sapiehy. Po tygodniu zaczęła coraz częściej napomykać o rychłym powrocie wuja, rozważając jednocześnie możliwość ponownego ich spotkania. Którego dnia niedługo przed odejciem, ale leżąc jeszcze w łóżu, zauważyła: - Oto minął kolejny dzień... I znów musimy się rozstawać... - Ale jutro przyjdzie następny i ponownie się ujrzemy. - Wszakże będzie to jeden z ostatnich... wuja tylko patrzeć. Ponieważ Rutje milczał, siedząc z pochmurną twarzą, ciągnęła dalej: - Skoro za przyjedzie, na nowo zacznie się moja udręka! Aż strach bierze, jak o tym pomyśle... być też może, że już nigdy się nie obaczymy. - Dlaczego, miła? - obruszył się. - Raz cię znalazłem, to w potrzebie odnajdę i drugi. - Ale czy będziesz chciał? - Czyżby wątpiła? - Nie wiadomo, co się ze mną stanie. Nie wiem, jak długo przy nim wytrzymam... Była to wyraźna propozycja, której wszakże Peter zdawał się nie rozumieć, bo odpowiedział: - I mnie lekko nie będzie... Permisja mi się kończy, a i twój krewniak wnet wraca. Hetman już na pewno na mnie czeka. - Gdzie on teraz? Rutje wzruszył ramionami. - Nawet nie wiem. Osiadł wprawdzie w Bychowie, ale chyba gdzie znowu wojuje. Dowiem się na miejscu, to go łatwo znajdę... - Wracasz więc do Bychowa? - Bo tam zapewne czekają na mnie hetmańskie rozkazy. Pożegnanie z Sonią, acz pełne łez z jej strony, a ponurej zadumy Petera, było krótkie, bo jakby za znowu oboje woleli go nie przedłużać. Sanie Peter i Trojan musieli zostawić, a kupić jakiś zdatny do drogi wóz, bo nastały już kwietniowe roztopy. Szczupłe tobołki nie wymagały długiego pakowania, toteż zaraz następnego dnia, znów w chłopskich siermięgach, ruszyli w drogę. Zanim nakarmili konia i wymocili wóz, słońce uniosło się ponad dachy domów, zapowiadając pogodny dzień. Wszakże Rutjemu daleko było do pogodnego

nastroju. Siedział zadumany, więc kiedy wyjechali za bramę miasta, obserwujący go Trojan odezwał się: - Zalazła ci za skórę? - A zalazła... Jakbym w łodzi siedział, którą fala podrzuca raz w górę, raz w dół... Wiem przecież, co warte jej przysięgi, a jednak ciągnie mnie ku niej. - Nie dziwno mi, bo dziewczka nad podziw piękna, można dla niej stracić głowę. - Sądysz, że ją stracił? - gorzkim tonem spytał Rutje. - Zapewne pomy×lał×, że ten Suchecki wcale nie wyjechał, tylko przykazał jej tak mówić. Bo dziwne mi się wydaje, że akurat kiedy× ty przybył, jego wła×nie nie było. Peter spojrzał na towarzysza u×miechając się lekko. - My×lisz, że tego nie sprawdziłem? - No i co? - ze zdziwieniem i nie tajoną ciekawo×cią spytał Marek. - Dowiedz się u Makarego. On miał poleczone to zbadać. Ponieważ pocztowy jak zwykle trwał w milczeniu, Trojan ponaglił go: - Gadaj, Makary! - Siedział cały czas w domu, nigdzie się nie ruszał... - raczył mruknąć pocztowy. - Czy to pewne? Skąd wiesz?! - Duńka, ta dziewczka, co u nich służy, mówiła... - A niechże to czort porwie! - westchnął tylko pełen oburzenia Trojan. - A mnie gadała, że gotowa przyjąć każdą służbę, aby tylko być przy mnie - powiedział ze smutkiem Rutje. - Nie do pojęcia! - zauważył Trojan. - Piękne lico, a taki zmijowy język! - Mimo to jestem gotów jej uwierzyć... - w zamy×leniu rzekł Rutje wpatrując się w przestrzeń ja×niejących w słońcu zagonów, nad którymi rozlegało się ćwierkanie skowronka. - Czy× ty oszalał?! - oburzył się Marek. - Nie wiem, może... Ale czasem zdaje mi się, że w niej dwie dusze siedzą. Jedna naprawdę mnie miłuje, druga za× stara się zwie×ć... - Szukasz dla niej usprawiedliwienia - powiedział Marek tonem, w którym było i pytanie, i stwierdzenie. - Chyba tak... - zgodził się Peter. Od przodu wozu, gdzie z lejcami w rękach siedział Makary, rozległo się kpiące parsknięcie. Rutje obrócił się ku niemu. - A tobie co? Pilnuj wodzy, a nie naszego gadania! Makary jak

zwykle nie przejął się nagannym tonem. Najpierw cmoknął na konia, szarpnął lejcami, a wreszcie mruknął lekceważąco: - Pochowała tamtego, pochowa i wa×ci... - Nie kracz, zrędo! - tym razem obruszył się na niego Marek. - Cały czas byłe× jej niechętny, a teraz gadasz byle co! Było tak istotnie, gdyż w czasie odwiedzin Soni Makary zdawał się jej nie dostrzegać, robiąc to często w sposób ostentacyjny. Teraz też rzucił pogardliwie: - Bez Sakramentu w łożę lazła, rozpustnica jedna... - Zamknij gębę i strzeż się, abym ci nie przyłożył! - krzyknął gniewnie Peter, co zostało skwitowane niemym wzruszeniem ramion. Również i tę podróż odbyli szczę×liwie i pod koniec miesiąca dotarli do Bychowa, gdzie zastali hetmana zajętego sprawami nie tylko swoich wło×ci, ale i pozostającego pod jego rozkazami wojska. Wraz z rotą Niewiarowskiego dostało się do Kremla trzech jej żołnierzy, braci Sohcików z rodziny osiadłej w ziemi płockiej, a to Jakub, Walenty i Benedykt. Już z dawna rwali się do wojaczki, jeszcze w czasie, kiedy ciągnęli ochotnicy do pierwszego Dymitra. Ale wtedy sprzeciwił się rodzic, bo sam na gospodarstwie nie miał więcej niż trzy konie, a samozwaniec potrzebował głównie konnych. Kiedy jednak w kilka lat później pan Niewiarowski ogłosił werbunek wła×nie do piechoty, młodzi wyrwali się z ojcowej chałupy w szeroki ×wiat. Znaleźli się w pierwszej rocie, która chroniła tabor hetmański od czoła. Toteż w×ród grzmotu strzałów i szczęku broni jako pierwsi wkroczyli na most, a potem, ostrzeliwując się po drodze, do kremlowskiej bramy. Jednak zaledwie tylko z czę×cią transportu, bo reszta regimentu nie wytrzymała napięcia i zbyt się po×pieszyła, zostawiając wozy bez ochrony. Ta czę×ć piechoty Niewiarowskiego, która przedostała się do twierdzy, otrzymała kwaterę w dawnej carskiej zbrojowni i Błagowieszczeńskim Soborze. Tego dnia nikt nie my×lał o strawie, ale już nazajutrz trzeba było o nią

zadbać. Zaraz jednak okazało się, że nie będzie z tym najlepiej, każdy otrzymał bowiem tylko pół miarki grochu, kromkę chleba i kawałek słoniny wielko×ci palca z zapowiedzią, że wszystko to ma starczyć na cały dzień. Kuba, Walek i Ben, ulokowawszy się w ustronnym kącie soboru, z mrocznymi twarzami chowali te liche porcje. Wszakże nie tylko owo skąpe pożywienie było powodem przygnębienia, z jakim układali się do snu. Już w czasie tego pierwszego dnia pobytu, ujrzawszy towarzyszy, z którymi mieli pełnić służbę na murach, mocno zafrasowali się ich widokiem i sposobem, z jakim do nich się odnie×li. Przygotowując więc nocne posłanie ze słomy, Kuba zwierzył się braciom z tego spostrzeżenia: - Wilkiem na nas patrzą, jakby za zbójców mieli... - mruknął wyciągając się na posłaniu. - Bo i lica mają niczym wilcy - uzupełnił Ben. - A takiej odzieży to i włóczęga by nie wdział. - Odezwać się próbowałem, ciekaw, jak to ze służbą i w ogóle - włączył się do rozmowy Walek. - Ale jak jeden z drugim na mnie spojrzął i warknął, jakby do gardła chciał skoczyć, odeszła mnie ochota do gawędy. - Oni i między sobą nie są lepsi. Jak gdyby jeden drugiemu chciał nóż pod żebra wsadzić. Mrok ×wiatyni gęstniał. Ben przetrząsnął słomę i idąc za przykładem Kuby wyciągnął się na niej, podłożywszy ręce pod głowę. - Ciężkie nas czekają dni... - przerwał chwilowe milczenie. - Słyszałem, że i z żywno×cią krucho, co zresztą już się okazało. Tego, co pan hetman podesłał, na długo nie starczy. - A tyle spyży Moskale poniszczyli, i to przed samymi wrotami! Toć starczyłoby, by od nich parę setek chłopów nas wsparło, a już by wszystkie wozy zdążyły się schronić. - Tutejszy komendant, pan Stru×, ponoć wrogi hetmanowi i dlatego mu nie pomógł. - Ale przecież pan Chodkiewicz nie dla siebie, lecz jemu spyżę wiozł! - Tak to z nimi jest, naszymi wielmożami - zgryźliwie rzucił Kuba. - Gotowi własny dom spalić, byle wroga w nim



nie ugo×cić. - Już lepiej spać niż o tym gadać! - Kuba naciągnął kubrak na głowę. Kiedy o ×wicie objęli służbę na murach Kitajgorodu, ujrzeli przed sobą brunatnoczarny pas zgliszcz, okalający szerokim kręgiem wypalonych zabudowań obronną linię wroga. W nieregularnych odstępach żółtymi plamami piasku i ×wieżo ciosanego drewna rysowały się kontury gorodków, z których czę×ć miała nawet wieżyce wzniesione z potężnych bali. Między nimi biegly nitki umocnień z ziemi wyrzuconej przy kopaniu rowów, a wszystkie je spinał wysoki ziemny wał ciągnący się nieprzerwaną linią w obie strony i niknący w dali w×ród ruin nie dopalonych domów. Widać tam było kręcących się żołnierzy, szły w górę strużki dymu z rozpalonych ognisk, przy których zapewne gotowali poranną strawę. Dojrawszy to Walek powiedział z westchnieniem: - Mają co gotować, psie juchy... Od rana będą żarli ciepłą strawę, a my nawet byle jakiej nie mamy! - Przyjdzie król jegomo×ć, to i my pojemy. - Mówią, że jest już na ruskiej ziemi. Pewno mocno po×piesza, więc tylko go patrzeć. - Obyż zbytnio nie zwlekał! Przy takim żarciu długo nie zdzierżym... Przerwali gadaninę, znów zwracając wzrok ku rozciągającej się przed nimi panoramie. Za zgliszczami Biełogorodu widzieli rozrzucone z rzadka, ocalałe domostwa, a pomiędzy nimi drobne z tej odległo×ci kontury tysięcy pałatek, namiotów i zwykłych szałasów, w×ród których roilo się ludzkie mrowie. Dalej, już ledwie widoczne, pasły się stada koni. Sunął między nimi mały obłoczek kurzu, wzniesionego widać przez jaki× oddział konnych. Zawdzięczając przezorno×ci dowódcy roty, która jako pierwsza dostała się do twierdzy wraz z czę×cią taboru, piechota Niewiarowskiego, przynajmniej w pierwszych tygodniach, karmiła się lepiej. Porucznik Ujejski bowiem wiedząc o panującym na Kremlu niedostatku i ×wiadom, że na dalszą pomoc hetmana nie ma co liczyć, postarał się o kilka

wozów żywności na własny użytek. Otrzymywane stąd znikome racje mógł więc początkowo zasilać własnymi zapasami. Natomiast brać rycerska, wchodząca przede wszystkim w skład chorągwi Strusia, bliższa była sercu komendanta, toteż bardziej o nią dbał niż o dawne chorągwie sapieżyńskie pod Budziłą czy Chocimirskim. Ale też te chorągwie, najdawniej siedząc w Moskwie, najlepiej wiedziały, jak sobie radzić w biedzie. Miały sporo bądź zagrabionych, bądź otrzymanych z carskiego skarbcza kosztowności, miały też swoich znajomków wśród mieszkańców Kitajgorodu. Ci zatem, którzy swoich zasobów dotąd nie przepili, kupowali żywność, a nawet potem sami nią handlowali. Wprawdzie i ludność Kitajgorodu głód przyciskał, ale oni mieli swoje sposoby na zdobywanie żywności spoza murów, gdyż zawsze znajdowali się tacy, co przedkładali złoto nad dostatek jada. Ceny wszakże były niesłychanie wysokie - za miarę żyta płacono sto rubli, za ćwierć końskiego mięsa sto pięćdziesiąt, a za bochenek chleba nie mniej niż trzy. Wartość za pieniądź miał wówczas bardzo dużą, bo na przykład Borys Godunow, wiodąc spór z Radą Bojarów, zabezpieczył byt swojej rodziny wpłatą tysiąca rubli Monasterowi Troicko\_Siergiejewskiemu, gdzie i sam zamierzał szukać schronienia. Kwotę tę uważano wówczas za wprost ogromną, na którą mógł sobie pozwolić tylko car. Rycerstwo Strusia w oczekiwaniu na rychłą pomoc królewską uzupełniało na razie skąpe racje żywnościowe biciem własnych koni. Wkrótce też i hajducy porucznika Ujejskiego musieli poświęcić własne zaprzęgi. Ale wyczerpywały się już i te rezerwy. Zbliżał się dramat, którego zapowiedzią była scena, jaką pewnego dnia zdarzyło się braciom oglądać. Pełniąc straż na zamkowym podwórku przeglądali się grupie żołnierzy kręcących się wokół wielkiego kotła ustawionego na kamieniach, z palącym się pod nim ogniem. - Co oni tam

robią? - zainteresował się Walek, który od pewnego czasu ich obserwował. - Toć chyba widzisz, że co× gotują - rzucił obojętnie Kuba zbliżając się do brata. - Ale co? Przecież z kotła sterczą jeno brzozone polana... - Nie tylko, jest tam co× jeszcze. - Kuba zostawił brata i przesunął się bliżej kotła. Ujrzał wystający z wody koński łeb. Martwe oko jak w greckiej rzeźbie utkwilo w nim niewidzące spojrzenie, ale rozdęte chrapy, poruszane zapewne przez wrzątek, zdawały się drgać, a pozorów życia przydawały strużki skroplonej pary ×ciekające po sier×ci, jakby łeb jeszcze się pocił. Kuba jaki× czas przyglądał się gotowanej strawie, wreszcie powrócił do brata. - To koński łeb - wyja×nił, potem dorzucił: - w dołku mnie zasysa, bo zupa będzie przednia... Wspominali ten posiłek, kiedy nastał październik i głód rozpoczął swe okrutne panowanie. Magazyny stały już puste, więc załoga musiała utrzymywać się przy życiu własnymi sposobami. Ceny przenikającej z Kitajgorodu żywno×ci wzrosły jeszcze bardziej. Już niejeden ledwie trzymał się na nogach, nieprzytomnymi, przekrwionymi oczami wodząc za wszystkim, co żywe. Zdarzało się, że znajdowano skrecone z bole×ci, martwe ciała żołnierzy, wielu skakało z murów, przedkładając nagłą ×mierć nad męki powolnego konania. Polowano na psy i koty, a szczę×liwiec, któremu udało się ustrzelić taką zwierzynę, musiał dobrze się kryć ze swą zdobyczą, by z kolei samemu nie stać się ofiarą towarzyszy. Umierano nie tylko z głodu, ale i wskutek zatrucia, cięto rzemienie, siodła, pasy i buty, by rozbitą na miazgę skórę rozgotować na papkę zdatną do zjedzenia. świece topione z baraniego łoju, a nawet i woskowe, a także tłuszcz z latarni dawno już spożyto, z nastaniem więc nocy ×wiatło padało tylko od rozpalanych ognisk. Samobójstwa zdarzały się coraz czę×ciej. Oszalały z głodu żołnierz bądź rzucał się z murów, bądź, wydostawszy się poza nie, biegł ku nieprzyjacielskim

okopom z błagalnym krzykiem choćby o byle ochłap. Witał go jednak ×miech rozbawionych Kozaków, a potem lito×ciwe strzały lub ciosy szabel. Jeszcze we wrze×niu wysłał pan Stru× dwóch ×miałków do króla jegomo×ci, by donie×li mu o położeniu moskiewskiej załogi, ale odpowiedzi nie dostał, bo żadne wie×ci z zewnątrz nie docierały poza szczelny pier×cień obleźniczy. Zwołał więc pan Stru× wyższych dowódców, a kiedy zebrali się, o obliczach tylko obciążniętych skórą i odzieży zwisającej z wychudłych ciał, przemówił do nich bez dłuższych wstępów: - Nie będę długo gadał, bo i do gadania trzeba sił. Je×li więc mamy utrzymać ten gród dla króla jegomo×ci, musimy znaleźć jaką× radę na zapobieżenie klęsce. - Nad czym tu radzić, skoro materii do rady nie widać. Nie ma co jęzorami po próżnicy mleć, tylko posłów wybrać i do Pożarskiego ślać, by obgadali warunki poddania! - zawołał pan Nowodworski. Na to wezwanie starego rycerza Stru× zerwał się na nogi i poczerwieniały na twarzy, uderzywszy pię×cią w stół, zakrzyknął: - Wa×ć chcesz oddać twierdzę, za którą tyle×my krwi przeleli?! My×lisz, że ten ruski brodacz, mając nas w rękach, będzie z posłami gadał? Zetnie ich, a nas wyszydzi! Nie, panowie bracia - powiódł przekrwionymi oczami po twarzach - póki jeszcze mam głos do gadania, do kapitulacji go nie użyję! - Nie sędzę, by książę Pożarski szyderstwem zbył naszych posłów, nie mówiąc już o ×cinaniu - odezwał się mozyrski chorąży Budziłło. - Dzi× rano dostałem od niego pismo w tej materii, o którym wła×nie chciałem waszmo×ciom donie×ć... Przerwały chorążemu gwałtownie rzucane pytania: - Co pisze? O czym traktuje owo pismo, czytaj wa×ć! - Cóż to za pismo, o którym nic nie wiem?! - przerwał te wołania Stru×. - I dlaczego to książę znosi się z waćpanem, a nie pisze do mnie? - O to spytaj wasza wielmożno×ć księcia, nie mnie! - odparł z ironią chorąży. Stru× chciał jeszcze co× rzec, ale przerwały mu

wołania: - Mniejsza, do kogo pisze! Czytaj wa×ć! Budziło podniósł trzymany w ręku papier. List zawierał wezwanie do poddania się z zapewnieniem zachowania życia, cało×ci dobytku, wolnego powrotu do ojczyzny, a tym, którzy by chcieli pozostać w moskiewskim wojsku, awanse, i tak się kończył: "...Wszystko złe i nieszczę×cie wszelakie pisane w pi×mie tem pochodzi od waszego króla Zygmunta i od polskich a litewskich panów, winnych grzechu krzywoprzysięstwa. Wam by tedy w nieprawdzie takiej nie gubić duszy swej i za nich nie cierpieć biedy!" Budziło złożył papier i popatrzył na zebranych, czekając na ich odzew. Ci siedzieli jednak z ponurymi twarzami, nie zabierając głosu. Pierwszy przerwał milczenie rotmistrz Trojan, jak wszyscy wiedzieli, oddany Strusiowi poplecznik. - Kusi wolno×cią i awansami, mając nas snadź za sprzedawczyków! Wszelako raczej jak Odys do masztu, tak do żłobu swego konia przywiązać się każę, nim usłucham tego syreniego ×piewu! Na to o×wiadczenie pan Niewiarowski spytał spokojnie, ale i kpiąco: - Skąd zatem zamierzasz waćpan zdobyć spyżę dla swego żołnierza? - Nad tym wła×nie mamy radzić! Z pomocą rotmistrzowi po×pieszył inny z oficerów: - W Kitajgorodzie ludno×ć jeszcze nie tak mocno głoduje. Posłać tam ze dwie roty hajduków, niech dobrze przepatrzą ×wirny i piwnice. Nasz żołnierz ważniejszy... - Tego bym nie radził - zaoponował Chocimirski. - Niczego nie najdziemy, bo to, co mają, schowali dobrze. t'acno za× możemy wzniecić bunt! A nie zapominajcie panowie, że siedzimy tu jak na beczce prochu. Niech ruszą moskwiczanie, a Pożarski, który jak dotąd ze szturmami się nie kwapi, wnet by im przyszedł z pomocą. Wtedy ani kęsa z tej strawy nie zdążymy ugryźć. - Słuszne to ostrzeżenie, toteż ludno×ci ruszać nie będę - o×wiadczył Stru×. - Prawdą jest, że siedzimy jak na prochu, a pod własny tyłek ognia podkładać nieskorym! - Pozwólcie i mnie zabrać

głos - odezwał się jeden z milczących dotąd dowódców. - Widzę jeszcze inny sposób, może i desperacki, ale chyba jedyny, jaki nam pozostał. Stru× z zaciekawieniem spojrział na oficera, inni też okazali zainteresowanie. Ten za× ciągnął: - Jedyna żywno×ć, jaka jest do zdobycia, znajduje się za murami Kitajgorodu. Pożarski także musi żywić swoich żołnierzy, toteż u niego należy jej szukać. Hazardowa to impreza, ale że na rychłą odsiecz nie należy liczyć, zatem tylko ten sposób nam pozostał. - Trzeba wszakże wiedzieć, gdzie ma magazyny - zauważył jeden z oficerów. - Wypatrzeć to łatwo, bo żywno×ć rozwożą wozami, a języka także można by pojmać. Przystąpiono do rozważania szans takiej wycieczki i sposobu jej wykonania. Choć wszyscy wiedzieli, jak nie rokująca sukcesu była to impreza, to jednak zdawali sobie sprawę, że innej szansy na zdobycie żywno×ci nie ma. W rezultacie poszły nawet dwie wycieczki, bo po pierwszej, nieudanej, ruszyła wkrótce druga, ale i z niej mało kto powrócił. Sytuacja pogarszała się więc szybko. Coraz czę×ciej, w opętaniu głodową męką szukając szybkiej ×mierci, żołnierze wypadali za mury, wzmożła się liczba zgonów, mnożyły się wypadki postradania zmysłów. W głodowym szale towarzysz rzucał się na towarzysza, brat na brata, wystarczyła chwila nieuwagi, by otrzymać podstępny cios. I zaczęło się to najstraszniejsze. Gadki o tym na długo poprzedziły ujawnienie się czynów tak przejmujących w swej grozie, że wstrząsnęły sumieniem tych nielicznych, którzy sumienia tego jeszcze nie utracili. Nie wiadomo, kto i kiedy, zamiast za łopatę, porwał za topór, porąbał zwłoki towarzysza i wrzucił kawałki do kotła. Na×ladowcy znaleźli się natychmiast, toteż niezadługo zabrakło zwłok. Sięgnięto więc do grobów, dobywając ciała już zakopane. Instykt życia w swej przemożnej sile odebrał nieprzytomnym z głodu ludziom zdolno×ć pojmowania czegokolwiek. Tego wieczoru dwaj

starsi Sohcikowie zwlókszy się ze służby przysiedli do Bena, który powitał ich skinieniem głowy. - Mamy dzi× wieczerzę... - szepnął, kiedy opadli na słomę. - Jeno jak go spożyjemy. Sięgnął za pazuchę i wydobyl wielkiego szczura. Jego dlugi ogon zwisal mu miedzy palcami. - Jak go dostale×? - spytal Kuba poruszony nadzieja posilku. - Ustrzelilem z luku. Wypatrzylem dziure, ktora wylazil, i czatowalem przy niej pol dnia. - Rozpalimy ogien i wrzucimy go do kociolka - zdecydowal Walek. - Juz czuje zapach jadlo... Wnet bedziem mieli je w gebach! Wkrotce istotnie rozrywali zebami na wpol ugotowane mieso, nie baczac na porastajaca je sier×c jak i na strusiuwych zolnierzy porozkladanych w poblizu i obserwujacych ich z zawi×cia. Nie nagabywali wszakze jedzacych, widzac lezace przy nich obnazone szable. Jeden z nich nie wytrzymal jednak tego widoku, bo porwal miske, przysunal sie do tamtych i z blagalnym spojrzeniem wyciagnal ja przed siebie. - Poratujcie, bracia... - wymamrotal. - Poratujcie choc krzyna tej zupki, chocby tylko ogonkiem... Bóg was za to wynagrodzi, obaczycie... - Idz precz! - warknal Kuba mielac zebami kes naddartego miesa. - Precz, bo rozwalę leb! - Chwycil za rukoje×c palasza. - Czeka, Kuba - zaprotestowal Ben. - To moja zdobycz, niech i on nia sie pocieszy. Ulał w podstawiona miske nieco tlustego plynu i dorzucil urwana łape. - Dzieki ci, bracie, niech cie Bóg wynagrodzi... łolnierz nie odchodzil, lecz przysiadł na podkurczonych nogach i łapczywie przyložyl usta do miski. Wraz z plynem wessał i ów kawalek miesa i poczał go cierpliwie žuc, przesuwajac spojrzeniem po siedzacych przed nim hajdukach. W pewnej chwili zatrzymal wzrok na Benie i odezwal sie: - - Widzę, że masz na szyi krzyzyk. Zapewne ze srebra? - A žeby× wiedzial! Mac mi go zawiesila, kiedym ruszal na wojackę. - Wszakze nijakiego pozytku z niego nie masz... - A cóz mógłbym miec lepszego od jej

błogosławieństwa? - Tym się nie pożywisz... - Nie pojmuję. - Możesz za niego dostać pół miarki mąki, a może i całą... - A któż mi ją da? I to całą miarkę?! - Znam takiego. Łakomy na złoto, ale i srebrem nie pogardzi. - Kuba i Walek przerwali jedzenie, zaciekawieni propozycją. - Miarkę mąki mówisz? - upewnił się Kuba. - Na pewno da! A może i czubek dosypie. - Hm... Ale gdzie go szukać? - Teraz już ciemnieje. Jutro przyjdę ×witaniem i zaprowadzę cię do niego. - Dobrze, będę czekał! Tu mnie znajdziesz. Łońierz dotrzymał obietnicy, bo istotnie już o pierwszym brzasku stanął przy posłaniu braci i zwrócił się do Bena, który niecierpliwie czekał na niego. - Chodź tedy... Kiedy wyszli z cerkwi, poprowadził go w stronę dawnego carskiego arsenału. Tam mijali różne przej×cia, aż dotarli do korytarza, w którym przewodnik pchnął ciężkie, mocno okute drzwi, i znaleźli się w nisko sklepionej łukami izbie. W ×wietle padającym z wąskiego otworu w murze Ben ujrzał jaką× postać, która podniosła się z wielkiego, dębowego pnia stojącego na ×rodku pomieszczenia. - No i jeste×my - odezwał się milczący dotąd żołnierz, po czym dorzucił słowa, których sensu Ben nie pojął: - Beczkę masz? Pałające spojrzenie oczekującego ich brodatego mężczyzny przeniosło się z postaci Bena w kąt izby. - Tam stoi. Ben mimo woli skierował wzrok w tę samą stronę. Wielka, dębowa beczka okazała się ostatnim obrazem, jaki oglądał, bo w tejże chwili spadło mu na głowę ostrze siekiery. Nie słyszał więc już paru obojętnych uwag, jakie jego oprawcy wymienili między sobą: - Gdzie sól? - Jest w mieszku, schowałem w beczce. - To i dobrze. Dla nas dwóch starczy go na długo... Stru× znalazł jednak sposób, by chociaż dla siebie zdobyć nieco żywno×ci. Sporo rodzin bojarskich zamieszkiwało jeszcze Kreml, toteż by im oszczędzić rychłej męki głodu, zaproponował Pożarskiemu wyprowadzenie ich z twierdzy. Po uzyskaniu zgody polecił jednak zbędną im teraz żywno×ć dostarczyć



sobie. Ów poczet wychodzących rodzin mało co jednak nie zaznał gorszego losu, gdyż niesforne a nie×wiadome sprawy kozactwo rzuciło się na nich i gdyby książę na czas nie pospieszył z pomocą, polałyby się krew. Na meldunek, że Ben nie powrócił przez cały dzień na kwaterę, porucznik wzruszył tylko obojętnie ramionami, gdyż takie zaginięcia stały się zbyt częste, by warto było zawracać sobie nimi głowę. Z ponurymi przeto twarzami układali się wieczorem na słomie dwaj pozostali bracia, bo dzień minął bez kęsa strawy, gdyż zagotowane li×cie pokrzywy i łopuchów nie nasyciły pustych żołądków. - Nie obaczym już Bena... - mruknął Kuba w ciemno×ci cerkwi. - Zmamił nas jak głupich miarką mąki... - rzekł z westchnieniem Walek. - I naj×ć go nie sposób, bo i ciemno było, i lica teraz u wszystkich podobne... Brodate i wychudzone... Boże, daj mu wieczne odpoczywanie. - Ie też zezwolili×my mu i×ć samemu... Toć strach teraz w pojedynkę chodzić. Wszyscy boją się jeden drugiego. - Głód już my×li mąci. Niektórzy do siebie gadają, inni wyją nabożne pie×ni... - Sam widziałem żołnierza, co po ziemi się tarzał i ziemię gryząc, wył jak pies! Potem gębę rozdziawił i rechotał ×miechem. - Niech nas Naj×więtsza Paniienka ustrzeże od najgorszego. - Walek westchnął i zamilkł, bo z ciemno×ci doszło go mamrotanie Kuby odmawiającego modlitwy. To samo mamrotanie obudziło go o ×wicie, ale nie były to już modlitwy, lecz urywanie rzucane słowa, których sensu nie zdołał zrozumieć, a przyczynę pojął dopiero po chwili. - Patrz, Walek, jak te słoneczniki niczym chwaty... jeden w drugiego w szeregu stoją... Pomnisz przecie, jak pięknie przed chałupą wyrosły? Ale czemu żółte płomienie ze łbów im buchają? Ach, psie syny! A gęby mają ×miechem rozwarte... z nas szydzą... To jednostajne mruczenie przerwał raptem okrzyk, od którego przeszedł Walek dreszcz strachu, bo zrozumiał, co dzieje się z bratem. - Tnij ich, Walek! Szablą po nich! Niech

pysków nie szczerzą! Przerażony chwycił go za ramię. - Kuba, co ci? Obudź się, bo złe cię naszło! Kuba, bracie, oprzytomnij! Zapanowała cisza, którą przerwało głębokie westchnienie, a zaraz potem rozległ się gniewny głos Kuby: - Co mną szarpiesz? Stało się co×? - Co× ci się musiało we ×nie zwidzieć, bo× gadał od rzeczy, aż mnie strach obleciał! Niebawem znów go ogarnęło przerażenie, gdyż Kuba odpowiedział nadal gniewnym tonem: - Jak miałem nie gadać, skoro szydziły ze mnie? Same syte, to im po kiszkać ogień nie wędruje... Walek ledwie zdołał wyjąkać: - Opamiętaj się, Kuba... Zły my×li ci miesza, pro× świętą Panienkę, by go przegnała... Doszło do tego, że już tylko ludzkie mięso stanowiło główne pożywienie załogi. Zniknęły przyjaźnie, rodzinne więzi, strach przed Bogiem. Wystarczyła najmniejsza oznaka słabo×ci, a już rzucano się na niezdolnego do obrony. Je×li kto× zmożony udre×ką głodu padał zemdlony albo usypiał z wycieńczenia, już się nie budził. W kilka dni po zniknięciu Bena i owej porannej rozmowie wypadło braciom trzymać straż na wieży wodnej. U dołu wąski pas ziemi oddzielał od rzeki podnóże muru. Stały tu zapewne kiedy× jakie× zabudowania, po których zostały teraz zwaliska kamieni i resztki czarnych, zwęglonych belek. Za rzeką rozpo×cierało się równie wypalone Zamoskworeczje, poprzecinane szańcami. Wszędzie widać było kręcących się żołnierzy, galopowali jeźdźcy, pomiędzy gruzami ciągnęły wozy, na wolnych od zgliszcz zagonach ćwiczyły oddziały wojska. Kuba jaki× czas przyglądał się temu obrazowi, po czym obrócił spojrzenie na brata. W jego oczach pojawił się wyraz takiej męki, że Walka ogarnęła lito×ć, ale też strach i poczucie bezradno×ci. Mimo woli cofnął się o krok i wykrztusił z trudno×cią: - Kubu×... Kuba, co ci? - Pamiętasz tego szczura, co go Walek ustrzelił? Ożył we mnie, jucha... - Oprzytomnij, Kubu×! Nie gadaj byle co! - To czemu mi

trzewia zębami szarpie?... - Spojrzenie Kuby zamigotało błyskami szaleństwa, a ręka powędrowała do pałasza i ująwszy go za rękoje×ć, wyciągnęła z pochwy. Walek, zbieleły na twarzy, odstąpił krok do tyłu, potem drugi. - Kubu×... Nie rób tego... poniechaj... Pałasz, wyciągnięty z pochwy, chwiał się w ręku Kuby. Wreszcie chwycił go za głownię, obrócił rękoje×cią do brata i wymamrotał: - Masz. Jeno wymierz dobrze... a dopiero pchnij mocno, to go ubijesz... Przejęty zgrozą Walek chwycił za broń i rzucił na ziemię, jakby go sparzyła. - To nie szczur, Kuba! To głód cię dręczy, a na niego nie ma rady! - Toć mówię, że szczur! Ten sam... teraz on mnie pożera... Zgiął się wpół i przyłożył ramiona do brzucha. - Czuje go... trzewia zębami mi rwie... Nagle wyprostował się i znieruchomiały zapałszy przed siebie, jakby co× ciekawego dojrzał w dali. Po chwili znów się odezwał, lecz mało wyraźnie, tak że Walek słyszał tylko urywki zdań: - Nie wiedzą, że jestem zdolny do latania... Więc szczerzą ku mnie zęby... a wokoło żółte mają grzywy i... kiwają na mnie... przekłete... Ale nie wiedzą, toteż im umknę...! Zanim Walek zdążył się ruszyć, skoczył na balustradę krużganka, stanął na niej i rozpostarłszy ramiona jak do lotu, skoczył. W chwilę potem Walek usłyszał głucho uderzenie, a wychyliwszy się, ujrzał tuman czarnego kurzu, który wzniósł się z gmatwaniny zwęglonych belek i zawisł w powietrzu jak żałobny całun. Drugiego listopada w nocy nastąpił gwałtowny szturm, prowadzony na mury Kitajgorodu z wielu stron. Obrona była gwałtowna i zawzięta, ale długo nie trwała, bo do cna wycieńczony żołnierz, a do tego dużo słabszy liczebnie, nie był w stanie sprostać istnej nawale napastników. Toteż o ×wicie Kitajgorod znajdował się już w rękach Trubeckiego, który szturmem dowodził. Rotmistrz Trojan, zmordowany nocnymi walkami i zgnębiony doznana klęską, siedział w swojej izbie, z frasunku nie mogąc usnąć, i

dumał, głowę podparłszy rękami. I jemu głód dobierał się do trzewi, bo dojadał już resztki swoich koni, a widoków na zdobycie żywności nie było. Nie tylko jednak doznana strata Kitajgorodu i troska o własny żołądek gnębiły rotmistrza. To, co działo się teraz w okienym do samego Kremla terenie, przechodziło wszelkie pojęcie. W ciągu długich lat żołnierskiej służby widział niejedno, nieraz przychodziło mu oglądać ludzkie rozpasanie, ale to, jakie widział obecnie, zdawało się przekraczać granice poczytalności. Stało się powszechnym obłędem, który niby tuman ogarnął ludzkie umysły, stępił wszelkie uczucia prócz głodu, zarazem jednak w dziwny sposób podsycał zaciętość, i to tak dalece, że nikt nie wołał o poddanie grodu, jakby zapomniawszy o tej możliwości. Rozległo się pukanie do drzwi. Rotmistrz uniósł głowę i spojrzał na wchodzącego pachołka. - Czego chcesz? - warknął marszcząc brwi. - Jego wielmożność pan starosta prosi waszmości do siebie. - Nie wiesz, po co? - Chyba na naradę, bo już jest u niego kilku panów oficerów... - Powiedz, że wnet przyjdę. Rotmistrz podniósł się z krzesła, ale musiał odłożyć wyjście, bo ledwie pachołek opuścił izbę, dały się słyszeć liczne kroki i do komnaty weszła gromada żołnierzy. Człowiek z nich była z jego własnej chorągwi i tej przewodził wachmistrz, który już od progu zawołał wzburzoną głosem: - Czolem, mości rotmistrzu! Ze sporem przychodzimy, który prosimy rozstrzygnąć. Nijak bowiem tym tępym łbom do rozumu nie możemy trafić! - Sam masz tępy łeb, jeżeli nie chcesz uznać naszej racji! - równie podniesionym tonem odpowiedział wachmistrzowi starszy wiekiem żołnierz, widać przywódca drugiej grupy. - Przestańcie między sobą się spierać i mówcie, o co chodzi, jeżeli chcecie, abym sprawę rozpatrzył! I pospieszcie się, bom wezwan do komendanta! - Trojan sięgnął po delię. - Chodzi o to, wasza miłość, że tych czterech - wachmistrz skinął głową w stronę przeciwników -

są to ludzie z chorągwi pana Moczulskiego i są ponoć krewniacy tego Kurowskiego, co u nas służył, a dzi× zszedł ze ×wiata, Panie, ×wieć nad jego duszą... - A pewnie, że krewniacy! - wybuchnął żołnierz. - Jego matka była siostrą mojej żony, toteż cioteczny to moich tu obecnych synów, a rodzony Sta×ka. - Wskazał na najmłodszego ze swoich towarzyszy. - Choćby tak i było, to mało z tego! - zaperzył się wachmistrz. - Idzie o to, mo×ci rotmistrzu, że ów Kurowski pode mną służył, a ci, co tu ze mną przyszli, to jego towarzysze z chorągwi. Więcej to znaczy niż jaka× tam woda po kisielu, a nie krewniactwo! - Po czym zwrócił się bezpo×rednio do tamtych: - Dlatego możecie się oblizać, a zmarłego wam nie damy, bo większe nasze prawo do jego zwłok niż wasze! - Klnę się na Boga, że to nasz krewniak! Toteż nikomu innemu Maciej nie przynależy, zatem niech krewniaków pożywi, a nie obcych! Po zrozumieniu istoty sporu ogarnęła Trojana najpierw konsternacja, a potem gniew, więc zarzucając na ramiona delię krzyknął na sięgającego po szablę wachmistrza: - Co mi tu czas waszymi wa×niami zabieracie! Nie w głowie mi teraz sądy sprawować, bo pan Stru× pilnie mnie wzywa. Jeno ci powiem, że szablą nikogo nie strasz, bo wnet o ciebie mogą spór wie×ć! - Próżne to groźby, mo×ci rotmistrzu! - Wachmistrz spojrział ponuro na swego dowódcę. Trojan wolał już nie odpowiadać na tę uwagę, bo szabla mogła zagrozić i jemu. Ruszył wszakże ×miało ku żołnierzom, którzy jednak rozstąpili się, dając mu przej×cie. U Strusia istotnie byli już zebrani co znaczniejsi ofecerowie. Na widok wchodzącego starosta przerwał rozmowę, rzucając z przekąsem: - Czemu× zwlekał z przybyciem? Nie byle nad czym chcę radzić... - Na sąd przyszli do mnie, komu należą się zwłoki zmarłego, towarzyszom z chorągwi czy też krewniakom! Stru× mimo wyraźnego przygnębienia u×miechnął się. - Niechby rozkroili

go na pół... I jakże× rozsądził? - Za ujmę sobie poczytałem rozpatrywanie takiej sprawy! - obruszył się rotmistrz. - Jeszcze do cna nie zdziżał. Stru× nie podejmował już tematu. Wezwał zebranych do poniechania rozmów i zabrał głos: - Niełatwo mi przychodzi o tym mówić, jak i trudno było podjąć taką decyzję. Otóż rady już innej nie widząc, by sumienia jeszcze bardziej nie obarczać, postanowiłem twierdząc oddać Pożarskiemu. Proponuję zatem, aby×cie posłów wybrali, którzy warunki z kniazem uzgodnią. Niech zatwierdzi te, o których pisał, a kapitulację podpiszę. - Veto zgłaszamy, przysięgi majestatowi łamać nie wolno! - zawołało parę głosów, ale większo×ć siedziała w ponurym milczeniu, więcej nim mówiąc niż dziesiątkiem słów. Stru× popatrzył ironicznie na oponentów, lecz odpowiedział z opanowaniem: - Nie sejm to, jeno wojenna rada, więc swoje veta możecie waćpanowie zachować na inszą okazję! Jako komendant tej twierdzy dalszej możliwo×ci jej obrony nie widzę. - Słuszny to osąd - odezwał się Niewiarowski. - Zima za pasem, a króla jegomo×ci ani słyhu, skoro zatem nas bez wsparcia ostawił, poczytuję się zwolniony ze wszelkich przysiąg. Brać za× na swoje sumienie tych strasznych zbrodni, jakie się tu dzieją, istotnie nie sposób... Wkrótce okazało się, że oponentów było zaledwie paru, nie zważano zatem na ich ostrzeżenia, że moskwiczanie ugody nie dotrzymają i wytępią wszystkich. Uznano wszakże, że nawet je×li to nastąpi, lepsza szybka ×mierć od głodowych męczarni. Ostatecznie ustalono, że od sapieżyńców pojedzie pan Budziłło, od chorągwi pana Strusia rotmistrz Trojan, a z piechoty porucznik Ujejski. Postanowiono także powiadomić pozostałych w Kremlu bojarów i duchowieństwo, popierające nadal kandydaturę królewicza, o wszczęciu rozmów na temat poddania Kremla i zaproponować im, by także wysłali swego przedstawiciela. Do owych więc trzech wysłanników dołączył także bojar

M×cisławski. Pertraktacje długo nie trwały i kapitulacja została podpisana. Pierwsi mieli wyj×ć przez Troickie Wrota bojarzy, duchowieństwo, dawni carscy dworacy oraz pozostali w Kremlu kupcy. Stąd prowadziła najkrótsza droga do Arbackiej Bramy w murach Kitajgorodu, za którą znajdowała się kwatera kniazia Pożarskiego. Kiedy ciężkie wrota ze skrzypieniem i zgrzytem rozwarły się, bojarzy i duchowieństwo na czele postępującego za nimi tłumu wyszli na most przerzucony przez Nieglinkę, okrążając od tej strony kremłowskie mury. Po obu stronach drogi stały konne oddziały kniazia Pożarskiego, za nimi tłoczyła się ciżba opołczenia, ale przeważało kozactwo, które wybuchnęło krzykiem podobnym do toczącego się po niebie grzmotu. Skutkiem tego wrzasku wychodząca kolumna, ogarnięta przerażeniem, zatrzymała się na mo×cie. Tłum widząc, że konna straż wydobyła broń, nie ruszał z miejsca. Po pewnym czasie tumult zaczął jednak zacichać, gdyż wychodzący nadal stali nieruchomo, zapewne więc owa nieruchomo×ć jak i widok własnego duchowieństwa przygasiły gniew pospólstwa. Wreszcie Kozacy, główni prowodyrzy tumultu i wrzawy, jakby wyładowawszy krzykiem swą w×ciekło×ć, zaczęli się rozchodzić, a za nimi ruszyło i opołczenie. Niebawem więc cała bojarska grupa, otoczona przez jeźdźców, ruszyła ku Arbackiej Bramie. Następnego dnia załoga Kremla ustawiła się przed Pokrowskimi Wrotami. Bardziej wycieńczeni głodem błagali silniejszych, by wsparli ich ramieniem, konający za× już z głodu i bezsilni próbowali pełzać na kolanach. Pozostawiono ich jednak na miejscu, więc tylko złorzeczyli i obrzucali odchodzących przekleństwami. Jak uprzednio Troickie, tak tym razem otwarły się Wrota Pokrowskie. Zgodnie z ustalonym porządkiem chorągwie sapieżyńskie pod Budziłłą ruszyły na czele. Za nimi jechała starszyzna w asy×cie zastępu konnych, bo ci, co mieli dla

siebie chociaż gar×ć żywno×ci, do końca chronili wierzchowce. Potem szły chorągwie Strusiowe, pochód za×zamykali gemajni niemieckiej piechoty i hajducy polskiej. Wychodzili chudzi, obdarci, słaniający się na nogach. Wielu wlokło się o kulach, inni podpierali się kijami, często z braku sił padając na kolana, ale zaraz z wysiłkiem się podnosząc, byle tylko nie odstać od wolno ciągnącej kolumny. Ko×ciste policzki, głęboko zapadłe oczy o wygasłym spojrzeniu, opuszczone głowy, pochylone barki, jakby plecy dźwigały nadmierny ciężar, wlokące się wolno nogi, wszystko to tworzyło pochód potępieńców, galerników czy więźniów wypuszczonych z lochów, a nie najlepszego w Europie żołnierza. Kiedy kolumna wyszła z bramy, jak i poprzedniego dnia rozległ się wrzask wielotysięcznego tłumu. Zafalował on niby zboże pod podmuchem wiatru, a nad zbitą masą głów zabłysły uniesione szable, topory, włócznie. Przeważali w nim Kozacy, najdzikszy, najbardziej okrutni i niesforni. To oni parli do przodu, przedzierali się z wrzaskiem ku wychodzącym i wreszcie rzucili się na nich, pociągając za sobą resztę tłumu. Na próżno książę Pożarski i Minin poderwali swoje sotnie, by wesprzeć rozstawiony kordon ochronny. Rzykując własne życie, pomni zawartej ugody, sami skoczyli w tłum, razami nahajak próbując wstrzymać jego napór. Ich żołnierze, posłuszni rozkazom, także stawiali czoła rozwrzeszczanej tłuszczy, ale wobec jej ogromnej przewagi nie mogli sprostać zadaniu. ści×nięci, spychani, sami narażeni na ciosy szabel, rohatyn, wideł i bojowych cepów z wolna ustępowali. Zdołali jednak otoczyć ochronnym pier×cieniem starszyznę, sapieżyńców Budziły i czę×ć żołnierzy Strusia. Także konnym udało się wyrwać z kręgu napastników i szukać ratunku w ucieczce wzdłuż brzegów Nieglinki. Ci, po dłuższej tułaczce o głodzie i chłodzie, zdołali potem w większo×ci dotrzeć do kraju. Książę Pożarski, widząc tak wielką przewagę



tłumu i wzmagające się niebezpieczeństwo, ×ciągnął wszystkie swoje oddziały pozostałe przy jego kwaterze. Jednak i one nie zdołały sprostać atakowi rozbestwionych Kozaków, dziesięciokrotnie przewyższających ich liczbą. Wychodzący żołnierze, wyzbyci sił, ×ci×nięci ze wszystkich stron, a i zubożeni na swój los, niewiele się bronili. Toteż rozpoczęła się krwawa rzeź. Straszliwa wrzawa wrzeszczącego tłumu głużyła krzyki zabijanych, krew spływała spod zwalów poległych tak obficie, że nie wsiąkała w piasek, lecz ciekła strugami, tworząc w zagłębieniach gruntu olbrzymie kałuże. Otepiały z przerażenia Walek, znieruchomiały w stłoczonej masie towarzyszy, widział unoszone ramiona, instynktownie osłaniające głowy, i opadające na te głowy ostrza. Potem jedno z nich dosięgło i jego. Książę Pożarski, bezradny wobec samowoli tłumu, otoczył potem opieką tych, których zdołał uratować. Budziłkę i jego ludzi przetrzymał przez sze×ć tygodni we własnym obozie, potem pod ochronnym konwojem porozsyłał ich po swoich dobrach pod Niżnim Nowogorodem, gdzie gospodarzyła jego matka. Stru× znalazł schronienie w Monasterze Czudowskim, innych dowódców osadzono w zamkach Wołogdy, Jarosławla i Biełozierska, wielu wraz z żołnierzami zabrali do swych dworów bojarzy. Wszyscy więc przetrwali do dywilińskiego traktatu, po którym nastąpiła wymiana jeńców. W połowie stycznia 1613 roku zezwolono też jeńcom wysłać do kraju pismo, które powiósł towarzysz husarski Andrzej Radwan. Pisał w nim pod datą czternastego stycznia 1613 roku chorąży Budziłko: "...Ciężko było z nieprzyjacielem wojować, ciężiej z głodem walczyć, ciężiej jeszcze z przyrodzeniem się biedzić wprawiając się w niezwykłe potrawy. Nie bez przyczyny Kato powiedział, że trudno mówić z brzuchem ucha nie mającym, ten bowiem, gdy głodny, żadnych słów, żadnych perswazji nie przyjmuje.

Smakowali jednak naszemu brzuchowi dla łaski jkm., dla wdzięczności Ojczyzny, kotki, psy, szczury i łupieżę, na potym z nich śmierdzące cięwro takroczone, robaczywe a roztoczone skóry i rzemienie wszelakie z siodeł i łuków żyłowania, pergaminy, woski, trawy i zielska wszelakie, które jeno ziemia nosi na ostatek, gdy to nieg nielito cięwie odjął, drzewo tarte, siano drobno siekane i co jeno podobieństwo do oszukania potrzebnego żołądka mieć mogło. Ma kto na tym mało, nie trzeba do Insuł Kanibalskich żęglować: łądem się takiego okrucieństwa na Stolicy \* dojechało, kilkadziesiąt więźniów w głodnych brzuchach pogrzebiono, tych, gdy nie stało, zrazu między sobą losy miotano, potem już tak łakomą paszczką głodna samojedź rozwarła, że pan sługi, sługa pana, towarzysz towarzysza nie był bezpieczen, jawnie ludzie na rzezie brano, zabijano, w sztuki rąbano, pieczono, warzono, na roznach obracano, żadna częśćka ciała darmo nie uszła, ustąpiła nawet i przyrodzona miłość, a ociec dzieci swe wzajem synowie rodziców na pokarm zabijali..." Moskwy. "...śmierdzących nawet trupów z mogił dobywano, o trupa zmarłego krewnego, komu do jedzenia należał, sądem się rozprawiano, a z tych wszystkich potraw siły w człowieku nic, a jak mówią, ni rąk, ni nóg. Czynił u siebie dosyć Imć P. Hetman cały prawie rok tonącą nawę dźwigając, czynił dosyć całe trzy dni bój mężny tocząc, aby jako zamek żywnością posilić mógł, ale że muru głową trudno przebić, a sic podobno fata voluere na dalsze subsidia rezerwować przyszło..." "...Nie żelazem lecz głodem nad wszystkie maszyny potężniejszym swego dokonał nieprzyjaciel. Wziął Kitaj, równą by pracą wziął i Krym, \* bo cienie tylko ludzkie, a nie ludzi do obrony byli - by sami bojarowie nie respektowali częścią na posły i ludzie swe w Polsce zatrzymane, częścią na bojary i powinne swe z nami w zamku siedzące, częścią a większą, aby ta trocha całych w Krymie cyrkwi i insygnia pozostałe na

łup swawolne gminowi nie padły. Szczerym zgoła dobrodziejstwem bojar nieco nas żywych zostało, którzy prosto głowy nasze u wykiełznanych Kozaków wykupili i między się rozebrawszy na odmianę swych krewnych..." Kreml. Prosząc wreszcie o najrychlejszą wymianę jeńców, chorąży tak kończy swój list: "...Nie złota, nie srebra, nie zamków żadnych swych, tylko ludzi naród moskiewski na odmianę żąda." Po oswobodzeniu stolicy stanęły przed kniazem Pożarskim dwa kolejne zadania: przywrócenie ładu w państwie przez ustanowienie władzy zwierzchniej, a więc osadzenie na tronie cara, oraz oczyszczenie kraju z najeźdźców, to znaczy Polaków, Szwedów, a także i Kozaków, którzy stanowili dużą siłę militarną, krnąbrną, dziką, nie mniej niebezpieczną od obcych. Czekano przeto odebranie Polakom zajętych przez nich miast ze Smoleńskiem na czele, a Szwedom wielkiego Nowogrodu i jego ziem. Trzeba też było wreszcie przepędzić lotnego, nieuchwytnego rabusia grasującego po kraju. Jego cztery tysiące żołnierza zdawało się być niczym wobec stutysięcznej armii, która pokazała pod Moskwą, że nauczyła się walczyć. Jednak szybko×ć działania najeźdźcy, jego trudne do przewidzenia nagłe zwroty, wytrzymało×ć żołnierza i chytró×ć ich wodza sprawiały, że wykonanie tego zadania nie było łatwe. Książ przekonał się o tym pod Peremyszem, kiedy sądził, że ma już nieprzyjaciela w gar×ci, ale on niczym ×liski gad wymknął mu się z rąk i jakby to było tylko drobne wydarzenie, ruszył od razu naprzeciw Szeremisza i doszczętnie go rozgromił. Gniew wzburzył kniaziowi krew na wiadomo×ć o tej klęsce, poczuł jednak respekt i dla odwagi, i nieustępliwo×ci przeciwnika. Ale dlatego tym większa ogarniała kniazia zawzięto×ć i rosło w nim pragnienie, by go wreszcie dopa×ć i zgnie×ć. Lisowski za× po rozbiciu korpusu Szeremisza ruszył na północ. Po spaleniu Peremysza i kolejnym zwycięstwie

wieści o niepokonanym najeźdźcy zaczęły coraz szerzej rozlewać się po kraju. I jak to zwykle bywa, podawane z ust do ust nabierały barw, nabrzmiwały opisami scen pełnych grozy, dziesiątków spalonych miast i setek tysięcy ludzkich zwłok znaczących szlak przemarszu pułkownika. Powszechnie wierzone, że to wysłannik samego antychrysta, że to nieczyste siły ratują go z każdej opresji i wspomagają w walce, a w razie potrzeby użyczają jego wojsku diabelskich skrzydeł, przenosząc go z jednej połaci kraju w drugą, aby nikt nie był pewny dnia ani godziny. Idąc na północ dotarł do Twercy i napadł na położony nad nią Torżok. Ten jednak odparł pierwsze uderzenie, Lisowski więc, nie ponawiając szturmów, wysłał w dalszy marsz część swoich wojsk, przykazując tym razem nie uśmiercać napotykanym po drodze ludzi, by było komu mówić o jego przemarszu, a z resztą sił skrył się w pobliskich lasach. Po paru dniach wypadł z nich i tym razem zaskoczył zupełnie uspokojonych mieszkańców. Miasto padło od razu i stało się łupem najeźdźców. Z kolei zawrócił na wschód i zdobył Kazim, przeznaczając łupy tym oddziałom, które nie brały udziału w zdobywaniu Torżoka. Owa dbałość o równomierny podział zdobyczy była konieczna, gdyż w myśl ustalonych z hetmanem Chodkiewiczem warunków żołnierz służył bez żołdu. Pieniądze z Briańska także w większości zostały rozdzielone pomiędzy chorągwie. Tymczasem Peremyszl nie zapłacił jednak haraczu, a bitwa z Szeremiszem dała znikome pod tym względem korzyści. Hetman zaś, nie mając z kraju pieniężnego wsparcia i sam nieomal bez wojska, musiał dać Lisowskiemu chociaż milczące zezwolenie na branie łupów, aby tylko absorbował nieprzyjaciela i w ten sposób odciążał szczupłe hetmańskie załogi rozmieszczone w zdobytych miastach. Po ograbieniu Kazimia Lisowski ominął Jarosław, przeszedł Wołgę i poniechał także Kostromy jako zbyt silnej twierdzy do

zdobywania jej bez artylerii i oblężniczego sprzętu. Potem szedł dalej, skręcając bardziej na północ, i po kilku dniach dotarł do Galicza. Wykorzystując otaczające go lasy obszedł miasto i stanął po jego wschodniej stronie, nad jeziorem o tejże nazwie. Wały obronne otaczały go tylko z trzech stron, gdyż czwartą chroniło jezioro. Nie paląc ognisk pułkownik poczekał do wiatu i nagle wyłoniwszy się z lasów, dopadł umocnień. Rysiewicz ze swymi ludźmi podsunął się pod jedną z bram i założył kiszki z prochem, wysadzając ją w powietrze. Pierwszy też wdarł się do miasta, a za nim jedna po drugiej wlewały się chorągwie. Nagłość napadu i szybkość, z jaką została sforsowana wieża bramna, sprawiły, że reszta załogi nieomal nie wzięła udziału w walce, a potem poddawała się nie stawiając oporu. Chorągwie jak zwykle rozlały się po ulicach, szukając zdobyczy. Mając jednak już za sobą liczne doświadczenia, sami teraz dbali, by za wcześnie nie zaproszyć ognia, gdyż pożar udaremniał skuteczny rabunek. Toteż dwa dni dał tym razem pułkownik swoim żołnierzom na te poszukiwania, a także, by nieco odetchnęli przed dalszą wyprawą, której szlak już sobie wyznaczył. Wieści bowiem mówiły, że gdzieś w mglistej dali północy napotka bezmiar morski, na wschodzie zaś szczyty górskie zwane Uralem. Obrazy te, rysowane ludzkimi słowami i własną wyobraźnią, kusily, by przemierzyć i tamte kraje, ufne w swe bezpieczeństwo i syte zamożnością. I tak spokojną dotąd krainę zaczęły tratować kopyta Apokaliptycznych Jeźdźców. Pochyleni w kulbakach cwałowali na swych migłych koniach, mało trzymając się dróg, przemierzali otwarte przestrzenie pól i łąk, przedzierali się lasami, przepływali rzeki nie szukając brodów, nie bojąc się nawet płynącej po nich kry. Dniem wieciło im słońce, nocą luno pożarów. Szybsza od nich była tylko wieść o zbliżaniu się lisowczyków, ale na próżno niektórzy wojewodowie,

zebrawszy zbrojnych mężów, próbowali zachodzić im drogę, by powstrzymać ich pochód. Szli jak nawałnica i jak nawałnica niszczyli wszystko, co napotykali. Zrabowali po drodze Nikolsk, docierając na początku października w pobliże gór uralskich. Padło Mytwino, po czym zawrócili na południe i idąc wschodnim brzegiem Wyczegdy, dotarli pod Nyrol. Po dwustumilowym szlaku, odbytym tak szybko, przede wszystkim konie musiały wytchnąć, toteż haracz, jakim wykupiło się od rabunku miasto, nie był tym razem wysoki, ale obejmował obowiązek wyżywienia koni i ludzi. Wojsko stanęło poza murami, Lisowski za× zajął kwaterę w samym mie×cie. Rozpoczęło się obozowe bytowanie przerywane tylko służbą wartowniczą i zwiadami, których pułkownik nie poniechał. Do gór było jeszcze około dziesięciu mil, lecz Lisowski, ×wiadomy ich blisko×ci, ulegał coraz silniejszej pokusie porzucenia dotychczasowego terenu działań, by obejrzeć krainę leżącą za górskimi szczytami. Przemy×liwał o tym coraz czę×ciej, ale wydarzyło się co×, co oderwało jego uwagę od tych rozważań. Już kilka dni przebywał w Nyrolu, kiedy zgłosił się do niego jeden z oficerów wysłanych na patrol i mocno poruszony meldował, że jego żołnierze zatrzymali wędrownego mnicha, który opowiadał ciekawe rzeczy, toteż zabrał go ze sobą i trzyma pod strażą. Widząc podniecenie młodego porucznika, Lisowski po wysłuchaniu tego meldunku rzucił ze zniecierpliwieniem: - Może zechcesz wa×ć wreszcie rzec, co wam wyjawiał! - Wła×nie, mo×ci pułkowniku, chciałem do tego przystąpić. Otóż ów mnich zeznał, że wędruje w ×wiat, bo wygnano go z monasteru, który w górach, nad Oszerą, stoi samotnie. Wiele złorzeczył przeorowi za swoją krzywdę i przez zemstę zapewne opowiadał, jak wielkie bogactwa przeor tam ukrywa, o których on sam dobrze wie. Gotów więc wskazać drogę i miejsce, gdzie odkrył owe skarby. Lisowski

spojrzał na obecnego przy meldunku Rogowskiego, który na to nieme pytanie wzruszył tylko ramionami i mruknął: - Zbyt to ponętne... Ale nie szkodziłoby na owego mnicha popatrzeć. - Mówił, gdzie jest ten monaster? - spytał Lisowski oficera. - Tyle tylko powiedział, że w pobliżu osiedla, które zwie się Kutim, nie za głęboko w górach, choć dojazd do niego trudny. - No, obaczmy... Przyprowadź wa×ć tego mnicha. Wkrótce stanął przed pułkownikiem niski, przygarbiony już wiekiem chudzielec, o twarzy pomarszczonej jak suszona ×liwka, odziany w czarną, długą, mnisią szatę. Ciemne oczy gorzały jednak nieomal młodzieńczym blaskiem w starczym obliczu. Zatrzymał się przed Lisowskim, otoczonym grupą zaciekawionych kompanów, i widać od razu wyczuł w nim wodza, bo skłonił się głęboko, a potem utkwiał spojrzenie w jego twarzy, jakby czekając na pytania. Nie umknął tym spojrzeniem i wtedy, gdy pułkownik mierzył go badawczym wzrokiem, zanim przerwał wreszcie milczenie: - Jak się zwiesz i jaki to monaster, z którego ponoć cię wygnano? - Michał moje imię, a monaster, w którym przebywałem, świętego Bazylego ma za patrona. - Mówisz, że cię wygnano? I za cóż to? Mnich westchnął i wzniósł ku górze oczy. - Gdyż moi bracia zakonni okazali zawistne serca... - Czegoż takiego ci pozazdro×cili? - święty Bazyli mnie sobie upodobał i swoje oblicze ukazywał, nocną ciemno×ć rozpraszając ×wiatło×cią! Łaski tej nie dostał żaden z nich, tylko ja, wierny sługa Boży... - Oni za×cili byli tego zawistni? A może raczej twym widzeniem nie dawali wiary? Lisowski zadawał pytania z poważną twarzą, niczym nie zdradzając, co sądzi o odpowiedziach. Mnich zbliżył się do niego o dwa kroki i nachyliwszy nieco, odpowiedział zniżając głos: - Gorzej, proszę wielmożno×ci... Ich zawistne serca kazały językom niecnotliwe oskarżenia przed ojcem przeorem na mnie rzucać. Niechże tedy stanie się podług woli świętego Bazylego, który

przykazał mnie ich pokarać! - Pokarać? Jakże możesz tego dokonać? - święty Bazyli wskazał mi sposób, toteż, jemu posłuszny, chcę was do wielkiego bogactwa zaprowadzić. - O tym mamy jeszcze czas mówić. Najpierw powiedz, o co oskarżyli cię braciszkanie przed przeorem. Mnich u×miechnął się pobłaźliwie i pokiwał głową. - Nie wiem, czy mi uwierzycie, wielmożny panie... Choć ja do kłamstwa niezdolny. Mówili, szydery przekłęci, że to nie z łaski ×więtego miewam owe nawiedzenia, lecz za przyczyną wypitej gorzałki. Przeor dał im wiarę, a do tego chciał wiedzieć, skąd mam grosze na gorzałkę... - Mnich zachichotał. - Ale tego mu nie powiedziałem! No i wygnał mnie, a mnisi szyderyczymi ×miechami żegnali... Toteż kara im się należy i sprawiedliwie będzie, je×li stanie się za moją przyczyną! - A tak po prawdzie... To skąd miałe× pieniądze na ową gorzałkę? Mnich u×miechnął się chytrze. - Może to i powiem, ale jak zajdzie potrzeba... - Ponoć mówił× żołnierzom, że klasztor ma wielkie bogactwa. Skąd do nich przyszedł, skoro mnisi winni żyć w ubóstwie? - Tyle o tym wiem, com słyszał od braci. Mówili, że złoto już długie lata u nich leży, z czasów, kiedy jeszcze za poprzednich przeorów grasowali po górach zbóje. Monaster stoi na skale nad Oszerą, a jej biegiem wiedzie szlak, którym wędrowali kupcy i podróżnicy na tamtą stronę gór. Zbóje mieli więc kogo obdzierać, a w klasztorze znajdowali schronienie dla siebie i swojej zdobyczy. Nagromadzili jej co niemiara, lecz przyszedł czas i na nich, bo starosta zarządził obławę i czę×ć ponoć wybił, a czę×ć uprowadził ze sobą, a potem obwiesił, tak że żaden zbój przy życiu nie ostał, skarb jednak w monasterze leży do dzi×, bo widać braciszkom trudno się z nim rozstać. - Ale przecież ludzie o nim wiedzieli! I nikt nie próbował go zakonnikom odebrać? Mnich westchnął z ubolewaniem. - Przebiegłe z nich lisy, dobrze go ukryli... Nawet wojenni samego starosty



szukali, ale niczego nie znaleźli. Toteż wreszcie dali spokój, a i ludzkie gadanie przez to ucichło. - Musieli dobrze go ukryć. A mimo to ty wiesz gdzie? - Wywąchałem to przypadkiem. Wszakże milczałem, bo życie było mi miłe. - Nam jednak chcesz zdradzić to miejsce? - Zemsta słodsza od złota! A zresztą teraz już mi nic po nim. - Mnich zamilkł na chwilę, zanim podjął na nowo: - A jak my×licie, panie, skąd ja, biedny mnich, miałbym na gorzałkę? Tedy co× wam pokażę... Sięgnął za pazuchę i pogrzebawszy palcami wyciągnął wielki, złoty pier×cień. - Zabrałem im nieco, bo skrzynie stoją zamknięte tylko na haki... W×ród oficerów nastąpiło poruszenie, ale Lisowski równie spokojnie pytał dalej: - Gdzie zatem ukryli oni tak dobrze ten skarb? Mnich uczynił przeczący gest głową. - Tego, wielmożny panie, teraz ci nie powiem, zresztą nie na wiele opis by się przydał. Wskażę go, ale sam muszę was doprowadzić, jak już będziemy na miejscu. - Wielu tam siedzi mnichów? - Z przeorem o×miu. - Znasz dobrze drogę przez góry? - Jakże, wielmożny panie?! Przecież przez wiele lat tam bytowałem! - Nie pytam jedynie o szlak do monasteru, ale także o ten, który wiedzie dalej. - Każdy kamień tam znam i każdą ×cieżkę, nie tylko samą drogę. - To są i boczne ×cieżki? - Niejedna, ale konny nimi nie przejedzie. - Hm... Rozważę sobie, co× mi rzekł - zakończył przesłuchanie pułkownik. - Tymczasem pozostaniesz tu pod strażą. - Długo, wielmożny panie? - Pilno ci? Tak długo, jak uznam to za stosowne. Kiedy wyprowadzono jeńca, Lisowski zwrócił się do towarzyszy: - Co o tym sądzicie? - Widzi mi się, że kawał smakowitej pieczeni tkwi tam na roźnie! - rzucił wesoło Kalinowski. - Aby× jeno chwycił ją zębami! Zbyt mi to łatwo wygląda - odpowiedział mu jak zwykle ostrożny Rogowski. - Słowa tego mnicha wydają mi się godne rozważenia - odezwał się następnie Kleczkowski. - Wszakże grzech to wielki ×więte miejsca nachodzić! Choć owo

bogactwo, jak to widzimy, na złą drogę jego stróżów prowadzi, toteż sędzę, że należy usunąć tę przyczynę zła... - Rzecz warta jednak i bez tego rozważenia... - Lisowski u×miechnął się na te słowa. - Nie należy jednak zbyt się ×pieszyć, niech żołnierz jeszcze odpocznie. Wy za×, waszmo×ciowie - zwrócił się do Rogowskiego i Kalinowskiego - poszukajcie w mie×cie ludzi, którzy by i bez tego mnicha mogli nam wskazać drogę do monasteru. Potem weźmiecie nieco żołnierzy i dobrze obejrzycie ją, jeden z jednej, drugi z drugiej strony. Jak będziecie gotowi, wtedy postanowimy. W tydzień po tej rozmowie pułkownik znów zebrał swoich oficerów na naradę. Stawił się na nią i Rysiewicz, który ostatnio mało z nimi przebywał, gdyż, jak się dowiedzieli, rozmiłował się w jakiej× miejscowej piękno×ci. Toteż od razu powitano go docinkami. Pierwszy rozpoczął Czapliński, który zawołał: - Cieszę się, że cię widzę w dobrym zdrowiu, bo słuchy chodzą, że Kupido mocno cię postrzelił. Kalinowski za× nie omieszkał dodać: - W zdrowiu to może on i dobrym, ale w nogach chyba osłabły, bo mocno mu się gną! Rysiewicz, rozumiejąc, że okazanie gniewu wzmoże tylko docinki, odparł wesoło: - Nie dziwna mi wasza troska o moją kondycję, bo widzę z niej, czego wam braknie! Lisowski przerwał jednak żarty, prosząc o zajęcie miejsc, i zaraz o×wiadczył: - Wiecie wszyscy, co zeznał ów mnich, i znacie zadanie, jakie mieli do wykonania Rogowski z Kalinowskim, o czym później nam powiedzą. Ja na początek o czym innym chcę mówić. Chodzi o to, że jeszcze przed pojmaniem tego mnicha kusiło mnie przebyć góry i obaczyć leżące za nimi kraje. Ponieważ jednak zima się zbliża, a my zbyt daleko odeszli×my od wojennej areny, przeto czas obrócić się z powrotem. Postanowiłem wszakże najpierw przej×ć góry i dopiero za nimi i×ć na południe, potem znów je przebyć i przysunąć się bliżej pana hetmana, który może nas

potrzebować. Po drodze nie zaszkodzi obejrzeć i ów monaster... Pułkownik zamilkł czekając na głosy towarzyszy. Pierwszy odezwał się Rogowski: - Po której stronie gór pójdziemy, skoro i tak mamy wrócić na ich zachodnią stronę, wydaje mi się to mało ważne, bo i z tej, i z tamtej strony jednakowo bogate będziemy mijać miasta. Bardziej istotna jest decyzja, czy i×ć owym przeje×ciem koło monasteru. Rzecz wydaje się godna wiary, ale niech nas blask tego złota nie pozbawia ostrożno×ci... - Czyżby× i tu węszył jaki× podstęp? - spytał z ironią Czapliński. - Widać, że chytry to mnich, lecz chyba prawdę mówi, bo przecież nie oddawałby się w nasze ręce nie będąc pewny swego... Droge za× do tego monasteru już sobie dobrze obejrzałem. - No i jaka ona? - Nie moja sprawa relacje wam składać. Pytajcie pułkownika. Wszyscy zwrócili wzrok na Lisowskiego, ten za× polecił Kalinowskiemu: - No, Idzi, zaczynaj... - Oglądałem ten szlak i jego pobocze z zachodniej strony. Nie gorszy od wielu innych, które przebywali×my. Zdobycz za× widzi mi się zbyt ponętna, by jej poniechać! - Je×li są tam skrzynie - zastrzegł się Kleczkowski. - Grzeszny to człowiek ów mnich, więc i kłamstwem mógł się skalać, ale istotnie trudno uwierzyć, by własną skórę chciał narażać, boć przecie rozumie, że za kłamstwo przyszyłoby zapłacić życiem... Rysiewicz także był za wyprawą na monaster, wobec tego Lisowski zdecydował: - A więc za dwa dni ruszamy. Wiedźcie zatem, co stwierdzili Rogowski i Kalinowski: droga wiedzie podle Oszery, rzeczki bystro biegnącej między skałami. W pobliżu monasteru wciska się pomiędzy skalne ×ciany, toteż droga tak się tam zwęża, że dwa wozy ledwie się wyminą. Jest to chyba najlepsze miejsce dla zasadzki, je×li miałyby nastąpić, toteż bez mego rozkazu nawet straż przednia ma się zatrzymać i do wąwozu nie wchodzić. Następnego dnia po naradzie pacholik zameldował pułkownikowi, że przybył rotmistrz Rysiewicz i

prosi o posłuchanie, Lisowski polecił więc wprowadzić go×cia. Kiedy ten wszedł, wskazał mu krzesło. - Siadaj i mów, o co chodzi. Bez ważnej przyczyny na pewno nie przybył×. - Istotnie ważna. Przychodzę, by ci oznajmić swoje odej×cie. Niełatwo mi przyszło podjąć taką decyzję, ale ją podjąłem i da Bóg, że nie będę tego żałował. Lisowski odwrócił spojrzenie od twarzy towarzysza i chwilę patrzył przed siebie, zanim odezwał się: - Tak cię opętała? - Domy×lił× się przyczyny? Ale nie ona mnie opętała, lecz afekt ku niej! - Czy to nie to samo? - Pewnie, że nie. To łagodne dziewczę i nijakich czarów mi nie zadała. Nie jej wina, że goreję i żyć bez niej nie mogę. - Wolisz zatem spódnice od towarzyszy broni? - Afektu z serca nie przegnasz... - I co zamierzasz? Ostaniesz tu? - Nie, wie×ci głoszą, że Moskwę nie tylko Trubecki oblega. Ponoć przybył już i Pożarski ze swoim wojskiem, więc rychło zapewne miasto padnie. Toteż Olga pragnie jak najszybciej stąd ruszać, bo tam ma rodzinę... - No cóż, zawarli×my ugodę, że rozstaniemy się, je×li któremu× przyjdzie na to ochota. Wstrzymać cię zatem nie będę, jedź z Bogiem! Lisowski wstał z krzesła, a Rysiewicz poszedł za jego przykładem. Kładąc się na spoczynek pułkownik był mocno zamy×lony. Zauważył to dzielący z nim kwaterę Kalinowski, spytał więc, układając się już do snu: - Co× taki markotny? Czy wciąż rozmy×lasz o rozstaniu z Rysiewiczem? - Ano wła×nie... - przyznał Lisowski, który już opowiedział towarzyszom o decyzji rotmistrza. - Bo też i jest o czym podumać... - Czego się trapisz? Jego sprawa, nie nasza! - Ale on wie, kędy zamierzałem i×ć i kiedy. - No i co z tego? Czyżby× się bał, że może nas zdradzić? - Niekoniecznie ×wiadomie. Wystarczy jedno nieopatrzne słowo rzucone w złej chwili, a skutki mogą być groźne. On przecież brał udział w naszych naradach, dobrze zatem wie, co zamierzamy! - Na klasztor ruszamy jutro, więc z tym biedy nie będzie, bo już czasu nie stanie. -

Toteż nie o klasztor się troszczę, ale o dalszą drogę. Trzeba będzie poniechać wyprawy za góry i pociągnąć innym szlakiem. - Ostrożności nigdy nie za wiele, jak mówi Rogowski. - Otóż to... - mruknął Lisowski, już zasypiając. Mroczny, ponury las jodłowo-wierkowy stale wspinał się w górę. Nagą, bez poszycia ziemię u stóp drzew zakrywała warstwa brudnego igliwia, a głębiej w dali wypełniała ciemność, która zdawała się kryć w sobie niepokojące zagadki. żołnierze gwarzyli z cicha, a konie szły ochotnie, bo zapewne zastały się już po stajniach. Dopiero po dwóch dniach las się skończył, odsłaniając otwartą przestrzeń ze stromymi stokami wzgórz i żwirowego piasku, pokrytych rumowiskami kamieni, wśród których wznosiły się skalne bloki. Droga, jeszcze bardziej stroma, wiała się pomiędzy tymi wzgórzami, pnać się ku wyraźnym już zarysom nagich i sinych górskich szczytów. Po kolejnym nocnym biwaku, odbytym nad górskim strumykiem, skalne zwaliska już na dobre otoczyły ciągnące chorągwie, a szczyty górskie przybliżyły się i zdawały zwisać nad ich głowami, ostre i groźne, mimo że pławiły się w blaskach jesiennego słońca. Straż przednią prowadził Kalinowski, mając przy sobie uwiązane do wierzchowca mnicha. Wiedział, gdzie ma się zatrzymać i czekać na główne siły, gdyż drogę już znał z rozpoznawczej wyprawy. Chorągwie zaś spokojnie ciągnęły za nim wijąc się niby spłoszony wąż. Po jednym ze skrętów skalne pobocza jakby raptem rozchyliły się, ukazując bystro pędzący nurt górskiej rzeki. Ona także wiała się kapryśnie i pieniała na wystających z niej głazach. U drugiego brzegu wznosiła się nad rzeką kamienna ściana rzucając cień, w którym, niby lśnieniem diamentów, wieciła rozpryskami wody. Wszędzie pięły się w górę rumowiska głazów, porośłe tu i ówdzie karłowatą sośniną i kolczastymi krzewami. I tu żołnierz mało co zważał na uroki natury, a jeśli rozglądał się,

to powodowany nie tyle jej pięknem, co nawykiem do ostrożności. Dalsza droga wiodła płaskim, wąskim skrawkiem brzegu. Niedługo jednak nią jechali, gdyż już za pierwszym zakrętem ujrzeli straż przednią pod Kalinowskim, która skupiwszy konie czekała na nich. Chorągwie zatrzymały się, a pułkownik wysforował do przodu i chwilę rozmawiał z porucznikiem, po czym rozkazał Rogowskiemu: - Drogę już znasz, bierz zatem z dziesięciu żołnierzy i ruszaj na tamten brzeg! - Wyciągnął rękę i wskazał wijącą się po skalnej ścianie nitkę wąskiej ścieżki. - Przy linie zostaw na tamtym brzegu dwóch ludzi, bo mogą być potrzebni. Dwóch osiłków wybranych z chorągwi obwiązało się liną i weszło w wodę. Nie sięgała nawet do pasa, ale płynęła tak wartko, że wokoło ich nóg utworzyły się od razu pienne kręgi. Kamieniste, śliskie dno musiało jeszcze bardziej utrudniać przeprawę, bo co raz to wspierali się wzajemnie, pochylając ciała przeciw prądowi, by nie zbił ich z nóg. W ten sposób, posuwając się krok po kroku, z trudem przebyli wreszcie rzekę, mimo że nie była w tym miejscu zbyt szeroka. Kiedy już wydostali się na przeciwległy brzeg, napięli linę i reszta oddziału, trzymając się jej, przedostała się za nimi. Lisowski po zakończeniu przeprawy zwrócił się do Kalinowskiego: - Dopilnuj, by dobrze strzeżono mnicha, a także przykaż włożyć mu w gębę kawał szmaty. Ty zaś idź także, ale po tej stronie, gdzie stoimy. Wkrótce więc po Rogowskim, który rozpoczął już był wspinaczkę po skalnej ścianie, pociągnął ze swoim oddziałem i Kalinowski. Obie grupy, które miały zbadać skalne wierzchołki nad wąwozem, już ruszyły. Teraz pozostawało tylko czekać, więc żołnierze posiadali z koni. Ale mijał czas, a umówiony znak nie następował. Góry pławiły się w zimnym, jesiennym słońcu, nieruchome i ciche. Tę ciszę zakłócał jedynie plusk pędzącej po kamieniach wody. Początkowe napięcie, spowodowane oczekiwaniem

niewiadomego, z wolna mijało i Lisowski zaczął już wątpić, czy jego ostrożno×ć była potrzebna, kiedy od stojącej w pobliżu straży przedniej nadleciał żołnierz i sciszając mimo woli głos oznajmił z podnieceniem: - Poleciał z góry kamień! Wpadł do rzeki! - Z której strony? - Od Kalinowskiego! Rogowski ma gorszą drogę! Lisowski obrócił się do Kleczkowskiego. - Przygotuj swoich ludzi do marszu. Konie zostaw pod opieką pachołków. Ruszycie jednak dopiero wtedy, jak przyjdzie sygnał od Rogowskiego! - Może zasadzili się tylko z jednej strony? - Wnet będziem to wiedzieć. Już wkrótce okazało się jednak, że niebezpieczeństwo groziło i z drugiej. Niedługo po pierwszym nadleciał następny goniec z wiadomo×cią, że uzgodniony sygnał dał i Rogowski. żołnierze Kleczkowskiego zarzucili więc rusznice na plecy i zaczęli piąć się po kamienistym stoku. Natomiast Lisowski wraz ze swoimi, trzymając się napiętej liny, wszedł w wodę ruszając do przeprawy na drugi brzeg. ścieżka, na którą wkrótce wkroczyli, nie miała więcej niż trzy stopy szeroko×ci. Z jednej strony szła w górę ×ciana litej skały, z drugiej, w miarę jak pięli się coraz wyżej, otwierała się u ich stóp coraz głębsza przepa×ć. Niebawem była już tak głęboka, że niektórzy z idących odwracali od niej ze strachem wzrok. Tych wszakże, którzy nie mogąc opanować strachu stawali przywierając do skalnej ×ciany, ratowali towarzysze, wolni od zawrotów głowy. Idący przodem i z tyłu spinali pasy lub brali arkan i oddzielali osłabłego kompana od groźnej otchłani. Ujmował tę chybotliwą poręcz w dłoń i szedł dalej, nierzadko zamknąwszy oczy. Dostali bowiem ostrzeżenie, że ten, który nie zdoła utrzymać się w szeregu, ma kła×ć się na ziemi, a następni - przechodzić po nim. Pierwszy szedł Lisowski, za nim Czapliński, wszakże nie oglądali się za siebie, ale wspinali szybko, zmuszając w ten sposób żołnierzy do

po×piechu. Nie zmniejszali szybko×ci, mimo że już od paru pacierzy byli w drodze. Niejednemu zdało się, że czyni już ostatni krok, bo dalszego zrobić nie zdoła, a oddycha igłami, nie powietrzem. Wreszcie zaczęto spostrzegać, że idący przodem znikają im raptem sprzed oczu, jakby wpadali w przepa×ć. Okazało się jednak, że ×cieżka przeskakuje tylko skalny garb, za którym opada na szeroką już płaszczyznę, pokrytą kępami ostrej trawy, a potem ginie w×ród zwalisk ogromnych głazów i skalnych bloków. Lisowski zatrzymał się za garbem i czekał, aż nie pojawią się wszyscy żołnierze. W tej chwili pomiędzy skał, w których kryła się ×cieżka, wysunął się żołnierz i podbiegł do niego, rzucając cicho: - Są, mo×ci pułkowniku! Zalegli na krawędzi, kilka staj stąd! Pan Rogowski ma ich na oku i czeka na waszmo×ci! - W jakiej są sile? - Pan rotmistrz liczy, że ze dwie setki chłopca. Lisowski machnął lekceważąco ręką. - Zbytnio się nie zmordujem. Ostań przy mnie, powiesz nas do rotmistrza. Obrócił się ku żołnierzom i wydawał szeptem rozkazy. Wkrótce ruszyli za nim w cicho×ci. Nikomu nie brzękła broń ani nie potoczył się kamień spod nogi. Wszakże nie uszli zbyt daleko, kiedy spoza rzeki rozległ się nagły wrzask i grzechot wystrzałów. Nie czekając więc na sygnał dowódcy i poniechawszy zachowania ciszy, poderwali się do biegu. Nie pozdejmowali też z pleców rusznic, ale od razu dobyli szabel wiedząc, że na strzały już nie ma czasu. Skacząc przez kamienie ujrzeni wkrótce zaczajonych na skraju przepa×ci przeciwników. Niektórzy, nie zdążywszy poderwać się na nogi, leżeli jeszcze na ziemi z rusznicami przy ramionach. Ci, którzy już się zerwali słysząc odgłosy walki, nie mniej byli zaskoczeni na widok pojawiających się nagle przed sobą napastników. Byli tak przerażeni, że padali pod ciosami szabel nieomal nie broniąc się. Kiedy za×ci, co uszli z życiem, oprzytomnieli, od razu rzucili się do ucieczki, kryjąc się za zasłoną rozsypisk



skalnych. Nie minęło więc i trzy pacierze, a było już po utarcze. Uciekających pułkownik zakazał ×cigać w obawie, że nie obeznany z terenem żołnierz może pobłądzić w powrotnej drodze, przysparzając kłopotu koniecznie×cią poszukiwań. Z drugiego brzegu też nie było już słycać odgłosów walki. Lisowski zebrał więc ludzi i prowadzony przez Rogowskiego ruszył do zej×cia, które, znacznie łatwiejsze, znajdowało się w pobliżu. Niebawem byli już nad rzeką i po kolejnej przeprawie połączyli się z Kleczkowskim. Ten czekał na nich wraz z końmi, które doprowadzili pachołcy, i chorągwie ruszyły w dalszą drogę ku klasztorowi, gdzie Lisowski postanowił sprawę doprowadzić do końca. Mnichowi wyjęto zbędny już knebel, ale milczał, jadąc z ponurą twarzą pomiędzy dwoma strażnikami. Droga wciąż wiodła pod górę, dopóki po godzinie nie dotarli na jej wąską odnogę i wreszcie wydostali się na skalną płaszczyznę, na której wznosiły się kamienne ×ciany monasteru i stała mała cerkiewka z dzwonnica u boku, otoczone kilku ko×lawymi sosnami. Obszerny podwórzec, rozciągający się przed monasterem, zaroił się od konnych. Zeskakiwali z siodeł i wiedli swoje wierzchowce do pobliskiego wodopoju u leżącego z dono×nym szumem potoku, który zdawał się ×pieszyć, by co rychlej dopa×ć Oszerę. Z klasztornego budynku wybiegło kilku mnichów, ale widząc taką masę jeźdźców zatrzymali się w rozterce i z wyraźnym strachem przyglądali przybyłym. Lisowski także zsiadł z konia i polecił przyprowadzić do siebie mnicha. Kiedy ten stanął przed nim ze związanymi rękami, zmierzył go ironicznym spojrzeniem pytając: - No, wskazuj zatem, braciszku, gdzie ten twój skarb. Mnich obrzucił go krótkim spojrzeniem, lecz nie odezwał się, jakby nie słysząc pytania. Lisowski równie ironicznie zadał więc następne: - I o zasadzce oczywi×cie nic nie wiedziały×? Tym razem mnich nie zdążył jednak odpowiedzieć, gdyż

stojący dotąd w oddali braciszkanie poderwali się z miejsca i podbiegli wołając: - Ojczulku przeorze! Ty w więzach?! Dobry Boże, czego chcą od ciebie ci ludzie?! Nawet Lisowski był zaskoczony tym wołaniem. Popatrzył na swego więźnia ze zdumieniem, ten za× rzucił mu w zamian porozumiewawcze spojrzenie, jakby byli w zażyłej przyjaźni, i tym razem odpowiedział z gorzkim u×miechem: - Bóg widać chciał, aby ci maluczcy wyjawili ci prawdę... - Był× pewny, że zasadzka się uda, więc zbytnio nie ryzykujesz, co? Chciał× nas w nią wciągnąć, łudzac skarbami? - Jest tak, jak mówisz... - Mimo wszystko własne życie wystawiał× jednak na hazard. - Dziwisz się temu? Krwią rosicie naszą ziemię, ogień podkładacie pod domy, ludzi gubicie, wysłannicy antychrysta! Mnich podniósł głos, że słycać go było na całym podwórku. Lisowski, nie zwracając jednak na to uwagi, przyglądał mu się z chłodną obojętno×cią. - Nie tobie sądzić o prawach wojny, mnichu... Ani o tym, kto mnie wysłał. Ja sam jestem stróżem swego sumienia, ty za× rachuj się z własnym, bo niezadługo napotkasz tych, którzy poginęli przez ciebie! - Oni mnie za to nie przeklną, bo w innej sprawie dali życie, niż dają twój! Mnich mierzył Lisowskiego pałającym spojrzeniem, ten za× chwilę patrzył w jego gorejące wewnętrznym ogniem oczy, po czym raptem u×miechnął się. - Jako mąż wojennego rzemiosła szanuję twoją odwagę, ojczu przeorze. Ale wiesz, co ci powiem? Oto ostawię cię przy życiu... Inaczej zrobiłbym z ciebie bohatera, żyjąc za×, będziesz miał sposobno×ć posłuchać, co ci powiedzą żony, matki i siostry tych, co poginęli... Mnich cofnął się o krok, jakby uderzony w piersi. - Ty×... ty× istotnie wysłannik antychrysta... Uniósł związane ręce usiłując się przeżegnać. Lisowski za× skinął na jednego z żołnierzy mówiąc: - Rozciąć mu więzy, jest wolny! A mnie podać konia! Kiedy już siedział w siodle, a żołnierze także dosiadali wierzchowców, podjechał do stojącego nieruchomo

przeora i schyliwszy się ku niemu, rzekł z uśmiechem: -  
Prawdę mówiąc, dobrze grałem, ojczulku, bo nawet mnie  
omal nie wywiodłem w pole. A już owo ukazanie pierścienia  
było przednim pomysłem! Widok złota istotnie bowiem  
mocniej przemawia do ludzkiej chciwości niż wszelkie słowa.  
Chorągiew za chorągwią opuszczały kamieniste podwórze  
monasteru zjeżdżając ku rzece, a potem w ślad za swoim  
wodzem skręcały w powrotną drogę. Zgodnie bowiem z  
uprzednio powziętą decyzją Lisowski zrezygnował z zamiaru  
przekroczenia uralskich gór i ruszył ich zachodnią stroną, ale  
zamiast iść na południe - poszedł ku północy. Tam wszakże  
zima zaczynała się wcześniej, mrozy już nadciągały, rychło  
więc uznał, że pora zawracać w cieplejsze strony. Znów  
ominał Jarosław, ale ograbił pobliski Romanow. Potem  
przeszedł na lewy brzeg Wołgi i z kolei ominął Moskwę. Tym  
razem kopyta jego koni tratowały ziemię rizańską. Dotarł do  
Oki, spustoszył Kazim, zrabował Perejesław Rizański i  
kierując się wciąż na południe, złupił po drodze jeszcze kilka  
miast. Wreszcie przekroczył Don i wszedł na ziemię  
astrachańską. Tu wszakże zastał ogromne przestrzenie pustych  
stepów, więc rychło zawrócił. Był już jedynym polskim  
dowódcą, który po upadku Moskwy nadal prowadził działania  
zaczepne. Wiedząc o tym rozważał, jak długo jeszcze warto  
toczyć walkę, której sens przestał istnieć. Wyjawił tę myśl  
na jednym z nocnych postojów, kiedy okryty burką  
odezwał się do towarzyszy siedzących dookoła ogniska: - Pięć  
lat już ubiegło, jakem ze Starodubia ruszył z moskwiczami  
wojować. O Szwedach nawet nie wspomnę, choć przecież z  
panem Chodkiewiczem pod Kircholmem, Rewlem i gdzie tam  
jeszcze stawałem... Czy nie pora zatem odetchnąć? My jedni  
ostaliśmy na ruskiej ziemi, nie licząc pomniejszych załóg.  
Moskwy nasi nie zdołali utrzymać, a pan Chodkiewicz bez  
wojska ostał. Kogo więc mamy wspomagać, o co dalej

walczyć? Mówił wpatrując się w języki płomieni lizące gałęzie, którymi jeden z oficerów podsyczał ognisko. Kalinowski, jak zwykle skory do kpinek, odpowiedział żartobliwą uwagą: - Mo×ci pułkownik zapragnął widać w małżeńskim stadle szukać odmiany i dlatego rad by powrócić do kraju... Czaplinski podchwycił tę uwagę porucznika: - I nie dziwota... Niewie×cie ciało lepiej grzeje niż wszelkie ogniska. Jednak tak Kleczkowski, jak Rogowski nie dostosowali się do tonu tych komentarzy. - Uwagi waćpanów, aczkolwiek w żołnierskim gu×cie, przecież nie w porę są czynione - zabrał głos Rogowski. - Takich uciech do×ć mieli×my i tutaj, nie ma zatem potrzeby szukać ich dopiero w kraju. Przyczyny, dla których warto rzecz wziąć pod rozwagę, są poważniejszej natury. Słuszno×ć ma zatem mo×ci pułkownik, że radzić pragnie, co nam dalej czynić należy. Toteż doradzam, by niechawszy krotochwil, consilium odbyć... - Cóż więc za przyczyny widzisz krom tych, które wymienił mo×ci pułkownik? - już poważnym tonem spytał Czaplinski. - Te, które podałem, chyba starczą? Do tej pory wspomagał×my Chodkiewicza, ustanowionego przez majestat na naszego wodza w moskiewskiej ziemi. Teraz, pozostawiony bez wojska, walki musi poniechać, więc wspomagać nie mamy kogo, ze słuszno×cią też możemy być poczytani za zwykłych rozbójników... A samym walczyć przeciw całej moskiewskiej potędze to jak z szydłem i×ć na niedźwiedzia. - żołnierz także chce wracać do kraju - zauważył Kleczkowski. - Dobrze już napełnił sakwy, więc rad by korzystać z tego, co zdobył. - To mnie najmniej obchodzi - burknął Lisowski, który w milczeniu przysłuchiwał się uwagom swoich oficerów. - Zbyt to błahy powód, by brać go pod uwagę. Chcę salutari consilio posłużyć się, by postanowić, czy walczyć dalej, czy też powracać. Nastąpiło milczenie, bo każdy zdawał się rozważać, jaka ma być ta rada.

Wreszcie jako pierwszy odezwał się Rogowski: - Nic nie wiemy, co dzieje się u nas w kraju, dlatego o przydatności dalszego wojowania trudno decydować, choć wydaje się, sądząc po tym, co tu widzimy, że jest ono zbędne. A może nawet okazać się szkodliwe, jeżeli król jegoć zamierza paktować z Moskwą. Dlatego wnioskuję, by wracać, a dopiero w razie potrzeby znów dosiąć konia. Przykłańto tej opinii rotmistrza, a wydało się, że była ona zgodna z zamiarami pułkownika, gdyż rozkazał ruszać wprost na zachód, już nie nagabując po drodze miast ukraińskiej ziemi, którą mieli ciągnąć. Tymczasem w Moskwie Rada Bojarów zorganizowała siły mające oswobodzić kraj od najeźdźców, ale za najpilniejsze zadanie uznała usunięcie niebezpieczeństwa dla tronu, jakie stanowili Maryna i jej syn. Było już wiadomo, że Maryna opućciła Kołomnę i wraz z Zaruckim ruszyła na południe, gdzie ataman zamierzał u Tatarów szukać poparcia. Na szczęć Szwedzi, których spod Torzoka obserwował Trubecki, chwilowo nie przejawiali aktywności wojennej, lecz Smoleńsk był nadal w polskich rękach, a w riazzańskiej ziemi grasował nieuchwytny Lisowski. Jeszcze na początku grudnia na czele siedmiu tysięcy Kozaków pociągnął w poćig za nim książ Kuriakin. Nieco zać później, ze względu na konieczność zebrania większych sił, ruszył w ćlad za Zaruckim książ Odojewski na czele piętnastotysięcznej armii. Z kolei przystąpiono do organizowania i wyposażenia w sprzęt oblężniczy wojsk, które miały ić pod Smoleńsk. Lisowski po decyzji powrotu do kraju nie forsował koni i szedł bez poćpiechu, jak odyniec pewny swej siły. Kuriakin dopędził go więc 16 grudnia nad rzeką Psią, ale zwiedziawszy się, że przeciwnik jest tylko mało co od niego słabszy, bo rozporządza blisko pięcioma tysiącami szabel, zatrzymał się, nie spiesząc do bitwy. Lisowski, ćwiadom jego obecności, nie obrócił się jednak ku

niemu, gdyż po decyzji poniechania wojennych działań nie widział tego potrzeby. Wzmógł więc tylko czujność i szedł spokojnie dalej. Na wieść o tak niesławnym rezultacie wyprawy Kuriakina książę Pożarski natychmiast sam pociągnął za Lisowskim, prowadząc dziewiętnastotysięczną armię. Na nic jednak zdał się zapal i zawziętość młodego księcia, bowiem żołnierze dowiedziawszy się, przeciw komu idą, zaczęli uciekać z szeregów, i to tak licznie, że wkrótce zostało ich zaledwie trzy tysiące. Wrócił więc Pożarski do Moskwy, przekazawszy dowództwo nad wojskiem łopatinowi, ten jednak pamiętając, co spotkało Ierzbowca, Szachowskiego i Szeremisza, tak jak i Kuriakin wolał Lisowskiego do bitwy nie zapraszać. Już więc przez nikogo nie nagabywany Lisowski spokojnie minął Kijowszczyznę i pożegnawszy towarzyszących mu dotąd dońskich i zaporoskich Kozaków, w styczniu 1613 roku z ogromnymi łupami wkroczył na czele reszty swoich chorągwi na polskie ziemie. Nadal głównym celem księcia Pożarskiego było zakończenie okresu Smuty i przywrócenie w kraju prawowitej władzy. Teraz należało wprowadzić do stolicy monarchę. Rozumieli to bojarzy, od razu więc zaczęli zabiegać o zdobycie dawnego znaczenia, tak uszczuplonego przez cara Iwana i kontynuatora jego polityki, Godunowa. Bojarstwu przewodzili Sołtykowowie i diakon Szeremietjew, upatrując na cara króla szwedzkiego. Nie tylko oni przystąpili do walki o wpływy. Stronnictwo Władysława nie straciło jeszcze na znaczeniu. Po ucieczce braci Szczerbakowów do Smoleńska przewodził stronnictwu Kuriakin, popierany przez niektórych bojarów, a także wiele miast opowiadało się nadal za królem polskim. Istniała wszakże jeszcze jedna grupa, i to w danej chwili decydująca, bo stanowiła siłę militarną - a mianowicie Kozactwo. Po rozejściu się bowiem opołczeniu oni jedni pozostali pod bronią. Popierani przez kler, a także i pospólstwo żądali cara

"prawosławnego". Główne ich siły pozostały przy kniaziu Pożarskim i Trubeckim, poza nielicznymi już watahami Topiechy, Nalewajki, Baryszpalca, Białowienia czy jeszcze kilku innych, którzy grasowali po kraju. Z ich żądaniami należało się liczyć, toteż w celu uszczuplenia tych sił czę×ć pułków kierowano pod Smoleńsk, czę×ć poprowadził Trubecki przeciw Szwedom, których swego czasu car Wasyl próbował nadaremnie związać przymierzem. Trubecki został jednak rozбитy pod Bronnicami, skutkiem czego cofnął się w pobliże Torzoka i stamtąd dawał baczenie na Szwedów w Pskowie i na Polaków w Smoleńsku. Z Moskwy natomiast poszły gramoty do miast i wszystkich ziem, by przysłały "wybornych" (wybranych) przedstawicieli na elekcyjny sobór do Moskwy. Jego termin, początkowo wyznaczony na 6 grudnia 1612 roku, musiał ulec jednak opóźnieniu, gdyż w kraju nie było jeszcze spokoju. Wybrani przedstawiciele zjechali się więc dopiero w styczniu następnego roku. Po burzliwych obradach dokonano 7 lutego wyboru, ale dwóch władców - bojarzy ogłosili carem szwedzkiego królewicza, Kozacy natomiast i kler Michaiła Fiodorowicza Romanowa, syna metropolity Filareta, przebywającego w polskiej niewoli. Ponieważ wybór nie był zgodny, a car niepełnoletni, gdyż miał szesna×cie lat, matka nie zgodziła się na wysłanie syna do Moskwy, obawiając się o jego bezpieczeństwo. W powstałej sytuacji omal nie doszło do bratobójczej walki, gdyż Kozacy gotowali się, by siłą wprowadzić na tron swego wybrańca. Wszczęto jednak pertraktacje i ostatecznie bojarstwo zrezygnowało ze swego elekta. Zawarto porozumienie, więc nic już nie stało na przeszkodzie, by uzyskać zgodę matki na objęcie tronu przez młodego cara. Wyjechał zatem do stolicy i tam przyjął hołd od wszystkich stanów, a w lipcu został koronowany. Osadzenie na tronie nowego cara nie tylko odbierało wszelkie nadzieje Marynie i

jej synkowi, ale groziło im obojgu ×miertelnym niebezpieczeństwem. Zrozumiał to Zarucki i na czele dwóch tysięcy Kozaków ruszył natychmiast do Kołomny, gdzie przebywała jego ukochana. Na wie×ć o jego przybyciu Maryna zagnała dworki, by gotowały dla niej co piękniejsze szaty, przywdziała najwspanialsze klejnoty, które tak szczerze ofiarowywał jej pierwszy małżonek, i pełna niecierpliwo×ci oczekiwała miłego sercu go×cia. On również zaledwie ogarnął się po odbytym marszu i pospieszył zaraz do monasteru, gdzie wraz ze szczupłym już dworem przebywała Maryna. Czekala na niego tylko w obecno×ci przybocznej, zaufanej dworki, panny Barbary Kazanowskiej. Na jego widok przebiegła komnatę i zarzuciła mu ręce na szyję. Po długim pocałunku oderwali się wreszcie od siebie i Maryna, jeszcze zadyszana, wzięła ukochanego za rękę, podprowadziła do komina z buzującym ogniem i usadowiła na jednym ze stojących tam foteli. Panna Kazanowska, będąc ×wiadkiem czulej sceny, cofnęła się i powiedziała, schylając z zażenowaniem głowę: - Pójdę dojrzeć, by na czas podano wieczerzę... Zarucki wyciągnął jednak ku niej rękę na powitanie i zaprotestował: - Witam waćpannę! Wieczerza nie ucieknie, tedy nie odchodź, bo× przyjaciółka Maryny, i dobrze będzie, je×li weźmiesz udział w naszej naradzie, gdyż ważne sprawy trzeba nam rozstrzygnąć. Zasedli więc we troje i po początkujących wzajemnych informacjach o sobie Zarucki, kierując spojrzenie na palący się na kominie ogień, rzekł z troską w głosie: - Pora teraz pomówić o sprawach pilniejszych. Po to tu nie szcędząc koni przybyłem... - Wiem, co dzieje się w Moskwie. Sytuacja stała się dla mnie wręcz groźna... - Maryna spojrzała na atamana bez u×miechu. - Nie ma co ukrywać, że osadziwszy tego smarkacza na tronie, będą usiłowali umocnić go na nim, a więc usunąć wszelkie zawisłe nad tronem groźby. A największą jeste× ty i twój syn. Maryna



opu×ciła głowę i jaki× czas siedziała w milczeniu. W komnacie zaległa cisza, przerywana tylko trzaskaniem na kominku płonących sosnowych szczap. Wreszcie wyprostowała się i spojrzała na kochanka. W jej ciemnych oczach drgały refleksy blasku ognia, ale nie było w nich strachu ani rozterki. - Za blisko jeste×my Moskwy... - stwierdziła spokojnie. - Ponoć Pożarski zgromadził tam wielkie siły? - Opołcenije już rozeszło się do domów, lecz pozostali przy nim posłuszni carowi Kozacy. Jest to siła, z którą przynajmniej teraz mierzyć się nie mogę. - A więc trzeba uchodzić? - Szybko i jak najdalej. Głównie dlatego, aby zyskać na czasie. - A ty? Jakie masz zamiary? - Znoszę się z dworem perskiego szacha. Kto wie, czy nie udzieli mi pomocy. - Złudne to nadzieje i nie do rychłego spełnienia. Lepiej na nikogo nie liczyć... Ważny jest dzień dzisiejszy, a ten stawia pytanie: gdzie uchodzić? Może na Sybir i tam kaptować stronników? Każdy wybór ma swoich oponentów... - Toż to nieomal pustynia! - Panna Kazanowska wtrąciła się do rozmowy. - Ponoć tam na sto mil nie spotyka się żywej istoty krom dzikiego zwierza! Czy nie lepiej jechać do Polski? Przebywałyby× tam w rodzicielskim domu i bezpieczna. Tam rychlej też znajdziesz popleczników chętnych do nowej wyprawy. - Hm... - Zarucki w zamy×leniu skłonił głowę. - Może to i dobra my×l. Z tym wszakże, że ja pozostałbym tu i zabiegał o pomnożenie sił i zdobycie sprzymierzeńców... Gdyż tylko orężem możemy zdobyć tron dla Dymitra! O ciebie za× przynajmniej byłbym spokojny. Maryna uderzyła gwałtownie dłońmi o poręcz fotela, na którym siedziała. - Nie! - krzyknęła nieomal. - Za żadną cenę nie opuszczę Rosji, bo to byłoby ustąpienie z pola! Dymitruszce należy się ruski tron i na ruskiej ziemi będę o niego walczyć! - Ryzykując życie? - spytał spokojnie Zarucki. - Nie masz mnie co straszyć, bom niepłochliwa! Barbara radzi jechać do Polski,

ale zapomina, że syn Zygmunta to także rywal do kremlowskiego pałacu. Toteż niedługo cieszyłabym się w kraju wolno×cią. - Nie o×mieli się osadzić w więzieniu senatorskiej córki - zaproponowała panna Kazanowska. - Wystarczy, że każe zamknąć w klasztorze! - prychnęła Maryna. - Nie, tak jak rzekłam, nie opuszczę moskiewskiego państwa, a ty decyduj, dokąd mamy uchodzić - zwróciła się bezpośrednio do kochanka. - No cóż, skoro tak, to jedyna dla nas droga wiedzie na południe, ku Kaspijskiemu Morzu. Stamtąd łatwiej mi przyjdzie znosić się z perskim dworem, a i o żołnierza nie będzie trudno, bo Don blisko, toteż Kozaków ku sobie przyciągnę. Tatarzy równie chętnie do mnie się przyłączą. A niechbym zebrał choć dwadzie×cia tysięcy szabel, to już byłoby z kim i×ć na Moskwę! - Zatem ruszamy na południe - zgodziła się Maryna. - Całego dworu nie zabiorę, jeno kilka co wierniejszych sług. Dla mnie za× i Dymitruszka daj karocę, bo przecież w siodłach nie pojedziem. I tak Maryna sama zadecydowała o swoim losie. Zarucki prowadził swoje watahy wprost na południe. Otoczona zbrojną eskortą jechała w karecie Maryna z dzieckiem i już tylko z dwiema najbliższymi dworkami oraz wierną panną Kazanowską, która dzieliła z nią zmienne koleje losu, ostatnio tak nieprzychylnego dla byłej carowej. Za karetą ciągnęły wozy taborowe, również nieliczne, bo tylko z najniezbędniejszymi sprzętami i tym, co jeszcze Marynie pozostało z darów pierwszego małżonka. Już następnego dnia dostrzegła przez okna swojej karocy rozciągające się nad horyzontem ciemne, rozwłózione dymy pożarów, wzniesionych przez idące przodem oddziały. Wkrótce potem mijała nie wygasłe jeszcze zgliszcza, nie dopalone domy, z rozwalonymi wrotami, wybitymi drzwiami, czarnymi otworami strzaskanych okien, osmalone i puste wnętrza, włózione wiatrem strzępy odzieży, a co najstraszniejsze,

często i ludzkie zwłoki, z plamami krwi na ciałach zastygłych w ostatnim ruchu. Znów nieszczęsne ziemie riazkańska i tulska spływały krwią, pustoszył je ogień, raziły szable. Bicz boży chłostał je powtórnie, wszakże teraz spadające ciosy były sroższe niż te, jakie zadawał im Lisowski. Ten dowodził bowiem żołnierzem posłusznym jego rozkazom, zniszczeniu ulegały tylko te miasta, które sam uznał za warte zachodu, wiele ominął lub poprzestał na okupie, a wsi w ogóle nie ruszał. Obecny za× najeźdźca wiódł niesforne, zdziczałe od ciągłych gwałtów oddziały, podobne raczej do sfory drapieżników niż ludzi, a że i sam okrutny był z natury, niszczył wszystko, co napotkał po drodze. Toteż na szlaku jego przemarszu nie ocalało ani jedno słabiej obronne miasto, nie uszła zagłady żadna wie×, osada czy nawet samotny chutor. Pozostawiał za sobą zgliszcza i trupy, a jedynymi żywymi istotami po jego przemarszu były bezpańskie psy i ptaki szarpiące zwłoki ludzi i zwierząt. Gdyby sam nie był z natury okrutny, to i tak zbyt był zależny od swoich ludzi. Z dawnych Kozaków ostało mu nie więcej niż z tysiąc szabel, resztę za× stanowiły oddziały różnych awanturników, idących pod jego rozkazami w obawie przed moskiewskimi wojskami, które przystąpiły do oczyszczania kraju z plagi grabieżców i rozbójników, istnej zmory wsi i małych miasteczek. Przywódcy tych grup pojęli, że ich zguba jest tylko kwestią czasu, a w im większej będą gromadzie, tym go będą mieli przed sobą więcej. Dlatego chętnie przystawali do Zaruckiego. Dalecy jednak byli od okazywania mu żołnierskiego posłuszeństwa, on za× musiał godzić się z ich samowolą, bo i jemu zależało na dysponowaniu siłą zdolną do większej rozprawy. Ta za× była nieuchronna, i to rychło, bo dostał już wie×ci, że książę Odojewski wkrótce ma pój×ć przeciw niemu. Dlatego chętnie przyjmował pod swoje rozkazy coraz to nowe watahy grasujące w pobliżu jego szlaku, gromadząc w ten

sposób znaczne siły, sięgające już dziesięciu tysięcy żołnierza. Książ Odojewski, wsparty oddziałami Chochłowa, ruszył na czele piętnastotysięcznej armii. Było to wojsko tak jak i Zaruckiego słabo wyposażone, pałające wszakże chęcią zemsty, którą wzmogły widoki zniszczeń, jakie pozostawili za sobą rozbójnicy. Dopadł Zaruckiego pod Woroneżem. Tam przyparł go do Donu i po zażartej walce, sam ponosząc duże straty, rozgromił jednak jego watahy, i to tak dotkliwie, że tylko w kilkaset koni uszedł ataman z pola bitwy. Zdołał jednak uchronić czekający na niego orszak Maryny i pociągnął, już nie nagabywany, w astrachańskie stepy. Nie szczędził koni, ale książ Odojewski nie gonił go, pozostawiając ostateczną rozprawę czasowi, gdyż po poniesionych stratach i on musiał na nowo uporządkować i uzupełnić swe pułki. Zarucki zaś przeszedł Chopior i Miedźwiedzicę, z dala ominął Saratów i osiągnąwszy stepy, ciągnął wzdłuż Wołgi. Tu znów zaczął przybierać na sile, bo na wieść o jego przemarszu zaczęli przystawać do niego Tatarzy, Czerkiesi, Kozacy znad pobliskiego Donu i ci osiadli wzdłuż Wołgi. Wkrótce więc znów miał pod sobą kilka tysięcy żołnierza. Uznał, że starczy mu tych sił, by uderzyć na Astrachań. Bogate miasto stanowiło cenny łup, toteż napastnicy zawzięcie wdzierali się na mury. Miasto padło i Zarucki objął je w posiadanie rozpoczynając krwawe rządy. Dał głowę astrachański wojewoda, wyrżnięta została cała miejscowa starszyzna. Przerazenie ogarnęło miasto, wszelki sprzeciw tłumił przemożny strach przed krwawym satrapą. Ten istotnie siał grozę, mało zważając na sprawiedliwość swoich wyroków, a jedyną karą był katowski topór. Objął swym panowaniem ogromny szmat wybrzeża Morza Kaspijskiego, nieomal od Terskowo Gorodka nad Terekiem po Gurjew u ujścia Jaika, ustnawiając podatki od rybołówstwa. Zastraszona ludność płaciła je regularnie, toteż

pieniądze płynęły szeroką strugą. Przybywało też ochotników, przeważnie Tatarów i nie lepszych od nich różnych zbiegów spod szubienicy, zbójów, włóczęgów, rozmaitego rodzaju awanturników. W ten sposób ataman zebrał około dwunastu tysięcy żołnierzy, ale Kozaków wśród nich nie było więcej niż dwa tysiące szabel. Wzmocnił też mury obronne miasta, uzupełnił obwarowanie, a jednocześnie słał posłów do Persji i Turcji. Tu jednak spotkał go zawód, bo szach nie miał zamiaru wszczynać wojny, a sułtan w ogóle nie udzielał mu odpowiedzi. Również niedobrze zaczęło się dziać i pod samym jego bokiem, gdyż astrachańscy Tatarzy stawali się coraz mniej pewni, coraz wyraźniej groziła z ich strony zdrada. Ataman nie upadał jednak na duchu, albowiem jego buńczuczna natura nie dopuszczała doń zwątpień i obaw przed niepewnością losu. Zresztą obecność Maryny i moc jej ducha stanowiły dla niego podietę i dodawały sił. Tak nadeszła wiosna 1614 roku, a wraz z nią zbliżała się kolejna rozprawa z kniazem Odojewskim, ponieważ nadeszły wiadomości, że ciągnie ku niemu z nowymi siłami. Chodkiewicz, nazywając swoją sytuację w Rosji "haniebną", nie był daleki od prawdy. Pozostało mu tylko nie więcej niż trzy tysiące pieszego żołnierza - były to załogi trzymanyh jeszcze w ręku takich zamków jak Drohobuż, Wiaźma czy Biała, a przede wszystkim Smoleńsk. Cała jazda przyłączyła się do konfederatów, którzy po powrocie do kraju rozjechali się po różnych ziemiach. Ciekliński przebywał nadal w okolicach Lwowa, chorągwie Pobiedzińskiego grasowały pod Brześciem Litewskim, Sienickiego stanęły na ziemiach bydgoskich, łupiąc okrutnie Wielkopolskę i Prusy Królewskie. Wreszcie dawne chorągwie inflanckie samego hetmana rabowały ziemię wileńską. Zimę spędził hetman jeszcze w Rosji, ale już na wiosnę przybył do Bychowa, skąd 14 kwietnia pisał do litewskiego kanclerza Lwa Sapiehy: "...Nie

ma już czem Smoleńska obsadzić, a Wiaźma na łycku. Drohobuż jeszcze pochylej..." Potem kieruje memoriał do króla pod datą 22 maja 1613 roku, w którym czyni mu zarzuty, że mimo odwagi i krwawych ofiar żołnierza przez skąpstwo kraju tyle zwycięstw zostało zmarnowanych, i wreszcie żali się: "...służyło się dosyć pracowicie J\$mo×ci i Rzeczypospolitej od pierwszej młodo×ci mej kwiecica: ostatek wieku rad bym po×wieścić sobie. Już też z południa ku wieczorowi wskazuje mi kompas; długo mnie pole, długo zbroja trzymała, czas przy kominie wytchnąć..." A wreszcie wspomina: "...W jakim bezpieczeństwie traktaty zawierać? Je×li za murami - nie jest to z godno×cią J\$mo×ci i Rzptej; je×li w polu - bez ludzi nie można. íakami by takie odprawiać rzeczy, nie mną..." "...Dwim sty Kamieńskiemu danej piechoty trudno obsadzić smoleńskiego zamku machinę. Niemniej trudno obsadzić pospolitem ruszeniem i uniwersałami ruszyć do zbroi i gotowo×ci szlachtę. Piechotę niemiecką, że× W\$mo×ci odstawić rozkazał - przyczyny nie badam." Pod koniec za× pisma mówi z goryczą: "...Ja ani ratować nie mogę, mając bezbronne ramię, ani traktować bez wojska z nieprzyjacielem nie godzi mi się... Lisowski, nowy a niespodziewany subkolektor mój, tak mniemam, ze sejmowej dosyć uczyni dyspozycji i wygodzi woli W\$mo×ci." Przeszło rok pozostawał hetman na uboczu rozgrywających się na terenie Rosji zdarzeń, z braku wojska tylko listownie starając się ratować sytuację. Wysłał uniwersał do zaporoskich Kozaków, czyniąc im zarzuty, że porzucili służbę i złupiwszy ziemię smoleńską, wrócili do domów. Inny znów do mińskiej szlachty, z żądaniem wspomagania żywno×cią i prochami polskich załóg, które jeszcze pozostały w niektórych zamkach. Nie brakło kłopotów i na samym pograniczu, gdzie trzeba było dawać odpór grasującym tam kozackim bandom, grabiącym ludno×ć to po jednej, to po drugiej stronie granicy,

i to nieraz nawet w pobliżu dóbr samego hetmana. Jeździł więc często do Cimkowicz, Lachowicz, Klecka, Mohylewa, by poskramiać rozbójnicze watahy. Przyszło nawet zagrozić rozprawą zbrojną atamanowi Topieszce, który zajął Mozyr przeznaczony na leże rotom inflanckim. Przez całą zimę Rutje i Trojan towarzyszyli hetmanowi podczas jego bytności w Rosji. Kiedy na wiosnę udał się do swego Bychowa, pozostał przy nim tylko Peter, gdyż Marek prosił o permisję, zapragnął bowiem odwiedzić dom rodzicielski. Sam dwór, otoczony murem, stał na wzgórzu, po zachodniej stronie Dniepru. Poniżej rozciągało się miasteczko, schodząc stokiem tego wzgórza aż do rzeki, gdzie miało zbudowaną z bali przystań dla skut i łodzi krążących po rzece. Rutje, jeżeli nie wyjeżdżał z hetmanem, roboty nie miał dużo, więc wychodził z rusznicą i psem u nogi na samotne wyprawy myśliwskie, mało jednak dbając o ustrzelenie zwierzyny. Najczęściej wolał oprzeć strzelbę o pień drzewa, sam leć pod nim i założywszy ręce pod głowę, przyglądać się, jak wiosenne słońce przedziera się przez ledwie zieleniejące gałęzie i kładzie na ziemi plamy światła. Dumął wtedy, krążąc myślą wokół dziewczyny, i rozpamiętywał owe chwile, kiedy byli razem. Stawała mu wówczas przed oczami jak żywa, zdawało się, że jest przy nim, czuł nieomal, jak tuli się do niego, miękka, ciepła, uległa... Ale te wspomnienia mroziło poczucie rzeczywistości, której nie tracił z oczu. Zdawał sobie sprawę, że Sonia darzyła go względami, gdyż pełnił służbę u boku hetmana, więc zbliżając się do niego, zbliżała się do upatrzonej ofiary. Taka oto była prawda o innym zgoła obliczu - nie obiecywała bowiem miłości, lecz śmierć. Zastanawiał się, co jego przeciwnik pocznie obecnie. Co obmyśli, by nadać swemu dalszemu działaniu naturalne pozory? Celem jego jest przecież osoba hetmana, więc polem przyszłych poczynań musi być jego pobliże... Odpowiedź na to pytanie otrzymał prędzej, niż

się spodziewał. Gdzie× pod koniec maja wrócił wreszcie do Bychowa Trojan. Nie miał trudno×ci z powrotem do hetmańskiej służby, bo pan Chodkiewicz potrzebował teraz każdej szabli. Kiedy więc pod wieczór znów znaleźli się w izbie Petera, ten zagadnął towarzysza: - Nie zatrzymał cię rodzic na dłużej w domu, kiedy zaczęły się roboty w polu? - Nieco sarkał, ale chyba tylko z przyzwyczajenia. W rzeczy samej raczej był rad, że wracam do boku hetmana, gdyż służyć u niego znaczny to splendor. A w gospodarstwie pomocy nie potrzebuje, bo nawykł sam doglądać wszystkiego. A jak tu? - Różnie. Hetman swoje majątno×ci objeżdża, bo przez te lata dozoru zaniechał i nie wszędzie gospodarka idzie dobrze. A przy tym kozackie watahy poskramia, je×li w pobliże się podsuną, pisma wysyła, ale żadnej imprezy wojennej nie może przedsięwziąć, bo wciąż pieniędzy na wojsko nie dostaje. - To czasu masz do×ć. Nie przykrzy ci się? - Tylko wówczas, gdy nastają spokojniejsze dni i kozaccy rabusie nie pojawiają się w pobliżu. Wszakże raczej zabiegają, by rozrywki nam nie brakło... Marek przywołał pacholika i kazał mu rozpakowywać toboły. Kiedy już się z tym uporali, siadł na krze×le i podstawiając pacholikowi nogę, by ×ciągnął mu but, powrócił do przerwanej rozmowy: - A jak tam z Sonią? Wyszła ci z serca? A może i z pamięci? Peter u×miechnął się. - Z pamięci na pewno nie. A o sercu nie ma co wspominać, bo plewami nie da się karmić. - Ona jednak durzy się w tobie! Chyba zem ×lepy. - Widziało× to, co chciała ukazać. Marek westchnął. - Przyznaję, że lepiej się znam na koniach niż na niewiastach... Stajnie w Bychowie zajmowały dwa długie budynki. Każdy mie×cił po sto pięćdziesiąt koni. Jeden był przeznaczony dla wierzchowców hetmańskiej chorągwi, w drugim znajdowały się konie robocze obsługujące majątno×ć, boksy ogierów, zagrody dla młodzieży i stanowiska bojowych koni hetmana. Pieczę nad tą



stajnią hetman powierzył Trojanowi. Tego popołudnia Rutje po dwudniowej nieobecności wrócił z Lachowicz, gdzie jeździł w sprawach budowanego tam przez pana Chodkiewicza kościoła. Zdał hetmanowi sprawozdanie i dowiedziawszy się, że Trojan jest przy stajniach, ruszył ku dworskim zabudowaniom. Już z daleka usłyszał głos towarzysza, który właśnie rugał stajennych. Kiedy jednak się zbliżył, musiało już być po awanturze, bo Marek powitał go wesoło: - Czołem waszmości! Kościół jak stał, tak stoi? - Dopiero wznoszą mury. Musiałem pognać łydów, by szybciej dowieźli cegły. - Takie sprawy także załatwiasz? To już wolę użerać się ze swoimi leniami! Aha, pytał tu wczoraj o ciebie jaki wyrostek. - Czego chciał? - Powiedział, że tylko z tobą ma gadać. Na dalsze wyjaśnienia Rutje nie potrzebował długo czekać, bo właśnie podchodzili do domu, kiedy zza krzaków bzu wyłonił się byle jak odziany chłopak i zdjawszy słomkowy kapelusz, skłonił się głęboko. - Do wielmożnego pana mam posłanie... - bąknął niechętnie, spoglądając na Rutjego. - Do mnie? A od kogóż to? - Przykazano mi mówić na osobności. - A ja przykazuję mówić zaraz! - Jakowa panna mnie przysłała... Kazała powiedzieć, że przyjechała i prosi, aby wielmożny pan zaraz przyszedł. Byłem tu już wczoraj... Peter domyślił się, przez kogo zostaje wezwany, więc tylko spytał: - Gdzie ją znajdę? - Jest w zajeździe u Joska... Służę u niego. - Jak się zwiesz i czyj jeste? - Florek mam na imię, syn rybaka łyurka. Peter sięgnął za pas. - Masz tu szóstaka, ale gębę zawrzyj krzepko, bo inaczej dostaniesz bizunem, i to w wodzie maczanym! - Pary z gęby nie puszcę, wielmożny panie! Panna też przykazała, abym nikomu nic nie gadał. - Powiedz jej, że przybędę, jak się nieco ściemni. A sam waruj na podwórku, aby mnie przeprowadził. Drzwi tam u was bodaj od krużganku? - Wskażą wam, panie! - Chłopak zawrócił i ruszył biegiem do

bramy. - A więc przybyła do ciebie! - zawołał Trojan, kiedy zostali sami. - Co się musiało stać. - Niedługo się dowiem. Na pewno ten jej krewniak rzecz dobrze obmyślił... - Nie dasz się chyba otumanić? - W głosie Trojana Peter wyczuł niepokój. - Tym się nie trap. Będę ją miłował równie szczerze, jak ona mnie, i obaczmy, kto będzie kotem, a kto myszą. - Wyznaję, że jestem wystraszony... Jakbym widział węża pełzającego ku upatrzonej zdobyczy. - Chyba czas przedłożyć sprawę hetmanowi, bo ów wąż jest już na progu jego domu... Rutje dostrzegł Florka przed stajnią. Na jego widok chłopak ruszył ku niemu i wskazując krużganek kryty dachem, rzucił półgłosem: - Na prawo od schodów, drugie drzwi... Rutje bez słowa skinął głową i skierował się ku schodom wiodącym na krużganek. Zatrzymał się na krótko przed wskazanymi drzwiami, zanim zastukał. Usłyszał szelest kroków, a potem ciche słowa: - Proszę, wchodź... Izba gościnną nie była duża i słabo oświetlona palącą się na stole świecą. Mimo to twarz dziewczyny była widoczna wyraźnie i rysujące się na niej napięcie. Ale usta umierały się, a w oczach drgały błyski radości. Sonia przypadła z cichym okrzykiem do jego piersi, a on objął ją ramionami szczęśliwy, że czuje przy sobie jej gibkie ciało. Ta chwila oszołomienia nie trwała jednak długo, bo zaraz zdołał ją opanować pytając: - Jak tu dotarłaś? Wuj cię puścił w tak długą podróż? Zamiast odpowiedzi schyliła się, złapała jego dłoń w obie ręce i przycisnęła do niej wargi, całując raz po raz. Jednocześnie dyszała urywanymi słowami: - Och, Peter...! Taka jestem szczęśliwa! Znow cię widzę... Aby mnie nie przeganiaj... Mój ty najmilszy... Zdumiony tym powitaniem w pierwszej chwili znieruchomiał, ale zaraz wyrwał dłoń i chwyciwszy dziewczynę za ramiona zmusił ją, by się wyprostowała. - Sonia! Co się zdarzyło? Czemu przypadła mi do ręki?! - Aby błagać o przebaczenie, że tu przybyła! Upraszać, aby mnie nie wygnał... Bo ja... ja

ucieklam od wuja! - Uciekla×?! A to czemu?! - Gdyz dluzej tej meki znie×c nie moglam! Widać co× sie o nas zwiedzial, bo po przyjeździe dręczył mnie ponad wytrzymanie, a bywalo, ze i za ramię sie brał! Ty za× wciaz stale× mi przed oczami jak żywy... Totez nieprzytomna z tej udręki spakowalam nieco odzieży, zabralam uciulany grosz i korzystajac, ze kupcy jechali do Mohylewa, zabralam sie z nimi. Z Mohylewa za× juz nie bylo trudno za byle skojca przyplynac tu skutą... A teraz lepiej mnie od razu ubij, nizby× mial przegnac! Na sluzbę pojde, nijakiej roboty sie nie boje, aby tylko byc przy tobie! Znów chciala przypa×c mu do ręki, ale do tego nie dopu×cil, tylko przyciagnal do siebie i zaczal ja calowac. - Nie strachaj sie, mila... - powiedzial. - Skoro juz tu jeste×, co× wspólnie obmy×limy... Na razie na dzien, dwa bedziesz musiala tu zostac. Nikt jednak nie powinien wiedziec, ze przychodze, by hetmanskiego oficera ludzie na jezyki nie wzieni. - Bedziesz przychodzil?! - wykrzyknela obejmujac go za szyje. - I wciaz mnie milujesz? - A jak my×lisz? Czyz moze byc inaczej? Byl pozny wieczor, kiedy Peter zjawił sie na kwaterze. swieca stojaca przy poslaniu Marka juz sie dopalala i bylaby wkrótce zgasla, wiec wymienil ja na nowa, by nie rozdziwac sie po ciemku. Krzatanina ta musiala obudzic Trojana, bo uniosl sie w po×cieli mamroczac: - Waćpan w porubstwie sie nurzasz, gdy strudzony człek we ×nie szuka pokrzepienia... - Tylko tyle? My×lalem, ze× ciekawy, z czym przybyla? - Czekalem, az powrocisz, ale sen mnie zmorzyl... Gadaj! Rutje pokrótce powtorzyl towarzyszowi przebieg spotkania i relacje dziewczyny. - Chce byle jakiej sluzby sie imac, aby byc blisko mnie... - zakonczyl. - Ciebie, a zatem i hetmana? - Tak i ja sadze. - Co zatem zamierzasz? - Wyszukać jej najpierw kwaterę, a potem i zajecie. A z sie patrzec, co przedsiwecmie. - Moze lepiej tu jej nie trzymac? Sluzbę moze znalezc i gdzie indziej, w Lachowiczach lub

Klecku. Aby nie przy hetmanie. - Wówczas nie miałbym jej na oku. Wolę wiedzieć, co robi. Stary wysłał ją tu, dobrze pouczywszy, jak ma ze mną gadać. Trzeba więc baczyć, co zamierza czynić dalej, a bez niej tego nie dokonam... - No i przyjemniej jest mieć taką dziewczkę przy sobie! - kpiąco uzupełnił Marek. - Głupi× jak barani ogon! - skwitował tę uwagę Rutje. Trojan wyciągnął się na posłaniu. - Ponura to sprawa... - mruknął nakrywając się kołdrą. - Obląpiać się w łożu, o miłowaniu gadać, ale przemy×liwać przy tym, jak drugiego w pole wywie×ć... - Wolałby×, aby hetmana przysypano ziemią? - spytał Rutje gasząc ×wiecę. W ciągu najbliższych paru dni odwiedzał wieczorami Sonię, czyniąc jednocze×nie poszukiwania lepszego dla niej pomieszczenia niż izba w zajeździe Joska. Wreszcie udało mu się tę sprawę załatwić dzięki pomocy rybaka írka, ojca Florka, który okazał się człowiekiem sprytnym, obrotnym i znającym nieomal wszystkich mieszkańców miasteczka. Pomoc jego okazała się dla Rutjego cenna, gdyż musiał zachowywać ostrożno×ć ze względu na swą przynależno×ć do hetmańskiego dworu. W rezultacie Sonia znalazła komnatkę z wej×ciem wprost z sieni, co było dla miłującej się pary wielce wygodne. Wła×cicielką domku, stojącego w×ród zaro×li w ustronnym zaułku niedaleko przystani, była jejmo×ć Sabina, znachorka lecząca ziołami i jedyna położna w miasteczku. Dowiedziawszy się, że dziewczyna może jej być pomocna w sortowaniu i suszeniu ziół, rada odstąpiła jej izbę, zwłaszcza że Rutje o zapłatę się nie targował. Którego× wieczoru Peter skorzystał, że pan Chodkiewicz był sam w gabinecie i przykazał pokojowemu pytać, czy zechce go przyjąć. Komnatę, w której wkrótce się znalazł, już znał, bo nieraz był wzywany przed hetmańskie oblicze. Zdobily ją opony zasłaniające bale ×cian, meble były ciężkie, ciemne, gdańskiej roboty: stół, na którym stała klepsydra i leżały zwoje map,

obok kilka dużych krzeseł z poręczami, szafa z książkami i wreszcie obszerne biurko pomiędzy dwoma oknami. Na biurku paliły się w lichterzu ×wiece, a za nim siedział pan Chodkiewicz z gęsim piórem w ręku. Na widok wchodzącego odłożył pióro i uniósł głowę pytając: - Pilną masz do mnie sprawę? - Pilną może nie, wasza wysoko×ć, ale ważną... Rutje zbliżył się do biurka niezbyt pewny, jak zostanie przyjęty, gdyż pan Chodkiewicz znany był z gwałtowno×ci usposobienia i łatwo×ci wpadania w gniew. Jednak oblicze hetmańskie było spokojne, choć spojrzenie ciemnych oczu, jak zwykle surowe, mierzyło przybysza spod ×ciągniętych brwi. Policzki miał nieco zapadłe, twarz ciemną od słońca i wiatrów, a szeroka broda i skronie już mocno przyprószone siwizną, której dodały ostatnie lata, pełne znoju i trosk. - Ważnego, mówisz? Siadaj tedy i mów, aby krótko! - Gestem ręki wskazał Rutjemu krzesło stojące w pobliżu biurka. Peter zajął miejsce i o×wiadczył bez wstępów: - Owa dziewczka przybyła do Bychowa. Umie×ciłem ją w mie×cie, u znachorki Sabiny. - I to ma być takie ważne?! - prychnął ironicznie hetman. - Tak, ze względu na bezpieczeństwo waszej wielmożno×ci. - A czymże mi może zagrozić jaka× białogłowa? Wa×ć chcesz mnie straszyć byle pliszką? - Afrykańskiego skorpiona każdy dzieciak butem rozgniecie, a przecież strzec się go należy... - Hm... O×wieć mnie tedy, w czym dostrzegasz niebezpieczeństwo? - Co wyznał ów Tatar Uruzow, wasza wielmożno×ć wie. A co zdarzyło się u×wiackiemu staro×cie na Kremlu, a panu Potockiemu pod Smoleńskiem, wasza wysoko×ć także wie... Teraz ta sama dziewczyna zjawia się w Bychowie, mówi, że uciekła od opiekuna z tęsknoty za mną, ale to taka sama prawda jak to, że m ruski car. Ona tu przybyła, by być w blisko×ci dworu... - Z miasteczka nawet z kuszy mnie nie ustrzeli! - rzucił kpiąco hetman. - Toteż czekam, kiedy zaczniesz mnie molestować o

służbę we dworze. A wtedy kusza nie będzie potrzebna. - Przecież już raz mnie ostrzegałem i przyobiecałem, że nikogo nowego do służby nie przyjmę. - Wtedy jeszcze jej tu nie było. Teraz, jeżeli istotnie będzie na to nastawać, powiem, że wasza wielmożność odmówił jej prośbie. - Po co te ceregiele? Jeżeli masz dowody, należy osadzić ją w lochu, jeżeli nie masz, wygnać z miasta! - Nie wystarczy chwastowi urwać liście, jeżeli w ziemi pozostaną korzenie... Chodkiewicz niecierpliwie machnął ręką, rzucając gniewnie: - Daj mi spokój! Rób, co uważasz za stosowne, a mnie głowy nie zawracaj! Rutje wstał z krzesła. - Pozwoli zatem wasza wielmożność odejść? - Potem dodał: - Ale i wrócić, gdyby zaszła potrzeba... Hetman już nie raczył na to odpowiedzieć, sapnął tylko ze złością i wziął do ręki pióro. Peter mógł teraz widywać się z Sonią bez zachowania tak wielkich ostrożności jak w czasie, kiedy przebywała w zajeździe. Domek Sabiny otaczały pobliskie zabudowania, a prócz tego kryły go drzewa i krzaki, chroniąc przed ludzką ciekawością. Wszakże zlecenia, jakie Peter otrzymywał od hetmana, zmuszały go czasami do wyjazdów, więc odwiedziny u Soni nie były regularne. Skutkiem tego coraz częściej zastawał ją nadąsaną i podejrzliwą, a któregoś razu powitała go kapryśnie: - Niezadługo w ogóle zapomnisz, gdzie mieszkam. A mnie żal każdego dnia bez ciebie. - Tak jak i mnie bez ciebie... Ale cóż poradzić, skoro hetmańskim rozkazom muszę być posłuszny. - Mnie nie zwiedzisz. Za innymi dziewczkami się obzierasz, to i czasu dla mnie ci brakuje! Rutje uznał, że same perswazje nie wystarczą, więc przygarnął ją ku sobie i całując, rzekł porywczo: - Przecież wiesz, że świata poza tobą nie widzę! Nie może być innej krom ciebie! - Tylko tak gadasz... - próbowała jeszcze oponować, lecz już z mniejszym przekonaniem. - Nic ci nie wierzę... Peter wzmógł więc argumenty, co okazało się na tyle skuteczne, że kiedy odpoczywali leżąc obok siebie, szepnęła

mu do ucha: - A więc naprawdę jeste× tylko mój? - Któraż inna mogłaby się z tobą równać, moja najmilsza... - W istocie dobrze ci ze mną? - íe wypowiedzieć trudno. - Mnie takó×... Ale doskwiera mi, że nie co dzień cię widzę. Czy nie można na to poradzić? To pytanie obudziło w nim zaciekawienie, odpowiedział jednak zdawkowo: - Nie bardzo widzę, w jaki sposób... Lecz dziewczyna wbrew oczekiwaniu nie wysunęła żadnej propozycji, ograniczając się do kapry×nej uwagi: - Pomy×l o tym. Chcę chociaż z daleka, ale czę×ciej cię widywać. Będę przynajmniej wiedziała, z kim przestajesz... Wszakże kiedy znów go parę dni nie było, najpierw powitała go gniewnymi słowami, a potem, już pochlipując w jego ramionach, rzekła z westchnieniem: - Ja tak nie chcę... Wciąż się boję, że cię utracę... Byłoby mi lżej, gdybym choć słowo mogła z tobą zamienić, choć oko z dala nacieszyć! Prosiłam cię przecież, aby× co× na to poradził, a ty nic! Bo tobie obojętne, że oczy wypłakuję, kiedy cię przy mnie nie ma! - Cóż na to mogę poradzić? Przecież służby nie rzucę. - Tedy znajdź dla mnie jaką× przy dworze. Będę spokojniejsza bliżej ciebie... Niech będzie, jaka chce, wszystko będę robiła, miły, abym tylko widziała, że na inne nie spozierasz. A więc oczekiwany krok został uczyniony. Peter poczuł się jak my×liwiec, któremu ukazała się klucząca dotąd w gąszczu zwierzyna. Odpowiedział jednak u×miechając się pogodnie: - Niełatwo dostać się na dwór takiego wielmoży jak pan Chodkiewicz. Co innego, gdyby× była żołnierzem, bo tylko tych rad widzi. - Przecież byle jakim dworakiem nie jeste× i na pewno nie sprzeciwi się, je×li zechcesz za mną przemówić. - Nie znasz hetmana. On potrafi równie srogo zbesztać pułkownika jak i byle pacholka! Lecz spróbuję go prosić... - Czyżby on sam troszczył się o byle służkę? Przecież żeńską służbę przyjmuje małżonka? - Jej tu nie ma. Wszakże i ona pyta go o zgodę. Sonia wzruszyła

ramionami. - Sądziłam, że łatwo sobie poradzisz z taką błahą sprawą. - Nie wiem, czy poradzę, ale co mogę, to uczynię, aby spełnić twą wolę. - Och, Peter... - Przytuliła się do niego. - Zrób to, bardzo cię proszę... - Toć masz moją obietnicę... - Przesunął dłonią po jej nagim ramieniu, wreszcie ujął drobną rączkę. - Chciałaby× te piękne paluszki narazić na uszczerbek przy ciężkiej robocie? U×miechnęła się. - Niech lepiej one cierpią niż serce. Rutje pochylił głowę i przyglądał się chwilę jej palcom, każdemu po kolei. Wreszcie przytrzymał jeden, pytając z żartobliwym u×miechem: - Skąd masz ten piękny pier×cionek? Czyżby jaki× wielbiciel ci go ofiarował? - No wiesz... - prychnęła. - Ja od kawalerów żadnych prezentów nie przyjmuję! Mam go po matce nieboszczce. - Wybacz - rzucił pojednawczo - tak sobie tylko głupio zażartowałem. W czasie następnych kilku dni nie pytała go, czy już rozmawiał z hetmanem, jakby chcąc okazać, że polega na jego pamięci. Rozumiał istotną przyczynę tej wstrzeźliwości×ci, uznał jednak, że nie ma celu zwlekać z odpowiedzią, więc przy którym× spotkaniu powiedział już na wstępie z markotną miną: - Nie mam dobrych wie×ci, ptaszynko... Udało mi się wreszcie pogadać z panem hetmanem, ale cóż stąd, kiedy nie tylko słyszeć nie chciał o nowej służebnej, lecz jeszcze mnie połajał! Sonia odwróciła głowę i jaki× czas bez słowa patrzyła w otwarte okno. - Co powiedział? - spytała w końcu, wyraźnie usiłując nadać głosowi spokojne brzmienie. - Mało powiedział... Skrzyczał mnie wypominając, jakbym to ja był winien, że te, które służą, na gadaninę czas tracą, żadna obowiązków nie spełnia, należałoby więc raczej połowę z nich wygnać, a nie nową przyjmować. Tak krzyczał i tak był tym mocno gniewny, że nie ×miałem dalej nastawać wiedząc, iż niczego krom jeszcze gorszej połajanki nie wskóram... - Może trafił× na jego zły humor? - spytała spoglądając na niego z rozżaleniem. - Gdyby× tak jeszcze raz spróbował? - Nie znasz



pana Chodkiewicza, dziecinko... Nie odważę się tego zrobić. On decyzji nie zmienia, a kto próbuje nastawiać, sam może łatwo pożegnać się ze służbą. - Peter, miły, więc nie ma nadziei? - Rutje ze zdumieniem ujrzał w jej oczach łzy, toteż ogarnął go podziw, że tak dobrze umie odegrać swoją rolę. - We dworze żadnej... Będę szukał w mieście dla ciebie zajęcia, ale, rzecz prosta, nie służebnej. - Ech, to nie to samo... - Westchnęła. - Nie będę przy tobie. Przez cały wieczór, który potej spędzili, usiłowała okazywać beztróskę i dobry humor, ale Peter nie dał się zwieść rozumiejąc, jak wielkie spotkało ją rozczarowanie. Poruszył tą sprawę z Markiem w czasie układania się do snu. - Ciekawe, co teraz uczyni? - zastanowił się Trojan usłyszawszy przebieg tej rozmowy. - Ja także. Sądzę, że znajdzie powód, by wrócić do Starodubia. - Myślisz? Czyżby odstąpiła od razu od zamiaru? - To zależy, co miała przykazane od krewniaka. Najbliższy czas powinien to wyjaśnić. - Tak czy inaczej, na razie hetmanowi nic chyba nie grozi! - Sądzę, że nie. Ale jak długo? Sytuacja jednak pogorszyła się, bo dotąd wiedzieliśmy, skąd grozi niebezpieczeństwo, teraz za trudno przewidzieć, co zrobią. Toteż muszę zachować jeszcze większą ostrożność niż do tej pory. - To nie zawadzi, wszakże rad jestem, że nie siedzę w twojej skórze... - mruknął Marek włączając pod kołdrę.

Pułkownik Lisowski znalazł się w kraju pod koniec stycznia, a wiedząc o zwołaniu na luty sejm do Warszawy, pociągnął od razu do stolicy. Poprzedzony wieścią niepokonanego bohatera wjechał do miasta witany przez tłum wyległych na ulice mieszkańców, ciekawych słynnego wodza i jego równie słynnych z odwagi wojowników. Z podziwem i nieomal strachem oglądano ich surowe, pocięte bliznami twarze, pogięte zbroje, nadłupane tarcze, posieczone kulami sztandary. W sercach szlachty znajdującej wojenne rzemiosło wzbudzało to szac

unek i respekt, pospólstwo za× przejmowało grozą. Nie tylko zresztą tłum podziwiał ciągnące przez miasto chorągwie. Wyszli naprzeciw panu Lisowskiemu królewscy dworzanie, senatorowie, nawet najwięksi magnaci unosili nakrycia głowy wykrzykując powitania. Był to przecież jedyny polski wódz zwycięsko wracający z moskiewskiej ziemi. Toteż na obradach sejmowych mówcy, ostro napastujący króla za nieopatrzne i nieudolne prowadzenie wojny, stawiali za wzór Lisowskiego, nie szczędząc mu słów podziwu. Pułkownik rychło rozpu×cił swe wojsko, rade zawieźć zdobycze wojenne pod rodzinne dachy, sam za× z bliższymi sobie oficerami pozostał jeszcze w stolicy, by posłuchać obrad sejmowych. Nie pozostało to bez skutku, bo sejm przyznał mu znaczną kwotę - mimo że w kraju nadal grasowali nie zapłaćeni dotąd konfederaci - na zaciągnięcie i jak najlepsze wyposażenie nowych pułków, z zadaniem rychłego wszczęcia dalszych działań, a zwłaszcza obrony Zawołocza. Wezwany na dwór Lisowski dostąpił zaszczytu stawienia się przed monarchą, od którego usłyszał słowa uznania i zachęty do nowych, równie sławnych czynów. Zyskawszy tak wielką popularnoL×ć, nie mógł pokazać się w żadnej gospodzie czy winiarni, by zebrani nie zrywali się z miejsc i wiwatując na jego cze×ć nie zapraszali do kompanii. Zaproszeń tych jednak nie przyjmował, bo po wyjeździe brata Jana, któremu poruczył dowieszenie wielkiej zdobyczy wojennej do rodzinnego dworu, towarzyszyli mu stale jego druhowie wojenni, a to Kleczkowski, Rogowski, Czapliński, Kalinowski. Brakło tylko Jedliny - ten bowiem od razu po×pieszył do rodzinnego Zaborowa, by u×cisnąć starego pana Onufrego i prosić, aby uczynił przygotowania na przybycie pani domu, która rychło obejmie w nim rządy. Wrócił jednak po kilku tygodniach i od razu odszukał pułkownika. Zastał go przy porannym posiłku w zajęździe, gdzie miał kwaterę. Pułkownik na jego widok

zawołał: - Cieszę się, Nikodemie, że wróciłeś! Jakże w domu?  
- Rządzi tam stary druh ojca, mości Onufry, i nie najgorzej  
sobie poczyną. Zwłaszcza stadninę pięknie mi prowadzi.  
Nikodem przysiadł do stołu, pułkownik zaś wołał o miód dla  
uczczenia gościa, po czym zwrócił się do niego: - Mnie  
natomiast wielkie czekają zmiany. Sejm przyznał mi pieniądze  
na werbunek, ale ten do wiosny zajmie mi czas. Będzie akurat  
pora, by wyruszać w pole. Dla ciebie też znajdzie się  
chorągiew. - Dzięki za zaszczyt, lecz inne mam plany... -  
Jedlina uśmiechnął się. Jednak jak zwykle jego bystry  
towarzysz od razu zorientował się, o co chodzi. - Ieniaczka ci  
w głowie, a nie wojowanie, co? - Ano, nie przeczę. Już jeden  
lub wzięliśmy podług jej wiary, teraz pora na drugi. Ten  
zamierzam odbyć u siebie w Zaborowie, toteż jadę po Tanię. -  
Gdzież ona przebywa? - U krewnych pod Możajkiem. - Teraz  
nie czas na podróżowanie, zwłaszcza dla niewiasty. Musisz z  
tym poczekać do wiosny. - Tak też i zamierzałem. Przybyłem  
tu, aby spotkać się z krewniakiem, Romanem Rymszą, i prosić  
go o pomoc w ludziach, bo własnych mi dla ochrony nie  
starczy. Wiadomo przecież, co w moskiewskim państwie  
jeszcze się dzieje. Lisowski zastanowił się, wreszcie rzucił  
wesoło: - Wiesz, co ci powiem? Z krewniakiem się spotykaj,  
jeśli wola, ale o ludzi się nie trap! Wyruszaj wraz ze mną, a  
dam ci na miejscu żołnierza, wiele będzie trzeba, aby  
odprowadzili niewiasty bezpiecznie do granicy. - Z serca ci  
dziękuję! - zawołał uradowany Nikodem. - Wielce mi ta  
impreza leżała na sercu, bom wiadom niebezpieczeństw tej  
podróży! Ogromniem się trapił o należyłą ochronę. Izba była  
niska, o jednym okienku, mało przepuszczającym światła.  
Panowała w niej jednak czystość, a doniczki z roślinami,  
stojące na parapetach, stwarzały nastrój domowego zacisza.  
Rutje przystanął na chwilę w progu, by po słonecznym  
świetle dnia przyzwyczać wzrok do panującego półmroku.

Na jego widok siedzący za stołem w rogu izby szczupły mężczyzna o łysej głowie poderwał się na nogi i po×pieszył z powitaniem, któremu towarzyszyły głębokie ukłony. - Pochwalony... Wielmożny pan raczył osobi×cie... Zaszczyt to wielki dla mnie... - Przyszedłem z wami nieco pogadać, íurek - odezwał się Peter. - Ponieważ ma to być rozmowa nie dla ludzkich uszu, wołałem odbyć ją tu. - Tedy proszę wielmożnego pana... - Rybak wskazał ławę stojącą za stołem. - Tu nam nikt przeszkadzać nie będzie. Florek poszedł już po Sabinę, powinni być lada chwila... Podług pana rozkazu miał jej powiedzieć, że chwyciły mnie z nagła bole×ci... - Siadaj także, na stojąco gadać nie będziemy. Dawno chłopak poszedł? W tej chwili za oknami dały się słyszeć głosy i niebawem weszła do izby znachorka, a za nią Florek. Kobieta ze zdziwieniem obrzuciła wzrokiem obydwóch siedzących. - Niech będzie pochwalony... Kłaniam się wielmożnemu panu... - skłoniła się nisko przed Rutjem, po czym zwróciła do gospodarza: - Cóż to? Przeszły ci bole×ci, że za stołem siedzisz? - Siadaj i ty, wielmożny pan chciał z tobą gadać. Ty za×, Florek, poczekaj na podwórku. Kiedy chłopak zamknął za sobą drzwi, Rutje zwrócił się do znachorki: - Zostali×cie wezwani nie z przyczyny choroby íurka, ale dlatego, że musiałem z wami mówić. Chciałem jednak, by nikt o tym nie wiedział, a zwłaszcza panna, którą go×cicie. - Zwłaszcza ona? - Małe, o przebiegłym spojrzeniu oczka kobiety rozszerzyło zdumienie. - My×lałam, że wielmożny pan - utknęła zakłopotana. Jej pełne policzki, spomiędzy których sterczał zadarty nos, pokrywała sieć drobnych zmarszczek, co czyniło jej twarz podobną do zwarzonego mrozem, jesiennego jabłka. - W żadnym razie nie może wiedzieć, o czym tu będziemy mówili! Je×li które× z was pu×ci parę z gęby, drogo za to zapłaci! Wiecie, że z hetmanem żartów nie ma! - Wielmożny pan może być spokojny - o×wiadczyła Sabina, przejęta

usłyszana groźbą. - Gdybym o wszystkim chciała mleć językiem, co mi przychodzi słyszeć od ludzi, dawno musiałabym stąd uciekać! Dziwne mi wszakże, że wła×nie przed ową panną mam tajemnicę zachować... - Nie twoja sprawa dochodzić istoty rzeczy! - fuknął íurek. - Pohamuj babską ciekawo×ć i słuchaj, co przykazuje wielmożny pan! - I×cie dobra to rada - stwierdził spokojnie Rutje. - Od was bowiem chcę wiedzieć - zwrócił się bezpo×rednio do znachorki - czy panna wychodzi z domu, je×li za× wyjdzie, to o jakiej porze i na jak długo? Chcę także wiedzieć, czy nikt do niej nie przychodzi. - Ależ, wielmożny panie, nie siedzę ciągiem w domu. - To teraz będziecie siedzieć! Do was baby mogą przychodzić. A je×li już zajdzie konieczno×ć, to bierzcie ją ze sobą, niby dla pomocy. - Tak też będę czynić, wielmożny panie... - Nie dajcie jednak po sobie niczego poznać, bo to przebiegła dziewczka. Wnet by się spostrzegła. Wy za×, íurek - zwrócił się z kolei do rybaka - nastawiajcie ucha na wszystko, o czym by gadali w miasteczku na temat panny. Wszystko mnie ciekawi. Je×li co× usłyszycie, wezwijcie mnie przez Florka, sami nie przychodźcie. W czasie dalszych odwiedzin Rutjego u dziewczyny nic się nie zmieniło w ich dotychczasowym stosunku. Ona nadal nie skąpiła mu objawów swego uczucia, on za× był równie skory do ich przyjmowania. Spodziewał się, że z powodu niepowodzenia, jakie ją spotkało, znajdzie wkrótce pretekst do opuszczenia Bychowa, bo dostatecznych powodów dalszego pobytu nie miała. Tymczasem dni mijały, ona jednak nie tylko słowem nie wspominała o wyjeździe, lecz nawet zaczęła snuć plany na przyszło×ć, niczym nie związane z osobą jej wuja. Nastął sierpień, dni były nadal słoneczne i ciepłe, czas płynął, a z miasteczka nie nadchodziły żadne wiadomo×ci, oni za× w czasie kolejnych spotkań nie szcędzili sobie wzajemnie czuło×ci. Wreszcie pewnego ranka przybiegł do niego Florek

z wie×cią, że do ich zajazdu przybył jeździec, który najpierw obiecywał mu suty napiwek za znalezienie kwatery bardziej na uboczu, ale też, choć dopiero po kilku dniach, zaczął go nieznacznie rozpytywać, czy nie przybyła tu jaka× samotna dziewczyna. Sprytny chłopak odpowiedział, że sam nie wie, lecz obiecał przepytac ojca. Rutje przykazał Florkowi powiadomic rodzica, by ten pomocy w znalezieniu kwatery i zdobyciu wiadomo×ci o dziewczynie nie odmawiał, i zapowiedział jednocze×nie rychłe swoje przybycie do jego chaty. Stało się teraz konieczne roztoczenie nad dziewczyną bardziej skutecznego nadzoru. Peter wybrał do tego dwóch sprytnych pacholków i wskazał im miejsce, skąd na zmianę mieli obserwować domek znachorki. Je×li za× by wyszła stamtąd dziewczyna, winni nieznacznie udać się za nią i dobrze rozeznać, dokąd poszła. Zgodnie też z zapowiedzią wybrał się wieczorem do íurka. Nie brał latarni, gdyż drogę znał dobrze, a zresztą ×wiatła gwiazd starczyło, by nie pobiłdzić. W izbie na chlebowym piecu palił się nieduży ogień o×wietlając wnętrze. - Był u was ten przyjezdny? - bez wstępu spytał Peter. - Był, wielmożny panie, gdzie× około południa... - Jak wyglądał? - Wysoki, ciemny, jeszcze młody chłop. Podany opis zgadzał się z wyglądem Siergieja, czego zresztą Rutje już się domy×łał. - Znaleźli×cie mu kwaterę? - Podałem mu dwie. - Aż dwie? A to czemu? - Byłem ciekaw, którą wybierze... - íurek spojrział spod oka na swego go×cia i u×miechnął się, ukazując resztki zębów. - Mów ja×niej, bo nie rozumiem. - Jedną, dostatnią, u Weinberga przy rynku, drugą lichą, bo na starej krypie, co stoi blisko mnie, przycumowana do przystani. Jest tam kabina, jeno z jedną pryczą, i mały stolik na posiłki. Zaciekawilo mnie, którą wybierze... Peter spojrział na niego z uznaniem. - I którą wybrał? Chyba zgadnę mówiac, że na krypie? Rybak skinął głową. - Mocno mu się spodobała. Powiedział, że nikt mu przynajmniej nie będzie

zaglądał do garnka. - A co z wierzchowcem? - Ostawił go w zajeździe, zdawszy pieczę Florkowi. - Dobrze się, iurek, spisałe×, widać pomy×lunku ci nie brak, toteż dostaniesz nagrodę... - rzucił rybakowi Rutje na odchodnym. Wracając na kwaterę oddał się rozważaniom. úw przybysz - że był to Siergiej, nie miał wątpliwo×ci - będzie chciał jak najprędzej porozumieć się z Sonią, w czym Florek będzie mu pomocny. Zatem może jutro poniechać odwiedzin, by im w tym nie przeszkadzać? Ciekawe też, co doniesie znachorka, bo czuwający pacholek okaże się na pewno do×ć czujny, by wy×leźć, gdzie to spotkanie się odbędzie. Na kwaterze Marek jeszcze nie spał i powitał go wiadomo×cią: - Hetman kazał mi gotować wierzchowce. Zamierza jechać do Bobrujska, a za× chyba do swoich Cimkowicz... - Kiedy? - Za kilka dni. Kiedy, jeszcze powie. - Bierze nas z sobą? - Nie wiem. Tego nie mówił. Jak się okazało nazajutrz, tak Sabina, jak i pacholek nie zawiedli. Znachorka przyszła koło południa i kiedy usiedli na ławce ukrytej za krzakami bzu, o×wiadczyła zniżając z przejęcia głos: - Wyszła dzi× rano... - Mówiła, dlaczego wychodzi? - Ponoć od ziół rozboleła ją głowa, zapragnęła więc odetchnąć ×wieżym powietrzem. - Długo jej nie było? - Przeszło godzinę, może i dwie. - Musiała od kogo× dostać zawiadomienie... - mruknął Rutje i zaraz spytał: - Czy był kto× u was wczoraj wieczór lub dzi× rano? - Wczoraj parę niewiast przychodziło po zioła. - Zatem jedna z nich przekazała wiadomo×ć. Ale to nie ma znaczenia. - Dalej mam wypatrywać, kiedy wychodzi? - Koniecznie! I zaraz mnie powiadomić, tak jak teraz. Wkrótce po tej rozmowie otrzymał również wiadomo×ć od pacholka pełniącego przedpłudniową wartę. Ten doniósł, że dziewczyna rano opu×ciła dom i udała się nad rzekę, gdzie weszła na uwiązaną w przystani krypę. Rutje nakazał straży, zwłaszcza pełniącej służbę w samym domu, wzmożenie czujno×ci i niedopuszczanie nikogo obcego

do hetmana, dopóki oficer nie sprawdzi, kto i po co przybył. Potem wziął ze sobą Marka i poszli obejrzyć konia przybysza, gdyż w razie konieczności po cegu opis konia był równie ważny jak i jeźdźca. Był to kasztan z ciemną grzywą, o białych pęcicach przednich nóg i z taką strzałką na czole. Kiedy po dniu zwłoki poszedł do Soni, obserwował ją uważnie, ale ostrożnie. Dostrzegł przelotny wyraz jakby zakłopotania czy rozterki, który niby krótki błysk pojawił się w jej oczach, ale zaraz zniknął zastąpiony powitalnym, nieco kapryśnym uśmiechem oraz takimiz słowami: - Znowu nie było cię wczoraj... - Miałem sporo roboty, bo hetman rusza wkrótce w dłuższą podróż... - Nie dodał nic więcej sadowiąc się w fotelu, ciekaw, czy będzie pytała o szczegóły. Ale ku jego zdziwieniu dziewczyna nie podjęła tego tematu. Jak się jednak okazało, pamiętała o nim, bo kiedy już podała mu kufelek piwa, które często u niej pijał, zagadnęła z wyrzutem: - I ty zapewne będziesz mu towarzyszył? - Od tego się nie wykręcę. - A ja tu sama ostanę i będę jeno wzdychać, kiedy znów cię ujrzę. - Taki już niewieści los. Dobrze, że w pole nie ciągniem, wtedy i lata mogłyby minąć, zanim bym wrócił. - Długo cię nie będzie? Rutje wzruszył ramionami. - Trudno powiedzieć. Wiem jeno, że jedziemy do Bobrujska, ale gdzie dalej, nie wiadomo... Wszakże pan Chodkiewicz wspominał coś i o Cimkowiczach. - Musi zatem jechać w licznym orszaku? - Zapewne weźmie ze sobą swoją chorągiew, lecz załoga w Bychowie zostanie, bo wciąż słyhać o kozackich bandach. - Jak długo będę mogła tobą się cieszyć, Peter? - spytała żalownie. - Kiedy będziemy się żegnać? - Chyba w poniedziałek, bo we wtorek rano ruszamy... - Tak prędko?! Przecież dziś mamy piątek! Czy musisz jechać? Nie możesz zostać? - Nie, gołabeczko... Bacz wszakże, by nie znalazła pocieszyciela, bo tego bym ci nie darował! - Co ty... - Sonia podbiegła i usiadła mu na kolanach, obejmując za szyję. - Toć



×wiata za tobą nie widzę! - Rychło wrócę. Droga wprawdzie daleka, ale w obie strony wiedzie. - Tak, tylko że ty w siodle będziesz ją przebywał, a hetman zapewne w karocy? - Nie dziwota, bo starszy już wiekiem i na kamienie cierpi... - To i lepiej, bo przynajmniej w zajazdach będzie stawał, toteż i ty odetchniesz. Je×li takie będziecie mieć po drodze, bo tego wiedzieć nie można... - Zawiesiła głos, jakby w oczekiwaniu na uspokajające słowa. Nie omieszkał więc jej pocieszyć, tym bardziej, że należało udzielić nieco więcej wiadomo×ci. - Trudno przewidzieć, jak będzie dalej, ale to już pewne, że na pierwszą noc stanem w Czczowiczach, bo poleciał goniec z przykazaniem, by íyd zajazd przygotował na hetmański pobyt. - Gdzież są te Czczowicze? Daleko stąd? - Zajazd stoi w miejscu, gdzie droga z Bychowa dociera do traktu biegnącego z Mohylewa do Bobrujska. Tym traktem dalej pociągniemy... Więcej o tym nie mówili, bo Sonię podróż hetmańska już niezbyt interesowała, gdyż żal z powodu rozstania okazał się silniejszy ponad wszystko inne i jemu dawała wyraz. Powstała sytuacja wymagała powiadomienia pana Chodkiewicza, tym bardziej, że Rutje udzielił dziewczynie nieco istotnych wiadomo×ci, by przywabić Siergieja. Tak jak uprzednio pan Chodkiewicz siedział przy biurku, ale tym razem nie był zajęty pisaniem. Na widok wchodzącego odchylił się w fotelu i zmierzwszy przybysza spojrzeniem spod brwi, mruknął niechętnie: - Wa×ć znów z tym samym? Peter nie zwracał jednak uwagi na oziębłe przyjęcie. - Tak, gdyż sprawa tego wymaga. Zbój nastający na życie waszej wielmožno×ci przybył do Bychowa, a że wkrótce ruszamy w drogę, zechce to wykorzystać i podług wszelkiego prawdopodobieństwa będzie chciał spełnić swój zamysł już na pierwszym postoju w Czczowiczach. - Skądże tak dobrze to wiesz? - Bo sam podsunąłem mu tę sposobno×ć... Peter zdał relację z przebiegu zdarzeń i swojej ostatniej rozmowy z dziewczyną.

Chodkiewicz słuchał uważnie, a kiedy Rutje skończył, u×miechnął się drwiąco i rzekł: - Fantazji wa×ci nie braknie! A je×li to nie żaden złoczyńca, jeno dawny miło×nik tej dziewczki, który przybył, by skłonić ją do powrotu? Rutje nie dał się jednak przekonać. - Nie taiłby wówczas swego przybycia. - Mógł się bać, że wa×ć przetrzepiesz mu skórę! - Mimo to nie chcę wystawiać na hazard także skóry waszej wielmožno×ci! - rzucił Rutje ×miało. - Będę dawał baczenie na tego człowieka, ale was upraszam baczyć na siebie. Hetman za×miał się ironicznie. - Wa×ć żadasz, abym baczył na siebie, a zarazem wystawiasz mnie na przynętę. Dalipan, jest z czego się po×miać! - Nie widziałem innego sposobu, aby się ujawnił. Uznałem także za lepsze odbyć potyczkę na wybranym przez siebie miejscu, niżli bać się każdego węgla! Peter nie hamował wzburzenia po oskarżeniu rzuconym przez hetmana. Ten patrzył nań jaki× czas bez słowa, jakby dawał Rutjemu czas na opamiętanie się, po czym odezwał się nieoczekiwanie spokojnie: - Nie neguję, że masz dobre rozeznanie w tej sprawie, ale nie zapominaj, ktom jest. Czy godzi się, abym tak zwodne oskarżenie traktował z powagą i może jeszcze umykał przed byle kim? - Ależ tu idzie o życie waszej wielmožno×ci! Nawet je×li jestem w błędzie, ostrożno×ć jest konieczna! - Tedy zachowuj ją, je×li wola! - Hetman obrócił się na znak, że uważa posłuchanie za zakończone. Mimo to Rutje nie ustępował: - No cóż... - odezwał się z westchnieniem. - Niechże chociaż wasza wielmožno×ć jedzie karetą, a pod żupan włoży siatkę... - Karetą jechałbym i bez wa×ci porady - Chodkiewicz obejrzał się na niego - bo kamienie mi dokuczają. A co do siatki, zbyt ona uciążliwa w noszeniu... Po odprawie u hetmana, jeszcze tego wieczora, Rutje kazał Makaremu przywołać obu pachółków, pełniących straż przy domu znachorki, a kiedy zebrali się w jego kwaterze, obja×nił ich pokrótce w sytuacji,

po czym ciągnął: - Hetman wyrusza karetą we wtorek rano i tegoż dnia stanie na nocleg w Czeczowiczach. Zbój zapewne wyruszy wcześnie, już chyba w poniedziałek, aby dobrze obejrzyć miejsce. Dlatego wy - zwrócił się do pachółków - poniechacie dziewczyny, bo ona już nas nie interesuje, a dacie baczenie na krypę, ponieważ na niej przebywa ów człowiek. Natomiast ty, Marku, i ty, Makary, ruszycie już jutro, abyście przybyli na miejsce przed Siergiejem. To wysoki, ciemny drab. On was nie zna, możecie więc łatwo mieć go na oku i baczyć, co będzie czynił. Wszakże nie zdradźcie się z tym, bo stałby się czujny! - Czemu go nie ująć zawczasu, tylko stroić z nim takie ceregiele? - mruknął z dezaprobatą Makary. - Ująć łatwo, ale o co go oskarżysz? Zajazd dla wszystkich, powie, że taki sam podróżny jak i ty. - Nie wiesz, które izby zajmie hetman? - odezwał się Trojan. - Te najbardziej chyba trzeba mieć na oku? - Ochmistrz przykazał zatrzymać trzy na dole. środkową dla hetmana, boczne dla nas i oficerów. My wszakże chyba wiele snu nie zaznamy. - Postawisz strażę na korytarzu? - A także i pod oknem. - Ciekawe, co sobie ten psubrat obmyślił? - On to może zrobić dopiero na miejscu, dlatego liczę, że przybędzie wcześnie. Będzie się też bał spotkać ze mną, bo wie, że go znam, toteż wieczorem już go nie dojrzycie. To przebiegły człek, zresztą innego Suchecki by nie przysłał. - Zatem jutro o wicie w drogę? - spytał Trojan, niejako zamykając w ten sposób naradę. Nadszedł wtorek i kolumna hetmańska, poprzedzana oddziałem jezdnych, wyruszyła. Toczyła się szybko, ciągniona we czwórkę koni, a Rutje wraz ze swymi pachółkami kłusował w oddziale tuż za hetmańskim pojazdem. Droga wraz z upływem czasu stawała się coraz bardziej nużąca, ale nawykli do długich marszów nie odczuwali jej trudów. W południe zatrzymali się przy wodopoju, dali koniom nieco odetchnąć, sami pożywili się z sakiew i ruszyli dalej. Słońce, nasiąkłe już czerwienią przed

zachodniej pory, opadało ku nisko rozwłóczonym, sinym obłokom, kiedy hetmański poczet stanął przed czeczowiczowską karczmą. Zaroilo się przed nią od jezdnych. Hetman, poprzedzany przez Rutjego i obu pachółków, ruszył w otoczeniu oficerów do przeznaczonej sobie izby. Karetą wraz z towarzyszącymi jej wozami z podróżnym sprzętem wjechała w podwórzec, gdzie tłoczyły się już przy studni wierzchowce eskorty i wszędy kręcili się żołnierze. Rutje dostrzegł w podcieniu zajazdu czekających nań Marka i Makarego. Skinął na nich i razem ruszyli na swoją kwaterę. - Gdzie on? Przybył? - spytał Peter nieomal od progu, zamykając za sobą drzwi. - Przybył, ale dzi× krótko po południu odjechał - usłyszał zaskakującą wiadomo×ć. - Jeste×cie tego pewni?! - spytał zdumiony. Marek bez słowa wzruszył ramionami, więc wyręczył go Makary: - Widać bał się, że spotka waćpana... - Przecież wiedział od dziewczyny, że przybędę dopiero z hetmanem! - Mógł obawiać się, że jedziesz przodem i będziesz tu wcze×niej - odezwał się Marek. - Po twoim przyjeździe nie mógłby ruszyć się z izby, więc wolał zachować ostrożno×ć... - To istotnie możliwe! Ale jakże chce działać nie będąc w zajeździe?! Napa×ć po drodze? Sam jeden?! - Co× tam musiał obmy×lić... sprawy chyba nie poniechał, bo już widać, co to za ptaszek! - On tu wróci nocą... - wyraził swoją opinię Makary, jak zwykle bez zbytnich słów. - Ale co pocznie dalej? - zastanowił się Rutje marszcząc w zamy×leniu brwi. - Przecież wie, że hetmana otaczają strażę, wszędzie pełno będzie zbrojnych... - Dociekanie nic nie da, nie pozostaje nam nic innego jak zachowanie czujno×ci... - zaopiniował Trojan. - Czy gadali×cie z nim za dnia? Może sam was zaczepił? - Nie nasuwali×my się mu na oczy. Zresztą większo×ć czasu spędzał na podwórzcu. - Kiedy przybył? - Następnego dnia po nas, pod sam wieczór. - Jakie tu obej×cie? - Obszerny majdan ze studnią po×rodku. Z prawa duża stajnia

i nieco dalej skład siana. Po lewej owczarnia i ×wirenek. W ×rodku, nieco w tyle, wielka szopa, a przy niej wędzarnia. - Pójdę to sam obejrzeć, a także sprawdzić, jak rozstawiono straże. Nasi chłopcy zaraz po wieczerzy niech zmieniają się przy pilnowaniu hetmańskich drzwi, ale tak, by nie włązić zbyt w oczy. Po zaznajomieniu się z obej×ciem zajazdu i rozkładem jego pomieszczeń Rutjemu nie pozostało nic innego jak czekać na dalszy rozwój wydarzeń. To za×, że nie można ich było przewidzieć, wywoływało uczucie niepokoju, który rósł w miarę upływu czasu. Wciąż nurtowała go ×wiadomo×ć zagrożenia, i to nie wiadomo skąd, a więc tym bardziej dokuczliwa. Temu nastrojowi ulegał i Trojan, bo krążył niespokojnie po komnacie, nie mogąc widać usiedzieć w miejscu. Jedynie Makary, jakby wyzbyty wszelkich trosk, wyciągnął się na po×cieli i podłożywszy ręce pod głowę, zdawał się drzemać. Toteż w izbie, o×wietlonej ×wiecami, panowała cisza, zakłócana jedynie stąpaniem Trojana i stłumionymi głosami dochodzącymi gdzie× z zewnątrz. Czas płynął wolno. Nikt się nie odzywał, wreszcie Rutje wstał i o×wiadczył: - Duszno w tej izbie, że wytrzymać trudno... Pójdę obaczyć, co dzieje się w obej×ciu. Trojan przerwał wędrówkę i usiadł na po×cieli. - Nie zaszkodzi sprawdzić także straże. Idź, potem i ja odetchnę ×wieżym powietrzem. Wrócił pacholek pełniący straż na korytarzu, ruszył więc jego zmiennik siedzący dotąd w izbie, a z nim i Rutje. Noc była ciemna, ale ciepła i cicha. Znajac hasło Peter obszedł posterunki. Wszędzie panował spokój, ze stajni dochodził chrzęst przeżuwanego przez konie siana, a z odryny chrapanie żołnierzy. Na ciemnej kopule nieba tysiące gwiazd mrugało ku niemu, jakby chcąc dodać mu otuchy, ale tym bardziej niepokoiły cienie zalegające pod budynkami. Niebawem wrócił do izby. Po jego przybyciu Trojan wyszedł natychmiast, jakby tylko czekał na tę chwilę. Nie bawił jednak

zbyt długo i znów zaczęli wspólnie dźwigać ciężar wlokącego się czasu. Wreszcie rozłożyli się na posłaniach i zaczęli podrzemywać, od czasu do czasu zamieniając kilka słów. Minęła północ i czas nadal włókł się ospale, jakby ta noc nigdy nie miała się skończyć. Raptem, tak nagle jak wybuch kartacza, rozdarł ciszę ludzki krzyk. Mimo że tłumiony ×cianami domu zdawał się wypełniać izbę nagłym wołaniem. Zerwali się wszyscy na nogi i jednym skokiem dopadli drzwi. - Sławek! - wrzasnął Rutje do przebywającego z nim pachółka. - Ruszaj do Kuby i obaj baczcie na hetmana! We trzech za×, minąwszy sień, wyskoczyli na podwórze. Tu ujrzeli przyczynę alarmu. Buchając wysoko ogniem, paliła się szopa w tylnej czę×ci podwórza. Rutje zatrzymał się i chwilę obserwował szalejące płomienie. ółnierze samorzutnie zorganizowali gaszenie. úraw studni schylał się raz po raz i wylewał do koryta strugi wody. Stąd, podawana wiadrami z rąk do rąk, wędrowała do ×miółków stojących najbliżej pożaru, którzy lali ją w huczący ogień. Czę×ć z nich powłaziła na pobliskie dachy z mokrymi kocami w rękach, bacząc, by nie zajęły się pobliskie budynki. Rutje obserwował to wszystko jakby mimochodem, pochłonięty jedynie my×lą, jaki ten pożar ma związek z zamachem na hetmana. Nagle obejrzawszy się odruchowo, zrozumiał zamierzenie zabójcy. Całe podwórze zalewało pulsujące, ruchliwe ×wiatło buzujących płomieni. Sylwetki tkwiących na pobliskich dachach żołnierzy sprawiały wrażenie powycinanych z czarnego kartonu, a bielona ×ciana karczmy zdawała się w tym blasku gorzeć własnym ×wiatłem. Gdyby teraz hetman wyszedł na podwórze i stanął na tle tej ×ciany? Jeszcze go nie ma, ale na pewno lada chwila zjawi się, by zobaczyć pożar i jego gaszenie... Peter rzucił się z powrotem do sieni, a potem na korytarz, gdzie nadbiegł w sam czas. Wła×nie drzwi do hetmańskiej komnaty otworzyły się i stanął w nich, już

odziany, pan Chodkiewicz. Za nim szedł rotmistrz Rudzki, komendant Wiaźmy, który po upadku grodu przebywał chwilowo przy boku hetmana. - Wasza wysokość z powrotem do izby! - krzyknął Peter, jakby dawał polecenie podwładnemu. - Za progiem karczmy czeka śmierć! - Czy oszalał, acanie? - wrzasnął nań hetman tak poczerwieniały na twarzy, jakby naszedł go atak apopleksji. - śmiesz dawać mi rozkazy?! Precz z drogi! - Nie puszczę, wasza wielmożność! - Rutje rozkrzyżował ramiona i zawołał do rotmistrza: - Mości panie, nie zezwólcie, by jego wielmożność wyszedł z domu! Ten pożar jest po to, by wywabić go za próg! Tam czeka nań ukryty zabójca z rusznicą! Rudzki, słysząc to ostrzeżenie, spojrział z rozterką na hetmana. - Istotnie, ten nagły pożar mógł nie powstać z przypadku. Nawet jeśli obawa jest przesadna, lepiej nie sprawdzać tego na własnej skórze... Hetman musiał przypomnieć sobie poprzednie ostrzeżenia, gdyż nadspodziewanie szybko ochłonął z gniewu. Spytał więc już spokojnie, jedynie nadal ze zmarszczoną brwią: - Co zatem zamierzasz? - Znaleźć jego kryjówkę i ująć, wasza wielmożność! Was za błagam o powrót do izby! Gdy wyjdziecie przed dom, blask pożaru ukaże wyraźnie waszą postać i pozwoli dobrze wymierzyć rusznicę! Chodkiewicz stał chwilę, rozważając widać sprawę, wreszcie nieoczekiwanie uśmiechnął się pod wąsem i mruknął: - Jakoż nieskoro mi ostać szarakiem dla byle myśliwca... No, niech będzie, poczekam, aż was sprawę doprowadzisz do końca. Chodź, Pawle - zwrócił się do Rudzkiego - czasami rozsądek każe stchórzyć. Poczekajmy w izbie. Rutje, już spokojniejszy o bezpieczeństwo wodza, skinął na Trojana i Makarego. - On zaczął się gdzieś w podwórzu - rzucił szybko, wychodząc z nimi przed zajazd - zapewne nieco dalej, by nie natknąć się na żołnierzy. Zatem rozdzielimy się. Wy obejrzyjcie stajnię, ja zaś sprawdzę owczarnię i przyległy pichlerz. Szable

ostawcie, pistolety użyć tylko w konieczności, zwłaszcza gdyby uciekał, ale wolę mieć go żywcem! Rozdzielili się ruszając każdy w swoją stronę. Rutje zaraz za węglem natknął się na sztachety warzywnika, który ciągnął się od karczmy daleko w pole. Przeskoczył je, potem szybko przesunął się wzdłuż szczytowej ściany karczmy i wyrzwał spoza kolejnego węgla. Dostrzegł tylko skrawek oświetlonego pożarem podwórza, bo resztę zasłaniała sterta pustych beczek i skrzyń, dalej zaś biegła ściana owczarni. Rzuciła głęboki, czarny cień na swoje zaplecze, co było Rutjemu dogodnie. Ruszył z miejsca, teraz już wolniej, gdyż zagłębił się w ten cień. Wiedział, że nikogo tu nie będzie, bo stąd nie było wglądu na podwórze. Szukał jednak furtki czy innego przejścia, które pozwoliłoby dostać się do wnętrza owczarni. Idąc uderzył raptem o jakąś przeszkodę, którą okazała się stara drabina, a w chwilę potem omal nie wywrócił się na leżącą pod ścianą stertę desek. Stłumił jednak przekleństwo, gdyż był tuż przy ścianie owczarni, ostrzegłby więc zamachowca, gdyby ten znajdował się w środku. Dochodził do niego trzask płomieni, nawoływania żołnierzy, rozkazy porucznika kierującego gaszeniem ognia, a wreszcie lamenty szynkarza. Ten chaos hałasów pozwalał na poniechanie zbytku ostrożności, toteż zaczął posuwać się szybciej, aż wreszcie namacał dłonią jakieś wrota. Okazały się nie zamknięte, więc uchylił je nieco i wśliznął do środka. Teraz należało zachować zupełną ciszę. Zatrzymał się i rozejrzał dookoła. Mógł to uczynić, gdyż przez wąskie otwory, pozostawione przy budowie dla swobodnego przepływu powietrza, przesączały się teraz blaski płomieni, rzucając do wnętrza czerwoną powiew. Dostrzegł więc kontury zbitych w gromadę kilkunastu owiec, rozstawione tu i ówdzie drabinki z sianem i zarysy słupów podtrzymujących dach. Z dwojga wrot jedne były zamknięte, drugie nieco uchylone. Przez szczelinę także sączyła się pomarańczowa



×wiatło×ć pożaru, ale nikt przy niej nie stał. A więc w owczarni nikogo nie było. Sprawdzenie ×wirna okazało się łatwiejsze, gdyż miał jedyne drzwi, a przy nich wielką kłódkę. Powróciwszy przed karczmę Rutje zastał tam już swoich towarzyszy. I oni nikogo nie znaleźli. - Czyżby ogień był przypadkowy, a on istotnie odjechał? - spytał ironicznie Trojan. - My×liwy tak długo tropiący niedźwiedzia nie ucieka, kiedy go wreszcie dopada... - zauważył Makary. - On musi tu być - zgodził się Peter. - I to na pewno! - Ale gdzie, skoro w obej×ciu go nie ma? - mruknął Marek. - Sam chytry, to i kryjówkę chytrze obmy×lił... - wyraził przypuszczenie Makary. - Mimo to musimy ją znaleźć, bo nie chcę dalej tej zmory mieć na głowie! - wybuchnął Rutje. - Je×li teraz mu się nie uda, zamach będzie próbował powtórzyć! - Ale gdzie go szukać?! - zawołał ze zło×cią Trojan. W tej chwili Rutje przypomniał sobie drabinę, na którą natknął się w ciemno×ci, i raptem zrozumiał, dlaczego tam stała. - Już wiem, gdzie jest! - wykrzyknął z przejęciem. - Leży na dachu owczarni! Stamtąd wyj×cie z domu ma jak na dłoni, a sam jest bezpieczny przed naszym okiem. - Skąd wiesz, że wła×nie tam? - zapytał Trojan z przejęciem. - Bo tam przy tylnej ×cianie stoi drabina! Marek, biegnij do porucznika Wilczka i przykaż, niech żołnierze obstawią dookoła owczarnię, a po drodze każ Kubie i Sławkowi, by duchem tu przybiegli! Już na korytarzu są niepotrzebni. Pachołcy zjawili się od razu i już we czterech podkradli pod drabinę. Peter pierwszy wstąpił na szczeble, a za nim Makary i pachołcy. Kiedy wychylił się ponad poziom płaskiego dachu, zaraz dostrzegł zarys ludzkiej postaci rozciągniętej na samym jego skraju sterczącym nad podwórzem. Nadal wolno, cał po calu posuwał się ku niej bacząc, by nie zdradzić się nawet szelestem kubraka. Mała stromizna dachu ułatwiła skradanie się. Leżącego człowieka widział wyraźnie, bo jego kontur znaczył blask bijący jeszcze

od dopalającego się ognia. Refleksy tego blasku migotały też na lufie jego rusznicy. Leżący był coraz bliżej, coraz wyraźniej go widział. Za sobą nie słyszał najmniejszego szmeru, gdyż jego towarzysze skradali się równie ostrożnie. Siergiej był całkowicie pochłonięty obserwacją, a oni zbyt sprawni, by mógł ich usłyszeć. Toteż kiedy Rutje raptem skoczył do przodu i rzucił się na niego przykrywając go ciałem, ten tak był oszołomiony nagłą×cią napadu, że Makary bez trudno×ci ×ciągnął mu pasem ręce i już obezwładnionego podniósł na nogi. Pchnięty ostro, ruszył ku drabinie i schodził bez sprzeciwu na ziemię. Hetman, powiadomiony o ujęciu zbója, nawet nie wyszedł do niego. Rozkazał tylko, aby zamknięto go do rana, kiedy to zadecyduje o jego losie. Pożar już dogasał. Pobliskie budynki, także polewane wodą, ocalały, a resztki dopalających się zgliszcz zarzucano piaskiem. Rutje polecił Trojanowi wyszukać pomieszczenie dla więźnia i postawić przy nim straż. Zanim ten został odprowadzony, Peter zatrzymał go jednak w podwórzu. Pojmanego otoczyli zaraz żołnierze, nie szczędząc mu ponurych obietnic. Nie zwracał wszakże na te pogrożki uwagi, mierząc Rutjego pełnym nienawi×ci spojrzeniem. Ten go zagadnął: - Niecierpliwie czekałem tu na wa×ci przybycie. Siergiej wzruszył ramionami z pogardą. - Skąd mogłē× wiedzieć, że przybędę? - A jednak czekałem wła×nie tu i wła×nie na ciebie. Tym razem jeniec zmarszczył brwi i spojrzał uważnie na Petera. - Skądże× wiedział? - spytał sciszając nieco głos. Rutje u×miechnął się ironicznie. - Dobrzy ludzie powiedzieli... - Ona...? - Tym razem był to cichy szept. - Nie ona, ale raczej ja jej... - Suka przekłēta, zdradziła mnie! - Mylisz się - stwierdził poważnie Rutje. - Mówiła tylko to, co chciałem, aby× wiedział... - Bronisz kochanicy? Ale tym jej nie uratujesz! Je×li ja zginę, rachunek wyrówna kto inny! - Tamtego też dostanę! Rankiem będziesz sądzony, a teraz

ruszaj! - Peter skinął na żołnierzy, by odprowadzili jeńca. Wyjazd z Czeczowicz został opóźniony, i to nie tylko z powodu pożaru i pojmania skrytobójcy. Nie skończyło się bowiem na tym, gdyż o  $\times$ wicie znaleziono przy drzwiach komórki strażnika z raną w głowie, a same drzwi, zdjęte z zawiasów, wisiały na nie naruszonej kłódce. Kiedy za $\times$ szukano drogi ucieczki więźnia, znaleziono  $\times$ lady konia uwiązanego do ogrodzenia warzywnika w miejscu, gdzie rozciągało się dalej otwarte pole. Rosnące tam krzaki pozwalały na dobre ukrycie wierzchowca nawet w dzień. Musiał tam przebywać przez dłuższy czas, sądząc po wydeptanej trawie i pozostawionym nawozie. Po nocnej rozmowie z więźniem Rutje nie wątpił, że zaspokojenie zemsty przedłoży nad własne bezpieczeństwo, toteż był pewny, że Siergiej pognał do Bychowa. Miał tak dużą przewagę w czasie, że starczy mu go, by przed dalszą ucieczką rozprawić się z dziewczyną. Peter, nie pytając o permisję, polecił tylko Trojanowi, by zawiadomił hetmana, dokąd się udaje, i za krótką chwilę skoczył na konia, którego od razu podprowadził mu Makary, sam już siedząc w siodle. Nie szczędząc koni skręcili na drogę wiodącą do Bychowa. Zdawali się jednak sprawę, że te kilka godzin, które dzieliło ich od zbiega, nie da się odrobić w ciągu jednego dnia, tym bardziej że i on miał dobrego wierzchowca. Do Bychowa dotarli niedługo po południu na koniach pokrytych płatemiany. Ominęli dwór i pognali do miasteczka. Już z daleka Peter ujrzał tłum kobiet zgromadzonych przed domem znachorki. Zeskoczył z konia nie mając wątpliwo $\times$ ci, że zabójca zdążył dokonać swego dzieła. Roztrącił bezceremonialnie kobiety i wpadł do domu. W izbie Soni ujrzał znachorkę krzającą się przy łożu, na którym leżała dziewczyna. Wyrzucił lamentujące przy niej baby i miejskiego woźnego wraz z jego pacholkiem, po czym obrócił się do

posłania. Dziewczyna leżała z wyciągniętymi wzdłuż ciała rękami, zapewne tak, jak zdołali ją ułożyć. Na jej bieliźnie ujrzał ciemną plamę połyskującą wiśniową barwą w mroku izby. Jej wielkie, piękne oczy przykrywały powieki, a czarne włosy zwijały się na poduszce niby skrzydła kruka. Tym bielsza wydawała się jej spokojna teraz twarz z lekko rozchylonymi ustami. Rutjemu wydało się, że szepczą mu słowa pożegnania. - Nożem ją uderzył, panie! Nożem... - Sabina się rzuciła ku niemu, chwytając go za ręce. Po jej pomarszczonej twarzy płynęły łzy, których nie cieriała, więc kapały na chustę okrywającą ramiona. - Dawno to się stało? - Godzinę temu! Najpierw spierali się, potem ona krzyknęła raz i drugi... Kiedy usłyszałam, jak stuknęło o ziemię wywrócone krzesło, wpadłam do izby... Ujrzałam nieboraczkę na podłodze, ten zbój za pchnął mnie i wypadł do sieni... Taka piękna dziewczyna... Boże mój przenajwiększy... Rutje przerwał lament kolejnym pytaniem: - Może jest jeszcze nadzieja? Przecież oddycha... Znachorka potrząsnęła przecząco głową, a po chwili skłoniła ją i powiedziała wśród szlochu: - Chyba Bóg ją uratuje... Ja nic już jej nie poradzę... życie uchodzi z niej z każdym oddechem... Rutje nachylił się nad konającą Sonią. Jakby wyczuła jego bliskość, bo dostrzegł, że jej powieki unoszą się i w zamglonym wzroku ukazał się krótki błysk jak nagły płomyk dogasającej wiecy. Usta uśmiechnęły się z widocznym wysiłkiem i zaraz szepnęły cicho: - Jeste... Peter... Dzięki, że teraz przy mnie... - Cicho, miła... Każde słowo to wysiłek... - To już nieważne... Chcę ci rzec... że miłowałam cię prawdziwie... Wiedz o tym, miły, i nie potępiaj... bom musiała... Miłowałam cię, ale musiałam... Przebaczone, Peter... To były ostatnie słowa Soni. Potem już tylko westchnęła, jakby pozbywając się ciężaru, i znieruchomiała. Schylił się i ucałował ją w czoło, a potem delikatnie, końcami palców przykrył powiekami jej

oczy. Obrzucił ostatnim spojrzeniem nieruchomą postać dziewczyny i ruszył do wyjścia. - Ugodził ją nożem. Zmarła przed chwilą... - odpowiedział na pytające spojrzenie Makarego. - Dawno? - Godzinę temu. - Ruszamy w pościg? - My dwaj?! - Ze złością prychnął Rutje. - Nie wiedząc, w którą stronę się udał, gdyż na pewno przewidział, że obrócimy się do Starodubia! A do tego wszędy pełno kozackich band! - Zatem ma ujść bezkarnie? - Przynajmniej teraz. Ale nie szkodzi, wczynie czy później go najdę! Wiem przecież, gdzie go szukać, bo musi wrócić do starego. Policzymy się wówczas z obydwojma! - Nagła krew mnie zalewa! - wybuchnął opanowany zwykle Makary. - Ie też nie pomyśleliśmy o koniu! Wiedzieliśmy przecież, że w stajni go nie było. - Masz rację... - rzekł z westchnieniem Peter. - Zbyt miałem myśli zajęte sposobem, w jaki może dotrzeć do hetmana, toteż ten koń uszedł mojej uwagi... Nie komentując już więcej zaszłych zdarzeń, wrócili do dworu. Po kilku godzinach zjawił się tam Trojan z obu pachółkami, wysłał go bowiem hetman z poleceniem dla Rutjego, by pozostał już na miejscu i dawał baczenie na majątność w czasie jego nieobecności, a w razie pojmania zbiega ma go powiesić bez żadnej zwłoki, nie czekając na jego powrót. Jedlina wziął jeszcze udział w kwietniowej wyprawie z żywnością pod Smoleńsk, ale kiedy Lisowski otrzymał od hetmana rozkaz nowej wyprawy, młody rycerz uznał, że drogi już na tyle obeschły, by pora było ruszać po Tanię i wracać z nią do kraju. Lisowski dał mu więc dla ochrony obiecaną chorągiew, którą potem od polskiej granicy miał odprowadzić Rymsza, bo ten, jak dotąd, towarzysząc Jedlinie, nie zamierzał jednak wojaczki przerywać. Spod Smoleńska do rejonu Możajska droga nie była tak daleka, toteż w dziesięć dni dotarli do Werei, gdzie pod komendą Rymszy Nikodem zostawił chorągiew, a sam w pięć koni ruszył do bliskiego już dworu

bojara Rumcewa. Było południe, kiedy wjechał na obszerny, poro×nięty trawą dziedziniec, rozciągający się przed mieszkalnym domem. Nieco z boku widniały budynki stajenne, ale nikt nie wychodził im naprzeciw. Jedlina pozostawił więc żołnierzy, a sam wstąpił na ganek i uchyliwszy drzwi wszedł do wnętrza. Znalazł się w mrocznej sieni, skąd prowadziło troje drzwi. Zza jednych z nich usłyszał głosy, przeto otworzył je i stanął na progu. Znalazł się w jadalni, gdzie za długim stołem na ×rodku komnaty siedziało grono osób przy południowym posiłku. Wszystkie twarze obróciły się ku niemu, a jednocze×nie ujrzał, jak z krzesła zrywa się Tania i biegnie ku niemu z szymem spódnicy, wołając: - Nikodem...! Otoczyła mu szyję ramionami i poczuł na policzkach ciepło dziewczęcych ust. Nie zważając na obecnych Tania obsypała mu twarz pocałunkami, a za chwilę, posadzony za stołem, musiał odpowiadać na dziesiątki pytań, bo nie tylko kobiety chciały się dowiedzieć o jego przygodach, ale i sam gospodarz był ciekaw przebiegu ostatnich wydarzeń. Dni, które potem nastąpiły, pełne były gorączkowych przygotowań do podróży. Obie niewiasty miały ją odbyć w karocy, darowanej im przez jego wielmożno×ć bojara Antoniego Pawłowicza. Z tym wszakże można by uporać się szybko, ale należało czynić i inne przygotowania, postanowiono bowiem, by przed podróżą odbył się ×lub młodej pary w pobliskiej cerkwi. Obrzędu rzymskiego mogli dokonać już w Polsce, nie godziło się jednak ruszać w tak daleką drogę i do obcego kraju bez zawarcia małżeńskiego związku. Ceremonia nie była huczna, bo czas i warunki na to nie zezwalały, ale mimo to minęły trzy tygodnie, zanim wreszcie ruszono pod żołnierską opieką do dalekiej, polskiej granicy. Dzięki silnej ochronie podróż odbyła się bez większych przygód i na początku czerwca poczet dotarł do Orszy, gdzie Rymsza pożegnał młodych. Nikodem zwerbował

za× kilkunastu wracających także do kraju żołnierzy, którzy zgodzili się za dobrą opłatą odprowadzić karocę na miejsce. Słońce przygrzewało mocno, choć pora była już popołudniowa. Równa droga łagodnymi łukami omijała stoki wzgórz, które na tle nieba majaczyły zarysami zalesionych grzbietów, kryjących niewidoczne stąd Góry świętokrzyskie. Tu i ówdzie rozciągały się pastwiska, na których pod opieką pastuchów z psami u nóg pasły się krowy lub owce, nadając krajobrazowi nastrój dostatku i spokoju. Karoca toczyła się przy wtórze końskich kopyt. Z ostatniego noclegu wyjechali o ×wicie, by pozostałe kilka mil przebyć jeszcze za dnia, więc zbliżali się już do celu. Toteż Tania ze wzruszeniem przyglądała się widokom wiedząc, że mija okolice swego nowego bytowania. Dwie noce z tej długiej podróży zapamiętała na zawsze: ową straszną noc pożaru Moskwy, pełną ludzkich krzyków, blasku i trzaskania ognia, a potem tę drugą, nie mniej straszną noc porwania. Teraz owo letnie popołudnie, pełne pomarańczowego blasku słońca przedwieczornej pory, zastygłe w ciszy i spokoju, jakby chciało wynagrodzić jej tamte chwile przerażenia. Kiedy wreszcie karoca znalazła się na szczycie niewielkiego wzniesienia, Nikodem kazał woźnicy zatrzymać pojazd i nachylił się ku otwartemu oknu, w którym ukazała się twarz Tani. Wskazał jej ręką przed siebie: - Zobacz, już widać Zaborów... Wychyliła się, ciekawa widoku. Droga biegła po łagodnym stoku, potem skręcała, niknąc za grupą drzew. Dalej rozciągała się łąka, przecięta wijącą się skętami rzeką, podobną do srebrnej tasiemki rzuconej na zielony kobierzec. Od drogi oddzielało łąkę ogrodzenie, za którym pasło się stado koni. Niektóre, schyliwszy łby, spokojnie skubały trawę, z regularną jednostajno×cią omiatając grzbiety długimi ogonami, inne, widać młodsze, skupiały się w grupy, przekładały sobie wzajemnie głowy przez szyje bądź wspinały

na tylne nogi, by za chwilę wierzgnąć i pognać przed siebie. Za pastwiskiem zbita masa drzew dochodziła nieomal do samej rzeki. Nieco wyżej, wśród ich koron, widać było skrawki dachów kryjących się między nimi budynków. Tania jakiś czas przyglądała się temu obrazowi, wreszcie rzekła: - Nikodemie... Pięknie tu, a mimo to trzęsę się ze strachu. - Jako tego nie widzę... - Umiechnął się. - Bo to w środku. - Czego się tak lękasz? - Powitania... Jestem tu obca. - Dam ci dla kurażu kusztyczek miodu. Dobrze ci zrobi. - Rada równie dobra jak i waćpana dowcip! - rzuciła z przekorą znikając w głębi karety. Wkrótce skręcili w aleję, która doprowadziła ich do szeroko rozwartych wrót, za którymi rozciągał się obszerny dziedziniec ze studziennym żurawiem w środku. Tu poczet obkoczyły psy, z głośnym ujadaniem doskakując do koni. Pędziła je wszakże zebrana na podwórzu służba, ciekawa przybyłych gości. Kareta zajechała przed ganek. Stał na nim w otoczeniu domowej służby sędziwy mąż słusznego wzrostu i tuszy, o rumianym od słońca obliczu, z białymi wąsami opadającymi ku wygolonej brodzie. Nikodem chwilowo poniechał jednak powitań, a zeskoczywszy z siodła otworzył drzwiczki karocy, kiedy za ukazała się w nich Tania, ujął ją w ramiona i dawnym obyczajem wniósł w progi domu. Dopiero w sieni nastąpiła prezentacja zakończona zaproszeniem pana Onufrego: - Tuszę, że łaskawe panie jako niewiasty zechcą przede wszystkim się nieco ogarnąć i przebrać po podróży. Zezwólcie zatem, że służba wskaże wam pokoje. Pierwszy zszedł do jadalni Nikodem. Czekał już tam pan Onufry, z którym dopiero teraz wzięli się w ramiona i długo trzymali w uścisku. Potem pan Onufry, mocno wzruszony, sapnąwszy raz i drugi, odezwał się: - Sporo masz rzeczy do opowiadania, których wielce jestem ciekaw, ale teraz nie pora ku temu, bo zaraz zjedzą niewiasty. Tyle ci rzekę, że piękną wybrała sobie małżonkę! Wszakże wnet



lepiej ją obejrzę, gdyż ważna to sprawa, boć przecie od niej głównie będzie zależało, jakich doczekasz się potomków. - W wielkiej jest konfuzji, toteż upraszam waćpana o umiar w słowach... - odpowiedział z naciskiem Nikodem, znając dobrze opiekuna. - W konfuzji mówisz? - Stary szlachcic nasrożył się. - A z jakiej to przyczyny? Czegóż to się obawia? - Nie powinno to waćci dziwić. Młoda jest, w obcym kraju i pomiędzy obcymi ludźmi... Wie, że będziecie baczyć na każde jej słowo i poruszenie. - E tam, pleciesz byle co! - Stary machnął ręką. - Przecież nie do bisurmanów przybyła! - Zresztą to nie jedyna przyczyna jej zmieszania... - rzucił Nikodem, sam zdradzając frasunek. - Jakaż jeszcze może być? - Wprawdzie pisałem wam, żećmy po prawosławnym ćlubie, ale nie nadmieniłem, że do czasu naszego, rzymskiego obrządku odmawia mi praw małżeńskich... Kiedy zatem ujrzała, że dalićcie nam wspólną komnatę, mocno skonfundowana zabrała sakwy do matki i u niej się przebiera... Pan Onufry założył ręce za pas i zerknąwszy na młodego rycerza ućmiechnął się pod wąsem, ale odpowiedział obojętnie: - Skoroć taki niezguła i na to przystałać, twoja sprawa. Głębszej przyczyny, sięgającej minionych zdarzeń, Nikodem nie był skory staremu wyjawiać, ale też z tym większym zażenowaniem starał się usprawiedliwić: - Nie chciałem niczego poczynać wbrew jej życzeniu... Toteż uszanowałem jej wolę... Teraz pan Onufry wybuchnął już ćmiechem i zawołał rozbawiony: - To mi dopiero grzeczny pantoflarz! I cóż ty, biedaku, teraz poczniesz, bo ani mi w głowie dawać ci osobną komnatę?! Różne strapienia widziałem, ale takiego nie zdarzyło mi się spotkać. Oto mi rycerz, który nie umie sobie z niewiećcim kaprysem poradzić! Dalszą rozmowę przerwał odgłos kroków w sieni i do jadalni weszły obie kobiety. Pan Onufry z galanterią ucałował dłoń Natalii Pawłowny, po czym ujął Tanię za ramiona i jakić czas

patrzył na nią bez słowa. Dziewczyna ubrana była w suknię o suto fałdowanej spódnicy i ×ci×le opinającym jej kibić staniku, z bufiastymi, przybranymi wstążkami rękawami. W jej twarzyczce, nieco zmizerowanej trudami podróży, tym większe wydawały się oczy, których spojrzenia nie odwracała ×miało od wzroku starego człowieka. Ten przyciągnął ją lekko ku sobie i ucałował w czoło, powiedział z powagą: - Witam cię pod dachem tego domu, którego jeste× teraz panią. Oby Bóg był łaskaw dla was obojga, nie szczędził wam pomy×lno×ci, a przede wszystkim dzieci, jako że one są celem małżeństwa... Tania, wzruszona, chciała co× odpowiedzieć, lecz pan Onufry odstąpił parę kroków i nie spuszczać z niej spojrzenia, mówił dalej: - No tak... W kłębach może× przywaska, ale nogi długie, to i pęcina chyba jak należy... Szyja głowę dobrze niesie, pier× należycie uformowana... Hm... - dorzucił z u×miechem zadowolenia. - Udała× mi się, przychówek na pewno będzie piękny... Twarz Tani oblał rumieniec zakłopotania, lecz Nikodem nie był zaskoczony tą oceną, znając sposób patrzenia starego hodowcy koni. Mimo to zawołał z gniewem: - Ależ, panie Onufry, toć mówicie jak o klaczy! Pohamuj się, bo jak mi Bóg miły... - Cicho bądź acan! - fuknął stary szlachcic. - A bo nie przyrównują niewiast do łani? To dlaczegoż szlachetna klacz niegodna porównania urodą z dziewczyną? Ciesz się jak i ja, że będziesz miał potomstwo godne twego rodu! - Pan dobrodziej ma słuszno×ć - nieoczekiwanie zabrała głos Natalia Pawłowna, po raz wtóry okazując, że jest mądrą kobietą. - I ja nie widzę żadnego powodu do obrazy. Sęk w tym, że my, starzy ludzie, bardziej trzeźwo patrzymy na rzeczy. - Rączki pani dobrodziejki całuję w podzięcie za sukurs! - zawołał uradowany poparciem pan Onufry. Skonfundowana do reszty Tania spojrzała bezradnie na męża, ten jednak widząc, że Natalia Pawłowna nie wzięła jego

opiekunowi za złe podej×cia do sprawy, zmieniając temat powiedział ugodowo: - Nie negując waćpanu słuszno×ci, prosiłbym wszakże, aby× zgodnie z życzeniem mojej małżonki... no, hm... - zawahał się chwilę, ale dokończył z determinacją: - wyznaczył nam osobne sypialnie... Twarz pana Onufrego poczerwieniała. Sapnął raz i drugi, zanim rzucił z oburzeniem: - Acan tu dziedzicem, czemu nie przeczę, lecz do tej pory ja tu rządziłem i tak głupiego polecenia nie wydam! - Głupiego? Cóż w nim waćpan widzisz, co by zasługiwało na takie miano? - To mianowicie, że służba weźmie cię na języki i ×miech jeno wywołasz, co pozbawi cię należytego poszanowania! Potem za× nadmierną surowo×cią będziesz musiał nadrabiać to, co× przez brak rozsądku utracił. Dlatego obstaję przy tym, aby niczego nie zmieniać. Zresztą nie widzę i potrzeby! Bo w ko×ciele czy cerkwi, ale× ×lubowanie złożył przed Bogiem, który dla obu obrządków jest wspólny. A teraz, je×li taka wola, sam dawaj acan służbie rozkazy, bo ja do tego ręki nie przyłożę! Nikodem bezradnie spojrział na Tanię, nie wiedząc, co powiedzieć po tym wywodzie, którego słuszno×ć była oczywista. Ku swemu zdumieniu ujrzał skry rozbawienia w jej oczach, które zaraz jednak przykryła powiekami i schyliwszy główkę milczała. Wyrezyła jednak córkę pani Natalia, i to w nieoczekiwany sposób, bo roze×miała się z wyraźną szczeró×cią. - Dlaczego się ×miejesz? - spytała Tania zerkając na matkę z wyrzutem. - Bo jak żyję, nie widziałam, aby młodzi bronili się przed miłowaniem jak przed Bożym dopustem! Taka to dla was kara? - Do tej pory mówiła× inaczej... - bąknęła niepewnie dziewczyna. - Nie mówiłam inaczej, jeno nie sprzeciwiałam się twemu życzeniu. A nie sprzeciwiałam się z tej przyczyny, że podróży nie uważałam za sposobną porę do małżeńskich u×cisków. Ale teraz, kiedy×my przybyli na miejsce, sprawa ma się inaczej. Toteż

po raz drugi całkowicie przyznaje słusność wielmożnemu panu. - Piękną masz żonę, ale i mądrą teściową, acanie! - zawołał pan Onufry rad z wiernej sojuszniczki. - Doprawdy szczęściarz z ciebie! Nikodem nie bardzo wiedział, co ma mówić. Spojrzał po raz drugi na Tanię, ale że zdawała się tego nie dostrzegać, zaproponował tylko, by zasiedli do stołu. Pan Onufry widząc, że opinia Natalii Pawłowny rozstrzygnęła niejako sprawę, z zadowoleniem przywołał pacholika i przykazał podawać wieczerzę. Ta minęła w wesołym nastroju, kiedy za nowożeńcy znaleźli się przed drzwiami swojej sypialni, Nikodem przystanął i oddając żonie trzymany w ręku lichtarz ze świecą, mruknął z zażenowaniem: - Ja... pójdę się nieco przejść... Księżyc właśnie wschodzi, a po wieczerzy dobrze zażyć nieco wieżego powietrza... - Idź tedy... Jeno nie zabaw za długo, bo... - Tania urwała, jakby zawstydzona tym, co chciała powiedzieć. - Co, miła? - Nic. Bo lękam się, żeby się nie przestudził... Wieczór zimny... - Mówi się: nie przeziębiliby - poprawił żonę z uśmiechem, całując ją w policzek. - Wnet wrócę. Istotnie, długo nie podziwiał uroku księżycowej nocy. Po powrocie zastał jednak dom pogrążony już w zupełnej ciemności. Wszakże znał w nim każdy zakamarek i nieomal każdą deskę w podłodze, więc bez trudu dotarł do schodów i cicho wspiął się na piętro, ale spod drzwi sypialni także nie sączyło się światło. Kiedy nacisnął klamkę, ustąpiły cicho. Niby nocny intruz wsunął się na palcach do komnaty i wolno zbliżył do łoża. Okno było otwarte i księżycowa poświata kładła się smugą na podłodze, mógł więc rozeznaczyć zarys kobiecej główki na białym tle poduszki. Tania leżała na boku i zdawała się spać głębokim snem. Ostrożnie nachylił się nad nią. Wówczas dwoje ciepłych ramion wyciągnęło się ku niemu i objęło za szyję. Po lubie, odbytych wkrótce w parafialnym kościele, młoda para na zimę pozostała w Zaborowie, tu spędzając swoje miodowe

miesiące, daleko od wciąż nie wygasłej, wojennej pożogi. Jeszcze w styczniu tego roku zszedł ze ×wiata komendant smoleńskiej załogi, drugi z braci Potockich, Jakub, wojewoda braclawski, który tę godno×ć jak i dowództwo objął po Janie, zmarłym niedawno także pod Smoleńskiem. Już wówczas wiele mówiono o przyczynie tej ×mierci, gdyż zmarły był mężem w sile wieku i cieszył się dobrym zdrowiem. Przedtem za× na Kremlu zmarł także znakomity wódz, pan Piotr Sapieha, również w pełni sił, a wiekiem nawet młodszy od Jana. Różne więc gadki snuli żołnierze, a wzmogła je jeszcze ×mierć Rożyńskiego. Zaczęto coraz gło×niej podawać w wątpliwo×ć jej przyczyny, jakoby miała nastąpić z odniesionych ran. Tak się istotnie składało, że schodzili ze ×wiata wybitni wodzowie, bo takim był bezsprzecznie i Jakub, doskonały dowódca i wojownik pełen animuszu. Wojewodą smoleńskim król mianował pana Chlebowicza, ale że ten zachorował, komendantem został rotmistrz Jerzy Szczucki, przyjaciel Potockich, żołnierz do×wiadczony i dzielny. W pasie nadgranicznym nadal grasowały liczne bandy kozackie, paląc i rabując zarówno polskie jak i rosyjskie wsie i miasteczka. Po stronie polskiej opędzał się od nich pan Chodkiewicz, po rosyjskiej kaptowano je i kierowano pod Smoleńsk i Wielki Nowogród, obsadzony przez Szwedów. Nie wszyscy jednak atamani zgłaszali akces, gdyż warunkiem przyjęcia do carskiej służby był obowiązek rejestracji. Za główny teraz cel Rada Bojarów uznała odebranie Polakom Smoleńska. Wojska moskiewskie koncentrowały się więc w rejonie Rżewa i Kaługi. Już w marcu tegoż 1613 roku ruszył stamtąd ataman Jakowlew z przednią strażą, ale wa×nie wojewodów wstrzymały wymarsz głównych sił. Dopiero latem wojsko ruszyło w pochód pod dowództwem kniaziów Dymitra Czerkaskiego i Michała Buturlina. Za tymi wojskami posuwał się książę Pożarski, który zatrzymał się na rzece

Ugrze. Kozactwo pierzchało przed nimi, nigdzie nie próbując nawiązywać walki. Jeszcze na początku lata Chodkiewicz podesłał do Wiaźmy rotę Baranowskiego i Boguszewskiego, by wzmocniły tamtejszą załogę, którą dowodził rotmistrz Rudzki, gdyż była to twierdza stanowiąca klucz do Smoleńska. Jednak dowiadczony żołnierz, jakim był Rudzki, mając rozeznanie o sile nieprzyjaciela, opuścił Wiaźmę nie wdając się w beznadziejną walkę. To samo zresztą zrobił i Lisowski, który, obroniwszy Zawołocze, teraz także wycofał się na Siewierszczyznę. Wreszcie padł także i Dorohobuż, a potem, wobec zdrady piechoty niemieckiej, Jaykowski musiał poddać Białą, której dotąd dzielnie bronił. Jesienią wojska moskiewskie podeszły pod Smoleńsk, otaczając miasto szańcami i gorodkami. Uszła z niego reszta bojarów, dotychczasowych stronników polskich. Czerkaski początkowo nie wszczynał jednak działań zaczepnych, ograniczając się do rozsyłania zagonów. Smoleńsk natomiast, otoczony wysokim murem o 38 basztach, w tym 9 bramnych, przygotowywał się do walki. Miał poprzednio 270 dział, ale część z nich zostało przeniesione do innych grodów. Mury też były nadwerężone w poprzednich bojach, choć i Potocki, i Szczucki nie szczędzili starań, by je naprawić. Brakowało przy tym żywności, gdyż okolica była mocno splądrowana, a ludność wroga. Garnizon nie liczył więcej niż sześćset ludzi, co było znikomą siłą wobec ogromnej przewagi wojsk moskiewskich. Jednak żelazny hetman nie ugiął się pod brzemieniem tych dotkliwych, wojennych niepowodzeń. Zbierał, skąd się dało, pieniądze, wyciskał je z Orszy i Mohylewa, za co naraził się nawet panu kanclerzowi litewskiemu Sapieżowi, któremu przypadły tenuty z tego miasta. Próbował też, acz bez powodzenia, uzyskać wsparcie i z Bobrujska. Wysyłał nieomal błagalne listy do udzielenia pomocy, ale je lekceważono w nadziei rychłego zawarcia pokoju. Istotnie w

marcu poseł moskiewski na pertraktacje pokojowe, Denis Oładin, po drodze do Warszawy zatrzymał się w Bychowie. Po odbytych z nim rozmowach Chodkiewicz doszedł jednak do przekonania, że został on wysłany raczej dla zorientowania się w polskiej sytuacji niż w prawdziwych intencjach pokojowych. W listopadzie hetman ×ciągnął swoje chorągwie z Inflant i obsadził nimi Orszę. Miał jeszcze do dyspozycji nieliczne chorągwie pozostałe z dotychczasowych działań oraz Kozaków Nalewajki i Chwastowca. Wycofały się one przed Moskalami ku Słuckowi, ale hetman nakazał im powrót do granicy. Wracając niszczyły jednak i rabowały wsie. Roty inflanckie, stojące w Orszy, zaczęły się wkrótce buntować, nie chciały i×ć do Smoleńska, żądając zaległego żołdu, i dopiero na usilne molestowanie hetmana zgodziły się pozostać do Gromnicznej. Wszakże sama ich obecno×ć chroniła przed zagonami moskiewskimi, które omijały tamtą połąć kraju. Pod koniec 1613 roku zbuntowały się również sotnie kozackie i pod przewodnictwem Starzyńskiego ruszyły w głąb kraju rabując wszystko, co napotkały po drodze. Hetman zebrał naprędcę około tysiąca szabel i ruszył za nimi w po×cig. Dopadł ich pod Nowogródkiem i rozbił doszczętnie. Inne oddziały także zostały rozbite pod Pińskiem i zawróciły na Niż. Na sejmie grudniowym ciężar obrony wschodniej granicy zepchnięto na Litwę, natomiast sprawę obrony Smoleńska całkowicie zlekceważono. Wszakże pod koniec roku Zygmunt przysłał wreszcie listy przypowiednie na 1000 husarzy, 1000 kozaków i 1000 piechoty. Zabrakło jednak pieniędzy na pełny ich werbunek, bo zbiór podatków szedł kulawo. Hetman przygotowując się do wojennych działań, siły te przeznaczył na wzmocnienie załogi Smoleńska. W odwodzie pozostawał mu natomiast podkomorzy Sielicki, który stał w M×cisławiu z pospolitym ruszeniem i Kozakami, razem z około dwoma tysiącami ludzi. Moskwa za× już na początku następnego roku

gotowała nowe siły. Car wysłał Sakiryna i Lwowa z pospolitym ruszeniem, Tatarami i Czeremisami z Kazania. Jednocześnie książę Puszkin zbierał wojska z Kaługi, Kozłowa i Sierpuchowa, by wzmocnić siły oblężnicze Smoleńska. Sytuacja pogarszała się więc nieomal z tygodnia na tydzień. W Smoleńsku zaczął się głód, sięgano już do końskiej padliny. Szczucki z trudem wymógł na wojsku, by zostało do Wielkanocy. Piechota częściowo wyginęła przy odpieraniu szturmów, częściowo zdradliwie uciekała. Musieli służbę mурową pełnić towarzysze husarscy. Toteż szły do króla wezwania o pomoc. Zygmunt jednak zdobył się tylko na list - zapewne za podjudzeniem kanclerza Sapiehy, niechętnego Chodkiewiczowi - w którym ostro napiętnował niesubordynację owych inflanckich chorągwi stojących w Orszy. List ten dolał tylko oliwy do ognia. Chorągwie zaraz czwartego lutego wysłały posłów do podskarbiego z żądaniem natychmiastowej zapłaty zaległości, zawiązały konfederację i wyruszyły ku Mińskowi zajmując stancje. Przy hetmanie została tylko jego własna chorągiew. Jakby nieszczęście tych było mało, wiosną ruszyły na Polskę ordy tatarskie i wołoskie. Król zaś, w obawie kolejnego rokoszu, ociągał się ze zwołaniem pospolitego ruszenia. Tymczasem Chodkiewicz i już ozdrowiały wojewoda smoleński Mikołaj Chlebowicz spotykali się w Dubrownej i Orszy. Należało pilnie zaopatrzyć w żywność głodujący Smoleńsk. Zadanie to postanowili powierzyć Lisowskiemu i Aleksandrowi Sapieze, staroście orszańskiemu, sami zaś mieli absorbować podjazdami siły moskiewskie. Wkrótce jednak po tych spotkaniach hetman musiał wyjechać do Kretyngi na pogrzeb syna, a że nastał już kwiecień, Lisowski i Sapieha wyruszyli wypełnić powierzone im zadanie. Prowadzili 2400 jazdy i 400 piechoty, natomiast żywność wypłynęła z Orszy na siedmiu strugach Dnieprem, wieziona przez Wessela i Matugalskiego. Aleksander Sapieha



nie miał wszakże uzdolnień wojennych. Lisowski szybko to dostrzegł, więc sam objął dowództwo nad imprezą. Sapieha nie okazał zazdrości, widząc wyższość talentów wojskowych pułkownika, i podporządkował mu się bez sprzeciwu. Toteż, działając zgodnie, po krwawej rozprawie pod murami Smoleńska zdołali rozładować żywność ze strug i przewieźć bez strat do twierdzy. Drugiego kwietnia 1614 roku hetman Chodkiewicz wyruszył z Lachowicz i przez Wilno, i z mory skierował się do Kretynki na pogrzeb syna. Wszakże i tam, poza uroczystościami pogrzebowymi, nie brakło mu zgryzot, bo spraw wymagających jego decyzji zebrało się dużo. Dopiero więc pod koniec lata zdołał wyrwać się z kręgu tamtejszych kłopotów i wracać na Litwę, gdzie w Wilnie miały zapadnąć ważne decyzje dotyczące dalszych działań wojennych na wschodniej granicy. Na początku bowiem sierpnia rada senatorów przekazała sprawy wojny z Moskwą generalnemu zjazdowi Wielkiego Księstwa, który uchwalił pobory na wojsko, co pozwoliło zbierać nowe siły. Nie omieszkał jednak hetman wzmocnić Smoleńska tysiącem piechoty i kilkuset jazdy. Tam sytuacja nie była pomyślna. Wojsko bez żołądka nie chciało służyć dłużej niż do mięsopustów, a piechota niemiecka opuściła twierdzę. Dla odciążenia więc obleganych Chodkiewicz polecił Lisowskiemu i Januszowi Kiszce działania dywersyjne. Kiszka miał ruszyć na Starodub, Lisowski zaś na Briańsk, ale wkrótce potem Kiszka został odciągnięty pod Smoleńsk, natomiast Lisowski zebrał znów sporo żołnierza i ruszył na znane już sobie tereny. Przez Briańsk i Karaczew wtargnął w ziemie moskiewskie i ponownie przemierzył ogromny ich szmat, jak pisał potem hetman: "dyrygując conatus wszystkie do sławy i dobrego Rzeczypospolitej miana". Nieustające poczucie zagrożenia nie pozwalało Marynie przez całą zimę na beztrudne bytowanie i spokojny sen. Ciągła obawa, co

przyniesie ze sobą najbliższa przyszłość, czy groźna fala, pędząca gdzie przez astrachańskie stepy, wreszcie nadpłynie, porwie ją i zatopi, czy ostatni już mężczyzna, który pozostał jej jako obrońca, zdoła odeprzeć jej uderzenie? Gra szła teraz o stawkę najwyższą - o życie. I nawet już nie o własne, ale o wiele dla niej cenniejsze, ukochanego ponad wszystko Dymitruszki, dziedzica moskiewskiego tronu. A że był nim, wierzyła w to niezłomnie, i równie mocno była przekonana, że jedyny mężczyzna, którego miłowała prawdziwie, ojciec dziecka, był prawowitym następcą cara Iwana. Czuła się więc również wykonawczynią woli zmarłego, który z za grobu nakazywał jej pieczę nad prawami dziecięcia. Była za na tyle wiadoma rządzących praw - a właściwie ich zupełnego braku, jeżeli w grę wchodziła walka o władzę - by wiedzieć, że nie istniała tu możliwość kompromisu. Celem tej walki było usunięcie nawet najbardziej nikłej groźby, która mogłaby kiedykolwiek zawisnąć nad głową władcy. Tak samo zresztą musiałby działać i jej syn, gdyby, osiągnąwszy tron, chciał się na nim utrzymać. Była więc teraz pod brzemieniem tej wiadomości, tym bardziej jednak baczną na tok zdarzeń i poczynania kochanka. Wszakże jej serce nie znajdowało pocieszenia w tym, co widziała. Wojska było dużo i siły nawet wciąż rosły, ale Zarucki przyjmował bez wyboru wszystkich, którzy zgłaszali chęć służby pod jego buławą. Toteż choć jego armata liczyła już ze dwanaście tysięcy żołnierza, była to sfora raczej dzikich zwierząt niż ludzi. Nie ujęta w karby jakiegokolwiek dyscypliny, do tego lichy zbrojna i nie walkę mająca na celu, lecz tylko rozbój i gwałt. Watażkowie o byle co wadzili się ze sobą, chwytając od razu za broń, co raz to wybuchały więc burdy i zamieszki. Zarucki za miast zmierzać do zaprowadzenia jakiegoś ładu w tę zbrojną zbieraninę różnych nacji rozstrzygał spory bez jakiegokolwiek wnikania w przyczyny, nie szukał winnych, a jedyną karę,

jaką uznawał, ×cięcie, wymierzał podług chwilowego upodobania czy kaprysu. Wzbudzał tym strach przed własną osobą, jak i pozbawiał się autorytetu wodza i sędziego. Pogłębiało to powszechną anarchię, a i wzmagalo troskę Maryny o jej dalsze losy. Większo×ć owej zbieraniny stanowili Tatarzy, nieco mniej było Czerkasów i innych nacji, ale Kozaków, najbardziej warto×ciowego żołnierza, było niecałe dwa tysiące. Dowodził nimi ataman Tretiak Us i jemu Zarucki powierzył ochronę własnej osoby. Daremnie Maryna upominała kochanka, by więcej troski po×wiecał lepszemu wyposażeniu w broń i wyszkoleniu wojska, gdyż ×rodków na to nie brakło. Pieniądze z podatków wpływały obficie, ale też rozchodziły się szybko, bądź rozkradane, bądź wydawane na opłacanie donosów czy też rozdawane lekką ręką dla kaptowania popleczników. Już na przedwio×niu zaczęły dochodzić słuchy o znacznych siłach, jakie znów skupili pod sobą kniaziowie Odojewski i Chochłow. Wie×ci te pod koniec marca zaczęły się nasilać, a w kwietniu było już wiadomo, że ciągnie na Astrachań blisko dwudziestotysięczna armia strzelców, wiodąc za sobą także armaty na wypadek działań obleżniczych. Zarucki postanowił jednak nie zamykać się w murach miasta, bo nie naprawione należycie przez zimę dawały zbyt niepewną osłonę, a pałająca nienawi×cią ludno×ć zmniejszała szanse skutecznej obrony. Wyprowadził więc swoje wojsko w step i ruszył w górę Wołgi, by zachować można×ć swobody decyzji: przyjęcia bitwy lub oddzielenia się rzeką od przeciwnika. Wszakże wkrótce przekonał się, że ten nie pozwolił mu na dokonanie takiego wyboru. Wzdłuż bowiem rzeki maszerował mu naprzeciw Odojewski, uniemożliwiając w ten sposób przeprawę, a od północo \_zachodu ciągnął stepami Chochłow z wyraźnym zamiarem zaj×cia go z boku. Nie pozostawało atamanowi nic innego jak cofnąć się ku Morzu Kaspijskiemu i szukać po

drodze sposobnego miejsca do stoczenia bitwy. Był koniec maja. Morze Kaspijskie miał nieomal za plecami i cofać się już nie było gdzie. Zrozumiał, że nadszedł dzień, który zadecyduje o jego dalszym losie. Założył więc obóz, który gorączkowo umocnił, a kiedy zwiady doniosły, że nieprzyjaciel ukaże się lada godzina, wyprowadził swe pułki w pole. Maryna pozostawiła Dymitrka w obozowym namiocie pod opieką służebnej dziewczki, sama zaś przedarła się przez rozgorączkowany tłum rojących się przy wozach zbrojnych pachołków i wspięła na koronę usypanego niedawno szańca. Szeroką przestrzeń rozciągniętego przed nią pola przesłaniała na horyzoncie chmura odległej kurzawy, podobna tumanowi płowej, ruchliwej mgły. Dochodził stamtąd jakiś trudny do rozeznania zgiełk, niby brzęczenie rozgniewanego roju, to zacichając, to przybierając na sile, podobny do dudnienia odległego grzmotu. W dali toczyła się bitwa, ale Maryna nie mogła rozróżnić ludzkich krzyków czy też szczęku oręża, gdyż wszystko zlewało się w jeden ponury, pełen grozy tumult. Stała bez ruchu, z sercem pełnym trwogi o wynik toczących się już po raz drugi zmagania. Mijał z wolna czas, wzmagając jej niepokój, aż w pewnej chwili spostrzegła, jak na tle owej odległej chmury pojawił się mały obłoczek i szybko sunąc ku obozowi, rósł nieomal w oczach. Po chwili ujrzała Kozaka pędzącego całą mocą końskich sił. Zbliżywszy się ku szańcom nieco zboczył i gnając wzdłuż umocnień szukał bramy, którą na jego widok otwarto. Maryna zsunęła się z szańca i pobiegła ku majdanowi. Głowę jeźdźca widziała ponad zbrojnym tłumem czeladzi tłoczącej się wokół gońca. Po chwili zdołała przedrzeć się do swego namiotu, przed którym zsiadał właśnie z konia ataman Us. Goniec zjawił się przy nim natychmiast i ataman schyliwszy głowę słuchał, co mu ten mówił do ucha. Rozpychając pachołków zdołała wreszcie do nich dotrzeć. - Z

czym przybywacie?! Co z bitwą?! - zawołała pełna najgorszych przeczuć. Na jej widok Kozak zerwał z głowy czapkę, a Us po×pieszył z uspokajającym zapewnieniem: - Hetman przykazał powiedzieć, że z Bożą pomocą wnet ją szczę×liwie zakończy! Pod ciosami naszych szabel moskwiczanie idą w rozsypkę! - zawołał nie szczędząc głosu. - Huraaa! Huraaa! - rozległ się wrzask tłumu i poleciały w górę czapki. Jednak baczne oko Maryny nie dostrzegło na twarzy atamana rozradowania, które winne było towarzyszyć jego słowom. A rzucone zaraz polecenie pozbawiło ją resztek nadziei: - Do namiotu, wasza wielmożno×ć - rzucił jej półgłosem - zabierać carewicza i na wóz! Wiedziała, że na polecenie Zaruckiego miała stać za jej namiotem tielega, gotowa w razie niebezpieczeństwa do natychmiastowego wyjazdu. Otrzymane od atamana polecenie ×wiadczyło więc, że nie w rychłym zwycięstwie, ale w ucieczce należy spodziewać się ratunku. To przypuszczenie potwierdziły rozkazy wzywające czeladź na wały. Maryna, posłuszna więc, wbiegła do namiotu. - Cóż się dzieje, Us?! - zwróciła się do podążającego za nią atamana. - Czy musimy uciekać? - I to bez najmniejszej zwłoki! Zwołuję zaraz swoich ludzi i otoczmy wóz! - A hetman? Co z nim? - Po×pieszy za nami! I on, i ja wiemy, gdzie mamy się spotkać. - Muszę odszukać pannę Kazanowską! Nie wiem, gdzie mi się podziała! - Nikogo nie będziemy szukać, bo każda chwila zwłoki to zguba! Moskwiczani tylko patrzeć! Szybko, bo siłą wsadzę na wóz! Ataman bezceremonialnie ujął ją za ramię i skierował do tylnej płachty namiotu. W chwilę potem tielega, otoczona dwiema setkami Kozaków, ruszyła z miejsca i wypadła w step, pędząc po pochyło×ci wzgórza, na którym stał obóz. Zaprzęg składał się z czterech koni, które prowadził siedzący w siodle pacholek. Poderwał je od razu do pełnego galopu i pojazd potoczył się szybko, zasłonięty tumanem kurzu

wznieczanym przez otaczających go jeźdźców. Bitwa, którą Zarucki stoczył obecnie z kniazem Odojewskim, również i tym razem kończyła się zupełnym pogromem kozackiego hetmana. Jego armia po parogodzinnych zmaganiach przestała istnieć, bo, zdziesiątkowana, rozpierzchła się niby stado wystraszonych wróbli. Jej niedobitki umknęły kryjąc się w astrachańskich stepach, resztki tatarskich i czerkaskich watah w panice umykały w swoje strony. Zarucki zdołał zebrać przy sobie kilkuset Kozaków z oddziałów Usa i ująć z ogólnego pogromu, ale jego obóz, z którego udało się w ostatniej chwili wymknąć Marynie, dostał się w ręce kniazia Odojewskiego, a w nim trafiła do niewoli i panna Kazanowska. Hetman nie poniechał jednak ostrożności, zapewniając sobie zawczasu sposoby ucieczki. Do poczynionych przygotowań należało zebranie strug i innych rzecznych statków, zdolnych zwłaszcza do transportu koni. Czekały one w pobliskiej rybackiej osadzie, położonej nad samą Wołgą, osłonięte pasem żali i nadbrzeżnych mokradeł. Kiedy dotarł na miejsce, była już tam Maryna i Us z resztą swoich ludzi. Z tymi więc, których wyprowadził z bitwy, miał teraz blisko sześćset szabel. Mimo nadchodzących ciemności nakazał natychmiast ładować się na statki i w parę godzin potem spłynął ze swoją flotą na rzekę. Wołga już na dziesiątki mil przed swym ujściem dzieliła się na niezliczoną moc różnych odnóg, nurtów, łożysk, rzek i rzeczek, zmierzających wspólnie ku Morzu Kaspijskiemu. Wiły się one kapryśnie wśród obrosłych szuwarami mielizn, piaszczystych łąk, różnej wielkości wysp, często na kilkanaście wiorst długich, żalniętych łożyną, chaszczami, a nawet i starodrzewiem. Wielu z Kozaków Usa pochodziło z nadbrzeży rzeki, więc znając ją dobrze prowadzili statki przez całą noc. Dopiero o świcie stanęli na odpoczynek przy pokrytej lasem wyspie. Niedługo jednak dał hetman ludziom popasać, gdyż zdawał

sobie sprawę, że celem Odojewskiego nie było rozbitcie jego armii. Chodziło mu przede wszystkim o pojmanie Maryny wraz z dzieckiem, więc nie zaniecha pogoni, dopóki tego celu nie osiągnie. Dlatego jak najszybciej należało odsunąć się od Astrachania, w najbardziej niedostępne i dzikie odcinki rzeki, by tam, wśród splątanych jej nurtów i niezliczonych wysp, szukać schronienia. To przypuszczenie potwierdziła wkrótce rzeczywistość. Kiedy bowiem zdawało się, że wreszcie znaleźli dobrą kryjówkę, zwiadowcy donieśli, że dzień wcześniej w dole rzeki widziano strzelców. Trzeba więc było opuszczać wygodne schronienie i szukać nowego. Poruszenia te wielce utrudniały konie, stanowiące jednak dla Kozaków ostatnią deskę ratunku. Toteż Us postanowił pozostawić je pod opieką kilku żołnierzy na jednej z wysp pokrytej bujną trawą i dostatecznie osłoniętej sitowiem. Ta decyzja w znacznej mierze ułatwiła im potem swobodę ruchów, pozwalając na szybsze zmiany obozowisk. Maryna dzieliła z Zaruckim trudy tego koczowniczego życia bez sarkania, chociaż w ciągłej trwodze przed zawziętym przeładowcą, a do tego i bez nadziei na rychłe odzyskanie spokoju. Siedzieli przed małym, ledwie płonącym ogniskiem, zakryci cienką trzcina. Tuż za nimi, na lekkim wzniesieniu, stał szałas otoczony paru starymi dębami. Pogoda utrzymywała się bezchmurna, toteż kopuła nieba, usiana gwiazdami, wyglądała jak ciemny kobierzec, suto utkany milionem diamentów. - Chłopak śpi? - spytał półgłosem Zarucki rozgarniając końcem szabli żar ogniska, w którym piekły się oblepione gliną ryby, stanowiące teraz ich główny posiłek. - śpi - odpowiedziała Maryna, nie odwracając spojrzenia od nikłych płomieni pełgających po resztkach dopalających się gałęzi. - Na szczęście jakoś znosi trudy naszego życia... - świeże powietrze dobrze mu robi. Wyrośnie z niego dzielny mąż... - Zarucki próbował pocieszyć Marynę, wyczuwając troskę w jej głosie. - Oby

tylko przeżyć te uciążliwe dni... - westchnęła. - Tak uparcie nas ×cigają, że zaczynam wątpić, czy im ujdziemy. Zarucki u×miechnął się ukazując pod czernią wąsa biel zębów. - Czyżby× już upadała na duchu? Jak dotąd ty× podtrzymywała mnie w strapieniach. - Już tak długo kryjemy się na rzece, a oni nie przerywają poszukiwań... - Wreszcie przecież dadzą nam spokój! - Liczysz na to? - rzuciła sceptycznie, potem spytała: - A je×li nawet, to dokąd wówczas się obrócisz? - Ruszymy nad Don. Tam znajdę pomoc. - Oby się chociaż to udało. Bo nie mamy już dokąd uciekać! - Jeszcze i na wschodzie jest step przed nami, a za nim Jaik. Na drugim za×brzeżu rozciąga się kraj Kazachów, którego kresu nikt jeszcze nie zbadał... - Wydostawszy się z łap tygrysa wleziemy w paszczę niedźwiedzia... - parsknęła z sarkazmem Maryna. - Dziki to naród i wrogą wszelkim przybyszom, a my za słabi, by im sprostać. - Z szablą w ręku nie boję się i diabła! - warknął Zarucki, po chwili jednak dodał: - Wszakże trapi mnie zgoła co innego... Maryna obrzuciła go niespokojnym spojrzeniem. - Co× groźnego? - Chyba tak... Od koniuchów pilnujących stada nie ma żadnej wie×ci, by kto× ich niepokoił. My natomiast już parę razy musieli×my zmieniać kryjówki. Niech tylko gdzie× zalegniemy, wnet zwiadowcy dają ostrzeżenia... - Co by to znaczyło? - íe kto× od nas znosi się z moskwiczankami i przekazuje im wiadomo×ci. - Teraz mi to mówisz?! - wybuchnęła. - Bo spostrzegłem to niedawno. - Czy nie można tego zdrajcy przyłapać? - Jak to uczynić? Sam tego nie dokonam, a je×li rozpowiem, dowie się zdrajca. - Pogadaj z Usem. Może co× uradzicie... - Wła×nie z Usem! - pogardliwie prychnął Zarucki. - Staje się hardy i coraz ×mielej opiera się moim rozkazom. - Zatem przywołaj go do opamiętania. Choćby nahajką, je×li już nie szablą! Zarucki skrzywił usta w grymasie goryczy. - Sam jeden przeciw sze×ciu setkom? Przecież to wszystko jego ludzie! On to wie i



dlatego chce wziąć mnie w cugle. Na szczęście wie także, że jeśli dopuści do jawnej wani, strzelę mu w łeb, chociażby mieli mnie potem rozsiekać! - A więc nasze życie leży w istocie w jego rękach. Jak chcesz temu zaradzić?! - Chwilowo muszę udawać, że niczego nie dostrzegam. A potem obaczmy... W tej chwili rozległ się szelest zbliżających się kroków. Zanim przybysze nadeszli, Zarucki zdążył jeszcze szepnąć: - I ty także niczym się przed nim nie zdradź... Ostrzeżenie to okazało się o tyle na czasie, że jednym z przybyłych był właśnie ataman Us. Towarzyszył mu jego zastępca, Osip Tuma. - Dobryj wieczor, barynia... - przywitali Marynę zdejmując czapki, po czym Tuma dorzucił przysiadając się do ogniska: - I wam, mości hetmanie... - Tobie także, Osipie... - Zarucki uśmiechnął się. - Może popróbowujecie pieczonej ryby? Wnet będzie gotowa. - Jużemy po wieczerzy. Raczej przydałoby się piwko, ale tego nierychło posmakujemy... - rzekł z westchnieniem Tuma. - Wszakże nie o piwku, Osipie, chciałem koniecznie mówić - odezwał się Us. - Raczej o tym, co donieśli twoi zwiadowcy. - Ma rację Us, hetmanie... Istotnie, w ważniejszej przybyłem sprawie. Złe nadeszły wieści... - Znow są blisko? - domyślił się Zarucki. - Jeszcze jak blisko, psy przekłete... Ale tym razem już z obu stron, Odojewski od Astrachania, Chochłow od Czarnego Jaru. Zapewne obaj porozumiewają się ze sobą, by zagarnąć nas niby raki do worka. - Wszakże ów worek ma na szczęście sporą dziurę - rzucił nie bez sarkazmu Zarucki. Us spojrzał na niego z zaciekawieniem. - Gdzież ją widzicie? - Nietrudno dostrzec, bo wielka jak step, co ciągnie się za Wołgą. - W stepie się przecież nie schronimy - zaproponował Tuma. - Sześć setek koni zostawi ślad, po którym bez trudu nas dojdą! - Jaik płynie mil pięćdziesiąt stąd. W pięć dni możemy go dopaść, a on także ma wyspy jak i Wołga. A jakby i tam za nami dotarli, ruszymy w kraj Kazachów. - Za

mało nas, by się na to odważyć... - Us pokręcił głową. - Tym będziemy się trapić, jak przyjdzie czas. Teraz za× przykażcie ×ciągać ku nam konie, by×my o ×wicie mogli się przeprawiać. - Chyba to istotnie jedyny dla nas ratunek - rzekł z westchnieniem Tuma. - Trzeba porzucić Wołgę... Us wzruszył ramionami. - Może i jedyny, ale lichy... - mruknął, po czym stając na nogi, zwrócił się do Maryny: - Zatem, barynia, bądźcie z dzieckiem gotowi na czas, by×my na was nie czekali. W oczach Maryny zapaliły się na chwilę ognie gniewu, lecz opanowała się i spytała z u×miechem: - Albo×cie kiedykolwiek czekali? Tam gdzie materia mocna, dziury nie ma co szukać... - dorzuciła jednak z nieznaczną ironią. Słońce wznosiło się coraz wyżej ponad horyzont i coraz mocniej zaczynało przypiekać, zapowiadając znów skwarne dni. Na tle burozielonego bezmiaru stepu ciągnący nim jeźdźcy podobni byli ziarnkom maku rozsypanym w długą nić, wszakże żywą, bo ruchomą, szybko sunącą wprost w słoneczny blask. Konie były wypoczęte, więc szły ostrą rysią parskając ochoczo, a pochyleni w kulbakach jeźdźcy, jakby z nimi zro×nięci, poczęli ×ciągać kubraki z powodu wzmagającego się upału. Nawykli do długiej, jednostajnej jazdy, gawędą skracali sobie czas. Zdarzało się po drodze spotykać obro×nięte drzewami, płytkie z racji upału potoki. Zatrzymywano się nad nimi na krótkie postoje, by nieco wytchnąć w cieniu i napoić konie. Wreszcie ujrzano szeroki nurt Jaika, sunący jak i Wołga na południe, ku Kaspijskiemu Morzu. Tu Zarucki, nie napotykając tym razem na coraz częstsze sprzeczki Usa, zarządził dłuższy postój, rozsyłając jednocze×nie zwiady tak dla zbadania koryta rzeki, jak i ku zachodowi, by ustrzec się przed zaskoczeniem ze strony moskiewskich wojsk. Wkrótce otrzymał wiadomo×ć, że o parę mil w dół rzeki znajduje się wyspa zwana przez miejscowych rybaków Niedźwiedzim Ostrowiem. Miała kilka wiorst

długości i była pokryta lasem, z licznymi polanami nadającymi się na pastwiska dla koni. Ruszyli więc ku niej i po szczęśliwej przeprawie, bo stan wody był niski, dostali się na wyspę, kryjąc się w zarastającym ją gęstym lesie. Wkrótce też znaleźli polanę nadającą się na założenie obozu i pastwisko dla koni. Kozacy przystąpili więc od zaraz do cięcia trzciny i rąbania sosny na szałas. Rozpoczęło się normalne, obozowe życie. Szły częste zwiady, ale żadnych wieści o nieprzyjacielu nie przynosiły, choć Zarucki, coraz bardziej nieufny, sam je dokładnie przepytывał. Nieufność ta przerodziła się wkrótce w gorzką wiadomość własnej bezsilności, gdyż Us już wręcz zaczął ignorować jego zlecenia, coraz wyraźniej okazując, że on ma obecnie głos decydujący. Toteż w poufnych rozmowach z Maryną szukał sposobu na zmianę tej sytuacji. Nie znajdowali jednak innego wyjścia jak dalszą ucieczkę już nieomal samotnie, w najlepszym razie z kilkunastu Kozakami z dawnej przybocznej straży Zaruckiego, którzy nadal pozostawali przy nim. Wszakże do realizacji tej desperackiej decyzji nie doszło, gdyż wczesniej nadeszła noc, która położyła kres wszelkiej rozterce. Zarucki, który sypiał bardzo czujnie, usłyszał jakieś szmery dochodzące spoza wiotkiej ściany szałasu. Były to jakby stapania i słowa rzucane przyciszonymi głosami. Obudził natychmiast Marynę i oboje nasłuchiwali przez chwilę. Szmery jednak ustały i zapanowała cisza. Wkrótce jednak znów usłyszeli szelest stapań. Szałas wypełniała zupełna ciemność. Padał wprawdzie na ziemię pas światła od dogasającego w pobliżu ogniska, ale był zbyt nikły, by tę ciemność rozproszyć. Zarucki uniósł się z posłania i ruszył do słupa podpierającego dach, na którym wisiała jego szabla i pistolety. Nie zdążył jednak ich dopaść, gdyż raptem wewnątrz szałasu zapełniło się ludźmi. Kilku z nich od razu rzuciło się ku niemu, chwytając w żelazny uścisk jego ramiona i

wykręcając do tyłu ręce. W świetle uniesionych pochodni ujrzał przed sobą wysokiego, brodatego mężczyznę w półpancerzu na piersiach i z głową okrytą szłomem. Z szerokiego, skórzanego pasa zwisała mu podpięta wysoko szabla, a ramiona okrywała szeroka burka. Po wejściu do namiotu spoglądał przez chwilę bez słowa na jeńca, po czym przeniósł wzrok na Marynę, która tuliła do siebie dziecko, niezdolna z przerażenia wymówić słowa. Przy jego boku stał Us, który wystąpił do przodu i skłoniwszy się nisko, oznajmił uroczyście: - Biję czołem i krzyż całuję carowi Michałowi, a tych oto ludzi w wasze ręce, kniaziu Odojewski, oddaję! - Ty psie! - wrzasnął Zarucki próbując rzucić się ku niemu. - Bądź przeklęty, zdrajco! - Ty zdrajca, nie on, który swą wierność carowi dowiódł, prowadząc nas twoim ładem - odezwał się nie podnosząc głosu kniaź Odojewski, po czym wydał strzelcom rozkaz: - Skrępować go i strzec pilnie! A o wicie zastrugać mu pal! Na to oświadczenie Maryna porzuciła dziecko i przypadła do nóg kniazia. - Dlaczego taką mękę chcesz mu zadać?! Czyż serca w piersi nie nosisz, by tak okrutnie się mścić?! Miej litość, kniaziu, nad pokonanym! Odojewski spojrział na klęczącą Marynę i nadal gniewnie rzekł: - Jeszcze i tej kary mało za bratnią krew, którą ma na rękach! Nie ja, lecz łopunow i wielu jeszcze innych z za grobu zemsty żądają! Poniechaj tedy błagań, bo na nic się nie zdadzą! Odwrócił się od klęczącej kobiety i polecił jednemu z otaczających go dowódców: - Ją także wraz z dzieckiem wziąć pod straż! Jutro zabiorę ją do Kołomny! Tam będzie czekać w lochu, co postanowi Rada Bojarów! Wyprowadzono więźnia, a Marynę pozostawiono pod strażą w szałasie. Otoczył go pierścień strzelców, nie dając nikomu dostępu. Resztę nocnych godzin spędziła Maryna mało przytomna z oszołomienia tak nagłą i nieoczekiwane tragiczną zmianą swego położenia. O wicie zaś usłyszała najpierw bliską

krzątanię, padające rozkazy, a potem przeciągły, nieomal zwierzęcy skowyt, który spowodował, że zarzuciła kubrak na głowę, by nie słyszeć zawartej w nim męki. Po powrocie hetmana Rutje i Trojan ciągle teraz byli w drodze, tylko na krótko zatrzymując się w Bychowie. Mimo to Peter nie zapomniał o nie zakończonej rozprawie z Siergiejem, wiadom niebezpieczeństwa, którego całkowicie nie dało się usunąć. Dotychczasowe niepowodzenie mogło wprawdzie zniechęcić zabójcę do powtórzenia próby, ale też mogło wzmóc zawziętość, skłaniając do spełnienia powziętego zamiaru. Niepokój tak mocno go nurtował, że postanowił ponownie pojechać do Starodubia, by zasięgnąć języka o Siergieju, a zwłaszcza o Sucheckim, głównym inicjatorze zamachu. Obecnie podróż nie była już tak niebezpieczna i nie musiał odbywać jej w przebraniu, gdyż Lisowski w wyprawie na Karaczew, a potem Briańsk, zdobył Starodub i obsadził gród swoją załogą, którą z kolei wzmocnił podkomorzy Sielicki ludźmi z macisławskiego garnizonu. Ku zaskoczeniu Rutjego prośby o zezwolenie na wyprawę hetman nie potraktował lekceważąco, kwitując ją jedynie mruknięciem: - Jużem myślał, że poniechał zakończenia sprawy. Jedź tedy, ale nie siedź zbyt długo. Możesz wziąć nieco żołnierzy, lecz Trojana ostaw, bo mi potrzebny w Bychowie. Peter wziął więc ze sobą eskortę, gdyż jazda tylko z Makarym mogła stanowić zbyt dużą pokusę dla grasujących jeszcze tu i ówdzie rabusiów, i ruszył w drogę. Przebyli ją bez przygód. Od razu udali się na zamek, gdzie stało załogą stu pięćdziesięciu żołnierzy pod dowództwem porucznika Chabrowskiego. Rutje nie miał dokładnie obmyślonego planu działania, ale na początek postanowił zebrać nieco wiadomości, a dopiero potem powziąć decyzję, czy nie stanąć twarzą w twarz z Sucheckim, posłuchać, co powie, a przy tym zobaczyć, jak się zachowa. Począł więc odwiedzać wraz z Makarym

najdostatniejszą z miejscowych oberży i rozmawiać z przygodnymi towarzyszami stołu. I już po kilku dniach natknął się na dwóch miejscowych handlarzy smołą i potasem, którzy okazali się chętni do gawędy. Po wymianie wstępnych uwag o trudnościami, z jakimi obecnie borykają się kupcy, Peter w pewnej chwili zauważył: - Wszakże są i tacy, którzy mimo niespokojnych czasów doma nie siedzą. Na przykład t'opuchin czy Suchecki... - Tych stać na zbrojną eskortę - zauważył jeden z kupców, przeczesując palcami rudą brodę. - Chociaż Suchecki też już nie taki obrotny jak przed paru laty - wtrącił drugi. - Kiedy przewóz kosztował połowę ceny towaru, a dziś jego koszt stanowi podwójną wartość ładunku, bo przewoźnik każe sobie słono płacić za ryzyko, jeśli już nie utraty życia, to co najmniej zaprzęgu... - powiedział rudy. - Może Suchecki wzbogacił się już na tyle, że woli siedzieć w domu? - spytał Peter. - Jeszcze nie widziałem takiego, który, mogąc zarobić, siedziałby pod piecem... - On chyba z innej przyczyny nieskory do handlu - rzekł drugi kupiec. - Jakaż może istnieć przyczyna, dla której kupiec wyrzeka się zarobków? - Rutje okazał zainteresowanie tą uwagą. - Ponoć po stracie siostrzenicy wielce podupadł na zdrowiu. Musiał mocno ją miłować, ale też istotnie piękna to była dziewczyna! - Cóż się z nią stało? Zmarła? - Mówią, że uciekła z gachem! - Rudy rozeźmiął się. - Nie upilnował Grigorij dziewczęcej cnotki! - Z kimże uciekła? Z jakim miejscowym? - Różnie gadają... Ponoć ze sługą, niejakim Siergiejem. - Zresztą już poprzednio stary miał z nią kłopoty - wtrącił siwy zwracając się do kompana. - Pamiętasz to zdarzenie z tutejszym diakiem? - A tak, w samej rzeczy. No cóż, dziewczyna piękna, to niejeden ostrzył sobie na nią zęby... - A cóż to się zdarzyło z tym diakiem? - zainteresował się Peter. - Zadurzył się w dziewczę, co rychło dotarło do starego. Skutek był taki, że dopadli diaka jacy pachołcy i obdzielili nahajkami,

ostrzegając, by u×mierzył swe zapaly. Ponoć dwie niedziele w łożu przeleżał po tym zdarzeniu... - Kupiec swoją relację zakończył zło×liwym chichotem. - Cóż się potem z nim stało? - Co się miało stać? Nadal pełni służbę przy popie. Ale niech kto przy nim Sucheckiego wspomni, blednie na twarzy i zęby zaciska. Rutje chętnie by zadał jeszcze nieco pytań, lecz nie chciał zdradzać zbyt dużego zainteresowania osobą Sucheckiego. Zresztą kupcy wkrótce zaczęli się żegnać, więc zasięgnięcie dalszych informacji odłożył na inną okazję. Kiedy za× został sam z Makarym, spytał go: - No i co ty na to? Ten jak zwykle posłużył się sentencją: - A to, że nie tylko przyjaciele naszych przyjaciół, ale i wrogowie naszych wrogów są naszymi przyjaciółmi... Rutje skinął głową z u×miechem. - Wła×nie co× podobnego sobie pomy×lałem. Trzeba pogadać z tym braciszkiem. - Nietrudno go będzie znaleźć... - mruknął lakonicznie Makary. Nawiązanie kontaktu okazało się łatwiejsze, niż przypuszczali, gdyż znaleźli niespodziewanego po×rednika. Kiedy bowiem wieczorem udali się do cerkwi, pierwszą osobą, na którą się natknęli, był niespełna dwudziestoletni chłopak kręcący się przy ołtarzu. Rutje podszedł doń i zagadnął o diaka. Ujrzał znajomą twarz, wszakże w pierwszej chwili nie mógł sobie przypomnieć, skąd ją zna. Natomiast chłopak najpierw znieruchomiał, a potem wykrzyknął przypadając mu do ręki: - Co tu robicie, wielmożny panie?! Ie też Bóg pozwolił znów was ujrzeć! Teraz dopiero, przyjrząwszy się uważniej rozja×nionej twarzy chłopca, Peter wiedział, kogo ma przed sobą. Był to ów młodzik Kola, którego ojcu zdołał uratować życie w czasie wyprawy po żywno×ć, w jakiej parę lat temu brał udział pod komendą pułkownika Wessela. - Jak zdrowie, Mikołaju Nikołajewiczu Soroka? - rzucił więc z u×miechem, okazując chłopcu, że nie zapomniał jego prezentacji sprzed lat. - Jak się ma rodzic? Czy wylizał się z rany? - Ozdrowiał, wasza

wielmożno×ć, za waszą przyczyną! Teraz gospodarzy u siebie i za was modlitwy odmawia. - Nie warto o tym wspominać, ale rad słyszę, że ma się dobrze. A ty? Czemuż to w cerwki cię widzę? - Bo z woli rodzica sposobie się do kapłańskiego stanu. Ponoć wojaka ze mnie nie będzie, więc miast carowi Bogu mam służyć. - Chcę mówić z diakiem, gdzie go najdę? - Siądźcie, panie, w ławce, wnet go wam przywiode. - Nikomu nie mów, że o niego pytałem, jemu wszakże powiedz, kto jest, aby nieufno×ci ku mnie nie miał. Chcę z nim pogadać. Kola odszedł, by spełnić polecenie. Wkrótce też powrócił z wysokim, szczupłym mężczyzną o twarzy okolonej czarną brodą. - Wielcem rad z poznania waszej wielmożno×ci, bo Kola już mi powiedział, kim jeste×cie. Czym mogę wam służyć? - spytał zdradzając zaciekawienie. - Rad bym z wami nieco pogawędzić... - Słucham was zatem. Poprowadził ich do bocznej kaplicy o×wietlonej palącymi się na ołtarzu ×wiecami. Ich ×wiatło wydobywało z mroku bogate złocenia ołtarza i wiszącej nad nim ikony. Lampka oliwna migotała przed nią nikłym płomieniem w czarce z kolorowego szkła. W ×wiatyńni panowała cisza, w której najmniejszy szmer zwielokrotniało echo odbite przez wysokie sklepienie. Diak wskazał im miejsce na jednej z ław. - Już wiecie o mnie co nieco - zagaił rozmowę Rutje. - Ale nie to, dlaczego przybyłem do Starodubia. Tu bowiem przebywa człowiek, który grozi memu życiu... - Grozi życiu?! - zawołał diak wyraźnie poruszony tym o×wiadczeniem. - Któż to jest? - Ten sam, który nastawał również na was. - Suchecki? Skąd wszakże wiecie o mnie? - Ludzie chętnie gadają. Ale nie o to chodzi. Chciałem tylko was spytać, czy gotowi jeste×cie udzielić mi przeciw niemu pomocy? Bo chcę go dopa×ć, zanim on dosięgnie mnie. - W czymże mógłbym was wesprzeć ja, Boży sługa? Zemstę nad tym niecnym człkiem Bogu ostawiłem i modlę się jeno, by dosięgła go na moich



oczach. - Miłujesz nadal jego siostrzenicę, ową piękną Sonię?  
- To wiecie także? Tak, miłuję całym sercem i duszą! Ona za×  
uciekła, i to z kim, z własnym sługą! Na te słowa oburzenia  
Rutje spytał zdziwiony: - Czyżby Siergieja tu nie było?  
Istotnie, słyszałem o jego ucieczce, sądziłem jednak, że  
powrócił. - Chyba nie, bo nikt go tu nie widział. - Kto zatem  
teraz jest przy Suheckim? - Ma jakiego× chłopaka do koni, a  
w domu swoją dawną gospodynię i dwie dziewczyny do  
pomocy. Jednej z nich, Duni, w oczy zagląda nasz Kola... -  
dorzucił żartobliwie diak. - I cieszy się wzajemną  
skłonno×cią? - Chyba tak, bo zdarza się, że wieczorami  
przesiaduje u nich w kuchni. - Stary tego nie dostrzega? -  
My×lę, że on tylko Soni chronił przed obcymi. - Te jego  
odwiedziny mogą nam się przydać, więc mu ich nie  
wzbraniajcie. - Jak dotąd, ostrzegałem go tylko. - Sądzę, że  
wspomożecie mnie w działaniu, gdyż wspólnego mamy  
wroga. - Z rado×cią uczynię, co tylko zdołam. Skoro dobry  
Bóg sojusznika z pomocą mi zesłał, Jego znak w tym widzę! -  
Mój towarzysz wkrótce was zatem odnajdzie, by uzgodnić  
czas naszego spotkania, gdyż jeszcze tu ostanę przez kilka dni.  
Nie omieszkać też odwiedzić Grigorija Pawłowicza, bo nie  
zaszkodzi w twarz mu spojrzeć. W drodze na zamek, w  
zupełnej już ciemno×ci, mało ze sobą z Makarym rozmawiali.  
Dopiero kiedy znaleźli się w izbie przeznaczonyj im na  
kwatery, Rutje, zdejmując kaftan, odezwał się do towarzysza:  
- Co sądzisz o Siergieju? Gdzie mógł się podziać? - My×lałem  
o tym wracając... - Makary przysiadł na posłaniu i ×ciągał  
przemoczone obuwie. - Albo zginął po drodze, albo też uciekł  
od Suheckiego. - W obawie przed jego gniewem po  
nieudanym zamachu? - Może i dlatego, że zabił dziewczynę...  
- Miał wytłumaczenie, był pewny jej zdrady. - Bez dowodów?  
Na zasadzie własnego tylko domniemania? - Poniewczasie  
opamiętał się i przestraszony, że postąpił zbyt pochopnie,

wolał Sucheckiemu przed oczy nie wchodzić. - Być może, że wła×nie tak było, bo jako× mi się nie widzi, by taki zbój jak on dał się po drodze zarąbać - zgodził się Makary. Następnego dnia Rutje postanowił odwiedzić Sucheckiego, ciekaw przede wszystkim, co ten powie na jego widok. Zabrał jak zwykle Makarego i w rannych godzinach udali się do domu starego szlachcica. Brama na podwórzec była już otwarta. Pacholek, nachylony nad studnią, wyciągał długi drąg żurawia i nalewał do koryta wodę, którą piło, wyciągnąwszy szyje, kilka tłoczących się przy nim koni. Makary rzucił na nie okiem i raptem stanął w miejscu, łapiąc Rutjego za ramię. - Widzisz waszmo×ć?! Chyba poznajesz?! - rzucił podnieconym głosem. - Pierwszy z brzegu, schyliwszy łeb, stał piękny kasztan o białych pęcinach i taką samą gwiazdką na czole. Rutje poznał go od razu. - Co by to miało znaczyć? Siergiej nie przybył, ale jego koń tu jest! - Skoro jest koń, to i jeździec musi być także... - I tyle czasu miałby się ukrywać? Gdzie i dlaczego? - Zatem ujrzeli×my końską zjawę... - mruknął z sarkazmem Makary. Drzwi otworzyła im jasnowłosa dziewczyna o wesołych oczach, wyrażających teraz nieme pytanie. - My do Grigorija Pawłowicza - oznajmił Rutje. - Jest w domu? - Jest. - Zwą cię Dunia? Nieprawdaż? - Tak, wielmożny panie! Ale skąd wiecie? - Umiem zgadywać - odpowiedział z u×miechem Peter. - Powiedz gospodarzowi, że przybył Peter Rutje i chce z nim mówić. Minał dziewczynę i wszedł do sieni z Makarym za plecami. Dunia zniknęła za drzwiami w głębi i wkrótce pojawił się w nich Suchecki. Rutje stwierdził nie bez wewnętrznego zadowolenia, że stary był blady, jakby miał twarz umalowaną wapnem. Broda drgała mu od hamowanej pasji, a oczy zdawały się gorzeć ogniem w×ciekło×ci. Cichy głos, jakim rzucał pytania, jeszcze bardziej wzmógł groźbę zawartą w jego twarzy. - Czego... czego tu szukasz? Czego chcesz? - Pogadać z waćpanem - o×wiadczył beztróska Rutje.

Ruszył z miejsca, zmuszając w ten sposób starego do cofnięcia się. Minał go i bezceremonialnie przekroczył próg komnaty. Suchecki odprowadzał go wzrokiem pełnym nienawi×ci, która widać tamowała mu dech, bo wyrzekł nieomal szeptem: - Jak ×miesz mnie nachodzić? Precz stąd... Precz... bo poszczuję psami... Makary, który wszedł za Sucheckim, odezwał się spokojnie: - Mów waćpan gło×niej, bo mało co cię słyszym. A pieski bacikiem przeciągnę... A i dla wa×ci go starczy! - Wyciągnął zza cholewy krótki bykowiec i machnął nim w powietrzu. - Toż to napa×ć! W moim własnym domu! Won stąd! - zapiszczał dyszkantem gospodarz, nadal nie panując nad głosem. - Opanuj się wa×ć, bo zło×ć, która tobą miota, zamąci my×li i nie pojmiesz, co ci powiem - mówił Rutje pozornie przyjacielskim tonem. - Nie ciekawym twego gadania! Moją zło×ć rodzi twój niecny uczynek! Zabije× biedną dziewczynę, jedyną pociechę starca, która cię umiłowała i za tobą poszła! Rutje roze×miał się. - Wiesz dobrze, kto to uczynił, a nienawidzisz mnie, bom nie dał się zwie×ć, tobie i jej! - Brednie gadasz! Czy i Siergiej chciał cię zwie×ć? - Czyżby× sądził, że i on zginął z mojej ręki? - A z czyjej? Kazałem mu jechać za dziewczką, przywie×ć ją do opamiętania i zabrać do domu, ale ubiłe× go także! - Więc nie wrócił do ciebie? - Jakże martwy mógł wrócić? - Skąd zatem wiesz, co się z nimi stało? Czyżbym, ubiwszy oboje, chwalił się tym przed ludźmi? Pytanie to, rzucone nadal pogodnym tonem, sprawiło, że Suchecki zamilkł. Twarz mu zdrętwiała, jakby wycięta z drewna, a w oczach pojawił się wyraz skupienia. Milczał jaki× czas ze zmarszczonymi brwiami, wreszcie na jego wargach pojawił się zło×liwy u×mieszek. - Wykręcasz się niczym wijun... Ale nic ci to nie pomoże! Wiem od ludzi, co zaszło! A najdą się i ×wiadkowie, którzy to potwierdzą! - Tedy szukaj ich co rychlej! Ale skoro tak dobrze znasz sprawę, powiedz mi jeszcze, gdzie się to

stało? - To chyba jasne! Tam gdzie przebywała Sonia, u ciebie w Bychowie. - A więc wiesz, że tam wła×nie uciekła? Czyżby ci to wyznała? Bo przecież i Siergiej wiedział, gdzie ją szukać. Ale skoro już o tym mówimy, jednego nie umiem pojąć...

Peter zawiesił głos. Suchecki milczał wyczekująco, przyglądając mu się spod oka, wreszcie ponaglił niecierpliwie: - Czegóż to?! Przecież sprawa widna jak na dłoni! - Może i tak... Skoro jednak to ja Siergieja ubiłem, wierne masz wierzchowce, bo same do stajni wracają... - Wierzchowce? - powtórzył Suchecki zaskoczony tą uwagą. - Do czego zmierzasz? - Widziałem w podwórzu konia Siergieja... - pozornie obojętnym tonem rzucił Rutje. - Skąd ci wiadomo, że to wła×nie ten?! - nieomal krzykiem wybuchnął Suchecki. - Bom go dobrze obejrzał jeszcze w Bychowie. Rosły kasztan, z białymi pęcunami. - Ty psie... ty przekłety psie... - Suchecki znów zniżył głos nieomal do szeptu. - Je×liby Siergiej wrócił, to gdzież by był? Gdzie do tego czasu by się skrywał? - Wła×nie o tym my×lę. - Patrzcie go! I cóże× wymy×lił?! - Siergiej przybył z wie×cią o nieudanym zamachu i ×mierci Soni, którą być może mnie przypisał lub nawet i wyznał prawdę, pomawiając ją o zdradę. Zabił× go więc może w zło×ci za okazaną samowolę i nieudany zamach, a może też, by w ten sposób uciąć ×lad wiodący ku tobie. Chodź, Makary, do×ć tej gadaniny. Peter nie odkładał spotkania z diakiem. Tak jak poprzednio palące się ×wiece rzucały tylko mały, żółty krąg ×wiatła, resztę wnętrza cerkwi pozostawiając w ciemno×ci, z którą jeszcze walczyły resztki po×wiaty uchodzącego dnia. Usiedli na tej samej ławce, ale tym razem diak zagaił rozmowę: - Rozważając usłyszane od was wie×ci dostrzegłem, że więcej wiecie o Sucheckim niż ja, co tu z nim przebywam. Stąd sędzę, że i o losie dziewczyny więcej mogliby×cie mi powiedzieć niżli to, com usłyszał. - I spojrział wyczekująco na Rutjego. Ten postanowił niczego nie taić,

gdyż wcześnie czy później jego rozmówca i tak dowiedziałby się prawdy o dziewczynie i jej tragicznej śmierci. - Owszem, bracie, mogę ci o niej opowiedzieć to, czego w niewiadomości swej pragniesz dojść. Wiedz zatem, że była to niewiasta, która nie umiała odróżnić dobra od zła, gdyż Bóg pozbawił ją ludzkiej cechy zwanej sumieniem. Potrafiła mówić o miłowaniu, a może i naprawdę miłować, ale za chwilę z równą łatwością mogła dosypać ci do wina trucizny. Myślę wszakże, że nie z pociągu do zbrodni to czyniła, ale braku rozeznania w swych postępkach. Sądzę też, że obca jej była zarówno miłość jak i nienawiść. Jak ociemniała czyniła wszystko, co jej rozkazano, posłuszna człowiekowi, który dzierżył ją w okowach swej woli. - To nie może być prawda, skąd znasz ją na tyle, by tak ją spotwarzać?! Kłamstwem grzeszysz, nieznanemu człowiekowi... - wyjąkał diak schylając głowę. Rutje położył mu dłoń na ramieniu. - Prawda to, bracie... I lepiej dla ciebie, że jej nie doświadczył. - Ale co z nią? Co się z nią stało?! - Nie będę cię oszczędzał. Ona nie żyje. Ubił ją ów Siergieja, pchnął nożem. - Więc nie żyje... - szepnął cicho diak. Osunął się na kolana i uderzył czołem o płyty posadzki. - Wieczny odpoczynek racz jej dać Panie... Rutje ujął go za ramiona i dźwignął na ławę. - Opanuj, bracie, ból, bo nie pokarał cię Bóg, lecz ochronił. Słowa te jednak zdawały się nie docierać do kapłana. Dopiero po chwili uniósł opuszczoną głowę i spojrzał na Rutjego. - No cóż... Oprzytomnieć mi trzeba i żyć dalej, chociażby po to, by sprawca poniósł karę. - Chyba już się to stało - oświadczył Rutje. - Znaleźliśmy w obejściu konia Siergieja. A skoro jego samego nie ma, można sądzić, że Suchecki go zgładził. - Kiedyż zdążył to zrobić? - Zapewne Siergieja przybył nocą, stary go wpuścił, a potem wysłuchawszy, co zaszło, od razu uśmiercił, by urwać swój związek ze sprawą. Wszakże prawdy już się chyba nie dowiemy. - Zaiste straszny to człek!

- Wszakże pojmać go nie mogę, bo dowodów przeciw niemu nie mam. Ale przyjdzie dzień, że go dosięgnę! - I chcesz, abym był ci pomocny? Ale jak? - Teraz wracam do siebie, bo niczego więcej już tu nie zdziałam. Ty za× dawaj baczenie na tego człowieka. Gdzie wyjeżdża, z kim się znosi... My×lę, że Kola może ci w tym być wielce pomocny dzięki Duni, która służy u Sucheckiego. Lecz musi zachować ostrożno×ć, by stary niczego nie spostrzegł. - Jedźcie z Bogiem, bracia... Będę mieć go na oku. Zimne i mokre były lochy kołomnickiego zamku, gdzie przebywała Maryna wraz ze swym Dymitrikiem, w zgoła nie carskich warunkach, ale z nieustępliwą dumą prawowitej carycy. Być może, że to wła×nie przesądziło ostatecznie o jej losie i spowodowało decyzję Rady Bojarów sprawującej istotną władzę przy młodocianym carze. Nastął już grudzień, kiedy przybyli z Moskwy wysłani przez Radę pełnomocnicy z wyrokiem ×mierci na Marynę i jej syna. Dymitrek i bez tego bliski był zgonu, gdyż bytowanie o lichym wikcie, w surowych, podziemnych murach odbierało mu siły i zdrowie. Gaśł więc ku rozpaczyci matki, która już znikąd nie mogła oczekiwać pomocy. Toteż mimo że zapadł już Boski wyrok i posłuszną mu ×mierć nachylała się nad posłaniem Dymitrika, przyszła straszna noc, gdy na korytarzu rozległy się ciężkie stapania, zazgrzytał w zamku wielki, żelazny klucz i drzwi lochu rozwarły się z hukiem. Do celi weszło czterech osiłków, z których jeden dzierżył pochodnię. Za nimi postępował człowiek odziany w bogatą szubę. Zatrzymał się na progu i surowym spojrzeniem ogarnąwszy wnętrze, wypowiedział rozkaz: - Z carskiej woli i jego przykazania czyńcie swoją powinno×ć! Maryna zerwała się na nogi otulając opończę i chciała rzucić się ku dziecku, ale nie dano jej tego uczynić. Dwóch pacholków ujęło ją za ramiona przytrzymując w miejscu, trzeci za× ze sznurem w ręku nachylił się nad

dzieckiem. Rozpaczliwy krzyk kobiety rozdarł ciszę podziemia, kiedy sznur oplótł się wokoło szyi chłopca. Wypełnił całe podziemie, uderzył o mury, które jakby od niego zadrżały, odbił się od nich echem i nagle zamarł, gdyż, zemdlona, zwisała bezwładnie w rękach pachołków. Mężczyzna w szubie nachylił się nad zwłokami, uniósł powieki chłopca, po czym, również bez słowa, ruchem ręki wskazał oprawcom drzwi. Na ten gest unie×li zemdloną i ruszyli do wyj×cia. Był przed×wit i niebo na wschodzie dopiero zaczęła rozja×niać słaba jeszcze po×wiata. Pod murami oczekiwała już łódź, na którą wniesiono wciąż jeszcze zemdloną Marynę. Wiosła opadły i łódź popłynęła ku ×rodkowi rzeki. Poczet za× jeźdźców, oczekujący przy furcie, trącił ostrogami konie i ruszył wzdłuż brzegu. Wkrótce pozostawili za sobą ostatnie domy miasta i wydostali się na otwarte pole. Robiło się coraz ja×niej, słaby początkowo brzask wstającego dnia rozgorzał już czerwoną łuną, zapowiadając rychłe ukazanie się słońca. Nad horyzontem włóczyły się rozciągnięte chmury, plamiąc sinymi smugami szkarłatny blask ×witania. Mróz był tęgi. Kopyta koni głucho uderzały o zamarzną ziemię, a z nozdrzy ludzi i zwierząt szły kłęby pary. Jadący na czele jeździec wstrzymał w pewnej chwili konia i uniósł do góry ramię. Na ten znak łódź, zahamowana wiosłami, także zatrzymała swój bieg. Pachołcy w łodzi unie×li Marynę, która już ocknęła się z omdlenia, i podpierając ją, postawili na nogi. Jeden z oprawców przykląkł i przywiązał do nich opleciony sznurem, wielki kamień. Maryna schyliła głowę i chwilę patrzyła, co robi. Jeźdźcy stali nieruchomo na brzegu, na tle czerwonej łuny podobni do czarnych posągów. Rzeka sunęła masą ciemnej wody znacznie niżej, bo brzeg był wysoki, toteż kolebiąca się na niej łódź dobrze była widoczna. Maryna raptem uniosła głowę i jakby teraz dopiero pojawił się, co ją czeka, całą mocą piersi

krzyknęła ku nieruchomym postaciom: - Przeklinam was za ×mierć moją, a dzieci wasze za ×mierć mego dziecka! Bądźcie przeklęci!... trzykroć przeklęci!!! Krzyk zaraz jednak się urwał, gdyż uniesiono ją i wraz z kamieniem przerzucono przez burtę. Plusnęła bryzgami woda, kobieta zniknęła w jej ciemnym nurcie i tylko przez krótką chwilę widać było na powierzchni smugi czarnych włosów Maryny. W miejscu za×, gdzie zniknęły, pojawiło się tylko kilka pęcherzyków, rychło wszakże zatartych szybkim prądem rzeki. Marcowy sejm 1615 roku po burzliwych obradach i gwałtownych atakach opozycji został zerwany i jak potem pisał hetman Chodkiewicz, "spełził bez obrony". Zgnębiony tym wrócił hetman na pogranicze, ale zły stan zdrowia, do którego w wielkiej mierze przyczyniły się nieustanne troski, nie pozwolił mu na osobiste działania. Przebywał więc bądź w Bychowie, bądź w Lachowiczach. W maju otrzymał wiadomo×ć, że car, niezadowolony z opieszalych działań dotychczasowego dowódcy Dymitra Czerkaskiego, dając mu nagane, że tak długo leżał w ostrożkach i nic nie sprawił, straciwszy cztery tysiące ludzi na różnych pogromach, posyła z niemałym wojskiem i armatą kniazia Iwana Chowańskiego i Mirona Weliamonowa. Zmusiło to słabującego hetmana do zebrania sił i osobistego powrotu na pole walki. Wszakże do energiczniejszego działania ze strony nieprzyjaciela i nadal nie przyszło, a to z powodu tak niepokoju wewnątrznych w państwie moskiewskim, jak i dzięki szybkim i sprawnym akcjom dywersyjnym pułkownika Lisowskiego, który nie tylko niepokoił i szarpał armię samego Chowańskiego, ale szybko zmieniając teren działań grasował wokoło Moskwy, a nawet dotarł do wybrzeży Morza Białego. W dużej więc mierze to jemu Smoleńsk zawdzięczał, że mimo słabej, bo około tysiąca ludzi liczącej załogi bronił się skutecznie. Doszło więc do rozmów pokojowych. Kiedy Chodkiewicz zebrałszy, jakie



zdołał, siły, stanął w październiku obozem niedaleko Smoleńska, towarzyszyli mu komisarze przydatni dla prowadzenia układów. Te wszakże nie toczyły się gładko, gdyż wysłannicy moskiewscy żądali przede wszystkim zwolnienia z niewoli carskiego rodzica, metropolite Filareta, i oburzali się, kiedy nazywano cara Michała "Filaretczykiem", z jednoczesnym tytułowaniem królewicza Władysława carem. Wiedzieli zresztą o gwałtownej opozycji na dworze polskim przeciw Zygmuntowi oraz wojnie z Moskwą, co spowodowało odmowę uchwalenia podatków na ten cel. Przeciągali więc moskiewscy posłowie rozmowy, spierając się o sprawy związane z ceremoniałem, jak pierwszeństwo w zdejmowaniu nakryć głowy, miejsca spotkania i inne zgoła błahe szczegóły. Pertraktacje spełzły ostatecznie na niczym, toteż 11 lutego 1616 roku hetman zwinął obóz i odjechał wraz z komisarzami, dalszą obronę Smoleńska poruczając Chlebowiczowi. Zatrzymał się na krótko w Lachowiczach, po czym ruszył do Warszawy, by wziąć udział w sejmie wyznaczonym na 26 kwietnia. Tym razem posłowie uchwalili podatki niezbędne dla dalszego prowadzenia działań wojennych oraz "pozwolili" królewiczowi czynić zaciągi na wyprawę celem dochodzenia praw do carskiego tronu. Podejmując tę uchwałę postanowiono jednocześnie dowództwo nad wyprawą powierzyć ółkiewskiemu, hetman jednak odmówił z powodu braku spokoju na południowych granicach. Przyszło więc znów zwracać się do zgorzkniałego i zawiedzionego litewskiego hetmana, który pisał o sobie, że jest u dworu "wzgardzony, karmiony szyderstwami i innymi przysmakami". Mimo to i tym razem nie uchylił się od służby ojczyźnie, przyjmując dowództwo. Król za, by zjednać sobie zasłużonego wodza, mianował go wojewodą wileńskim po zmarłym właśnie Mikołaju "Sierotce" Radziwille. Hetman powiadomił zaraz Chlebowicza o uchwalonych przez sejm

podatkach, także o zamierzonej wyprawie Władysława, ale znając z doświadczenia opieszałość poborców, zalecał cierpliwość, obiecując wszakże, że do pierwszego września nadejść odsiecz, gdyby za i tym razem nastąpiło "uchybiecie terminu", zezwalał na kapitulację. Szczęśliwie jednak do tego nie doszło, bo wojewoda zdołał twierdzę obronić, a na początku jesieni 1615 roku moskiewscy wodzowie odstąpili od oblężenia. Na tę decyzję w znacznej mierze wpłynęło działanie dwóch znakomitych dowódców - Lisowskiego i referendarza litewskiego, byłego komendanta Kremla, Aleksandra Gosiewskiego, którzy grasowali wokoło Smoleńska niepokojąc oblegających nagłymi napadami, a nawet zapuszczając się aż pod Moskwę. Po wydaniu zarządzeń Chodkiewicz udał się do Lachowicz, by tam oczekiwać królewicza Władysława. Stamtąd 16 lipca wysłał "testimonium" pułkownikowi Lisowskiemu, by obrócił się na kolejną wyprawę na Moskwę "zaciągnawszy tychże ludzi... ale nie na skarb Rzeczypospolitej, tylko wolni z dobrowolnej chęci w ziemi nieprzyjacielskiej służący dotąd, póki królewicz JSM do Moskwy nastąpi, którego łasce natenczas będzie należało zasługi ich im wynagrodzić, służbę przypowiedzieć". Jednak odpowiedź, jaką otrzymał od Lisowskiego we własnym i towarzyszy imieniu, oznajmiała, że na "łaskę" służyć "nie mają woli". W tym czasie, a był to już wrzesień, Lisowski szedł na zachód, by stanąć na zimowe leże bliżej polskiej granicy, na swoją kwaterę upatrując Starodub. Ostatniego roku, kiedy ze względu na zły stan zdrowia hetman dłużej przebywał w swoich majątkach, Rutje niewiele miał roboty. Ze Starodubia otrzymał dwukrotnie zawiadomienie, że Suchecki nie rusza się z miasta i mało styka z ludźmi. Były to wieści uspokajające i wskazywały, że być może stary zaniechał dalszego działania. Wykorzystując ten stan rzeczy, stęskniony za rodziną i ciekaw spraw

domowych, za hetmańskim przyzwoleniem wybrał się do Rewla, gdzie zabawił przeszło rok. Był więc sześćset szesnasty, kiedy wrócił. Zjawił się w Bychowie w połowie września, ale tam dowiedział się, że hetman od powrotu spod Smoleńska przebywa w Lachowiczach. Odpoczął więc przez kilka dni po długiej podróży i ruszył dalej, kierując się na Bobrujsk, a potem Słuck, by pod koniec miesiąca dotrzeć do Lachowicz. Tu nieomal od razu spotkał Trojana, który także przed kilku zaledwie tygodniami powrócił z Litwy, gdzie przebywał przez lato. Marek wziął go zaraz na swoją kwaterę, ale gadaninę odłożyli na później, gdyż Peter, zmieniawszy tylko przydzwiek i jako tako obmywszy się z podróżnego pyłu, pieszyczył do pałacu, by zgłosić hetmanowi swoje przybycie. Pan Chodkiewicz wszakże nie czuł się najlepiej i polecił mu przez pokojowca przybyć następnego dnia. Stawił się więc nazajutrz i rychło został wezwany przed pańskie oblicze. Zastał hetmana w jego gabinecie, spoczywającego w fotelu podsunętym do otwartego okna. Dzień był ciepły, mimo to Chodkiewicz siedział z podbitą futrem delią na ramionach. Hetmańskiemu obliczu przybyło zmarszczek, a głowie i brodzie siwych włosów. ściągnięte policzki świadczyły o ubytku sił, jednak ciemne oczy zachowały dawny blask. Na widok Rutjego skinął dłonią, by się zbliżył, i zagadnął go z uśmiechem: - Widzę, że acanowi sporo na wadze przybyło! Postaramy się tedy, byś do należytej sprawności powrócił. - Obyż i wasza wielmożność rychlej doszedł do zdrowia! - Aby nie za rychło, starają się o to koroniarze... A z nimi i moskwiczanie! Całą zimę w obozie daremnie przesiedziałem, co zdrowia mi nie przysporzyło, a szósty krzyżyk się zbliża. - Mimo to winszować trzeba waszej wielmożności królewskiej łaski z przyczyny nowego urzędu. Hetman machnął niechętnie ręką. - Wolałbym, żeby swą łaskawość inaczej mi okazał. Wciąż na nic nie staje pieniądze,

toteż niezadługo baby będą widłami kraju bronić! - Wszakże już po drodze słyszałem, że Gosiewski i Lisowski mocno Moskwie dają się we znaki i nawet Smoleńska musieli poniechać... - W tym i Chlebowicza zasługa, że ich napór przetrzymał, i to tak nędznymi siłami! Jak mogłem, tak go wspierałem, lecz tak mu się już żołnierz wykruszył, że go nie więcej niż osiem setek zostało! Szczę×ciem Moskwa także ma swoje troski - bojarzy między sobą się wadzą, a w kraju jeszcze spokoju nie ma. - W dużej mierze i za przyczyną obu pułkowników. - Nie przeczę, choć Lisowski ostatnio hardo mi stanął i służby odmówił. - Służby odmówił?! Cóż zatem zamierza czynić, je×li nie chce ojczyźnie służyć? - To dopiero obaczmy, bo na razie ×ciągnął do Starodubia, zapewne na zimowe leże. Usłyszawszy tę wiadomo×ć Rutje na chwilę zaniemówił, a potem, pochyliwszy się do przodu, rzucił nieomal ze strachem: - Do Starodubia, wasza wielmožno×ć? Chodkiewicz obrzucił go zdziwionym spojrzeniem. - Cóż to, acan źle słyszysz? - burknął. - Toć w gębie klusek nie mam! Rutje wyprostował się i westchnął. - święty Boże, toć wlaź tam jak w pieczarę, gdzie żmija siedzi! - O czym acan mi tu gadasz?! - Hetman już się rozzło×cił, co wszakże przychodziło mu łatwo. - Jaka znów żmija? - Przecież tam przebywa ów Suchecki, do którego jeździłem! Miałem wprowadzić wie×ci, że siedzi spokojnie, ale skoro boskim zrządzeniem taki wódz jak Lisowski sam mu się pod rękę nawinał, okazji nie poniecha! Muszę tam jechać z ostrzeżeniem, i to zaraz! Chodkiewicz spojrział spod oka na swego dworzanina. - Tylko co z konia zlazł× i znów chcesz ruszać w drogę? Tak groźny to człek? - Wiem, do czego zdolny! O×mielam się przypomnieć waszej wielmožno×ci zdarzenie w czeczowiczowskiej karczmie. Tego zbója on sam potem zabił! - Ale dowodów na to znów nie masz?! - Skąd zatem wierzchowiec nieboszczyka znalazł się w stajni Sucheckiego?

Zresztą kiedym mu w oczy oskarżenie rzucił, wy×miał mnie wprawdzie, ale nie zaprzeczył. Hetman obrócił twarz ku oknu i jaki× czas wpatrywał się w gąszcz drzew okalających dom. Po chwili dopiero spojrzał na Rutjego, który czekał na decyzję. - Dobrze, jedź zatem. A skoro już jedziesz, to nie zwlekaj, a w drodze koni także nie szcędź. - Czy Trojana zezwolicie zabrać ze sobą? Może się przydać. - Niech jedzie. Weź także i kilku żołnierzy, bo już za łośbinem go×cińce nie są bezpieczne. - Dziękuję waszej wielmożno×ci... - Rutje skłonił się. - Wszakże w gotowiznę zaopatrzyć cię nie mogę, bo sam cienko przędę. Musisz sobie radzić bez niej. - W razie potrzeby pieniądze wydam swoje, bo rodzic gołego mnie nie wypu×cił. - Dam ci pismo do pana Lisowskiego i jedź z Bogiem! Nawet o dzień nie przedłużył Peter pobytu w Lachowiczach, by odpocząć po długiej podróży z dalekiego Rewla. Już następnego ranka wraz z Trojanem, Makarym i pięciu żołnierzami cwałował go×cińcem, kierując się na łośbin. Mieli do przebycia dobrych pięćset wiorst, czyli ponad siedemdziesiąt mil drogi. Mimo to po wymianie koni w łośbinie, co zrobili w tamtejszym garnizonie dzięki hetmańskiemu poleceniu, już dziesiątego dnia zatrzymali się na noc w przydrożnej karczmie, stojącej przy trakcie wiodącym z Briańska do Homla. Stąd pozostało mało co ponad cztery mile, spodziewali się więc przybyć do Starodubia nazajutrz w południe. Izba zajazdu była obszerna, do tego o trzech oknach, a więc nawet do×ć widna. Wokół jednego ze stołów ujrzeli pięciu zbrojnych siedzących przy kuflach z piwem. Byli odziani w mocno przetarte hajdawery i kaftany, z pistoletami za pasem i przy szablach. Twarze mieli ogorzałe od słońca i wiatru, niektóre znaczyły blizny ×wiadczące, że z niejednego pieca chleb jedli, o czym mówiły także ostre, surowe spojrzenia. Przewodził im młody, bo nie mający jeszcze lat trzydziestu mąż, o gładko wygolonym licu,

w półpancerzu i hełmie. Obrzucił Petera i jego ludzi bacznym spojrzeniem i pierwszy wyrzekł słowa powitania, wszakże bez przyjaznego uśmiechu. - Czołem, mości panowie! Widzę po ubiorach, że z rodakami mam honor. Coście za jedni i dokąd to Bóg prowadzi? - Czołem i wam, panowie! - odpowiedział im Rutje. - My hetmańscy wysłannicy w drodze do Starodubia. Z pismem jego wielmożności do pana Lisowskiego... - dodał wyjaśniająco. - A my właśnie jego żołnierze... W czasie tej prezentacji Trojan zajął się rozmową z szynkarzem, ordynując posiłek, żołnierze zaś obsiedli stół, przysłuchując się rozmowie. - Jestem dworzaninem pana Chodkiewicza i zwę się Rutje - oznajmił Peter zbliżając się ku swemu rozmówcy. Ten z kolei przedstawił się także: - A jam Nikodem Jedlina, porucznik chorągwi. Zatem z listem do naszego pułkownika wać jedziesz? - Pytaniu towarzyszyło poważne, skupione spojrzenie. - Nie tylko z listem, ale nie pora teraz o tym mówić, mości poruczniku. Czy najdę pułkownika w Starodubiu? Jedlina spojrzał w twarz Rutjemu i rzucił krótko: - Najdziesz waćpan, lecz nie wśród żywych... Gdyby piorun uderzył Peterowi pod nogi, nie przeraziłby go bardziej. Znieruchomiał, wpatrując się ze zgrozą w twarz porucznika, i stał chwilę bez słowa, nie mogąc wydobyć głosu. - A więc jednak... Boże mój, że też dopuścił do tego... - mówił półgłosem, potem spytał już opanowany: - Kiedy to się stało? - Parę dni temu. Podczas przeglądu chorągwi pod miastem. - Czy nie raczyłby waćpan do nas się dosiąć i opowiedzieć, jak przyszło do zgonu? Moi towarzysze także ciekawi ową relację usłyszeć... - Chętnie to uczynię. Jedlina wstał i prowadzony przez Rutjego usiadł za jego stołem. Trojan, który słyszał zakończenie rozmowy, równie przejęty jak i reszta żołnierzy, także opadł na ławę, ze zgrozą wpatrując się w porucznika. Ten od razu zabrał głos: - Pułkownik zarządził przegląd chorągwi przed rozejściem się

na zimowe leże. Sam ze swoją stanął w mieście, pozostałe miały wyznaczone kwatery w pobliskich wsiach. Oddziały rozwinęły się w należytych ordynku, on zaś nadjechał ze swymi oficerami i cwałował wzdłuż szeregów. Nie ujechał wszakże i pół staj, kiedy raptem zachwiał się w siodle, ciągnął wodze i począł szarpać żupan u szyi. Twarz mu tak poczerwieniała, jakby lada chwila miała trysnąć krwią... Wreszcie zwałił się z siodła i skonał już na ziemi, na rękach swoich oficerów... Jeszcze teraz, jak wam to mówię, żal serce mi ścisza... Przy stole zapanowało milczenie, przerwane po chwili przez Marka: - A więc powalił go atak apopleksji? - Skądże! Byliśmy przyjaciółmi i znałem go dobrze. Mąż to był w sile wieku i taki sprawny jak mało kto! - Jakaż tedy była przyczyna? Czyżby mu zadano? - Taka gadka od razu rozeszła się wśród bractwa. Ale kto by to uczynił i kiedy? - Truciznę mógł spożyć w trunku lub innym napoju... - To niepodobna! Aleksander wiedział, że wrogów mu nie braknie, toteż miał swego kucharza jeszcze z Litwy, który do garnków nikogo nie dopuszczał, a trunki także podawał zaufany pacholek. - Jak więc wytłumaczyć tę śmierć? Przecież przyczyna musiała być? - odezwał się Rutje. - Sądzę, że cierpiał na jakąś utajoną chorobę, o której sam nie wiedział, bo innego wytłumaczenia nie widzę. Wszakże wyjaśnić to mogliby tylko kształceni medycy, ale gdzie takich w Starodubiu szukać? - Kiedy pogrzeb? - Odbył się wczoraj, bo nie było po co zwlekać. A dziś ruszyłem w drogę, gdyż także jadę z pismem, lecz z kolei do pana Chodkiewicza z powiadomieniem, co zaszło. Potem wracam do kraju, bo małżonka powiła mi syna... - dorzucił porucznik, nie mogąc widać powstrzymać się od udzielenia i takiej wiadomości. - A więc i waćpan jedziesz z pismem? Kto teraz objął komendę po Lisowskim? - Wojsko wybrało mości Czaplińskiego. - Tedy jemu oddam hetmańskie pismo i z nim będę mówił o tej śmierci -

zadecydował Rutje. - Cóż o niej można mówić? - Jedlina westchnął. - Był wielki wódz i odszedł... Nawet nie z szablą w dłoni... - Miałem na my×li nie samą ×mierć, ale jej sprawcę... - Nic Czapliński waćpanu o nim nie powie, bo je×li nawet i takowy jest, znaleźć go sposobu nie widzę! Rutje nie podtrzymał tego tematu i wkrótce porucznik wrócił do swoich żołnierzy. Następnego ranka pożegnali się, ruszając każdy w swoją stronę. Już przy bramie miejskiej ujrzeli żołnierzy pełniących przy niej straż, a w mie×cie także było ich sporo, toteż bez trudno×ci dowiedzieli się, gdzie znajdą obecnego dowódcę, pułkownika Czaplińskiego. Jego kwatera, tak jak i kilku innych oficerów, znajdowała się na zamku. I tu przy bramie stały posterunki, ale po rynsztunku poznawszy swoich, bez trudu ich przepu×ciły, wskazując, gdzie znajdą dowódcę. Pozostawiwszy Makarego wraz z żołnierzami przy koniach, Peter i Trojan weszli do budynku. U wej×cia także pełnił służbę wartownik, co wskazywało, że ×mierć Lisowskiego wywołała stan wzmożonej czujno×ci. Zagadnięty przez Rutjego żołnierz obja×nił: - Pułkownika najdziecie waszmo×ciowie w jadalnej komnacie, z sieni na prawo... Sala była obszerna, lecz mroczna, z łukowym sklepieniem. Za długim stołem ujrzeli kilku mężczyzn, którzy obrócili się ku wchodzącym. Rutje od razu oznajmił, kim są, wyciągając jednocze×nie z zanadru papier opatrzony pieczęcią. - Przybyli×my przed chwilą. Oto hetmańskie pismo do ×więtej pamięci pułkownika Lisowskiego. Wiem już, co zaszło, tedy chcę je oddać jego następcy. Zza stołu uniósł się mąż o chudym obliczu i długich wąsach zwisających ku dołowi. Gęste brwi sterczały mu nad jasnymi oczami o zimnym, przenikliwym spojrzeniu. - Jam jest tym następcą z woli żołnierskiego koła. Czapliński, do usług waszmo×ciów... - Wyciągnął dłoń i odebrał pismo, po czym wskazując kolejno: - A oto moi druhowie, rotmistrze: Wojciech Kleczkowski,



Walenty Rogowski, Stanisław Rusinowski i porucznik Idzi Kalinowski... A teraz raczcie do stołu, bo×cie zapewne po podróży wygłodzeni. - Dzięki, mo×ci pułkowniku, ale bardziej niżli posiłku pragnąłbym od razu powiadomić waćpanów, co mi dotąd wiadomo o sprawie. Natomiast co tu zaszło, już mnie obja×nił porucznik Jedlina, któregom spotkał dzień drogi stąd. Sądzę, że mogę mówić swobodnie? - Przesunął spojrzeniem po siedzących. - Wszyscy to moi druhowie, przed którymi możesz wa×ć mówić bez wahania - rzekł zaskoczony tym pytaniem Czapliński. - Wszakże siadajcie, panowie! - Moi żołnierze zostali na podwórku, rozkażcie więc, mo×ci pułkowniku, wskazać im kwaterę i dać posiłek... - Idzi, przykaż sprawić pieczę nad owymi ludźmi, a także dać im po kufelku, niech chociaż przepłuczą gardła - polecił Czapliński także zajmując miejsce. Porucznik wyszedł, a Rutje odezwał się: - Od razu powiem, że głównym powodem mego przybycia nie było posmo hetmana. Pan Chodkiewicz dał mi je tylko korzystając z okazji, a przybyłem tu dlatego, by ostrzec pułkownika, albowiem wiedziałem, co mu grozi, a także od kogo... Peter zamilkł, gdyż jego słowa wywołały ogólne poruszenie. Jedyne Czapliński zachowywał spokój i uciszając zebranych ruchem ręki, zwrócił się do Rutjego: - Zatem chyba Opatrzno×ć nam waćpana przysłała! íałować jedynie trzeba, że× z tym ostrzeżeniem nie zdążył na czas... - I ja nad tym boleję. Ale długo nie byłem przy hetmanie i dopiero po przybyciu dowiedziałem się, że pan Lisowski tu wła×nie przebywa. Bez zwłoki więc, przesiadając się z konia na koń, ruszyłem znów w drogę. - Tak już widać chciał Bóg... - westchnął rotmistrz Kleczkowski. - Powiedziałe× wa×ć, że wiesz, kto jest zabójcą - odezwał się z kolei Rogowski. - A my ze skóry wyłazim, by go pojmać, bo w naturalny zgon nie wierzymy. Toteż z miasta nikomu wyjechać nie wolno, ludzi przepytujemy, usiłujemy doj×ć, z kim stykał się nieboszczyk,

zwłaszcza ostatnimi dniami, ale jak dotąd, bez nijakiego skutku. Rutje chciał odpowiedzieć, lecz włą×nie wrócił Kalinowski, więc odczekał, aż zajmie miejsce. - Zanim będę pytał o kwatere i służbę zmarłego, złożę relację, z której wyniknie, skąd wiem, kto jest winowajcą... Zaciekawienia słuchaczy tym wstępem dowodziła cisza, jaka zapanowała w komnacie, i skierowane ku Rutjemu spojrzenia. Ani jedno słowo, ani nawet chrząknięcie nie przerwało toku jego słów, kiedy szczegółowo podawał przebieg zdarzeń od chwili poznania Sucheckiego aż do ostatniej z nim rozmowy. Nie zdradził jedynie stosunku, jaki go łączył z dziewczyną, uznając, że nie zmniejszy to rozeznania słuchaczy w cało×ci sprawy. Kiedy skończył, pierwszy odezwał się Kalinowski, widać nie mogąc opanować podniecenia: - Brać go tedy co rychlej, aby nie uciekł, i na pal z nim! Szczę×ciem pan Czapliński przykazał nikogo nie wypuszczać z miasta, boby już go tu nie było. - To nie jest zgoła pewne, ponieważ bez wątpienia tak rzecz obmy×lił, by ani cień podejrzenia na niego nie padł. Gdyby usiłował wyjechać, mogłoby to ×wiadczyć przeciw niemu, więc raczej wolał czekać, aż hałas nieco przycichnie. Wszakże lepiej ująć go od razu, jednak wnoszę, by kary nie wymierzać, aż nie wyja×nimy sprawy do końca. Hetman miałby mi wielce za złe, gdybym bez dowodów dopu×cił do stracenia. - Skoro będziemy mieli go w ręku, pal może zaczekać... - mruknął ze złowróźbnym spokojem Czapliński. - Dajcie z dziesięciu żołnierzy i wóz memu towarzyszowi, który go zna i wie, gdzie mieszka. Niech go przywiezie. - Rad będę tej imprezie przewodzić - zawołał Trojan - bom już z dawna łasy na skórę tego lisa! - Ja natomiast rad bym mówić ze służbą zmarłego... - zwrócił się Rutje do pułkownika. - Wskażcie mi, gdzie mieszkał, wolę pogadać i rozejrzeć się na miejscu niżli ich wzywać. Czapliński dał polecenie Kalinowskiemu, by towarzyszył

Trojanowi, po czym obja×nił Rutjego: - Starszyzna miasta przeznaczyła dla Aleksandra jeden z piękniejszych dworów w mie×cie, niejakiego Bałukanowa, którego zresztą z dawna tu nie ma. Po×ciągali tam co piękniejsze opończe, dywany, i sprzęt, aby tylko zdobyć łaskawo×ć pułkownika dla miasta. Nadal przebywają tam obaj jego pocztowi i reszta służby. Dam waćpanu przewodnika. Wracajcie wszakże co rychlej, bom ciekaw sprawy. Najdziecie mnie na zamku, gdzie i dla was każę przygotować kwaterę. W jaki× czas po wyj×ciu Trojana i Kalinowskiego ruszył i Rutje z przydanym mu przewodnikiem. Kiedy po zabraniu Makarego mijali podwórzec, wjechał wła×nie przez zamkową bramę poczet konnych. Otaczał drabiniasty wóz, na którym pomiędzy dwoma żołnierzami siedział Suchecki z rękami skrepowanymi powrozem. Widząc, że Rutje przystaje, Kalinowski zatrzymał jezdnych. - Jak widzisz, nie wracamy z pustymi rękoma! - zawołał Marek ×ciągając wodze. Rutje podjechał do wozu. - Mocno pomstował? - Tylko na powitanie. Potem nieco przytarli×my mu nosa i pogrzeczniał. Rutje spojrzał na więźnia. Ten zmierzył go pełnym nienawi×ci wzrokiem i wrzasnął: - Bądź przekłety, parszywy psie! Do trybunału sprawa pójdzie! Skargę do samego króla złożę, że niewinnego człeka bez nijakiej racji i dowodów w pęta wzięto! - Nie zaniechaj w tej skardze wyliczyć, wielu jego najlepszych wodzów pozbawił× żywota! Tym najja×niejszego pana najbardziej skłonisz do łaskawo×ci. Suchecki chciał jeszcze co× krzyknąć, ale siedzący obok niego żołnierz uderzeniem w kark przymusił go do zamilknięcia, Rutje za× ruszył ku bramie. Dwór, który zajmował Lisowski, znajdował się niedaleko rynku i stał w bocznej uliczce, istotnie wyróżniając się okazało×cią w×ród okolicznych domów. W podwórzu nie było nikogo, ale kiedy weszli na ganek i uderzyli w kołatkę, po chwili drzwi otworzyły się i na progu stanął postawny

mężczyzna, którego widać przewodnik znał, gdyż powitał go wymieniając nazwisko: - Czołem, mo×ci Seyna! Przywiódłem posła od pana hetmana, który pragnie z wami pogadać. Mężczyzna zmierzył Rutje krótkim spojrzeniem i cofnął się z progu. - Proszę, wchodźcie panowie... ółnierz, uznawszy widocznie, że polecenie spełnił, zawrócił ku bramie, natomiast Rutje wraz z Makarym ruszyli za Seyną, który wprowadził ich do obszernej, bogato wyposażonej komnaty. - Jestem byłym pocztowym pułkownika. O czym waszmo×ciowie chcecie mówić? Rutje obja×nił go o celu swojej wizyty, po czym dorzucił: - Prosiłbym więc o przywołanie wszystkich, którzy należeli do jego służby. - Dużo ich nie ma. Drugi pocztowy, Sawicki, udał się do miasta i nie wiem, kiedy wróci, a poza kucharzem Woryłą i pacholkiem Jarkiem nikogo więcej pułkownik przy sobie nie trzymał. Były jeszcze dwie przychodne dziewczyny z miejscowej ludno×ci jako sprzątaczkę, ale po tym, co się stało, odeszły. - Tedy proszę o przywołanie tych dwóch, aby×my mogli odbyć wspólną naradę. Pocztowy poszedł spełnić polecenie, a Rutje, obszedłszy komnatę, zajął jedno z bogato rzeźbionych krzeseł stojących obok stołu. Seyna wrócił po chwili, prowadząc siwego człowieka o chudej twarzy i przygarbionych plecach oraz około dwudziestoletniego pacholka. - To wy zwiecie się Woryła i kucharzowali×cie u pułkownika? - zagadnął Peter starego. - Ano ja... A ten to Jarek, jego pacholek - odpowiedział obojętnie kucharz. Rutje dostrzegł, że choć starali się nie okazać tego po sobie, wszyscy byli głęboko przejęci ×miercią swego pana. Zagaił więc słowami ubolewania, a potem ciągnął: - Nie znałem go wprawdzie, do×ć jednak o nim słyzałem, by rozumieć, jaką ponie×li×cie stratę. Może tedy niejaka pociechą będzie dla was wiadomo×ć, że wła×nie ujęto sprawcę jego ×mierci. Nie przyszła ona bowiem z nakazu natury, lecz ze złej ludzkiej

woli. Przybyłem, aby go ostrzec, ale Bóg, choć nie dozwolił mi zdążyć na czas, przecież sprawił, że zabójcę mógł wskazać. Nie wiem wszakże, jak tego czynu dokonał. Dlatego chciałbym, byście mi w tym dopomogli. Na wiadomość o ujęciu sprawcy oczy Jarka rozbłysły, a stary kucharz przeżegnał się mrużąc: - Dzięki ci, Boże, choć za taką pociechę... Jedynie Seyna niczym nie dał po sobie poznać, jakie ta wiadomość wywarła na nim wrażenie, spytał tylko: - Jakiej, panie, spodziewacie się od nas pomocy? - Chcę dojść, kiedy pułkownik spożył truciznę, bo to ona była przyczyną jego zgonu. Wszyscy trzej spojrzeli po sobie ze zdumieniem. - Spożył truciznę? - powtórzył Woryła. - To niepodobna! W czym mogła być, skoro ja przyrządzałem posiłki, a Jarek je podawał? A trunki także tylko on! - Nikt inny? Przypomnijcie sobie dobrze. - Nikt poza nami, na to mogę przysięgać! - Woryła uderzył się żylastą pięścią w pierś. - Ja zaś od pacholecia, jeszcze przy ojcu nieboszczyka, Janie, służbę rozpocząłem, a Jarek, jak i więcej pamięci pan Aleksander, w Wołkach rodzony! Prędzej dałby się posiekać w jego obronie, niżli dozwolił włos mu z głowy uszczknąć! - A te dziewczki, o których wspomniał Seyna? Może któraś z nich? - Istotnie, były dwie dziewczyny - przytaknął pocztowy. - Przychodziły na dzień do pomocy. - Kto je wyszukał? - Przesłał je starszyna miasta w trosce o wygodę komendanta, zresztą na nasze żądanie. Jedna sprzątała izby, druga pomagała w kuchni. Dalsze szczegółowe rozpytywania o czynności obu dziewczyn niczego nie dały. Stary kucharz kategorycznie zaprzeczył, by pomocnica kuchenna miała okazję nawet przysunąć się do garnków, a sprzątaczką w ogóle do kuchni nie wchodziła. Zniechęcony zakończył więc przesłuchanie pytaniem: - A zatem jak wytłumaczyć, że jest rozkazodawca, a nie ma wykonawcy? Kto pułkownika odwiedzał? - Wiele ludzi, ale co z tego? Mało z kim prócz swoich oficerów

zasiadał do stołu, a jeżeli już, to zbyt miał bystre oko, by kto×  
zdołał go podej×ć. - Jak zwały się owe dziewczęta i gdzie  
mieszkały? Muszę z nimi pogadać. - Jedna Marfa, druga  
Dunia - odezwał się Jarek. - Gdzie każda z nich mieszka, także  
wiem. Rutje znieruchomiał. - Czekażże, Dunia, mówisz? Ma  
jasne włosy i modre ×lepia? - Istotnie, panie... Znacie ją? -  
Zdarzyło się, że ją widziałem. Do niej nie będziesz musiał  
mnie prowadzić. Ale że niejedna Dunia ma jasne włosy, tedy  
powiedz, czy nie mieszka u kupca Sucheckiego? - Tak panie,  
to ona! - Więc to Dunia pomagała w kuchni? - Nie, panie. W  
kuchni pracowała Marfa. Rutje zamilkł na chwilę, potem wstał  
z mruknięciem: - Hm... No cóż, trzeba pogadać z tą Marfą... -  
Spojrzał na Jarka. - Jutro zaprowadzisz mnie do niej. - Dobrze,  
panie, mieszka niedaleko stąd. Wracając na zamek, przez pół  
drogi milczeli, aż wreszcie Makary odezwał się: - Chyba z  
ową Marfą nie ma co gadać, skoro Suchecki zdołał podsunąć  
swoją dziewczkę. Widać znalazł następczynię Soni. - Tak by  
wyglądało, jeno wydaje mi się na to zbyt młoda. Traczej  
skaptował Marfę, wła×nie dlatego, że u niego nie służyła. -  
Wszakże Dunię miał pod ręką... - Ale jak słyszałe×, do kuchni  
nie zaglądała. Jak tedy to wyja×nisz? - To już wasza głowa... -  
rzekł Makary i więcej się nie odzywał. Następnego dnia  
wczesnym rankiem udali się do cerkwi i od razu natknęli na  
diaka. Ucieszył się ich widokiem, dopytując o los  
Sucheckiego, gdyż o jego ujęciu mówiło już całe miasto. Z  
zaciekawieniem wysłuchał wątpliwo×ci Petera, które ten  
pragnął wyja×nić przy pomocy Duni. Zaraz też przywołał  
Kolę i kazał przyprowadzić dziewczynę. Zjawili się wkrótce i  
Dunia, mocno wystraszona, głęboko pokłoniła się diakowi. -  
Jestem, ojczulku... - odezwała się niepewnie. - Czego ode  
mnie żądacie? - Nie ja, córko, ale ci oto panowie. - Diak  
wskazał na Rutjego i Trojana, którzy przyglądali się  
dziewczynie. Była drobna, miała ładną, okrągłą buzię i parę

dużych, niebieskich oczu. Spod chustki, okrywającej jej głowę, wydobywały się pukle złocistych włosów. - Widzę, że× wystraszona. - Rutje u×miechnął się do niej uspokajająco. - Nie potrzebujesz się niczego obawiać, je×li szczerze odpowiesz na nasze pytania. - Dlaczego miałabym nie odpowiedzieć, panie? - Uniosła na Petera oczy, lecz pod jego spojrzeniem zarumieniła się i zamilkła. - A więc powiedz mi, Duniu

, ile ty masz lat? Ale nic sobie nie ujmuj ani nie dodawaj. - Siedemna×cie, wielmożny panie. - A co robiła× u kupca Sucheckiego? - Sprzątałam, myłam naczynia, doglądałam i doilałam krowę. Jak to w domu... - A u pana Lisowskiego? Mniej miała× czy więcej roboty? - Wiele mniej! Tam sprzątałam tylko komnaty i słałam po×ciel. Od południa byłam już wolna. - A co robiła Marfa? - Pracowała w kuchni, przy kucharzu. - Umiała gotować? - Nieco umiała... - Pomagała więc zapewne kucharzowi? - Tego nie wiem, wielmożny panie, bo ja do kuchni nie miałam wstępu. - Kto wam polecił objąć służbę u pana Lisowskiego? - Mnie pan Suchecki. Powiedział, że mam mu usługiwać, i to lepiej niż jemu samemu, bo to wielki wojownik. - Mówił co× jeszcze? - Powiedział też, że miasto postanowiło zapewnić panu Lisowskiemu wszelkie wygody, a on nie chce być gorszy od innych. Kazał więc zabrać dla pułkownika najlepszą po×ciel, jaką miał, by dobrze mu się spało. - Po×ciel, mówisz? A jakąż to? - Dwie poduszki, kołdrę, prze×cieradła... - Sam ci je dał? - Zapakowaną w toból. - Widziała× tę po×ciel? - No jakże?! Przecież ją potem rozpakowałam i przyrządziłam spanie. - I nic więcej tam nie było? - Nie... A co by miało być? - Czy pan Suchecki mówił ci co× jeszcze? - Pouczał, że muszę dbać o wygody pana pułkownika, by broń Boże na mnie nie narzekał. - Na pewno nic więcej? Może dawał jeszcze jakie× zlecenia? - Nie, żadnych... Chociaż... - Dziewczyna zawahała

się. - No, widzę, że co× tam było... Przypomnij sobie. - Mówił o poduszkach, uczył, jak mam układać. Większą miałam kła×ć na spód, mniejszą na wierzch. Ale i tak inaczej bym przecież nie kładła... Ta ostatnia wzmianka dziewczyny spowodowała, że Rutje schylił głowę i zmarszczywszy brwi, wpatrywał się przez chwilę w posadzkę u swych stóp. Wreszcie wyprostował kark i u×miechając się, rzucił niemal wesoło: - Dziękuję ci, Dunia, już wiem, co chciałem wiedzieć! Dziękuję także tobie, bracie - zwrócił się do diaka i skinąwszy na Trojana, ruszył do wyj×cia. - Dokąd idziemy? - spytał nieco sceptycznie Marek, kiedy znaleźli się przed cerkwią. - Na kwaterę pułkownika - wyja×nił Rutje. Po przybyciu na miejsce od razu prosił, by zaprowadzono go do sypialni zmarłego. Seyna, zdziwiony tym żądaniem, wskazał mu jednak izbę bez pytań, a kiedy Rutje podszedł do posłania, odrzucił kapę i sięgnął po poduszki, tamten przyglądał się bez słowa jego poczynaniom. Zgodnie ze słowami dziewczyny jedna była istotnie większa, druga mniejsza, zapewne wypełniona puchem, bo zupełnie miękka, skłaniająca do spoczynku. Rutje jaki× czas przyglądał się poduszkom, wreszcie uniósł tę mniejszą, przysunął ku niej twarz i powąchał raz i drugi. Potem obrócił się do obserwujących go towarzyszy. - Pachnie dziwnie, nawet przyjemnie... - zauważył spokojnie. - Trochę majerankiem i jakby maciejką. Powąchaj. - Podsunął poduszkę Trojanowi. - Tak - przyznał Trojan. - Przypomina jednak raczej majeranek. Ale co to ma znaczyć? - To mianowicie, że jak głupi tropiłem, kto mógł podać truciznę w pokarmie, ten szatan za× podał ją inaczej. Nie radzę nikomu korzystać z tej poduszki. - Takim sposobem otruto pułkownika?! I uczyniła to ta dziewczka, co słała po×ciel? - spytał ze wzburzeniem Seyna. - Uczyniła, ale nie×wiadoma była swego czynu, słuchała tylko polecenia, które jej dano. To Suchecki, nie ona, jest sprawcą! - Znów trudno ku to będzie dowie×ć. Będzie twierdził, że o niczym



nie wiedział, albo że poduszkę kto× podmienił. - Teraz nic mu to nie pomoże, bo jest w rękach ludzi Lisowskiego i ci bawić się z nim w ceregiele nie będą. Wystarczy im tego, co już wiedzą. Zresztą postaram się o dowód, i to niezbity! Toteż odłóż te poduszki na miejsce, a pan, mo×ci Seyna, zadbaj, by nikt tej po×cieli nie ruszał. Z Marfą za× nie ma już o czym gadać. Czapliński zwołał bliskich sobie oficerów na wniosek Rutjego, który chciał wyja×nić, w jaki sposób zginął ich dowódca. Złożona przez niego relacja wywołała taki gniew zebranych, że równie rozw×cieczony pułkownik rozkazał natychmiast przyprowadzić więźnia. Kiedy ten stanął przed nimi, Kalinowski jak zwykle nie zdołał wstrzymać gorącego temperamentu i od razu zawołał: - Chodź no tu, ty psie! Chcemy usłyszeć, co powiesz, zanim wyszczerzysz zęby na palu! Bo suto zapłacisz za tę ×mierć, co× zadał, oj suto! Ale nim zostaniesz nadziany, wprzódy cię tak połechcę, że będziesz szczę×liwy, kiedy znajdziesz się w piekle! Suchecki po tych słowach zmierzył porucznika ponurym wzrokiem, w którym obserwujący go Rutje dostrzegł błysk przerażenia. Wszakże zdołał je opanować, gdyż odezwał się butnie: - Wprzódy musisz mi dowie×ć, żem istotnie tę ×mierć zadał. - Mamy ci tego dowodzić?! - ironicznie prychnął Czapliński. - Do×ć o tobie wiemy, aby× nie żywił żadnych nadziei co do swego losu! - Jakże możecie skazywać mnie na kaźń, nie mając nijakich dowodów mojej winy? Jak mogłem waszemu wodzowi zadać ×mierć? Czy znosiłem się z nim? Czy widział nas kto razem? A to, co wiecie, rozgłasza tylko ten oto mój wróg, który pragnie mojej zguby! - Suchecki, mając więzy na rękach, głową wskazał Rutjego. - Mówisz, że× nie był nawet w pobliżu nieboszczyka? - powiedział Rutje. - Tedy ci powiem, jak zadawałe× mu ×mierć. Nie potrzebowałe× stykać się z pułkownikiem, gdyż posłużyłe× się niewinnym dziewczęciem, które podesłałe×, by podłożyło mu pod głowę

zatrutą poduszkę. - Poduszkę? - Więzień powtórzył półgłosem tylko to jedno słowo, a Rutje teraz już wyraźnie dostrzegł w jego oczach lęk. Jednak po raz drugi zdołał go opanować, bo zaraz prychnął pogardliwie: - Nic o tym nie wiem! Znów co× przeciw mnie obmy×liłe×! - Do×ć tej gadaniny! - Czapliński uderzył pię×cią w stół. - Brać go, obdrzeć ze skóry i nadzieć na pal! Na ten rozkaz Suchecki rzucił się o krok do tyłu, jakby chcąc uciekać, ale przytrzymany przez strażników zwisał im w rękach, gdyż nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Szarpnął się, chcąc się uwolnić od żołnierzy, i zawołał: - Czekajcie! Kłam zadaję temu człowiekowi! Nieprawdą jest, że przyczyną ×mierci waszego wodza była poduszka! Mogę wam tego dowie×ć! Czapliński, zaskoczony tym o×wiadczeniem, spytał: - Jak chcesz to uczynić? - Będę na niej spał noc, dwie, wiele zechcecie, a obaczycie, że żadnych skutków tego nie będzie, że niewinnemu chcieli×cie zadać taką kaźń. Idzi prychnął ironicznie, inni wybuchnęli ×miechem, Czapliński za× o×wiadczył: - Nie, braciszku, my dajemy wiarę oskarżeniu, toteż żadnych prób nie będzie! Rutje, wysłuchawszy wyroku, a potem dalszych wypowiedzi zrozumiał, że wynikały one nie tyle z upodobania do okrucieństwa, choć i ono nie było obce tym ludziom, ile dowodziły mocy przywiązania do dowódcy, a więc i pragnienia zemsty. On sam jednak nie zemsty chciał, lecz usunięcia raz na zawsze niebezpieczeństwa grożącego hetmanowi, gdyby ten zawzięty człowiek pozostał przy życiu. Zapragnął też uzyskać pewno×ć swego oskarżenia. Odezwał się więc, usiłując spokojnym tonem nadać wagę słowom: - Pozwólcie panowie i mnie rzec, co my×lę o sprawie, do czego mam prawo podwójne, pierwsze, że z ramienia hetmana tu jestem, a drugie, że to ja oddałem w ręce winowajcę. Zarzuca mi kłam, je×li więc u×miercie go bez owej próby, ten zarzut będzie nadal na mnie ciążył. Wnoszę zatem, aby przystać na jego żądanie, bo bez tego i was, i mnie męczyłaby

zagadka, jak on tego dokonał. Je×li za× słusznie go oskarżam, słuszne też będzie nie zemsty szukać, lecz tylko sprawiedliwo×ć wymierzyć, skazując go na taką samą ×mierć, jaką zadał. Zaległa pełna napięcia cisza. Więzień przesunął spojrzeniem po siedzących, zatrzymując je wreszcie na Rutjem. Milczenie przerwał rotmistrz Kleczkowski: - Istotnie, Bóg zabrania szukać zemsty, natomiast tym sposobem sprawiedliwo×ci stanie się zado×ć. - Ja także skłaniam się ku propozycji mo×ci Rutjego - chwilę potem odezwał się Rogowski. - A ja nie! - zawołał Kalinowski. - íadnej męki za mało, by zapłacił za ból zadany naszym sercom i stratę, jakiej przyczynił krajowi! Rotmistrz Rusinowski nie zabierał głosu, toteż teraz wszyscy czekali, co powie ich obecny dowódca. Ten odezwał się po krótkim namy×le: - Nie powinni×my chyba kupczyć naszym cierpieniem i kła×ć go na szalę, drugą obarczając wysoko×cią kary. Niechże tedy będzie ona równa przewinieniu, je×li ów człowiek nie udowodni swej racji. Kalinowski spojrział ze zło×cią na Rutjego, ale już nic nie powiedział. Dano więc więźniowi do celi poduszkę nakazując, by czuwający przy nim strażnik baczył, czy należycie z niej korzysta. Jakoż okazało się, że spędził całą noc nie usuwając jej spod głowy. Rankiem za× prosił, by wezwano do niego mo×ci Rutjego oraz cerkiewnego diaka. Kiedy przybyli, uniósł się z posłania i obrócił do Petera: - Chciałem z tobą mówić, bo× u krańca mej drogi okazał mi lito×ć, mimo że byli×my wrogami. - Cóż chcesz, abym wiedział? - O słuszno×ci swego oskarżenia dowiesz się już wkrótce, bo życia nie pozostało mi więcej niż godzina, może dwie. Dlatego zapragnąłem, by× wła×nie ty, mój wróg, wiedział, że nie z podło×ci natury zadawałem ×mierć, jeno z chęci zemsty, czego podło×cią nie można nazwać. Byłem sługą cara Dymitra, ale miłowałem go niczym syna, jemu oddałem serce, trosce o niego po×więciłem życie. Dobrym był człowiekiem i

skłaniał ku sobie ludzi, może kromie tych, którym zawadzał. Toteż oprzytomniawszy po jego śmierci, szukałem zemsty na tym, który był jej głównym winowajcą, a to na Wasylu Szujskim. W swej głupocie postanowił on usunąć jedyną swą podporę i obrońcę tronu, toteż widząc, jak błędne to zamierzenie, pomogłem mu w nim. A potem, by nadal nie zaznał spokoju, wynalazłem drugiego samozwańca, lichego już człeka, o którym wiedziałem, że będzie mi posłuszny. Wszakże i jego ubito, a wy, Polacy, żądni bogactw, zaczęliście grabić mój kraj! Chętnie więc przyobiecałem temu drugiemu, że będę go mścił, gdyż i na was obróciłem swój gniew. Wybrałem za to ku temu jedyny dla mnie sposób, ale i najbardziej skuteczny - pozbawiania was najlepszych wodzów. Mówię ci o tym, gdyż chcę, by po mojej śmierci ostał choć jeden człowiek, który by znał o mnie prawdę! Natomiast ciebie, bracie, pragnąłem prosić - Suchecki zwrócił się z kolei do diaka - abyś wybaczył, com ci uczynił, i wyprawił mnie na ostatnią drogę, a także wysłuchał i wykonał moją wolę. Wszystko, co mam, o czym wie kupiec Anatolij Iwanowicz Łopuchin, daruję tutejszej cerkwi, prócz pięćdziesięciu rubli dla mej gospodyni Anny, sześćdziesięciu, po trzydzieści, dla obu służebnych, a tylko pięciu dla parobka, bo i tak je przepije. Wkrótce potem, jak donieśli strażnicy, więzień uległ napadowi duszności. Podobnie jak pan Lisowski zaczął szarpać na szyi koszulę, twarz nabrzmiała mu krwią i rzuciwszy się raz i drugi na posłaniu, skonał. Wojska moskiewskie odstąpiły od Smoleńska, ale mimo to wschodnie rubieże Rzeczypospolitej nadal ogarniała wojenna pożoga. Bezbronną granicę wciąż przekraczały kozackie watahy bądź samodzielne oddziały moskiewskie czy też wreszcie zwykłe zbójckie bandy. Pałac i pustosząc nie tylko ziemie przygraniczne, zapuszczały się nawet często w głąb kraju. W kwietniu 1616 roku zebrał się sejm. Wielki kanclerz koronny

Kryski w mowie wygłoszonej od tronu obwieścił, że wszelkie jego starania o zawarcie pokoju z Moskwą nie znalazły zrozumienia. Zacytował przy tym stawiane przez nią warunki, które wywołały powszechne oburzenie, uchwalono więc rozpoczęcie działań wojennych. Na wodza wyprawy obrano królewicza Władysława, by dochodził swoich praw do moskiewskiego tronu. Działaniami wojennymi miał nadal dowodzić hetman Chodkiewicz. Jednak upłynął rok, zanim zaciągi i inne przygotowania wojenne zostały zakończone. Ostatecznie ruszono 6 kwietnia 1617 roku. W czasie marszu panujące na dworze królewicza intrygi i niesnaski doszły do szczytu. Działo się to za przyczyną jego faworytów Kazanowskich, czemu Władysław, mało doświadczony, nie umiał przeciwdziałać, toteż wieści o tym doszły do Warszawy i król nakazał Kazanowskim opuścić dwór. Wszakże ostatecznie udało się królewiczowi znacznym wysiłkiem sprawę załagodzić, wojsko pociągnęło dalej i 24 września założono obóz pod Tatarskiem, w miejscu dawnej kwatery królewskiej, na południowy wschód od Smoleńska. Tu przybył na naradę Chodkiewicz, który już powrócił do wojsk i ze swymi szczupłymi siłami stał pod Dorohobużem. Postanowiono połączyć obie grupy i wspólnie miasto zdobyć. Do szturmów jednak nie doszło, gdyż 11 października miasto poddało się, a wkrótce potem, bo 23 października, za jego przykładem poszła i Wiaźma. Stały tam polskie załogi, resztę za wojsk rozmieszczono w okolicy. 13 listopada ruszono na Możajsk. Ale rozprężenie, jakie zapanowało w oddziałach z powodu wciąż zalegającego żołdu, a i niesnaski wśród dowódców nie sprzyjały dalszemu skutecznemu działaniu. Chodkiewicz zwinął więc oblężenie Możajska i powrócił z wojskiem pod Wiaźmę. W tym czasie pomiędzy Moskwą a Szwedami został zawarty pokój, co w znacznej mierze przywróciło carskim wojskom swobodę działania. W

celu zaradzenia tej niekorzystnej sytuacji Chodkiewicz wysłał lisowczyków, by absorbowali siły kniazia Pożarskiego. Natomiast na dworze królewicza nie ustawały wa×nie i intrygi, snute głównie przez Kazanowskich, którzy tymczasem powrócili, żołd wciąż nie nadchodził, toteż głównie pułki litewskie odmówiły dalszej służby. Dopiero królewicz osobistym wystąpieniem zdołał bunt opanować. Tak nadeszła wiosna 1618 roku. Na odbytej w tym czasie naradzie wojennej Chodkiewicz zalecał ruszenie na Kaługę, bo urodzajne okolice Oki zapewniłyby żywno×ć. Jednak mianowani przez Zygmunta komisarze jako doradcy królewicza byli za ruszeniem wprost na Moskwę, by pod jej murami dążyć do rozstrzygnięcia kampanii. Wyruszone więc pod Borysów leżący na południe od Możajska. Wszakże tamtejsza załoga już wiedziała o zamiarze Polaków i obwarowała się mocno, toteż wszystkie szturmy okazały się bezskuteczne. Szesnastego wrze×nia zwinięto więc obóz i kierując się na Zwienigorod, ruszono ku Moskwie. Drugiego października wojsko dotarło do Tuszyna i rozłożyło się obozem nieomal tam, gdzie swego czasu obozował drugi samozwaniec. Tu, po marszu przez cały kraj, z południa na północ, paląc za sobą wsie i miasta, zdobywając grody, nadciągnął ataman Zaporozców, Kanasewicz, zwany Sahajdacznym. Wierny Polsce przyprowadził dwadzie×cia tysięcy kozackich szabel. Ostatecznie próba rozstrzygnięcia wyprawy za pomocą oręża nie powiodła się, wszystkie szturmy Polaków były odpierane, przyniosły jednak tę korzy×ć, że Rada Bojarów stała się bardziej skłonna do wszczęcia konkretnych już rozmów pokojowych. Dostrzegła bowiem, że mimo własnej liczebnej przewagi niewiele jednak brakowało, a nieprzyjacielowi udałoby się wdrzeć na mury. Kolejną przyczyną powziętej decyzji stała się konieczno×ć uchronienia kraju przed niszczącymi go działaniami lisowczyków. Ci bowiem mimo

×mierci Czaplińskiego, który zginął od kuli pod murami Moskwy, obecnie pod wodzą Rogowskiego, nadal palili miasta i wsie. Groziło to otwartym buntem ludno×ci, która zaczęła coraz gwałtowniej domagać się zaniechania działań wojennych. Wreszcie i przybycie tak znacznych posiłków, przyprowadzonych przez Kanasewicza, nie zapowiadało, by Polacy poniechali dalszych działań wojennych. Rozmowy rozpoczęły się pod Bramą Twerską, ale z powodu nieustępliwo×ci posłów moskiewskich nie doprowadziły do rezultatu. Skutkiem tego dziewiątego listopada hetman Chodkiewicz, sprawiwszy pułki pod murami Moskwy, ruszył pod Rohaczew (4 mile od Perejesławla Zaleskiego). W ×ład za odchodzącym wojskiem ruszyli wprawdzie wysłannicy moskiewscy, proponując wznowienie rozmów, ale godno×ć królewicza nie pozwalała na zawracanie z drogi, przeto propozycja została odrzucona. W tym czasie nie tylko lisowczycy, ale już i oddziały Zaporozców Kanasewicza nadal niszczyły kraj, skutkiem czego wzburzenie ludno×ci stało się tak wielkie, i to nie wyłączając mieszkańców Moskwy, że car Michał obawiał się opuszczać Kreml. Przybył więc do polskiego obozu wysłannik bojarski Wasyl Polewoj z propozycją dalszych układów. Jako miejsce rozmów wybrano wie× Dywelino, w niedużej odległo×ci od monasteru Trójcy świętej. Tam na przełomie 1618 i 19 roku podpisano traktat pokojowy na czterna×cie lat i sze×ć miesięcy, w którym strona polska zobowiązała się kraju moskiewskiego nie najeżdzać ani nie ro×cić sobie pretensji do carskiego tronu. Natomiast car oddawał w wieczne polskie władanie ziemię smoleńską, siewierską i czernichowską, z miastami Białą, Rostowem, Dorohobuzem, Smoleńskiem, Nowogrodem, Siewierskiem, Czernichowem, Starodubiem i innymi leżącymi na tych obszarach. Polacy za× zobowiązali się zwrócić Moskalom Kozielsk, Możajsk i Wiaźmę wraz z

przynależnymi im ziemiami. Królewicz Wigilię spędził w Lewontyńskim Monasterze pod Wiaźmą, po Trzech Królach dotarł do Smoleńska i tam resztę zimy czekał na ojcowską decyzję. Hetman Chodkiewicz za× wyruszył do Warszawy. Natomiast lisowczycy walczyli nadal, ale już nie na ziemi moskiewskiej. Z polecenia króla Zygmunta wyruszyli pod Rogowskim w 1620 roku z pomocą cesarzowi Ferdynandowi II. Walczyli w Niemczech, Czechach, na Morawach, a nawet w Holandii, dotarli aż nad Ren. Po Rogowskim dowodził nimi Kleczkowski, a kiedy i on zginął pod Horną także od kuli, tyle że armatniej, dowodzili kolejno Stanisław Rusinowski, nad czę×cią wojsk Idzi Kalinowski, a wreszcie waleczny Stanisław Strojnowski. Potem, w 1621 roku, wraz z wojskami Chodkiewicza bili się pod Chocimiem. Zasłynęli jako najdzielniejsi, ale i najbardziej groźni żołnierze Europy. Niestety, po powrocie do własnego kraju odznaczyli się tylko tą drugą cechą, toteż wkrótce ich nazwę wymawiano ze zgrozą i potępieniem.